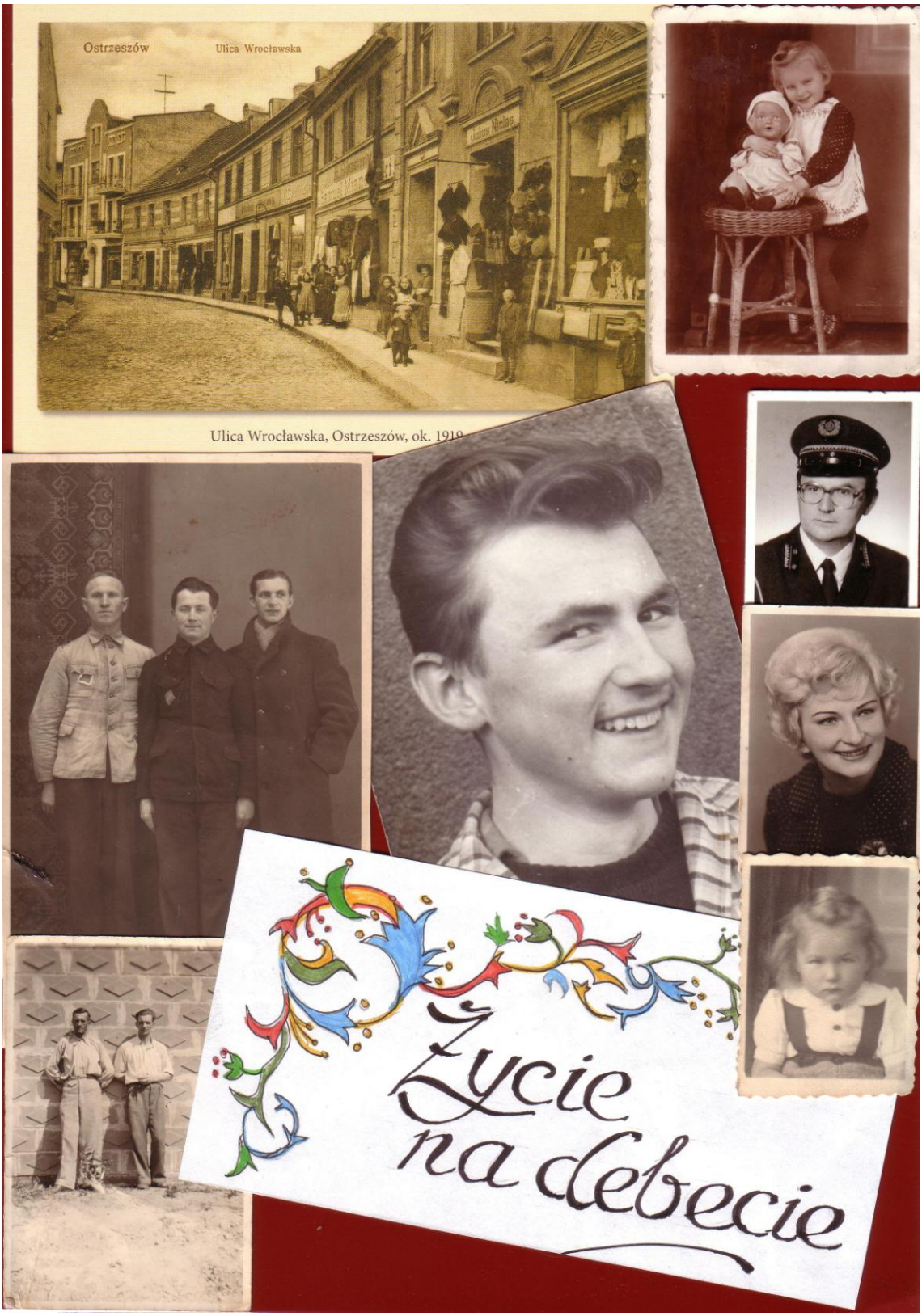
Ostrzeszów
Ulica Wrocławska
Ulica Wrocławska, Ostrzeszów, ok. 1919
Życie na dębecie

Życie na debecie część II

Spis treści:

1. Do czterech razy sztuka w walce o życie, czyli okupacyjny los Polaka 3
2. Wizjerem w Dygata po zmianach 17
3. Moje życiowe retrospekcje..... 32
4.Bratheringi, sznaps i szachy z Opą Wiktorem 459
5. W cieniu ” Klauzury” 467
6. Paweł ma na imię, czyli Pajo nas zadziwia i bawi..... 474
7. Najbardziej pragnął być szczęśliwy 516
8. Wspomnienie o Śp. Zdzisławie Borowcu Gislao z Kielc 581
9. Moje i Elektrowni jubileusze..... 583
10. Wspomnienia pedagoga i nauczyciela dochodzącego 595
11. Hardkołowcy z Niniwy Team w wyprawie rowerowej na Wyspy Brytyjskie . 601
12. Uzależnione od miłości..... 611
13. Hardkołowa Krupson 619

Opowiadania dla dzieci w różnym wieku

1. Legenda o Matce Boskiej 625
2. Losy Bystrego..... 636
3. Aza na łańcuchu..... 640
4. Kozy babci Wikci 644
5. Okiem Pocztowego na folwark Idziego..... 648
6. Sroka złodziejka 655
7. Zwierzęca niedola czyli los rodziny zajęczej..... 657
8. Myszy w starej farze 663
9. Wróble na balkonie..... 667
10. W żłobie leży Jasełka – inscenizacja dla dzieci w wieku 9-12 lat 671
11. Wierszyki- modlitwy dla małych dzieci..... 677

1. Do czterech razy sztuka w walce o życie, czyli okupacyjny los Polaka

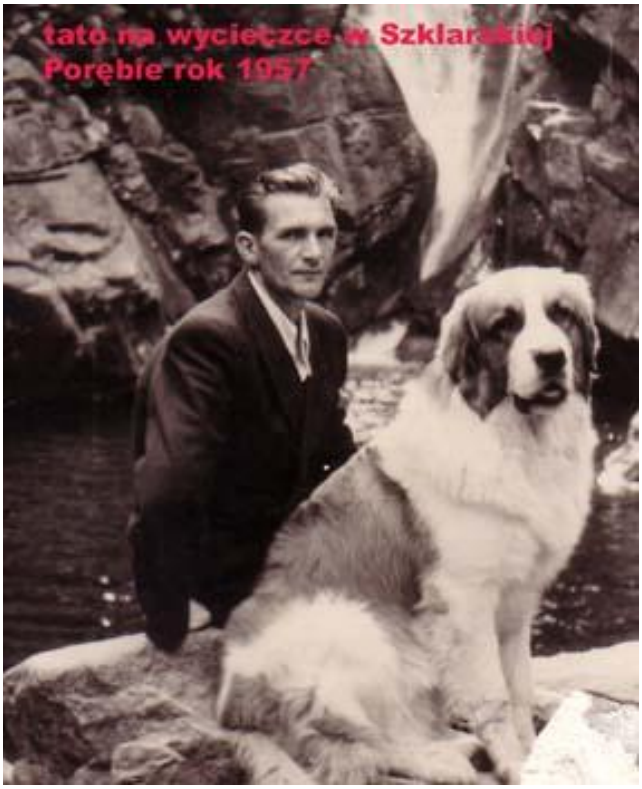

Trzykrotnie uciekał oprawcom z ich szpon, a czwarty raz też mu się udało, bo suknia go ocaliła i, uniknął wywózki do obozu koncentracyjnego do Auschwitz.
To było wyjątkowe szczęście, zrządzenie losu ,albo po prostu Opatrzność Boska.
Medalik z Matką Boską, podarowany mu przez matkę kiedy wyruszył samotnie poza dom rodzinny, jeszcze przed wojną, noszony nieustannie na piersiach i szczera modlitwa do Boga o opiekę i ocalenie , w którego wierzył i Jemu zaufał, pozwoliła mu wielokrotnie ujść z życiem w wyjątkowo ciężkich sytuacjach, o których mi autorowi tego opowiadania zdołał opowiedzieć .Jest to bowiem skopiowany w swej wyjątkowości i tragedii „*Los człowieka Szołochowa* , ale w odniesieniu do polskich realiów z ostatniej wojny, okupacji i niewoli-czyli *okupacyjny los Polaka*
Okupacyjny los człowieka- Polaka to jego zderzenie z rzeczywistością hitlerowską, z rzeczywistością zbrodniczego okupanta, który z odwiecznego sąsiada, stał się bezkompromisowym zdradzieckim wrogiem, powodowanym niszcząca nienawiścią , bez powodu zaplanowanym unicestwieniem naszego kraju i ludzi , czyli wszystkich spoza kręgu „ubermenschów" i ludzi o nordyckich cechach antropologicznych.
Niewinnego, bezbronnego i nieszkodliwego spotkał los tak nieprawdopodobny i skomplikowany, że po wielu latach wydaje się zmyślony i nierealny, a jednak niestety był jego udziałem.
Los człowieka – Polaka zgotowany przez sąsiada zza Odry to los wielu naszych rodaków i ludzi innych nacji i kultur. W każdej chwili Polaków czekała śmierć i zagłada, a ponadto poniżenie , obelga i znieważenie. Do trzech razy sztuka a nawet do czterech jak w przysłowiu udało mu się dzięki Bogu wyjść obronną ręką, dzięki usilnemu pragnieniu życia, , dzięki chęciom ocalenia rodziny: żony i

niemowlaków, dzięki wierze w Stworzyciela, którą od zarania nosił w sercu i był Mu wierny.
Przypadkowo, ale i z rozsądku idąc w ślady jego starszego brata Jana, jeszcze przed wojną, już po odbyciu zasadniczej służby wojskowej, którą w terminie wysłużył jako łącznik telegrafista na kresach wschodnich w Korpusie Ochrony Pogranicza w Kownie , losy związał z Warszawą, do której wcześniej wyjechali jego starsi bracia Jan i Franciszek oraz siostra Maria. Wraz z nim do Warszawy wyjechała jego przyjaciółka Helena Malinowska- późniejsza żona i moja matka.
Rodzeństwo jak i Helena do Warszawy wyjechało, z małego miasteczka Południowej Wielkopolski a wszystko to zainicjował brat Jan, który za namową Cyganki postanowił zrealizować i urzeczywistnić jej przepowiednię ,która wróżyła podróż życia do Warszawy, dla realizacji wznioślejszych celów.
Nagle wybucha wojna, napad Niemców na nasz bezbronny i niedozbrojony kraj, a następnie agresja ze wschodu naszego „wielkiego brata". To za wiele dla nieprzygotowanej i niewinnej Polski, a wszystko działo się jednocześnie z zachodu i ze wschodu.

ojciec w wojsku polskim jako łącznik telefonista rok 1934

ojciec w wojsku na kresach wschodnich rok 1933

Korpus Ochrony Pogranicza Kowno lata przedwojenne .Zdjęcia ze zbiorów prywatnych

Niemal natychmiast na adres jego Rodziców dostał kartę mobilizacyjną stawienia się do jednostki macierzystej do Kowna. Kiedy tam przybył, niestety nie bez trudności i przygód , bo przecież musiał przemierzyć kraj od południa aż na północny wschód ,w koszarach zastał pustkę i zdezorientowanych wielu jego kolegów. Po kilkunastu dniach 18 września koszary zaatakowali Rosjanie, wpierw zdziwienie , konsternacja a potem dopiero doszło do świadomości rezerwistów, że to zwyczajna agresja i niewola a nie przyjacielska wizyta.

Natychmiast skrępowano ich i wywieziono transportem do Równego jeszcze dalej na Wschód. Rosjanie jednak w porozumieniu z Niemcami przekazali bezbronnych w ich ręce do dyspozycji, a ci wywieźli ich w niewiadomym kierunku i nagle znaleźli się wszyscy na terenach niemieckich. Jako nie oficer ale zwykły szeregowiec z pewnością nie podzielił losu wielu tysięcy rodaków – oficerów i wyższych mundurowych urzędników, nie został wysłany w głąb Rosji do Katynia czy Miednoje lub Ostaszkowa. Trafił z kilkoma kolegami do obozu w Neuenbrandenbourgu do Stalagu VIII B ./Adres został rozszyfrowany później ze zdjęcia z tego okresu/. Tam jedynie na początku przebywał w obozie, a potem za dobre zachowanie i dyscyplinę przekazano go do pracy do „bauera". W Warszawie w tym czasie szalał terror i wszechwładna, hegemonistyczna władza agresora. Restrykcje, nakazy, rozstrzelania za byle co, siały strach i bojaźń wśród mieszkańców. Rodzeństwo w tych warunkach i w tym czasie mieszkało oddzielnie ale w różnych miejscach : na ulicy Piwnej, Żelaznej, Złotej, w miejscu, gdzie potem Niemcy dla Żydów urządzili wyniszczające Getto.

W obozie w Neuenbrandenbourgu panowały straszliwe warunki. Obóz mieścił się w jakiś starych barakach na skraju miasta. Ogrodzony drutami kolczastymi i budynkiem wartowni. Jako jednego z młodszych więźniów przekazano go do pracy w magazynie i odkażalni ubrań. Po kilku miesiącach za dobre i sumienne wykonywanie swoich obowiązków przekazano go do pracy u „bauera" na pobliskiej wiosce.

W obozie jenieckim w Neuenbrandenbourgu. Zdjęcia wysłane bratu

Pracował jako woźnica, transportując mleko w kadziach od poszczególnych „bauerów" do zlewni czyli mleczarni w rejonie Neuenbrandenburga.
Woził także przeróżne produkty żywnościowe z płodów rolnych do miasta.
W porównaniu do warunków obozowych, była to komfortowa praca i zakwaterowanie. Jego łoże umieszczone było w pomieszczeniu, gdzie parowano kartofle z przeznaczeniem jako pasza dla bydła i świń. *Jakie dobre były te kartofle*, mawiał, kiedy udało się podkraść, o ile gospodarz tego nie zauważył. Długo potem pamiętał ich zapach i smak. Polubił w szczególny sposób te w „mundurkach" do tego stopnia ,że kiedy ich nie było na stole, to potrawy inne były bez wartości i niechętnie je spożywał .Ogrzewania nie potrzeba było, ponieważ w ciągu dnia wystarczająco komórka ta była nagrzana i zaparowana, a w nocy okrywał się przeróżnymi szmatami i nawet starym dywanem i obozową kufajką. W buty gumowe wkładał sobie albo liście albo stare papiery , aby było sucho i ciepło.
W obrębie tego gospodarstwa znajdował się staw z rybami, więc często korzystał z niego, dbając o higienę osobistą. Gospodarz widząc go nad wodą, nie robił mu z tego powodu wymówek i pretensji. Kilkakrotnie z zewnątrz przybywała komisja obozowa, sprawdzając jego zachowanie no i przede wszystkim obecność. Oprócz pracy jako woźnica, był zmuszony do wykonywania różnych prac w gospodarstwie rolnym i w polu. Niepewność o swój los dręczyła go , bo niewiadome było dalsze jego życie.
Pewnego razu ,jak powiedział *dla potomnych i jako dowód* ,że tutaj przebywał wraz z dwoma kolegami zatrudnionymi w sąsiednich gospodarstwach, postanowił udać się do miasta i u miejscowego fotografa zrobił sobie pamiątkowe zdjęcie. Po wyjaśnieniu dlaczego robią sobie zdjęcie, i w jakich warunkach żyją, kim są i dlaczego ich tutaj wywieziono, fotograf wykonał usługę za darmo i natychmiastowo i jeszcze mokre wydał więźniom.
Zdjęcia te natychmiast wysłał do swego brata Ludwika, do rodzinnego miasta Południowej Wielkopolski . List z zawartością i bez znaczka dotarł do adresata,

a ten dopiero po wielu latach po wojnie , tuż przed swoją śmiercią przekazał je rodzinie przypominając że takie dwa zdjęcia kiedyś otrzymał od swego brata z obozu, jako dowód że jeszcze żył i z jakiej miejscowości wysłał.
Chęć ucieczki i powrót do rodziny i narzeczonej Helenki, spędzała mu sen z powiek, więc skoro tylko nadarzyła się okazja, porzucił pewnego dnia konia i wóz na łaskę losu i postanowił uciec . Była to pierwsza śmiała ucieczka z obozu.
Z koniem początkowo miał problemy. Nazywała się Gerda, a więc była klaczą i postanowił ją nie bić batem, nawet kiedy stawiała mu opór. Perswazją i cierpliwością przekonywał ją do realizowania poleceń. W końcu słuchała go na skinienie i ruch lejcami. Reagowała na jego komendy, które pamiętał z dzieciństwa, będąc na wsi na wakacjach u wujka. Na komendy „hetta, ćwi, wio i prr.r" mimo że nie brzmiały dla niej swojsko, reagowała skutecznie. Rozstanie z jego Gerdą było niezwykle bolesne, ale ważniejsze od zaplanowanej ucieczki. Wrócił się jeszcze , bo pomyślał że los jego jest wielką niewiadomą , z wozu zabrał cztery kalarepy, które wsadził do kieszeni oraz za pazuchę. Odchodząc od niej, Gerda chyba przeczuwała osamotnienie, ponieważ swoimi dużymi czarnymi oczyma długo patrzyła w jego kierunku i nie traciła go z pola widzenia, a on nie zważając na sentymenty, rwał do przodu przed siebie, byle dalej od Gerdy. Szczęśliwie i przypadkowo trafił na Bahnhof na bocznicę kolejową. a tam czekał skład, który miał jechać w kierunku wschodnim i umieścił się pod wagonem. Miejsce wybrane wymościł sobie kufajką obozową , bo w takim stroju pracował poza obozem u „bauera". W samej tylko koszuli pod wagonem było zimno. Po kilku manewrach na bocznicy nocą księżycową i w otoczeniu gwiazd skład ruszył w nieznanym kierunku. Domyślał się że w kierunku wschodnim, ponieważ był to skład z cysternami z napisami IGFARBENINDUSTRIE BLECHHAMMER. Przypuszczał, że być może dotrze gdzieś niedaleko jego rodzinnego miasta w Południowej Wielkopolsce. Trwoga o przetrwanie, mieszała się z uczuciem ulgi i radości, że może mu się uda uciec w ten sposób. Gdyby go wykryto, to śmierć pewna, więc obawa była tym większa, a strach powodował dreszcze na całym ciele.
Determinacja i chęć życia przesłaniała wszelkie trudności, niewygody i cierpienia, więc nie czuł odleżyn i gnieceń konstrukcji stalowej podwozia wielkich zimnych i wilgotnych metalowych cystern.
Trafił na skład z cysternami i był tym bardziej spokojny, ponieważ z reguły te transporty jak się domyślał, były mniej kontrolowane i zwykle miały przeloty tranzytowe. Co w nich było nie miał pojęcia. Nieważne, byleby udało się przedostać do Polski. Postojów jednak na trasie było kilka i w strachu i obawie czekał na dalszą podróż. Na jednym z nich wydostał się z kryjówki i do znalezionej przypadkowo butelki zaczerpnął wody z kałuży. Służyła mu ona do zaspokojenia pragnienia, chociaż obawiał się że będzie skażona, *ale co tam, co się nie robi, aby życie ratować* mówił. Nikt go chyba nie widział, więc był szczęśliwy, dziękując Bogu za opiekę, ściskając na sercu podarowany mu kiedyś przez matkę medalik z Matką Boską z niemieckim napisem:" *Maria ohne Sunde empfengnis bitte fur uns* co po polsku znaczyło *Maryjo bez grzechu poczęta, wstawiaj się za nami*" Przenikliwe zimno dokuczało mu jedynie nocą, natomiast w trakcie dnia było ciepło a od przeciągów i wiatru zabezpieczał się wkładając do uszu liście i trawę.
Jazda pod cysternami trwała kilka dni, aż w końcu skład zaczęli przetaczać i jeszcze bardziej czuł każdy element konstrukcji i powstawały siniaki. Wtedy

zdecydował się wydostać z tego wyjątkowego legowiska, ryzykując i nie wiedząc gdzie właściwie się znajduje. Zauważony przez przypadkowego pracownika lub więźnia, w chwili gdy przeskakiwał wysoki betonowy płot, błagał go o pomoc, a on zdziwiony jego determinacją i odwagą, wskazał mu kierunek ucieczki. Powiedział tylko: *masz szczęście że trafiłeś na mnie, bo ja jestem tutejszy."*Dowiedział się też że znajduję się w Blechhammer a do najbliższej wioski Ehrenfort jest zaledwie kilka kilometrów, ale droga wiedzie przez las i jest niebezpiecznie. Nie zważając na te ostrzeżenia udał się w kierunku wskazanym przez napotkanego człowieka. Natrafił na jeszcze jeden płot i przez wyłom w nim przedostał się na trakt kolejowy. Torami udał się w kierunku wioski. Szlaban wskazywał , że jest to droga przelotowa, więc tą drogą podążył, trafiając na grupki robotników ubranych w kufajki ,podobne do jego odzienia. Droga dłużyła mu się, bo szedł duktami leśnymi , wśród bunkrów w kształcie jaja i takich olbrzymich stanowiących dla wielu schron przeciwlotniczy. Minął zalesiony teren i pracowników, nie zaczepiony przez nikogo, trafił na pierwsze zabudowania Ehrenfortu a tam na poczcie wyznał pracownikowi skąd się wziął i dokąd zmierza. Zaproponował mu wysłanie kartki do rodziny, aby oznajmić swoje istnienie i bliskość pobytu.
Kartkę napisał do brata Ludwika , do tego samego do którego wysłał zdjęcia z obozu. Kartkę wysłał bez znaczka i wątpił czy ona trafi do adresata. Od tego usłużnego i litościwego pracownika poczty dowiedział się że owi pracownicy spotkani w lesie to po prostu więźniowie pracujący przy budowie przyszłego obozu pracy przy Ig Farben Industrie. Musi się mieć na baczności w tym wyjątkowym miejscu, ponieważ są to jeszcze tereny niemieckie i obozowe.
Po latach czytając kroniki dowiedziałem się ja autor tego opowiadania że byli to więźniowie, którzy w tych lasach budowali przyszły obóz koncentracyjny jako filię obozu Auschwitz Birkenau, a miejscowość Blechhammer to dzisiejsza Blachownia Śl., a Ehrenfort to obecne polskie miasto Sławięcice .Do Blachowni Śl Niemcy przywozili więźniów z różnych stron Polski i Świata. W tych warunkach ocierał się bowiem o to niebezpieczne miejsce i bocznicę. Musiał natychmiast wrócić, ale już inną drogą i trafił przypadkiem na tory kolejowe i stojący pociąg na bocznicy. Szukając znów cystern, ponieważ były dla niego jak najbardziej bezpieczne i dawały pewne schronienie. Znanym mu sposobem wlazł pod jedną z cystern i znów wymościł sobie legowisko kufajką obozową. Skład wielokrotnie był przetaczany w czasie bezksiężycowej nocy, aż wreszcie na drugi dzień ruszył w niewiadomym dla niego kierunku. Było rano, więc po słońcu zorientował się że podąża w kierunku północno wschodnim, a więc być może w kierunku Warszawy, do której miał zamiar się udać, bo tam czekali bracia, siostra oraz narzeczona.

Piec krematoryjny obozu

Wieża wartownicza obozu stan dzisiejszy

Po latach po wojnie dowiedział się że list z Ehrenfortu dotarł jednak bez znaczka do adresata czyli jego brata Ludwika do Ostrzeszowa ówczesnego Schildbergu.
Podróż pod cysternami odbywała się też z przerwami i przesiadkami.
Gdzieś w Koluszkach skład miał dość długi postój i z niepokojem czekał na jego odjazd. Zdenerwowany przesiadł się do innego składu, przewożącego przeróżne materiały budowlane i węgiel. Wdrapał się na wagon z węglem i na tym czarnym węglu dostał się w rejony wielkiej Warszawy, chyba w rejony Dworca Zachodniego. Pełen strachu wydostał się z wagonu brudny jak „*nieziemskie stworzenie*" i niezauważony przez służbę kolejową udał się w centrum Warszawy. Po drodze wstąpił do jakieś posesji i poprosił ludzi o wodę i mydło aby się upodobnić do człowieka. Udostępniono mu wodę w misce i poczęstowano chlebem z marmoladą i herbatą ziołową a nawet kawą zbożową.
Wymyty i posilony szukał miejsca pobytu swoich bliskich i narzeczonej. Niestety zbliżyła się godzina policyjna, więc w sieni jednego z domów urządził sobie posłanie, ale ze zmęczenia i twardego podłoża nie mógł zasnąć, a nikt tej nocy z mieszkańców nie pojawił się na tej klatce, a sam nie miał odwagi , aby prosić o pomoc .O brzasku dnia wyszedł na ulice i podążył w kierunku domu w którym mieszkała jego siostra Maria Dowiedział się o miejscu zamieszkania narzeczonej i pośpiesznie się tam udał. Zaskoczona pojawieniem się przyjaciela, wpuściła go wreszcie do mieszkania, ucieszyła się i przez kilka miesięcy w strachu, ale względnie bezpiecznie żył z nią w okupacyjnej Warszawie.
Upłynęło kilka miesięcy , i nie miał okazji aby się spotkać z rodzeństwem. Czy w ogóle żyją, co robią ,jak sobie radzą w tak trudnej sytuacji. Nagle i całkiem przypadkowo idąc ulicą Korzeniowskiego spotkał swego ukochanego brata Jasia i mimo zakazu przystanął , aby sobie z nim nieco pogawędzić i nacieszyć się jego widokiem
Niedługo to trwało , bo w pewnej chwili nadjechała „buda" a z niej wybiegło wprost na nich czterech żandarmów i grożąc bronią nakazali stać w bezruchu

Uderzyli ich kilkakrotnie bez potrzeby , mimo że nie próbowali uciec. Broń była przez tych dwóch wycelowana na nich. Nie byli zorientowani, co się z nimi dzieje i co będzie dalej, a żandarmi siłą wepchnęli obu do tej „budy" i wywieźli wpierw na posterunek a potem do olbrzymiej sali, gdzie takich złapanych było dość dużo. Na drugi dzień nazbierało się tylu, że sala nie mogła wszystkich pomieścić. Załadowano wszystkich bez wyjątku do kilku samochodów i zawieziono na Dworzec Zachodni i zamknięto w bydlęcych wagonach. Pociąg ruszył w nieznanym im kierunku. Podróż trwała prawie cały dzień. O głodzie wieziono ich , a on jak zwykle w trudnych momentach modlił się, ściskając na piersi darowany przez matkę medalik.
Pociąg po wielu chwilowych przystankach i postojach zatrzymał się. Krzykami i połajaniami wypędzono ich słabych już na zewnątrz i wtedy okazało się że znajdują się w jakimś obozie w lesie, który chyba był wtedy w budowie. Kilka baraków już stało a więźniowie, których przywieziono wcześniej stawiali zasieki i ogrodzenie siatkowe. Dowiedzieli się że wywieziono ich do miejscowości Lammsdorf na Opolszczyźnie . Są to dzisiejsze Łambinowice. Obóz był w fazie budowy, bo nawet nie dostali ubrań obozowych . W tym, czym byli odziani, rozlokowano ich w barakach. Obóz był przygotowywany przez Niemców dla jeńców wojennych z Rosji- tak mówiono. Spali na pryczach i przykryci kocami. Nieraz na głodnego i bez picia pracowali przy budowie obozu a głównie przy stawianiu ogrodzenia , bramy wjazdowej i strażnic wartowniczych.
Po kilku dniach dopiero zawołano ich na posterunek obozowy i przeprowadzono przesłuchanie. Pomyśleli sobie wtedy że to koniec z nimi, ale weszli do środka. Pytań było zadawanych niewiele, bo też nie mieli o czym mówić Ojciec. tłumaczył, że jest niewinny, że przypadkowo przystanął na ulicy aby porozmawiać ze swoim bratem, którego długo nie widział, że obu w tej sytuacji schwytano w łapance i przywieziono do tego obozu

Obóz w Łambinowicach na Opolszczyźnie Stan dzisiejszy

Nie dali wiary jego wyjaśnieniom i wypchnięto go na zewnątrz, natomiast wewnątrz pozostał brat Jasiu, któremu uwierzyli, bo nie tylko urodził się na początku wieku w Niemczech w Westfalii w Aplerbeck a do tego posiadał Ausweiss , mówił po niemiecku i miał na imię Johan. Mimo że byli braćmi urodzonymi z jednej matki, ale ojca imię Stanisław i brak znajomości języka nie przekonało ich i musiał niestety pozostać w obozie, natomiast jego brata na drugi dzień wypuszczono i szczęśliwie wrócił do Warszawy. Od pierwszych chwil, stawiając ogrodzenie rozpoznawał teren, planując ucieczkę, bo miał w tym wprawę. W obozie tym jednak w ciężkich warunkach przebywał kilka miesięcy.
Zdobył się pewnego razu na odwagę i podszedł mimo zakazu rozmawiania i kontaktu do wartownika i ośmielił się opowiedzieć mu swoją historię. Okazało się że rozumie i nawet mówi po polsku. Przedstawił mu że w Warszawie zostawił żonę w ciąży ,braci , siostrę i że nie jest Warszawiakiem a pochodzi z Południowej Wielkopolski z pruskiego Schildbergu. Ożywił się wtedy i powiedział że pochodzi z Byczyny , miejscowości leżącej w sąsiedztwie., czyli jest jego krajanem. Wspomniał że do obozu dostał się w czasie łapanki wraz z bratem, którego wypuszczono, ponieważ urodził się w Niemczech i miał na imię Johann. Zaproponował , aby nocą, kiedy znów będzie miał służbę wartowniczą, podejść do niego, wtedy umożliwi mu ucieczkę i coś wymyśli ,aby się wydostać z tego obozu. Na drugi dzień a raczej noc , kiedy księżyc spowity był kłębami ciężkich ołowianych chmur, podszedł do wartownika z wielką trwogą i niepewnością, bo mogła to być ”podpucha”, a on poznał go i nic nie mówiąc wskazał bronią miejsce przejścia przez ogrodzenie, w którym ujrzał dość duży otwór, jeszcze nie zabezpieczony. Spokojnie udał się we wskazanym kierunku i znalazł się nagle poza obozem. Kiedy był już w lesie usłyszał głos wartownika, który wypowiedział swoje nazwisko i imię. Niestety było daleko, więc nazwiska nie zrozumiał, ale dość wyraźnie doleciało do jego uszu imię Konrad. Momentalnie przyrzekł sobie już wtedy, że o ile urodzi mu się syn, to na pewno da mu na imię Konrad, jako zadośćuczynienie za pomoc okazaną mu w ucieczce z tego obozu. Podejrzewał ,że wartownik ów wcześniej przygotował ową dziurę w ogrodzeniu, ponieważ było ona względnie nowa .Ogrodzenie to nie było jeszcze pod napięciem, więc bezpiecznie można je było uszkodzi i dotykać. Prawie w bezruchu i bezszelestnie wpierw przedostał się przez gęstwinę leśną a od obozu nie słychać było już żadnych podejrzanych odgłosów, więc czuł się bezpiecznie. Zimno było nocą, a on tylko w marynarce i cywilnych ciuchach, ponieważ służba obozowa do tej pory nie wydała więźniom obozowych ciuchów. W ubraniach cywilnych było więc bezpieczniej. Las był dość duży i pełen zarośli, paproci i krzewów .Na domiar złego zaczęło padać i po chwili był cały mokry.
Polami, lasami, poprzez bagna, omijając zabudowania przemierzał w strachu i lęku drogę powrotną. Wyczerpany , u kresu sił i głodny szukał torów kolejowych i nasłuchiwał odgłosów jadącego pociągu, bo pomyślał , wspominając ostatnią swoją ucieczkę z obozu w Niemczech, że tylko tym sposobem wypróbowanym może dostać się do Warszawy. Nie miał pojęcia gdzie się znajduje, ale wiedział tylko że ma kierować się na wschód.
Ludzie napotkani po drodze unikali go, bo nie chcieli narażać się na niebezpieczeństwo , bo były to przecież tereny niemieckie. W tych czasach każdy był dla siebie „wilkiem” i wrogiem.
Trafił wreszcie na tory kolejowe. Nie miał orientacji co do kierunku i stron świata. Zanim się zorientował w którym kierunku ma uciekać, to stojący chwilowo pociąg zdążył odjechać. Postanowił dalej iść tymi torami przed siebie.

W pewnej chwili natrafił na szlabany, drogę i budkę dróżnika. Nie wytrzymał i zapukał do tego domku, do posterunku dróżnika. Opowiedział mu całą swoją przygodę i to że uciekł z obozu i podąża do Warszawy. Wysłuchał go z uwagą i przyjął częstując swoim śniadaniem i herbatą. Zaoferował mu pomoc, dał mu nawet stary koc i nakazał czekać tak długo, aż jakikolwiek pociąg zatrzyma się i wtedy będzie okazja wskoczyć do niego i podążyć jego szlakiem. Nawet długo nie czekał, bo pojawił się skład, który akurat tam się zatrzymał. Były to też cysterny, ale były także zwykłe wagony do przewozu różnych materiałów. Nie mogąc znaleźć sobie wygodnego posłania pod cysterną, ponieważ nie miał swojej kufajki, natrafił na budkę hamulcowego zwaną potocznie brekiem. Drzwi do tej budki były na oścież otwarte , więc był pewien, że jest pusta. Wdrapał się do niej ,a w środku było nawet siedzenie. Wyłożył sobie miejsce kocem, a drzwi nie miał czym zamknąć, więc był zmuszony trzymać je ręką, aż wreszcie z kawałka koszuli zrobił wiązanie i było ono skuteczne ,aby budkę tę zamknąć. Pociąg ruszył i gdzieś podążał, a on razem z nim w nieznane. Wiele razy przystawał, ale żadnych kontroli nie było, więc w dalszym ciągu czuł się bezpieczny i pewny że się uda ucieczka i powrót do Warszawy. Zdawało mu się po napisach na poszczególnych mijanych stacjach, że jedzie w dobrym kierunku. Tak trafił tym sposobem do Karsznic, dużego węzła kolejowego w środku Polski. Pociąg stał daleko na bocznicy dość długo, więc zdążył załatwić swoje potrzeby i nawet nabrał wody do puszki. Woda kapała z hydrantu kolejowego wodociągu. Zestaw był przetaczany, więc znów miał obawy, czy jego pociąg zawiezie go w kierunku wschodnim. Znów szczęście mu sprzyjało i czuł Bożą opiekę i medalik na piersi, bo po wielu godzinach pociąg ruszył. Czuł że jest gdzieś blisko Warszawy. Nie ryzykował i nie drażnił losu, więc wylazł z tego breku, niezauważony przez obsługę pociągu, i znów polami, wertepami ,omijając ludzi i domostwa próbował dotrzeć pieszo do Warszawy. Wyczerpany z sił, głodny, brudny nie wytrzymał i wreszcie wstąpił do pewnego gospodarstwa – robotnika leśnego, który dał mu schronienie, napoił, nakarmił i stworzył mu warunki do umycia się. Wyprał nawet swoją śmierdzącą bieliznę. Przeprowadził go lasami do drogi, która wiodła w kierunku Warszawy. Nie mógł iść drogą, więc szedł lasem, mając wciąż drogę w polu widzenia.

Z dala widział swoją Warszawę, więc ucieszył się z tego spotkania , a kiedy trafił na jej opłotki , był pełen trwogi, aby go przypadkiem jakiś Niemiec nie trafił po drodze i nie wylegitymował. Miał bowiem świadomość, że po dwóch ucieczkach z obozów , nazwisko jego jest z pewnością zarejestrowane w niemieckich księgach przestępców, więc tym bardziej obawiał się kontroli.

Nadeszła niestety godzina policyjna a on jeszcze nie dotarł do swojej narzeczonej.

Postanowił osiągnąć i w takich warunkach swój cel, wiec w końcu dotarł na miejsce. Okna zasłonięte i brama zamknięta , zapukał do okna do swojej przyszłej żony, a ona ze strachu nawet nie uchyliła firanki i zasłony. W trwodze nie miała odwagi, aby go wpuścić do mieszkania.

Brat Franciszek, który został zamordowany na Pawiaku przez Niemców

Pomimo godziny policyjnej udał się pod adres, gdzie do tej pory mieszkał jego średni brat Franciszek. Ku przerażeniu zobaczył drzwi zapieczętowane plombą i wtedy zrozumiał że nie ma co nawet dotykać tych zabezpieczonych drzwi. Ze strachu oddalił się z tego niebezpiecznego miejsca. Z jeszcze większą determinacją postanowił udać się do domu w którym mieszkała siostra Maria. Ta wpuściła go bez problemu i w ten sposób uniknął spotkania z żandarmami. Od niej też dowiedział się o losach brata Franciszka. Otóż złapany przypadkowo na Dworcu Głównym na handlu ubraniem roboczym i butami gumowymi, aby przetrwać ten okupacyjny kryzys, został wpierw wywieziony na Pawiak a po kilkunastu dniach wywieziony do pobliskiego lasku i tam bestialsko zamordowany, wraz z kilkoma innymi polakami. Był to maj 1942 roku. O tym piszą nawet kroniki okresu okupacji w Warszawie. Po zamordowaniu Franciszka z niemiecką pedanterią doręczono jego żonie paczkę z wyrokiem a mieszkanie opróżniono i zapieczętowano. Po tym zdarzeniu z jeszcze większą obawą poruszał się po Warszawie, aby tylko nie zostać wylegitymowanym, ponieważ nazwisko jego na pewno było u Niemców zarejestrowane i było na indeksie.
Rodzina brata Franciszka była tez w komplecie w Warszawie w tym okresie.
W pierwszych dniach wojny na dyfteryt zmarł im syn Zygmunt a potem urodziło się im dwóch synów: Kazimierz i Jerzy. Żyło się na dziko, w strachu byle przetrwać. Żywność zdobywano przypadkowo, a kiedyś udało mu się do domu przywlec dość duży kawał uda od rozstrzelanego na ulicy konia. Dla zgłodniałych był to wyjątkowy i szczęśliwy dzień, tyle mięsa naraz. Zrobili sobie zapasy na jeszcze trudniejsze czasy.

z żoną rok 1942 Warszawa

Ślub potajemnie wziął z Helenką w czerwcu 1942 roku. Wpierw w kościele pw. Św. Jakuba na Ochocie a potem w mieszkaniu państwa Dygatów, z którymi mieli kontakty sąsiedzkie ,mieszkając razem na ulicy Glogera. Patefon ściszony obsługiwał wówczas sam przyszły pisarz Stanisław Dygat, *nota bene* jego rówieśnik z roku 1914 i jego imiennik.
Okupacja, każdy z nich unikał śmierci i konfrontacji z okupantem. Musiał się trzymać na baczności ze względu na jego podejrzane nazwisko.
Państwo Dygat a głównie jej senior Antoni miał obywatelstwo francuskie i znajomości w Ambasadzie Francuskiej w Warszawie, więc zaproponował mu, aby udał się do tej ambasady i tam załatwił sobie „lewe" papiery. Jak zaproponował, tak też zrobił. W Ambasadzie tej niejaki pułkownik Testar / rodzina jego obecnie mieszka w Paryżu/ miał już dla niego przygotowany paszport z nazwiskiem Witold Jankowski. Przyjął go ,a *beneficjent* nie żądał żadnej gratyfikacji. Bezinteresownie załatwiał ponoć" lewe" dokumenty dla Polaków podejrzanych i będących na indeksie, narażając siebie na niebezpieczeństwo. Powód wymiany dokumentów osobistych był palącą koniecznością, ponieważ jego stare dokumenty zostały wraz z marynarką w rękach żandarmów, prowadzących go na przesłuchanie do kwatery głównej Gestapo na ulicy Rakowieckiej .Żandarmi schwytali nagle go stojącego na ulicy wraz z bratem Janem w pobliżu Pola Mokotowskiego i ulicy Narbutta. Jana wylegitymowano i puszczono a ojca pod bronią zaprowadzono do tej kwatery. W momencie wejścia do tego budynku w pewnej chwili widząc, że marynarka jest rozpięta, wyrwał się z rąk oprawców. Udało mu się zbiec, schowany za rogiem sąsiedniego budynku, ale niestety marynarka wraz z dowodem osobistym została w ich rękach. Z pewnością zainteresowano się jeszcze bardziej jego nazwiskiem, więc z konieczności musiał zmienić swoje dokumenty osobiste.
„*Do trzech razy sztuka*" powiedział sobie i biegł przed siebie ale po chwili stwierdził że nie może biec , bo zostanie zauważony przez następnych żandarmów. Nie dowierzał że tyle razy był w stanie za cenę życia przechytrzyć szwabów swoim cwaniactwem i odwagą. Był młody, sprawny i żądny życia, więc mógł pokonać przeciwności , strach i każdą przeszkodę. Miał dla kogo żyć. Wracając każdorazowo do domu, był pewny, że tam zawsze ktoś go oczekuje i darzy szczerym uczuciem miłości.
W tak trudnej sytuacji na świat przyszły dzieci: syn Konrad 31 marca 1943 roku i córka Danuta 24 kwietnia 1944 roku. Maleństwa potrzebujące szczególnej opieki i troski. Imiona jego dzieci były z góry ustalone. Syn otrzymał zgodnie z

obietnicą daną nieznajomemu wartownikowi z obozu w Lammsdorf imię Konrad , natomiast córka otrzymała imię w dowód wdzięczności i na pamiątkę współżycia w niedoli z rodziną państwa Dygat, ponieważ ich córka miała też na imię Danuta . Była potem żoną sławnego muzyka Witolda Lutosławskigo. Brak żywności spędzał mu sen z powiek.
W Warszawie od kilku dni pachniało zemstą. Przyszło to najgorsze godzina „W" i wybuch Powstania Warszawskiego.
Piekło na ziemi, ludzie zdezorientowani, zagubieni, a oni bez szans, pomocy z zewnątrz, nieuzbrojeni stanęli do walki wręcz z gigantem, uzbrojonym po zęby.
Przez miesiąc działy się w Stolicy *dantejskie sceny*. Na koniec, zanim wróg postanowił zrównać z ziemią Warszawę, wypędzono ludzi z domów i wszyscy znaleźli się raptem na Zieleniaku u zbiegu Banacha i Grójeckiej przy Gazowni pod gołym niebem w skwarze bez środków do życia i higieny, stłoczeni. Na rękach rodziców ich bezbronne maleństwa. Trwali tak w niepewności i po raz czwarty będzie chyba zmuszony do próby, bo oto wtargnęli na Zieleniak Ukraińcy, pomagający Niemcom i zaczęli rozdzielać mężczyzn od kobiet. Ukraińcy popisywali się swoimi nieludzkimi zachowaniami wobec ludności cywilnej. Zwierzęcość i bestialstwo wprawiało w podziw i nie dawało spokoju. Gwałcili młode kobiety, strzelali do każdego jak do kaczek. To było nie do wytrzymania. Wpadł wówczas na pomysł przebrać się w stroje kobiety, a miał wyjątkowo długie włosy. Zdobył nie wiadomo od kogo długą wzorzystą suknię i nią się ledwo co odział. Na rękę wziął mnie i ze spuszczoną głową przekroczył granicę śmierci to znaczy dostał się w grono samych kobiet. Mężczyzn zabierano na wysyłkę do obozu Auschwitz Birkenau , natomiast kobiety , ale tylko te w sile wieku, przepędzono na Dworzec Zachodni a potem wszystkich wywieziono do Obozu Przejściowego do Pruszkowa. Starych i niedołężnych zabijano i potem pokotem leżały ich zwłoki w rynsztokach, a rodzice pędzeni przyglądali się temu okropnemu widokowi. A więc to ostatnie zdarzenie było czwartym szczęśliwym unikiem przed niechybną śmiercią.
Do czterech razy sztuka udała mu się, dzięki Opatrzności Bożej i medalikowi z Matką Boską na szyi. Mam ją do dzisiaj w szkatułce jako pamiątkę po ojcu z tego okresu.

2. Wizjerem w Dygata po zmianach

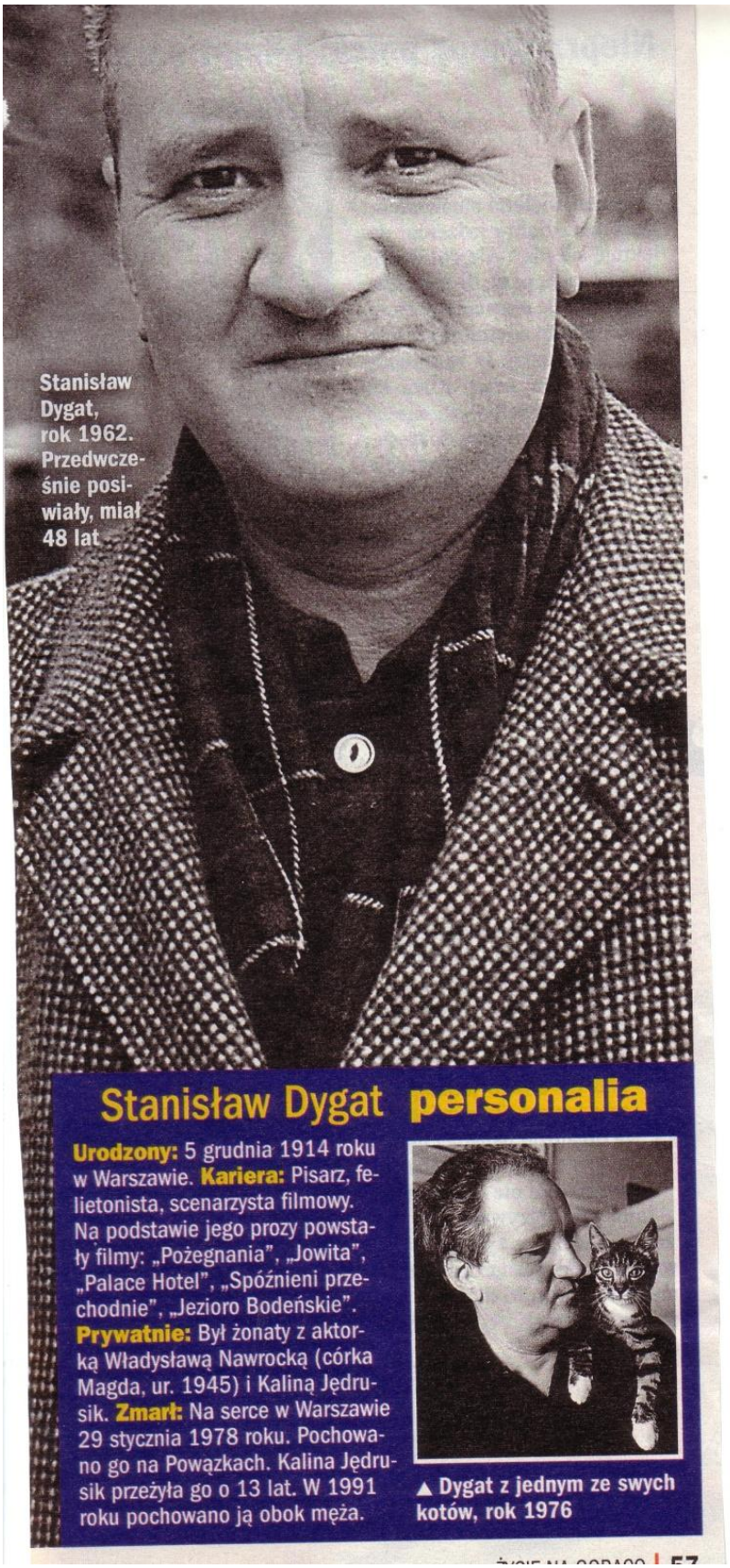

Stanisław Dygat, rok 1962. Przedwcześnie posiwiały, miał 48 lat

Stanisław Dygat **personalia**

Urodzony: 5 grudnia 1914 roku w Warszawie. **Kariera:** Pisarz, felietonista, scenarzysta filmowy. Na podstawie jego prozy powstały filmy: „Pożegnania", „Jowita", „Palace Hotel", „Spóźnieni przechodnie", „Jezioro Bodeńskie". **Prywatnie:** Był żonaty z aktorką Władysławą Nawrocką (córka Magda, ur. 1945) i Kaliną Jędrusik. **Zmarł:** Na serce w Warszawie 29 stycznia 1978 roku. Pochowano go na Powązkach. Kalina Jędrusik przeżyła go o 13 lat. W 1991 roku pochowano ją obok męża.

▲ Dygat z jednym ze swych kotów, rok 1976

matka Helena z Malinowskich Kempa

Będąc jeszcze dziećmi z podstawówki, a więc prawie 60 lat temu i 10 lat po wojnie, dziećmi „urodzonymi w piekle i w czepku" w czasie okupacji w Warszawie, zimową porą ,kiedy nie dało się wytrzymać w zimnym, w ledwo co ogrzanym pokoju ,leżąc sobie z matką pod pierzynami z termoforami w nogach, prosiliśmy ją wielokrotnie o różne rzeczy dla ducha: a to o pieśni nabożne i patriotyczne, aby je nam śpiewała, a to o bajki i wiersze, które kiedyś będąc pilną uczennicą w szkole się wyuczyła.

Prosiliśmy ją uparcie szczególnie o opowieści i przeżycia czasu wojny i okupacji i jej wyjątkowo ciężkiego życia, bo samotnie wchodziła w nie jako sierota, mając zaledwie 8 lat, rodziła się w wiosce leżącej gdzieś na południowych obrzeżach Wielkopolski. Z tych zimowych opowiadań i fragmentów jej opisu, które kiedyś ,ale już po jej śmierci udało mi się w domu znaleźć, dowiedziałem się wielu interesujących zdarzeń i postanowiłem te ciekawe wątki ująć w tym opowiadaniu.

Jednym z interesujących zdarzeń i godnych opisania była nasza znajomość i wspólne przeżywanie trudnych chwil jako współlokatorów z jednej klatki, z rodziną państwa Dygatów, z czasów okupacji w Warszawie.

Zatytułowałem to opowiadanie **„Wizjerem w Dygata"** aby w sposób szczególny i dobitny oddać nasze bliskie kontakty i znajomość z tą znaną i zasłużoną dla Warszawy i Polski rodziną. Drzwi w drzwi nasze sąsiedztwo z Dygatami w tym i z pisarzem Stanisławem Dygatem ich synem, Danutą i Marcinem jego siostrą i siostrzeńcem Lutosławskimi, trwało przez okres okupacji w domu przy ulicy Glogera obok znanego Instytutu Radowego Marii Curie Skłodowskiej a potem na ulicy Kieleckiej na Mokotowie.

Dygat – nazwisko nietypowe i francusko brzmiące, bo z dziada pradziada Dygatowie w męskiej linii pochodzili z Francji. Pradziadek Stanisława w zamian za uczestnictwo i bohaterstwo na wojnach napoleońskich otrzymał pewien majątek w samym Paryżu

Na zdjęciu od lewej Marcin, jego matka Danuta Lutosławska Dygat oraz Jadwiga Kurowska Dygat ,matka pisarza Stanisława Dygata Warszawa rok 1942.a niżej Stanisław Dygat rok 1962 Wszystkie zdjęcia rodziny Dygatów zamieszczone w niniejszym opowiadaniu, zostały skopiowane z książki Magdy Dygat „Rozstania"

Stanisław Dygat pisarz syn Antoniego

Aż do wybuchu II wojny światowej męska część rodziny Dygatów mieszkała poza Polską a ojciec Stanisława Antoni, znany przedwojenny architekt Warszawy wyjechał nawet do Brazylii, ale już po wojnie, gdzie dokończył swego ziemskiego żywota przy boku drugiej żony też Polki. Dygatowie a właściwie matka Stanisława pisarza Jadwiga z Kurowskich wraz z synem i córką mieszkali przed wojną na ulicy Piwnej, a w czasie wojny w Warszawie wpierw na Ochocie na ulicy Glogera a potem na Mokotowie na ulicy Kieleckiej aż do zakończenia wojny, a ściślej do wywiezienia nas do Obozu Przejściowego do Pruszkowa.

W ich otoczeniu i przyjaźni mieszkaliśmy, to znaczy wpierw moi rodzice jako narzeczeństwo, potem jako małżeństwo, a następnie my: w 1943 roku ja –autor tego opowiadania, a w 1944 roku moja siostra Danuta.
Rodziny dzielił jedynie duży i długi korytarz, a mieszkania nasze były vis a vis to znaczy ” Wizjerem w Dygata”. Niejednokrotnie pukając do drzwi zaglądaliśmy dosłownie przez tego” judasza” i z tego powodu miałem uciechę jako niemowlak.
Stąd też wziął się tytuł tego opowiadania.
Jak to się stało że rodzice moi , pochodzący z Wielkopolski, znaleźli się raptem w Warszawie?
Matka moja Helena z domu Malinowska oraz ojciec Stanisław wzorem i za namową swego brata Jana przybyli do Stolicy jeszcze przed wojną będąc w stanie narzeczeństwa. Stryjek Jan, będąc młodzieńcem, posłuchawszy przepowiedni cyganki, udał się do Warszawy bo ”*ty jesteś do wielkich rzeczy stworzony i ty musisz kochanieńki udać się do wielkiego miasta, bo tu w tej pipidówce się zmarnujesz”*
Zawyrokowała, przepowiedziała i tak też postąpił, biorąc sobie poważnie do serca te przepowiednie. W tym też okresie do Warszawy przybyli: jego brat a mój stryjek Franciszek i siostra mego ojca Maria.
Tak więc wielu z rodziny ojca znalazło się jeszcze przed wojną w Warszawie, nie przewidując, że wkrótce nadejdzie to co najstraszniejsze. Tragedia i nieszczęście dla całej naszej ojczyzny a szczególnie dla Stolicy Polski
Zamieszkali niemal wszyscy w sąsiedztwie w rejonie ulic, gdzie potem Niemcy urządzili Getto dla ludności aryjskiej, a więc rejon ulicy Złotej, Żelaznej i innych metali. Rodzeństwo więc również się rozproszyło i każdy zamieszkał gdzie popadło i gdzie było jakieś wolne miejsce do zamieszkania.

Antoni Dygat ojciec Stanisława, a na prawo:
Ojciec wraz ze swoją siostrą w przeddzień wybuchu II wojny światowej

bracia Jan i Stanisław /mój ojciec/ w Warszawie tuż przed wojną rok 1938

Z chwilą wybuchu wojny rodziny nasze musiały opuścić mieszkania dotychczasowe i zamieszkały na ulicy Glogera tuż przy Instytucie Radowym. W tej posesji dozorcą był niejaki pan Marzęcki z zawodu budowniczy studni, którego Niemcy wkrótce wywieźli do Oświęcimia i słuch po nim zaginął. Powód do dziś niewiadomy. Podobno miał dostęp do map katastralnych miasta Warszawy.
Do jego córki Reginy wrócę, ponieważ też odegrała w moim warszawskim życiu niepoślednią rolę.
Przez wizjerek w drzwiach i nie tylko ,kontakt z Dygatami był na co dzień i o każdej porze. W sąsiedztwie nas w tej klatce mieszkała również Wielkopolanka z Dolska koło Śremu niejaka Pelagia Tomczak- koleżanka mojej mamy, która u państwa Dygatów pełniła posługi w kuchni .W domu u Dygatów od wielu lat funkcję niani Stasia pisarza pełniła Bronisława Migulewska, która też była przyjaciółką mojej mamy i Pelasi. Bronisława natomiast, kiedy Staś był już dorosłym i dojrzałym mężczyzną, przebywała u państwa Dygatów w charakterze stałej służącej i była pomocna w każdej potrzebie.
Dom Dygatów czyli mieszkanie było ze wszech miar" bogato mieszczańskie z górnej półki". Zwyczaje i tradycje zdradzały też pochodzenie rodziny z wyższych sfer, w odróżnieniu od naszych drobnomieszczańskich z wielkopolskiej dalekiej prowincji. Zwyczaje i tradycje przeniesione z Francji i z Polski, sprawiały że na przykład senior Antoni o ile przebywał w Warszawie wśród swojej pierworodnej warszawskiej rodzinie, przy boku swej żony Jadwigi de domo Kurowskiej, miał zwykle swój oddzielny pokój, do którego tylko za pukaniem można było wchodzić i prosić o pozwolenie rozmawiania
Zapach kuchni lub małego dziecka i pieluch u swej żony doprowadzał seniora do apopleksji, bo zasadą niepodważalną było, aby żona pachniała kobietą i perfumami w jego stylu i gustu, a nie mamką , nianią czy kucharką. Na stole także musiały być pokarmy szczególne i ulubione przez pana domu. W bogatej i zamożnej rodzinie za jaką uważała się rodzina Dygatów w domu musiała być guwernantka do opieki nad dziećmi, kucharka i sprzątaczka. Niemal wszystkie te funkcje pełniły wspomniane wcześniej kobiety.

Na zdjęciu Matka Helena Malinowska w środku w otoczeniu koleżanek na ulicach Warszawy w czasie okupacji. W tyle widać żołnierzy Wehrmachtu. Z lewej Pelagia Tomczak a z prawej Bronisława Migulewska była niańka pisarza Stanisława Dygata .Zdjęcie wykonane zostało z ukrycia i specjalnym aparatem.

Syn Antoniego i Jadwigi Kurowskiej Dygat Stanisław urodzony w 1914 roku, /podobnie jak mój ojciec/ Stasiem był na co dzień nazywany, późniejszy znany pisarz. Był to człowiek o szczególnie masywnej i muskularnej budowie, potężny i do tego wysokiego wzrostu. Tak go przynajmniej moja mama opisywała. Uprawiał różne sporty i chciał być w pewnym czasie marynarzem. Zaciągnął się nawet do tej służby, ale w wojsku nie był , bo w tym czasie nie miał jeszcze uregulowanych spraw obywatelskich: *ni to Francuz ni to Polak* mawiali złośliwi ,albo Polak po kądzieli , a po mieczu Francuz jak mawiali nasi praojcowie.
Oddać w tym miejscu należy, że wpływ matki ukształtował syna na prawdziwego i przekonanego Polaka, o czym świadczą zwierzenia i wywody, zawarte w późniejszych jego utworach .Jego filozofię patriotyczną zawarł Stasiu na przykład w sławnym „Jeziorze Bodeńskim" dziele z lat 1939 – 1943, będąc w wyimaginowanym obozie dla internowanych w swojej prelekcji dla uwięzionych na temat" ja i mój naród" a mówił o Polsce ,dał temu jednoznaczny wyraz. Przebywając w celi z salki szkolnej przerobionej, wraz z Anglikami, Francuzami i Żydo -polakami przekomarzał się na temat wartości i mentalności Polaków. *Anglik* tłumaczył, *potrafi czyścić buty Niemcowi, Francuz dopiero pod groźbą lufy rewolwerowej a Polak , nawet za cenę śmierci,* mawiał, albo bardziej sarkastycznie: *Pijany jak Polak, oznacza że ktoś kto wypiwszy dużo, zachowuje zupełną trzeźwość.*
W kwestii losu Polski i Polaków pisał, /a pamiętajmy że rzecz działa się jeszcze przed wybuchem II wojny światowej/, *Przeznaczeniem Polski jest zwycięstwo, ale losem męczeństwo .Zmartwychwstanie jest chwalebnym symbolem Polski.* Nie mógł znieść nazw w języku francuskim w Warszawie. *Czy w Paryżu znajdziemy choć jeden napis w języku polskim?* Dziwne i niewytłumaczalne były te przepowiednie Stasia pisarza. Do tej Stasia sławnej powieści będę wielokrotnie powracał.
Pani Jadwiga Kurowska Dygat matka pisarza była rodowitą Polką i gorącą patriotką, czemu dała wielokrotnie swój wyraz. Była to kobieta o gołębim sercu, dobroduszna z sercem otwartym dla każdego. Dom jej zawsze uporządkowany.

Czystość na każdym kroku. Dbała o każdy szczegół ubioru i wystroju mieszkania. Nie mogła się pogodzić z brakiem dyscypliny i porządku ze strony Stasia. Mawiała potem, kiedy Staś ożenił się z Jadwigą Nawrocką aktorką że *Jak nie będziesz dobry dla niej i nie będziesz jej szanował to zamienię cię na Stasia /*czyli mojego ojca, bo tez Stanisław miał na imię/ *bo Dziuni* czyli Jadwidze *należy się ułożony i bez nałogów mąż.*
Staś z plemników ojca Antoniego odziedziczył egoizm, na granicy narcyzmu, obojętny - kpiarski stosunek do miłości , religii i Boga. Wnosił w życie wartości dla wielu niepopularne, nowoczesne i awangardowe. Był przeto szarmancki, towarzyski, miły dla obcych, był duszą towarzystwa, typowy altruista poza domem. Swój autokrytycyzm wyraził w wielu miejscach w swoim dziele „Jezioro Bodeńskie".
Antypatię do szkoły i nauki od zarania wyrażał wielokrotnie :*Dzwonek w szkole był sygnałem do wolności* ,albo *nienawidzę szkoły, nauki, dyscypliny i rygoru. Nie cierpię porządku, planu i systematyczności.*
O domu i Rodzicach pisał: *W naszym domu panuje cicha umowa, że każdy ma prawo do własnego życia.* Wyznaje też ,że posiada niezwykła dezaprobatę życia własnego, a nie w ogóle życia. *Życie jest piękne, takim je widzę, ale czy takim przeżywam? Dom mój nie jest skupiony przy jednym stole i wiszącej lampy. Lampa w naszym salonie nie rzuca kręgu światła na stół, ale rozprasza je po całym pokoju. Krąg światła lampy nie jednoczy naszych wieczorów ale je dekoncentruje. Każdy przychodzi na posiłki , kiedy mu wygodnie. Ojca rzadko widuję, chociaż nasze pokoje są obok. Tęsknimy za sobą i miłość naszą podsyca tęsknota na co dzień. Dorośli nie lubią pozy, ani blagi u dzieci i mogą dać ci przykrą lekcję.*
O sobie pisał: *W ogóle ludzie mówili że mam nieznośny charakter, że trudno dojść ze mną do porozumienia .*Deklarował się jako wesoły człowiek, ale lekkomyślny, nie dbający o wiele więcej niż o błahe sprawy jednego dnia.
O stosunku do Boga i religii: Zwierza się na przykład przyjacielowi ,że nie musiał się modlić i dlatego nie potrafił prosić Matkę Boską o opiekę nad rodziną w Warszawie, kiedy był internowany. Swoją deklarację i stosunek do Boga zawarł Staś w „Pożegnaniach" gdzie pisze:" *Nie wierzyłem w Boga, nie myślałem o nim nigdy, nie obchodziły mnie sprawy z nim związane"*
A innym razem opisując zwyczaje w obozie dla internowanych i o roli księdza i opieki duchowej pisał: *Nie jestem bezpośrednio zainteresowany w opiece duchowej , bo wydaje mi się że jeżeli mój duch jest niewłaściwie uciskany, to wrócić może do formy tylko mocą własnej elastyczności, albo ustalenie zdarzeń, jeżeli zaś nie ,to na co mu opieka. W tej chwili w przygotowanej kaplicy interesuje mnie coś zupełnie innego: W rogu stoi pianino.*
Matka moja była na początku działalności pisarskiej Dygata wierną jego recenzentką, szczególnie , kiedy pisał „Jezioro Bodeńskie, czy „Pożegnania". Mawiał zwykle, kiedy dawał jej do czytania nowe swoje opracowania:
Weź Helenko to moje opracowanie i osądź, co jest warte, bo przekonałem się, że kiedy przejdzie Twoją kontrolę, to na pewno większość czytelników je zaakceptuje i polubi. Tak więc często matka moja zarzucała Stasiowi jego obojętność religijną, jego egoizm jak również stosunek do życia, miłości ,dzieci i rodziny.
Matka moja nie mogła wyjść z podziwu, wobec jego mądrości, inteligencji, proroctwa wobec losów Polski, patriotyzmu i nienawiści w stosunku do Niemców i wszelkich makaronizmów w literaturze i na plakatach i ogłoszeniach.

Prosta kobieta z prowincji, a potrafiła tak mądrze oceniać i wydawać opinie o wartościach intelektualnych i moralnych drugiego człowieka, a w tym wypadku Stasia , tak znanego w przyszłości pisarza.
Proroctwa Stasia wyrażone w powieści „Jezioro Bodeńskie" wobec naszego kraju i przyszłej wojny są więc zastanawiające.
W obozie dla internowanych w jadalni w pewnej sytuacji z dyżurującym Niemcem zawarł wątpliwość" *Czy może być kiedykolwiek porozumienie z Niemcami, skoro oni nawet nie umieją normalnie mówić jak reszta świata"* albo „*Niedługo Paryż opanują Niemcy i oni przemienią dramat piękna w szpetną tragedię poniżenia"*
W obozie spotkał Webera z krwi i kości Niemca, który mawiał: *Gdy spotkasz cudzoziemca powiedz mu Niemcy to jest siła by Polaków zniszczyć w trzy tygodnie a Francję w sześć tygodni. Niemcy kopią nie konkretnego człowieka, ale pojęcie człowieka, ideę człowieczeństwa".*
W usta napotkanego żołnierza niemieckiego wplótł sentencję narodowościową : *i* swoisty patriotyzm nacjonalistyczny iż:: *Francja i Polska to tylko rekwizyty niemieckiego odnoszenia się do sprawy, nie posiadające samoistnego bytu, będące na usługach wielkich mocarstw*.
Staś w wojsku regularnym nie był. Udało mu się za przyczyną, iż dopiero po wojnie uzyskał obywatelstwo polskie. W czasie wojny więc rodzina Dygatów była w miarę „nietykalna", ale żyła w strachu, bo co znaczyło dla Niemców posiadanie innego niż polskie czy aryjskie pochodzenie?
Zaciągnął się jedynie do marynarki jako cywil, aby doznać przygód.
W obozie jenieckim też żadnym nie był, a doskonale znał realia życia obozowego i sztuki militarnej i wojskowej. Myśląc o nienawiści Niemców do Polski i przyszłej agresji, ciągle powtarzał słowa „*C'est pas fini", C'est pas fini"* Czyli to nieskończone i stało się wkrótce że istotnie Niemcy w 1939 roku dokonali zdradzieckiej agresji na nasz kraj.
Dom Dygatów otwarty, pełen był gości i choć matka Stasia była osamotniona jak mawiała to drzwi były otwarte, a częstymi gośćmi byli nie tylko krewni Dygatów i Kurowskich ale także Karpińscy, Zamojscy, Hulewiczowie, skrzypaczka Eugenia Umińska czy pisarka Helena Bobińska. Pan Karpiński na przykład był bratem babci Stasia -Konstancji, żony Ludwika który chwalił się i był dumny ,że jest najczęstszym gościem w każdym domu polskim i że każdy go głaszcze, dotyka i ściska w dłoniach codziennie, bo podpis jego widnieje na polskich przedwojennych banknotach jako prezes Banku Polskiego i Mennicy. Pani Jadwiga Kurowska Dygat uwielbiała gości i z nimi chętnie grała w brydża i chodzić do kawiarni na kawę. Tak więc zarówno Bronisława Migulewska niania Stasia, Pelasia Wielkopolanka ze Śremu jak i moja matka Helena Malinowska czuły się w jej obecności dobrze, czując ciepło , sprawiedliwość, dobroduszność i spokój.

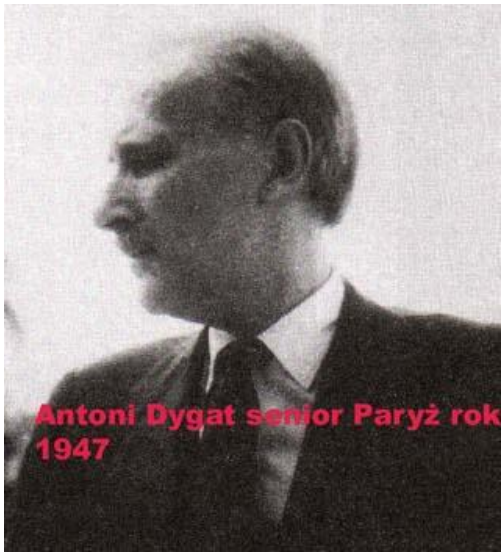

Antoni Dygat senior rodziny ojciec Stanisława pisarza

Matka do roku 1942 była samotna, jednak częstym jej gościem był jej przyszły mąż , a mój ojciec też Stanisław, rówieśnik pisarza Stasia Dygat oboje urodzeni w 1914 roku jak pisał Dygat *„Podczas huku armat i wojny”.* Kiedy oboje mieli po 25 lat wybuchła II wojna światowa. Staś zainteresował się aktorką filmową Władysławą Dziunią Nawrocką, z którą wziął ślub i mając negatywny stosunek do miłości i obojętny do życia i rodziny nie darzył wybrankę uczuciem, godnym męża. Matka ubolewała z tego powodu czyniąc synowi wymówki, a Staś nic sobie z tych ostrzeżeń nie robił. Ojciec mój Stanisław jak wspomina matka był to człowiek dobroduszny, troskliwy, zaradny, pogodny i miły w towarzystwie. Zupełne przeciwieństwo do Stasia, więc Dygatowa często powtarzała że zamieni tych Stanisławów.
Pan Antoni senior rodziny, despota, ciągle nieobecny. Był panem i władcą, na skinienie którego każdy stawał na baczność.
Kiedy pewnego razu kucharka oprawiając zająca na święta, podała go do stołu, odrzucając głowę, powiedział zdenerwowany: *Zrobiła mi Pela wielką przykrość, bo jak mogłaś odebrać mi tę przyjemność obrobienia głowy, jak ja to uwielbiam”*
To samo musiało być z głowami karpi na święta.
W czerwcu 1942 roku doszło do ślubu moich rodziców w kościele pw. Św. Jakuba na Ochocie. Ze względu na duże mieszkanie państwa Dygatów skromne przyjęcie weselne odbyło się właśnie u nich. Matka ubrana była w granatową sukienkę z maleńkim białym kołnierzykiem, natomiast ojciec w nie czarnym garniturze, bo go po prostu nie miał. Ze względu na godzinę policyjną okna były szczelnie zamknięte i przesłonięte kotarami a atmosferę rozweselał patefon, obsługiwany przez Stasia pisarza Zdjęcie też zostało wykonane w ukryciu i cudownie ocalało, bo znajdowało się w zbiorach rodziny, która była poza Warszawą.

Moi rodzice na ślubnym kobiercu czerwiec roku 1942 Warszawa Ochota

Losy rodzeństwa mojego ojca w tym wyjątkowo trudnym okresie okupacji, to głównie nieoczekiwana i nagła śmierć jego brata Franciszka na Pawiaku w maju 1942 roku. Osierocił żonę i dwójkę synów, ponieważ trzeci Zygmunt zmarł w Warszawie z wycieńczenia i głodu. Stryjka Niemcy złapali na Dworcu Głównym w trakcie handlowania odzieżą roboczą , czyli gumowymi butami i kufajką, aby zdobyć pieniądze na życie. Mieszkanie zaplombowano, rodzinę wypędzono a jego wywieziono „ budą" na Al. Szucha, by potem w lasku podwarszawskim w zbiorowym
akcie zastrzelić. Rodzina otrzymała jednak informację o śmierci i karton z jego osobistymi rzeczami.

Jan najstarszy z braci ojca z uwagi na fakt ,że urodził się w Niemczech niedaleko Dortmundu , posiadał w swoim „Ausweisie" imię Johan i dlatego nie miał większych problemów w poruszaniu się po warszawie. Wpierw zapoznał sprzedawczynię gazet z małego ulicznego kiosku i w nim ze znajomą przebywał, a następnie z okolic Warszawy przewoził końmi do centrum artykuły spożywcze , owoce i warzywa.

Maria siostra ojca zatrudniona została u państwa Tarkowskich na ul. Traugutta i wychowywała wpierw przyszłego znanego profesora biologii Krzysztofa Tarkowskiego, a potem jego córkę Monikę, ale już po wojnie. Była panną aż do końca swego życia. Była z tą rodziną związana na długie lata.

Ojciec natomiast żył w okupowanej Warszawie jak bańka mydlana unoszona wiatrem.

Był chwilowym gościem w mieszkaniach swego rodzeństwa, przy swojej narzeczonej, a potem żony i swoich dzieci. Wielokrotnie schwytany przez Niemców w ulicznych łapankach przebywał dwukrotnie w obozach jenieckich, wpierw w Niemczech w Neuenbrandenburgu a potem w Lammsdorf/ dzisiejsze Łambinowice na Opolszczyźnie/, z których z każdego i tego w Neuenbrandenbourg i tego w Lammsdorf udało mu się uciec w przedziwnych okolicznościach i szczęśliwie.

Uciekł także bezpośrednio z rąk gestapowców, prowadzony na śmierć i schwytany również w łapance ulicznej, kiedy przypadkowo przystanął z bratem Janem aby sobie z nim porozmawiać. Takie zachowanie było szczególnie ścigane przez okupanta. Jak pomyślał w jednej chwili tak też i zrobił. Prowadzony , nagle mimo woli rozpiął sobie marynarkę i kiedy żandarmi otwierali drzwi, on wyrwał się im z rąk, a marynarka została w ręku prowadzącego. Dokumenty naturalnie , które były w kieszeni marynarki też przedostały się do żandarmów i Policji. Uciekł , kryjąc się za węgłem tego budynku. Uciekał śmierci albo kolejnej wywózce do obozu. Cwaniak warszawski, ale z wielkopolski też potrafi przechytrzyć Niemca.

Od tego momentu, sytuacja tego wymagała, aby natychmiast zmienić nazwisko i zdobyć gdzieś nowy „Ausweiss". Już w momencie aresztowania i rozstrzelania jego brata Franciszka, i dwukrotnego wywiezienia ojca do obozów nazwisko Kempa było bez kwestii u Niemców na indeksie. Zmuszony był przeto zmienić swoje dane personalne. W sukurs przyszedł mu senior Antoni Dygat, który w Ambasadzie Francuskiej miał dojścia, jako że miał obywatelstwo francuskie. Załatwił wizytę memu ojcu w tej instytucji i kiedy zgłosił się do niej niejaki pułkownik Testar bez namysłu wydał mu gratisowo nowy dowód, czy paszport na nazwisko Witold Jankowski. Dokument ten był już wcześniej przygotowany dla kogoś, kto w ostatniej chwili chyba został przez Niemców stracony. Ojciec musiał się więc wyuczyć nowych swoich danych osobowych.

Staś pisarz ciągle zajęty był pisaniem, a kolejnym problemem dla niego był tytuł powieści, bo jak mówił „Jezioro Bodeńskie" kojarzy się ze Szwajcarią, ale z Konstancją, gdzie był obóz dla internowanych nie za bardzo. Matka moja sugerowała na przykład „Obóz w szkole" lub „Ja w obozie" lub „Obóz nad Renem". Stanęło ostatecznie na pierwszym wyborze, jako że *pierwsza myśl najlepsza*

Ojciec Antoni obiecał mu, że przetłumaczy dzieło na język francuski i w ogóle wyda je za granicą, bo w Polsce nie ma warunków i środków.

Oprócz brudnopisów „Jeziora Bodeńskiego" i „ Pożegnań" podsuwał mojej matce i przyjaciołom inne opracowania, krótkie, wydawane potem w 'Wiadomościach Literackich" celem recenzowania i akceptacji.

Ciąża u mojej matki a w jej łonie , we wnętrzu ja, którego imię już dawno ojciec ustalił, w razie , gdy na świat przyjdzie męski potomek.

Konrad Stanisław brzmiało. To drugie po ojcu a pierwsze zadość czyniące wachtmanowi z obozu w Lammsdorf ,który umożliwił ojcu ucieczkę nocą z tego piekła. Uciekając spytał strażnika o nazwisko i usłyszał jedynie imię, bo nazwisko było długie i wypowiedziane niezrozumiale. Postanowił więc, że o ile urodzi się syn to będzie miał na imię Konrad

. Imię to nie bardzo było akceptowane przez rodzinę Dygatów, a szczególnie przez Stasia pisarza, który stwierdził" *Niemieckie jest szwabsko-germańskie i koniec!"*Tłumacząc jednak w jaki sposób się to imię zrodziło, było w końcu przyjęte.

Udało się matce urodzić mnie dnia 31 marca 1943 roku w Szpitalu SS. Nazaretanek na Czerniakowie, po znajomości i protekcji Dygatów. W Warszawie wrzało wtedy, ponieważ tłumiono Powstanie w Getcie Warszawskim. Od początku swego istnienia , od pierwszych dni byłem wśród mieszkańców klatki maskotką i obiektem zainteresowania.
Nie tylko dla mojej przyszłej matki chrzestnej Reginy córki dozorcy pana Marzęckiego, ale przede wszystkim pani Dygatowej i Danusi jej córki.
Spacery w znalezionym na strychu wózku były dla wszystkich atrakcją. Zaczęła się wiosna i mimo grozy okupacji, drzewa i krzewy zaczęły się zielenić jak zawsze. w parkach czuć było powiew wiosny a ptaki śpiewały jak dawniej. Miejscem spacerów
było jak zwykle Pole Mokotowskie. Pewnego razu wyrwałem się swojej mamie i opiekunkom i pobiegłem do spacerujących parkiem oficerów Wehrmachtu. Mama struchlała , a ja podbiegłem do nich i wyciągając rączki prosiłem o coś. Jeden z nich na tren widok wyciągnął z kieszeni cukierka i dał mi go , a drugi z sarkazmem powiedział: ”*Popatrz jaki grubas , wychowany na tej amerykańskiej marmoladzie.* Ja szczęśliwy pobiegłem pochwalić się mamie tym prezentem. A więc byli i tacy wśród okupantów.

Na zdjęciu
Na Polu Mokotowskim ze swoim ulubionym bębenkiem w przeddzień wybuchu Powstania Warszawskiego 30 lipca 1944 roku

Kiedy tylko była okazja, a drzwi na korytarzu naszych mieszkań były uchylone, raczkowałem do sąsiadów. Często mama zanosiła mnie do państwa Dygatów, bo pani Jadwiga prosiła, aby ją odwiedzić, aby mogła nacieszyć się maleństwem.
Kiedy już byłem u sąsiadów natychmiast porywano mnie na ręce i się ze mną bawiono. Kiedy jeszcze byłem wczesnym niemowlakiem i nawet nie raczkowałem pani Dygatowa lub jej syn układali mnie na swych wielkich łóżkach, przykrytych skórami zwierzęcymi, z których zwisały wokół lisie ogony i raczyli się mną , a ja byłem w siódmym niebie. Gdy byłem na podłodze, to zwisające lisie ogony i pyszczki były przedmiotem zabawy, bo łaskotały moja buźkę a ja je pociągałem, ku uciesze domowników
Urodzone dziecko , zgodnie ze zwyczajem w rodzinie katolickiej, za jaką uważaliśmy się, należało ochrzcić , czyli przyjąć do społeczeństwa Kościoła

Chrzest odbył się też po cichu w kościele pw. Św. Jakuba na Ochocie. Do chrztu podawała mnie niepełnoletnia wówczas dziewczynka Regina córka dozorcy naszego domu. Tylko protekcja Wandy Wiłkomirskiej znanej skrzypaczki, ówczesnej przełożonej Teresek , zgromadzenia dziewczynek w tej parafii.
Pewnego razu zakradłem się do pokoiku pisarza Stasia i zacząłem drzeć leżące tam w nieładzie kartki papieru, które okazały się brudnopisami pisarza. Radości było co niemiara, a gdy na to wszedł Staś, oniemiał i z furią wyzwał niewinnego malca, aż usłyszała to pani Jadwiga. *Trzeba było mieć porządek w swoich dokumentach, a nie pastwić się nad niewinnym malcem* stwierdziła z oburzeniem i pretensjami. Jak zwykle w pokoju pisarza był chaos i bałagan. A może były to kolejne artykuły do „Widomości Literackich" albo brudnopisy „Pożegnań"?, które właśnie w tym czasie opracowywał, aby wydać do druku. Był to bowiem schyłek roku 1943, albo początek 1944 roku.
W pewnym momencie mieszkańcy domu przy ulicy Glogera musieli opuścić go i wtedy Dygatowie wraz z nami przenieśli się na ulicę Kielecką, do niewykończonego jeszcze domu z zabitymi deskami oknami, który należał do doktora Kowalskiego z rodziny od strony pani Dygatowej. Było to miejsce w bliskości ulicy Rakowieckiej i Pola Mokotowskiego. Było to miejsce niezbyt bezpieczne, ponieważ leżało a pobliżu więzienia , ale także głównej kwatery okupanta.
W tym niewykończonym jeszcze domu w piwnicach senior Antoni Dygat jako były architekt Warszawy nie mogąc pogodzić się z jej zniszczeniami, płakał i w piwnicy urządził sobie pracownię. Malował i kreślił przestrzenną wizję przyszłej Warszawy. Matka schodziła pod ukradkiem pod drzwi tej pracowni i kątem oka podziwiała jego twórczość , determinację i zacięcie.
Z jaką pasją odtwarzał Stolicę, chociaż był pół krwi jedynie Polakiem a pół krwi Francuzem. Jego patriotyzm i przywiązanie do Polski , Polaków i Warszawy budziło podziw. Długo potem , kiedy w „kołchoźniku"
Grali znaną piosenkę: *Warszawo , ty moja Warszawo* matce mojej wzruszenia i łzy nie pozwalały mówić i komentować, tak przeżywała miniony czas okupacji.
Na roczek w kwietniu 1944 roku na Prima Aprilis udało się mojej mamie , państwu Marzęckim i pani Jadwidze, ubrać mnie w piękną białą pelerynkę, którą Regina moja matka chrzestna miała ubraną , kiedy na Boże Ciało sypała kwiatki, Udało im się na wet zrobić pod ukradkiem zdjęcie z tego okresu.

Parę dni potem urodziła się moja siostrzyczka Danusia i w dowód wdzięczności dla zacnego państwa Dygat rodzice nasi dali swojej córeczce imię Danuta, podobnie jak miała na imię ich córka Danuta Lutosławska siostra Stasia pisarza.
Polacy od dawna planowali wywołać jakieś powstanie, aby zniszczyć wroga. Mówiło się w swoich kręgach o tym od dawna. Powstańcy liczyli że alianci tzn. wielka Anglia i Francja im w tym wesprze.
Jednak przyszła ta złowieszcza i oczekiwana godzina „W" czyli 17 ta., która oznajmiła warszawiakom rozpoczęcie Powstania Warszawskiego.
Nie będę opisywał tego zdarzenie, bo jest ono dostatecznie i wyczerpująco opisane w wielu kronikach i publikacjach, głównie przez szczęśliwie jeszcze żyjących uczestników.

Na roczek 31.03 1944, ubrano mnie w pelerynkę Reginy Marzęckiej tej niepełnoletniej mojej matki chrzestnej, która wdzianko miała ubrane , kiedy sypała kwiatki na Boże Ciało na Ochocie, tuż przed wojną./ur. w 1930 roku/

Moja siostra Danuta Kempa Mamys ur. 24. 04. 1944 a z prawej ja Konrad Kempa ur.31.03.1943

Nasza matka szczegółowo opisywała nam to niezwykle tragiczne wydarzenie w dziejach Polski walczącej. i zwykle nie kończyła , bo płacz uniemożliwiał jej to opowiadanie i wspomnienia.
Mówiła zwykle do nas :*Dzieci, wy tego nigdy nie pojmiecie, jak myśmy to przeżywali i co żeśmy przeszli, to była istna gehenna"* .Prosiliśmy ją mimo wszystko o dokończenie tych niezwykłych opowieści.A kiedy się nieco uspokoiła, kończyła ,że rodziny nieraz miały szczęście spotkać się w piwnicach domów, lub o ile byli w akcjach w kanałach w podziemiu Warszawy.

W piwnicach spotkaliśmy się nawet z rodziną Dygatów, naszą ciocią Marią siostrą ojca i ciocia Genią z synami Jurkiem i Kazikiem, których ojca wcześniej Niemcy zamordowali. Wspominała że nawet w tych mrocznych piwnicach pomagali powstańcom w różny sposób. Często szyły opaski biało czerwone, lub przenosiły tak jak mój ojciec pocztę dla powstańców w różne miejsca Warszawy, gdzie można było dojść.,
W piwnicach tej kamienicy pojawili się nagle niewiadomo skąd dzieci żydowskie, które ukryto w stojących w piwnicach beczkach po kapuście . O ile były szafy, to w nich urządzano sypialnie, wyścielając gazetami, szmatami, czym się dało, aby było miękko.
Los naszych rodzin w momencie po Powstaniu Warszawskim i jego stłumieniu niestety rozdzielił wszystkich. Nas wpierw Ukraińcy będący sprzymierzeńcami Niemców ulokowali na Zieleniaku obok Gazowni na Ochocie u zbiegu Banacha i Grójeckiej by potem wywieźć nas do Obozu Przejściowego do Pruszkowa.
W tym momencie kontakt z rodziną Dygat i synem pisarzem urwał się, i dopiero po wojnie próbowaliśmy/ to znaczy moja matka/ nawiązać kontakt z tą rodziną, ale niestety przedwczesna śmierć Stanisława przerwała to nasze staranie o spotkanie się.
Stanisław Dygat wraz z żoną Władysławą Nawrocką przenieśli się do Krakowa i tam już po wojnie w 1947 przyszła na świat ich jedyna córeczka Magda.
Staś Dygat miał ambiwalentny stosunek do małżeństwa , miłości dzieci i rodziny i dlatego w przyszłym życiu nie dbał o żonę Władysławą, córkę Magdę a potem nawet o Kalinę Jędrusik, bo z pierwszą żoną się rozszedł, Magda była zawsze samotna i pod opieką innych a druga jego żona nawet w towarzystwie potrafiła go zdradzać
Matka zawsze mile wspominała tę wyjątkową znajomość z rodziną Dygatów, dlatego „Wizjerem w Dygata” to trafny tytuł tego opowiadania, bo w nim zawarta jest bliskość stosunków w tym trudnym i ciężkim okresie okupacji, o którym Magda córka pisarza w swojej monografii „Rozstania” pomija, ponieważ nie miała dostatecznej wiedzy o tym okresie. Należało by więc opowiadanie a raczej wspomnienia Magdy Dygat suplementować o okres wojny i okupacji, ale kontakt z córką pisarza uniemożliwia że mieszka poza granicami kraju.

Moja rodzinka po wojnie rok 1954. Tylko brat Janusz w środku nie przebywał w Warszawie w czasie okupacji/ ur. 1950r. autor opowiadania pierwszy od lewej.

Moje życiowe
retrospekcje

Konrad Stanisław Kempa

KONRAD STANISŁAW KEMPA
UR. 31 MARCA 1943 ROKU

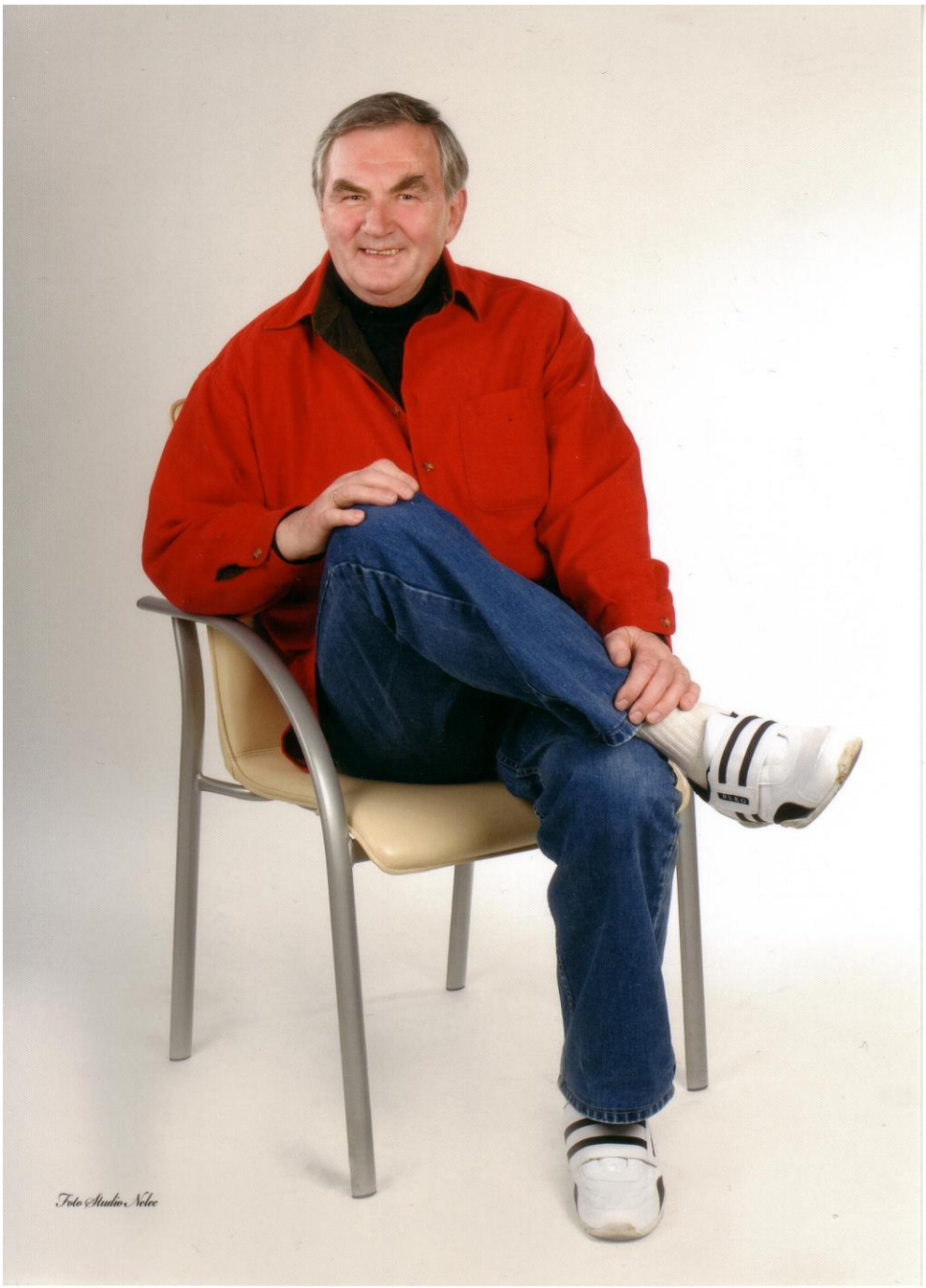

Żyć można na wiele sposobów,
lecz umierać, tylko na jeden właściwy. . .

Na wspomnienia przyszedł czas *Na wspomnienia przyszedł czas, to czas dla mnie najwyższy minęło sześćdziesiąt lat, kres życia coraz bliższy Żyje ten, kto wspomina, bo zdarzeń w życiu wiele, coraz większa rodzina, fakty z fikcją człek miele. Mieszają się nam daty, genealogia chwieje, układam ją na raty, odtwarzam stare dzieje. Strzępy pamięci składam, z notatek mojej matki chronologię układam, niby z filmowej klatki. To"curicullum vitae" naszej dużej rodziny, choć stare mgłą spowite, w tej kronice utkwijmy ! „Tempus fugit" niestety, „carpe diem" pamiętaj ! szanuj przodków portrety, każdy cię zapamięta. Żyć będę, bo wspominam, na pamięć moją liczę, a w następnych terminach, dalsze losy dopiszę.*

Motto: Tempora mutantur, et nos mutamur in illis /Czasy się zmieniają, a my też razem z nimi/ jak mawiali mądrzy Rzymianie.

Oto rodzinne tablo. Małżeństwo nasze połączyło wspaniale obie rodziny Kempów i Feigów.

Po prawej stronie przedstawiona jest rodzina żony a po lewej stronie moja rodzina.

Natomiast tłem tego drzewka genealogicznego są zdjęcia poszczególnych członków tych rodzin, celowo zmieszane, aby nikogo nie wyróżnić, oraz skompilowane ze zdjęć jakie miałem do dyspozycji.

Zdjęcie rodzinne Kempów: stoją od lewej: mój ojciec Stanisław, ciocia Maria jego siostra, Edmund brat ojca, siedzą od lewej: Ludwik brat ojca, matka Rozalia z Rospęków Kempa, ojciec Franciszek Kempa i brat ojca Jan/ Johann/ schyłek lat 50 tych

Natomiast ze strony matki Heleny włączony jestem w ród rodziny Malinowskich, którzy w większości pochodzili z Torzeńca, natomiast najstarsi od Mikołaja Malinowskiego począwszy pochodzili ze wsi Teklinów koło Wieruszowa a potem żeniąc się z wybrankami z Torzeńca, przenosili się w te ostrzeszowskie strony. Dla tej rodziny sporządziłem genealogię oraz stosowny opis ze wspomnieniami domu rodzinnego, ze zwyczajami i tradycją.

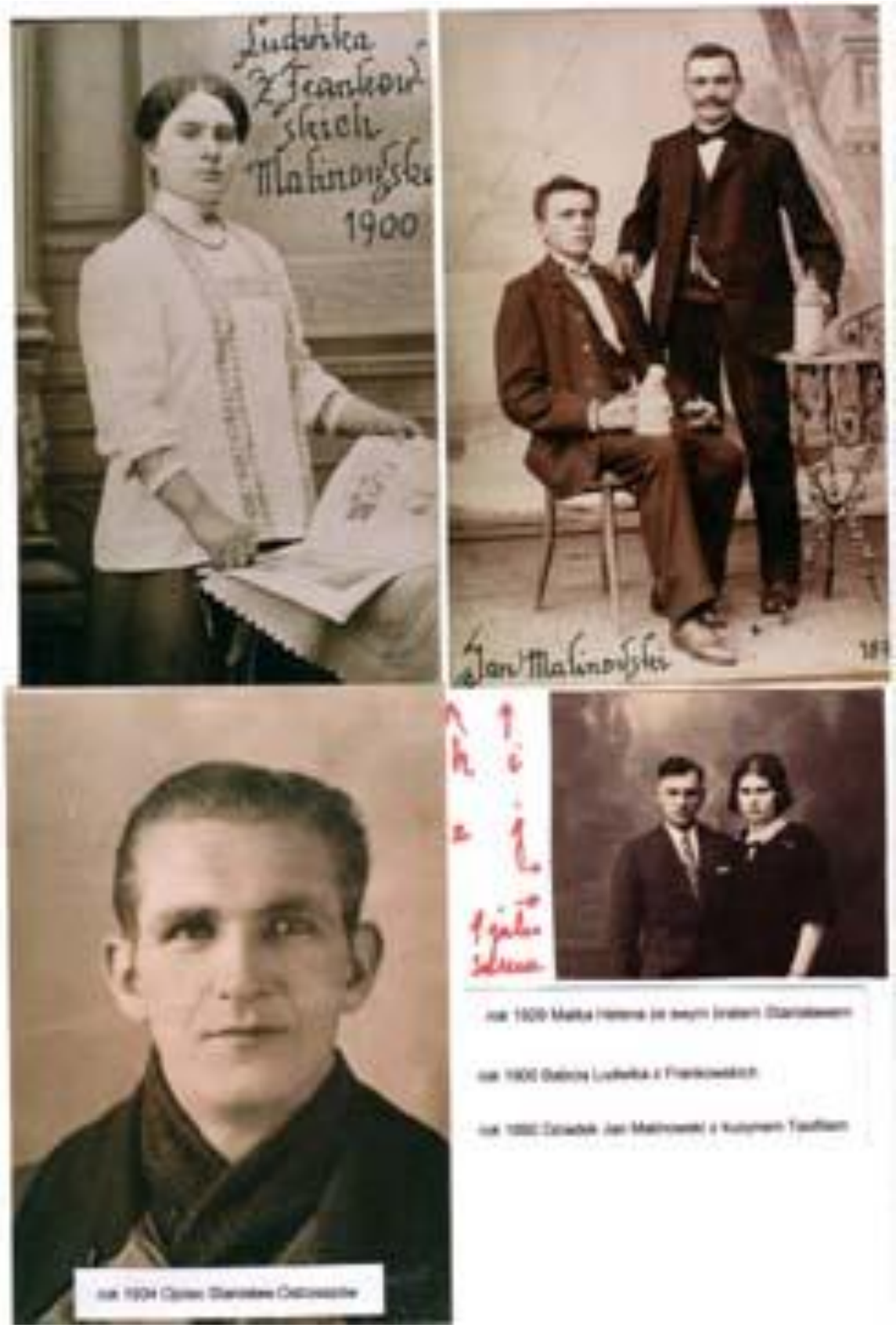

Powyżej: moja Babcia Ludwika z Frankowskich Malinowska, z prawej Jan Malinowski jej mąż/stoi/ wraz ze swoim kuzynem dalej moja matka wraz ze swym bratem Stanisławem a niżej mój ojciec Stanisław

Konrad Stanisław Kempa syn Stanisława i Heleny zd. Malinowska ur. 31. 03. 1943 w Warszawie

Historia naszej rodziny Malinowskich

GENEALOGIA RODZINY MALINOWSKICH

Z posiadanych z archiwum dokumentów dot. rodziny Malinowskich
wynika że Jan Malinowski lat 41 ½ ur. 28. 05. 1873 w Teklinowie k. Wieruszowa a zmarł 17. 08. 1914 podczas wojny
żona Ludwika Frankowska córka Jana Frankowskiego i Marianny zd. Florek ur. 8. 08. 1873 w Torzeńcu a zmarła w lutym 1919 w Torzeńcu a pochowana w Wyszanowie,
rodzice Jana Malinowskiego:
Karol Malinowski lat 49 ur. 1844 w Teklinowie a zmarł 31. 10. 1893 w Torzeńcu,
żona Karola Ludwika /lat 62/ zd. Brylak córka Franza Brylaka i Thekli zd. Dębska ur. 1845 w Torzeńcu a zmarła 22. 03. 1907 w Torzeńcu
rodzice Karola Malinowskiego:
Mikołaj/ Nicolaus/ Malinowski brak dat ur i zgonu z Teklinowa pow. Wieruszów
jego żona Magdalena zd. Maciejewska prawdopodobnie też pochodząca z Teklinowa.

lapa Teklinowa, Gmina Wieruszów, Powiat wieruszowski, Województwo łódzkie.

najdź ulicę, adres:

Plan Teklinowa

OSTRZESZÓW

Wpisz ulicę, nr domu, aby zlokalizować adres na mapie.

Zaznacz na **mapie Teklinowa** następujące obiekty: (brak lokalizacji obiektów)

szukaj

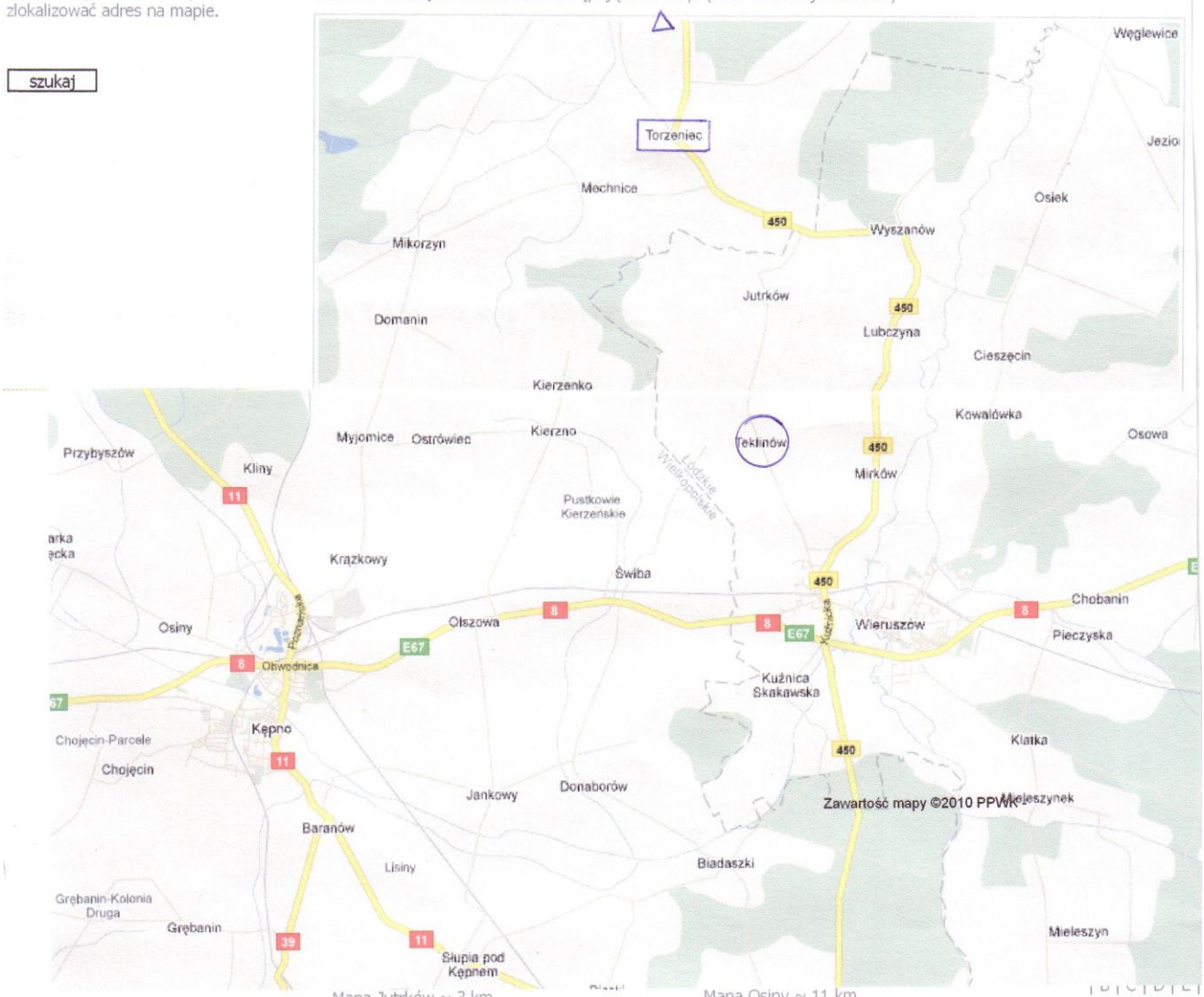

ODL. Z TEKLINOWA

Mapa Jutrków ~ 3 km
Mapa Lubczyna ~ 3 km
Mapa Wesoła ~ 3 km
Mapa Mirków ~ 3 km
Mapa Sopel ~ 4 km
Mapa Wyszanów ~ 4 km
Mapa Kierzenko ~ 4 km
Mapa Kierzno ~ 4 km
Mapa Świba ~ 4 km
Mapa Mechnice ~ 5 km
Mapa Ostrówiec ~ 5 km
Mapa Cieszęcin ~ 5 km
Mapa Kowalówka ~ 5 km
Mapa Wieruszów ~ 5 km

Mapa Osiny ~ 11 km
Mapa Piaski ~ 11 km
Mapa Trzebień ~ 11 km
Mapa Słupia pod Kępnem ~ 12 km
Mapa Przytocznica ~ 12 km
Mapa Mieleszówka ~ 12 km
Mapa Stara Kuźnica ~ 12 km
Mapa Kaski ~ 12 km
Mapa Spóle ~ 12 km
Mapa Załozie ~ 12 km
Mapa Opatów ~ 12 km
Mapa Kochłowy ~ 12 km
Mapa Turze ~ 12 km
Mapa Kopaniny ~ 12 km

| D | E | F | G | H | I | J | | L | M | N | O | P | R | S | T | U | W | Z

Polecamy: Noclegi Teklinów Noclegi Domy Wczasowe Noclegi w Polsce Agroturystyka. mapy | Województwa, Powiaty, Gminy

Copyright © 200

Genealogia rodziny Malinowskich

Pogrubione nazwiska członków rodziny gwarantują przedłużenie linii genealogicznej co do nazwiska Malinowski

Jan Malinowski

ur. ok. . 1865 zm. 1915

Ludwika Frankowska

ur. ok. 1874 zm. II1919

rodzice Ludwiki Rozalia i Karol Frankowski — brak danych

dzieci:

Adam Malinowski

2. 12. 1895-zm 1969

Jadwiga Świtoń

23. 09. 1895-zm. 1976

Maria 22. 03. 1920-

7. 01. 1992

Teodor Baraniak

31. 10. 1913-23. 09. 1980

ślub 7. 04. 1945

Kazimiera 13. 12. 1945

Bogdan Kobzda

22. 01. 1943

Gabriela 11. 06. 1968

Zenon Warszawski

12. 03. 1966

Kamila 14. 06. 1991

Paulina 22. 07. 1994

Marcin 1. 12. 1975

Sylwia Dukała

18. 10. 1974

Adrianna 8. 01. 1997

Michał 22. 10. 2000

Krzysztof 11. 01. 1950

Gertruda Matysik

30. 12. 1953-

23. 08. 1992

Rafał 15. 03. 1976

Monika Kasprzak

8. 05. 1977

Jakub 20. 03. 2000

Julia 13. 09. 2001

Jan Maciej

24. 06. 1979-25. 06. 1979

Katarzyna

13. 02. 1982-6. 09. 1982

Czesław Malinowski

Elżbieta 4. 02. 1952

Justyna 15. 02. 1973

Weronika 4. 07. 1998

30. 07. 1921	Zdzisław Janczarski	Oskar Piotrowski		
Janina Werpechowska 22. 12. 1929-28. 12. 2000	26. 01. 1948	11. 08. 1969		
		Karolina 9. 11. 1978		
	Maria 25. 03. 1953	Magdalena 7. 05. 1972		
	Jerzy Ładosz 10. 10. 1945			
	Wiesława 14. 12. 1954 Krzysztof Wyszatycki 26. 05. 1947			
Kazimierz Malinowski	**Zenon**	Aleksandra 9. 04. 1974	Paweł 8. 06. 1976	Tomasz
26. 01. 1923-19. 02. 1979	9. 05. 1951-9. 11. 1976	Zbigniew Marczak 24. 12. 1973	Izabela Pietrzak 9. 03. 1978	16. 12. 1998
Marianna Hoja 1. 09. 1925-5. 08. 1991	Genowefa Kowalczyk 5. 12. 1952			
				Bartosz 18. 02. 1999
	Roman 11. 01. 1960			
Zofia 23. 03. 1926	Maria 27. 10. 1946 12. 02. 2003	Jacek 1. 03. 1967	Michał 30. 08. 1992	
27. 02. 2002	Janusz Łyczyński 29. 07. 1947	Renata Mieszała 31. 03. 1969	Filip 22. 05. 2004	
Michał Owczarek 27. 09. 1911-14. 5. 1975			Dawid 28. 07. 1994	
		Waldemar 29. 07. 1979-27. 10. 2001		

	Tomasz 17. 05. 1969	Patryk 18. 06. 1991
	Beata Łamacz 26. 02. 1970	
		Tobiasz 22. 05. 1998
	Sławomir 6. 12. 1971	Klaudia 5. 10. 1995
	Zuzanna Jakubowska 4. 05. 1971	Emil 24. 01. 1997
Stanisław 18. 10. 1947 11. 11. 1994	Aldona 29. 07. 1977	Angelina 1. 4. 1999
Maria Kasprzak 24. 08. 1953		Miłosz 21. 09. 2001
	Arkadiusz 11. 05. 1979	Katarzyna
	Emilia Jerczyńska 21. III. 1978	2. 08. 2002
	Ilona 28. 04. 1980	Mateusz
	Klaudiusz Jaszczyński 6. 10. 1973	17. 12. 1999
		Patryk 18. 10. 2002
Kazimierz 1. 03. 1950 10. 11. 2001	Izabela 23. 07. 1979	Mikołaj 11. 07. 2002
Danuta Cieśla 27. 12. 1954	Paweł Tomczak 9. 11. 1977	

Michał 20. 08. 1984

Teresa 1928-1966
Bronisław Zagrobelny

Dorota 11. 06. 1964
Edward Zel
12. 04. 1957

Ewelina 26. 02. 1982

Artur 19. 05. 1983

Danuta 11. 06. 1964
Józef Papierkowski
19. 08. 1959

Piotr 8. 02. 1984

Jarosław 17. 09. 1985

Paulina 31. 07. 1991

Joanna 6. 05. 1937
Wiktor Koryciak
20. 03. 1932

Leszek 22. 03. 1957
Krystyna Ruszkiewicz
22. 05. 1955-
19. 05. 2004

Tomasz 6. 09. 1981

Jacek 15. 04. 1986

Jarosław 3. 11. 1965
Grażyna Jankiewicz
20. 04. 1969

Ilona 6. 01. 1991

Kinga 6. 06. 1997

Maria Malinowska
brak danych

Franciszka Malinowska
1897-1917

Antoni Malinowski

Krzysztof

Aleksandra 6. 11. 1959

Jakub 27. 11. 1981

6. 11. 1899-7. 12. 1959

Maria Strelcow

4. 12. 1905- 8. 07. 1991

1929-1992

Aleksandra 4. 09. 1938

Andrzej Kwaśniewski 9. 06. 1957

Joanna Leontyna 24. 12. 1924-28. 11. 1996 Czesław Zapart 10. 04. 1922-9. 02. 1952

Danuta 23. 06. 1949 Edward Szczepankiewicz 8. 10. 1946

Wojciech 13. 03. 1974 Agnieszka Kolupajło 24. 03. 1972

Marta 26. 06. 1998

Bartosz 1. 02. 2002

Jerzy Antoni 23. 03. 1952 Bożena Renata Gorczyca 13. 11. 1953

Marek Antoni 8. 10. 1977

Marta Irena 16. 09. 1979

Idzi Malinowski

1. 09. 1905-9. 10. 1984

StanisławaŚwitoń

11. 09. 1897-6. 08. 1973

Mieczysław

13. 08. 1931-28. 02. 1981 Maria Sendrowicz 6. 01. 1933

Irena 21. 12. 1955 Bolesław Miś 28. 07. 1948

Emilia 11. 04. 1980

Grażyna 18. 12. 1956 Janusz Gajda 24. 09. 1953

Grzegorz 2. 03. 1983

Jacek 14. 08. 1981

Mirosław 9. 11. 1958 Teresa Michalik 5. 02. 1958

Agnieszka19. 04. 1980

Magdalena 3. 08. 1987

Zbigniew 23.

Jakub 24.

12. 1959 08. 1997

Elżbieta Powązka 14. 07. 1966

Olga 16. 02. 2002

Elżbieta 23. 11. 1961 Sylwia 16. 10. 1982

Marek Waloszczyk 11. 04. 1960

Przemysław 9. 05. 1985

Małgorzata 23. 5. 1964 Łukasz 14. 12. 1984

Tadeusz Wieruszewski 16. 07. 1955

Anna 3. 03. 1989

Dawid 8. 08. 1990

Maciej 7. 06. 2002

Henryk 14. 12. 1932- Danuta 15. 01. 1958 Magda 1. 10. 1978

10. 02. 1982 Piotr Manikowski

Irena Cieślak 3. 05. 1953 Monika 10. 07. 1980

3. 09. 1936-4. 10. 2011

Ryszard 9. 10. 1963- Zuzanna 4. 03. 1994

21. 04. 1997

Renata

Renata 16. 01. 1965 Agnieszka 3. 02. 1987

Tadeusz Mędryk 6. 07. 1959

Daniel 26. 02. 1996

		Beata 26. 10. 1971 Mirosław Jabłoński 11. 04. 1976	Aleksandra 14. 09. 2004 Oliwia 11. 04 2006
	Edward 12. 05. 1938 3. 07. 1997 Halina Muskała 5. 04. 1947	Justyna 15. 10. 1972 Janusz Małys 1. 05. 1973	Monika 26. 09. 1994 Kamila 17. 10. 1997
		Dariusz 6. 06. 1968 Iwona \kasperczak 05. 1968	Roksana 9. 07. 1999
			Tobiasz 27. 10. 2000
Stanisław Malinowski 29. 10. 1907- 31. 07. 1985 Aniela Rycerska 24. 05. 1914-7. 08. 2001 ślub 18. 01. 1937	**Krzysztof** 17. 02. 1940 Renata Magiera 24. 11. 1941 ślub 1964 r.	Aleksandra Renata 20. 09. 1965 Klaus Jorg Tuchel ślub 8. 09. 2000 r.	Karolina 21. 02. 2003
	Zdzisław Sylwester 31. 12. 1947 Anna Zając	**Michał** 5. 08. 1973 Ewa 1976	
Franciszek Malinowski 11. 12. 1912- 4. 03. 1979 Władysława Szymendera 9. 06. 1911- 12. 10. 1981	**Narcyz** 29. 03. 1941 Marzena Doleżko 8. 02. 1947	**Wojciech** 9. 08. 1970 Patrycja Weznerowicz	Wiktor 4. 07. 2011
	Jerzy 29. 09. 1944 Czesława Śniadkowska 8. 09. 1946	**Tomasz** 17. 04. 1971 Monika Wiśniewski 1. 08. 1973	Zuzanna Julia 19. 05. 2000

			Oliwia Roksana 1. 06. 2003
		Ewa 23. 06. 1976	
	Tutaj jestem		
Helena	Konrad Stanisław	Iwona Małgorzata	Aleksandra Agnieszka
1. 03. 1910-18. 02. 1988	31. 03. 1943	10. 06. 1965	19. 01. 1993
Stanisław Kempa	Krystyna Feiga	Zbigniew Jerzy Krupa	Paweł Piotr 14. 04. 2005
6. 10. 1914-13. 06. 1962	6. 12. 1943	19. 12. 1964	
		Tomasz Konrad 2. 10. 1968	Mikołaj Tomasz 27. 06. 1999
		Katarzyna Jarosz 23. 11. 1969	Anna Maria 28. 04. 2001
	Danuta Krystyna 24. 04. 1944	Robert 11. 09. 1977	Maciej 23. 04. 2000
		Wiesława Więcek 9. 08. 1977	Jakub 26. 04. 2006
	Zbigniew Mamys 22. 07. 1944 19. 09. 2004		Julia 10. 10. 2007
		Damian 7. 12. 1978	
	Janusz 8. 11. 1950 Elżbieta Świergiel 4. 06. 1954	Paweł 7. 10. 1976	
		Jacek 14. 02. 1979 Karina Wasilewska 23. 07. 1983	
Józefa Frankowska	Augustyn	Adam 28. 03. 1965	Natalia 8. 12. 1986

21. 02. 1917-22. 5. 1983

Gerhard Aleksy Jany

zm. 1944

11. 07. 1941-25. 12. 1988

Krystyna

24. 08. 1944-31. 12. 2000

Irena Eryka

10. 02. 1940-2. 02. 1971

Kazimierz Iwański

Bożena Młot

11. 06. 1965

Ewa 23. 09. 1966

Wiesław Sapowski

31. 05. 1961

Marek 20. 11. 1968

Aneta Ochab

13. 09. 1973

Roman 9. 10. 1963-5. 05. 1964

Grzegorz 12. 08. 1963

Jolanta Opacka

9. 05. 1967

Magdalena 14. 2. 1990

Łukasz 31. 05. 1987

Daria 22. 12. 1992

Waldemar 19. 09. 1988

Artur 17. 05. 1989

Beata 10. 12. 1991

Katarzyna 23. 12. 1994

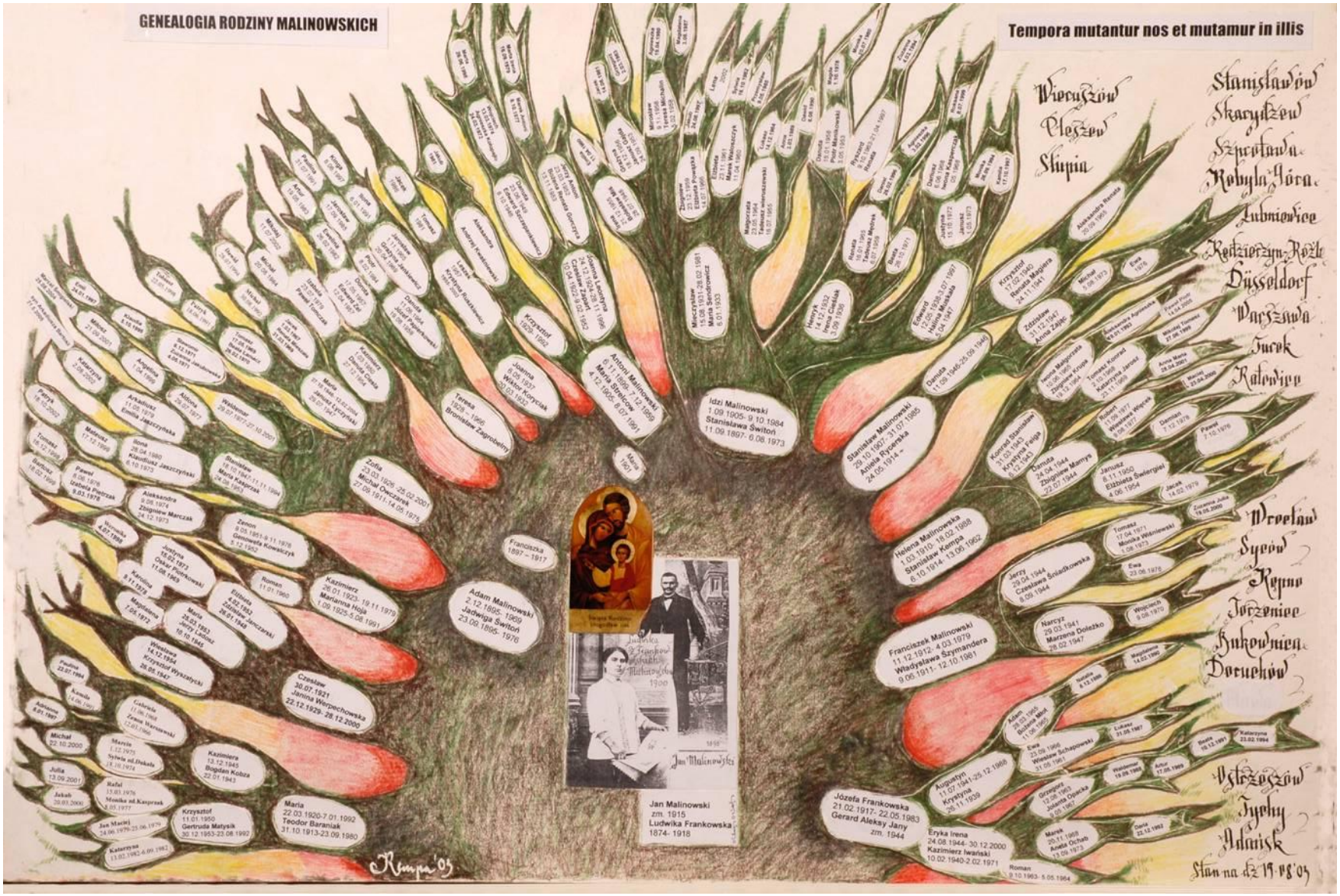
GENEALOGIA RODZINY MALINOWSKICH
Tempora mutantur nos et mutamur in illis
Wieruszów
Pleszew
Słupia
Stanisławów
Skarżysko
Szprotawa
Robyla Góra
Lubniewice
Kędzierzyn-Koźle
Düsseldorf
Warszawa
Turek
Katowice
Wrocław
Syców
Rypno
Jarocin
Rukowina
Dorohów
Pszczyna
Tychy
Gdańsk
Stan na dz 19-08-05
Idzi Malinowski
1.09.1905- 9.10.1984
Stanisława Świtoń
11.09.1897- 6.06.1973
Stanisław Malinowski
29.10.1907- 31.07.1985
Ariela Rycerska
24.05.1914 -
Adam Malinowski
2.12.1895- 1969
Jadwiga Świtoń
23.09.1895- 1976
Franciszka
1897 – 1917
Jan Malinowski
zm. 1915
Ludwika Frankowska
1874- 1918
Józefa Frankowska
21.02.1917- 22.05.1983
Gerard Aleksy Jany
zm. 1944
Franciszek Malinowski
11.12.1912- 4.03.1979
Władysława Szymandera
9.06.1911- 12.10.1981
Helena Malinowska
1.03.1910- 18.02.1988
Stanisław Kempa
6.10.1914- 15.06.1962
Zofia
23.03.1926- 25.02.2001
Michał Owczarek
27.09.1911-14.05.1979
Kazimierz
26.01.1923- 19.11.1979
Marianna Hoja
1.09.1925-5.08.1991
Czesława
30.07.1921
Janina Werpechowska
22.12.1929- 28.12.2000
Maria
22.03.1920-7.01.1992
Teodor Baraniak
31.10.1913-23.09.1980
Krzysztof
11.01.1950
Gertruda Matysik
30.12.1953-23.08.1992
Kazimiera
13.12.1945
Bogdan Kobza
22.01-1943
Augustyn
11.07.1941-25.12.1985
Krystyna
28.11.1939
Eryka Irena
24.08.1944- 30.12.2000
Kazimierz Iwański
10.02.1940-2.02.1971
Roman
9.10.1963- 5.05.1964

HISTORIA RODZINY KEMPÓW POCZĄWSZY OD ROKU 1874 R

Dziadkowie: Rozalia z Rospęków i jej mąż Franciszek Kempa ze swoimi pierworodnymi dziećmi: Marią i Janem /Westfalia Niemcy początek wieku/, obok mój ojciec Stanisław a niżej zbiorowe rodzinne: od lewej ; Mój ojciec Stanisław, jego matka Rozalia z Rospęków, bracia Franciszek, Edmund, Jan, siostra Maria, ojciec Franciszek senior rodziny i brat Ludwik.

HISTORIA RODZINY KEMPÓW POCZĄWSZY OD ROKU 1874 R

Genealogia rodziny Kempów

Franciszek Kempa 21.08.1874-14.08.1958 rodzice:Antoni Kempa i Maria Stach brak dat

Maria Kempa 1904-1997

Jan Kempa 25.07.1905-1998

Rozalia Rospenk 7.03.1879-27.10.1956 rodzice:Antoni Rospęk i Marianna Obsadna ur. 1835

Pelagia Kulczak 10.02.1914-1989 ślub 24.09.1949

Maria Jolanta 24.03.1951
Zenon Turkowski 6.04.1946
ślub 10.08.1974
Elżbieta Alicja Guastalla 18.04.1954
Roberto Guastalla 7.02.1950

Michał 15.06.1979
Katarzyna Bąk 23.02.1984

Karol 25.10.1982

Andrzej 21.02.1953 1.05.1953

Ludwik Kempa 22.08.1911 28.09.1986

I żona Anna Gorgolewska 1909-luty 1944

Zofia 24.11.1935
Czesław Bernat 25.08.1930
Hans Dietrich Bolt 28.06.1938

Ryszard 29.03.1955
Irena Dziewiątkowska 1.06.1955

Marcin 1.03.1980
Elżbieta Katarzyna 19.4.1981

Zbigniew 14.8.1959
Anna Szewek 2.05.1961

Karolina 3.05.1986
Łukasz 13.04.1988

Tadeusz Gorgolewski 09.1931

Maria 6.12.1938
Włodzimierz Młodzikowski 1940- 1972
Jan Glaza 25.10.1932-31.10.1983

Anna 31.08.1968
Marko Kumerfeldt 26.05.1963

Anika 2.06.1995

II żona Pelagia Moch 25.06.1911-7.04.1996

Wiesława 8.03.1950
Szczepan Stachowiak 14.12.1947

Maciej 21.09.1974
Monika Gierczyńska 31.01.1977

Katarzyna Gabryś 11.12.1977
Marek 17.10.1977

Kacper 3.05.2007

1

	Stanisława 17.04.1948		
Franciszek Kempa 25.01.1907-28.05.1942 Genowefa Ignor 7.12.1912 11.04.2003	**Kazimierz 10.11.1934** Teresa Sztachelska 7.04.1939-1.12.1999	**Krzysztof 17.07.1968** Beata Olek 23.11.1969	**Konrad 14.08.1993** Igor 5.01.2009
	Zygmunt 15.01.1937-3.08.1939		
	Jerzy 20.03.1941 Irena Krzywicka 27.02.1941	**Mirosław 3.07.1966** Ewa Krzywicka 13.01.1968	**Rafał 27.02.1989** Ewelina 30.04.1992
Stanisław Kempa 6.10.1914-13.06.1962 Helena Malinowska 1.03.1910-18.02.1988	**Konrad Stanisław** 31.03.1943 Krystyna Feiga 6.12.1943	Iwona Małgorzata 10.06.1965 Zbigniew Krupa 19.12.1964	Aleksandra Agnieszka 19.01.1993 Paweł Piotr14.04.2005
		Tomasz Konrad 2.10.1968 Katarzyna Jarosz 23.11.1969	**Mikołaj Tomasz** 27.06.1999 Anna Maria 28.04.2001
	Danuta 24.04.1944 Zbigniew Mamys 22.07.1944-19.09.2004	Robert 11.09.1977 Wiesława Więcek 9.08.1977	Maciej 23.04.2000 Jakub 26.04.2006 Julia 10.10.2007
		Damian 7.12.1978	
	Janusz 8.11.1950 Elżbieta Świergiel 4.06.1954	**Paweł 7.10.1976**	
		Jacek 14.02.1979 Karina Wasilewska 23.07.1983	
Edmund Kempa 12.10.1919-12.06.1984 Janina Zacharzewska 27.12.1924-15.11.2005	Barbara 27.12.1946 30.05.2003 Jerzy Mielcarek 6.01.1946	Rafał 27.07.1968 Iwona Wikło 29.1.1971	Magda 29.1.1996 Michał 25.09.1997
		Monika 10.01.1983	
	Krystyna 14.11.1947	Konrad 9.02.1970	Wiktor 3.05.1997

	Zdzisława Nowak 27.07.1970	Bartosz 29.10.2007
Aleksandra 10.01.1950 Jerzy Płóciennik 4.04.1950	Krzysztof 13.12.1976	
	Marek 15.02.1985	
Gabriela 22.01.1957	Łukasz 6.02.1995	

Pogrubione nazwiska członków rodziny przedłużają rodowe nazwisko Kempów

Mój dom rodzinny

Skąd nasz ród? Nasza mała ojczyzna Ostrzeszów

Lata mijają ,my się zmieniamy i starzejemy. „Tempora mutantur ,nos et mutamur in illis" Czasy się zmieniają, a my razem z nimi ,jak mawiali dawniej Rzymianie. I to jest prawda niestety. Czas na wspomnienia. Oby nie było za późno. Spieszę się więc, by zdążyć jeszcze z nimi, by je można przekazać i podzielić się z młodszą generacją rodziny Kempów .Niech dzieci wiedzą „skąd nasz ród" i z jakiej rodziny pochodzą.
Nie ma na codzień możliwości spotykania się ,nawet przy okazji wesel czy pogrzebów nie zawsze zbiera się w komplecie cała rodzina. Zalatany każdy i zabiegany wokół swoich spraw codziennych ,bo życie nas nie rozpieszcza i wiadomo w jakiej rzeczywistości żyjemy. Nie dane nam jest rozkoszować się w dobrobycie i w dostatku opływać ,więc nie dziwi mnie , że dla siebie nie mamy czasu. Jako kronikarz rodzinny i Wasz pośrednik staram się jak tylko czas pozwala odwiedzać Wasze domy, by dowiedzieć się co u Was słychać i co się u Was zmieniło.
„Spieszmy się poznać ludzi ,bo tak szybko odchodzą"
Trawestacja powiedzenia ks. Twardowskiego w odniesieniu do sytuacji naszej poszerzonej rodzinki.

Mój dom rodzinny

Chronologia zdarzeń z mojego życia począwszy od pobytu moich rodziców w Warszawie aż do dnia dzisiejszego tj. do roku 2010

1937 przyjazd moich rodziców do Warszawy
1. 09. 1939 wybuch II wojny światowej
7. 06. 1942 ślub moich rodziców Stanisława i Heleny zd. Malinowska
31. 03. 1943 moje narodziny Warszawa Czerniaków Szpital
1943 chrzest w kościele pw. Św. Jakuba na Ochocie w Warszawie
24. 04. 1944 narodziny mojej siostry Danuty Warszawa Czerniaków
1944 wybuch Powstania Warszawskiego
1944 1945 pobyt w obozie przejściowym w Pruszkowie
1945 powrót w rodzinne strony do Ostrzeszowa
28. 02. 1945 przyjazd do Ostrzeszowa i zamieszkanie przy ul. Ogrodowej 14 m 1 później ul. Daszyńskiego
1945 zakończenie wojny i okupacji
lato 1945 Chrzest mojej siostry Danuty w Wyszanowie k. Ostrzeszowa
1946 pobyt u wujostwa Franciszka Malinowskiego na leśniczówce w Zawidowicach i Lesznie Dolnym koło Szprotawy
IX 1947 -VI 1950 pobyt wraz z Krystyną w Ochronce SS. Nazaretanek w Ostrzeszowie
31. 10. 1949 nagła śmierć teściowej Marii z Doboszów Feigowej w Ostrzeszowie
1. 09. 1950 rozpoczęcie nauki w Szkole Podstawowej Nr 2 w Ostrzeszowie / wspólnie z Krystyną/ ul. Zamkowa I klasa a potem ul. Piastowska
8. 11. 1950 narodziny mojego brata Janusza Mariana w Ostrzeszowie
1951 chrzest brata w ostrzeszowskiej farze
1949 – 1957 służba ministrancka w ostrzeszowskiej farze

maj 1953 I Komunia Święta wspólnie z Krystyną Ostrzeszów fara bp. Jedwabski
1953 Ostrzeszów wstąpienie do ZHP i pełnienie w tym związku funkcji drużynowego
VI 1957 ukończenie nauki w Szkole Podstawowej Nr. 2 w Ostrzeszowie
IX 1957 rozpoczęcie nauki w Niższym Seminarium Duchownym OO Franciszkanów w Rybniku
1957 śmierć babci Rozalii Kempa zd. Rospęk
1958 śmierć dziadka Franciszka Kempa w Ostrzeszowie
1 IX 1957 początek nauki Krystyny w Liceum Ogólnokształcącym w Ostrzeszowie
I. IX 1958 początek nauki Krystyny w Technikum Fototechnicznym w Katowicach
VI 1961 ukończenie nauki w Niższym Seminarium Duchownym w Rybniku i uzyskanie świadectwa dojrzałości prywatnego
24. 07. 1961 podjęcie pracy w Urzędzie Pocztowo Telekomunikacyjnym w Ostrzeszowie
VI 1962 ukończenie przez Krystynę nauki w Technikum Fototechnicznym w Katowicach i uzyskanie dyplomu technika fotografa i podjęcie pracy w zakładzie fotograficznym swego ojca w Ostrzeszowie
13. 06. 1962 śmierć mojego ojca Stanisława w Szpitalu w Kluczborku
1962 uzyskanie przez Krystynę prawa jazdy
16 VI 1962 uzyskanie świadectwa dojrzałości państwowego w Liceum w Poznaniu jako ekstern poprzez Kuratorium
1. 08. 1962 podjęcie pracy w Przychodni Obwodowej w Ostrzeszowie jako inspektor orzecznictwa administracyjnego i statystyki medycznej
15 VII 1963 podjęcie pracy w Ostrzeszowskim Przedsiębiorstwie Przemysłu Terenowego późniejszym FUMie jako asystent Gł. Mechanika a potem technika normowania pracy w Dziale Gł. Technologa
1963 -1964 nauka w Państwowej Szkole Ekonomicznej we Wrocławiu ul. Worcella i uzyskanie dyplomu technika ekonomisty /ekonomika przedsiębiorstw przemysłowych/
31. 12. 1964 Ostrzeszów fara ślub mój z Krystyną z Feigów Ślub cywilny w tym samym dniu w Urzędzie Stanu Cywilnego ślubu udzielał p. Witwicki a w kościele ks. Antoni Chełka w asyście ks. Zenona Jonaczyka kolegi
maj 1965 wyjazd nasz na Śląsk do Chorzowa Batorego aby rozpocząć nowe wspólne życie rodzinne wraz z Krystyną
VI 1965 podjęcie pracy w charakterze technika normowania pracy w Zakładzie Przerobu Złomu Metali Nieżelaznych w Rudzie Śl. 10
10. 06. 1965 narodziny naszej córki Iwony Małgorzaty w Szpitalu w Chorzowie ul. Strzelców Bytomskich i podjęcie pracy przez żonę w Instytucie Spawalnictwa w Gliwicach w charakterze fotografa
4 XI 1966 podjęcie przeze mnie pracy w pionie inwestycji Elektrowni Blachownia
maj 1966 otrzymanie mieszkania w Sławięcicach w Pawilonach Leśnych
maj 1967 zamieszkanie w Kędzierzynie Koźlu przy ul. W. Polskiego 52D/10 i podjęcie przez żonę pracy w Zakładach Azotowych w Biurze Projektowo Konstrukcyjnym w charakterze kierownika Pracowni Wykończeniowej Reprografii i Reprodukcji

2. 10. 1968 narodziny naszego syna Tomasza Konrada w Szpitalu w Kędzierzynie-Koźlu
maj 1969 zamieszkanie przy ul. 9 mają 1/25 II piętro z balkonem Kędzierzyn-Koźle
IX 1969 podjęcie nauki na Wydziale Mechaniczno Energetycznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach Punkt Konsultacyjny w Kędzierzynie Koźlu
1970- 1972 praca w Metalchemie w Blachownia w charakterze technologa
1972 powrót do pracy w służbie inwestycji w Elektrowni Blachownia
IX 1972 córka Iwona rozpoczyna naukę w Szkole Podstawowej nr 9 w Kędzierzynie Koźlu
maj 1974 I Komunia Św. naszej córki Iwony
IX 1974 ukończenie studiów na Wydziale Mechaniczno Energetycznym i uzyskanie dyplomu inżyniera mechanika energetyka ze specjalnością maszyny i urządzenia energetyczne
1975 ukończenie kursu sędziego pływania i uzyskanie licencji w kl. II
1975 zdobycie prawa jazdy samochodem
IX 1976 rozpoczęcie nauki przez syna Tomasza w Szkole Podstawowej Nr. 9
IX 1975 podjęcie pracy jako wykładowca przedmiotów zawodowych w Technikum Energetycznym przy Elektrowni Blachownia
12. 03. 1976 Śmierć teścia Franciszka Feige w Ostrzeszowie
od 1976 do chwili obecnej moja działalność w pierw w Automobilklubie Opolskim a następnie w Kędzierzyńsko Kozielskim w zarządzie a przez kilka lat jako wice prezes AKK. Począwszy od tego roku współorganizator 53 Samochodowych Nawigacyjnych Rajdów Energetyków
od roku 1974 moja działalność w ruchu pływackim miasta wpierw jako członek Zarządu Sekcji Pływackiej MZKS Chemik a potem jako wiceprezes tej Sekcji
28. 03 1976 uzyskanie licencji sędziego pływania II klasy po ukończonym kursie i egzaminie
27. 02. 1977 uzyskanie przez żonę licencji II klasy sędziego pływania
maj 1978 I Komunia Św. Syna Tomasza w Kędzierzynie Koźlu
7. 10. 1979 uzyskanie licencji sędziego pływania kl. I przez nas obu
24. 06. 1980 uzyskanie dyplomu ukończenia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego Podyplomowego Studium w zakresie Prawa Inwest.
1. 03. 1980 moja matka Helena z Malinowskich kończy 70 lat
1. 08. 1980 początek ruchu SZZ Solidarność przy El. Blachownia i moja działalność w tym związku w zarządzie Komisji Zakładowej
od roku 1980 posiadam działkę ogrodniczą nr 89w POD Energetyk i od razu jestem powołany do Zarządu Związku i prze wiele lat jestem bądź sekretarzem, bądź wiceprezesem
VI 1980 córka kończy naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Kędzierzynie Koźlu i od IX tego roku rozpoczyna naukę w Policealnym Studium Pedagogicznym w Raciborzu
1985 córka Iwona kończy naukę w tym Studium i podejmuje naukę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu na kierunku Nauczanie Początkowe i rozpoczyna pracę jako nauczycielka w Starej Kuźni Oddział w Ortowicach
1986 syn Tomasz kończy naukę w Szkole Podstawowej nr 9 i rozpoczyna naukę wpierw w Technikum Energetycznym przy El. Blachownia a następnie w Liceum Obróbki Skrawaniem w Sławięcicach

1987 początek budowy kościoła na Piastach w Kędzierzynie Koźlu i początek mojej działalności przy tej parafii:
jako członek Rady Parafialnej, członek chóru, przełożony wspólnoty franciszkańskiej, jako lektor, kantor oraz nadzwyczajny szafarz Komunii Świętej /od roku 1995/
13. 02. 1988 śmierć mojej matki Heleny z Malinowskich w Ostrzeszowie
1988 - 1991 córka Iwona kontynuuje naukę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu i uzyskuje dyplom mgr pedagogiki w zakresie nauczania początkowego
1. 10. 1988 ślub naszej córki Iwony ze Zbigniewem Jerzym Krupa Kłodzko Szalejów Dolny zamek
1992 po egzaminie i ukończeniu kursu uzyskanie przez nas obu licencji klasy związkowej sędziów pływania
30. 04. 1993 ślub naszego syna Tomasza z Katarzyną Jarosz
19. 011993 narodziny naszej wnuczki Aleksandry Agnieszki Krupa
1996 - 2000 wnuczka Aleksandra uczęszcza do Przedszkola nr 9 w Kędzierzynie-Koźlu
2000 rozpoczęcie nauki w Szkole Podstawowej nr 9
1998 zięć Zbigniew Krupa podejmuje naukę na Politechnice Opolskiej na Wydziale Budownictwa
IX 1997 córka Iwona podejmuje pracę w Szkole Podstawowej nr 9 w Kędzierzynie Koźlu klasy I do III
1. 07 1999 żona moja Krystyna kończy swoją pracę i przechodzi na emeryturę
27. 06. 1999 narodziny naszego wnuka Mikołaja Tomasza w Szpitalu w Kędzierzynie Koźlu
28. 04. 2000 narodziny naszej wnuczki Anny Marii w Szpitalu w Kędzierzynie K Koźlu
28. 04. 02 I Komunia Św. Naszej wnuczki Aleksandry w Kędzierzynie Koźlu
1. 12. 03 przejście na emeryturę po 42 latach pracy i 36 w Elektrowni Bl.
19-21. 03. 2004 udział w spotkaniach małżeńskich w Kamieniu Śl
4. 09. 2004 spotkanie inżynierów po 30 latach rocznika 1974 w hotelu Court
2004 XI edycja konkursu lingwistycznego Wschód Zachód. Ola zajęła II miejsce ze znajomości języka francuskiego
10. 09- 30. 09. 2004 pobyt w Sanatorium w Szczawnie Zdroju
19. 09. 2004 nagła śmierć naszego szwagra Zbigniewa Mamysa w Ostrzeszowie
14. 04. 2005 narodziny naszego ostatniego wnuka Pawła Piotra Krupy w Szpitalu w Kędzierzynie Koźlu
18-20. 03. 2005 udział w pogłębionych spotkaniach małżeńskich w Kamieniu Śl
26. 06. 2005 chrzest Pawła Piotra w kościele pw. Ducha Św. Na Piastach
7-. 21. 08. 2005 wczasy w Grzybowie IV wakacyjne spotkania z Bogiem
2005 XII edycja konkursu lingwistycznego. Ola znów wśród najlepszych z języka francuskiego
2005 Kasia i Zbyszek kończą edukację na uczelniach wyższych
21. 02. 2006 nagły zawał serca, koronarografia i pobyt w Szpitalu w Opolu
21. 02. -14. 03. 2006 pobyt w Ośrodku Kardiologicznym w Głuchołazach na rehabilitacji pozawałowej
VI 2006 Ola kończy Szkołę Podstawową i przechodzi do Gimnazjum a Mikołaj kończy pobyt w zerówce w Przedszkolu nr 5 i od września idzie do Szkoły Podstawowej nr 9 do klasy sportowej pływackiej
VIII 2006 V Wakacyjne spotkania z Bogiem w Grzybowie

25. 01- 14. 02. 2008 Pobyt a Sanatorium w Kudowie Zdroju w Sanatorium Bristol
VI 2008 Ania kończy zerówkę i od IX idzie do Szkoły Podstawowej nr 9 do klasy sportowej
VIII 2008 VI Wakacyjne spotkania z Bogiem w Grzybowie
26. 04. 2008 I Komunia Św. Mikołaja w kościele na Piastach
27. 04. 2009 Bierzmowanie Oli w kościele pw. Św. Mikołaja ks. bp. Paweł Stobrawa
22. 06-28. 06 2009 pobyt w hotelu Polonia w Polanicy Zdroju
maj 2009 przejęcie działki nr 75 przez Zbyszka i Iwonkę w ROD Energetyk
2009 Ola kończy kurs ratowników wodnych, sędziów pływania oraz sternika jachtowego i motorowodnego
VIII 2009 VII Wakacyjne Spotkania z Bogiem w Grzybowie
11. 12. 09- 31. 12. 09 Pobyt w Sanatorium dla Rolników w Nałęczowie 31. 12. 09 Ola uczestniczy w XXXI Europejskich Spotkaniach Młodych w Poznaniu
14. 02. 2010 53 Nawigacyjny Samochodowy Rajd Energetyków Karnawał 10
19. 02-21. 02 10 Rekolekcje dla Nadzwyczajnych Szafarzy Komunii Św w Kamieniu Śl.
1 marca 2010 moja mama Helena miałaby 100 lat a Chopin 200 lat

1. Wspomnienia rodziców z pobytu w przedwojennej Warszawie. Wojna.
Dzielenie się niedolą z rodziną Państwa Dygatów w Warszawie.

Matka moja Helena zd. Malinowska wyjechała do Warszawy jeszcze przed wojną w 1938 roku do koleżanki, a raczej do znajomych Państwa Różyńskich, którzy załatwili jej pracę w sklepie warzywno- owocowym.

Moja matka Helena zd. Malinowska z Torzeńca zdjęcie wycięte ze ślubnego z roku 1942

Helena z
Malinowskich
Rompa
Stanisław
Rompa
42

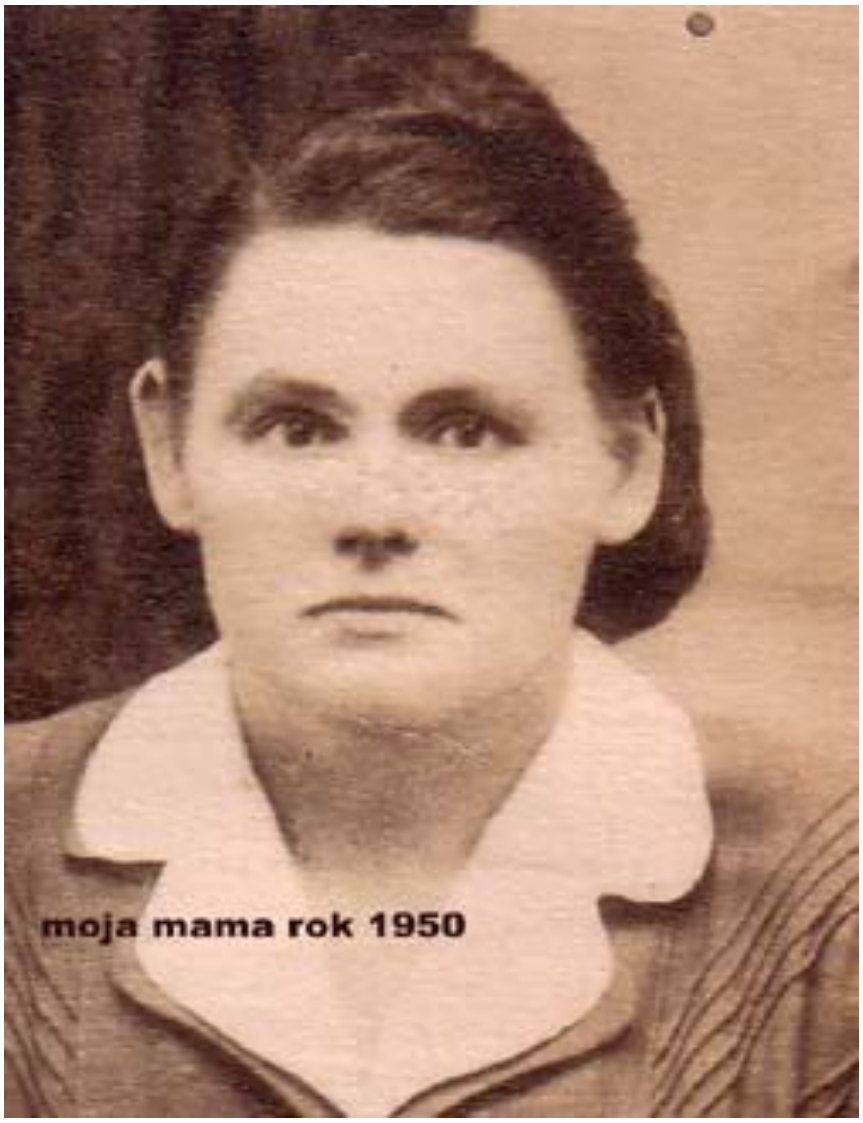
moja mama rok 1950

Będąc już wtedy sierotą musiała sama decydować o swoim losie i podejmować ważne życiowe decyzje, bo „nie miała wtedy nic do stracenia „Kiedy miała 5 lat straciła ojca Jana, natomiast mając 8 lat swoją matkę, tę jedyną osobę do której mogła się czule przytulić i zwierzyć ze swoich trosk i kłopotów. Umarła więc mając 44 lata i osierociła 8 dzieci z grona którego dwie córki zmarły mając jedna 20 lat a druga 2 lata. Była więc samotna, niezależna, wolna i mogła podejmować sama decyzje, więc zgodziła się na tę propozycję wyjazdu do wielkiego miasta. Jeszcze przed wyjazdem z Ostrzeszowa, zapoznała przyszłego swego męża Stanisława, który też planował wyjechać z tej prowincji do swojego brata Jana.

Ilustracja 1: Ojciec wraz ze swym bratem Janem w Warszawie tuż przed wybuchem wojny

Oboje lecz nie umówieni, wyjechali do wymarzonej Warszawy. Ojciec Stanisław znalazł pracę i zadomowił się chwilowo u swego brata Jana, który jeszcze wcześniej powędrował do Warszawy z zamiarem podjęcia nauki w Seminarium Duchownym OO. Salezjanów. Wyjechał do wielkiej Warszawy, namówiony przez cygankę, która wróżąc mu z ręki i kart, że gdy wyjedzie do tego miasta i zmieni otoczenie, będzie bogaty i sławny. Tak tez postanowił idąc za głosem wróżby, lecz nie stał się ani bogatym, ani sławnym, ale przeżył w zdrowiu 94 lata i umarł w Warszawie.

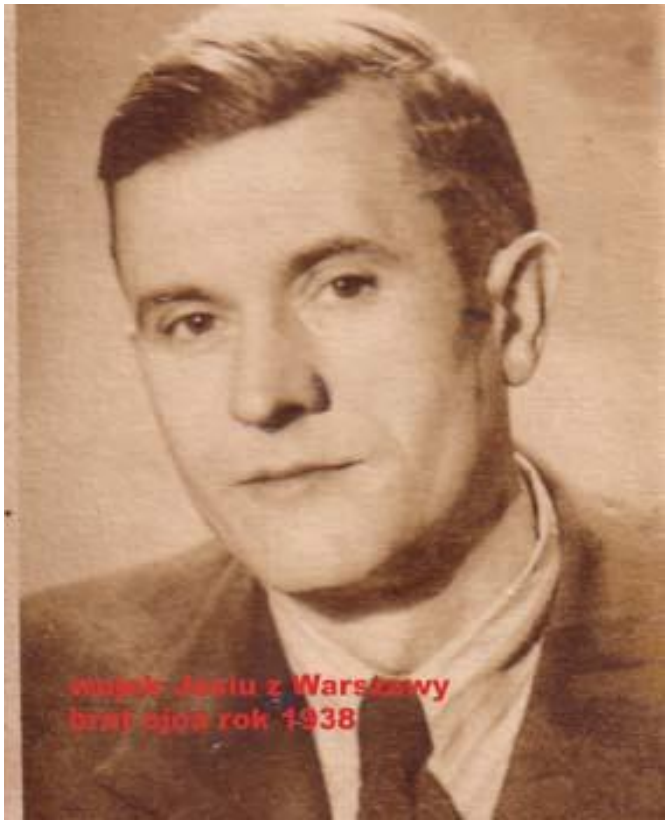

Po latach studiów zrezygnował ze stanu duchownego i podjął pracę zarobkową, a wojna zaś wszystko przerwała i zaczęło się inne życie, życie o przetrwanie w czasach wojny i okupacji hitlerowskiej.

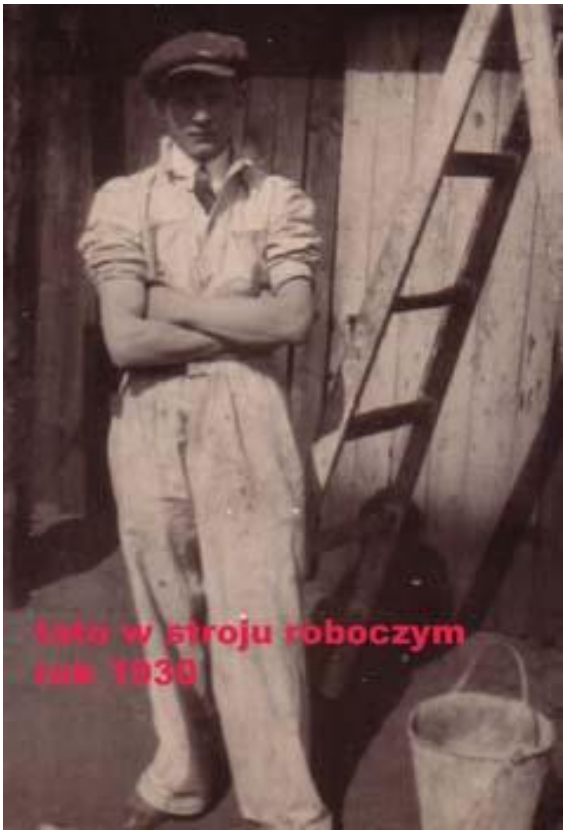
tato w stroju roboczym
rok 1930

rok 1939 Warszawa ojciec ze
swoim bratem Jasiem

rok 1939 Warszawa ojciec ze
swoim bratem Jasiem

rok 1933
Ostrzeszów
ojciec ze swoim
kolegą Zygmuntem
z Piastowskiej

Ojciec z zawodu malarz pokojowy, kiedy przybył do Warszawy, podjął pracę w Zakładzie Pana Płachcińskiego. W czasie wojny pracy nie było. Pracowało się, gdzie popadło, aby mieć alibi wobec okupanta, na wypadek łapanki czy aresztowania. Pracował jeszcze w firmie Pstrusiński i w firmie Hartman. Dla moich rodziców wielkim szczęściem było, że w tak trudnych czasach, zdobyli mieszkanie przy ulicy Glogera jako bezpośredni sąsiedzi Państwa Dygatów i spokrewnionych z tą rodziną Państwa Zamojskich. Szczęśliwie, ponieważ były to czasy trudne i o mieszkanie trzeba było mozolnie zabiegać, ale przede wszystkim byli sąsiadami tych znanych i powszechnie szanowanych rodzin wielkiej przedwojennej Warszawy.

Pani Dygatowa Jadwiga z domu Kurowska dobroduszna o otwartym sercu i szczera, wykorzystując swoje znajomości i koneksje załatwiła mojej Matce (tak na niby) pracę w Zakładzie Dentystycznym u swojej koleżanki. Trzeba było mieć tzw. „kennkartę" i ubezpieczenie i wtedy osoba taka miała względne bezpieczeństwo i spokój. Kobieta ta wystawiała bezinteresownie na próbę swoją wolność i ponosiła wielkie ryzyko, lecz kto w tym czasie nie ryzykował ?Jeszcze przed wojną u Państwa Zamojskich matka moja wychowywała ich córeczkę Ewę i sprawdziła się jako dobra i uczciwa kobieta, na której można polegać i darzyć zaufaniem. Państwo Dygatów często odwiedzali Hulewiczowie, podobno bliscy krewni, chyba ze strony Pani Dygatowej. Bardzo poczciwi i mili ludzie, zresztą jak wszyscy z wymienionych tutaj przez moją matkę rodzin warszawskich.

Państwo Zamojscy jak wspominała matka też byli nie tylko znaną rodziną warszawską, lecz szanowana i ze wszech miar dobrą rodziną. On artysta malarz a ona córka Karpińskiego Dyrektora przedwojennego Banku Polskiego. Pan Karpiński często chwalił się że cała Polska go zna, ponieważ jego podpis widniał na polskich przedwojennych banknotach.
W roku 1935 Ojciec mój Stanisław został powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej w przedwojennej Polsce

Ilustracja 2: mój ojciec Stanisław w roku 1939 tuż przed pójściem do wojska

Wpierw na unitarkę do Kalisza a potem służył w łączności na kresach wschodnich w Korpusie Ochrony Pogranicza w Kownie jako łącznik telefonista.
W czasie służby wojskowej wielokrotnie odwiedzał swoją rodzinę i swoją dziewczynę, późniejszą swoją żonę i moją matkę oraz brata Jana w Warszawie.
W wojsku służył razem z późniejszym swatem –ojcem Zbigniewa Mamy – męża mojej siostry Danuty.
Po odbyciu zasadniczej służby wojskowej niezbyt długo cieszył się swobodą i

wolnością, bo skoro tylko wybuchła II wojna światowa, został wcielony w ramach powszechnej mobilizacji do wojska polskiego na kresy wschodnie, gdzie była jego jednostka. Jeszcze nie zdążył rozejrzeć się po jednostce, a już wojsko polskie wchłonęła Armia Radziecka a może wojsko rosyjskie i z tą chwilą był w innej armii. W Równym natomiast wojska rosyjskie dostały się do niewoli i przez Radom, Lublin przetransportowano je wraz z moim ojcem do obozu jenieckiego do Neuenbrandenbourga (późniejsze NRD) do Stalagu 2A.
W latach 1939 –1942 ojciec mój przebywał w tym obozie i pracował w gospodarstwie rolnym u Niemca na Fimfraustrasse 44. Tutaj nazwa może być zmieniona, z uwagi na nieczytelny napis na zdjęciu z obozu, które to zdjęcie udało mu się zrobić i przesłać bratu Ludwikowi do rodzinnego Ostrzeszowa.

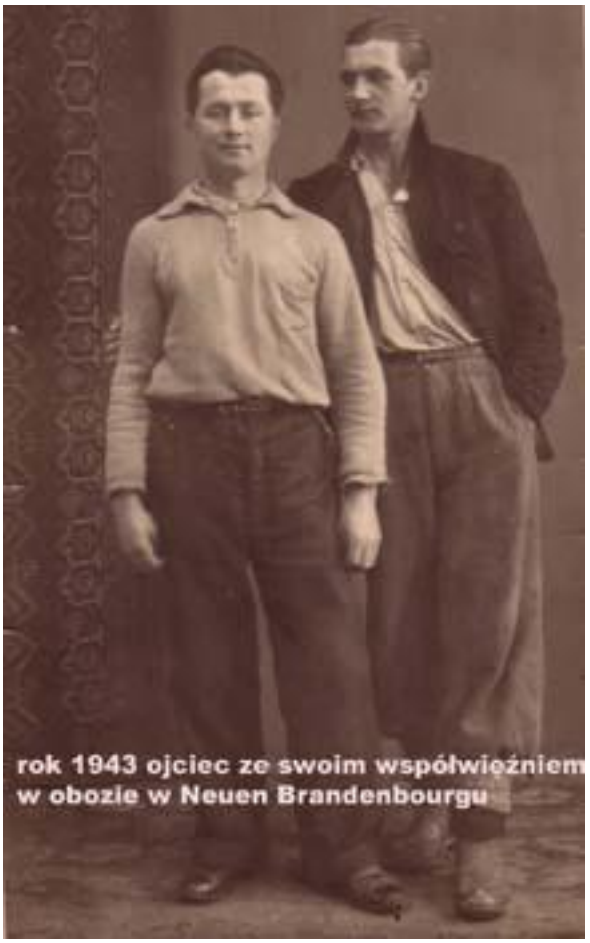

Zatrudniony był tam nie tylko przy pracach polowych, lecz także jako woźnica mleka do zlewni. Chęć ucieczki i powrót do rodziny i dziewczyny spędzała sen mu z powiek, więc skoro tylko nadarzyła się okazja, uciekł od tego Niemca, pozostawiając konia i wóz na łaskę losu i poprzez Blachownię pod wagonami i pieszo przedostał się do Warszawy. Zdążył jeszcze wysłać kartkę do swego brata Ludwika do Ostrzeszowa, że jest już prawie w Polsce bo uciekł z obozu jenieckiego z Niemiec. Ku wielkiemu zdziwieniu i zakłopotaniu domowników, zapukał w nocy po godzinie policyjnej do domu w którym mieszkała jego dziewczyna i przyszła żona, a ta zmartwiona nie mogła go wpuścić, ponieważ mogłaby się narazić pozostałym i być zdekonspirowaną. Udał się więc do mieszkającego niedaleko swego przyszłego szwagra i brata mojej matki Idziego którego losy również rzuciły do Warszawy, uciekając przed Niemcami z poznańskiego z rodzinnego Torzeńca.

W tym czasie nie wiadomo dlaczego większość rodziny Malinowskich jak i Kempów znalazła się w samej Warszawie w ognisku piekła. Szli więc jak owce do ognia dlaczego, przecież tam skąd przybyli było względnie spokojnie i nic im nie groziło. W Torzeńcu bowiem w pierwszych dniach wojny Niemcy wymordowali wszystkich mężczyzn i niektóre kobiety i na tym był koniec represji W Torzeńcu jak podają naoczni świadkowie i kroniki w pierwszych dniach września 39 roku Niemcy w odwecie wymordowali 34 mężczyzn z tej okolicy za wyjątkiem dwóch braci właśnie wspomnianego wujka Idziego i jego brata Adama, który się skutecznie „zaszył" w gęstwinie leśnej, a wujek Idzi był w Warszawie. W Warszawie byli też synowie wujka Adama Czesław i Kazik dlaczego nie wiadomo.
Tak więc widać, że w każdej chwili w tym piekle wojny życie było zagrożone a w Warszawie w szczególny sposób, o czym nieraz jeszcze wspomnę w dalszym opisie zdarzeń z okupowanej Warszawy.

stanisław Dygat z ojcem

Stanisław Dygat
z Kaliną Jędrusik
na portrecie

Po wybuchu wojny już na początku okupacji na tejże ulicy Glogera w bezpośrednim sąsiedztwie Instytutu Radowego Curie Skłodowskiej w domu Państwa Dygatów pracowała jako gospodyni od wielu już lat przyszła koleżanka mojej matki niejaka Pelagia Tomczak tak jak matka pochodząca z poznańskiego, lecz z Dolska koło Śremu. Matka z tą kobietą zapoznała się w windzie i jak wspominała od pierwszych chwil przypadły sobie do gustu. Za jej namową i poręczeniem matka przeniosła się do tego domu i też pomagała państwu Dygatom w wychowaniu ich córki Danuty siostry znanego i cenionego pisarza Stanisława. Stanisław zresztą był starszy od Danuty i nie wymagał już opieki. Urodził się w 1914 roku i był rówieśnikiem mojego ojca notabene też o imieniu Stanisław.

djęcie rodzinne Kempów
tują:ojciec ,ciocia Maria,
ujek Edmund,poniżej
d lewej:wujek Ludwik
abcia Rozalia,dziadek Franciszek
wujek Jasiu

rok 1939 Warszawa
Matka w środku z koleżankami
zdjęcie wykonane z ukrycia
w głębi żołnierze Wehrmachtu

Stanisław Dygat pisarz
zdjęcie powojenne

W ten sposób dość przypadkowy za pośrednictwem tejże dobrodusznej koleżanki z windy na kilka lat życie mej matki a później i ojca będzie związane z tym domem i rodziną państwa Dygatów i Zamojskich.
Mieszkanie państwa Dygatów na ul. Glogera było piękne i obszerne, jak przystało na tak znaną rodzinę warszawską. Pan Dygat senior, znany architekt

brat ojca Franciszek rok 1930

przedwojennej Warszawy, przez cały czas okupacji rysował i projektował – jak wspomina matka- nową Warszawę. Rysował w ukryciu i z namiętnością nową Warszawę i ubolewał niezmiernie ż to piękne miasto w tak okrutny sposób jest dewastowane i palone. Pani Dygatowa natomiast bardzo mądra i wykształcona kobieta pochodząca z rodziny Karpińskich w czasie okupacji tkała jakieś kilimy i materiały a za pośrednictwem mojej matki sprzedawała je znajomym, aby mieć jakiekolwiek środki do życia. Ponadto wspólnie z moją matką zarabiała na życie mieląc kaszę gryczaną odpowiedniej granulacji, przesiewając przez sito od grubej do najdrobniejszej postaci, a następnie paczkując sprzedawała te produkty znajomym i krewnym takim zaufanym rodzinom, aby móc utrzymać swoją rodzinę przy życiu.

Każda praca była dobra, byleby dawała szansę utrzymania i jakąkolwiek egzystencję w tym trudnym okresie okupacji.

Pewnego dnia kiedy tak pilnie pracowały w ukryciu ojciec mój, po kolejnej wizycie u Państwa Dygat i swojej przyszłej małżonki, wracając na nocleg na ul. Złotą do swego brata Franciszka, który też w tym czasie znalazł się w Warszawie z rodziną, a było to już niestety tuż przed godzina policyjną, kiedy wreszcie z trudem i strachem dobrnął do tego mieszkania zastał je opieczętowane i zamknięte przez Gestapo. Był zmuszony mimo godziny policyjnej czym prędzej wracać na nocleg do swojej siostry Marii na inna ulicę.

w Warszawie tato ze swoją siostrą Marią na kilka dni przed wybuchem II wojny światowej

Brata Franciszka /zdjęcie wyżej/ z ulicy Złotej jak się potem okazało zabrało brutalnie Gestapo z domu, a raczej z miejsca popełnienia „przestępstwa” tzn. z terenu Dworca Centralnego, gdzie próbował sprzedać jakieś używane ciuchy aby utrzymać rodzinę, która była w wielkiej biedzie w tym czasie, wpierw na Aleje Szucha a potem na Pawiak, żeby po kilku dniach aresztu i przesłuchań rozstrzelać jak zwierzę w pobliskim lasku.

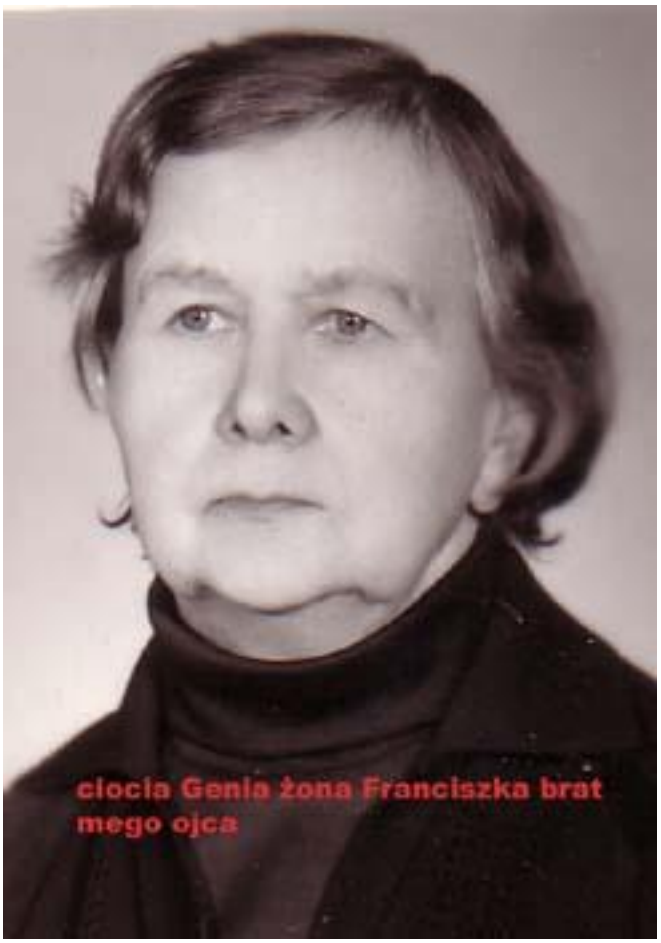

Z iście niemiecką pedanterią zawiadomiono rodzinę że Franciszek Kempa nie żyje, natomiast w paczce posłaniec zwrócił jego rzeczy. O tym wspomina książka „Pawiak był etapem „którą kiedyś przeglądałem Osierocił troje synów Zygmunta, Kazika i Jurka. Ten pierwszy zresztą mając 2 lata umarł z głodu i zimna.

Państwo Zamojscy, Dygatowie, Karpińscy czy Hulewiczowie były to rodziny o manierach arystokratycznych i wielkomiejskich. Dla mojej matki przybyłej z małego miasteczka z prowincji, wychowanej na wsi, życie i zachowania tych rodzin były co najmniej dziwne i niezrozumiałe. W mig jednak przyzwyczaiła się do tego otoczenia i było jej dobrze i bez problemów i scysji toczyło się życie.

Tradycją tych rodzin było na przykład zatrudnienie w domu służby oddzielnie do wychowania dzieci i oddzielnie do posług i w kuchni, a często oddzielnie do sprzątania. Pani domu nie wolno było przebywać w kuchni i spiżarkach, nie mówiąc gdzie indziej jak choćby w piwnicy czy strychu. Rzadko też mogła przebywać w pokoju dla dzieci. Kiedy od Pani domu dochodził do nosa Pana zapach kuchni, był bardzo niezadowolony i czynił wymówki. Często po takiej wizycie Pani w tych pomieszczeniach o ile zdążyła – skrapiała się starannie perfumami aby oszukać męża.

Kiedy już byłem na świecie, podobno byłem bardzo rozkosznym bobaskiem.

Pani Dygatowa często ze swymi przyjaciółkami przychodziła ukradkiem do naszego mieszkania, aby się ze mną pobawić i pobaraszkować. Kiedy Pana nie było w domu i wychodził na dłuższy czas, brała mnie do swego mieszkania i tam bawiła się ze mną układając mnie na wygodnych, wyłożonych futrami łóżkach wokół których zwisały pyszczki lisie i ogony i mogłem się nimi tez bawić.

Ilustracja 3: autor wspomnień na roczek Warszawa 1944 rok w domu Państwa Dygat, pelerynka zaś była strojem chrzestnej z jej I Komunii Św

Częstymi gośćmi w domu Dygatów były panie : Eugenia Umińska sławna skrzypaczka oraz pisarka Helena Bobińska.
Przypominam sobie, jak matka opowiadała mi taką zabawną historię z czasów kiedy jeszcze życie toczyło się normalnie, że pewnego razu do stołu podano dziczyznę w postaci zająca.
Jakież było zdziwienie i rozczarowanie pana Dygata seniora, ponieważ zając ten nie miał głowy. Oburzony powiedział, ”jakim prawem mogliście mi odebrać tę przyjemność, aby wyrzucić głowę, przecież wiecie że jest to mój największy przysmak obgryzać głowę aż do najdrobniejszej kosteczki „. Ale cóż kucharka zapomniała widocznie o tym i zając na stole tym razem był odgłowiony.
Nie tylko panu Dygatowi smakują głowy i delektowanie się obgryzaniem i wydłubywaniem mięsa. Moja żona Krystyna nie przepuści nigdy okazji, aby po zabiciu karpia czy zająca nie zabrać się do głowy. Nie tylko gotuje wyśmienite zupki na tych głowach lecz również delektuje się „obrabianiem tego elementu”.

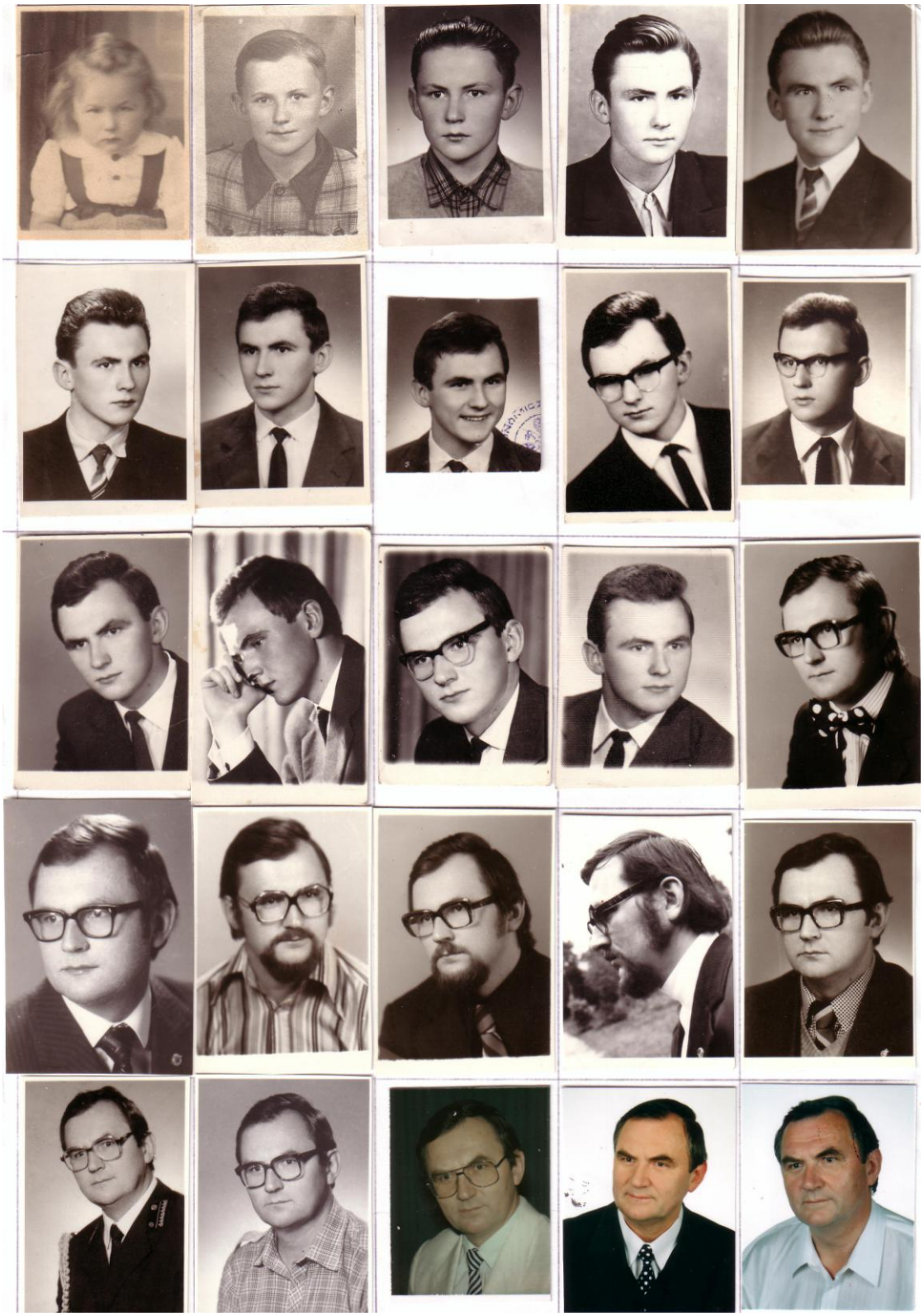

Ilustracja 4: oto tak czas zmienia człowieka na przestrzeni 60 lat

Łapanki. Pobyt w obozie. Ucieczka.

Niepewność co będzie z człowiekiem w każdej chwili spędzała sen z powiek i powodowała ogólną panikę i strach.

Ilustracja 5: Grób małżeństwa Dygatów w Warszawie na Powązkach On Stanisław spoczywa z drugą swoją żoną sławną Kaliną Jędrusik

Otóż któregoś dnia ojciec mój spotkał się przypadkowo ze swoim bratem Janem, z którym się rzadko spotykał, aby sobie nieco porozmawiać, a każde nawet chwilowe zatrzymanie się choćby dwojga ludzi wzbudzało u Niemców podejrzenie o spiskowanie. I właśnie w jednej chwili niespodziewanie Gestapo zwinęło braci do „kibitki" i po krótkim przesłuchaniu na Alei Szucha wywiozło ich do obozu wraz z wieloma podobnymi ludźmi jak potem mogli się zorientować do Łambinowic (Lammsdorf) na opolszczyźnie do Stalagu chyba VIII B.
Obu braci ponownie przesłuchiwano i wtedy zdarzyła się śmieszna i zarazem radosna chwila dla jednego z nich a dla drugiego tragiczna, bowiem pierwszego Jana zwolniono po kilku dniach, ponieważ był urodzony w Niemczech jako Johan w związku z pobytem rodziny w Westfalii na robotach bardzo modnych przed wojną. Wiele rodzin szczególnie z poznańskiego wyjeżdżało na tzw. "Saxy" do pracy aby się lepiej urządzić po powrocie w biednej Polsce. Tam też rodziły się dzieci.

Ilustracja 7: Dziadek Franciszek oraz Babcia Rozalia w Niemczech wraz ze swymi dziećmi Janem i Marią które się tam w Westfalii urodziły

Zresztą podobnie było też niedawno i u nas niestety. Mój ojciec natomiast miał na imię Stanisław i urodzony był już w Polsce po powrocie dziadków z Niemiec w polskim Ostrzeszowie i niestety był dla Niemców osobą nie swoją i jako podejrzanego i niewiarygodnego osobnika zatrzymano w tym obozie. Nie pomogły przysięgi i wyjaśnienia ojca że jest autentycznym bratem uwolnionego Jana vel Johana.

Ojciec w straszliwie ciężkich warunkach przebywał wraz z innymi jeńcami z Rosji i nie tylko, aż do momentu, kiedy znów udało się „szczęśliwcowi" uciec i przez tereny okupowane przedostać się jakimś cudem do Częstochowy a stąd do swej ukochanej Warszawy i żony świeżo co poślubionej. Nocą bowiem zapukał do okna i drzwi a żona z duszą na ramieniu i trwogą wpuściła nędznika i uciekiniera aby go ukryć przed ewentualną kontrolą. Tacy uciekinierzy byli automatycznie ścigani i namierzani a konfidentów Polaków i Żydów tez było w otoczeniu mnóstwo – niestety.

Udało się ojcu, lecz w przyszłości nastąpią dalsze zdarzenia, niemniej emocjonujące i ciekawe, bo życie było ciągle na włosku „Żyło się w ciągłym strachu i niepewności jutra.

1. 2 Ślub moich rodziców. Moje narodziny Łapanki. Pobyt w obozie

Ilustracja 8: zdjęcie ślubne moich Rodziców Warszawa rok 1942 u Państwa Dygat w mieszkaniu a ślub odbył się w kościele na Ochocie pw. Św. Jakuba w Warszawie

Za namową i protekcją owej miłej koleżanki Pelasi z Dolska koło Śremu odbyła się uroczystość ślubna moich rodziców w mieszkaniu Państwa Dygat w dniu 7. 06. 1942 roku.

Pani Dygatowa znów po znajomości załatwiła wszystkie formalności konieczne do zawarcia związku małżeńskiego z miejscowym księdzem od św. Jakuba na Ochocie, a ślub odbył się po cichu i przy zamkniętych oknach i drzwiach w mieszkaniu przy ulicy Glogera na 4 piętrze.

Ilustracja 9: Tutaj na ul. Glogera w Warszawa w pobliżu tego Instytutu w domu na parterze u państwa Marzęckich mieszkaliśmy

Ze ślubem i załatwieniem formalności bowiem były zrozumiałe problemy, ponieważ mimo znajomości mój ojciec przecież nie miał oryginalnych dokumentów. Uprzedzając nieco fakty ojciec jako uciekinier z obozów był ustawicznie ścigany przez Gestapo.

Problemy z nazwiskiem Kempa Nazwisko Kempa było przecież ciągle na „indeksie" Kiedyś przyjaciel ojca tzw. dobra dusza zaproponował mu udać się do Ambasady Francuskiej w okupowanej Warszawie do pracownika tej Ambasady niejakiego pułkownika Testara, który dla tego typu uciekinierów i „przestępców" bezinteresownie załatwiał nowe dokumenty i „Ausweissy „. Jaki miał w tym interes ? Nie wiadomo Może historia kiedyś to opisze i ujawni. I tak ojciec mój otrzymał nowy „Ausweiss" na nazwisko Witold Jankowski z pochodzenia Francuz. Zastanawiam się, że nic się dzisiaj o tym nie pisze a to dla Polaków było bardzo ważne i świadczyło o wielkiej przyjaźni polsko – francuskiej.
Uczciwe jednak wyjaśnienie okoliczności i złożenie przysięgi na prawdomówność, sprawiły że ks. Proboszcz z Ochoty uległ i zgodził się na ten wyjątkowy ślub Podobno Proboszcz ten dożył sędziwego wieku i niedawno umarł w tym samym Kościele na Ochocie. Córka dozorcy z ul. Glogera Regina Marzęcka później Drzewiecka obsługiwała jakiś patefon, który po cichu wygrywał wzruszające polskie melodie sprzed wojny. Był nastrój miły lecz pełen trwogi.

O Dygatach jeszcze raz

Wracając do kontaktów z tą zacną i znaną rodziną państwa Dygatów to o Staszku przyszłym wielkim pisarzu matka moja wspomina iż jeszcze kiedy był młodzieńcem próbował pisać wierszyki i małe opowiadania i kiedy napisał cokolwiek to dawał bądź mojej matce bądź jej koleżance Pelasi utwory do analizy, celem ewentualnego skrytykowania i akceptacji. Mówił zawsze
że „kiedy pani Helenka –czyli moja matka zaopiniuje pozytywnie moje utwory, to na pewno przyjmą się do czytania przez większość czytelników i znajomych i tak też rzeczywiście bywało. Tak więc moja matka była pierwszą recenzentką utworów wielkiego polskiego pisarza. Jego życzeniem było zawsze aby tak jak Mickiewicz sobie życzył „książki zbłądziły spod strzechy „I w ten sposób realizował sobie swoje marzenia pisarskie, które doceniono po jego śmierci.

Zacna pani Dygatowa jeszcze przed ślubem rodziców, kiedy poznała mojego ojca i kiedy wielu znajomych i przyjaciół namawiało moją matkę aby wyszła za mąż za Stanisława –przyszłego mego ojca –mawiała często iż „to dobry chłopak i szczery a nadto inteligentny i uprzejmy –wyjdź Helenko za niego a nie pożałujesz –on cię nie opuści i będziesz z niego zadowolona i dumna. A jeżeli będziesz się ociągała, to bardzo chętnie przystanę, aby spowodować by mężem mojej Danusi był właśnie ten człowiek, bo tego jest naprawdę wart. ”
Namowa i perswazja tej kobiety chyba poskutkowała i zaślubiny odbyły się zgodnie z życzeniem Pani Dygatowej. Sielanka jednak nie trwała długo. Niestety któregoś dnia przyszło się nam na rozkaz Gestapo wynieść z pięknego domu przy ul. Glogera po prostu na zieloną a raczej na spaloną trawkę czyli pod gołe niebo, ponieważ ten piękny dom mieli zająć oficerowie Wehrmachtu.
Czym prędzej państwo Dygatowie porozumieli się ze swym przyjacielem Doktorem Kowalskim, który jeszcze przed wojną budował sobie dom przy ulicy Kieleckiej 10 i tamże za jego zgodą do surowego jeszcze domu wprowadzili się, razem z nami, ponieważ rodzice moi byli już małżeństwem. Matka w tym czasie przechodziła swoje trudne chwile, ponieważ
pod sercem miała już mnie. Zaszła bowiem w ciążę w miesiąc po swoim ślubie.
Z tej ukrywanej lecz szczerej miłości dwojga zagubionych ludzi zaczęło się moje istnienie.

Ilustracja 10: tutaj na ul. Kieleckiej mieszkaliśmy wraz z Państwem Dygat i ich rodziną w niewykończonym domu, którego rodzina Państwa Dygat budować jeszcze przed wojną

Ulica Wawelska

Dom przy ulicy Kieleckiej, ten niewykończony był pusty, okna zabite deskami, projektowany przez pana Antoniego Dygata –seniora architekta, przystojnego szczupłego wysokiego mężczyznę. Tam też w piwnicy tego domu nadal kreślił coś i projektował z zamiłowania i z nudów przyszłą Warszawę, bo mimo zniszczeń wierzył jak każdy Polak, że Warszawa znów powstanie i będzie piękna jak przed wojną.

W tym czasie w roku 1942, kiedy to Niemcy byli zajęci inwazją na Rosję, życie było względnie spokojne, szczególnie w rejonie Pola Mokotowskiego i w rejonie ul. Kieleckiej, gdzie mieszkaliśmy. Co chwilę jednak słyszało się o łapankach uprawianych przez okupanta. Niestety i teraz memu ojcu trafiło się że Niemcy go dopadli.

Pewnego razu któryś z sąsiadów zakomunikował, że gdzieś na ulicy Rakowieckiej padł od bomby koń i jest niezwykła okazja, aby zdobyć kawał mięsa dla domu. Poszedł więc z tym zamiarem, lecz po drodze spotkał kolegę i chwilę z nim rozmawiając został rutynową łapanką ujęty i brutalnie wrzucony do kibitki zwanej potocznie budą i wywieziony na przesłuchanie do pobliskiej kwatery niemieckiej. Jakimś nadludzkim instynktem wiedziony a raczej

samozachowawczym odruchem wyrwał się obstawie i próbował uciec strażnikom. Przy pierwszej straży udało się przejść swobodnie, natomiast przy drugiej niestety ujęto go i brutalnie pobito, lecz w momencie szarpania się zdołał wyrwać się strażnikom, lecz niestety marynarka z dokumentami została u Niemców i tym większa trwoga zapanowała w sercu uciekiniera. Co będzie dalej z nim ? Gdzie go dorwią? Oto jest pytanie.
Co zrobić z sobą i gdzie się ukryć to zadanie na już. Uciekając nie mógł ukryć się na ulicy Kieleckiej, lecz w jednej chwili przyszła mu myśl, aby schronić się u znajomych z poprzedniego miejsca zamieszkania czyli do państwa Marzęckich-dozorców domu przy ulicy Korzeniowskiego 5 na drugim końcu Pola Mokotowskiego.

Pole Mokotowskie

Ilustracja 11: to tutaj w pobliżu spacerowaliśmy sobie w czasie okupacji my dzieci wraz nze swoją mamusią. Tutaj przed wojną mama opowiada że słychać było śpiew Jana Kiepury, który często ćwiczył swój głos

Ilustracja 12: Pole Mokotowskie jesienią a z początkiem września nie było tylu liści opadłych

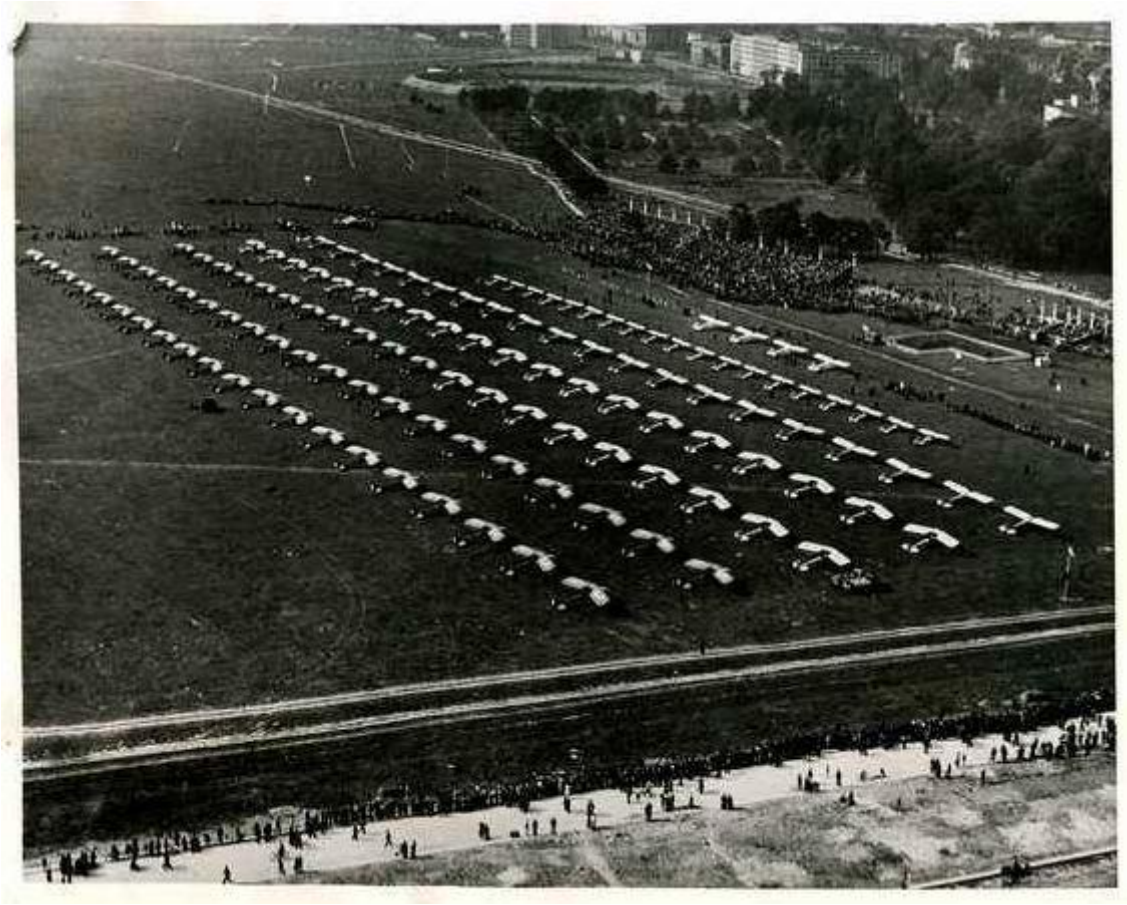

Ilustracja 13: Pole Mokotowskie w czasie okupacji zamieniono na plac ćwiczeń i lotnictwa

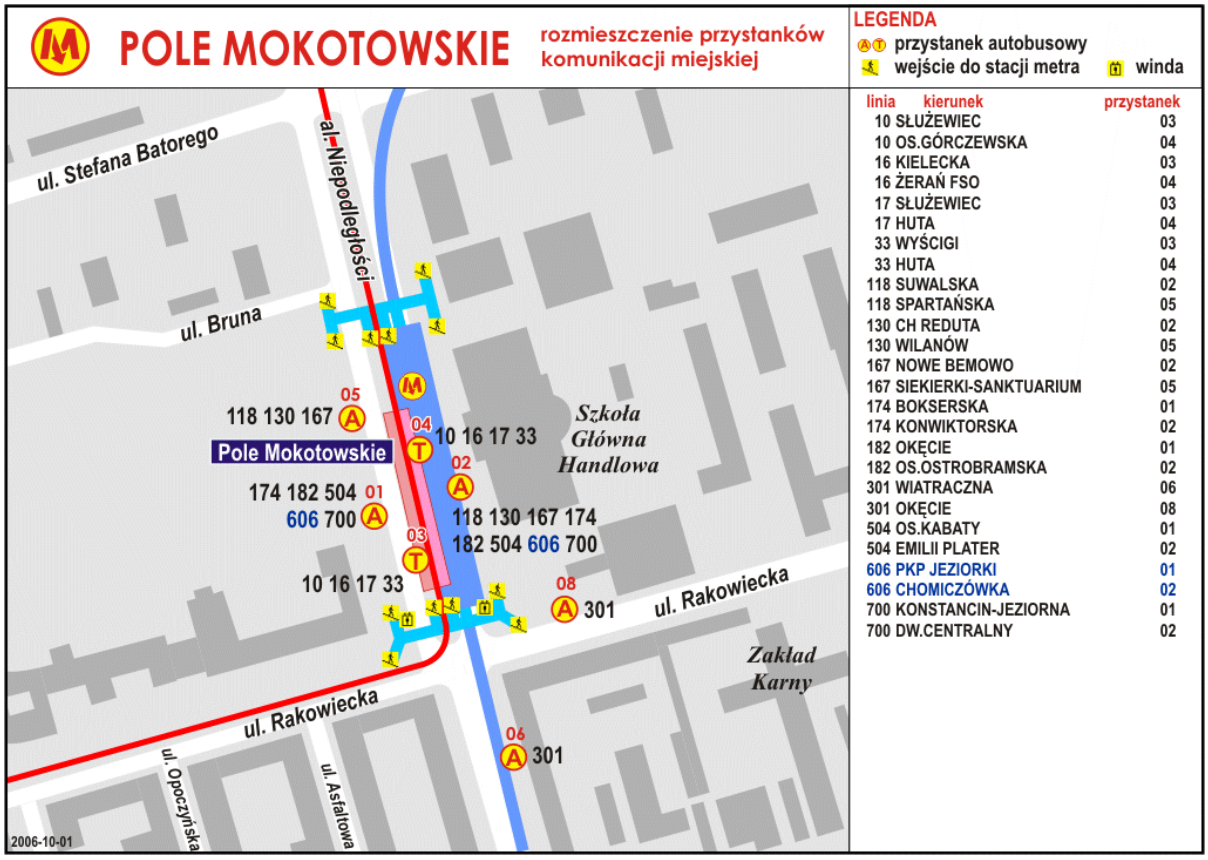

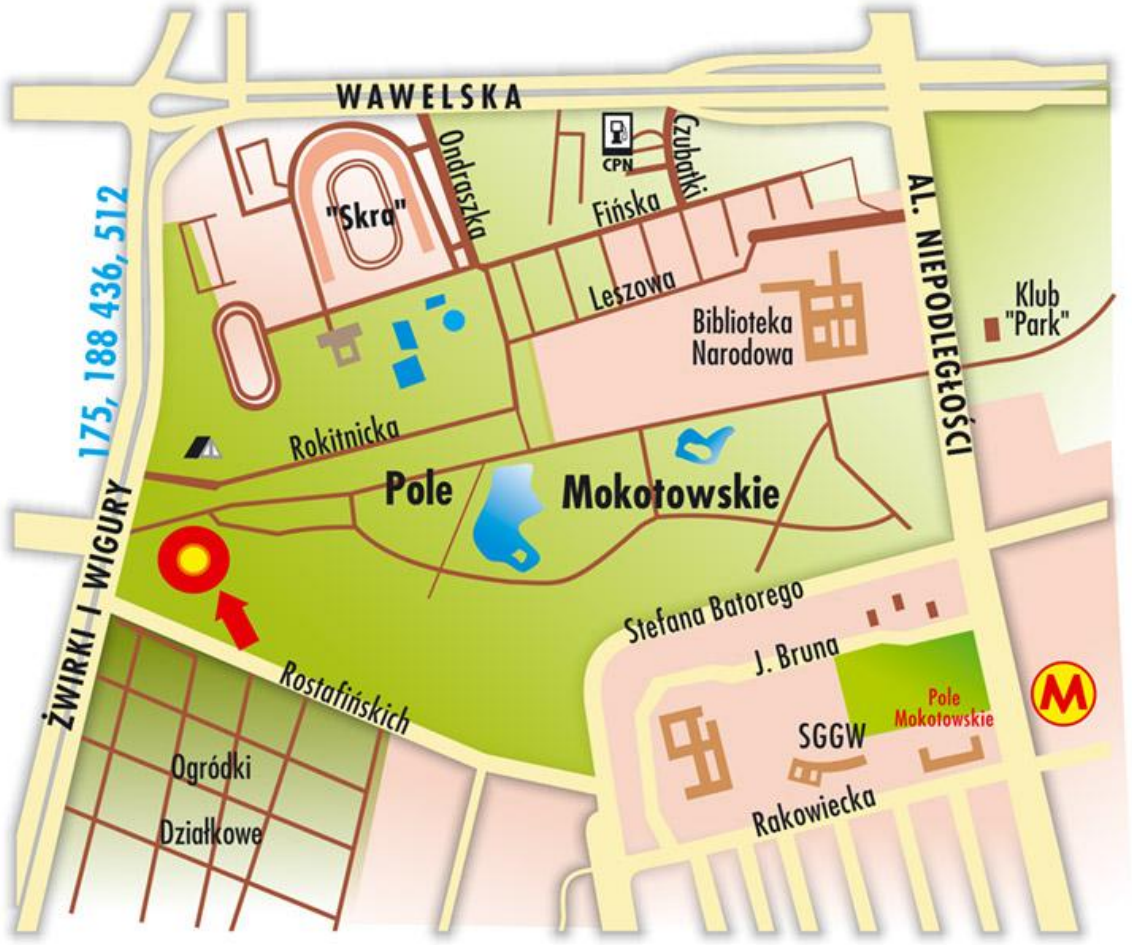
WAWELSKA
Ondraszka
CPN
Czubatki
"Skra"
Fińska
Leszowa
AL. NIEPODLEGŁOŚCI
Biblioteka Narodowa
Klub "Park"
175, 188 436, 512
Rokitnicka
Pole Mokotowskie
ŻWIRKI I WIGURY
Stefana Batorego
J. Bruna
Pole Mokotowskie
Rostafińskich
SGGW
Ogródki Działkowe
Rakowiecka

Regina Marzęcka Drzewiecka moja matka chrzestna ze swoim ojcem
rok 1940 Warszawa.
W swoje 70 urodziny w swoim mieszkaniu w Warszawie przy ul. Elektoralnej rok 2000 /ur. 24. 11. 1930 w Warszawie/ po prawej jej zięć Arkadiusz
na drugim zdjęciu Regina rok 1940 Warszawa lat. 10
na ostatnim zdjęciu Regina ze swym mężem w otoczeniu rodzinki najbliższej: od lewej stoją: wnuczka Marta / 17 lat/, córka Ela, wnuczka Maja/20 lat/, młodszy zięć Krzysztof, mąż Reginy Maciej Drzewiecki, Regina jubilatka, siedzą: wnuczka Kasia/ 14 lat/ córka Terka i wnuk Kuba/ 10 lat/
Warszawa rok 2000
Niestety ojciec Reginy w pierwszych latach okupacji zabrany
do obozu nie przeżył, prawdopodobnie został przez Niemców zamordowany jak każdy jeniec.

Nie było wyjścia niestety i moja matka musiała pójść po swego męża, ponieważ był on bez dokumentów, a na dodatek jeszcze sfałszowanych jak już wcześniej pisałem.

Moje narodzenie

Urodziłem się dnia 31 marca 1943 w Warszawie w Klinice Położniczej na Czerniakowie jako zdrowy chłopiec ku wielkiej
radości moich rodziców**.** ***W dzień mojego urodzenia*** */ wiersz napisany spontanicznie w chwili, kiedy pisałem te wspomnienia. /*

Światu i rodzicom*,*
Światu i rodzicom
zrodziłem się na „Prima Aprilis”
kiedy zgliszcza wojny
i kikuty latarń ulicznych
sterczały smutnie
jak krzyże na Golgocie
na rozżarzonym i wietrznym widnokręgu,
w samym środku zniewolonej Stolicy
wśród huku wystrzałów,
pyłu, kurzu walących się domów
i jęku zabijanych w powstaniu żydów.
Głos noworodka nie miał większego znaczenia
jeszcze jedna istota
i kolejna tragedia- epizod
na dopełnienie człowieczej gehenny.
Pierś matki wynędzniała,
bez środków do życia, i bez mleka,
egzystencja powolnego umierania.
Na Ochocie ruiny i pustkowia
w podziemiach i kanałach
odradzali się „Kolumbowie”
myśląc o powstaniu.
W piwnicach dzieci żydowskie
przechowywane w beczkach po kapuście.
Kobiety szyły tam już opaski
jedyny symbol Polski walczącej.
Świat zobaczyłem, kiedy w Getcie
zawrzało powstaniem
w beznadziejnej sytuacji chwycili za broń
i był to ich niestety ostatni etap
ich bytowania w Warszawie
bo odtąd zaczęły się masowe wywózki
znikli biedacy z ulicy
zapełniając obozy zagłady.
„Prima Aprilis” nikomu wtedy nie był w głowie.
Oseskiem byłem pod osłoną
matczynej piersi
lub ojcowskiej marynarki.
Boże, pozwoliłeś mi aż do tej chwili
świat ten oglądać Twój Boski.

Chwalę teraz Ciebie,
zawsze, ilekroć budząc się
znów dzień widzę słoneczny.
Dobrodziejstwo Twoje
darowanego mi życia
przepełnia moje jestestwo
i nieustanne dzięki Ci składam.

Matka po urodzeniu syna wróciła do państwa Dygat, aby szczęśliwie i bezpiecznie sprawować opiekę nad nowo narodzonym dzieckiem. Pani Dygatowa jak i cała rodzina była mi również opiekunką i zabawiała się mną kiedy tylko była wolna chwila. Podobno byłem rozkosznym i radosnym bobaskiem i mimo ciężkich chwil i trudnej sytuacji wyjątkowo grubym i wyglądającym na zdrowego. Zastanawiam się tylko skąd u mej matki był pokarm w piersiach, bo zdobyć pożywienie w tym czasie było bardzo trudno a o witaminach i pożywkach dla niemowląt to nie było mowy.
Pani Dygatowa jak i wspomniana Pelasia często bawiły się ze mną na szerokim wygodnym łożu pokrytym skórą wykonaną z 24 lisich kit, imponujących wielce dla raczkującego malucha. Ogony te majestatycznie zwisały wokół tego łoża aż do ziemi.
Głaskałem je ponoć często a do sztucznych oczu wkładałem paluszki. Pyszczki natomiast były wzmocnione specjalną klamerką -zaciskiem, która po naciśnięciu otwierała pyszczek lisa a włożony paluszek bolał. Z wielką radością przewracałem się na tym posłaniu i śmiałem, mimo że na świecie było smutno, ale co ja tam rozumiałem. Sprawiałem tylko radość domownikom i mojej matce Była to zawsze wielka zabawa i uczta jak mawiała Dygatowa, kiedy mogła ze mną pobaraszkować.

1.3 Konrad znaczy dobra rada, pojednanie i zgoda. Dlaczego nadano mi to imię ?

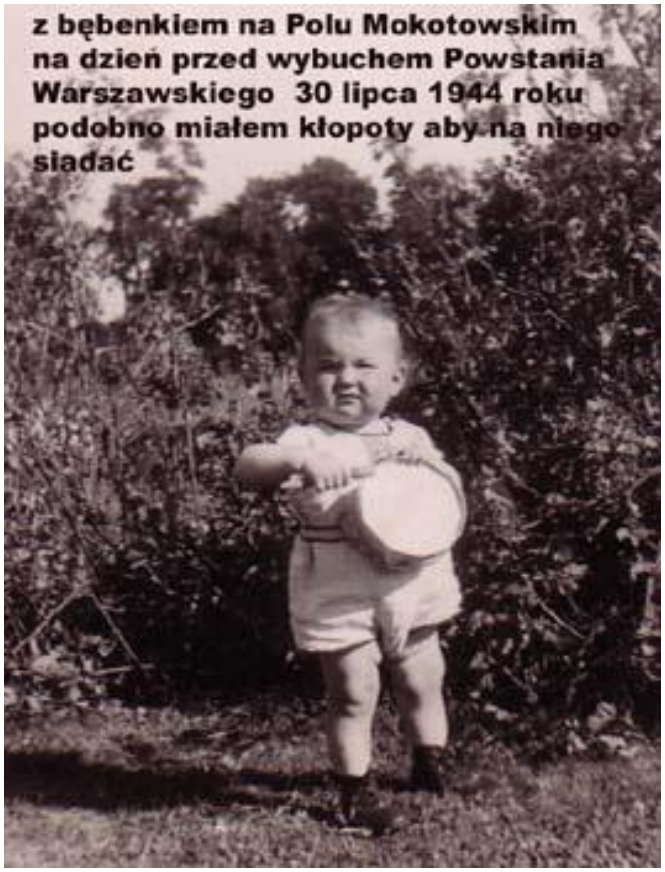

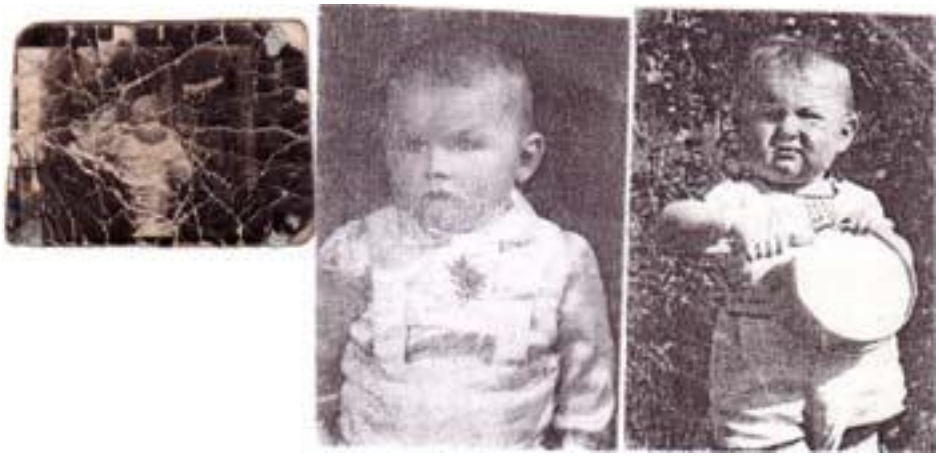

Kiedy pojawiłem się na tym świecie nie w jakieś piwnicy lecz o dziwo w Klinice na chrzcie św. rodzice nadali mi imię Konrad, zgodnie z wolą ojca. Kiedy nadszedł czas, by dziecko ochrzcić, rodzice mieli problem, kto mógłby z przyjaciół lub rodziny na miejscu w tak wyjątkowym i trudnym okresie okupacji być rodzicami chrzestnymi. Taka osoba zastępuje w razie utraty rodziców biologicznych pomaga rodzicom w różny sposób w wychowaniu dziecka. Jest to zatem bardzo odpowiedzialna i poważna rola. Do tego zaszczytu miała dostąpić kilkunastoletnia Regina –córka Państwa Marzęckich z ulicy Glogera u których mieszkaliśmy w tym okresie, kiedy nasze mieszkanie zostało zniszczone. Jak już wspominałem dziewczynka ta bardzo chciała być moją matką chrzestną a jedynie wiek nie pozwalał jej zgodnie z przepisami kanonicznymi pełnić tę rolę.

: Kościół na Ochocie w centrum Warszawy jedyny, który ze względu na grube mury nie został całkowicie zrównany z ziemią

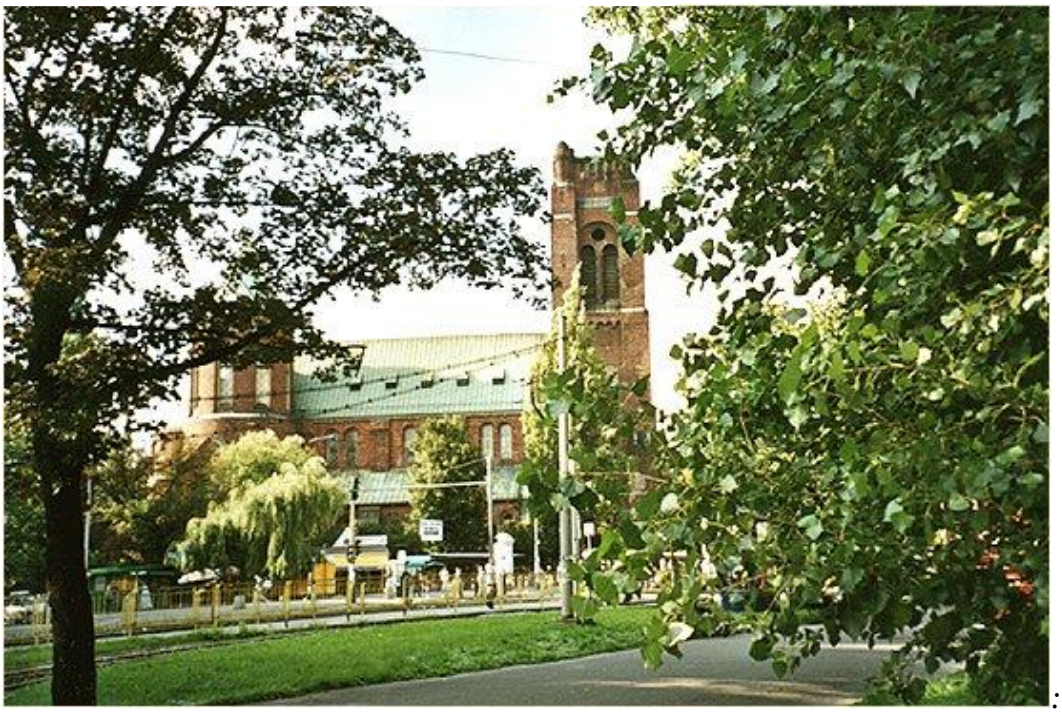

Kościół pw. Św. Jakuba. To tutaj byłem podawany do chrztu Św.

Parafia św. Jakuba powstała w 1918 roku. Sam kościół budowano z przerwami od 1911 aż do 1938. Po zniszczeniach II wojny światowej kościół ponownie konsekrowano w 1960 roku. Obecnie przy parafii mieści się prężnie działający ośrodek duszpasterstwa akademickiego. Dojazd spod Dworca Centralnego autobusem lub tramwajem w kierunku Ochoty lub z ul. Żytniej bezpośrednio tramwajem 29.

: Kościół na Ochocie w Warszawie

: Warszawa Ochota widać że ślad po wojnie to ścięta wieża główna i niższa

W tym okresie i mimo okupacji w konspiracji przy kościele pw. Św. Jakuba w Warszawie działały przy Parafii różne wspólnoty modlitewne i Towarzystwa Katolickie Regina była w tzw. „Mariankach" podobnie jak dziś „Dzieci Maryi" czczące w szczególny sposób Matkę Boską. Prowadzącą tę grupę dzieci była nieco starsza od nich znana dziś i sławna skrzypaczka artystka Pani Wanda Wiłkomirska i ona to właśnie sprawiła że Regina mogła spełnić swoje życzenie jako matka chrzestna. Dzięki protekcji tej Pani odbył się mój chrzest w tej Parafii. Kiedyś po latach odwiedziłem ten Kościół –jedyny chyba w Warszawie, który się oparł bombardowaniom ze względu na wyjątkowo mocną konstrukcję i

grube mury. Modląc się w ławce tuż przy chrzcielnicy przy której prawdopodobnie przyjmowano mnie do Kościoła Katolickiego przeszło 50 lat temu, akurat w tej chwili przechodził wiekowy już ksiądz Proboszcz z tej Parafii. Potem dowiedziałem się że właśnie on udzielał mi chrztu Św. Byłem podniecony i wzruszony. Ten człowiek pewnie by dużo opowiedział o tym trudnym okresie. Moim ojcem chrzestnym był przyjaciel cioci Marii, znany po wojnie działacz związkowy w kraju.
Był to okres szczególny i ważny w historii II wojny światowej. Po pierwsze w Teheranie spotkali się Churchill, Roosevelt i Stalin, aby omówić sposoby unicestwienia hitleryzmu w Europie i zapobieżenia dalszym eskalacjom wojennym Niemców tuż po klęsce Niemców pod Stalingradem. A w Warszawie powstanie w Getcie warszawskim i stopniowa jego likwidacja a w końcu wywózka żydów na zagładę z tzw. „Umschlagplatzu”.

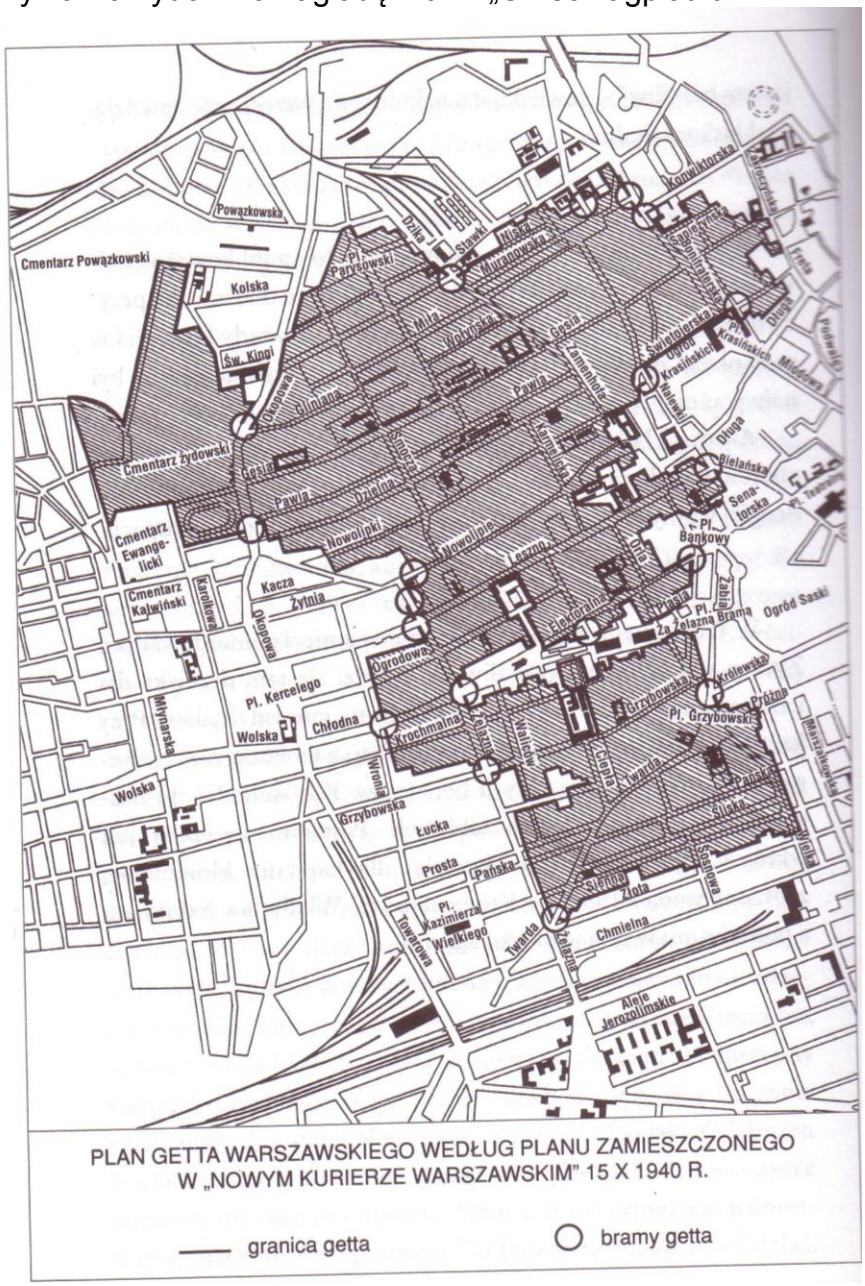

Ilustracja 19: Getto Warszawskie plan wyjęty z książki Pianista na tym terenie były ulice Żelazna, Miedziana itd na której mieszkali brat Jan i siostra Maria rodzeństwo mojego ojca Stanisława w okresie przed wojną.

Oto fragment obozu jenieckiego hitlerowskiego w Łambinowicach /Lammsdorf/ na opolszczyźnie na ziemi nyskiej stan dzisiejszy i niestety niewiele się już elementów zachowało, ale zostały ogrodzenie z zasieków i charakterystyczne budki wartownicze jak widać.
To właśnie do tego obozu podczas łapanki w Warszawie dwaj bracia Jan i Stanisław/mój ojciec/ w trakcie chwilowego postoju i rozmowy na ulicy, ponieważ się długo nie widzieli n a ulicach Warszawy w rejonie ulicy Rakowieckiej zostali złapani przez żandarmów i natychmiast wywiezieni do tego akurat obozu.
Warunki były niezwykle ciężkie i nieludzkie, ponieważ obóz niby przygotowany dla rosyjskich jeńców wojennych pod koniec wojny był zasiedlany również przez innych przypadkowych więźniów.
Z opolszczyzną, na której obecnie mieszkamy ojciec mój zetknął się po raz wtóry, kiedy to wywieziony w wyniku kolejnej łapanki w Warszawie przez Niemców ale do obozu w Niemczech do Neuenbrandenbourga znów salwował się brawurową ucieczką o której już wspominałem tym razem, leżąc uwieszony na podwoziu pod wagonami pociągu towarowego, zdążającego do tutejszych zakładów zbrojeniowych w Blachowni Śląskiej IG Farben Industrie Blehammer i stąd kartką pocztową zakomunikował swemu bratu Ludwikowi z Ostrzeszowa że uciekł z obozu i jest już w Polsce w Blachowni Śląskiej k. Kedzierzyna Koźla.

Do wybuchu Powstania Warszawskiego jeszcze upłynie wiele miesięcy i dlatego Warszawa jeszcze tętniła normalnym okupacyjnym życiem i zamieszkanie było możliwe, bo wiele jeszcze domów funkcjonowało. Życie toczyło się jak do tej pory, lecz normalną rzeczą były łapanki i wywózki do obozów pracy i zagłady, rozstrzelania i znęcania się Niemców nad okupowana ludnością. Były to łapanki urządzane przez Niemców bez jakichkolwiek powodów. Nieraz było słychać o jakimś zamachu czy akcji zbrojnej podziemia, które wciąż było aktywne i nękało Niemców. Otóż jak już wcześniej wspomniałem w czasie kolejnej takiej łapanki trafiło się memu ojcu i jego bratu Janowi że w łapance ujęty dostał się do obozu w Łambinowicach na Opolszczyźnie. Był to czas, w którym matka moja była w stanie błogosławionym i przeżywała ciężkie chwile. Że było ciężko w tym obozie to każdy o tym wie Ojciec, kiedy brata zwolniono, myślał jedynie wciąż o ucieczce, aby tylko wydostać się z tego piekła. Doświadczony i zdeterminowany, zwierzył się ze swych zamiarów wartownikowi, w momencie ucieczki, licząc na jego łaskawość i dobre serce.
W tym czasie w obozie tym było wielkie zamieszanie i poruszenie, ponieważ po napaści Niemiec na Rosję do niewoli Niemcy zabrali wielu żołnierzy radzieckiej armii. Byli tam również jeńcy innych narodowości w tym duża grupa Polaków.
W takim właśnie zamieszaniu przy dużej i aktywnej pomocy dobrotliwego niemieckiego wartownika, stojącego, tej nocy na wachcie udało się memu ojcu uciec. W tej ciemnej bezksiężycowej nocy Niemiec ów przez dziurę w ogrodzeniu umożliwił mu ucieczkę. Wpierw prosił go o pomoc, ponieważ zostawił żonę w ciąży w Warszawie, a on bez powodu i niewinnie został przez Niemców ujęty w czasie łapanki. Uciekając, zdążył jedynie spytać strażnika o jego nazwisko i imię. Usłyszał jedynie imię, ponieważ nazwisko było zbyt długie i skomplikowane dla Polaka. Zapamiętał to imię Konrad i w dowód pamięci i zadośćuczynienia przyrzekł sobie, że o ile urodzi się syn to nada mu imię Konrad. I tak też się stało. Kiedy się urodziłem nadano mi to wielkie i „ciężkie” imię. Wielkie i jak mawiali ludzie i Pani Dygatowa takie twarde niemieckie, które nie można zmiękczyć, a dla małego dziecka to nieraz konieczne, by było milsze dla ucha. W tym czasie wśród ludzi nienawidzących okupanta wszystko co niemieckie było nie do przyjęcia i nawet to imię ludzi drażniło. Matka też nie mogła się z tym pogodzić.
Miała zapewne na myśli czysto polskie takie swojskie imię dla swego pierworodnego syna. Ludzie mówili, zaglądając do wózka że kiedyś mnie uduszą za to szwabskie imię, ze zabiją tego bękarta któregoś dnia. Żyłem z tym imieniem przez cały ten ciężki okres okupacji. Uprzedzając nieco fakty, kiedy znaleźliśmy się po sławnym exodusie ludności Warszawy w obozie w Pruszkowie w nocy, kiedy płakałem a ludzie wycieńczeni i zmęczeni nie mogli spać mówili że kiedyś mnie uduszą i były to dla mojej matki chwile niepokoju i grozy. W końcu udało się i przeżyliśmy tę obozową gehennę i życie mi darowano.
Konrad znaczy dobra rada, zgoda porozumienie. Biorąc pod uwagę splot wydarzeń związanych z tym imieniem i na dodatek nomen - omen słowo to w starogermańskim tłumaczeniu znaczy właśnie dobra rada, zgoda, pojednanie to jest ono ze wszech miar przypadkowo bardzo trafne i posiadające głębsze znaczenie. Mimo tylu upokorzeń i agresji ze strony okupanta i agresora i jego brutalnej i zbrojnej napaści na niewinny naród polski, wobec kilku wielkodusznych czynów ze strony prostych niemieckich żołnierzy i cywilów

rodzice moi doznali zwykłej ludzkiej dobroci i jak tu nie mówić teraz o pojednaniu i zgodzie w tej naszej rzeczywistości dążenia do wspólnej Europy. Nie dziwi mnie teraz stanowisko Episkopatu, wybaczające Niemcom zło jakie wyrządzili światu a przede wszystkim naszemu narodowi. Jest to trudne do pojęcia, lecz głęboko filozoficzne i o dużym sensie moralnym stanowisko. Polak ma w swym charakterze jak mówi historia brak agresji i zacietrzewienia wobec sąsiadów. Wyjątek stanowią lata dwudzieste kiedy to dziadek Piłsudski zaatakował sąsiada ze wschodu, więc nie dziwi mnie to humanitarne podejście Kościoła. Trzeba wielkoduszności i odwagi, aby wyjść z taką propozycją i przeprosinami do okupanta. O innych odruchach zwykłej ludzkiej dobroduszności opisze w dalszych moich wspomnieniach. Dumny więc jestem, że posiadam imię, które ma bogatą przeszłość i tak wiele znaczy w sensie moralnym i politycznym.

1. 4 Dalsze nasze losy w okupowanej Warszawie. Exodus Ludności po Powstaniu Warszawskim.

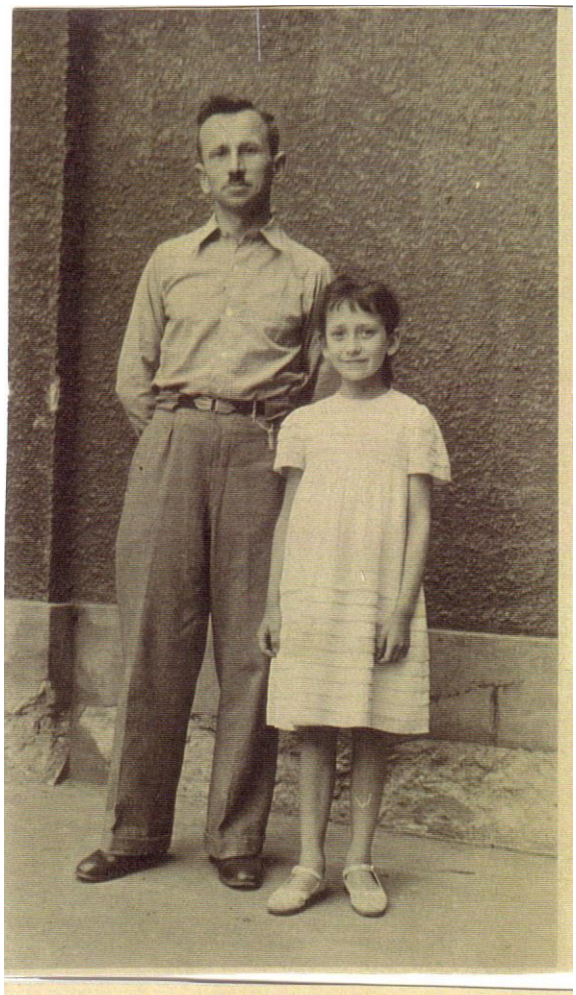

Swoista sielanka, mimo okupacyjnej grozy trwała znów nie długo. Matka często chodziła ze mną małym na plac handlowy na zakupy, bo jedynie tam można było cokolwiek kupić o ile się miało za co. Tam też czyhały na kupujących łapanki ale na szczęście ominęły nas i mogę pisać o dalszych naszych losach w okupowanej Warszawie.

Moja siostra Danusia ujrzała w tym czasie okupacji świat

Z chwilą urodzenia się mojej siostry Danuty (24 kwietnia 1944 roku) w tym samym co ja Szpitalu na Czerniakowie matka już z dwojgiem małych dzieci, nie chcąc być uciążliwą dla otoczenia i dla państwa Dygatów, postanowiła zmienić miejsce zamieszkania i cichcem bez porozumienia się z tą rodziną udała się ponownie na ulicę Glogera, ale już nie do dawnego mieszkania, lecz do mieszkania państwa Marzęckich.

Zdjęcia państwa Marzęckich z okresu początku okupacji, Reginka jeszcze z ojcem.
Pan Marzęcki bardzo dobry człowiek wywieziony na początku wojny siłą do obozu już nie powrócił i chyba tam zginął, bo ślad po nim się stracił.
Spacery i wychodzenie z domów i kryjówek były każdorazowo niebezpieczne. W każdej chwili można się było natknąć na okupanta. Imię mojej siostry nie było też przypadkowe, bowiem w dowód pamięci po rodzinie państwa Dygatów u której ich córka też miała to imię, matka postanowiła nadać swojej nowo narodzonej córeczce, która ze względu na czas okupacji i

wysiedlenie chrzest miała dopiero po wojnie w kościele w Wyszanowie w rodzinnych stronach w Wielkopolsce.
Jeszcze w okresie kiedy funkcjonowało Getto Warszawskie jak opowiadała mi wielokrotnie matka w piwnicy domu gdzie mieszkali, ukrywali w beczce po kapuście oraz starej szafie dwoje żydowskich dzieci. Co potem się z nimi stało nie wiadomo.
Z maleństwem jednak matka próbowała chodzić na spacery i tak któregoś dnia w rejonie ulicy Rakowieckiej w parku, stawiając pierwsze kroki, wyrwałem się jej i pobiegłem do spacerujących właśnie, wysokich rangą oficerów niemieckich. Strach wielki i trwoga ogarnęła moją matkę. w jednej chwili widziała zabite swe ukochane dziecko i może z nią też zrobią porządek. Lecz cóż się stało. Ci „dostojni" mężczyźni zaintrygowani urodą, wesołością i odwagą malca, powiedzieli coś po niemiecku z czego do matki dotarło że „popatrz jaki polski grubas, wychowany na psim sadle i marmoladzie.

rok 1943 Warszawa. Z matką

rok 1933 Ojciec ze swym kolegą Zygmuntem
Ostrzeszów

rok 1942 Rodzice na ślubnym kobiercu
Warszawa

rok 1944 29.07 Na Polu Mokotowskim
w Warszawie na dwa dni przed wybuchem
Powstania Warszawskiego
w wózku siostra Danuta

rok 1944 Warszawa
z bębenkiem w parku

Na Polu Mokotowskim

Dostałem od nich nawet cukierka i szczęśliwy, uśmiechnięty wróciłem do zatrwożonej matki. Zabawką moją był bębenek podobnie jak u Gintera Gratza, a szczególnie wykorzystywanie nie jako instrumentu do grania, lecz jako urządzenia do siedzenia, a z tą czynnością ponoć miałem wiele trudności i nie mogłem sobie poradzić, aby normalnie usiąść. Brak było jeszcze wtedy zwykłej koordynacji ruchowej i równowagi. Podczas Powstania Warszawskiego często w przypadku bombardowań uciekać trzeba było do piwnic, gdzie toczyło się inne życie w strachu. Tam matka wspólnie z innymi szyła opaski biało czerwone dla powstańców.

Ruiny Starego Miasta

Ruiny Katedry św. Jana

Tymi akcjami kierowała niejaka pani Bogulińska, żona wysokiego oficera przedwojennego i z pewnością aktywnego uczestnika podziemia. Ojciec mój natomiast zabierał uszyte rzeczy i zanosił gdzieś po kryjomu do miejsc jemu tylko wiadomym i długo go nie było. Nie zdążyłem od ojca dowiedzieć się szczegółów, ponieważ mając 47 lat już po wojnie nagle umarł na białaczkę osierocając nas tzn. siostrę Danutę i brata Janusza (12 lat)

Kościół Garnizonowy przy ul. Długiej

Ruiny Zamku Królewskiego

Ulica Freta

Ulice Warszawy

Ulica Krzywe Koło

Ulica Mostowa

Ulica Nowomiejska

Ulica Świętojańska

Osłona Uniwersytetu z kościoła św. Krzyża
W tle Chrystus dźwigający krzyż dłuta Andrzeja Pruszyńskiego.

Powstańcy

Ulica Marszałkowska
Ulica Marszałkowska od ulicy Wilczej w stronę Alej Jerozolimskich. Na pierwszym planie po lewej stronie dom numer 66.

Widok na ulicę Leszno

W osłonie barykady
Barykada przegradzająca ulicę Siewną na wysokości ulicy Wielickiej, w głębi ulica Marszałkowska i początek ulicy Sienkiewicza.

Budowanie barykady
Ulica Smulikowskiego

Widok na ulicę Szpitalną od ulicy Górskiego

Kościół św. Krzyża

Polska flaga

Ulica Świętokrzyska 27
W tle ulica Jasna.

Ulica Wolska

Ulica Bronia

Zniszczony budynek

rok 1935 Ostrzeszów
mój ojciec

rok 1946 Ojciec Stanisław

rok 1936 Ostrzeszów
mój ojciec

1. 5 Wybuch Powstania Warszawskiego i wypędzenie ludności z Warszawy

Z chwilą urodzenia się drugiego dziecka –mojej siostry Danuty zaczęły się dalsze kłopoty i zmartwienia, ponieważ Niemcy w sierpniu i we wrześniu dokonywali masowych eksmisji ludności, planując usunięcie Warszawy z powierzchni ziemi, poprzez burzenie domów z lądu i z powietrza. My również zostaliśmy brutalnie wyeksmitowani z domu i wypędzeni na bruk, nie wiedząc co będzie dalej z nami przygotowani na niechybną śmierć. Wypędzeni w nocy, prawie nadzy i zaspani prosto z pościeli bez jakichkolwiek rzeczy. Jedyną wartościową rzeczą był różaniec, który matka zdążyła w pośpiechu wziąć ze sobą, oczywiście oprócz dzieci w piżamkach. Modliła się nieustannie aby ją Bóg uchronił wraz z dziećmi od większego nieszczęścia i zachował przy życiu. Często wspominała że jedynie modlitwa różańcowa sprawiła że uniknęliśmy najgorszego.
Z tego rejonu Warszawy spędzono ludność na zieleniak. Był to teren po byłej Gazowni. Widziało się tam szczególnie przy ulicy Grójeckiej wielkie stosy trupów, świeżo co zabitych i rozstrzelanych w czasie szaleńczych i zdziczałych akcji okupanta. To efekty pomsty niemieckiego dowództwa wobec powstańców, którzy w bezczelny sposób śmieli wywołać znienacka powstanie.

Obiekt Gazowni w Warszawie na Woli, gdzie spędzono część ludności po Powstaniu Warszawskim

Na zieleniaku, który znajdował się u zbiegu Grójeckiej i Banacha na Ochocie, niespodziewanie dołączyła do nas wspomniana wcześniej pani Bogulińska, żona oficera AK. Okazała się bardzo potrzebną dla nas. Dobrowolnie ofiarowała się, aby nam pomagać, chroniąc się sama przed Niemcami ze względu na swego męża który był z pewnością poszukiwany. Matka moja z nami dwojgiem potrzebowała takiej opiekunki. Było to dla kobiety doskonałe alibi w przypadku ewentualnego legitymowania. Matka nieraz mówiła, że w tych ciężkich chwilach poprzez modlitwę Bóg akurat dla niej i dla dzieci przeznaczył tego dziwnego Anioła Stróża.
Skupieni Warszawiacy na tym Zieleniaku przy Gazowni na Ochocie w tym piekle nadzorowanym prawie wyłącznie przez Ukraińców wysługujących się okupantowi doznali nie tylko głodu, upału i spiekoty ale też upokorzeni dla uciechy i drwiny pilnujących Ukraińców niewinnie niestety kobiety były publicznie gwałcone a inni tracili swe życie.
Takiej sceny zbiorowego rozstrzelania niewinnych Polaków była świadkiem moja matka chrzestna Regina Marzęcka obecnie Drzewiecka z Warszawy, która na moją prośbę opisała niektóre dramatyczne sceny.
W tym piekle właśnie wszyscy przebywaliśmy ja i moi rodzice oraz świeżo co urodzona moja siostra Danuta. , zanim nas wszystkich przegnano do obozu przejściowego do Pruszkowa. A oto kilka autentycznych relacji świadków z tego miejsca skupienia ludności Warszawy przed jego exodusem do Pruszkowa, tuż po upadku Powstania Warszawskiego.
Pamiętam, że matka opowiadała mi o tych okrucieństwach a ja z niedowierzaniem słuchałem jej relacji, bo nie mieściło mi się w głowie, aby człowiek- istota boska drugiemu człowiekowi mógł zgotować taki los.
Za cenę rzekomej wolności podli Ukraińcy współpracowali z okupantem, a potem jak się okazało tuż po wyzwoleniu pierwsi oni zginęli z rąk wyzwolicieli.

Zbrodnie na Zieleniaku

Świadek Halina Kazmierczakowa, lat 35,
wdowa po działaczu niepodległościowym, zamieszkała w Warszawie, ul. Glogera 3
protokół własny

"Tego się nie zapomni. Jak duszący koszmar będzie nieraz w potwornych snach widmo Zieleniaka u tych, którzy przezeń przeszli, którzy go przeżyli. Wygnano nas z domu 9 sierpnia około godz. 13. Banda Ukraińców pijanych, rozczochranych, o zdziczałych twarzach, w porozpinanych mundurach lub bez mundurów, ale opakowanych granatami, z rewolwerami, karabinami lub rozpylaczami w rękach opróżnia schrony i piwnice, przebiega mieszkania, krzycząc, strzelając na postrach, rabując, co wpadnie w rękę. Ograbionych i zbitych wypędzają na ulicę. Pędzą tłum wśród płonących domów, wśród nieustających detonacji gwiżdżących często około uszu kulek. Tłum idzie oszołomiony, przerażony. 'Opiekunowie' nasi nie próżnują. Coraz to wyrywają z tłumu kogoś, kto jeszcze wydaje im się niedostatecznie ograbiony. Rewidują, zaglądają nawet w usta, szukają ukrytego złota i brylantów, wyrywają z rąk walizki. Na ulicy masa leży trupów: przeważnie mężczyzn, często w grupę ludzi pada granat, często strzał bez powodu - po prostu dla zaspokojenia zwierzęcego instynktu mordu. (...)

Idziemy ul. Grójecką i Opaczewską. Dochodzimy po kilkugodzinnym marszu, w czasie którego każdy był przygotowany na śmierć lada chwila - do bram Zieleniaka. Otwierają się one wreszcie przed nami o godz. 8. Jesteśmy pierwszymi mieszkańcami tego nowego obozu. Jest nas ponad 12 tysięcy. Zajmujemy połowę placu (drugiej zajmować nie wolno), zmasowani ciasno. Kładziemy się pomęczeni na ziemię. Zbliżających się do murów 'opiekunowie' odpędzają kolbami karabinów. Widocznie obawiają się ucieczki, choć mur ma 2 i pół m wysokości. Zapada noc. Trawi nas gorączka pragnienia. Na placu nie ma wody. O głodzie nikt nie pamięta. Gorsze są udręczenia moralne, troska o niewiadomy los wielu bliskich. 'Opiekunowie' wałęsają się po placu, szukając młodych kobiet. Z miasta dobiega nieprzerwany huk dział. Na placu huczą strzały karabinowe. Słychać ciągle płacz kobiet i dzieci. (...)
Godzina ósma. Na placu, pozbawionym zupełnie cienia, upał. Temperatura + 34ş. Dowiadujemy się, że jest tu punkt P. C. K. Idę tam. Nie mają ani odrobiny wody, żadnych opatrunków, żadnych lekarstw. Dysponują tylko małą, brudną szopą, a w niej czteropiętrowymi pryczami pokrytymi słomą. Leży na nich kilku umierających bez ratunku. Pierwsze ofiary Zieleniaka. (...)
'Opiekunowie' grasują po placu, szukają ofiar na noc lub po prostu wyciągają je od razu. Gdy matki bronią córek lub mężczyźni kobiet, dochodzi do awantur. Jakąś staruszkę pobito i skopano do nieprzytomności, tak że dogorywa.
Godzina 16. Niemcy podpalają sąsiadujące z placem domy. Nad nami krążą samoloty robiąc zdjęcia. Zajeżdża szereg aut z gestapowcami, żandarmerią i SS. Rozstawiają karabiny maszynowe. Aranżują nowe widowisko. Obchodzą tłum, obserwują przez lornetki. Zbierają informacje, ale tylko wśród mętów społecznych. Stwierdzają, że wszystko jest w porządku. Nie kryją zadowolenia i ironicznych uśmiechów. Każdy wie, do czego to prowadzi, ale na zewnątrz cały tłum zachowuje spokój zupełny. 'Goście' fotografują się na tle płonących domów. Niektórzy ludzie próbują podejść do nich, prosić o coś, ale odpowiadają im szyderczym śmiechem i obelgami. Trwa to przedstawienie około 2 godzin.(…)"

Świadek Anna Zientara,
zamieszkała w Warszawie, ul. Wawelska 3
protokołowała Irena Zgrychowa dnia 14 XI 1944 r. w Łowiczu

"Powstanie zastało mnie u znajomych. Do domu dostać się już nie mogłam, tak że dosłownie zostałam bez niczego. Z chwilą kiedy dowiedzieliśmy się, że to powstanie, ogarnęła nas radość niezmierna, czuliśmy się wolni. Z pogardą patrzyliśmy na patrole niemieckie, czekaliśmy na naszych chłopców.
Strzelaninę ciągle słychać było, ale powstańcy nie opanowali naszej dzielnicy, bo 4 VIII Niemcy (Wehrmacht) kazali nam opuścić nasze domy i iść w kierunku Zieleniaka, tj. placu targowego dla handlu jarzynami. Było nas dużo, może kilkanaście tysięcy. Droga była straszna. Co chwila strzelano do szeregów. Bito tych, co iść nie mogli. Strzelano do starców i kalek. Dziś trudno to i ciężko wspominać. Widzieliśmy twarze dzikie. Konwojenci szukali wśród nas młodych kobiet, złota, zegarków. Kobiety wciągano do domów opuszczonych, skąd dochodziły nas krzyki, odgłosy walki, często strzały.
Na Zieleniaku ustawiono nas w wielki czworobok i czekaliśmy na coś, o czym nikt nie wiedział. O ile dni były gorące, o tyle noce zupełnie zimne. Byliśmy głodni. Nie każdy wziął z domu zapas chleba. Wody nie było. Kto miał wodę,

sprzedawał ją po 200 zł za litr. W nocy ciągła strzelanina. To Ukraińcy strzelali do kobiet, które się broniły. Chodzili z latarkami, świecili w oczy i wszystkim zadawali to samo pytanie: 'Gdzie wasz mąż?', 'Gdzie syn?'. Jeśli odpowiedź padła, że został w Warszawie, od razu zabierano kobiety jako żony lub matki bandytów i gwałcono je, a potem zabijano. W nocy urodziło się dwoje dzieci. Rozległy się krzyki rodzącej kobiety i śmiechy pijanych żołdaków ukraińskich, którzy kołem otoczyli rodzącą kobietę i przyglądali się. Dzieci po urodzeniu się umarły. Kobieta też zdaje się zmarła. Na drugi dzień ludzie zaczęli jakoś się organizować. Ktoś zbudował z cegieł kuchnię, znalazły się garnki i stoły. Gotowano zupę, której porcja kosztowała 1 tys. złotych. Ukraińcy przypędzili parę krów i zaczęło się polowanie na krowy. Ukraińcy strzelali do krów ze wszystkich stron. Padali przy tym ludzie, ale co to szkodziło! (...) Ukraińcy strzelali nad naszymi głowami i bez przerwy gwałcono kobiety w biały dzień na oczach wszystkich. Jedną kobietę gwałciło 14 Ukraińców. Sceny z Zieleniaka widzę, jak sceny z jakiegoś koszmarnego filmu. Po czterech dniach pobytu na Zieleniaku przyjechaliśmy do Pruszkowa. Potem do Rozprzy, w której mieszkam u dobrych ludzi".

Świadek Wilkowa, lat 39, wykształcenie wyższe,
zamieszkała po Powstaniu w Podkowie Leśnej
protokołowała Irena Trawińska dnia 2 IX 1944 r. w Podkowie Leśnej

"Dnia 6 sierpnia 1944 r. do mieszkań naszych przy ul. Długiej nr 1/3, mieszk. 1 wdarli się tzw. Kałmucy, rzucając przez okna granaty ręczne i terroryzując mieszkańców. Wezwano nas do opuszczenia mieszkań, nakazując pozostawienie chorych, którzy prawdopodobnie zostali żywcem spaleni. (...) Przeprowadzono nas na tzw. Zieleniak przy ulicy Grójeckiej. Po drodze rewidowano nas kilkanaście razy, bijąc przy tym; rewidowano dosłownie wszędzie, obmacując całe ubranie, całe ciało, pod bielizną; odbierano kosztowności, scyzoryki, banknoty, które darto. Za opieszałe oddawanie przedmiotów nie tylko bito, ale zabijano. W moich oczach zastrzelono mężczyznę, któremu zaciął się pasek od zegarka. W drodze na tzw. Zieleniak żołdacy wyciągali z kolumny młode kobiety i wciągali je do domów dla celów orgii. Tak została wyciągnięta moja służąca, 18-letnia dziewczyna. Wprowadzona do domu, gdzie pełno było Kałmuków - była gwałcona przez 5 żołdaków na oczach innych, przyglądających się; gdy krzyczała, wetknięto jej do ust suchary; gdy zaczęła błagać, by ją zabito, jeden z żołnierzy odprowadził ją na Zieleniak. Niektóre z wyciągniętych dziewcząt powracały po 3 dniach. Na Zieleniaku przebywałam od niedzieli do wtorku włącznie. Najgorsze były noce, w czasie których żołdacy z latarkami wyciągali kobiety w różnym wieku od 12 do 50 lat; matki oderwane od dzieci, kobiety w ciąży, matki z córkami razem, które bijąc, pod groźbą rewolwerów ciągnęli pod mur, otaczający Zieleniak, gdzie poddawali gwałtom i najdzikszym orgiom.
Siedząca w pobliżu nas na Zieleniaku jakaś pani, usiłując obronić przed zgwałceniem dwie swoje córki, 16-17-letnie dziewczęta, uległa sama bez oporu gwałtowi, błagając tylko, aby nie ruszano jej dzieci. W rezultacie tzw. Ukraińcy pastwili się nad nią w dwudziestu - jeden po drugim - i dziewczęta gwałcili w jej oczach. Wszystkie trzy straciły przytomność; gdzie je zawleczono potem i co się z nimi stało - nie wiem. Nocy tej na terenie Zieleniaka grasowali głównie żołdacy tzw. Ukraińcy.(…)"

Świadek Andrzej Jaskólski, lat 28, introligator,
zamieszkały w Warszawie, ul. Barska 20
protokół spisany dnia 23 XI 1944 r.

"Jak byłem na Zieleniaku w dniu 2 VIII 1944 r. , widziałem na własne oczy, jak niemiecki kapral pokazał Ukraińcowi chodzącego po placu siedmioletniego chłopca. Ukrainiec wziął chłopczyka za szyję i wyniósł za druty, gdzie go zabił uderzeniami kolby rewolweru w głowę. Trupa Ukrainiec ten zostawił za ogrodzeniem. Więcej się nie przyglądałem, bo byłem przestraszony".

Widok Warszawy, tej umiłowanej i pięknej był straszny. Jeden wielki pożar pięknych i wspaniałych domów i budowli. Wszędzie gorąco i duszno a żar buchał na ludzi wypędzonych i przebywających na zieleniaku.
W tym czasie miała miejsce zaplanowana likwidacja Getta Warszawskiego. To był okropny widok i żal ściskał każdego, że w tej żydowskiej niedoli nawet Getto zostało doszczętnie zniszczone. A tak niedawno widziało się jeszcze tam życie, akcje humanitarne ludności warszawskiej, podkopy pod murami z bohaterską odwagą dzieci i nie tylko przenosiły pomimo straży jakieś paczuszki i zawiniątka, chyba z żywnością. Z tą chwilą prawie nic co żydowskiego nie pozostało w Warszawie. Pisze się teraz wiele o antysemityźmie. Kiedy warszawiacy widzieli te przypadki bezinteresownej pomocy żydom, to nie wierzę, że w polskiej mentalności może być takie podejście. Wiele na ten temat opisuje Szpilman w swoich wspomnieniach wydanych w książce pt. ”Pianista”.

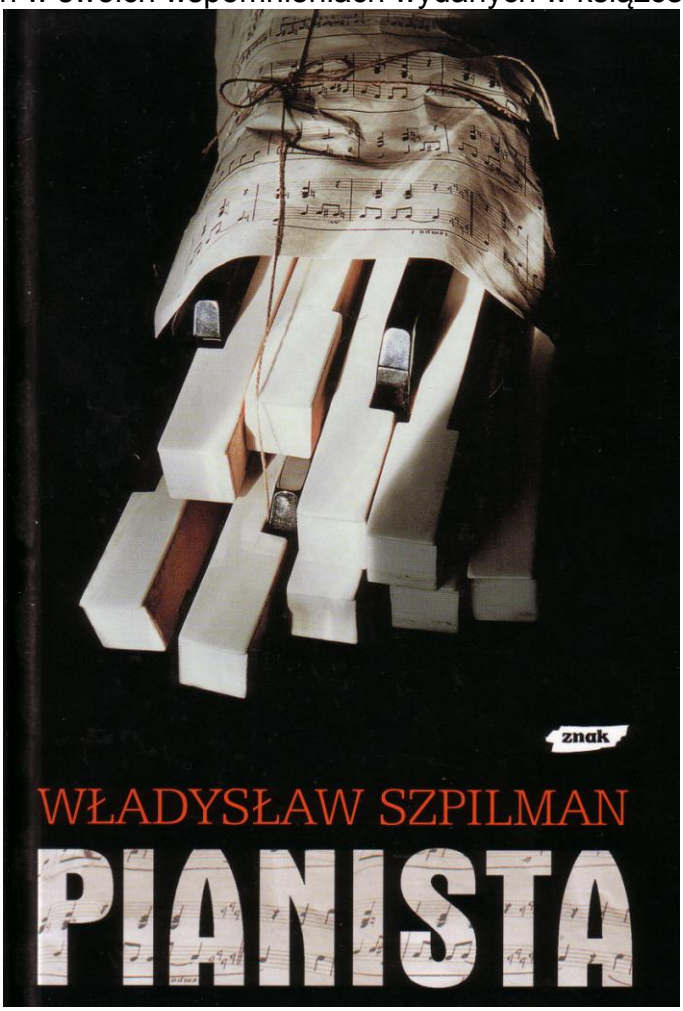

Czytając te wspomnienia odtwarzałem sobie te opowieści mamy z tego okresu i serce znów ściskało i bolało, bo to również i mnie dotyczyło. Wspomnienia odżywały także, kiedy pisałem uzasadnienia do wniosku o odszkodowanie za pobyt mój w obozie przejściowym w Pruszkowie. i kiedy otrzymałem list od mojej matki chrzestnej z Warszawy korygujący moje notatki i wspomnienia z tego okresu okupacji.
Największe trudności dla wypędzonych ludzi było zdobycie żywności a głównie wody do picia, wobec szalejącej spiekoty i żaru bijącego z nieba oraz w związku z pożarami. Istna gehenna i tragedia. Małe dzieci i niemowlaki nie rozumiały sytuacji i głośnym płaczem manifestowały swoje pragnienia. Około dziesięciu dni przebywaliśmy wraz z wielką rzeszą na tym placu wysypanym żużlem z Gazowni
Wieża została wybudowana w 1888 r. i była eksploatowana do 1992 r. , walcowy zbiornik umieszczony na wysokości 20 m nad terenem miał pojemność 110 m^3.

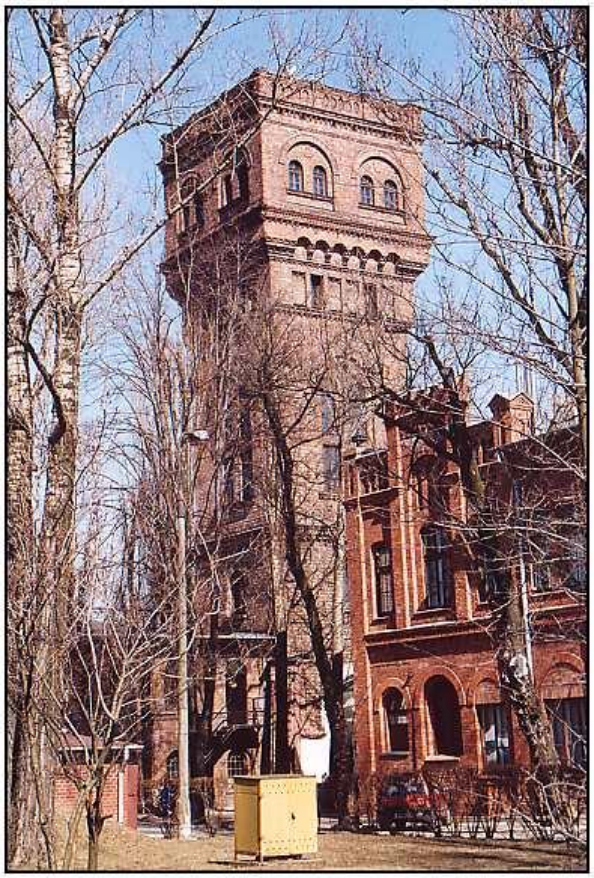

Zdjęcia zrobione w marcu 2003 r :
Gazownia na tym placu oraz na sąsiednim placu targowym tzw. zieleniaku zgromadzono ludność Warszawy po Powstaniu Warszawskim, zanim wszystkich wysiedlono do obozu przejściowego do Pruszkowa.

Ziemniaki i inne wiktuały zdobywano podstępem, narażając siebie na śmierć, ponieważ wszyscy byli pilnowani przez Niemców. Któregoś dnia złapano grupkę odważnych młodych ludzi, którzy usiłowali zdobyć żywność dla pozostałej ludności i natychmiast gdzieś zabrano ich i podobno wywieziono do Oświęcimia. Memu ojcu udało się uniknąć wywózki do obozu, ponieważ trzymał na ręku wciąż małe dziecko a długie włosy nie strzyżone opuszczone na twarz sugerowały Niemcom iż jest to kobieta, bo jedynie kobiety szczególnie z małymi dziećmi nie zaczepiano i legitymowano.
Odzienie też często zmieniał na kobiece. Był on zresztą chyba jedyny w tej grupie wypędzonych kobiet.

Wypędzenie ludności. Pobyt w obozie w Pruszkowie. Koniec wojny. Powrót w rodzinne strony

Nastąpiło potem pędzenie tej zgromadzonych na różnych placach Warszawy tłumów do obozów. Były to akcje zamierzone przez Niemców, ponieważ wyludniali Stolicę przed jej unicestwieniem. Myśmy trafili do ludzi pędzonych w kierunku Pruszkowa. Trafiliśmy do obozu w Pruszkowie, i przez to uniknęliśmy wywózki do Oświęcimia. W tym czasie spotkaliśmy całkiem przypadkowo naszych krewnych, którzy też znaleźli się w okupowanej Warszawie a więc : z ciocią Genią i jej dwoma synami Kazikiem i Jurkiem, ciocią Marią oraz wujkiem Idzim z Torzeńca bratem mojej Mamy. Pędzeni byliśmy na dworzec Zachodni w towarzystwie owej tajemniczej pani Bogulińskiej, która nie odstępowała od nas na krok. Podczas tej wyczerpującej siły i zdrowie wędrówki, zdarzył się cud, bo inaczej nie można wytłumaczyć tego zdarzenia a jedynie w kategorii cudu. Oto nieoczekiwanie gdzieś z góry spadła na nas wielka poduszka z pierzem jeszcze względnie czysta Okazało się że z parowozu pociągu stojącego na wysokim nasypie kolejarz Polak a może Niemiec na widok kobiety z niemowlęciem na ręku, wzruszył się do tego stopnia że zdobył się na ten gest dobroczynności. Poduszka była wypchana pierzem. Rodzice transportowali nas w kartonach z gazetami. Od tej chwili dzieci były przykryte prawdziwą poduszką z pierzem. Czy to nie cud? a mówią, że cudów nie ma. Po wielu dniach poniewierki zakwaterowano ludzi w obozie w Pruszkowie. Były to olbrzymie hale produkcyjne i warsztaty remontowe.

Jak to w halach produkcyjnych podłogi zaoliwione, betonowe, ściany wilgotne z zaciekami, szyby w oknach powybijane, dach dziurawy, żadnych „wygód" ani toalety. Wody do picia też było brak a z kałuży nie wolno było brać wody bo to groziło wybuchem epidemii. Straże pilnowały obozowiczów, a pożywienie trzeba było podstępem zdobywać w różny sposób. Dla matek z małymi dziećmi na rękach wydawano wodę do picia i jakieś placki niewiadomego pochodzenia, które pieczono na gorącej blasze. Ludzie byli rozlokowani bezpośrednio w tych halach siedząc na betonie. i smarach, Każdy miał ograniczone miejsce i plac ponieważ ludzi było bardzo wielu.
Dokładnie pokazano ową tragedię w filmie „Zakazane piosenki „. Jakież musiało wywrzeć wrażenie na mojej matce oglądanie tego filmu. Sceny te pokazano dość wiernie w tym filmie. Znów odżyły dawne emocje Bardzo realistycznie jak wspominała matka oddano grozę tego czasu w filmie pt. "Kanał" Wzruszenie było wielkie. Było to być może powodem, że znów matka siadała do stołu, aby pisać wspomnienia z tych ciężkich chwil, ponieważ ustawicznie ją o to prosiłem Nawet i mnie udzieliły się emocje, kiedy oglądałem ten film i słuchałem opowiadań mojej matki. Ciekawe są różne reportaże emitowane w telewizji z tego okresu. Wchłaniam je i na swój sposób przeżywam.
W obozie tym o dziwo spotkaliśmy również ciocię Genię oraz dwóch jej synów Jurka i Kazika oraz mojego kuzyna Mieczysława Malinowskiego i innych krewnych i znajomych, których los zastał w Warszawie. Mimo niechybnego zbliżania się końca wojny Niemcy nie dawali za wygraną. Ciągle były czystki i wywózki do obozów zagłady, szczególnie tych, którzy próbowali uciec. Wielu odważnych próbowało ze skutkiem organizować w tym obozie ucieczki, głównie nocą dachami i przez wysokie ogrodzenie fabryczne. Pomoc pani Bogulińskiej tego przyszywanego Anioła Stróża była dla nas nieoceniona. Była to pomoc

bezinteresowna i wielce tajemnicza Nic o sobie wielce nie mówiła. W zdobywaniu żywności i wody ciągle posługiwano się nami, ponieważ z dziećmi było to możliwe w tym obozie.
Niemcy nie dopuszczali do korzystania z wody z przypadkowych miejsc np. z kałuży po deszczu i takich przyłapanych śmiałków natychmiast rozstrzelano. Woda z deszczu, gromadzona w beczkach mogła przecież służyć ludziom do mycia i prania, a to było niemożliwe. Często urządzano czystkę wśród mężczyzn. Zabierano ich chyba do obozu pracy lub do obozu zagłady. Memu ojcu ciągle się jakoś udawało. Stosował bowiem tę samą technikę maskowania i ukrywania się, ku wielkiej złości innych kobiet otaczających naszą rodzinkę. Płakałem nocami bo byłem głodny. Moja siostra mniej, ponieważ była wątłego zdrowia i nie miała siły to robić. Współwięźniarki krzyczały „udusić tego bękarta, bo chcemy spać". Trudne wtedy chwile przeżywali moi rodzice. Te twarde okropne „szwabskie imię" też ich drażniło. Pieluchy suszone były na plecach mego ojca, natomiast spałem na jego piersiach, ponieważ nie można się było położyć, z uwagi na ograniczone dla każdego miejsce. Tylko pozycja siedząca była możliwa w tym obozie w celach odpoczynku. Nocami truchlano, ponieważ ciągle te ucieczki odważnych śmiałków. Jedynie cienie było widać kiedy oni umykali cichcem dachami.W końcu przetransportowano nas kiedyś do Łowicza i do obozu w Małszycach, gdzie przebywaliśmy do lutego czyli do momentu wyzwolenia Warszawy. W tym czasie nie wiadomo jak i dlaczego znikła ta dziwna i tajemnicza kobieta –nasz Anioł Stróż. To nagłe zniknięcie tej pani jeszcze bardziej utwierdziło moich rodziców, że to był posłaniec z niebios. Czy teraz po tylu latach żyje ktoś z jej rodziny, aby się z nimi podzielić wspomnieniami ?. Bez środków do życia i w wielkim popłochu zdezorientowani uciekinierzy z obozu chronili się gdzie popadło. Myśmy udali się do pobliskiej wioski podłowickiej do Niespuszy. Przyjęła nas pod dach wielodzietna kobieta, która dla swej czelotki nie mogła zabezpieczyć pożywienia.
Ojciec natomiast ulokował się u sołtysa tej wioski niejakiego Maciaszczyka i tam tez wkrótce ciężko zachorował na zapalenie płuc. Matka zmuszona była po wioskach szukać nie lekarza, bo go po prostu nie było, lecz lekarstw. Jakoś „cudem boskim „jak mawiała udało się wyjść ojcu z tej choroby. W wiosce tej pieczono dla wszystkich uciekinierów placki z kartofli i buraków, a kto miał małe dziecko, miał pierwszeństwo. Brano nas znów do kolejki i tak zdobywano pożywienie. Któregoś dnia jakaś pani zabrała moją siostrę do kolejki i ze zmęczenia dziecko to obsunęło się na rękach i dotknęło paluszkami gorącego pieca, w wyniku czego doznała ta kruszynka poparzenia i ślady do dziś pozostały na jej rękach na pamiątkę.
Z Błonia otrzymaliśmy niespodziewanie od stryja Jana jakieś paczki z używaną odzieżą, które nas ratowały w zimne dni, bo właśnie był to koniec zimy roku 1945.
W końcu przyszedł czas, kiedy pociągiem przedostaliśmy się do Łodzi, gdzie spotkaliśmy się znów z ciocią Marią i Genią/ to ta której męża rozstrzelano na Pawiaku/. Z kolei w Łodzi jakiś miłosierny maszynista parowozu przewiózł nas parowozem do Zduńskiej Woli. Tam udało się upiec znów jakieś placki w warsztatach. I tak sposobem, aby tylko przeżyć i dostać się w rodzinne strony do swoich tzn. do Ostrzeszowa.

Po kilku dniach wędrówki udało się nam dotrzeć pociągiem do Ostrowa Wlkp. Podczas tego transportu akurat niebiosa zasypywały świat śniegiem o wyjątkowo grubych i dużych płatkach. Był tak dokuczliwy że jedynie żarliwa modlitwa powodowała że przetrzymaliśmy najgorsze i szczęśliwie dotarliśmy do rodzinnego miasta i zaczęło się budowanie na nowo ogniska domowego, bo przy pomocy rodziny i znajomych można było coś zdziałać, aby przeżyć i się urządzić.

Wnętrze kaplicy prymasowskiej w Warszawie ul. Narbuta rok 1957 Kościół pw. św. Andrzeja Boboli

Będąc maleństwem mogę tylko dziękować Bogu że nie dane mi było przeżywać te ciężkie chwile okupacji świadomie musiałem posłużyć się zapiskami i opowiadaniem mojej matki i wujka Jasia z Warszawy. Za życia ojca też dużo dowiedziałem się, bezpośrednio z jego ust i dokumentacji fotograficznej.
Niedawno w dodatku do Gazety Wyborczej natknąłem się na wspomnienia Magdy córki Stanisława Dygata, wzruszające wspomnienia i szczere. Znów przywołały we mnie myśl o napisaniu swoich wspomnień nie tylko z okresu okupacji, lecz wspomnienia także z lat powojennych, tych które pamiętam od roku 1945 aż do roku jubileuszowego 2000 i do obecnych lat.
Matka moja zawsze marzyła aby nie tylko zobaczyć odbudowaną Warszawę, lecz także spotkać się jeszcze z tymi ludźmi z którymi przeżywała ciężkie chwile okupacji. Planowałem zrobić jej niespodziankę i doprowadzić do takiego wyjazdu. Napisałem nawet list do Stanisława Dygata do Warszawy, lecz akurat w dniach, kiedy list docierał do adresata, a może już zdążył go przeczytać, przyszła nagle wiadomość, że zmarł pisarz i nawet pomyślałem sobie ż tę śmierć wywołałem tym listem wspomnieniowym. Było to dla mnie wielkim szokiem i przedziwnym zbiegiem okoliczności. Dlatego też artykuł w gazecie

wywołał we mnie pragnienie nie tylko napisania wspomnień, lecz także ponownego kontaktu z rodziną państwa Dygat, o którą będę zabiegał.
Ciocia Maria po wojnie życie swoje związała nie tylko z rodzinnym Ostrzeszowem, ale większość życia spędziła w Warszawie przy rodzinie Państwa Tarkowskich z ulicy Traugutta, wychowując wpierw Krzysztofa przyszłego profesora nauk biologicznych i „noblistę" japońskiej nagrody „Japan Prize" za swoje osiągnięcia naukowe a potem jego córkę Monikę, która była rówieśniczką moich dzieci i często bywała u swej Pani w Ostrzeszowie. Kiedy ukazała się w prasie informacja o osiągnięciach naukowych i nagrodzie profesora Tarkowskiego znów odżyły moje wspomnienia, ponieważ osobiście go znałem i całą rodzinę. Nie mogłem więc powstrzymać się, aby nie złożyć szczerych gratulacji temu człowiekowi.
Po latach wielu tj. w roku 1958 odwiedziłem moją Warszawę i zastałem ją odbudowaną i piękną a z moją ciocią Marią przy jej pomocy zwiedziłem wszystkie miejsca, gdzie moja mała nóżka stąpała, gdzie moi rodzice mieszkali i mimo że byłem wtedy nieświadom co się ze mną dzieje, bo przecież miałem tylko 2 latka to jednak na swój sposób przeżywałem i serce mi mocniej biło. Odwiedziłem też moją matkę chrzestną na Elektoralnej. Zacną panią Reginę Drzewiecką, która nie wiem do dziś dlaczego od razu w wejściu wymieniła moje imię. Robiłem zdjęcia, kupowałem widokówki i tak przeżywałem Z tego okresu zachowało mi się własnoręcznie wykonane zdjęcie nie tylko kaplicy Św. Andrzeja Boboli kaplicy prymasowskiej, ale też zdjęcie prymasa tysiąclecia kardynała Stefana Wyszyńskiego podczas odwiedzin

Warszawa Kaplica Prymasowska ul. Narbutta Byłem tam podczas kiedy prymas Wyszyński sprawował eucharystię i właśnie zrobiłem mu zdjęcie na pamiątkę Był to rok 1957 czerwiec

Budowanie nowej rzeczywistości po wojnie. Pobyt na Leśniczówce u wujostwa w Lesznie Dolnym koło Szprotawy.

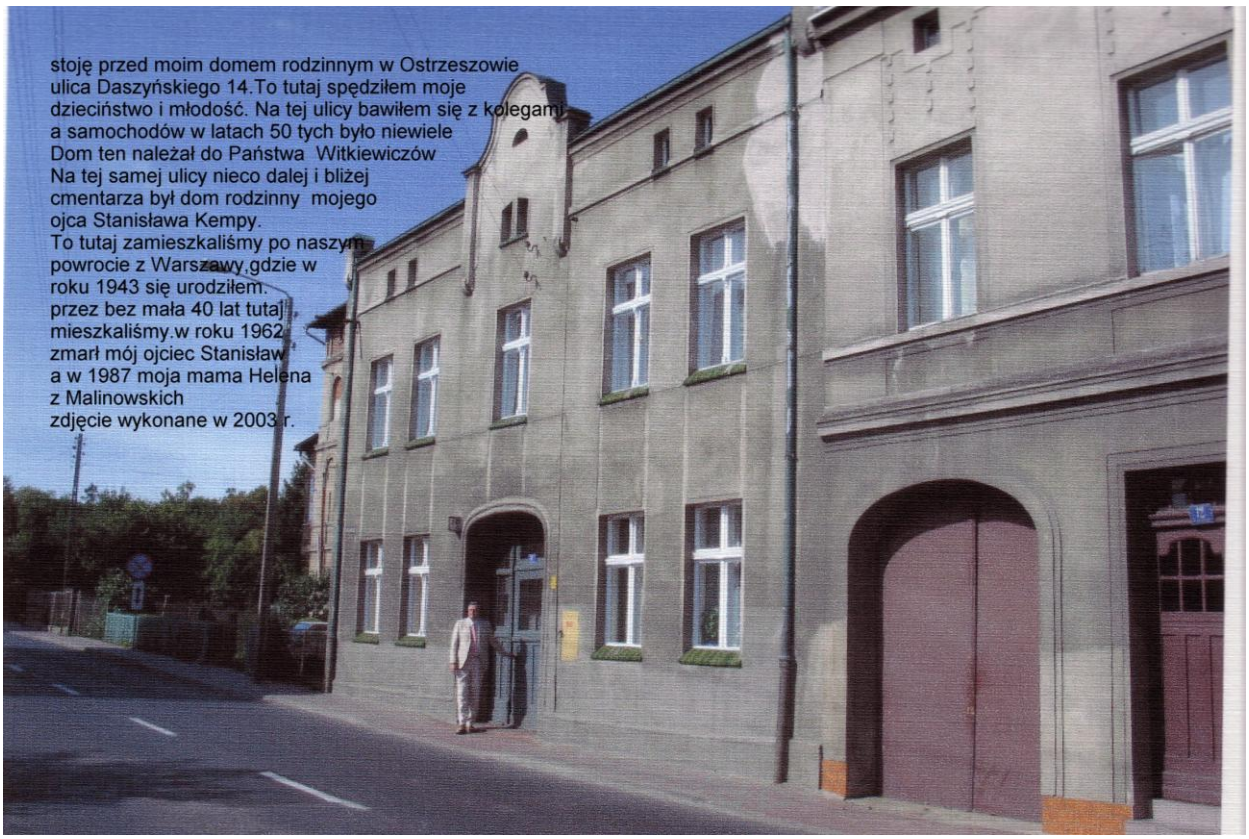

Bez środków do życia „goli i bosi” rodzice rozpoczęli egzystowanie i budowanie nowej rzeczywistości powojennej, powróciwszy z Warszawy w rodzinne strony do Ostrzeszowa.

Liczba mieszkańców / Population (30. 06. 2003 r.):
Gmina / Commune - 23.555
W tym miasto / incl. the town - 15.028
Powierzchnia / Area:
Gmina / Commune - 187 km²
W tym miasto / incl. the town - 12 km²
Ilość / Number of::
Wsi / Villages - 21
Sołectw / Village districts - 20

Rynek / Market square

Krajobraz w Olszynie / A landscape in Olszyna

Leśna droga do Rogaszyc / A forest path leading to Rogaszyce

Zarys historii

Wykopaliska potwierdziły, że przez sadę Stary Ostrzeszów, przebiegał w czasach tarożytnych szlak bursztynowy. Kilka kilometrów kierunku południowo-zachodnim od tej osady okalizowano Ostrzeszów. Obecnie nie można dnoznacznie określić daty nadania praw iejskich. Najprawdopodobniej było to w latach 261 - 1283. W roku 1283 miasto Ostrzeszów ostało przekazane pod jurysdykcję Kalisza. okalizacja na pograniczu Śląska i Wielkopolski rzyczyniła się do wybudowania zamku obronnego a czasów Kazimierza Wielkiego (I poł. XIV w.). o dnia dzisiejszego ze zniszczonego zamku ozostała tylko baszta - punkt widokowy wysokości 24 m.

ajstarszy kościół został ufundowany przez azimierza Wielkiego. Jest to Fara, której budowę zpoczęto w 1353 roku. W ostatnich 2-ch latach nowiono freski zdobiące ściany kościoła. Freski zostały ufundowane przez mieszczan. ochodzą z okresu od XIV do XIX wieku. haraktерystycznymi motywami namalowanymi na skach są sceny z piekła oraz postacie diabłów. 1373 roku rozpoczęła pracę komora celna, z roku 1383 pochodzi pierwsza wzmianka powiecie ostrzeszowskim zamieszczona dokumencie Księcia Władysława Opolczyka. 1393 roku Ostrzeszów został przyłączony jako asto królewskie do Wielkopolski. Szybki rozwój asta został zahamowany w 1456 r. przez wielki żar. Jednak następujące czynniki : położenie na akach handlowych Śląsk - Poznań oraz Wrocław oruń i organizowanie licznych jarmarków

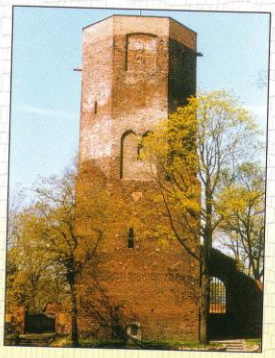

Basza / The Keep

Kościół farny / Parish Church

History outline

Excavations have confirmed that in ancient times the settlement called Old Ostrzeszów lay at the famous amber route. Ostrzeszów was located a few kilometres south-west of this settlement. Nowadays it is impossible to precisely determine when it became a town. Most probably it happened between 1261 and 1283. In 1283 the town of Ostrzeszów was submitted to the jurisdiction of Kalisz authorities. As the town was situated on the border between Silesia and Wielkopolska, a fortified castle was built there during the reign of King Casimir the Great (1st half of the 14th century).

Nowadays the last remnant of the castle is a keep a viewpoint 24 m above the ground.

The oldest church, founded by Casimir the Great in 1353, is the Parish Church. The newly restored frescos decorating the church walls date from the 14th to 19th centuries and they were founded by the townspeople. The characteristic motifs painted in the frescos are devils and scenes from hell.

A customs chamber was opened in the town in 1373 and the first mention of Ostrzeszów district dating back to 1383 appeared in Duke Władysław Opolczyk's documents. As a royal town, in 1393 Ostrzeszów was incorporated into the province of Wielkopolska. The quick development of the town was restrained by a big fire in 1456. However, as Ostrzeszów lay on the merchants' route from Silesia to Poznań and from Wrocław to Toruń, fairs held there helped to reconstruct the town. In 1633 the

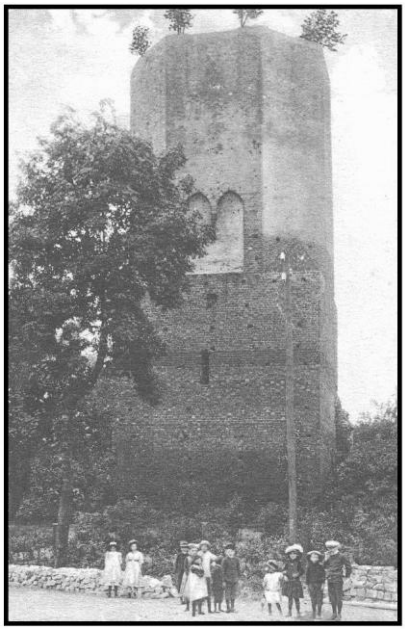

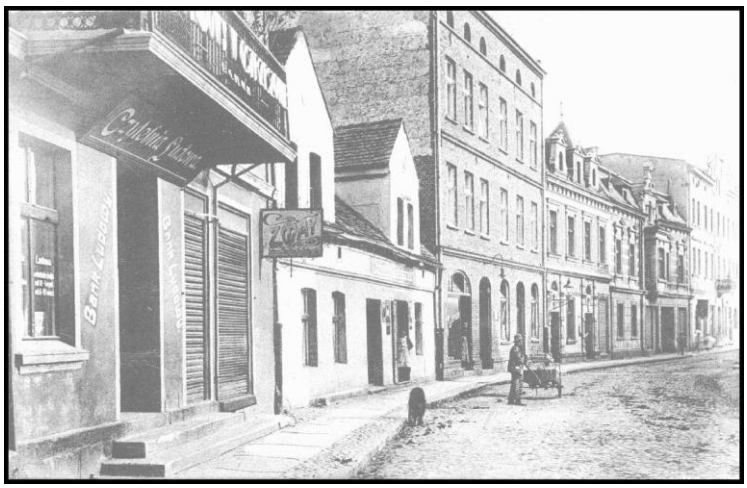

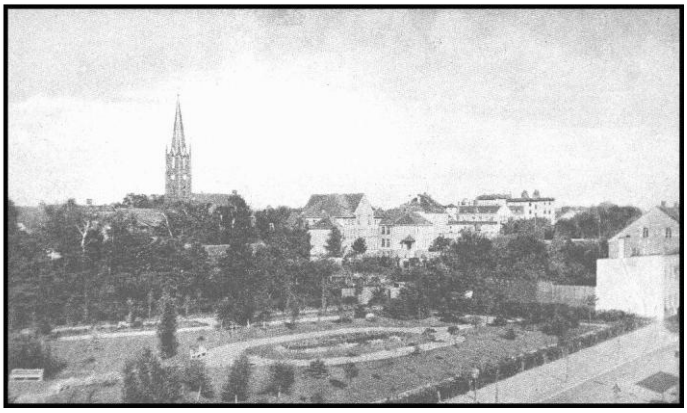

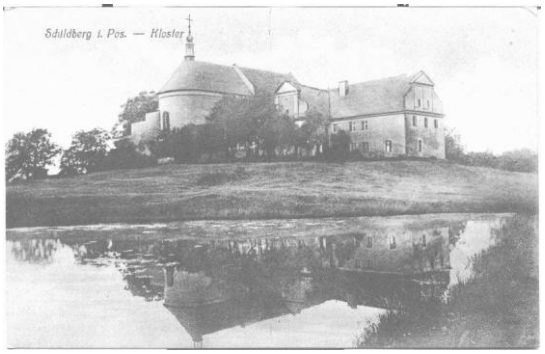
Schildberg i. Pos. — Kloster

Domy na peryferiach tego miasteczka willowe były puste, pełne mebli i z wyposażeniem. Opuszczone przez rodziny niemieckich funkcjonariuszy i urzędników z okresu okupacji domy można było bez problemu zająć. Niestety decyzją babci Rozalii –matki mego ojca kobiety energicznej o zabarwieniu despotycznym musieli rodzice zamieszkać w bezpośrednim sąsiedztwie domu ojców tuż przy cmentarzu na ul. Ogrodowej później ulica Daszyńskiego 17

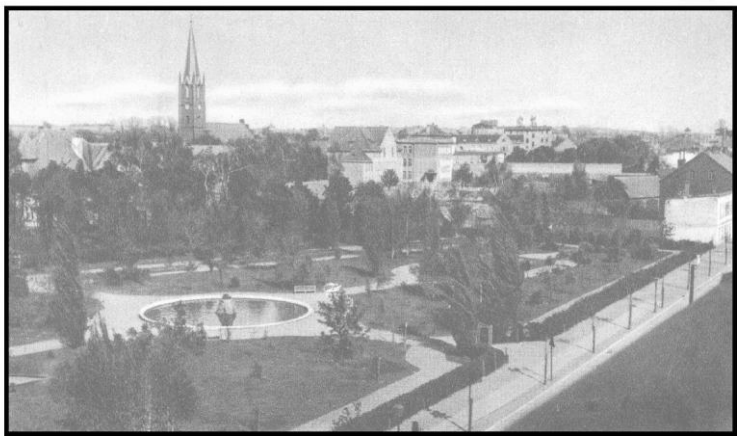

Dom ojców był ich własnością, lecz tylko do wybuchu wojny. Kupili go po powrocie z zachodu, gdzie mieszkali i pracowali przed I wojną światową. Po II wojnie światowej niestety, pieniądze pochodzące ze sprzedaży tego domu ulokowane w Komunalnej Kasie Oszczędności w Kępnie przepadły i odtąd mieszkali w swoim domu już sprzedanym jako lokatorzy z innymi właścicielami. Rodzice natomiast zamieszkali na tej samej ulicy pod numerem 14 w czynszowym mieszkaniu. państwa Witkiewiczów. Za nie płaciło się gospodarzom tzw. komorne.

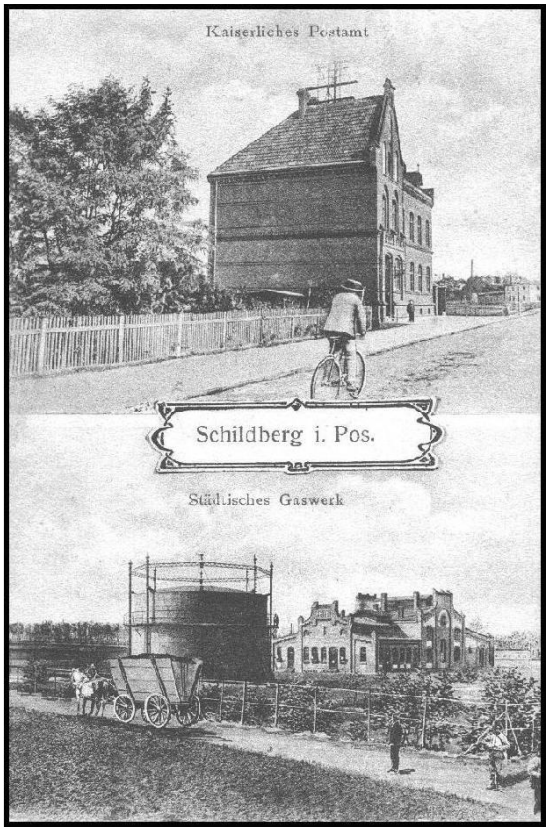

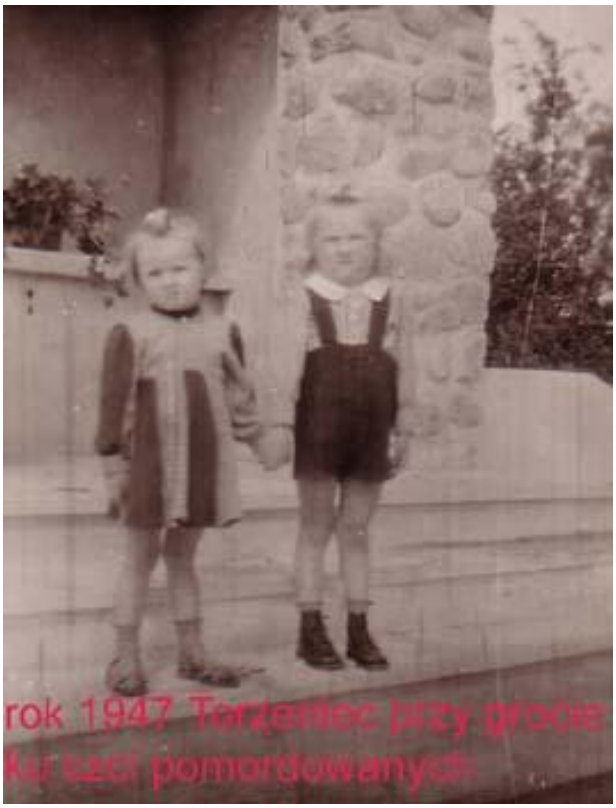

Zaraz po wojnie powędrowaliśmy na jakiś okres na wioskę do Torzeńca do domu wujka Idziego i cioci Stanisławy gdzie spędziliśmy miłe chwile i gdzie Danusia została ochrzcona w kościółku w Wyszanowie.
Potem jeszcze kilka razy odwiedzaliśmy ten otwarty dom wujka Idziego.

Torzeniec rok 1945
roczek ma Danusia

rok 1946 z Danusią

rok 1946 na leśni
czówce u wujka
ja Danka Jerzyk i Narcyz

rok 1953 wujek Idzi buduje sobie
dom w Torzeńcu

rok 1947 z wujkiem Idzim

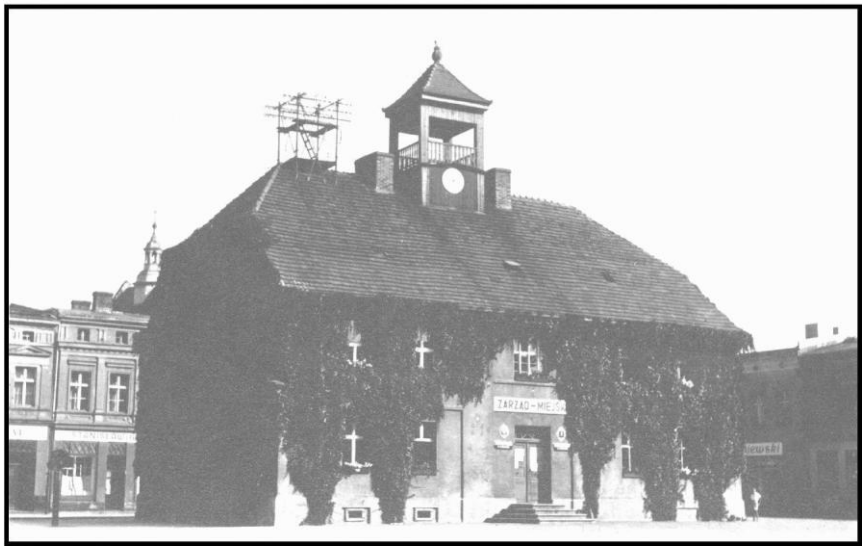

P. Urbańska.

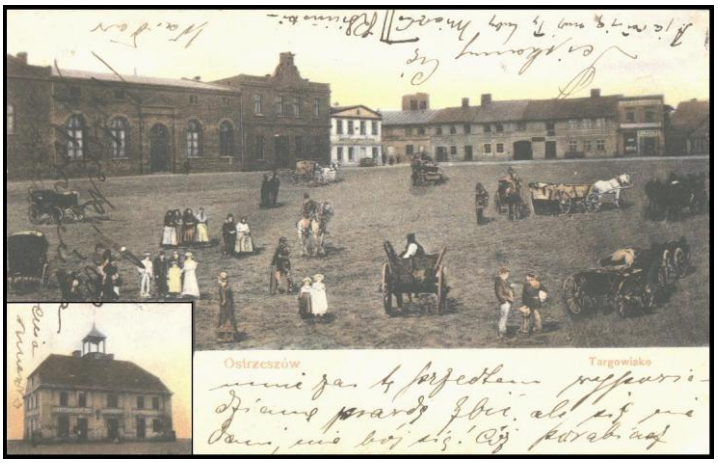
Ostrzeszów
Targowisko

Schildberg
Bahnhof-Straße
Hôtel Kaiserhof.
29420

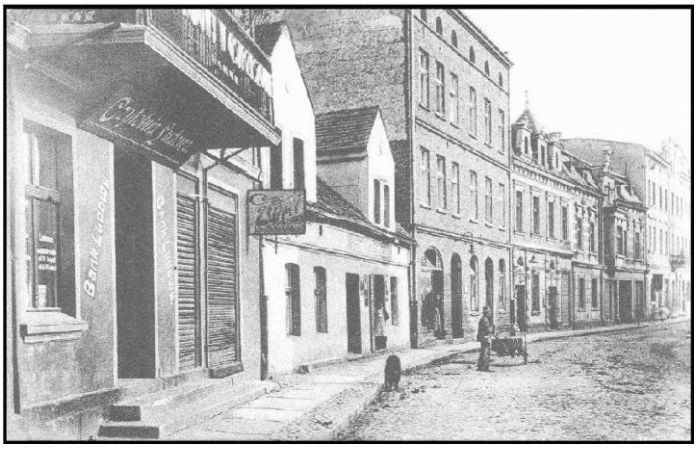

Torzeniec obecnie stoję orzed zabudowaniami po wujku Adamie. Jest to autentyczna ojcowizna. Zostało niewiele: stodoła i chlewy oraz płoty no i drzewka, które są olbrzymie

Brat matki Franciszek Malinowski –leśniczy podjął służbę pionierską z nakazu na Ziemiach Odzyskanych na Leśniczówce w Lesznie Dolnym koło Szprotawy.

Kierowany litością i dobrym sercem zaproponował nam pomoc i opiekę i pobyt do czasu unormowania się naszego życia rodzinnego. Bez chwili zastanawiania rodzice przystali na tę propozycję i przez większą część roku byliśmy gośćmi wujostwa Na tej Leśniczówce było nam dobrze, a my małe dzieci wraz z nieco starszymi kuzynami Narcyzem i Jurkiem mieliśmy dużo swobody i bawiliśmy się wspólnie, a swawolom i figlom nie było końca. Pamiętam że starszy z kuzynów Narcyz miał wtedy iść do szkoły i pod ukradkiem wspólnie na sianie w stodole, oglądaliśmy nowy elementarz ze sztywnymi okładkami. Był to znany i powszechnie lubiany elementarz Falskiego. Z wielkim podziwem patrzyłem na niego, kiedy czytał nam małym pojedyncze literki i chyba udawał że umie czytać

całe wyrazy Podziwiałem go że jest taki mądry i dojrzały. Był dla nas młodszych prawdziwym autorytetem. Dziś obaj kuzynowie to geodezyjni fachowcy i bardzo mądrzy, ukończyli studia a starszy nawet habilitował się na uczelni we Wrocławiu, gdzie ma wykłady ze studentami w swojej dziedzinie.

Wujek Franuś o gołębim sercu, radosny o nienagannych manierach w mundurze leśniczego ze lśniącymi guzikami i skórzaną „uprzężą" wyglądał dostojnie i wspaniale. Był to prawdziwy, dobry wujaszek, który nie szczędził środków aby się szczególnie dzieciom podobać. Zawsze zabiegał o ich względy. Całe życie sumiennie przepracowane a w rodzinie swojej był szczególnie mile widziany, ponieważ cały swój urlop każdego roku poświęcał na odwiedzenie swojej wielkiej rodziny. Był też często mediatorem w sporach i przeróżnych problemach rodzinnych. Udawało mu się często godzić strony zwaśnione. Tryskał zawsze humorem. W towarzystwie był duszą rozbawiającym i prowodyrem do zabawy i śpiewów. O tych jego odwiedzinach napisze nieco później.

Ciocia Władka była bardziej energiczna i surowa. Rządziła całym domem i nami i despotycznie egzekwowała od każdego wykonania swych poleceń. Któregoś dnia wynikła wielka awantura. Zostaliśmy my dzieci posądzeni o zgubienie noża, jedynego dużego, niezbędnego w tym gospodarstwie, bez którego „była jak bez ręki" a małym nożem nie wszystko można było wykonać, a jedynie taki tylko został. Wszyscy byliśmy załamani i nie wiedzieliśmy co robić i gdzie go szukać. Matka modliła się jak zwykle do swojego świętego Antoniego mniej więcej tak „Święty Antoni Padewski, oblubieńcze niebieski, niech Twa sława nie przeminie, niech ma prośba nie zaginie. " i tu wymieniała o jaką zgubę chodzi. Mówiła ciągle, że do tej pory nigdy się nie zawiodła i wszystko się jakoś

dziwnym trafem znajdywało. Tak było i tym razem. Jeszcze raz potwierdziło się, że w modlitwie jest szansa na odnalezienie. Poszliśmy wszyscy szukać i do nocy nie udało się go znaleźć. Dopiero na drugi dzień matka znalazła go utkniętego w rzędzie kapusty za domem w ogródku. Okazało się, że ciocia Władka wycinając kapustę na obiad, zostawiła go i zapomniała zabrać. Szczęśliwi a zarazem dumni, że nie była to nasza wina, przeprosiny cioci nie dawały wystarczającego uspokojenia, bo bezgraniczne było zdenerwowanie naszej mamy.
Korzystaliśmy w tym czasie z runa leśnego czyli jagód, borówek, grzybów i to najszlachetniejszych do samych prawdziwków kurek, rydzów, kozaków i maślaków. Ojciec mój pracował wpierw jako pomocnik leśniczego a potem w swoim zawodzie w Wojskowym Zakładzie Budowlanym chyba w Legnicy wśród wojska radzieckiego w budujących się masowo koszarach i całych osiedli dla rodzin wojskowych.

Stamtąd kiedyś przywiózł mi ciekawe eksponaty ; do noszenia na zimę „bobę ruską „żołnierską wojsk radzieckich z kożuszkiem karakułowym i czerwoną małą gwiazdką na czole. Gwiazdka ta zaraz musiała być zlikwidowana, ponieważ noszona zdradzała swe pochodzenie i mogła być sprofanowana. Miałem więc ją jako ozdobę i pokazywałem ja kolegom w ukryciu. Ponadto przywiózł mi uchwyt do paska żołnierskiego, służący do zawieszania manierki z wielką „glapą „niemiecką.
Manierkę zawieszało się na jej szponach. Wykonana z brązu była lśniąca. Na biurko lub stoliczek otrzymałem odlew żeliwny z orłem już nie niemieckim lecz staropolskim na przybory do pisania i atrament. Ojciec zresztą ciągle zaskakiwał nas, kiedy wracał na niedzielę z delegacji do domu różnymi

niespodziankami i nowościami do zabawy i ubioru. Były to zawsze atrakcyjne rzeczy, a często inne dzieci tego nie miały. Przywoził nam to mówiąc że „są to niespodzianki z wielkiego świata „O tych niespodziankach napiszę nieco później.
Jako ciekawostkę w tym miejscu podam, wspominając rzeczy i ubrania, że matka na ciuchach będąc jeszcze w Warszawie zakupiła spódnicę, pamiętam taka różową grubo tkaną na zimę, wykonaną z oryginalnych ludzkich włosów. Przemycona była od żydów z Getta. Badanie włosa polegało na przeciąganiu go między paznokciami i powodowaniu jego skręcenie. O ile skręcał się to był prawdziwy. Niemcy wykorzystywali wszystko co pochodziło od ludzi, aby się wzbogacić, a w obozach zagłady ginęło wielu niewinnych w imię niemieckiego „Arbeit macht Frei „. W tym miejscu nie mogę się oprzeć aby nie wspomnieć o reakcji mego kolegi z Niemiec Józefa, który mnie kiedyś odwiedził w Polsce a ja z nim zwiedzałem obóz zagłady w Auschwitz. Był on rówieśnikiem wojny, bo urodził się w roku 1939 we wrześniu a pochodził z Roth w Bawarii.

Zwiedzając dokładnie wszystkie pomieszczenia obozowe w pewnej chwili zatrzymał się przy gablocie i długo odczytywał jakieś dokumenty i nawet je filmował. Zdziwiony tym zbliżyłem się a on wytłumaczył mi że jest wielce wstrząśnięty pewnym dokumentem, z którego wynikało że właśnie włosy ludzkie były wysyłane do miejscowości gdzie on się urodził. Tam bowiem do dziś są duże zakłady włókiennicze. Tam właśnie z tych włosów wykonywano materiały. Długo nie mógł się z tego otrząsnąć i nawet nie miał ochoty dalej zwiedzać tego obozu zagłady.
Po powrocie z wielomiesięcznego pobytu u wujostwa na Leśniczówce do Ostrzeszowa rodzice zaczęli urządzać sobie nowe mieszkanie, wcześniej już wstępnie przez nich zajęte pod numerem 14 na ulicy Ogrodowej. Z tych wspomnianych willi niemieckich można było „wyszabrować” niektóre meble i wyposażenie, bo obecnie były bezpańskie. Otóż w naszym mieszkaniu znalazły się maszyna do szycia „singerka”, lustro kryształowe poziome, ustawione jednak w pozycji pionowej ze specjalną szafką z szufladami na kosmetyki, stół rozkładany olbrzymi, dębowy ciemny z ozdobnymi rzeźbionymi nogami, szafa garderobiana dwudrzwiowa z wielką szufladą, kuchnia –kredens z mnóstwem drzwiczek oszklonych i szuflad oraz cztery krzesła rzeźbione, obite skórą na siedzeniu. Piękne i bogate meble kiedyś stojące w wielkich salonach, teraz musiały stać w jednopokojowym mieszkaniu z wielka kuchnią u innych

użytkowników. Wszystko na Życzenie despotycznej babci Rozalii, a mogło być całkiem inaczej i dla nas wygodniej. Nieraz matka wspominała ze popełniła w życiu ten wielki błąd, że zgodziła się zamieszkać na ulicy Ogrodowej.

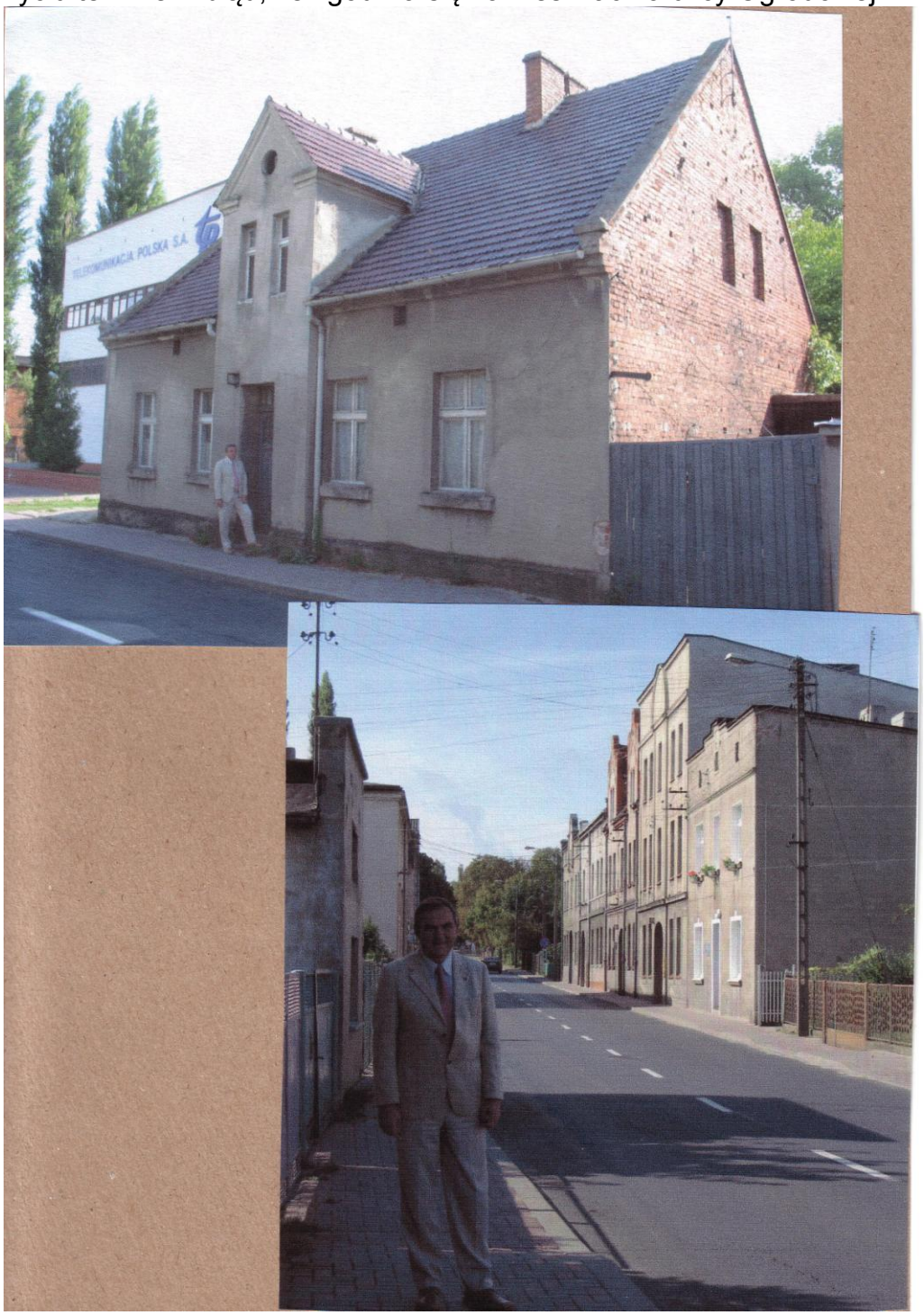

ul. Daszyńskiego i te dwa charakterystyczne domy: Nr. 14 to dom, w którym spędziłem dzieciństwo i młodość, w którym urodził się mój brat Janusz i nr. 17, w którym dzieciństwo i młodość spędzili mój ojciec, wujek Ludwik, wujek Edziu, wujek Franek i oczywiście wujek Jasiu i ciocia Maria wraz ze swymi rodzicami dziadkiem Franciszkiem i babcią Rozalią. Obecnie jest to tylko ruina i może się ktoś tym starym domem zainteresuje. Znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie cmentarza przy ul. Kościuszki 14

Mieszkanie bez wygód, bez wody i ubikacji, bez prądu. Posiadało jedynie gaz z

Gazowni miejskiej i piece na węgiel kamienny w pokoju kaflowy, a w kuchni do gotowania kaflowy z „fajerkami” i stalowy do ogrzewania. Woda była w sieni, natomiast ubikacje były na końcu podwórka tuż przy wejściu do ogrodu gospodarza. O tym przybytku nieraz jeszcze napisze w tych wspomnieniach.
Częste odwiedziny dziadków w naszym mieszkaniu z uwagi na bliskość obu domów powodowały, że na bieżąco wiedzieliśmy o uroczystościach i świętach zarówno kościelnych jak i narodowych, o zwyczajach i tradycjach panujących w tej rodzinie. Kiedy się wcześnie rano pojawiali, idąc do Kościoła lub z Kościoła to pewni byliśmy że to jest jakieś święto, czy należy coś w ramach tradycji zrobić lub przygotować. Na przykład w „Wielki Piątek” dostawaliśmy „boże rany „. Wyglądało to w ten sposób, ze trzymanymi w rękach rózgami czy witkami wierzbowymi chłostano nas po gołych nogach, kiedy jeszcze byliśmy w łóżkach, zaspani wczesnym rankiem Wołali przy tym „boże rany, boże rany, boże rany, ” „Chrystus cierpiał, to wy też „
W poniedziałek wielkanocny wody było dużo. Byliśmy zmoczeni od samego rana. Nie zdążyliśmy wyjść z pościeli o już nas polewano zimną wodą. O rewanżu nie było mowy, mimo że przygotowaliśmy sobie stosowne pojemniki z wodą, które stały pod łóżkiem przygotowane wieczorem.

Na Boże Narodzenie w Wigilię po wieczerzy organizowali nam Gwiazdora tj takiego przebranego człowieka z rózgą i workiem z prezentami. Nieraz Gwiazdor taki miał do towarzystwa diabła z rogami i z rózgą albo pasem lub „szczepliną „tzn. specjalnym przyrządem do bicia wykonanym z rzemyków umocowanych na drewnianym trzonku uchwycie. Diabeł miał za zadanie wyłącznie bicie dzieci, bez względu na to czy były dobre, grzeczne czy też nie.
Z siostrą bawiliśmy się w domu w dom, namioty były z koców i mioteł, a lalki dziećmi. Gdy byłem jeszcze mały, bawiliśmy się razem w łóżeczku drucianym. Jakież było kiedyś rozżalenie mojej siostry, gdy nieszczęśliwie usiadłem całym sobą na lalkę o twarzyczce z porcelany i ją zniszczyłem. Była to cenna zabawka i wielki rarytas w tych czasach.

Pobyt w Ochronce u SS. Nazaretanek w Ostrzeszowie. Znajomość z Krysią –przyszłą moją żoną.

Kiedy miałem cztery lata rodzice oddali mnie na okres do podwieczorku na dzienny pobyt do Ochronki, tak nazywało się kiedyś Przedszkole, prowadzonej przez SS. Nazaretanki.

W pamięci przesuwają się koledzy, koleżanki a głównie kochane siostry opiekunki : siostra Tadeja już niestety nieżyjąca oraz siostra Teofila Woźniak
Ochronka mieściła się przy ulicy Zamkowej (potem Boh. Stalingradu) zamienionej potem na kaplicę zboru ewangelickiego i biuro Partii Ludowej
SS. Nazaretanki ulokowane były w pobernardyńskim klasztorze mieszczącym się na górce klasztornej, pięknie wkomponowanej w pejzaż miasta, uwieńczanej na paletach i obrazach miejscowego artysty malarza Antoniego Serbeńskiego.
Przy Ochronce było też małe gospodarstwo z którego siostry korzystały. W ogrodach przyklasztornych tych na górce uprawiały warzywa i owoce, których nadmiar sprzedawały miejscowej ludności.

rok 1949 Jasełka w Ochronce

rok 1947 Krysia krakowianka

Krysia w Ochronce jako krakowianka
rok 1947

rok 1945 Wyszanów.Siostra Danuta ze swoimi chrzestnymi rodzicami: wujkiem Franciszkiem i ciocia Anielą z Rycerskich Malinowską

rok 1953 Wujek Idzi przy budowie domu w Torzeńcu

rok 1946 z kuzynami Narcyzem i Jerzym i siostrą na leśniczówce u wujka Franciszka

rok 1949.W piaskownicy Ochronki czwarta od prawej dziewczyna z kokardą

rok 1949 Ochronka w Ostrzeszowie Stoję drugi od prawej,a dziewczyna z kokardą Krysia dziewiąta

rok 1949 Ochronka SS.Nazaretanek w Ostrzeszowie.Stoję w środku.

Życie w Ochronce było dla dzieci wspaniałe, każda chwila tam spędzona sprawiała dzieciom wielką przyjemność. Atmosfera była miła iście rodzinna. Czułość i troskliwość opiekunek w habitach sprawiała, że dzieci płakały, kiedy miały iść do domu.

Równolegle w moim życiu w Ostrzeszowie toczyło się drugie tzn mojej przyszłej żony Krystyny, ponieważ byliśmy rówieśnikami i chodziliśmy do tej samej Ochronki.

W późniejszych wspomnieniach ciągle będę wplatał epizody z jej życia, ponieważ została moją żoną i od zarania tzn od naszego spotkania w Ochronce interesowałem się tą dziewczyną. Była zawsze piękna, czysto ubrana z upiętą we włosach dużą białą kokardą i ponadto była bardzo grzeczna i uśmiechnięta. Do 4 latek kokarda była upinana przez matkę a kiedy umarła matka, to element ten był zawiązywany przez najstarszą siostrę Miecię lub nieco młodszą Irkę. Z pobytu w Ochronce pamiętam siostry zakonne młodsze i starsze
One nieraz przesuwają się przed mymi oczyma. Dużo ich było w Ostrzeszowie, ponieważ miały tam swój Nowicjat. Pamiętam siostrę Tadeję, śpiewającą i grającą. Uczyła nas śpiewu. Wysoka i bardzo elegancka. Spotkała mnie kiedyś po latach i o dziwo poznała i nawet wymieniła moje imię. Było to dla mnie szokujące. W Ochronce urządzano przedstawienia jasełek i nie tylko. Byłem w jednym z przedstawień którymś z Trzech Króli.
Spanie po obiedzie na leżaczkach nie było dla dzieci dobrze przyjmowane, ale trudno taki był porządek dnia a słuchać trzeba było bo był rygor. Na placu przed Ochronką pamiętam były duże piaskownice i huśtawki na których często bawiliśmy się pod nadzorem opiekunek. Na zdjęciu wykonanym przez jedynego fotografa w tym mieście, czyli najstarszą siostrę Krysi widać wyraźnie kto w tej Ochronce w tym czasie przebywał. Na każdym zdjęciu, na którym była ona znaczyłem krzyżykiem i mówiłem że to jest moja panna i że ona bardzo mi się podoba. Na spacery chodziliśmy nie tylko w rejony Klasztoru, lecz nawet dalej do pobliskiego lasku klasztornego i na górkę klasztorną w tym lesie. Była ona taka wielka że trudna do sforsowania. Kiedy po latach zobaczyłem ją to śmiech mnie ogarnął bo taka mała była i bardzo łatwo można było się na nią wspinać. Znaleźliśmy kiedyś u jej podnóża mnóstwo łusek i zastanawialiśmy się skąd one się tam wzięły.

kościół farny w Ostrzeszowie

Pierwsze lata życia Krysi. Śmierć jej matki. Spotkanie z Krysią w I klasie. Życie kulturalne Ostrzeszowa. Rola OO. Salezjanów. Lata szkolne. Służba ministrancka w Kościele.

ŚWIAT POŚCIELI
pościel dziecięca
pościel dziecięca

FOTO
VIDEO
szycie

FOTOGRAF
STUDIO
FOTO FEIGE
VIDEO
FILMOWANIE
SKLEP
FOTOGRAFICZNY

Feigowie na ślubnym kobiercu
rok 1928 Ostrzeszów

chrzest Krysi Ostrzeszów ul. Targowa 4
ojciec chrzestny nieobecny widać go jedynie na
małym zdjęciu

Krysia grudzień 1943 wraz
z mamą tatą i siostrami
Irką i Miecią
Ostrzeszów

rok 1944 Krysia w modnym
wówczas wózku

Krysia w czapeczce
rok 1944

Krysia na skórze

Krysia na huśtawce

Krysia w dybach bezpieczna

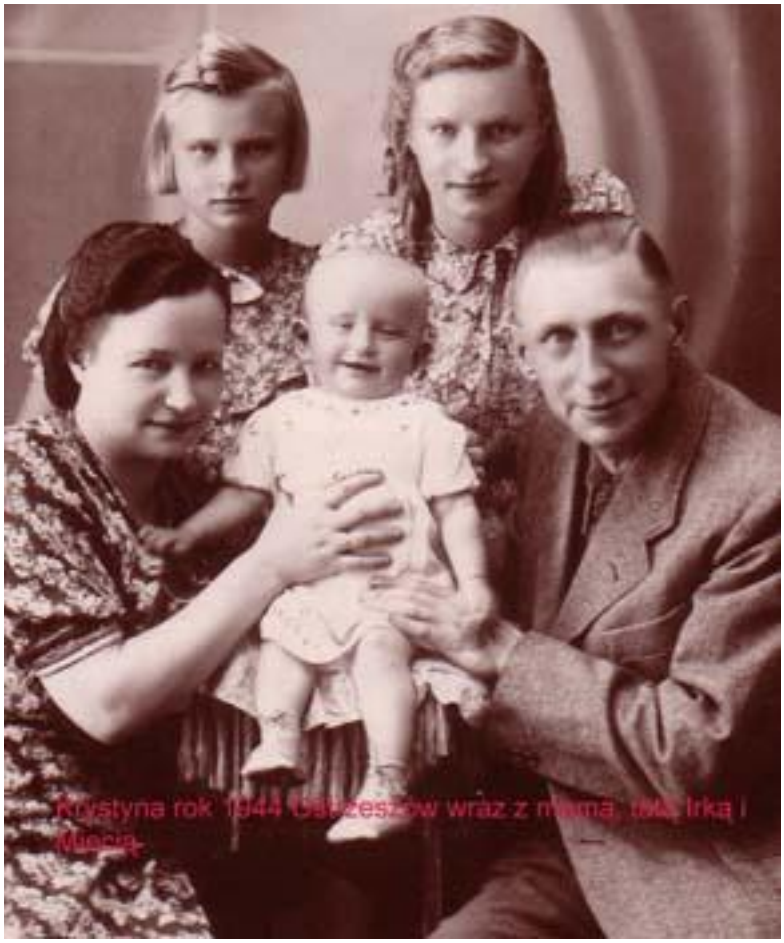
Krystyna rok 1944 Ostrzeszów wraz z mamą, tatą Irką i Miecią

Krysia z usmiechem bo
jest ze swoją mamą

córeczka w objęciach mamy
rok 1944

mama Krysi rok 1941

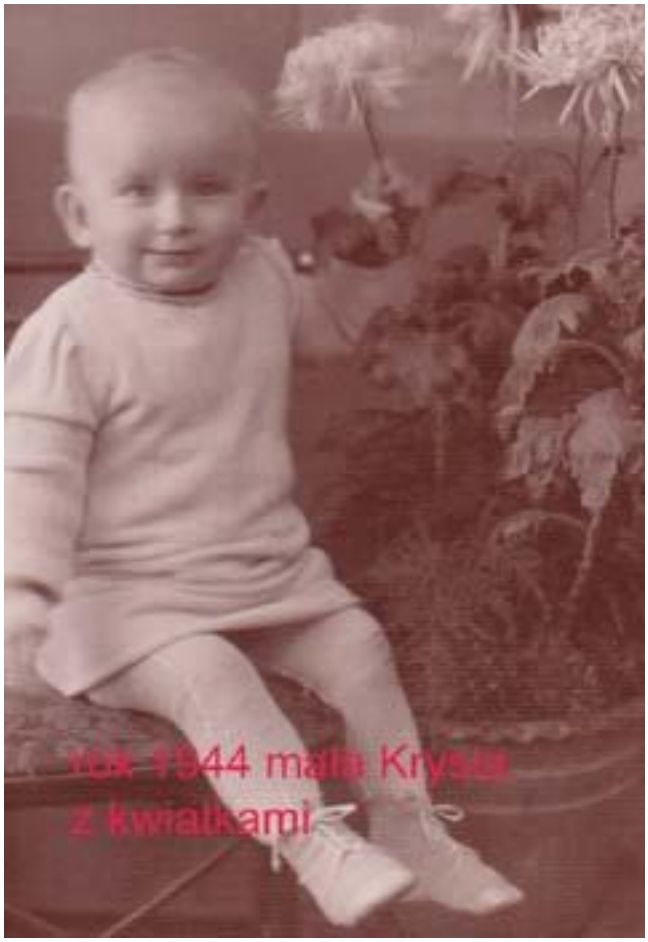

rok 1944 mała Krysia
z kwiatkami

6 grudnia 1943 roku w Ostrzeszowie akurat na św. Mikołaja przyszła na świat Krystyna –ostatnie dziecko i córka z ojca Franciszka Feige i matki Marii z Doboszów rodziny pochodzącej spod Hrubieszowa woj. . lubelskie, osiedlonej na stałe w Wielkopolsce jeszcze przed I wojną światową. Przyszło to dziecię na świat ku wielkiej radości rodziców i dorosłych córek Mieci i Irki, mimo że w duszy myślano, że będzie nareszcie chłopak. Rodzice, oprócz wielu interesów prowadzili jedyny w tym mieście Zakład Fotograficzny „Foto Feige „. Jak na fotografa przystało, postanowiono natychmiast po urodzeniu zrobić maleństwu serię zdjęć, a przypomnę, że było to w grudniu i wyjątkowo zimno a atelier nie było ogrzewane.

Teściowa rok 1947

Teściowa rok 1942

Teściowie na ślubnym kobiercu rok 1928

Pomimo, że maleństwo leżało na kożuchach, to jednak było nagie, skutkiem czego w pewnej chwili zzieleniało i przestało nagle oddychać. Po prostu z zimna skostniało. Natychmiast zaczęto doprowadzać małą do stanu normalnego, jednak bez rezultatu. Dopiero zawołana z dołu ciotka Anna ogrzaną puchowa poduchą doprowadziła dziecko do życia i zaczęło oddychać. Było więc przez chwilę bardzo groźnie

Rok 1943 Ostrzeszów Chrzciny żony.Dziecko na rękach

1944 mała Krysia w atelie

rok 1944 Mama ze swoją
córeczką Krysią

rok 1944 Krysia z siostrami

Moje pierwsze wspomnienia o małej Krysi zachowało się w mojej pamięci w takich oto okolicznościach : Pewnego razu ujrzałem modną i elegancką panią idącą z małą dziewczynką do sąsiedniego domu do krawcowej Skupińskiej. Już wtedy zwróciłem uwagę na piękną sukienkę tej dziewczynki i tę dużą białą kokardę na głowie.

Niedługo matka cieszyła się córeczką, bo już w roku 1948 w przeddzień Święta Zmarłych umarła nagle w wieku 41 lat jak potem mówiono na „choroby kobiece”, bo zbyt późno podjęła się leczenia i operacji. Według tradycji ponoć nie wolno w tym dniu chować zmarłych i dlatego też musiano zwłoki przetrzymać w domu i pochować po świętach. W dzień pogrzebu musiano małą Krysię szukać, ponieważ niepostrzeżenie straciła się i nie miała ochoty iść w kondukcie pogrzebowym. Schowała się u sąsiadki pani Adamskiej i dopiero po pogrzebie ją znaleziono. Pochowana została w rodzinnym grobowcu w centralnym miejscu cmentarza na wprost wejścia głównego, lecz wpierw do przejściowego grobu, ponieważ grobowiec rodzinny był jeszcze niewykończony. Trumny w tym grobowcu ułożone są jedne na drugich na betonowych półkach, które po wypełnieniu zostają zamurowane na wieczne czasy. Dziwnym i niepojętym było następujące zdarzenie związane z tym grobowcem. Otóż mężowi wdowcowi wielokrotnie po śmierci śniła się żona, narzekając że cierpi niewygody i męki leżąc w swojej trumnie w tym grobowcu. Powodu jednak nie podała, więc ilekroć się śniła tylekroć zastanawiano się dlaczego tak niewygodnie leży. Po zastanowieniu się i głębokiej analizie doszli do wniosku że, kiedy chowano trumnę na ową betonową półkę, z uwagi na za wysoką

trumnę, obcięto nogi od strony głowy. Z chwilą kiedy obcięto również drugą parę nóg trumna znów leżała równo na półce i zmarłej było wygodnie i nie śniła się już więcej i życie wróciło do normalności.

rok 1949 Ostrzeszów
nad grobem teściowej
Marii z Doboszów Feige
stoją od lewej:
Szczepan Feige,kuzynka
żony Barbara,Michał Dobosz,
ksiądz z rodziny Doboszów
Maria Dobosz,Franciszek Feige
ciocia żony Helena.

Po śmierci mojej teściowej Marii z Doboszów córki skupione pod jej wizerunkiem. Trudno się było pogodzić z tym przykrym faktem odejścia najdroższej na świecie osoby mamy

Kiedy otwarto trumnę po roku czasu bo musiano ją przenieść do grobowca, całe zwłoki pokryte były pleśnią –mgiełką biało szarą. To kwiaty pozostawione wewnątrz spowodowały tę pleśń. Od tej pory, kiedy tylko zmarłemu próbowano wkładać na koniec żywe kwiaty do trumny, to albo ojciec Krysi lub siostra Miecia opowiadając to zdarzenie radziła tego nie czynić i zresztą z reguły ją słuchano. Kiedy przez kilka dni matka leżała w trumnie w Zakładzie mała Krysia myślała że sobie normalnie śpi, dziwiąc się jedynie, dlaczego ludzie oglądający mamę płaczą. Siostry Miecia i Irena, kiedy jeszcze Krysia była całkiem małym dzieckiem dumnie woziły wózek pleciony z wikliny –bardzo modny, były bardzo szczęśliwe i zazdrosne nawzajem bo każda chciała ten modny wózek prowadzić. Po śmierci matki nie było żartów. O wiele starsze musiały się uczyć, pracować i jeszcze zajmować się o wiele młodszą swoja siostrą

Tuż po wojnie w Ostrzeszowie modne były potańcówki i majówki. Bawiono się bądź na Strzelnicy Bractwa Kurkowego mieszczącej się na końcu ulicy Piastowskiej na tzw. Aniołkach bądź na Myjach wiosce sąsiadującej z miastem. Siostry pewnego razu opiekując się małą jeszcze będącą w wózku Krysią, udały się na tańce do wsi Myje, nieopodal lasku klasztornego. Kiedy wróciły późno ze śpiącą Krysią matka energiczna i pilnująca porządku dnia już w bramie dała do zrozumienia że będą porachunki i rozliczenie ze względu na tak długie przetrzymywanie do nocy małej córeczki. Przestraszone i w obawie przed ewentualnym karceniem ukryły się wpierw u babci na parterze, a potem całą noc przebywały w Zakładzie Fotograficznym na górze. Dopiero na drugi dzień mogły wejść do mieszkania, a jeszcze było stosowne „kazanie” ale bicia już nie było.

Rok 1944 matka z córeczką

Rok 1944 żona na fotelu w Atelieu w Ostrzeszowie

Rok 1944 żona ma roczek

Rok 1946 żona w krakowskim stroju.

Rok 1944 żona z kwiatkami.Ostrzeszów

Rok 1945 Ostrzeszów

Rok 1947 żona w lasku klasztornym

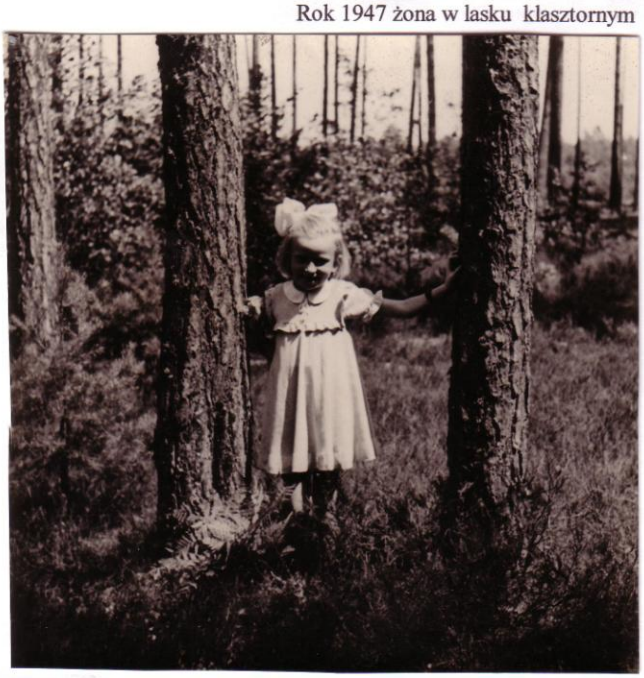

Rok 1945 Ostrzeszów żona z lalką

Spotkałem się z dziewczyną z kokardą w Ochronce, o czym już pisałem, lecz jakież było moje zdziwienie, kiedy w I klasie Szkoły Podstawowej, mieszczącej się wówczas jeszcze w małym budynku przy ulicy Zamkowej, spotkałem ją również i odtąd szliśmy razem, przechodząc z klasy do klasy wpierw pod surowym wychowawstwem przedwojennego nauczyciela pana Antoniego Kaja a od drugiej klasy pod równie surowym i wymagającym wychowawstwem pana Leona Chojnickiego, który znał notabene moją matkę ponieważ pochodził z tej

samej wioski co matka i w tamtejszej szkole kiedyś uczył. Był bowiem rok 1950 i właśnie wówczas rozpocząłem moją edukację. Ubrany ładnie i odświętnie ze skórzaną torbą na plecach, wyposażony w podręczniki szkolne, zeszyty i przybory szkolne. Torbę skórzaną dostałem wtedy od mojego wujka Leona Wróbel, który mieszkał z nami po sąsiedzku. O nim zresztą jeszcze napiszę kilka słów. Od drugiej klasy chodziliśmy już do nowej Szkoły Podstawowej Nr. 2 przy ulicy Piastowskiej, obok Parku Miejskiego z fontanną. W pierwszej klasie wychowawca „trzymał" dyscyplinę, bo był jeszcze sprzed wojny. Tuż za szkołą był plac zabaw dla dzieci, zresztą do dziś dnia ten obiekt tam się znajduje. Korzystając z przerwy między lekcyjnej, wyrwaliśmy się na moment, aby się trochę rozerwać i zabawić na owym placu. Huśtawki były świeżo malowane, lecz nie zwracaliśmy na to uwagi. Efektem tej zabawy, było spóźnienie się na lekcje, bo czas biegł szybko, szczególnie kiedy jest to czas zabaw. Każdy, kto był poza szkołą na huśtawkach powinien mieć brudne ręce od farby –zdaniem wychowawcy. I rzeczywiście kto miał brudne ręce dostał kantem linijki sporo razów jako nauczkę, bo dyscyplina u tego pana była na pierwszym miejscu. Pisać i rysować potem nie było można. Ręce sine i spuchnięte od bicia. Były to bowiem czasy, kiedy wychowywano poprzez bicie, ale to wychodziło na dobre każdemu urwisowi

Pan Chojnicki był także surowy, lecz z chwilą, gdy nabraliśmy do niego śmiałości i odwagi, wielokrotnie płataliśmy mu przeróżne psoty i figle, jak zresztą w każdej klasie i w każdej szkole w tym czasie. O niektórych wybrykach i zdarzeniach napiszę na następnych stronach moich wspomnień.

Kierownikiem od początku był Jan Kaczmarek, człowiek o nieskazitelnym charakterze, manierach i prawy człowiek. Stwarzał pozory surowego i nieprzejednanego, szczególnie, kiedy trafił uczeń do niego wysłany przez nauczyciela celem „wyspowiadania się" z wybryków. Uczył śpiewu i muzyki. Prowadził chór szkolny. Pewnego razu otrzymałem od ojca nową piłkę nożną taką prawdziwą meczową. Ciężka była jak na nogi nasze i nasze możliwości. Wewnątrz piłka z gumy do dmuchania z zewnętrznym płaszczem zasznurowanym na rzemień. Wybraliśmy się kiedyś z kolegami na boisko przyszkolne, aby nową piłkę wypróbować. W owym czasie zabronione było w ogóle grać takim młodym w piłkę nożną szczególnie na terenie szkolnego boiska. Co za dziwne były wówczas zwyczaje i przepisy. W Szkole Podstawowej była zabroniona pod karą. Kiedy graliśmy na całego w pewnej chwili podbiegł do nas ów Kierownik i zabrał nam tę piłkę i wiele wysiłków włożyłem razem z rodzicami, aby tę piłkę nieuszkodzoną odzyskać. Zwykle taki przedmiot zakazany podlegał zniszczeniu przez pocięcie go nożem.

Nauczycielem od fizyki i chemii był pan Piotr Pregiel. Ciągle nerwowy, były uczestnik II wojny światowej. Kombatant spod Monte Cassino i Tobruku, z jedną nogą drewnianą, wsparty laską grubą bambusową, zakończoną gumą, aby nie stukała, miała ona pomagać nie tylko w chodzeniu, lecz głównie służyła do bicia. Robił to nie tylko za przewinienia uczniów wobec siebie, ale pracował laską również na zlecenia innych nauczycieli, którzy nie mogli sobie poradzić z uczniami niesfornymi.

przyczyniły się do odbudowy miasta. Sejm koronacyjny w 1633 roku zatwierdził uchwałą budowę klasztoru i kościoła przez zakon bernardyński.
W 1638 r. pobudowano klasztor i kościół z drewna, ale budynki przetrwały tyko do roku 1656. Obecna zabudowa pochodzi z lat 1680 - 1740. Wystrój kościoła wykonano w stylu barokowym (polichromie z 1740 r.). Na ścianach umieszczono herby fundatorów kościoła i klasztoru.

Opisane wyżej zniszczenia budynków należących do zakonu Bernardynów zostały dokonane przez Szwedów. W trakcie najazdu szwedzkiego mieszkańców obrabowano, a miasto zostawiono ze zniszczonym zamkiem i kościołem farnym. Cztery lata później nastąpiło dalsze zniszczenie miasta w wyniku pożaru. Pozostało tylko 47 zamieszkałych domów.
Kolejna odbudowa miasta nastąpiła dzięki rozwojowi handlu, budowie okolicznych kopalni rudy darniowej, hut żelaza i szkła. Rozwinęły się cechy szewskie i garncarskie mające XVI wieczne tradycje.
Z 1840 roku pochodzi ratusz znajdujący się w centrum Rynku. Obecnie w budynku tym mieści się Urząd Stanu Cywilnego i Muzeum Regionalne posiadające w zbiorach malarstwo Antoniego Serbeńskiego, dokumenty z okresu Powstania Wielkopolskiego i II wojny swiatowej. Wystawy stałe to: „Oficerowie norwescy w Oflagu XXI C w Ostrzeszowie" oraz „Ignacy Moś swojemu miastu".

Pod koniec XIX wieku pobudowano przebiegającą przez Ostrzeszów linię kolejową i zakłady ceramiczne. Liczba mieszkańców miasta przekroczyła 5.000 osób.
W 1918 roku miasto było ośrodkiem południowego odcinka Powstania Wielkopolskiego, którego celem było wyswobodzenie się z zaboru pruskiego. Na Ziemi Ostrzeszowskiej ppor. Stanisław Thiel zorganizował oddziały powstańcze liczące ok. 700 żołnierzy. Walki zakończyły się sukcesem i 16.02.1919 roku zawarto rozejm, a w dniu 1.03.1919 roku powołano pierwszego polskiego Burmistrza Ostrzeszowa.
Pomnik Powstańców Wielkopolskich znajduje się na cmentarzu przy ul. Kościuszki. Odsłonięty został 7 czerwca 1925 roku przez gen. broni Józefa Hallera.
Ostrzeszowianie brali udział we wszystkich powstaniach śląskich (1919 - 1921).
Kolejny 20-letni okres rozwoju przerwała II wojna światowa. W centrum miasta Niemcy utworzyli obóz jeniecki. Przebywali w nim żołnierze alianccy - łącznie w latach 1940 - 1945 w obozie przebywało 120.000 jeńców.
Jednym z jeńców był Ojciec Maksymilian Kolbe. Pobyt ten upamiętniają tablice wmurowane w obecnym budynku Liceum Ogólnokształcącego i na murach kościoła pw. Chrystusa Króla.

W dniu 21 stycznia 1945 roku wyzwolono Ostrzeszów. Miasto ponownie rozwijało się i zostało ośrodkiem przemysłowym dominującym na terenie obecnego powiatu ostrzeszowskiego. Zbudowano nowe szkoły, liczne osiedla mieszkaniowe. W ciągu ostatnich lat rozwinięto infrastrukturę komunalną, powstały pierwsze firmy z udziałem kapitału zagranicznego.

Kościół Pobernardyński / Post - Bernardine Church

Ratusz / Town Hall

Pomnik Powstańców Wielkopolskich / Wielkopolska Insurgents Memorial

Tablica pamiątkowa Ojca Kolbe / A plaque in honour of Father Kolbe

coronation Seym (a house of the Polish Parliament) passed a resolution permitting the Bernardine order to build a monastery and church.
The wooden monastery and church were built in 1638 but they survived only to 1656. The present buildings date back to 1680-1740. The church decorations were made in the baroque style (polychromies dating from 1740). You can see the founders' coats of arms on the walls.

The Bernardine buildings described above were destroyed by the Swedes, who robbed the townspeople and devastated the castle and parish church. Four years later a fire inflicted further losses on the town, which was left with only 47 inhabited houses.
Another reconstruction of the town was possible thanks to trade, building morass ore mines, steelworks and glassworks as well as the development of shoemakers' and potters' guilds dating back to the 16th century.
The town hall in the centre of the market square goes back to 1840. Currently this building is the seat of the Registry Office and the Regional Museum whose exhibits include paintings by Antoni Serbeński, documents dating back to the times of the Wielkopolska Uprising and World War II. The standing exhibitions are: "Norwegian Officers in Oflag 21C in Ostrzeszów" and "Ignacy Moś for His Hometown."

The railway line running through Ostrzeszów and the ceramics factory were built at the end of the 19th century. The town's population reached 5000 people.
In 1918 Ostrzeszów was the centre of the southern division of the local independence movement (Wielkopolska Uprising). The Polish insurgents fought to free themselves from the Prussian rule. Insurgent troops of about 700 soldiers were organised in Ostrzeszów by 2nd Lt. Stanisław Thiel. The fights ended in success and an armistice was signed on 16 Feb. 1919. The first Polish mayor of Ostrzeszów was appointed on 1 March 1919.
The Wielkopolska Insurgents Memorial was erected at the cemetery in Kościuszki Street. It was unveiled on 7 June 1925 by Gen. Józef Haller.
The people of Ostrzeszów took part in all Silesian Uprisings (1919-1921).
The 20-year period of peaceful development was interrupted by the outbreak of World War II. The Nazis formed a prisoner-of-war camp for the Allied soldiers in the town centre, where 120,000 prisoners were held from 1940 to 1945.
One of the captives was Father Maksymilian Kolbe. In commemoration of his imprisonment, plaques were fixed in the present building of the local High School and on the walls of the Church of Christ the King.

Following Ostrzeszów's liberation on 21 January 1945, the town continued to develop and became the local industrial centre. New schools and housing estates were built, Ostrzeszów improved its municipal infrastructure and the first foreign companies appeared on the local market.

W tym miejscu należałoby wspomnieć o mieście, wyjątkowym, z tradycjami sięgającymi czasów Kazimierza Wielkiego, bowiem wiele zabytków, znajdujących się w tym miasteczku mówią o tak odległych czasach Miasteczko to miało swoistą atmosferę, swoich stałych mieszkańców, pochodzących z rodzin od pokoleń polskich. Historia bowiem tak się ułożyła, że nigdy na szczęście Ostrzeszów nie był obcy, a zawsze złączony z Macierzą.
Jest to miasteczko położone w południowej Wielkopolsce na wzgórzach ostrzeszowskich –polodowcowych z jedyną górą zwaną Kobylągórą na wielkiej nizinie berlińsko-eberswaldzkiej jak uczono mnie w szkole. A wzgórza ostrzeszowskie wchodzą w ciąg a raczej pasmo gór trzebnickich. Mówi się o nich także Góry Kocie, ze względu chyba że są niewielkie, lecz że są na nizinach, to są duże.
Pamiętam, że kiedyś było to pytanie w Wielkiej Grze za najwyższą stawkę i nazwę tych gór i zawodnik odwoływał się, ponieważ Góry Kocie a ostrzeszowskie to to samo. Ja to wiedziałem a on musiał dochodzić swojej racji w ramach reklamacji.
W samym Ostrzeszowie są jeszcze Ostre Góry z małym stawkiem i urokliwym lasem wokół. Okolice tych wzgórz określane są jako Pustkowie. Polodowcowe tereny Ostrzeszowa odsłaniają ciągle wielkie głazy narzutowe, które wydobywane, ozdabiają miasto i stanowią nieme relikty historii ziemi i pomniki przyrody. Z tych głazów powstały między innymi pomnik ZHP z lilijką, pomnik przy Szkole Zawodowej i Technikum na ul. Sportowej, czy tez powstały ostatnio pomnik postawiony na Pl. Sienkiewicza ku czci tego znakomitego pisarza, w rejonie Kurzego Rynku Pozostałością po lodowcu są w okolicy wyrobiska żwiru i piasku do budowy. Jedno z nich było położone w bliskim sąsiedztwie mojego domu i cmentarza, tuż przy „autostradzie” zwane „Kisydołami „Dziś na tym terenie powstało nowe cmentarzysko dla nowej Parafii przy Kościele pw. Chrystusa Króla.
Tam jako dzieci szaleliśmy do późnych godzin wieczornych, skacząc z wysokości w dół „na złamanie karku” jak mawiała nasza mama i bawiliśmy się w komandosów. Gliniaste tereny wokół były przyczyną budowania w rejonie Ostrzeszowa wielu Cegielń. Miasto było pocięte wieloma szynami po których wyroby gotowe transportowano na rollwagach i przy zaprzęgu konnym na stację kolejowa, która znajdowała się na drugim końcu miasta. Jako dzieci uwieszaliśmy się u tych „rollwag” i tak długo udawało się nam przejechać po szynach, aż „furman’ zorientował się i nas potraktował długim batem. Pozostałością po wyrobiskach jest „Berg” znaczy góra a to jest po prostu staw bardzo niebezpieczny do kąpieli o brzegach gliniastych i stromych, który niespodziewanie powstał kiedyś podczas prac wydobywczych. Woda wtargnęła nagle i zalała „rollwagi „, szyny, ludzi i koni pociągowych. O tym „bergu” nieraz jeszcze będę pisał.

Tak dzisiaj wygląda górka klasztorna w Ostrzeszowie kiedyś dla nas maluchów ledwie co do pokonania a obecnie lekkie tylko wzniesienie zaledwie kilka kroków i jest się na górze. W tym lesie klasztornym bawiliśmy sie wraz z siostrą Danusią i moją mamą, nieraz aż do późna, bo jedzenie zabieraliśmy ze sobą. Byliśmy wówczas szczęśliwi i zadowoleni tą zabawą i beztroską bezczynnością

DAEWOO
ODL 0835

Na zdjęciach wyżej stoję właśnie w tym tunelu pod autostradą, gdzie przejeżdżały często rollwagi z cegłą z Bud na stację kolejową a niżej przy cmentarzu ewangielickim, i na nim. To tutaj nieraz bawiliśmy się ukradkiem do momentu kiedy nas ktoś pogonił. Tutaj rosły w tym cieniu najpiękniejsze konwalie i nimi zachwycaliśmy się. Nieraz odbywały się tutaj pogrzeby ewangelików

W okresie przedszkolnym jak i w pierwszych latach szkolnych, ale jedynie w porze wakacji i o ile było ciepło także w soboty lub niedziele po obiedzie chodziliśmy z mamą i siostrą do wspomnianego lasku klasztornego od strony wsi Myje i tam bawiliśmy się najczęściej w dom i musiał być ogród. My dzieci stanowiliśmy rodzinę a mama najczęściej była lekarzem domowym lub nauczycielem. Mama często coś czytała, lub robiła na drutach dla nas sweterki i szaliki na chłodne dni. W dali słychać było wśród szumu wierzchołków drzew jadący pociąg oraz około godziny dwunastej dzwonek klasztorny pobliskiego Klasztoru wzywający wiernych na" Anioł Pański „. Kiedy nas matka nauczyła tej cudownej modlitwy, , , odmawialiśmy ją za każdym razem nabożnie, składając rączki. A potem ze smakiem jedliśmy jakąś zupę wraz z chlebem, którą mama każdorazowo zabierała ze sobą, abyśmy dłużej mogli przebywać na świeżym powietrzu w lesie, jeszcze wtedy czystym.

Kiedy miałem 5 lat zapisałem się do ministrantów przy miejscowej Farze. Był to w tym czasie Kościół Parafialny, ponieważ ani Klasztor ani Kościół Ewangelicki Chrystusa Króla ani też kościół św. Mikołaja nie miał tego statusu w Ostrzeszowie.
Szokowałem nie tylko miejscowe dewotki swoją dziewczęcą fryzurą, lecz każdego, kto uczestniczył we mszy św. . Miałem długie, kręcone włosy i krótkie spodenki z pończochami, zapinanymi u góry na żabki lub w lato podkolanówki na gumce i sandałki białe.

Stoję właśnie przy Bergu czyli głębokim stawie przy cegielni na Budach o którym tyle piszę w moich wspomnieniach

Msze św. odprawiane były po łacinie a ministranci musieli odmawiać tzw. ministranturę tez po łacinie. Była to dziwna mowa i dużo kłopotu sprawiało przyswojenie sobie tych trudnych słów na pamięć.

Szybko się tej mowy nauczyłem, a potem nawet mogłem jako starszy ministrant uczyć nieco leniwych i mniej pojętnych kolegów. Byłem początkowo na tyle mały, że miałem trudności z przenoszeniem mszału z jednej strony ołtarza na drugi. Dziś ta czynność jest zbyteczna, ponieważ ksiądz odwrócony twarzą do wiernych. W tym czasie wiele czynności w kościele tzw służebnych wykonywał Kościelny. Surowy i zdyscyplinowany pan, który mieszkał nieopodal Kościoła na Pl. Kazimierza obecnie Targu Miejskim. Karcił nas w różny sposób a to klęcząc w zakrystii w kącie bądź chłoszcząc cyngulum tj. plecionym sznurem którym ksiądz opasuje się kiedy ubiera albę. Kropidło też było często w użyciu.

Wiele razy jeszcze będę wspominał o tej mojej posłudze w Kościele, bo trwała ona nieprzerwanie aż do ukończenia Szkoły Podstawowej tzn. do roku 1957. Napisałem kiedyś o tej posłudze wierszyk, chcąc posłać go na konkurs poetycki organizowany od lat przez miejscową Bibliotekę Publiczną i Radę Miasta Miasto to miało wielkie tradycje literacko oświatowe i kulturalne. Nie tylko wspomniany już artysta malarz Antoni Serbeński, lecz także poeta Stanisław Czernik autor cyklu wierszy „Okolica Poetów” nobilitowali to miasteczko i zaznaczali na kulturalnej mapie Polski

W tym okresie jak i wcześniej w latach międzywojennych w tym małym miasteczku, dużą rolę pedagogiczno wychowawczą i kulturalną odgrywały takie organizacje jak Liceum Ogólnokształcące,

przy cmentarzu katolickim w Ostrzeszowie na ul. Kościuszki 14 oraz na nim

prowadzone przez OO. Salezjanów i harcerstwo jeszcze wtedy Badenpowelowskie. Niestety potem było stalinowskie a po odwilży znów to pierwotne, do którego zresztą zaraz na początku należałem i byłem aktywnym jego członkiem, pełniąc rolę drużynowego Znów uaktywnili się jego dawni przywódcy. Harcerstwo prawdziwe, o głębokich tradycjach patriotycznych,

prowadzone przez wiecznie młodego i aktywnego profesora fizyki pana Stasia Stawskiego oraz inicjatora Crossów Ostrzeszowskich niestety już nieżyjącego/zmarł zimą 2005 roku/ Jerzego Maklesa czy też Stanisława Cudniewicza. Bardzo aktywnym harcerzem w późniejszych latach był także mój młodszy brat Janusz, ale to były lata sześćdziesiąte.
oo. Salezjanie z profesorem Baranem, profesorem Kaczorowskim i księdzem „balonikiem" ze względu na tuszę tak zwanym, którzy zresztą już nie żyją, pochowani na zabytkowym cmentarzu we wspólnym grobowcu, byli widoczni ze swoimi wychowankami w tym mieście. Cmentarz ten jeszcze nieraz opiszę w tych wspomnieniach nie tylko ze względu na bliskość tego obiektu od mojego i mojej babci domu, lecz był to obiekt o szczególnej czci i poszanowania mieszkańców. Uroczystość Święta Zmarłych i Zaduszek to prawdziwe spotkania wielopokoleniowe i obchodzone z wielką „pompą" nabożnie i w rodzinnym gronie. Do późnych godzin nocnych w tych dniach odwiedzane całymi rodzinami były groby nie tylko „swoje" lecz także zbiorowe przy których stały warty.
Swoją grą w zespołach muzycznych i orkiestrze dętej na urządzanych majówkach na swoim balkonie w budynku Gimnazjum przy ulicy Zamkowej, czy grą podczas procesji Bożego Ciała, podczas wszystkich uroczystości państwowych i kościelnych OO. Salezjanie urozmaicali i ożywiali ciche i spokojne na co dzień miasteczko prowincjonalne, peryferyjne oddalone o 150 km od swojej wojewódzkiej metropolii.
Pamiętam ich gry zespołowe na prowizorycznym boisku na Borku przy Gimnazjum czy gry w siatkówkę na boisku Gimnazjum. Często jako dzieci nie tylko przyglądaliśmy się, lecz stanowiliśmy słupki bramkowe obu rywalizujących drużyn salezjańskich. Słupkami też często były nasze torby uczniowskie, ponieważ akurat boisko to było na trasie ze szkoły do domu. Na Borku tym spędzaliśmy dużo czasu pozalekcyjnego, ale o tym jeszcze napiszę. A propos nazwy Borek, myślę sobie że słowo to pochodzi od boru. Musiał tu być kiedyś po prostu bór czy las. Niedaleko zresztą był placyk „Na Stawku" do dziś tak nazywany. Tutaj z kolei musiał być kiedyś staw. Pod nim skanalizowany jest strumień płynący od góry Bełczyna az do Klasztoru przez całe miasto. O tym też jeszcze wspomnę.
Kiedy nastąpiła likwidacja Gimnazjum Salezjańskiego i eksmisja OO. Salezjanów z Ostrzeszowa do Oświęcimia do głównej ich bazy cały budynek był otwarty a przez okna na parterze i z piwnic można było się dostać do środka. My dzieci bez opieki szabrowaliśmy wszystko co było do wyniesienia i niszczyliśmy co w rękę popadło i było na drodze. Z fortepianu zrywaliśmy plastikowe lub z kości słoniowej klawisze –dobre do gry w cympergaja. Młoteczki też się do czegoś przydały. Struny cienkie i te grube też nie wiem teraz do czego zużywaliśmy. Były tam stoły do gier zespołowych. Obecnie na tym miejscu jest Liceum Ogólnokształcące lecz prowadzone przez świeckich profesorów. Paru zostało ze starego garnituru i nie mogło się przestawić na stalinowskie nauczanie.
Wychowankowie OO Salezjanów jak i harcerze uczestniczyli nie tylko w procesjach i świeckich uroczystościach miejskich lecz także przy Grobie Chrystusa w W. Piątek i W. Sobotę całą noc jako straże wraz ze strażakami i ministrantami. Czuwali także jako straże przy ważnych grobach indywidualnych i mogiłach zbiorowych na tym zabytkowym cmentarzu podczas Świąt Zmarłych i Zaduszek.

WIKTORIA MOŚ
FRANCISZKA JASKOLSKA
RODZINY MOSIOW

wnętrze kościoła farnego w Ostrzeszowie widok na balkon i organy na których wpierw grał organista Zborowski a przez długie lata mój kolega Piotrek Stawinoga nota bene też utykający na jedną nogę po Heinego Medina

aleja główna na cmentarzu w Ostrzeszowie

W obiektach dużych i zadbanych po salezjańskich ulokowały się: Bank Polski(NBP), Partia i związki młodzieżowe tej partii (ZMS, ZMW ZMP itd)oraz później nawet Milicja Obywatelska. Wszystko zlokalizowane na najpiękniejszej i reprezentacyjnej arterii miasta na ulicy Zamkowej, zamienionej potem na Boh. Stalingradu.
Teraz znów wrócono do starej nazwy, bo przecież na niej znajduje się ów sławny zamek kazimierzowski

Ostrzeszów przy grobie moich dziadków i cioci Marii od strony ojca

. Moja edukacja. Narodziny brata Janusza. Zabawy na ulicy i na boisku. Pielgrzymki. Wakacje u wujka Idziego na wsi

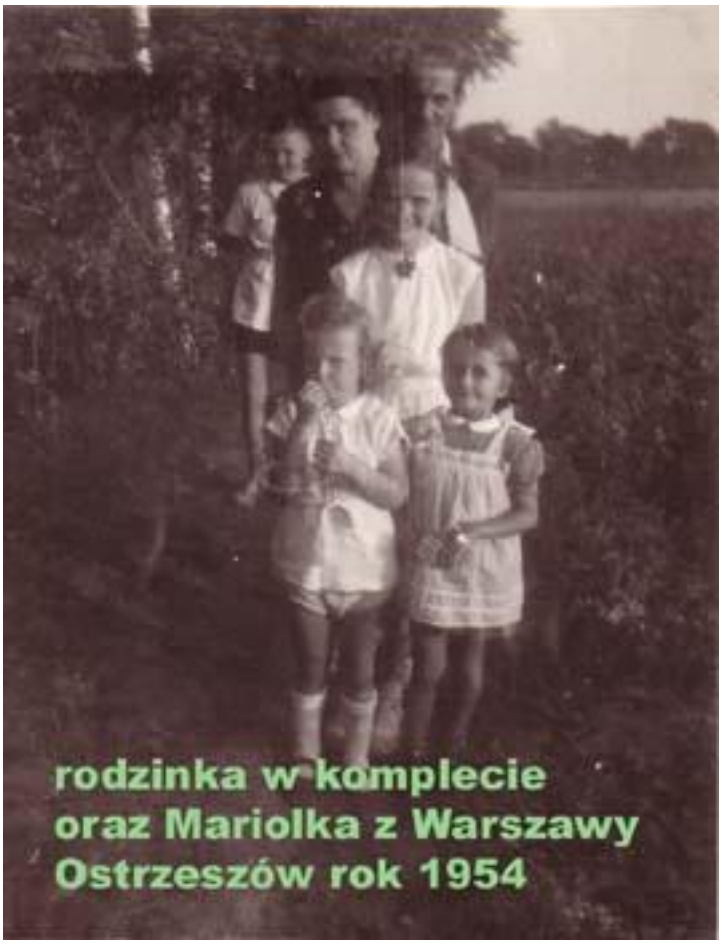

8 Listopada 1950 roku, kiedy miałem 7 lat i rozpocząłem naukę w klasie I Szkoły Podstawowej urodził się mój brat Janusz

Sądnego dnia –to słowo często używała moja matka na określenie ostatniego dnia ciąży, matka prosiła nas, abyśmy udali się do wujostwa Wróblów, którzy mieszkali po sąsiedzku. Byliśmy wtedy nieświadomi, że istnieje ciąża i że może urodzić się człowiek z brzucha. W tym czasie właśnie jak opowiadała nam matka, kiedy byliśmy dorośli, przyszła do domu akuszerka z dużą torbą aby odebrać poród i udzielić położnicy stosowną pomoc i opiekę i dać instrukcje

postępowania na najbliższe dni, kiedy położnica zostanie sama z maleństwem. Rodzono wtedy z reguły w domu przy pomocy akuszerki, dzisiaj zwanej położną. W domu rodzono, w domu tez przechowywano zwłoki aż do chwili pogrzebu przez trzy dni. Zmarłego trzymano w trumnie i w mieszkaniu, w którym żył. Tam przychodził ksiądz z ministrantami i odprawiał reguiem przy trumnie stojącej na katafalku ze świecami na kandelabrach i kwiatami.
Świeczniki te zwane były kandelabrami. W lecie obłożony był lodem, z uwagi na fetor jaki roznosił się. Był to specyficzny zapach trupi, szczególnie dokuczliwy na trzeci dzień.
Wracając do owego porodu. W mieszkaniu położnicy nagotowana musiała być cała balia wody i czyste prześcieradła i pościel. Kiedy już w wielkich bólach ujrzał świat mój brat zawołano nas i ku wielkiemu zdziwieniu i z wielkim

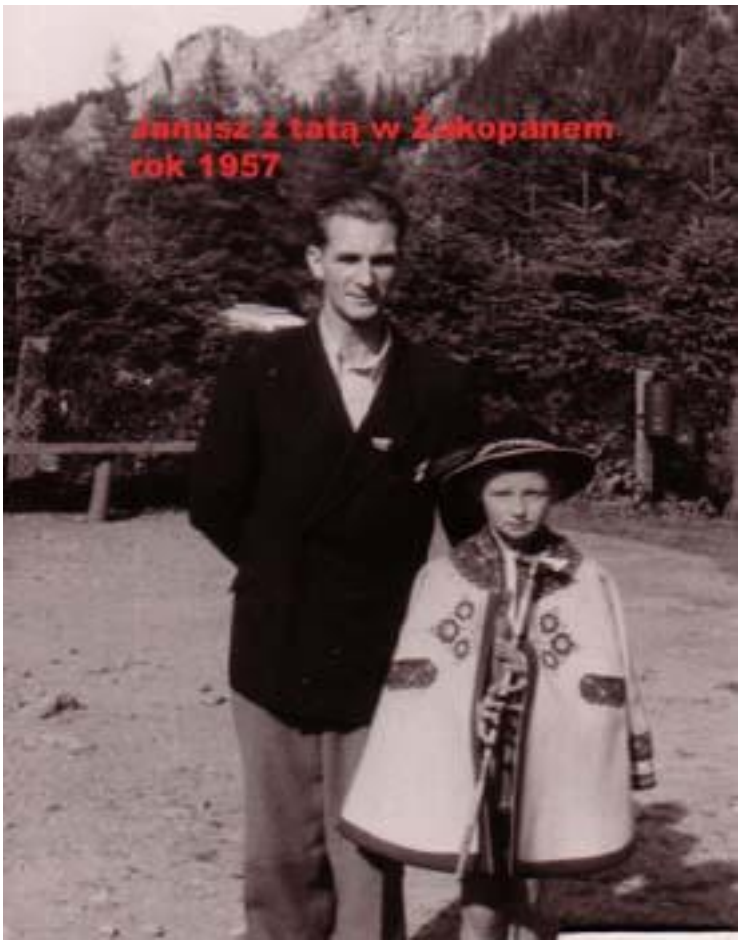

zainteresowaniem patrzyliśmy na to niemowlę, urodzone już w wolnej i bez Niemców Polsce. Wpierw było ono nieciekawe jak każde nowo narodzone dziecię, lecz potem wypiękniało i było prawdziwym cudem natury, podziwianym przez wszystkich ludzi, zaglądających do wózka głębokiego a potem do „sportki” czyli lekkiego wózka.
Kiedy mama wyjeżdżała na spacer lub na zakupy, myśmy się rwali, aby choć trochę pojeździć wózkiem, jak każde dziecko.
Jeżeli brat mój urodził się w roku 1950 to moja matka miała wówczas 40 lat. Jak na rodzenie to nieco późna pora, lecz brat mój jest zdrowy do tej pory i Życzę mu doczekania wielu lat w takim zdrowiu. Wiek mamy nie miał więc wpływu na zdrowie brata i na zdrowie położnicy.

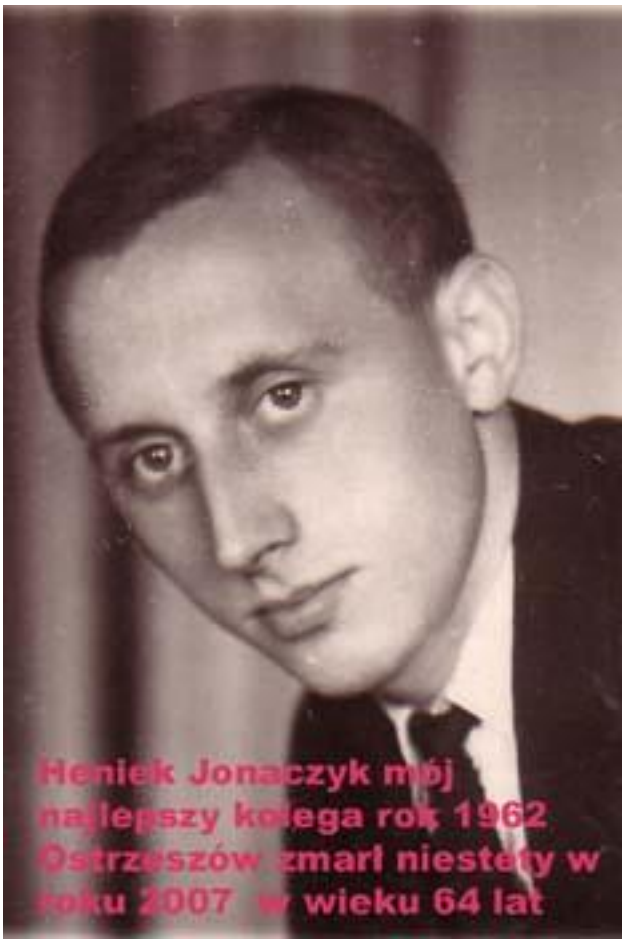

Od tej pory miłość matki skierowana była w większym stopniu w stronę malca, lecz specjalnie tego nie odczuwaliśmy. Matka nasza miała na tyle pojemne serce, że nas wszystkich potrafiła ogarnąć i przytulić, bez straty dla kogokolwiek.

Na chrzcie św. oprócz imienia Janusz otrzymał malec drugie imię Marian –imię pochodzące od Maryi w dowód pamięci po tragicznie zmarłym najstarszym synu wujostwa Wróblów, który zginął tragicznie od miny, którą zachciało mu się rozbrajać na pobliskiej Cegielni tuz po wojnie. Wujostwo Wróblowie mieli jeszcze drugiego syna Ireneusza, który pracował na Cegielni jako kierowca ciągnika i woził już nie końmi lecz traktorem wyroby z Cegielni na Stację PKP.

Wujek Leon pięknie rysował kartki na różne okazje i malował jak Nikifor krynicki obrazy na zamówienie. Kartki sprzedawał i miał wielu kupców, ponieważ takich nie można było normalnie kupić w sklepie. Kiedyś go przypadkowo podpatrzyłem i rozszyfrowałem. On je po prostu kopiował. Jednak robił to ładnie i miał zbyt. Ciocia, jego żona, często chodziła w oficerkach i była chyba jedyną kobietą w okolicy, która paliła papierosy. Potem po latach była druga taka osoba w mieście pani Cebulowa, która nie tylko paliła papierosy, lecz chodziła w spodniach w świątki i piątki. Obie pokazywane były palcami i obmawiane „na okrągło „. Wróblowie mieli pieska, który często leżał na progu domu na schodach u drzwi wejściowych, wygrzewając się na słońcu. Któregoś dnia na moich oczach podjechał hycel –to taki specjalista od łapania i zabijania bezpańskich psów i sprytnie i szybko złapał tego psa na lasso i wrzucił do budy na kółkach i pospiesznie odjechał. Nie pomogły interwencje. Było już po psie. Podobno w rakarni przerabiano je na mydło. Nie było wówczas schronisk dla bezdomnych psów i zwierząt. Na tej samej ulicy Ogrodowej mieszkali moi koledzy Heniek, Jurek, Bogdan, drugi Heniek od sąsiada z tego samego domu i sieni no i jeszcze trzeci Heniek, który mieszkał o kilka domów dalej na tej samej ulicy. Należałoby jeszcze wspomnieć o Janku z odchyleniami psychicznymi, Stasiu oraz Tadku Sikorze.

Z kolegami bawiliśmy się w przeróżne od lat wypróbowane gry i zabawy. bezpośrednio na ulicy, bez konieczności organizowania wypadów poza miasto bawiliśmy się w żandarmów i złodziei, w uganiankę piłką na ulicy na zasadzie kto dalej odgoni rywala od siebie rzucając piłkę. Były to czasy, kiedy samochód był rzadkością a traktor słychać było z daleka i można było uwolnić ulicę. Wóz z

koniem natomiast jechał tylko we czwartki, kiedy ze wsi do miasta i akurat naszą ulicą podążały pojazdy z bydłem i produktami na targ, który był urządzany na wspomnianym Borku.

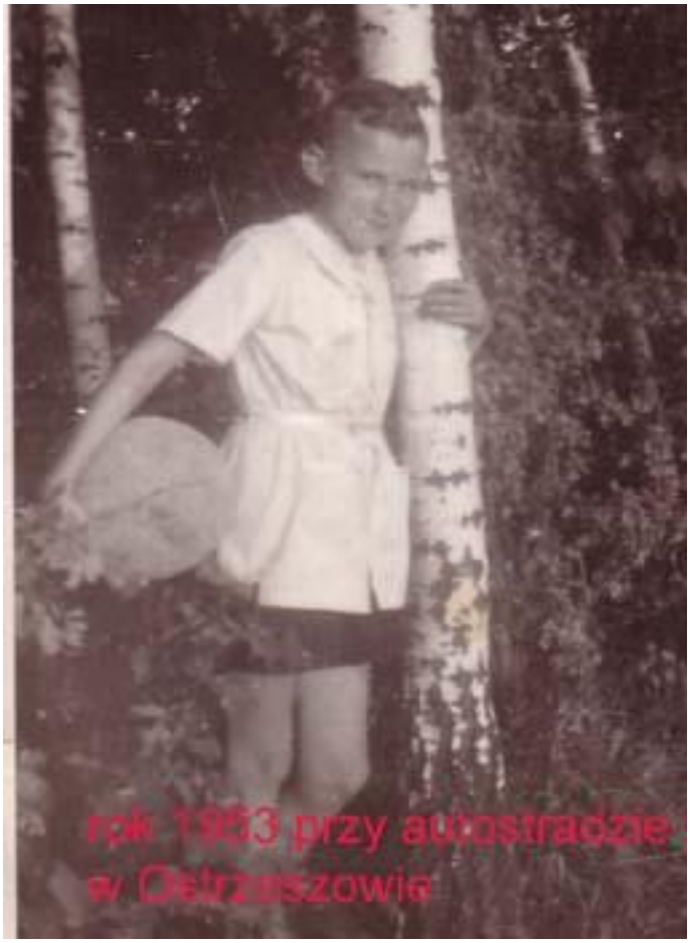

Tam sprzedawano kury, świnie, prosięta, owce, barany, kozy i konie. Konie najczęściej sprzedawali cyganie, mocno przybijając dłońmi w czasie transakcji. Była zabawa w stekla tzn. dwóch kijów jednego długiego a drugiego krótkiego z ukosami powodowało odskakiwanie tego krótkiego na odległość i kto dalej odbił ten był lepszy. Dziś gra niemodna, ponieważ niema „kocich łbów „na których to dobrze wychodziło. Graliśmy w klipę tzn. w grę przy użyciu noża, którego wbijaliśmy w ziemię aż do skuszenia, tzn. do momentu kiedy nóż płasko spadł na ziemię i nie wbił się. Do zabawy były też monety, odbijane od ściany lub wrzucane do dołków. Były zabawy w chowanego do późnych godzin wieczornych. . Dobra była tez zabawa dla egoistów przy pomocy toczącej się obręczy rowerowej bez szprych, popychanej specjalnie wykrzywionym drutem. Piłką do gry była najczęściej gumowa tzw. podkówka, dziwacznie sklejona w podkówkę. Z dziewczynami bawiliśmy się w klasy, lub w skakankę, nici lub odbijając piłkę o różne części ciała i o ścianę. Modne też były zabawy pirotechniczne z kluczem i siarką czy też z karbidem i puszką z deklem. W wietrzne dni szczególnie jesienią modne były drachy tzn. latawce różnego

Ostrzeszów Borek to tutaj spędzaliśmy wolne chwile jako dzieci bawiąc się na gródkach i łańcuchach okalających ten intereujący plac. Graliśmy również w piłkę i skakaliśmy na skakance. W czwartki tradycyjnie odbywał się wielki targ, gromadząc licznych handlowców z okolicznych wiosek i cyganów handlujących końmi. Nieraz przyjeżdżał tutaj cyrk lub wesołe miasteczko.

kalibru i z bardzo długimi sznurkami. Do zabijania ptaków i tłuczenia szyb dobre były proce z gumami od weków. W zimie łyżwy, rzadziej narty, choć w okolicy były małe górki na których można było uprawiać ten sport Łyżwy były wpierw przykręcane do butów na żabki i kluczem a potem mocowane do butów na blaszki. z otworami z tyłu a z przodu na żabki. Nie było jeszcze łyżew z butami jak dziś. Często pięty butów były urywane i uszkadzane, dlatego też dodatkowo ściągane łyżwy były paskami skórzanymi. Kiedy była trawa lub koc chętnie grano w kamienie, przez podrzucanie i chwytanie coraz to większej ilości kamieni. Jeżeli chodzi o wyprawy poza rejon najbliższych ulic to zima na sankach całe miasto zjeżdżało na Węcla". Była to sztuczna Góra z poręczami do wchodzenia i oświetlona.

Na „Borku" nie tylko graliśmy w piłkę i uganialiśmy się po „gródkach „czyli boksach, przygotowanych do spędu świń, lecz także huśtaliśmy się na łańcuchach okalających cały ten plac targowy i wykonywaliśmy przedziwne ewolucje i sztuczki nieraz karkołomne i niebezpieczne.

Tak dziś wygląda miejsce na którym był staw na Wilka, na którym nasi rodzice się kąpali a my zimą szaleliśmy na łyżwach na lodzie

„Na Wilka” w stawie kiedyś kąpano się a teraz zimą jeździliśmy do późna w nocy na łyżwach. ”na Wilka „, ponieważ staw ten był własnością pana, który nazywał się Wilk. Był to staw a obok był młyn z wielkim kołem młyńskim i zastawką. Od stawu do koła ułożone było specjalne koryto drewniane w którym przepływała woda i obracała wielkie koło młyńskie. W tym młynie mielono zboże na mąkę. Nieraz zaglądaliśmy do środka, lecz potem trzeba było się czyścić, bo wszystko było białe od mąki. Na lodzie zabawialiśmy się w różne slalomy, przejazdy z przeszkodami, mecze hokejowe. I tak pewnego razu wieczorem rozpędzony wjechałem na cienki lód przy brzegu i po pas zanurzyłem się w lodowatej wodzie.

Widok na cmentarz a stoję na drodze do stawu na Wilka i dochodzącej do autostrady i dalej na sławną Kąpielkę

Natychmiast udałem się do pani Wilkowej, która umożliwiła mi dokładne wysuszenie się przy piecu. Krępowałem się jedynie, bo przy niej musiałem się rozebrać do naga –niestety. Do domu wróciłem wysuszony i rodzice nie poznali że byłem dokładnie zmoczony.

zdjęcia powyżej to teren starego boiska Piasta i Gazownia a niżej wylot ulicy Sportowej a w głębi po prawej dom rodziny Niesobskich a po lewej stronie Szkoła Zawodowa i Technikum różnych specjalności

Przy Gazowni było boisko miejskie piłkarskie, na którym często przeprowadzaliśmy rozgrywki na zasadzie „Wasz plac na nasz plac „. To samo można było robić na boisku przy Szkole, lecz tam było niebezpiecznie, bo można było stracić piłkę na zawsze. Była to prawdziwa piłka skórzana, o której wspominałem wcześniej. Późnym latem z kolegami chodziliśmy wczesnym rankiem na grzyby na „Szklarkę „. Były wtedy zbierane :prawdziwki brunatno – bordowe i tzw. „bielusy „, takie grzybowe odmieńce albinosy, rydze na łąkach i przy ściekach drogowych, kurki, kozaki, i tzw. „podciechy „czyli żółtego koloru grzyby które po zerwaniu siniały i mówiło się że zbierane są na pociechę, kiedy tych prawdziwych było mało. Podobno w gwarze śląskiej nazywają się „bagniaki". Istotnie nazwa trafna, ponieważ grzyby te lubiły dużo wilgoci i rosły w podmokłych lasach.

Borek w Ostrzeszowie. Kiedyś był tu z pewnością bór, bo naqzwa wzięła się od tego, potem był plac targowy i rozrywki, a obecnie stoi budynek Przychodni, oraz mnóstwo zabudowań o charakterze handlowym a na miejscu dużej Kaflarni stoi Szpital Powiatowy a obok parking dla pojazdów i zwiedzających cmentarz dla wszystkich parafii ostrzeszowskich

Zbieraliśmy także inne jak pół prawdziwki, które siniały, kanie (sowy), zajączki, a późną jesienią nieraz kiedy były pierwsze przymrozki siwki i zielonki, rosnące w zagajnikach i w piasku. W zagajnikach i młodnikach rosło też dużo maślaków. Prawdziwków było wtedy tak dużo, że kiedy uzupełnialiśmy nasze zbiory pół prawdziwkami, to mama była niezadowolona i mówiła „znów przynieśliście mi na strucie, te ohydne siniaki ! „a my odpowiadaliśmy jej że „trudno mamo na bezrybiu i rak rybą „. Kiedy udało się któremuś z kolegów wynieść czyli podkraść z piwnicy swojskie wino, to było zbieranie urozmaicone i na wesoło. Zanim wróciliśmy z lasu, już nie było czuć i rodzice nie domyślali się o naszym występku. Często prowadziliśmy rywalizację kto więcej znajdzie zdrowych prawdziwków, bo jedynie te szlachetne grzyby liczyły się w rywalizacji O ile nie mieliśmy ochoty na zbieranie, bawiliśmy się w lesie, szczególnie w gęstwinach

w zabawę, naśladując dziką świnię. Zabawa polegała na straszeniu się poprzez chrząkanie i miarowe tupanie oboma nogami. . następnie bawiliśmy się w zabawę nazwaną „pilot gotów „która polegała na naginaniu młodych drzewek aż do ziemi i po uchwyceniu się i pomocy kolegi następowało katapultowanie w górę i była wielka frajda i uciecha. Wiele razy już bez kolegów, lecz z mamą siostrą i małym braciszkiem, wyruszaliśmy do lasu sosnowego na Marydoły na jagody i to na cały dzień, zabierając jedzenie i picie. Była to dla mnie w szczególności katorżnicza i syzyfowa praca.
„Uwalałem" się wtedy w gęste jagodziny, żeby nie było mnie widać i tyle miała ze mnie matka pociechy i pomocy. Na dodatek dodatkowej pracy, ponieważ zbrudzone rzeczy sokiem jagodowym trzeba było prać na drugi dzień, a wiadomo, że po tym soku trudno było usunąć plamy, a „Ace „wtedy nie znano. Szczytem wszystkiego było, kiedy matka oddawała uzbierane jagody do Punktu Skupu Runa Leśnego, aby dostać nieduże pieniądze na życie, a w domu nie było zapraw a ni deseru z cukrem lub pierożków z jagodami, które uwielbialiśmy w tym czasie. Jagody ponadto bardzo dobre były w przypadku biegunek, oraz na przeziębienie w postaci suszonej lub zagotowanych w słoikach.
Latem, kiedy nastały wakacje, kilkakrotnie byłem zaproszony na wieś do Torzeńca do brata matki wujka Idziego. Było to gospodarstwo rolne kilkuhektarowe z budynkami murowanymi i z dużą ilością ziemi uprawnej. Były świnie, owce, barany, krowy, kozy, konie klacz zwana „Greta" z małym źrebakiem u boku inwentarza żywego drobnego nie będę wymieniał, bo było tego dużo jak zresztą w każdym gospodarstwie na tej wielkopolskiej wsi. Jak

wujek Adam ze swoją żoną Jadwigą ze Świtoniów z Torzeńca

mogłem, pomagałem wujkowi w pracach na roli i w gospodarstwie. Kilka razy spotkałem wujka Franka –leśniczego w mundurze, który akurat wtedy odwiedzał rodziny, jak co roku ze swego rodu Malinowskich

W domu wujka Adama zawsze było wesoło

wujkowie Idzi i Adam a w głębi Mieczysław i Henryk synowie wujka Idziego

Od góry:bracia Adam i Idzi ze swymi synami Heńkiem i Mieciem Torzeniec w zabudowaniach Adama, na lewo chrzciny Danusi mojej siostry a rodzicami chrzestnymi byli: ciocia Aniela żona Stanisława i wujek Franuś brat mojej mamy, obok Wrocław żona Mieczysława z córką wiesią, od lewej: Torzeniec rodzinka na spacerze w ogrodzie Adama, obok Danusia w dniu swych urodzin. Chrzest miała w kościele w Wysznowie, obok syn Idziego Henryk ze swoją narzeczoną i późniejszą żoną Ireną, Rodzina Adama Malinowskiego przy swoim domu w Torzeńcu, nieco niżej ciocia Władysława żona wujka Franciszka a obok ona ze swym mężem Franciszkiem w Pleszewie.

Pamiętam, że bardzo smakowały mi świeże ciepłe jaja kurze. Podkradałem z gniazd kurzych jaja i wypijałem, a wujek wraz z ciocią Stasią dziwili się, że jakoś ostatnio kury mało jaj znoszą i że chyba znoszą poza zagrodą, gdzieś w krzakach. A kury normalnie znosiły jaja a ja dożywiałem się smakołykami i było mi na zdrowie. Na drodze obok gospodarstwa Hojów rosła olbrzymia grusza rodząca dorodne i smaczne gruszki zwane „ulęgałkami". Dojrzałe smakowały doskonale, lecz potem były problemy żołądkowe o ogólnie znanych efektach. Zboże młóciło się w młockarni o napędzie konnym przy pomocy kieratu. Przy pomocy owego kieratu i sieczkarni, cięto słomę na sieczkę dla koni i nie tylko. Kierat, było to urządzenie usytuowane tuż za stodołą z odpowiednio dużą przekładnią zębatą o zębach skośnych i stożkowych, obficie nasmarowana w środku kieratu, z której wyprowadzone były dwa drągi –dla dwóch koni lub jeden dla jednego konia. Koń uwiązany postronkami i barczykiem napędzał tę przekładnię, chodząc powoli wokół kieratu. Moja praca polegała na prowadzeniu i poganianiu lejcami i batem konia, bo nieraz nie miał ochoty pracować, podobnie zresztą jak ja. Uwielbiałem wylegiwać się po obiedzie na trawie i odpoczywać „na dowolnie wybranym boku" jak śpiewa Maryla R. Bardzo smakowało mi wiejskie jedzenie u wujka. Masło wyrabiane w maselnicy trzymane było w słonej wodzie w piwnicy. Kiedy zostało jeszcze coś ze świniobicia to dania były bardzo obfite, pożywne, choć te ubogie też smakowały. Często były świeże ziemniaki zwane w tym rejonie „pyrkami „. Była to przecież „Pyrlandia „i nieraz dziwię się, że ta nazwa nie przyjęła się ogólnie w Polskim słownictwie, ponieważ warzywo to przywędrowało przez Włochy i Bonę do Polski z Peru. Na dodatek było mięso z mizerią i „szabelkiem" bo tak nazywano fasolkę szparagową. I znów całkiem słuszna nazwa tego warzywa, ponieważ fasola ma właśnie kształt szabelki. Obowiązkowo było podane zsiadłe mleko gęste i zimne przechowywane w piwnicy koniecznie w glinianym garnku, tak jak kiszone ogórki. Kompot był najczęściej przygotowany z jabłek zwanych papierówkami z własnego ogrodu. Pewnego dnia pracowaliśmy razem z najstarszym synem Mietkiem w polu, zwożąc do stodoły snopki żyta. Wóz był już wtedy na gumowych kołach, więc koniowi było lżej ciągnąć ten ładunek. Do ładowania służyły widły. Ponieważ zbierało się na burzę i chmury złowrogo zwisały i ciemno się nagle zrobiło, śpieszyliśmy się, aby zdążyć jeszcze przed ulewą zwieź jeszcze suche zboże, celem wymłócenia. Zachciało mi się w tym momencie gonić mysz, która uciekała, kiedy podniosłem snopek zboża. Goniąc ja widłami, aby ją zabić, nieopatrznie wbiłem w oponę wozu widły i powietrze nagle zaczęło uciekać jak szalone, wóz się przechylał a naładowany był aż do granic możliwości. Zdecydowaliśmy się bez naprawy w takim stanie w pośpiechu jechać do rozładunku, lecz wpierw wjechać trzeba było do stodoły, bo pierwsze krople już zaczęły spadać z nieba. Udało się, lecz w tym pośpiechu i zdenerwowaniu, siedząc wysoko na furze uderzyłem głową o belkę drzwiową stodoły i na chwilę straciłem przytomność. Lekko zmoczone zboże oraz przebita opona była powodem zdenerwowania wujka Idziego. Z koniem „Gretą" natomiast miałem następujące dwa zdarzenia :

Otóż zmęczona wróciła z pola a wujek prosił mnie, abym ją napoił wodą ze studni, stojącej na placu przed stodołą. Z tej wody i studni korzystano w całym gospodarstwie. Kiedy nabrałem wody do wiadra, specjalnym kołowrotem studziennym na łańcuchu z hakiem, koń mimo iż był straszliwie zmęczony i spragniony, nie miał ochoty się napić. Wujek wyjaśnił mi, że kiedy wiadro jest brudne, lub coś pływa po wodzie, to koń nie ruszy wody mimo pragnienia.

Zobaczyliśmy, Ze w wodzie topi się olbrzymia mucha i jeszcze jest żywa. Usunęliśmy to stworzenie i koń ochoczo zaczął się delektować piciem i zaspokoił swoje pragnienie.
Drugi przypadek, świadczący, że koń jest wielkim przyjacielem człowieka i bardzo rozumnym stworzeniem co imponuje mi zresztą do dziś dnia, choć się go boję tak jak psa, -był następujący
Wracaliśmy z pola razem z wujkiem i poprosiłem go aby mi dał lejce do prowadzenia. Znałem już zawołania furmańskie i komendy a więc „hetta" znaczyło w prawo „świ" w lewo „pr...r" znaczyło stój a „wio" jechać, uderzenie lejcami lub batem znaczyło poganianie. Wóz był drewniany z bokami zwanymi burtami i z przodu i z tyłu z zastawkami też mającymi swe nazwy lecz już nie pamiętam. W pewnej chwili na drodze pojawiła się duża dziura i na komendę „pr...r" koń nagle zatrzymał się, przód wypadł z siedzenia wypadłem nagle i znalazłem się między postronkami i barczykiem pod kopytami końskimi i brzuchem tego wielkiego zwierzęcia i byłem bardzo przestraszony i pomyślałem że to już koniec ze mną i mnie to wielkie zwierzę stratuje. Lecz o dziwo ten nie tylko nie ruszył się z miejsca, lecz delikatnie cofnął i rozszerzył swe nogi, pozwalając mi uwolnić się z uprzęży, że mogłem bezpiecznie wydostać się z opresji. Mogliśmy więc dalej kontynuować jazdę wozem z sianem do stodoły. W pobliskim stawie między stodołą, kieratem i ogródkiem było dużo ryb i szlamu. Kiedy był czas wolny od robót polowych przy pomocy koszy i boków z wozu do zagarniania łowiono ryby a potem smażono i była wyśmienita „wyżerka" i radość dla podniebienia. Uwielbiałem też spanie na sianie w stodole. Mówiono mi, że to niebezpieczne i można uśpić się na zawsze, lecz nie odczuwałem żadnej zmiany w moim organizmie i często ryzykowałem oddając się drzemkom na kocu w sąsieku. Tam też często harce urządzały myszy, ale spanie było milsze. Sąsiadami wujostwa byli : Koryciakowie, Sadowscy, Muskałowie, brat Adam z synami Kazikiem i Czechem i córkami :Jasią, Marysią, Zosią. Kiedy po latach znów odwiedziłem to gospodarstwo było jakoś dziwnie, wszystko takie małe i nie mogłem się znaleźć. Spotkał mnie jedynie sąsiad Sadowski, który mnie nawet poznał i opowiedzieliśmy sobie jak to dawnej bywało.

Torzeniec to wioska w rejonie Ostrzeszowa w południowej Wielkopolsce o głębokich tradycjach patriotycznych nie tylko w okresie I wojny Światowej lecz także w okresie II wojny światowej w odwecie za akcje miejscowych partyzantów Niemcy zorganizowali rzeź i wymordowali niemal wszystkich mężczyzn z tej wioski. Po wojnie w dowód pamięci mieszkańcy wybudowali piękny pomnik, który jest obecnie wielce czczony i odbywają się przy nim uroczystości i nabożeństwa religijne.

Uratowali się jedynie dwaj bracia moi wujkowie Idzi i Adam. Pierwszy w tym czasie przebywał tak jak my w Warszawie, natomiast Adam w tym momencie zdążył się ukryć głęboko w lesie w miejscu niedostępnym, wykopując sobie norę w ziemi i mimo pościgu psami nie udało się zbrodniarzom go znaleźć. O zdarzeniu tym wspominałem wcześniej w moich wspomnieniach.

Mój dom rodzinny i ulica. Służba ministrancka. Zwyczaje w Kościele. Pielgrzymki Powiedzonka mojej matki i zwyczaje w naszym domu i mieście. Gwara w mieście.

Wspominałem już o niektórych niewygodach w moim domu rodzinnym. Mieszkanie jednopokojowe zimne z zaciekami i pleśnią od strony gdzie mury nie miały kontaktu z innym pomieszczeniem. Okna w kuchni pojedyncze, w zimie mróz malował piękne kwiaty i ozdoby bliżej nieokreślone, natomiast w pokoju były podwójne a dylatacja międzyokienna nieraz służyła nam jako chłodziarka, bo w czasach powojennych jeszcze nie było agregatów chłodniczych w domu. Przypominam sobie, że rzeźnik miał specjalny magazyn brył lodu, które służyły do oziębiania niektórych produktów w czasie letnich miesięcy. W zimie do łóżka obowiązkowo wkładano nam ogrzane butelki z wodą lub specjalne gumowe naczyńka z korkiem i z gorącą wodą w nogi. Rano były już zimne, ale zasypiało się przyjemnie. Pierzyny z prawdziwym pierzem gęsim i grube poduchy a pod spodem siennik wypchany słomą powodowały, że kiedy zagrzaliśmy sobie posłanie ciałem i gorącą wodą, było komfortowo, a w czasie choroby można się było doskonale wyleczyć potami i aspiryną popijaną herbatą z malinami lub z lipy i naturalnie osłodzoną miodem naturalnym. Kobiety w czasie zimy nosiły na nogach kapce futrzane lub filcowe oraz mufki na ręce, wykonane z futra króliczego. Czapki nosiliśmy bądź ze skóry króliczej lub kociej. Rękawiczki były bez palcowe robione na drutach a na nogach wysokie buty szyte na miarę u szewca. Ozdobą kobiety w zimie były lisie futra, koniecznie z pyszczkiem i puszystym ogonem w formie ozdobnego zwisającego kutasika na plecach. Takiego właśnie lisa dostała moja matka w prezencie od tego najlepszego brata a naszego wujka Franusia. Tuż po wojnie częstowano nas dzieci ohydnym tranem z wielorybów, pochodzącym z paczek UNRA z Ameryki. Wielkie litrowe butelki stały na parapecie okiennym w kuchni i straszyły nas swym widokiem. Normą było wypić tego „świństwa" pełną łyżkę stołową trzy razy dziennie. Potem były tak jak i dziś praktyczniejsze w użyciu i nie takie przykre kuleczki tranowe, które połykało się i nie było czuć tego nieprzyjemnego zapachu. Woda była w sieni a w zimie kran musiał być otulony szmatami, ponieważ często zamarzał. Okna wychodziły na podwórze i na ogród gospodarza, którego pilnował zły pies Aza, przywiązany do budy przy płocie. Pilnował nie tylko wejścia do ogrodu lecz przede wszystkim gruszki zwanej cukrówką. Woda do picia i mycia stała zawsze na małej „ryczce" obok pieca w kuchni. Oświetlenie początkowo gazowe gazem miejskim z Gazowni mieszczącej się przy Straży Pożarnej i przy boisku sportowym miejscowego Klubu. Kuchnia też była na gaz. Informacje z lokalnego źródła rozgłośni zwanej „pętelką „płynęły z głośnika zwanego „kołchoźnikiem „zawieszonego wysoko przy drzwiach i oknie. Posiadaliśmy również radio „Pionier" wpierw z ciemnego tworzywa, bakelitowego a potem bardziej nowocześniejsze w obudowie drewnianej, które grało jeszcze kiedy byłem dorosłym człowiekiem i to bez naprawy. O ile wspominam o niezawodnych urządzeniach to nie mogę pominąć pralki „Frani" i zegarka na rękę marki „Pobieda" którego otrzymałem od ojca, gdy skończyłem Szkołę Podstawową tj. w roku 1957 i jeszcze do dzisiaj jest „na chodzie" a do tego jeszcze nigdy nie był naprawiany. Raz tylko stanął mi i po przeczyszczeniu chodził dalej. Radio to można było doraźnie naprawić samemu bez jakichkolwiek kwalifikacji. Kiedyś zerwała się skala więc ją przy pomocy sznurka naprawiłem. Ojciec często przy dużych zakłóceniach i szumach próbował „złapać" „Wolną Europę" albo rozrywkowy Luksemburg. Najlepiej

słuchało się wieczorem lub nocą. Pamiętam była jeszcze taka stacja z której na początku słychać było „Bum, bum, bum tu mówi London" lub „Z Londynu mówi Stefan Litauer „.
Przy drzwiach wejściowych w mieszkaniach, gdzie mieszkali ludzie pobożni i praktykujący tak jak i my obowiązkowo wisiała kropielniczka ze święconą wodą. Wchodząc lub wychodząc z domu żegnało się zanurzając palce w tej wodzie i mówiło się przy wejściu „Pochwalony Jezus Chrystus" a przy wyjściu „Zostańcie z Bogiem" rzadko „Szczęść Boże „. To drugie pozdrowienie bardziej używano pozdrawiając ludzi przy pracy. A propos elementów religijnych, to na ścianie wisiał krzyż z ukrzyżowanym Chrystusem, obrazy o tematyce religijnej, Chrystus cierpiący w koronie odlany a raczej zrobiony z gliny i wypalony z glazurą. Tą pamiątkę dostaliśmy od wujka Edzia –brata mego ojca, który pracował w miejscowej Kaflarni. Był on najmłodszym bratem i bardzo lubianym w rodzinie, niestety z niewyjaśnionych okolicznościach i powodów znaleziono go w głębokim lesie, powieszonego u drzewa na swoim pasku. Rower stał pod drzewem, a znaleziono go po kilku miesiącach w stanie nie nadającym się do opisania.
W mieszkaniu ustawiony był ołtarzyk, przy którym modlono się najczęściej „na głos" i wspólnie z rodziną, bardzo rzadko ojciec do nas dołączał. W klasie szkolnej na początku tez wisiał krzyż. Modliliśmy się przed nauką i po jej zakończeniu, oraz naturalnie w szkole była religia. Modlono się w rodzinie przed i po posiłku oraz o godz. 12. 00 w południe, kiedy dzwony w Farze i w Klasztorku dzwoniły na „Anioł Pański „Widziałem wtedy, że robotnicy na ulicy i w polu przerywali pracę na chwilkę. Telewizji nie było, więc matka więcej czasu mogła poświęcać swoim dzieciom i nawet nieraz odmawiano wspólnie różaniec. Matka nasza naturalnie ciągle modliła się na tym swoim ukochanym różańcu, pochodzącym z czasów okupacji mocno sfatygowanym, który uratował ja od wielu nieszczęść.
W sieni naszego domu stały wiecznie oleandry, duże w wielkich donicach drewnianych. Gospodarz wypożyczał je do Kościoła, względnie do prywatnych domów i tam stały przy trumnie zmarłego lub przy katafalku i kandelabrach w kościele na środku. Bliskość cmentarza sprawiała dla nas dzieci niemiłe skojarzenia i baliśmy się duchów tego obiektu. Kiedy korzystaliśmy z ubikacji nocą ciemną, a była ona jak już wspominałem na zewnątrz tuż przy wejściu na ogród oddalona od domu na końcu podwórka, musieliśmy iść w asyście i z obstawą osoby dorosłej. Ojciec proponował mi wiele razy, abym zawiesił na kiju szczotki do zamiatania jego kapelusz, wówczas duch lub złodziej pomyśli że idę z ojcem i nie będzie mnie straszył. Nieraz to próbowałem robić, lecz strach był większy, a wiatr strącał zawieszony kapelusz. Straszyły ponoć wyłącznie duchy nie te z piekła, lecz te pokutujące, które znikąd nie miały ratunku i wstępnie były w czyśccu. Dlatego tez często modliliśmy się „za dusze w czyśccu cierpiące i nie mające znikąd ratunku „. Przeżywaliśmy każdorazowo, kiedy z cmentarza dochodził płacz i lament i śpiewy „Salve Regina" – Witaj Królowo. Po święcie Zmarłych i przed, kiedy porządkowano swoje groby na ogrodzie były hałdy śmieci i odpadów z grobów. Nie było wydzielonego składowiska odpadów i ludzie wyrzucali odpady za płot cmentarny na ogród naszego gospodarza. Na cmentarzu często urządzaliśmy gonitwy i bawiliśmy się w" szukanego" Pewnego razu założyłem się z moim ojcem że o godz. O. oo w nocy przejdę na cmentarzu od bramy głównej aż do pomnika Powstańców Wielkopolskich za główny krzyż tam i z powrotem około 150 metrów w jedna stronę. Odwagą

natchniony spróbowałem kiedyś tego wyczynu, lecz szybko wróciłem i nie wykonałem zadania. Przypomniałem sobie pewne zdarzenie opowiedziane mi przez ojca jak to jeden z żołnierzy klęcząc przy grobie swej ukochanej przypadkowo zahaczył swoim długim płaszczem o wystający element sąsiedniego grobu chcąc wstać tak się wystraszył, że dostał zawału serca i na miejscu umarł. Któregoś dnia podczas gonitwy kolega zwany „Pytyjonkiem" wpadł do grobowca do połowy i był wielce przelękniony. Chyba od tego czasu zaczął się jąkać. Kiedy się z nami bawił nie zdradzał odchyleń psychicznych, lecz kiedy dorósł z czasem nienormalność ta się pogłębiła a po wielu latach stopniowo tracił kontakt z ludźmi i w efekcie prawdopodobnie powiesił się, podobnie jak to zrobił o wiele wcześniej jego ojciec. Wrócił kiedyś wieczorem z pracy bo był maszynistą parowozu i chodził z wielką torbą narzędziową, zmęczony i na schodach na piętrze tuż przy swoim mieszkaniu zawisł na pasku skórzanym. Widzieliśmy jego wiszącego na drugi dzień rano. Obraz straszny i głośno było wtedy na ulicy w związku z tym wypadkiem. Przy wejściu głównym z boku cmentarza był grób Jagiełłów i ilekroć spoglądałem na zdjęcie na którym była matka z maleństwem na ręku to sobie myślałem, dlaczego taka młoda matka musiała umrzeć i to w dodatku z małym dzieciątkiem i teraz leżą obie te istoty w zimnym, nieprzyjemnym grobie. Medycyna była wówczas bezsilna.
Zmarłych śmiercią nienaturalną a zwłaszcza samobójczą chowano w wydzielonych miejscach cmentarza pod płotem od strony rzadko uczęszczanej. Tam też pochowano owego nieszczęśnika –ojca „Pytyjonka „. Sąsiadem naszym był rzeźnik, który bez ograniczenia i za byle co bił swego syna, nieraz do nieprzytomności czym popadło i gdzie popadło. Nieraz w czasie długiego katowania Heniek przestawał wyć i płakać, a since na drugi dzień wołały o litość i o „pomstę do nieba" jak mawiała moja matka
Drugim sąsiadem był Pustal ojciec mego starszego kolegi Heńka ale cała rodzina wyprowadziła się, gdy ojciec rodziny umarł. Kiedy amputowano mu w związku z gangreną nogę, to poprosił nas chłopców, abyśmy zapakowaną w karton odciętą nogę zanieśli na cmentarz i po pomodleniu się zakopali, co też z nabożeństwem wykonaliśmy to dziwne polecenie. Odtąd jeździł na wózku inwalidzkim a wkrótce potem umarł. Gospodarz natomiast od wojny też miał nogę zastępczą bo z drewna. Był krawcem i kiedy niestarannie ją przymocował, spadała mu z wielkim hukiem na podłogę, czyniąc hałas, a myśmy na dole wszystko słyszeli.
W okolicy naszego domu jak i w mieście żyli różni ludzie, lecz najbardziej pamięta się zawsze tych nienormalnych, z którymi dzieci miały dużo uciechy i zabawy. Wspomniany już „Pytyjonek „kiedy bawiliśmy się razem lub urządzaliśmy bijatykę lub zapasy to ślina pienista wydobywała mu się z ust i był bardzo zacięty w tych bojach. Chciał za wszelką cenę wygrać. Vis a vis mieszkał „głupi Józiu" bardzo wysoki i silny mężczyzna, który gdyśmy mu się sprzeciwiali, gonił nas a gdy furtka była zamknięta rzucał kamieniami a przy otwartej furtce wybiegał na ulicę i obrzucał nas końskimi „bobkami „, których dużo było na jezdniach bo wtedy jeszcze pojazdy samochodowe były rzadkością i sensacją, kiedy przejeżdżały, natomiast dużo było wozów z konnym zaprzęgiem. Po mieście chodziła nienormalna Anielka, dziwnie ubrana zawsze z wiaderkiem po marmoladzie zawieszonym na drucie a w nim miała przeróżne rzeczy papiery i śmieci, które zbierała starannie z ulicy lub gdzie popadło. Na Borku tym placu targowym żyła sobie na poddaszu z bardzo maleńkim okienkiem wychodzącym na ten plac niejaka Rózia staruszka. Z tego

okienka wiecznie wyglądała na świat. Staruszka ubrana była zawsze grubo i w chustce na głowie. Kiedy my dzieci wołaliśmy na nią po prostu „Rózia, Rózia „, to ona rzucała w nas czymkolwiek i straszliwie przeklinała, używając przedziwnych słów, często niezrozumiałych dla nas. Był też w pobliżu tego placu pan wysoki i chudy dostojnie wyglądający w czarnym garniturze i pod krawatem i zawsze z czarną teczką w ręku. Nazywaliśmy go profesorem Michalskim bo kiedyś był zapewne jakimś naukowcem lub pedagogiem. Nie był on szkodliwy dla otoczenia a kiedy ktoś próbował się z niego wyśmiewać, to on specjalnie nie reagował. Sam nawet nie przypuszczał że jest to skuteczna metoda, aby dzieci jego nie napastowały. Zbierał po ulicy kije i patyki i wkładał je do tej czarnej torby. W jego sąsiedztwie mieszkał „Majuja" z dużą brodą i wielkim kapeluszem, prawie takim jak noszą kowboje. Hodował z pasją gołębie, a myśmy na niego wołali „Majuja brifki na dachu" on natomiast wściekał się i gonił aż do obłędu rzucając nieraz na uciekających kamienie i inne przedmioty które miał pod ręką, a jak nie daj Boże złapał kogoś to nie było litości i lał gdzie popadło. Brifki to nieco z niemieckiego brzmiące słowo oznaczające gołębie pocztowe i prawdopodobnie takie hodował.
W pobliżu tego brodatego „Majuji „mieszkał kolejny zwariowany. Przezwiskiem tego zaś było „Malinek „. Wysoki, wielce wysportowany mężczyzna i nie do końca nienormalny, raczej dziwak. Tego znów niebezpiecznie było drażnić, ponieważ zwykle kończyło się źle, bo każdego dogonił. Pewnego razu nie wiedząc, że jest ten człowiek tak dalece sprawny, zawołałem i ja na niego jak inni wg umówionego hasła i oto puścił się za mną jak szalony, aby mnie dogonić. Był jednak między nami spory dystans i miałem teoretyczne szanse, aby uciec. Już niemal kroki jego słyszałem i oddech na plecach, kiedy wpadłem do najbliższego domu, w którym mieściła się partia a teraz jest Ośrodek Zdrowia, ukrywając się na samej górze w jakimś otwartym biurze i schowałem się do szafy. To mnie uchroniło, lecz po odczekaniu wyszedłem z tego biura, a on jednak nie dawał za wygraną i czekał na mnie za najbliższym rogiem. W pewnej chwili zaczął mnie ponownie gonić a ja uciekałem w kierunku Klasztoru łąkami i poprzez strumyki przeskakiwałem jak sarna. W pewnej chwili uciekający przypadkowo inny malec zmylił pościg i wyratował mnie, ponieważ on pobiegł za nim w inną stronę a ja odetchnąłem z ulgą i schowałem się w Klasztorze, w którym swe modlitwy odprawiały Siostry Nazaretanki, i zacząłem się oczywiście razem z nimi gorliwie modlić, dziękując Bogu że mnie ten szaleniec nie złapał. Jeszcze jeden zagadkowy człowiek żył w tym mieście i wzbudzał wielkie zainteresowanie. Był to człowiek starszy, brodaty i zgarbiony do ziemi, bo był po prostu garbaty. Podobno łapał psy, koty, szczury, myszy i przetapiając je na smalec zjadał. Przezwisko było nieco dłuższe bo wołaliśmy za nim „Psy, koty, szczury, myszy, "a on też nas gonił, lecz był bardziej niedołężny więc rzucał kamieniami w wymyślny i zmodernizowany sposób. Wsadzając kamień do kija, który na końcu był rozszerzony i nacięty, trzymał się zakleszczony a kiedy wyrzucał z wielkim zamachem, wylatywał jak z katapulty w naszym kierunku. Było to niezwykle niebezpieczne, lecz dla niego skuteczne i odstraszało napastników. Tylko co odważniejsi zabawiali się z nim. Taką samą metodą walki z kłusownikami posługiwał się stróżujący na alei czereśniowej na drodze parzynowskiej, lecz nieraz udało nam się tego stróża przechytrzyć i dostawaliśmy się na drzewo po smakowite czereśnie. Ilekroć zbliżały się Święta, należałoby lub wręcz wypadało, mimo wielu zajęć ulicznych i podwórkowych pomóc mamie.

W mieszkaniu zwykle nie sprzątaliśmy, przynajmniej ja, natomiast siostra częściej a najmłodszy brat w ogóle, bo mama miała swoje sposoby sprzątania i mówiła „dajcie mi spokój „Było to przecież złe wychowanie i wielce niepedagogiczne –patrząc teraz z perspektywy czasu minionego, ponieważ nie przyzwyczaiła nas do tych robót w przyszłości, co niejednokrotnie później żona mi to wytykała. Niemniej jednak inne prace wykonywaliśmy z ochotą w ramach luzów.
Buty zniszczone, trzeba było dla całej rodziny zanieść do szewca. Drobniejsze naprawy i uzupełnienia można było po wielkiej prośbie i błaganiach odebrać zaraz, natomiast inne w wyznaczonym terminie, byle był to czas dogodny, aby na święta lub niedzielę były gotowe. Czekając na buty obserwowałem pracę i dziwiłem się że temu człowiekowi tak zgrabnie „idzie „praca. Buty mocował na pasku lub drejfusie, specjalnym stojaku odlanym z żeliwa, posiadającym różne zakończenia na różne rodzaje butów, a szewcował na kolanie, stukając młotkiem o dziwnym kształcie. Podeszwy były ze skóry i z gumy. Jedne mocował przy pomocy gwoździ, drugie przy pomocy drewnianych kołków, robiąc wpierw otwory specjalnym szydłem. Następnie wystające kołki ścinał raszplą do równości i zlicowania z podeszwą.
Na koniec obrzeża lakierował jakimś czernidłem lub pastą. Inne buty stały na półkach w „prawidłach, celem uformowania i wydłużenia. Naprawione buty stały rzędem wyświecone z kartkami do odbioru.
Muzyczka z „pętelki” urozmaicała robotę siedzącą a szewc z praktykantem najczęściej rozmawiali o polityce i o sytuacji w mieście. Często u niego przesiadywali koledzy lub klienci mający ochotę podyskutować i długo ta dyskusja trwała. Na święta wypadało iść do fryzjera. Było to dla mnie bardzo przyjemne, bo tam się siedziało na specjalnym krześle obrotowym, a fryzjer zgrabnie strzygł lub golił brody i wąsy. Zwykle przed świętami były tam duże kolejki. Loczki pamiętam miałem śliczne i długie jak dziewczynka i któregoś dnia fryzjer bez zgody rodziców obciął mi je i schował do kartonika, a ja od tej pory na pytanie gdzie podziałem włoski odpowiadałem że „w kartoniku są schowane „. Tak samo postąpiliśmy po latach z moim bratem Januszem. Zaciągnęliśmy go wraz z moim starszym kolegą do fryzjera i kazaliśmy aby mu je ściął –też bez zgody matki. Zapakowaliśmy je także do kartonowego pudełeczka na pamiątkę.
Przed świętami i nie tylko było duże pranie. U nas prało się na tarce szarym mydłem lub „Tukanem” bo nie było jeszcze ani „Frani” ani proszków do prania i w wielkiej ocynkowanej okrągłej balii. W tej wannie zresztą była rodzinna kąpiel w soboty i też przed świętami. Wysuszone na strychu pranie było krochmalone a pościel i obrusy wyciągane i układane w kostkę. Firany dawano do „szpanowania „na stojakach i listwach z szeregiem gwoździ na które napinano mokre firany, aby mogły się napięte dobrze wysuszyć. Następnie złożone pranie do kosza wiklinowego zanoszono do magli. Było to urządzenie wielkie z korbą i wałkami na które nawijało się kolejno pościel zwane maglownikami. Zawijało się nie tylko pościel, lecz obrusy, serwetki, serwety, kapy itd. Obracając wielką korbą po wałkach wielka skrzynia wypełniona kamieniami przesuwała się tam i z powrotem aż do całkowitego wymaglowania. Dla nas małych kręcenie korbą w dodatku z nawiniętymi wałkami z pościelą była to praca bardzo trudna i ciężka. Za taki wysiłek była zwykle nagroda w postaci cukierków, rzadziej lodów. Cukierki były przeważnie bez papierków. W papierkach były drogie. Te bez papierków wystawione były na ladzie w wielkich szklanych słojach z

przykrywkami, z których sprzedawca wybierał je specjalnymi łyżkami aluminiowymi. Latem wokół tych słoi krążyło wiele pszczół i os. W domu i na ulicy przed świętami roznosił się drażniący nozdrza zapach ciast i wędzonek. Po rozrobieniu w domu ciasta i ułożeniu na blasze wysmarowanej wpierw tłuszczem, zanosiło się do piekarza i tam stawiało się ciasto z kartką na chwilę do wyrośnięcia, aby po wypieku odebrać. Po drodze niestety ku niezadowoleniu matki trzeba było to ciasto pachnące i świeże spróbować a szczególnie smakowały nam kruszanki na wierzchu to takie nieregularne grudki ciasta z cukrem, które nim jeszcze matka przed wypiekiem przygotowywała, podkradaliśmy i ze smakiem konsumowaliśmy je. Surowe smakowały najbardziej. Pokusa przezwyciężała wszystko. Drożdżowe ciasto musiało wydobrzeć pozostawione w dzieży. Latem robiło się bardzo często piwo swojskie ciemne w butelkach z zamknięciami i gumką. Ileż było uciechy dla nas a dla matki zdenerwowania, kiedy niezbyt zimne eksplodowało po otwarciu. O ile wujek Idzi lub znajomy rzeźnik miał czas a my zdobyliśmy świniaka, było świniobicie w domu. Całe mieszkanie i sień zaparowane. Zapachy te przyjemne i te mniej mieszały się wzajemnie. Wspaniale smakowała kiszka wyjęta z gorącej kiszczanki z kotła stojącego na piecu kaflowym, specjalnie z tej okazji uruchomionym. Zupełnie smakowitym kąskiem była kiełbasa swojska zaparzona lub potem uwędzona za kilka dni razem z boczkami i szynkami. Zanim przystąpiono do przetwórstwa, mięso z kilku miejsc należało poddać badaniu u weterynarza. Z podziwem patrzyłem jak rzeźnik te odpady świńskie czyli ryj, uszy, mielił i ciął na kawałki wpychając je do żołądka świńskiego w celu przygotowania salcesonu. Potem ten salceson musiał być przyciśnięty deskami i kamieniem, aby nabrał kształtów i był bardziej zbity i dobry do krajania. Dla dzieci były tzw. „pacharzyny" tzn. nadmuchane elementy pęcherzy takie balony do zabawy. Wisiały na sznurku i się suszyły. Któregoś z rzędu świniobicia, wujek poprosił mnie, abym mu pomógł przy pracy, wpychając pocięte na kawałki mięso do maszynki przykręconej do stołu. Kiedy już się nieco zmęczyłem, maszynką kręcił wujek a ja natomiast jedynie wpychałem mięso do środka. W pewnej chwili poczułem wielki przejmujący ból i rękę wciągnął mi ślimak maszynki, który był odpowiednio zaostrzony, niezależnie od noża. Efektem tej nieuwagi była wizyta u lekarza i zabieg, na szczęście niegroźny, bo kości nie zostały naruszone a jedynie „ciało „. Kiszczankę, kiszki a nieraz i inne wyroby zanoszone były do sąsiadów i krewnych, celem poczęstunku i pochwalenia się, że u nas jest świniobicie.

Przed świętami ale nie tylko, otrzymywaliśmy od matki kartkę z zakupami, głównie u rzeźnika bo sklep „mięso i wędliny „nazywał się „rzeźnik" i można było niemal wszystko tam kupić co wieprzowe i wołowe za wyjątkiem koniny, bo tego typu wyroby miały swój własny sklep i były mniej popularne. Kiedy matka nie wiedziała a my mieliśmy „lewe" pieniądze udawaliśmy się tam i kupowaliśmy sobie kiełbasę, która nam bardzo smakowała i była względnie tania. W czasach kryzysowych powojennych krążyła anegdotka o rzeźniku i sklepie mięsnym iż dawniej w sklepie było mięso, wędliny a na zewnątrz był napis rzeźnik, natomiast teraz jest odwrotnie bowiem na sklepie jest napis mięso, wędliny a w środku jest tylko rzeźnik. Przy zakupach operowało się funtami, półfuntami i ćwierćfuntami. Na mięsie się nie znałem, więc jeżeli przyniosłem np. kotlety z większą kością niż norma ustalona przez matkę to musiałem je z powrotem zanieść i z tym miałem zawsze problem, lecz zwykle rzeźnik przyjmował tę reklamację i nie obeszło się bez jego uwag i wymyśleń na

matkę. Gdy na kartce napisane było „włoszczyzna” to nigdy nie wiedziałem co kupić i co to znaczy owo tajemnicze słowo. Takiej pozycji na straganie nie było. To tajemnicze słowo znała handlarka, bo zawsze mi dała pęczek jarzyn a matka nic mi nie mówiła i było dobrze załatwione no chyba że te jarzyny były zwiędłe i nieświeże. To była akurat porcja jarzyn na obiad do rosołu lub do zupy. W Aptece zabezpieczano się w różne środki lecznicze i lekarstwa, te bez recept i te na recepty, ale jedynie gdy choroba się trafiła. Znajoma mamy w Aptece zabawiała się często moją osobą, bo pamiętała że ja już od małego dziecka chodziłem do niej po lekarstwa. Po glinkowy ocet, po plaster z lwem lub po proszki na ból głowy z kogutkiem. Kiedy kupowałem proszki na ból głowy to ta pani ciągle pytała mnie „czy mamę ma boleć głowa czy nie, bo ty zawsze chcesz proszki na ból głowy „Dziwiłem się czego ona mnie pyta bo przecież mamę ma głowa przestać boleć i mówiłem że „nie” a ona odpowiadała mi niezmiennie że w Aptece są tylko proszki przeciw bólowi głowy z kogutkiem. W Drogerii na Rynku natomiast był bardzo gruby i dowcipny sprzedawca, który na prośbę klienta, szczególnie dziecka, gdy danego specyfiku nie było w sklepie odpowiadał „Idź mały do domu i powiedz rodzicom, że nie ma tego, lecz jest jedynie –sapiencja „Dla wyjaśnienia należy tutaj podać, że po łacinie słowo to oznacza po prostu mądrość i tę mądrość proponował rodzicom kupić. Oczywiście długo nie wiedzieliśmy co to znaczy i dawaliśmy się nabierać przez tego dowcipnego sprzedawcę. Rodzice natomiast nie korygowali nas, bo też mieli „ubaw „. Cukier kosztował wtedy 5, 25 i pewien sprzedawca w Rynku w sklepie „Na Szewczyka „bardzo szybko obsługiwał i mówił też bardzo szybko i z tego wychodziły śmiechy i przedrzeźniania.
Mówił mniej więcej tak „Pię, pię, pię, pięć dwadzieścia i pięć „Więc dzieci specjalnie pytały go każdorazowo „ile kosztuje kilogram cukru „, aby się z niego ponaśmiewać i uciec. On natomiast zwykle musiał na takie pytanie cierpliwie odpowiadać, bo co miał innego zrobić. Były też sklepy kolonialne tzn. takie w których były towary z dalekich ciepłych krajów i „słodkie dziurki „z dziwnymi kolorowymi smakołykami głównie dla dzieci.
W trzeciej klasie roku 1953 w marcu nagle jak grom z jasnego nieba, a raczej z głośników „pętelki” dotarła do ludzi smutna wiadomość że „nasz wielki przyjaciel Polski i ojciec Batiuszka Stalin nie żyje „Jakież było w mieście poruszenie. W dniu tym naturalnie lekcji nie było. Nauczyciele prawie wszyscy płakali, szczególnie ci młodzi i ci zaangażowani i niektóre dzieci też, Spędzili nas do wielkiej sali gimnastycznej w papciach i wysłuchaliśmy kilkugodzinnej transmisji radiowej z uroczystości pogrzebowej na Kremlu. W majestacie powagi udaliśmy się do domów a starsi między sobą długo komentowali po cichu to wydarzenie. Musiał on być czczony jak bóstwo. Wystawiony miał „ołtarzyk „na korytarzu szkolnym a świeże kwiaty były tam zmieniane co kilka dni. Bardzo trudna do zdobycia i bardzo popularna była w tym czasie książka Heleny Bobińskiej pt. ”Soso” naturalnie o Stalinie, bo było to jego imię zdrobniałe kiedy był dzieckiem. Zdobyłem z trudem tę książkę i przy najbliższej okazji ofiarowałem ją wraz z odpowiednią dedykacja mojej Krysi z racji jej Imienin w dowód sympatii

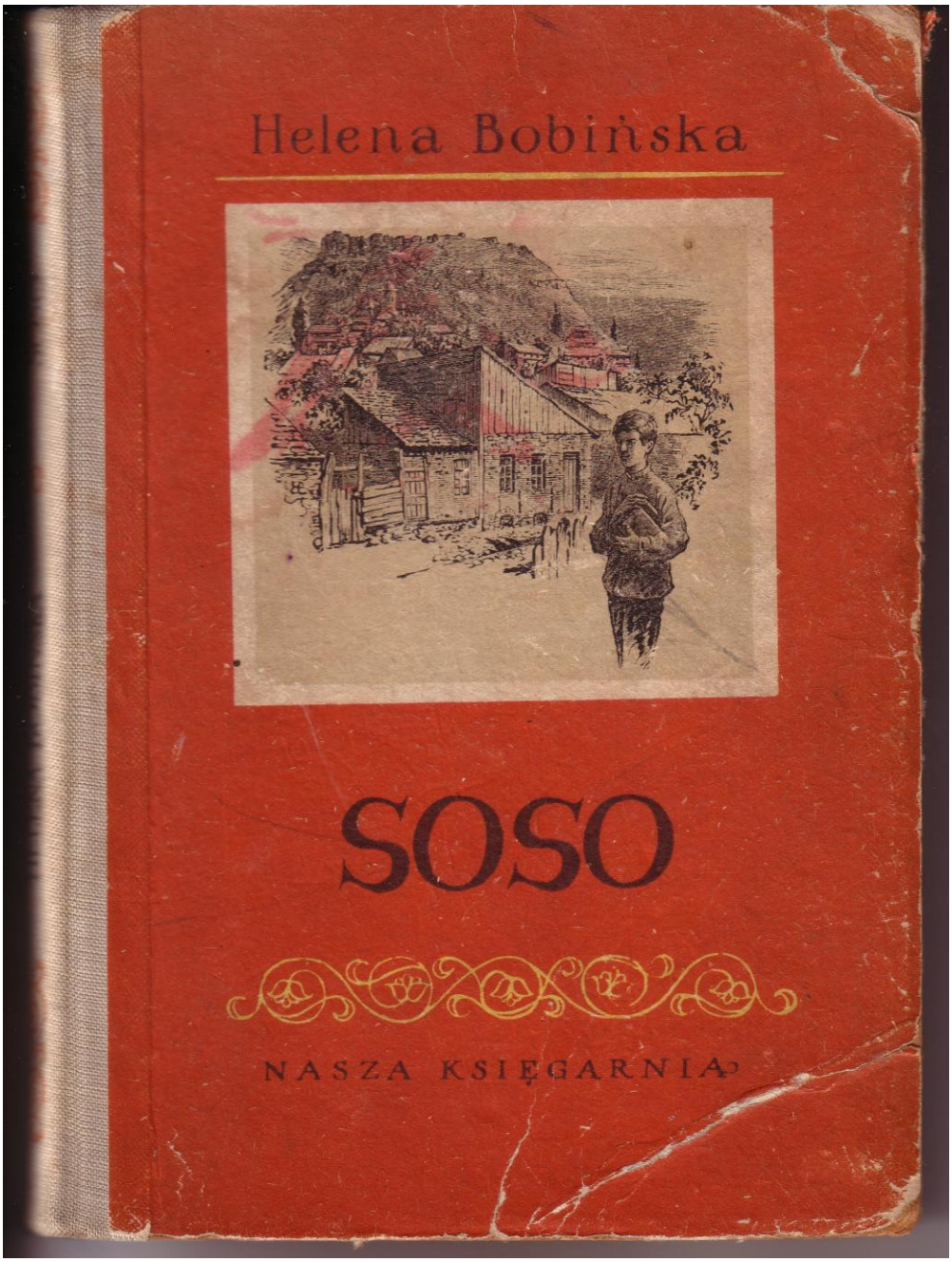

Podczas takich spotkań z racji Imienin częstowali nas domownicy słodyczami i ciastem a nieraz były lody oraz przy gramofonie lub patefonie i płytach tańczyliśmy razem i było nam bardzo dobrze. Do godz. 22. 00 można się było za zgodą rodziców w takim towarzystwie bawić. Gdy byliśmy nieco starsi, zaczęły się pierwsze pocałunki, bo często na takie imprezy dobieraliśmy się parami. Muszę przyznać iż mimo że umizgiwałem się do Krysi, to nie wzbudzałem w niej większego zainteresowania. Byłem w klasie żywym chłopcem i do wszystkiego chętny, do bójki do figlów i rozrób, do zabawy i do tańca a takich nie bardzo dziewczyny lubiły. Nie pamiętam też w której klasie wybraliśmy się jak zwykle na wycieczkę krajoznawczą z wychowawcą do pobliskiego Lasku Klasztornego. Krysia chcąc nam zaimponować że umie robić zdjęcia, zabrała ze sobą aparat fotograficzny lustrzankę ze statywem, aby nam całej klasie zrobić pamiątkowe zdjęcie. Ustawiła nas wysoko na górce a sama z dołu zrobiła „pstryk „i co wyszło.

Po wywołaniu wszyscy mieliśmy duże brzuchy i długie nogi, ale pamiątka była. Nauka jednak kosztuje i nigdy nie idzie w las. bo „co się Jaś nauczy to Jan będzie miał jak znalazł „Potem przy ojcu i siostrze starszej musiała perfekcyjnie wykonywać swoją robotę w Zakładzie bo leciały gromy. Gdyby była matka byłoby inaczej. Taki los mają sieroty, mówiła często moja matka, bo sama tego w życiu doświadczyła.

Szkoła posiadała ogródek doświadczalny na ul. Zamkowej, na którym uczyliśmy się poznawać sadownictwo i warzywnictwo i pielęgnację i uprawę roślin. Warzywa „szły” do kuchni na obiad, bo w szkole było dożywianie. Do domu prywatnego hodowcy jedwabników chodziliśmy z klasą, aby zobaczyć jak te jedwabniki pracują, żyją i co z tego powstaje. Potem zobowiązaliśmy się, że będziemy przynosić hodowcy liście morwy, które jedwabniki konsumowały z wielką przyjemnością

UROKI DAWNEGO OSTRZESZOWA W OBIEKTYWIE

Władysław Graf

W 1925 roku rozpoczęto budowę gmachu Szkół Powszechnych w Ostrzeszowie przy ulicy Piastowskiej. Oddawano go do użytku stopniowo w latach 1928-1931. Były to dwie Szkoły Powszechne posiadające razem 16 izb szkolnych i wspólną salę gimnastyczną. Dyrektorem Szkoły Nr 1 był p. Szczepański, a Szkoły Nr 2 p. Sojowa. W 1939 roku do tych szkół uczęszczało 985 dzieci z Ostrzeszowa i jego bliskiej okolicy, również z Olszyny, Wygody, Rojowa, Golusów i Kuźników. W dwu siedmioklasowych szkołach uczyło 18 nauczycieli.

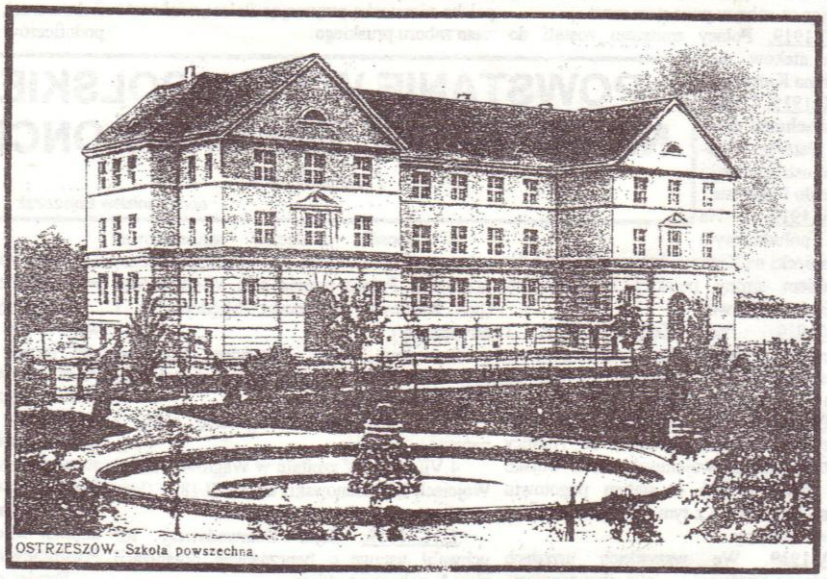

OSTRZESZÓW. Szkoła powszechna.

Prócz nauczania dzieci w zakresie szkoły powszechnej, istniała przy szkole - Dokształcająca Szkoła Zawodowa dla terminatorów warsztatów rzemieślniczych. Według posiadanych informacji, w 1936 roku dokształcało się tu 124 uczniów, w tygodniowym wymiarze 8 godzin nauki / w godzinach popołudniowo-wieczornych/. Naukę prowadziło 10 nauczycieli ze Szkoły Powszechnej, zatrudnionych dodatkowo w niepełnym wymiarze przy dodatkowym wynagrodzeniu.

Jak widzimy na fotografii z 1932 roku, w jednym wspólnym gmachu każda szkoła posiadała oddzielne wyjścia z ulicy, a także odzielne wyjścia na dziedziniec szkolny na wspólne przerwy międzylekcyjne. W korytarzach wszystkich kondygnacji w środkowej części gmachu były przeszklone ścianki odgradzające obie te szkoły. Gmach posiadał jedną wspólną kotłownię centralnego ogrzewania, natomiast szatnie i sanitariaty w części podpiwnicznej były oddzielone.

Szkoła stanowiła piękny akcent architektoniczny naszego uroczego miasta, sytuowana w oprawie parku miejskiego.

Kościół był moim drugim domem poza ulicą. Fara miała wszystko bardzo stare i zabytkowe. Jedynie pomnik obok nie, bo był zbudowany już po wojnie przez byłych więźniów obozów a głównie tych z Dachau. .Dzwonnica obok Kościoła też nie była stara. Posiadała trzy dzwony o imionach Jezus, Maria i Józef. Józef był największy. O ile udało się komukolwiek z nas dostać do dzwonu największego to sobie używał, podciągając się w miarę wznoszenia na powrozie aż do samej góry. Od najmłodszych lat, aż do I Komunii Św. Lub nawet i dłużej, tradycją w ubiorze chłopca były w chłodne dni pończochy na żabki i pasek umocowany na biodrach, oraz obowiązkowo krótkie spodnie, a latem podkolanówki, rzadziej skarpety. Nie było mowy o noszeniu długich spodni, a u dziewczynek nie do pomyślenia było wtedy założyć spodnie a w dodatku obcisłe, bo to było wielce niemoralne i niemodne. Nawet w wielkim mieście nie było wówczas takiej mody. Ciekawe zawody, dziś już wymarłe uprawiali niektórzy rzemieślnicy i w prymitywny sposób. Na przykład powrozy były solidnie wykonywane między innymi przez naszego sąsiada. Nieraz pomagaliśmy mu bo trzeba było dość solidnie trzymać u pasa końce kiedy mistrz tam w warsztacie zwijał a raczej skręcał, wykonując sploty na specjalnym czółenku i w maszynie. Długie były te powrozy, że nieraz musiano aż na ulicę wychodzić w początkowej fazie skręcania.

Na dole w dzwonnicy stała pusta trumna, która nas straszyła swoim widokiem. Służyła ona do wystawiania przed ołtarz w czasie ceremonii pogrzebowych, gdy zmarły leżał w swoim domu i w swojej trumnie. Za zmarłego odprawiana była msza św. Na organy wchodziło się na tzw. chór z zewnątrz Kościoła. Organista pozwalał jedynie wówczas nam wchodzić, gdy potrzebował naszej pomocy przy

kalikowaniu, podczas kiedy nie było prądu a grać trzeba było. Organy napędzane powietrzem do piszczałek tych najmniejszych i tych olbrzymich basowych przy pomocy drąga i miechów. Wiele razy widziałem przed Kościołem artystę malarza ziemi ostrzeszowskiej Antoniego Serbeńskiego, który upajał się widokiem starych lip i kasztanów wokół Fary i je z pasją malował. Fara miała więc piękne otoczenie. Nieraz na wystawach widzę te widoki, które wówczas malował.

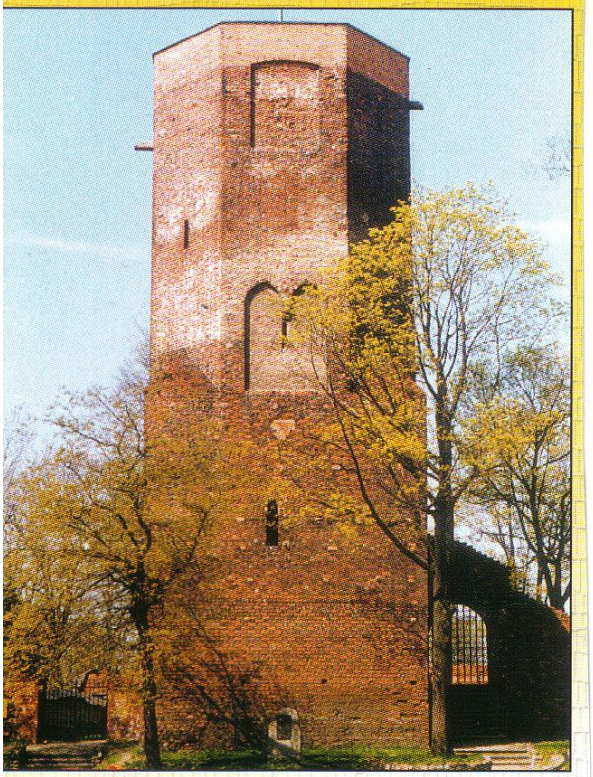

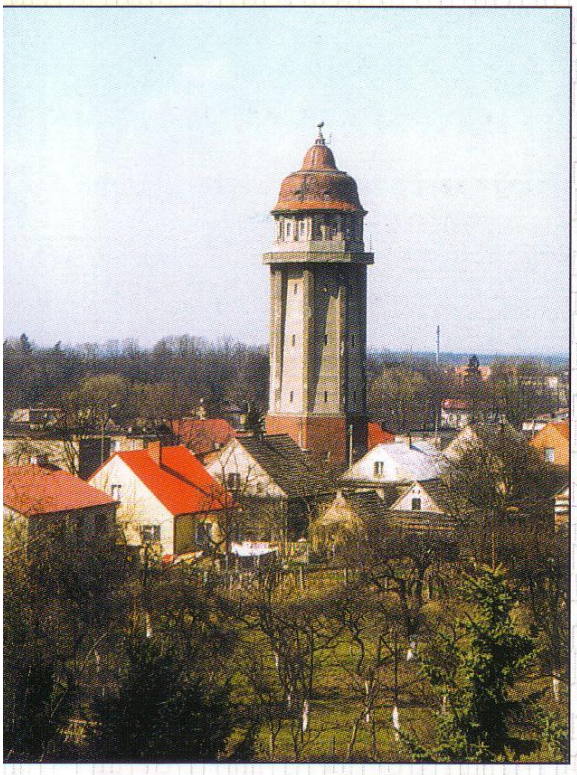

Krysia w dniu swojej I Komunii
Ostrzeszów rok 1952

109 ROCZNICA URODZIN

ANTONI SERBEŃSKI
artysta - plastyk

(13.12.1886 - 5.03.1957)

Serbeński urodził się dnia 13 grudnia 1886 r. w Potoku Złotym (powiat Buczacz w Tarnopolskiem). Wychowankiem Antoniego zajął się stryj - lekarz we Lwowie, ponieważ rodzice wcześnie zmarli. Rozpoczętą we Lwowie naukę gimnazjalną zakończył maturą w Nowym Sączu, a następnie wstąpił na wydział prawa Uniwersytetu Lwowskiego.

Po dwóch latach przeniósł się do Krakowa na studia w Akademii Sztuk Plastycznych, gdzie kształcił się m.in. pod kierunkiem profesora Leona Wyczółkowskiego i Teodora Axentowicza, w gronie artystów i kolegów. których m.in. reprezentowali: Jacek Malczewski, Józef Mehoffer, Józef Pieniążek oraz Władysław Lam i Stanisław Dębicki.

Okres pierwszej wojny światowej przeżył w armii austriackiej, walcząc na froncie pod Mikołajewem i Przemyślem. Ukończywszy w 1917 r. szkołę rysowniczą w Weiner - Neustadt, został przydzielony do VI Armii w Kołomyi jako rysownik, a później, w tym samym charakterze brał udział w kampanii włoskiej. W końcu 1918 r. wstąpił jako ochotnik do wojska polskiego, w którym służył do października 1920 r. przy pułku lotniczym w Krakowie - Rakowicach.

Już w początkowojny światowej. W czasie okupacji został wysłany na przymusowe roboty do Inowrocławia, a w końcowej fazie wojny do budowy umocnień wojskowych w okolice Włocławka. Tak więc po raz drugi w życiu trafił na Kujawy na dłuższy pobyt. Do Ostrzeszowa powrócił w połowie marca 1945 r.

Lata powojenne upłynęły artyście na intensywnej pracy twórczej, przynosząc znaczny dorobek w jego malarskiej działalności. Zmarł po dłuższej chorobie w ostrowskim szpitalu dnia 5 marca 1957 r., a jego manifestacyjny pogrzeb odbył się w Ostrzeszowie w dniu 7 marca 1957 r. Spoczął, zgodnie ze swym życzeniem, skromnie na uboczu historycznego cmentarza parafialnego.

Okładka albumu
"Teka Ostrzeszowska" 1953 - 54
Herb Ostrzeszowa

Ogólnie można powiedzieć, iż Antoni Serbeński stosował różne rodzaje malarstwa i grafiki, jak olej, akwarelę, pastel oraz ołówek, kredkę, węgiel i tusz. Szczególnie zaś wyspecjalizował się w drzeworycie, głównie na drewnie jabłoni i gruszy. Był malarzem realistą, czego dowodem jest właśnie dokumentalna wartość jego prac.

W roku 2007 miasto obchodzi 50 rocznicę śmierci tego wybitnego artysty, pochodzącego z kresów wschodnich a zamieszkałego i pracującego od lat w Ostrzeszowie. Lipy ponoć pamiętają te czasy, kiedy Fara była budowana, ale czy to możliwe ? Przyglądałem się i marzyłem czy ja kiedyś tak będę malował. Były to moim zdaniem niedbałe ruchy pędzlem a potem z tego powstawało cudne dzieło, dziś w dużej cenie. W Kościele były nieraz stosowane zwyczaje, które obecnie zostały zaniechane jak na przykład wywód czyli błogosławieństwo kobiety świeżo co po urodzeniu dziecka, lecz jeszcze przed chrztem św. małego. Ledwo co stojąca na nogach przychodziła do kościoła i przeważnie do Zakrystii i przy klęczniku czekała na księdza i błogosławieństwo ze świecą gromniczną. , bo świeca gromniczna winna towarzyszyć człowiekowi przez całe życie aż do śmierci, począwszy od urodzenia. Wystawiona podczas burzy i grzmotów ma chronić dom przed piorunem. Przed każdą mszą św. oprócz dzwonów w dzwonnicy tych dużych na 10 minut przed odzywała się mała sygnaturka zawieszona u stropu na środku Kościoła, wzywając wiernych na mszę św. W okresie wielkanocnym ministranci ubrani w komeżki i wyposażeni w klekotki i tarki obchodzili wokół wszystkich kościołów i kaplic w mieście i głuchym miarowym przemiennym odgłosem tych przyrządów perkusyjnych sygnalizowali wszystkim że jest okres wielkanocny i że za chwilę będą święta. Przy Bożym Grobie całą noc aż do Rezurekcji były straże : harcerzy, ministrantów, strażaków a nieraz księży etatowych i księży gości i

kleryków. Przez całą noc ludzie modlili się i śpiewali wielkopostne pieśni w sposób zorganizowany oraz spontaniczny. Zawsze znalazł się jakiś prowadzący, który inicjował śpiewy i modlitwy. W Dni Krzyżowe i na Św. Marka szło się rankiem z procesją i modliło się o urodzaje i pogodę. Szczególnie podniosłe były procesje Bożego Ciała. Za czasów stalinowskich były ograniczone do sąsiednich ulic, natomiast kiedy były czasy odwilży to procesja szła przez całe miasto głównymi ulicami. Pamiętam przyjazd Arcybiskupa poznańskiego Walentego Dymka, który jako wikary rozpoczynał swoją posługę właśnie w Ostrzeszowie. Było tak uroczyście i z wielką pompą w mieście czczony jego przyjazd, że na naszej ulicy, kiedy przejeżdżał, ludzie odpięli konie i cały powóz tonący w kwiatach podnieśli na swych ramionach mężczyźni i szli przez całą ulicę. Dzisiaj każdy przyjazd dostojnika kościelnego tej rangi to żadna emocja. Po cichu przyjeżdża i samochodem z kierowcą odjeżdża, witany i żegnany jedynie u bram Kościoła przez miejscowe kościelne gremium. Pamiętam Bierzmowanie, które obsługiwał ks. biskup Jedwabski –Z-ca biskupa Baraniaka w Poznaniu Znów była podniosła uroczystość na dworze, ponieważ mała Fara nie pomieściła by tylu zgromadzonych ludzi. I znów razem z Krystyną przystąpiliśmy do tego Sakramentu

Pamiętam I Komunię Św. Byłem ubrany na biało i w krótkich spodenkach. Krysia tez była pięknie ubrana, a jej siostra Miecia robiła nam grupowe zdjęcie i każdemu z osobna, ale już w Zakładzie Fotograficznym w Atelier. W domu po Komunii św. nie było żadnej uroczystości i przyjęcia jak to ma miejsce w obecnych czasach. O prezentach tez nie było mowy. Po południu uczestniczyć musieliśmy w nieszporach i znów do domu i przy skromnej wieczerzy zakończył się ten uroczysty dla nas dzień. Po obiedzie dostaliśmy pieniądze na lody i oranżadę i mogliśmy na ulicy paradować w pięknych strojach i białej koszuli. Ja miałem białą koszulę ze słowackim kołnierzem, wyłożoną na marynarce bez kołnierza.

Po śmierci ąrcybiskupa poznańskiego Walentego Dymka ku jego czci plac zabaw i otoczenie tuż za figurą M. B. na ulicy Sikorskiego teren po Sodalicji Mariańskiej i Sokoła nazwano jego imieniem i umieszczono stosowną tablicę pamiątkową

Na tym placu odbywały się różne imprezy miejskie i zabawy młodzieżowe. Były tam też boiska do gry w tenisa i siatkówki. Będąc jeszcze młodzieńcem pamiętam że wiele razy oczywiście z Krystyną bawiliśmy się na zabawach, na których przygrywali znani muzycy lokalni, oraz zaproszeni z Poznania. Tam też występowały znane zespoły jak Czerwono-Czarni, Niebiesko –Czarni. Jednym z lepszych muzyków grających na pianinie był Włodek Rejmoniak znany jazzmen Poznania –ostrzeszowianin, który potem próbował umizgiwać się do mojej siostry Danuty. Zespoły grały całą noc na płycie betonowej a sami usytuowani byli na platformie ciągnikowej. Niektórzy z tych muzyków grali również na fajfach i dancingach w lokalach, na których bawiliśmy się, nie opuszczając żadnej potańcówki. Do tego zespołu doszedł potem Julek Kurzawa późniejszy założyciel znanego w Polsce zespołu „Sami swoi" z Wrocławia i odkrywca piosenkarki Hanny Banaszak. Stracił się potem gdzieś a zespół się niedługo potem rozleciał. Podobno obecnie na stałe mieszka w Szwecji i uczy muzyki w szkole. Po nim na przykład mamy w domu pamiątkę akordeon czarną Muzę na którym nieraz pogrywa sobie mój brat Janusz. Uczył się gry na tym instrumencie u niejakiego Waltera, zwariowanego i znerwicowanego choleryka –miejscowego nauczyciela muzyki i gry instrumentalnej. W późniejszych opisach wspomnę o nim.

Jako ministranci, oprócz codziennej służby, mieliśmy wiele urozmaiceń serwowanych przez księdza opiekuna. Graliśmy na przykład w piłkę na sąsiadującym z Kościołem placu przed oborami, które potem zamieniono w salki katechetyczne, naturalnie przy naszej efektywnej pomocy.

Urządzano nam wycieczki do Częstochowy, do pałacyku myśliwskiego Radziwiłłów do Antonina, leżącego o około 15 km od naszego miasta. W tym zameczku mieszkały wówczas biedne rodziny i był on bardzo zaniedbany. Dopiero teraz ludzi tych wysiedlono i urządzono wnętrza po staremu i można ten obiekt zwiedzać i podziwiać Wycieczki urządzano nam również do pobliskiego Grabowa, do Wieliczki i Krakowa, do Ojcowa i Pieskowej Skały. Gdy przyszedł czas kolędy czyli odwiedzin duszpasterskich to oprócz pieniędzy, które często mogliśmy sobie zatrzymać, przeżywaliśmy przeróżne przygody miłe i niemiłe. W czasie srogiej zimy na wioski wyjeżdżało się bądź powozami konnymi owinięci w koce i w ciepłych ubraniach z kożuchowymi czapkami na głowie, natomiast na miejscu od domu do domu chodziliśmy pieszo, nieraz przez wielkie zaspy śniegu w które wpadaliśmy po pas, bo zimy w tych latach były o wiele sroższe niż obecnie. W domach było ciepło i zmarznięci do „szpiku kości" grzaliśmy się przy piecu lub wkładaliśmy zmarznięte ręce do gorącej wody. Niektórzy z księży uhonorowali nas ministrantów sadzając obok siebie podczas przyjęć i poczęstunku, jednak z reguły byliśmy oddzieleni, co nam niejednokrotnie bardziej imponowało. Poczęstunki zazwyczaj były na koniec kolędy w danym dniu albo u sołtysa albo w domu bogatych i zamożnych chłopów. Pewnego razu na odległej wiosce bez energii elektrycznej, gościliśmy się w oddzielnej sali i z nudów pluliśmy na odległość do stojącej na stole lampy naftowej. Efektem tej zabawy było pęknięcie klosza i po zabawie. Potem przenieśliśmy się na podwórko i jabłkami podarowanymi rzucaliśmy do okien i różnych ciekawych punktów docelowych. Na pamięć wiedzieliśmy, która wioska jest bogata a która biedniejsza, w którym domu dają więcej gotówki i w którym częstują i się gościmy.
W domu Feigów na ul. Targowej u mojej Krysi zawsze na koniec kolędy była wielka uczta z udziałem wszystkich księży i ministrantów dyżurujących. Ministranci szli wcześniej do domów obdarowani słodyczami i ciastem, a księża bawili się do późna. O ile pieniędzy nie otrzymywaliśmy, ksiądz je zbierał, a na koniec było sprawiedliwe rozliczenie i coś tam otrzymywaliśmy na drobne wydatki a większa część przeznaczona była na wycieczki, sprzęt sportowy i inne przyjemności. Oprócz Częstochowy piesze pielgrzymki parafialne były do Mikorzyna do św. Idziego oraz do św. Rocha do Parzynowa a nieraz do Olszyny i Rojowa.

Z pielgrzymami i ministrantami szliśmy polami i lasami, dróżkami i drogami w pyle i kurzu w słońcu i w deszczu, przystając przy przydrożnych świątkach i krzyżach na chwilę, aby odpocząć i się nieco pomodlić, a przy tym nieco posilić. Na tych pielgrzymkach spotykaliśmy pobożnych znajomych ludzi a między innymi często jeszcze wtedy kleryka i naszego sąsiada Zenka Jonaczyka, późniejszego profesora i Kanonika uczącego w Poznaniu w Wyższym Seminarium Duchownym niestety obecnie już nieżyjący. Umarł mając 62 lata nagle w Buku za Poznaniem. Szliśmy razem a ja naturalnie często ze swoją Krysią, niby oddzielnie, lecz mając ją „na oku „Pewnego razu widząc nas razem ów kleryk Zenek powiedział do nas „No, no widzę was razem i może coś z tego kiedyś wyjść, bowiem na święty Idzi, każdy swoją widzi „. To prorocze powiedzenie kleryka spełniło się bez reszty w przyszłości. Nie tylko zresztą w naszym przypadku. Znamy wielu znajomych, którzy w podobny sposób jak my związali się na zawsze ślubami i przysłowie to nie było gołosłowne. W dowód pamięci poprosiliśmy go później o celebrowanie na naszym ślubie w Kościele farnym w dniu 31 grudnia 1964 roku.

na pielgrzymce w Mikorzynie rok 1955

na pielgrzymce w Parzynowie u Św.
Rocha stoję w tyle z krzyżem

rok 1955 Częstochowa siódmy z lewej

rok 1957 Częstochowa
pielgrzymka ministran
tów z Ostrzeszowa

Na miejscu pielgrzymkowym był program pobytu, odpoczynek, posiłek, odwiedzenie bud jarmarcznych i odpustowych ze słodyczami, napojami, kołem szczęścia i z planszami kolorowymi przy których można sobie było zrobić zdjęcie pamiątkowe, jeszcze mokre bo „od ręki „Były też stoiska z grami zręcznościowymi i przejazd na kucykach lub na karuzeli. Nie ze wszystkiego można było skorzystać, ponieważ dostawaliśmy wyliczone pieniądze i nie za dużo od rodziców. W ten dzień w umówionym swoim miejscu ustawiony był wóz mojego dobrego i ukochanego wujka Idziego, który przyjeżdżał właśnie do Mikorzyna, ponieważ było to dla niego też święto osobiste, bo miał swoje imieniny. Imiennik jego św. Idzi wystawiony był w głównym ołtarzu przedstawiony był ze zwierzęciem, chyba jak pamiętam z sarenką, taki drugi po św. Franciszku święty ze zwierzęciem. . Był prawdopodobnie patronem leśników lub rolników Było to miejsce pątnicze ludu z okolic południowej wielkopolski. Co rok 1 września aż po dzień dzisiejszy odwiedza to miejsce liczna rzesza pielgrzymów. Cała rodzina składała życzenia wujkowi a on był dumny że taka duża grupa krewnych i znajomych go otacza. Któregoś roku emocje w Mikorzynie były duże, ponieważ podczas uroczystej sumy zaczęły wyć nagle syreny strażackie i powstał pożar okolicznego gospodarstwa. Nie mogliśmy wytrzymać i biegiem podążyliśmy w to miejsce, aby zobaczyć jak się pali i jak wygląda w rzeczywistości pożar. Mimo interwencji straży pożarnej gospodarstwo uległo całkowitemu spaleniu ku wielkiej rozpaczy gospodarza i jego rodziny. Tak byłem zaabsorbowany tym wydarzeniem, że pielgrzymi moi poszli już sobie w drogę powrotną. Ponieważ nie znałem drogi powrotnej i bałem się lasów i bezdroży i było już późno, zacząłem płakać i udałem się razem z innymi do odległej o około 5 km stacji kolejowej w tej miejscowości. Nie mając pieniędzy na powrót, bo wszystkie straciłem na przyjemności i pamiątki, poprosiłem kolejarza, jak się potem okazało kolegę mojego ojca, aby mnie przewiózł darmowo do domu. Udało się i moją prośbę spełnił, a Bóg mnie wysłuchał o co zresztą przez całą drogę prosiłem. Pamiętam, że ilekroć potem mijałem tę stację to przypominała mi owo przykre doświadczenie i przygodę. Ta mała stacyjka w lesie nazywała się Domanin a ów dobroduszny kolejarz Drzazga. . Drugą niemiłą pamiątkę z okresu ministranckiego mam, gdy pewnego razu, przygotowując ogień do kadzidła na procesję, ogień z rozżarzonych węgli wysypał mi się na szyję i za kołnierz i na czyste ubranie i komżę, ponieważ aby rozpalić węgle musiano puszkę na drucie kręcić wokół ręki. Ponieważ ludzi było bardzo dużo na placu przedkościelnym, zmuszony byłem czynność tą wykonywać na sąsiednim ogrodzie organisty. Nie zauważyłem linek rozwieszonych na pranie i nagle stało się to o czym wspomniałem. Ogień zniszczył mi komżę, ubranie i zostałem poparzony i trzeba było odprowadzić mnie do lekarza. Puszka z ogniem zahaczyła się o te linki i tragedia gotowa. Oprócz ministrantury po łacinie, ministrant musiał opanować różne nazwy, terminy, hasła używane w Kościele przez duchownych od wieków, naturalnie wyrazy pochodzenia łacińskiego lub greckiego. Musiał znać niektóre obrzędy i zwyczaje w Kościele katolickim, że wymienię niektóre, bo do dziś je pamiętam.

Z szat liturgicznych, naczyń i przyborów używanych w Kościele :alba, komża i komeżka, dalmatyka, cyngulum, kapa, ornat, puryfikaterz, palka, korporał, stuła, biret, sutanna, welon, bursa, humerał, kielich, brewiarz, patena, hostia, komunikant, tacka, kwesta, ampulki, puszka, cyborium, polityka, melchizedek, , monstrancja, katafalki, sygnaturka, paschał, tabernakulum, balaski, tonsura,

habit, nawa, konfesjonał, kalikowanie, chór, kruchta, prezbiterium, feretron, mszał, manuał, kalikowanie, tonsura, habit, oraz powiedzenia używane w Kościele :Deo gratias, procedamus, ite missa est, Ave Maryja, ipse die, Christe exaudi nos, Gaudete, Laudate, Laetare, Lavabo, Sanctus, Agnus Dei, Kyrie eleison itd.
Kolory szat liturgicznych są nie przypadkowe, ponieważ czarny przeznaczony jest na pogrzeb, , fioletowy na okres Adwentu, czerwony z okazji mszy za męczenników, Są jeszcze szaty białe i zielone na pozostałe okazje. Od niedawna są jeszcze koloru różowego na Gaudete i Laetare wyznaczone dni w porządku kościelnym w roku. Kiedy się tyle lat obcuje w tym środowisku kościelnym to z tymi określeniami nie ma problemu. Obecnie coraz mniej używa się niektórych wyrazów i określeń i nie ma już ministrantury po łacinie.
W południowej Wielkopolsce i z pewnością w całym woj. poznańskim funkcjonowała swoista gwara ludowa. Wiele wyrazów użyłem w swoich wspomnieniach. Wiele wyrazów i określeń było naprawdę oryginalne i charakterystyczne. Oprócz wspomnianych knaczków, porzeczek świętojańskich, dojrzewających właśnie w okresie św. Jana w czerwcu, szabelku –fasoli były też takie :wymborek –to takie wiadro, naczynie w domu do wszystkiego a najczęściej do zlewek poobiednich, słowo używane bardzo rzadko i słyszane było jedynie u mojej Babci. laćki –to domowe obuwie bez pięty, szneka z glancem –to ciasto drożdżowe z polewą lukrową i makiem, zawijana jak ślimak, dlatego szneka z niemieckiego oznacza ślimak, skład to sklep lub nieraz, kiszka –to kaszanka i kiszczanka to zupa po kiszkach, kluszczanka –to zupa w której gotowały się kluski szare, siadłocha –lub skisłe to mleko zsiadłe kwaśne, krychać pyrki –to ugniatać, dusić ziemniaki na pyree, pyzy –kluski na parze lub kluski na lóńcie czyli szmacie, szagówki –to kluski nie ziemniaczane lecz z mąki i gotowanych ziemniaków krajane z ukosa, kowolowe kluski –to głóg, prażuchy –kluski kładzione na bazie mąki żytniej i gotowanych ziemniaków dojrzewające w cieple pod pierzyną lub w piekarniku pieca kaflowego, przez wiele godzin, podawane ze słoniną wędzoną i zasmażaną kapustą gotowaną, tak jak do golonki, snelka to po prostu wodzianka, stanik –to biustonosz, no zimne to zwyczajna galaretka z nóżek wieprzowych, po prostu podawana na zimno, stąd no zimne. Od tego nazwa tej potrawy, bobkowe liście –to liście laurowe, ryczka –to małe krzesełko bez oparcia, glinkowy ocet –to środek farmakologiczny i roztwór octan glinu, furtka –to mała bramka zabudowana w ogrodzeniu, cyganić –to kłamać, giery –nogi wulgarnie, mufka –ciepły schowek z futra na ręce dla kobiet, gzika –ser biały rozdrobniony z cebulką i śmietaną, kapce –filcowe lub skórzane ocieplane wysokie buty dla kobiet, snelka –zupa z rozdrobnionym chlebem, słoninką i czosnkiem, puszorki –uprzęż dla konia, kapeć –pantofel, gałgan –łobuz lub szmata lub ścierka, wyrwipołeć, gałganek to gałgan zdrobniale, drejfus –kopyto szewskie o skomplikowanej budowie, drach –latawiec, kierz –kierzek –krzak krzaczek, drzypapa –beksa, firlok –z drzewa wystrugany a najlepiej z choinki świątecznej przyrząd do roztrzepywania gęstych zup, do robełtywania, durszlak –sitko z dużymi otworami do przecedzania, papa-usta, gęba, pajda –skibka –chleba kromka, szibka –łyżka do kaszy lub węgla, antrejka –wejście w domu, korcipki –tarnina na wino, kruchta, babiniec –pomieszczenia przed wejściem do Kościoła, lóńt, chadra -szmata do wszystkiego, lyżka –grządka na działce, wichajster –narzędzie, przyrząd do wszystkiego, podobnie jak na Śląsku „to łóno”, purzytka

–pośladki i można by wymieniać te dziwne wyrazy w nieskończoność, lecz cóż by było, gdyby nie one.
Wyrazy te świadczą o odrębności etnicznej tej części Polski i wzbogacają język polski i kulturę środowiskową.

Moja matka w szczególny sposób się wyrażała i miała bardzo bogaty repertuar powiedzonek i przysłów znanych i takich swojskich. Zapamiętałem wiele, bo nieraz są mi potrzebne i chętnie je używam przy każdej okazji, tak jak ona. Używała je często ku wielkiej uciesze słuchających. Była więc wielką skarbnicą i wzbogacała gwarę i miejscowy poznański język. A oto niektóre z tych powiedzonek i podaję je bez komentarza.

-Jeśli jesteś głodny, masz zachcianki to czym prędzej idź do domu i się porządnie najedz.
-Jeśli dźwigasz ciężary, to im szybciej pójdziesz, tym mniej będziesz nosił.
-Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.
-Kto od razu daje, dwa razy daje.
-Gość w dom, Bóg w dom.
-O pomstę do nieba wołające,
-Sodoma i Gomora,
-Groch z kapustą,
-nieobecni, nie mają racji,
-to przechodzi ludzkie pojęcie,
-masz ci los –gdy coś wyjątkowego lub niemiłego się zdarzyło,
-dowcipny jak Maćków kot, świeczkę zjadł i po ciemku siedział,
-bystry jak woda w muszli,
-Nie ma większego gałgana (drania), gdy przeszedł z dziada na pana,
-wyszedł na tym jak Zabłocki na mydle,
-jak se pościelesz, tak się wyśpisz,
-z motyką na Słońce, lub Księżyc,

-mądrej głowie dość dwie słowie,
-wiara góry przenosi,
-człowiek człowiekowi wilkiem,
-góra z górą się nie zejdzie, lecz człowiek z człowiekiem tak,
-nie boisz się bojaźni bożej,
-boisz się i broisz,
-jak nie słuchasz ojca, matki to słuchasz psiej skóry. . czyli bicia paskiem,
-darowanemu koniowi w pysk się nie zagląda,
-kradzione nie tuczy,
-nie rób drugiemu, co tobie nie miłe,
-jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie,
-czcij ojca swego i matkę swoją,
-kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje,
-kto mieczem wojuje, od miecza ginie,
-nie dziękuj wyznam ci szczerze i dalej mówiła do pewnego miejsca, recytując znany wiersz A. Mickiewicza „Powrót Taty „
-Pan bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy,
-Nie święci garnki lepią,
-żaden majster nie spadł z nieba,
-jak się boisz, to masz grzech,
-Z Bogiem z Bogiem każda sprawa, tak mawiali starzy, jeśli ci Bóg błogosławi, wszystko ci się zdarzy,
-bez Boga ani do proga,
-kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi,
-późno przychodzącym kości,
-Nie wskazuj łapą, jak gadasz papą, czyli ustami,
-Nie ciesz się gagatku z cudzego przypadku,
-jeśli nie uważałeś jak robiłeś, to teraz rób jak uważasz,
-znikła jak kamfora,
-jak ślepy o kolorach lub wiódł ślepy kulawego,
-brudny jak święta ziemia,
-dogadał się jak gęś z prosięciem,
-na frasunek, dobry trunek,
-doczekała się świeczka wieczora,
-kto śpiewa, dwa razy się modli,
-jesteś mi solą w oku,
-lepiej by było uwiązać kamień młyński i zatopić w głębinach morskich
-nie sądź, nie będziesz sądzony-
-co głuchy nie dosłyszy, to zmyśli,
-pracuj, pracuj a garb ci sam wyrośnie,
-śpiesz się powoli,
-niech cię ręka boska broni,
-za nic w świecie,
-pójdę po trupach,
-jak umiesz liczyć to licz tylko na siebie,
-kiszki marsza grają,
-głodny jak lew,
-zjadłabym konia z kopytami,
-nie śpiewaj przy jedzeniu, bo będziesz miał głupią żonę,
-módl się i pracuj,

-nauką i pracą, narody się bogacą,
-ucz się ucz, bo nauka to potęgi klucz,
-rany boskie lub na rany Chrystusa,
-idź do diabła lub do czarta,
-diabelskie nasienie lub z piekła rodem,
-pić na umór,
-pijak ma, pijak da, pijakowi Pan Bóg da,
-pijak ma szczęście,
-na bezrybiu i rak rybą,
-dobrymi chęciami piekło wybrukowane,
-głodny sytego nigdy nie zrozumie,
-śniki, bziki,
-dzieci, dzieci, kara na was leci,
-leniu, leniu idź do cieniu,
-złodziei nie ma, ludzie sami kradną,
-pierwsze koty za płoty, lub pierwsze śliwki –robaczywki,
-komu w drogę, temu czas,
-od piwa głowa się kiwa, od wódki rozum krótki, a od wina głupia mina,
-sto lat, sto lat miły bracie, tam pogoda czeka na cię,
-z Bogiem nie ma żartów,
-śmiejesz się jak głupi do sera,
-w marcu, jak w garncu,
-kwiecień plecień, bo przeplata, trochę zimy, trochę lata,
-czekaj tatka, latka,
-bez pracy, nie ma kołaczy,

Przypomina mi się nazwa pewnego urządzenia do bicia „szczeplina „, pochodzi z pewnością od słowa dyscyplina a nie od szczepiania to bez sensu by było. Przyrządem tym bowiem przywracano porządek i dyscyplinę niesfornym i krnąbrnym dzieciom. Zbudowany był z trzonka na końcu którego były zamocowane rzemienie. U nas tez przyrząd ten wisiał w szafie i często przez nas był ukrywany, aby przypadkiem nie był użyty.

Matka nauczycielka porządku i pilnująca dyscypliny. Nauczycielka religii i modlitwy, strażniczka domowego ogniska. Orędowniczka w każdej potrzebie.

Przymiotów chyba można by wymieniać tak jak w litanii do Matki Boskiej – nieskończenie. Taka też była nasza matka. Szkoda tylko że niektóre dzieci w tym i moja żona nie zaznały obecności tej osoby w życiu. Wspomnienia nieraz odwołują się do niej. Była przy tym bardzo pobożna i w taki też sposób nas wychowywała. Codziennie odmawialiśmy pacierz ranny i wieczorny nieco dłuższy bo z wierszykami i nieraz z różańcem. Zmęczeni, niejednokrotnie niechętnie modliliśmy się, lecz widząc matkę rozmodloną ze złożonymi rękami, wracała powaga i skupienie, lub mawialiśmy, żaląc się do mamy „mamo spójrz, on mnie rozśmiesza, wskazując na młodszego brata –zawodowego śmieszka. Nauczyła nas nie tylko modlitw tysięcy, lecz ułożeni w łóżkach pod grubymi pierzynami do późna w nocy opowiadała nam bajki, śpiewała stare piosenki i pieśni kościelne z książeczki do nabożeństwa a przede wszystkim kolędy. Mówiła długie wiersze na pamięć. Nie mogę oprzeć się, aby nie przytoczyć kilkunastu wybranych i zapamiętanych modlitw, które niemal codziennie powtarzaliśmy podczas pacierza lub w łóżku.

-Święty Michale Archaniele, broń nas w walce, przeciw niegodziwością i zasadzkom bądź nam obroną...itd

-Myśli, słowa, sprawy moje, poświęcam dla chwały Twojej. O Józefie ratuj nas w życiu, w śmierci, w każdy czas.

-Aniele Stróżu mój...itd.

-Pomnij o najdobrotliwsza Panno Maryjo, iż od wieków nie słyszano, aby ktokolwiek uciekając się do Ciebie, Twej pomocy wzywając, miał być przez Ciebie opuszczony. Tą ufnością ożywiony o Panno nad Pannami Matko Chrystusowa biegnę do Ciebie, stawam przed Tobą jako grzeszny człowiek, drżąc i wzdychając. Nie chciej o Matko gardzić słowami moimi, ale usłysz łaskawie i wysłuchaj. Amen.
-O Maryjo strzeż serca mego, o Jezu nie wychodź z niego, póki mi tchu życia stanie, nie opuść mnie Jezu Panie.
-Wierzę w ciebie Boże żywy...itd całe do końca akty strzeliste jak w książeczce
-O mój Jezu nie bądź mi sędzią, ale zbawicielem.
-Jezu cichy i serca pokornego, uczyń me serce według serca Twego.
-Pod Twoją obronę, uciekamy się...itd
-Ojcze nasz i Zdrowaś Maryjo. . .
-Wierzę w Boga...itd, Chwała Ojcu i Wieczny odpoczynek...a na końcu A dusze wiernych, zmarłych przez miłosierdzie Boże niech odpoczywają w pokoju wiecznym. Amen.
-Pobłogosław nas Panie, zachowaj nas od wszystkiego złego i doprowadź do żywota wiecznego Amen
-a jako samego siebie wszystkich miłuję dla Ciebie, ten co czynił mi przykrości odpuszczam dla Twej miłości. Bądź miłościw mnie grzesznemu do poprawy dążącemu.
-Jezu Tobie ja żyję, Tobie umieram, Jezu Twój jestem w życiu i przy śmierci.
-Słodkie serce Jezusa bądź moją miłością.
-Słodkie serce Maryi, bądź moim ratunkiem.
-O Pani moja o matko moja pomnij że jestem Twój. Zachowaj i broń mnie jako rzecz i własność swoją Amen.
-Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi i poczęła z Ducha św.... itd
-Jezu, Maryjo Józefie św. wam oddaję serce, ciało i duszę moją.
-Jezu, Maryjo, Józefie św. bądźcie ze mną przy skonaniu.
-Jezu, Maryjo Józefie św. niech przy was w pokoju ducha oddam.
-Pobłogosław Panie nas i te dary, które ze swej szczodrobliwości spożywać mamy, przez Chrystusa Pana naszego Amen.
-Chwała o dziękczynienie bądź w każdym momencie, Jezusowi w najświętszym boskim sakramencie, ile minut w godzinie, a godzin w wieczności, tylekroć bądź pochwalon, Jezu ma miłości
-Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu.
-O Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy.
-oraz szereg wierszyków, które też przeszły do naszych modlitw. Wierszyki te nauczyła mego młodszego brata Janusza siostra zakonna na religii przedszkolnej. Były takie miłe i słodkie że chętnie recytowaliśmy je. Niektóre jeszcze teraz po tylu latach pamiętam i przekazałem je potem spisane mojej córce do wyuczenia a obecnie słyszę, że mówi je moja wnuczka Ola. Są to już wierszyki wielopokoleniowe. A oto niektóre :
-Do Ciebie Boże rączki podnoszę, o zdrowie mamy i taty proszę, a także proszę niech mnie od złego na każdym kroku Aniołki strzegą.
-Pan Bóg to Ojciec nasz najlepszy, a ja jestem dzieckiem jego, tylko z miłości ku niemu będę unikać złego. A kiedy mi się nie uda i zrobię nie tak jak trzeba, to z żalem serdecznym powiem, przepraszam Cię Ojcze z Nieba.
-Bóg stworzył to dzienne światło co nas ze snu budzi. Bóg dał wodę w

źródełkach i na chlebek zboże. Bóg dał ptaszki i drzewka i kwiatki dla ludzi. Bóg co go człowiek widzieć i pojąć nie może. Wszystko od niego o dziecino droga, mów pobożnie paciorek, kochaj mocno Boga.
-Matko Najświętsza, Matko Jezusowa, bądź zawsze dla mnie Polski Królowa, błogosław Matko na całym świecie, wszystkim maleńkim i starszym dzieciom. Naszej Ojczyźnie, rodzinie naszej Matko Najświętsza pomoc wypraszaj, bądź zawsze z nami o ukochana Królowo Polski Najświętsza Pani.
-Ja każdy nowy dzień zacznę paciorkiem Boże, gdy przyjdzie nocy cień to znów swe rączki złożę, boś dobry Pan i Bóg dziękować ci potrzeba, że pośród ziemi dróg, prowadzisz nas do nieba.
-Dobranoc Ci Jezu, skarbie nasz jedyny, przepraszamy Cię za dzisiejsze winy, za Twe łaski dziękujemy, stopy Twoje całujemy, dobranoc Ci Jezu.
I jeszcze bym wymieniał bo to nie koniec, lecz spisałem jedynie te, które w całości jeszcze pamiętam i będę je pamiętać do „grobowej deski „. Jeżeli chodzi o wierszyki i książki to wiele mówiła na pamięć, lub czytała nam te dłuższe, albo wyjaśniała nam po swojemu Pismo Sw, lub Katechizm. Umię do dziś na pamięć np. . ”Powrót taty „, ”Był sobie dziad i baba „. Czytała nam „Calineczkę” Baśnie Andersena, Opowieść o Gerdzie, Królewna Śnieżka, O Krasnoludkach i sierotce Marysi, Cudowna podróż, Pinokio, Roczniki Przewodnika Katolickiego, przeglądaliśmy nawet obrazki z niemieckiego wydania Starego Testamentu

Znaczniejsze wydarzenia w obu rodzinach i w mieście. Cyganie przyjechali. Kąpielka. W szkole razem z Krystyną.

Lata pięćdziesiąte, oprócz śmierci Stalina w 1953 roku, śmierci Bieruta, przyniosły i w naszych rodzinach spustoszenie, umierają bowiem kolejno :
moi dziadkowie od strony ojca:Franciszek i Rozalia zd. Rospęk Kempowie
dziadkowie Krysi Szczepan i Maria zd. Dobosz Feigowie, wujek Adam,
ciocia Stanisława –żona wujka Idziego, wujek Idzi, i wielu jeszcze innych z rodziny.
Przypominając sobie rodzinę Krysi, to rodzice i dziadkowie byli bardzo zamożnymi i szanowanymi obywatelami społeczności ostrzeszowskiej
Posiadali Rozlewnię Wód Mineralnych i Piwa, Skup Jaj, Kawiarenkę.
Stary Szczepan Feige miał też dużą fantazję, napisał na przykład na swoim nowym domu –dużej kamienicy nad wejściem taki napis :"Boże dałeś mi wszystko ze swej szczodrobliwości, daj też każdemu, który mi zazdrości.

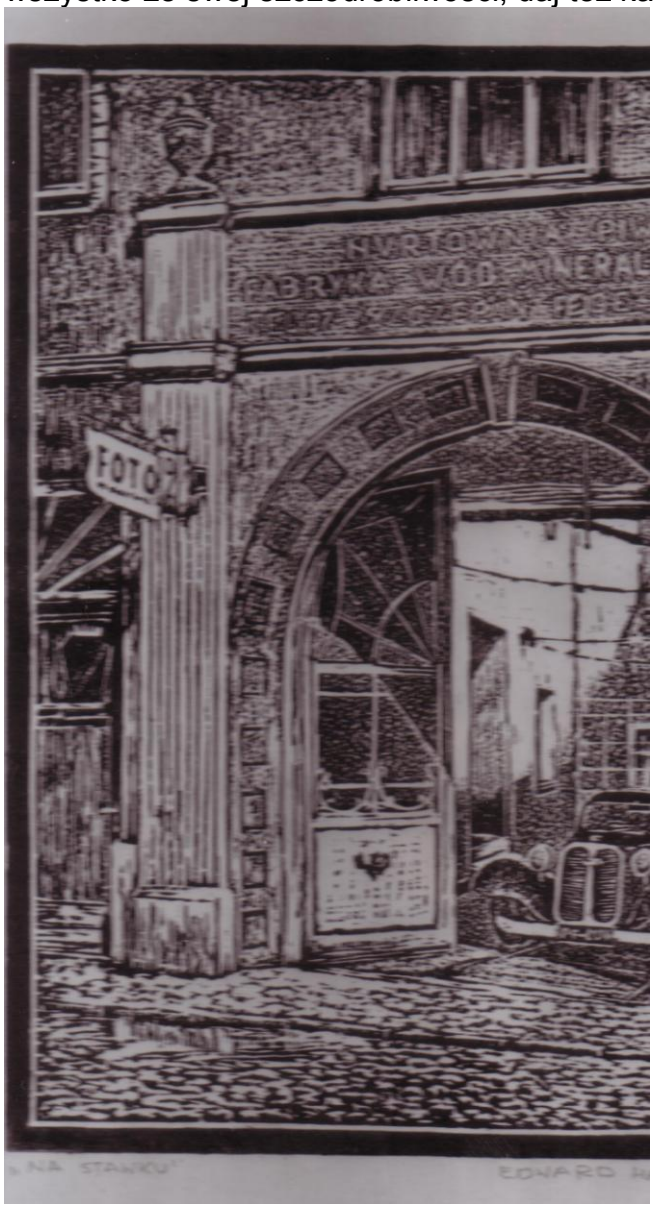

Ostrzeszów rycina bramy przy ul. Targowej Nr. 4 wyk. Haladyn

Dla fantazji tez a nie dla zysku trzymał w podwórzu kozy, nie wypuszczał je na trawkę. Pamiętam że jadły nawet gazety i szmaty i zalatywało od nich po okolicy niemiłym zapachem. Często bawiliśmy się na pobliskim placyku zwanym „Na Stawku”

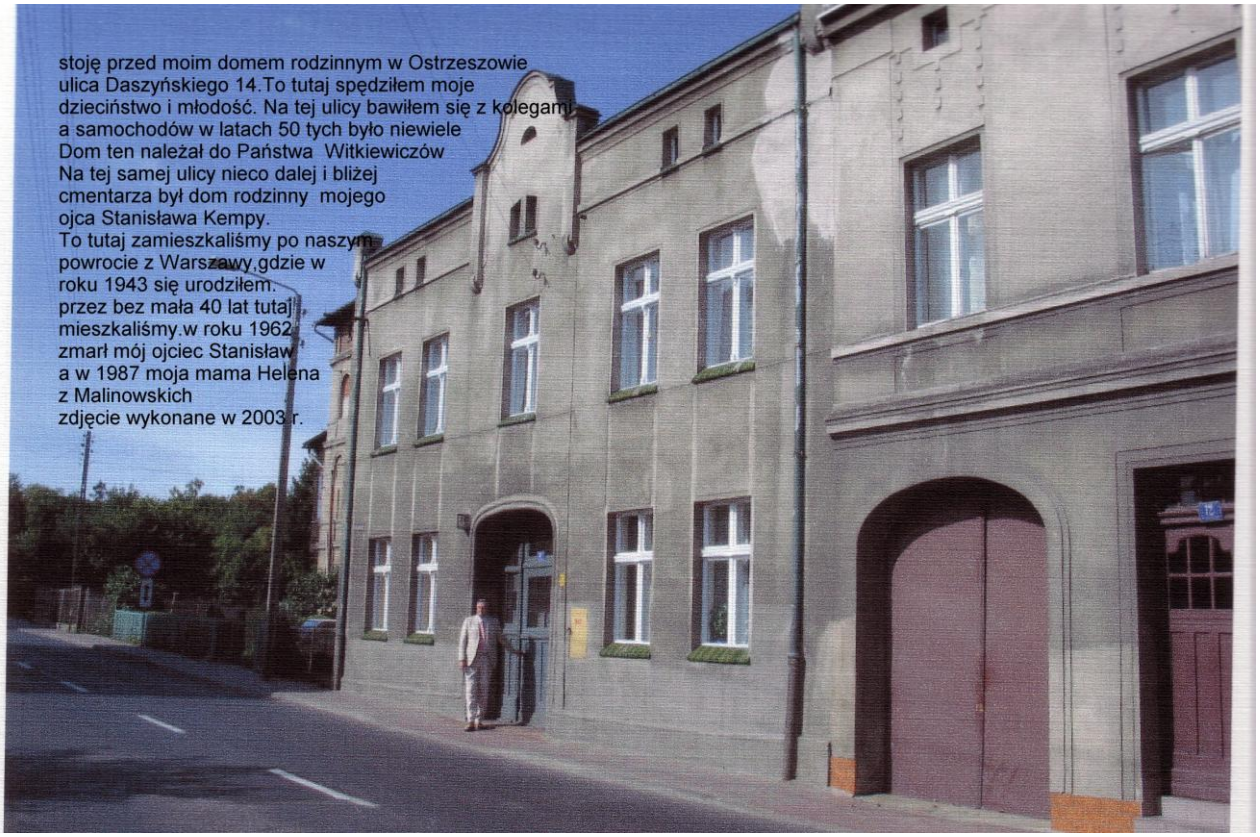

Ostrzeszów na Stawku czyli placu a raczej parkingu stan dzisiejszy:

Był tam kiedyś stawek, a teraz pod nim przepływa strumyk skanalizowany, który biegnie od podnóża góry zwanej Bełczyna poprzez Kąpielkę i Ogród Jordanowski im. Walentego Dymka i dalej pod owym placem na Stawku i wypływa hen aż pod Klasztorkiem, tworząc staw klasztorny i dalej tworzy większy strumyk zwany Strzegową, być może nazwę nieco przekręciłem, lecz tak ją słyszano. Graliśmy w różne gry :w sztekla, w uganiankę i w piłkę. I właśnie któregoś dnia przekonaliśmy się o tej kanalizacji, kiedy wpadła mi piłka "„Na Stawku "a wypłynęła aż przy zameczku na ul Zamkowej. Była to piłka duża, jedyna jaką wtedy mieliśmy do zabawy. Oprócz Krysi, bawili się z nami jej kuzynowie Stasiu i Jasiu Machałowie i dzieci sąsiadów. Dołączali też z ulicy Łaziebnej i z Sikorskiego, ponieważ domy z tej ulicy podwórkami graniczyły z placem „Na Stawku”.

Ostrzeszów staw na Wilka stan obecny bez stawu niestety

:

Ostrzeszów upust wody z basenu kąpielowego struga dziś niedostępna

Ostrzeszów Basen kąpielowy plaża

Wielką sensacją dla nas dzieci było, kiedy zobaczyliśmy jadące ulicą Daszyńskiego tabory cygańskie. Zwykle lokowali się w pobliżu Kąpieliska przy wiatraku na skraju lasku. Tabory miały wozy kolorowe te bogatsze i wozy nie pomalowane te biedniejsze. Na puszystych pierzynach siedziały baby cygańskie w obszernych spódnicach i kiecach oraz z małymi dziećmi cyganiątkami. Budy były oszklone i pięknie malowane przeważnie w motywy kwiatowe i liście. Za wozami podążał zwykle pies i ewentualnie koza, owca lub źrebak. Wisiało też wiadro taki wymborek jak mawiała moja babcia Rozalia czyli wiadro do wszystkiego i miska emaliowana na pomyje i nie tylko. Nocnika nie widziałem nigdy. Te sprawy z pewnością załatwiali wprost do lasu, chociaż kiedy się zwijali to nie było większego po nich śladu. Władze miejskie więc pozwalały na takie wędrowanie po kraju.

Dzisiaj Cyganie przemieszczają się samochodami z obcą rejestracją i wędrują w przyczepach kampingowych. Często my dzieci biegliśmy za tymi taborami i potem tam na miejscu obserwowaliśmy jak się rozbijali i urządzali sobie pobyt, jak palili ogniska, jak się bawili i grali, co robiły dzieci. Co silniejsi młodzieńcy i tacy z marginesu miejskiego wszczynali z nimi wpierw awantury, a potem dochodziło do bójek i nieraz krwawych, łącznie z interwencją milicji. W knajpach, na ulicach, w gospodach zespoły muzyczne dawały popisy nieprzeciętnej wirtuozerii na różnych instrumentach. Zawsze cygańskie zespoły muzyczne prezentowały piękny folklor i wysoki poziom ku zachwycie słuchających. Nieco dalej od obozowiska cygańskiego stał wiatrak a w oddali na horyzoncie widać było najwyższą górę w Wielkopolsce czyli Bełczynę. Na niej często urządzano manifestacje patriotyczne i polityczne. Na jednej z takich manifestacji społeczeństwa ostrzeszowskiego zginął mój kolega Depczyński. Zbyt blisko stał i przyglądał się wybuchom petard wojskowych.

stoję przy płocie z widokiem na basen kąpileowy odkryty w Ostrzeszowie

Na Kąpielce czyli Miejskim Kąpielisku położonym w lesie po drugiej stronie autostrady na piaskach przy obecnym Stadionie Miejskim było latem rojno i tłoczno, bo to jedyna w lecie atrakcja w mieście. Całe miasto korzystało z tej chłodnej przyjemności w upalne dni. Ewenementem tego obiektu było dno niecki basenu z czystego piasku, źródlana woda przepływająca upustami i

zastawkami, plaża wielka z tym samym czystym i białym piaskiem, przeorywana zawsze przed sezonem. Na zimę woda była spuszczana i dno oczyszczone. Jedynie strużka niewielka płynęła wzdłuż niecki basenu. Wpierw trampolina i pomosty były drewniane a potem betonowe wraz z brzegami i budką ratownika i toaletami. Tam często małą Krysię zabierano i uczono pływać. Taką też pamiętam, bo ciągle przebywałem od małego na tym obiekcie. Na początku chyba jeszcze przed wojną po wodzie pływała łódka z wiosłami, potem łódkę zastąpiła duża bela drewniana do zabawy. Tę belkę dobrze pamiętam. Było to urządzenie wielce niebezpieczne dla nie umiejących pływać a nawet dla takich którzy potrafili pływać. Woda była przez obsługę każdego dnia wieczorem czyszczona z liści i patyków a drobniejsze zanieczyszczenia spływały górą do specjalnych rynienek zabudowanych na obrzeżach basenu.
Kąpaliśmy się kiedyś wraz z kolegami jeszcze przed Św. Janem i w dodatku wśród szalejącej burzy z wyładowaniami. Kiedy się matka moja dowiedziała, że my się bawimy podczas burzy w wodzie i to na dodatek w czasie zakazanym do kąpieli wraz z innymi matkami przybiegła do płotu basenu i zaczęła się awantura a potem bicie ale już w domu. Lał ojciec na zlecenie matki, kiedy przyjeżdżał na sobotę i niedzielę z delegacji. Było wówczas całotygodniowe rozliczenie. Dzisiaj współczuję mu że miał takie zlecenie za każdym razem. Bolało na pośladkach i nie tylko, bo kiedy się zdenerwował to lał, gdzie popadło a matka musiała interweniować i nazywała zleceniobiorcę mordercą i katem.
Lecz to nasze bicie było zerem w porównaniu do bicia, o którym już wcześniej wspominałem u naszego sąsiada z sieni. Marzyłem ciągle aby wraz z kolegami dostać się kiedyś na ostrzeszowski zameczek. Udało się pewnego razu spełnić to nasze marzenie, bo wrota były otwarte. Wewnątrz nic ciekawego tylko mury i jakieś wnęki i lochy ze schodami aż do góry na miejsce widokowe, skąd roztaczał się przepiękny widok na całą okolicę. Widać było Ratusz i Farę, klasztorek a w głębi Bełczynę, Ostre Góry i Las Klasztorny.

W szkole życie toczyło się normalnie a głównie w otoczeniu moich kolegów z klasy i niektórych dziewcząt w tym i mojej Krysi. Byliśmy w tej samej klasie i nieraz za karę siedziałem obok niej w jednej ławce, bo ze względu na wzrost zwykle siedziała w ostatniej ławce. Ze względu też na wzrost tańczyliśmy razem w jednej parze na lekcjach tańca. Spotykaliśmy się na prywatkach i przyjęciach, w chórze tez śpiewaliśmy w jednym głosie w altach. A propos naszego

Ostrzeszów widok od strony ul. Tokarskiej z lewej kościół pw. Chryztusa Króla, na prawo Fara a dalej klasztorek

szkolnego chóru prowadzonego przez kierownika szkoły Jana Kaczmarka to mam wrażenie że reprezentował dość wysoki poziom, bo pewnego razu biorąc udział w latach pięćdziesiątych w przeglądzie chórów szkolnych województwa poznańskiego zajął siódme miejsce za sławnymi już wówczas chórami Stuligrosza i Kurczewskiego z Poznania. Wielkopolska miała zawsze wielkie tradycje dobrego muzykowania i śpiewu. Potem kiedy byłem młodzieńcem już pracującym, występowałem w barytonach w miejskim męskim chórze" Dzwon", prowadzonym przez tego samego chórmistrza Jana Kaczmarka.
Nie pamiętam w której klasie zdarzyło się z naszymi dziewczynami, że chłopcy, którzy mieli rowery podczas wycieczki do Antonina po drodze rozbierali dziewczyny dla żartów. Natomiast ci, którzy nie mieli rowerów tak jak ja
Nie uczestniczyli w tych zabawach, bo jechali na miejsce pociągiem. Jednak w świadomości całej grupy było to że i my też braliśmy w tym udział, co było dla nas krzywdzące. Na tej wycieczce w Antoninie, zatłukliśmy kijami wielką żmiję, wylegującą się w słońcu na brzegu lasu. Poćwiartowaliśmy ją na kawałki, które długo jeszcze się ruszały. Żmiję tę znalazł kolega, który oddalił się od nas aby jak to się mówiło w żargonie uczniowskim „odcedzić się" Moim natomiast udziałem było następujące zdarzenie:
Widząc grupkę naszych dziewczyn, skupionych tuż przed lekcją nad czymś ciekawym a dla mnie nieokreślonym, rzuciłem się między nie i wyrwałem to coś

jak się okazało książeczkę o interesującym tytule' Okres dojrzewania u dziewcząt" Goniony przez kolegów z klasy uciekłem poza mury szkoły i kiedy zatrzymałem się to już mnie nikt nie gonił. Zdziwiony tym tytułem wróciłem do klasy, a lekcja już się zaczęła. Wychowawca Leon Chojnicki już wszystko wiedział o moim wyczynie. Uderzył mnie kilkakrotnie w twarz jedną ręką a przytrzymywał drugą pod brodą aby uderzenie było skuteczne. To była wypróbowana jego metoda bicia. Wysłał mnie dodatkowo do Kierownika Szkoły na dalszą rozprawę, a ten po wysłuchaniu mnie zdzielił kilkakrotnie kantem linijki po rękach i plecach a potem były z tego siniaki. Dodatkowo sprawowanie było jak zwykle obniżone. Z tym sprawowaniem to było tak, że zawsze ze względu na mój żywy charakter musiało być obniżone. Uczyłem się prawie najlepiej w klasie, lecz sprawowanie powodowało że kolega mój Jurek Stawinoga z drugiej pozycji zawsze mnie wyprzedzał.
Częstym obiektem ataku byłem szczególnie ze strony kilku uczniów repetentów, którzy bili mnie zawsze, kiedy nie dałem im" odwalić" czyli odpisać pracę domową. Zrobiliśmy kiedyś „psikusa" naszemu wychowawcy. Otóż wypełniliśmy zbiorowo słoik ciepłym moczem i z powodu zimy postawiliśmy ten słoik na kaloryferze pod oknem. Po kilku dniach obserwowaliśmy reakcję nauczycieli a zwłaszcza naszego wychowawcę. Reagowali przeróżnie, niektórzy wietrzyli klasę a inni sprawdzali uczniów z bliska. Znudzeni tym stanem rzeczy, bo i

Ostrzeszów widok od strony ulicy Wieluńskiej

nasze nozdrza też były drażnione tym fetorem, postanowiliśmy słoik ten wykorzystać w inny sposób. Wstawiliśmy go do stojącej w klasie szafy, przechylając go, tak aby przy otwarciu jej wypadł. Kredę i szmatkę natomiast schowaliśmy do tej szafy. Stało się tak jak zaplanowaliśmy. Nauczyciel chcąc wyjąc z szafy kredę i szmatkę otwarł ją a cała zawartość słoika wylała się na jego garnitur. Wszystkich chłopców w tym i mnie wysłał znów do Kierownika na

rozliczenie. Ten patrzył tylko na mnie, jakbym to ja był znów prowodyrem tego zdarzenia, a ja nie wiem do dziś, kto wymyślił tę głupią historię. Kierownik nie miał akurat czasu aby się z nami rozliczyć i zcedował rozliczenie fizykowi panu Piotrowi Preglowi, który wobec niesfornych uczniów stosował bicie swoją drewnianą laską zakończoną gumą, ponieważ był kiedyś pod Monte Cassino raniony w czasie działań wojennych na tym wzgórzu. Ten zwykle lał, nie tylko za winy popełnione wobec jego osoby, lecz głównie na zlecenie. Nie wyróżniając nikogo z grupy wchodziliśmy pojedynczo bez świadków do sali katowni i przełożeni tradycyjnie przez stołek byliśmy ową laską bambusową bici, a na koniec trzeba było powiedzieć tylko dwa słowa „dziękuję" i" przepraszam", które ciężko przechodziły przez gardło bitego.
Na pewnej lekcji rysunku, prowadzonej przez „świeżo co upieczoną" młodą nauczycielką- absolwentką Akademii Sztuk Pięknych panią Niezabitowską kolega nasz Stanisław, którego nazywaliśmy nie wiem dlaczego „Maciek" zamiast malować zadany temat, gryzmolił coś na ławce zamiast na kartce.
Mając w ręku cienki kij „witkę" do wskazywania nauczycielka lekko uderzyła go upominając o zachowanie dyscypliny na lekcji. Zdenerwowany Maciek wyrwał z jej rąk ową witkę i z całej siły zaczął ją bić tak że ona zaczęła płakać i ukryła twarz w rękach. Natychmiast pobiegła do Kierownika Szkoły a ten już wiedział co robić z takim draniem i komu zlecić rozliczenie. Ten sam kolega wystraszył kiedyś nauczycielkę może tę samą, lokując się w szafie stojącej w klasie. Chrapał i sapał i denerwował nas i nauczycielkę i znów było rozliczenie.
Krysia w domu swoim miała dużo zajęć i obowiązków. Sierota bez matki od małego musiała dodatkowo pomagać swojej starszej siostrze Mieci w wychowaniu jej dzieci, lecz podstawowo musiała pomagać swojemu ojcu w Zakładzie Fotograficznym po lekcjach. Jako jedyny Zakład Fotograficzny w okolicy miał powodzenie i dużo klientów. Pracy było mnóstwo, natomiast po godzinach urzędowania z klientami trzeba było cały materiał obrobić. Filmy wywołać, wyretuszować klisze i wykonać pozytywy, natomiast po tych czynnościach należało co kilka dni posprzątać gruntownie mieszkanie a należy wspomnieć, że podłogi były drewniane, i „szrupakiem" z wodą ją umyć lub wyszorować. Do tego dochodziło mycie korytarzy i schodów aż do dołu. Pod schodami była ubikacja, więc o nią trzeba było również zadbać, aby była czysta a świeży papier na rolce lub gazeta. Ojciec często wsiadał w „dekawkę" a potem w „Syrenkę" i wyjeżdżał na wioski aby kolejno robić zdjęcia całym rodzinom i z okazji różnych uroczystości i odpustów. Z tych wojaży wracał często „pod dobrą datą" bez pieniędzy a klisze trzeba było wywołać, bo klienci po kilku dniach dopominali się o swoje zdjęcia. Ojciec aż do swojej śmierci był w stanie wolnym i nie ożenił się, ale miał ciągle wielu przyjaciół i przyjaciółek. Żoną mogła być jedynie kobieta, którą Krysia zaakceptowała i która mogła zapewnić jej dobrą opiekę. Nie udało się żadnej spełnić tego warunku i akceptacji małej Krysi, więc do śmierci był sam. Koledzy często go wykorzystywali, bo miał pieniądze, często też go okradali. Zaangażował też córce nauczyciela do nauki gry na pianinie i akordeonie, zresztą tego samego, który uczył mego brata Janusza. Na lekcje gry do niego chodził też siostrzeniec Krysi Piotr, nieco młodszy od swojej cioci Krysi. Między siostrami była duża różnica lat, podobnie zresztą jak u mojej matki w rodzinie, gdzie wychowywała się wspólnie z bratankami i bratanicami pod jednym dachem u swego najstarszego brata Adama. Kiedy mojej Krysi znudziło się granie, symulowała chorobę lub najnormalniej w świecie uciekała przed lekcją na ulicę, podobnie

jak to robił mój brat. Ojciec łagodził zdenerwowanie nauczyciela „ćwiartką” a on nie gardził tym poczęstunkiem. Kiedy organista widział Krysię spacerującą ulicami mawiał zwykle że ”zamiast nut szlifuje bruki”.
Była ona nad wyraz zdolną i mogła bez nauki grać proste melodie zarówno na pianinie jak i na akordeonie. Ojciec zwykle dopingował ją, obiecując nagrodę za każdym razem, kiedy nauczyła się grać cokolwiek” z kapelusza”. I tak jest po

Rok 1960 Ostrzeszów.Zespół akordeonistów
z dyrygentem Panem Walterem.pierwszy od lewej brat Janusz

dziś dzień, że co chce to zagra i jest wesoło w domu i na przyjęciu.
Brat mój Janusz jak wspominałem uczył się grać u tego samego pana Waltera na akordeonie, którego rodzice odkupili od samego Juliana Kurzawy, późniejszego wielkiego muzyka rozrywkowego i założyciela głośnego zespołu ”Sami Swoi” i odkrywcy piosenkarki Hanny Banaszak. Nauczyciel był szczególnie nerwowego usposobienia i choleryk do tego stopnia że bił go po palcach i przeklinał podczas grania. Matka często nie mogła słuchać tych strofowań i „lania” więc pomagała mu często w ucieczkach. Kiedy zbliżał się do domu brat przez okno uciekał na podwórze. Trwało to do momentu aż zaprzestano tej nauki i na tym poziomie pozostał. Matka nie pracowała zarobkowo, więc miała dużo czasu dla nas i troskliwie się nami opiekowała. Można by powiedzieć nawet, że była względem nas nad opiekuńcza a to nie zawsze pozytywnie odbija się na wychowaniu. Dumni jesteśmy, że była dla nas dobra i zarażała nas dobrem. Często ze względu na nią staraliśmy się tak postępować, aby jej nie zasmucać i nie przysparzać jej zmartwień. Niestety nieraz nie udawało nam się i wtedy były łzy i narzekania. Ilekroć nabroiłem poza domem a matka dowiedziała się o wybryku, to jedynym sposobem uniknięcia „lania” było uciec na chwilę albo na dłuższy czas z domu.
Najczęściej ukrywałem się w ubikacji lub pod schodami w sieni przy kranie z wodą. Uciekałem też do ogrodu gospodarza lub dalej pod mury cmentarza. Kiedy już matce minęło napięcie i ochłonęła z emocji to często zapraszała mnie wołaniem do domu bo było zwykle już bardzo późno. Wówczas wyłaziłem z kryjówki ze spokojem wracałem do domu pewny że już nie oberwę.
Pewnego razu matka sprawdzając jak co dzień czystość naszych nóg, kiedy już leżeliśmy w łóżkach, stwierdziła że mam czyste, natomiast uparta siostra nie

miała ochoty swych nóg pokazać i matka zmuszona była ją skarcić, używając tego przyrządu opisanego wcześniej zwanego „szczepliną”. W złości tak jak była odziana a więc jedynie w piżamce wybiegła boso na podwórze a był tam śnieg i mróz i długo musiała ją matka szukać i nawoływać, aż wreszcie po kilku godzinach zmarzniętą przyprowadziliśmy do ciepłego mieszkania. Efektem tego była na drugi dzień choroba, lecz ona swego dokonała. Nerwowe usposobienie mojej siostry wynika z jej trudnego dzieciństwa i okresu okupacji
podczas której się urodziła. Ilekroć próbowałem drażnić ją, kiedy nie miała ochoty na zabawę, lub się uczyła to za każdym razem ”obrywałem” najczęściej linijką lub przedmiotem który był w jej zasięgu. Ale i tak kochaliśmy się bardzo
i pomimo iż mieszkamy daleko od siebie miłość ta nie ustaje. Była bardzo ambitną dziewczyną i wielce usportowiona. Uczestniczyła wiele razy w biegach krótkich i w grach zespołowych. Ambicja nieraz przerastała jej możliwości.
Ilekroć przegrywała, przewracała się na bieżni i skaleczoną najczęściej znosili z bieżni. Zwykle musiała wygrywać, bo to stanowiło zawsze cel jej uczestnictwa.
Razem z kolegami i koleżankami w tym oczywiście i z Krystyną, bawiliśmy się na łąkach za miastem w rejonie cmentarza ewangelickiego i poniemieckiego, gdzie dziś jest osiedle domków jednorodzinnych.

: Ostrzeszów Aleja Wolności prowadzi z jednej strony do Szpitala i Borku a z drugiej strony do autostrady ostrzeszowskiej i cmentarza poniemieckiego ewangelickiego Niżej widok na zakłady w rejonie autostrady

Tam niektórzy wypasali kozy, owce, barany, tam też było czynne źródełko i piękna trawa soczysta. W czasie pogrzebów przeszkadzaliśmy tym innowiercom a oni gonili nas i znów były emocje i atrakcja. Najpiękniejsze konwalie rosły właśnie na grobach na tym cmentarzu ze względu na wysokie i gęste drzewa i mur okalający ten obiekt.
Z chwilą gdy na świecie pojawił się nasz brat, często pomagaliśmy matce, opiekując się małym i często wyjeżdżaliśmy na spacery, lub prowadziliśmy małego za rączkę. W tym okresie niestety doświadczyłem wielu bardzo przykrych kontuzji i ran, które pozostały jako ślady do dnia dzisiejszego.
Jako ministrant, o ile mi czas pozwolił, biegłem do Kościoła i pomagałem kościelnemu przygotować naczynia liturgiczne i szaty do nabożeństwa.
Pewnej soboty trafiłem na ślub i to pary młodej z rodziny mojej cioci z Torzeńca tej od wujka Idziego. Po wyjściu młodych z Kościoła wujek zaproponował mi abym razem z nim też pojechał na to wesele i się zabawił. Wesele odbywało się daleko poza Ostrzeszowem na Szklarce Myślniewskiej. Z tej miejscowości pochodzi słynny himalaista zdobywca korony Himalajów, Krzysztof Wielicki rówieśnik mojego brata i Piotra Niesobskiego
Jadąc na bryczce, kiedy kawalkada weselna wjechała w lasy i piaszczyste dukty leśne, aby koniom nieco ulżyć zaproponowano spacer na nogach. Niewielu było chętnych, lecz ja musiałem, ponieważ stałem na stopniach bryczki. W chwili, kiedy podążałem za bryczką pieszo woźnica nagle „podciął” konie a te pocwałowały galopem do przodu, zostawiając mnie samego. Postanowiłem biec ile sił w nogach i płucach i kiedy byłem już blisko i zamierzałem wskoczyć na stopień noga mi zjechała i dostałem się pod drewniane koła bryczki. W rezultacie poczułem potworny ból i zerwane paski sandałów i nie mogłem dalej kontynuować biegu. Do domu było daleko. Bliżej o wiele było na wioskę na której odbywało się to wesele. Weselnicy pijani już zorientowali się że ze mną dzieje się niedobrze i zawrócili, zabierając mnie rannego z opuchniętą nogą ze sobą. Na miejscu opatrywałem nogę zimną wodą wprost ze studni, lecz nadal wyglądała okropnie i nieciekawie. Była

spuchnięta z widocznym wewnętrznym wylewem, cała sina. Dość miałem całej zabawy i wyjąc z bólu całe wesele przeleżałem w stodole na sianie, a rano w niedzielę wujek zawiózł mnie chorego do lekarza i do domu.
Pewnego razu postanowiliśmy wspólnie z moim kolegą Heńkiem urządzić sobie wyścigi biegowe na chodniku naszej ulicy, wyznaczając sobie start i metę. Ambicja mego kolegi była zawsze wygórowana do tego stopnia, że zwykle przerastała jego możliwości i w pewnej chwili, gdy nieco wysunąłem się przed niego w odruchu on podciął mi nogę a ja upadłem w pełnym biegu wprost na bruk i brodą uderzyłem o kamień, w rezultacie czego zabarwiłem twarz i rzeczy na czerwono i w takim stanie pobiegłem natychmiast do Szpitala, który znajdował się nieopodal miejsca wypadku. Tam udzielono mi opatrunku i ranę zaszyto.
Innym razem z tym samym zresztą kolegą graliśmy mecz tenisowy na korcie tenisowym na ogródkach jordanowskich za figurą Matki Boskiej. Ponieważ biskup Walenty Dymek z Poznania był kiedyś założycielem Sodalicji Mariańskiej
w Ostrzeszowie a ogródki te były pod jej opieką więc nazwano je po latach aż po dzień dzisiejszy ogródkami Walentego Dymka z tablicą pamiątkową. Rakiety mieliśmy oryginalne, ponieważ ojciec mój z wojaży po budowach, zawsze starał się nam przywieźć klasowy sprzęt sportowy lub modne rzeczy do ubrania.

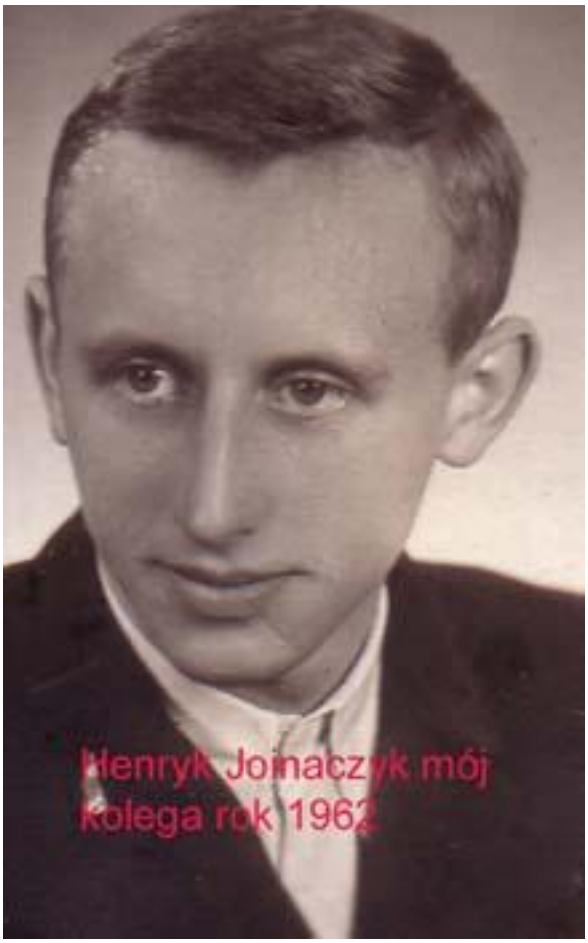

W pewnej chwili podbiegając do piłki ukrytej w wysokiej trawie, poślizgnąłem się i upadając rozciąłem sobie nogę na dnie od butelki po winie. Rana była dość głęboka i mocno krwawiła, więc byłem znów zmuszony udać się do Szpitala w celu nałożenia opatrunku i usztywnienia nogi. Jak wiadomo noga w kolanie się zgina a rana trudno się goi. Długo trzeba było czekać aż się ta rana zagoiła. W tym czasie więc byłem stałym pacjentem tego Szpitala a siostry Boromeuszki, które jeszcze w tym czasie były w Szpitalu znały mnie nie tylko z tych wypadków, lecz kiedy ojciec malował cały Szpital, ja przynosiłem mu obiad lub śniadanie do pracy. Pewnego razu siostra poczęstowała mnie obiadem, z dziczyzną i pierwszy raz w życiu jadłem zraz zawijany z dzika. Był smaczny, lecz u mamy były one lepsze bo wołowe.
Któregoś lata rodzice postanowili wysłać, mnie na kolonie letnie do Lewkowa pod Ostrów, gdzie było szybowcowe lotnisko Aeroklubu Wielkopolskiego i duża piękna Szkoła Podstawowa w której stacjonowaliśmy.
Idąc kiedyś z kolonistami z naszej grupy na wycieczkę, w pewnej chwili zaimponował mi stóg słomy czy siana na rżysku na polu z wystającym na szpicy drągiem zwanym babą. Dziwiliśmy się po co ten drąg tam wysoko sterczy. Okazało się potem że on powoduje stabilność konstrukcji i jest potrzebny. Należało go więc zrzucić, a odważnych było niewielu bo było bardzo wysoko. Zdecydowałem się wejść na górę i dokonać dzieła zniszczenia. Mimo oporów udało mi się ten długi drąg ze stogu wyciągnąć i zrzucić na dół. Stóg zaczął tracić stabilność i zaczął się chwiać. Moje zejście było więc utrudnione, więc zsunąłem się z wysokości i upadłem na ziemię w rezultacie czego doznałem stłuczenia i zwichnięcia ręki. Zawieziono mnie do Szpitala do Ostrowa i założono gips a po powrocie otrzymałem naganę i zakaz wychodzenia z budynku aż do odwołania. Chłop na drugi dzień interweniował u kierownictwa kolonii a ja odbywałem już nałożoną karę.
Do znudzenia wystawialiśmy razem z moim najwierniejszym kolegą Heńkiem w bramie i do późna w nocy dyskutowaliśmy na różne tematy a matka zwykle denerwowała się, ponieważ bramę zamykano regularnie o godz, 10 tej i o ile nie zabrałem ze sobą klucza, matka musiała specjalnie wstawać, aby mi bramę otworzyć. Pasjonowały nas różne tematy nie tylko towarzysko –obyczajowe, lecz także techniczne oraz muzyczno-rozrywkowe. Na fali byli wówczas :Cliv Richard, Roy Charles, Luis Armstrong, Nil Sedaka, Paul Anka, Edith Piaf, Eli Fitzgerald, Sydney Bechet, Ricky Nelson, Domenico Modunio, Elvis Presley,

Bin Crosby, Marino Marini, Boby Winton, Roy Peterson, Billy Holliday, Billy Dewis, Petula Clark, Ehrta Kidd, i można tak wymieniać w nieskończoność. Te nazwiska przewijały się i wiele z nich mieliśmy nagranych na płytach, które sukcesywnie mój kolega otrzymywał od krewnych z Francji z Pas de Calais, Płyt tych łapczywie słuchaliśmy i uczyliśmy się tańczyć modnego wówczas rock and rolla i innych. Nie było telewizji, więc z przyjemnością chodziliśmy do kina. Karmili nas przede wszystkim filmami radzieckimi tymi z klasyki oraz z okresu II wojny światowej. Nie były najgorsze, lecz filmy kowboyskie były ponad wszystko. Uwielbialiśmy więc oprócz radzieckiej Tatiany Samojłowej i Sergieja Bondarczuka Audrey Hepburn, Marlenę Dietrich, Claudię Cardinale, Kim Nowak, Gretę Garbo, Sofię Loren, Brigide Bardott, Katrin Deneve, Burt Lancastera, Gregorego Pecka, Kirka Duglasa, czy Liz Taylor. Na naszej ulicy, jak się dowiedzieliśmy z ust naszych rodziców mieszkała rodzina o nazwisku polskim, lecz byli Volksdeutschami tzn. takimi, którzy kolaborowali z niemieckim okupantem a po wojnie byli przez nas napiętnowani i wyśmiewani. Ich syn Stasiu chociaż nasz kolega z ulicy to jednak był wielokrotnie prześladowany. Wiele rodzin przykro doświadczyło w okresie okupacji złego ze strony Niemców, więc nie można się dziwić, że po wojnie nienawiść skierowana była również na te rodziny z listy VD. W dzieciach też było zakodowane takie zachowanie.
W otoczeniu starszych kolegów był między nami Jurek Kupczyk ciekawa postać, której pragnę poświęcić nieco uwagi. Nie tylko jemu, lecz także jego rodzinie.
Jego brat Bogdan nasz rówieśnik był spokojnym chłopcem i bardzo oczytanym, tak jak zresztą cała rodzina. Była to rodzina kolejarska, . Ojciec ich pracował na Kolei przy telegrafie, potem był emerytem, lub rencistą ze względu na chorobę płuc i nie pracował. Cała rodzina namiętnie czytała książki i non stop okupowali miejską bibliotekę i nawet nieraz wózkiem dziecinnym książki te przywozili do domu i je „pożerali". Jurek potrafił nawet czytać przy jedzeniu nie zwracając uwagi na to co się wokół niego dzieje i co wkłada do ust. Nie mogłem wyjść z podziwu jak mógł dwie czynności wykonywać jednocześnie. Kiedy ukończył Szkołę Podstawową i otrzymał świadectwo ze średnimi ocenami, na pewien czas stracił się nam z oczu i naraz na feriach pokazał się w pięknym białym mundurze kadetów z kordzikiem u boku i lśniącymi złotymi guzikami. Były to czasy, kiedy na wzór radzieckich kadetów powołano w Warszawie podobną Szkołę, wychowującą przyszłych oficerów Wojska Polskiego. Do tej szkoły mogli dostawać się wyłącznie uczniowie z celującymi stopniami na świadectwie. Widocznie Jurek potrafił zaimponować Komisji rekrutacyjnej i dostał się do tej wyjątkowej Szkoły. Był na tyle oczytany że dał sobie radę i nas zadziwił. W tym mundurze był naprawdę przystojnym i urzekająco pięknym żołnierzykiem i młodzieńcem. Szkoła nie trwała długo więc i on nie dokończył tej edukacji.
Pracował potem w obstawie premiera Cyrankiewicza w rządzie a teraz jest na Zachodzie w zielonogórskim i rzeźbi w drewnie przeróżne figury duże i małe i urządza wystawy. Wiele takich rzeźb stoi w jego rodzinnym Ostrzeszowie w ciekawych punktach miasta i przed zameczkiem kazimierzowskim też.
Gdy zbliżały się Święta Wielkanocne wypadało do domu narwać bazi, które zastępowały palmy palestyńskie i jerozolimskie, którymi żydzi witali Chrystusa, gdy wjeżdżał na osiołku do Jerozolimy. Tegoroczne były już rozwinięte, więc wybrałem się wraz z kolegami poza miasto na z góry upatrzone miejsce. Drzewo to graniczyło z płotem pewnego gospodarza, właściciela dość groźnego psa uwiązanego przy budzie u płotu. Kiedy udało mi się wejść na płot a potem

na drzewo nagle krucha gałąź złamała się i spadłem z drzewa wprost na psią budę z której wyskoczył wściekły pies i rozerwał mi nowe ubrane pierwszy raz spodnie. W efekcie jedna nogawka była długa a druga skrócona do kolana. i w takim stanie musiałem iść do domu przez całe miasto, ku wielkiej uciesze moich kolegów. Na domiar złego gospodarz gonił mnie z kijem i rzucał za mną kamienie. Udało mi się wyjść z tych opałów, lecz trzeba było wracać do domu. Pomyślałem, że matka będzie wielce zatroskana i zdenerwowana i aby jej uniknąć tego napięcia, udałem się do wujka Ludwika znakomitego zresztą krawca w tym mieście, aby go poprosić o artystyczne zacerowanie tej nogawki. tak aby matka nie poznała. Wujek miał naturalnie z tym wielki problem i matka poznała się na tej kombinacji i było kazanie i lament bo pieniądze „poszły w błoto „Matka musiała mi nowe spodnie kupić, bo nie mógłbym w czym iść na święta do Kościoła.
Siedząc pewnego razu w klasie usłyszeliśmy syreny alarmowe i wyjące karetki pogotowia i milicyjne. Nie zważając na to że była lekcja, wyskoczyliśmy z klasy i pobiegliśmy na miejsce wypadku bo było blisko na ruchliwej „autostradzie”
przy jedynym domu zwanym „Willa-Alfa”. Już zwłoki zabitego nieszczęśnika umieszczali w karetce pogotowia, a po wypadku został doszczętnie rozbity motocykl i wielka kałuża krwi, którą człowiek łopatą zgarniał do wykopanego dołu. Straszny widok dla nas dzieci. Okazało się że był to ksiądz- kolega szkolny mojego ojca a rodzina jego mieszkała po sąsiedzku na naszej ulicy. Biedak jechał na motocyklu taki szmat drogi do domu do swojej matki z lekarstwami i niemal pod samym domem zginął w tak głupi i banalny sposób. Widoczność drogi głównej zasłaniały krzaki na skrzyżowaniu i nie widział nadjeżdżający pojazd, którym był samochód ciężarowy. Kierowca tego samochodu rozpaczał i rwał włosy z głowy i niestety efekt był taki że człowiek już nie żył. Potem był pogrzeb a zwłoki leżące w domu przez trzy dni w upalne dni trzeba było obkładać lodem aby się nie psuły, a i tak nieprzyjemny zapach dolatywał do nosa modlących się na różańcu ludzi. Myśmy wrócili do szkoły i była awantura, lecz nam się nie chciało z tego wszystkiego uczyć.
Pewnego razu dowiedzieliśmy się w szkole, że na pobliskich polach wylądował przypadkowo dwupłatowiec zwany przez nas „kukuruźnikiem” wraz z szybowcem. Zostawiliśmy lekcje i znów pobiegliśmy zobaczyć te podniebne maszyny. Pilotowi nic się nie stało a dla nas była to kolejna atrakcja i sensacja. Obiecał nam że podczas najbliższego święta lotnictwa zabierze nas i polecimy pod chmury.
Ojciec mój jak wspominałem już pracował jako malarz w wielu firmach bądź na wyjeździe, bądź na miejscu, malując albo meble albo mieszkania albo obiekty przemysłowe i konstrukcje stalowe i wielkie zbiorniki.

Wrocław rok 1959
mój tato

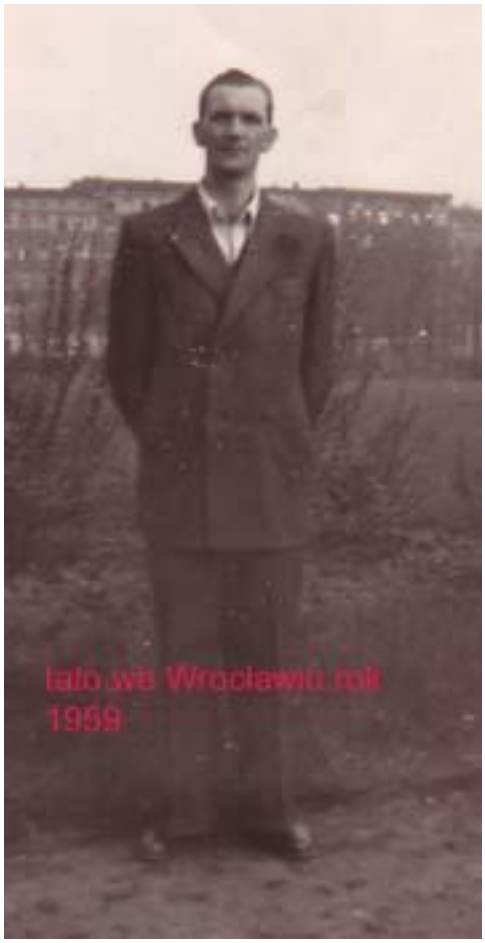
tato we Wrocławiu rok
1959

tato nad Odrą we Wrocławwiu
rok 1959

takie wielkie obiekty mój
ojciec kiedyś malował

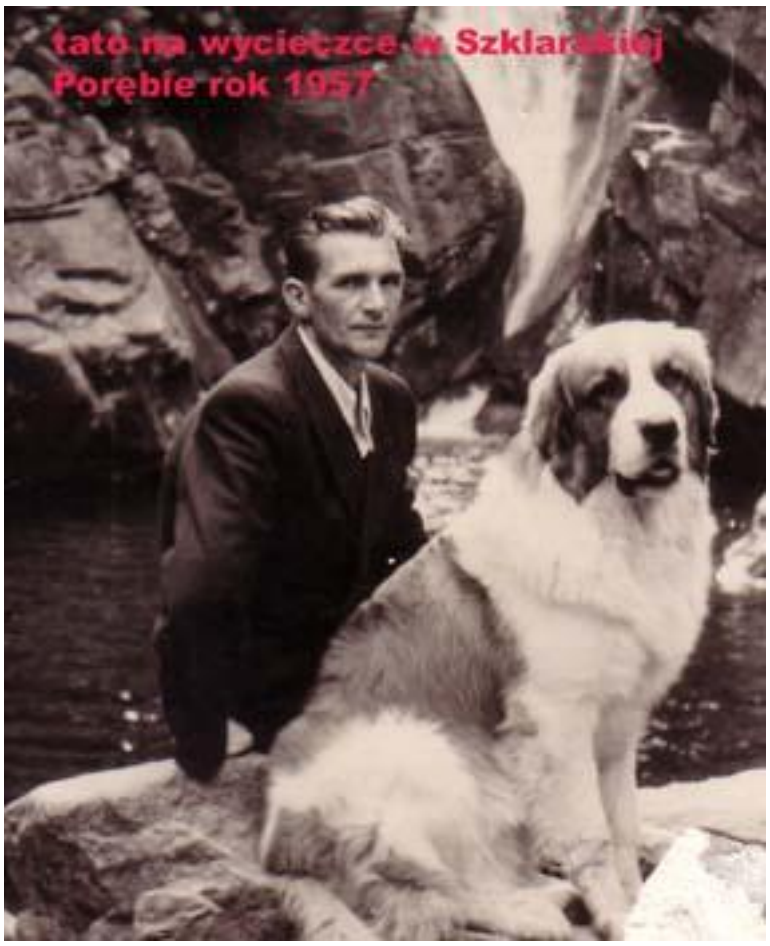
tato na wycieczce w Szklarskiej
Porębie rok 1957

Trafił pewnego razu na robotę w miejscowym kościele Farze tej zabytkowej świątyni z czasów Kazimierza Wielkiego. W tym czasie trzeba było w Farze przeprowadzić konserwację ścian i położyć izolację pionową ze względu na grzyb jaki się już od dawna pokazywał. Ojciec wraz z ekipą, przygotowując grunt pod malowanie, podczas skrobania ścian trafił na jakieś dziwne malowidła stare freski z początków budowy tej świątyni. Były to sceny z Biblii. Po ściągnięciu konserwatora zabytków i historyków stwierdzono, że są to cenne zabytkowe freski i należy je poddać konserwacji szczegółowej. Zjechało się więc wielu konserwatorów z Krakowa i Poznania i na rusztowaniach wykonywali swoją żmudną pracę. Odsłonięte malowidła można teraz oglądać w tym kościele. Nie są piękne, lecz na pewno stare i zabytkowe o dużej wartości historycznej.
W kościele tym ponadto znajduje się tablica pamiątkowa ku czci św. Maksymiliana Kolbego, który w czasie okupacji zaraz na początku w obozie w Ostrzeszowie przebywał, wywieziony z Niepokalanowa wraz z 34 zakonnikami. Obóz ten mieścił się w obecnym Liceum Ogólnokształcącym. W Ostrzeszowie przebywali również jeńcy wojenni z Norwegii i na domu w którym przebywali także widnieje tablica pamiątkowa.
Ze szkołą często braliśmy udział w różnych akcjach o charakterze gospodarczym jak sadzenie lasu, ziemniaków, zbieranie stonki ziemniaczanej czy przy wykopkach. Starsi pomagali też nieraz przy żniwach na wioskach i w Pegeerach.

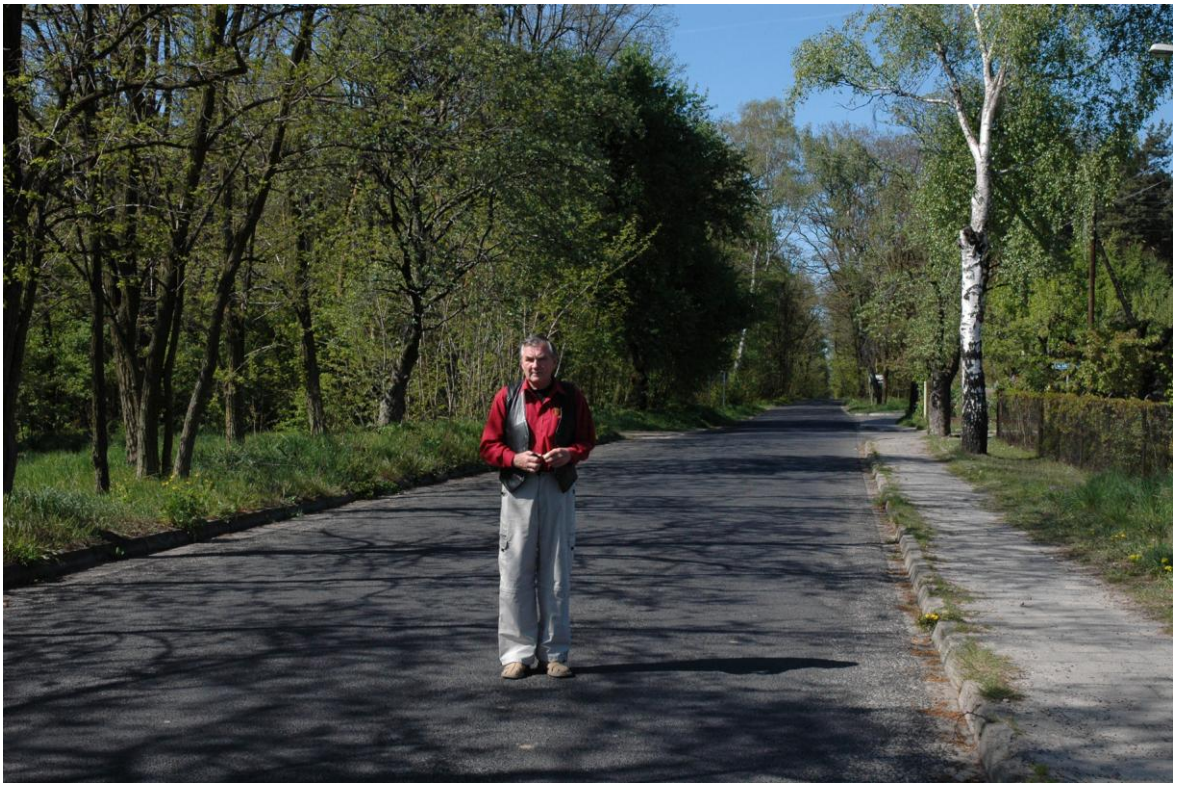

Ostrzeszów droga prowadząca na Myje i do lasu klasztornego

Do lasu chodziliśmy z leśniczym i nauczycielami aby sadzić las sosnowy bo tylko sosny mogły na piaskach ostrzeszowskich rosnąć. Chłopcy przez cały dzień przy pomocy specjalnych narzędzi w postaci klina wykonywali otwory w ziemi natomiast dziewczęta sadziły sadzonki i przygniatały ziemią. Dziś są to już olbrzymie drzewa a nasza Polska jest przez to bardziej zielona i piękniejsza. Stonka na pegeerowskich kartofliskach jak głosiła propaganda i afisze pokazała się zrzucona przez amerykańskich imperialistów na komunistyczną Polskę. Na plakatach byli oni malowani jako wrogowie socjalizmu.

Pewnej zimy zbliżały się Wojewódzkie Igrzyska Harcerskie w Chodzieży i nauczyciel wuefu kompletował drużyny i ekipę na te Igrzyska, Trafił akurat na nas, bawiących się i rozgrywających mecz hokejowy na stawie u Wilka. Tych najlepszych sobie wybrał i kazał się przygotować, wyznaczając konkurencje dla każdego. Mnie też wybrał i byłem z tego bardzo dumny. Zresztą jeżeli chodzi o sporty to jakiego bym się nie chwycił to byłem dobry lub najlepszy. Przygotowałem sobie więc sprzęt sportowy i dresy i razem z kolegami pojechaliśmy na te Igrzyska. Brałem udział w slalomie hokejowym na czas między słupkami na wielkim jeziorze w Chodzieży. W czasie wyścigu zerwała mi się, moim zdaniem solidnie umocowana łyżwa i było po zawodach, ale

radziłem sobie dobrze do chwili tej awarii. Po Igrzyskach zwiedzaliśmy miejscowe Zakłady Porcelany i Porcelitu i otrzymaliśmy z tej porcelany pamiątki z napisami okolicznościowymi. Mały zajączek do dziś gdzieś poniewiera się na półce. Bratem wspomnianego Jurka Kupczyka był Bogdan, który po ukończeniu Szkoły Podstawowej zniknął nam z oczu i uczęszczał do Szkoły Zawodowej Drukarskiej i w Drukarni pracował jako zecer. Czytał wiele książek i kochał je, więc przy książkach pozostał. Pewnego razu wracając późno z pracy zażył kąpieli w wannie i tam też pozostał, umierając chyba na atak serca i znaleziono go dopiero nad ranem nieżywego. Szkoda tego człowieka, bo był to dobry i uczciwy kolega i wzór do naśladowania.
Bratem natomiast mojego kolegi Heńka był o kilka lat od nas starszy Zenek późniejszy ksiądz i kanonik / niedawno zmarł/, którego babcia wołała zwykle „Zyniu". Ukończył Liceum z wyróżnieniem i celującym świadectwem dojrzałości i otrzymał glejt uprawniający go do wstępu na wszystkie wyższe uczelnie w Polsce bez egzaminów. Było to w tych czasach niezwykle rzadkie i wyjątkowe zjawisko. Dziś jest to bardziej popularne, bo poziom nauczania jest ogólnie niski, niestety. Dumny z tego faktu Dyrektor w tych czasach przeważnie prokomunistyczny, wręczając mu niezwykłe wyróżnienie, został wielce zaskoczony odmową ze strony Zenka. Odważnie i z determinacją stwierdził że jego powołaniem jest pójście do Seminarium Duchownego, ponieważ zamierza zostać księdzem. W mieście zawrzało i w końcu tak też było. Widzieliśmy go potem w sutannie i w tonsurze, bo w tych czasach księża nosili wygolone kółeczka na czubku głowy zwane tonsurami.
W Kościele usługiwał w czasie wakacji i był wzorem dla nas ministrantów.
Będąc jeszcze uczniem a i też jako ksiądz był wszechstronnie uzdolniony również sportowo, a szczególne osiągnięcia miał jako bramkarz miejscowej drużyny piłkarskiej. Obdarzony dużym refleksem, wysoki wzbudzał podziw widzów i kibiców. Często na wakacjach zamieniał sutannę na dres sportowy i stawał do bramki, aby zasilić drużynę i był bardzo dobry w tym fachu. W wakacje któregoś lata widzieliśmy go ubranego w letni strój ZMPowca z furażerką na głowie. W tych latach modne było angażowanie uczniów do pracy przy wielkich budowach komunizmu jak Nowa Huta, Pałac Kultury i Nauki czy odbudowywanie zniszczonej Warszawy. W latach późno pięćdziesiątych Polskę zalała fala repatriantów ze Związku Radzieckiego. Byli to nasi rodacy, którzy doświadczyli złego ze strony sąsiadów. Sponiewierani przez los bez środków do życia wracali na ojczyzny łono i trzeba było ich przygarnąć i przyjąć jak braci. To też robiło się w mieście. To wschodnie zawodzenie dziwiło nas tubylców, lecz szybko oswoiliśmy się z tym i asymilacja przebiegała sprawnie. Otrzymali od władz miasta mieszkania oraz pracę i mogli egzystować w nowej rzeczywistości. Przybywali w różnych okresach lub rzutach w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Pod koniec lat pięćdziesiątych rozpocząłem naukę gry na skrzypcach u Pani Baranowskiej prywatnie, bo szkoły muzycznej w mieście nie było. Krysia też wówczas chodziła na naukę gry na pianinie do Pani Bielawskiej.
Zanim zacząłem naukę u Pani Baranowskiej próbowałem nauki gry u Pana Zborowskiego organisty z fary. Jego surowość i wymagania przerastały wszystko i nie dawałem sobie rady. Ponadto płataliśmy różne figle temu człowiekowi wspólnie z kolegami, oczekującymi na kolejne lekcje. Pamiętam kolegę z Grabowa dziś lekarza, uczącego się u niego gry na akordeonie, przyniósł kiedyś w futerale swojskie wino, aby po lekcjach wspólnie wypić.

Niestety przy otwieraniu rozlało się i była wielka awantura. To między innymi spowodowało, że musiałem od niego odejść. Pani Baranowska była ciągle zachwycona moją grą, a ja w niej nic specjalnego nie widziałem. Jednak przydała mi się znajomość nut i gry, ponieważ kiedy potem próbowałem gry na gitarze to łatwiej mi przychodziła nauka. Skończyłem swoją grę na obu instrumentach na poziomie podstawowym, lecz kiedy trzeba było zabawić przy stole biesiadników to nigdy nie odmawiałem.
Do dziś dnia kolędy śpiewamy przy wtórze pianina i gitary w otoczeniu naszych dzieci i wnuków i nieraz znajomych. Urządzamy nawet wieczory kolędowe i jest wtedy radośnie i nastrojowo.
Z kolejnego rzutu repatriantów w mieście pojawiła się rodzina, której nikt nie akceptował i była nad wyraz nieżyczliwa i konfliktogenna. Po wyprowadzeniu się naszego sąsiada wspomnianego rzeźnika, który swego syna wiecznie bił, dostaliśmy właśnie tych ludzi jako sąsiadów i od tej chwili matka moja i my również nie mieliśmy spokoju i była z nimi ciągła udręka i nieporozumienie. Podobno gospodarz zrobił to celowo, ponieważ narzekaliśmy nieraz na poprzedniego sąsiada. Okazało się że i sobie zrobił na złość. Była to rodzina wielodzietna a matka była szczególnie wrogo nastawiona do kogokolwiek. Nazywana była przez sąsiadów różnymi przymiotnikami negatywnymi. Był to dla mojej matki zawsze temat wielce drażliwy, więc nie będę opisywał o tym, bo jeszcze by moja mama w trumnie się poruszyła, a modle się ciągle o spokój jej duszy.

Koniec edukacji w Szkole Podstawowej. Wybór dalszej edukacji. Krysia w Liceum. Ostatnie wakacje. Wyjazd do Rybnika. Krysia na Śląsku Podjęcie nauki w Technikum Fototechnicznym w Katowicach Piotrowicach. Początek nauki w Niższym Seminarium Duchownym OO. Franciszkanów w Rybniku.

Od góry seniorowie rodziny Kempów Franciszek i Rozalia a niżej wujek Jasiu i ciocia Maria rok ok. 1903 obok mój ojciec Stanisław a niżej cała rodzina Kempów a obok siedzi ciocia Maria jedyna córka w rodzinie

Jest rok 1957. Kończy się rok szkolny i moja edukacja w Szkole Podstawowej w Ostrzeszowie. Zaczynają się wakacje a ja jeszcze nie dokonałem wyboru szkoły średniej. Przeglądając gazety i informatory, natknąłem się na adresy szkół :Technikum Geodezyjnego i Technikum Kolejowego we Wrocławiu. Spiesznie więc sporządziłem odpowiednią dokumentację i osobiście zawiozłem do wybranych szkół. Na egzaminy udałem się wraz z matką i zdałem oba, ponieważ były akurat w różnych terminach. Niestety nie mogłem kontynuować nauki, ponieważ nie dostałem się do Internatu, a na prywatną kwaterę nie było nas stać. Wróciłem smutny do domu i któregoś dnia wpadł mi w ręce rocznik Przewodnika Katolickiego, który matka skompletowała i skrzętnie je zbierała od kilku lat, aby potem dać do oprawy, aby służyły na długie lata. W czerwcowym wydaniu w rubryce oferty i reklamy znalazłem adres i ogłoszenie o uruchamianiu Niższego Seminarium Duchownego OO. Franciszkanów w Kobylinie w tym roku. Zebrałem dokumenty i po dłuższym zastanowieniu się i przemyśleniu zdecydowałem się wysłać je na ten adres. Odpowiedź otrzymałem z Rybnika, ponieważ właśnie tam uruchamiano to Seminarium. Edukację tę nie wybrałem z pobudek drogą namawiania, lecz była to świadoma i przemyślana decyzja, ku wielkiemu zdziwieniu i zakłopotaniu moich rodziców. Religijność moja wynikała z pobożności zarówno dziadków ze strony ojca jak i przede wszystkim mojej matki. Ojciec był nieco powściągliwy w praktykach religijnych, chociaż był też ministrantem i ponoć jak dowiedziałem się od jego brata później, że też próbował wstąpić do zakonu. Rodzice mego ojca Franciszek i Rozalia byli bogobojnymi ludźmi i praktykującymi katolikami. Szczególnie babcia Rozalia

była gorliwą i praktykującą katoliczką na granicy dewocji nawet. Ponoć kiedy dzieci były jeszcze małe to wszystkie zabierała do Kościoła i mimo złej pogody wyczekiwała kościelnego pod bramą Kościoła. Sama należała do III Zakonu św. Franciszka i była tercjarką i gdy umarła to pochowano ją na jej życzenie w habicie franciszkańskim ze sznurem i różańcem u boku jak prawdziwą zakonnicę. Takie były wówczas zwyczaje. Modliła się gorliwie, lecz w życiu nie bardzo miała ta modlitwa swoje odzwierciedlenie. Była surowa, krytyczna, potrafiła uzewnętrzniać swoje nerwy, obmawiać drugich i źle o nich świadczyć. Dziadek natomiast mniej był zaangażowany religijnie, lecz był uosobieniem anioła i chodzącej dobroci i łagodności. Po prostu godny naśladowania. Ilekroć kiedy pod koniec życia szedł stróżować do Mleczarni, spożywał posiłek często ze smażonych ziemniaków na boczku czy smalcu z cebulką. Pachniało wówczas wszędzie i nawet na korytarzu. O ile pojawiłem się w tym czasie u niego to nie mogłem nie poprosić go o spróbowanie tej wieczerzy i z rondelka stojącego na piecu pomagałem mu a on był wielce ucieszony, że może wnuka poczęstować. Od babci najbardziej, szczególnie zimą, smakowały jabłka z szuflady wyciągnięte lub orzechy włoskie z podwórzowego drzewa, przeznaczone wyłącznie na święta.

Pierwsze z dzieci miało być zgodnie z tradycją poświęcone Bogu a urodziła się jedyna córka –nasza ciocia Maria, która nawet próbowała zostać zakonnicą, lecz niestety też się nie udało i do końca życia, a żyła 94 lata postanowiła być panną co jej się udało. Kolejnym dzieckiem był syn, któremu nadano imię Jan. Ten też próbował zostać duchownym. Doszedł nawet w swej edukacji dość daleko w Seminarium Duchownym OO. Salezjanów w Warszawie, lecz niestety też zrezygnował. Kiedyś nie wystarczały chęci, potrzebne były pieniądze na edukację, a tych było ciągle mało, zważywszy że babcia była kobietą niepracującą, a jedynie dziadek musiał utrzymywać całą rodzinę.

z Jurkiem Poleckim i Krystianem Hylą
w Rybniku rok 1959

z kolegami z roku w Rybniku rok 1957,od lewej:
Krystian Hyla,Kaziu Sudołowicz,Bernard Falkus
Michalczyk, Sobkowiak,wyżej Karol Pijanowski

widok wnętrza kościoła w Rybniku
podczs mszy św. prymicyjnej O. Floriana

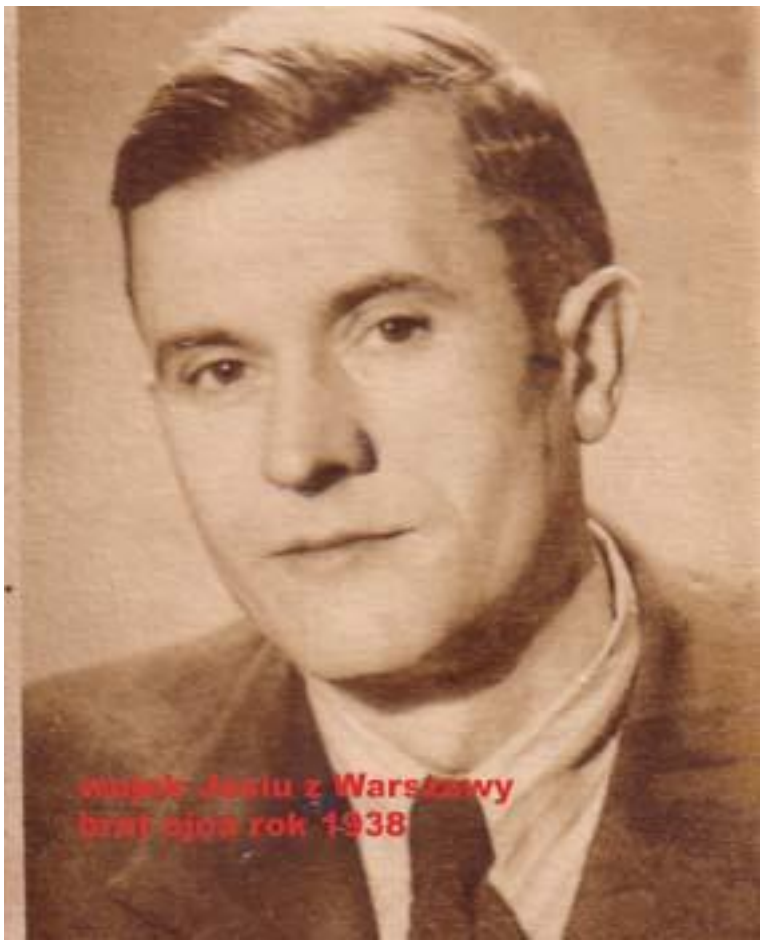

Szkołę Podstawową ukończyłem z dość dobrymi wynikami, podobnie zresztą jak i Krystyna. Ona zaraz po wakacjach udała się do miejscowego Liceum, lecz kiedy dowiedziała się że w Katowicach Piotrowicach jest Technikum Fototechniczne jej wymarzone Technikum ze względu na chęć pracowania w zawodzie fotografa przy ojcu w jego zakładzie, natychmiast po skończeniu pierwszego roku w Liceum przeniosła się do Katowic, lecz niestety musiała od nowa zacząć, ponieważ były rozbieżności programowe między szkołami i przez to straciła rok, a w dodatku jeszcze jeden, bowiem od tej pory nauka w Technikum trwała już 5 lat a nie jak do tej pory 4 lata. Absolwenci Liceum więc o rok wcześniej rozpoczynali naukę na studiach wyższych. Uczyła się w Katowicach, natomiast mieszkała u swej siostry Ireny w Chorzowie Mieście na głównej ulicy Wolności. Siostra Irena kiedyś nie mogąc wytrzymać ze swym ojcem, wyjechała na Śląsk a zapoznawszy Staszka Widerę po ślubie zamieszkała na stałe w tym mieście. Staszek pracował w Hucie Batory a potem w hucie Florian. Skończył Technikum Hutnicze w Chorzowie, natomiast Irena pracowała jako pomoc dentystyczna u swojego wujka w Łagiewnikach. Miała w tym domu opiekę i dobrą kontrolę przy odrabianiu lekcji. We wrześniu więc zgodnie z planem wraz z matką, wielce zafrasowaną udaliśmy się pociągiem do Rybnika, celem podjęcia nauki w wybranym przeze mnie Seminarium. Zastaliśmy na miejscu samego O. Rektora Tytusa Semkło, który uspokoił matkę i zapewnił, że synowi będzie dobrze i włos z głowy mu nie spadnie a co będzie dalej z jego nauką i powołaniem to „wola boska „bo takie jest chyba „zrządzenie boskie „Seminarium zwane Kollegium mieściło się przy Klasztorze i Kościele OO. Franciszkanów w parku przykościelnym i ogrodzie.
Nowo uruchomione Collegium było czyste, zadbane i wyposażone we wszelkie

podstawowe wygody. W budynku tym mimo że obok był Kościół, znajdowała się specjalnie dla zakonników i dla kolegiatów kaplica ze św. Franciszkiem obok ukrzyżowanego w ołtarzu. Tam codziennie trzy razy rano, w południe i na wieczór odprawialiśmy wspólnie z „fratrami” modlitwy niektóre w j. łacińskim a niektóre w j. polskim. Rano naturalnie przed nauką była msza św. i modlitwy przed nauką, a potem śniadanie w refektarzu. Codziennie rano kiedy tylko obudziliśmy się i otworzyliśmy swe zaspane oczy, pozdrawialiśmy się wzajemnie słowem ”Ave” tzn. bądź pozdrowiony, życzę ci zdrowia, witaj !.
Fratres, byli to nieco starsi młodzieńcy, którzy byli już ubrani w habitach i mieli olbrzymie franciszkańskie tonsury na głowach. Habity związane były sznurami z trzema węzłami oznaczającymi: posłuszeństwo, miłość i cnotę, oraz dużym różańcem u boku. Habity miały kaptury oraz różne schowki pod pachą i nie tylko na drobne rzeczy i na chusteczkę do nosa. Byli oni po Nowicjacie czyli okresie próbnym i po ślubach i po postulacie, natomiast musieli skończyć szkołę średnią, ponieważ kiedy oni wstępowali do Zakonu, nie było Niższego Seminarium i uzyskaniu świadectwa dojrzałości oni szli dalej na Filozofię do Opola a potem na Teologię do Katowic Panewnik aż do święceń kapłańskich i zakonnych, natomiast cywile tacy jak my musieli wpierw odbyć Nowicjat roczny czas próby i modlitwy.

w Beskidach z O.Prefektem
O. Tadeuszem ,prof. Wf i kolegami

1958
rodzice z Januszem
w Wieliszce
WIELICZKA- 6 IX 1958

rok 1957 w Rybniku
z kolegami młodszymi

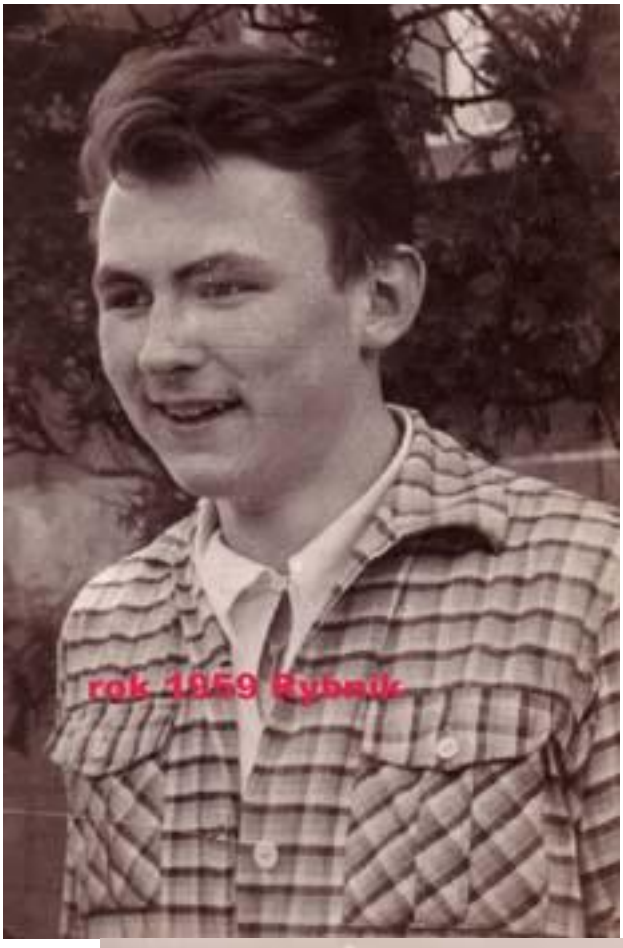
rok 1959 Rybnik

mój ojciec we Wrocławiu
rok 1959

rok 1960 Beskidy Czantoria i Stożek

Msza św. prymicyjna O. Floriana
Smolnik w Rybniku
ja drugi z prawej a O. Józef Zając pierwszy z lewej

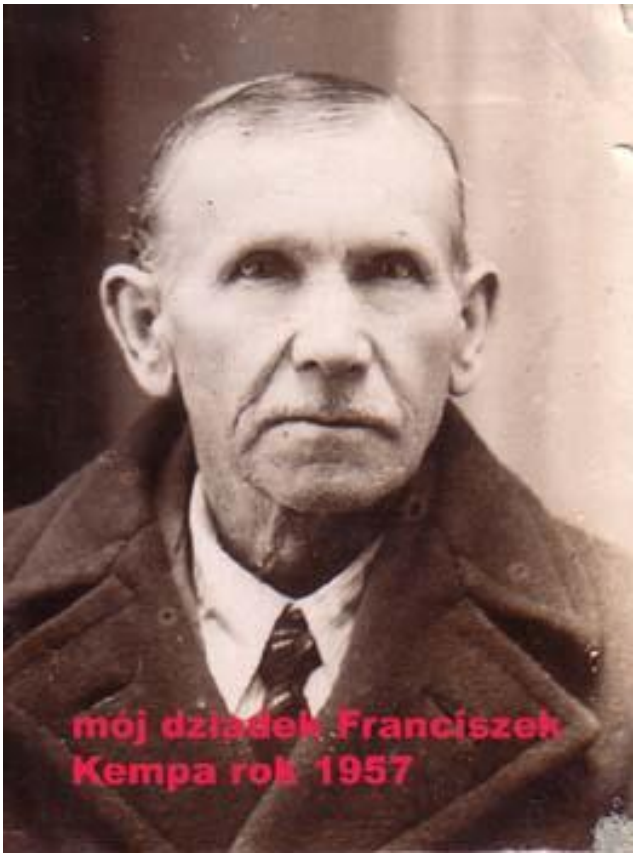

W tych latach niestety skończenie tego Collegium dawało jedynie maturę prywatną nie honorowaną przez władze oświatowe polskie. Trzeba było zdawać maturę państwową jako ekstern ze wszystkich przedmiotów ogólnokształcących. Zostając w zakonie matura „prywatna” wystarczyła do dalszej edukacji i święceń.
Po latach mogę stwierdzić jedynie, że zostanie zakonnikiem nie było moim powołaniem. Chciałem tylko nieco ustatkować się i osiągnąć pewien wysoki poziom wykształcenia, co zresztą sądzę że mi się udało. Seminarium to jak i inne prowadzone przez duchownych, gwarantowało taki poziom. Oprócz przedmiotów ogólnokształcących z przewagą dochodzących nauczycieli z miejscowego Technikum Górniczego oraz Liceum świeckich osób uczyli nas zakonnicy na przykład: j. niemieckiego, łacińskiego, greckiego, fizyki i religii. Znani ogólnie na wysokim poziomie wykładowcy, którzy wcześniej jak i potem wykładali w Wyższym Seminarium Duchownym w Katowicach. Główną siedzibę i Prowncjałat franciszkanie mieli w Katowicach Panewnikach. Duży Klasztor z kilkumetrowym św. Franciszkiem na dachu oraz wspaniała bazylika pod wezwaniem św. Ludwika dominuje nad zabudowaniami panewnickimi do dziś i jest ozdobą Sanktuariów na Śląsku i nie tylko.

Życie w Seminarium. Matura „prywatna”. Śmierć ojca. Matura „państwowa” w Poznaniu. Podjęcie pracy na Poczcie. Praca w służbie zdrowia. Krysia w Ostrzeszowie po maturze. Moje znajomości z dziewczynami.

Na pierwszym roku byliśmy sami, natomiast co roku przybywała nowa klasa, lecz w sumie trwało to kilka lat i dziś w tym miejscu jest świecka szkoła. Klasy wyposażone były w podstawowe pomoce dydaktyczne jak zresztą w każdej porządnej szkole. Sypialnie natomiast z łóżkami piętrowymi i ubikacjami i łazienkami na każdym korytarzu, nie sprawiały nam trudności w codziennym ich używaniu i w życiu wspólnotowym. Jeżeli choroba grypowa lub inna zakaźna typu angina złapała kogoś, to było pewne, że i reszta też podda się tej chorobie i jeden zarazi pozostałych tym wirusem. Specyficzną metodę leczenia aplikowali nam przełożeni. Chorzy na komendę i pod nadzorem dyżurnego jeszcze zdrowego lub wytypowanego spośród chorych po wypiciu dużej ilości herbaty lipowej z miodem lub z sokiem malinowym z cytryną lub witaminą C i po zażyciu aspiryny lub piramidonu(polopiryny) dokładnie przykryci pod szyję zmuszeni byli do pocenia się aż do wykręcania bielizny i pościeli. Po wyznaczonym czasie na komendę wstawało się, zmieniało pościel i piżamę na suchą i po umyciu się w zimnej wodzie i wytarciu suchym ręcznikiem kładło się ponownie tym razem lekko się przykrywając i tak do następnego pocenia. Dyżurny w tym czasie szeroko otwierał okna i wlatywało zimne świeże powietrze, a resztki zarazków ulatywały hen daleko. Takie ćwiczenia przeprowadzane były cyklicznie aż do całkowitego wyzdrowienia. Na komendę mierzyliśmy temperaturę ciała i zapisywaliśmy w dzienniczku choroby, zażywaliśmy lekarstw i piliśmy herbatę przed następnym poceniem. Była to bardzo skuteczna metoda leczenia i trwająca stosunkowo krótko. Co odważniejsi puszczali sobie krew z nosa, bo to ponoć też pomagało, tak jak dawniej wypędzano chorobę pijawkami. Tę metodę leczenia teraz też i ja stosuję, kiedy choroba mnie złoży, z tą tylko różnicą, że nie puszczam sobie krwi, bo jest to sposób brutalny i jest to nieprzyjemne i bolesne.

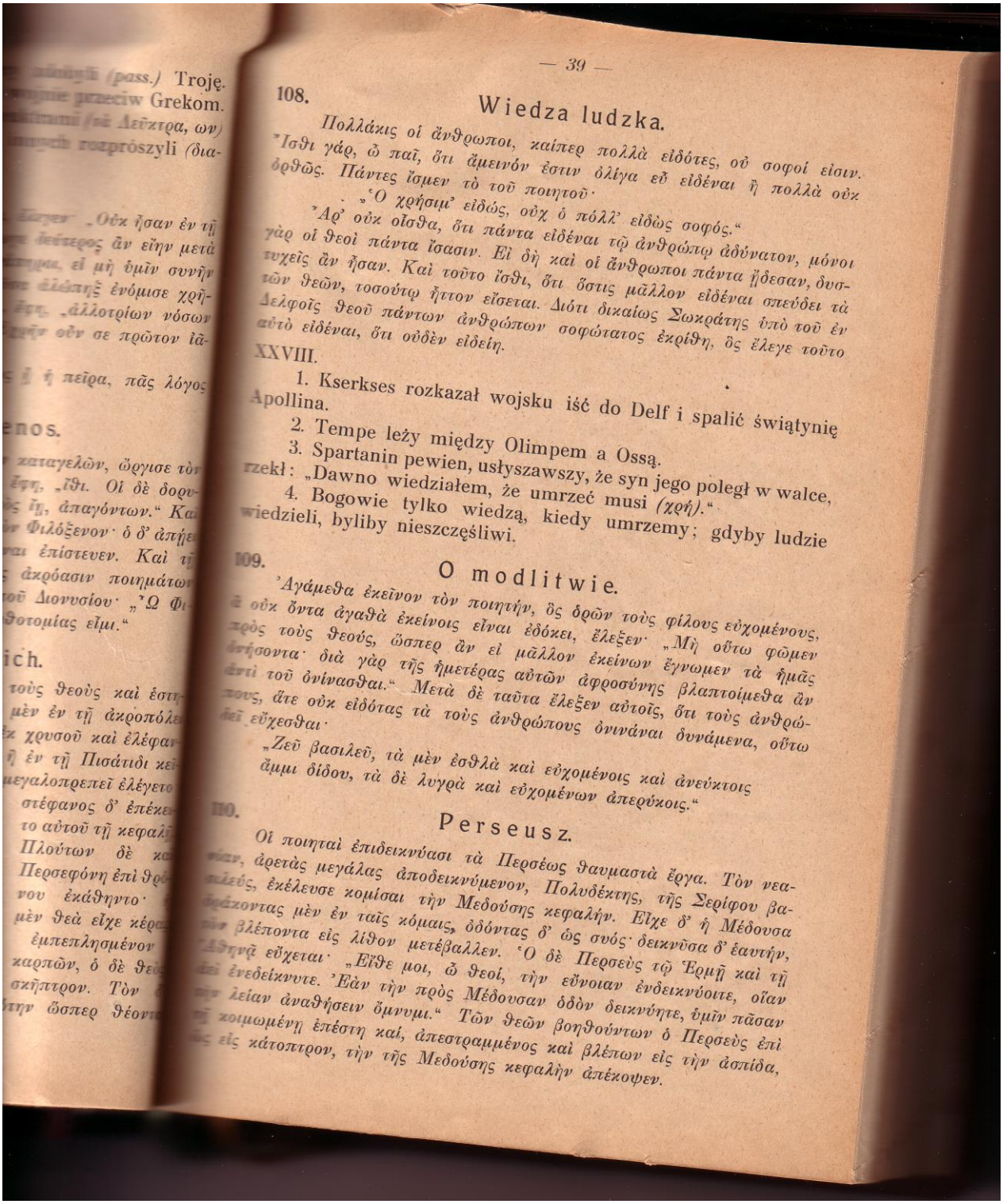

— 39 —

108. Wiedza ludzka.

Πολλάκις οἱ ἄνθρωποι, καίπερ πολλὰ εἰδότες, οὐ σοφοί εἰσιν. Ἴσθι γάρ, ὦ παῖ, ὅτι ἄμεινόν ἐστιν ὀλίγα εὖ εἰδέναι ἢ πολλὰ οὐκ ὀρθῶς. Πάντες ἴσμεν τὸ τοῦ ποιητοῦ·

„Ὅ χρήσιμ' εἰδώς, οὐχ ὁ πόλλ' εἰδὼς σοφός."

Ἆρ' οὐκ οἶσθα, ὅτι πάντα εἰδέναι τῷ ἀνθρώπῳ ἀδύνατον, μόνοι γὰρ οἱ θεοὶ πάντα ἴσασιν. Εἰ δὴ καὶ οἱ ἄνθρωποι πάντα ἤδεσαν, δυστυχεῖς ἂν ἦσαν. Καὶ τοῦτο ἴσθι, ὅτι ὅστις μᾶλλον εἰδέναι σπεύδει τὰ τῶν θεῶν, τοσούτῳ ἧττον εἴσεται. Διότι δικαίως Σωκράτης ὑπὸ τοῦ ἐν Δελφοῖς θεοῦ πάντων ἀνθρώπων σοφώτατος ἐκρίθη, ὃς ἔλεγε τοῦτο αὐτὸ εἰδέναι, ὅτι οὐδὲν εἰδείη.

XXVIII.

1. Kserkses rozkazał wojsku iść do Delf i spalić świątynię Apollina.

2. Tempe leży między Olimpem a Ossą.

3. Spartanin pewien, usłyszawszy, że syn jego poległ w walce, rzekł: „Dawno wiedziałem, że umrzeć musi *(χρή)*."

4. Bogowie tylko wiedzą, kiedy umrzemy; gdyby ludzie wiedzieli, byliby nieszczęśliwi.

109. O modlitwie.

Ἀγάμεθα ἐκεῖνον τὸν ποιητήν, ὃς ὁρῶν τοὺς φίλους εὐχομένους, ἃ οὐκ ὄντα ἀγαθὰ ἐκείνοις εἶναι ἐδόκει, ἔλεξεν· „Μὴ οὕτω φῶμεν πρὸς τοὺς θεούς, ὥσπερ ἂν εἰ μᾶλλον ἐκείνων ἔγνωμεν τὰ ἡμᾶς συμφέροντα· διὰ γὰρ τῆς ἡμετέρας αὐτῶν ἀφροσύνης βλαπτοίμεθα ἂν μᾶλλον ἢ ὠφελοίμεθα, ἅτε οὐκ εἰδότας τὰ τοῖς ἀνθρώποις ὀνινάναι δυνάμενα, οὕτω δεῖ εὔχεσθαι·

„Ζεῦ βασιλεῦ, τὰ μὲν ἐσθλὰ καὶ εὐχομένοις καὶ ἀνεύκτοις ἄμμι δίδου, τὰ δὲ λυγρὰ καὶ εὐχομένων ἀπερύκοις."

110. Perseusz.

Οἱ ποιηταὶ ἐπιδεικνύασι τὰ Περσέως θαυμαστὰ ἔργα. Τὸν νεανίαν, ἀρετὰς μεγάλας ἀποδεικνύμενον, Πολυδέκτης, τῆς Σερίφου βασιλεύς, ἐκέλευσε κομίσαι τὴν Μεδούσης κεφαλήν. Εἶχε δ' ἡ Μέδουσα δράκοντας μὲν ἐν ταῖς κόμαις, ὀδόντας δ' ὡς συός· δεικνῦσα δ' ἑαυτήν, ὃν βλέποντα εἰς λίθον μετέβαλλεν. Ὁ δὲ Περσεὺς τῷ Ἑρμῇ καὶ τῇ Ἀθηνᾷ εὔχεται· „Εἶθε μοι, ὦ θεοί, τὴν εὔνοιαν ἐνδεικνύοιτε, οἵαν ἄρτι ἐνεδείκνυτε. Ἐὰν τὴν πρὸς Μέδουσαν ὁδὸν δείκνυητε, ὑμῖν πᾶσαν τὴν λείαν ἀναθήσειν ὄμνυμι." Τῶν θεῶν βοηθούντων ὁ Περσεὺς ἐπὶ τῇ κοιμωμένῃ ἐπέστη καί, ἀπεστραμμένος καὶ βλέπων εἰς τὴν ἀσπίδα, ὡς εἰς κάτοπτρον, τὴν τῆς Μεδούσης κεφαλὴν ἀπέκοψεν.

Do dziś dnia na pamiątkę zostawiłem sobie podręcznik Goliasa do nauki języka greckiego. Mam też podręcznik do nauki języka łacińskiego ze słownikiem oraz wiele materiałów do nauki języka niemieckiego oraz niewiele z języka rosyjskiego. Zapominam już z dnia na dzień to co się tam nauczyłem, bo z nich na co dzień się nie korzystało- nie ma okazji i potrzeby. Ale co się zdobyło to się ma.

W tej specyficznej szkole i internacie były dyżury; w sanitariatach, u O. Rektora w celi przy podlewaniu kwiatów i porządkach, w sali gdzie odbywała się nauka własna i w klasach. Sprzątaczek nigdy nie było więc o porządek dbaliśmy my

sami. Sobota szczególnie była dniem porządków generalnych i wtedy w ruch szły szmaty, miotły wiadra pasty i środki odkażające. Wszędzie było czysto i nie do pomyślenia aby ktoś czymkolwiek zaśmiecił korytarz czy jakiekolwiek pomieszczenie. Pomieszczenia w sobotę po skończonej pracy były sprawdzane przez powołaną komisję porządkową. Koledzy w tej szkole byli z całej niemal Polski od Pomorza aż po góry. Pamiętam że byli tam chłopcy z Brodnicy, Wejcherowa, Pakości, Białegostoku i Łap, z poznańskiego Jarocina, Ostrzeszowa, Kobylina, i ze Śląska. Byli też górale z Nowego Sącza i Limanowej oraz jeden nawet z Jarosławia. Na lekcjach wf. chodziliśmy na boisko Technikum Górniczego w Rybniku, ponieważ nauczyciel również i tam uczył, a my nie mieliśmy takiego zaplecza do ćwiczeń. Chodziliśmy także latem na basen kąpielowy odkryty na Paruszowiec. Zawsze w grupie, nigdy indywidualnie. Z profesorem wf. wyjeżdżaliśmy na wycieczki w góry i zwiedzaliśmy okoliczne zabytki poznając kulturę regionalną zwiedzanych terenów i krajobrazy. Zakazem było wychodzenie z budynku na miasto, więc każde nasze wspólne wyjście, dawało nam okazję, aby zwiedzić miasto i o ile się udało kupić w kiosku Ruchu czasopismo kolorowe, tygodnik np. „Panoramę", której czytanie było zabronione. Mogliśmy jedynie czytać dzienniki popularne o zasięgu ogólnopolskim. Oglądanie telewizji było rzadkością, a wszystko pod nadzorem duchownego i wyłącznie publicystyki i dzienników, a nieraz programów popularno- naukowych

Gazety kolorowe oglądaliśmy w nocy pod kołdrą i przy latarce kieszonkowej. O godz. 22. 00 była cisza nocna i gaszenie świateł. Rano o godz. 6. 00 pobudka „Ave Maryja „, toaleta i modlitwy w Kaplicy, potem było śniadanie. W czasie rekolekcji całotygodniowych w okresie Wielkiego Postu przed Wielkanocą co roku nie mogliśmy ze sobą w ogóle rozmawiać, a jedynie spotkawszy kolegę, lub zakonnika, można ich było pozdrowić jakimś nabożnym pozdrowieniem. Modlitwy były indywidualne i zbiorowe a O. Prefekt głosił kazania i wykłady na tematy religijne. Na boisku rozgrywaliśmy mecze i uprawialiśmy lekkoatletykę. Jak już wspominałem mecze piłki siatkowej i w tenisa stołowego, ale już na terenie ogrodu klasztornego. Na początku zaproponowano nam z miejscowego ogrodu przy Klasztorze urządzić boisko. Jakże wielka frajda była dla nas, kiedy można było po zbiorach zatratować zieleń do gołej ziemi. Wkrótce było gołoborze i pustynia jak po najeździe hunów czy tatarów. Ustawiliśmy bramki i było boisko do piłki nożnej. Na jesieni w przygotowanych uprzednio i wymytych beczkach deptaliśmy umytymi nogami kapustę wraz z marchwią i jabłkami. W refektarzu, gdzie spożywaliśmy posiłki wisiał wielki krzyż. Z piwnic, gdzie była kuchnia dyżurni przy pomocy dzwonka i windy znosili posiłki na stoły wcześniej przygotowane z talerzami i sztućcami. Surówki i szpinaku było zawsze tak dużo, że musiano korzystać z wielkich mich emaliowanych. Jeden z nas podczas posiłku musiał czytać coś z literatury religijnej a wszyscy byli cicho bo była zasada iż jedynie „religiosum colloguamur" tzn. rozmawiamy wyłącznie na tematy religijne. Przed i po posiłkach były stosowne modlitwy do odmówienia. Były też podwieczorki z ciastem, owocami i słodyczami. Nauka własna była obowiązkowa i czy chciałem czy też nie, musiałem się uczyć. To wychodziło nam jedynie na dobre i dawało efekty, że poziom nauki był bardzo wysoki. Zresztą we wszystkich zakonach, prowadzących tego typu szkoły był wysoki poziom. Dydaktycy potrafili skutecznie uczyć i mieli duże doświadczenie w edukowaniu. Najtrudniejsza dla nas była jednak greka- przeklęta przez nas od początku do tego stopnia, że postanowiliśmy po zakończeniu nauki spalić

ostentacyjnie wszystkie zeszyty i książki na stosie przed szkołą, jak to zrobił chwalony przez nas sławny grek Omar, kiedy w łazience podgrzewając sobie wodę używał papirusów słynnej Biblioteki Aleksandryjskiej i przez to przeszedł do historii. Nie zdążyliśmy tego zrobić a ja zabrałem sobie greckie książki i preparacje do domu na pamiątkę. Łacinę mieliśmy codziennie tak jak j. polski, więc dużo jej opanowaliśmy. Na koniec czytaliśmy nawet książki Cycerona" Oratio guarta" czy „Bellum Jugurtinum" o wojnach Hannibala i jego syna Jugurty. Oprócz wspomnianego O. Rektora Tytusa Semkło, O. Tadeusza Goja - Prefekta pamiętam Ojców, którzy przewijali się przez Rybnik w tym czasie: O ile Klasztor prowadził Parafię, to musiał być i Proboszcz i pomocnicy. Proboszczem w tym czasie był wpierw O. Marek a potem O. Justyn Widuch. Naszym spowiednikiem czyli o. duchownym był wpierw O. Barnaba Stokowy a potem O. Ferdynand. Gwardianem był O. Józef Zając. O. Marek był ponadto uzdolnionym muzykiem, lecz nie śpiewał, ponieważ zamiast tchawicy miał włożoną platynową rurkę. Przez ten Klasztor przewijali się O. Teofil Zawieja, O. Tarsycjusz Waszecki, późniejszy autor wielu ciekawych książek o tematyce religijnej oraz autor modlitewnika sławnego na cały kraj a mianowicie „Pokój i dobro „służącego tercjarzom do modlitw, O. Florian Smolnik, oboje pochodzący z Rybnika, gdzie mieli swoje prymicyjne uroczystości. Wspomniany już wcześniej O. Makary Żogała, który uczył nas greki, łaciny i fizyki. Większość z nich już nie żyje, a groby ich można odwiedzać na cmentarzu przy bazylice w Panewnikach. Ilekroć jestem w tym Sanktuarium to zapalam świeczki na grobach moich znajomych franciszkanów a przede wszystkim na grobie O. Rektora Tytusa, któremu wiele zawdzięczam i dziękuję Bogu że pojawili się oni na mojej drodze i edukacji. i że mogłem ich poznać. Klasztor odwiedzali również często O. Damazcen, O. Damian Szojda późniejszy Prowincjał. , O. Hieronim Dubis, O. Euzebiusz Wieczorek, który w bardzo młodym wieku umarł nagle, O. Anzgary, O. Franciszek Potocki, O. Chryzostom, O. Mikołaj, O. Mieczysław Wnękowicz itd. Do tzw. "Klauzury" nie mieliśmy dostępu bo to część Klasztoru wydzielona wyłącznie dla zakonników. Każdy z nich był wołany bądź przez furtiana, bądź przez Gwardiana tzn. przełożonego Klasztoru gwizdkiem o odpowiedniej modulacji np. jeden ciągły gwizdek oznaczał konkretnego zakonnika itd. Był to skuteczny i niezawodny sposób porozumiewania się między sobą. Wśród zakonników byli braciszkowie, którym nie dane było kończyć studiów teologicznych i święceń kapłańskich i oni byli przeznaczeni do posług różnych w Klasztorze: w kuchni, na furcie klasztornej, w refektarzu, w ogrodzie w zakrystii na organach i w gospodarstwie przyklasztornym. Natomiast ci ze święceniami mieli też swoje zadania: uczyli religii, prowadzili Parafię, rekolekcje, spotkania z poszczególnymi wspólnotami modlitewnymi, i z młodzieżą i dziećmi itd. Rozjechaliśmy się po skończeniu Seminarium w różne strony. Kilku jednak skierowało swe kroki do Nowicjatu do Kobylina na okres próbny, aby dalej żyć życiem franciszkańskim i świadczyć ludziom seraficki „Pokój i dobro". Z kolegów moich Krystian Hyla wpierw był franciszkaninem, potem wystąpił i święcenia odbył w Seminarium Duchownym we Wrocławiu i obecnie jest sekretarzem Sadu Biskupiego przy Arcybiskupie Gulbinowiczu we Wrocławiu. O. Kazimierz Falkus od wielu już lat jest na misjach w Boliwii. O. Fidelis Obracaj jest wraz z O. Tarsycjuszem w Górkach Wielkich koło Skoczowa na Parafii. O. Gawlik oraz Szajda oboje są w Panewnikach w Parafii pw. św. Antoniego a ten ostatni wykłada nawet filologie klasyczną w Wyższym Seminarium Duchownym w Katowicach O. Stencel i O.

Mieczysław Wnękowicz są w Panewnikach i mają każdy swoje zadania do spełnienia.
Z pobytu w tym wyjątkowym miejscu i czasie, w tej kuźni charakteru i edukacji przypominam sobie wiele zdarzeń ciekawych oraz mądrości życiowych i zwyczajów, głównie pochodzących ze Śląska i dla mnie o tyle odmiennych, że wielu z nas pochodziło z różnych regionów kulturowych Polski. Oto na przykład: W dni krzyżowe i Św. Marka wczesnym rankiem poboczem drogi na Osiedlu wyruszała procesja z Kościoła w modlitwie o urodzaje. Gwiazdorów z poznańskiego zastąpiło dzieciątko pod choinką. W uroczystość Św. Agaty święcono chleb w kościele aby potem w domu się nim podzielić. W Św. Jana Chrzciciela święcono w kościele wino a ksiądz dawał każdemu je do spróbowania po mszy Św. W Święto Trzech Króli święcono kredę, wodę i mirrę, czyli te dary, które w tradycji przynieśli dzieciątku magowie. Błogosławieństwo krtani i gardła w Św. Błażeja. Rano budzono nas pozdrowieniem „Ave" a od godz. 22. oo była cisza nocna i milczenie. Posłuszeństwo wobec O. Rektora i Prefekta była absolutna. Na zadanie przez nich polecenia słownego należało odpowiedzieć „tak lub" nie" a nie jak zwykle mówiono :"dobrze", ponieważ określenie dobrze czyli opinia o jakości wykonania należała wyłącznie do zleceniodawcy a nie do wykonawcy. Był to też pewien element wychowawczy dla młodzieży.

Kiedy przychodził czas wakacji, wpierw zanim wróciłem do domu, każdorazowo odwiedzałem wujostwo w Katowicach Dębie. Kuzynowie Krzysztof i Zdzisław obecnie mieszkają w Niemczech w Dusseldorfie. Jeden jest geodetą a drugi lekarzem chirurgiem. Z nimi więc przez kilka dni obcowałem zwiedzając okolice Wesołego Miasteczka, Stadionu Śląskiego oraz ZOO i Planetarium. Chodziłem z nimi do kina i na mecze.
Po powrocie do domu zaczęły się spotkania z kolegami i wracały dawne gry i zabawy. Zaczęły się też pierwsze umizgi i randki ze znajomymi koleżankami i tymi poznanymi przypadkowo, ponieważ mojej Krysi jeszcze nie było, bo musiała dłużej o rok uczyć się w Technikum. W moim przypadku kończyły się na spacerach i miłej rozmowie na przeróżne tematy bez elementów oznaczających miłość i kochanie. Krystyna w tym czasie interesowała się innymi kolegami z miasta a więc Mietkiem oraz Markiem, który w tragiczny sposób zginął na motorze podczas brawurowej jazdy niedaleko swojego domu.
Na któryś z kolei wakacjach wspólnie z moimi kolegami, przechodząc przez

Park Miejski „odbiło nam” i postanowiliśmy zabić nudę i złapać kurę, których dużo chodziło sobie po parku. Koledze uczęszczającym do Technikum Weterynaryjnego poleciliśmy ją przygotować do skonsumowania i zabić. U kolegi Heńka w mieszkaniu akurat nie było rodziców postanowiliśmy wyprawić ucztę zakrapianą winem i piwem. Przygotowaliśmy duży garnek i wrzuciliśmy złapaną i zabitą kurę wraz z jarzynami, aby dodatkowo był rosół. Pozostali koledzy przynieśli wino i piwo i miała być koleżeńska libacja. Niestety błąd w sztuce, kura była za stara i nioska i po ugotowaniu za twarda nie do spożycia. Popiliśmy więc wino rosołem i koniec zabawy. Ktoś kiedyś zaproponował kolejne głupie wybryki. Otóż do otwartych okien postanowiliśmy wrzucać sól w torebkach i czekaliśmy za rogiem ulicy na rezultaty naszych wygłupów. Po czasie zjeżdżała się milicja a nas już tam nie było. W kawiarniach szczególnie w „Piekiełku „i „Zamkowej” okupowaliśmy wszyscy stolik i zamawialiśmy całą blachę ciasta oraz syfon ze szklankami dla wszystkich i przy tym syfonie przesiadywaliśmy do późnego wieczora. Stąd takich młodych ludzi w mieście nazywali „syfoniarzami „
Kiedy nie było pieniędzy, to wystarczył sam syfon z woda sodową.
Po powrocie z wakacji, znów wracała normalność i rygor szkolny. Wobec fratrów często spoufalaliśmy się a zdaniem przełożonych tacy w habitach i z tonsurami powinni być traktowani jako namaszczeni i nietykalni i ogólnie szanowani, a dla nas byli to ciągle zwykli ludzie i nasi rówieśnicy. Pewnego razu zjeżdżając na poręczach schodów trafiliśmy na nich schodzących w dół z modlitw, ze świeżo wygolonymi tonsurami. Jeden z kolegów zaczął fratra klepać po tej goliźnie i widział to zakonnik O. Przełożony i zaczęło się kazanie i kara bo było to przestępstwo nie do wybaczenia.
W okresie po Bożym Narodzeniu w miejscowej kaplicy przerobionej na salę gimnastyczną odwiedzał nas św. Mikołaj z prezentami, który u boku miał zawsze laskę i dwóch rozszalałych diabłów, którzy nie oszczędzali się i „lali” gdzie popadło, bez względu na zasługi. W kaplicy tej stała zwykle stara fisharmonia na której próbowaliśmy grać i improwizować. Mieliśmy zresztą dość oryginalną orkiestrę prowadzoną przez prof. Mańkę z Rybnika. Oryginalna bo grał każdy na takim instrumencie jaki posiadał lub jaki znajdował się w tym Klasztorze.
organista w Kościele Pan Warchoł ciągle musiał używać pompki do powietrza
które wdmuchiwał do przełyku i do płuc, ponieważ był chory na astmę. Pewnego razu byliśmy świadkami pożaru kościoła w tym mieście tego najokazalszego p. w św. Antoniego o bardzo strzelistej i wysokiej wieży, stojącego na górce w kierunku. Paruszowca. Wszystko było doskonale widoczne bo była noc. Pożar strawił dach i uszkodził ową gotycką wieżę.
Języka rosyjskiego uczył nas na początku prof. Tomanowski, niedoszły aktor operowy i artysta pochodzący z kresów. Jako repatriant przybył do Rybnika i uczył nas skutecznie, lecz był dla nas za cierpliwy i za dobry. Najmilej odbywała się lekcja, kiedy przyszło mu wspominać stare czasy i śpiewał wówczas wszystkie rosyjskie piosenki a przy tym ze wzruszenia zwykle płakał a my byliśmy tym przejęci i też wzruszeni. Z tych lekcji języka i śpiewu pozostało mi wiele piosenek w pamięci. Po nim j. rosyjskiego uczyła nas również na wysokim poziomie prof. Ochojska z Rybnika. Języka polskiego uczył też dochodzący z Rybnika prof. Alfred Mura i zrobił nam kiedyś lekcję z kaligrafii, ponieważ nie mógł znieść naszych gryzmołów w zeszytach. Matematyki uczyła nas siostra ze Zgromadzenia SS. Urszulanek. Surowa i bardzo wymagająca. Wielką wiedzę

posiadała prof. Sołtys z Rybnika, która wykładała geografię i geologię a potem astronomię. Prefektem naszym czyli opiekunem na co dzień był O. Tadeusz Goj zakonnik/ zmarł niedawno temu/. Wymagający lecz o dobrym sercu. W ogóle pobyt w tym Collegium wspominam z sentymentem i wzruszeniem.
Dodatkowym moim zajęciem poza lekcjami były gazetki i reklamy, afisze i wszelkiego rodzaju napisy i dekoracje oraz gra na skrzypcach i gitarze w orkiestrze. Tak dalece się angażowałem, że nauka zostawała w tyle i o ile w Szkole Podstawowej akcje moje ciągle rosły to w tym Collegium stopniowo malały a u prof. Mury zmalały do minimum, że kiedy pisaliśmy próbną maturę to powiedział nawet że „dobrze że jesteś w ostatniej klasie, bo gdyby była jeszcze jedna to z pewnością byś tej szkoły nie skończył w terminie „. Zdałem egzaminy i uzyskałem świadectwo dojrzałości, lecz niestety tylko „prywatne „z prawem wstępu na wszystkie wyższe uczelnie katolickie w Polsce. Kiedy wróciłem do domu, natychmiast podjąłem pracę w okienku pocztowym kasowym w Urzędzie Pocztowo Telekomunikacyjnym w Ostrzeszowie. Tam mogłem się zahaczyć, ponieważ Naczelnik Wyduba był bardzo religijnym i praktykującym katolikiem i po prostu mnie jak syna przygarnął do siebie. Pracowałem z wielką ochotą za marne wtedy grosze. Pamiętam pierwszą wypłatę 925 zł. Po roku załatwiłem sobie pracę jako inspektor orzecznictwa administracyjnego i statystyki medycznej w Przychodni Obwodowej w Ostrzeszowie. Nazwa długa i skomplikowana a praca mniej, ponieważ była to po prostu praca polegająca na kontrolowaniu personelu medycznego przy wystawianiu zwolnień lekarskich tzw. „L4”i prowadzenie statystyki medycznej na poszczególne gałęzie gospodarki i według chorób i zawodów itd. Ponieważ nie mogłem się zwolnić z Poczty, więc zdecydowałem się na porzucenie pracy i z tym piętnem chodzę do dziś i miewam kłopoty. Bez zwolnienia przeszedłem do innej pracy lepiej płatnej i na lepsze warunki i mniej odpowiedzialnej, bo z dala od pieniędzy. W tym czasie postanowiłem złożyć egzamin dojrzałości eksternistyczny w Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego w Poznaniu i w wyznaczonym terminie udałem się do stolicy Wielkopolski bezpośrednio z uroczystości pogrzebowych mego ojca, który nagle 13 czerwca 1962 zmarł na ostrą białaczkę naczyń limfatycznych. A było to tak: Całą zimę 1961 na 1962 jak zresztą każdy malarz nie miał pracy. Tuż przed ostatnim zjazdem do domu ojciec przebywał u swego kolegi z czasów okupacyjnych pana Ostrowskiego w Miłosnej pod Warszawą i tam był wraz z nim zatrudniony przy malowaniu i konserwacji ciekawych zabytkowych budowli. Pewnego razu otrzymał zlecenie odnowienia domu marszałka Piłsudskiego w Sulejówku. Ponieważ ulubionym kolorem wystroju w tym domu marszałka był kolor niebieski, więc cały dom we wnętrzu ojciec pomalować musiał na ten kolor. Był z tego powodu dumny i się chwalił. Była to wyjątkowo surowa i ciężka zima nazwana zimą stulecia. Zachorował ponadto na zapalenie płuc i ledwo co wyszedł z tej choroby. Potem wiosną wyjechał do swego kolegi z czasów okupacji do Warszawy Sulejówka gdzie kolega ten mieszkał i razem pracowali odnawiając kościoły. Wrócił kiedyś bardzo zmęczony i chory i kiedy położył się to było coraz gorzej. Gorączka, poty, mary senne, bredzenie i trzeba było czym prędzej wołać lekarza do domu. Ponieważ w służbie zdrowia pracowała również moja kuzynka Maryla, więc po znajomości udało się ściągnąć do domu lekarza na wizytę. Po badaniu lekarka Aurelia stwierdziła że stan jest poważny i ze względu na brak miejsca w miejscowym Szpitalu, zdecydowała się napisać na zleceniu „dyfteryt” chorobę zakaźną i w ten sposób znaleźć miejsce w Szpitalu Zakaźnym. Karetka na sygnale wywiozła

mnie wraz z chorym ojcem do Wołczyna na Opolszczyznę. Przyjechaliśmy w nocy i zaraz odbyło się bardzo bolesne badanie, po którym ojciec bardzo krwawił. Po stwierdzeniu, że jest to ostra postać białaczki i nie do uratowania. Ojciec bardzo ciężko oddychał, męczył się i pocił aż do rana, lecz nie w Szpitalu w Wołczynie a w Kluczborku, bo to jednak nie była choroba zakaźna. Razem z ojcem majaczącym ulokowano nas w małej oddzielnej izolatce i tam też zakończył swój żywot. Zanim zasnął śmiertelnym ostatnim snem, patrzył na mnie jakby mi chciał co ważnego powiedzieć. Ledwo coś zrozumiałem z jego szeptu, „abym się zajął Matką". Ciągle płacząc ścisnął mnie w pewnej chwili mocno za rękę i zasnął. Czuł chyba zbliżającą się śmierć. Zresztą dotarło do niego, zanim wywieźli go do Szpitala, ponieważ udał się z matką do znajomego lekarza do Ostrowa, a on powiedział jednoznacznie „Staszku coś ty sobie narobił, ty jesteś skończony „i z tą wiadomością pożegnał się z kolegą lekarzem. Modliłem się o zdrowie ojca i o szczęśliwy koniec, i w tej modlitwy pozostałem aż do momentu kiedy nad ranem o godz. 5. 25 ciężko westchnął i był już koniec, dusza uleciała a ciało zostało. Zrozumiałem że naprawdę ojciec nie żyje. Jak oszalały wyskoczyłem ze Szpitala i pobiegłem wprost przed siebie byle gdzieś do Kościoła, aby ściągnąć na siłę księdza z posługą z Panem Jezusem i chorych namaszczeniem z olejami św. Trafiłem na Kościół i akurat szedł Ksiądz otworzyć drzwi Kościoła. Poprosiłem
go aby udał się do mego konającego ojca, wiedząc że on już nie żyje. Kiedy oboje weszliśmy do tej salki, gdzie leżał mój ojciec, zastaliśmy puste łóżko a w miejscu gdzie leżał ojciec była odciśnięta wielka żółta plama mokra od potu, tego ostatniego śmiertelnego. Niesamowity widok. Ojca znaleźliśmy już w kostnicy szpitalnej, gdzie ksiądz odprawił swe modły a ja natychmiast udałem się do Administracji Szpitala gdzie poinformowano mnie, że z przewiezieniem zwłok będą kłopoty i bez plombowania trumny się nie obejdzie. Zwłoki należy ponadto przewozić specjalnym transportem i w żelaznej trumnie. Do dziś mam w oczach widok kostnicy, w której bez trumien jeszcze leżały zwłoki na kratkach ściekowych, przykrytych jedynie prześcieradłami z widocznymi gołymi nogami od przodu do wejścia. Dopiero po odkryciu poznałem mego kochanego ojca i szczerze się wtedy popłakałem. Był przecież młody bo miał 47 lat w pełni sił mężczyzna, a umarł na taką chorobę, że nawet i dziś trudno jest leczyć tę białaczkę, że jedynie przeszczep szpiku kostnego daje pewne szanse i ratunek, lecz w tych czasach o tym się nie śniło jeszcze. Zaraz też pośpiesznie udałem się pociągiem do domu i tam z pomocą wujka, pracującego w Kaflarni zamówiliśmy Stara i razem z moim wiernym kolegą Heńkiem udaliśmy się po zwłoki- lecz już z trumną i plandeką, aby tę trumnę w drodze powrotnej przykryć.
Po przyjeździe na miejsce mimo uwag ze strony Administracji Szpitala zrobiliśmy wszystko po swojemu i na nasze ryzyko. Owinęliśmy i opasaliśmy trumnę taśmą i daliśmy pieczątkę, okrywając trumnę plandeką. Na górze obok trumny ułożyliśmy się, aby wiatr nie zwiał plandeki i tak udało nam się dojechać na miejsce. W domu była rozpacz wielka i matka często traciła przytomność. , bo dla niej właściwie utrata i śmierć ukochanego męża, i żywiciela rodziny była wielkim ciosem. Ojciec osierocił bowiem oprócz mnie, uczącą się siostrę i 12 letniego brata Janusza. Tłumy wielkie żegnały mego ojca w jego ostatniej drodze na cmentarz.

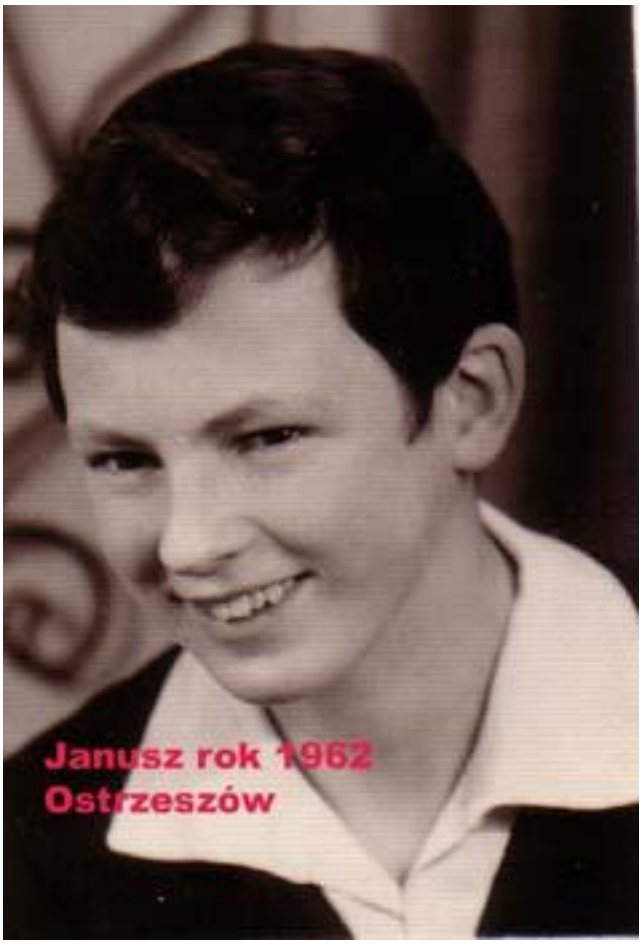
Janusz rok 1962
Ostrzeszów

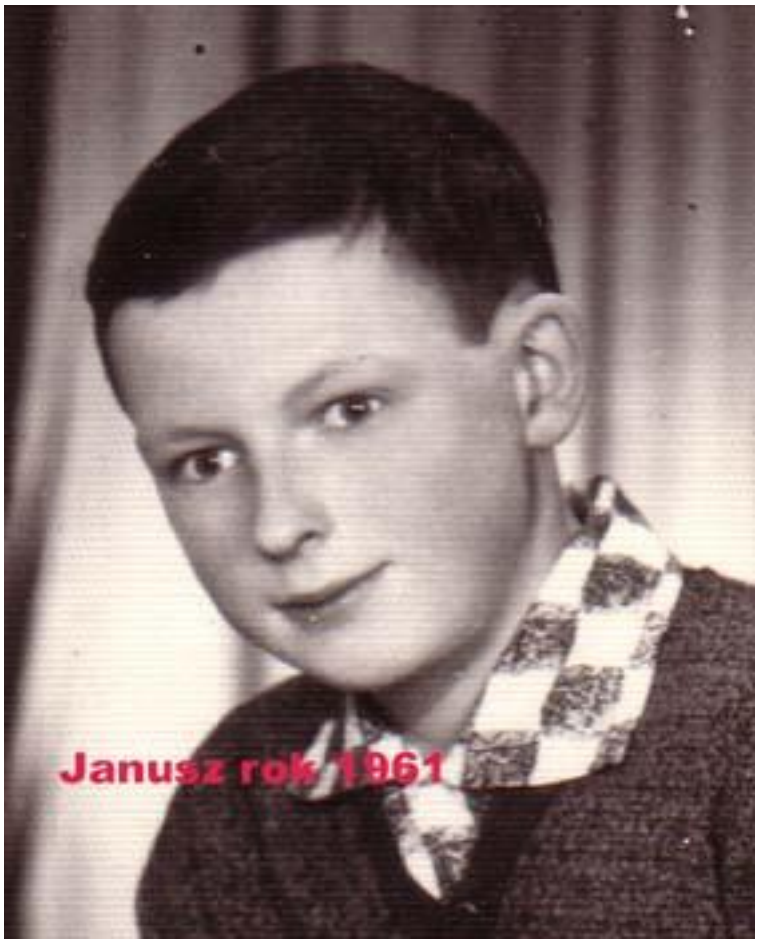
Janusz rok 1961

Na tzw. „stypie” nie byłem, ponieważ musiałem się skupić, aby na drugi dzień udać się do Poznania w celu zgłoszenia się na egzamin dojrzałości, zgodnie z zawiadomieniem.

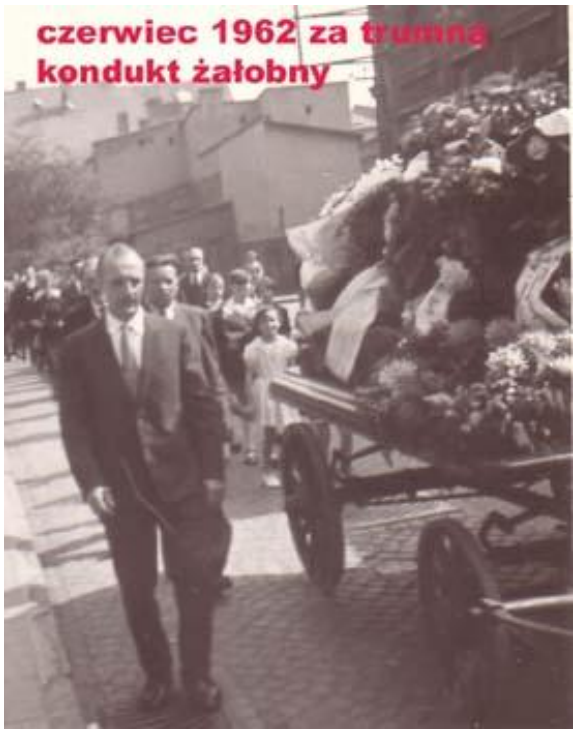

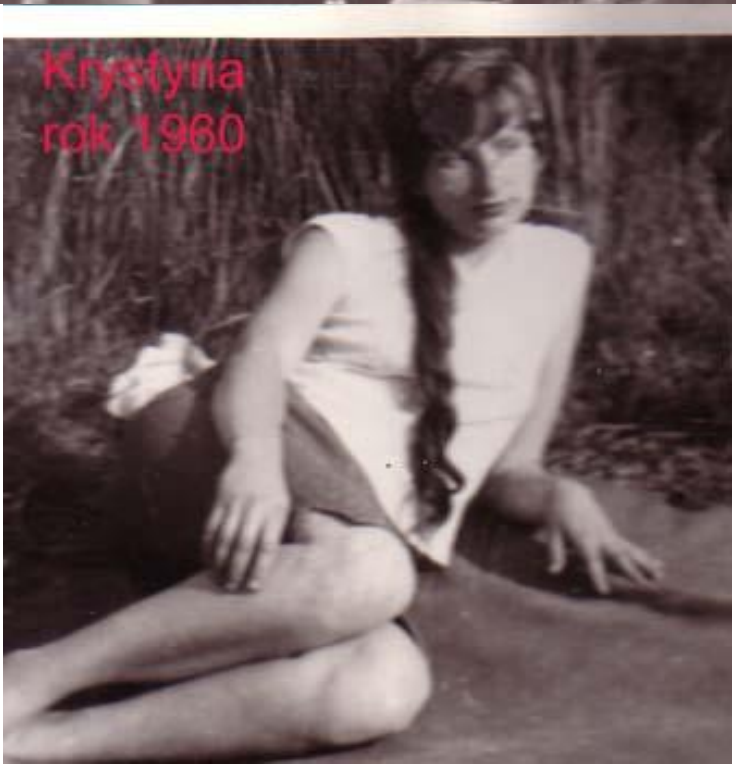

Pod koniec nauki Krystyna przeniosła się od siostry Ireny z Wirku do swojej koleżanki Barbary Skrzydlewskiej mieszkającej w Panewnikach tuż przy sławnej bazylice OO. Franciszkanów.
W Poznaniu nie było łatwo, ponieważ był to egzamin z zakresu szkoły średniej i ze wszystkich przedmiotów, za wyjątkiem wf. W moich myślach mieszało się wszystko bo dodatkowo dochodziło napięcie i emocje związane ze śmiercią mego ukochanego ojca. Dzięki znajomym i dobrym ludziom na czas pobytu w Poznaniu otrzymałem klucze od mieszkania jakiegoś oficera wojskowego z czynnej służby, bo było chwilowo puste, ponieważ ciągle gdzieś wędrował po poligonach.
Miałem spokój i mogłem się skupić i jeszcze trochę poduczyć.

Pamiętam egzamin i pytania np. z biologii o budowie gołębia i jamochłonów, z geografii o tworzeniu się ziemi i erach geologicznych i kosmosie oraz o gospodarce Peru. Teraz sobie nieraz myślę jakież musiałem mieć doskonałe przygotowanie, które wyniosłem z Collegium OO. Franciszkanów, skoro dałem sobie doskonale radę na tak trudnym egzaminie i go zdałem, uzyskując świadectwo dojrzałości „państwowe". Po udanym egzaminie wszyscy zdający udali się do lokalu i delektowaliśmy się pamiętam wpierw kremem Marschalla a potem golonką po poznańsku z chrzanem, piwem i kiszoną kapustą gotowaną.
Szczęśliwy wróciłem do domu i mogłem już ze świadectwem „państwowym" dalej uczyć się i pracować. Zaplanowałem zresztą, że dalej będę się dokształcał.
Dostałem też list od Prefekta Seminarium O. Tadeusza z zapytaniem czy zamierzam dalej kontynuować u nich naukę i iść dalej już jako zakonnik zgodnie z powołaniem. Musiałem z bólem odpisać że ze względu na śmierć ojca i konieczność zajęcia się pozostałymi domownikami jako jedyny żywiciel rodziny, nie mogę dalej iść drogą powołania. Siostra Danuta jeszcze uczęszczała do Liceum a brat mój miał niespełna 12 lat. Smutno było w domu. Matka załamana a życie musiało się toczyć dalej bo „tempus fugit „czas ucieka jak mawiali Rzymianie.
Pracowałem już w służbie zdrowia i praca była przyjemnością i dawała mi pewną satysfakcję, jednak nie na długo, bo za rok przeniosłem się do pracy na „górkę" do Przedsiębiorstwa Przemysłu Terenowego, późniejszego „Fumu" Zakładu produkującego sprzęgła elektromagnetyczne i luzowniki i hamulce dla przemysłu maszynowego. i na eksport do Związku Radzieckiego. Zaraz też

podjąłem naukę w pomaturalnej Szkole Ekonomicznej we Wrocławiu na Worcella.
Szkołę tę ukończyłem bez problemów i uzyskałem dyplom technika ekonomisty ze specjalnością gospodarka przedsiębiorstw przemysłowych.
Pracując w Przychodni na ul. Zamkowej a raczej Gen. Świerczewskiego z pieniędzmi na prywatne osobiste wydatki nie było problemu. Wpierw razem z kolegami odwiedzaliśmy naszą koleżankę bogatą córkę znanego dentysty, która ochoczo nas obdarowywała pieniędzmi bez żadnych zobowiązań. Potem jednak chciało się ich mieć więcej, więc mając dostęp do recept i pieczątek i recept wypisywanych na wszelki wypadek przez lekarzy „in blanco", wybieraliśmy z kartoteki osobę posiadającą rentę i wypisywaliśmy drogie lekarstwa a następnie poprzez znajomości w Aptece realizowaliśmy je biorąc pieniądze zamiast lekarstw i dzieliliśmy się tym łupem z aptekarzem. Obie strony na tej transakcji musiały skorzystać. Był to więc ekwiwalent pieniężny za niezrealizowaną receptę i lekarstwa na niej wypisane. Niestety było to dalece nieuczciwe, ale co się nie robiło by mieć „lewe" pieniądze.
Z kierowcą karetki pogotowia i innymi kolegami z ulicy udaliśmy się kiedyś za jego namową na wiejską zabawę do Bierzowa, wioski oddalonej od Ostrzeszowa o kilkanaście kilometrów. Niestety nieodpowiedzialny kierowca nam się tak „zaprawił" że nie był w stanie jechać z powrotem a my musieliśmy rankiem w chłodny dzień spoceni iść pieszo do domu. Była to dobra zaprawa i nerwy nas roznosiły, tym bardziej, że ten samochód był do innej dyspozycji i mogła z tego wyjść awantura. Ten kierowca często był niedysponowany- delikatnie mówiąc, i jako kawaler szalał z wieloma dziewczynami i któregoś dnia rankiem miarka się przebrała i ze skutkiem natychmiastowym został zwolniony z pracy, bo zastano go kompletnie upitego wewnątrz samochodu –karetki z którą całą noc gdzieś „urzędował „. Jako komisja inwentaryzacyjna wyjeżdżaliśmy do wiejskich ośrodków zdrowia gdzie po kontroli przyjmowani byliśmy obfitymi poczęstunkami suto zakrapianymi alkoholem przez miejscowych kierowników i dlatego musiało wszystko „grać" i nie było manka.
Zdarzyło mi się kiedyś być też „niedysponowany" po kolejnych imieninach kolegi do tego stopnia że wiele nie wiedziałem co się wokół mnie dzieje. Byłem umówiony z koleżankami z pracy jako członek delegacji na wesele koleżanki, które odbywało się na wsi odległej o kilkanaście kilometrów od Ostrzeszowa.
Koleżanki, widząc mnie w takim stanie, nie miały ochoty w takim towarzystwie jechać na wesele. Pojechały więc beze mnie, mimo że im przyrzekałem że będę się „trzymał" i nie popełnię żadnego „fo-pa". Ja natomiast pojechałem następnym autobusem i dałem im przykład dobrego zachowania zgodnie z obietnicą i nie miałem na drugi dzień „kaca". Na tym weselu wiejskim byłem świadkiem bójki dwu rywali, którzy okładali się batami jeden drugiego o jakąś kobietę. Był to żałosny widok i wzbudzający litość.
Przed kolejnym pochodem 1 majowym zaplanowano wystrój całego gmachu Przychodni, więc zobowiązałem się w czynie społecznym namalować wielką planszę kolorową na płótnie z wizerunkiem Lenina. Malowidło robiło wrażenie i było tak wielkie, że malować musiałem na drabinie.

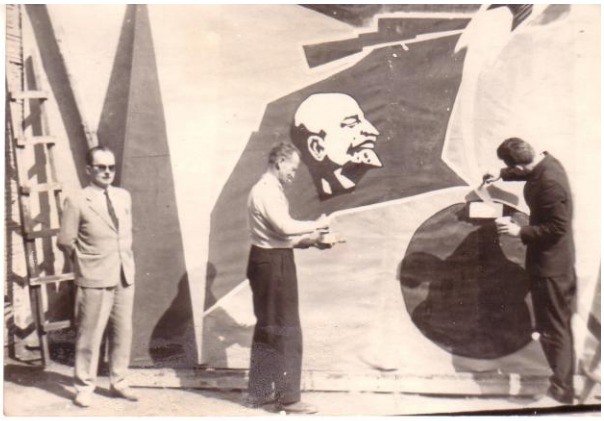

rok 1963 Ostrzeszów Tak wielkie malowidła malowałem w okresie 1 maja

Będąc członkiem administracyjnym Komisji Lekarskiej pewnego razu lekarz zaproponował mi czy nie zechciałbym sobie pooglądać nagą kobietę podczas badania. Speszyłem się na tą propozycję, lecz ciekawość była większa niż obiekcje. Czekaliśmy oczywiście na młodą, a kiedy weszła do środka, nakazał aby się rozebrała do badania i wtedy rzeczywiście widziałem pierwszy raz nagą kobietę jak ją" Bóg stworzył". Na drugi raz wchodząc do gabinetu ginekologicznego po podpis lekarza –członka komisji trafiłem też na rozebraną kobietę ułożoną na specjalnym koźle ginekologicznym. Dla młodego człowieka były to widoki niesamowite i wzbudzały niezdrowe myśli i emocje.

Od dłuższego czasu zaczęła się mną interesować pewna starsza o wiele ode mnie koleżanka z pracy, żyjąca w początkowej separacji ze swoim mężem – kierowcą w Pogotowiu Ratunkowym. Umówiliśmy się nawet kilkakrotnie, lecz ja początkujący w sprawach sercowych i z wielkimi brakami i doświadczeniem – nie wiedziałem jak postępować z taką doświadczoną kobietą i wiele spraw jeszcze nie rozumiałem. Ona natomiast żywiła wielką nadzieję że będzie miała

przygodę ze mną. Unikaliśmy jedynie spacerów w pobliżu dróg, tam gdzie mogła pojawić się karetka pogotowia w której mógłby jechać jej mąż. Ponieważ coraz głośniej między ludźmi było o naszym „romansowaniu „, więc pośpiesznie przerwałem tę znajomość i zaniechałem tych spotkań a w końcu przeniosłem się do innej pracy.
Równolegle „romansowałem" z córką znanego adwokata. Była to bardzo uczciwa i dobra dziewczyna, notabene wychowanka sióstr Sacre Coer w Pobiedziskach koło Poznania, lecz była to krótka znajomość, ponieważ „randki" zazwyczaj odbywały się w domu w obecności jej rodziców. Rzadko byliśmy sami. A w dodatku nie bardzo udawało mi się ją okłamywać że nie mam innej dziewczyny. Następną znajomość zawarłem niemal z marszu i przypadkowo. Idąc z kolegami ulicą zaczepiliśmy trzy ładne i zgrabne dziewczyny, które na kilka dni przyjechały z Ostrowa Wlkp. do Ostrzeszowa do swych krewnych. Każdy wybrał sobie jedną, a mnie przypadła Maryla, najbardziej ułożona i spokojna dziewczyna. Była na tyle dobra i rozsądna, że nawet żywiłem z nią pewne nadzieje. Pisała do mnie często wierszem i miała piękny styl pisania. Kiedy ujrzałem jednak swoją dawną znajomość i koleżankę ponownie w mieście to od razu przestałem myśleć o swojej Maryli i zacząłem interesować się wyłącznie Krystyną. Napisałem do Maryli list przepraszający i dziękczynny za wszelkie dobro jakim mnie w tak krótkim czasie obdarzyła i za wszystkie miłe chwile spędzone razem.
Już na pierwszej randce z Krysią próbowałem ją pocałować choćby w czoło ot tak z sympatii, a ona obcesowo obeszła się ze mną wówczas i odpowiedziała „Oj kochanie z tym to nie do mnie mój drogi !". Okropnie się wtedy zawstydziłem i jeszcze bardziej zmobilizowałem się, aby tym bardziej ją zacząć zdobywać. Odprowadzając ją do siostry na pobliską ulicę powtórnie próbowałem ją wtedy pocałować i znów się nie udało. Chłopcu, chyba każdemu takie zachowanie imponuje i zarazem dopinguje go do coraz to odważniejszych poczynań w celu zdobycia serca wybranki. Postanowiłem wówczas, aby za wszelką cenę ją zdobyć. Czy tej dziewczynie zależało na mojej osobie ? Do dziś tego nie wiem. Z doświadczeń minionych razem i spędzonych chwil jeszcze z okresu Szkoły Podstawowej mogę sądzić że nie. Wiem tylko, że chyba dobrze postępowałem w przyszłości, że wreszcie przystała na moje propozycje i została moją żoną na całe życie. , bo pisząc te wspomnienia upłynęło nam razem przeszło 43 lata
małżeńskiego dzielenia się troskami i radościami. Była piękną, szczupłą, atrakcyjną, wysoką, blondynką. Czego więc jeszcze więcej chcieć?. Była tak dalece szczupłą, że mogłem ją prawie oboma rękami objąć w pasie. Nie miała nigdy czasu na swoje sprawy osobiste. Pracowała do nocy w Zakładzie Fotograficznym swego ojca Franciszka, lecz po pracy, kiedy już dość długo naczekałem się, udawało nam się razem pójść na kolację do Restauracji lub na ciasto i wino do Kawiarni zwanej „Piekiełkiem".

Jako narzeczeni na balu maskowym w Kobyiejgórze rok 1963

rok 1963 pierwsza nasza randka w Ostrzeszowie w "Piekiełku"

Technikum Fototechniczne ukończyła z rewelacyjnymi i dobrymi ocenami i dobrym świadectwem dojrzałości. W szkole musiała wiele razy jako praktyk fotograf dawać lekcje pokazowe w swoim fachu. Na koniec nie miał kto wykonać tabla, a wszystkie zdjęcia przekazano Krystynie, lecz po rozjechaniu się do domów, sprawa stała się z biegiem czasu nieaktualna.

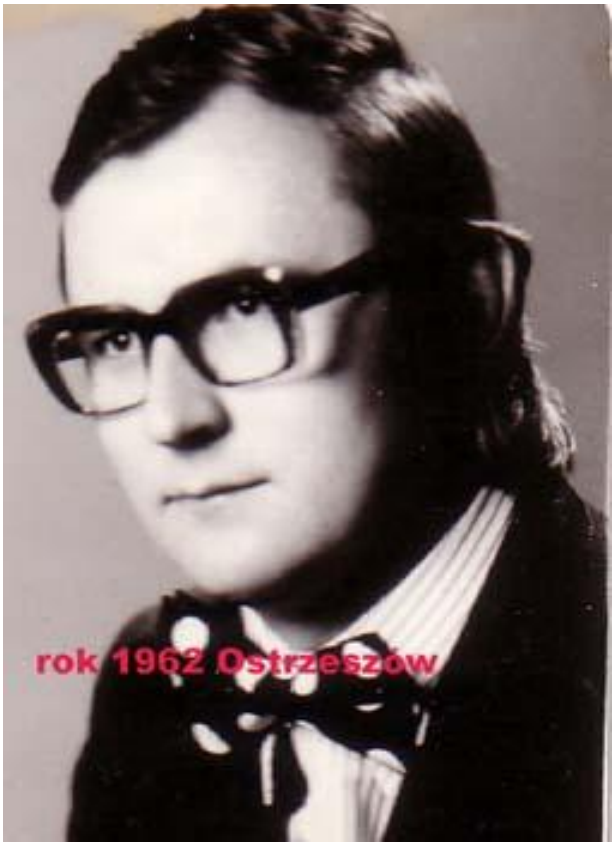

W Technikum wszyscy obowiązkowo musieli w ramach programu uczestniczyć w spektaklach teatralnych i operowych, czy też w koncertach muzycznych w Filharmonii. Zorganizowali też naukę prawa jazdy, a Krystyna mimo że je uzyskała w roku 1962 to na dobre jeszcze nie zasiadła za kierownicą pojazdu, aby samodzielnie kierować samochodem. Zrażona kilkakrotnie jazdą kontrolną problemy i kompleksy przerastały chęci prowadzenia pojazdu. Któregoś dnia odwiedził ją kolega szkolny z Katowic na swoim motorowerze.

Już pierwsza jazda Krystyny zakończyła się uderzeniem nomen omen w okno wystawne z trumnami na sąsiedniej ulicy. To jeszcze bardziej wprawiło ją w kompleksy i przesądy. Mając lęk przestrzeni od dziecka tj. od chwili, gdy całkiem maleńką wrzucono ją przypadkowo do wody na basenie kąpielowym i dlatego też nie można się dziwić że ma całe życie problemy w tej dziedzinie. Często wydaje jej się że jadąc ulicą nie zmieści się obok przejeżdżającego z drugiej strony pojazdu. Pewnego razu nie mając prawa jazdy i żadnego doświadczenia w prowadzeniu pojazdów, za namową kolegów wsiadłem po wypiciu kilku kieliszków wina na motocykl. Nie upewniłem się gdzie jest sprzęgło, hamulec i jakie czynności należy wykonać aby się zatrzymać, ruszyłem w drogę na pełnym gazie „podwójnym". W jednej chwili znalazłem się w opałach i ogarnięty strachem zbliżałem się nieuchronnie do bardzo ruchliwej „autostrady poznańskiej", zapominając, gdzie jest hamulec czy gaz. Musiałem jak widać z woli Bożej jeszcze żyć, bo kiedy minąłem ową ruchliwą arterię, nagle poczułem, że powoli wytracam prędkość i pojazd zwalnia bieg. Mimo jednak, że szumiało mi wino w mojej głupiej głowie, modliłem się po drodze i udało się, i jak tu potem nie mówić „Dzięki Bogu".

Moje zaloty i odwiedziny Krystyny w jej domu na Targowej. Sport i rozrywka w moim życiu w tym okresie. Praca Krysi u ojca. Ślub. Ucieczka z domu rodzinnego na Śląsk. Pobyt u „Opy". Narodziny córki Iwony w Chorzowie.

Zanim na dobre zacząłem z moją Krysią „chodzić" próbowałem innych znajomości, lecz były to z reguły przelotne i krótkotrwałe. Zaimponowałem swej Krystynie, odwiedzając ją w czasie kiedy leżała w Szpitalu chora lub na obserwacji na nerki. Zaskoczona była wielce, ponieważ nie spodziewała się tej mojej wizyty.

Kiedy byłem obłożnie chory i leżałem w domu, odważyła się niejako w rewanżu, odwiedzić mnie i przyniosła ponadto przez siebie wykonaną kopię powiększenie zdjęcia mojego ojca, oprawione oraz portret ślubny moich rodziców z czasów okupacji, wykonane solidnie i precyzyjnie z małego zdjęcia. Były to dowody nie tylko rewanżu, ale też zwiększonego wzajemnego zainteresowania się. Momenty te były przypieczętowaniem początku trwałej znajomości z tą osobą. . Od tego momentu myśli moje przestawiły się na dobre w stronę Krystyny i odtąd spotykaliśmy się prawie codziennie, niestety ku wielkiemu niezadowoleniu jej ojca Franciszka. Planował bowiem dla niej innego bardziej pasującego do jego usposobienia człowieka, ze wszystkimi złymi nawykami i charakterem, który byłby w przyszłości jego kumplem do wszystkiego. Jako stary wdowiec, miał wiele niedobrych przyzwyczajeń i chętnie zaglądał do kieliszka, a ja natomiast unikałem picia i poważnie traktowałem znajomość z moją dawną od lat obserwowaną koleżanką. Kiedy zaplanowałem oświadczyny, znów były nieporozumienia, a kwiaty wnosiłem do domu w torbie w ukryciu, natomiast wręczony

koniak przyszłemu teściowi nie został przyjęty. Zrozumiałem, że jestem po prostu ”persona non grata” w tym domu.

nasz ślub na Targowej przy stole biesiadnym prawie wszyscy goście a wielu już nie żyje bo to było 31. 12. 1954 roku

Zaangażowanie i szczera chęć kontynuowania znajomości ze mną ze strony Krystyny, przezwyciężały te trudności i upokorzenia. Matka po śmierci swego nieodżałowanego męża i mojego ojca Stanisława nie mogła się „pozbierać” w nowej rzeczywistości. Sama nie pracowała i otrzymała bardzo niską rentę rodzinną. Moje zarobki prawie wszystkie oddawałem matce, by mogła utrzymać dom i się wyżywić.

Pewnego dnia a raczej wieczoru, jak zwykle codziennie odwiedzała grób swego męża na cmentarzu i niefortunnie upadając na sąsiedni grób, uderzyła się w głowę o jego róg i natychmiast cała zalała się krwią. Nie namyślając się dłużej, otarła głowę fartuchem i biegiem udała się do Szpitala przebiegając przez sąsiadów ogrody i pola na skróty. Dopiero na progu Szpitala straciła przytomność z upływu krwi. Po opatrunku, ogoleniu głowy i szyciu, wróciła do domu, szczęśliwa, bo mogło być gorzej a nawet tragicznie. Tak zresztą zawsze się pocieszała w trudnych dla niej momentach. Upływ krwi był tak duży, że często potem mówiła, że wypadek ten spowodował, iż wysokie ciśnienie na które od dawna chorowała unormowało się od tego momentu i odtąd z tym ciśnieniem nie miała problemu.

W tym okresie mojego życia uprawiałem różne sporty w miejscowym Klubie Sportowym Piast, ale przede wszystkim intensywnie uprawiałem grę w piłkę siatkową

Byłem jak zwykle w sportach, wyróżniającym się zawodnikiem. W wielu rozgrywkach po całym województwie doprowadziliśmy drużynę do III ligi, lecz na krótko, bo potem wyjechałem z Ostrzeszowa na Śląsk. Była kiedyś taka sytuacja, że prawie do rana po dancingu ze swą dziewczyną nie byłem w stanie cokolwiek robić, bo nawet umysł nie był sprawny a na drugi dzień całkiem rano umówiony byłem na wyjazd na kolejny mecz piłki siatkowej. A niestety beze mnie nie mógł się on odbyć. Nie udało się kolegom wyciągnąć mnie z łóżka rano, więc pojechali sami, a honor zespołu musiał ratować trener, który jako szósty zagrał w meczu. bo byłby walkower dla zespołu.

Spacery tzw, „randki" z Krystyną odbywaliśmy głównie na poboczu „autostrady" nie bardzo ruchliwej w owym czasie arterii miejskiej bo samochodów wówczas nie było za wiele. Randkowaliśmy również alejkami spacerowymi w lasku klasztornym lub w samej okolicy Klasztoru. Ilekroć całowaliśmy się namiętnie, spacerując alejkami, to przejeżdżający kierowcy z zazdrości używali klaksonów swo-

ich aut. Były to dla nas bardzo przyjemne i niezapomniane chwile bo szczerze kochaliśmy się niezakłamaną miłością wzajemną i już wtenczas na poważnie.
Z tych czasów pamiętam nasze fajfy, zabawy i dancingi, zawsze przy doskonałej kapeli o której już wspominałem a więc: Włodka Rejmoniaka, Wiśniewskiego klarnecisty, Julka Kurzawy, Mietka Organiściaka czy Cześka Bojszczaka znanego potem barda i malarza i wielkiego ekscentryka ostrzeszowskiego środowiska artystycznego. Zabawy ponadto odbywały się w Domu Działkowca na miejscowych ogródkach działkowych przy Fabryce Chemicznej „Biolabor" lub na wyznaczonych placach miejskich w tym kilkakrotnie na ogródkach im. Walentego Dymka, gdzie były korty tenisowe i Przedszkole.
Tuż po oświadczynach a jeszcze na kilka miesięcy przed zaplanowanym ślubem, udaliśmy się wraz z Krystyna do panienki częstochowskiej, do Częstochowy, aby Jej polecić i przyrzec, że w przyszłości będziemy razem, aby nam błogosławiła w naszej dalszej wspólnej drodze życiowej. Było to bardzo wzruszające i emocjonujące wydarzenie, ponieważ było autentyczne, spontaniczne, prawdziwe i szczere. Po drodze, przesiadając się w Wieluniu, urządziliśmy sobie przejażdżkę autentyczną bryczką konną przez całe miasto. Było to bardzo romantyczne przedsięwzięcie, ale czego się nie robi dla miłości jak brzmi któraś ze znanych piosenek Jaremy Stempowskiego. Nie miałem co ukrywać przed tą osobą, ponieważ nic szczególnego i poważnego nie wydarzyło się z innymi przygodnymi znajomościami, zanim na poważnie o Krystynie pomyślałem.
Po mieście tak małym jakim był Ostrzeszów, krążyły ustawicznie przeróżne plotki i niedomówienia o mnie i trudno mi było niejednokrotnie oczyścić się i wybronić z tych pomówień. Pewnego razu spotkał nas idących razem nasz wspólny kolega Zdzichu i w żartach. lecz z całkiem poważną miną ostrzegł Krystynę, że powinna bardziej uważać na mnie, bo widzi mnie ciągle romansującego z innymi dziewczynami i dlatego jestem bardzo niebezpieczny. To podziałało na moją Krystynę jak przysłowiowa „płachta na byka" i były w związku z tym liczne niedomówienia a nawet nieporozumienia, , zanim wytłumaczyłem swoją niewinność i szczere zamiary wobec Krystyny.

Ostrzeszów tak obecnie wygląda plac przed FUMem. Powstało wiele obiektów i wiele zakładów w tym także Leoni w którym pracował Jacek mój bratanek a wcześniej w FUMie moja siostra Danusia i to aż do swojej emerytury w latach od 1966 do 2006 /prawie 40 lat/

W pracy" na górce" tzn. W Ostrzeszowskim Przedsiębiorstwie Przemysłu Terenowego bo tak potocznie mówiono, było ciekawie i interesująco, . Starsi moi

koledzy pracowali w różnych technicznych działach a ja wpierw zatrudniony w biurze, w księgowości, w Dziale Gł. Mechanika i Gł. Technologa, w Dziale Normowania Pracy, często zaglądałem w proces technologiczny, bo był wielce dla mnie ciekawy. Eksperymentalny i doświadczalny proces produkcji sprzęgieł elektromagnetycznych, hamulców i luzowników. Zapoznawszy się z tym procesem, z obróbką skrawaniem i cieplną obróbką chemiczną tzw. galwanotechniką coraz bardziej wciągała mnie ta praca.
Wszystkie problemy zakładu były udziałem nas pracujących w tym początkującym i raczkującym zakładzie na tym terenie. Wyrósł on później na czołowy zakład produkcyjny w okolicy i w kraju z produkcją wyłącznie na rynek rosyjski w ramach RWPG. Kiedy upadł „sojuz nieruszymyj" i „siadła „produkcja na eksport w „Fumie" to zakład chylił się ku upadkowi, w rezultacie dziś niewiele z tej świetności pozostało. Po prostu strzępy dawnego giganta.
Odwiedzaliśmy się wzajemnie często i poznawaliśmy się, mimo że od dziecka znaliśmy się. Zdecydowaliśmy się w końcu pobrać i wyznaczyliśmy sobie termin ślubu na ostatni dzień roku 1964. Wyjechaliśmy do Bytomia po garnitur i przy okazji odwiedziliśmy siostrę Krystyny Irenę w jej mieszkaniu w Wirku czyli Rudzie Śl. 10
Byli to wielce życzliwi dla nas ludzie, gotowi i chętni do daleko idącej pomocy w każdej potrzebie zarówno ze strony jej męża Stanisława jak i ze strony Ireny. Tam też wiele rzeczy omówiliśmy, związanych głównie z przyszłym przyjęciem weselnym.
Wreszcie nadszedł ten wielki dla nas dzień. Ojciec jak wspomniałem nie był z tego związku zadowolony i w różny sposób okazywał tę swoją dezaprobatę. Ceremonia ślubna wpierw jak zwykle odbyła się w Urzędzie Stanu Cywilnego w Ratuszu w Ostrzeszowie, a potem w kościele farnym. Świadkami naszymi na obu tych uroczystościach byli: mój wierny od lat kolega Heniek Jonaczyk jako wojskowy, bo w tym czasie odbywał akurat służbę wojskową oraz szwagier mąż najstarszej siostry Krysi Mieci Czesiek Niesobski. W tym dniu mimo zimy ulewa przygniatała nas do ziemi a parasolka była trudna do utrzymania w ręku. Wesele odbyło się w niewielkim gronie w Zakładzie Fotograficznym ojca na Targowej.

:

W Urzędzie Stanu Cywilnego w Ostrzeszowie w dniu 31. 12. 1964 obok nas świadkowie tej uroczystości: kolega Heniek Jonaczyk, szwagier Czesław Niesobski i panie Depczyńska urzędnik

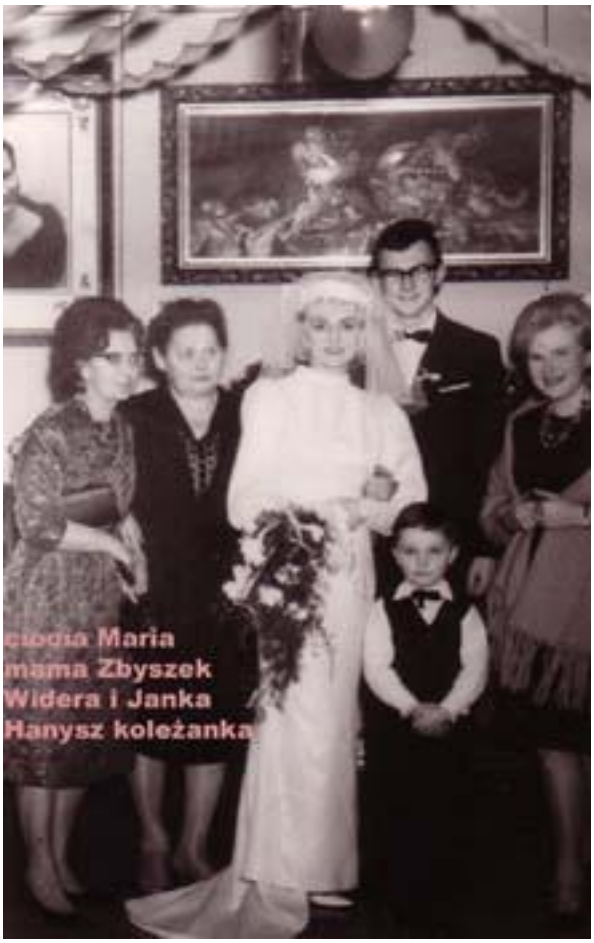

Ślub w kościele farnym w Ostrzeszowie Celebruje proboszcz Antoni Hełka a obok nasz przyjaciel ks. Zenon Jonaczyk zmarł niedawno jako kanonik i profesor

Jednak już na drugi dzień były nieporozumienia i zgrzyty ze strony teścia, który ciągle był nie pogodzony z tym stanem rzeczy. Robił swej córce wymówki, był złośliwy i wrogo nastawiony. Ilekroć przygotowaliśmy mu posiłek, to o ile był przykryty, aby nie wysechł, to nawet go nie odkrył. Matka moja jak zwykle dobroduszna i pełna poświęcenia przynosiła nam osobiście dziennie posiłki do Zakładu, zawsze świeże dania obiadowe.
Żona w tajemniczy sposób przed swym ojcem dawała zawsze jakieś napiwki mojej matce jako zapłatę za te usługi. Pieniędzy zresztą było zawsze mało, Brat mój Janusz chodził jeszcze do szkoły i należało go też utrzymywać.
Krystyna wyjątkowo dobrze radziła sobie w swym wyuczonym zawodzie w Zakładzie ojca FOTO FEIGE. Była tak dobra, że klienci ciągle pytali się o „tę młodą" bo chcieli aby ona wykonywała im zdjęcia, bo są „nowoczesne" i ze względu na proponowane modne pozycje i ujęcia, jak i ze względu na oświetlenie i oryginalne tła w kompozycjach i ujęciach atelierowych. Doskonale retuszowała, bo dawniej w technice fotograficznej ta robota była najważniejsza i wymagająca znajomości ciała jak i dużej precyzji wykonania. Była to ciężka i bardzo żmudna i mozolna praca siedząca. Ilekroć pytali o nią klienci, ojciec odpowiadał ze złością „że jej nie ma w domu". W Zakładzie tym również pracowała najstarsza siostra żony Mieczysława, lecz mając swoje dzieci i męża i ogród i dom mniej zajmowała się Zakładem w tym okresie, oddając inicjatywę młodszej o wiele siostrze Krystynie. Ojciec Franciszek nadal nie zmieniał swego nastawienia do

młodych i nawet rozpuszczał pieniądze na lewo i na prawo, a pracownice musiały zdjęcia wykonywać „za darmo". O ile były potrzebne pieniądze to zdobywano je podstępnie. Na domiar złego ojciec Krystyny nieraz potrafił uderzyć moją żonę za byle jakieś niedociągnięcia w pracy lub w domu. Żona moja ukrywając przede mną te niemiłe zdarzenia, przejmowała się, bo była ambitna i pracowita. Śniła często po nocach i budziła się z płaczem. Z pewnością w snach powtarzały się te zdarzenia i była taka reakcja. Było więc nie do wytrzymania. Pracy i wymagań dużo a satysfakcji, zadowolenia i podziękowania ani za grosz ze strony tego niedobrego człowieka. Po latach wspomina, że nie było tak źle z tym ojcem i nieraz miał chwile dobrego i przyjaznego uniesienia i dlatego że tych momentów było mało, więc z gruntu rzeczy to pamięta się w sposób szczególny.
Pewnego razu podczas pobytu w Ostrzeszowie wujka Vogla z Nowego Tomyśla i zawsze kochanej siostry Ireny ze Śląska mój teść wywołał kolejną awanturę w domu a powodem znów była jakaś błahostka i pewne niedociągnięcie w pracy, bo porządku wielkiego wymagał a sam nic nie robił w domu i nie dawał dobrego przykładu.
Wujek rzadki i wyjątkowy gość w tym domu zdziwiony tą nagłą zmianą atmosfery i gwałtownością teścia, przygarnął żonę do swego serca jak dziecko i wypowiedział myśl i konstatację, która utkwiła nam na całe życie i nieraz jest powielana we wspomnieniach przez moją żonę, a mianowicie :"Dziecko moje drogie, zawsze myślałem że nie mając rodziców jest nieszczęśliwy bo wcześniej ich straciłem, ale nigdy nie przypuszczałem że mając ojca można być jeszcze bardziej nieszczęśliwy i tak poniżony". Ten fakt jeszcze bardziej zdecydował żeby wyjechać z tego domu gdzieś w nieznane i uciec od tego złego człowieka. Ze względu na podłość zachowania i doznane przykrości wobec mojej osoby oraz wobec mojej żony nie będę się rozpisywał, bo z pewnością większość nie uwierzyłaby w to co piszę na stronach moich wspomnień.
Wizyta ze Śląska ojca mego szwagra Staszka, zwanego ogólnie przez nas wszystkich „opą" utwierdziła nas, że możemy na niego liczyć i nam pomoże o ile nam się młodym będzie działa jakakolwiek krzywda ze strony teścia, ponieważ będąc gościem w tym domu widział doskonale wszystko co dzieje się pomiędzy nami.
Zachęceni tym zapewnieniom, któregoś popołudnia korzystając z nieobecności teścia w domu, ponieważ codziennie przesiadywał u swej najstarszej siostry Mieci, oglądając program telewizyjny, bo nie miał jeszcze własnego, umówiony z kierowcą zakładowym i moim kuzynem Irkiem, załadowaliśmy niektóre rzeczy osobiste i tapczan i wczesnym rankiem wyjechaliśmy w „nieznane" czyli na Śląsk i zatrzymaliśmy się na chwile u owego „opy", który mieszkał na poddaszu zakładowego domu Huty Batory, w której to hucie pracował wiele lat aż do emerytury. Mieszkanie to miało jedynie pokój i kuchnię i kręte schody na górę. W tym czasie akurat jak zwykle wyglądał przez maleńkie okienko i „kurzył fajkę". Kiedy nas zobaczył, ucieszył się wielce i z ochotą i sercem przygarnął nas uciekinierów do swego małego mieszkania. Żona w tym czasie była już w ciąży i akurat przyszło jej znosić w tym trudnym okresie taką napiętą sytuację całkowicie zainicjowaną przez mnie. Byłem do tego stopnia zdeterminowany, że nie obchodziło mnie nic, byleby uciec przed tym teściem. Widzę jeszcze płaczącą moją matkę, kiedy odjeżdżaliśmy „Żukiem" „w siną dal", ponieważ do końca nie była przekonana, że dobrze robimy i nawet była temu przeciwna. Żona moja również miała wątpliwości i chętnie by zaprotestowała. Jednak w tym czasie

było to niemożliwe, że trudno było się z tym nie zgodzić. Gdyby bowiem nie wyraziła zgody to bez względu na wszystko byłbym w stanie tego dokonać, bez jej udziału. Pojechałbym sam hen daleko w świat, bez względu na dalsze konsekwencje tego kroku. . Byliśmy młodzi i mieliśmy porywcze charaktery i dlatego też nieobliczalne pomysły i pochopne decyzje.
„Opa" mieszkał w Chorzowie „Bismarrkthute" i tak też nazywała się obecna Huta Batory. Usytuowany budynek tuż przy hucie, cały drgał w rytmie pracujących tam młotów kuziennych i pras hutniczych. Ubikacje były na zewnątrz wspólne i mieściły się tuż przy ulicy i chodniku przy 16 Lipca.
Ludzie porządnie ubrani szli przykładowo do kościoła a człowiek w ciszy załatwiał się w tym dziwnym jak na teraźniejsze czasy przybytku. . Mieszkanie, jak u starego wdowca na poddaszu, wymagało remontu i natychmiastowego posprzątania i uporządkowania, aby tam względnie godziwie zamieszkać, ponieważ postanowiliśmy to zrobić. Zaraz też zabraliśmy się do uporządkowania tego mieszkania, ustawiając meble w nowej konfiguracji. Z tym człowiekiem było nam bardzo dobrze. Był to człowiek dobroduszny i niezakłamany. Robił wszystko, byleby drugiemu nie działa się krzywda. Zanim zwolniłem się z zakładu" na górce" wykorzystałem wpierw swój należny mi urlop za dany rok i ze zwolnieniem szwagier Staszek załatwił mi pracę poprzez swojego kolegę Kaniuta będącego wówczas Dyrektorem w Zakładzie Przerobu Złomu Metali Nieżelaznych w Rudzie Śląskiej /Wirku/ w służbie normowania pracy. Zakład ten mieścił się tuż za płotem przy Kopalni Wanda Lech przy ulicy Niedurnego. Ulica ta nazwana została od nazwiska zasłużonego dla Huty Pokój w Nowym Bytomiu Dyrektora. Zarabiałem nieco więcej, bo kiedy przechodziło się z zakładu do innego zakładu, to z reguły była oferowana większa płaca i można było to wyegzekwować od przyszłego pracodawcy. Przenoszenie się w moim przypadku spowodowane było wyjątkowo trudną sytuacją i zmianą miejsca zamieszkania i dlatego nie mogłem wielce wymagać co do zarobków.
Mieszkaliśmy jako sublokatorzy u naszego poczciwego „opy" Wiktora, więc należało intensywnie szukać nie tylko pracy dla żony lecz także mieszkania, co w tych czasach było niezwykle trudnym zadaniem. Używaliśmy podstępnych metod i zabiegów, aby zdobyć upragnione, niezależne mieszkanie. Uciekłem się nawet do fortelu, pisząc do ówczesnego I Sekretarza PZPR towarzysza Gierka

włącznie, lecz bez rezultatu. Na dodatek złego, Administracja Budynków Mieszkalnych Huty Batory nie mogła zgodzić się, aby nas zameldować w obawie, aby przypadkiem młodzi po ewentualnej śmierci użytkownika nie zajęli służbowego mieszkania swego byłego pracownika a obecnie emeryta. Takie mieli przepisy i je z całą surowością przestrzegali. Bez zameldowania nie można było się poruszać i szukać pracy. Żona ponadto była na „ostatnich nogach" w ciąży aż któregoś popołudnia zaczęły się bóle i natychmiast zgłosiliśmy ten fakt na Pogotowiu, które wywiozło moją żonę do miejscowego Szpitala na Strzelców Bytomskich do Chorzowa Miasta. Przed wyjazdem do owego Szpitala, kiedy przyszły te bóle „opa" dość poważnie radził nam" dajcie jej jakieś kropki żołądkowe to pewnikiem i zaroski przeńdą jej te

bóle”. Kropli nie dałem, ponieważ doskonale wiedzieliśmy skąd pochodzą te bóle. Na drugi dzień spokojnie udałem się do pracy, lecz z rana zadzwoniłem do Szpitala, gdzie poinformowano mnie że jeszcze wieczorem dnia poprzedniego a więc prawie zaraz po przywiezieniu ok. godz. 20. 20 żona urodziła śliczną córeczkę, a sama czuje się dobrze, a więc nasza pierworodna urodziła się dnia 10 czerwca 1965 roku w Szpitalu Miejskim w Chorzowie. Wybrałem jej imię Iwona Małgorzata bez konsultacji z żoną. Iwona to modne imię wielu znanych osób w świecie np. żona generała de Gaulla i jest po prostu uniwersalne i łatwe do wymówienia, tak sobie wówczas pomyślałem, natomiast urodziła się w Małgorzatę, więc ma to imię jako drugie.
Zaszokowany tą wiadomością, pośpieszyłem do niej, lecz w roztargnieniu i napiętej sytuacji, zapomniałem kupić kwiaty, co też skrzętnie żona zapamiętała i wiele razy mi to wypominała w przyszłości przy różnych okazjach. Żona, bez konkretnego zameldowania, płacząc nie chciała wracać do domu, a personel Szpitala dziwił się że to wyjątkowy przypadek, żeby położnica nie chciała wracać do domu. Jednak po kilku dniach z piękną i urodziwą dla nas zdrową córeczką, taksówką przywiozłem te dwie dla mnie najbliższe istoty do domu na to ohydne poddasze i „opa” był zadowolony, że może nam w tych trudnych chwilach pomóc.
Z maleństwem odwiedziliśmy kilkakrotnie nasze wujostwo Stanisława i Anielę oraz ich synów szczególnie Krzysztofa, który mieszkał w sąsiedztwie Chorzowskiego Wesołego Miasteczka.

Iwonka ze swoją nianią
P. Klosokową w Chorzo
wie Batorym
rok 1965

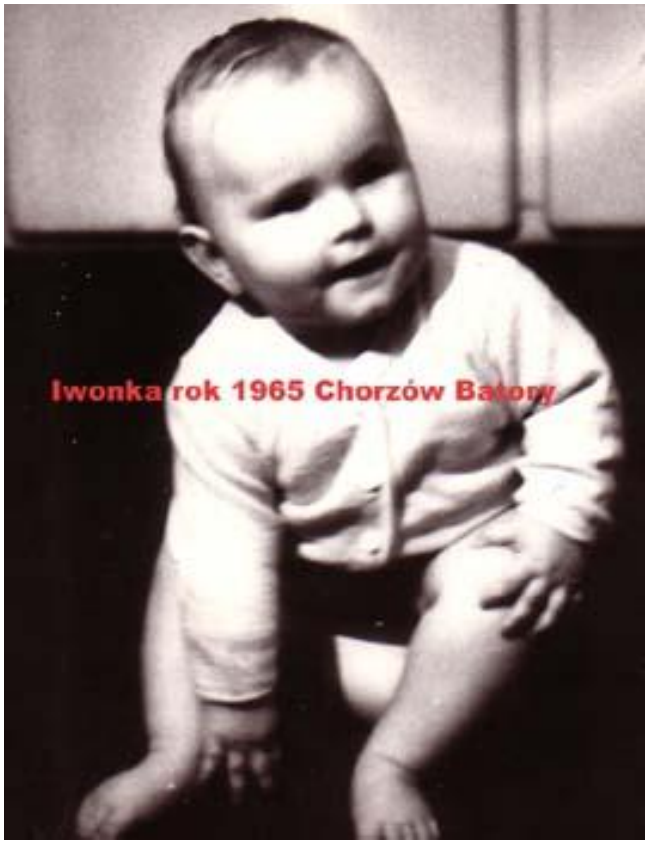
Iwonka rok 1965 Chorzów Batory

Iwonka czerwiec roku 1965 w Chorzowie

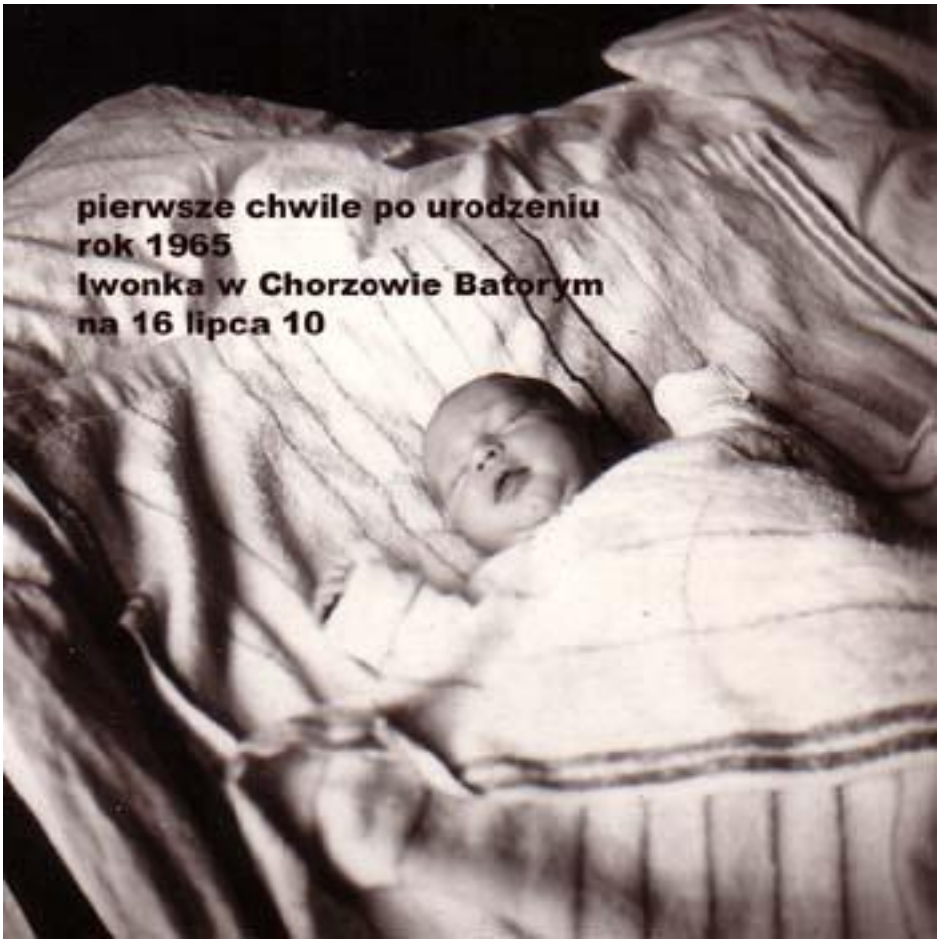
pierwsze chwile po urodzeniu
rok 1965
Iwonka w Chorzowie Batorym
na 16 lipca 10

Iwonka z mamą wiosną
roku 1966 w Kędzierzyni

Moja praca w Nowym Bytomiu. Życie z maleństwem na poddaszu. Spacery. Odwiedziny w Wirku. Podjęcie pracy przez żonę w Instytucie Spawalnictwa w Gliwicach. Przeprowadzka do Sławięcic.

W czasie naszego pobytu na nowym miejscu, krótko po wyjeździe z Ostrzeszowa odwiedzała nas interwencyjnie i z polecenia teścia siostra żony Miecia, prosząc nas abyśmy zmienili decyzję i powrócili do rodziny. Byliśmy tak dalece rozżaleni, że odmówiliśmy kategorycznie powrotu a ona za każdym razem odjeżdżała „z kwitkiem". Z córeczką byliśmy bardzo szczęśliwi, bo chowała się zdrowo, był to przecież owoc naszej wielkiej miłości. Istota żywa i na dodatek zdrowa i silna. Waga i wzrost w normie a to najważniejsze. Nie wiadomo jak brać do ręki taką małą istotę. Żona dopiero co po porodzie, musiała siedząc na jednej stronie na krześle, retuszować błony dla znanych fotografów z Chorzowa pana Semraua oraz Burzyńskiego, aby zarobić nieco na życie i opłaty za mieszkanie, ponieważ opłaty stałe i za energię, gaz i wodę opłacaliśmy sumiennie z własnej kieszeni, bo taka była na początku z „opą" umowa.

Krzysztof z żoną Renatą
rok 1961

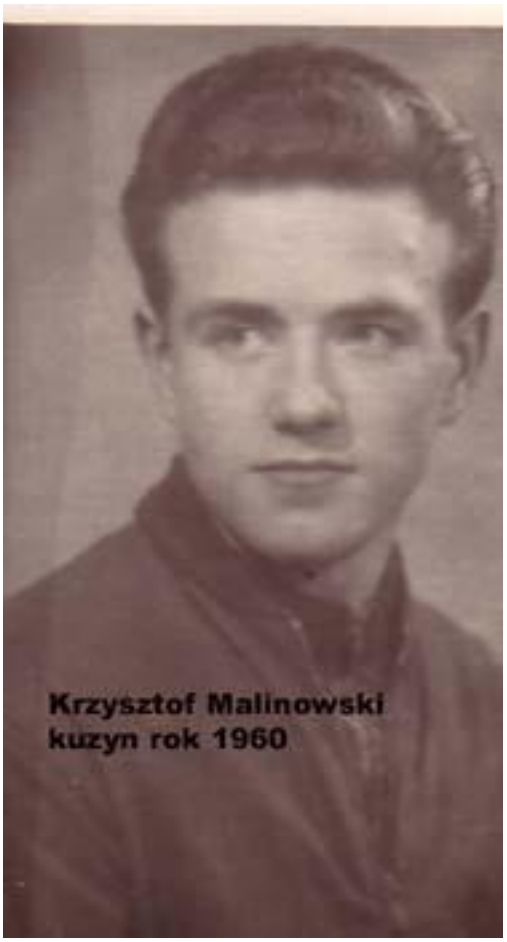
Krzysztof Malinowski
kuzyn rok 1960

Obcowanie z tym starszym panem emerytowanym hutnikiem było różne, lecz przede wszystkim zgodne i bez konfliktów. Kiedy otrzymywał tak zwany „geldtag" lub "penzyję" jak mawiał, to wykorzystując jego dobre serce i przejawy hojności, wielu kolegów nawet tych „z piątej zmiany" kręciło się wokół niego, a on im „fundował" a pijanego wieczorem lub nocą przywożono w stanie
okropnym albo na wózku lub na wozie razem z węglem lub kartoflami. Myśmy go potem oporządzali i rozebranego siłą kładli do łóżka lub na tapczan, aby doszedł do siebie. Często zrywał się w nocy i oddawał mocz z przepełnionego pęcherza wprost do zlewu w kuchni, nie zwracając uwagi na domowników. Pewnego razu obudził się i nas i słychać było wyraźnie odgłos cieczy spadającej na coś drewnianego lub na pudełko. Pomyliło mu się dokładnie, bo zamiast do zlewu z lustrem w kuchni jak zwykle, oddawał mocz wprost do stojącego też przed lustrem wózka dziecięcego lecz nie w kuchni a w pokoju i na szczęście nie było w nim tej nocy naszego maleństwa, bo żona wyjątkowo zabrała ją do siebie na tapczan a małe przez to uniknęło nieprzyjemnej urynowej kąpieli. Często z dzieckiem na ręku zabawialiśmy się z „opą" grając w szachy lub w damkę. Ilekroć dziecko sięgało po pionek mego rywala, to nie przeszkadzałem jej w tym i przez to często wygrywałem. A kiedy dziecko przez dłuższy czas było na moich kolanach to proponował, abym podobnie jak on dawniej, kiedy niańczył swoje dzieci, naprószył tabaką z fajki lub papierosa wprost do oczu i wtedy małe zacznie płakać, a żona na pewno odbierze zapłakane dziecko i będzie po kłopocie. Oczywiście nie miałem sumienia, aby tak postąpić, bo dziecko płacze z różnych powodów i należało mieć odrobinę cierpliwości i dziecko wnet się uspakajało. Powody były następujące: albo było mokre, albo głodne, albo było za ciepło lub ubranko było zbyt krępujące. Z chwilą gdy żona podjęła pracę w Instytucie, musiała zaangażować do opieki sąsiadkę z naprzeciwka panią Klosokową.

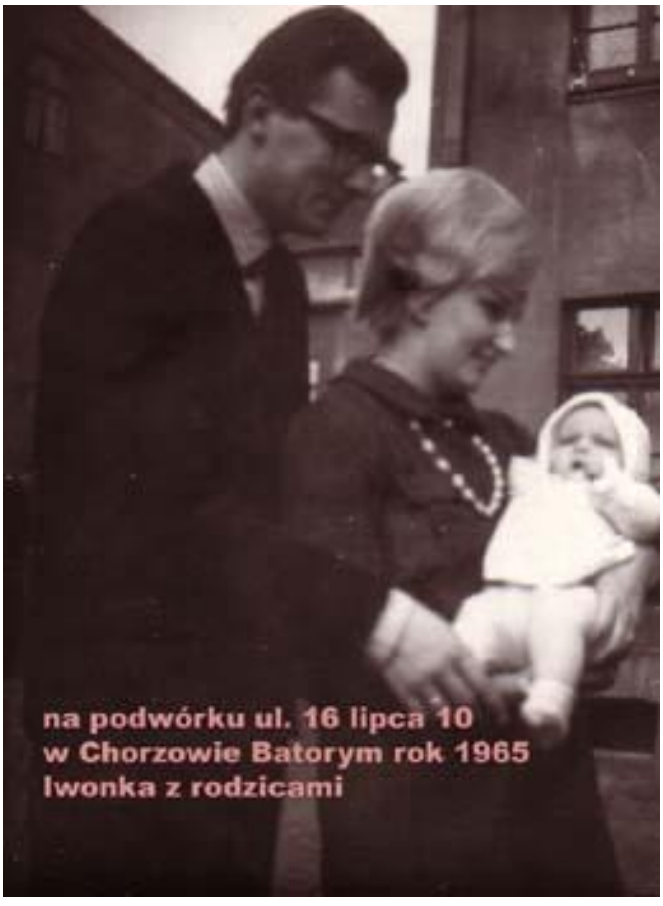

Była to ze wszech miar oddana i dobra osoba. Sama miała synka przybranego bo z Domu Dziecka i szalała za naszą córeczką. Ze strony Ireny i Staszka spotykaliśmy się zawsze z wielką życzliwością i chęcią daleko idącej pomocy i dobrej rady. Wspólnie wybieraliśmy się do sklepu z artykułami gospodarstwa domowego i do dużego worka wrzucaliśmy artykuły pierwszej potrzeby, podstawowe w domu a szczególnie mile wspominam wspólnie spędzone chwile na spacerach, głównie w sobotę i w niedzielę. Staszek pracował w Hucie Florian więc często go nie było w niedzielę, a więc z Ireną i jej synkiem Zbyszkiem chodziliśmy na lody. Kiedy był dodatkowy przypływ gotówki i był humor, kupowaliśmy sobie ćwiartkę wódki lub piwa a w sąsiedniej Centrali Rybnej śledzie opiekane na „zagrychę" i z „opą" przy grze spędzaliśmy miłe chwile na poddaszu. Mimo wielu zabiegów, mieszkania na Śląsku nie udało mi się załatwić.
Często jako normista, musiałem wyjeżdżać na obserwację dnia roboczego i normować pracownikom czas pracy do naszych Oddziałów w Oświęcimiu i w Oławie pod Wrocławiem. Oba wyjazdy dalekie i wracało się późno, ponieważ na stanowisku pracy musiałem być aż do zakończenia zmiany. Pracując w służbie normowania, ukończyłem kurs normowania II stopnia i to dało mi pewniejszą egzystencję na tym stanowisku pracy w nowym miejscu. Dziecko chowało się dość dobrze. Często jeździłem z małą na spacery a głównie upodobałem sobie stadion Ruchu w Chorzowie. Wtedy jeszcze można było oglądać ze spokojem mecze piłki nożnej i to ze śpiącym dzieckiem w wózku. Teraz nie miałbym odwagi nawet bez dziecka być kibicem na meczu. Wjeżdżałem aż na koronę Stadionu, oglądając zmagania miejscowych piłkarzy a mała spała sobie i nic jej snu nie mogło zakłócić mimo wielu krzyków kibiców. Żona w tym czasie usilnie poszukiwała pracy na stałe, nie takiej dorywczej, którą obecnie wykonywała. Przypadkiem kiedyś odwiedziła Zakład, który akurat poszukiwał fotografa na etat. Był to Instytut Spawalnictwa w Gliwicach na Wiatreka. Była szczęśliwa,

lecz był problem z dowodem osobistym, ponieważ nie miała zameldowania na pobyt stały. Powody już wyjaśniałem wcześniej. Jakoś udało się, mimo że nie pokazała dowodu osobistego, w kadrach zatrudniono ją na zasadzie zaufania i zgodnie z podaniem. Po czasie dopiero sprawa się wyjaśniła, lecz była już pracownikiem pełnoprawnym i z angażem w owym Instytucie.
Instytut ten posiadał ponadto swoje mieszkania przy Filii w Sławięcicach koło Kędzierzyna Koźla. Pośpiesznie więc złożyła stosowny wniosek i ku wielkiemu zdziwieniu niemal od ręki otrzymaliśmy klucze i przydział mieszkania w tym oddalonym od Gliwic miejscu.

Jakież musiało nas wtedy ogarnąć wzruszenie i radość, kiedy klucze były w naszych rękach. Na drugi dzień wcześnie rano udałem się do tych Sławięcic. Wysiadłem przy dworcu kolejowym, a tu oprócz kilku domków kolejarskich, służbowych było żadnych innych zabudowań, ani opisywanego Osiedla. Dopiero kilkukilometrowy spacer przez krzaki, chaszcze wąską ścieżynką odsłonił wpierw poniemieckie bunkry i ruiny jako umocnienia wojenne, a potem ogrodzenie i domy mieszkalne wraz z Fabryką Elektrod Węglowych z Raciborza i zabudowania Ośrodka Szkoleniowego Instytutu Spawalnictwa w Gliwicach. Tutaj zgodnie z przydziałem i kluczami, znalazłem owo mieszkanie na parterze i otwarłem drzwi upragnionego mieszkania. Mieszkanie jedno pokojowe z kuchnią, łazienką i dużymi oknami było nowe po remoncie i świeżo malowane. Nie było na czym usiąść, więc usiadłem po prostu na muszli ustępowej i ze szczęścia szczerze popłakałem się. Naprawdę byłem autentycznie tak szczęśliwy jak nigdy i chciałem tylko jak najprędzej być w domu, aby podzielić się tą wiadomością i wrażeniami z moją żoną. Nie wierzyłem, że jest to moje mieszkanie, moje gniazdko dla nowo powstałej rodzinki. W tym dniu było słonecznie, więc przez okna bez firan słońce drażniło oczy, lecz to jeszcze bardziej potęgowało radość. Zgłosiłem się do Administracji i czym prędzej udałem się w drogę powrotną do oczekującej mnie żony. Przerażała jedynie zbyt duża odległość Osiedla Instytutu od najbliższej stacji kolejowej i sklepów. Jedyna łączność z Kędzierzynem autobusem PKS i to wyłącznie na przystanku „na żądanie”. Kiedy mojej żonie opisałem mieszkanie, to nieważne były te niuanse i mankamenty, ważne było jedynie to że w ogóle mamy niezależne, swoje mieszkanie i dach nad głową.

Sławięcice Pawilony Leśne rok 2007

Sławięcice Pawilony Leśne

stan obecny duktu leśnego do stacji koj.

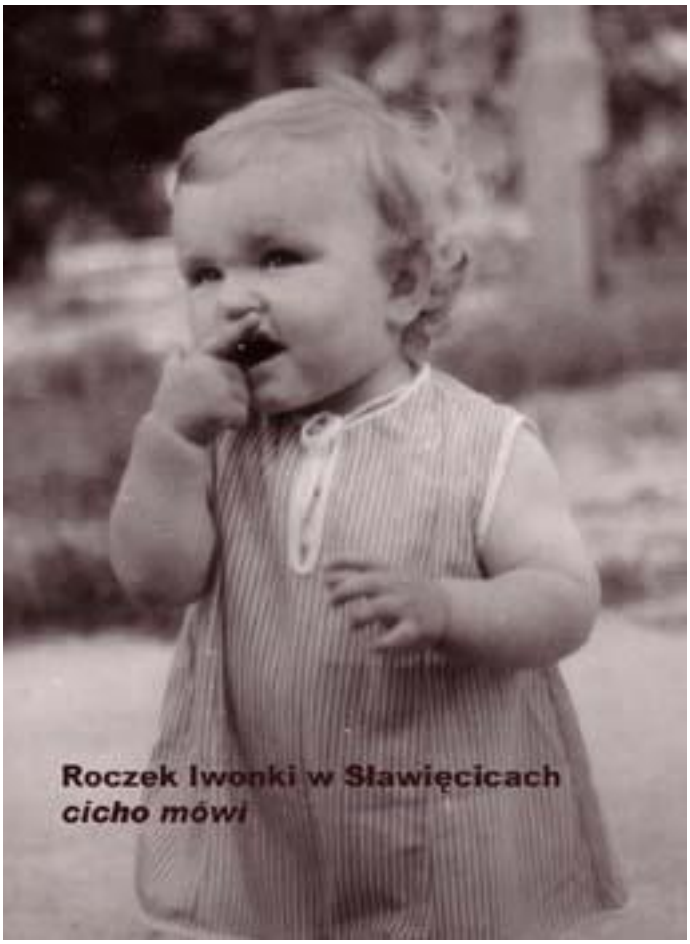
Roczek Iwonki w Sławięcicach
cicho mówi

na podwórku w Sławięcicach przed Pawilonami Leśnymi rok 2007 tata mieszkaliśmy w latach 60 tych

Naszą ukochaną mamę odwiedzaliśmy w tym okresie wielokrotnie, omijając dom teścia. Córeczka rosła i rozwijała się bardzo dobrze.

Był rok 1966. Córeczka stawiała już pierwsze kroki, zrazu niepewnie i nieśmiało, lecz w swoją rocznicę urodzin mogła już samodzielnie stać i wykonać kilka niepewnych kroczków. Meble do nowego mieszkania kupiliśmy na raty i w sklepie meblowym w Sławięcicach. Dobra i wyrozumiała sprzedawczyni odważyła się „rozbić" komplet stołowy, aby nam sprzedać elementy z tego kompletu, ponieważ cały był za drogi i nawet nie mieściłby się w naszym małym mieszkaniu.

Żona pracowała jak mrówka w Instytucie i praca była dla niej wielce obiecująca i bardzo ciekawa. Otoczenie miłe i przyjazne. Ja też sobie pracę chwaliłem, lecz coraz bardziej uciążliwy był dojazd do niej, ponieważ aby dojechać ze Sławięcic do Nowego Bytomia, należało wpierw dojść do stacji kolejowej, potem dojechać do Gliwic, a tam przejść na inny peron aby wsiąść do innego pociągu by dojechać do stacji Ruda Chebzie. W tym Chebziu należało dojść do przystanku tramwajowego linii Nr. 9 by dojechać do pracy, czekając na mijankach, bo linia w tym miejscu miała tylko jeden tor. Wychodziłem codziennie z domu o godz. 5 rano i wracałem również o godz. 5 tej po południu. Od razu też postanowiliśmy nasze małe dziecko ochrzcić w Sławięcicach w miejscowym kościele pw. Św. Katarzyny.

Sławięcice obecnie w rejonie dworca i ta dzika dróżka od naszego bloku do stacji

Chrzestnymi byli: siostra Danusia oraz szwagier Staszek Widera.

Pewnego razu rankiem, nie wiedząc z jakiego powodu, poczułem się fatalnie Ciągły ból żołądka. Pytałem się co się ze mną dzieje? Zmartwiony wielce tego dnia nie poszedłem do pracy, lecz do lekarza, aby się zbadać. Okazało się że mam w sobie pasożyta –tasiemca. Skierowano mnie natychmiast do Szpitala na obserwację. W Nowym Bytomiu w Szpitalu zastosowano piorunującą kurację, podczas której „wypędzono" ze mnie tego potwora i znów byłem zdrowy i zdolny do pracy. Jedyną oznaką, że ten pasożyt był we mnie był ból brzucha i ciągły głód. Pewnego razu za pośrednictwem koleżanki z pracy żony, dowiedziałem się, że akurat są wolne miejsca pracy w pobliskiej Elektrowni Blachownia, której kominy wielkie i odstraszające widziałem wyłaniające się znad pięknie zalesionego otoczenia naszego Osiedla. Zaraz też zostałem umówiony na rozmowy i bez problemów zostałem przyjęty do pracy, nie wspominając ani słowem, że mam przeszłość szkolną z Collegium franciszkańskiego, z uwagi na wyjątkową sytuację polityczną w tym okresie, niekorzystną dla mnie ubiegającego się o pracę i pytany zawód i wykształcenie.

Któregoś ranka o świcie obudził nas wszystkich niezmiernie dokuczliwy hałas i szum, dla uszu nie do wytrzymania. Wybiegłem więc z domu w piżamie i pomyślałem sobie, że to chyba początek wojny lub jakaś wielka katastrofa ekologiczna, ponieważ do tej pory nie przeżyłem takiego zjawiska akustycznego. Po wyjaśnieniu tego zdarzenia, okazało się że w tej okolicy w otoczeniu Elektrowni jest to całkiem normalne zjawisko. Podczas uruchomienia i odstawiania bloków para na wydmuchach daje takie hałasy i rosną wtedy decybele. Nie było w owym czasie tak jak dziś odpowiednich urządzeń wydmuchowych na dachu, które by rozprężały cicho parę z urządzeń grzewczych. Od tej pory już się nie bałem, ponieważ efekty te powtarzały się co kilka dni.

Pawilony Leśne podwórko

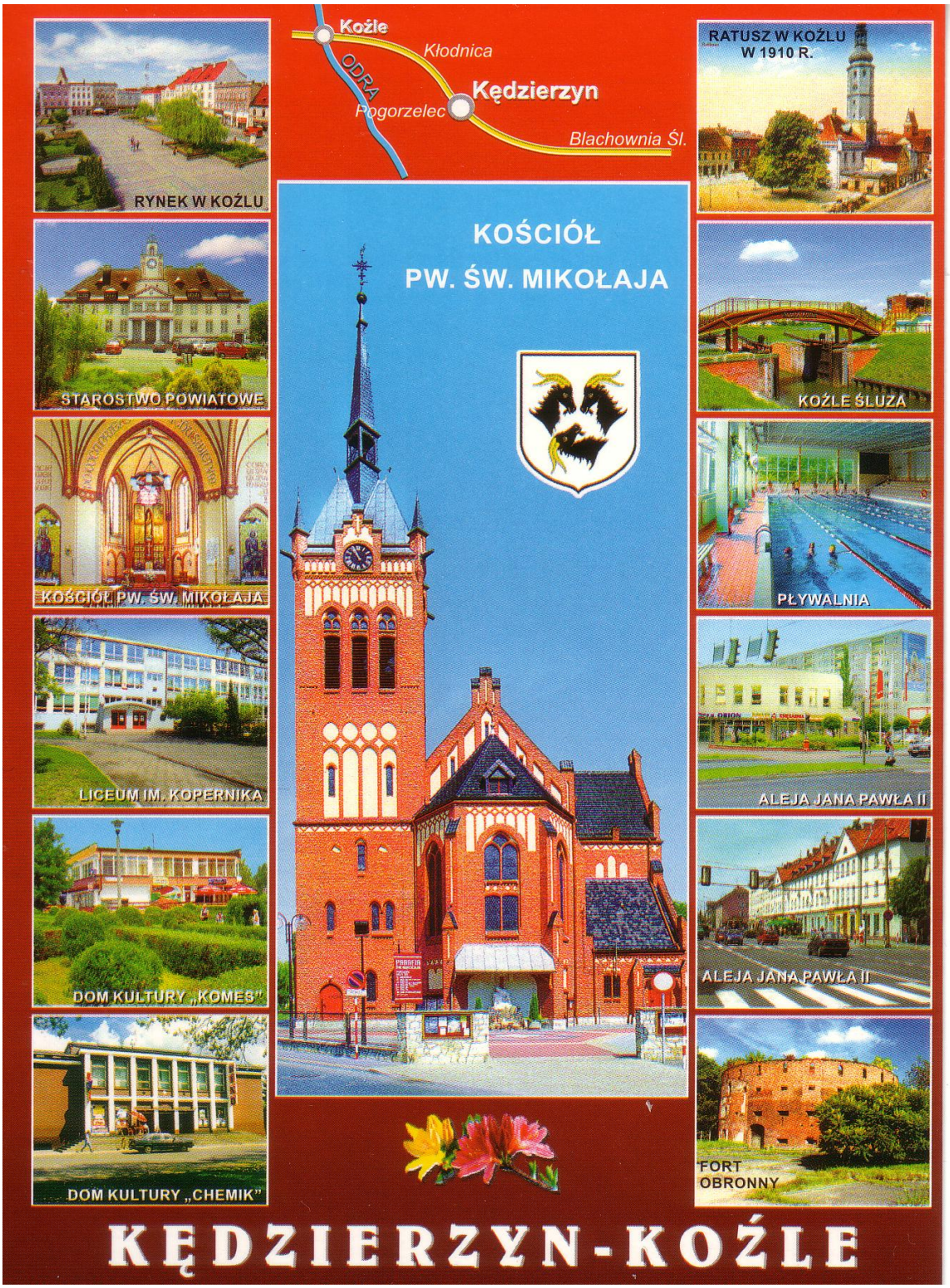
Koźle
Kłodnica
ODRA
Kędzierzyn
Pogorzelec
Blachownia Śl.
RATUSZ W KOŹLU W 1910 R.
RYNEK W KOŹLU
KOŚCIÓŁ PW. ŚW. MIKOŁAJA
STAROSTWO POWIATOWE
KOŹLE ŚLUZA
KOŚCIÓŁ PW. ŚW. MIKOŁAJA
PŁYWALNIA
LICEUM IM. KOPERNIKA
ALEJA JANA PAWŁA II
DOM KULTURY „KOMES"
ALEJA JANA PAWŁA II
DOM KULTURY „CHEMIK"
FORT OBRONNY
KĘDZIERZYN-KOŹLE

Zmiana miejsca pracy i mieszkania. Praca w Elektrowni Blachownia. Narodziny drugiego dziecka –syna Tomasza. Tomek w Żłobku w Kędzierzynie.

W Kędzierzynie do tej pory jeszcze nie byłem nigdy w życiu, więc było to dla mnie całkiem obce miasto, natomiast aby przyjąć się do pracy, należało wykonać szereg badań lekarskich i laboratoryjnych z prześwietleniem włącznie.
Kiedy kończyłem pisanie moich wspomnień i kiedy Przedszkole Nr. 5 obchodziło swoje 40 lecie, a ja na uroczystościach w Domu Kultury byłem w roli poety Jana Brzechwy jako dziadek Ani i Mikołaja moich wnuków, którzy byli w tym Przedszkolu uświadomiłem sobie że i ja obchodziłem właśnie w tym dniu pierwsze spotkanie z tym miastem i właśnie w tych dniach 40 lat temu się do tego miasta przeprowadziłem to dopiero zdałem sobie sprawę jaki duży upływ czasu nastąpił od tego momentu. A wracając do wątku pracy: to od momentu, kiedy wszystko się zrealizowało, i uzyskało się tzw. zdolność do pracy, otrzymywało się wtedy angaż. Chodzenie w obcym środowisku i w obcym miejscu do lekarzy i na badania zajęło mi aż 4 dni, ponieważ było w tym także Święto Zmarłych i dopiero z dniem 4 listopada 1966 roku mogłem przedłożyć wszystkie badania i otrzymać angaż, mimo iż przeszedłem do tej pracy na zasadzie porozumienia stron. Dziwne zwyczaje ale trudno. Mam więc tę czterodniową przerwę w swojej pracy. Pracę w Elektrowni Blachownia podjąłem wpierw jako technik dokumentacji inwestycyjnej w Pionie Inwestycji, kiedy budowała się Elektrociepłownia Blachownia III

czyny społeczne w roku 1972 w Elektrowni
Blachownia

lato 1966 roku
Kędzierzyn
Iwonka na spacerze w wózku

na podwórku bloku przy ul. W. Polskiego

W tym czasie naszą córeczką opiekowała się moja matka w Ostrzeszowie. Miała bowiem pomoc ze strony mojej siostry Danusi oraz młodszego brata Janusza. Były to dla nich szczęśliwe i miłe chwile, a dla nas utrapienie i kłopot, ze względu na dużą odległość obu domów. Żona, aby odwiedzić swoją pierworodną córeczkę, przechodziła istną katorgę, związaną z dojazdami, bo wpierw należało dostać się na stację kolejową w Sławięcicach a potem pociągiem do Kędzierzyna i tam przesiąść się aby dojechać do Kluczborka. W Kluczborku znów przesiadka, lecz dojechać można było jedynie do Kępna i tam dopiero można było dojechać do Ostrzeszowa, naszego rodzinnego miasteczka i do mamy. Wystarczyło, aby stracić cierpliwość i być wyczerpanym i zmęczonym. Odwiedziny były bardzo częste, niemal cotygodniowe. Po kilku miesiącach pracy w Elektrowni Blachownia, ku mojemu zdziwieniu, dowiedziałem się, że z mieszkaniem nie ma żadnego większego problemu, wystarczy złożyć stosowne podanie a Administracja była zdziwiona dlaczego tak późno składam ów wniosek. Nie zwlekając więc złożyłem podanie i niemal od ręki otrzymałem przydział mieszkania służbowego M4 w nowo i świeżo co oddanym bloku przy ul. Wojska Polskiego 52 d mieszkanie 10, na trzecim piętrze. Mieszkanie bez balkonu, jednak z widną kuchnią, co w tych latach było częstym zjawiskiem takie rozwiązanie, że kuchnia nie miała okien. Należało je jedynie odpowiednio umeblować i przeprowadzić się jak najwcześniej. Było to mieszkanie typu „resortowego” tzn. wykupione przez El. Blachownia wyłącznie dla pracowników energetyki. Szczęście nasze było nieprzebrane. Konnym przewozem nastąpiła przeprowadzka ze Sławięcic. Córkę mogliśmy też z powrotem wziąć do siebie. Wpierw oddaliśmy ją pod opiekę sąsiadki u której ciągle płakała i mieliśmy powody sądzić, że źle się u niej czuje i należy ją zabrać. Postanowiliśmy ją oddać do Żłobka Miejskiego, lecz i tu był początkowo płacz. Nigdzie nie było jej tak dobrze jak u kochanej Babuni w Ostrzeszowie. Do dziś wspomina te chwile szczęścia i dobrej opieki. Po prostu nie lubiła zbytniego oddalenia od swych rodziców i bliskich a może zrażona była poprzednią opieką sąsiadki. Niemniej jednak rozwijała się nam nad podziw dobrze i rosła w siłę, ponieważ było nam coraz lepiej i lepiej. Postanowiłem też za wszelką cenę poszukać w tym mieście pracy dla żony i po wielu zabiegach udało mi się załatwić pracę w Biurze Projektowym Zakładów Azotowych w Kędzierzynie na stanowisku wpierw technika reprografii a potem na stanowisku Kierownika Pracowni Reprografii i Pracowni Wykończeniowej. Praca ciekawa, bo nieco związana z zawodem, lecz fotografowania nie było zbyt wiele, a jedynie okazyjnie, w związku z imprezami w Biurze.

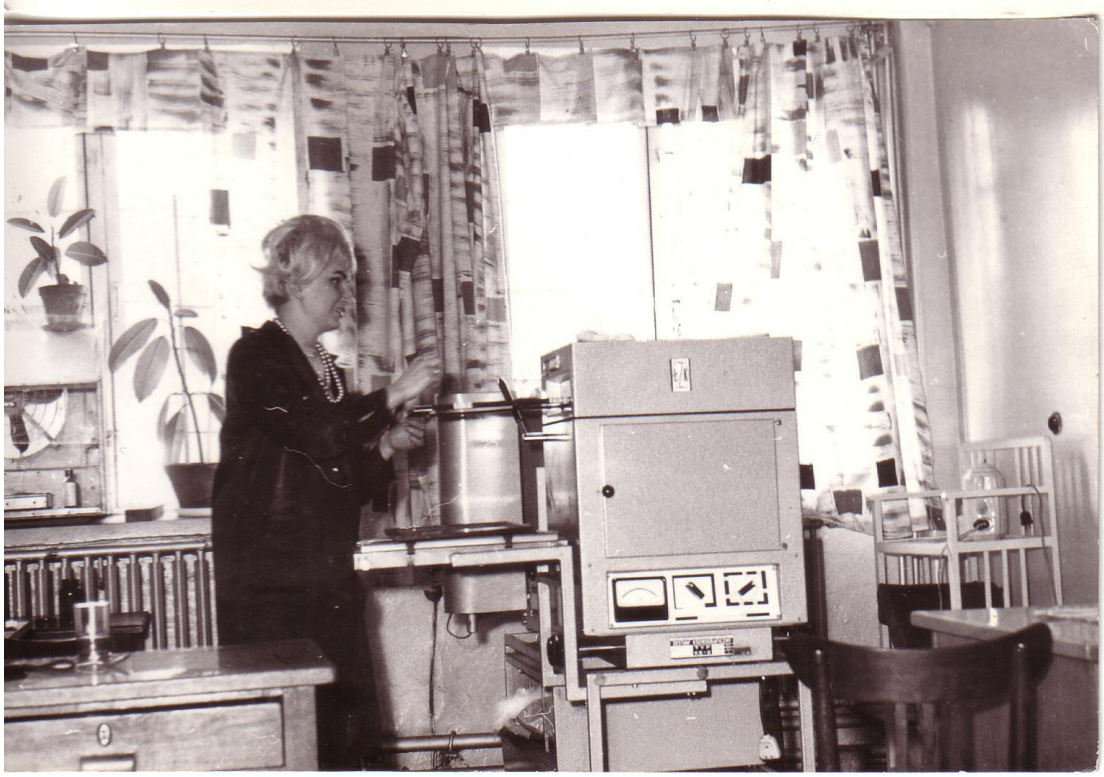

Krystyna moja żona w pracy w Biurze Projektowym przy Zakładach Azotowych w Kędzierzynie Koźlu

stoję przed Elektrownią Blachownia w której przepracowałem prawie 40 lat a niżej u drzwi bloku w którym mieszkaliśmy zanim przeprowadziliśmy się do Kędzierzyna na ul. W. Polskiego 52d10

żona w pracy w Biurze Projektowo Konstrukcyjnym przy Azotach

rok 1968 Krystyna
w pracy

rok 1969
Iwonka po wypadku

rok 1968 Kędzierzyn chrzest Tomka
Chrzestni Irena i Janusz

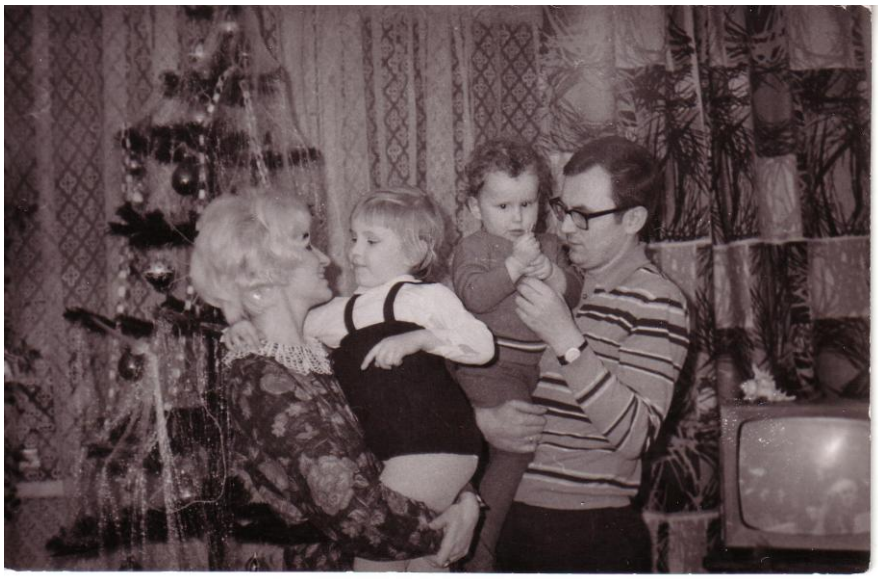

rodzice ze swymi dziećmi Iwonką i Tomkiem w swoim mieszkaniu przy ul. W. Polskiego a obok Iwonka

Nie zdążyliśmy dobrze się rozlokować, pozbyliśmy się ciuszków po naszej Iwonce, niedawnym niemowlaku a już zaistniała nowa sytuacja, bo żona zaszła ponownie w ciążę i nastały nowe kłopoty. Minęło 9 miesięcy i w dniu 2 października 1968 roku w Szpitalu w Kędzierzynie urodził się nam synek, któremu nadaliśmy już zgodnie imię Tomasz Konrad. Tomasz, ponieważ w pewnym kalendarzu w tym dniu akurat było Tomasza, lecz ilekroć potem szukaliśmy w dniu tym tego imienia, dla potwierdzenia żony wyboru to nigdy go nie znaleźliśmy. Dziwne zdarzenie. Co to był więc za kalendarz? Nie wiadomo. Mówiło się często, że niech dziecko ma imię, które sobie wywołało w dniu swego poczęcia. Tym razem spisałem się wzorowo, bo były zaraz kwiaty dla żony i gratulacje za to że dzielnie się znów spisała. Poród był także bez problemów. Tym razem żona była szczęśliwa podwójnie, ponieważ mogła po urodzeniu wrócić do swojego własnego mieszkania, dość dobrze urządzonego. Odwiedzając swe rodzinne strony, nadal unikaliśmy widzenia z rodziną żony a głównie z jej ojcem. Odwiedzaliśmy natomiast matkę i to nam wówczas w zupełności wystarczało.

Pewnego razu, kiedy wspólnie z kolegami wracałem ze spaceru mijając się przypadkowo z teściem, ten zaczął głośno przeklinać i splunął w moim kierunku, ku wielkiemu zdziwieniu moim i moich kolegów. Był to dla mnie wielce upokarzające zdarzenie i spotkanie i jeszcze bardziej oddalające od tego człowieka.
Z listów mojej matki, które jeszcze przechowujemy sobie na pamiątkę, mogliśmy się dowiedzieć o sytuacji w rodzinie żony i w mieście po naszym wyjeździe. Plotek i insynuacji nie było końca. Nie stworzone rzeczy wychodziły z domu przy ulicy Targowej 4. My natomiast coraz bardziej byliśmy przekonani o słuszności naszej życiowej decyzji i wiedzieliśmy wtedy, że już tam nie wrócimy, aby na stałe tam zamieszkać. Synek również dobrze się nam rozwijał i kiedy minął żonie urlop macierzyński, oddaliśmy synusia pod opiekę do Żłobka Miejskiego.

Ponieważ był tam niemowlakiem od pierwszych miesięcy życia, więc tak się przyzwyczaił do pań w bieli i obsługi, iż ilekroć oddawaliśmy go rano to „kwiczał” z radości i byliśmy pewni, że ta radość oznaczała, że jest mu w tym żłobku dobrze. Był też urodziwym bobaskiem i bardzo lubianym i prawdziwą maskotką żłobka. Córka jeszcze walczyła ze swoją psychiką, lecz już coraz bardziej przekonywała się do pań z Przedszkola.

Moja dalsza edukacja na Politechnice Śląskiej. Zmiana pracy. Egzaminy. Przebieg studiów. Obrona pracy. Zmiana mieszkania.

Skoro tylko nadarzyła się okazja i życie się unormowało, zgodnie ze swoim dawnym mocnym postanowieniem, zdecydowałem się dalej uczyć. Ponieważ pracowałem w energetyce, a w Kędzierzynie funkcjonowała filia Politechniki Śląskiej w Gliwicach i w dodatku na kierunku mechaniczno-energetycznym nie zastanawiałem się dłużej i złożyłem stosowne podanie i wymagane dokumenty i po egzaminach wstępnych zostałem przyjęty i zaczęło się moje studiowanie przedmiotów technicznych.

Ilustracja 66: I Komunia Św. Iwonki Kędzierzyn rok 1974

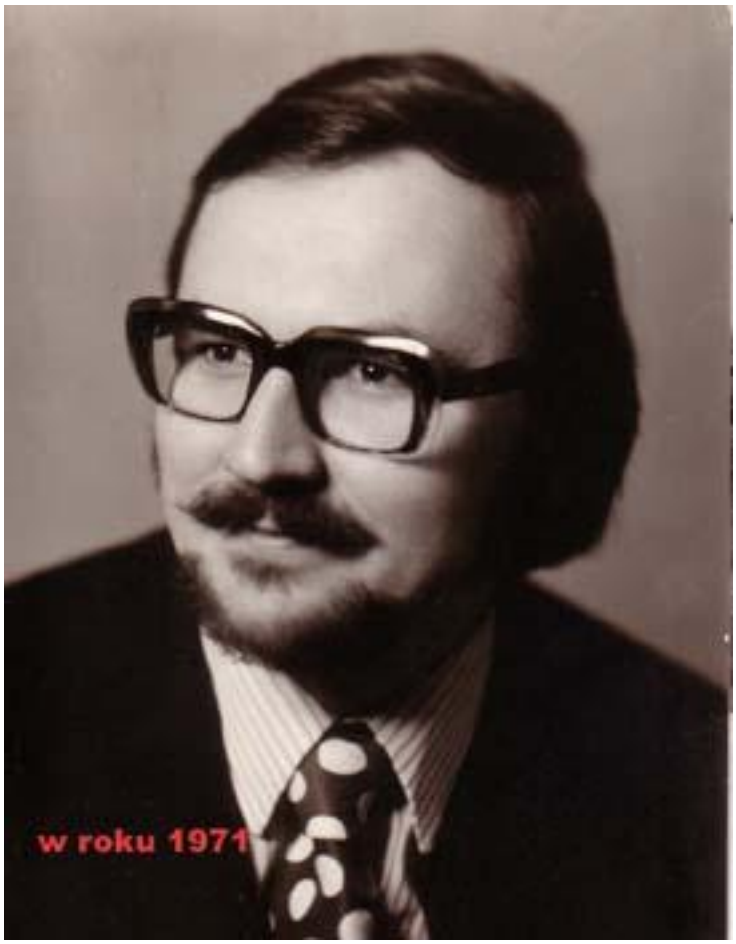

w pochodzie 1 majowym z Tomkiem

w pochodzie
1 majowym na
ul. Harcerskiej

Tomek w pochodzie 1 majowym ze swoją klasą

Dzieci, dom, rodzina, wszystko to nie sprzyjało nauce i stosownym wyciszeniu, a należy przede wszystkim brać pod uwagę fakt, że nie byłem technicznie przygotowany do tego typu studiów, bo przecież jako absolwent Niższego Seminarium byłem raczej bardziej nastawiony i ukierunkowany humanistycznie. Dlatego też studia te szczególnie w początkowej fazie były dla mnie niezmiernie trudne. Koledzy po technikum i o wiele młodsi ode mnie nie potrzebowali poświęcać tyle czasu co ja, aby się odpowiednio przygotować do lekcji i egzaminów, bo niemal wszystko to co było na wykładach z tej dziedziny mieli w mniejszym lub większym stopniu opanowane. . Było to dla nich jedynie przypomnieniem i repetytorium.

Jednak 10-letnia przerwa miała swój wpływ na sprawność umysłową i refleks.
Niemniej jednak jakiż musiał być wysoki poziom nauczania w tym Seminarium, że jednak dawałem sobie radę na tej uczelni i na tym kierunku. Niejednokrotnie ucząc się w nocy, bawiłem zapłakanego syna, z którym żona już nie umiała sobie dać rady i trzymając go w beciku na kolanach upuszczałem becik na podłogę, bo i ja często zasypiałem w takim momencie. Którejś zimy, wioząc go zawiniętego szczelnie w koce do Żłobka na sankach w rejonie „Praktycznej Pani" musiałem go zgubić, ponieważ przyjechałem pod Żłobek i na saneczkach nie

leżał. Wróciłem się, a on sobie spał owinięty w beciku i kocu w puszystym śniegu. Na szczęście nic na jezdni nie jechało, a on leżał na granicy chodnika i jezdni. Widocznie zsunął się, kiedy sanki pochyliły się przy przejeżdżaniu przez krawężnik chodnikowy

W Żłobku musiałem małego rozebrać niemal do naga i w takim stanie zaspanego oddać personelowi Żłobka. I tak było codziennie, niezmiennie a dziecko rozwijało się nad podziw dobrze na „państwo- wym wikcie”
W Elektrowni Blachownia w tym czasie ukończono budowę Elektrociepłowni Bl. III i oddano do eksploatacji dwa kotły i dwie turbiny ciepłownicze. Wszystkie urządzenia produkcji krajowej i prototypowe. Z chwilą zakończenia inwestycji służby inwestorskie jak zwykle należało rozwiązać i pracowników przekazać do służb eksploatacyjnych lub na nowe budowy energetyczne w kraju lub za granicą. Zaproponowano mi wówczas pracę na zmiany i w Wydziale Ruchu, jednak z uwagi na nie wyrażenie zgody mojej małżonki na tego typu pracę, byłem zmuszony przejść do pracy w sąsiednich zakładach w Metalchemie. Ze względu na kontynuację studiów, otrzymałem pracę w Dziale Technicznym Technologicznym, w którym sprawdzałem nowe zlecenia, które miały być realizowane w produkcji oraz opracowywałem analizy ekonomiczne wybranych odcinków działalności gospodarczej przedsiębiorstwa. Po kilkunastu
miesiącach pracy w tym zakładzie przeniosłem się z powrotem do Elektrowni Blachownia, ponieważ ponownie uruchamiano inwestycje i potrzebni byli nowi pracownicy i specjaliści.
Jak już wspominałem, mieszkanie nasze na trzecim piętrze było dość wygodne i nowe, niemniej jednak chciało się jeszcze lepszego, bo z balkonem i nieco niżej.

Ponieważ nie zależało mi na terminie zmiany, więc złożyliśmy podanie do Spółdzielni Mieszkaniowej RSM Chemik o zamianę. Pewnego dnia, a długo to nie trwało, ku mojemu zdziwieniu, ujrzałem siebie na liście przydziału mieszkań w nowym bloku, którego akurat wykańczali. Niesamowite znów emocje i niedowierzanie. Ciekawość gdzie ten blok się znajduje i w ogóle co to za mieszkanie ?. Udałem się na miejsce, a tam stały tylko mury i klatki bez wykończenia. Nie mogłem tam wejść, ponieważ było niebezpiecznie, więc kiedy tylko nadarzyła się okazja, zobaczyłem moje przyszłe mieszkanie. Czekałem aż je wykończą i liczyłem dni. Kiedy przyszedł czas przeprowadzki, okazało się, że nie możemy się przeprowadzić, ponieważ w naszym mieszkaniu pracownicy firmy budowlanej urządzili sobie magazyn, a całe mieszkanie suszono, ze względu na zalanie od nieszczelnej instalacji grzewczej. Wreszcie przyszedł ten dzień upragniony i wtedy zobaczyliśmy nasze mieszkanie. Było inne, duże składające się z trzech pokoi z kuchnią małą i łazienką. Był też balkon, oczywiście przy tej samej powierzchni użytkowej co poprzednie. W bloku tym znajdują się zsypy na śmieci na poszczególnych piętrach oraz windy.
Do dziś okupujemy to samo mieszkanie i po kilku remontach i modernizacjach żyje nam się dobrze i wygodnie. Dzieci opuściły to mieszkanie i założyły swoje i zostaliśmy we dwoje. Mieszkanie jest w miarę dobrze urządzone i czysto utrzymane dzięki mojej żonie.
W tym czasie Elektrownia pomagała realizować budowę Ciepłowni w Opolu na ul. Harcerskiej oraz realizowała kilka drobnych tematów inwestycyjnych, w których uczestniczyłem z racji swej pracy w służbie inwestycji.
Kontynuowałem studia. Coraz to bardziej wyrafinowane przedmioty techniczne w dziedzinie energetyki i coraz to bardziej żmudne ćwiczenia umysłu i pamięci. Niestety miałem i przykry moment w moich studiach. Na kolejnym egzaminie z hydromechaniki podpadłem asystentowi, ściągając, a może dopiero zamierzałem ściągnąć, korzystając z przygotowanej wcześniej ściągi, zostałem „namierzony" i wyproszony z sali, gdzie odbywał się ów egzamin. Musiałem zdawać egzamin przed samym Profesorem Grybosiem i po kilku podejściach przekazał mnie Komisji egzaminacyjnej, ponieważ minął termin zaliczeń i nie mógł on nic w tym wypadku uczynić. W tym momencie byłem załamany i „dobity", że nawet chciałem zrezygnować ze studiów, a był to już 5 ty semestr czyli połowa studiów. Jednak wypchnięty z domu" na siłę" przez moją żonę udałem się do Gliwic na ten sądny dzień. O dziwo byłem odpowiednio przygotowany, tak że zdałem ten egzamin komisyjny. Miałem wszystko "wykute na blachę".
Przyszedł wreszcie koniec mojej edukacji. Wpierw zanim wykonywałem pracę dyplomową, musiałem przejść przez egzaminy końcowe i pracę przejściową. Wybrałem sobie Katedrę Turbin Parowych a więc urządzenia wirujące. Praca przejściowa polegała na wykonaniu dokumentacji technicznej starej przedwojennej turbiny parowej, znajdującej się w Zakładach Koksochemicznych w Zabrzu Mikulczycach. Miała ona w przyszłości stanowić eksponat do ćwiczeń na tej Katedrze na Politechnice. Pracę wykonałem z wynikiem bardzo dobrym. Teraz mogłem spokojnie przygotowywać się do pracy końcowej i do dyplomu. Wybrałem sobie Katedrę Silników i Sprężarek Tłokowych. Tematem pracy była sprężarka jednotłokowa z tłokiem różnicowym typu poziomego. Dość typowa, jednak dokumentacji podobnej długo szukałem i wreszcie znalazłem ale w j. Rosyjskim. Dobrze że z pomocą mojej kochanej żony udało mi się znaleźć podobną dokumentację w Biurze Projektowym w Azotach. Z opisu więc mogłem skorzystać, jednak cz. rysunkowa musiała być wykonana na bazie wyliczeń in-

dywidualnych i zaleceń profesora prowadzącego prof. Dziulaka. Ponieważ miałem braki w rysunku technicznym, jeszcze z racji kończenia średniej szkoły nietechnicznej, więc postanowiłem do domu wprowadzić deskę kreślarską i samodzielnie wykonywać poszczególne rysunki do pracy. Deska kreślarska zajmowała dużo miejsca, lecz bez niej kreślenie nie było możliwe.
Temat po temacie, punkt po punkcie, rysunek po rysunku powoli i dokładnie wykonywałem zadanie i tak dobrnąłem do szczęśliwego końca i w terminie oddałem ukończoną pracę. W wyznaczonym terminie przed Komisją Egzaminacyjną w której przewodniczącym był prof. Zarzycki udało mi się ją obronić i tu pochwalę się że nawet rewelacyjnie bo na bardzo dobry. Średnia więc ocen była też wysoka. Otrzymałem nawet propozycje pozostania jako pracownik naukowy na Politechnice, lecz się nie zgodziłem, ponieważ zarobki na uczelni były porównywalne jak w moim zakładzie, a pracy więcej i te uciążliwe dojazdy do Gliwic. Szczęśliwy wróciłem do domu, naturalnie na lekkim gaziku, bo jakżeby inaczej. Po egzaminie poprosiliśmy –/nasza grupa/ zacną Komisję Egzaminacyjną do lokalu, aby podsumować na wesoło i podziękować za trud i wysiłek pedagogiczny i dobre potraktowanie nas spanikowanych studentów na samym egzaminie końcowym. Z dyplomem inżyniera mechanika energetyka było mi teraz bardziej komfortowo w moim zakładzie i mogłem pewniej poruszać się po korytarzach i na Wydziale. Nie myślałem nigdy, że w tym mieście to znaczy Kędzierzynie przesiedzę tyle lat. Na początku zakładałem, że z Kędzierzynem zwiążę się jedynie na kilka lat. W chwili obecnej minęło już 40 lat i nieraz sobie żartuję, że tutaj na cmentarzu chyba swoje kości złożę i będę miał swoje M1 na cmentarzu na Kuźniczkach.

Iwonka w szkole. Powrót do pracy w Elektrowni Blachownia. Śmierć teścia i szwagra. Sukcesy mój ego syna Tomasza w pływaniu. Kurs sędziego i prawa jazdy. Stan wojenny w Polsce i Solidarność w moim życiu.

Kiedy naszemu synkowi Tomkowi „wybił" roczek w roku 1969 siostra moja Danuta w Ostrzeszowie zawarła związek małżeński ze swoim kolegą szkolnym i rówieśnikiem Zbigniewem Mamysem urodzonym tak jak Polska Ludowa a więc dnia 22 lipca 1944 synem Antoniego rówieśnikiem mojego ojca i kolegą z lat szkolnych urodzonym też w 1914 roku
Nawet w wojsku byli razem na kresach wschodnich w Kownie w łączności. Antoni ojciec Zbigniewa był znanym w Ostrzeszowie krawcem i miał zawsze swój prywatny zakład krawiecki.
Następnie przyszła kolej na mojego brata Janusza, który w kilka lat później wziął ślub z nieco młodszą od siebie Elżbietą ze Świerglów, jedną z trzech córek Zofii i Stanisława Świergiel sąsiadów ze Stawku w Ostrzeszowie.

Krysia z
aparatem
rok 1969

Jubileusz
małżeństwa
Mamysów

Paweł i Jacek w Nowym Dworze

Po latach w tych obu rodzinach pojawili się synowie: U Mamysów po 9 latach oczekiwań Robert i Damian a u Kempów Paweł i Jacek.

Brat mój Janusz oraz jego żona Elżbieta a obok synowie Paweł i Jacek Nowy Dwór w Sycowie

Kiedy potem stuknęła bratu pięćdziesiątka czyli w roku 2000 wraz z życzeniami napisałem mu też wiersz wspomnieniowy:

Pięćdziesiąt lat temu

Pięćdziesiąt lat temu mój bracie,
Oczyma świat ujrzałeś,
Zaczęło się ziemskie Twe życie,
Szczęściu swemu pomagałeś.

Życie napisało scenariusz
W Twym życiu różnie było
Kiedy dano Ci imię Janusz,
Szczęścia w domu przybyło.

Matka Bogu ofiarowała
Najmłodsze dziecię swoje,
O zdrowie Twoje zabiegała,
Wcześniej miała ich dwoje.

Kiedy ojca wcześnie straciłeś,
Wszystko się załamało,
Złu się przeciwstawiałeś,
A życie dalej biegło.

Wspaniałych synów wychowałeś,
Ludziom na pocieszenie,
Dom w Sycowie wybudowałeś,
A drzewa dają cienie.

Dumny bądź ze swej rocznicy,
Bo jest półwieczem życia,
W naszej ludzkiej dwutysięcznicy,
Najnowszej ery bycia.

Minęło półwieczy czterdzieści
Od narodzin Chrystusa,
Twoja część życia w tym się mieści,
Czy czujesz tego blussa?

Życie mija niepostrzeżenie,
Dobrnąłeś do pięćdziesiątki,
Goście mają życzenie,
Świętować następne dziesiątki.

Życzymy spokojnego życia,
Życia bez trosk i zmartwień,
Z żoną zgodnego współżycia,
I zrealizowania pragnień

A jak się memu bratu urodził syn nadano mu imię Paweł a ja byłem jego ojcem chrzestnym. Potem kiedy był już dorosły z okazji jego ślubu też wiersz napisałem

Kiedyś przed laty.

Kiedyś przed laty na Żeromskiego,
Niemowlę nieco za długie się urodziło,
Chude to było wielce, nieboże,
I z cicha sobie płakało.

Na chrzcie Paweł mu dano na imię,
Paweł brzmi dumnie, bo z apostołów pochodzi,
Rodzice wtedy szczęśliwi byli,
Bo pierworodnego zrodzili.

Z latami wzrastało to chude niemowlę,
I mlekiem z piersi swej matki sił nabierało,
W Sycowie do szkoły zaczął chodzić,
By we Wrocławiu wylądować.

Dzieckiem był dobrym, nie można powiedzieć,
Z Jackiem się nie bił, nie wadził nikomu,
Kochał przyrodę, motyle łowił,
Żaby dotykał bez trwogi.

Dziś jest to chłop prawie dwumetrowy,
Nogi ma też długie niby laskonogie,
Włosy się błyszczą, chodzi pod krawatem,
Jest w zgodzie z każdym, jak z bratem.

W gazetach pisze, w radiu sobie gada,
Pisze reportaże, o nas zwykłych ludziach,
Myśli swoje wierszem układa,
Dumny jestem z tego Pawła.

Z chwilą powstania tych rodzin każda z nich zaabsorbowana swoimi problemami i mieszkająca w różnych stronach zaniedbywała kontaktów z pozostałymi rodzinami. Odległości naszych domów również utrudniają częste kontakty. Jest ogólnie potrzeba urządzania częstych wzajemnych wizyt rodzinnych, bo jak mówi ks. Jan Twardowski „Śpieszmy się kochać ludzi, bo tak szybko odchodzą”.

O Robercie i Damianie napisałem kiedyś monolog wspomnieniowy, którego przeczytałem na ślubie Roberta i Wiesławy. A oto fragmenty:
Ojcem Chrzestnym tego oto młodzieńca, wskazując palcem pana młodego, z woli jego Rodziców jestem. Pamiętam jak długo bo aż 9 lat był on przez swoich Rodziców oczekiwany. I przyszło wreszcie na świat to dziecię dwadzieścia kilka lat temu, dziecię jak malowane z oczyma jak dwa węgielki czarnymi. Robert dano mu na imię. Bawiło nas, że ten dzisiejszy Robert mówił kiedyś na siebie " Jobejt" zresztą jak większość z dzieci, bo zwykle mają trudność w wymówieniu „R". Wzrastał w zdrowiu i dobrze mu było pod opieką Rodziców troskliwych i nad opiekuńczej Babci Kempowej. , a kiedy po roku pojawił się na świecie drugi ich syn Damian to już zupełnie i do reszty stali się obaj zagorzałymi przyjaciółmi i kumplami do zabawy. Bez reszty oddani byli figlom i psotom takim dziecinnym niezwykłym. Zabawy ich były ciągle nadzwyczajne i zarazem nieobliczalne w skutkach i długo były komentowane podczas kolejnych zjazdów rodzinnych. Koty domowe są na tyle oswojone w naszym środowisku domowym, że nie ma drugiego takiego zwierzęcia, bardziej udomowionego, no chyba że jakiś piesek mały czy duży owczarek. Koty jednak w ich otoczeniu musiały realizować przeróżne wymysły i eksperymenty i wykazywać dużo cierpliwości. Długo pamiętać będziemy ich zabawy i wyczyny jak choćby ten z kotem, którego uczono latać z balkonu III piętra w bloku na spadochronie, wykonanym z chusteczki lub ich wspinaczki pod sufit w mieszkaniu po wystawionych szufladach z szafy meblościanki. Na wysokości ich małych rączek choinka zwykle była ogołocona a ozdoby były umieszczane wysoko i tylko w górze były nietknięte. Zamki w szafach garderobianych i zawiasy nie wytrzymywały próby czasu, mimo ustawicznego naprawiania przez głowę rodziny i drzwi można było otwierać na zasadzie przestawiania. Wyczyny szczególnie jego młodszego brata /Damiana/ przechodziły ludzkie pojęcie, zawsze na granicy bezpieczeństwa i odwagi, Potrafił się na przykład wspinać po rurkach instalacji gazowej czy wodnej w kuchni lub w łazience aż do samej góry. W zabawach w „chowanego' korzystano z szuflad, szaf, pojemników czy pralek. Pewnego razu będąc z Babcią Kempową na spacerze w niedzielę, pięknie ubrani i w białych ubrankach przy chwilowej nieuwadze opiekunki zaczęli czyścić od strony wewnętrznej leżące rury kanalizacyjne na pobliskiej budowie, czołgając się w nich, a w najśmielszych przewidywaniach babci nie było do wyobrażenia, iż można było się w tych brudnych rurach ukryć. Jakie było jej przerażenie po skończonej zabawie. Najskuteczniej trzeba by było ich w całości wrzucić do pralki jak opowiadała babcia, wrzucić do pralki z dodatkiem odpowiednich detergentów i tłuszczu aby usunąć z nich rozległe plamy ze smoły i smarów. a kiedy zjechaliśmy się tradycyjnie z okazji Święta Zmarłych do Ostrzeszowa i spotkaliśmy się przy grobach to ci dwaj mieli dużo uciechy w zlewaniu wosku ciekłego ze stojących na grobach zniczy i lampionów i tworzeniu przeróżnych figur woskowych i kuli coraz to większych i większych. Ręce i ubrania były znów brudne, popalone i trudne do wyczyszczenia. Przy każdej naszej wizycie w domu na Nowotki chłopcy chowali się skutecznie po kątach, gdziekolwiek i nie było możliwości ich z tej kryjówki wydostać. Widocznie nie byliśmy dla nich odpowiednimi partnerami do ich zabaw i dowcipów. W domu na Mieszka były pieski i kotki i to takie niechciane z ulicy, zaniedbane i bezdomne, przygarnięte przez dobrych ludzi spod numeru 7. Zwierzęta te musiały reagować na zabawne gry i wymyślne ćwiczenia zaprogramowane przez" dwóch takich, co ukradli Księżyc". Ale było im tam dobrze bo miały schronienie i dach nad głową i dobre wyżywienie. Aby nauczyć na przykład kotka słuchania

muzyki i sztuki cyrkowej umieszczali go na płytę gramofonową aby się kręcił w takt muzyki. Był wtedy ubaw i było wesoło. Rodzice spokojnie wykonywali swoje codzienne prace w domu. Nie pamiętam innych zdarzeń z życia tego młodzieńca, ponieważ niestety byłem od niego oddalony i nie na bieżąco mogłem obserwować jego wyczyny. Z pewnością Rodzice powiedzieliby sporo więcej o osiągnięciach i wyczynach swoich chłopaków. Tacy byli ci dzisiejsi ułożeni młodzieńcy, z których jeden na poważnie pomyślał o swojej przyszłości, wiążąc się ślubem na całe życie z Wiesławą Więcek z Kobylej Góry a konkretnie z Lipnik. Dziś właśnie ich śluby obchodzimy uroczyście i z radością. Drugi z nich Damian młodszy o rok braciszek już chyba nie pamięta tamtych zabaw. Jego myślenia przejmują komputery i usłużnie na niego reagują. Nieraz się zastanawiam, czy można było tak dalece zmienić się w swojej psychice? A jednak tak. Robert jest szczególnie miłym i ułożonym młodzieńcem i dobrze że jestem jego ojcem chrzestnym, bo jestem z niego dumny i mogę się nim chwalić. W ogóle mam szczęście do swoich trzech chrześniaków bo wszyscy reprezentują wysokie morale w swoich środowiskach. Życzę mu, aby w krótkim czasie przerósł swego ojca chrzestnego we wszystkich płaszczyznach jego życiowej wędrówki. W to wierzę i będę z tego szczerze dumny i zadowolony.

W latach późno siedemdziesiątych w mieście zawiązał się Automobilklub Kędzierzyńsko Kozielski w którym ciągle byłem w Zarządzie i organizowałem rajdy Samochodowe. W tej chwili nadal organizujemy Samochodowe Turystyczno Nawigacyjne Rajdy Energetyków i to już po raz 45 ty. Z pomocą Zakładu i sponsorów udaje nam się tę imprezę dwukrotnie w roku zorganizować. Często zimowa impreza jednodniowa połączona jest z zabawą karnawałową całonocną. W tym czasie w roku 1975 ukończyłem kurs prawa jazdy i kupiłem sobie Syrenę tę najnowszą 105 lux z biegami w podłodze a potem Citroena. Obecnie jeżdżę Daewoo Espero i jestem jak narazie z niego zadowolony. Kupno Syreny wiąże się z moim wypadkiem w autobusie. Otóż wracając pewnego razu autobusem zakładowym z pracy, kierowca nagle zatrzymał się a ja natomiast oparty o rurę przy wyjściu jedynie piersiami zamortyzowałem ten nagły ruch, ponieważ ręce miałem zajęte, w jednej miałem torbę a w drugiej kwiaty z jakieś imprezy, podczas nagłego zahamowania przyciśnięty zostałem do tej rury i poczułem gwałtowny ból w klatce piersiowej. Po powrocie do domu ból nie ustępował. Na drugi dzień była niedziela i udałem się wraz z dziećmi na kąpielisko, aby je uczyć pływać. Podrzucając syna do góry i wrzucając do wody ciągle odczuwałem dokuczliwy ból i nawet wzrosła mi temperatura. Zaraz w poniedziałek udałem się do lekarza, który stwierdził pęknięcie kilku żeber i zastosował długotrwałe leczenie, które skończyło się badaniem przez Komisję Lekarską i uznaniem inwalidztwa, z czego wypłacono mi odszkodowanie jak na te czasy dosyć wysokie, za które mogłem dokonać częściowej przedpłaty na samochód. I tak dzięki inwalidztwu i odszkodowaniu dorobiłem się samochodu. W momencie kupna samochodu miałem pecha, ponieważ akurat w tym czasie znacznie podrożał. Mogłem też wcześniej go kupić za niższą cenę, lecz tak się złożyło, że pożyczyłem większą sumę koledze, a on nie zwrócił mi ją w obiecanym terminie. Mama moja by zaraz odpowiednio to skomentowała mniej więcej w ten sposób :"Najgorzej jest komuś wygodzić, a samemu sobie zaszkodzić".

Z Pływalnią, która się mieści na naszym Osiedlu po sąsiedzku do dziś dnia jesteśmy ściśle związani. Wpierw w związku pływackim w miejskiej sekcji pływania, gdzie trenował nasz syn, potem córka Iwonka, następnie przez zaangażowanie jako sędziowie pływaccy wraz z żoną wpierw kl. II potem I a obecnie kla-

sy najwyższej związkowej. Byłem także przez pewien okres kierownikiem sekcji pływackiej MZKS Chemik w Kędzierzynie. Wyszkoleni na sędziów pływania po egzaminach udzielamy się do dzisiaj i pomagamy w większych zawodach i ważniejszej rangi.

Na kursie sędziów pływania w Kluczborku druga od lewej moja żona, Wolkiewicz Stasiu, Zenek Szydłowski i ja na prawo

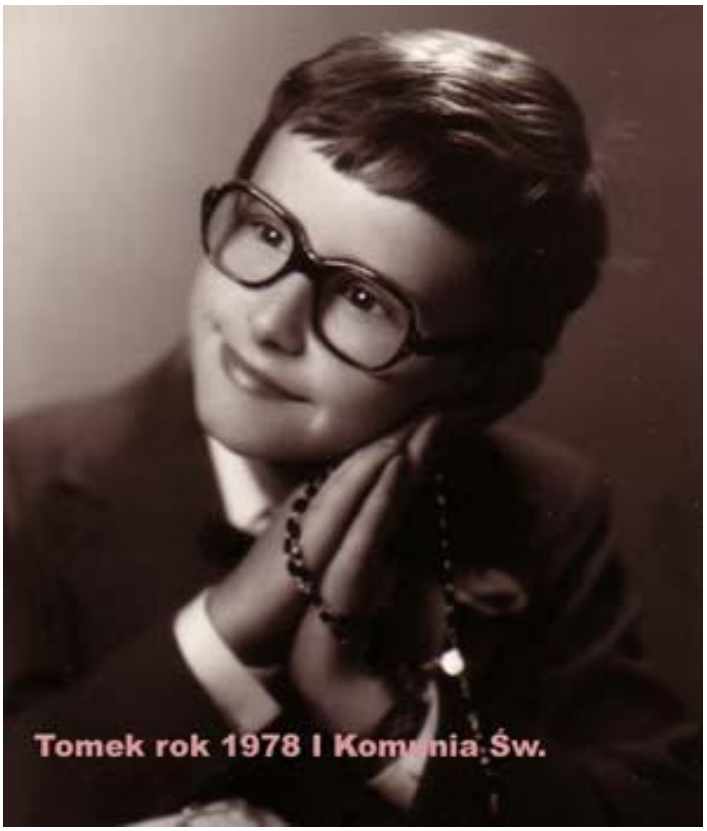

Klasa związkowa jest to najwyższa klasa w Polsce i dlatego ważniejsze zawody muszą być obstawione sędziami związkowymi, bo będą nieważne. Syn Tomasz przez wiele lat był w ścisłej czołówce krajowej w kategorii dzieci grupy A, B, C. Na Pływalni w Oświęcimiu w roku 1978 zdobył mistrzostwo Polski na dystansie 50 m stylem delfinowym z wynikiem 0, 36, 7 i ten rekord długo

potem nie został pobity, jak wynikało z komunikatów krajowych. Drugi dobry wynik w tym czasie to0, 38, 0 na 50 m st. grzbietowym też jako rekord Polski dzieci. W tym czasie wraz z nim pływali tacy wielcy potem zawodnicy jak Podkościelny, Wojdat, Szukała itd. Z którymi wtedy dawał sobie radę w wodzie i zwyciężał na zawodach krajowych.

Wraz z całą Sekcją Pływacką MZKS Chemik byłem wraz z żoną jako kierownik na obozie szkoleniowym pływaków w Szczawnie Zdroju k/ Wałbrzycha.
Trenerem w tym czasie był despotyczny, apodyktyczny i surowy Bogusław Zeler, trenujący poprzednio w klubach wojskowych. Niewygodny dla władz miejskich i partyjnych odszedł i z tą chwilą w sekcji „nie kleiła się praca” i nastało rozluźnienie dyscypliny. Po prostu zawodnicy rządzili trenerem, a to jest niedobre.

Kiedy nadszedł dzień I Komunii Św. Iwonki, zaprosiliśmy do nas również i Teścia, który o dziwo pojawił się u nas, a w prezencie Iwonka otrzymała rzeczy, które rzekomo mieliśmy ze sobą zabrać w czasie naszej ucieczki, czyli ukraść, a więc: złoty zegarek z bransoletą, i srebrne duże monety przedwojenne. Składając swej wnuczce życzenia popłakał się starzec, bo wiedział, ze było to pomówienie i oszczerstwo i że z jego powodu wyjechaliśmy w świat i rozdzieliliśmy się na zawsze.
Z Komunią Św. Iwonki związana jest także śmieszna i zabawna historia ze szwagrem Cześkiem. Otóż na drugi dzień po uroczystości postanowiliśmy w okolicy szukać kogoś, kto potrafiłby grać i w ogóle posiada piłę, tzn taki dziwny instrument do złudzenia przypominający piłę do cięcia ale na nim można po mistrzowsku zagrać każdy utwór. Jest na nim niezwykle trudno grać, bo oprócz idealnego słuchu to jeszcze pozostaje technika odpowiedniego napinania i wyginania tej blachy, tak aby wydostać z niej czysty dźwięk. Każdą nutkę i ton trzeba wydobyć z tej piły, pociągając po niej smyczkiem z kalafonią. Sam grał dość dobrze na tej pile i chciał znaleźć kogoś z kim mógłby się zmierzyć, wymienić poglądy i doświadczenia. Obecnie z dużym powodzeniem gra na tym dziwnym instrumencie jego syn Marek i daje nawet koncerty po kraju, o czym jeszcze napiszę w dalszej części mojej kroniki.

Szwagier na pile w Kraśniku gdzie zespół ten zdobył I miejsce jest tam pan Bednarek, Krzykała i inni muzykanci z Ostrzeszowa

syn Czesława Niesobskiego Marek poszedł w ślady ojca i chwycił za ten wyjątkowy i trudny instrument i nawet jeździ po koncertach z wybitnymi instrumentalistami a nawet spotkał się z życzliwą opinią samego Krzysztofa Zanussiego

Udaliśmy się przeto pociągiem do Dziergowic, bo to jest taka wioska, w której prawie każdy gra i śpiewa i jest muzykiem od urodzenia. Są tam miłośnicy przeróżnych instrumentów muzycznych. Byliśmy po imprezie na niezłym „gazie" W wiosce tej chodziliśmy od domu do domu i nie trafiliśmy nikogo, kto by grał na tym instrumencie. Zmęczeni i głodni, chociaż w domu było pełno jedzenia i picia, kupiliśmy sobie śledzie wędzone i pieczywo w miejscowym sklepiku, aby się posilić i pociągiem wróciliśmy do domu a było już ciemno. Tyle godzin wystarczyło aby ponownie wytrzeźwieć.
Po latach minęły emocje i zacietrzewienia i zaczęliśmy się znów odwiedzać i byliśmy z tego powodu szczęśliwi i dumni. Dumni przede wszystkim dlatego, że pierwsi wyciągnęliśmy do ludzi ręce, prosząc o zgodę i przebaczenie. . Szczególnie z mojej strony zrobiłem wiele i kosztowało mnie to dużego samozaparcia i wysiłku. Nieraz kojarzę sobie ten fakt z biskupami polskimi, którzy wobec Niemców agresorów w czasie II wojny Światowej też zastosowali ten psychologiczny i skuteczny manewr. Podczas każdego pobytu na Sportowej w Ostrzeszowie u Niesobskich oprócz suto zastawionego stołu, graliśmy na instrumentach i śpiewaliśmy do rana. Szwagier Czesiek często zapraszał swoich kolegów też grających i było bardzo głośno i wesoło. Niestety niedługo trwała radość ze wspólnego muzykowania i zabawy. , bo wpierw śmierć Teścia Franciszka a potem nagła śmierć Szwagra Cześka sprawiły że na Sportowej ucichło i nie było już tak wesoło.

Do dziś dnia tęsknię za graniem i śpiewem zbiorowym rodzinnym. Nie wrócą się chyba tamte czasy. Marzeniem moim byłoby, aby moje dzieci lub wnuki grały, lecz zakończyło się na nauce gry i nie mają obecnie ochoty bawić się razem z nami.

Zobaczymy czy dożyję takich przyjemności i zaspokojenia moich pragnień. W tej chwili sytuację ratuje moja wnuczka Ola, która wspaniale gra na gitarze i na pianinie i lada moment a razem wystąpimy w rodzinnym gronie. Do tego dołączy Marek Niesobski, syn Cześka i Piotr, którego grę trzeba docenić, bo gra wspaniale i w zespołach od wielu lat.
Marek Niesobski obecnie wspaniale sobie radzi na tym trudnym instrumencie czyli pile koncertowej, bo nie tylko sprawności ten instrument wymaga, ale doskonałego słuchu, czego mu Bóg nie poskąpił.
Wspólnie z Agratinem Gruzinem oraz Grudzińskim dają koncerty szczególnie latem w ośrodkach wczasowych i obiektach sakralnych.
Ilekroć przyjeżdżała do nas mama w odwiedziny, to na jej życzenie były to bardzo pracowite odwiedziny a nie odpoczynek. Wyręczała nas prawie ze wszystkich prac domowych, a kiedy nas nie było w domu, to zabierała się za naprawę i cerowanie zniszczonych skarpet, pończoch i odzieży nawet takiej do wyrzucenia. Pewnego razu zabrała się do cerowania piżamy i kiedy już miała ją naprawioną to podczas prasowania zadzierając rogiem żelazka rozdarła ją jeszcze bardziej i wtedy rzeczywiście była do wyrzucenia na tzw. „lumpy". Litość nas brała i śmiech pusty, ale cóż było zrobić z tą pracowitą mamą. Pewnego razu wracając z zakupów, obładowana jak zwykle wsiadając do windy wypadł jej klucz a ogórki wysypały się do windy i pojechały do góry a część posypała się na korytarz i klatkę schodową. Zagubiła się, bo nie wiedziała co ma ratować i z płaczem wróciła do domu. Jeszcze innego razu chcąc umyć podłogę ciepłą wodą, postawiła wiadro metalowe na gaz a potem gorące nieopatrznie na podłogę w wyniku czego dno wytopiło kółko na PCW i pozostał ślad nie do usunięcia. Nie pomyślała że można skorzystać z ciepłej wody z łazienki.
W roku 1975 latem urlop i wakacje spędziliśmy z dziećmi nie tylko na pięknym basenie kąpielowym w Ostrzeszowie ale też nad morzem np. , w Ustroniu Morskim w Ośrodku Elektrowni Blachownia czy w Łazach, czy Świnoujściu. Tam też zapoznaliśmy się z rodzinką z Kędzierzyna Koźla z Państwem Waligórów, mających dzieci w tym samym wieku co nasze i do dziś dnia z nimi utrzymujemy częste kontakty i jest nam bardzo miło z nimi i dobrze.
Z czasów, kiedy nasz syn Tomasz jako dziecko intensywnie uprawiał sport pływacki w Szkole Sportowej Nr. 9 w Kędzierzynie Koźlu, począwszy od 6 lat trenował codziennie przed lekcjami i po lekcjach, aż do wieczora. Była to morderczа i mozolna praca. W czasie wakacji wyjeżdżał z ekipą na obozy a w soboty i niedziele zajęty był, ponieważ bardzo często odbywały się zawody pływackie na szczeblu miejskim, klubowym, wojewódzkim, ogólnopolskim a nawet międzynarodowym. Był w NRD, Czechosłowacji, Jugosławii i na Węgrzech. Zmęczony rano po treningu z mokrą głową i rzeczami nie miał siły jeść śniadanie, a podczas lekcji często bezwolnie zasypiał na ławce, a nauczycielka nie miała sumienia jak mówiła go budzić. Wysiłek ten miał wpływ na naukę i ciągle musiał odrabiać zaległe lekcje. Dyscyplina na basenie była duża. Trener nieraz i drewniakiem potrafił „dać klapsa" w" tyłek" lub gwizdkiem na sznurze uderzyć gdzie popadło. Gonił też, kiedy zawodnicy chodzili po platformie basenu w gołych nogach bez klapek. Aby lepsze były wyniki, wymyślał przeróżne metody treningowe, jak płetwy z pleksi na ręce, obciążenia na nogi i w pasie, ćwiczenia ogólnorozwojowe na basenie i w terenie lub na sali dla ciężarowców. . Kiedy zawodnik był chory, to musiał ćwiczyć na sucho. Zawodnicy nieraz byli do tego stopnia zestresowani i pod presją uzyskania dobrego wyniku, że przed zawodami potrafili nawet „popuścić w kroku" lub krew puszczała im się z nosa. Inni nawet pła-

kali. Katorżnicza praca, lecz przynosiła rezultaty. Z małego klubu i nieznanego w kraju wyrósł MZKS Chemik na najlepszego w kraju i liczącego się na Spartakiadach i w tabelach wyników. Każdy wynik uzyskany przez zawodnika na zawodach był rejestrowany w centralnym rejestrze w Warszawie i w każdym klubie. Pamiętam także kiedy byłem w Kierownictwie Sekcji Pływackiej, często prowadziłem rozmowy i spotkania z rodzicami pływaków. W tym czasie jak już wspomniałem pływała również przyszła żona mojego syna Katarzyna Jarosz. Sukcesów większych nie miała, choć zaliczała się też do czołówki. Trener często mówił, że z niej nigdy nie będzie rasowego zawodnika bo pływa „bez ikry" jak jakaś księżniczka albo baletnica. Na spotkaniach z rodzicami najczęściej przychodziła jej matka Róża obecnie teściowa Tomka. Była zawsze bardzo aktywna i bardzo interesowała się warunkami i swoją córką. Była zwykle niezadowolona z sytuacji i warunków na Pływalni, atmosferą w klubie i bardzo aktywnie i krytycznie wypowiadała się w sprawach obozów, treningów. Z wielką troską mówiła o tych małych uczniach i o swojej córeczce Kasi. Mówiła i krytykowała, że nieraz miałem problemy jak z niejednej sytuacji wybrnąć, aby zadowolić tę matkę. Niedługo potem Kasia zrezygnowała z dalszego pływania.
Kiedy Tomek był już dojrzałym zawodnikiem i przeszedł do ratowników, wyjechał nad morze do byłego NRD do Bansina niedaleko Szczecina do pracy jako ratownik z grupą ratowników z Polski. Z kolegą Piotrem Semakiem obecnie sekretarzem wojewody opolskiego chciał na koniec przechytrzyć celników i za całą swoja wypłatę kupili rzeczy, które można było w kraju spieniężyć i przeszmuglować przez granicę. Były to głównie modne szczoteczki do zębów i inne chodliwe artykuły. Przy przejściu na granicy natrafili akurat na znaną im celniczkę surową i dokładnie sprawdzającą przechodzących. Pozostawili bezpańsko swoje torby z tymi artykułami a przy przejściu oświadczyli że to nie są ich bagaże a tylko ludzi, którzy poprzednio przechodzili granicę. Nie wiadomo czy celnicy uwierzyli w ich wersję wyjaśnienia, fakt pozostał taki, że przeszli przez kontrolę bez tych toreb i tak stracili całą wypłatę i dobytek. Doświadczenie uczy, że jeżeli chcesz coś przewieźć nielegalnie, to udaje się zwykle przemyt w drobnych ilościach albo tak dużych że ich nie widać. Niewielkie ilości można było przewozić każdorazowo przy każdym przejściu w trakcie swego pobytu nad morzem. Być może czekali na końcową wypłatę, aby dokonać większego zakupu. Będąc ratownikiem miał nowych kolegów, tych z klubu i nowych. Na Dębowej mieli ratownicy swoją stanicę WOPR owską i pewnego razu zdarzyło się, że nie wrócił na noc do domu. Przerażeni rodzice zaczęli szukać syna. W tym czasie Rodzice jego kolegi również szukali swego syna Andrzeja u nas. Kiedy na drugi dzień wrócili do domów, dowiedzieliśmy się że Tomek spał u swego kolegi Andrzeja u tego, którego rodzice szukali. Andrzej natomiast oświadczył swoim rodzicom, że spał u Tomka w domu. Prawda szybko wyszła na jaw i była wściekłość rodziców, bo chłopcy skłamali. W tym wszystkim była zabawna historia i wszyscy się w końcu z tego śmiali. Oboje po zebraniu ratowników w Stanicy ze względu na niemożność dostania się do domów i ze względu na późną porę po prostu położyli się w Stanicy do snu. Niepokojem napawał nas fakt, że syn nasz często przychodzi do domu z treningu zmęczony i niezdolny do żadnego wysiłku i do nauki. Pomyśleliśmy wówczas że może używa jakiś niedozwolonych substancji lub narkotyków. Po obserwacjach dłuższych i wywiadach myliliśmy się, bo to było faktyczne zmęczenie i znużenie treningowe. Pływak aż do wyczerpania sił trenuje, bo wynik nie przychodzi z wiatru i bez mozołu. Kiedyś bardzo się zdenerwowałem, ponieważ syn wrócił późno i od

drzwi czuć było od niego nikotyną, a obiecywał że nie pali papierosów nałogowo. I że nigdy tego „świństwa" nie miał w ustach. Kiedy drzwi otworzył i poczułem, to moja reakcja była natychmiastowa i mocno uderzyłem go w twarz, że teraz nieraz mam wyrzuty sumienia, że było to pochopne i można było inaczej sprawę załatwić.
W stanie wojennym nie było łatwo. Gdzie się pokazało poza godziną policyjną tzn. po godzinie 22 to były kłopoty i dochodzenie. Wszędzie wojsko i milicja i wielu kolaborantów i szpicli na usługach stróżów prawa. Godzina policyjna jak za czasów okupacji hitlerowskiej. Aresztowania i deportacje, inwigilacje, podsłuchy, byleby człowieka do reszty pognębić. Mówiło się wtedy, że gdyby nie stan wojenny to z pewnością odwiedziłyby nasz kraj wojska radzieckie i inne sojusznicze. Po latach próbujemy gen. Jaruzelskiego skarżyć za ten czyn, ale czy była inna alternatywa ? Myślę że w tych czasach nie. Mówię jako członek Solidarności. Osądzi to historia obiektywnie.
W stanie wojennym zmuszeni byliśmy jechać do Gorzowa Wlkp. Jako zaproszeni goście na ślub Zbyszka i Ani syna Zosi kuzynki mojej. Tuż przed Gorzowem naszą Syrenkę zatrzymali milicjanci do szczegółowej kontroli. W bagażniku wieźliśmy prezent pięknie zapakowany z zastawą stołową na 12 osób. Kazano nam tę paczkę otworzyć i nie pomogły wyjaśnienia, że przecież to zwykły prezent i ku wielkiemu rozczarowaniu kontrolujących okazało się że mówiliśmy prawdę. Ciężkie czasy trwały kilka lat i jest teraz o czym wspominać.
W momencie rozpoczęcia stanu wojennego akurat w dniu 13 grudnia była u nas z wizytą teściowa brata Janusza i matka Elżbiety Zosia Świergiel. Patrzyliśmy rankiem w niedzielę przez okno na przemieszczające się główną ulicą Kędzierzyna czołgi i inny transport wojskowy w kierunku Katowic i Gliwic.

Przeróżne smutne i zabawne historie związane z naszymi dziećmi i z pojazdami samochodowymi –wehikułami naszych czasów

Z Iwonką naszą miały miejsce następujące zdarzenia:

Iwonka jako niejadek

Od małego dziecka tzn. konkretnie od momentu powrotu dziecka od babci Kempowej z Iwonką był problem z jedzeniem. Ciągle „w biegu" trzeba było ją karmić i nie wszystko jej smakowało. Przeszło to chyba obecnie na jej córkę a naszą wnuczkę Olę, bo z nią jest podobnie. Jeszcze na starym mieszkaniu cierpliwość żony nieraz przebierała miarę i kiedyś nawet ukarała ją głodówką. Trwało to wiele godzin, a na drugi dzień, ja jako dobry ojczulek nie mogłem na to patrzeć, szczególnie na to jak z chciwością spogląda na mój talerz i po kryjomu dałem jej kawałeczki mięska do zjedzenia. Ucieszony, że córcia coś wzięła do zjedzenia, , po jakimś czasie w nocniczku zobaczyłem owe kawałki wyrzucone. Jednak dopięła swego i nie poskutkowało to nasze ćwiczenie i kara.

Iwonka uczy się jazdy na rowerze.

Cokolwiek robiła, było w to bardzo zaangażowana i robiła to z wielką ambicją i dokładnie. Tak też było z nauką jazdy na rowerze o dwóch kółkach. Był czas, że syna Tomasza uczyłem jeździć na rowerze. Wpierw na trzech kółkach, potem z kijem z tyłu a wreszcie puszczałem go samodzielnie, aż się nauczył. Pewnego razu, gdy z Iwonką mi nie wychodziło ćwiczenie, tak jak z synem, zdeterminowana i zdenerwowana wzięła rower i tak długo sama ćwiczyła na podwórku, że w pewnej chwili zawołała nas do okna, oświadczając, że już umie samodzielnie jeździć na tym pojeździe. Oczom nie wierzyliśmy, że tak szybko sama opanowała sztukę jazdy na rowerze. Taka to była ambitna dziewczynka. Do dziś zresztą zachowała tę cechę i wykorzystuje ją w życiu.

Z Iwonką na grzybach w lesie.

Będąc kiedyś z Iwonką na feriach u mojej matki w Ostrzeszowie, udaliśmy się tradycyjnie do pobliskich lasów szklarskich na grzyby. Dostaliśmy od mamy każdy nożyki nowe ze srebrnej zastawy stołowej, bo innych nie miała mama pod ręką. Pilnujcie ich „jak oka w głowie" powiedziała wręczając nam je. Kiedy zmęczyliśmy się zbieraniem, zasiedliśmy na pięknej trawiastej polanie z wysoką i soczystą trawą i sitowiem aby spożyć śniadanie i się napić. Po skończonym posiłku udaliśmy się w las po grzyby. Nagle Iwonka stwierdziła, że nie ma nożyka i że chyba go zgubiła. Zaczęliśmy go szukać, modląc się jak zwykle jednocześnie do patrona rzeczy zgubionych Św. Antoniego.
Święty Antoni Padewski Oblubieńcze Niebieski, niech Twa sława nie przeminie, niech ma prośba nie zaginie. I tutaj wymieniało się życzenie. Wracaliśmy dokładnie tą samą drogą. Szukaliśmy dość długo, głównie na tej wielkiej polanie z wysokim sitowiem i trawą. W pewnej chwili dosyć już zobojętnieni, córce coś błysnęło w słońcu w sitowiu. Kiedy ujrzeliśmy pionowo utkniętego nożyka, radość nasza nie miała granic. Stwierdziliśmy więc, że to był istotnie cud, żeby w takim miejscu i warunkach znaleźć takie maleństwo. A propos modlitwy do Św. Antoniego pewna pani słuchaczka Radia Maryja zwróciła się kiedyś do prowadzącego dziennikarza z zapytaniem, "jak to jest możliwe, żeby ten wielki Święty w jednym czasie był w stanie szukać rzeczy zgubionych, kiedy na całym świecie jednocześnie prosi go o to tyle milionów ludzi ?

Wypadek z Iwonką na rowerze.
Chciałem pewnego razu zrobić Iwonce przyjemność i przewieźć ja na rowerze z rurą, ale bez siodełka. Ponieważ nie był on przygotowany do przewozu dzieci, więc rurę tą owinąłem poduszką i ją umocowałem na tej rurze. Posadziwszy Iwonkę na tym wygodnym siedzeniu wyruszyliśmy w drogę a konkretnie na pobliski plac zabaw w rejonie Kościoła Chrystusa Króla. Kiedy zbliżałem się do skrzyżowania i miałem przeciąć ruchliwą ulicę Zamkową, poleciłem mojej córce, aby rozszerzyła nóżki, by nie dostały się w koła. Dziecko widocznie nie zrozumiało polecenia i zamiast nóżki rozszerzyć skupiła je i w tej chwili zdarzyła się tragedia, ponieważ noga dostała się między szprychy koła i widełki i zablokowała pojazd tak że upadliśmy na jezdnię. Sandałki spadły z nóżek a ona w wielkim bólu zdążyła powiedzieć tylko „Tatusiu coś ty mi narobił?" a ja w jednej chwili pobiegłem z nią do znajdującego się w pobliżu Szpitala i okazało się że noga nie jest uszkodzona, a jedynie zerwane ścięgna i zdarta skóra do kości. Po opatrunkach wróciliśmy do domu, a tam nie rozmawiali ze mną ze złości, ponieważ wyjechałem z córką mimo że moja żona i mama były temu przeciwne. Nóżka młoda, elastyczna zapewne poddała się do tego stopnia, że nie została odcięta, bo siła nacisku była przecież b. duża. Rana długo się goiła, ponieważ była na części ruchomej nogi w kostce, lecz minęło wszystko i pozostał ślad na całe życie po tym wypadku, Jest i nawet zdjęcie z tym bandażem, które zrobiliśmy sobie jak zwykle podczas wizyty w zakładzie fotograficznym u naszej Mieci.

Marek Niesobski lata siedemdziesiąte a niżej
Miecia jego mama

Dzieci w Przedszkolu
Oboje byli w Przedszkolu, każdy w innej grupie, ze względu na różnice wiekowe, lecz codziennie, kiedy rozchodzili się do swoich grup, nie mogli się rozstać i całowali się wielokrotnie do tego stopnia, że wychowawczyni stwierdziła, że jest to najbardziej kochające rodzeństwo jakiego ostatnio widziała i dawno nie było takiego w Przedszkolu.

Powiedzonka Iwonki
W czasie, kiedy córeczka uczyła się mówić, ze zrozumiałych względów jak każde dziecko miała trudności ze skomplikowanymi wyrazami jak np. : na ubikację mówiła „okaciacia" a na autobusik „abojusik" a na kołdrę „kodrła"

Natomiast z naszym synem Tomkiem miały miejsce następujące zdarzenia:

Tomek i barany, Tomek pije oranżadę
W czasie kiedy nie mieliśmy jeszcze samochodu, przemieszczaliśmy się pociągiem, bądź autobusem czy tramwajem. Pewnego razu patrząc przez okno pociągu Tomek widząc na łące stado owiec i baranów powiedział" Tato popatrz ile tam się pasie psów" Nie ma się czemu dziwić, ponieważ było to dziecko z miasta i najprawdopodobnie owiec i baranów jeszcze nie widział. A one przypominały mu psy. Na przesiadce w Opolu na stacji, poczęstowałem go oranżadą a on pił do przesady, więc zwróciłem mu uwagę" Co tak pijesz tę oranżadę na siłę ?" a on poważnie odpowiedział bez zastanowienia „Tatuś to bardzo dobrze, będę pił, bo chcę mieć siłę" Przyjął tę moją uwagę zbyt dosłownie.
Tomek i Huta Batory w Chorzowie

Przyjął też jak dziecko dosłownie moje wyjaśnienie co robi się w hucie, ponieważ akurat przechodziliśmy obok Huty Batory kierując się do Świętochłowic do Irki Widerowej, wyjaśniłem mu że tutaj topi się stal. On natomiast też bez zastanowienia skonstatował" Tatuś, to tam musi być dużo wody, żeby tę stal utopić" Nie wiedziałem jak go z tej niewiedzy wyprowadzić.

Tomek na huśtawce

Jak już wspomniałem, kiedy studiowałem nie było mnie codziennie wieczorem i po południu w domu, bo wykłady były po pracy po południu w Punkcie Konsultacyjnym w Azotach. Zdarzyło się pewnego razu, że dzieci z podwórka przyprowadziły naszego syna całego zakrwawionego, ponieważ podleciał pod huśtawkę w ruchu i został nią uderzony w brodę. Żona zemdlała na taki widok, ale na pomoc akurat przyszedł mój kolega, który zabrał go do Szpitala na opatrunek. Żona, opiekująca się dwojgiem małych dzieci, podczas mojej nieobecności w domu, miała wiele problemów i niejednokrotnie nie mogła sobie poradzić z nimi, szczególnie kiedy ręce miała zajęte siatkami wyładowanymi zakupami. Któregoś dnia niemal nie zemdlała. Wnosząc na ręku małe dziecko po schodach, drugie natomiast było uwieszone u spódnicy, obładowana jak zwykle zakupami, wysypała ziemniaki i inne zakupy z siatki i nie wiedziała co wpierw robić czy otwierać drzwi, czy trzymać dziecko na ręku, czy też zbierać po schodach zakupy. Podobno nawet się wtedy popłakała z bezradności.

Tomek w wannie

Pewnego razu odwiedziła nas w domu wspólna nasza koleżanka Jadzia i żona była zajęta gościem, a nasz Tomek akurat kąpał się w wannie, puszczając sobie na głowę gorącą wodę i w pewnej chwili usłyszałem dziwny głos i plusk wody jakby ktoś upadł. Wskoczyłem natychmiast do łazienki a dziecko było już pod wodą. W pierwszej chwili pomyślałem że żartuje jak zwykle, bo w wodzie czuł się dobrze jako pływak, lecz po wyciągnięciu go stwierdziłem że w ogóle nie reaguje i nie daje znaku życia. Nie pomyślałem o sztucznym oddychaniu, lecz zaraz owinąwszy go w koc i ręczniki pobiegłem z nim do znajdującego się nieopodal Pogotowia a w drodze otwarł oczy, uśmiechając się do mnie wypowiedział słowo „Tatusiu". Ucieszyłem się, bo była to oznaka życia. Kiedy pokazałem syna lekarzowi dyżurnemu, to on nic nie stwierdził i powiedział tylko że jest to wielkie szczęście, że odzyskał świadomość w drodze. Od tej pory podczas kąpieli, nigdy nie zamykamy drzwi wejściowych do łazienki ze względów bezpieczeństwa. Po latach jak to będzie opisywane w dalszej części moich wspomnień łazienka była zamknięta a nas nie było, ponieważ byliśmy w Bułgarii. Iwonka będąc wewnątrz straciła przytomność i upadając na drzwi wejściowe zalana była krwią z żołądka a Tomek nie mógł się do niej dostać.

Tomek i modlitwa

Był bardzo zabawny, nawet podczas modlitwy. Dzieci modliły się razem lub razem z nami a przede wszystkim ze swoją mamą. Nawet po śmierci ich dziadka Franciszka modliły się przez dłuższy czas" z rozpędu" o zdrowie dziadka, a on już dawno nie żył. Wychodząc z domu mówił" zostańcie z Bogiem" a wchodząc do domu" Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" i robił to chyba machinalnie, bo nawet, kiedy wyrzucał śmieci na korytarz do zsypu lub wracał z dworu z zabawy, kiedy coś tam „nabroił" też mówił te pobożne slogany.

Zabawne i przykre zdarzenia związane z pojazdami samochodowymi
W nasze życie końca XX wieku wpisały się też pojazdy samobieżne jak samochody, pojazdy kosmiczne oraz komputery i komórki.
Z tymi pierwszymi związane są zabawne i przykre zdarzenia a kilka z nich opiszę:

Samochody teścia
Na początku wieku, kiedy rodzice nasi dojrzewali, samochód był niezwykle rzadkim pojazdem. Niemniej jednak niektórzy bogaci przedsiębiorcy już je posiadali. Teść mój Franciszek jak i jego ojciec prowadzący w mieście interesy, posiadali wcześnie samochód dostawczy marki Citroen, który wyparł pojazd konny i służył im do rozwożenia towarów. Po nim miał jeszcze wiekowego Opla, DKW, którą humorystycznie określali jako „dykta, klej i woda" a potem nastała era Syren. Posiadał Syrenkę, która miała przeróżne wady, niedoskonałości i chimery. Los „dekawki" był smutny, ponieważ na koniec zamiast do muzeum, przekazano ją na wioskę, celem przechowania i tam czynniki atmosferyczne zrobiły swoje, w rezultacie czego służyła jako kurnik i potem jako psia buda. Już nie wróciła do właściciela. Pamiętam że Opel był bardzo stary i posiadał jeszcze kierunkowskazy w postaci łapek, wysuwających się na lewo i na prawo ze specjalnych kieszeni, umieszczonych po obu stronach karoserii samochodu. Oplem tym zajął się potem mąż wnuczki jego, ale w końcu znikła gdzieś z horyzontu i nie wykorzystano nigdy tego pojazdu jako zabytkowego na żadnym pokazie czy rajdzie. A szkoda! Syreną a wcześniej DKW ką teść przemieszczał się często, jadąc na wioski, aby fotografować, głównie w soboty i w niedziele. W danej wiosce w tym czasie załatwiał wszelkie zamówienia na zdjęcia z różnych okazji i dlatego pojazdy te były intensywnie wykorzystywane. Pewnego razu jadąc na wioskę ze swoim wnuczkiem Markiem „nawaliły" hamulce i dalsza jazda była niemożliwa. Jeździł zawsze z wnukiem, ponieważ kiedy była jakaś po drodze awaria, to posługiwał się nim, a ten malec był tak wyszkolony, że niejednokrotnie potrafił awarię usunąć szczególnie gdy trzeba było wczołgać się pod samochód. Tak też było z tym hamulcem, że zjechał na pobocze i Marek wsunąwszy się pod samochód jakoś naprawił to uszkodzenie. Niestety nie na długo, bo podczas dalszej jazdy nagle awaria „wróciła" i jadąc z góry przez otwarte okno samochodu krzyczał na przechodniów, aby się usunęli z drogi bo ma uszkodzone hamulce. Taka sytuacja trwała aż do całkowitego zatrzymania pojazdu, posługując się jedynie redukcją biegów. Dekawkę pamiętam, kiedy często na placu „Na Stawku" wraz z kolegami musiałem ją pchać aby „zapaliła". Ciągle były z tym problemy, ale cóż „starość nie radość" Syrenkę potem darował swemu zięciowi Staszkowi, która mu wiele lat służyła.

Syrenką na grzyby
Syrenką tą nowy właściciel wybrał się kiedyś wraz z żonami moją i swoją do lasu na grzyby. W drodze powrotnej w leśnych ostępach na drodze piaszczystej nagle Syrena „odmówiła" posłuszeństwa i dalszej jazdy. Trzeba było ją po tym piasku pchać, aż do wylotu drogi poza las na uczęszczany szlak. Była to szczególnie dla kobiet mordercza praca, zważywszy fakt, że kierowca siedział sobie wewnątrz samochodu. Zatrzymany przypadkowo kierowca motoroweru stwierdził że samochód „odmówił" jazdy, ponieważ w baku jest sucho a bez paliwa nie pojedzie. Prozaiczna sprawa, więc po co był ten wysiłek? Poproszono tego człowieka, aby dowiózł nieco paliwa z najbliższej stacji, tak aby można

było wrócić do domu i po uzupełnieniu paliwa nieprzezorny kierowca mógł kontynuować jazdę powrotną do domu.

Ze szwagrem w Syrenie
Syreną wracaliśmy kiedyś do domu, a było na dworze bardzo wietrznie i deszcz zacinał, więc wyjście z samochodu z ”potrzebą’ nie było przyjemne. Szwagier przezorny ustawił się na poboczu drogi w taki sposób, aby moja wielka postać mogła go zasłonić od wiatru podczas załatwiania się na stojąco. Niestety było na tyle nie przemyślane, ponieważ po oddaniu moczu, stwierdził, że cały został oblany moim moczem, bo wiatr wiał akurat w jego kierunku, czego nie przewidział. Przykro mi było, lecz nie było to z mojej winy a tylko ze zwykłej przebiegłości i wyrafinowania szwagra.

Pierwsze uszkodzenia
Syrena moja, pachnąca jeszcze świeżością, któregoś dnia stała pod domem i skusiła jakiegoś wyrostka, bo mi ją naznaczył gwoździem na obwodzie dookoła samochodu na wysokości ręki. Było to dla mnie dużą stratą, ponieważ trudno jest taką głęboką rysę usunąć bez śladu. Miałem ją więc aż do końca użytkowania samochodu.

Jazda na ręcznym hamulcu
Pierwsza moja jazda tą Syreną odbyła się do pobliskiego Ujazdu. Załadowałem więc całą moją rodzinkę na pierwszą przejażdżkę a ja byłem szczęśliwy, że mogłem im wyświadczyć tę przyjemność. W pewnej chwili na stromym podjeździe do Rynku przy redukcji biegów nagle samochód zaczął staczać się z górki, więc zaciągnąłem ręczny hamulec i po ponownym jego uruchomieniu, nie zwolniłem hamulca i dodałem gazu, że Syrena „stanęła dęba” aż wreszcie „zdenerwowana” rzygnęła parą i gorącą wodą. Para zaś rozerwała przewód łączący silnik z chłodnicą. Włosy najeżyły mi się na głowie ze strachu. Niestety trzeba było samochód zostawić na Rynku i wracać do domu autobusem, żeby po usunięciu awarii i uzupełnieniu płynu chłodniczego powrócić już samochodem do domu.

Kolejne uszkodzenia
Parkowałem swoją Syrenę w Ostrzeszowie” Na Stawku” W tym dniu ustawiło się wiele samochodów na tym małym placu i było ciasno. Przy wycofywaniu nagle usłyszałem dość potężny huk i nawet nie miałem ochoty obejrzeć skutków tego uderzenia. Jednak po chwili wyszedłem i stwierdziłem, że samochód sąsiada jest nienaruszony i odjechałem spokojnie. Po czasie przyjrzałem się ponownie swojemu pojazdowi i stwierdziłem, że powstało wgniecenie na zderzaku w wielkości małego groszku. Z tym wgnieceniem przejeździłem do końca eksploatacji pojazdu.
W ciężkich czasach na początku lat osiemdziesiątych jeszcze w stanie wojennym, kiedy w sklepach była tylko sól i ocet, a w sklepach mięsnych nagie haki, po ludziach krążyła taka oto anegdota: Jaka jest różnica między zaopatrzeniem w sklepach przed wojną a w stanie wojennym? Pytano.
A odpowiedź oto taka: Ano taka że przed wojną na sklepach mięsnych pisano Rzeźnik a na hakach były wędliny i mięsa a obecnie na sklepach piszą mięso, wędliny a w środku stoi rzeźnik - sprzedawca. W tych ciężkich czasach zamówiliśmy sobie u chłopa na wsi świnię, więc należało ją po zabiciu na miejscu

przewieźć do domu do dalszego przerobu. Należało więc na podwórze teścia od tyłu wjechać, aby nie wzbudzać sensacji wobec sąsiadów i przechodniów z ulicy. Było to więc przedsięwzięcie niedozwolone i karane. Podwórze to było zamykane wielką bramą stalową, kutą, ozdobioną wieloma elementami z metaloplastyki. Była ona zamykana na klucz. Przy okazji przewozu tej świni przez tę bramę przypominam sobie pewne zdarzenie z teściem, kiedy raz wracał do domu w stanie nietrzeźwym i nie zabrał klucza od tej wielkiej bramy. Domownicy tego domu spali, bo było bardzo późno. Brama była zamknięta, więc nie zastanawiając się długo jak to pijany śmiały i odważny, wybił szybę a były one dopiero od wysokości 1, 20 od ziemi, i przez mały otwór przedostał się do środka starzec mający przeszło siedemdziesiąt lat. Kiedy wytrzeźwiał, to długo zastanawiał się czy było to możliwe, aby w takim wieku i na takiej wysokości przejść przez taki mały otwór. z pewnością na trzeźwo by tego wyczynu nie dokonał, ale po pijanemu z odwagą i determinacją wszystko jest możliwe. Mówił także często że „pijak ma szczęście" albo „pijanego Pan Bóg strzeże" bo kiedy Pan Jezus chodził po świecie i znalazł się w potrzebie, aby przedostać się na drugi brzeg rzeczki, każdy ze spotkanych odmawiał mu tej usługi, aby go przenieść na ramionach, a pijany izraelita bez problemu przeniósł go na drugi brzeg, tak że Jezus nie zamoczył nóg. Z tej opowiastki więc wynika to obiegowe powiedzenie.
Ale wracając do tego transportu w bagażniku Syreny tej świni przez ową bramę, jadąc tyłem do podwórka zahaczyłem błotnikiem o wystającą różę ukutą w stali. Został ślad zadrapania dość znaczny, a Syrena zaklinowała się tak że w drodze powrotnej ponownie zarysowałem samochód o tę samą różę.

Syreną na wczasy

Każde wakacje z dziećmi spędzaliśmy bądź nad morzem, bądź nad jeziorem, a głównie tam gdzie była woda, ponieważ nie przepadamy za wypoczynkiem w górach, my pochodzący z nizin czyli ceprowie. Był to wypoczynek z małymi dziećmi w Ośrodku Wczasowym zakładowym lub pod namiotem nad jeziorem czy rzeką. Wspólnie z naszymi przyjaciółmi Tadkiem i Zosią, ich dziećmi oraz obowiązkowo z Markiem siostrzeńcem mojej żony z Ostrzeszowa.
Aby zabrać odpowiednio dużo rzeczy dla całej powiększonej rodzinki oraz namiot, naczynia kuchenne, żywność, odzienie wymienne, szczególnie w trudnych czasach, należało maksymalnie doładować ten pojazd, tak że nawet ziemniaki i garnki miały dzieci na kolanach. Aby nie otrzeć uginającego się bagażnika na dachu pojazdu, postanowiłem utoczyć z aluminium przedłużki i je zamontowałem na bagażniku, tak że był on wyżej. Nie ujechałem daleko. Przy najbliższym postoju, sprawdzając machinalnie zachowanie się owych przedłużek i stabilności nowego układu, z przerażeniem stwierdziłem że przedłużki aluminiowe „popłynęły" i bagażnik opadł na bok, uszkadzając jednak dach pojazdu. Nie sprawdziło się moje usprawnienie. Załadowany do oporu mechanizm zamknięcia pokrywy bagażnika na tyle nie był skuteczny, że co chwila przy nierównościach drogi pokrywa otwierała się i co było luźno utknięte, wysypywało się z bagażnika Tak gubiliśmy klapki, sandały, garnki i owoce. Tak więc musiało być niestety aż dojechaliśmy nad morze. Dzieci w tym zagęszczeniu miały różne rzeczy na kolanach a pod nogami też różne rzeczy.

Syrenka w wodzie
Pewnego razu odwiedziła nas cała rodzinka mojego brata z Sycowa. Rzadko nas odwiedzali, więc kiedy już byli u nas to było wielkie święto. Nie mieli jeszcze własnego samochodu, więc okolice zwiedzaliśmy moim samochodem. Aby dojechać na Górę Św. Anny, należało dotrzeć do mostu w Leśnicy i akurat ten most był w remoncie i był nieprzejezdny. Należało więc drogą okrężną go ominąć i dotrzeć do celu. Jakież było nasze zdziwienie, ponieważ pewien odcinek drogi należało pokonać wzdłuż rzeczki, która tam płynie. Koryto rzeczki szerokie, więc Syrena się w nim mieściła. Woda przedostawała się do wnętrza a Syrenka jechała jak gdyby nigdy nic. Dla dzieci była to wielka atrakcja i długo wspominały tę nietypową i dziwną jazdę.
Na drodze przed Strzelcami, jadąc samochodem, nagle pojawiła się ściana zieleni przed moimi oczami. Okazało się że na drodze prowadzono cięcie drzew i nie oznakowano przejazdu, a drzewa ścięte przewaliły się na drogę i ją tarasowały. Syrenka zanurzyła się w tych drzewach i utonęła w zieleni. Nagle zahamowałem a efektem tego spotkania były na karoserii rysy i zadrapania.

Syrenka w poślizgu
Pewnego razu tuż po Święcie Zmarłych siostrę żony Irenę odwoziłem na dworzec PKP a było wówczas dosyć ślisko bo złapał pierwszy mróz. Podczas hamowania przed pasami dla pieszych pojazd nagle stracił przyczepność i sunął sobie bezwładnie do przodu i nie pomagały żadne techniczne moje manewry w efekcie czego uderzyłem w stojący przede mną duży Fiat i oba samochody doznały uszczerbku. Była naprawa i koszty. Gdyby nie spotkanie się z tym Fiatem z pewnością uderzyłbym w przechodniów.

Espero też był w poślizgu
W podobny sposób, lecz na prostej drodze o lekkim łuku jadąc 20 km na godz. na Górę Św. Anny tuż za Cisową i też na początku listopada, z tym że był już pierwszy śnieg, Espero moje straciło przyczepność i kontakt z jezdnią i przy redukcji biegów uderzyło w drzewo stojące przy drodze. Samochód uderzył z niewielką siłą ale było ślisko że nawet go obróciło. Uszkodziłem wszystkie blachy z przodu i lampę. Też były koszty naprawy i to niestety bez Auto casco.

Syrena w śniegu
W zimie stulecia na Sylwestra postanowiliśmy odwiedzić krewnych w Ostrzeszowie. W samego Sylwestra nasypało tyle białego puchu, że moją Syrene przykryło i nie było możliwości wyjechać z tych zasp śnieżnych. Syrenę wprowadziłem bowiem głęboko w podwórze i zamknąłem za bramą, ponieważ obawiałem się że w Sylwestra zgodnie ze zwyczajem młokosy sprawią mi psikusa i zdemolują samochód. Zmuszeni byliśmy czekać na wyjazd aż do wiosny a sami wróciliśmy do Kędzierzyna pociągiem z przygodami i przesiadkami. W Nowy Rok chłopi do Kościoła jechali saniami konnymi z dzwoneczkami jak za dawnych lat.

Życie w miasteczku zamarło z powodu śniegu. Skoro przyjechaliśmy do Kędzierzyna, zdziwiło nas że w tym mieście nie widać takiej srogiej zimy, a ruch na drogach był normalny.

Awaria sprzęgła w Syrenie

Któregoś powrotu z wczasów znad morza Syrena moja obciążona jak zawsze „do bólu" spisywała się przez całą drogę bez zarzutów, lecz po przejechaniu tylu kilometrów tuż przed naszym przystankiem w domu mamy dosłownie w odległości ok. 100 metrów zerwała się linka sprzęgłowa i tylko rozpędem udało się na luzie podjechać pod dom i na drugi dzień awarię tę usunąłem. Dobrze że awaria ta miała miejsce tuż pod domem, a nie gdzieś w trasie na jakimś odludziu.

Spotkanie z pijanym człowiekiem

Odwiedziliśmy pewnego razu na obozie pływackim w Sosnowcu naszego syna. W drodze powrotnej błądziłem po ulicach miasta i nie było nikogo kto by mi wskazał właściwą drogę powrotną a było już bardzo późno. Spotkaliśmy jedynie pijanego, lecz on bredził coś sobie pod nosem i nie reagował na nas. W końcu wskazał nam jak się okazało błędną drogę. W rezultacie wyjechaliśmy gdzieś za miasto i nagle droga się urwała i zaczęły się pola. Trzeba było więc wracać i dalej błądzić po Sosnowcu i Będzinie.

Rozładowany akumulator

Kiedyś latem tuż przed wczasami Syrenkę dobrze przygotowałem do jazdy. Wszyscy umówieni, gotowi do drogi. Urlopy pozałatwiane, wczasy zapłacone.

Wsiadając do samochodu, spakowany, wpierw jak zwykle włączyłem radio, aby było weselej i cóż nie miało ochoty zagrać, a nawet się nie zajarzyło. Nie można też było uruchomić samochodu, więc stwierdziłem, że akumulator jest całkowicie rozładowany. Poprzedniego dnia a może jeszcze wcześniej używałem świateł pod wiaduktem kolejowym na Pogorzelcu i tak zostawiłem samochód pod domem z włączonymi światłami. Musiał się doszczętnie rozładować. Ładowanie akumulatora trwało długo, a my zmuszeni byliśmy cierpliwie poczekać, wysiadając z samochodu.

Syrena bez kierunkowskazów i bez świateł

Wracając kiedyś późną nocą Syreną z małymi dzieci w środku, nagle „wysiadło" mi lewe światło drogowe i jechałem na jednym. Żarówek zapasowych tego typu nie miałem na wyposażeniu, więc nie wymieniałem. W Namysłowie zatrzymany zostałem przez milicyjny patrol drogowy i funkcjonariusz nakazał mi usterkę ową usunąć na miejscu, bo w przeciwnym wypadku nie będę mógł kontynuować jazdy, z uwagi na zagrożenie. Nie mogąc się przyznać, że nie mam rezerwy, naprawiałem długo na niby, udając, że szukam zwarcia. Zdenerwowany milicjant podszedł i nie mógł mi też w tym pomóc, więc zdecydowałem się na kontynuację jazdy. Zwrócił mi tylko uwagę, abym podczas jazdy nie dać się złapać następnej kontroli w Opolu. Oboje stwierdziliśmy, że jest uszkodzona instalacja elektryczna i trzeba fachowca. Nie było w końcu żadnej kontroli, a mi w dodatku „wysiadły" oba kierunkowskazy. Wobec tej awarii, byłem zmuszony poradzić sobie inaczej, aby dojechać do domu. Otóż latarką kieszonkową pomagałem sobie w ten sposób, że przez otwarte okna bądź z lewej strony, bądź z prawej albo ja, albo żona na przemian dawała znak skrętu w lewo lub w prawo i tak dojechaliśmy na miejsce.

W Syrenie było nawet 6 pasażerów

W Syrenie kiedyś mieliśmy nadmiar pasażerów, więc ilekroć przejeżdżaliśmy przez miasto lub mijaliśmy patrol drogową, kazaliśmy nadliczbowemu pasażerowi- dziecku chować się pod siedzeniami i między nogami na komendę. Śmiechu było co niemiara, ale do celu dojechaliśmy bez mandatu. Na szczęście.

Citroen uruchomiony za dotknięciem różdżki czarodziejskiej

Z Citroenem miałem natomiast takie zdarzenie. Prawie z nowym akumulatorem wyruszyłem w daleką trasę i na postoju na trasie, podczas uruchomienia nie zadziałał silnik. Próbowałem różnych sposobów i nie udawało się. Żona zdenerwowana wyszła z pojazdu i nieświadomie dotknęła zacisków akumulatora i silnik natychmiast zadziałał. Zaraz też domyśliłem się że problem jest w zaciskach akumulatora i po wyczyszczeniu i dociśnięciu klem naprawiłem usterkę.

Problemy z Dieslem zimą

Pewnej srogiej zimy, w samego Sylwestra, syn mój miał wielki problem, aby uruchomić swojego Diesla. Poprosił mnie, abym mu pomógł, lecz niestety wpierw byłem zmuszony uzupełnić paliwo w baku i dlatego pojechałem na stację benzynową aż do Koźla. Tam po zatankowaniu, niezgodnie z przepisami, ruchu drogowego, skręciłem, nawracając w lewo, włączyłem się do ruchu za przyzwoleniem współużytkownika, który mnie nawet wpuścił do kolejki. Wpuścił mnie przed siebie i ten manewr obserwował funkcjonariusz policji drogowej, który puścił się za mną w pogoń, ale ja o tym nie wiedziałem, że jestem ściga-

ny. Na prostym odcinku drogi, patrol widząc, że jadę dość szybko i nie mógł mnie dogonić, włączył alarm i wtedy zobaczyłem ich samochód i zjechałem na pobocze, aby mu ustąpić miejsca. Nie przypuszczałem że on zatrzyma się przy moim samochodzie. Po zatrzymaniu dowiedziałem się od niego że przekroczyłem kilkakrotnie przepisy przy wyjeździe ze stacji benzynowej i nie zatrzymałem się podczas pościgu. Na domiar złego w czasie kontroli okazało się że nie mam w ogóle żadnych dokumentów. W pośpiechu zostały w domu. Na szczęście byłem trzeźwy a funkcjonariusz miał humor sylwestrowy. Nie pomogły wyjaśnienia zaistniałej sytuacji i tego że się śpieszę, bo syn na mnie czeka, bo spisał mnie i groził kolegium. Ale gdy mu opowiedziałem, że jestem działaczem PZMot i uczę dzieci w szkole na kartę rowerową jako ich pomocnik i znam przepisy zaczął „miękną” i z uwagi na szczególny dzień bo był to Sylwester w ramach dobrego humoru i prezentu
Noworocznego jak powiedział, darował mi w końcu karę i spokojnie wróciłem, aby synowi dopomóc w jego kłopocie.

Matura Iwonki, Choroba Iwonki. Dalsza jej edukacja, Racibórz i Opole. Koniec z pływaniem u Tomka. Koniec jego nauki w szkole, Iwonka ze Zbyszkiem, Śmierć matki, Wesele w zamku w Szalejewie. Tomek w wojsku, Tomek i Syrena.

W Liceum Ogólnokształcącym Iwonka wpierw była na „Mat-fizie" a potem przeszła na kierunek ogólny, ponieważ stwierdziła, że nauki ścisłe nie są jej najmocniejsza stroną a i tak w przyszłości zajmie się edukacją dzieci od 1 do 3 klasy. Skończyła edukację w Liceum i natychmiast jeszcze zanim podjęła studia wyższe, udała się do Raciborza na Studium Pedagogiczne pomaturalne, które z powodzeniem ukończyła. Pomagałem jej w pracy końcowej, wykonując planszę- makietę ukształtowania terenu oraz pisałem jej na maszynie całą pracę końcową.
Tomek natomiast zakończył swoje sportowe przygody i wyczyny związane z pływaniem nie skierowaliśmy go do Szkoły Sportowej, ponieważ była w Raciborzu i byłby bez naszej kontroli i bez dodatkowej pomocy. Rozpoczął uprawiać ratownictwo wodne w WOPR K. -Koźle i tam też miał sporo sukcesów szczególnie w organizowanych zawodach sportowych.

nasza Oleńka w dniu swojej I Komunii Świętej

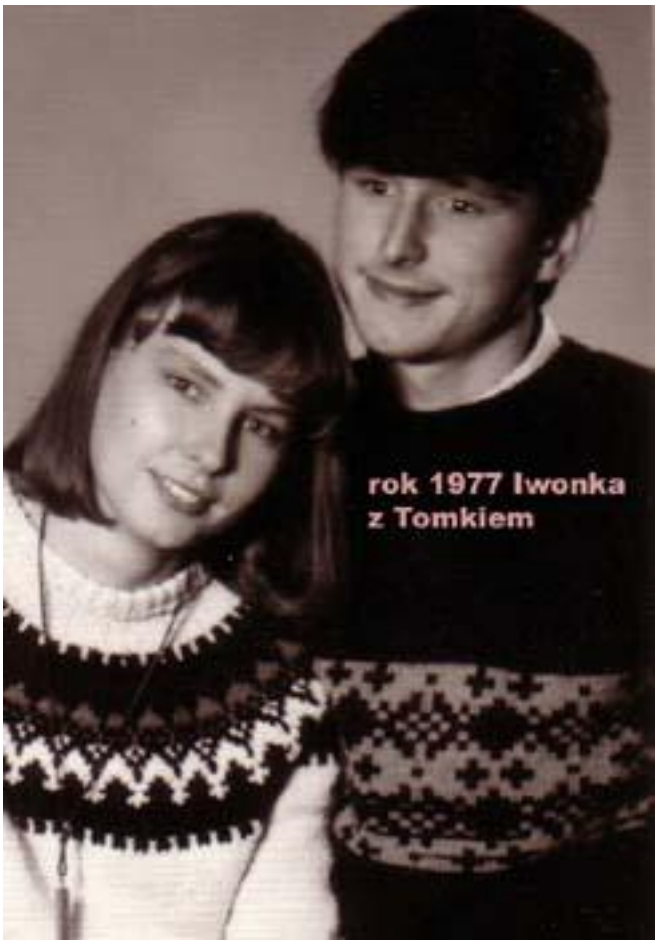
rok 1977 Iwonka
z Tomkiem

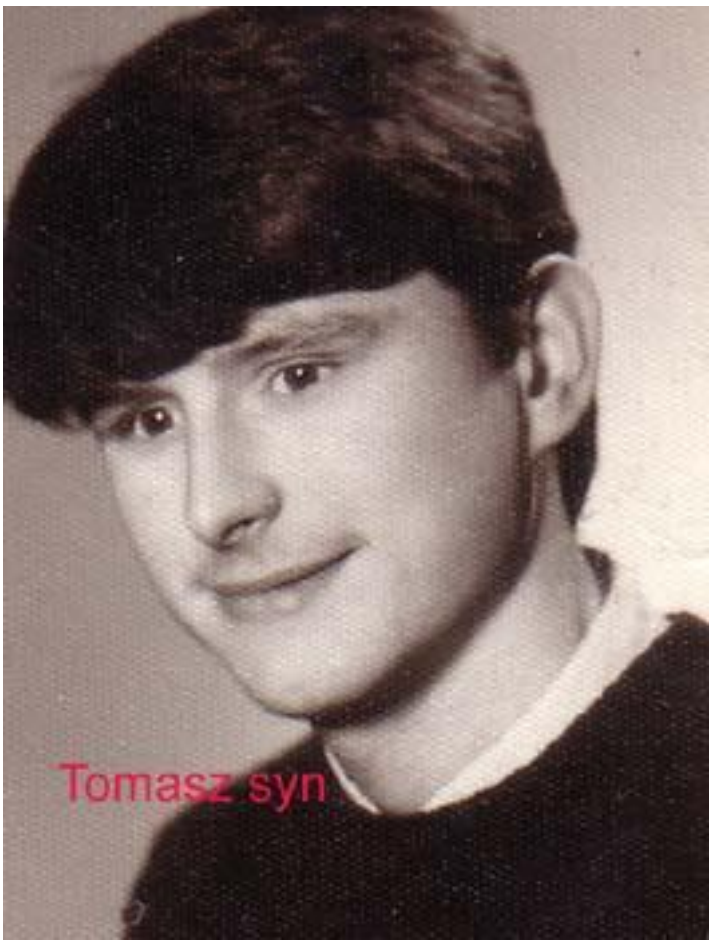
Tomasz syn

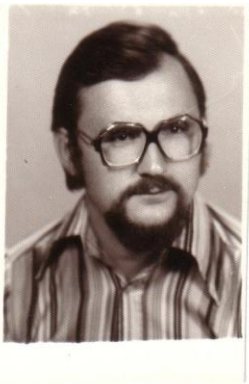

z dzieciakami lata siedemdziesiąte

Ze względu na moje znajomości w Szkole przy Elektrowni Blachownia, bo tam przez wiele lat uczyłem, załatwiłem mu naukę w miejscowym Technikum Energetycznym, na kierunku elektrycznym. Ciężko mu było, bo miał braki ze Szkoły Podstawowej i presja moja, aby naukę kontynuował mimo przeciwności, kontrolowany systematycznie przeze mnie nie wytrzymał i sam odszedł z tej Szkoły i załatwił sobie nieco lżejszy kierunek w Szkole Średniej w Sławięcicach na kierunku obróbka skrawaniem, które ukończył zgodnie z planem w roku 1987.
Iwonka przeżywała ciężkie chwile, ponieważ nie wiadomo z jakich powodów znalazła się w Szpitalu z ciężkim uszkodzeniem ścian żołądka i krwawym wylewem z jelit.
Przebywaliśmy w tym czasie na wczasach w Bułgarii w Warnie i kiedy wróciliśmy do domu, zastaliśmy zmartwionego syna, który oznajmił nam, że nasza córka leży w Szpitalu w Koźlu. Krytycznego wieczoru zażywała kąpieli, a syn już niemal zasypiał. Usłyszawszy jakieś dziwne hałasy i uderzenie pobiegł do łazienki i zobaczył zalaną krwią swoją siostrę. Czym prędzej zawiadomił pogotowie i w ten sposób jak mówił lekarz, uratował swoją siostrę od niechybnej śmierci i wykrwawienia. Smutno nam było i zaraz też udaliśmy się do Szpitala do chorej. Po wyleczeniu za jakiś czas ponowiło się krwawienie i przy pomocy mojego kolegi z Niższego Seminarium Jurka Potockiego ulokowałem moją córkę w Klinice w Ochojcu u Profesora Misiewicza i w efekcie choroba i krwawienia ustąpiły. Potrzebne lekarstwo o nazwie Denol trudno dostępne u nas w kraju załatwiła nam życzliwa kuzynka z Warszawy Mariola oraz były mój Dyrektor Elektrowni Blachownia a obecnie Dyrektor Elektrowni w Opolu inż. Józef Pękala. Ten sam Dyrektor pomógł córce dostać się na studia Pedagogiczne do Opola, ponieważ pomimo zdania egzaminu wstępnego na dobrze z plusem nie została przyjęta. Z kwiatkami i koniakiem udaliśmy się do niego, aby mu podziękować za udzieloną pomoc i protekcję. W tym przypadku skorzystano z limitu, jakim dysponuje każdy Dziekan Wydziału przy przyjęciach na swój kierunek.
W pracy nic nowego, chyba jedynie to że ja jako założyciel Solidarności w zakładzie, przeszedłem do innego związku branżowego a tylko z powodu bardzo prozaicznego przypadku. Po prostu byłem do tego przepisania sprowokowany. Na rynku w tym czasie były trudności ze wszystkim, a ja zaplanowałem w moim mieszkaniu wymianę wanny i kafelkowanie łazienki i kuchni. Aby zdobyć te cenne materiały i urządzenia użyłem sposobu nie z tej ziemi. Wysłałem zamówienie służbowe za zgodą Dyrektora Elektrowni do Hurtowni Materiałów Budowlanych do Kluczborka. Z tej Hurtowni swoim samochodem sprowadziłem materiały. Naturalnie fakturę zapłaciłem z własnych środków. Nie obyło się to bez bólu, bowiem Dyrektor zgodził się na tę kombinację pod warunkiem, że przejdę do innych związków zawodowych a właściwie zapiszę się na nowo, ponieważ Solidarność po stanie wojennym ponownie „odżyła” a członkowie zostali jedynie zawieszeni w czynnościach. Tak więc formalnie to nie złożyłem żadnej rezygnacji z Solidarności. Mogę więc czuć się jakobym był w obu związkach równocześnie. Sercem zawsze jestem przy Solidarności i dla niej nieraz robię wiele plakatów i ogłoszeń w razie potrzeby. Przyparty do muru nie miałem wyjścia i w ten sposób zdradziłem swoją Solidarność. Uważam, że jakie by nie były związki zawodowe- ich rola jest od dawna jedyna: bronić pracowników wobec pracodawcy o ile dzieją im się niesprawiedliwe poczynania Dyrekcji. Daleki jestem od tego, aby związki zawodowe zajmowały się polityką i stanowiły trzon jakieś partii i jej zaplecze. Tak nierozsądnie postąpił kiedyś Miodowicz, Wałęsa a nawet Krzaklewski. Dziwię się więc ciągle, że w ogóle nastąpiły jakieś fikcyjne

podziały w ramach związków zawodowych. Pracowników teraz bronią oba związki, a jest w zakładzie coraz gorzej. W gospodarce wolnorynkowej związki nie będą miały racji bytu. Przedsiębiorca zrobi cokolwiek zaplanuje i nie będzie się liczył z jakimś związkiem zawodowym, bo to tylko utrudnienie.
24 czerwca 1980 roku ukończyłem Podyplomowe studia na Uniwersytecie Wrocławskim w zakresie Prawa Inwestycyjnego. Dało mi to jeszcze lepsze umocnienie się w służbach inwestycyjnych w zakładzie i ogólnie satysfakcję. Ciągle się więc uczę. Dziwili się kiedyś moi uczniowie, że wyglądam młodo a ja stwierdziłem, że mam już swoje lata i lat nauki mam więcej, aniżeli oni mają lat życia. I doliczyłem się tego, a oni nie mogli wyjść z podziwu.
Wracając nieco do przeszłości, to znaczy do lat 80 tych, kiedy moja matka miała 70 lat w roku 1980 przybyliśmy w odwiedziny do niej do Ostrzeszowa, aby uczcić jej 70 tkę. Do tej jedynej ukochanej i dobrej matuli. Na wielkim sercu zapaliliśmy 70 świec i zamówiliśmy mszę Św. w jej intencji w Klasztorku na górce u sióstr Nazaretanek. Były wiersze, życzenia, kwiaty i śpiewy na Jej cześć. Była bardzo wzruszona. Od tego momentu coraz częściej matka przebywała u swojej córki Danuty wpierw w blokach na Nowotki, a potem w wybudowanym jednorodzinnym domku na Mieszka I 7. Domek ten wybudował szwagier Zbyszek z własnych środków i własnymi rękami. Oprócz dobrej pracy na stanowisku w Rejonie Eksploatacji Dróg Publicznych miał jeszcze przy ojcowiźnie swoją fermę zwierząt futerkowych jak tchórzofretek i lisów. To w pewnym stopniu zasiliło budżet domowy i pomogło realizować budowę domu jednorodzinnego. Matka opiekowała się wówczas dwoma małymi synami Mamysów Robertem i Damianem.

Poniżej, ostatnie zdjęcie mamy z nami w Nowym Dworze lato 1987 Brakuje jedynie naszego ojca Stanisława

rok 1986 Nowy Dwór
z Danusią

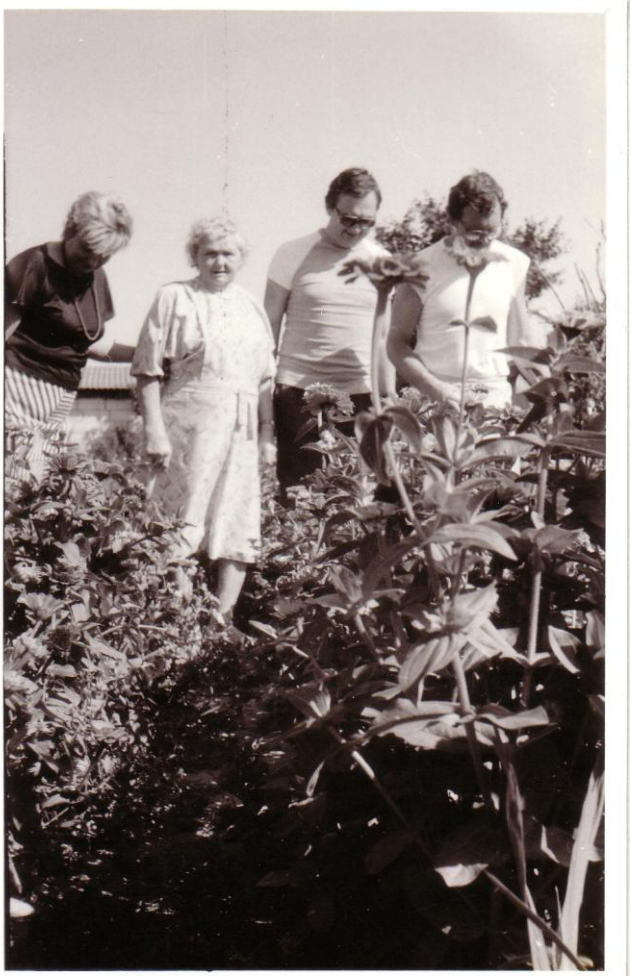

Jeszcze latem 1987 tuż przed śmiercią naszej mamy odwiedziliśmy Nowy Dwór pod Sycowem czyli dom mojego braciszka Janusza a tam spotkaliśmy nie tylko Mamysów ale i naszą mamę. . w ich ogródku przydomowym po byłej Agronomówce gdzie urządziliśmy sobie stół przy którym rozmów nie było końca. Cieszyliśmy się sobą, a to niestety jest rzadką przyjemnością, przynajmniej z naszej strony, obcować z najbliższą rodziną.

Był Popielec roku 1988 a w TV podali wiadomość, że gdzieś na jeziorze przykrytym cienką warstwą lodu utopiło się troje małych dzieci. Matka tak się tym przejęła tego wieczoru, że położyła się spać jak zwykle, ale bardzo zmartwiona i przejęta, że w nocy nastąpiło przesilenie i nad ranem zmarła. Na drugi dzień chłopcy wstając, dziwili się że babcia jeszcze nie „urzęduje" w kuchni, że jeszcze śpi a śniadanie nie jest przygotowane. Kiedy udali się do sypialni babci, stwierdzili, że chyba nie żyje, bo nie otwiera oczu i nie reaguje na ich wołanie. Niestety babcia już nie żyła. Wymodliła sobie dobrą i szczęśliwą śmierć i nie sprawiła nikomu kłopotu swoim zejściem. Pogrzeb odbył się w Ostrzeszowie. Matka moja przed złożeniem trumny do grobu obok męża, leżała przez trzy dni w Kościółku Św. Mikołaja w Ostrzeszowie, gdzie zwykle zwłoki leżą i tam odmawialiśmy codziennie różaniec w jej intencji za spokój jej duszy. Pamiętam, że była taka chwila zadumy, że nagle wszystko przedstawiło mi się przed moimi oczyma, całe życie obok niej. I usiadłszy sobie w kącie mocno z żałości się popłakałem i długo nie mogłem się opanować. Była to dla mnie wielka strata, bo w niej widzieliśmy całą ostoję, wyrocznię i autorytet. Mówiła zawsze że o ile przeżyje „te dwie kosy" czyli 77 lat to będzie żyła 100 lat. I właśnie w wieku 77 lat zmarła.

pogrzeb mamy rok 1987

dzieci za trumną mamy
rok 1987

pogrzeb mamy w Ostrzeszowie

nad trumną na cmentarzu rok 1987

Każdorazowy pobyt u niej, to tak jak kiedyś powiedział Wałęsa, kiedy odwiedzał Papieża Polaka, że jest to „ładowanie akumulatorów" na dalszą egzystencję i pracę. Znów smutek i refleksja nad przemijaniem, a mnie znów pobudziło do napisania wiersza

Mój dom rodzinny

Z łona Matki Świat ujrzałem,
To Ona mnie w mękach zrodziła
mój dom rodzinny to dom mego ojca i matki.

Oni też z domów rodzinnych wyszli
Domy ich też swoje korzenie mają,
Wspominamy je zawsze,
Kiedy na zdjęcia spoglądamy.

Przychodzi czas na wspomnienia
więc zachowajmy je dla pokoleń,
Wspomnienia romantyczne, zamglone,
Że łezka nieraz ten obraz przesłoni.

Wzruszenie wyzwala tęsknotę,
Za tym co minęło i było niewinne,
Po latach zapomnienia odkurzam albumy,
I szukam w papierach imion moich przodków.

Widzę przez mgłę zapomnienia
Jak matka po izbie się krząta,
Dawno już odeszła do Pana
A wciąż w mych snach się pojawia.

Kochana, ciepła i zatroskana
W fartuch swe ręce wyciera,
W kuchni pachnie pieczenią i szagówkami,
A dzieci czują jej opiekę.

Dom rodzinny był zawsze oazą,
Dla nas wędrowców na pustyni codzienności,
Kochamy go we wspomnieniach,
I nieraz do niego wracamy.

Stół z białym obrusem z kwiatami,
Pachnące jadło w zastawie,
W wazonie cięte kwiaty świeże,
Matka krząta się przy piecu.

W domu pachnie miętą i rumiankiem,
A łóżka równe pościelone,
Pranie w balii już się moczy,
W słoikach kiszą się ogórki.

Pamiętam wspólny pacierz
I jej oczy rozmodlone,
Palce niekształtne, spracowane,
W złożeniu wyglądały pięknie.

Na zaśnięcie i na dobranoc,
Wierszyki nam deklamowała,
Nieraz śpiewać jej się chciało,
Mimo że zmęczenie powieki kleiło.

Dom rodzinny a w nim rodzice,
Przy ojcu też nam dobrze było,
On stróż, opiekun i wyrocznia,
Wszystko co zepsute, - naprawił.

Kochajmy wspomnienia
Mimo że rodziców już nie ma,
Dom rodzinny jest źródłem wspomnień,
O tym co minęło i się już nie wróci. . .

Wcześniej kilka lat przed śmiercią doznała wylewu krwi do mózgu i uszkodzony został centralny układ nerwowy odpowiedzialny za ruch i mowę. Powstał niedowład ręki prawej, tej którą tak pięknie pisała do nas listy i kartki z życzeniami. Mowa natomiast wróciła, z czego była bardzo szczęśliwa, lecz niepocieszona, bo od tej pory jak mawiała „bazgrze jak kura pazurem" w swoich pismach i listach, z czego jest jej wstyd.
Mojej najukochańszej mamie poświęciłem w ciągu mojego okresu pisania wierszy wiele strof. Na przykład z okazji urodzin w roku 1985:

Dla Mamy

Prawie pół wieku temu
światło mi pokazałaś,
Dziękuję za to Bogu,
Tyle trosk ze mną miałaś

Święta Helena- patronka
Twoja krzyżem naznaczona,
Życiowa orędowniczka
Osobie Twej przypisana

Zawsze wierna Kościołowi
Troski Bogu polecałaś,
Matce Boskiej i Synowi
I nas przez to ochraniałaś.

W trudnym okresie wojny,
Boleści przeżywałaś,
Bo człowiek nie był wolny,
Bliskim serce dawałaś.

Ja spokojny w jej ramionach,
Siostra Danka mała, bezbronna
Nie straszna nam była wojna,
Ona cała zrozpaczona.

Taka jest od dziecka,
Bez rodziców- sierota,
Szczęśliwa z dziećmi mieszka
Okupacja – to strata.

Męża miała przy boku
Cała nadzieja w Bogu,
Nie dam dzieci nikomu,
Mówiła po kryjomu.

Rzeczywistość okrutna
Skreślała jej marzenia,
Minęła chwila smutna
Szukała ukojenia.

Wróciliśmy do domu,
Zaczęła budowanie,
Od nowa po swojemu,
Praca oraz modlenie.

To Jej dewiza w życiu,
W nas to również wpajała,
Płakała też w ukryciu,
Bo serce matki miała.

Urodziła nas troje,
Męża miała dobrego,
Chowała nas w mozole,
Osłaniała od złego.

W nauce pomagała,
W życiu dobrze radziła,
Nic za to nie dostała,
Była zawsze nam miła.

Na próbę wystawiona,
Męża straciła wcześnie,
Czasami schorowana,
W myślach żyć będzie wiecznie,

Niech teraz za to wszystko,
Chociaż późno – niestety,
Podziękujemy krótko,
Z głębi serca podniety.

Bodziec nam podpowiada.
Zdrowia, szczęścia życzymy !
Zużyte słowo pada,
Inaczej nie umiemy.

Ty na pewno zrozumiesz,
Nasze podziękowanie,
Ty nam za to jak umiesz,
Zawsze na pożegnanie,

Życzysz szczęśliwej drogi!
Tak prosto- po swojemu
Jak matka pełna trwogi,
O nasz powrót do domu.

Czekamy na stulecie
Twojego bycia z nami,
Wnuki niosą ci kwiecie,
Nasze serca składamy.

Twoje dzieci i wnuki
Za to Bogu składają,
Dziękczynienie na wieki
I radość wielką mają.

Znów się do niej zjeżdżamy
Radość wszystkich rozpiera,
Mamę mocno kochamy,
Niech Bóg ją zawsze wspiera.

A w roku 1987 też z okazji urodzin niestety tych ostatnich napisałem
Naszej Mamie i Babci

Jak się potem okazało biedna nie zdążyła tego wiersza przeczytać bo odeszła do Pana w środę popielcową tego roku

Radość rozpiera nas, że znów Cię widzimy.
W dobrym zdrowiu, uśmiechniętą, życzliwą.
Twoje święto marcowe godnie uczcimy,
Bądź nam zawsze Mamą i Babcią dobrotliwą.

Potrzebna nam jesteś jak światło i woda.
Cieszymy się tobą mateczką sędziwą.
W twe święto na dworze zawsze jest pogoda,
W myślach i modlitwach łączymy się z Tobą.

Dzieci oraz wnuki z Iwonką na czele,
W tym dniu wszyscy w domu twoim się skupiają,
Kto żyw za zdrowie Twe modli się w Kościele,
Że długo im pożyjesz, nadzieję mają.

Jacek, Paweł, Damian, Robert, Iwa, Tomek
Życzenia Babuni szczere Ci składają,
Sto lat w zdrowiu woła każdy twój potomek,
Pęk wiosennych kwiatów w ręce Ci dają.

Dzieci znów wyrosły, Tobie lat przybyło,
Cieszą się wnuki, bo się z Tobą spotkają,
Jest im dobrze z Tobą, razem jest wesoło,
W domu Twym gościnnie, dzieci się zbierają.

Życie dane od Boga wykorzystałaś,
Na pracę, modlitwę i dzieciom oddanie,
Na nadmiar pracy nigdy się nie skarżyłaś,
Stąd mocne nasze do Ciebie przywiązanie.

Na firmamencie życia Iwonki pojawił się ten jedyny i kochany chłopak imieniem Zbigniew z rodziny Krupów, mieszkający w Kędzierzynie Koźlu przy ulicy Lompy. Rodzina Krupów przybyła z Krakowa oraz z Kielc w latach pięćdziesiątych. Skoro tylko zapoznaliśmy się z tym chłopakiem, stwierdziliśmy, że jest to dobry człowiek, niezakłamany, uczciwy w zamiarach i szczery w postępowaniu. O swojej córce można jedynie mówić w samych superlatywach i pozytywnie bez obłudy i szczerze, pomijając fakt, że jest to moja córka. Pod każdym względem umie się zachować jest taktowna i mądra po prostu wzorem do naśladowania. Nie widzę w niej wad. Niektórzy mówią że jest to niebezpieczne i zaślepienie. Nie wierzę w moim przypadku, ponieważ mówię to z przekonania i wieloletniego doświadczenia życiowego. Znajomość ze Zbyszkiem rozwijała się pomyślnie. Zbyszek przeszedł ciężkie próby w wojsku, ponieważ był w piechocie i łączności na poligonach. Przeżył to, wytrzymał te próby i co najważniejsze mimo wojska nie zmienił stosunku do mojej córki, aż w końcu doszło do oświadczyn, zaręczyn, odwiedzin i zadzierżgnięcia pogłębienia jeszcze większych związków i przyjaźni z nami, w rezultacie czego mogliśmy ustalić termin ślubu i wesela. Zaczął się na poważnie nowy ich etap życia. Kochali się i byli za sobą i cóż więcej trzeba, aby się pobrać?
Z tej okazji napisałem w roku 1988 młodym wiersz:

Na ślub naszej córki Iwony

Będąc od dawna w wielkich zażyłościach,
Wczesną wiosną oświadczyny złożyli,
Że będą odtąd w swoich możliwościach,
Bogu, rodzinie i sobie służyli.

Latem, kiedy jest pęknie i zielono,
A kwiaty woń swą roznoszą przyjemnie,
Spieszyli chętnie na natury łono,
By pić nektar miłości bezprzytomnie.

Czarną Madonnę o pomoc prosili,
Ona im w każdych warunkach pomoże,
Przed Jej obliczem więc miłość swą wyznali,
Szczerą, dobrą, aż po śmiertelne łoże.

A przyrzekłszy sobie miłość dozgonną,
Przed ołtarzem w sposób taki niewinny,
Otwartego serca, ptakom podobną,
Szampanem uczcili swe zaręczyny.

Ni rycerza, ni pięknego lalusia,
Nie marzyła ona nigdy poślubić,
Lecz dobrego i zwyczajnego Zbysia,
Zdecydowała pokochać, polubić.

On również darzy Ją wzajemnościami,
Widzi w niej wiele zalet i dobroci,
Nie będą żyć fantazją i fikcjami,
Lecz prozą życia, poezją miłości.

Złota polska jesień im przyozdabia,
Wielobarwnymi kolorami kobierzec ślubny,
Jeszcze jedno życie w związku się wznawia,
Nasza ziemia wnet się dziećmi zaludni.

Gdy jezuita ślubny pierścień włoży,
I stułą złocistą splecie im ręce,
Rozpocznie się wędrówka traktem bożym,
Za opiekę bożą Jemu w podzięce.

Radością rodziców serce rozpiera,
Że w zgodzie tej związek swój inicjują,
Bo jest w tym kochaniu dobra nadzieja,
Nie złością, lecz sercem świat zawojują.

Życzenia szczere Wam przekazujemy,
Byście swym życiem przykładnym świadczyli
Przed ołtarzem obok was staniemy,
Będziemy się za Was kornie modlili.

A ze ślubem i weselem Iwonki i Zbyszka było tak:
Były to wyjątkowo trudne czasy i wszystko trzeba było zdobywać, szczególnie te rzeczy związane z uroczystościami i imprezami. Napoje alkoholowe w tym czasie zdobywało się na podstawie zaświadczenia o ślubie, lub z Czechosłowacji tzn. z przemytu. Ilości też były ograniczone na „głowę" nie według możliwości. Obrączki też trzeba było kupić na podstawie zaświadczenia. Postanowiliśmy uroczystość ślubną zorganizować w zamku w Szalejewie koło Polanicy Zdroju.

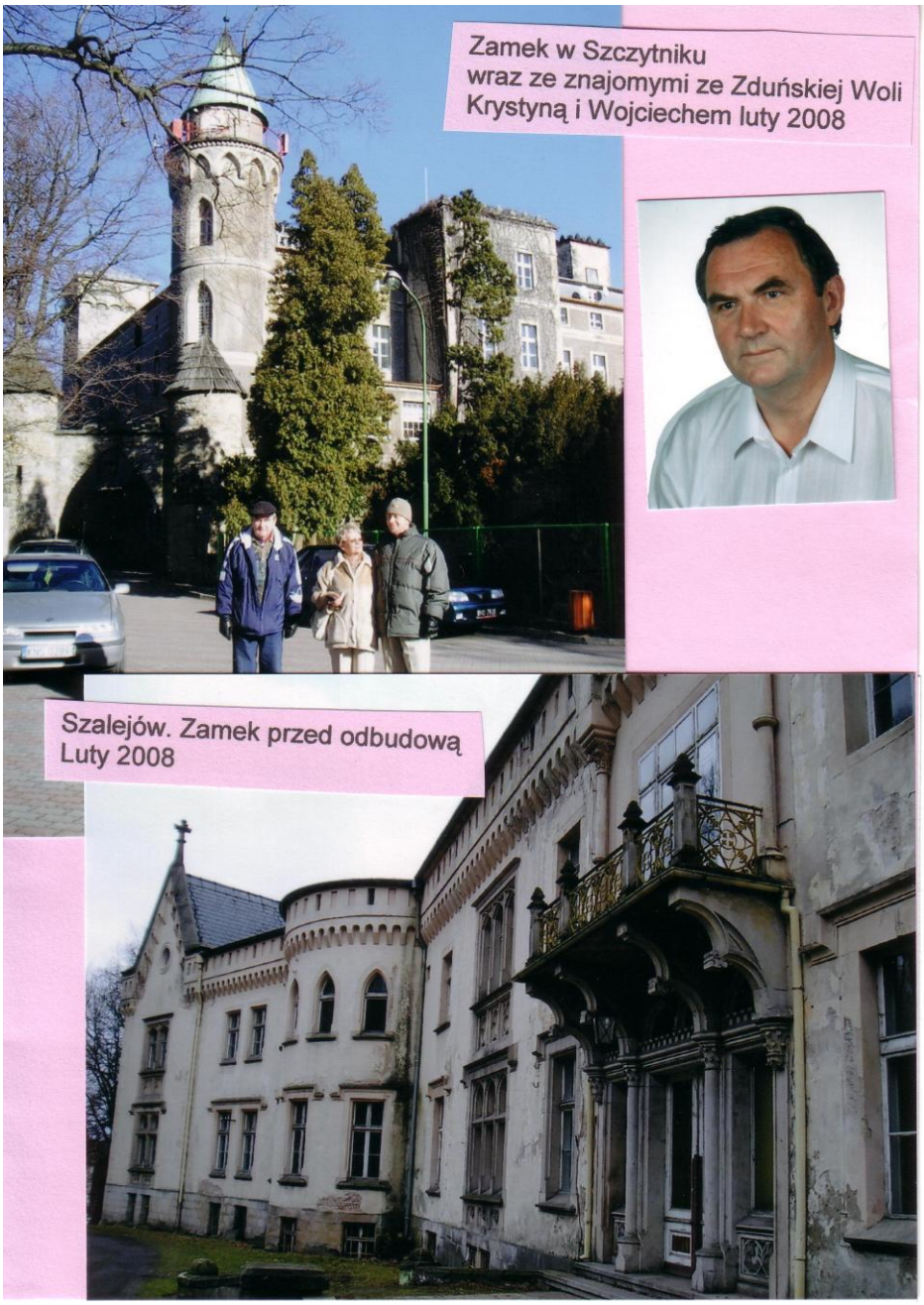

Wejście do zamku w Szalejewie
Luty 2008

Przed Urzędem Stanu Cywilnego
w Kłodzku luty 2008

Tam bowiem kierownikiem ośrodka był przez wiele lat wujek mojej żony Szymek Lipiński, który obiecał nam jeszcze wcześniej, kiedy organizowaliśmy w tym miejscu Rajd Samochodowy Energetyków, że o ile przyjdzie czas to dopomoże nam w sprawnym zorganizowaniu tego wesela i to w komfortowych warunkach i korzystnie finansowo. Uzgodniliśmy więc z nim wszelkie szczegóły i „zaklepaliśmy" termin ślubu zarówno u niego w Ośrodku jak i w Kościele w Kłodzku u O. Jezuitów i w Urzędzie Stanu Cywilnego w Kłodzku. Termin ślubu zanotował sobie w terminarzyku i w kalendarzu.
Na kilka dni przed wyznaczonym terminem ślubu, na prośbę syna Tomasza zadzwoniłem do niego do Szalejewa, aby spytać się czy nagłośnienie sali jest wystarczające, czy może zabrać ze sobą kolumny głośnikowe i wzmacniacz. Z przerażeniem dowiedziałem się, że wujka nie ma w Polsce, że jest za granicą u swego brata w Szwajcarii, a personel Ośrodka nic o tym ślubie nie wie. Wpadliśmy w panikę i natychmiast udaliśmy się do Szalejewa aby wyjaśnić sprawę. Na miejscu rzeczywiście potwierdziło się to co najgorsze, a więc na zapalenie płuc zorganizowaliśmy personel obsługowy, orkiestrę z Polanicy, napoje, wędliny i ciasta. Upewniliśmy się ponadto w Kościele czy wiedzą o naszym ślubie oraz w Urzędzie Stanu Cywilnego. Wszystko „grało" za wyjątkiem przyjęcia „na zamku". wesele było wspaniałe mimo tych kłopotów. Całe przyjęcie kamerował Andrzej brat Iwonki żony Zbyszka Widery i siostrzeńca mojej żony. Niestety obecnie już Andrzej nie żyje, bo zmarł nagle, mimo młodego wieku.
Wielce zabawnym zdarzeniem na tym weselu było, kiedy mój szwagier niestety też już nieżyjący, obudziwszy się na drugi dzień, będąc jeszcze w „szumie alkoholowym" po powrocie do sypialni z ubikacji, pomylił pokoje i położył się spać, zamiast przy swojej żonie, przy starszej pani, - cioci mojej żony Helenie. Ona natomiast obudziwszy się z przerażeniem stwierdziła obecność obcego mężczyzny przy niej. Śmiechu było co niemiara, a żona Zbyszka całą noc szukała męża jak „biała dama" po zamku w nocnej koszuli. Z tego wydarzenia też było wiele radości i śmiechu na drugi dzień. Na poprawiny zjawili się wszyscy i znów bawiliśmy się, lecz tym razem przy „sztucznej" muzyce, ale i tak było wesoło. Tomek uruchomił dyskotekę, a cała niemal rodzina grała na różnych instrumentach i dawała pokazy swych umiejętności i wspólnego śpiewania. Było inaczej niż w pierwszym dniu, lecz równie wesoło i zabawnie. Goście długo wspominali ten ślub i to wesele, który mimo tylu przeciwności, wypadł wspaniale i każdy z gości był wypoczęty i zadowolony.
Tomek wojsko odbył w WSW obecnie Żandarmeria Wojskowa. Na "unitarce" był w Mińsku Mazowieckim, natomiast służbę do końca odbył w Opolu. Dwa lata przeleciało. Już przed wojskiem zainteresował się dawniejszą swoją koleżanką z Pływalni Katarzyną Jarosz młodszą od niego o rok. Ilekroć był na przepustce, to dzielił czas między pobytem w domu Kasi i w naszym. Bardzo interesował się tą dziewczyną, bo była dobra, szczera i darzyła go wielkim uczuciem i miłością. Gdy skończył wojsko, także interesował się Kasią i inna go nie interesowała.

Tomek z okresu roku 80 tego

Było to zauroczenie jedyne i niepowtarzalne. Ona też go darzyła wzajemnością i doszło do oświadczyn, zaręczyn i ślubu. Ślub odbył się dnia 15. 04. 1993 roku w Urzędzie Stanu Cywilnego w Kędzierzynie Koźlu oraz w Sanktuarium OO. Franciszkanów na Górze Św. Anny, natomiast przyjęcie weselne wraz z poprawinami odbyło się w Kasynie Milicyjnym w Kędzierzynie Koźlu w dniu 30. 04. 1993 roku.

I znów z okazji ich ślubu napisałem kilka wierszy.

<u>Na ślub mego syna Tomasza z Katarzyną</u>
Pamiętam te chwile, kiedy Oni dwoje,
Pływać uczyć się zaczęli u Zelera,
Był to dobry trener ale i „cholera”
Nie wyszło nic z tego- zawiedzenie moje.

Znajomości pozostały, miłość trwała,
Zakochali się wzajemnie, bo los tak chciał,
Tomek względem Kasi serce otwarte miał,
Ona zaś cierpliwie go oczekiwała.

Pięć latek lub nieco więcej się kochali
Dwie studniówki swoje razem obtańczyli,
Już przed wojskiem o miłość swą zabiegali,
Dobrzy i serdeczni względem siebie byli.

Dom Jaroszów zaczął on odwiedzać chętnie,
U nas rzadziej bywał to zrozumiałe,
Książki w kąt a i zabawki zestarzałe,
Chłonął miłość i Jej obecność namiętnie.

Kiedy małe nasze dzieci kiedyś były,
Troski nasze wokół dziatek się skupiały,
Aby co zjeść i ubrać się zawsze miały,
Teraz zaś w małżeństwie, aby w zgodzie żyły.

Nadszedł dzień wesela dla Was najważniejszy,
Czekamy w napięciu co przyszłość przyniesie,
Maj się zaczyna a świat coraz piękniejszy,
Łąka zielenieje, ożywia się w lesie.

Ptaki łączą się w pary, a czemu nie my,
Mieszkanko jak gniazdko młodzi sobie ścielą
Każdy dzień powszedni staję się niedzielą,
My rodzice szczerze Wam błogosławimy.

Ciągle wracam wspomnieniami do tych dni,
Kiedy na rękach rodziców nam płakałeś,
Że będziesz mały, tak nam się wydawałeś,
Byłeś bezbronny, a my młodzi szczęśliwi.

Dziś marzenie staje się rzeczywistością,
I dorosłość swoją światu pokazujesz,
Bo z miłą Kasią na ślub się decydujesz,
My tę nowinę przyjmujemy z radością

A szczęśliwy jestem że Ci się w życiu układa,
Życzę Tobie zdrowia i opieki Bożej,
Kiedy będzie trzeba ojciec ci pomoże,
Bo dobra jest rodziców w życiu porada.

I jeszcze jeden:

I nastał ten jedyny w życiu dzień

I nastał ten jedyny w życiu dzień
Dzień wymowny i szczęśliwy
Dzień zaślubin Twoich z Katarzyną
Twoją wybranką jedyną

I Ty Katarzyno stoisz przed nim
Oczekując zgody jego
On także tego samego czeka,
A rodzice stoją w osłupieniu

Nadeszła godzina pożegnania
I opuszczenia domostwa
A tak błogo było Wam przy mamach
A przy ojcach tak bezpiecznie.
Lalki i bajki zostają w domu
I te Wasze ciuszki małe
Zabierzcie ze sobą nasze rady I nasze w Was zawierzenie.

Skończyły się żarty i swawole,
I młodzieńcze nadąsania,
O poważnym życiu trzeba myśleć
Tego wymaga ta chwila.

Na pewno dziś chcecie nas przeprosić,
Za wszystkie niedociągnięcia,
Wycałować gorzkie łzy wylane
Za Wasze obojętności.

Czekacie teraz błogosławieństwa
Na dalsze Wasze związanie,
Nam serca w tej chwili biją młotem,
Bo żal nas jest Was pożegnać.

Błogosławieństwo nasze jest szczere
Łzy nam się cisną kroplami,
Z Bogiem chcemy Was w życie odprawić,
Byście razem w zgodzie żyli

Szczęśliwi będziemy Waszym szczęściem
Taka jest wola rodziców
Życzymy Wam miłości głębokiej
I doczekania potomstwa.

Bądź dla niej dobry, kochaj ją szczerze,
Ochraniaj ją jak swe oczy
Ty Katarzyno przyjmij je godnie
Bądź jego ostoją w życiu

A po hucznym weselu napisałem tak zwane retrospekcje post weselne

I zaczęło się zgodnie z planem to nasze wesele,
Przygotowanie w obu domach na dużych obrotach
Młody ubrany na kolorowo, czeka na wyjście,
A tam jego Kaśka ostatni wałek z głowy ściąga.

Auta strojne pod dom weselny młodej zajechały,
Bo w nim odbyło się tradycyjne błogosławieństwo.
U progu witają nas radośnie i na wesoło,
Orkiestra gra marsza weselnego na powitanie.

Młodzi za trud i wychowanie na klęczkach dziękują,
Błogosławieństwo jest emocją, coś ściska nas w gardle,
To chwile niezapomnianych wzruszeń i wrażeń pełnych,
Patrzymy na zegarki, bo wszystko zaplanowane jest.

W bazylice Św. Anny śluby odbyć się mają,
Tuż przed kościołem wódą młodych wykupić musiano,
W kościele nastrój powagi, a ksiądz wita nas godnie,
Wszystkie ławki zajęte, młodzi klęczą u ołtarza.

Zaczęło się od kilku niespodzianek, z mojej strony,
Z biciem serca przy ołtarzu psalmy młodym śpiewałem,
Gdy stułą ksiądz młodym splótł ręce i obrączki włożył,
Modliliśmy się gorąco, o zgodne życie dla nich.

Przed kościołem młodych ryżem i bilonem obsypano,
Zaczęły się podchody, by życzenia młodym złożyć,
I Kempowie, Jaroszowie, i Niesobscy, Wyciskowie,
Każdy młodych mocno ściska, obcałowuje szczerze.

Kawalkadą ślubną w autach do Kasyna wracamy,
Tam witają nas u progu kucharki" chlebem i solą"
Szampan się leje, orkiestra gra nam na powitanie,
A młody szczęśliwy na rękach damę swoją wnosi.

Tomek, Kasia Mikołaj i Ania

Jest wesoło i uroczyście, my szampan pijemy,
Na cześć młodych wiwat, wiwat pełnym głosem śpiewamy,
Zaczęło się wesele, goście za stołami siedzą,
W środku Oni, z flanki my rodzice uszczęśliwieni,

Dalej chrzestni. , a naprzeciw babcie siedzą wygodnie,
Są Kempowie, i Wyciski, , Nelecowie i Krupy,
Tam „Tomasze, i Sztukowie, Widerowie i Niesobscy.
Smakuje nam rosół i drugie danie z przystawkami.

W tańcu pierwsze kroki na parkiecie stawiają młodzi,
A potem rodzice już bez obciążeń godnie idą,
Orkiestra" Raz" wesoło gościom do tańca przygrywa,
Starosta „Zibi" liczy ile gorzały wynieść ma,

Konkursy i śpiewy uatrakcyjniają zabawę,
A bawią się wszyscy, nawet najmłodsi poszli w tany,
Tańczą syn z Mamą, mama młodość sobie przypomina,
Babcie tańczą z torebkami, i na wnuczkę zerkają.

Chrzestny Maniuś z wielkim humorem wszystkich gości bawi,
Szelki spadają, on je poprawia, bo z damą tańczy,
Ojciec Walduś z sumiastym wąsem młodym wiwatuje,
A ja mimo woli nowe wiersze sobie układam.

Video kręci, flesze błyskają, jesteśmy w kadrze,
Chłopcy z kaliskiego dowcipami nas rozbawiają,
My w przerwach swojskie przyśpiewki o weselu śpiewamy,
A Oni radzi że zabawa na sto fajerek jest.

Konkursy z balonikami i piciem wódy trwają,
A potem jeszcze inne z młodych małżonków udziałem
I tak do, rana bawimy się, orkiestra gra fajnie,
A o północy odbyły się tak zwane „oczepiny"

Tam Bartek w przebraniu Gawrosza z wielką miną wchodzi,
A w rękach trzepaki, miski, wałki, sitka i rondle,
Potem jeszcze z dużym bocianem co w dziobie dziecko ma,
I wprost do młodych, aby Im złożyć swoje życzenia.

Potem zmęczony na łóżku polowym twardo zasnął
A ojciec jego na harmonii gra zapamiętale,
Morda chodzi pijana, i swej Pańci w tańcu szuka,
My szaleni w tańcu wesele obtańcowujemy.

Zmęczeni, radośni nad ranem kończymy zabawę,
Ze śpiewem "ale fajnie" do domów swoich wracamy,
Nie śpimy długo, bo na poprawiny zapraszają,
I znów zabawa i jedzenie do zapamiętania,

Nagle samozwańczy strażak Maniuś, na salę wchodzi,
I z oryginalną syreną do orkiestry zdąża,
Ze śmiechu gościom brzuchy się obrywają, kiedy ten,
W takt marsza strażackiego, na tej syrenie wtóruje.

Młodzi dziękują za prezenty i za trud włożony,
W domu gardła i odciski na pewno wyleczymy,
A my szczęśliwi że wesele tak udane było,
Będziemy to wesele jako wspaniałe pamiętać.

Katarzyna jest kobietą piękną i mądrą, bo skończyła w Katowicach Akademię Wychowania Fizycznego i kurs komputerowy, a ostatnio Studia Podyplomowe w swojej Akademii w swojej specjalności tzn. w pływaniu.
Uczy Wf w Liceum Ogólnokształcącym w Kędzierzynie Koźlu oraz pływania na Pływalni. Tomek natomiast jest ratownikiem etatowym na Pływalni oraz prowadzi sklep na Pływalni ze sprzętem do pływania, ponieważ najlepiej się na tym zna. Kiedy zaczynał swoją pracę czyli handlował środkami piorącymi itd. , i nie miał jeszcze swojego samochodu, pożyczał ode mnie Syrenę i tą Syreną przemierzał kraj od Hurtowni do Hurtowni i do sieci detalicznej, aby robić interesy. Upłynęło kilka lat od ślubu Iwonki i Zbyszka i po kilku latach i dużym oczekiwaniu 19. stycznia 1993 roku przyszła na świat ich upragniona córka, której na chrzcie Św. dano na imię Aleksandra Agnieszka. Już od pierwszych chwil była cudownym i wymarzonym dzieckiem. Zdrowo się chowała i była naszą maskotką. Z tej okazji nie mogłem nie napisać znów swojej dedykacji a więc:
dnia 19. 01. 1993 roku Mojej córce na urodzenie córeczki Aleksandry:

Kiedy miałaś się na ten świat ukazać, byłem wówczas wystraszonym i bardzo młodym, niedoświadczonym człowiekiem i ojcem. Byłem za to dumny i szczęśliwy ze niebawem stanę się rzeczywistym ojcem.
Po latach sięgnąłem pamięcią do tych szczególnie wzniosłych chwil i jak w lustrzanym odbiciu ukazały mi się te dwie małe i kruche istoty a więc Ty Iwonko i ta dzisiejsza mała istotka, Twoja córeczka.
Przekazywanie życia to najwspanialszy boski różaniec człowieczego istnienia na tym świecie i tak jak różaniec jest ciągiem i się nie kończy w dziejach ludzkości. Przecudowny łańcuszek życia i nieuchronnego upływu czasu, ponieważ niepostrzeżenie stałem się szczęśliwym dziadkiem zdrowej i ślicznej wnuczki Aleksandry w pięćdziesiątą moją rocznicę urodzin.
Tak jak Ty Iwonko z łona swej matki Rodzicielki na świat pierwszy raz spojrzałaś, tak teraz Twoja córeczka z Twego łona uradowała całą naszą rodzinkę swym widokiem i płaczem, a raczej kwileniem.
Radość rozpiera nas tak jak i Ciebie.
Jak piękne i wzniosłe jest poczęcie człowieka, szczególnie w okresie bożonarodzeniowym, a więc 19 stycznia.
W tym akcie widać ingerencję Bożą i za to Mu należą się szczególnie akty dziękczynienia.
Siła natury sprawia że radość rodzenia przerasta wszelkie cierpienia i niedogodności położnicy i połogu. Kobieta w tym okresie jest wzniosła, ważna i dumna. bo się w pełni spełniła jak przystało na dojrzałą kobietę i matkę.
Całuję Twe dzieciątko, krwią nabiegłe z wysiłku rodzenia Twoje oczęta i spocone czoło mojej wielkiej córki rodzicielki i matki córeczki Aleksandry.

A potem, kiedy Aleksandra weszła w wiek dojrzewania, kiedy miała 12 lat napisałem jej znów pean, bo w pełni na taki hymn zasługiwała*:*

Wnuczka, naszą radością

Jesteś radością naszą,
Tobą cieszą się Dziadkowie,
O uśmiech Ciebie proszą,
Niechże odgłos nam odpowie.

Czasu masz dla nas niewiele,
Pierworodna wnuczko nasza,
Nasz dom Ciebie zaprasza,
Na co dzień, czy też w niedzielę,

Wynikami nas raczysz,
Sukcesami obłaskawiasz,
W przyszłość swą pewnie patrzysz,
Bo na naukę stawiasz.

Dla nas uczysz się grania,
A wiedz, że muzyka leczy,
W szkole teatromania,
Uzdolnienia swoje ćwiczysz.

Świadectwa z dobrą cenzurką,
Przynosisz jakby od niechcenia,
Bo zdolną jesteś wnuczką,
Dziś płyną same życzenia.

Zięć Zbyszek pracował wtedy w Mostostalu Zabrze z siedzibą i Warsztatem w Zakładach Azotowych w Kędzierzynie Koźlu, zresztą pracuje tam do dnia dzisiejszego na stanowisku nadzorującego roboty montażowe zarówno na budowach jak i w Warsztacie.

Iwonka ze Zbyszkiem i Olą bez Pawła

Ukończył studia inżynierskie budowlane na Politechnice Opolskiej oraz ostatnio magisterium na Uniwersytecie Opolskim z Zarządzania i marketingu. Zdolny człowiek i umysł nieprzeciętny. Dumny jestem z mojego zięcia. Córka jego idzie też w ślady ojca, bo startuje w różnych olimpiadach i konkursach, zajmując czołowe lokaty a ma od kilku lat najwyższą średnią z całej Szkoły Podstawowej Nr. 9 w Kędzierzynie Koźlu. Na chrzcie Św. Oli rodzicami chrzestnymi byli Krystyna Jaworska siostra Zbyszka oraz mój syn Tomasz. Do Żłobka Ola nie chodziła, ponieważ była wówczas pod opieką sąsiadki pani Michaliny Bęś i dobrze się tam u niej miała.
Kiedy Ola miała 6 lat w dniu 27. 06. 1999 roku przyszedł na świat mój pierwszy wnuk i syn Tomasza i Katarzyny, któremu na chrzcie Św. na Górze Św. Anny, w dniu 31. 07. 1999 roku dano na imię Mikołaj Tomasz. Rodzicami chrzestnymi byli: Rafał Jarosz brat Katarzyny oraz z naszej strony Iwona Krupa moja córka. Dziecko urodziło się nad wyraz zdrowe i silne i wykazujące wielką ochotę do jedzenia. Syn żartuje, że jak tak dalej będzie to przekroczy wszelkie normy wzrostowe.
Ja znów siadam do pisania wiersza i tak narodził się i Mikołaj i mój wiersz.

Wnuk się narodził

I przyszło na świat oczekiwane
Dziecię jak Anioł z błękitem w oczach,
Włoski jak węgiel w bujnej czuprynie,
Pogodne, spokojne, takie drobne.

Urodził się na początku lata,
Na progu dwutysięcznego roku,
Kiedy świat pachnie kwiatem i miętą,
A pisklęta próbują swych lotów.

Radość i szczęście Rodzicom swym dał,
Dziadkom dumę, i zadowolenie,
Syn i wnuczek wzbogacił rodzinę,
Niech kiedyś będzie dzielny i zdrowy.

Mikołaj będzie imieniem Jego
Oby był jak On z sercem gołębia,
I duszą pelikana dla ludzi,
Pełen hojności i poświęcenia.

Patrzymy na Niego ze zdziwieniem
On taki bezbronny i niewinny
A rączki takie drobne i kruche
Nóżki zwinięte a ciałko miękkie.

Mama szczęśliwa a Tato dumny,
Dla nich to małe bóstwo w łóżeczku,
Chciałoby się Go też obcałować,
I przytulić do serca z miłości.

Bogu dziękujmy za Mikołaja,
Za ten cud natury – narodzenia,
W modlitwach polecać Go będziemy,
Niech Opatrzność i Anioł czuwają nad Nim.

Po roku, kiedy Mikołaj miał roczek napisałem:

Nasz wnuczek ma roczek

Dziś są Twoje Mikołaju urodziny,
Rok temu świat po raz pierwszy zobaczyłeś,
Ciebie oraz rodziców wielce dziś czcimy,
Bo swoim poczęciem ich wzbogaciłeś.

Święty Twój poprzednik był dla ludzi dobry,
Biednym i dzieciom paczki swe roznosił,
I do dziś dnia dla nas w grudniu jest szczodry,
Choć z dalekiej tureckiej Mirry pochodzi.

Żyj nam Mikołaju w zdrowiu i radości,
Niech Cię od nieszczęść twój Anioł Stróż strzeże,
A Święty Mikołaj nauczy hojności,
Bo dawać szczerze od Boga pochodzi.

W dorosłym życiu niech cię szczęście nie omija,
A dni niech płyną ciekawie na pociechę,
Ludzi Tobie bliskich,

W dorosłym już życiu, niech Ci będzie dane,
Żyć w spokoju i radości.
A zdrowie niech Ci służy do późnej starości.

Dzień przekroczenia progu dorosłości
Niech będzie zapamiętany,
A na dalszą drogę życia,
Błogosławieństwa bożego i zdrowia,
A także spełnienia planów życiowych w przyszłości.

W dniu 28. 04. 2001 roku o godz 7, 40 rano urodziła się Tomkowi i Katarzynie córeczka a moja wnuczka i miała 4, 40 kg wagi i 58 cm wzrostu. Na chrzcie Św. tradycyjnie na Górze Św. Anny dano jej na imię Anna Maria. Urodziła się zdrowa i od razu była piękną dziewczynką tak jak jej mama i tato.

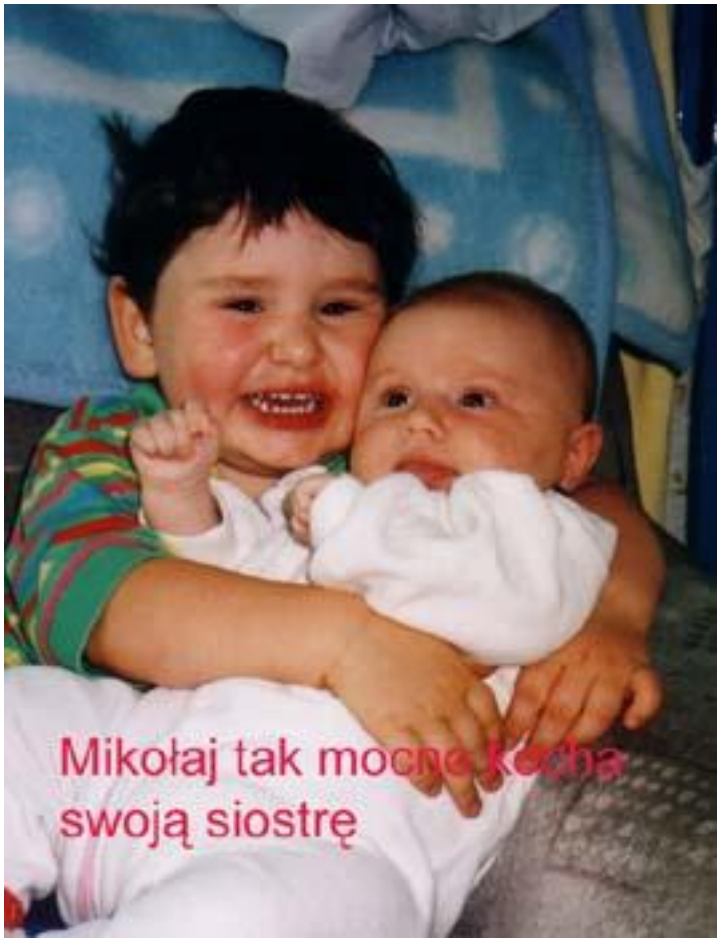

Ja jeszcze zanim się Ania urodziła jak zwykle napisałem kolejny pean Rodzicom z Przechodniej

Przyszłym Rodzicom

Będziesz wreszcie ponownie Matką, oczekiwanego dziecięcia.
Z miłością wielką przyjmij to Boże wyróżnienie,
Brzemię bowiem jest ciężkie a owoce słodkie bo w Twoim wnętrzu jest w pełni ukształtowana i rozumna istota.
To po prostu ludzka normalność dawać życie nowym istotom.
Boska ingerencja i tajemnica w tym jest niewątpliwa.
Chwalmy Go więc za ten Jego przejaw dobroci i wszechmocy.
On przez Maryję dał życie ludzkie Swemu Synowi, aby kiedyś nas swą męką od złego wybawić, a nas ubogacił łaską rodzenia i dawania życia innym.
Z godnością przyjmij te cierpienia, które zawsze są uwieńczone szczęściem i radością Rodziców, a dzieci nazywać Was będą odtąd rodzicami a na co dzień powiedzą Wam słodko i normalnie Mamo, Tato.
Przyjmijcie z radością ten Boży prezent,
Szczęście rodzinne niech się nad Waszym domowym ogniskiem rozpościela.
Bądźcie dla przyszłego dziecięcia prawdziwymi przyjaciółmi i wzorem do naśladowania w miłości i pokoju dla drugich.
Szczęść Wam Boże na dalszą wspólną rodzinną drogę życia. Tato Ani w tym czasie przebywał w Stanach Zjednoczonych u swego kolegi Leszka Chłopeckiego, który kiedyś był sąsiadem naszym w bloku i kolegą Tomka, z którym razem handlowali.

Po dwunastu latach 14. 04. 2005 roku u Iwonki i Zbyszka przyszedł na świat czwarty mój wnuczek, któremu na chrzcie Św. dano na imię Paweł Piotr. Szczęście wielkie i radość w rodzinie. Wymodlony i wyproszony wnuk ujrzał świat ten marny.

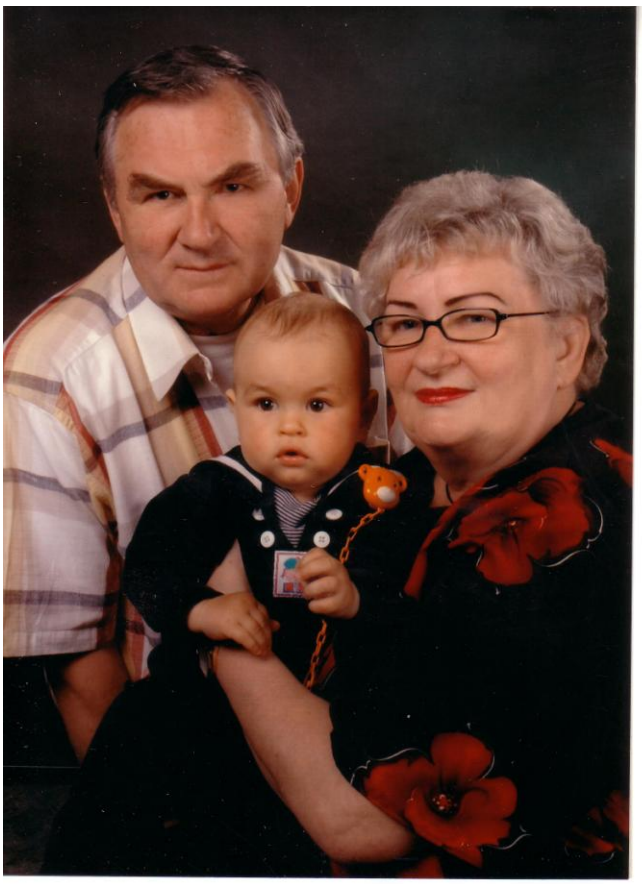

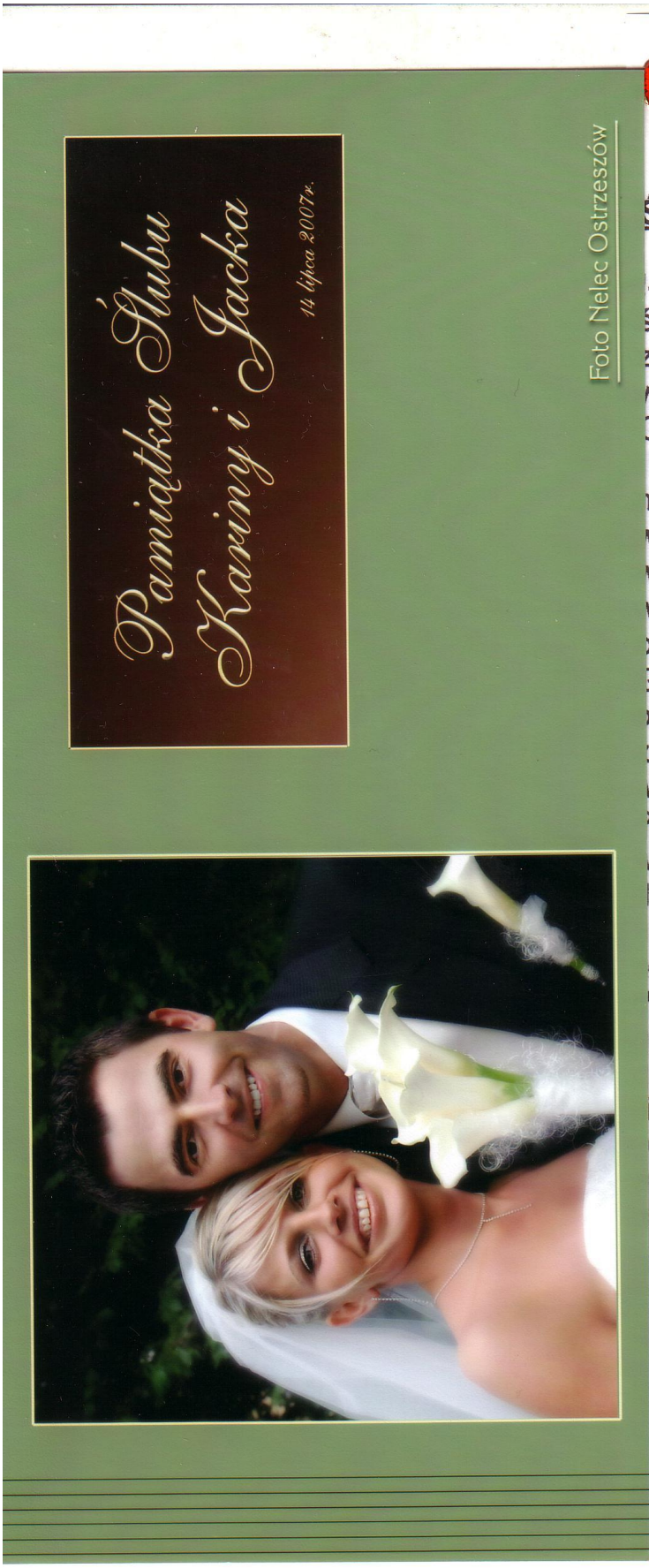

Ślub Jacka i Kariny

4 lipca 2007 odbył się
ślub Jacka i Kariny
z Wasilewskich.
we Farze w Ostrzeszowie
Ostrzeszowie pięknej oprawie
nastroju podczas eucharystii
młodzi ślubowali sobie
v obecności kapłana
vierność na życie i
włożyli symboliczne
obrączki zaślubin.
Gościna weselna natomiast
odbyła się w kompleksie
zajazdowym „Za miedzą"
v Chojęcinie k/Kępna.
Poprawiny także odbyły się
v tym miejscu. Wygodą
la gości było zakwaterowanie
noclegi w tym samym
ompleksie hotelowym.
Po weselu i poprawinach
yliśmy gośćmi na Sportowej,
rano wraz z Danką udaliśmy
ię jak zwykle na grzyby
tokarskie lasy. I właśnie
tedy zaczęły się dla nas
rzykre niespodzianki.

zdjęcie ślubne Jacka Kempy i Kariny Wasilewskiej Ślub odbył się w ostrzeszowskiej farze

Moje zaangażowanie się w życie Parafii pw, Ducha Św. i NMP Matki Kościoła na Piastach.

Kiedy Parafię objął jako Proboszcz ks. Edward Bogaczewicz, zainteresowałem się tą nową budującą się wspólnotą parafialną. Ks. Proboszcz potrafi zjednywać wokół siebie i dla całej swej Parafii ludzi dobrej woli i warto nie tylko dla Boga, lecz dla człowieka czynnie udzielać się w Kościele. Z uwagi na moje doświadczenie i obycie w Kościele, jak wspominałem od dziecka kręcę się przy Kościele, przyszło mi dość łatwo włączyć się w to specyficzne życie Parafii. Przy ołtarzu i w zakrystii od razu dawałem sobie rady i nie miałem tremy, co nie znaczy że nie przeżywałem emocji i bojaźni bożej. Jestem nie tylko pomocą w zakrystii, ale i lektorem, kantorem w czasie mszy sw. . Kiedyś byliśmy wraz z żoną członkami chóru parafialnego, a od 11 lat jestem nadzwyczajnym szafarzem Komunii Św. i zanoszę Chrystusa w komunii Św chorym co niedzielę oraz udzielam Komunii Św przy ołtarzu. Nadzwyczajnym Szafarzem Komunii sw jest się po przeszkoleniu i mianowaniu przez Arcybiskupa oraz po odbyciu szeregu rekolekcji zamkniętych dla szafarzy. Z Panem Jezusem chodzę chętnie do swoich chorych i starszych ludzi i robię to z wielką satysfakcją i zaangażowaniem bo spotykam się z nieustanną wdzięcznością ludzi. Nie mogę nigdy odmówić prośby ks. Proboszcza, aby prowadzić kronikę parafialną i napisać jakiekolwiek ogłoszenie lub wykonać jakąkolwiek czynność na rzecz Kościoła. Przez wiele lat byłem członkiem Parafialnej Rady Duszpasterskiej.
W poprzedniej kadencji jak i obecnej członkinią tej Rady jest moja żona. Z dumą muszę to podkreślić.
Kiedy mi czas i zdrowie pozwala chętnie uczestniczę jako pielgrzym w pieszej pielgrzymce na Górę Świętej Anny na tę górę ufnej modlitwy, która oddalona jest od nas o około 15 kilometrów, i którą przy dobrej pogodzie widać z mojego okna lub z dachu.
Wspomnienia z wielu pielgrzymek utrwaliłem kiedyś wierszem.

Z pielgrzymką na Górę Ufnej Modlitwy
Kiedy lato jest w pełni i chłodne są ranki,
Idziemy młodzi oraz starzy na pielgrzymkę,
Na Górę Ufnej Modlitwy do Świętej Anki.
Choć Babka Boża, wygląda na panienkę.

Każdy w napięciu do pielgrzymki się szykuje,
W nadziei że dojdzie tam i wróci do domu,
O świcie przed kościołem grupa się formuje,
O porządku w grupie jeden mówi drugiemu.

Z pieśnią i modlitwą na ustach wyruszamy,
Krzyż na czele, potem dzieci i młodzież idą,
W środku ksiądz a za nim resztę pielgrzymów mamy.
Po drodze ludzie z domów wyszli i się dziwią.

Dróżkami polnymi i w lesie do Niej zdążamy,
Ochoczo siadamy do odpoczynku w lesie,
Krzyże i świątki przydrożne mile witamy,
A pieśni nabożne daleko wiatr niesie.

Odmawiamy różaniec, litanie śpiewamy
Młodzież na gitarach radośnie nam wtóruje
Kabelki głośnikowe starannie trzymamy,
Grupka starszych i chorych dobrze się spisuje.

W drodze jest czas na modlitwę własną i skupienie,
Dojrzałe łany zbóż czekają na swe żniwa,
Łykiem świeżego powietrza gasimy pragnienie
Ksiądz spowiada nas w tyle- dłońmi twarz zakrywa.

Górę Ufnej Modlitwy widać z każdej strony,
Już jest blisko, a przed nami mała „Golgota”
Przed samą górą drogę naszą znaczą schody,
U szczytu w lesie chłodniej, nie dręczy spiekota.

Jesteśmy u celu, na powitanie grają,
Wpierw do Niej idziemy podziękować za wszystko,
Nie obchodzi nas wcale, co w kramikach mają
Jeszcze trochę a Ona czeka i będzie blisko.

Samotrzecią prosimy o wiele łask dla nas,
To do Niej chętnie dążymy prosić o wszystko
Przez cały rok tkwi w nas jej dobroduszny obraz,
Wstawia się za nami, bo jest przy Bogu blisko.

Odpoczywamy na rajskim placu przed sumą,
Nogi puchną lecz my szczęśliwi i radośni,
Co chwilę zerkamy w niebo jak chmury suną,
Pobożnym nastrojem przepełnieni jesteśmy.

Po sumie nieszpory, orkiestra gra wesoło,
Nam jest dobrze, bo znów się z Nią zobaczyliśmy.
Posileni nieco odpoczywamy błogo,
Jest pogoda, bo się o nią wymodliliśmy.

Po nieszporach zaś zbieramy się przy trzech krzyżach,
By modlić się o wytrwanie w powrotnej drodze,
I wracamy, młodzież nam tempo zawyża,
Znów z modlitwą i śpiewem na ile kto może

W kościele nas Proboszcz mile wita u progu,
Wielu ludzi podziwia nas za to wytrwanie,
Kolejny wysiłek, by spodobać się Bogu,
Bo to jest nasze pielgrzymie przesłanie.
/ Lipiec 1991 r

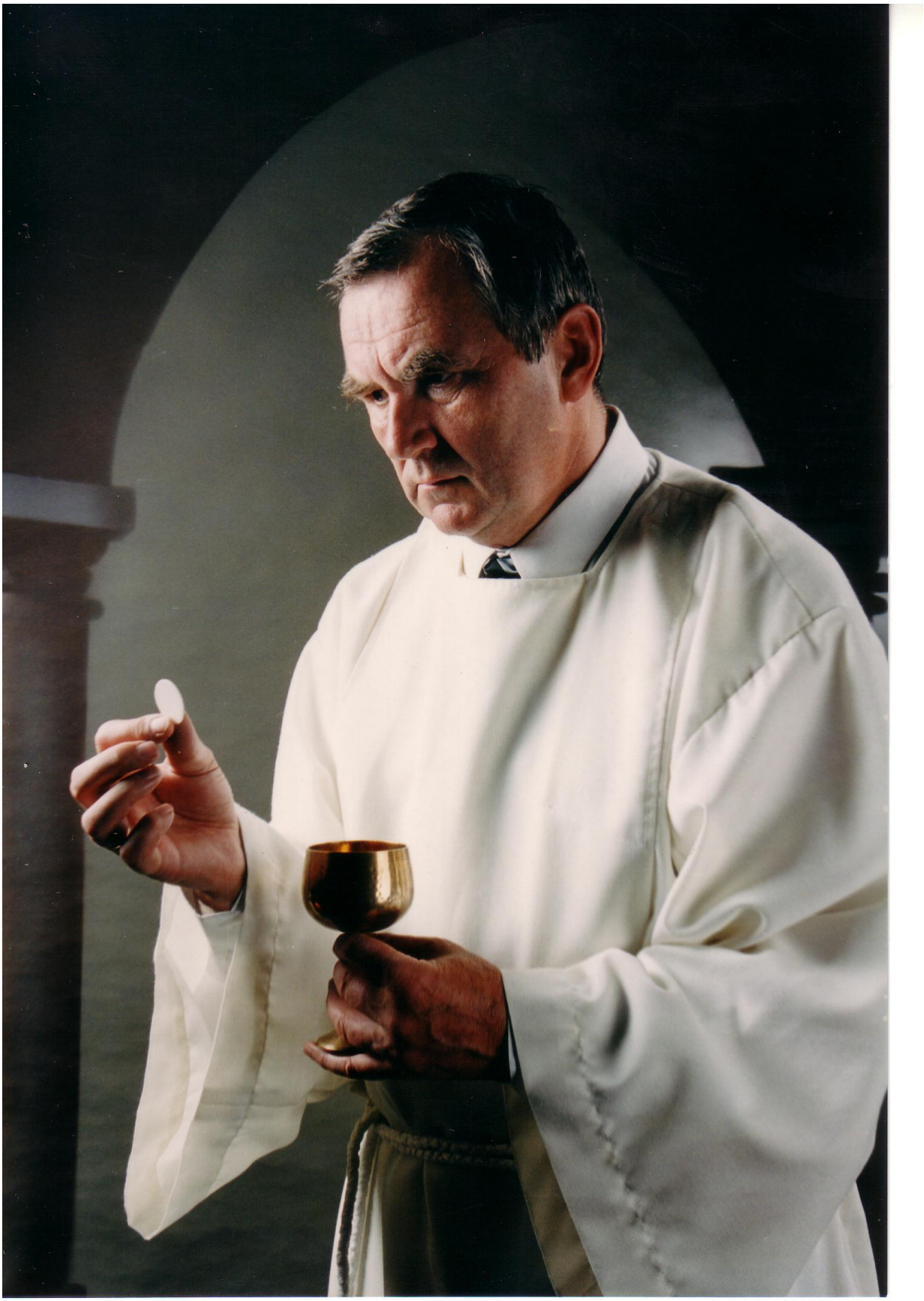

rok 1999 Miedonia Rekolekcje dla szafarzy

Rada Duszpasterska z ks. Proboszczem
Ed. Bogaczewiczem rok 2000

Św. Franciszek z Asyżu założyciel zakonu I II i III dla świeckich, w którym i ja jestem współbratem od pokuty czyli bratem mniejszym

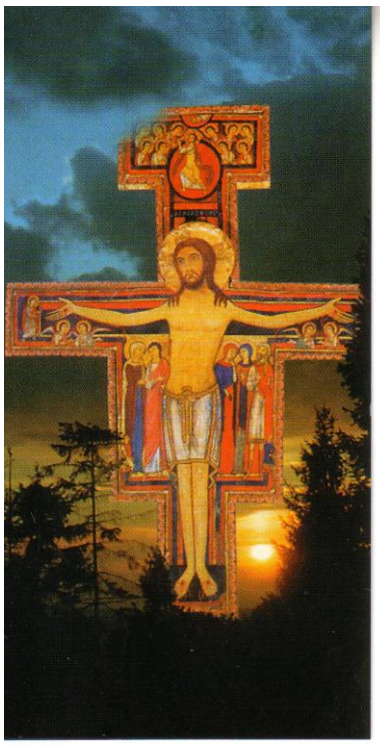

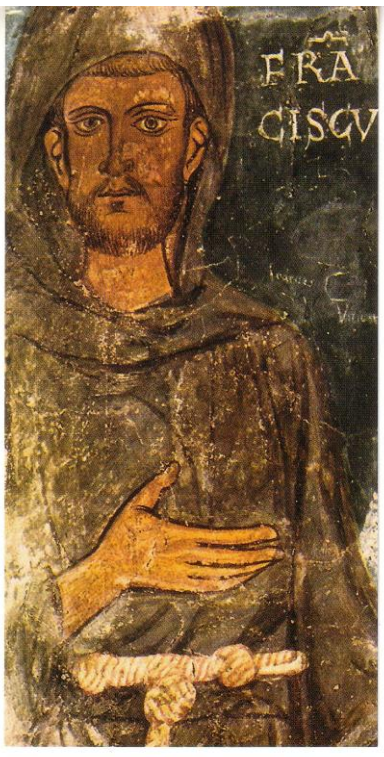

Jako szafarz Komunii Św w czasie rekolekcji w Kamieniu Śląskim przyjmuję błogosławieństwo od kapłana

Wychowany w duchu franciszkańskim, będąc przed wieloma laty we Włoszech w Asyżu i Padwie, wstąpiłem do sławnej Porcjunkulli czyli miniaturowego kościółka św. Franciszka z Asyżu znajdującego się w bazylice Matki Boskiej Anielskiej, w którym Św. Franciszek modlił się i tam w ciszy absolutnej usłyszałem głos naszego ojca Franciszka, abym w swojej Parafii utworzył tzw. III Jego

Zakon czyli Franciszkański Zakon Świeckich. Przyrzekłem Mu że tego dokonam, chociażby w rewanżu za to że kiedyś nie zostałem Jego uczniem i wystąpiłem w latach sześćdziesiątych z Jego habitowego Zakonu.
I tak też się stało. Zaraz po powrocie, zwróciłem się do swojego ks. Proboszcza i równocześnie do swoich kolegów franciszkanów z Panewnik o pomoc i zgodę na zorganizowanie takiej wspólnoty modlitewnej w mojej Parafii. Udało się i dzięki przychylności ks. Proboszcza, który na piśmie pobłogosławił nowo tworzącej się wspólnocie i życzył „Szczęść Boże" założyłem tę grupę i uzyskaliśmy nawet akt erekcyjny i odtąd jesteśmy już prawnym zgromadzeniem a ja od zarania jestem jego przełożonym. Obecnie kończy się już wieloletnia kadencja i przy najbliższych wyborach na kapitule wybierzemy nowego przełożonego.

Czytając kiedyś prasę codzienną w dodatku do Gazety Wyborczej do głębi przejąłem się artykułem z tragicznego wydarzenia jakie miało miejsce w Asyżu czyli trzęsienia ziemi „terremotto" w wyniku którego nie tylko zniszczeniu uległy wspaniałe freski i zabytkowe figury w bazylice, które osobiście niedawno oglądałem, ale także pod gruzami walących się murów i konstrukcji stracili życie zakonnicy oraz kandydat do Zakonu Polak Zdzisław Borowiec „Gislao" z Kielc. Potem o tym przypadku napisano jeszcze kilka artykułów oraz Truchan dziennikarz wydał książkę „Schodów się nie pali" opisując ową tragedię i inne sensacyjne przypadki. Z tego artykułu dowiedziałem się, że zakonnikiem, który doprowadził owego młodzieńca aż do Asyżu był franciszkanin, przypadkowo spotkany w pociągu ze Śp. Zdzisławem O. Dr. Mateusz Korczak z Oświęcimia.

Jako przełożony wspólnoty franciszkańskiej tercjarzy w Parafii w jednej chwili zaproponowałem całej wspólnocie, że zaczniemy interesować się tym zmarłym naszym współbratem Zdzisławem. Szczególnie modlić się będziemy nieustannie o rychłe wyniesienie tego młodzieńca z Polski na ołtarze. Napisałem także list do O. Dr. Mateusza Korczaka, w którym opisuję tę moją refleksję o tym młodzieńcu. Jakież było moje zaskoczenie i zdziwienie, kiedy dowiedziałem się że on również w tym czasie myślał o tym samym, widząc w tym ingerencję bożą i podpowiedź, że musi o tym pomyśleć. Myśli nasze się dziwnie zbiegły. Przekazał mi wiele materiałów o tym młodzieńcu, więc założyłem u siebie kronikę album na ten temat. Będziemy więc śledzić dalsze losy jego pośmiertnej działalności i wstawiać się do Boga o łaski dla Niego. Ostatnio O. Dr, Mateusz Korczak szuka sponsora do wydania książki na ten temat i ma już ją w brudnopisie. Poczynić powinienem starania w celu zainteresowania się miejscowej Kurii tym człowiekiem.

Wspomnienia związane z moją pracą i moimi i Elektrowni jubileuszami

Rozdział ten napisałem, kiedy uzmysłowiłem sobie ile lat przepracowałem w mojej elektrowni i ile już lat ona istnieje
A więc w roku 2003 stuknęło elektrowni 45 lat a w tym roku stuknie jej pięćdziesiątka, a ja w niej pracowałem przeszło 35 lat. Kiedy miała 9 lat zacząłem w niej pracować. Dnia 4 listopada 1966 roku podjąłem pracę w Elektrowni Blachownia jako inspektor ds. dokumentacji w pionie inwestycyjnym. Szkoła przyzakładowa o kierunku energetycznym miała też w roku 2003 jubileusz 40 lat. Pracowałem w niej z przerwami 30 lat.

Od trzech lat jestem na zasiłku przedemerytalnym w wyniku podpisanej umowie społecznej w Południowym Koncernie Energetycznym, po przepracowaniu 43 lat i osiągnięciu 60 lat.
Posypały się więc jubileusze i jak tu nie wspominać.
Kiedy uruchomiono w październiku 1957 roku pierwszą turbinę SSW 55 MW skończyłem
edukację w Szkole Podstawowej Nr. 2 w Ostrzeszowie, w małym miasteczku południowej Wielkopolski. Nie myślałem wówczas, że kiedyś będę inżynierem energetykiem, i że w ogóle pracować będę w dalekiej Blachowni na ziemi opolskiej i śląskiej. Nie myślałem wówczas, że właśnie tutaj zakończę swoją karierę zawodową i przejdę na emeryturę. Że doczekam się tylu jubileuszy i że kiedyś będę uczył w szkole.

Na ziemię opolską po wojnie przyjeżdżali ludzie z kresów wschodnich, z Małopolski, z Rzeszowa i Kielc, górale oraz z centralnej Polski i z poznańskiego. Oprócz autochtonów, z których nie wielu pozostało na tych ziemiach i ciągle jeszcze ubywało w wyniku wyjazdów na stałe do Niemiec, Opolszczyzna była i jest „tyglem narodowościowym" i konglomeratem kulturowo- językowym. Z osobistego spojrzenia poza drobnymi nieporozumieniami i antagonizmami „rasowymi' żyje się na tym skrawku Polski spokojnie i bezpiecznie. W toaletach publicznych na dworcach PKP oraz na murach w tych latach można było dowiedzieć się o tych problemach i różnicach „narodowościowych" widniały więc takie słowa jak „gebelse", "chadziaje", „kacapy", „gorole", „hanyse", „kaziuki" czy „zabogole" oczywiście z odpowiednimi epitetami często niecenzuralnymi i odpowiednim komentarzem. Napisy te były dla mnie przybysza z wielkopolski „poznańskiej pyry" czymś nowym i niezrozumiałym. W domach na jednym stole wigilijnym obok kutii, pierogów z grzybami, kołdunów, była moczka i makówki, ryba w galarecie i smażony karp. Tak łączy miłość ludzi, tworzą się nowe związki i rodziny, niezależnie od różnic narodowościowych i kulturowych. Zakład pracy oraz Kościół sprawia że zacierają się różnice pochodzeniowe i czło-

wiek człowiekowi nie jest już wilkiem. Tak więc mogę powiedzieć że w tym tyglu żyło mi się dobrze i traktowany byłem jak swój. Śląską mowę znam od dziecka, więc czułem się swojsko na tej ziemi.
O moim zakładzie napisać mogę wiele, bo też wiele lat w nim przeżyłem. Wiele dobrych i złych zdarzeń miało miejsce na przestrzeni kilkudziesięciu lat.

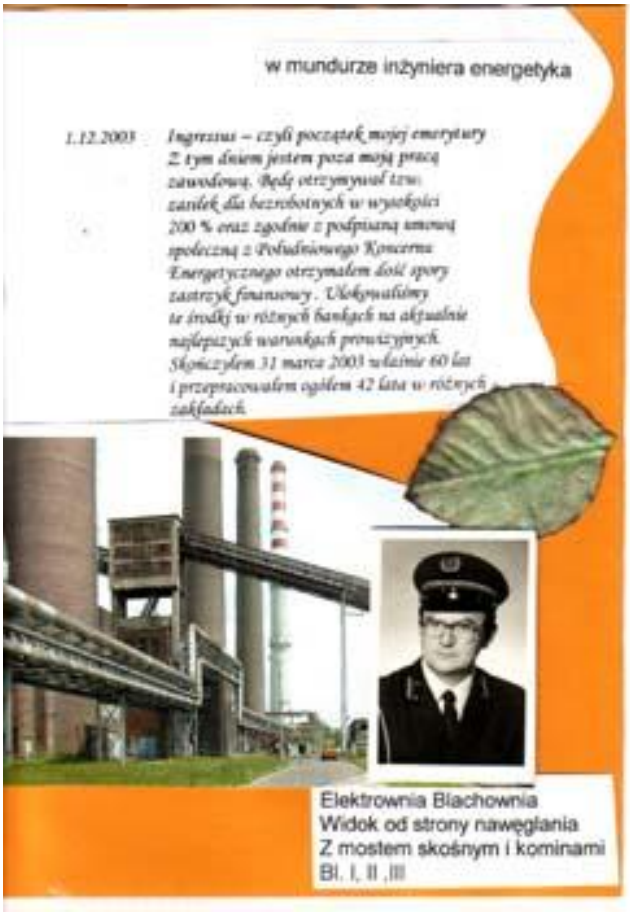

Ze względu na rodzinę, dzieci i zmianę miejsca zamieszkania studia inżynierskie na Wydziale Mechaniczno Energetycznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach ukończyłem dopiero w roku 1974 roku, mając 31 lat. Studiowałem i pracowałem w Elektrowni Blachownia w pionie inwestycji od listopada 1966 roku i przyjęty zostałem do pracy w trakcie budowy Elektrociepłowni Bl. III. Budowana była z wielkim rozmachem, a urządzenia podstawowe jak kotły parowe i turbozespoły ciepłownicze przeciwprężne były prototypowe i w dodatku na nasze nieszczęście krajowe. Blachownia I i II natomiast wyposażona została w urządzenia znanych na świecie firm zachodnich jak SSW Siemens, Paukerwerk Austria itd. Była wówczas piękna, oczkiem w głowie i dumą energetyków i nowoczesną w polskiej energetyce. Podziwiana przez zwiedzających z rozłożystymi palmami stojącymi na nastawni cieplno elektrycznej, która posiadała nawet światło naturalne od słońca z góry. Na poziomie palacza w kotłowni oraz na maszynowni na poziomie turbin płytki glazurowane i lśniące kolorowe pulpity sterownicze robiły wrażenie. Turbiny stały wyniośle rzędem wzdłuż całej maszynowni lśniące świeżością i połyskiem pod rozpostartymi dwiema olbrzymimi suwnicami. Zdjęcia nie kłamią i można jeszcze teraz nacieszyć swój wzrok i pobudzić wyobraźnię jak było wówczas pięknie w naszej elektrowni.
Podczas budowy Elektrociepłowni Bl. III panował zrozumiały ruch wielu wykonawców. , projektantów, inspektorów nadzoru, pomiarowców, gości i sprzętu. Bałagan jak na budowie a potem piękno, porządek i inwestycja oddana ku wielkiej uciesze załogi, władz resortowych, państwowych, partyjnych i miejskich. Mnóstwo zdjęć, protokołów, sprawozdań i kontroli i normalna codzienna eksploatacja po „oswojeniu” i ruchu próbnym urządzeń. Tak więc od roku 1964 do 1968 trwała budowa trzeciej części El. Blachownia.
Po 20 latach eksploatacji kiedy to w roku 1960 zostały uruchomione dwa turbozespoły Nr. 5 i 6 z kotłami przepływowymi typu Bensona nagle zaczęto likwidować te dwa bloki i na megawatomierzu w nastawni nagle ubyło aż 140 MW mocy elektrycznej. Zła jakość węgla i zła jakość wody zdemineralizowanej, „zarżnięte młyny węglowe” spowodowały ową likwidację i nie było odwrotu. Zbyt czułe jednostki wobec złych warunków eksploatacji oto przyczyna likwidacji. Mocy mniej i od roku 1980 po likwidacji tejże części, Elektrownia zubożała. Od tej pory nie przybyło żadnych nowych jednostek wytwórczych, mimo wielu ambitnych planów inwestycyjnych, które co roku opracowywałem jako inwestor. Pracowałem potem w Kontroli Eksploatacji przy sporządzaniu bilansów energetycznych i protokołów awaryjnych, dalej w służbie remontowej młynów węglowych i potem wróciłem ponownie do pionu inwestycji, gdzie pracowałem do końca mojej kariery zawodowej.
Obecnie ratunek dla naszej starej i wysłużonej elektrowni przyszedł ze strony Południowego Koncernu Energetycznego, w którym energetycy widzą dalszą jej egzystencję i upragnioną pracę dla nich. Jako inspektor nadzoru zmuszony byłem do częstych” spacerów” po całej elektrowni i zapleczu. Ze smutkiem i nostalgią zauważałem stopniowo ze ubywa wielu urządzeń w terenie. Niestety był to za każdym razem smutny dla mnie widok. Urządzenia obecnie likwidowane cieszyły wzrok i dawały zyski i zadowolenie. Jako nauczyciel przedmiotów zawodowych, często oprowadzałem wycieczki uczniów ze Szkół Podstawowych i Gimnazjum, uczniów, którzy w przyszłości mieli zamiar zasilić
rzesze energetyków i będą kiedyś uczyć się w naszej przyzakładowej kuźni talentów. W ramach praktyk uczniowskich i wykładów często oprowadzałem swoich uczniów po zakładzie i pokazywałem im urządzenia, o których właśnie mó-

wiliśmy w trakcie wykładów z maszyn i urządzeń energetycznych. Niestety i o tych likwidacjach i o mglistej i niejasnej przyszłości elektrowni musiałem ostatnio wiele uczniom tłumaczyć a to był zawsze smutny dla mnie temat.
Obchodzimy obok dziur, luk i pustych miejsc, ogrodzonych rurami i płotami zabezpieczającymi, pomalowanymi na kolor żółty ochronny bhp które jeszcze niedawno były zabudowane czynnymi urządzeniami i dlatego opowiadanie o tych smutnych zdarzeniach w elektrowni nigdy nie jest gołosłowne.
Minęło wiele lat i oto jestem już na zasłużonej przedwczesnej emeryturze i wspomnienia pobudzają mnie do refleksji nad przemijaniem i oby te moje wspomnienia „zbłądziły kiedyś spod strzechy" jak pisał znany wieszcz. Poprosił mnie kiedyś Dyrektor, abym pośredniczył między wydawnictwem Koncernu gazety energetyków a elektrownią i odtąd redagowałem każdy artykuł o elektrowni.
W pamięci mojej przewijają się nie tylko urządzenia, które cieszyły oko i pracowały onegdaj na nas i dawały zysk ale i ludzie, ci z dobrym sercem, oddani swej pracy i koledzy i ci mniej lubiani i nieco wyobcowani, lub tacy, których już nie ma między nami.
Specyfika pracy energetyka jest szczególna i nie dziwi nikogo, że wśród załogi jest wiele rodzin, małżeństw i wiele pokoleń. Zawód to trudny, praca odpowiedzialna i ważna. Ciągła dyspozycyjność energetyka jest zakodowana w jego psychice. Szczególnie energetycy pracujący na zmiany i w remontach muszą być dyspozycyjni jak w wojsku. Przeżyłem a raczej zetknąłem się więc z Dyrektorami nie żyjącym już inz Jedynakiem, oraz inż. Piątkowskim, Panami Czerniejewskim i Czakonem, inż. Popińskim, inż. Ostapem, inż. Pękalą, mgr. Grzegorczykiem, nieżyjącymi już inż. Chyłkiem i inż. Grabowskim oraz inż. Wiąckiem. A ostatnio inż. Działachem. Z tymi dwoma ostatnimi w jednym czasie pożegnaliśmy elektrownię. Każdy z nich ma swój wkład w rozwój energetyki i wniósł wiele dobrego i zaangażowania w swoją pracę, dzięki nim elektrownia przeżyła tyle lat w dobrej kondycji a ja w życiu elektrowni też miałem niemały udział i wniosłem niemały wkład i mam się teraz o czym przed wnukami chwalić. Wiele kursów i szkoleń odbyłem, nie tylko wspomniane studia energetyczne inżynierskie, lecz także podyplomowe studia prawnicze i pedagogiczne. Wcześniej kursy normowania pracy, bhpowskie i p. pożarowe, wojskowe w OC, komputerowe, i na prawo jazdy, sędziowskie w pływaniu, i dozorowe w energetyce co pięć lat. Ciągłe doskonalenie zawodowe i egzaminy kwalifikacyjne były konieczne i sprawiały, że człowiek się nie cofał i był na bieżąco z postępem techniki i organizacji w energetyce. Energetyk jest to zawód, który wymaga permanentnego dokształcania, . W moim przypadku niestety płaca nigdy nie przenosiła się na zdobywane dokształcania i uzyskiwane kwalifikacje.
Wiele w przeszłości serca i sił wkładałem jako sportowiec biorąc czynny udział w Spartakiadach Okręgowych a nawet ogólnopolskich w piłce siatkowej a nawet w pływaniu, odnosząc wraz z kolegami duże sukcesy. Były dyplomy i medale.

Jak już wspominałem wcześniej od roku 1968 nie przeprowadzono żadnej większej przebudowy, ani też nie przybyło w elektrowni nowych jednostek wytwórczych. W istniejącym stanie maszyn i urządzeń przeprowadzonych było w ostatnim okresie w elektrowni szereg modernizacji i rekonstrukcji. W ostatnich latach energetycy chwalili się zastosowaniem gazu koksowniczego ze Zdzieszowic do opalania kotłów parowych OP 140 Bl. I oraz modernizacją dwóch pracujących jeszcze turbin upustowo kondensacyjnych Nr. 1 i 2 wraz z komputerowym systemem sterowania i kontroli. Zmodernizowano także układ spalania na kotłach OP 215 Nr. 11 i 12 na EC. Pozwoli to utrzymywać się w granicach dopuszczalnych emisji zanieczyszczeń do atmosfery a modernizacja turbin ma zapewnić pracę turbin zdaniem Niemców z Siemensa na dalsze 15 lat. Oni to właśnie przeprowadzili ową modernizację.
Megawatomierz zbiorczy na nastawni na początku wskazywał gościom 421 MW mocy, potem już 415 MW, by po kilkunastu latach wskazywać 275 MW a ostatnio wskazuje niestety tylko nieco ponad 100 MW. Nie jest się czym chwalić, ale pomimo tylu lat eksploatacji elektrownia jak na razie nie generuje strat i może funkcjonować w Południowym Koncernie Energetycznym.
Przez moje okno z biura widać było upływ czasu, bo sterczące cztery chłodnie kominowe to tylko kikuty żelbetowe bez obudowy, zostały przed laty zlikwidowane a z pozostałych chłodni, jedynie nad dwiema kłębią się chmury jeszcze nie skondensowanej pary. Pozostałe są rzadko czynne. Widok więc nie jest optymistyczny. Komin żelbetowy 150 metrowy Nr. 4 budowany w latach 1964/65 wymaga modernizacji i naprawy zewnętrznej powłoki betonowej i samej konstrukcji stalowej. To ząb czasu i wpływy czynników atmosferycznych powodują systematyczne niszczenie konstrukcji komina.
Zamiast nowych inwestycji i powiększenia majątku trwałego środki pochłaniają remonty i modernizacje To normalna kolej losu starej elektrowni. Jaki los elektrowni byłby, gdyby nie zawarta z nią umowa na dostawę ciepła do sąsiednich Zakładów Chemicznych oraz na dostawę gazu koksowniczego ze Zdzieszowic? Są to dokumenty, które wiążą elektrownię na wiele lat i powodują że istnienie jej jest jak na razie niezagrożone. Upłynęło wiele lat. Moja praca też nagromadziła wiele wspomnień i dopóki będziemy wspominać lata minione to wszystko nawet to co już nie istnieje nagle ożywa. Wertowane kartki z kalendarza, kroniki przekładane" fotkami" gromadzą w umysłach wspomnienia i wyzwalają chęci, aby te

wspomnienia uwiecznić i przelać na papier zachowując je dla przyszłych pokoleń i dla moich wnuków.
Zanim Elektrownia Blachownia weszła do Południowego Koncernu Energetycznego nastąpiło „brutalne" w skutkach" odchudzanie" funduszu płac w ramach środków naprawczych i zmniejszenie kosztów wytwarzania, wynikiem czego było zwolnienie dużej ilości pracowników. Na szczęście mnie los nie dotknął tą redukcją, ale inni do dziś mają problemy z podjęciem nowej pracy. Ostre reżimy ekologiczne, ograniczające emisję dopuszczalną i konieczność utrzymania się w tych dopuszczalnych granicach sprawiły, że wiele w tym względzie inwestycji proekologicznych wykonaliśmy a raczej byliśmy zmuszeni wykonać w Elektrowni Blachownia.
Zastosowanie gazu koksowniczego, zwężki kominowe, poprawiające imisję zanieczyszczeń do atmosfery, czy modernizacja układów spalania na kotłach OP 215 powodują że z kominów naszej elektrowni coraz rzadziej widać wydobywające się spaliny. To też nowa rzeczywistość w krajobrazie opolskim i w Polsce. Pamiętam że w dawnych czasach pylenie było zmorą dla ludzi i samochodów a uruchamianie lub odstawianie jednostek podstawowych było połączone z nie do wytrzymania hukiem i wyciem pary na wydmuchach na dachu.
Kiedy sprowadziłem się w 1965 roku na Opolszczyznę do Sławięcic i zamieszkałem w Pawilonach Leśnych nieopodal elektrowni, pierwsza noc była dla mnie koszmarem i horrorem, nieprzespana z powodu wycia i ryku wydmuchów. W pierwszej chwili nie rozumiałem z jakiej przyczyny taki hałas powstał w nocy. Wyskoczyłem nawet w piżamie nad ranem, myśląc że to jakiś atak czy naloty bombowe. Nigdy z takim zjawiskiem akustycznym do tej pory nie zetknąłem się i że zjawisko to jak się okazało pochodzi z elektrowni.

Rzędem przesuwają się w mojej pamięci i przed moimi oczami ludzie, ci co odeszli na wieczny spoczynek, i ci którzy odeszli na zasłużoną emeryturę, ci co wyjechali do Niemiec i wreszcie ci, którzy odeszli lub których zwolniono za odprawą. W pamięci mojej utkwiły także kataklizmy, jakie trafiły się na Opolszczyźnie a więc pożar lasów w rejonie Kuźni Raciborskiej czy wielka powódź stulecia w roku 1997. pamiętam też wielkie pożary w tunelach kablowych czy w rozdzielni 220 kV związane z wyładowaniami atmosferycznymi. Przeżyłem w tej elektrowni także stan wojenny. Jako jeden z założycieli „Solidarności" już na drugi dzień w poniedziałek jako przestępca zabrano mnie wraz z kolegami "suką" na Komendę MO i po przesłuchaniu i podpisaniu „lojalek" puszczono mnie

do domu. Mając rodzinę i małe dzieci nie mogłem „postawić się okoniem" i nie podpisać tych dziwnych dokumentów, bo w przeciwnym razie groziło by mi deportowanie do ośrodka odosobnienia gdzieś daleko od domu. Po stanie wojennym wobec zawieszenia działalności tego rewolucyjnego z gruntu związku zawodowego wróciłem do branżowych, w których byłem do końca mojej kariery zawodowej. Zawsze utożsamiałem się ja jako energetyk ze związkowcami swojej branży i obce mi były rozgrywki polityczne i angażowanie się związku z sprawy polityczne. Związek zawodowy moim zdaniem ma za zadanie jedynie bronić pracownika wobec krzywdzących działań ze strony Dyrekcji i jednostek nadrzędnych. Mam więc swoje zdanie na temat angażowania się Solidarności w politykę, chociaż jestem pełen podziwu i nie neguję przeobrażeń w kraju, spowodowanych przez „Solidarność" i Wałęsę, bo sam o tym marzyłem, nie należąc nigdy do żadnego ugrupowania partyjnego.
Wiele urządzeń zlikwidowano. Oprócz wspomnianych już wcześniej dwóch kotłów przepływowych typu „Benson" Nr. 9 i 10 oraz dwóch turbozespołów kondensacyjnych 70 MW, zlikwidowano ostatnio też dwie turbiny ciepłownicze Nr. 7

i 8 dających ok. , 60 MW mocy elektrycznej, pozostawiając jednak kotły pyłowe OP 215 oraz kotły Pauker OP 120 Nr. 1 i 4 i turbinę SSW 55 MW Nr. 3.
W elektrowni aktualnie funkcjonują aż trzy związki zawodowe chroniące pracowników: „Solidarność”, Związki Branżowe, i Związek Służb Ruchowych.

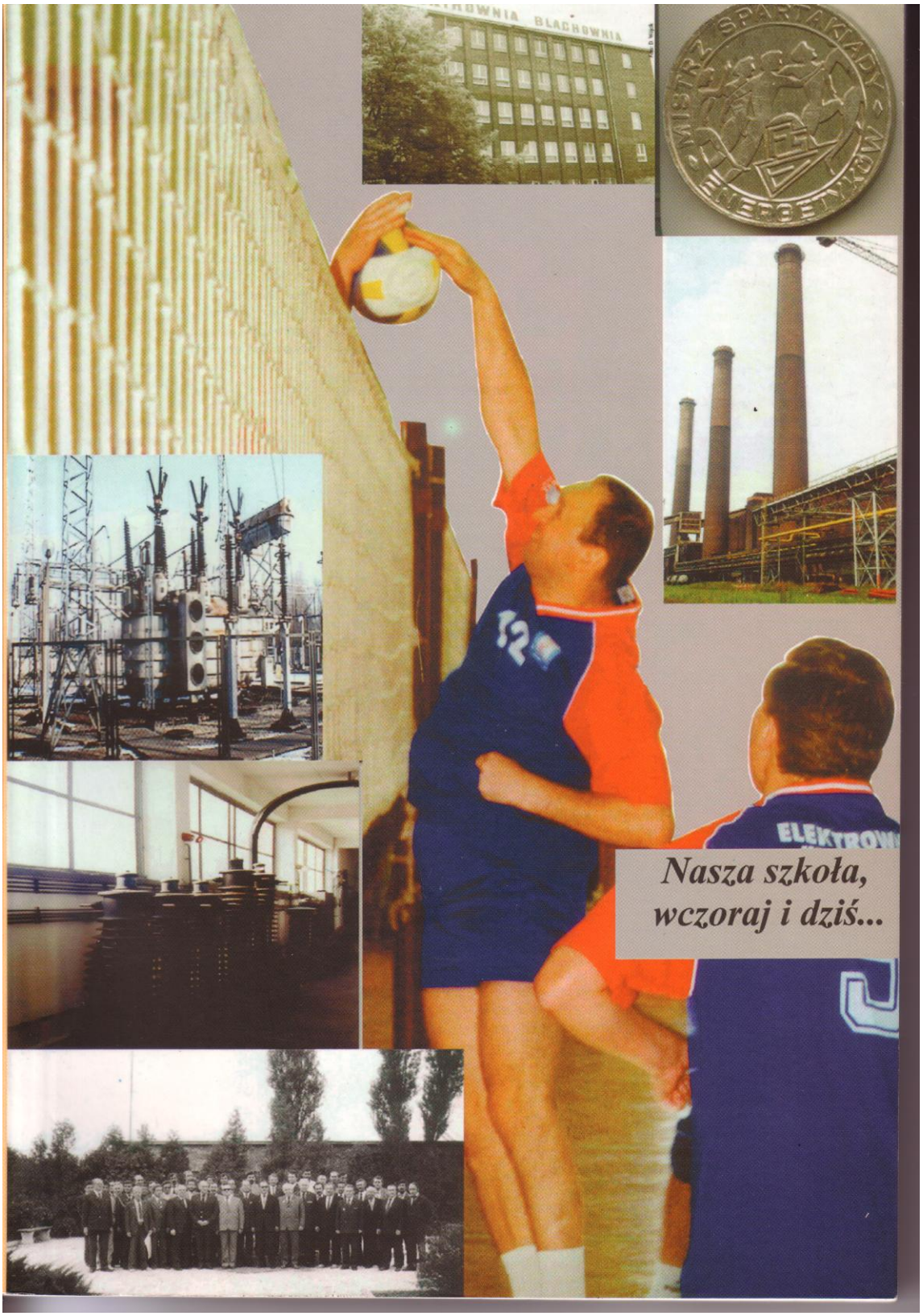

Mimo że po ukończeniu Wydziału Mechaniczno Energetycznego Politechniki Śląskiej Gliwicach, zostałem inżynierem mechanikiem energetykiem to zawsze marzyło mi się abym kiedyś mógł uczyć. Czułem, że mam do tej misji powołanie. Jak tylko nadarzyła się okazja skorzystałem z niej i za namową ówczesnego dyrektora Szkoły mgr Włodzimierza Orlika tudzież przychylności dyrektorów El. Blachownia mgr Józefa Pękali oraz mgr inż Zdzisława Wiącka po ukończeniu stosownego Studium Pedagogicznego zacząłem pracę jako pedagog w przyzakładowym Technikum Energetycznym. Były to lata 70 te a więc aż do emerytury tj. do roku 2003 z małymi przerwami uczyłem przedmiotów ściśle zawodowych oraz z mechaniki i praktycznych w laboratorium. Mogę się także pochwalić że przez kilka lat uczyłem także w uruchomionym Studium Pomaturalnym przy tym Technikum oraz przez wiele lat prowadziłem uczniów do prac dyplomowych i obrony. Byłem więc tzw. „nauczycielem dochodzącym" tj. podczas pracy w El. Blachownia równolegle miałem wykłady. Kochałem tę pracę a i uczniowie jak sądzę z zainteresowaniem słuchali moich wykładów i darzyli mnie sympatią nieobłudną. Lekcje były interesujące, ponieważ mogłem sobie pozwolić na oprowadzanie po elektrowni w ramach lekcji i na żywo lekcje były przy urządzeniach. Z okazji 40 lecia Szkoły wydano publikację „Nasza szkoła wczoraj i dziś" w której znalazły się też moje wspomnienia i nawet na okładce pokazano mnie w czasie meczu pomiędzy nauczycielami a uczniami tego Technikum.

Przy Elektrowni Blachownia i przy Automobilklubie Kędzierzyńsko Kozielskim istnieje Koło Automobilklubu, którego jestem wieloletnim v-ce Przewodniczącym i w ramach działalności tego Koła organizujemy rokrocznie Samochodowy Turystyczno Nawigacyjny Rajd Energetyków oraz jednodniowy Samochodowy Nawigacyjny Rajd w okresie karnawału połączony z zabawą karnawałową.

W Polskim Związku Działkowców w Pracowniczym Ogrodzie Działkowym Energetyk jestem od lat nie pamiętam ilu-letnim sekretarzem i w ścisłym zarządzie tego ogrodu Aktualnie znów pracuję w Zarządzie. Jestem v-ce prezesem ogrodu, który od roku 2004 zmienił swą nazwę na Rodzinny Ogród Działkowy Energetyk. Posiadam działkę ogrodniczą na terenie ogrodu Energetyk na Żabieńcu. Całe mój wlny czas spędzam chętnie na mojej działce i cieszę się każdą wykonaną przeze mnie nową inwestycją. Kocham to miejsce i daje mi ono wiele spokoju i przyjemności w obcowaniu z naturą i oby jak najdłużej. Ostatnio odeszli z grona żywych koledzy: Janusz Hanaj, dyrektor Zdzisław Wiącek, Główny Księgowy Edward Grzegorczyk, Franciszek Borecki, Stanisława Kubiak inż. Stanisław Białczak i wielu innych, których teraz nie mogę sobie nagle przypomnieć.

Niestety, lata biegną, my się starzejemy a zdrowie nasze jest w coraz to gorszej kondycji. W lutym 2006 roku nagle stało się ze mną coś nieprzewidzianego i złego. Doznałem ciężkiego zawału serca. Jak to się stało ?

Dnia 7 lutego 2006 wieczorem czułem się jakoś nieswojo i byłem nieco pod denerwowany. Kiedy wstałem około godz. 4, 30 poczułem uciskowy ból w klatce piersiowej w okolicy mostka. Po zażyciu nitrogliceryny ból ustał po 10 minutach, lecz po 4 godzinach znów się pojawił. W środę dnia następnego udałem się do dr. Prokopczuka, który po wykonaniu EKG stwierdził zwykłą arytmię serca i zwiększył dawki leków, a ja poszedłem do domu.

Byłem nadal zaniepokojony, ponieważ w nocy znów odczuwałem bóle. W czwartek jak zwykle udałem się do Kościoła i po wysłużeniu mszy św. poprosiłem księdza o namaszczenie chorych w związku z narastającym bólem, który

nie ustawał, i byłem już zmartwiony tą sytuacją. . Za namową najbliższych mi osób udałem się do miejscowego Szpitala, a tam stwierdzono przechodzony zawał serca i natychmiast położono mnie do łóżka a w nocy wywieziono na sygnale do Szpitala w Opolu od razu na reanimację czyli Oddział Intensywnej Terapii.
Na drugi dzień z rana już poddano mnie zabiegowi koronarografii. Usunięto nieczynne naczynia wieńcowe i po kilku dniach pobytu znalazłem się w Ośrodku Rehabilitacji Kardiologicznej w Głuchołazach. Po trzytygodniowym pobycie wróciłem do domu w miarę wyleczony. Obecnie dobrze się czuję i z dnia na dzień dziękuję mojemu Bogu, że pozwala mi jako żywy ujrzeć świat i cieszyć się bliskimi.

Leżąc w Szpitalu napisałem wiersz i zatytułowałem :

Życie na kredyt

Życie darowane, to życie na kredyt.
Po moim zawale Bóg pozwolił mi żyć
Bezradny i zniewolony byłem wtedy
Myślałem tylko, aby znów wśród ludzi być.

Zawał przychodzi na nas niespodziewanie
Jak chytry lis czai się przez lata w ukryciu
Cholesterol zło czyni i spustoszenie
To on właśnie zagraża zdrowemu byciu

Kochane zdrowie wróciło dzięki Bogu
A leżało się już na reanimacji
Życie na włosku wisiało, śmierć stała u progu
Odeszła, dzięki lekarskiej determinacji.

Ludzkie życie to taniec w cyrku na linie
Bicie serca oznacza, że człowiek żyje
Istnieje dopóki się noga nie podwinie,
W oczach trwoga i strach a tego nie kryłem

Żarliwa modlitwa przyjaznych mi ludzi
Do zdrowia i żywych mnie znów powróciła
Świat ten sam a nowe życie się budzi,
Optymistyczna diagnoza, wiadomość miła.

Po zawale serca życie jest darowane,
A tylu nieszczęśników nie wraca do życia.
Życiowe zwycięstwo i zło pokonane,
Życie jest wekslem i czekiem bez pokrycia.

Dnia 1 grudnia 2003 roku nagle przeszedłem na emeryturę a dokładniej na tzw. zasiłek przedemerytalny, ponieważ nie mam jeszcze 65 lat uprawniających mnie do normalnej emerytury. Koledzy moi, którzy byli w I grupie zatrudnieni i mieli dodatek szkodliwy mogli przejść na emeryturę po skończeniu 60 lat.

Południowy Koncern Energetyczne, do którego moja Elektrownia należy wyszedł naprzeciw chcącym wcześniej odejść z pracy, wypłacając stosowny i bardzo korzystny dodatek zachęcający czyli rekompensatę. Skorzystałem z tej okazji. Obecnie cały swój czas spędzam na mojej działce a rano idę do Kościoła, aby z Bogiem zaczynać każdy darowany mi dzień.
Z tej okazji a jakże znów napisałem wiersz pt. ***jesień emeryta***

Liście pożółkłe, czerwone i beżowe,
Za oknem szaruga i mgła,
Melancholia, nostalgia, sny kolorowe,
Pogoda na ogół jest zła.

W późnojesiennej aurze bieg ukończyłem
Koniec pracy zawodowej,
Za biurkiem czterdzieści dwa lata służyłem
I wnukom o tym opowiem.

Za bramą zakładu inne życie czeka,
Kocham życie! Nie będzie źle,
Czas ucieka niechybnie, jak bystra rzeka,
Dni beztroskie a praca w tle.
Z Bogiem zaczynam zawsze każdy życia dzień,
Tak będzie też na „wolności”
Że się nie zawiodę, tego jestem pewien,
Czekam więc nie złej starości.

Już do końca moich dni będę bez pracy,
Wiek starości, czas na zbytki,
Mówią ludzie, bez pracy, nie ma kołaczy,
Zjem więc kołacz bez posypki.

Z Bogiem z Bogiem tak mawiali starzy ludzie,
Ta prawda więc we mnie tez tkwi,
Co teraz będę robić? Bo pracować lubię,
W bezczynności serce boli.

Jesień nastraja mnie źle i nostalgicznie,
Jesienią opuszczam pracę,
By się wtedy nastroić melancholijnie,
A do nowej pracy wrócę.

Boże opiekuj się w nowej dla mnie roli,
Jak dotąd mną kierowałeś,
Emeryckie życie nie płynie powoli,
Bieg ukończyłem jak chciałeś.

A moje memento w te dni:
Każdy dzień darowany jest od Boga,
Carpe diem- wykorzystaj dzień,
Gdy się obudzisz, podziękuj Mu że znów

Świat ujrzałeś i że pozwolił Ci być z Twoimi najbliższymi. . .

A moja córka napisała mi:
Nie zawsze się traci, kiedy się zostaje pozbawionym czegoś-
Wierzę, że Ty jedynie zyskasz. . .

A nam Rodzicom wtedy tak napisała:
Kocha się nie za coś, tylko pomimo wszystko

I jeszcze inne :
Czas, to nie droga szybkiego ruchu,
Pomiędzy kołyską a grobem,
Czas to miejsce na zaparkowanie pod słońcem Phil Bosman

Kochany Tatusiu, życzymy Ci,
Abyś na tej swojej emeryturze zaparkował pod słońcem i cieszył się jego blaskiem i ciepłem. 8 grudnia 2003 roku.

Niesamowite, niezwykłe przypadki i zdarzenia a także dziwne zbiegi okoliczności, i śmieszne sytuacje jakie miały miejsce w mym życiu.

1. Pod koniec lat siedemdziesiątych a konkretnie na przełomie roku 1977 i 1978 w kilka tygodni przed śmiercią znanego pisarza Stanisława Dygata a i jeszcze wcześniej, kiedy moja mama była w pełni sił i zdrowa a przede wszystkim chętna do podróżowania, zaproponowałem jej spotkanie z rodziną państwa Dygatów, a głównie ze Stanisławem Dygatem i jego siostrą Danutą Lutosławską żoną znanego muzyka Witolda Lutosławskiego, z rodzinami Hulewiczów, Zamojskich i Karpińskich to znaczy z rodzinami, z którymi los moich rodziców w czasie okupacji i przed złączył w doli i niedoli. Pomyślałem, że przez to zrobię mojej mamie wielką niespodziankę i wielką przyjemność i spełnię jej marzenia od lat. Pomyślałem że umówiwszy się z nimi wpierw, zawiozę moją mamę Syreną do Warszawy na to niezwykłe spotkanie. Muszę tu wyjaśnić, że uzyskanie adresu tak znanych osobistości jest bardzo trudne lecz w końcu i to mi się udało. Wysłałem więc list w styczniu 1978 roku tuż po Nowym Roku, prosząc pisarza o kontakt. Z tymi rodzinami rodzice moi w czasie okupacji mieszkali po sąsiedzku na jednej klatce schodowej w jednym bloku a potem w niewykończonym jeszcze domu przy ulicy Kieleckiej. Rodziny te w ciężkich chwilach pomagały sobie wzajemnie i dzieliły los okupowanej Warszawy. Ja jako niemowlak często byłem na rękach zacnej pani Dygatowej tj. matki Stanisława pisarza. Jakież było moje zdziwienie i zażenowanie, gdy dowiedziałem się po kilku dniach od wysłania tego listu w wiadomościach telewizyjnych, że pisarz ten zmarł nagle na atak serca. Było to dokładnie 29 stycznia 1978 roku. Nie wiem czy dostał ten list, lecz nie otrzymałem go jako zwrotny, więc chyba tak. I co o tym sądzić? Czy list mój był przyczynkiem nagłego zejścia pisarza ?Było to dla mnie zagadką i dziwnym zbiegiem okoliczności. Szkoda, że w ten sposób nie mogłem zrealizować marzeń mojej mamy. Umarła w dziesięć lat później a ja obecnie z uporem maniaka staram się o adres córki pisarza Magdy Dygat -Dudzińskiej i znanego grafika jej męża Andrzeja Dudzińskiego mieszkających to w W-wie to w Nowym Jorku a numer telefonu mają zastrzeżony. Chciałbym córce pisarza Magdzie przekazać swoje wspomnienia i wspomnienia mamy, aby w ramach suplementu dopisać losy naszych rodziców w okupowanej W-wie,
do jej napisanej ostatnio książki wspomnieniowej o rodzicach.

2. Latem 1980 roku podczas naszego rodzinnego pobytu na wczasach pod namiotem w Czchowie nad Dunajcem wraz z kolegami Tadeuszem i Ryszardem wędkowaliśmy całą noc i nawet ze skutkiem, ponieważ tej nocy było ciemno i bez Księżyca. Postanowiliśmy więc dotrwać do rana. Sadzyki nasze były pełne ryb. W pewnej chwili zaszła potrzeba, aby wymienić przynętę w „telewizorku" specjalnym urządzeniu wykonanym z wałka do włosów do zanęcania, umieszczonego przy żyłce haczykowej. Należało też wymienić przynętę na samym haczyku. Jako przynęty stosowano w tym miejscu to znaczy na Dunajcu wyłącznie gotowane płatki owsiane. Poprosiłem więc najbliżej stojącego kolegę o pomoc, ponieważ wokół nas były istne „ciemności egipskie". po uzupełnieniu haczyka, zarzuciłem ponownie wędzisko do wody, lecz w nocy nie poczułem charakterystycznego plusku o wodę. Kiedy zwinąłem wędkę, okazało się że nie ma całego zestawu z przynętą, a żyłka była przerwana. Analizując całe to zdarzenie, doszliśmy to takiej konkluzji, że z chwilą, kiedy kolega mój podszedł, w moim kierunku, aby mi pomóc, zbliżył się do mnie z papierosem w ustach, a

iskierka przepaliła żyłkę mojego zestawu na wędzisku. Taka mała iskierka dotknęła akurat tę cienką żyłkę w nocy. Niesamowite.
3. w roku 1988, kiedy moja córka Iwona miała ślub, wychodząc za mąż za Zbigniewa po uroczystościach weselnych, które odbyły się w zamku w Szalejewie koło Kłodzka w drodze powrotnej, wysiadając z załadowanej po brzegi Syreny, nagle z kartonu z prezentami z wysokości 1, 5 m wypadł wprost na betonowy chodnik naszej ulicy duży cieniutki kieliszek do szampana na długiej smukłej nóżce i poturlał się pod samochód. Ponieważ uznałem, że się doszczętnie rozbił, nie schyliłem się po niego. Po odjechaniu samochodu okazało się, że ten kieliszek nie rozbił się ani nie potłukł się i był nienaruszony. Uznaliśmy ten fakt jako szczęśliwy omen i długo nad tym faktem zastanawialiśmy się. To niemożliwe a jednak się stało.
4. Przy szwedzkim stole
- Będąc kiedyś przed laty w Hiszpanii, korzystaliśmy z bardzo dobrego wyżywienia z tzw. „szwedzkiego stołu" w hotelu „Sorrabona" na Wybrzeżu Prineda de Mar. W pierwszych dniach, chcąc wszystkiego co hiszpańskie popróbować, nakładaliśmy sobie na talerze takie ilości potraw, że potem z wielką trudnością opróżnialiśmy talerze, albo niestety zostawały resztki po nas. Zresztą nie tylko my, lecz każdy, kto spotkał się po raz pierwszy z tym sposobem żywienia był tak zachłanny. Ponadto w hotelu tym nie było żadnej kontroli, kto jest gościem w tym hotelu i kto jest uprawniony do posiłków. Sądzimy, że gdyby ktokolwiek z obcych z ulicy podszedł do posiłku to też mógłby skorzystać. Potem ilekroć na wczasach czy to w Tunezji, czy w Turcji lub we Francji korzystaliśmy ze stołu szwedzkiego, to już z umiarkowaniem częstowaliśmy się ich narodowymi potrawami tak, że wszystko z talerza zostało przez nas skonsumowane.
- Pewnego razu na hucznym i uroczystym przyjęciu przy szwedzkim stole jeden z gości nie obeznany z tym rodzajem poczęstunku, podszedł do stołu i bez zastanowienia wziął do ręki cały półmisek z ulubioną przez niego potrawą i konsumując skonstatował że *jakież dziwne zwyczaje są teraz na przyjęciach, żeby gościom podawać potrawy na tak olbrzymich półmiskach.*
- Jako goście inwestorzy kiedyś zaproszeni zostaliśmy przez wykonawców na uroczystą kolację przy szwedzkim stole. Był to stół olbrzymi długi i bardzo szeroki. Tradycyjnie i zwyczajowo to co najsmaczniejsze i najdroższe z potraw oraz wystrój stołu i kwiaty w wazonach tudzież „fruti di mare" czyli owoce morza było ulokowane na jego środku. Więc dla długorękich takich jak ja nie było trudności, aby się tam dostać i sięgnąć, dlatego też chętnie korzystałem z tej okazji. Koledzy zaś o krótszym zasięgu rąk nie mogli dostać się na środek stołu i z zazdrością spoglądali na mnie. Korzystali więc z mniej atrakcyjnych potraw, ustawionych na półmiskach u brzegu stołu. W końcu poprosili mnie abym im też podał ze środka. Korzystali więc z moich usług i od tej chwili musiałem wszystkim podawać potrawy bardziej atrakcyjne ze środka stołu. Śmieszne, ale prawdziwe. Tak to ze stołem szwedzkim bywa, kiedy jest za duży i za szeroki a rąk nie wystarcza.
5. Nieznajomość biegła obcego języka doprowadzić może do kompromitacji i nieporozumień.
Będąc kiedyś dawno temu w Niemczech na przywitanie się z Niemcami użyłem niefortunnie słowa „Tschiss" kojarząc sobie z polskim odpowiednikiem słowa Cześć na powitanie. Niestety słowo „Tschiss" mówi Niemiec na pożegnanie. Kolega mój znał tylko dwa niemieckie słowa „ja gut" i przy każdej okazji odpo-

wiadał Niemcom czy w przypadku negacji czy w przypadku potwierdzenia te dwa słowa „ja gut". Niemiec za każdym razem śmiał się a przede wszystkim był zdezorientowany. Ja znając j. niemiecki też się sporo ubawiłem.
Pewna dama w towarzystwie mężczyzn Niemców gościła ich w ekskluzywnej restauracji, a ponieważ nie znała jeszcze biegle j. niemieckiego, chciała się znajomością tego języka przed nimi pochwalić, więc kiedy podano do stołu grzecznym i miłym tonem zwróciła się do nich mówiąc" Bitte fressen" co oznaczało nie mniej i więcej „proszę żreć" zamiast powiedzieć „Bitte essen" proszę jeść.
6. Pewnego pięknego i słonecznego dnia latem, kiedy razem z dziećmi jak zwykle spędzaliśmy dni wakacyjne na uroczym kąpielisku w Ostrzeszowie, spotkaliśmy przypadkowo moją kuzynkę Marylkę ze swoim mężem Włodzimierzem z Poznania. Ucieszyliśmy się wielce z tego spotkania, ponieważ mieszkaliśmy daleko od siebie i rzadko mieliśmy okazję aby się spotkać ze sobą. Wszyscy siedzieliśmy na kocach na czystym piasku na plaży, ponieważ dla małych dzieci było to miejsce najprzyjemniejsze do zabawy. Kiedy nadszedł czas obiadu w południe, kuzynka postanowiła opuścić kąpielisko, aby udać się na spożycie posiłku do swego ojca Ludwika na Garncarską jeszcze wtedy. Myśmy natomiast zostali, ponieważ prowiant zabraliśmy ze sobą, aby nie marnować zbytnio czasu na dojście i powrót na kąpielisko. Po zebraniu i spakowaniu wszystkich rzeczy, kuzynka stwierdziła, że zaginęła obrączka ślubna Włodka. Zaraz też zabraliśmy się do intensywnego poszukiwania zguby. , lecz jak można było taką małą rzecz znaleźć w piasku? To tak, jak gdyby szukać igły w stogu siana. Solidnie przeszukaliśmy cały nasz okupowany teren leżakowania i bez rezultatu. Zrezygnowani, opuścili kąpielisko i udali się do domu. Myśmy natomiast nie dali za wygraną i dalej kontynuowaliśmy poszukiwania, modląc się do Św. Antoniego patrona od rzeczy zagubionych. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy w pewnej chwili na palcach mojej żony utkwiła zguba, gdy przesiewała między palcami piasek. Po powrocie do domu uradowani przekazaliśmy zgubę właścicielowi. . Moja mama natomiast powiedziała, że zagubienie obrączki ślubnej i jej nie odnalezienie to zła wróżba, jak mówią starzy ludzie. Mówią że jeżeli się nie odnajdzie, to właściciela czeka nieszczęście a nawet śmierć w najbliższym czasie. .
Nie wspominaliśmy o tym zabobonie kuzynce ani właścicielowi obrączki, bo było to smutne i nieprzyjemne. Niedługo potem przyszła wiadomość z Poznania o nagłej śmierci Włodzimierza. Po powrocie z wędkowania po spożyciu posiłku, kładąc się spać, w nocy zachłysnął się pokarmem i doznał uduszenia. Ciekawy i nietypowy przypadek a jednak.
7. Po powrocie z Niemiec, a przebywałem tam przeszło miesiąc poza domem, tuż po przekroczeniu progu, żona poprosiła mnie, abym nakręcił zegar ścienny, bo kiedy on nie „chodzi" to nie ma życia mówiła. Zegar ten był nakręcany kluczem. Była to jak zwykle moja funkcja i dlatego żona czekała na mnie. Po jego nakręceniu, chcąc sprawdzić godzinę i nastawić wskazówki, spojrzałem na zegar stojący pod telewizorem i jakież było moje zdziwienie, ponieważ wskazówki zegara wiszącego, akurat zatrzymały się
pewnego razu na tej samej godzinie i minucie, która była w tej chwili. Uznałem to za niezwykły przypadek i ilekroć teraz spoglądam na ten zegar nie mogę wyjść z podziwu co wtedy się wydarzyło.
8. Wybraliśmy się pewnej jesieni do lasu na grzyby. Trafiliśmy właśnie na gęsty młodnik a że był na dużym terenie, to warto było go przeczesać.

Po kilkukrotnym przejściu a raczej czołganiu się w rzędach, Mikołaj wyszedł z tej gęstwiny i stwierdził, że zgubił swoją dżokejkę, którą miał na głowie. Płakał, bo była to jego ulubiona czapeczka, z którą się nie rozstawał.
Zrezygnowani szukaniem, postanowiliśmy udać się do domu, ale ja jeszcze raz nie dałem za wygraną i postanowiłem jeszcze raz przeszukać ten młodnik. Modliłem się intensywnie do mojego patrona od rzeczy zgubionych czyli Św. Antoniego i w pewnej chwili zobaczyłem zgubę w środku lasu zawieszoną na gałązce świerku. Radość była wielka, bo zguba się znalazła.
Ojciec z synem czekali na mnie zrezygnowani obok swojego samochodu.
9. Przeczytałem pewnego razu przypadkowo artykuł w dodatku do Gazety Wyborczej stanowiący wyjątek z książki Wojciecha Tochmana „Schodów się nie pali" rozdział pt. " Przez pragnienie" o tragedii związanej z trzęsieniem ziemi „terramoto" w Asyżu mieście Św. Franciszka we Włoszech. W wyniku tego trzęsienia zniszczeniu uległa piękna bazylika a przede wszystkim zginęli bracia franciszkanie a wśród nich także Gislao czyli Zdzisław Borowiec z Polski a konkretnie z Kielc. Oprowadzających w tym momencie braci trafiły odłamki walących się ścian i zabiły nieoczekiwanie między innymi tego młodzieńca alumna z Polski. Zapragnął być uczniem Św. , Franciszka i bratem w zakonie franciszkańskim. Młodzieńca w tak młodym wieku zabrał Bóg do siebie i był to dla mnie przypadek nad którym się długo zastanawiałem i do głębi przejąłem. Przypomniało mi się właśnie to miejsce, bo niedawno tam przebywałem jako uczestnik pielgrzymki do Włoch.
Postanowiłem zainteresować tym faktem a szczególnie tym młodzieńcem szersze grono moich przyjaciół. Napisałem też list w tej sprawie do występującego w tym artykule zakonnika O. dr. Mateusza Korczaka, który temu młodzieńcowi umożliwił studiowanie we Włoszech i wstąpienie do zakonu. Zaproponowałem mu, aby zbierać materiały o Śp. Zdzisławie Borowcu i tym samym poprzez modlitwę doprowadzić kiedyś do wyniesienia go na ołtarze, ponieważ jak się okazało jego życie i postępowanie było świadectwem do większego zainteresowania się tym człowiekiem. Z listu O. dr. Mateusza Korczaka stanowiącego odpowiedź na mój list wynikało że prawie jednocześnie w czasie pomyślał też o tym. I tu niesamowite zdarzenie, ponieważ w jednej sprawie i jednomyślnie dwóch ludzi z odległych krańców Polski pomyślało o tym samym. Jakaś dziwna intuicja i zgodność myśli. do dziś zastanawiam się kto tym kierował i pobudził nasze myśli w jednym kierunku. Obecnie nazbierało się tyle materiałów i dowodów uczciwego i pobożnego życia Śp. Zdzisława, że w drukowaniu jest książka z opiniami ludzi Kościoła i świeckich o życiu tego młodzieńca. Być może kiedyś posłuży się nią Komisja ds. Kanonizacji, aby wynieść kiedyś go na ołtarze w opinii świętego.
10. Kiedy przebywaliśmy w Polskiej Misji w Domu Polskim w Lourdes we Francji podczas pielgrzymki do Francji i Włoch. Trafiliśmy w tym domu na zakonnice z Polski, które obsługiwały gościom w tym domu. Dowiedziałem się też że są to SS. Nazaretanki. Od razu skojarzyłem je sobie z nowicjatem w Ostrzeszowie, w którym prawie każda musiała przebywać. Trafiłem właśnie na siostrę, która też w tym mieście przebywała w nowicjacie a potem jako siostra zakonna uczyła religii w miejscowych szkołach. Uczyła też religii mojego chrześniaka Roberta, Magdę oraz Agnieszkę wszystkich z mojej rodziny w tym okresie. Zdjęcia natomiast siostry tradycyjnie wykonywały sobie w Zakładzie Fotograficznym u Mieczysławy Niesobskiej siostry mojej żony. Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem tak mówią. Gdzieś tam w dalekiej Francji można przy-

padkowo spotkać kogoś, kto jest bliski naszemu sercu, lub kto ma w życiu wiele wspólnych wątków, ktoś, kto w człowieku znów wyzwolił wspomnienia z dzieciństwa, podziwiając przypadki, które się między ludźmi zdarzają.
11. Wnuczka moja Aleksandra w lutym 2004 roku wraz ze swoją klasą i szkołą uczestniczyła w rozgrywkach piłki siatkowej klas czwartych w Miliczu na Dolnym Śląsku. Kiedy wróciła do domu opowiadała o swoich wrażeniach z tych rozgrywek, ponieważ była pierwszy raz na tego typu zawodach. Spytałem ją wówczas czy reprezentowały miasto Kędzierzyn Koźle czy też województwo opolskie. Odpowiedziała mi niejednoznacznie, i dlatego spytałem ja ponownie i podałem przykład przypadkowej miejscowości, która akurat w tej chwili nasunęła mi się na myśl. Była to Murowana Goślina miejscowość pod Poznaniem. Mogła to być jakakolwiek inna dla przykładu.
Nie wiem dlaczego akurat wymieniłem tę miejscowość. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że akurat o tej drużynie z tej miejscowości chciała mi wnuczka opowiedzieć, że dzieci z Murowanej Gośliny uczestniczyły w tym turnieju i zajęły jedno z ostatnich miejsc. Tyle tysięcy miejscowości w Polsce a ja wymieniłem tę jedną. Zdziwienie mojej wnuczki było tak wielkie, że uznała to trafienie jako jakieś jasnowidztwo i czary. Trudno to jest wytłumaczyć, ale trafić na swoje liczby w Toto Lotku to byłoby bardziej interesujące
i ciekawe.
12. Na rekolekcjach wielkopostnych w roku 2004 w naszej Parafii kazania głosili OO. Franciszkanie z dalekiego Konina i Wschowej. Byli to O. Błażej Sekula i pochodzący z naszego miasta O. Lech Dorobczyński. Od pierwszego spojrzenia postać starszego kaznodziei O. Błażeja była mi jakaś bliska i znana. Potwierdziło to się, kiedy rozmawialiśmy na temat wspólnych kolegów zakonników, z którymi miałem styczność, bo on przebywał w Klasztorze w Panewnikach koło Katowic a ja jako alumn w klasztorze a raczej Niższym Seminarium w Rybniku. Nie byłoby w tym nic ciekawego, gdyby nie fakt, że właśnie korzystałem z książki do nauki j. greckiego należącej kiedyś do tego zakonnika i nawet była podpisana jego nazwiskiem wewnątrz. Znalazłem właściciela tej książki po 50 latach. Kiedy mu tę książkę pokazałem zdziwił się niezmiernie, ale dodał czy się już spowiadałem że tę książkę ukradłem. A kiedy poprosiłem go o jeszcze jeden wpis do niej to podpisał się jedynie imieniem, stwierdzając że nazwisko jest zbyteczne, ponieważ w zakonie jest tylko jeden zakonnik o tym imieniu ale dodał" ale za to jaki dobry" Książka ta i ten podpis wyzwolił w nas chwile na wspomnienia i refleksje.
13. z naszego pobytu na wczasach za granicą przypominam sobie dwa następujące zbiegi okoliczności. Otóż będąc nad słynnymi wodospadami w parku Krka w Chorwacji, oczekując na stateczek, który miał nas przewieźć na ląd. , w grupie samych obcokrajowców nagle usłyszałem znajomą mowę polską. Młoda matka mówiła do swej córeczki po polsku. Kiedy się do niej uśmiechnąłem i zagaiłem, nagle stwierdziła że ja jestem z Kędzierzyna Koźla. Nie było potem dziwne dla mnie, ponieważ moja czapeczka na głowie zdradziła moje pochodzenie. Było tam logo Polmozbytu z Kędzierzyna Koźla. Ale kiedy powiedziała mi że mnie zna z Kościoła na Piastach i wie gdzie ja mieszkam to już było za wiele. Okazało się że kobieta ta też pochodzi z Kędzierzyna Koźla i to jeszcze z mojego Osiedla. Spotkałem ją potem w Kędzierzynie Koźlu i wymieniliśmy swoje wspomnienia z tego spotkania.
Muszę jeszcze dodać że była ona jedyna i pochodziła z bardzo odległego niż moje miejsca pobytu w Chorwacji.

Będąc na wczasach w Tunezji w bardzo dużym hotelu w windzie nagle słyszę znajomy głos i mowę polską. Jest mi wtedy radośniej i milej. Okazało się że spotkana pani pochodzi z Sycowa i zna bardzo dobrze moja bratową Elżbietę, ponieważ jako uczennica miała z nią kontakt. Elżbieta właśnie jest Dyrektorem tamtejszej Szkoły Podstawowej.
Z ciekawostek i niesamowitych zdarzeń związanych z moją rodziną to mogę wymienić na przykład to, że moje konto w banku od wielu już lat przypadkowo zbiega się z numerem mojego telefonu stacjonarnego w mieszkaniu. A „prześladuje nas" literka „K" bo mieszkamy w Kędzierzynie Koźlu, nasze imiona i nazwiska też rozpoczynają się na „K" Krystyna i Konrad Kempowie, Nasza synowa też Kempa a imię Katarzyna, Nasza córka Iwona wyszła za mąż za Zbigniewa Krupę i wszyscy mają to nazwisko. Cieszymy się że ta literka nas „prześladuje" bo jak na razie żyje nam się dobrze i szczęśliwie.
Na zakończenie moich wspomnień muszę się podzielić radosną wiadomością, że 14 kwietnia 2005 roku po 12 latach oczekiwania i niepewności, tudzież po nieustannych modlitwach do Boga Stwórcy naszej córce Iwonie urodził się syn, któremu na chrzcie Św. nadano imiona Paweł i Piotr. Rodzina i Dziadkowie są szczęśliwi i bardzo cieszą się tą kruszynką, która rozwija się wspaniale i jest podmiotem dumy, podziwu i zainteresowania.

Niżej zamieszczam szereg artykułów, które opracowałem dla prasy i periodyku „Koncern" redagowanego przez Południowy Koncern Energetyczny To z tych artykułów dowiemy się o moich związkach z pracą w Elektrowni Blachownia i długoletniej pracy w Przyzakładowej Szkole Zawodowej, a także o zwyczajach i tradycjach, konfliktach oraz o moich wrażeniach z pierwszych dni pobytu na ziemi śląska Opolskiego i Kędzierzyna Koźla. Przedrukowuje go więc w całości bez poprawek.

Wspomnienia związane z moją pracą, moimi i Elektrowni jubileuszami
Moje 40 lat pracy w półwieczu istnienia Elektrowni Blachownia
Wspomnienia te napisałem, kiedy uzmysłowiłem sobie ile lat przepracowałem w mojej elektrowni i ile już lat ona istnieje
50 lat istnienia Elektrowni Blachownia mija w październiku br, Wobec mojej w niej przeszło 40 letniej pracy zawodowej to jak gdyby zamknięta klamra albumu wspomnień i jak tu nie opisać w telegraficznym skrócie chociażby tego co legło u podstaw jej powstania i początku mojej w niej pracy. Są to autentyczne wspomnienia niestety już emeryta energetyka, dlatego też są ze wszech miar wiarygodne i pełne sentymentalizmu i refleksji a także zatroskania o jej najbliższą przyszłość. Są to wspomnienia moje osobiste, wspomnienia emeryta, który całe swe życie zawodowe i naukę oddał tej wysłużonej dziś niestety fabryce energii elektrycznej i cieplnej na Opolszczyźnie.
A więc rok 2007 jest dla Elektrowni Blachownia rokiem jubileuszowym, a ja w niej pracowałem przeszło 40 lat. Kiedy miała 9 lat zacząłem w niej pracować. Dnia 4 listopada 1966 roku podjąłem pracę w Elektrowni Blachownia jako inspektor ds. dokumentacji w pionie inwestycyjnym. Szkoła przyzakładowa o kierunku energetycznym miała w roku 2003 jubileusz 40 lat. Pracowałem w niej z przerwami 30 lat. Dlatego też pracę w niej nierozerwalnie łączę z moją pracą zawodową w Elektrowni Blachownia

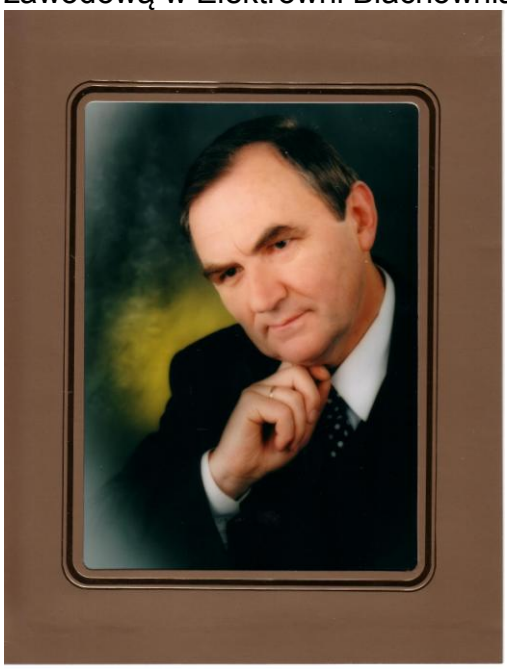

Jubileusze w rodzinie

Ostrzeszów rok 1998

W naszym domu bywa nieraz wesoło.Każdy chwyta jakiś instrument i gra
Na akordeonie przygrywa kolega Tadeusz Waligóra z Koźla

Od trzech lat jestem na zasiłku przedemerytalnym w wyniku podpisanej umowie społecznej w Południowym Koncernie Energetycznym, po przepracowaniu 43 lat i osiągnięciu 60 lat.
Posypały się więc jubileusze i jak tu nie wspominać.
Kiedy uruchomiono w październiku 1957 roku pierwszą turbinę SSW 55 MW skończyłem edukację w Szkole Podstawowej Nr. 2 w Ostrzeszowie, w małym miasteczku południowej Wielkopolski. Nie myślałem wówczas, że kiedyś będę inżynierem energetykiem, i że w ogóle pracować będę w dalekiej Blachowni na ziemi opolskiej i śląskiej. Nie myślałem wówczas, że właśnie tutaj zakończę swoją karierę zawodową i przejdę na emeryturę. Że doczekam się tylu jubileuszy i że kiedyś będę uczył w szkole fachowców potrzebnych przemysłowi energetycznemu.
Na ziemię opolską po wojnie przyjeżdżali ludzie z kresów wschodnich, z Małopolski, z Rzeszowa i Kielc, górale oraz z centralnej Polski i z poznańskiego. Oprócz autochtonów, z których nie wielu pozostało na tych ziemiach i ciągle jeszcze ubywało w wyniku wyjazdów na stałe do Niemiec, Opolszczyzna była i jest „tyglem narodowościowym" i konglomeratem kulturowo- językowym. Z osobistego spojrzenia poza drobnymi nieporozumieniami i antagonizmami „rasowymi' żyje się na tym skrawku Polski spokojnie i bezpiecznie. W toaletach publicznych na dworcach PKP oraz na murach w tych latach można było wówczas dowiedzieć się o tych problemach i różnicach „narodowościowych" widniały więc takie słowa jak „gebelse", "chadziaje", „kacapy", „gorole", „hanyse", „kaziuki" czy „zabogole" oczywiście z odpowiednimi epitetami często niecenzuralnymi i odpowiednim komentarzem. Napisy te były dla mnie przybysza z wielkopolski „poznańskiej pyry" czymś nowym i niezrozumiałym. W domach na jednym stole wigilijnym obok kutii, pierogów z grzybami, kołdunów, była moczka i makówki, ryba w galarecie i smażony karp. Tak łączy ludzi miłość, tworzą się nowe związki i rodziny, niezależnie od różnic narodowościowych, kulturowych i obyczajowych. Zakład pracy oraz Kościół w dużej mierze sprawiają że zacierają się różnice pochodzeniowe i człowiek człowiekowi nie jest wtedy wilkiem. Tak więc mogę powiedzieć że w tym tyglu żyło mi się dobrze i traktowany byłem jak swój. Śląską mowę znam od dziecka, więc czułem się swojsko na tej ziemi.

O moim zakładzie napisać mogę wiele, bo też wiele lat w nim przeżyłem. Wiele dobrych i złych zdarzeń miało miejsce na przestrzeni kilkudziesięciu lat.
Ze względu na rodzinę, dzieci i zmianę miejsca zamieszkania studia inżynierskie na Wydziale Mechaniczno Energetycznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach ukończyłem dopiero w roku 1974 roku, mając 31 lat. Studiowałem i pracowałem w Elektrowni Blachownia w pionie inwestycji od listopada 1966 roku i przyjęty zostałem do pracy w trakcie budowy Elektrociepłowni Bl. III. Budowana

była z wielkim rozmachem, a urządzenia podstawowe jak kotły parowe i turbozespoły ciepłownicze przeciwprężne były prototypowe i w dodatku na nasze nieszczęście krajowe. Blachownia I i II natomiast wyposażona została w urządzenia znanych na świecie firm zachodnich jak SSW Siemens, Paukerwerk Austria itd. Była wówczas piękna, oczkiem w głowie i dumą energetyków i nowoczesną w polskiej energetyce. Podziwiana przez zwiedzających z rozłożystymi palmami stojącymi na nastawni cieplno elektrycznej, która posiadała nawet światło naturalne od słońca z góry. Na poziomie palacza w kotłowni oraz na maszynowni na poziomie turbin płytki glazurowane i lśniące kolorowe pulpity sterownicze robiły wrażenie. Turbiny stały wyniośle rzędem wzdłuż całej maszynowni lśniące świeżością i połyskiem pod rozpostartymi dwiema olbrzymimi suwnicami. Zdjęcia nie kłamią i można jeszcze teraz nacieszyć swój wzrok i pobudzić wyobraźnię jak było wówczas pięknie w naszej elektrowni.
Podczas budowy Elektrociepłowni Bl. III panował zrozumiały ruch wielu wykonawców. , projektantów, inspektorów nadzoru, pomiarowców, gości i sprzętu. Bałagan jak na budowie a potem piękno, porządek i inwestycja oddana ku wielkiej uciesze załogi, władz resortowych, państwowych, partyjnych i miejskich. Mnóstwo zdjęć, protokołów, sprawozdań i kontroli i normalna codzienna eksploatacja po „oswojeniu” i ruchu próbnym urządzeń. Tak więc od roku 1964 do 1968 trwała budowa trzeciej części El. Blachownia.
Po 20 latach eksploatacji kiedy to w roku 1960 zostały uruchomione dwa turbozespoły Nr. 5 i 6 z kotłami przepływowymi typu Bensona nagle zaczęto likwidować te dwa bloki i na megawatomierzu w nastawni nagle ubyło aż 140 MW mocy elektrycznej. Zła jakość węgla i zła jakość wody zdemineralizowanej, „zarżnięte młyny węglowe” spowodowały ową likwidację i nie było odwrotu. Zbyt czułe jednostki wobec złych warunków eksploatacji oto przyczyna likwidacji. Mocy mniej i od roku 1980 po likwidacji tejże części, Elektrownia zubożała. Od tej pory nie przybyło żadnych nowych jednostek wytwórczych, mimo wielu ambitnych planów inwestycyjnych, które co roku opracowywałem jako inwestor. Pracowałem potem w Kontroli Eksploatacji przy sporządzaniu bilansów energetycznych i protokołów awaryjnych, dalej w służbie remontowej młynów węglowych i potem wróciłem ponownie do pionu inwestycji, gdzie pracowałem do końca mojej kariery zawodowej.

Obecnie ratunek dla naszej starej i wysłużonej elektrowni przyszedł ze strony Południowego Koncernu Energetycznego, w którym energetycy widzą dalszą jej egzystencję i upragnioną pracę dla nich. Jako inspektor nadzoru zmuszony byłem do częstych” spacerów” po całej elektrowni i zapleczu. Ze smutkiem i nostalgią zauważałem stopniowo ze ubywa wielu urządzeń w terenie. Niestety był to za każdym razem smutny dla mnie widok. Urządzenia obecnie likwidowane

cieszyły wzrok i dawały zyski i zadowolenie. Jako nauczyciel przedmiotów zawodowych, często oprowadzałem wycieczki uczniów ze Szkół Podstawowych i Gimnazjum, uczniów, którzy w przyszłości mieli zamiar zasilić
rzesze energetyków i będą kiedyś uczyć się w naszej przyzakładowej kuźni talentów. W ramach praktyk uczniowskich i wykładów często oprowadzałem swoich uczniów po zakładzie i pokazywałem im urządzenia, o których właśnie mówiliśmy w trakcie wykładów z maszyn i urządzeń energetycznych. Niestety i o tych likwidacjach i o mglistej i niejasnej przyszłości elektrowni musiałem ostatnio wiele uczniom tłumaczyć a to był zawsze smutny dla mnie temat.
Obchodzimy obok dziur, luk i pustych miejsc, ogrodzonych rurami i płotami zabezpieczającymi, pomalowanymi na kolor żółty ochronny bhp które jeszcze niedawno były zabudowane czynnymi urządzeniami i dlatego opowiadanie o tych smutnych zdarzeniach w elektrowni nigdy nie jest gołosłowne.
Minęło wiele lat i oto jestem już na zasłużonej przedwczesnej emeryturze i wspomnienia pobudzają mnie do refleksji nad przemijaniem i oby te moje wspomnienia „zbłądziły kiedyś spod strzechy” jak pisał znany wieszcz. Poprosił mnie kiedyś Dyrektor, abym pośredniczył między wydawnictwem Koncernu gazety energetyków a elektrownią i odtąd redagowałem każdy artykuł o elektrowni.
W pamięci mojej przewijają się nie tylko urządzenia, które cieszyły oko i pracowały onegdaj na nas i dawały zysk ale i ludzie, ci z dobrym sercem, oddani swej pracy i koledzy i ci mniej lubiani i nieco wyobcowani, lub tacy, których już nie ma między nami.

Specyfika pracy energetyka jest szczególna i nie dziwi nikogo, że wśród załogi jest wiele rodzin, małżeństw i wiele pokoleń. Zawód to trudny, praca odpowiedzialna i ważna. Ciągła dyspozycyjność energetyka jest zakodowana w jego psychice. Szczególnie energetycy pracujący na zmiany i w remontach muszą być dyspozycyjni jak w wojsku. Przeżyłem a raczej zetknąłem się więc z Dyrektorami nie żyjącym już inz Jedynakiem, oraz inż. Piątkowskim, Panami Czerniejewskim i Czakonem, inż. Popińskim, inż. Ostapem, inż. Pękalą, mgr. Grzegorczykiem, nieżyjącymi już inż. Chyłkiem i inż. Grabowskim oraz inż. Wiąckiem. A ostatnio inż. Działachem i inż. Stanisławem Wodniakiem. Z inż. Wiąckiem i inż. Działachem w jednym czasie pożegnaliśmy elektrownię. Każdy z nich ma swój wkład w rozwój energetyki i wniósł wiele dobrego i zaangażowania w swoją pracę, dzięki nim elektrownia przeżyła tyle lat w dobrej kondycji a ja w życiu elektrowni też miałem niemały udział i wniosłem niemały wkład i mam się teraz o czym przed wnukami chwalić. Wiele kursów i szkoleń odbyłem, nie tylko wspomniane studia energetyczne inżynierskie, lecz także podyplomowe studia prawnicze i pedagogiczne. Wcześniej kursy normowania pracy, bhpowskie i p. pożarowe, wojskowe w OC, komputerowe, i na prawo jazdy, sędziowskie w pływaniu, i dozorowe w energetyce co pięć lat. Ciągłe doskonalenie zawodowe i egzaminy kwalifikacyjne były konieczne i sprawiały, że człowiek się nie cofał i był na bieżąco z postępem techniki i organizacji w energetyce. Energetyk jest to zawód, który wymaga permanentnego dokształcania, . W moim przypadku niestety płaca nigdy nie przenosiła się na zdobywane dokształcania i uzyskiwane kwalifikacje.

Odkurzone zdjęcia energetyków z uroczystości 1 majowych w Kędzierzynie Koźlu. Zawsze eleganccy, w mundurach byliśmy dumą miasta tuż za chemikami, bo to przecież największe polskie zagłębie chemiczne.

Wiele w przeszłości serca i sił wkładałem jako sportowiec biorąc czynny udział w Spartakiadach Okręgowych a nawet ogólnopolskich w piłce siatkowej a nawet w pływaniu, odnosząc wraz z kolegami duże sukcesy. Były dyplomy i medale.

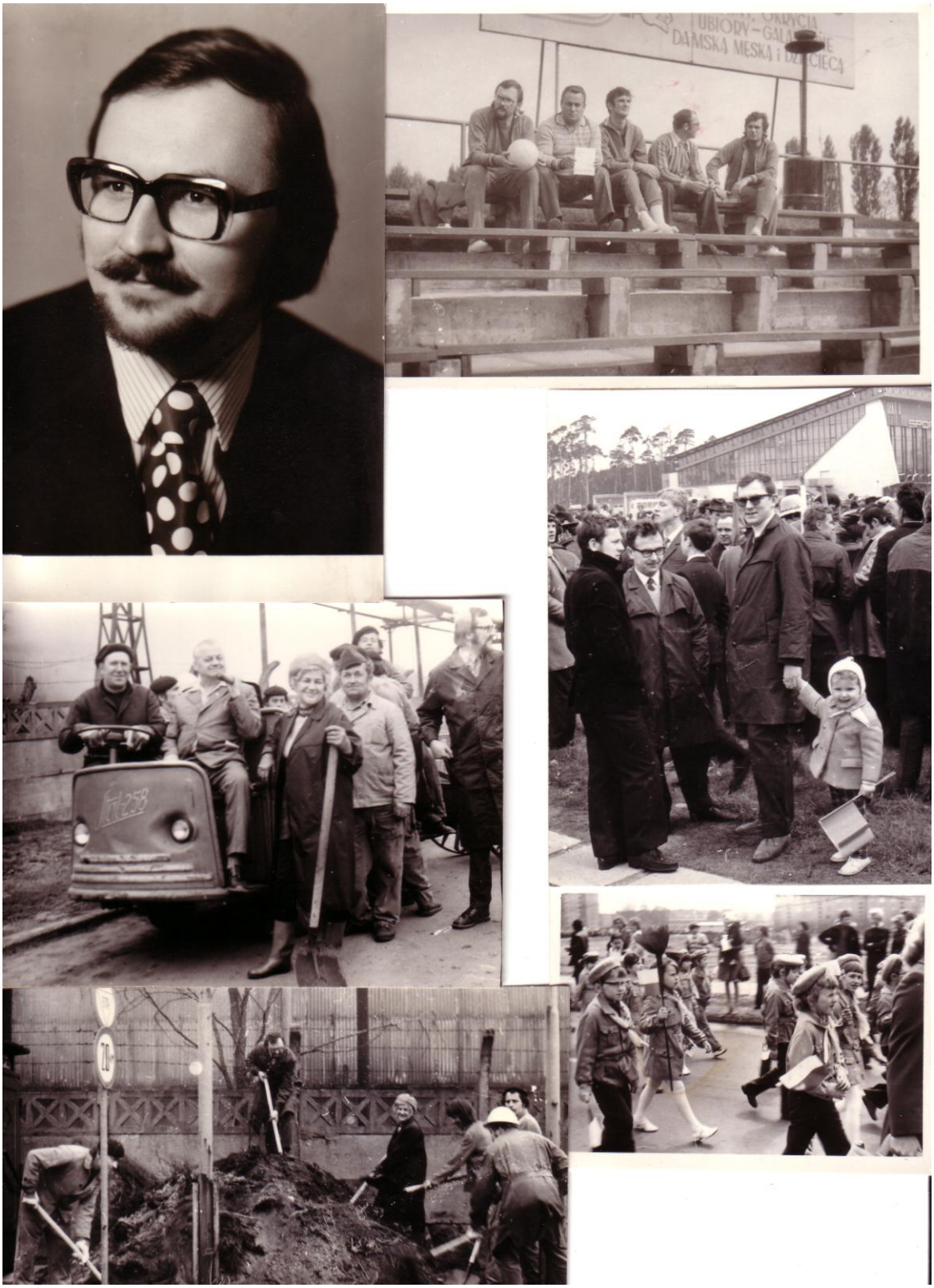

Jeszcze jedna seria starych zdjęć z prywatnych albumów.
Były czasy lat siedemdziesiątych kiedy nosiłem modną wówczas bródkę i wąsy. Obok jako uczestnik Okręgowych Zawodów Spartakiady Energetyków w Radomiu, a niżej migawki z intensywnych prac społecznych na terenie zakładu były to tzw. czyny partyjne. Nawet ci bezpartyjni jak ja, chętnie uczestniczyli w tych akcjach. Obok moje dzieci w pochodzie 1 majowym. Już od dziecka miały wpojoną świadomość aktywnego uczestnictwa w uroczystościach państwowych. Takie były czasy.

Jak już wspominałem wcześniej od roku 1968 nie przeprowadzono żadnej większej przebudowy, ani też nie przybyło w elektrowni nowych jednostek wytwórczych. W istniejącym stanie maszyn i urządzeń przeprowadzonych było w ostatnim okresie w elektrowni szereg modernizacji i rekonstrukcji. W ostatnich latach energetycy chwalili się zastosowaniem gazu koksowniczego ze Zdzieszowic do opalania kotłów parowych OP 140 Bl. I oraz modernizacją dwóch pracujących jeszcze turbin upustowo kondensacyjnych Nr. 1 i 2 wraz z komputerowym systemem sterowania i kontroli. Zmodernizowano także układ spalania na kotłach OP 215 Nr. 11 i 12 na EC. Pozwoli to utrzymywać się w granicach dopuszczalnych emisji zanieczyszczeń do atmosfery a modernizacja turbin ma zapewnić pracę turbin zdaniem Niemców z Siemensa na dalsze 15 lat. Oni to właśnie przeprowadzili ową modernizację.
Megawatomierz zbiorczy na nastawni na początku wskazywał gościom 421 MW mocy, potem już 415 MW, by po kilkunastu latach wskazywać 275 MW a ostatnio wskazuje niestety tylko nieco ponad 100 MW. Nie jest się czym chwalić, ale pomimo tylu lat eksploatacji elektrownia jak na razie nie generuje strat i może funkcjonować w Południowym Koncernie Energetycznym.
Przez moje okno z biura widać było upływ czasu, bo sterczące cztery chłodnie kominowe to tylko kikuty żelbetowe bez obudowy, zostały przed laty zlikwidowane a z pozostałych chłodni, jedynie nad dwiema kłębią się chmury jeszcze nie skondensowanej pary. Pozostałe są rzadko czynne. Widok więc nie jest optymistyczny. Komin żelbetowy 150 metrowy Nr. 4 budowany w latach 1964/65 wymaga modernizacji i naprawy zewnętrznej powłoki betonowej i samej konstrukcji stalowej. To ząb czasu i wpływy czynników atmosferycznych powodują systematyczne niszczenie konstrukcji komina.
Zamiast nowych inwestycji i powiększenia majątku trwałego środki pochłaniają remonty i modernizacje To normalna kolej losu starej elektrowni. Jaki los elektrowni byłby, gdyby nie zawarta z nią umowa na dostawę ciepła do sąsiednich Zakładów Chemicznych oraz na dostawę gazu koksowniczego ze Zdzieszowic? Są to dokumenty, które wiążą elektrownię na wiele lat i powodują że istnienie jej jest jak na razie niezagrożone. Upłynęło wiele lat. Moja praca też nagromadziła wiele wspomnień i dopóki będziemy wspominać lata minione to wszystko nawet to co już nie istnieje nagle ożywa. Wertowane kartki z kalendarza, kroniki przekładane" fotkami" gromadzą w umysłach wspomnienia i wyzwalają chęci, aby te wspomnienia uwiecznić i przelać na papier zachowując je dla przyszłych pokoleń i dla moich wnuków.
Zanim Elektrownia Blachownia weszła do Południowego Koncernu Energetycznego nastąpiło „brutalne" w skutkach" odchudzanie" funduszu płac w ramach środków naprawczych i zmniejszenie kosztów wytwarzania, wynikiem czego było zwolnienie dużej ilości pracowników. Na szczęście mnie los nie dotknął tą redukcją, ale inni do dziś mają problemy z podjęciem nowej pracy. Ostre reżimy ekologiczne, ograniczające emisję dopuszczalną i konieczność utrzymania się w tych dopuszczalnych granicach sprawiły, że wiele w tym względzie inwestycji proekologicznych wykonaliśmy a raczej byliśmy zmuszeni wykonać w Elektrowni Blachownia.
Zastosowanie gazu koksowniczego, zwężki kominowe, poprawiające imisję zanieczyszczeń do atmosfery, czy modernizacja układów spalania na kotłach OP 215 powodują że z kominów naszej elektrowni coraz rzadziej widać wydobywające się spaliny. To też nowa rzeczywistość w krajobrazie opolskim i w Polsce. Pamiętam że w dawnych czasach pylenie było zmorą dla ludzi i samochodów a

uruchamianie lub odstawianie jednostek podstawowych było połączone z nie do wytrzymania hukiem i wyciem pary na wydmuchach na dachu.
Kiedy sprowadziłem się w 1965 roku na Opolszczyznę do Sławięcic i zamieszkałem w Pawilonach Leśnych nieopodal elektrowni, pierwsza noc była dla mnie koszmarem i horrorem, nieprzespana z powodu wycia i ryku wydmuchów. W pierwszej chwili nie rozumiałem z jakiej przyczyny taki hałas powstał w nocy. Wyskoczyłem nawet w piżamie nad ranem, myśląc że to jakiś atak czy naloty bombowe. Nigdy z takim zjawiskiem akustycznym do tej pory nie zetknąłem się i że zjawisko to jak się okazało pochodzi z elektrowni. Rzędem przesuwają się w mojej pamięci i przed moimi oczami ludzie, ci co odeszli na wieczny spoczynek, i ci którzy odeszli na zasłużoną emeryturę, ci co wyjechali do Niemiec i wreszcie ci, którzy odeszli lub których zwolniono za odprawą. W pamięci mojej utkwiły także kataklizmy, jakie trafiły się na Opolszczyźnie a więc pożar lasów w rejonie Kuźni Raciborskiej czy wielka powódź stulecia w roku 1997. pamiętam też wielkie pożary w tunelach kablowych czy w rozdzielni 220 kV związane z wyładowaniami atmosferycznymi. Przeżyłem w tej elektrowni także stan wojenny. Jako jeden z założycieli „Solidarności" już na drugi dzień w poniedziałek jako przestępca zabrano mnie wraz z kolegami "suką" na Komendę MO i po przesłuchaniu i podpisaniu „lojalek" puszczono mnie do domu. Mając rodzinę i małe dzieci nie mogłem „postawić się okoniem" i nie podpisać tych dziwnych dokumentów, bo w przeciwnym razie groziło by mi deportowanie do ośrodka odosobnienia gdzieś daleko od domu. Po stanie wojennym wobec zawieszenia działalności tego rewolucyjnego z gruntu związku zawodowego wróciłem do branżowych, w których byłem do końca mojej kariery zawodowej. Zawsze utożsamiałem się ja jako energetyk ze związkowcami swojej branży i obce mi były rozgrywki polityczne i angażowanie się związku z sprawy polityczne. Związek zawodowy moim zdaniem ma za zadanie jedynie bronić pracownika wobec krzywdzących działań ze strony Dyrekcji i jednostek nadrzędnych. Mam więc swoje zdanie na temat angażowania się Solidarności w politykę, chociaż jestem pełen podziwu i nie neguję przeobrażeń w kraju, spowodowanych przez „Solidarność" i Wałęsę, bo sam o tym marzyłem, nie należąc nigdy do żadnego ugrupowania partyjnego.
Wiele urządzeń zlikwidowano. Oprócz wspomnianych już wcześniej dwóch kotłów przepływowych typu „Benson" Nr. 9 i 10 oraz dwóch turbozespołów kondensacyjnych 70 MW, zlikwidowano ostatnio też dwie turbiny ciepłownicze Nr. 7 i 8 dających ok. , 60 MW mocy elektrycznej, pozostawiając jednak kotły pyłowe OP 215 oraz kotły Pauker OP 120 Nr. 1 i 4 i turbinę SSW 55 MW Nr. 3.
W elektrowni aktualnie funkcjonują aż trzy związki zawodowe chroniące pracowników: „Solidarność", Związki Branżowe, i Związek Służb Ruchowych.
Przy Elektrowni Blachownia i przy Automobilklubie Kędzierzyńsko Kozielskim istnieje Koło Automobilklubu, którego jestem wieloletnim v-ce Przewodniczącym i w ramach działalności tego Koła organizujemy rokrocznie Samochodowy Turystyczno Nawigacyjny Rajd Energetyków oraz jednodniowy Samochodowy Nawigacyjny Rajd w okresie karnawału połączony z zabawą karnawałową.
Wieloletnim prezesem tego Koła jest znany działacz automobilizmu opolskiego inż. Józef Lipski
W Polskim Związku Działkowców w Pracowniczym Ogrodzie Działkowym Energetyk jestem od lat nie pamiętam ilu-letnim sekretarzem i w ścisłym zarządzie tego ogrodu Aktualnie znów pracuję w Zarządzie. Jestem v-ce prezesem ogrodu, który od roku 2004 zmienił swą nazwę na Rodzinny Ogród Działkowy Ener-

getyk. Posiadam działkę ogrodniczą na terenie ogrodu Energetyk na Żabieńcu. Całe mój wolny czas spędzam chętnie na mojej działce i cieszę się każdą wykonaną przeze mnie nową inwestycją. Kocham to miejsce i daje mi ono wiele spokoju i przyjemności w obcowaniu z naturą i oby jak najdłużej. Ostatnio odeszli z grona żywych koledzy: Janusz Hanaj, dyrektor Zdzisław Wiącek, Główny Księgowy Edward Grzegorczyk, Franciszek Borecki, Stanisława Kubiak inż. Stanisław Białczak i wielu innych, których teraz nie mogę sobie nagle przypomnieć.

Dnia 1 grudnia 2003 roku nagle przeszedłem na emeryturę a dokładniej na tzw. zasiłek przedemerytalny, ponieważ nie mam jeszcze 65 lat uprawniających

mnie do normalnej emerytury. Koledzy moi, którzy byli w I grupie zatrudnieni i mieli dodatek szkodliwy mogli przejść na emeryturę po skończeniu 60 lat.
Południowy Koncern Energetyczne, do którego moja Elektrownia należy wyszedł naprzeciw chcącym wcześniej odejść z pracy, wypłacając stosowny i bardzo korzystny dodatek zachęcający czyli rekompensatę. Skorzystałem z tej okazji.
Obecnie cały swój czas spędzam na mojej działce a rano idę do Kościoła, aby z Bogiem zaczynać każdy darowany mi dzień.
Z tej okazji a jakże, znów napisałem wiersz pt. ***jesień emeryta***

Liście pożółkłe, czerwone i beżowe,
Za oknem szaruga i mgła,
Melancholia, nostalgia, sny kolorowe,
Pogoda na ogół jest zła.

W późnojesiennej aurze bieg ukończyłem
Koniec pracy zawodowej,
Za biurkiem czterdzieści dwa lata służyłem
I wnukom o tym opowiem.

Za bramą zakładu inne życie czeka,
Kocham życie! Nie będzie źle,
Czas ucieka niechybnie, jak bystra rzeka,
Dni beztroskie a praca w tle.

Z Bogiem zaczynam zawsze każdy życia dzień,
Tak będzie też na „wolności”
Że się nie zawiodę, tego jestem pewien,
Czekam więc nie złej starości.

Już do końca moich dni będę bez pracy,
Wiek starości, czas na zbytki,
Mówią ludzie, bez pracy, nie ma kołaczy,
Zjem więc kołacz bez posypki.

Z Bogiem z Bogiem tak mawiali starzy ludzie,
Ta prawda więc we mnie tez tkwi,
Co teraz będę robić? Bo pracować lubię,
W bezczynności serce boli.

Jesień nastraja mnie źle i nostalgicznie,
Jesienią opuszczam pracę,
By się wtedy nastroić melancholijnie,
A do nowej pracy wrócę.

Boże opiekuj się w nowej dla mnie roli,
Jak dotąd mną kierowałeś,
Emeryckie życie nie płynie powoli,
Bieg ukończyłem jak chciałeś

w mundurze inżyniera energetyka

1.12.2003 *Ingressus – czyli początek mojej emerytury Z tym dniem jestem poza moją pracą zawodową. Będę otrzymywał tzw. zasiłek dla bezrobotnych w wysokości 200 % oraz zgodnie z podpisaną umową społeczną z Południowego Koncernu Energetycznego otrzymałem dość spory zastrzyk finansowy . Ulokowaliśmy te środki w różnych bankach na aktualnie najlepszych warunkach prowizyjnych. Skończyłem 31 marca 2003 właśnie 60 lat i przepracowałem ogółem 42 lata w różnych zakładach.*

Elektrownia Blachownia
Widok od strony nawęglania
Z mostem skośnym i kominami
Bl. I, II ,III

roczek Pawełka Kędzierzyn rok 2006

A oto ja Paweł Krupa
w dniu
14.04'05
miałem
3070g
wagi
51cm
wzrostu
i 32cm
na głowie
Mam nareszcie drugiego wnuka na którego czekałem aż 12 lat !

: Paweł ma roczek Krupowie w komplecie: Zbigniew mąż Iwonki niżej Paweł, Aleksandra i Iwonka

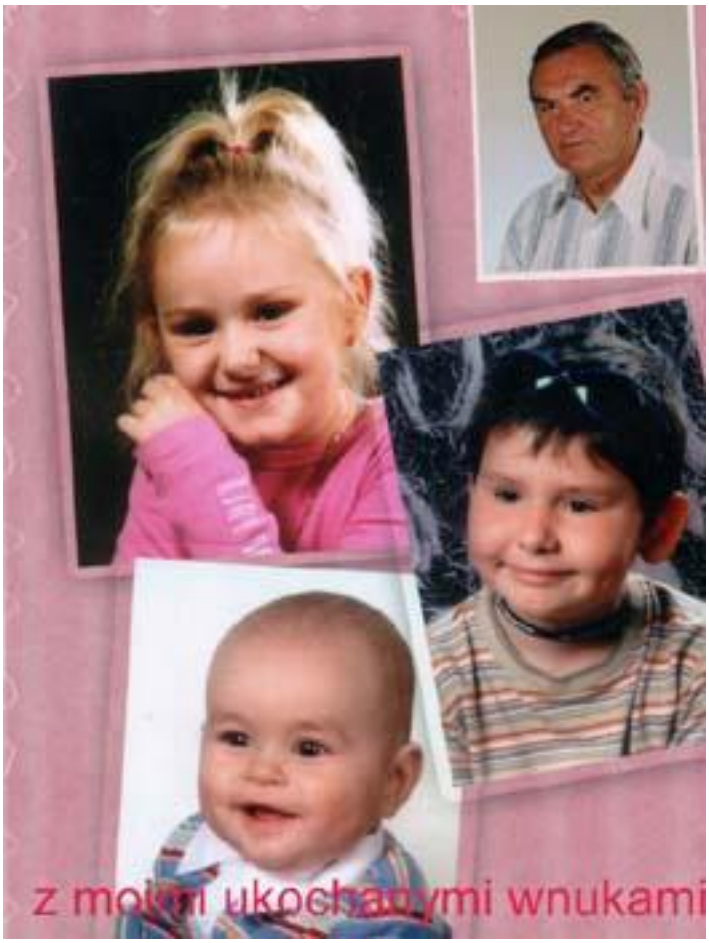
z moimi ukochanymi wnukami

Pawełek na spacerze w lasku rok 2006

dwie siostry rok 2006

nareszcie wnuki w
komplecie rok 2005

Kiedy miał nasz wnuczek roczek napisałem wierszyk :

Pajo ma roczek

Pajo nasz wnuczek ma roczek,
Na byku przyjechał na świat,
Na roczek zrobił sam kroczek,
A co będzie za kilka lat?

Śliczny i zdobi cały dom,
Ma już trzy ząbki z przodu,
Wnet siądzie na nocnika tron,
Piękny, bo z genów jest kodu.

Mama niańczy go codziennie,
W szkole jeszcze nie pracuje,
Babcia Krysia bawi dzielnie,
A Dziadzio w tym jej wtóruje.

Pajo mądry, wiele umie,
Pokazuje, że jest duży,
Wie co dobre i się śmieje,
Jest pogodny, się nie chmurzy.

Daje piątkę, daje buzi,
Woła Tato, tylko Tato,
Śmieje się do wszystkich ludzi,
Czekam, aż zawoła dziadzio!

Potrafi wskazać nawet psa,
Kosi, kosi i pa, pa, pa,
Dużo robi, a roczek ma,
Śpi na balkonie sam co dnia.

W roczek zdrówka mu życzymy,
By go Bóg miał w swej opiece,
Dziś zdrowego go widzimy,
Cieszmy się tym Pawłem wielce.

rodzinka mojego syna Tomasza :Mikołaj, Ania i Kasia jego żona

Z upływem lat. . .

Z upływem lat cisną się wspomnienia
Obrzędy, liturgie, zwyczaje,
Ubogacają nas i mają sens.
Trzeba zapisać, bo to historia,
Pamiętam więc, będąc małym dzieckiem,
Jak gwiazdory do domów pukały
ten dzwonek w Wigilię nas przerażał
a rózgę czuliśmy na pośladkach.
Prezenty z worka rozdawali chętnie,
Potem w nocy szliśmy na Pasterkę.
Wcześniej całą rodziną przy stole

Mnóstwo potraw dziwnych spożywano.
Na stole pusty talerz dla gościa,
Szkoda że nigdy nie dotarł do nas
A pod śnieżnobiałym obrusem sianko.
Dzielenie opłatkiem, modlitwa.
Potem była zupa z ryby-smaczna,
Barszczyk z jakimś ciastem i pierogi,
Karp z patelni smakował najlepiej.
Na koniec podano kompot z suszek
Owoce południa i orzechy.
W pokoju choinka świeża z gwiazdą,
Pod choinką stajenka mistyczna
I Anioł ze skrzydłami na dachu,
Świeczki, zapach wosku i cukierki,
Dawały nastrój niepowtarzalny.
W święta w kościele miałem zajęcia
Bo byłem ministrantem w farze.
Zapachy ciasta i wędzonego,
Kusiły, aby siadać przy stole.
W Sylwestra ludzie furtki chowali,
Ktoś zawsze taką furtkę zatapiał,
Albo chował by ją gdzieś szukano.
Śmielsi na dachy strome wchodzili
I szybą kominy zatykali.
Szkła i talerze tłukli w wesele,
Taka dziwna tradycja w to święto.
W Nowy Rok ślady psot były świeże
Domy popisane były farbą.
Do kościoła sygnaturka woła,
W karnawale starsi na zabawach,
Kotyliony dzieciom przynosili,
W Popielec ksiądz głowy prochem sypał
I mówił straszne słowa o śmierci.
Pierwszy dzień wiosny dla nas to frajda,
Słońce świeciło, ulica gwarna.
Na wodę puszczało się Marzannę.
Tuż przed Niedzielą Palmową matka,
Prosiła nas o nacięcie bazi,
Palmami w Polsce nazywanymi.
W kościele święcono je w niedzielę
A kiedy zaczął się Wielki Tydzień,
Znów ten post i magiczne zwyczaje.
W kościele smutno i śpiewy mętne,
Bez radości bo Chrystus na krzyżu,
Zasłonięty płótnem fioletowym.
Droga krzyżowa, święcenie ognia
I wody, a paschał ozdobiony.
W Wielki Piątek rano „boże rany”
Nie były dla nas imponujące.
Chrystus cierpiał wtedy, czemu nie my?

Wielkanoc poprzedzała święconka,
Co w tym koszyku można było mieć!
Były wędliny, baranek z masła,
Sól, pieprz, ciasto i śliczne pisanki,
Wyjęte rankiem z kąpieli barwnej.
Boży Grób z kwiatami i porządki,
Nastrajały nas wierzących wielce.
Wielkanoc radosna z Rezurekcją,
Alleluja wszędzie i zajączek
To stworzonko wpisane jest w święta,
Cieszy dzieci, bo łakocie daje.
Lany poniedziałek był atrakcją
Dzieci lały wszystkich nie na żarty.
W Święto Pracy w pięknych strojach barwnych,
W pochodzie ze szkołą szło się raźnie,
Za miastem słychać majówek granie,
Młodzież na fajfy w Zamkowej czeka.
W czas Komunii w mieście wszystko w bieli.
Dzieci pięknie ubrane, w kościele
Rozmawiały ze sobą o prezentach.
Dzień Dziecka i znów wolne dla dzieci.
Imprezom przeróżnym nie było końca.
I wreszcie wakacje i za miasto,
Bez obciążeń, wolni i beztroscy,
Jedni jadą na kolonie w góry,
Inni nad morze lub nad jezioro.
W mieście też dużo dzieci zostało.
Na Zielną piękne bukiety polne
I z ogródka ludzie na mszę niosą.
„Kąpielka” gwarna dziećmi i słońcem
przepełniona, picia dużo w siatce.
Nowy rok szkolny, dzieci z torbami
Śpieszą do szkoły, ładnie ubrane.
Na święto Zmarłych trzeba do domu
Naciąć zielonych świerku gałązek
Kwiaty, wieńce, lampki i znicze
Wczesnym rankiem układać na grobie.
Procesja żałobna i msza święta,
A my z rodzinką przy grobach zmarłych.
Smutno jest, bo bliscy nam odeszli.
W Adwencie też smutno bo się czeka,
Aby na Gwiazdkę było weselej,
Bo znów się rodzi Zbawiciel Świata.
Rok do roku w tradycji podobny.
Z upływem lat chcemy te zwyczaje
Zatrzymać, a tu idzie wciąż nowe.
Szkoda! Bo było sielsko i pięknie.
Z upływem lat my coraz to starsi,

A śmierć przyjdzie po nas niespodzianie…

Moje relacje z rodzeństwem

Jak wynika z naszej rodzinnej genealogii siostrą moją jest Danuta Krystyna ur. 24. 04. 1944 a bratem Janusz Marian ur. 8 11. 1950 roku. Niestety niedawno temu zmarł Zbigniew Mamys mąż Danuty i odtąd siostra jest sama i wraz z synem Damianem mieszka w swoim domu w Ostrzeszowie ul. Mieszka I 7 Brat wraz ze swoją żoną Elżbietą natomiast mieszka w swoim domu w Sycowie przy ul B. Prusa 3.
Wszyscy już nie pracują i żyją zgodnie a my cieszymy się nimi i każdym ich sukcesem i zdrowiem. Relacje z nimi są więc wzorcowe. Kochamy się i utrzymujemy ścisły z nimi kontakt.

Ostrzeszowskie wspomnienia

Od dziecka Ostrzeszów mam w pamięci
„kocie łby” na Stawku i Łaziebnej
i te wrota u sąsiada obok,
które nam bramkę w grze zastępowały.
Bliskość cmentarza strachem wionęła
I żałosne śpiewy „Salve Regina”
Dziwne zabawy na „kisych dołach”
I jazda za końmi na „rollwagach”
Jeszcze czuję smak dzikich czereśni
I” kowolowych klusek’ z ulicy

I słyszę przerażający krzyk wron
Oblepiających wysokie drzewa
Pamiętam wiele z dziecinnych mych lat:
Anielkę z blaszanym wiadrem w ręku.
„pytyjonka” co pianę miał w ustach,
i głupiego, wysokiego „Józka”,
który końskimi „bobkami” rzucał.
Kiedyś Lego i tefau nie znano,
Dzieci bawiły się na ulicy
Nieraz w sztekla, to znów w chowanego,
W uganiankę i klasy do zmroku.
Zimą „na Wencla” szaleliśmy zmarznięci,
Na przedwiośniu kruchy lód „Na Wilka”
Nie odstraszał nikogo na łyżwach.
Fara i klasztor w symbiozie miasta
I zameczek bogacą krajobraz.
Rzędy wierzb na polach jak w powieściach
Serbeński z siwą brodą przy farze,
Majestatycznie malował drzewa
Na Borku targowisko i gwarno
I strasząca babcia Rózia w oknie.
W dali alejka z drzewami w rzędzie,
Zniszczonymi burzy piorunami.
W lesie klasztornym spokój i cisza,
A u sióstr u furty sygnaturka,
I „Anioł Pański” co dzień w południe.
Wspomnienia snują się przed oczyma,
Kalejdoskopem barwnym jak ze snu.
I chociaż jestem tyle lat z dala
Tego miasta, przeszłość przybliża,
Wywołując zwyczajne wzruszenia.
Dumny, że z tego grodu pochodzę,
Bo piastowską Polskę symbolizuje.

Wspomnienia ministranta

Ministrantem w Farze byłem wiele lat.
Od dziecka „klepałem” ministranturę
Dziwna, tajemnicza mowa do Boga.
Pamiętam wiele z tych ministranckich lat:
Sygnaturka nawoływała nas wciąż,
A dzwony w dzwonnicy na pogrzeb.
Kadzidłem, stęchlizną pachniały wnętrza
Na kazalnicę nie wolno było wejść.
Przed mszą cisza wielka była w zakrystii
Bo kościelny cyngulum ciągle straszył
Figury ewangelistów czuwały
Nad całym tym porządkiem liturgicznym.
Nieraz klęczała w zakrystii kobieta
„z wywodem” bo znów urodziła dziecko.
Ksiądz tyłem do nas przy ołtarzu głównym

Często nie miał kontroli, a my swoje.
Dzwonnica była nowa i pachniała
Terem. Przy wejściu stała trumna czarna
Kandelabry z pożółkłymi świecami.
Na górze wisiały spiżowe dzwony
Przy dzwonie Józefa najlepiej było
Bo na linie wciągano się do góry.
Z obory pobliskiej zrobiono salki
Do nauki religii i dla chóru.
Boiska obok dobrze nam służyły
W ogrodzie Plebanii kusiły śliwki.
Na Probostwo wchodzono w ważnych sprawach,
A do księdza obok w każdej potrzebie.
Pamiętam pielgrzymki do Mikorzyna
I te budy kuszące różnościami.
W środku lata szło się do Parzynowa
Tam u Świętego Rocha było ciasno.
Kiedyś byłem na Pólku na odpuście
I kilka razy z księdzem w Częstochowie.
Wielkanocna Rezurekcja, Boży Grób
Zwiastowały nam dużo nowej pracy.
W Wielką Sobotę w południe razem,
Szliśmy wokół kościołów z klekotkami.
A byli więźniowie z Dachau przy Judy
Pomniku odświeżali go starannie.
Nieraz gdy prądu nie było w kościele,
Do kalikowania na chór nas brano.
Kiedyś malarz Serbeński z siwą brodą
Przy zakrystii malował stare lipy.
Atrakcją było całą noc przy Grobie
Klęczenie na zmianę ze strażakami.
Kiedyś pamiętam Arcybiskup Dymek
Do Ostrzeszowa małego zawitał.
Na Ogrodowej wieziono go bryczką
A potem bez koni na rękach miano.
Kiedy brat młodszy zaczął do mszy służyć,
Miał kręcone włosy niby dziewczynka.
Biedny! Mszał ciężki nie mógł księdzu przenieść
I ministranturę często nam mylił.
Kolędowanie było wielką frajdą
Do późna w nocy od domu do domu,
W mieście i na wioskach zmarznięci z księdzem
Śpiewaliśmy kolędy z organistą.
Na Pasterkę szło się z chęcią, bo w nocy.
Każdy dostawał funkcję według starszeństwa.
Śpiew kolęd i piękne granie przy Żłóbku
Dawały nastroje niepowtarzalne.
Na Gorzkie Żale szło się do Kościoła
Chrystusa Króla, bo był przeogromny.
Mury pękały od śpiewu i grania,

Wrażeń mnóstwo, nie wszystkie pamiętam.
Jak w snach nieraz wspomnienia odżywają.
Palka i ornat, korporał i bursa,
Alba, komeżka śnieżnobiała w siatce,
Atrybuty, symbole ministranta
Tajemnicze słowa, a zwykłe rzeczy
Nieraz potrzebne mi są do krzyżówki.
Kochamy wspomnienia bo odmładzają.
Każdy je bowiem ma z upływem czasu.

Krótka charakterystyka rodziny

Poprzez małżeństwo z Krystyną z Feigów ja Konrad Stanisław Kempa włączony zostałem w genealogię rodziny Feigów i Niesobskich z Ostrzeszowa.
A oto nasza krótka charakterystyka:

Konrad Stanisław Kempa ur. 31. 03. 1943 w Warszawie.
Syn Stanisława i Heleny zd. Malinowska.
Po ukończeniu Niższego Seminarium Duchownego OO. Franciszkanów w Rybniku, zdaniu matury prywatnej a potem państwowej w Poznaniu, poprzez naukę w Państwowej Szkole Ekonomicznej we Wrocławiu uzyskałem dyplom technika ekonomisty Następnie po ukończeniu studiów na Politechnice Śląskiej w Gliwicach na kierunku mechaniczno energetycznym uzyskałem dyplom inżyniera mechanika energetyka. Ukończyłem także Podyplomowe Studia na Uniwersytecie Wrocławskim na kierunku Prawa Inwestycyjnego. Posiadam także tytuł pedagoga po ukończeniu Studium Pedagogicznego w Opolu.
Przez ok. 30 lat uczyłem w Technikum Energetycznym przy Elektrowni Blachownia w Kędzierzynie Koźlu przedmiotów zawodowych. Przez 40 lat aż do emerytury pracowałem w Elektrowni Blachownia a obecnie Południowym Koncernie Energetycznym w służbie inwestycji na stanowisku inspektora nadzoru inwestycyjnego i posiadałem uprawnienia energetyczne dozoru. Ponadto ukończyłem kurs normowania pracy II stopnia. Posiadam uprawnienia do sędziowania pływania klasy związkowej tzn. najwyższej rangi w kraju.
Od prawie 35 lat jestem organizatorem Samochodowych
Nawigacyjnych Rajdów i posiadam uprawnienia sędziowskie w sportach samochodowych. Jako członek PZMot posiadam złotą odznakę PZMot, złotą Zasłużony energetyce, Zasłużony Opolszczyźnie i inne.
Jako członek Polskiego Związku Działkowców jestem od wielu lat w ścisłym Zarządzie w Rodzinnym Ogrodzie Działkowym Energetyk w Kędzierzynie Koźlu.
W swojej Parafii pw. Ducha Św. i NMP Matki Kościoła udzielam się jako nadzwyczajny Szafarz Komunii Św, wieloletni członek Rady Duszpasterskiej, oraz jestem założycielem Franciszkańskiego Zakonu Świeckich i jego wieloletnim Przełożonym.

Moja **żona Krystyna Kempa z Feigów** urodzona 6 grudnia 1943 w Ostrzeszowie córka Marii z Doboszów i Franciszka Feige
Po ukończeniu Technikum Fototechnicznego w Katowicach uzyskała tytuł technika fotografa i pracowała wpierw jako fotograf w Instytucie Spawalnictwa w Gliwicach a potem jako Kierownik Pracowni Reprografii i Wykończeniowej w Biurze Projektów przy Zakładach Azotowych w Kędzierzynie Koźlu.
Po ukończeniu szeregu kursów i praktyce uzyskała patent sędziowski w pływaniu klasy związkowej tzn. najwyższej rangi w kraju.
Mamy dzieci: córkę Iwonę Małgorzatę Kempa/ obecnie Krupa/
Ur. 10. 06. 1955 w Chorzowie
Oraz syna Tomasza Konrada Kempa ur. 2. 10. 1968 w Kędzierzynie Koźlu
Mieszkamy w Kędzierzynie Koźlu ul. 9 maja 1/25

Córka Iwona Małgorzata Kempa Krupa ur. 10. 06. 1965 w Chorzowie Po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego w Kędzierzynie Koźlu podjęła naukę w

Studium Nauczycielskim w Raciborzu a następnie na Uniwersytecie Opolskim na kierunku Pedagogika- nauczanie początkowe i uzyskała stopień magistra pedagogiki. Pracuje w Szkole Podstawowej Nr. 9 w Kędzierzynie Koźlu jako nauczyciel nauczania zintegrowanego. Jest nauczycielem dyplomowanym. Jej **mąż Zbigniew Jerzy Krupa** ur. 17. grudnia 1964 roku w Kędzierzynie Koźlu
Po skończeniu Technikum Mechanicznego w Kędzierzynie Koźlu i uzyskaniu tytułu technika mechanika ukończył studia na Politechnice Opolskiej na kierunku konstrukcje budowlane i inżynierskie i uzyskał tytuł inżyniera a po ukończeniu Wydziału Marketingu i Zarządzania uzyskał tytuł magistra w specjalności
Zarządzania przedsiębiorstwem. Pracuje w Mostostalu Kędzierzyn Koźle na stanowisku Z-cy Kierownika Wytwórni Konstrukcji Stalowych.
Mieszkają w Kędzierzynie Koźlu przy ul 11 listopada 6D/7
Mają dzieci: córkę Aleksandrę Agnieszkę ur. 19. stycznia 1993 w Kędzierzynie Koźlu Ukończyła aktualnie Liceum Ogólnokształcące i szkołę muzyczną I stopnia w klasie saksofonu, gitary i pianina. Ubiega się o przyjęcie na studia medyczne, bo zamierza być lekarzem. Jest od kilku lat laureatem Olimpiady Lingwistycznej języka francuskiego. Jest sędzią pływania i licencjonowanym ratownikiem wodnym. Posiada licencję sternika motorowodnego i żeglarski patent. Ma także uprawnienia ratownika medycznego
Syn Paweł Piotr urodzony 14. kwietnia 2005 w Kędzierzynie Koźlu. Uczeń I klasy Szkoły Podstawowej Nr. 9 w Kędzierzynie Koźlu.

Syn Tomasz Konrad Kempa ur. 2. października 1968 roku w Kędzierzynie Koźlu, ukończył Liceum Obróbki Skrawaniem w Kędzierzynie Koźlu. Posiada patent ratownika wodnego i pracuje jako ratownik wodny na Pływalni w Kędzierzynie Koźlu. Jest także właścicielem firmy Sportom w Kędzierzynie Koźlu jest dystrybutorem sprzętu pływackiego i wodnego.
W swojej karierze zawodniczej w pływaniu osiągnął wiele medali, dyplomów. Jest również posiadaczem tytułu wielokrotnego mistrza Polski w kat. dzieci z rekordem Polski w stylu delfinowym prawie do dziś nie pobitym.
Obecnie w kategorii Masters w swoim wieku posiada najlepsze wyniki w kraju i nawet w Europie. Wielokrotnie był uczestnikiem zawodów pływackich w Europie i nawet uczestniczył w Mistrzostwach Europy
we Włoszech i w Sztokholmie.
Był także wybrany jako najlepszy sportowiec miasta Kędzierzyna Koźla
Jego żona Katarzyna zd. Jarosz urodzona 23. listopada 1969 w Kędzierzynie Koźlu, Jako absolwentka II Liceum Ogólnokształcącego w Kędzierzynie Koźlu ukończyła Akademię Wychowania Fizycznego w Katowicach na specjalizacji trenerskiej. I uzyskała tytuł magistra
Po ukończeniu Podyplomowego Studium Marketingu i Zarządzania przy Politechnice Śląskiej w Zabrzu ukończyła także Podyplomowe Studia Trenerskie w specjalizacji pływania przy AWF w Katowicach. Ponadto ukończyła Podyplomowe Studia Artystycznych Form Aktywności Ruchowej przy AWF w Katowicach
Pracuje jako nauczyciel wychowania fizycznego w II Liceum Ogólnokształcącym w Kędzierzynie Koźlu oraz jako wychowawca w tym Liceum. Trenuje także młodych adeptów pływania w miejscowej Pływalni.
Mieszkają w Kędzierzynie Koźlu przy ul. Przechodniej 10A/8 oraz w Czarnocinie pod Strzelcami przy ulicy Wiejskiej poczta Leśnica

Mają dzieci: Mikołaja Tomasza ur. 27. czerwca 1999 w Kędzierzynie Koźlu uczęszczał do klasy sportowej w Szkole Podstawowej Nr. 9 w Kędzierzynie Koźlu i w kategorii dzieci uzyskuje już podobnie jak jego ojciec dość dobre wyniki w pływaniu na różnych dystansach i stylach.

Został przyjęty do Szkoły Mistrzostwa Sportowego do Oświęcimia, gdzie doskonali swoje umiejętności w pływaniu, ponieważ ze swoimi wynikami jest w ścisłej czołówce w kraju prawie na wszystkich dystansach .Aktualnie jest uczniem tamtejszego Liceum. W tabelach rankingowych juniorów w pływaniu znajduje się w ścisłej czołówce w kraju, na różnych dystansach.

Córka Anna Maria urodzona 28. kwietnia 2001 w Kędzierzynie Koźlu

Uczęszczała do Szkoły Sportowej Nr. 9 w Kędzierzynie Koźlu w klasie pływackiej i w swoim wieku uzyskuje bardzo dobre wyniki. Ma zamiar również w przyszłości doskonalić swoje umiejętności w pływaniu w tej samej co Mikołaj szkole w Oświęcimiu. Ostatnio Mikołaj otrzymał nominację do kadry narodowej pływaków w kategorii wiekowej 17 latków

Czytelnikowi moich wspomnień i całej rodzinie tej bliższej i tej dalszej, pragnę przybliżyć swoje zmagania z piórem i prozą. Nieraz kiedy przychodzą chęci i tzw. wena twórcza, próbuję siadać i pisać wiersze i rymowanki z gatunku tych ambitnych i tych mniej ambitnych z różnych okazji. Często z okazji uroczystości rodzinnych, zobligowany wówczas jestem do napisania okolicznościowego wiersza czy piosenki. Z tych potrzeb pojawiły się wiersze i inne teksty a nazbierało się tego wiele. Może jako suplement dołączę i tutaj niektóre.

W 2004 roku moja siostra obchodziła 60 lecie urodzin a ja z tej okazji złożyłem jej życzenia napisane wierszem:

Mojej siostrze na 60 lecie urodzin

Sześćdziesiąt lat minęło, kiedy świat zniewolony wojną ujrzałaś,
W Warszawie tam w Czerniakowskim Szpitalu,
Twoja matka w bólach cię rodziła.
Byłem wtedy bardzo mały i nic z tego nie pamiętam,
Tylko dzięki matki wspomnieniom, mogę to teraz przedstawić:
Stolica w gruzach, łuny złowrogie nad miastem,
A my wracamy do zgliszcz domu na Kieleckiej
Z Glogera nas potem wyrzucono, a dalej był obóz w Pruszkowie,
Woda zamiast mleka była twoim pokarmem,
Jedynie z piersi wygłodniałej matki, lichy pokarm płynął.
Życie wisiało na włosku, bo je Opatrzność chroniła.
Koniec wojny i powroty w rodzinne strony
W wagonach bydlęcych bez dachu, śnieg sypał grubymi płatami.
Dziecięce lata minęły w Ostrzeszowie,
Szkoła, dom, praca, rodzina.
Gdzie tu czas na rozrywki i swawole.
Dobrego męża od losu dostałaś w darze,
A i synowie na świat zdrowi przyszli.
Na Nowotki było ciasno, acz przyjemnie,
Na Mieszka zaś w swoim domu zamieszkałaś.
Dzieci rosły, matka umarła w nocy, tak jak chciała,
Praca i dom pochłaniała cię do reszty,
W tym roku wreszcie emerytury się doczekałaś,
Cieszymy się Twoim jubileuszem.
Widzimy Cię kochana, w zdrowiu i pogodnym duchu,
Jesteś nam radością, i pocieszeniem,
Chcemy się Tobą cieszyć, przez następne jubileusze,
Żyj z Bogiem i w dostatku, niech Cię choroby mijają,
Doczekaj się jeszcze paru wnuków,
By swoją miłość na drobne rozdzielić,
Otwartym sercem patrzaj na ludzi,
A czas z nami niech Ci się nie znudzi.

Z tej okazji dla pobudzenia naszych wspomnień wybraliśmy się znów na Pólko to nasze Pólko koło Bralina, gdzie jako małe dzieci matka nas Matce Boskiej Szkaplerznej ofiarowała i z Nią jest nam w życiu dobrze i bezpiecznie. Z tej okazji znów wiersz napisałem. A oto i on:

Samotnia na Pólku

Jest jedno takie miejsce
Urokliwa samotnia
Łanami pól ma wejście
Na Pólku wśród lip stoi

Tam Szkaplerzna króluje
I kłosom zbóż się kłania,
Żadna straż nie pilnuje,
Szkaplerzem się osłania.

Spieszą się ludzie tłumnie,
By odpusty odprawić,
Do Szkaplerza się przyjąć,
I za swoich się pomodlić,

Pamiętam, że kiedyś z mamą,
Przybytek ten zobaczyłem
Do Szkaplerza się przyjąłem,
By mnie przez życie chronił.

Ta szmaciana wywieszka,
Ma siłę, moc i chroni,
Szkaplerza Maryi znaczek,
Na szyi naszej wisi.

Jest to wyjątkowe miejsce
Gdzieś tam między łanami,
Lipy ją osłaniają,
Z niebios Szkaplerzna patrzy.

Sentymentalna podróż,
Po latach wywołana,
Daje poczucie łączności
Z Matką naszą Szkaplerzną.

Mojej żonie z którą przeżyłem już przeszło czterdzieści lat też poświęciłem kilka wierszy, które pobudzają wspomnienia i świadczą o ciągłym powracaniu do przeszłości. A oto jeden z wielu poświęcony żonie Krystynie.

<u>Żonie</u>

Żonie mej te wiersze poświęcam,
Aby mnie zapamiętała
Co było złe – nie pamiętam,
Chcę, aby mi darowała. Wszystkie złości i udręki, Wszystkie rany i zmartwienia, Niedostatki oraz męki, Niech zapomni uniesienia.
Niech pamięta chwile piękne,
Wspólne nasze budowanie,
Śpiewam do Niej zawsze dźwięcznie,
Rzadko mówię Jej Kochanie! W myślach, czynach okazuję, Miłość większą niż te słowa, Jako żonę Ją szanuję, To nie pusta jakaś mowa.
Nie potrafię żyć inaczej,
Zawsze staram się żyć prawie,
Normy w życiu, zgoda raczej,
Niźli złość i pychy pawie. Aby oddać me oddanie, Żonie mej przez całe życie, Historii wierszem pisanie, Takie wspólne nasze bycie.
Na papier przelać zamierzam,
I opisać o nas wszystko,
Daru rymowania nie mam,
Nie śmiej się ze mnie Krystyno Razem wszędzie tak od dziecka, Od przedszkola, szkoły, domu, Miłość w sercu moim mieszka, Nie mówię tego nikomu.
Ją jedyną moją żonę,
Szanuję tak po swojemu.
Nieraz jestem obrażony,

I darujcie mi biednemu. Te moje ciche westchnienie, Kiedy razem tam w Ochronce, Gry, zabawy bez wytchnienia, Ona piękna i w koronce.
Ja taki do niej nieśmiały,
Zdobywałem względy, serce,
Potem nici się przerwały,
Spotkaliśmy się znów w „dwójce”

W jednej klasie, w tańcu razem, W domu nieraz u niej byłem, Lubiliśmy się jak żaden, W Imieniny się bawiłem.

Wycieczki, wspólne wspomnienia
Życie w miłości Platona
Beztroskie nasze westchnienia,
Złością nigdy nie ranione. Myśl moja zawsze z nią była, Szkołą średnią rozłączeni
Rozłąka wiarę zrodziła, W nasze dalsze połączenie.

rok 1962 moja żona Krystyna

Dalszy los pozwolił wierzyć,
Że będziemy coraz bliżej.
Zaczęło się nam kojarzyć,
Żyło się więc nienajgorzej. Potem były fajfy, bale, Randki, umizgi, . kochanie, Jak każdym młodym wspaniale, Pieszczoty, aż do świtania.

Była ona piękna, młoda,
Starałem się jej podobać,
Taka była wówczas moda,
Więcej nie mogę Wam podać. Co intymne pozostanie, Tylko w sercu między nami, Zaczęło się budowanie, Wspólnego życia z trudami.

Dziecię w łonie Ona miała,
Musieliśmy wywędrować,
W domu Ojca pustka wiała,
Przyszło się nam zameldować Na strychu, potem w Szpitalu, Iwonka się urodziła, Przeszłość nie przyniosła żalu, Rodzinka była szczęśliwa.

Gospodarz dla nas był dobry,
Iwonka nam zdrowo rosła,
Los dla nas tam nie był szczodry,
Zgoda i miłość wyniosła. Była między nami wtedy, Planowaliśmy wówczas jak, Uciec od tej wielkiej biedy, Nieraz nam siły było brak.

Walczyliśmy niestrudzenie,
Coraz lepsze bytowanie,
Czas minął niepostrzeżenie,
Syn ujrzał świat w Kędzierzynie, Znów była radość i trwoga, Czy wszystkiemu podołamy, Modliliśmy się do Boga, Swe serce dzieciom oddamy.

Mówiliśmy sobie nieraz,
Wszystkie siły swe wkładała
Cieszymy się wspólnie teraz,
Żona dzielnie się spisała. Ja jej czasem pomagałem Nieraz nic nie wychodziło, Mało z Nią dyskutowałem, Tak już ze mną w życiu było.

Uczyłem się dalej pilnie,
Miała dom cały na głowie,
Czekała z tęsknotą wiernie,
Na moją pomoc w potrzebie, I wreszcie koniec nauki, Życie do normy wróciło, Takie są nauki skutki, Gdy się wcześniej nie zaczęło.

Dzieci rosną, już są duże,
Ona nerwy poszarpane,
Na Dzień Kobiet niosę róże
Chcę zagoić Jej tę ranę. Co rok trzynastego marca, W domu na baczność stoimy, Kwiaty sypią się jak z garnca, I życzenia do niej ślemy.

Złości wyrzuć z swego serca,
Zdrowie twoje niech cię wzmocni,
Bądź nam zawsze uśmiechnięta,
Całym sercem z tobą bądźmy. Jest nam wszystkim dobrze, błogo. Ona cała zalatana, Gości w domu wówczas dużo, A bawimy się do rana.

Kochanej ten wiersz poświęcam,
Nie całkiem doskonały,

Nad rymowaniem się znęcam,
Bo poetą jestem marnym. To co Bogu przysięgałem, Chcę wypełnić powiem szczerze, Żale w sercu nieraz miałem, Lecz pozostać chcę w tej wierze.

Czterdzieści trzy lat biegnie
Nasze wspólne, trudne życie,
A służymy sobie wiernie,
A śmierć przyjdzie po nas skrycie.
Kiedy trafiają się uroczystości jubileuszowe rodzinne to znów siadam przy stole i piszę peany i wiersze a także uwieczniamy to zdarzenie na fotkach:

z wnukami 6.12.09

z synem odpoczywamy w domu

Robert Mamys mój chrześniak ze swoją żoną Wiesławą, a wyżej ich dzieci: Maciej, Jakub i Julia

31 lat temu w roku 1976 napisałem swej żonie wiersz:

Tobie Krystyno

Tobie Krystyno te strofy poświęcam,
Nie są doskonałe, ale od serca.
Po tylu latach dobrze nie pamiętam,
Czy to wszystko prawda, a może farsa.

Tyle lat już upłynęło nam razem,
Wiele trudów wraz przezwyciężaliśmy,
Obiektyw życia patrzył na nas zezem,
Lecz barwne i piękne dni też mieliśmy.

W zwierciadle życia widać nasze dzieci,
Które przedłużają życie w przyszłość,
My do matki Ziemi wrócimy bosi,
Spotkamy się kiedyś razem w wieczności.

Przeżyjmy więc wspólnie chwile spokojnie,
W miłości i wierze, wielkoduszności,
Życie choć szybkie, upływa mozolnie,
Każdy z nas myślami jest gdzieś w wieczności.

Wiele jeszcze razy zwracałem się wierszem do swojej żony Krystyny. Oto na przykład w roku 1996 w dniu jej imienin 13 marca

List otwarty do mojej żony Krystyny

W pierwszych słowach mego wyznania,
Oświadczam Ci że kocham Cię.
A jest to we mnie od zarania,
Naszego pierwszego kochania
Bo jak wiesz zapewne, lubię Cię
Bez zbytecznego zapewniania.

Znaliśmy się przecież od dziecka,
Żyjąc razem lat trzydzieści a obecnie tych lat też przybyło
Które upłynęły znienacka,
Wciąż razem, wszędzie, dzień i nocka,
Że w głowie naszej się nie mieści,
Fotki wyciągamy zza piecka.

Dokumenty leżą pożółkłe,
W szufladach i starych albumach,
A od mnogości są wypukłe,
Spójrz jak figury nasze wysmukłe,
Padają tam sobie w objęciach.
Dzisiaj jak widzisz są tylko tłem.

Pytasz mnie teraz czy cię kocham,
A ja kiedyś cię pokochałem,
Na zawsze i dalej cię kocham,

Szczere serce na swój sposób mam.
I o twe względy się starałem,
A o tym słowie zapominam.

Nie oczekuj nudnego Kocham!
Żyj rzeczywistością kochanie,
Ilu zdradzając mówi Kocham!
Ja tylko ciebie jedyną mam.
Wręczając kwiaty na kolanie,
Ja przeto soje zasady mam.
Już taki jestem, - ale nie drań,
Nie mówiąc kocham, - szanuję Cię,
Nie jestem kochasiem innych pań,
Dobrze że korzystasz z moich dań,
Że może źle robię, -ja to wiem,
Wybacz mi i serca mi nie rań.

Długie życie razem w małżeństwie,
Wyzwala uczucia zwyczajne,
Żądasz ciągle jak w narzeczeństwie,
Tego co wciąż denerwuje mnie,
Czy kocham cię tak ot normalnie,
Można o to spytać pannę,
Bo każdy na świecie o tym wie,

Janusz z Danką w Grecji podczas wczasów latem 2008 roku

Żyj więc szczęśliwa z takim jak ja,
Bo wspólne życie przysięgałaś,
Nie jestem w twym życiu jak zjawa,
I szczere zamiary ciągle mam
Źle że o mnie złe zdanie miałaś, A ja się o względy twe staram.

Nie mów nigdy „kochanie”
Bo może kiedyś „ko” odejdzie,
A cham pozostanie. . .

Kolejny nasz jubileusz pożycia małżeńskiego w Kędzierzynie Koźlu

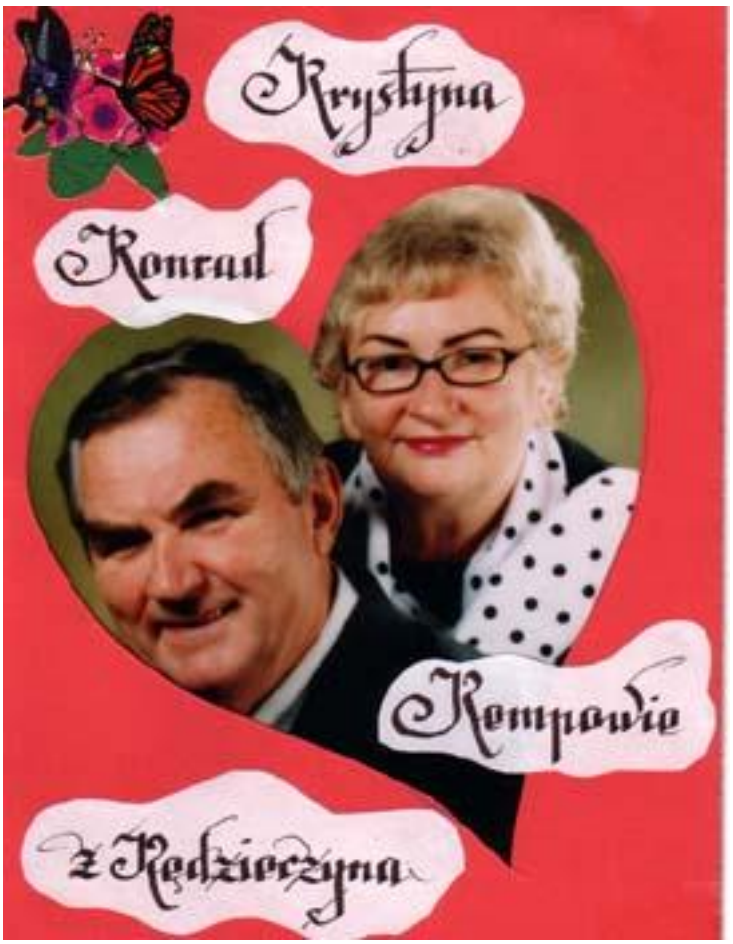

W chwili kiedy ukończyłem swoje wspomnienia 31 12. 10 obchodziliśmy wraz z żoną Krystyną swoje szafirowe gody, czyli 45 lat wspólnego pożycia małżeńskiego. Oby dobry Bóg dał nam przeżyć następne jubileusze

4.Bratheringi, sznaps i szachy z Opą Wiktorem czyli :moje eksperymenty lingwistyczne i zmierzenie się z gwarą śląską

Listonorka w antryju – dzień się dobrze zaczyna, szczęście sięga zenitu i wtedy można się z *kamratami fest naprać w szynku.* Wiktor ożywił się i do *fajfki nasuł* tytoniu przedniej marki a na dobry początek posłał mnie do sąsiadującej z *familokami* Centrali Rybnej , mówiąc ochoczo:" *gibnij się ino wartko po bratheringi i kwaretke, bo dzisiaj je geldtag i musi być zagrycha do sznapsa* .Jeszcze tylko piątkę dał *listonorce no lepsze,* tytułem uprzejmej i miłej posługi. Gdy wróciłem lotem błyskawicy z ową życzoną *zagrychą i kwaretką,* skonstatował krótko :*gro i bucy* i poczęstował mnie kieliszkiem na stojąco. Potem o ile kumple go jeszcze nie *nawiedzili,* odbyliśmy partyjkę szachów, popijając *sznapsem i zagrychą* z pikantnej zalewy śledziowej.
Na poddasze jednego z robotniczych familoków, należących do *werku* czyli miejscowej Huty Batory wcześniej zwanej Bismarkhutte trafiłem niespodziewanie i przypadkowo. Ja, "poznańska pyra" z odległego miasteczka Południowej Wielkopolski ,nagle znalazłem się w egzotycznej językowo enklawie w otoczeniu Ślązaków o nieco odmiennych tradycjach i zwyczajach. Wraz ze" świeżo upieczoną" żoną, w łonie której rozkwitało nowe stworzenie Boże, o bliżej nieokreślonej płci, uciekliśmy z domu teścia –wdowca i ojca żony.
W upalną, gwiaździstą noc majową, żegnająca nas młodych, moja matka zatroskana o nasz los i ze łzami w oczach, oddalających się zakładowym „Żukiem" w siną dal", w nieznane, byle dalej od domu teścia. Żyć nam młodym razem nie pozwalał a marzyło mu się aby przyszły zięć 'trzymał sztamę" z teściem, aby żona była na drugim planie. Męską decyzją powodowany, zorganizowałem tę śmiałą i szaleńczą ucieczkę. , Akcja ta była zorganizowana w zupełnej nieświadomości powoda i pod jego chwilową nieobecność.
Oddalający się „Żuk" ścisnął serce ubolewającej matki, której pragnieniem było zawsze mieć swoje dzieci blisko siebie. Warunki pobytowe w domu matki, nie pozwalały nam na wspólne zamieszkanie. Żona płacze i szlocha siedząc obok kierowcy a ja, pełen determinacji, serce też nie miałem z kamienia, więc w ukryciu przed żoną też płakałem, ale ze złości, leżąc wygodnie na jedynym meblu- tapczanie, bo jedynie on mógł się w tym pojeździe zmieścić. Wewnątrz skłębiona była i schowana pościel i inne rzeczy osobiste.
Wczesny ranek, pełen porannej , majowej wilgoci, bo jeszcze słońce nie wzeszło, a kierowca Stasiu nucił sobie akurat „nomen omen" ulubioną swoją piosenkę „Vaja condijos", jakby na zamówienie, życząc nam i sobie szczęśliwej drogi.
Z biciem serca i przepełnieni trwogą, przemierzaliśmy drogą, niepewni, czy nowych gości i intruzów przyjmie do siebie Wiktor, przyszywany „opa"w jego mieszkaniu na poddaszu hutniczego *familoku.* Droga dłużyła się ,monotonny szum silnika, przerywany i zmieniający swój charakterystyczny tembr w miarę redukcji biegu wzmagał niepokój.
Drzewa stojące rzędem wzdłuż trasy , a jest ich niestety coraz mniej, przesłaniały śląski krajobraz i uciekały do tyłu. Zostały do dziś nieco przerzedzone i są niemymi świadkami tej naszej ucieczki.
Nadszedł wreszcie kres naszej jazdy i z trudem dotarliśmy w gęsto zabudowany obszar Hajduk, a *familoki* obok Huty Batory rzędem ustawione po prawej stronie ulicy 16 Lipca, zdążającej na Kalinę, czekały na gości.

Jest siódma rano. Ruch na ulicy *choby w Rzymie,* jak zwykle duży. Ludzie śpieszą się do pracy i podążają ulicami w obu kierunkach. Domy te z lewej strony ciasno przylegają jeden do drugiego a te z prawej strony *familoki* ustawione do siebie frontami, bokami stykające się z wysokim betonowym murem huty, w której tętni pracą. Produkcyjne życie huty w której słychać miarowy i głuchy łoskot , młotów i pras hutniczych.
Nowe otoczenie, zgiełk, gwar i warkot pojazdów nie nastrajał nas melancholijnie, a jedynie potęgował emocje i niepewność.
Nasz „Żuk" wreszcie zatrzymał się na jednym z placów między *familokami* . Mimo porannej pory w wielu oknach pomalowanych na „krzyczące" kolory, wyglądali ubrani jeszcze w piżamy ich lokatorzy.
Wiktor nasz też wyglądał jak zwykle z małego okienka na poddaszu *familoka* Nr. 10. *Kurzył* swoją ulubioną *fajfkę* , patrząc na świat zza swoich okrągłych okularów. Zanim zaczął tę swoją ranną obserwację ulicznego zgiełku, wpierw przygotował sobie *w szolce* do picia *tej* spreparowany z przeróżnych ziół , a nalewał napar ze *srogiego buncloka ,*stojącego na wiecznie rozgrzanej blasze pieca węglowego w kuchni. Był wdowcem od wielu lat. Jego żona Paula siostra Matyldy wcześnie rozstała się ze światem i Wiktor został sam wraz ze swoimi dwoma synami Rudolfem i Stanikiem.
Jego siwa głowa znaczący uśmiech i gest machania zdradził go od razu.
W mig poznał gości, ponieważ będąc wcześniej w gościnie u swego swata i widząc jego brak przychylności do nowego zięcia, obiecał nam, że o ile sytuacja się pogorszy, przyjmie nas o każdej porze z otwartymi rękoma u siebie na poddaszu.
Kurzył swoją ulubioną *fajkę* i zanim nam pokiwał, zmrużył oczy przysłonięte okularami, opierającymi się na nosie . Ze względu na słaby wzrok ,soczewki były dość grube, podobne do dna butelki od szampana. Oprawki były druciane okrągłe z ledwością trzymały się uszu.
Miał ich zresztą kilkanaście par, bo kiedy umierał jego kuzyn Alojz Zdrzałek a miał wzrok o zbliżonej wadzie to w spadku po zmarłym *łod Tildy baby łod Alojza* otrzymał wszystkie jego okulary do używania. Podobnie było z *gebisami*, czyli sztucznymi szczękami. Pewnego razu otwarłem przypadkowo jego *wertiko* , to taka szafka sypialniana i w jednej z szuflad odkryłem pokaźny zbiór *gebisów* .Odpowiedział wówczas ,że są to zapasowe *gebisy* , które otrzymał *łod Tildy* szwagierki kiedy zmarł jego kuzyn Alojz. Taki był zapobiegliwy , zaradny i oszczędny nasz Opa Wiktor i mimo swej hutniczej *penzyji,* czyli emerytury, większą część trwonił na wspólnym z kamratami biesiadowaniu w miejscowym *szynku.* Miał dobre serce i kiedy *listonorka* przynosiła mu do domu comiesięczną *penzyje,* to nagle u drzwi pojawiało się wielu kompanów do *sznapsa* .Hojny był i wtedy częstował gorzałką wszystkich napotkanych w *szynku* kumpli.
„Hej opa to my!" powitaliśmy gospodarza z radością i pewnym zażenowaniem. *Odkiwał* nam i wreszcie chyba nas rozpoznał spod tych swoich grubych *binokli.*
Wnieśliśmy jedyny nasz mebel po krętych drewnianych schodach na poddasze.
Po drodze na półpiętrach witali nas serdecznie jego sąsiedzi, lokatorzy *familoka* spod dziesiątki, zdziwieni tym zamieszaniem. Nic nie mówiąc, uśmiechali się do nas przyjaźnie, a to znamionowało ich akceptację. Dobrze się poczułem, widząc tę miłą atmosferę na „dzień dobry". Okiennice każdego z *familoków* pomalowane były na kolor albo zielony miętowy albo na krwisto czerwony.

Każdy z *familoków* miał okiennice tego samego koloru, albo zielone ,albo czerwone. To jest w tradycji Ślązaków takie ozdabianie. Stęsknieni za przyrodą i kolorami ,otoczeni na co dzień ponurością i szarzyzną otaczającej ich zabudowy i infrastruktury, przynajmniej okiennice przypominały im zieleń i kwiaty.

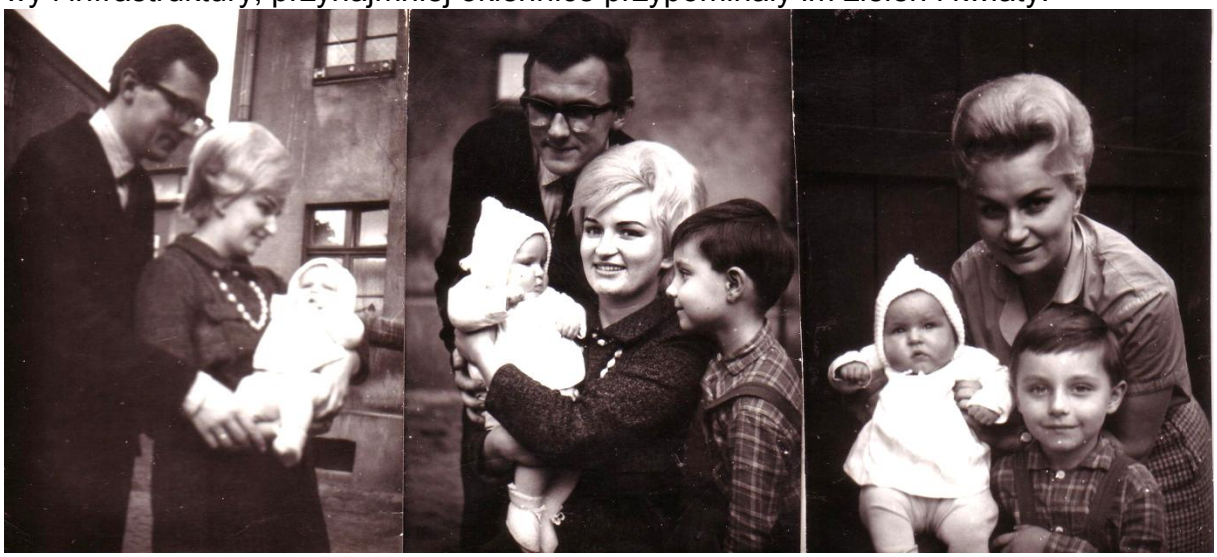

Między familokami

Familoki zwykle bez tynku, lica swe miały wyłożone ciemno czerwoną dobrze wypaloną cegłą. Starannie ułożone tkwiły w murze, więc zbyteczny był tynk przykrywający tę ozdobną strukturę. *Familoki* ustawione w rzędzie ,a przed nimi *w* rzędzie ustawione ubikacje, przeznaczone wyłącznie dla mieszkańców tych *familoków.*

Pomieszkanie Wiktora –*opy* zaniedbane, ponieważ od kiedy stał się singlem i wdowcem, nie bardzo kwapił się do cotygodniowego tradycyjnego sprzątania.

Nie miał mu kto bałaganić ani *marasić*, jak mawiał, więc sprzątanie ograniczało się jedynie do zasłania czyli zaścielenia legowiska i pozamiatania izby i kuchni.

Pomieszkanie jego składało się z kuchni i izby czyli *szlafsztuby* w której praktycznie nie przebywał, ponieważ legowisko urządzone na *szezlongu* w kuchni służyło mu do spania , a cały dzień przebywał w kuchni.

W rogu kuchni przy wejściu stał piec węglowy ***żeleźniok z framugami*** a na nim zakopcony i nieumyty *bunclok z tejem* czyli herbatą ziołową – często miętową lub *miszung* z *roztomajtych* ziół, *gornek i blank mały gorczek* .Zimą i latem opalany węglem mieszczącym się w *kohlkaście* stojącej obok. Obok pieca stała *ryćka* na której godzinami siedział przykładając do pieca i *kurzył swoją fajkę* nabitą tytoniem pośledniego gatunku ,bo była *nojtońszo.* Kiedy mu gasło, podpalał ją zaostrzonym łuczywkiem od żaru pieca. Łuczywka przygotowane były wcześniej czyli *nazorgowane.* Popielnik opróżniał regularnie a przygotowane wcześniej odpady *ciepoł do eimra i na hasie.*

Eimer na Hasie stał w *antryju* przed wejściem tuż przy drzwiach wejściowych i wycieraczce.

Po drugiej stronie wejścia vis a vis *żeleźnioka* umieszczony był *ausgus z kokotkiem a na wierchu zdrzadło.* Na półce niżej *razyraparat z* miseczką i pędzlem do golenia. W miseczce mydelniczce leżał wałek mydlany i pędzlem oraz maszynka z żyletką firmy Gerlach. Wisiał obok szeroki pas skórzany do ostrzenia brzytwy, bo przyrząd ten również używał.

Ze względu na lokalizację zbiorowych ubikacji *hajźli familokowych* na zewnątrz, zmuszony był często oddawać mocz wprost do tego zlewu. Szczotki do zębów nie używał, ponieważ nosił od lat *gebisy* a mawiał że częste ich wyjmowanie niszczy je i trzeba je wymieniać na nowe.
Okienko małe, często otwarte, a drugie zamknięte i zasłonięte, bo nieużywane.
Przez te otwarte okienko całymi godzinami w razie pogody wyglądał na zewnątrz na podwórko między *familokami.* Obok okienka na półce stał *radiok* z bakelitu , nastawiony na stałe na „Wien eis" lub Wien zwei" bo jedynie z tych dwóch stacji słuchał przez całą dobę wiadomości i muzyki, którą uwielbiał. Obok okna stał stół z krzesłami a na nim czyste *szolki* przygotowane do użycia. Na krzesłach leżały jaśki ubrane w sztywną tkaninę obiciową. Dalej w kącie stał *szezląg* czyli łoże do spania a obok stało małe *wertiko* z naczyniami i szkłem.
Dalej były wiecznie otwarte drzwi wejściowe do sypialni czyli *szlafbudy* .W sypialni musiały nastąpić rewolucyjne zmiany, ponieważ doszedł tapczan wniesiony dla nas do spania, a w przyszłości wózek dla dziecka, które było jeszcze w łonie swej matki uciekinierki i gościa *opy Wiktora*. Na wprost wejścia do *szlafsztuby* stał mebel z *zdrzadłem* w formie tryptyku z *szubladami* u dołu na kosmetyki. Sypialnia nie miała okien. Na jednej ze ścian wisiał *zygor* niechodzący i obraz przedstawiają*cy* Chrystusa, który spotkał się w Emmaus z dwójką *swoich* uczniów, krótko po swoim chwalebnym Zmartwychwstaniu. Jego *zygor* stał od lat, natomiast mój na ręce często strajkował a on *zawdy godoł :Buksiok wyciep na hasiok, jest kaput, kiej go wancki pociskają.*
Stało tez drugie *wertiko* w którym w dolnej części oprócz szuflady na kosztowności były też szuflady na pościel i bieliznę.
Szafa garderobiana stała wypełniona po brzegi w rogu sypialni. Łoże małżeńskie od lat nieużywane, przykryte ciężką kapą z tureckimi wzorami.
Obok tryptykowego *zdrzadła* ustawiliśmy swój tapczan, a kiedy urodziła się nasza *cera* wózek ustawiliśmy właśnie przed tym jego *zdrzadłem.*

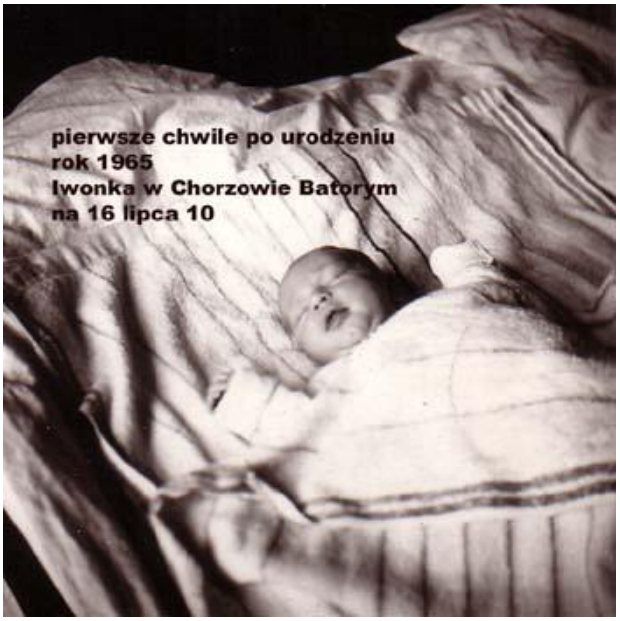

Zdarzyło się pewnej nocy, że przywleczono *łożartygo i upapranygo* i ułożono w *ancugu, w galotach i trzewikach* na jego *szezlongu* w kuchni a nad ranem nagle obudził nas odgłos cieknącej cieczy wprost do pustego na szczęście wózka. Wiktor z wezbranym do oporu pęcherzem zamiast jak zwykle załatwić się w swoim *ausgusie* w kuchni *,* zrobił to do wózka sądząc, że załatwia się do zlewu, ponieważ zarówno nad zlewem jak i nad wózkiem znajdowało się *zdrzadło* . Nasza interwencja na nic się zdała, ponieważ już było po wszystkim. Tej nocy maleństwo wyjątkowo matka przeniosła do siebie i wózek był pusty i bez beciku. Kiedy miał „swoje dni"i *penzyje w kapsie,* często *napranego* i *łożartego* przywożono na przykład na furze z węglem do domu i wtedy byliśmy w obowiązku go dowlec na poddasze, rozebrać i umyć, a potem ułożyć do spania.

Rzadkie i posrebrzone włosy na głowie zawsze były ulizane, ponieważ stosował dwie techniki układania. Pierwsza to przy pomocy szarego mydła włosy były przy pomocy rąk wygładzone a po wyschnięciu trzymały się. Drugi sposób nieco droższy to przy pomocy cukru rozpuszczonego w wodzie lub kawie. Wystarczyło zaczesać grzebieniem i wówczas po wyschnięciu też się dobrze trzymały.
Ten hutniczy emeryt, zniszczony wieloletnią pracą w Bismarkhutte czyli Hucie Batory oraz osłabiony używaniem nadmiernym alkoholu, o twarzy pooranej i zmurszałej był człowiekiem wielkiego serca , przyjaznym i koleżeńskim dla otoczenia, pogodnym w usposobieniu i wbrew pozorom pełen humoru i zabawnych dowcipów. W jego otoczeniu mimo wszystko czuliśmy się dobrze ,zabawnie i swojsko. Powiedzeniami i dowcipami ubogacał nasze wspólne życie.
Zadawał pytanie:" co to jest *cikcakowate ,podługowate, i napoczyna się na ge?* Nie miałem pojęcia a on odpowiadał *żmija.* Albo śląski napój na ka – *kista piwa. Godej mu do lacia a nie do ucha. Sam idzie dostać do gowy łod ciżby i larma. Baby kiej się spotykają na klachy prawił opa Wiktor- to zapominajom uwarzyć łobiod. Baby wszystko wiedziom o inszych o Ślonzokach, ło gorolach i tych auslenderach.*
Zdarzenia jakie miały miejsce w okresie naszego pobytu u opy Wiktora były konsekwencją jego chwilowego stanu zachwianej równowagi po spożyciu nieco większej niż normalnie dawki tego zdradliwego płynu, którego potocznie nazywał *sznapsem lub gorzołom.*

Opa Wiktor z synem Stanikiem przy partyjce szachów

W niedzielę rano *bez radiok* leci muzyka poważna , a potem transmisja z „Wen eis lub Wien zwei" z mszy Świętej a przez otwarte okienko dolatują odgłosy dzwonów pobliskiego kościoła w Hajdukach. Wiktor wtedy do siebie mówi: „Dzwonią, farosza gonią" zapala swoją ukochaną *fajkę* ,*rzyko* jakieś modlitwy po niemiecku a potem ubiera się odświętnie; s*trzewiki pucuje fetem, fuzekle łobdziewo ,*zakłada nową koszulę z *kraglem i binder. Galoty wybiglowane a na zadku ancug eli mantel i hut na gowe.* Pod *ancug weste a kręgiel zawdy bioły. Do kabzy wkłada* białą złożoną w kostkę chusteczkę do nosa a do *gamby inszy niż zwykle Gobis , wyjęty z szublady wertika.* Wcześniej jeszcze włosy namaścił sobie *fetem* lub lukrem *i teroski tak wysztiglowany* jest gotowy by udać się do kościoła, ponieważ *łod bajtla* wychowany był w duchu religijnym, a tradycje wyniesione z domu rodzinnego pielęgnował *bez cołkie* życie.
Kiedy pewnego razu o własnych siłach wrócił do domu z szynku, na moje wymówki i uwagi spokojnie odpowiedział: *pijok mo, pijok do* ,*pijakowi pon buczek do".* Rozgadał się wówczas, nawet poruszał tematy polityczne, które niechętnie przyjmowałem. Byłem bowiem wychowany w okresie szalejącego komunizmu i

stalinizmu, więc dyskusje były w moim domu ograniczone. Mówił wtedy że: *richtig Ślonzok* tak jak on *nie jest ani szwabem ani Polokiem.*
Na ówczesne władze był wściekły ,ponieważ syn jego Rudi wyjechawszy kiedyś nielegalnie z rodziną do *Rajchu* nie miał możliwości powrotu do kraju i nawet do śmierci z nim się nie spotkał.
Naszą podstawową rozrywką w obcowaniu z opą Wiktorem była gra w szachy lub damkę. przerywana *sznapsem i zagrychą z bratheringów .Bratheringi* przynosiłem na jego zlecenie i prośbę z sąsiadującej z *familokami* Centrali Rybnej na tej samej ulicy., a *kwarytke czyli sznapsa* z Monopolu. *Kwarytka* wystarczała nam na kilka gier, więc nie wchodziła do *gowy i nie prała na dekiel,* ale ca to było wesoło i zabawnie. Mile płynął czas, ale obowiązki ojcowskie musiałem też spełnić. Ilekroć żona podrzucała mi w ramach opieki córkę a my zajmowaliśmy się akurat grą, a było to pewne utrudnienie, poradził mi opa pewnego razu a mianowicie: *kiej ino stara wciepła mi bajtla na klin do bawienia, to jo mu zawdy nasuł mu mało wiela tabaki do ślepiów a łono wrzescało to zaroski mi moja staro bajtla zebrała i miołeg łod niego spokój i było git .Zawdy rzek to robił i nrzek miarkował że to dobry sposób i teroski ci to radze tak łonaczyć.* Tak właśnie postępował często kiedy mu *bajtel wadził* i była to skuteczna ale jak dla mnie zbyt drastyczna i nie do przyjęcia metoda.
Kiedy miałem na kolanach *bajtla czyli dziouche* podczas gry w szachy lub damkę z opą, maleństwu imponowały *zawdy* te dwubarwne *kobliki* i ilekroć córka zamierzała swoją rączką zagarnąć któregokolwiek, to kierowałem rączkę w kierunku *koblików* przeciwnika i to się udawało, ponieważ opa Wiktor mając szkła w kształcie denka od butelki, miał ograniczone widzenie. Była to metoda, aby z tym graczem wygrać partyjkę.

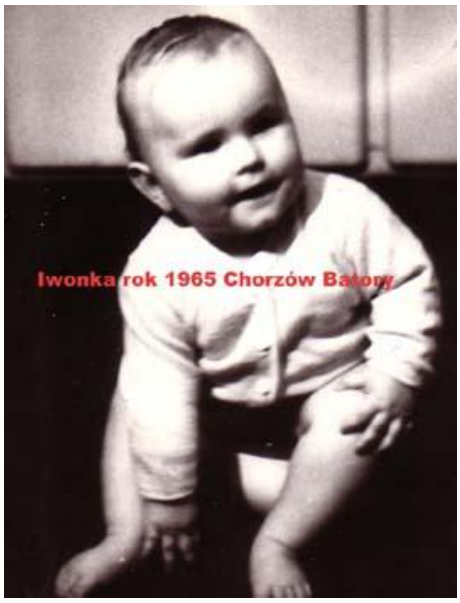

Córka ze swoją opiekunką z sąsiedniego familoku

Obiadów nie gotował, albo korzystał ze stołówki zakładowej, o ile nie *uwarzył sobie bele jakiego eintopu* ,względnie korzystał z gościnności *Tildy* szwagierki *łod umartego kuzina Alojza* .która mieszkała pod nim. Nieraz dawał jej za to *na lepsze.* Ulubionym jego daniem były *karminadle* z zasmażaną kiszoną kapustą, *albo rolady z modrą kapustą i klóskami,* a z zup uwielbiał rosół albo jarzynową z *ołberibą.* Od wielkiego święta chętnie pił *bonkafee oraz ku Tymu kołocz z posypką.* Kiedy moja żona była w ciąży na ostatnich nogach i miewała bóle w podbrzuszu, radził mi :*dej starej kropki na żołądek to zaroski przendzie na zicher.*

Na podwórkach między *familokami* tętni życie *kupa larma i ostudy* Niektórzy *kukają* wisząc na parapetach okien a *insi klachają* stojąc lub siedząc na ławkach wystawionych na stałe przy schodach prowadzących do wejścia *familoka. Klachają o bele czym na roztomaite sprawy, byle by czas schodził.* Pobożny był i praktykujący nasz gospodarz. Nieraz mówił do siebie: *a teroski se ide porzygać* i siedząc na wygodnym *szezlongu,*brał do ręki wytarty i zniszczony używaniem *rołzenkranc* i modlił się po niemiecku do Matki Boskiej o wszystko a szczególnie o powrót do kraju lub widzenie się ze swoim synem Rudolfem.

W otoczeniu Ślązaków i z opą Wiktorem ja *gorol –pyra poznańska* czułem się swojsko i dobrze. Z wielką chęcią wchłaniałem każde gwarowe wyrażenie, a ponieważ kiedyś uczyłem się *u Francmannów* języka niemieckiego, to z łatwością rozumiałem te germańskie makaronizmy językowe których dużo jest w gwarze śląskiej, a lokalne gwarowe słowa łatwo sobie przyswajałem. Zwroty w tym opowiadaniu staram się podawać w wersji słuchowej- fonetycznej, tak jak je słyszałem. Przez to lepiej można wyrazić głębię mowy śląskiej a wyraz taki lepiej dociera do odbiorcy.

Bratheringi do sznapsa zbliżały nas coraz bardziej do siebie. Podczas gry i konsumpcji opowiadaliśmy sobie o nas i naszych problemach.

Miał dwóch synów: Rudiego i Stanika. Rudi za żoną czeszką z korzeniami niemieckimi czyli z Sudetów podążył w pewnym okresie do Reichu i tam został, natomiast Stanik ukończył chorzowskie Technikum Hutnicze i poszedł w ślady swego ojca i całe życie zawodowe związał z hutnictwem. Wpierw zatrudniony był w Hucie Batory a potem w Hucie Florian w Świętochłowicach, pracując jako

mistrz na Stalowni. Był moim szwagrem a więc mężem siostry mojej żony i stąd nasza znajomość z opą Wiktorem.
I znów przyszedł dla niego dzień szczęśliwy, dzień wypłaty *geldtag* . *Listonorka jak zawdy* ochoczo dokonała formalności i otrzymała zasłużony *tryngeld no lepsze,* i za chwilę pojawili się kumple, którzy już z podwórka na niego wołali. Zostawił nawet *łobiod* i zszedł do nich na dół. Postacie znikły za rogiem *familoka* Cały dzień truchleliśmy co też się wieczorem wydarzy. I stało się, że znów tradycyjnie jak zwykle woźnica przywiózł go na furze *wongla,upapranego, ścioranego i usznupanego, woniącego fetorem* zepsutej sałatki czy bigosu a na dodatek mokrego w kroku i co było z nim robić?. Zwykle ciało bezwładne jest o wiele cięższe niż sprężyste o napiętych mięśniach. Mimo wysiłku trzeba było przenieś lub przeciągnąć po schodach i dobrze że schody te posiadały dość stabilne *gelyndry* bo przy ich pomocy można było samemu wciągnąć ten cielesny bezwład do góry. Kumple gdzieś zniknęli. Został sam na łasce losu i ludzi dobrej woli.
I tak skoro tylko przychodził „period alkoholowy" to wracały chwile niepewności i zdenerwowania, a przez cały miesiąc opa Wiktor człowiek o gołębim sercu, pogodny i pełen dowcipu z którym miło spędzaliśmy każdą chwilę, był normalnym i trzeźwym człowiekiem.
Dzień odwiedzin *listonorki* to dzień dla nas pełen obaw i lęku a dla opy Wiktora dzień pełen wrażeń i relaksu w szynku z kumplami.
Kible na zewnątrz *familoków* usytuowane były wzdłuż ruchliwej ulicy zdążającej na Kalinę to wielce dyskomfortowe rozwiązanie. Kiedy ulicą tuż obok podążali przechodnie w jedną lub drugą stronę, użytkownik tych przybytków w samotności robił coś zgoła odmiennego. Ilekroć korzystałem z tego miejsca, przypominały mi się chwile z dzieciństwa, kiedy to ubikacje nasze zlokalizowane były też na zewnątrz budynku w bezpośredniej bliskości czynnego cmentarza i często trapiony bolesnością żołądkową słyszałem śpiew „Salve Regina". Dzieckiem będąc bawiło mnie to, ale wyjścia innego nie było. Trzeba było potrzebę załatwić do końca.
Hutnicze *familoki* żyły swoim rytmem, wpisanym w każdy bezdeszczowy i ciepły dzień. Mieszkańcy albo wisieli na parapetach kolorowych okien albo wychodzili na zewnątrz, siedząc na betonowych murkach przy wejściu do *familoków.* Rytm dnia przerywany był przerwą obiadową- *mittagpauzą* lub kolacyjną. Dzieci- *bajtle i karlusy, dziołchy i synki* bawiły się w grupach rówieśniczych albo w klasy, albo w piłkę bądź skakankę. Między murem *familoków* a wysokim betonowym murem *werku* było miejsce schadzek *karlusów ,*którzy albo upijali się *gorzałą* kurzyli cygarety,albo grali w skata lub klipę.
Gwara Śląska, której i obecnie używam jest specyficznym dialektem. Jest uniwersalna, wielojęzyczna, praktyczna, użytkowa i posiada wiele uproszczeń. Na przykład *łonaczyć* znaczy cokolwiek czynić, wykonać, przerobić. Tego określenia używa się w przypadku, kiedy nie można jednoznacznie wyrazić danej czynności. W Wielkopolsce przykładowo takim wyrazem jest „wichajster" na określenie przedmiotu o nieznanej nazwie.
Mowa śląska grubiańsko brzmiąca dla polaka ale jakże komunikatywna i sugestywna w swym znaczeniu. Szorstka, twarda tak jak życie i praca Ślązaka czy to na *grubie, czy na wierchu czy na werku.*
Człowiek tak długo żyje jak go się pamięta. Opa Wiktor żyje nadal, ponieważ mile wspominam czasy spędzone w jego otoczeniu z *Bratheringami, sznapsem i szachoma.*

5. **W cieniu ” Klauzury”**

Mroczny, mglisty i nasycony wilgocią wczesny poranek kończącego się lata, u progu jesieni rozbudził brata Kajetana.
Dziś wstał jeszcze przed „Ave” pozdrowieniem furtiana, które codziennie o godzinie 5 wykrzykiwał chodząc mrocznymi korytarzami „klauzury” od celi do celi. Jak zwykle z radością witał nowy dzień powtarzając sobie” Jak to dobrze mój Boże, że pozwoliłeś mi znów ujrzeć Twój piękny świat”.
Myśli te poprzedzały codzienne zbratanie się ze Stwórcą w szczerej i krótkiej modlitwie. Cele w „klauzurze” siermiężne i proste w swym wystroju z klęcznikiem, łożem, szafą, stołem i krzesłem, meble stanowiące podstawowe i tradycyjne umeblowanie. Na klęczniku stojącym pod krucyfiksem i obrazem Św. Ojca Franciszka, -założyciela Zakonu, którego przytula Chrystus umierający na krzyżu. Obraz wymowny i czytelny, bo Kajetan jak sam twierdzi ,też jest kochany przez Boga, a jako „brat mniejszy” naśladowca swego wielkiego świętego protoplasty, utożsamia się z nim w pełni, ale przynajmniej chce iść jego śladem. Poranna toaleta w zimnej wodzie i w misce jest wpisana w codzienny rytuał. Golić się jedynie nie potrzeba, ponieważ od niedawna pozwolono „braciom mniejszym” nosić zarost, podobnie jak braciom kapucynom - zakonnikom z rodziny franciszkańskiej. „Klauzura”- magiczne, tajemnicze i zaklęte słowo, ale jakże istotne w „klauzurowym” klasztorze. Wstęp dla osób świeckich i spoza Zakonu zabroniony i niemożliwy. Nad wejściem od strony furty klasztornej oraz nad każdymi drzwiami wejściowymi z zewnątrz :od strony kaplicy, zakrystii i Collegium tabliczka „Klauzura” a drzwi zabezpieczone przed intruzem zamknięciem uruchamianym kluczem wykonanym w kształcie krzyża. Ruchem do góry specjalny klucz „otwierał” podwoje tajemniczej części klasztoru.
Alegoryczne ujęcie Zakonu Braci Mniejszych w cieniu klauzury.
Przez to tajemnicze, zaczarowane i niedostępne dla osób z poza zakonu panoptikum klauzury czyli otworu na klucz widać wszystkie trzy zakony założone przez Świętego Franciszka z Asyżu: dwa klauzurowe i jednego świeckiego –nie klauzurowego czyli Franciszkańskiego Zakonu Świeckich- tercjarzy.
Brat Kajetan nie zdążył się jak zwykle przeciągnąć na stalowej konstrukcji łoża, bo przerażający i donośny gwizdek o przeciągłych trzech interwałach wyrwał go na równe nogi z celi. To brat Felicjan furtian wzywał go, by mu oznajmić, że dziś ma dyżur w kaplicy, jako prowadzący „jutrznię” oraz jako lektor w refektarzu podczas posiłków. Po raz pierwszy w takiej roli. Krew uderzyła mu do głowy z serce zwiększyło częstotliwość swego bicia, ale cóż w zakonie zgodnie z regułą, nie jest możliwa odmowa polecenia. W ręku trzymał cyngulum i akurat ścisnął jeden z węzłów oznaczający „nomen omen” posłuszeństwo.
Jeszcze rzut oka przez uchylone okno na poddaszu na znajdujące się pod nadłamaną dachówką gniazdko muchówek, które codzienne dokarmiał komarami, muszkami i pędrakami łyżeczką zamocowaną na długim patyku.

Dzwonek zainstalowany na długim korytarzu „klauzury” łał zakonników na „jutrznię” do klasztornej kaplicy, która z konieczności usytuowana była poza „klauzurą” w części toru udostępnionej świeckim wychowankom uczącym się w Collegium. Po latach cego i wojującego komunizmu nastąpiła „gomułkowska odwilż” i pozwolono chwilowo kom uruchomić tę edukacyjną placówkę z internatem.

Brat Kajetan zajął swoje stałe miejsce w kaplicy. Tutaj też patrzy na niego ten sam ukrzyżowany Chrystus i Św. Franciszek, tylko że w większym rozmiarze.

Wspólne modlitwy mnichów w tym poranna „jutrznia” odmawiana jest zwykle „unisonicznie” i monotonnie w jednej ustalonej przez prowadzącego tonacji.

Brat Kajetan lektorem był po raz pierwszy, więc stres „zjadał „go z minuty na minutę. Matka Boska w niebieskiej sukience z owalnego witrażu swoim litościwym i miłym wzrokiem patrzyła na niego i dodawała mu otuchy , nabierając większej pewności siebie. Stałe miejsce brata Kajetana znajdowało się akurat przy tym owalnym oknie, które wyglądało na kościół, należący też do klasztoru, ale był udostępniony także dla parafian.

Cały dzień brat Kajetan był zaangażowany w tej roli: na wszystkich posiłkach w refektarzu, na „Anioł Pański”, na Nieszporach, na Komplecie i na Apelu Jasnogórskim.

W przedziale” pulmanowskiego” składu siedzę głową opartą o drewniane , lakierowane ściany przy oknie a vis a vis drzemiąca matka, z rozwianym puklem włosów. Zmęczona chyba, bo nawet złośliwy i jednostajny turkot pociągu nie przeszkadza jej w tej błogiej drzemce.

Jedziemy już długo. Podroż uciążliwa bo poszatkowana przesiadkami. Z dalekiej ziemi Wielkopolskiej jedziemy do nieznanego bliżej miejsca na kilkuletni pobyt w obcej mi rzeczywistości, aby kontynuować naukę pod opieką „braci mniejszych”. W dużej walizce spakowane rzeczy osobiste z wyszytymi cyframi „26” a obok na siedzeniu duża torba z kanapkami, napojami i przyborami toaletowymi.

Wreszcie koniec tej uciążliwej podróży. Wysiadamy na nieznanym i obcym dworcu, a dalej „koniec języka za przewodnika” i idziemy w kierunku nam wskazanym przed siebie byle dalej. Jak się okazało klasztor – miejsce docelowe mieścił się na drugim końcu miasta.

Dzwonkiem na furcie klasztornej wywołujemy furtiana. Widzę łzy na matczynym obliczu. Pocieszam ją jak mogę, ale sam jestem pełen obaw, strachu i niepewności, więc robię to nieudolnie. Powodowany tym stanem trwogi popełniłem „fopa" i zamiast „tradycyjnego „Szczęść Boże" wyrwało się z moich ust „świeckie „Dzień Dobry". Matce mowę odjęło, więc nic nie powiedziała, nawet nie była w stanie mnie poprawić.
Furtian domyślił się celu naszej wizyty , więc po chwili przywołał gwizdkiem O. Tytusa Rektora Collegium. Przechodząc „klauzurą" do części „świeckiej" klasztoru, znaleźliśmy się nagle na schodach. Widok oddalającej się matki i znikającej w drzwiach wyjściowych utknął mi na całe życie. Płacząc pokiwała mi na pożegnanie, ale wpierw jak zwykle robiąc mi krzyżyk na czole wymówiła tradycyjne „Z Bogiem". Zamknęły się drzwi i znalazłem się w nowym otoczeniu i środowisku. Tutaj po raz pierwszy natknąłem się na tajemniczą tabliczkę z napisem „Klauzura". Wyjęty ze świeckiego otoczenia było to dla mnie co najmniej dziwne i nieczytelne określenie.

Za furtą panewnickiej klauzury

Kusiło mnie wielokrotnie , aby zajrzeć do tego zabronionego pomieszczenia klasztoru. W cieniu „ klauzury" miałem okazję przypatrywać się codziennie życiu zakonników. Rytm dnia codziennego wyznaczała reguła według której istotne były: modlitwa i praca. Praca zaś była zależna od pory roku i potrzeb Zakonu i klasztoru. Modlitwa codzienna z „Liturgii Godzin" uzupełniana była nabożeństwami wyznaczonymi kalendarzem liturgicznym Kościoła a więc: Drogą Krzyżową i Gorzkimi Żalami w poście, Nabożeństwami majowymi, czerwcowymi, Bożocielskimi, październikowymi i roratami w Adwencie.
Najwięcej pracy jawiło się jesienią. W przepasnych i mrocznych piwnicach klasztoru ruch i zabieganie. Przygotowanie do trudnego okresu zimowego kosztuje dużego wysiłku . Ziemniaki kopiasto złożone w wielkich drewnianych skrzyniach, a w kilku dużych beczkach dębowych zakiszona kapusta jabłkami i marchwią, ubita przez nas przy pomocy umytych nóg. W beczkach obok stojących,

szczelnie zamkniętych poukładane z koprem , chrzanem i czosnkiem ogórki, zalane słoną wodą. Jabłka połyskujące w promieniach jesiennego słońca, w2ypełniają drewniane skrzynie oraz ułożone leżą na półkach naściennych. Na tych półkach ułożone są też jarzyny i inne owoce. Butli z bulgocącym winem tam nie zauważyłem. Pewnie mnisi ci nie mają w zwyczaju produkować tego rodzaju trunku, ale przecież kiedyś byli znani z tej produkcji i się nią szczycili.

W ogrodzie klasztornym na pierwszym roku

Od pierwszych chwil O. Tytus Rektor obdarzył mnie szczególnym zaufaniem, jako że sam był Wielkopolaninem spod Śremu i miałem zezwolenie przekraczania „klauzury" ale tylko w części, w której znajdowało się jego biuro i cela. Opiekowałem się głównie kwiatami i egzotycznymi roślinami zarówno w biurze jak i na korytarzu „klauzury", bardzo długim korytarzu wyłożonym chodnikiem na który patrzały rzędem stojące drzwi do poszczególnych pomieszczeń i cel zakonników. Na ścianach tego długiego korytarza wisiały obrazy o tematyce religijnej i portrety świętych z Zakonu „braci mniejszych". Ilekroć drzwi do jego celi były uchylone, to była okazja, aby zajrzeć do zakazanego i niedostępnego wnętrza. O ile biuro wyposażone było w podstawowe i nieco nowoczesne meble, to cela jak każda w tym klasztorze surowa, prosta z klęcznikiem, łożem, szafą i stołem. Słońca w tej części klasztoru było więcej, ponieważ okna były większe.

Przez okres mojej edukacji w Collegium żyłem w cieniu „klauzury" i miałem możliwość obserwacji życia zakonników. Dzień do dnia podobny, a program dnia od lat ustalony zwyczajowo i zgodnie z regułą, zmieniany jedynie od wielkiego święta przez O. Marka- urzędującego gwardiana. Cisza „klauzury" często przerywana była przeraźliwie brzmiącym gwizdkiem o różnych interwałach, wywołującym mieszkańca „klauzury", albo przerywana trzaskiem krzyżykowego klucza, otwierającego masywne podwoje „klauzury".

O. Makary sędziwy mnich- wykładowca greki, łaciny i fizyki w Collegium był szczególnie uczulony na moją obecność w części klauzurowej, w której zamieszkiwał O. Tytus. Nie mógł się pogodzić, że ja kolegiata miałem do tej części swobodny dostęp.

„W cieniu klauzury" był nasz refektarz

W „klauzurze" zlokalizowany był także refektarz, a poza nim pokój gościnny, przylegający do furty, w którym mnisi przyjmowali swoich gości z zewnątrz.

Stoły w refektarzu ustawione były w podkowę, bez obrusów i świec a w środku podkowy umieszczona była ambonka, z której lektor dyżurny przy każdym posiłku czytał wyjątki z Pisma Św lub literatury o tematyce religijnej.

Zgodnie z regułą zakonu w refektarzu podczas posiłku obowiązywało" religiose colloguamur" czyli pobożna rozmowa.

Posiłki podawano windą towarową wprost z kuchni klasztornej, zlokalizowanej w piwnicy. Przy pomocy kołowrotu i powrozu uruchamiano to proste i praktyczne urządzenie transportowe. Na ścianach mnóstwo obrazów „religijnych" a na czołowym miejscu on Św. Franciszek z Asyżu a obok dużych rozmiarów krucyfiks.

Collegium natomiast miało swój oddzielny refektarz, korzystający z tej samej klasztornej kuchni. Ceremoniał spożywania jak i wystrój podobny, z tą tylko różnicą, że „religiose colloguamur" ni było często przestrzegane, bo młodzież jak to młodzież lubi sobie porozmawiać swobodnie na różne tematy, szczególnie gdy się znajduje w większym zbiorowisku.

W cieniu „klauzury" starano zachowywać się odpowiednio. Każdemu z nas zdarzało się wyłamywać z tego rygoru. Wtedy wkraczał O. Tadeusz nasz prefekt. Nie był szczególnie wymagający, ale w zasadniczych kwestiach konkretny i konsekwentny w egzekwowaniu swych wydanych poleceń.

Istniejący od zarania ogród przyklasztorny postanowiono pewnego razu zamienić w boisko sportowe, więc wzorem Tatarów i Hunów zniszczyliśmy wszystko co żyło i własnym sumptem postawiliśmy stosowne i wymiarowe bramki a ca-

łość wysialiśmy „wimbledońską” trawą. Wysokie mury dookoła stanowiły skuteczną zaporę podczas gier a siatka umocowana nad nim dodatkowo zabezpieczała przelot piłki na zewnątrz do sąsiada.
„Klauzura” jak każda surowa, siermiężna i niedostępna dla obcych w tym zakonie „braci mniejszych” nie odgrywała takiej roli, jaką odgrywała w ściśle klauzurowych i surowych zakonach.

Współuczestnictwo w Eucharystii

Po wielu latach, kiedy znów wróciłem z powodów rodzinnych/ przedwczesna śmierć ojca/ w świeckie życie już jako inżynier energetyk z dyplomem w ramach delegacji przebywałem wraz z kolegami z pracy na budowie Elektrowni w Oroszlanach na Węgrzech, w programie pobytu był uroczysty poczęstunek w zabudowaniach po kamedułach a więc najbardziej surowym w swej regule zakonie klauzurowym. Tam dopiero doświadczyłem naocznie na czym polega „klauzura” i całkowite odosobnienie ”skazanych” na tego typu umartwienie i życie. Chociaż wewnątrz każdego domku eremity zmieniono wystrój i meble, to na zewnątrz pozostał surowy wygląd i ogrodzenie.
Zakony klauzurowe ,całkowicie wydzielone od społeczeństwa o surowej regule, stosują różne dobrowolne formy umartwienia. Kiedyś od Kapucynów przeszedł do nas z Rozwadowa kolega, który miał okazję zaobserwować w „klauzurze” i w celi szczególnie katorżnicze umartwienia się zakonników, polegające na samo biczowaniu i leżeniu długimi godzinami krzyżem na podłodze przed krucyfiksem. Częstym umartwieniem jest nałożony ścisły post.
U Klarysek w Starym Sączu lub w Kętach metalowe kraty oddzielają zakonnice od świata zewnętrznego, a kontakt z nimi jest możliwy jedynie za pośrednictwem dyżurnej siostry zakonnej.
W cieniu „klauzury” więc jest różnie w zależności od kategorii zakonu i reguły zakonnej. W cieniu „klauzury” widać lepiej Boga i czuje się spełnionym, o ile wybrało się tą drogę poświęcenia, powołania i oddania się Bogu.

Razem z fratres i O. Rektorem

Cień „klauzury” to przedsionek nieba, miejsce doskonałej jasności i wiecznej szczęśliwości.

Któryś z duchowych mędrców Kościoła powiedział” tylko w ciszy i w eremie można usłyszeć głos Boga”

W cieniu „klauzury” wszystko jest możliwe oprócz grzechu, szczególnie u „braci mniejszych” powołanych regułą założyciela do służby ludziom i Bogu. „Pax et bonum” czyli „Pokój i dobro” to główne i zasadnicze przesłanie tego zakonu i podstawa reguły . Założyciel dla umożliwienia większego kontaktu z ludźmi, jako pierwszy w historii, 800 lat temu dla świeckich utworzył III Zakon tercjarski, skupiający nawet całe rodziny katolickie.

Asceza, klauzura, erem i eremita słowa w dzisiejszej laickiej nomenklaturze archaiczne i niemodne i rzadko używane. Jednak funkcjonują i mają ścisłe i określone znaczenie w życiu zakonnym i klauzurowym.

6. **Paweł ma na imię, czyli Pajo nas zadziwia i bawi**

Kiedy po 12 latach od pojawienia się pierwszej wnuczki u mojej córki Iwony, pojawił się kolejny i chyba ostatni wnuczek Paweł. Radość w rodzinie nie miała końca. Cieszyliśmy się jego narodzeniem. Zdrowy i z uśmiechem ujrzał świat 14 kwietnia 2005 roku, czyli w kilka dni po śmierci papieża Polaka Jan Pawła II.
Paweł ma na imię, a wcześniej nazwaliśmy go Pajo ,bo on sam siebie tak nazwał.
Od wczesnych lat swego dzieciństwa bawił nas swymi powiedzonkami i" przekręconymi" wyrażeniami. Od kiedy trafiały się one częściej i od momentu kiedy potrafił już mówić, postanowiłem w swojej kronice i wspomnieniach rodzinnych spisywać je i rejestrować.
Ilekroć potem kiedy miał świadomość, że spisuję je skrupulatnie, popadał w zdenerwowanie i zażenowanie, bo zwykle jego zdaniem były to wyrażenia dla jego poziomu i rozumu całkiem normalne i oczywiste, a jednak bawiły nas. Czasem były to określenia jedynie nieporadnie wymówione. Wyrażenia odpowiadały jego świadomości i poziomowi wiedzy. W tej chwili jest uczniem I klasy i coraz rzadziej zdarzają mu się lapsusy i mądrze formułuje zdania i potrafi w odpowiedniej sytuacji trafnie określać pojęcia. Coraz częściej wyraża się poprawnie, ale często są one ciekawe i pełne dowcipu, a to świadczy o jego inteligencji i bystrości umysłu.
A oto plon mego zbieractwa, podany chronologicznie w miarę dorastania Pawła.

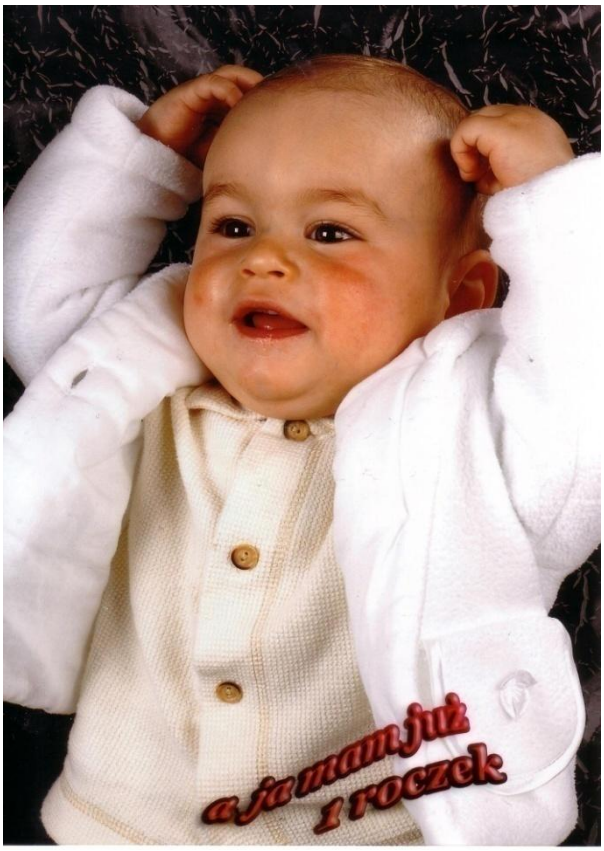

Kiedy miał roczek dużo już mówił

Na roczek potrafił pokazać jaki jest duży i wyciągał w górę rączki mówiąc Tati duzi

Na wiewiórkę w lasku osiedlowym wołał: *Basia, Basia* i bez względu na ich ilość zawsze mówił że są *ci* to znaczy trzy.

Mówił także *Babusia, mamusia, tatuś, tatusiu, dziadzio lub dziadziuś* z czego zawsze byłem bardzo dumny, że mnie także wymieniał. Zanim wymawiał końcówkę *siu,* to ułatwiał sobie mówiąc: *baba, mama, tata, Oła ,dziadzia.* Na lalę wołał *ła,ła.* Mówił też *ciocia, Ania, wuwa* na wujka, na pieska wołał *chał, chał* ,na wronę *kra, kra* na kurę *ko, ko,na spanie* a,a,a,na kupkę e, e, lub *siku,a na spacerek pa, pa,* Ponadto *ja, ja, dam, dam, da,lub chodź* łącząc ten wyraz z dziadziusiem np. *dziadziuś chodź.* Pewna pani na spacerku zadziwiona, że taki mały a tyle już mówi stwierdziła, że jej wnusia ma już dwa i pół roczku i niewiele jeszcze potrafi mówić, chyba mniej niż nasz Pajo.

Na Dzień Dziadka nasz Pajo dał popis i pierwszy raz wymówił całe logiczne zdanie. Otóż jego siostra Ola wstawiła do mikrofalówki obiadek dla Pawła, aby go odgrzać. Ola w tym czasie udała się do toalety, a Babcia trzymała go na kolanach. Kiedy odezwała się mikrofalówka dając sygnał że czas podgrzewania się zakończył Paweł głośno zaczął wołać Olę : *Oła, chodź am* ,czyli miało to znaczyć że Ola ma przyjść, bo obiadek już się podgrzał. Dziś także powiedział do mnie: *Idź tam dziadzio,* co oznaczało ze mam odejść od niego , bo ma zamiar się ukryć. Powoli składa całe zdania po swojemu, a my musimy i staramy się go zrozumieć.

Kiedy miał dwa latka:
Wymieniał po swojemu imiona z naszej rodziny, która w dniu urodzin odwiedziła go z życzeniami: mówił kolejno: *Anuś, Dziadziuś, ujek, Konam ,Kasia, Babunia, Kisia, Irka, Oła, Tatuś, Mamusia, Lina, Ajek, Chała nie będzie, Pajko ejka amu, a mu utro.Uś mam dwa latka,będzie dużo ości, Ukasz, Ania, Omek,Mi-cho-łaj, Kisia.Bisie, Baja, chapkę mam ładną, huja, Pajko idzie, chałka tam paśku, Opana mam chapke, muszę trzymać chapkę, tam moja dziadziuś eśt, tam jest duzia dziura, mamy tu Bebek, i jajo, hopa, hopa, Abo chudzieć, , huja, ejko chce Pajko do paśku, domku oda chała* czyli woda leciała, *utlo mam dwa latka,* mówił każdemu napotkanemu w piaskownicy.
Modlił się, do swojego Anioła Stróża: *Aniele….mój…. tuj. Ty….tój lano…. Nocy,….pomoci….*
A potem modlił się o zdrowie czyli: *Ania choły nie,i tatus choły nie, Oła choły i mamusia choły, dziadziuś Amen. Choły* znaczył chory. *Choły nie* czyli zdrowy.
Albo innym razem:
Dziadziuś ejka czyli cukierka *da, Pajko idzie nie, Pajko myju nie, bam, bam, huja ,huja,* bo r jeszcze nie wymawiał, *Michał pijdzie nie,AM AM, e, e, Basi rzeszka da Pajko* czyli wiewiórce orzeszka da Pajko, *husiu, husiu, Pajo siam hoko, Pajo idzie siam Basi do lśku, wołał Tata pu pa Pu-pa* ale zwykle już było za późno bo była w majtkach i rajtuzach. *Babusi sonko a tatusia synek, Pajo paśku idzie siam, Pajo ejka siam, Pajo liczy sody; dua, ci, cztery, osiem, dziewięć,*
Nie chuchać czeba dziadziusia, chuchać czyli słuchać, usi mam czyste, uśka tesz, Pajo robi babę siam, Pajko nie idzie domu, ecie znaczy jeszcze, *tam duzio ma Pajko, ja babuśko jem, ec ecie mam babuśko, a potem ejka Pajko siam, nie ma Chała ecie* czyli nie ma jeszcze Michała, *tam dzieci są, tam Pajko kije bije, duzio eś, ecie mało,ecie hoko husiu,husiu, Pajko kij dziuniu* czyli rzuci, *mam chatkę duzią, do aśku tam są dzieci, Pajo je Bebek* czyli chlebek, *a potem ejka, i ja tam była dziuja, de wcinka tam siedzi, i idź Pajko chce piciu, Bebek, i piciu, Dziadziuś robi babę, Babko , babko udaj się,to cię jem, Pajko tam idzie paśku, chaśku robię babę, Pajko je ecie bebek, baśkę,* czyli chlebek, kiełbaskę, *odę i jajo, Pajko dziuci chopa, dziucimy daleko.*

Gdy miał dwa i pół roczku
Na placu zabaw jest bardzo sprawny i wszyscy się dziwią, że taki mały potrafi na swoich rączkach huśtać się na łańcuchach z krążkami swobodnie wisząc i w sposób precyzyjny podawać noga piłeczkę do celu a chwyta piłeczkę zgrabnie do rączek i ona nie wypada mu z nich.
Śpiewa chętnie i na zawołanie np.: *Pieniążki kto ma ten jedzie do Wieliczki, a kto pieniążków nie ma ten palcem do solniczki itd.,* Z występu Eleni na dożynkach w Starej Kuźni zapamiętał rozbawiony i rozkołysany tłum widzów i też rączkami próbował wymachiwać śpiewając: *do widzenia mój kochany do widzenia…*
Gdy miał trzy latka:
Z pomocą Mamy i Oli chętnie recytuje wierszyki.
Ostatnio, kiedy zwróciłem się do niego per *Pajo* odpowiedział stanowczo *ja się nie nazywam Pajo tylko Paweł Krupa.*
Ola , kiedy wróciła z kolonii z Francji , gdzie wyjechała w nagrodę za wygranie konkursu lingwistycznego, nauczyła Pawła recytować fragment znanej piosenki Edith Piaf *Padam, Padam, ta muzyka upaja jak gin…* to on z chęcią powtarzał: *ta muzika paja ja dzin…*
Albo *gdy jedziemy na wycieczkę, zabieramy misia w teczkę, a misiu jak to misiu narobił w majtki sisiu…*
Lub z podpowiedzią: *Murzynek Bambo w Afryce mieszka.* gdy dochodziło do słów: *gdy mama mówi napij się mleka,* mówił: to on się napił zamiast *na drzewo ucieka.*
Poszedł żuczek za chałupkę i narobił w majtki kupkę, Oj ty żuczku coś ty zrobił, jam chałupkę przyozdobił.
W pokoiku na stoliku, stało mleczko i jajeczko. Przyszedł kotek , ypił mleczko, a ogonkiem stłukł jajeczko, Przyszła mama , kotka zbiła , a skorupki yciuciła.
Umiał z pewnością o wiele więcej, lecz te mi wyjątkowo utkwiły w pamięci.

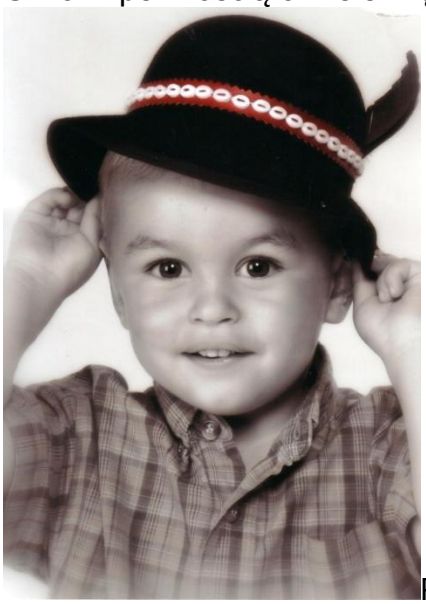

P
Paweł ma już trzy latka. Z Olą na pontonie na Dębowej
W kościele w czasie mszy św., kiedy ksiądz spożywał hostię, Paweł powiedział na cały głos:
A czemu on nie pije?
Spotkał się kiedyś na ulicy ze starszym panem, palącym fajkę i spytał go: *co ty tam masz?* On odpowiedział: *fajkę, Paweł do niego a po co?* Starszy pan: *bo ja*

jestem dziadek a każdy dziadek pali fajkę. I dodał: *ale za to że jesteś taki śmiały i odważny masz od dziadka cukierka* i poczęstował malca słodkim cukierkiem wyjętym z kieszeni mówiąc: *masz tu od dziadka cukierka, bo każdy dziadek oprócz fajki , ma też w kieszeni cukierki do poczęstowania wnuków i takich małych odważnych chłopców jak ty.* Paweł rezolutnie i grzecznie odpowiedział starszemu panu *dziękuję.*
Codziennie wraz z Babcią Krysią urządzamy z nim spacery a to do lasku osiedlowego, lub na plac zabaw do „ jordanka" a to znów na zakupy do Billi lub do Maxpolu po kiełbaskę lub po chlebek , pomidory na śniadanko. Karmiony nieustannie przez nas jabłuszkami i chlebkiem z masełkiem i o dziwo skoro go karmimy , to zjada wszystko. Niestety już od maleńkiego miał problem z jedzeniem. Był niejadkiem i z tym była zwykle największa bieda. Nieraz upomina się a jakże o cukierka lub lizaka, ale my go dyplomatycznie odwracamy na inne tory myślenia i jest wtedy wszystko ok.!
Spotkał kiedyś na ulicy dziewczynkę w jego wieku i spytał: *jak masz na imię dziewczynko?*
A ona odpowiedziała że *Agnieszka.* Paweł bez namysłu skonstatował: *niesamowite!* Ze swoistym dla niego zdziwieniem.
W niedzielę dnia 23. 08. 2007 byliśmy wszyscy z Pawłem w Opolu w ZOO i tam przezywał po raz pierwszy kontakt z dzikimi zwierzętami. Widział żyrafy, , zebry, hipopotama i wielbłąda.
Hipcio był bardzo brudny i nie umyty, widział leżącego geparda, figlujące małpki i wielkie orangutany i goryle, które przyglądały się na wybiegu widzom i Pawłowi i były bardzo groźne, tak że się Paweł *bojał* a jeden z nich bawił się wielkim kocem i zawijał się w niego.
Kózkom i baranom dawał do zjedzenia z ręki żołędzie.

na działce

O ile zauważy że ktoś z nas słabnie pyta: *masz siłę?.* W wózeczku niechętnie jeździ, więc idzie z ochotą na swoich nóżkach i wcale nie upomina się, aby go nosić na rączkach lub na barana. Chyba ma świadomość że my już nie potrafimy i po prostu nie mamy siły. Na dodatek jestem już po zawale i nie mogę tego

czynić. Chętnie z nim przebywamy i cieszymy się każdego ranka, że znów będziemy razem a ja mimo że mam różne plany, chętnie dołączam do nich i im towarzyszę, bo nie wszędzie można wózkiem wjechać czy to do sklepu, czy do Banku.
Wiewiórki karmimy, o ile mamy orzeszki a on bierze dwa orzeszki i stuka nimi wołając: *Basia, Basia.* Przybiegają blisko ,nawet biorą z ręki a on się już ich nie boi.
Babcia kupuje mu nieraz tik taki i wtedy musi mu umiejętnie wydzielać na on pamięta że było ich *dudzio* a babcia dała mu tylko jednego.
Mówi każdemu , że po wakacjach pójdzie z Michałem, kolegą z podwórka do Przedszkola i już się z tego powodu cieszy.
Dziś właśnie wchodzili oboje na drzewo przed blokiem i Paweł powiedział , że to jest jego drzewo a tam stoi Michała drzewo.
Chętnie bawi się w piasku i nigdy nie zauważyłem aby w trakcie zabawy był względem dzieci konfliktowy. Często ustępuje innym , pomaga im i doradza. Ma z innymi dobry kontakt i potrafi się dogadać. Dzieci lubią się z nim bawić.
Z Babcią często chodzą na rosyjski cmentarz, aby zapalić tam świeczkę tym nieznanym żołnierzom na ich grobach. Podziwiał go nawet konserwator tego miejsca jak taki mały chłopczyk potrafi w tym miejscu utrzymać powagę.
W kościele jest drzewko modlitewne ze świeczkami i tam tez z Babcią chętnie podpalają Świeczki i po swojemu się modlą, a on potrafi się ładnie modlić, bo tego nauczyli go nie tylko Babcia, ale też Ola i mama.
Jest koniec roku 2007
Babunia mówi do Pajka: *Zamknij te drzwi od Oli, bo wszystkie zarazki przejdą do ciebie.*
Pajo zaś odpowiedział pytaniem: *a dlaczego te zarazki przejdą do mojego pokoju?*
Flejtuch jesteś Paweł powiedziałem kiedyś do niego , gdy ubrudził swoje ręce. On bez namysłu stwierdził: *nie fajtuch tylko Paweł Krupa.*
Pajo ciągle daje nam znać że jest bystry i mądry na swój sposób.
Otóż kiedyś w okresie Bożego Narodzenia, kiedy odkurza się instrumenty i ćwiczy kolędy,
Odwiedzając nas każdorazowo dopomina się o instrumenty, a że mamy ich w domu dużo i tych oryginalnych i takie zabawkowe, więc nie ma z tym problemu. Ostatnio używał piórka do gitary, a że je gubił, wiec wyciąłem je z grubej folii i były przeźroczyste a Paweł nazwał je *gołymi i* ciagle dopominał się że chce te *gołe* czyli przeźroczyste.
Często bawi się z Rodzicami w *ence- pence w której ręce…* i kiedyś poprosił swoich rodziców *mamusiu zapęcuj mi prosę.*
Zwraca się do mnie podajac sławne rosyjskie babuszki *Ty mi je poukładaj, bo ja cie nauczyłem jak się je układa.*
Oglądając obrazki , należało je kojarzyć z odpowiednimi elementami np. deszcz z parasolką, Widząc na obrazku młotek zwrócił mi uwagę że ten młotek nie jest do jedzenia a na talerzyk wkłada się pomidorek i ciasteczko a nie młotek.
Wymieniając instrumenty muzyczne jakie Babunia posiada w swoim domu, Pajo wymienia wszystkie ni dodaje że *fafofon* też chce taki jaki ma u siebie Ola.
Piórko do gitary to u niego *ściałka* bo rzeczywiście przypomina grot strzały. Tak sobie skojarzył.
Oglądając obrazki i wyroby z ciasta mówi np. *to jest dziółwik czyli* żółwik.
Często mówi że pójdzie z Michałem *do pićkola jak będę dudzi*

Dyskutując o Mikolaju i konieczności pisania do niego listu, bo święto już się zbliża, biorąc do ręki komórkę bez zastanowienia odpowiada, *do Mikołaja nie trzeba pisać listy, bo ja wyślę do niego esemesa i będzie wiedział co mi ma przysłać.* Dziecko wychowane w nowej cywilizacji, radzi sobie inaczej niż my starsi kiedyś.
Z Pawłem piszemy zamiast esemesa list do Św. Mikołaja.
Podpowiada mi więc co mam do tego Świętego napisać a więc:
Ja chcę od Mikołaja babę Jagę, oglanki, i fafofon taki jaki ma Ola i pecelki i bajeczki o słoniu Dominiku i napsikład koniki i kalete i jeśće napsikład nową wykładzinę z autkami i trasą i jeśće napsikład w kartoniku takimśmiesznym słodycze i taki domek, bo tam były słodycze, czyli co myślisz dziadku chyba czekoladki a i jeszcze bym zapomniał o tik takach i jeszcze miętowych tych ostrych bo to są dobre cukierki ja je lubię i uwielbiam.
Zachęcał mnie potem do zabawy a to z balonikiem , to znów w malowanie obrazków farbami, a potem chciał prasować, wiec zwrócił się do mnie: *daj mi to żelasko ja muszę wsadzić żelasko tak na niby do prądu i będę prasować potraf i sięgnij mi to żelasko.* Prosił mnie. Opowiada mi swoje wrażenia z pobytu u niego Św. Mikołaja:
Mikołaj Święty był czerwony i miał takie długie włosy i nos a w worku dużo prezentów i ja potem wszedłem do tego worka. Dał mi babę Jagę i domek i jeszcze autko i słodycze i nawet grę a Ani dał przytulankę i też słodycze.
Spotkawszy na ulicy nadmuchane gigantycznych rozmiarów bałwany z długimi nosami i kapeluszem, kołyszace się od silnego wiatru, wystraszył się, że nawet nie miał ochoty do nich podejść a gdy wracaliśmy to prosił aby nie iść tamtędy obok tych bałwanów i oświadczył że: *ja ich się tak strasznie boiłem a takich małych ze śniegu się nie boję,a tylko boje się takich dużych z materiału.*

Paweł bał się dmuchanych bałwanów z materiału ale takich małych ze śniegu się nie bał.

Do Babci Irki mówił: *zaśpiewaj mi tę piosenkę*, natomiast Babcia odpowiada: *nie potrafię śpiewać* a on bez zastanowienia: *to ja cie nauczę.*
Kładąc się spać zaproponował Babci: *zaśpiewaj mi tę kołysankę.*
Mam Mikołaja opowiada mi, *w moim pokoiku, i on wchodzi po drabinie do grzecznych dzieci i się nawet ,świeci jak Tatuś go włączy do prądu.*
Babcia dziś stwierdziła że jest bardzo zmęczona i śpiąca a Paweł na to: *ale Babuniu ja nie mam dla ciebie łóżeczka , bo moje jest za małe.*

Innym razem opowiada o swoich bajeczkach i lekturze na dobranoc:
Podobają mi się bajeczki: Pies i kot, domowe przedszkole, o krasnoludkach, o pajacyku, o Moglim i o murzynku Bambo, o kocie w butach, o gumisiach, o Jasiu i Małgosi, i domku Baby Jagi, uwielbiam bajeczkę o ZOO i o słoniu Dominiku i o Pinio i mamie. I kocham wszystkie różne bajeczki i po prostu nie wiem jeszcze jakie i chyba mógłbym jeszcze wymieniac, ale ale się już zmęczyłem.
Pajo opowiada jak nakręcony , że buzia mu się nie zamyka. Mówi:*ja lubię wodę i się kąpię, ale z Olą i tylko w pomponie a w rękawkach to nie , bo się topię.*
W bajce lubie smoki, ale na podwórku nie lubię. Kotów nie lubie, ja tylko lubię trawkę dawać koniom w ZOO.
Ja mam Mikołaja na klamerce od cioci Ani taki mały na klamerce od prania i on jest tylko na firankę nie do zabawy.
Ja mam aparat i robie zdjęcia , bo ja lubie zdjęcia. Ola tez robi różne zdjęcia, ale na swoim aparacie.
Ja lubie naleśniki ale tylko takie złożone z syropem, jak tatuś robi to ja bardzo lubię syrop i foferki.
Usiądź sobie mówi do mnie *na dywanie o tak składając nóżki po turecku usiądź sobie tak po ludzku i będziemy się bawili w domino.*
Kichnąłem sobie a Paweł odpowiada *a zdrowie i* dalej:*czemu nie zakrywasz rączką buzi jak kichasz, trzeba tak zakrywać jak się kicha,* i demonstruje ten gest.
Siateczką czyli rakietką nie można grać balonem, bo się aniołka zbije albo Mikołaja.
Połóż się razem ze mną proponuje mi *na podusi,* rozkładając obie poduszki na wykładzinie,
Będziemy razem spać, ale bez kołderki ale ja tylko z lodówki mleczko wyciągnę a ty mi je w *mikroweli zagrzej to ja będę pił, bo zawsze to robię jak idę spać.*
Oglądamy razem z Pawłem program TV. Nagle Paweł przełancza kanały i mówi do mnie:
Wyłącz to bo to jest piekielna muzyka z Afryki.
Myszkę wziąłem od Oli , takiego żelka smacznego i zjem i będzie cały w moim brzuszku.
Bawiąc się razem na tapczanie Pajo nagle mówi: *Nie rób mi taką krzywdę co boli.*

Bawilismy się w wilka i lisicę a Paweł woła do mnie: *Wybaw mnie biednego , bo lisica bierze mnie do lasu ciemnego, a potem lisica pójdzie do swej nory i tam będzie spała a ty będziesz wilkiem takim złym i będziesz mieszkał w ciemnym lesie razem z lisicą.*
Innym razem zacheca mnie do zabawy i mówi: *Zagramy paletką i będziemy grać balonem we dwoje, chodźmy grać a ty ta czarną a ja tą niebieską paletką dobra!*
Spotkał panią , jadacą na wózku inwalidzkim i mówi: *Dlaczego jeździsz na tym wózku? Bo mam chore nogi* odpowiada pani a on:*czemu sama krecisz kółkami?* A pani:*bo nie mam motoru* on natychmiast: *a gdzie teraz jedziesz?* Pani odpowiada :*do swojej pracy* Paweł do niej: *ja tez mam chore nogi i muszę mieć laske do chodzenia.* Pani do niego:*ty jesteś za mały i nie musisz chodzić o lasce.* Paweł: *ale mnie brzuszek boli a wczoraj nawet wymiotowałem.*Pani: *to musisz iść do lekarza,* a Paweł na koniec:*ale ja już byłem i teraz jem te lekarstwa.*

Boże Narodzenie roku 2007

Pod choinką w Wigilię dzieci znalazły wiele prezentów a Paweł dostał nawet upragnioną wiertarkę, narzędzia ,młotek i kask. Dostał też autka i kołki do wbijania młotkiem drewnianym. Dostał też Babę Jagę, która skrzeczy przeraźliwie i jak zwykle słodycze.
Zwrócił jedynie uwagę że wiertarka jest sztuczna , bo się nie kręci *i dlaczego ona się nie kręci jak każda?* Chciał jeszcze kosiarkę, bo jak mówił musi wujkowi Tomkowi zawsze kosić trawę.
Dostał też od pana sprzedajacego ryby na Manhatanie małe sumiki karłowate i kiedy w kościele przy żłóbku napełniono basenik z wodą, postanowił je tam wpuścić, aby żyły w czystej wodzie.
Po spacerku w Wigilię Paweł prosił nas , abyśmy go zaprosili do swojego domu: *zaproście mnie proszę , zaproście!*
Przyniosłem mu potem spód do szopki i żłobek przeze mnie wykonany a on powiedzial: *Dzięki że mi przyniosłeś ziemię do stajenki i łóżeczko dla małego Pana Jezusa.*
Babunia mu nuciła na dobranoc piosenki a on powiedział: *Nie nuć mi tych piosenek , bo ty nie jesteś Anią.*
Do pani stojącej na przystanku autobusowym i oczekującej na autobus podchodzi i pyta:*Co tu robisz? Gdzie jedziesz? Gdzie jest twój domek?* Pani odpowiada: *do Blachowni* a on: *Czemu tak daleko? Jedziesz na Piasty? Itd., itd.*
Tego typu pytania zadaje lawinowo każdemu napotkanemu przechodniowi na ulicy.
Babcia kiedys zniknęła mu z horyzontu na spacerze, a kiedy się pokazała zapytał:*gdzie byłaś, ja ciebie wszędzie szukałem.*
Usiadł pewnego razu pupa na rakietkę badmingtonową i zaproponował Babci: *a teraz odbij mnie jak lotką.*
Babcia do niego: *Paweł ja ciebie kiedyś zjem* a on nie zastanawiajac się wielce odpowiedział: *nie możesz mnie zjeść, bo mnie mamusia będzie szukała.*
Masz cukierka zwraca się do mnie, a kiedy go poczestowałem jednym spytał: *a czy masz drugiego?*
Spotkał pewnego razu na ulicy moja koleżankę z pracy i pyta: *gdzie idziesz? A czemu? Ja się nazywam Paweł Krupa? A ty? Gdzie masz swój domek? A masz dzieci?*

Zwracajac się w kierunku idących koleżanek Oli mówi do mnie: *to sa moje koleżanki Pati i Ala*
Bardzo chętnie wchodzimy na schody przy Przychodni i z góry puszczamy noski nasienne klonów a one wirują w powietrzu, jakgdyby śmigła zaczarowanego helikoptera . Bawi się tym a ja jestem zadowolony z jego radości.
Uwielbia godzinami patrzyć w TV i oglądać swoje programy dla dzieci , tak że trudno jego w takiej chwili namówić na inną zabawę. Cała uwga skupiona na programie TV.
Babcia prasuje zasłony a Paweł przyglada się ciekawie i stwierdza:*O popatrz słoneczko odbija się na zasłonie czy ty to widzisz?*
Pozwoliłem mu oswietlić choinkowe oświetlenie a on podskakując z radości, że mu się tyle lampek na raz zapaliło krzyknął: *ale szok, ale szok!*
Jest bystry i spostrzegawczy , bo kiedy wchodzi do naszego domu, potrafi się zdziwić i ocenić coś nowego i zmiany mówiąc:*ale u Was jest pięknie!, albo Babuniu mi się to nawet podoba! Lub kto tak pieknie ustawił te Mikołaje i aniołki na stole?, O macie nowe firanki na oknach!*
Pawełka zostawiliśmy w domu, bo był chory a sami poszliśmy do koscioła. On po czasie smutny odezwał się: *dlaczego nie zabraliście mnie do kościoła? Do Bozi jest mi z tego powodu bardzo przykro i smutno.*
Kupujemy mu często talarki krakowski , bo on je lubi i kiedyś ze swoimi rodzicami był na zakupach w markecie i upomniał się o nie podkreślając *ale tylko krakowskie ,bo ja je uwielbiam.*

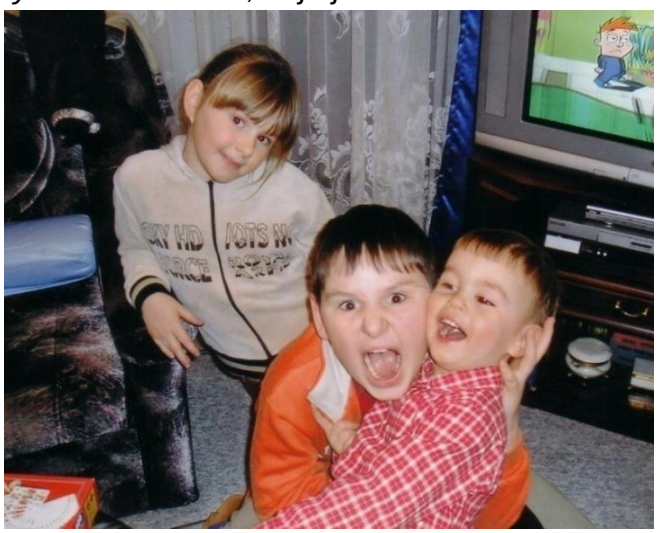

Paweł z kuzynostwem Mikołajem i Anią jak zwykle skorzy do figlów i zabaw.

Po wizycie u Babuni Irki Paweł podchodzi do Babuni Krysi i do mnie z koszyczkiem pełnym orzechów i czekolad i mówi: *Możecie sobie zabrać wszystko , a mnie zostawcie tylko ten jeden cukierek miętus, bo ja je bardzo lubię.*
Spotkałem na Nowy Rok swojego kolegę z działki i życzyłem mu zdrowia a Paweł: *to jest twój kolega?* Odpowiedziałem *tak* a on: *acha! A ja mam kolegę Michała i nawet Milenkę to są moi przyjaciele z piaskownicy , ale teraz jest tam pełno śniegu , bo jest zima.*
Odwiedziliśmy wraz z Pawłem nasz targ miejski zwany Manhatanem i zdiwiony był że był pusty. Po namyśle mówi: *Dziadziuś tak mi przykro , że nawet nie ma budy z kuleczkami do pistoletu . Są tylko same ciuchy i nic więcej.*

Paweł był przeziębiony. Miał katar, kaszel, ale nie miał temperatury. Mówię do niego: *ty masz chrypkę* a on: *gdzie?* Pokazuję mu gardło a on: *to nie jest chrypka tylko broda*
Jego ulubioną odpowiedzią ostatnio jest: *acha!, lub Ok. albo super, niesamowite!*
Lubi często na spacerze sam wstępować do jakiegokolwiek Banku i prosić obsługę o balonik a pani zwykle z nim sobie porozmawia i chętnie daje mu ten balonik do zabawy.
Wraz z Pawłem udaliśmy się do mego swata Waldka na sąsiednią ulicę, aby załatwić pewną sprawę. Kiedy drzwi były zamknięte, ale okno było uchylone Paweł nagle zaczął wołać: *Waldek obudź się bo Dziadek na ciebie czeka*
Tatuś mówi do Pawła: *Paweł ja cię chyba zjem* a on na to: *nie zjesz mnie, bo ja nie jestem chuczelek* tak mówi na swoje ulubione cukierki.
Odpowiada każdorazowo , kiedy mówi się do niego *kocham cię: wiem o tym i nie musisz mi tego powtarzać.*
Paweł nie biegaj tak szybko , bo się przewrócisz! On odpowiada: *ja muszę, bo mam buty sportowe , takie jak ma Ola i Łukasz.*
Bawiliśmy się w pociąg, kiedy byliśmy sami w domu i w pewnej chwili pomyślał o nowej zabawie, bo pociąg chyba mu się znudził i mówi: *Dziadziuś chwila! Ja mam pomysł.*
Dałem mu soczek z malin do picia a on: *pychota, ja to lubię.*
Gdy nie udało mu się coś zrobić mówi zwykle:*kurczę felek.*
Często mówi:*fajowo albo git.*
Pił soczek i się zakrztusił a po chwili kiedy pytam go co się stało odpowiedział: *wleciało mi do pierwszej dziury.*
Jestem spocony i mówię mu: *może daj mi tą twoją koszulkę* a on odpowiedział bez namysłu: *ale ty do niej się nie zmieścisz ,bo ona jest mała a ty jesteś duży.*
Potrafi jako dwu i pół latek wymienić prawie wszystkie kolory ,nawet te skomplikowane jak beżowy czy fioletowy, szary . Ma dobrą pamięć. Chce się z nim przebywać, bo człowiek się nie nudzi. Ciekawi go wszystko i potrafi sobie radzić w każdej potrzebie.
Spotkaliśmy dziś panią Marię z pieskiem a on psa pogłakał, bo mu pozwoliła. Pies dał mu łapę i buzi a Paweł do Pani:*kiedy przyjdziesz z pieskiem do mojego domu, on taki kochany.*
Udałem się wraz z Pawłem do sklepu kupić śruby i nakrętki a tam zaimponowały mu różnokolorowe liny, które można było za zgodą pani rozwinąć z bębnów. Bawiliśmy się więc tymi linami rozwijając je to znów zwijając na bębny. Na koniec Paweł mówi do pani: *do widzenia! Dzięki że mi pozwoliłaś te liny rozwijać.* Pani zaś:*proszę cię bardzo i przyjdź tutaj znowu z Dziadziusiem.*
Huśtawka na której Pawła huśtałem bardzo skrzypiała, bo była nie nasmarowana. Za każdym razem pisk się roznosił po okolicy a Paweł oświadczył: *strasznie skrzypi ta twoja huśtawka, chyba tutaj wszystkich pobudzimy.*
Spytał mnie :*kiedy będzie ciepło i będę się bawił w mojej piaskownicy, bo ja uwielbiam Milenkę.*
Idąc z Pawłem na spacerze na dość równym chodniku, pozdrowiłem znajomą a on odwrócił się po chwili i też ją pozdrowił. Zahaczył nogą o nogę i się przewrócił. Wstając mówi: *boli mnie noga i kolanko bo upadłem i jest mi przykro, bo nie umiem teraz chodzić*. Ja do niego: *a złapałeś może zająca?*

Paweł: tak, popatrz jaki on tyci , tyci mały jak kruszynka i jest mu zimno, trzeba go przytulić i ogrzać w rączkach, albo schowaj mi go do swojej kieszeni, a Babunia się zdziwi jak go zobaczy. Tyle fantazji w tym małym dziecku.
Wchodzimy do ulicznej budki telefonicznej a Paweł chce dzwonić do domu. Mówie mu: *tutaj nie można , bo nie masz karty* On odpowiada :*acha* czyli zrozumial o co chodzi.Po chwili rzekł:*ale z telefonu każdego można dzonić do domu.* Odpowiadam: *ale wy nie macie telefonu w domu.* Paweł na to: *mamy wszyscy i ja nawet ale to są komórki.* Taki mały a można już na takie tematy z nim rozmawiać.
Byłem z Pawłem na wycieczce autobusem w Koźlu. Jest to dla niego jak zwykle wielka atrakcja. Jadąc przy oknie a jakżeby inaczej Paweł nie mógł się doczekać wielkiej wody czyli mostu na Odrze. Patrząc przez okno autobusu mówi: *ciągle tylko las i domy, krzaki , mury ,płoty i śmieci a wody jak nie ma tak nie ma.* Kiedy wreszcie zobaczył tę wielka wodę to gęsta mgła zasłoniła cały ten piękny widok i był niepocieszony ,ale pływające po niej kaczki zauważył.
Na sąsiednim siedzeniu siedział sobie starszy pan i zwijał w rulonik swój bilet przejazdowy a on do niego: *Czego ten bilet zwijasz? Bilet nie jest zabawką a tylko trzeba go trzymać w kieszeni do kontroli aby się nie zgubił i pogniótł.*
Zauważył tez iż mimo mgły słoneczko widać i mówi:*popatrz dziadziuś to słoneczko wygląda jak kółeczko i nie świeci ostro.*
Spotkał w tym dniu swego kolegę Michała i mówi :*czemu ja musze spotykać tyle razy mojego kolegę Michała?* W urzędzie w Koźlu spotkał znajomą swoich rodziców a ona mówi do Pawła:*cześć Paweł!* Paweł od razu odpowiada: *ale ja ciebie nie znam, kto ty jesteś?* A koleżanka mamy mówi: *jestem koleżanką twojej mamusi Iwonki* a on *acha mojej mamusi Iwonki.* Pani: *tak , bo ja znam twoja mamusię i Olę.* Pozwoliła mu także zabrać do domu z choinki służbowej stojącej w Urzędzie aniołki do zabawy i karteczki do klejenia. Paweł mówi: *dzięki założe sobie te aniołki na mojej choince w domu a babcia się zdziwi jak pokażę jej te aniołki Prawda?*
Ostatnio podczas rozmowy telefonicznej pomiedzy nami a Iwonką wtrącał się a w pewnej chwili, kiedy długo już trwała rozmowa, nie wytrzymał i powiedział do swojej mamy: *wyłącz się bo ja rozmawiam z Babunią, a Babunia nie jest twoja , tylko moja.*
Zwraca się do swojej mamusi: *Mamusiu obiecaj mi że pójdziemy do domu Babuni, bo ja tam Dawno nie byłem .Stoi umowa ?*
Wielokrotnie, gdy mu coś smakuje i jest naszykowane do jedzenia mówi: *ale delicje lub pychota ,niesamowite.*
Zacząłem dziś śpiewać mu jego ulubiną z dawna piosenkę o misiu: *gdy jedziemy na wycieczkę, zabieramy misia w teczkę ,a misiu jak to misiu narobił w majtki sisiu.* Nawet nie skończyłem, bo Paweł mi raptem przerwał i stwierdził że: *misiu już jest duży i powinien sikać do ubikacji a nie w majtki.*
A o żuczku , który kupka ozdobił swój domek też stwierdził: *że żuczek już tez urósł i powinien kupke robić do ubikacji a nie na swój domek.* Pewnie pomyślał, że jego bohaterowie z bajek tez rosną i powinni tak jak on postępować w miarę dorastania.
Obserwując Pawła, wiele rzeczy robi na niby i się tak bawi a to w aktora, a to w rodzica lub pania z Przedszkola , naśladuje zwierzątko i całe zdarzenie potrafi sobie stworzyc na swój użytek.Często tez się z nim bawię, wcielając się w dana postać.

Paweł uwielbia grać na byle jakim instrumencie a mamy ich sporo.

Po świętach i po nowym Roku uporządkowaliśmy mieszkanie i przygotowalismy wystrój już na wiosnę. Paweł to zaraz zauważył , kiedy nas odwiedził i stwierdził: *ale masz tu pięknie w twoim domu, tyle kwiatów i ładnie posprzątane.* Znów okazał się estetą. Od małego należy dbać aby w nim rozbudzać poczucie piękna i dobra.
Zaproponowalem mu pyszną owocowa herbatkę a kiedy odmówił ponowiłem ową prośbę i propozycję Paweł znów podziękował i powiedział:*dziękuję a potem jak ktoś dziękuje, to się nie daje, wiesz chyba o tym.*
Spytał mnie kiedyś : *dziadzius a masz może kasiorę?* Odpowiedziałem mu że mam a on *to dobrze bo kupimy sobie żelki kolorowe i szablę, bo muszę te wrony zabić, bo one nam całą słoninkę zjadają na balkonie a tatuś powiesił słoninkę tylko dla sikorek i małych ptaszków.*
Na pytanie ile masz lat Paweł zwykle odpowiada że jeszcze nie ma. Nie określając ile ma lat mówi: *jak na dworze będą kwiatki czyli w kwietniu, kiedy będą moje urodziny.*
Ciocia Irka w drodze powrotnej z Niemiec odwiedziła nas w Kędzierzynie a Paweł zaproponował, aby go ciocia karmiła a nie Babunia. Podczas karmienia zwrócił się do Babuni: *Babuniu, czy ty może jesteś zazdrosna czy co, że pozwolisz żeby mnie ciocia karmiła? Ty chyba jesteś niespokojna, że ja jem z ciocią.*
Spotkał panią sąsiadkę pod swoim blokiem i mówi do niej:*czemu się nie malujesz ,tak jak*
moja Babunia.
Przyszliśmy na przyjęcie do domu Pawła 14 kwietnia 2008 roku ubrani odświętnie w krawaty i także Paweł miał na sobie krawat podarowany przez Św. Mikołaja na gumce. Zwraca się do Babuni:*dlaczego ty Babuniu nie masz krawatu jak do mnie przychodzisz?* Babcia odpowiada: *ponieważ krawaty nosi się do koszuli i kobiety nie noszą krawatów* a Paweł :*acha, rozumiem.*
Często kiedy jest zmęczony gdy wraca ze spaceru mówi:*Babuniu, rozbieraj mnie , bo wszystkie siły ze mnie zeszły.*

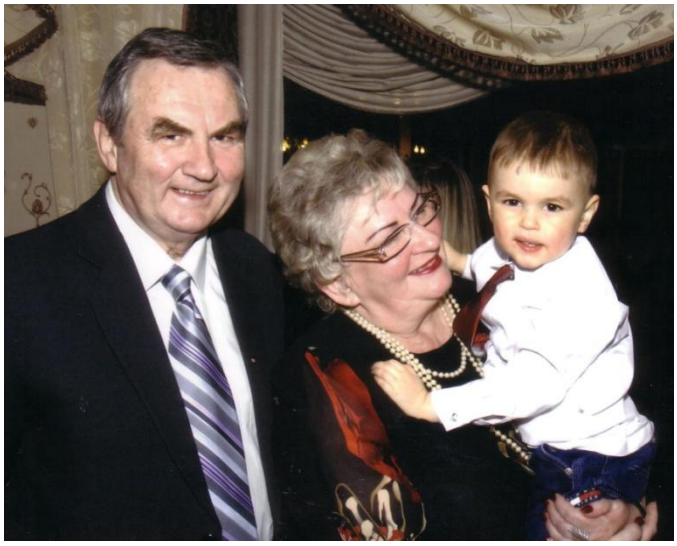

z dziadkami Paweł czuje się dobrze

Dostał od pana właściciela restauracji Sobieski mnóstwo baloników kolorowych , chyba z wczorajszej imprezy. Gdy wrócił do domu opowiadał swojej mamusi o wrażeniach ze spaceru i mówi: *mamusiu ja dzisiaj dostałem od Sobieskiego dużo baloników.*

Odwiedzić musiałem ZUS w pewnej interwencji a Paweł zniecierpliwiony mówi do mnie:*I znów musimy iść dzisiaj do tego Jezusa, a po co idziemy znów do tego Jezusa?*

W domu dostał się wreszcie do szuflady z narzędziami taty i wyciagając z niej małe imadło pokazuje mi i mówi: *dziadziuś popatrz bo takiego w życiu jeszcze nie widziałeś.*

Znów dostał od Pani reklamującej usługi bankowe reklamę i mówi:*dziadziuś ja muszę teraz iść z tą karteczką do mojego banku* to znaczy do banku w którym zwykle otrzymuje gadżetyi Wracając ze spaceru do domu był tak zmęczony,że położył się na podłogę i z trudem wypowiedział: *taki jestem strasznie zmęczony że szkoda gadać* i musiałem go w pozycji leżącej rozbierać a Paweł dodał jeszcze: *a potem jak zwykle będę jadł moją pyszną zupkę, bo jem ją zawsze przed spaniem.* Było południe i Paweł jak zwykle szedł spać.

Wyrzucił dziś swoją butelkę ze smoczkiem , stwierdzajac:*jestem już duży a tylko małe dzieci piją z takiej butelki i ze smoczka.*

Mówię do niego: *Paweł za kilka dni będziesz miał swoje urodziny i dostaniesz prezenty.* A on odpowiedzial : *no to ja już chcę te prezenty.*Odpowiadam: *ale to musi być niespodzianka.* On: *to ja już chcę tę niespodziankę, pokaż proszę mi tą niespodziankę.* Ja natomiast *jak ci pokażę to już nie będzie tajemnica.* Paweł: *ja nie mogę czekać i teraz chcę tą tajemnicę.Powiedz mi na ucho o tej niespodziance* i tak dalej drążył aż do znudzenia.

Wybraliśmy się z Pawłem do lasku osiedlowego a z garażu jak zwykle zabraliśmy sobie zestaw zabawek do piasku, które są przygotowane i czekają na nas w siatce.

Piasek był mokry ,bo było po deszczu ale on i tak mimo wszystko się bawił a potem miał ochotę skorzystać z huśtawek wpierw takiej bezpiecznej z łańcuchami i zabezpieczeniami a następnie na oponie samochodowej na której kręcił się wkoło i dobrze się bawił. Kiedy huśtałem go na tej bezpiecznej to wołał aby go hustać do liści , tak jak zwykle huśtałem Anię , *albo do aniołków aż do nieba! Wysoko!.*

Pewnej pani opowiadał : *ja chodzę do kościoła do Mikołaja ,ale ten Mikołaj nie daje prezentów dzieciom, tylko stoi w kosciele i się patrzy.*
Pewien chłopczyk miał przez siebie zrobiony latawiec, więc on tez chciał się nimzabawić i na chwilkę chłopiec mu go pozyczył. Kiedy nadeszla pora , by iść do domu, bo tam Babcia czeka z pyszną zupką, prosił mnie abym mu taki latawiec zrobił to będzie szczęśliwy *Dziadzius wiesz co mówił uwiążemy go do nitki i nawiniemy na buteleczkę a na nim namalujemy albo motylki albo dinozaura albo ja wiem kogo ciebie i będziesz latał tak do góry a ja będę cię puszczał, albo nawet namalujemy babcię i będzie też latać i będzie śmiesznie a mamusi zrobimy niespodziankę, gdy przyjdzie z pracy.*
Ponieważ Paweł musiał natychmiast po zupce iść spać , więc nie zdążyłem mu tego śmiesznego latawca zrobić, ale gdy przyszla mama z pracy wykonała mu tego latawca i wtedy puszczali go z okna, bo miał dość długą nitkę brązową a pani sąsiadka z dołu każdorazowo przywiązywała mu do tej nitki cukierka albo jakieś ciasteczko i to dopiero była niespodzianka i zabawa
Będąc na spacerku z Pawłem w naszym ulubionym lasku wytłumaczyłem mu że po czerwonej stronie chodnika jadą rowery a po siwym ludzie- piesi ,więc zwrócił uwagę pewnej starszej pani, która szła po czerwonej stronie chodnika. *Dlaczego chodzisz po czerwonym, tam jeżdżą tylko rowery i cie przejadą.*
Zaproponowałem mu że pójdziemy teraz na lody a on rzekł: *Dziadziusiu nie na lody a na frytki , bo mi one bardzo smakują.*
Wychodząc z domu spotkał pewną rodzinkę z torbami w ręku idącą na zakupy i mówi do nich: *Gdzie wy idziecie? Do Billi* odpowiadają a on: *acha.a ja idę z dziadziusiem do kawiarni ale nie na lody a na frytki z ketschupem.*
W kawiarni na frytkach obserwował przychodzacych gości. Przyszły akurat dwie panie a on do mnie: *ciekawe co te panie sobie* zamówią*?* Przyszła kelnerka , więc jedna z nich;*Poproszę pierożki* i pani wkrótce jej te pierożki przyniosła a on do niej: *czemu zamówiłaś sobie te pierożki, bo ja jem frytki z ketschupem i soczek.*
Zapoznał się z tymi paniami a na pożegnanie odpowiedział im: *do zobaczenia i cześć.*
Rankiem , kiedy wstał spytał się swojej mamusi. *Mamusiu czy ty się nazywasz mama? Czy Iwonka.?*
W piaskownicy spotkał swoich znajomych a Wiktoria miała ciekawe urządzenie czyli zabawkę
do piasku i nie potrafił ja nazwać , taka dziwna była w swej konstrukcji . wpierw nazwał ja *krecidłabło ,* ale i ta nazwa mu nie przypadła do gustu więc zmienił ją na *kręciwadło. Muszę się troszkę pobawić tym kręciwadłem.*Śmieszyło wszyskich to określenie, aż panie i dzieci zaczęły w ten sam sposób używać tej nazwy bo było oryginalne.
Na koniec spaceru prosił mnie : *poszukaj jaskółczego ziela i zerwij bo chyba nie zasnę, bo Babunia mi z tego soczku nóżkę posmaruje, to wtedy mi tak kurzajka zniknie. A tatus mi opowiedział że pewnej dziewczynce po tym soczku zniknęła ta paskudna kurzajka.*
Opowiada mi śmieszną historię z dnia wczorajszego a minowicie: *Dziadziuś wiesz, jaka nam się wczoraj przytrafiła katastrofa: Babunia mi ubrała spodenki, a gdy ja z nimi wyszedłem na schody, to one mi całkiem spadły i było śmiesznie i musialem inne założyć ale one były zaciasne i znów było śmiesznie.*
Mówię do Pawła: *Pawełku proszę opowiedz mi tę bajeczkę o Pieknej i Bestii .* a on: *nie mogę tej bajeczki opowiedzieć, bo jest na płycie i się jej nie czyta.*Nie

miał ochoty aby mi ją opowedzieć, więc mnie pozbywał jak mógł. Mówię *proszę cię jednak opowiedz mi ją proszę.*
Zaczynał coś mówić i nagle zakończył: *i żyli dlugo i szczęśliwie.i tak się ta bajeczka kończy.* Ja uparcie do niego:*Paweł ale ja proszę opowiedz mi ją od początku tak jak obiecałeś.* On zaczyna: *Bestia zamieniła się w pieknego królewicza nie księcia ale królewicza i dwie dziurki w nosie skończyło się i koniec bajki.* Po chwili dalej opowiadał:*Królewicz powiedzial że on był Bestią, a czy ja już mogę sobie iść , bo jak były dwie dziurki w nosie to już wiadomo, żew jest koniec bajeczki i czego jeszcze chcesz?* Ponawiam swoja prośbę więc on:*Bestia nakrzyczała na swego tatę i powiedziala, że jest niedobry i zły i koniec tej bajeczki bo żyli długo i szczęśliwie.* I znów nalegam a Paweł: *Bestia dziadziuś to był zły człowiek, a Piękna była piekna dziwczynką. Piękna i Bestia jechały z tatą autem i mieli w ręku kwiaty z ogródka, raczej nie jechały autem a tylko pociągiem a ich tato jechal autem.*
Udaliśmy się razem do sklepu zabawkowego bo tam sprzedawała jego przyszywana ciocia: Mówi do niej: *Czy macie może w sklepie kręciwadło?* Niestey w zestawach zabawkowych do piasku nie by*ło* tego typu urządzeń więc poprosił: *zamów mi proszę takie kręciwadło*. Zabawialismy się w wóz i konie a lejcami był po prostu sznurek. Kierując wozem Paweł śpiewał: *wio koniku a jak się postarasz,na kolację zajedziemy akurat, tobie owsa nasypiemy zaraz , a ja z miski smaczną zupke będę jadl, bo ja uwielbiam tylko pomidorową a w domu zawsze pachnie pomidorowo, jak mamusia gotuje tę pyszną zupkę dla mnie.*
Wychodząc ze swego domu spotkał na schodach swoją pania sąsiadkę i mówi do niej: *co niesiesz w tej siatce? I gdzie byłaś bo ja ide z Dziadziusiem do lasku ale ciebie tam nie zabiorę bo tam w piasku bawią się same dzieci.*
Mówię do Pawła: *Ładne masz spodenki* a on odpowiedzial: *przecież wiem ale dziękuję.*

Babunia z Pawłem na spacerku 08

Byłem dzisiaj z Pawłem jak zwykle w lasku i w pewnym momencie zagrzmialo a Paweł powiedzial: *Dziadziuś słyszysz burza idzie to aniołki wywalają meble albo graja w piłkę , ale ja się tej burzy nie boję.*
Kiedy znalazłem się w Szpitalu z nagłymi bólami w klatce piersiowej podczas odwiedzin
Pawła z Babunią Paweł powiedział: *tak mi było smutno, jak byłeś w tym szpitalu. Niechodziłeś ze mna do lasku i było mi bardzo, bardzo przykro.*

Ola mówi:*tak się jakos dzisiaj źle czuję* a on do niej: *a co ty umierasz?*
Będąc dziś z Pawłem na spacerku Pawł znów huśtał się na swojej ulubionej oponie i w pewnej chwili mówi:*Dziadziuś ja kiedys znalazłem taka myszkę* Pytam *co ty nie mówisz mysz?* A on *nie bo to była taka myszka przytulanka z materiału z czarnymi oczkami i ona miała kółeczko na kluczyki. Dałem ja Oli a ona sobie położyła ją na swoim biurku i się nia cieszy.*
Niedawno Paweł był wraz z rodzicami w kosciele a ksiadz pytał dzieci na różne tematy a na pytanie skierowane do starszych dzieci *Co mamy w domu ?* Paweł wziąwszy mikrofon odpowiedział pewnie: *kuchnię.*
Kiedy dowiedział się że jedzie na weekend w góry, bardzo się ucieszył i mówił wszystkim:*Jadę za górami za lasami do goryli* zamiast do górali.
Tatuś uczył Pawła sikania jak mężczyzna na stojaco i to mu się bardzo spodobało. Na drugi dzień zwraca się do Oli: *maleńka, czy ty umiesz sikać na stojąco?*
Zabrał kiedyś piłkę chłopcu a on do niego: *czy to jest twoja piłka mały?* Paweł zaś bez namysłu ripostował:*może być.*
Bawiąc się z dziećmi w szkołę zwraca się do jednego z chłopców: *jak masz na imię ?*chłopiec odpowiada *Denis* a Paweł od razu *ale śmiesznie*
Do swojej mamy zwraca się nie po raz pierwszy :*mama czy ty się nazywasz mama?*
Siedzą sobie dwie starsze panie na deptaku przy stoliku betonowym z szachami. Paweł podchodzi do nich i pyta: *dlaczego siedzicie przy tym stoliku i nie gracie?* Odpowiadają zdziwione pytaniem: *bo nie mamy pionków.* On do nich *to sobie przynieście. Zgoda* odpowiada jedna z nich *ale wpierw muszę poszukać , bo mam je gdzieś w piwnicy Dobra* odpowiada Paweł *i będę też z wami grał.*
Spotyka dwoje starszych ludzi siedzących na murku przy deptaku i oglądających zdjęcia , które co dopiero pobrały z Fotojokera Paweł do nich: *co oglądacie? A my ogladamy zdjecia naszych wnuków , bo my mamy już duże wnuki Acha* odpowiada Paweł *Ja też mam zdjęcia i je ogladam. Podziwiamy cię że jesteś taki mądry i ładny chłopczyk i masz takie duże czarne oczy.* Paweł dziękuje
Tak mi bardzo przykro że cię nie słuchałem stwierdził kiedyś Paweł
Kiedy w lasku skończył się huśtać na swojej ulubionej oponie *nagle oświadczył: Idźcie do domu Chrystusa* , kojarząc sobie ostatnie słowa kapłana na mszy Św z tym że mówi on w pokoju chrystusa ale dla niego było akurat do domu żadna różnica.
Na drugi dzień powiedział inaczej. Huśtając się na oponie na koniec powiedział: *Dziadziuś pójdziemy do domu jak powiem koniec , kropka .* i jak powiedzial tak też było.
Babunia go wieczorem karmiła przed spaniem i kiedy miał pełną buzię Paweł do niej:*Babuniu czy ty jesteś mądra? Wiesz że dziecko może się z*akrztusić jak ma dużo w buśce.
Na urodzinach mamy Pweł upadł nieszczęśliwie podczas zabawy w „kanapkę" i w rezultacie czego z nosa polała mu się krew i otarł sobie czoło, tak że znów potrzebna była z zamrażarki kiełbasa do złagodzenia bólu.
Co to za zabawa w tę kanapkę pytam Pawła. Paweł wyjaśnił że:*Ola na dole była bułką, Ania mała szynką, Mikołaj pomidorem a ja byłem serkiem i ten serek się ześliznął z tego pomidorka i ja wtedy uderzyłem i mnie bardzo bolało.Duża*

Ania miała być drugą bułką z góry ale się nie doczekala, bo się kanapka rozwaliła.
Ile pomysłów mają nasze dzieci dzisiaj.
Pod nadzorem Babuni Paweł mył ząbki a Babunia zaproponowała mu użycie innej niż zwykle pasty a on wtedy zdenerwował się i mówi do niej: *Babuniu nie mam słów do Ciebie Czy ty jeteś mądra,żeby mi taką niedobrą pastę dać. Ja chcę moja, bo ona jest słodka.*

Mam trzy latka trzy i pół

Głową sięgam ponad stół, mam fartuszek z muchomorkiem,
Do Przedszkola chodzę z workiem
Umiem bajkę o koteczku, i zgryźliwym koziołeczku
Wszystko zjadam z talerzyka, tańczę , kiedy gra muzyka. Itd.

Babunia , idąc z Pawłem i Anią do lasku na spacer, zaproponowała zabranie piłeczki, ale Paweł zaproponował wzięcie aż dwóch piłeczek. Ania natomiast go pyta: *dlaczego chcesz dwie piłeczki?* Paweł do niej: *Ania , jeżeli są dwie piłeczki , i dwoje dzieci , to każda piłeczka jest dla jednego. Taka jest po prostu zasada.* Sprytne wykorzystanie powiedzenia dorosłych i użycie zwrotu we właściwym kontekście.
Nie mógł zasnąć , bo chyba był całkowicie wybity ze snu w południe. Używa wszelkich sposobów , aby w południe nie spać. Ostatnio mówił: *Dziadziuś , dzisiaj jet chyba brzydki dzień , bo gdy jest brzydki dzień, to dzieci nie idą spać i diabeł kusi dziecko do złego a aniołek ucieka z drugiego ucha. Albo mówi: ten diabeł tak krąży po domu że ja go nie widzę i dlatego muszę grać w paletki a nie spać.*
Pytam go będąc na lodach, *czy ty wiesz jak nazywa się mąż osy? Bo to właśnie on cię ukąsił?*
Paweł odpowiada *nie wiem chyba tatuś.*
Przewd naszym blokiem spotyka panie, a Babunia mówi do Pawła: *powiedz tym paniom dzień dobry.* A Paweł odpowiada:*ja tylko znam panie z mojego bloku a tych pań nie znam.*
Pewna pani huśtała swą córeczkę i w pewnej chwili nieomal wypadła by i powiedziała : *Matko Boska córciu* a Paweł do niej: *Amen*
Paweł zobaczył koparkę w oknie sklepu z zabawkami i mówi:*kup mi ten traktor* a ja do niego:
Dlaczego ja, kiedy ja nie pracuję. Paweł natomiast: *idź do banku albo bankomatu . a w ogóle skad masz dziadziuś pieniążki jak nie pracujesz?* Odpowiadam że jestem emerytem i swoje już zarobiłem. Paweł *acha.*
Mówię do Pawła :*Paweł nie chodź po kałuży, bo będziesz miał mokro w butach a jak mnie nie będziesz słuchał, to wszystko powiem twojej mamie.* Paweł do mnie ;*proszę cię nie mów to mojej mamie, bo to będzie między nami wielka tajemnica. Okey.*
Kiedyś powiedział: *Koniec , kropka peel kropka.* Słyszał może kiedyś tego typu określenie i je wykorzystał dla swoich potrzeb.
Na dworze było dość dużo kałuż i wszystko było od razu przemoczone a my byliśmy na spacerku. Upomniałem go , bo mnie nie słuchal: *Jak ty będziesz mnie nie słuchał , to powiem twojej mamie.* Paweł: *jak ty będziesz krzyczał na mnie to ja ciebie nie chcę w moim domu, ja tylko będę z moją |Babunią , bo ona na mnie nie krzyczy .* Ja natomiast do niego :*ja musiałem. bo ty mnie nie słuchasz.*

Paweł widząc śmieci przed blokiem wyrzucone w nieładzie, mówi: *o Dziadziuś kupa śmieci albo kupa śmiechu , muszę powiedzieć temu panu Jarkowi, kiedy on wreszcie te śmieci sprzątnie.*
Z Babunią udał się do sklepu, aby oddać za małe majtki. Kiedy weszli do sklepu Paweł od razu: *Proszę pani my mamy dzisiaj smutny dzień , bo Babcia te majtki kupiła za małe i teraz musimy je oddać , bo nie pasują.*
Ciąłem w garażu piłą deskę a Paweł*: Matko Baoska , ja chyba oszaleje od tego hałasu.* Babcia w pewnej chwili weszła do nas do garażu a on do niej: *Babuniu , po coś tutaj przyszła , aby nas upominać? Że jest za głośno? Babuniu idź sobie , bo nam tylko przeszkadzasz . My mamy swoją tajemnicę.*
Paweł wraz z rodzicami i Olą przebywał u cioci Danusi a po powrocie jak zwykle opowiadał swoje wrażenia. Najzabawniejsze było stwierdzenie, że u cioci Danki było fajnie, i że jest dobra i kochana , *bo nie musieliśmy płacić za nocleg.*
Będąc kiedyś u wujka na hacjendzie w Czarnocinie Paweł opowiadał Babuni: *u wujka było fajnie, bo mogliśmy krzyczeć w niebogłosy.*
Paweł opowiadał że w Chorwacji pływał na 6 metrach a morze było turkusowe.
Ola mówi do Pawła , wracając ze szkoły: *cześć szczypiorek!* A on do niej:*cześć marchewka* Przygadał kocioł garnkowi . Oboje są straszkiwie szczupli.
Ostatnio Paweł zadeklarował :*jestem mistrzem sprzątania i śpiewania.*
Paweł z Babunią maja umowę :*jak Paweł głuchnie to i ja staję się głucha* i wtedy nic Pawłowi nie uda się załatwić, ani gumy ani cukierka. Paweł do Babuni: *a będziesz jutro słyszała* a Babunia: *będę o ile ty nie będziesz głuchy.*
Paweł mi mówi:*Dziadziuś wiesz co , jak ja jestem niegrzeczny to od mojej mamusi dostaję nauczkę.* Pytam go :*co to jest ta nauczka?* On tłumaczy:*nauczka to jest klaps i nawet Ola kiedyś dostała nauczkę bo była niegrzeczna. Nauczka to jest jak mama daje klapsa. To jest taka brzydka nagroda , jak jestem niegrzeczny.*
Paweł mały mówi do dużego Pawła jego kuzyna: *Przecież ty miałeś być umarły* Duży Paweł mówi:*dlaczego ja?* Paweł odpowiada: *bo mama mi mówiła że ty już umarłeś.* Oczywiście było nieporozumienie , bo umarł jego wujek Zbyszek a nie duzy Paweł.
Mówię do niego że papież nie jest w Polsce ale mieszka daleko , daleko. On bez zastanowienia:*Wiem , wiem on na pewno mieszka w Chorwacji*
Dostał dzisiaj za grzeczność pochwałę i cukierka. Ucieszył się stwierdzając: *mam dzisiaj same dobrodziejstwa, dzisiaj jest miły dzień bo dostałem lody kaktusy i cukierka. Kaktusy uwielbiam ale tylko ten koniec zielony , a dalej są strasznie zimne.*
Babunia była z Pawłem w sklepie, w którym kupowala parę dni wcześniej pralkę , która pracuje bardzo głośno i piszczy a Paweł dodaje: *i jeszcze bardzo długo pierze.* Sprzedawca był tym stwierdzeniem bardzo zdziwiony i się szczerze uśmiał, że taki mały brzdąc myśli jak dorosły.
Zwraca się do mnie:*Dziadziuś ty masz krwiste mięso?* Nie wiedziałem co mu odpowiedzieć co on uważa za krwiste mięso?
Zwraca się do wujka Tomka:*co wy tam robicie w tym Czarnocinie? Czy wy tam może pijecie alkohol?*
Babciu ty wiesz że jak jest brzydki dzień, to wszędzie mnie diabeł kusi a aniołki są daleko i wtedy jest niedobry dzień , bo ja cię nie słucham.
Powiedziałem Pawłowi *Mam dzisiaj cukierki w kieszeni.* Graliśmy w bardzo ciekawą grę i nagle Paweł mówi do mnie: *Poczekaj chwilkę, bo ja idę zrobić siku.* Poszedł do łazienki ale w drodze powrotnej udał się do pokoju , gdzie

leżała moją kurtka w której w kieszeni były cukierki. Kieszeni było wiele, więc nie mógł znaleźć słodyczy. Po chwili woła do mnie: *Dziadziuś gdzie ty masz te twoje cukierki?* Wyciągnąłem je z kieszeni i poczęstowałem Pawła.
O(kazał się i w tym przypadku przebiegły.
Ostatnio był chory ,brzuszek go bolał i miał nawet temperaturę. Krytycznego dnia mówi do mnie: *Przytul mnie , bo mi tak niedobrze a potem pociesz mnie, bo mi jest bardzo , bardzo smutno.*
Jak zwykle udaliśmy się wraz z Pawłem do naszej kawiarni na lody. Paweł wybrał sobie lody z parasolkami, jednak pani przyniosła mu bez tych ozdób a tylko z palemkami , ciastkami.
Nie jadł dużo, ponieważ jak twierdził brzuszek go bolał, więc z konieczności pomoglem mu je do końca skonsumować. Nagle potrącił szklany pucharek, który upadł na podłogę z resztką lodów, brudząc mu płaszczyk i ręce. Pani musiala to sprzątać a Pawełkowi było bardzo przykro i stwierdził:*Dziadziuś wszystko przez ciebie , bo po coś mnie namówił na te lody w kawiarni, ja tego nie chciałem.*
Wychodząc z Pawełkiem na spacer, ubrałem go do wyjścia i nagle na pożegnanie Ola zauważyła że Pawełek ma na lewej nodze prawy but i odwrotnie. Zaczęła się głośno śmiać i całe to zdarzenie z przejęciem i smiechem opowiadał potem Babuni i mamie.
Babunia z mamą przymierzaja Pawłowi nową czapkę a Babunia stwierdziła że na głowie z tyłu jest zbyt pusta a Pawełek bez zastanowienia mówi do niej: *czy ja jestem głupi i bez rozumu?*
Opowiada Paweł Babuni : *Wczoraj byłem u pani dentystki i ona mi w nagrodę dała naklejkę*
Na której pisało dzielny pacjent i jeszcze dostałem lusterko , że mogę sobie oglądać zęby.
Pyta mnie Paweł:*prawda dziadziuś że jesteś bliski śmierci?* Dziwię się i pytam *Dlaczego?*
On natomiast odpowiada:*no bo jesteś taki stary.*
Mówi do mnie *Dziadziuś a ciocia Krysia mówi tak smiesznie: Kurczę pieczone.*
Pawewł ma mokre spodenki , wiec pytam go: *co się stało że masz mokre spodenki?*
Paweł: *niechcący się posikałem.* A kiedy się posikałeś? Pytam go *Jak sikałem To czemu nie powiedziałeś? No bo zapomniałem.*
Jesteśmy z Pawłem na działce a mój sąsiad opowiada mi ,że chyba sobie wybije studnię aby mieć wodę. Paweł słysząc to mówi:*musisz sobie wkopać do ziemi pompę i będziesz miał wodę do podlewania kwiatków i potem takim kranem możesz kręcić.* Sąsiad do niego:*a ty mały ile masz lat że jesteś taki mądry?* Mówię :*trzy latka* a on mnie poprawia *chyba trzy i pół.*
Paweł mówi : *Prawda że ja wczoraj byłem grzeczny i ci się serce radowalo a dzisiaj też jestem grzeczny i nawet ci nie uciekam.*
Paweł znów nas bawi i rozśmiesza. Jest już koniec 2008 roku.
Ostatnio kilkarotnie go upomniałem , aby nie wycirał rączkami parapetów , bo są brudne a on zdenerwowany mówi do mnie: *Czy ty zawsze musisz być złośliwy?*
Próbował mnie okłamać w błahej rzeczy i zaraz mówi do mnie: *a rosnie mi długi nos?* Ostatnio często mu się zdarza że okłamuje i ciągle pyta: czy rośnie mu długi nos?

Bardzo lubi u nas grać na czym kolkwiek i ostatnio zachęcał nas: *Śpiewajcie, bo ja gram. Dajcie mi nuty, bo chcę grac tak jak Ola.*
Babunia mówi do niego: *Paweł czy mogę ciebie zjeść?* Paweł odpowida:*nie w trakcie piosenki*

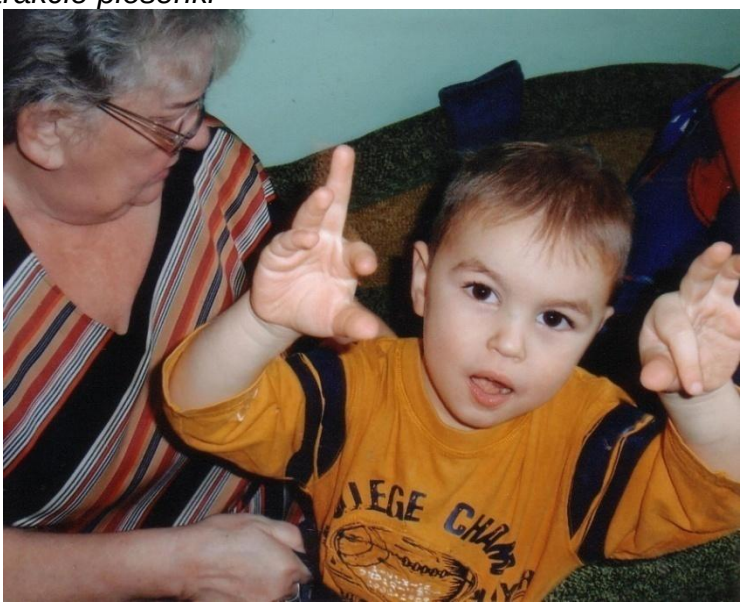

.
Nagle ni stą ni z owąd mówi do mnie: *Dziadziuś, wiesz jak ja urosnę, i będę duży to będę z moim tatą chodził do pracy i rano wstawał a potem znajdę sobie męża* a ja zaraz go poprawiłem ;*chyba żony. A on no pewnie że żony Dziadziuś tylko że ja ja muszę znaleźć a pomożesz mi ją poszukać? Oczywiście że pomogę razem ja poszukamy* Odpowiedziałem. Kontynuuje dalej: *a potem weźmiesz od Babuni pieniążki i kupie jej piękna suknię i lustro , ale nie w PEPCO i pójdziemy razem na bal, bo ona musi być piękna prawda?* Odpowiedziałem *Oczywiście najpiękniejsza na świecie.*
Będąc kiedyś zimą z Pawłem na saneczkach na górkach za Halą Sportową umęczył się wchodzeniem pod górkę z sankami , spojrzał w niebo i mówi: *Dziadziuś idziemy dziś do domu bo nogi mnie bolą i idą deszczowe chmury.* Spojrzałem i rzeczywiście nadchodziłe te ciemne ołowiane chmury zwiastujące opady.
Zmęczony mówi ; *saneczki nie idą bo mnie nóżki bolą.*
Podczodząc kolejny raz pod górkę mówi *nóżki mnie bolą już nie mogę chodź dziadziuś na ratunek.*

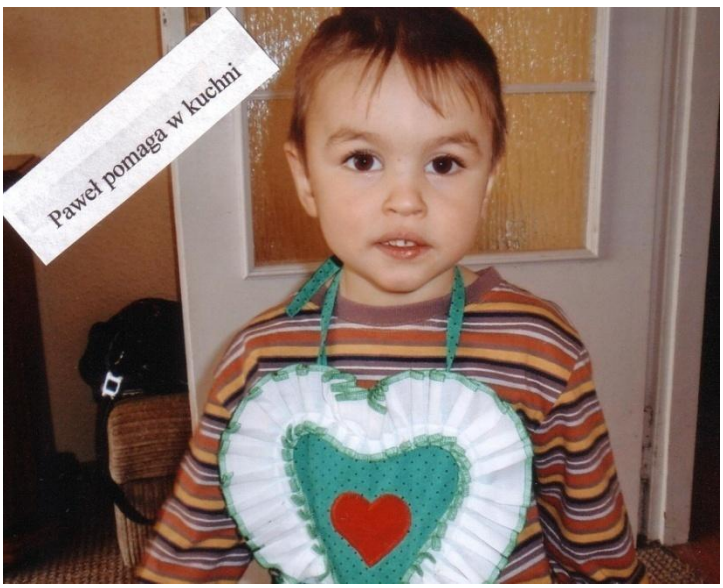

Siadajac na saneczki na szczycie górki mówi: *Dziadziuś czy mogę sam się odpychać to pojadę daleko? Nożki postawię na płozach dobrze?* I zjeżdżał sam że go nawet podziwiałem za jego odwagę.
Na działce byłem niedawno z nim a on wziął do ręki patyka i rozkopywał krecie kopczyki, których było wiele , bo zima była łagodna a wiosna wcześniej przyszła Mówię do niego: *nie grzeb w tych kupach bo się cały zabrudzisz* a on odpowiada: *to nie są żadne kupy ale kopczyki kretów.*
Babunia mówi do niego: *nie chodź po trawce , bo wdeptniesz w gówno.* On ja natychmiast poprawił;*Babuniu to są przecież kupy od psa a nie gówno.*
Słysząc to sąsiaka podziwiała go za jego inteligentą odpowiedź
Paweł ma prawie 4 latka tuż przed jego urodzinami 14 kwietnia 2009 roku
Paweł mówi do mnie: *Dziadziuś przypomniało mi się, masz tu pieniążki i kup jakąś gazetę z programem i najlepiej proponuję ci kup gazetę wyborczą bo tam jest wszystko a od czytania zabolą cie oczy.* Tak tez zrobiłem i rzeczywiście było co do czytania.
Przechodziliśmy ostatnio obok wystawy sklepowej z odzieżą męską i wzrok utkwiłem na wyjątkowo pieknym krawacie i powiedziałem że najchętniej bym sobie go kupił Kiedy oddaliliśmy się od tego sklepu na osobności Babunia mówi do Pawła : *chodźmy Paweł wrócimy się aby mu ten krawat kupić* mówiąc do Pawła:*zachowaj to w tajemnicy przed dziadkiem* a on odpowiedział *Okey Babuniu zachowam*. *Będzie to nasza wspólna tajemnica.* I rzeczywiście przez cały dzień tajemnica była zachowana ale potem nieopatrznie wyzdradził mówiąc; *nie martw się dziadziuś myśmy ci ten krawat kupili.*Przypomniałem mu że tajemnicy się nie wyzdradza więc było mu smutno a wcześniej mówił do Babuni: *A co się stanie jeżeli Dziadziusiowi o tym powie Pan Bóg , który wszystko wie.*
Paweł na koniec mówi do Babuni: *Babuniu koniec z tą naszą tajemnicą bo nagle przyszło mi do głowy ,żeby o tym powiedzieć Dziadkowi. Tak mi przykro że Dziadkowi zdradziłem tę tajemnicę.* Kiedy Babunia powiedziała mu że jej jest też przykro wtedy Paweł powiedział: *nie martw się Babuniu ja nie wiem co mnie skusiło, ale na drugi raz wymyślimy jakąś inną tajemnicę zgoda!.*
Ostatnio Paweł zabrał Oli książeczkę do nabożeństwa i z niej na boku śpiewał i modlił się jak się to robi w kościele

Prawda ,że wczoraj byłem grzeczny mówi Paweł *i serce ci się radowało.? A dzisiaj też byłem grzeczny i ci nie uciekałem.*
Wychodząc z domu na spacerek ze mną spotyka znajome panie sprzątaczki i mówi do nich: *dzień dobry* jak zwykle i zaraz do nich: *jestem chory bo jak sikam to mnie sisiak szczypie i muszę iść do lekarza i już się do niego zamówiłem.*Na pożegnanie życzył paniom wszystkiego najlepszego na cały dzień a panie odpowiedziały mu tym samym.
Jadąc samochodem z Pawłem na obwodnicy mówi do mnie: *Dziadziuś łyknij teraz tę ciężarówkę* i rzeczywiście ją łyknąłem.
Krzysiek kolega Pawła pyta go w pewnej chwili:*gdzie twój Tato pracuje?*Paweł odpowiada:*tam gdzie się zarabia pieniądze. To znaczy gdzie w Banku?* Pyta dalej kolega.
Paweł odpowiada: *nie tylko w Mostostalu.*
Do sąsiadki pani Reni Paweł zwraca się:*Gdzie jest twój mąż? Czyim mężem jest Marian? Moim* odpowiada pani Renia Paweł do niej:*przecież ty nie masz męża.*
Pyta ją dalej:*a gdzie ty pracujesz? W szkole* odpowiada sąsiadka. Paweł: *a skąd masz pieniądze? Przecież w szkole nie ma pieniędzy tylko są same dzieci.*
Byliśmy wraz z wnukami w kawiarni na lodach. Przed konsumpcją lodów Paweł podszedł do pani bufetowej i spytał : *Proszę pani gdzie tu jest kosz na śmieci?* Pani do niego :*daj mi śmieci to ja je wyrzucę do kosza.*Paweł bez namysłu wyciągnął z buzi gumę do żucia i dał ją pani do ręki, aby wyrzuciła.

.
Byliśmy z Pawłem na Jasnej Górze w Częstochowie. Na budach kupiliśmy mu pukawkę i z tej straszył przechodniów i się tym bawił. W sklepie z dewocjonaliami spotkał grupkę młodzieży ze swoim kapelanem i zaproponował im niespodziankę ale wpierw powinni wyjść z tego sklepu ponieważ zabronilismy jemu używanie tej pukawki w miejscu gdzie są ludzie i w sklepach. Młodzież zareagowała i wyszła a Paweł im zademonstrował skuteczność tej pukawki. Było dużo śmiechu i zabawy.
W kościele podczas Podniesienia kapłan podnosił ręce do góry , wiec on po nim powtarzał i tez podnosił. Inne ruchy też nasladował w rezultacie czego

wszystkich wprawił w zachwyt, ponieważ to wszystko odbyło się tuz przed głównym ołtarzem i obrazem Matki Boskiej.
Babunia wpierw się śmiała a potem miała łzy ze wzruszenia, ponieważ robił to poważnie i w skupieniu. Na „Pokój z Tobą" Paweł podchodził do każdego i w geście pokoju podawał rękę a jeden z panów był tak tym przejęty że dał Pawłowi cukierka.
Wszystkich spotkanych na drodze pozdrawiał Dzień dobry nawet tych spotkanych przechodniów w sutannach i habitach. Zwróciłem mu uwagę że tych w sutannach i habitach pozdrawia się Szczęśc Boże Paweł odtąd pozdrawiał ich tym pozdrowieniem.
Przechodził akurat obok zakonnicy modlacej się na różańcu i też ją grzecznie pozdrowił.Zatrzymała się i ze zdziwieniem do niego: *jak ładnie to powiedziałeś a jak masz dziecko na imię?* A Paweł do niej: *Paweł Krupa ona zaś; ale pięknie, wiesz za to że jesteś taki grzeczny* to ja *za ciebie będę się modliła .* Paweł zaś do niej: *dziękuję.*
Spotykajac następnych pozdrawiał ich albo dzień dobry albo Szczęść Boże.a jedna zakonnica znów podeszła do niego i przytuliła go do siebie ze wzruszenia.
W sklepie obiecywał że będzie tylko oglądał i o nic nie będzie prosił i żebrał.
Pweł przechodził obok pracowników ukladających na chodzniku kostke brukową. Mówi do nich:*co robicie? A oni: układamy chodnik* ja natomiast dodałem :*popatrz jak cudownie układaja jakby z klocków lego był ten chodnik.* Paweł:*ja bym też tak chciał z nimi układać ten chodnik.* Zareagowali i mówią: *tak jak tylko podrosniesz i jak nie będziesz się uczył tak jak my to przyjdziesz do nas aby nam pomóc.*
Na przyjęciu w ich domu gosciem był ksiądz Daniel a ponieważ Pawłowi przydarzyła się kontuzja. Otóż rączkę przytrzasnęły mu drzwi w wyniku czego miał bolesne krwawienie i obrzęk. Zmartwiony mówi do księdza: *a teraz idź do koscioła i powiedz swojemu Panu Bogu że jestem chory i popros go aby mi paluszek wyzdrowiał i mnie nie bolał.* Ksiadz odpowiedział *zgoda masz to u mnie jak w Banku. A to w ogóle dobry przykład myślenia dziecka i musze to kiedyś wykorzystać w kazaniu dla dzieci.*
Do dzieci , które bawiły się w sąsiednim pokoju Paweł mówi: *Dzieci chodźcie pokażę Wam co nieco.*
Na spacerku Paweł ubrany był w koszulkę narodową biało czerwoną dla kibiców z orłem na piersi. Spotkał go pewien pan i mówi: *Nie rozbieraj tej kurtki , bo się przeziębisz.* Paweł do niego:*nie szkodzi, ale poza tym ja jestem Polakiem.*
Na powitanie mówię do Pawła: *cześć i żółwik* a Paweł nie reaguje i mówi do mnie:*nie mam dziś ochoty na żarty, bo nie ma dziś pogody i cały dzień pada.*
Zauważono ze zdziwieniem że któregoś dnia Pawełek nad swoim łóżeczkiem narysował niezgrabnie kredką krzyż. Na pytanie: *dlaczego to zrobiłeś ?*Paweł odpowiedział:*bo ja też chcę mieć Pana Jezusa nad swoim łóżeczkiem.*
Obiecano kiedyś Pawłowi że będzie spał razewm ze swoimi rodzicami w ich łóżku. *Nazajutrz dzwonił do swojego taty do pracy mówiąc: niestety nici z naszej umowy bo ja zaspałem i nie mogłem z wami razem spać szkoda!* Był bardzo rozżalony.

Na urodziny Iwonki mamy Pawła w domu było dużo gości i koleżanek z pracy. Paweł z gracją i uprzejmością zaproponował paniom słodycze , a jedna z nich stanowczo odmówiła , twierdząc że się odchudza. Paweł do niej:*Jak chcesz się odchudzać to musisz sobie kupić serek biały, koperek, i pomidorki i je razem pomieszać ,po prostu zrobić taką bablote i wtedy to zjeść i to jest dobre na odchudzanie.* Widział jak taką strawę przygotowuje zawsze Babunia , bo się odchudza.

Jest już rok 2009 Paweł ma cztery i pół roku

Byłem z Pawłem na spacerku i nagle usłyszeliśmy hejnał z wieży ratuszowej Paweł mówi do mnie: *Dziadziuś grają hejnał , ale ten czas szybko leci no nie?*

Na otwarcie marketu NETTO Paweł podszedł do stoiska z chipsami wydawanymi za darmo do spróbowania, wziął jednego i powiedział:*Oto ciało Chrystusa mojego* podobnie jak to w kościele czyni kapłan.

Paweł chodzi do Przedszkola a po tygodniowym pobycie , nagle zachorował i Babunia musiała znów być z nim z czeo była bardzo zadowolona. Mówiła mu jedynie: *Paweł nie zbliżaj się do mnie i nie przenoś mi tych zarazków bo zachoruję i będzie kolejny problem.*Paweł zrozumiał to dosłownie i mówi:*Babuniu ty nie możesz zachorować i nie możesz mi tej choroby zabrać, bo ja muszę być chory , bo nie lubię chodzić do Przedszkola, bo tam jeden z chłopców mnie pobil za nic. Nie oddam ci tych zarazków.*

Z Pawełkiem byliśmy na naszym Manhatanie i zaproponowałem mu kupno gum do żucia. Paweł odpowiedział: *Dziadziuś lepiej do Netto bo tam jest dobra jakość i dobra cena.*
Ostatnio Przedszkole odwiedził pan policjant w mundurze i dzieciom opowiadał o swojej trudnej pracy i o złodziejach. Paweł wtrącił się do mikrofonu: *a wczoraj na naszej działce złodziej ukradł nam odstraszacz do kretów.* Policjant na to :*bardzo dobry przykład* .Ja do niego :*to była po prostu kradzież* a on :*a pan policjant powiedział że to było przestępstwo.*
Paweł do Babuni: *dzisiaj jest dzień chłopca, dlaczego jeszcze nie złożyłaś mi życzeń?* Babunia złożyła mu życzenia i dała mu paczkę gum do żucia.
Ja do Pawła :*Powiedz mi co was tam uczą w tej grupie w motylkach?* Paweł do mnie:*mamy nawet rytmikę uczymy się tańczyć, śpiewać i ćwiczymy przy muzyce.*
Mówię dalej *to zaśpiewaj mi cokolwiek co się tam nauczyłeś.* Paweł:*nie pamiętam ale lepiej zaśpiewam ci inną piosenkę, którą ostatnio śpiewałem z Olą.*Gestykulujac i wykonując przedziwne ruchy nogą i rękoma niby grając na gitarze śpiewał:*Dotknął mnie dziś Pan i radość ogromną w sercu mam . Z tej raości chcę śpiewać i klaskać w dłonie me. Więc wszyscy razem chwalmy go za to że trzyma nas ręką swą Alleluja.*
Babunia szykuje mu znów zupkę a on do niej: *tylko nie dawaj mi tej marchewki do zupki bo jej nienawidzę.*
Kiedy zbliżał się Św. Mikołaj Babunia pyta Pawła :*a co byś chciał dostać od Św. Mikołaja ?* Paweł od razu odpowiada:*niech mi przyniesie zdrowie.*
Babunia w związku z długą chorobą Pawła mówi do niego:*Pawełku ja najlepiej zabiorę ze sobą wszystkie zarazki od ciebie. Paweł odpowiedział: To jest niedobra propozycja , bo ja wtedy byłbym bardzo smutnyże ty będziesz chora.*
Kiedy był bardzo chory i bolały go uszy, mama z Babunią zdecydowały aby mu do uszu wsadzić watkę a kiedy już nie potrzebował jej nosić powiedział:*Ja chciałem Wam serdecznie podziękować że ja już tej waty nie potrzebuję nosić w uchu i z nią ciągle chodzić.*
Pytam Pawła :*co robił wczoraj twój tato?* Paweł odpowiedział: *Tato mój wczoraj miał wolne, bo Polska wczoraj odzyskała niepodległość.*
Ksiądz w kościele pytał dzieci:*jacy powinni być względem siebie ludzie?*Paweł przez mikrofon odpowiedział:*Powinni być mili dla siebie i nie powinni sobie robić przykrości.*
Pytam Pawła:*co tam będziesz robił na tym przedstawieniu w Przedszkolu?* A on do mnie :*to tajemnica*, ale po powtórnym pytaniu niecierpliwie odpowiedział:*będę pastuszkowym*

Oglądamy z Pawłem bajki Mini Mini a tam widzieliśmy latajace łóżeczko i mówię mu:*popatrz jak to łóżko leci w przestworzach.* Paweł mówi:*Dziadziuś to jest tylko wyobraźnia.*

Przy zakupie lustra Paweł mówi do swego Taty: *Mama musi to lustro koniecznie sobie kupić aby jak dama mogła się w nim przeglądać i na pewno powie sobie: lustereczko powiedz przecie, kto jest najpiekniejszy na świecie?*

Mówi do mnie:*Dziadzius u nas w domu są trzy stajenki i aż cztery Maryje a jedna to nawet jedzie z Józefem na osiołku.*

Mama mówi do Pawła:jest już późno i wszyscy *już idą spać i ty też.* A on odpowiedział:*ale Maryja i Józef nie, bo oni tej nocy muszą urodzić Jezusa.*

Pewnego razu Paweł wyśmiewał się ze swego kolegi że się kiedyś posikał a Pani do niego:*nie śmiej się bratku z czyjegoś przypadku.*

Opowiada mi Paweł tę historię i mówi:*Dziadziuśty wiesz że ja się z niego śmiałem, a potem sam się w nocy posikałem i było mi bardzo głupio i się wstydziłem , bo śmiałem się z czyjegoś wypadku.*

Paweł za niedługo będzie miał pięć lat Jest już rok 2010

Z mamą czekają na wizytę do lekarza a na korytarzu głośno się zachowuje pewną dziewczynka i podskakuje. Paweł mówi do mamy: *ja bym tez chział z nią*

sobie poskakać. Mama do niego:*Nie bo zaraz wchodzimy do środka.* Paweł: *a może jednak tak , przecież ona jest tego samego rozmiaru.*
Pytam Pawła: *jesteś już zdrowy?* Paweł odpowiada *Jestem jeszcze nie do końca zdrowy.*
Szukając zajączka a raczej jeo śladów i prezentów w pobliskim lesie stwierdzilismy że dawno tutaj nie byliśmy, ponieważ zniknęła stara leśniczówka w rejonie cmentarza żołnierzy radzieckich i jak stwierdził Paweł: *nawet nie widać fungamentów.*
Wybudowano w pobliżu naszego bloku Orlik. Byliśmy na nim i często tam chodzimy , aby sobie pograć w pilkę. Zapoznał tam pewna dziewczynke, z którą grał. Pyta się jej:*Jak się nazywasz dziewczynko? Oliwia Bury* odpowiedziała znajoma. On zaś : *ładne masz imię ale nazwisko nie. Mówia do ciebie chyba Oliwka* a ona mówi:*nie podoba mi się to i dlatego mówią mi Oliwia.*
Pytam potem Pawła *jakie wrażenie wywarła na ciebie ta Oliwia? Była nawet sympatyczna i miła oświadczył Paweł.*
Kiedy go denerwuję Paweł mówi często:*czy możesz mnie dziadek nie denerwować , albo czy możesz na chwilę dać mi spokój.*
Paweł dostał na swoje urodziny zabawki i na pytanie czy mu się one podobaja odpowiedział:*są czadowe!.*
W domu ma nową gre pt. Zapamiętaj i mówi do mnie: *Dziadziuś zapamietaj czyli po prostu*
memor.

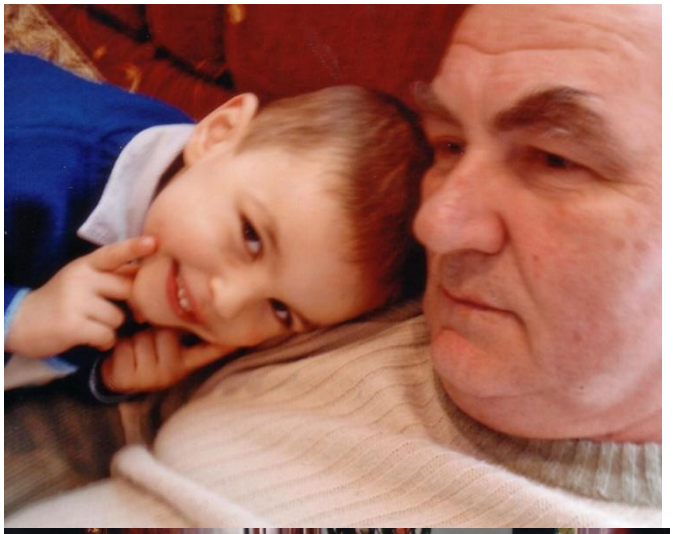

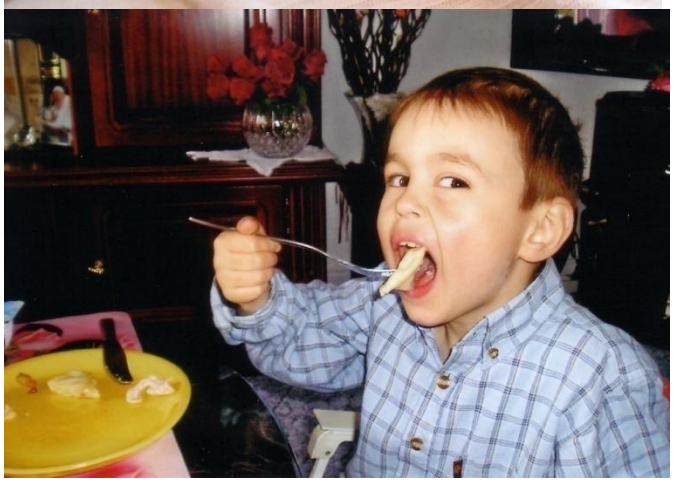

Przed myciem Babunia zwróciła mu uwagę, aby swoje rzeczy ładnie poukładał na jedno miejsce a on do niej:*A przecież zawsze mi mówisz że u siebie mam się czuć jak w swoim domu, więc gdy jestem w swoim domu to wrzucam swoje rzeczy do kosza na pranie, to dlaczego u ciebie jest inaczej?*

Wakacje w roku 2010

Będąc w Mini ZOO w Niedźwiedziu, Paweł oglądał zwierzątka i karmił je mimo że był zakaz. Podając trawę świnkom morskim zwraca się do mamy: *Mamusiu czy te* zwierzątka tę trawę ją? Zamiast jedzą.

Mama do niego :*Paweł popatrz ci ludzie są z Somali* a Paweł od razu: *a dlaczeo oni są mali?*

Mama do niego:*nie karm mi tych zwierzątek* a Paweł: *tutaj nigdy nie przyjdzie pani gospodarka* zamiast gospodyni no bo jak jest gospodarstwo to musi być pani gospodarka.

Mama do Pawła wchodząc do kempingu: *Czuć tu zapach kuchni* a Paweł: *to jest zapach miety , bo ona jest czujna.*

W Krasiejowie w muzeum Dinozaurów

Mama rozbierała Pawła a w majtkach jego była podpaska. Mama go pyta:*Po co włożyłeś tą podpaskę do majtek?* Paweł natomiast: *bo Ola nosi to ja też mogę nosić.*

W Czarnocinie u wujka Tomka jet postawiony olbrzymi basen w ogrodzie. Paweł mówi do mnie: *Dziadziuś mam wielka ochotę wykąpać się w basenie.*

Odpowiadam *nie bo jest zimna woda i się przeziębisz.*Paweł: *Proszę cię daj mi szansę* ja natomiast:*nie dam ci szansy mimo wszystko.*
Paweł patrzy na obrazek i mówi:*popatrz jakie ona ma śmiechowe oczy.*
Na nieco ciemny kąt w naszym mieszkaniu Paweł stwierdził: *popatrz tam nie dochodzi zasięg światła i te małe lampki też nie mają zasięgu.*
Dostał od Mikołaj zabawki uzywane i mówi: *ten łoki toki dobrze odbiera fale, ale trzeba mieć zawsze dobr baterie.*
Do mnie mówi w przypływie miłości: *nawet gdybym miał umrzeć, to i tak ciebie kocham. Kocham też cały świat i ludzi, których zalała woda i nielucdzi czyli zwierzęta.*
Niesie do mnie zabawki , które dostał od Mikołaja kuzyna. Ja do niego: *Zostaw te zabawki, śmieci* a on do mnie: *Dziadziuś dla ciebie ważne jest piwo a dla mnie te zabawki.* Pyta się :*Dziadziuś czy ważne jest dla ciebie piwo?* Odpowiadam że tak , a on:*widzisz dla ciebie ważne jest piwo , a dla mnie zabawki i koniec kropka.*
Odwiedziłem kiedyś Pawła w jego domu i podsunąłem mu poduszkę do spania a on do mnie: *nie podsuwaj mi tej poduszki bo jest drapna.*czyli drapiąca, ostra.

Paweł ma 5 lat i cztery miesiące

Ksiądz na kazaniu mówi dzieciom o pysze Paweł pyta się :*co to jest ta pycha? I odpowiada sam sobie: to chyba jak coś jest pyszne bo mówi się ale pycha.*
Pyta się :*Dziadzius a co to jest grzech i przebaczenie?* Odpowiadam mu: *grzech jest wtedy, gdy nie słucha się mamusi a przebaczenie jeżeli przeprosisz kogoś , kogo obraziłeś lub nie słuchałeś.* Paweł: *a tatusia też?* Mówi mi kiedyś: *mój tatuś ma zlote ręce a ty tylko srebrne.*
Pada deszcz a Paweł do Tatusia prowadzącego samochód: *teraz musisz te szyby wycieraczkować , bo pada deszcz.* Po jeździe ze mną na łódce pirackiej w Inwałdzie Paweł wraz ze mną miał zbyt wiele emocji i wrażeń, bo było chwilami groźnie a do pewnej pani powiedział: *jesteś chyba mięczaczką, bo się boisz a ja jestem odważny i dzielny*
Mowi:*te ciasteczka różnią się chyba grubością i cienkością*
Paweł miał swój pierwszy występ ze scholką w kościele i mówi do Babuni :*słyszałaś mnie , chyba mnie w ogóle nie było słuchać?* Babunia mu tłumaczy że w chórze powinna być taka zasada ,żeby nie było słychać solisty a tylko chór jakby śpiewano jednym głosem.
Paweł na spacerku zażyczył sobie tik taki ale tylko te granatowe bo są ostre i daja czadu jak je się je. Są po prostu odlotowe *Ja je uwielbiam więc musisz mi je kupić.*
Paweł dzwoni do Babuni: *Jaki ja Babuniu jestem chory, chyba będę musiał zejść z tego świata.*
Paweł dziś powiedział na pytanie moje : *a ilu aktorów było na scenie?* Paweł odpowiedział:
Chyba ich było siedemciu.
Po odwiedzinach Mikołaja Paweł stwierdził: *Ale ten Mikołaj jest dobry , nie krzyczy tylko przynosi mi prezenty , tak jak ten przwdziwy Mikołaj z Mirry , który nawet biednym przynosił paczki.*

Umarła pani nauczycielka spiewu a na jej grobie postawiono na pamiątkę fortepian z marmuru i dla Pawła była to wielka atrakcja i prosił mnie abym mu zrobił zdjęcie jak gra tak na niby.

Paweł pierwszy raz zagrał nam , zawstydzając Olę, na flażolecie kolędę Mizerna Cicha a na *pytanie jaką kolędę teraz zagrałeś?* Odpowiedział: *chyba mizerna licha stajenka cicha,* po prostu słowa przestawił drobnostka. *trzy mikołaje i dziadkowie*

Na drugi dzień bolało go ucho a ja wsadziłem mu watkę do ucha z Mentoklarem mówi do mnie: *Dziadziuś jak mi ta watka wpadnie do ciała to co będzie?*

Z Pawłem chodzę na saneczki i podziwiam go że sobie tak dobrze radzi na stoku. Mówię do niego *podnieś nogi aby dalej zjechać i aby nie hamowaly.* Paweł mówi: *przecież zawsze mam je uniesięte.*

Mówię do Pawła tuż po świętach: *Paweł jutro znów pójdziesz do Przedszkola* on odpowiada *nie chcę już chodzić do Przedszkola* pytam dlaczego? *Czyżby panie były niedobre?* On: *Panie są bardzo dobre i kochane ale dzieci to już nie.*

Mówię do niego:*olej ich totalnie* a on: *co to znaczy , czy ja je mam oblać olejem?* Ja:*nie tylko nie zwracaj na nich uwagi* a on:*ale ja się codziennie muszę z nimi bawić i wtedy mnie biją.*

Paweł śmieszy swymi powiedzeniami:

Opowiada mi: *Patyczaki żyją i dobrze się czują w takiej klatce oszybionej.*
Będąc na spacerze , kiedy zima się kończyła Paweł zauważył: *Zima wnet przeminie, śnieg znika a wszystkie drzewa prawie są już suchościowe.*

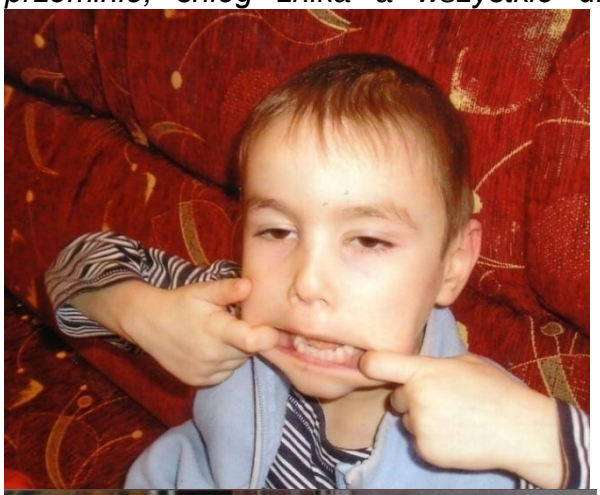

Paweł raperem
Na przyjeciu dał popis tańca break dens lub rapu, tańczył na głowie i niestety uderzył się brodą o podłogę i w rezultacie czego z ust mu popłynęła krew. Zapytany *: gdzie nauczyłeś się tego szalonego tańca?* Odpowiedział : *w Chorwacji*
Zmęczony położył się spać a na drugi dzień powiedział do mnie: *tak zaleźałem że zapomniałem przyjść do ciebie.*
Po tym morderczym tańcu powiedział:*jaki jestem zmęczony po tych tańcach , ale mnie jeszcze ponosi do tańca.*
Odmawiał pacierz jak zwykle codziennie i mówi zamiast i nie wódź nas na pokuszenie, *i nie obudź nas na pokuszenie.* Jak zrozumiał tak tez powiedział ale i tak szczera modlitwa dziecka idzie wprost do nieba i o to chodzi tak mawiała mi zawsze moja Śp. Mama.
Będąc u nas powiedział: *Jest u was ciepło aż do zdechnięcia.*
Pytany jakie prezenty otrzymał od Mikołaja: odpowiedział: *przyniósł mi tyle prezentów że nie da się tego opisać.*
Mówi Babunia do Pawła: *skończ wreszcie z tym telewizorem* a on: *co z tego , kiedy mnie dziadek namusza.*
Z klasą Iwonki Paweł był w Teatrze w Gliwicach na Pinokio. Po spektaklu Pinokio podchodził do dzieci i je pozdrawiał Do Pawła też podszedł a Paweł szczęśliwy mówi do mamy:*Mamo on miał ręke jak prawdziwy człowiek.*

Bawiliśmy się przyklejając na czoło plastelinę a Paweł do mnie: *muszę ci przykleić , aby ci się przykleiło do syta.*
Będąc u nas spał ale wpierw : *musisz zjeść obiadek inaczej nici.* A on do nas: *Muszę teraz zjeść , aby przypadkiem głód mnie nie obudził.*
Szukając bajek w swoim biurku Paweł trafił na płytkę z bajkami, której dawno nie miał w ręku i mówi: *Trafiła mi się bajka z mojego dzieciństwa* a ma dopiero 5 lat.
Ostatnio stwierdził ,że jał sztuczną zupkę, i nawet mu ona smakowała. Pytam *dlaczego musiałeś jeść szuczną zupkę?* A on: *bo ta prawdziwa mamie się zepsuła.*
Z okazji Walentynek Pweł z Babunią udali się do pizzerii na pizzę .Babcia do niego :*Paweł ale warunek jeden że zjesz ją całą*Paweł do niej *o nie Babuniu na taką dużą pizzę mnie nie nakusisz*
Bawiliśmy się u Pawła w różne gry a Paweł do nas: *w tej grze jest taka zasada a mianowicie: najpierw pomyśl a potem zrób.*
Ogląda bajkę jak zwykle w TV Mini Mini , w której był dziwny tygrys, który nie jadł mięsa. A Paweł mówi: *ten tygrys jest chyba liściżernym lub owocożernym.*
Paweł czesał Babunię na jej życzenie wpierw grzebieniem a potem zapytał:*Babuniu a czy teraz mogę cię uczesać twoja lokarką?* Zamiast lokówką.
Oglądał wraz ze mną mecz siatkówki oczywiście jego ulubionej Zaksy z Asecco Resovią i kiedy parę razy Jarosz nie odbil piłki nie wytrzymał i krzyknął: *Jarosz nie rób mi takich brzydkich chwytów , błagam cię!*
W czasie choroby wraz z Pawłem malowaliśmy obrazy a Paweł mówi: *muszę teraz ten pedzelek ożywić* czyli namoczyć w wodzie.
Szukał pilota, ponieważ telewizor trzeba było wyłączyć , gdyż przy jedzeniu nie można go oglądać. Mówi do Babuni:*czy ty czasemnie pożarłaś tego pilota, powiedz gdzie go wcięłaś?*
Babunia mówi do Pawła: *co tam było w tym programie*? A Paweł:*było, było ale się zmylo.*
Wręczając Babuni list ze skrzynki Paweł mówi: *niestrety zła wiadomość jest bo mam list z Banku . Dlaczego* pyta Babunia. *Bo to na pewno wiadomość o podwyżce* odpowiada Paweł.
Grając z Babunią pionkami Paweł rzucając kostke mówi: *ja chyba mam alergię na te pionki.*
Pytamy Pawła :*czy ty masz Paweł jakąś swoja ukochaną dziewczynę?* A on odpowiada: *oczywiście i nazywa się Joasia i Paulinka , ale one mieszkają daleko bo w Siedlcach.*
Pytamy tez Mikołaja jego kuzyna o to samo, Miki odpowiada że nie ma czasu, natomiast Paweł nie wytrzymuje i mówi: *Miki na ciebie jeszcze nie ma czasu.*
Z wielkim wysiłkiem udało mu się coś zrobić więc stwierdził:*meczenie jednak coś daje.*
Mówi do mnie: *Popatrz dziadziuś jego noga jest jeszcze nie obciona.* Zamiast nie obcieta.
Nie wiem dokładnie co Paweł wziął do ręki ale powiedział: *wziąłem teraz do ręki ten testowacz.*
Mówię do Pawła: *Dziś Adam Małysz oddał swój ostatni skok na skoczni mamuciej w Planicy.*
a Paweł bez namysłu: *a komu?*

LEAGUE
LEAGUE

Paweł ma już 6 lat i dalej nas bawi i rozśmiesza

Wraz z Pawłem byliśmy w Koźlu karmić gołębie oraz w nowo otwartym markecie TESCO Po drodze Paweł podiwiał Odrę w Koźlu i mowi do nas: *Popatrzcie w tym miejscu Odra się rozdzieńcza* zamiast rozdziela.

Paweł był chory a ja go pytam :*Paweł jak się czujesz* a Paweł odpowiada:*masakra mam nawet antybiotyki*

W ogrodzie botanicznym w Gliwicach

Na pytanie kim chciałbys być w przyszłości , Paweł odpowiada: *paleontologiem* ja do niego:*co to jest ten paleontolog?* A Paweł: *to taki uczony, który odkopuje stare szczątki dinozaurów i dawnych ludzi*. Mówi do swojego Tatusia : *tata kup mi fajkę po co?*pyta tato *na pamiatkę starych czasów* odpowiada Paweł.

Mówi do mnie :*popatrz brakuje mi aż dwóch zębów, będę miał ich mniej do mycia.*

Byłem u spowiedzi a potem poszła Iwonka i już nie było spowiednika a Paweł do nas: *Z pewnoscia był ale w innym pensjonacie* zamiast konfesjonale.

Paweł kiedyś powiedział: *popatrz ten kosz* wskazując kosz na śmieci, *jest nawer obrotny* zamiast obrotowy.

Czekalismy na moją pania księgową z działek a Paweł zniecierpliwiony mówi do mnie: *kiedy wreszcie przyjdzie ta twoja książkowa?*

Byliśmy z Pawłem na Orliku i byłem zmuszony oderwać go od treningu bo nadszedł czas na kółko muzyczne w domu kultury a Pawerł zdenerwowany mówi: *czy ja zawsze muszę spełniać jej/* czyli mamy/ *zachcianki? Godziny treningu kolidują przeciez z godzinami w domu Kultury ona o tym wie.*

Babunia do Pawła: *nie jedz tych nasion z popcornu , bo ci się w brzuszku coś wyrosnie.* Paweł natomiast: *a co chyba kukurydza* odpowiada Babunia.

Klasa mamy Iwonki wraz z księdzm Tomkiem była na przedstawieniu z okazji Św. Marcina a Św. Marcin jechał niby na prawdziwym koniu pytam Pawła: czy aby ten koń nie był sztuczny a Paweł odpowiada *koń był sztuczny a mury i brama z papieru.*

Paweł powiedział oglądając jakąś starą bajeczkę:*Pamiętam ją jeszcze z dzieciństwa.*

Mikołaj na ostatnich zawodach pływackich uzyskał znów bardzo dobre wyniki. Paweł dzwonił do niego i mówi mu: *chłopie! Jakżeś to zrobił ,ze tyle razy byłeś pierwszy , ty chyba miałeś wentylator zabudowany w majtkach że tak szybko zasuwałeś.*
Chwalił się także wujkowi że na wadze pokazała się ostatnio dwójka to znaczy że uzyskał 20 kg wagi. Niestety po kontroli okazało się że to było kłamstwo , bo w kieszeniach naładował mnóstwo cukierków i ciastek a w ręku miał bytelkę z wodą.
Każdy z nas chciał zabrac Pawła do domu,, bo ostatnio jest grzeczny i wesoły.
A Paweł :*można się przy was wykonczyć to do kogo wreszcie mam iść?*
Babcia do niego: *Ile razy ja do ciebie muszę gadać?* i powtórzyła to jeszcz dwa razy a Paweł:*a teraz specjalnie powiedziałaś dwa razy aby było więcej.*
Paweł do Babci: *ile razy ja u ciebie jestem to zawsze muszę zwariować? I nie musisz ze mnie robić wariata.*
Miał bowiem ubrać piżamę pod spodnie , bo nie zabrał rajstop a było zimno.
Paweł wyjeżdżając z rodzicami na narty w góry miał wątpliwości czy da sobie radę i mowi do Babuni: *chyba będę musial skorzystać z trenera na pierwszy zjazd , bo chyba nie zjadę samodzielnie z góry na nartach. Wszystko już zapomniałem.*
Mówie do Pawła: *Twój kuzyn Bartek ma dzisiaj chrzciny* a Paweł pyta:*to co on od dzisiaj nie będzie miał grzechu pierworodnego?*
Zabierz te cukierki , ale uważaj żeby ci nie wypadły na lodowisku mówię do Pawła , bo akurat wybierał się na Orlika. *Nie mogę do tej prawej , bo ona jest wylotna.* Odpowiedział Paweł.
Z rodzicami był w górach na nartach i chwalił się że ani razu się nie wyglebował.
Pyta mnie:*Dziadzius czy czas może też umrzeć?*
Ogląda zdjęcia w albumie i mówi: *popatrz na zdjęciach chwile wracają.*
Kiedy zjeżdżałem z góry na nartach na dzidę to jeden narciarz z całego pędu przejechał mi przez moje narty i śmignął mi przed samym nosem.
Sąsiadka powiedziała kiedyś do nas:*Idzie zima i znów się zaściele.*
Paweł był u nas a przed spaniem mył zęby i mówi: *zęby się myje tak długo że można by w tym czasie wyśpiewać trzykrotnie „Wlazł kotek na płotek itd…*
Mówię do Pawła wracając z kościoła: *Dziś jest święto Ofiarowania Pańskiego to znaczy ze jest pamiątka kiedy rodzice ofiarowali małego Jezusa Bogu w świątyni jerozolimskiej.*
Paweł natomiat: *to co jest dwóch Bogów? I którego mam słuchać? Może tego diabolicznego?*
Paweł mówi: *Boli mnie w kostce, może ja mam krzywo stopie?*
Do pani z Przedszkola mówię że Mikołaj dobrze pływa, wygrywa , bo ma żyłę do wygrywania. a Paweł: *ja też mam żyłę i to niejedną* i pokazuje na szyi swoje żyły. *Więc też jetem dobry no nie? I potem dodał mam je nawet już od dzieciństwa.*
Pytam Pawła:*czy obiecałeś paniom w Przedszkolu że będziesz na imprezie grzeczny?* Paweł odpowiada: *same zobaczą.*

Jest koniec lutego 2012

Ksiądz Daniel pyta w kościel dzieci *co nam daje modlitwa?* A Paweł zgłasza się natychmiast i przez mikrofon odpowiada mądrze i logicznie że:*modlitwa jest pierwszym narzędziem , aby zniszczyć pokusę.*

Paweł skupiony w kościele

Paweł mnie pyta:*dlaczego ty Dziadziuś nie uznajesz Dnia Kobiet? Bo kiedy wszyscy składają życzenia ty jeden nie?* Odpowiadam mu pewnie: *jeżeli jest powszechne równouprawnienie,*

I rządzą światem i w Polsce feministki albo chcą rządzić to powinno tez być Święto mężczyzn a nie ma jak dotąd. Paweł natomiast odpowiada: *a właśnie że jest, bo pani w Przedszkolu wszystkim chłopcom składała życzenia a dziewczynkom nie.* Odpowiadam *chłopcom może składała ale nie mężczyznom dojrzałym , więc takiego święta nie ma. I koniec.*

Paweł mówi: *czy ty to przedsięwziujesz? Tylko tego mi nie pisz w swojej kronice*

Babunia pyta Pawła: *ile ci mam pierogów przygotować a* Paweł odpowiada: *nie dużo bo cztery pierogi na talerzu to dla mnie wyczyn.*

Ogląda zdjęcia w albumie i mówi:*tej Magdy nie lubię , bo ona jest taka upierdliwa.*

Paweł ciągle się waży aby osiągnąć zaklęte dwadzieścia kilkogramów Powiedział:*muszę się w końcu zważyć, czy już wreszcie dotyłem do 20 tki?*

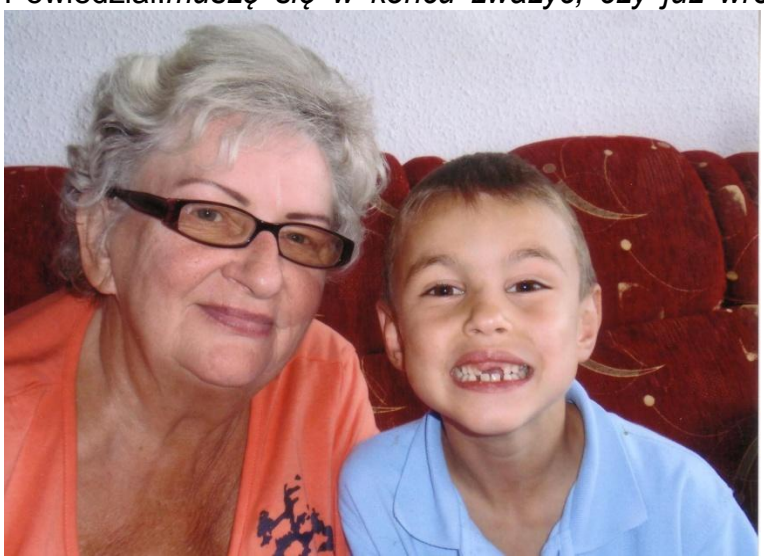

Paweł chwali się swoimi ubytkami w uzębieniu

Rozmawialiśmy z Pawłem o pochówku i śmierci i wtedy powiedział: *ja nie chcę być na cmentarzu na ścianie, ponieważ tam się nie da zmartwychwstać.*

Prosi mamę idąc przed spaniem do wanny:*Pozwól mi mamo abym się w wannie nieco pobawił, bo miałem dzisiaj ciężki dzień.*

Paweł do wujka Tomka mówi: *wujku ty mnie ciągle aferujesz* cokolwiek by to miało znaczyć jest śmieszne.
Albo mówi:*czy w tym domu trzeba tylko jeść , wolę osobiscie post, bo nie muszę jeść.*
Tata do Pawła: *łykaj chłopie , łykaj bo cię noc zastanie. A* Paweł: *Łykanie tato to moja najgorsza rzecz.*
Paweł ma już 7 lat 14. 04. 2012
Wraz z Pawłem wybraliśmy się na zakupy po nowy komplet wypoczynkowy. Zwiedziliśmy dość dużo sklepów i byliśmy już zmęczeni aż wreszcie Paweł powiedział: *Czy wy wiecie co za godzinęmoże się ze mną stać? I dodał Żyć mi nie dajecie przez te meble. Chyba mnie dzisiaj zamęczycie na śmierć.*
Paweł upadł i stwierdził że go bardzo bolą pośladki te na pupie.
Dzwoni do Babuni:*czy Dziadziuś może mi przynieś pereułkę? Ta zrobioną na irokeza którą mi dzisiaj kupiłaś?* Nie wiedziałem o co chodzi czy o perełkę czy o perukę.
Paweł był u nas a ja zrobiłem mu herbatkę. Mówi:*Pyszną mi Dziadziuś zrobiłeś herbatkę , po prostu rzuca na kolana.*
Z Pawłem i Iwonką byliśmy w Opolskim ZOO. W pociągu wszedł do świeżo co umytego
przedziału i stwierdził: *pachnie higieną*

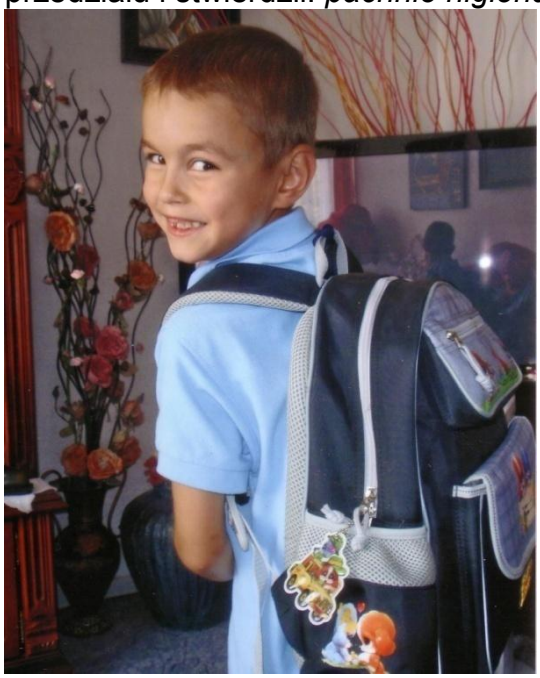

Paweł przechodząc kiedyś z Babunią przez centrum Kędzierzyna zdziwił się i stwierdził:*nie ma już sławnego drzewa śmierci.* Było to stare drzewo chyba lipa na ktorej wieszano nekrologi.
Gdzie teraz będą wieszać eszystkie klepsydry?
Szedłem kiedyś z Pawłem do chorych z Panem Jezusem a w bursie miałem komunikanty dla nich. W pewnej chwili Paweł do mnie po cichu :*a ile masz tam jeszcze baranków?* Skojarzył sobie hostie z babrankiem bo mówi się przed Komunią Św. *Oto Baranek Boży* pokazując do góry hostię

Rok 2013 a nasz Paweł będzie miał już 8 lat

Szczęśliwa rodzinka Babunia zwraca mu uwagę: *cieszę się z twoich odwiedzin* a Paweł odpowiada:*cała przyjemność po mojej stronie.*
Paweł odrabia z Babunią lekcje a Babunia go pyta:*który z przemiotów jest twoim ulubionym?*
Paweł: *mój ulubiony język to matma.* Taki niefortunny lapsus ale smieszny.
Ostatnio śmieszy Pawła dziadek Jurek ma on już grubo ponad 80 lat i dlatego trapi go niestety skleroza. Ostatnio odwiedził go Paweł i mówi: *cześć dziadek!* A on odpowiada :*ano dobrze, dobrze!*
Kiedyś pyta dziadka:*Justyna już biegła?* A dziadek:*jadłem , jadłem.*
Paweł jedzie wraz z tata samochodem i używają GPS . W pewnej chwili Paweł mówi do taty: *Tato choć zrobimy ja w konia!* Czyli spikerkę z GPS, która akurat mówi: *po 100 metrach skręć w prawo.* Tato usłuchal go i skrecił w lewo. Po chwili dopiero spikerka skorygowala trasę i zmieniła kierunek. A on:*miała ale problem bo zamikła ale i tak zrobiliśmy ja w konia.*

Urodziny Pawła i wybór nowego papieża Franciszka
Paweł jest coraz mądrzejszy ale nadal śmieszy i nas bawi. Wtrącił się do rozmowy starszych , kiedy to oni rozmawiali o kupnie kamery: mówi:*co to znaczy że kamera jest droga i dobra? Stawiam pytanie a Paweł: bo z pewnością ma jakieś wygodzenia.*
Nie pamiętam o kogo Pawłowi chodziło ale ZAKSA przegrała finał w Rosji i wtedy powiedział:
Ja ich wszystkich znienawidziłem
Oglądalismy razem :Grę o milion" Był nia zafascynowany i oświadczył: *gdybym wygrał milion to połowę rozdałbym ubogim albo oddał do Przedszkola dla biednych dzieci.*Zaskoczył mnie tą śmiałą i dojrzałą decyzją.

W urodziny Pawła pokaz mody letniej i wczasowej

Wakacje roku 2013

Wraz z Mikołajem i Pawłem uatrakcyjnialiśmy sobie czas w różny sposób. Tam gdzie woda to my. Na Dębową, do Zdzieszowic , na Azoty no i na krytą Pływalnię. Na Dębowej Paweł uwielbiał się bawić w piasku i w wodzie. Mówię do Pawła: *Czy musisz się tak taplać w tej bryji i brudnym piasku*? Paweł: *Nic tak w życiu nie lubię, jak kopać dziury*.
Założył pływackie okulary, a kiedy je zdjął oświadczył: *wreszcie widzę świat w normalnych barwach.*
Moje okulary mówi Paweł *były z górnej półki , a potem ze średniej je wyciągnęła, kiedy je kupowano , ale i tak są z Areny.*
Babunia do Pawła w Mac Do naldzie: *Nie gadaj przy jedzeniu, bo będziesz miał głupią żonę.* Pytam się więc *A jaka jest ta głupia żona?* Paweł bez namysłu odpowiada: *ona jest po prostu w moim stylu.*
Bawimy się z Pawłem w wodzie. Paweł jest w swoim żywiole, robi co mu się podoba za wyjątkiem jedzenia i picia. Paweł wymyślił zabawę i nazwał ją *Rzuć i łap!* Rzucałem mu piłkę jak na bramkę a on ją łapał rzucając się. Mówię do niego: *Musisz postarać się aby ja zgasić.* Po wielokrotnym nieudanym zgaszeniu mówi do mnie: *Nie udało mi się się bo potem piłka się jeszcze dopaliła.*
Paweł opowiada: *U mnie na podwórku są fajni koledzy, z którymi się ciekawie bawimy.Jest czadowo, bo każdy z nas ma swój świat znajomy.*

Jedziemy w nieklimatyzowanym aucie i jest nam duszno.Otwieramy okna a ja mówię do Pawła: *nie otwieraj okna od twojej strony bo cię zawieje.* Paweł do mnie: *ja muszę, bo przecież każdy z nas ma różne stopnie wentylacji.*
Po pobycie nad wodą głód nam zaglądał do wnętrza , natomiast Paweł oświadczył: *jestem głodny ale tylko na kebaba,* ponieważ widział w pobliżu bar z kebabem.
Paweł do Babuni:
Nie mów mi tyle razy , bo potem powiesz,,że mówiłaś mi sto razy.
Na terenie Ostrzeszowa i okolicy najbardziej popularnym i znanym Zakładem Fotograficznym jest Foto Studio Grażyna Nelec i dlatego kierowcy posiadający w aucie SB radio przyzwyczaili się ostrzegając swoich kolegów kierowców o stojącym na trasie patrolu drogówki „ *uważajcie na Poznańskiej stoi Nelecowa*" i to hasło funkcjonuje doskonale i jest skuteczne.
Krupowie remontując u siebie łazienkę, penetrowali markety, aby wybrać najlepsze i najtańsze urządzenia wyposażenia łazienek. Wybrali się więc do OBI i poprosili o wskazanie ubikacji. Pani z grzecznością prowadzi ich do piwnic na zplecze obiektu. Po drodze Iwonka pyta o podwieszoną ubikację , spłuczkę i inne szczegóły tego urządzenia a pani cierpliwie odpowiada na pytanie i dalej prowadzi ich do piwnic. Kiedy dotarli na miejsce , ze zdziwieniem Iwonka stwierdziła ,że chodziło o kupno ubikacji, a nie skorzystania z niej. Małe niedomówienie i brak porozumienia .Było zabawnie i śmiesznie.

Wakacje 2014

Paweł po raz pierwszy w życiu udaje się na Kolonie Letnie do Łaz nad morze. Opiekunką ale nie jego grupy będzie nasza Ola jego siostra.
Babunia mówi do niego: *I znów Cię nie będzie i będziemy tęsknili za Tobą.*
Paweł odpowiada:
Nie martwcie się od czego są esemesy i komórki
Napisz do nas list mówi Babunia , natomiast Paweł: *z tym będą trudności, ponieważ to jest niemodne a my nie jesteśmy no wiesz tacy staropolscy, więc listu od nas nie oczekuj.*
Kiedy na pożegnanie z rodzicami był nieco rozkojarzony i zdenerwowany, ale w pewnym momencie zwilgotniały mu oczy , ale nie płakał.

Wakacje 2015

Paweł wraz z Olą udaje się na kolonie letnie do Pogorzelicy. Ola oczywiście w roli wychowawcy a Paweł do swojej grupy. Śpi na Sali z trójką kolegów i jest mu dobrze. Sala nie powala i nie robi szału, po prostu jest wyglądem z lat 90 tych.
Wraz z rodzicami Paweł wcześniej przebywał w Grecji na wyspie Krecie. Pełne słońce i błękit morza zniewalał całą rodzinkę Krupów.
Zanim wyjechali Paweł był chory na obustronne zapalenie płuc i brał antybiotyki.
Mówi do nas dziadków: *piłem kiedyś oranżadę z Waszych lat taką z butelki kaucjowatej.*
Paweł jest bardzo szczupły, ponieważ mało je. Ostatnio często się waży a dziś mówi do Babci:
Muszę się dzisiaj po obiedzie zważyć na waszej wadze, bo ja się teraz przygrubiam.
Zmęczony trudami nauki w szkole przyszedł do Babci i mówi"*Muszę sobie teraz nieco odpocząc i się odmóżdżyć, cokowiek miało by to znaczyć.*
Do szkoły natomiast chodzi aby się *podmóżdżyć.*

Babcia pyta Pawła jak spędza z Rodzicami czas w wekendy na przykład w górach?
Paweł odpowiada:*Na wekendy w górach w pokoju rodzice sprzątają i przygotowują posiłki,a ja jestem wówczas Dyrektorem, bo się lansuję.*
Ostatnio jeździ do Stadniny Koni i się relaksuje jazdą w siodle. Na początku konie były na uwięzi a teraz już sam sobie radzi. Początkowo jeździł na ślepym Lorencu, bo był bardzo spokojny.
Konie mają swoje imiona:
Najbardziej narowistym jest Fajf,potem Magnat jego ulubiony, Dyzio,Dioda, i Karmelka kucyk.

Rok 2016

Paweł do księdza Marcina,który uczy go religii w szkole: „Czy będziemy dzisiaj mieli religię? Ksiądz :"a dlaczego?" Paweł „bo my lubimy z księdzem religie."
Ksiądz" lepiej by było , żebyście byli grzeczniejsi i bardziej zdyscyplinowani"
Paweł na to:" to musiałby mieć ksiądz w klasie 26 Agatek a nie nas ato jest niemożliwe"

Paweł nosi okulary. Stojąc przed lustrem pyta sam siebie:" Czy ja jestem inteligentny w tych moich nowych okularach? Chyba tak. Przynajmniej tym sposobem zbuduję sobie inteligencję.

Paweł jest obecnie kandydatem na ministranta w naszej Parafii. Podczas adoracji przy Bożym Grobie nagle zasłabł i był zmuszony wyjść z kościoła na świeże powietrze. Ola siostra do niego:" Ty sobie Paweł na drugi raz weź ze sobą nakolanniki do klęczenia." Paweł odpowiada:" Ja nie mogę mieć nakolanników, bo ja mam u kolegów dobra reputację".

7. Najbardziej pragnął być szczęśliwy

Róża Górska

ZDZISŁAW BOROWIEC, BRAT GISLAO

postulant franciszkanów konwentualnych
Kielce 1975 – Asyż 1997

SPIS TREŚCI:

Przedmowa ks. Prałata Edwarda Skotnickiego

PROLOG - CZYLI O SPOTKANIU W STYCZNIOWĄ NIEDZIELĘ, O UŚMIECHNIĘTYM ZDZISIU, ŚWIĘTYM FRANCISZKU, PRZYPADKOWO NIEPRZYPADKOWYM OJCU MATEUSZU, CUDOWNIE NIEPRZEWIDYWALNYM I DOBRYM BOGU I NIE TYLKO!!!

KIELCE - ***tu Zdzisław się rodzi i wychowuje .***
ROZDZIAŁ I POZNAJĘ TWOJE ŻYCIE
DZIECIŃSTWO
RODZINA
SZKOŁA
PRZYJAŹNIE

ROZDZIAŁ II
POZNAJĘ TWOJE SERCE
PRAGNIENIA
PLANY
MARZENIA
Św. Franciszek z Asyżu.

ROZDZIAŁ III
POZNAJĘ TWOJEGO DUCHA
MODLITWA
POWOŁANIE
DECYZJA
ASYŻ – ASSISI – Miasto, które stało się początkiem drogi ku wieczności Zdzisława

ROZDZIAŁ IV
POZNAJĘ TWOJĄ ŚMIERĆ – NARODZINY DLA NIEBA
OKOLICZNOŚCI
ZNACZENIA
ODBICIE ŚWIĘTOŚCI

EPILOG - czyli o życiu, które się nie kończy. O wierze, która przemija, ale nie umiera. O nadziei, która wzrasta mimo cierpienia. O miłości Bożej, która tylko zostanie i która nadaje światu, człowiekowi sens i początek w Bożym świecie. I o słowach, które wypowiedziane przez Świętych zostają, trwają i prowadzą tych co ciągle jeszcze pielgrzymami są na tej ziemi. A także o tym co łączy Asyż i Kielce i o mnie słów kilka.

POSŁOWIE czyli nasze pragnienia i wiersze – br. Konrad Kempa, Kędzierzyn Koźle Ks. Edward Skotnicki, Kielce 2011

Przedmowa

Książka o Zdzisławie Borowcu, Polaku, który zginął tragicznie podczas trzęsienia ziemi w Asyżu w roku 1997, pisana jest sercem. Autorka tej pięknej i jakże wzruszającej książki Róży Górskiej pragnie czytelnika, jak sama o tym pisze. „zachwycić życiem młodego, wrażliwego, łagodnego człowieka".

Dokumentacja dotycząca Zdzisława Borowca, zebrana w pracy zbiorowej pod redakcją p. Ryszarda Żmudy, pozwala stwierdzić, że to jej pragnienie jest w pełni uzasadnione. Można rzeczywiście zachwycić się, a nawet zadziwić historią Zdzisława Borowca. Chłopiec, oddany zaraz po urodzeniu do Domu Dziecka, w którym praktyki religijne były zabronione i w którym brakowało ciepła rodzinnego, skazany był na życie bez Boga, bez wiary, bez możliwości pełnego rozwoju duchowego, a nawet fizycznego. Od wczesnego dzieciństwa dały znać o sobie objawy choroby sierocej. Był tak opóźniony w rozwoju, że mając 3 lata jeszcze nie mówił. Nie był także ochrzczony. Można by sobie wyobrazić, co mogłoby wyrosnąć z tego chłopca, gdyby nie znalazła się w porę rodzina zastępcza państwa Alfredy i Ludwika Borowców. Ci szlachetni małżonkowie wraz z dorosłą już ich córką Elżbietą stworzyli Zdzisiowi prawdziwy dom rodzinny. Początki były trudne. Nauka przychodziła mu bardzo opornie. Momentem przełomowym było wychowanie do samodzielności. Przyczyniła się do tego starsza od niego o 19 lat Elżbieta. Wymogła na nim, że musiał pod jej kierunkiem, lecz samodzielnie rozwiązywać pierwsze zadania szkolne. Uchwycił wtedy jakby bakcyl samodzielnego zdobywania wiedzy. Wkrótce stał się z najlepszych uczniów. Zdobywał nawet stopnie celujące. Nigdy tez nie zaniedbywał swoich obowiązków religijnych. Śpiewał w chórze męskim przy kościele Garnizonowym. Uczęszczał regularnie na Msze św. we własnej parafii pod wezwaniem „Niepokalanego Serca NMP" w Kielcach. Chciał być wierny zasadom chrześcijańskiej wiary w swoim życiu i postępowaniu.

Książka Róży Górskiej jest godna polecenia dla wszystkich. W sposób szczególny jednak dla dzisiejszej młodzieży, jakże często zagubionej w atmosferze medialnej propagandy antykościelnej i antychrześcijańskiej. Zdzisław Borowiec może być dla tej młodzieży wspaniałym wzorem. Przygotowany świetnie przez przybranych rodziców do tego, aby mógł sobie w życiu dobrze radzić, szukał czegoś więcej. Miał mocny charakter, siłę woli w dążeniu do celu, a nade wszystko mocny kręgosłup wiary i miłości Bożej. Żywa wiara skłoniła go do szukania właściwej drogi życia. Opatrzność Boża sprawiła, że spotkał o. Mateusza Korczaka, który w tym czasie remontował odzyskany kościół franciszkański w Chęcinach. O. Mateusz Korczak odkrył w nim powołanie do stanu duchownego. Zdzisław zdecydowanie wybrał Asyż. Po ludzku sądząc okazało się to dla niego tragiczne. W rzeczywistości była to dla niego skrócona droga do nieba. Wstąpienie do nowicjatu potraktował bardzo poważnie. Wyraził to w słowach: „ ja tu przybyłem, aby zostać świętym"! Nie mógł przewidzieć, że stanie się to tak szybko

PROLOG

O SPOTKANIU W STYCZNIOWĄ NIEDZIELĘ, O UŚMIECHNIĘTYM ZDZISIU, ŚWIĘTYM FRANCISZKU, PRZYPADKOWO NIEPRZYPADKOWYM OJCU MATEUSZU, CUDOWNIE NIEPRZEWIDYWALNYM I DOBRYM BOGU, I NIE TYLKO!

Dwudziestego czwartego stycznia 2010 roku poznałam historię Zdzisia. Popatrzył na mnie delikatnie i łagodnie z tego swojego zdjęcia. Uśmiechał się promiennie, jego dobre, miłe spojrzenie przyciągnęło moją uwagę. Tak Zdzisiu, dziś bylibyśmy rówieśnikami, miałbyś 40 lat, ja mam 41. Kiedy wyjeżdżałeś do Perugii, ja byłam na piątym roku studiów teologicznych. W roku Twojej śmierci smutnej i bolesnej dla wielu, którzy Cię znali i kochali też byłam w Asyżu Ojciec oprowadzający nie wpuścił nas do Bazyliki, gdyż była jeszcze zamknięta dla zwiedzających od czasu tego trzęsienia ziemi, które Tobie Zdzisiu odebrało ziemskie chwile, które mogłeś jeszcze z radością przeżywać. Zasmuciłam się wtedy słysząc o Twojej śmierci.

Wróciłam bezpiecznie do Polski, do swoich spraw smutnych i radosnych. Wyszłam za mąż, urodziłam syna Maksymiliana.

Tego zimowego dnia powiedział mi o Tobie nie kto inny tylko Twój przyjaciel, franciszkanin, ojciec Mateusz Korczak. Opowiadał tak pięknie, jak tylko potrafi, on pisarz i doktor nauk humanistycznych. Poprosił ”Pani Agnieszko, niech pani napisze o Zdzisławie Borowcu, postulancie franciszkańskim jak matka, której jemu tak brakowało.

Już wiedziałam, że się zgodzę. Zapragnęłam Cię poznać Zdzisiu . Twoje życie, które opromienione zostało blaskiem świętości. Ojciec Mateusz nie wiedział i nie mógł wiedzieć, że ja doświadczyłam w życiu wiele cierpienia w dzieciństwie. Że jestem najmłodszym dzieckiem wychowanym w rodzinie z problemem alkoholowym. Że zmagam się z syndromem Dorosłych Dzieci Alkoholików. Może dlatego właśnie ta moja „nadzwyczajna” wrażliwość pociągnęła mnie, że zainteresowałam oraz przejęłam się historią życia zupełnie nieznanego mi człowieka, którego cierpienie stało się mi bliskie, a przez to i ta moja książka będzie niejako moim „rozprawieniem się z „demonami” przeszłości, by nareszcie zacząć żyć.

Chcę więc pójść Zdzisiu twoimi śladami, przejść Twoją drogę, zachwycić się i cierpieć razem z Tobą przeżywając wydarzenia Twojego życia, cierpienie, którego doświadczyłeś, odrzucenie, niekochanie i szukanie miłości, siłę woli, mężne serce, z którego wypływał ten łagodny uśmiech, który urzekał wszystkich, którzy Ciebie znali i który nadal zachwyca. Nawet na fotografii. Proszę pozwól odkrywać codziennie wiarę i nadzieję, która daje siłę do przeżywania życia z Bogiem, który chce być dla nas tak bliski, czuły i dobry, prowadzi nas właściwymi dla nas ścieżkami, chce nas chronić przed atakami Złego. Zdzisiu, już się spotkałeś z Miłością przedwieczną, jedyną, wierną, całkowitą, zaufałeś Jezusowi Chrystusowi i jesteś już z Nim na wieki. Wspieraj Zdzisiu mnie, pomóż każdemu, kto będzie dzięki tym słowom poznawał Twoją drogę do świętości, by zgłębiwszy ją móc czerpać za Twoją przyczyną moc, której wiesz, jak bardzo codziennie wszyscy potrzebujmy i pragniemy. Bądź naszym Patronem Zdzisiu, by ci, którzy ciebie spotkają na swojej drodze życia poznali Twoją nadzieję, mieli odwagę, niewinność i miłość, delikatność zrodzoną z braku czułości, radość zrodzoną z twoich łez. Nasz dobry Pan dał Ci ludzi, którzy starali się najpiękniej jak potrafili zwrócić, dać ci to, czego pragnęło twoje serce ,ale serce człowieka tak naprawdę może wypełnić tylko Boża miłość i obecność i Ty ją znalazłeś.

Proś dla nas o wiarę, która jest darem, jest łaską dla wszystkich i każdego z nas.
Przedstawiam historię życia kieleckiego młodzieńca, którą się zachwyciłam i zapragnęłam utrwalić w tej książce. Jest to opowieść o Gislao, Zdzisiu Borowcu, postulancie zakonu franciszkańskiego który żył tylko 22 lata. Przynosiły mu one cierpienie, odrzucenie, ból, trudności. On jednak nie był przygnębiony ani zrozpaczony, dążył do szczęścia, wiedział gdzie i u kogo go szukać i znaleźć.
Jest to historia młodego, wrażliwego, łagodnego człowieka, który odrzucony przez najbliższych nie złorzeczył, odtrącony przez dziewczynę nie znienawidził, który doświadczył braku miłości i nie miał serca zimnego, jak głaz, bo jego serce wypełniła miłość i łagodność. Bóg postawił na dalszej drodze jego życia mądrych i dobrych przybranych rodziców, nauczycieli, kapłanów, przyjaciół, ludzi, którzy pokazywali mu, jak można kochać i pomagać, którzy dali mu swoje serce, siły i czas.
Nie pragnął szczęścia łatwego choć takie miał na wyciągnięcie ręki. Mógł się upijać z kolegami, a później bluźnić i złorzeczyć ludziom i Bogu. Gdyby chciał to ze swoją dziewczyną dałby się porwać zmysłom i korzystałby do woli z przyjemności ciała. Próbowałby odurzać się narkotykami, by znieczulic cierpienie, którego przecież doświadczył. Iluż młodych ludzi w tym widzi rozwiązanie swoich problemów i uleczenie swoich ran zadanych przez innych? Gislao jednakże szukał szczęścia prawdziwego, pełnego, którego doświadczał zjednoczony z Bogiem na modlitwie, Eucharystii, częstej spowiedzi świętej, pomocy świadczonej innym. Zdzisiu pragnął szczęścia nieprzemijającego, jego dusza czysta i łagodna spotkała je. Poczuł się spełniony na drodze, którą wybrał i powiedział „Nareszcie jestem szczęśliwy". Gdy po paru dniach spod gruzów części sklepienia Bazyliki Górnej Św. Franciszka z Asyżu wyciągnięto go już nieżyjącego na jego twarzy malował się uśmiech. Choć jego życie zakończyło się tak nagle i tragicznie to przecież nie przegrał. Umarł szczęśliwy
Wstawiaj się za nami Gislao, byśmy umieli odkrywać i cieszyć się prawdziwą radością .Bożym szczęściem, mimo trudności dnia codziennego, mimo braku miłości ludzkiej, mimo trosk i kłopotów.
Bądź patronem wszystkich pragnących, szukających drogi szczęścia,,, zranionych i dźwigających swoje cierpienie przez życie. Pokaż drogę do Tego, który chce każdego smutnego, zgnębionego, odrzuconego, zranionego obdarzyć swoją miłością, pokojem, zdrowiem, łagodnie i czule
Prowadź Gislao pozwól nam Ciebie poznać
pozwól poznać:
Twoje życie
Twoje serce
Twojego ducha
I Twoją śmierć która stała się bramą do szczęścia wiecznego, a przez Ciebie jak przez kryształ rozświetlony Bożą radością Tego, który nas wszystkich stworzył do szczęścia nieprzemijającego, nie ulotnego, ale takiego co nigdy się nie kończy i nigdy nie przemija. Wierzymy, że ty Gislao już go poznałeś i doświadczyłeś w całej pełni
Ilu z nas, ludzi młodych i starszych żyje przygniecionych brzemieniem własnego cierpienia, własnych zranień, własnych doświadczeń odrzucenia przez najbliższych, braku miłości, czułości i pieszczoty, zrozumienia.
Przygnieceni, nie potrafimy dostrzegać piękna Bożego świata, jego harmonii.

Wszystko rozgrywa się w sercu człowieka, które jeśli zostaje samo zaginie w gąszczu codziennych zmartwień, zranień, niemożności przezwyciężenia otaczającego zła, nałogów i uzależnień, ale jeśli otworzy się na Boga to choć nawet czasem samotne, nagie jest pełne prawdziwego szczęścia, które tryska i pulsuje w sercu Boga i sercach tych, którzy go odkrywają. Francesco z Asyżu odkrył już 800 lat temu to szczęście, stanął nagi przed swym ojcem i oddał się Miłości uszczęśliwiającej i uzdrawiającej i któż, jak on potrafił zachwycać się śpiewem ptaków, zapachem róży, szelestem traw. Kto tak, jak on pieścił łany zbóż, które stają się chlebem cicho i niepostrzeżenie dają się w darze miłości, a sam pozwalał rozpieszczać się promieniom słońca, obmywać czystą wodą w strumieniu, radować przebywaniem z braćmi i siostrami, które odnajdywał w każdym stworzeniu. Cieszył się spotkaniami z ludźmi, których serca były zanurzone w szczęściu przebywania z Bogiem, tak, jak w rajskim ogrodzie. Czy Francesco nie naśladował Jezusa idącego przez świat odważnie, pełnego mocy choć z łagodnością i pokorą, cichego i pełnego miłości, który nie zagasi knotka o nikłym płomieniu, nie złamie trzciny nadłamanej, który leczy wszystkie choroby i wszystkie słabości wśród ludu? Czyż nie naśladował Tego, który błogosławi ludzkiemu szczęściu w Kanie Galilejskiej i pochyla się delikatnie nad cierpiącymi, ślepymi, głuchymi, trędowatymi, którego rozciągnięto jak strunę na krzyżu, by uzdrowić nasze rany? Czy nie Jezus jest mu Przyjacielem i Mistrzem, który bierze na ręce dzieci i cieszy się nimi, i je błogosławi. I wreszcie tego niezwykłego Boga, który staje się pokarmem dla nas na życie ziemskie i szczęście wieczne?

Zdzisiu promienieje taką franciszkańską radością, podobną wrażliwością, podobnym odczuwaniem, przeżywaniem świata, smakowaniem życia bez agresji, buty, bezczelności, wydzierania światu swego za cenę czyjegoś cierpienia, nawet życia, z pogwałceniem sumienia i spokoju innych.

On też się daje cały dla innych i choć jego serce cierpi, nie wiemy nawet jak bardzo to cieszy się szklanką mleka i jego smakiem, zapachem jabłek, śliwek i czekolady.

Pragnie okazać innym zainteresowanie, współczucie, opiekę choć sam jest jej u początku swego życia pozbawiony

Całym sercem okazuje miłość przybranym rodzicom, matce i ojcu, którzy przyjęli go do siebie, choć u zarania swego życia matczyne serce nie tuliło go do siebie, a ojcowskie ręce nie ukołysały

On potrafi nawet podziękować dziewczynie, która odrzuciła jego czystą miłość

Pisze kiedyś z Asyżu Zdzisiu do swej przybranej siostry kartkę “Bądź, jak te chmurki na szczycie miasta ”, a ja dodam nie kłopocz się za bardzo troskami dnia codziennego, zaufaj Panu, Jego delikatnej miłości, oddaj się jego radości, krocz w Jego pokoju, a dotkniesz tego co nazywamy szczęściem i zachwyć się nim pozwól mu się otulić i unosić przez dni, które masz wyznaczone pod niebem.

Niezwykła to rzecz

Święta to sprawa być człowiekiem serca, człowiekiem szukającym i pragnącym szczęścia i umierać szczęśliwym.

Pisząc ta książkę oparłam się na bardzo obszernej biografii dotyczącej Zdzisława Borowca opracowanej pod redakcją dr. Ryszarda Żmudy, gdyż jak dotąd jest to jedyne opracowanie historii życia Zdzisia zawierające bogaty materiał zdjęciowy, pamiątkowy, zawiera kserokopie dyplomów, listów, świadectw, wspomnień o Zdzisiu, również artykułów prasowych. Zbierając materiały do

książki pojechałam do Kielc, spotkałam się z przybraną siostrą Zdzisława, która zresztą oprowadziła mnie po miejscach bliskich Zdzisławowi, opowiadała mi historię, którą wspólnie przeżyli, odwiedziłam grób jego rodziców śp. Alfredy i Ludwika Borowców. Spotkałam się też ze śp. ks Skotnickim, proboszczem Zdzisia, który tak bardzo mocno podkreślał jego wyjątkowość i znaczenie oraz sens pokazywania jego sylwetki współczesnym czytelnikom. Ks. Edward zdążył jeszcze napisać przedmowę do mojej książki. Bardzo mu za to dziękuję. Pojechałam również do Chęcin, pobyć w miejscu, które było tak bliskie Zdzisławowi, gdzie pracował przy remoncie franciszkańskiej świątyni, gdzie u o. Mateusza uczył się języka włoskiego. Pozwoliłam sobie na obszerne cytaty z dużej biografii, głównie z tego względu iż są one źródłem treści o życiu Zdzisława i ukazują w bardzo głęboki sposób kim był, do czego dążył, jaki był wobec innych. Ze swej strony na kanwie tych wspomnień usnułam moją „opowieść" o życiu Zdzisława o jego pragnieniach, marzeniach, duchowości, sensie jego młodej, przedwczesnej tragicznej śmierci. Pragnęłam byś drogi Czytelniku czytając te mała książeczkę przeniósł się w wyobraźni i odkrywał w swoim sercu przeżycia tego młodego, poranionego przez najbliższych człowieka, który jednak z pomocą Boga i dobrych ludzi pokonuje wiele trudności i przeszkód, by „wygrać" życie. A wygrać to przecież Jezusowe „stracić" czyli oddać Bogu. „Kto straci swoje życie na tym świecie odzyska je na życie wieczne." Moim zamiarem nie było „skopiowanie" obszernej biografii, ale jej niejako „zminiaturyzowanie" by dzięki mojej książce sięgnąć po „więcej" treści, dokumentów, wspomnień i zgłębić je dokładnie, jeśli czytelnik tego właśnie będzie chciał. Zawarłam w niej wiele własnych głębokich emocji zranionej córki, kobiety, matki, której życie również nie oszczędza doświadczeń i cierpień, ale chcę również „wygrać" swoje życie. Patrzę z nadzieją w przyszłość, za sobą chcę zostawić cierpienie, ból i łzy i podążać drogą, najpiękniejszą jaką ma zaplanowaną dla mnie dobry Bóg, by w Jego ramionach odnaleźć szczęście, którego tak pragnę ja i pragnie każdy z nas, które jest udziałem wszystkich żyjących z Bogiem już tu na ziemi i tam w niebie. Zapraszam Cię do naszej wspólnej drogi, która szedł Zdzisiu, która idę ja, idziesz ty, bo warto przyjrzeć się samemu sobie, swoim planom, marzeniom, pragnieniom. Jeśli coś pokrzyżowało twe drogi zawsze masz czas by wrócić, podjąć decyzje, które sprawią, że odnajdziesz pokój i szczęście. Czego potrzebujesz? Zdrowia?, Radości? Przebaczenia? Miłości? Wyzbycia się lęku?, Przyjaciela?, Pracy? Pieniędzy?, a może odnalezienia siebie samego, Oddaj to Bogu, zaufaj Mu, a zobaczysz przyjdzie czas na wszystko, tylko potrzebujesz pozwolić Bogu działać w swoim życiu. Dopóki żyjemy mamy szansę na zmianę, na wybaczenie, na miłość by w dniu naszej śmierci powitać Boga z uśmiechem i powiedzieć. Nareszcie!

Kielce – miasto urodzin Zdzisława Borowca

Historia Kielc liczy sobie ponad 900 lat. Dokładnej daty założenia miasta nie sposób ustalić. Jedna z legend głosi, ze Mieszko, syn Bolesława Śmiałego, błądząc po okolicznych kniejach został napadnięty przez zbójców. Książę wyszedł zwycięsko z opresji, dzięki widzeniu, w którym ukazał mu się św. Wojciech. Toteż na miejscu swojego cudownego ocalenia postawił drewniany kościół pod wezwaniem świętego. W czasie owej wyprawy miał Mieszko znaleźć "kielce", czyli kły dzika, od których późniejsza osada otrzymała swoją nazwę. Inni nazwę miasta wywodzą od Celtów - zwanych inaczej Keltami - którzy tutaj zatrzymali się podczas swojej wędrówki po Europie, zaś jeszcze inni od przekręconej nazwy "klec", oznaczającej lepiankę chłopską. Pewne jest tylko, ze juz na początku XI wieku istniały w Górach Świętokrzyskich osiedla myśliwych i bartników, którzy owoce swojej pracy wymieniali na ziarno pod zasiew w miejscowościach zwanych Targowiskiem i Tarczkiem (mały targ). Wtedy też na południowym skraju Puszczy Świętokrzyskiej powstało targowisko - miejsce wymiany produktów leśnych na płody rolne dostarczane z terenów nadnidziańskich. Właśnie funkcja targowiska zapewniła rozwój osadzie, co ma istotne znaczenie. do dzisiaj !! Okolice miasta słynęły z obfitości surowców mineralnych: rudy miedzi, ołowiu i żelaza, które zaczęto eksploatować na dużą skalę w wieku XV. Powstały wtedy huty metali i szkła, jak również manufaktury wytwarzające zbroje. W zakładach tych znajdowali zatrudnienie nie tylko przybysze z okolicznych wsi i osad, ale również fachowcy z Niemiec, Węgier, Słowacji, a nawet Włoch. Prawdziwy przełom w dziejach miasta nastąpił z chwila upaństwowienia dóbr biskupich w roku 1789. Gród, dotąd biskupi, otrzymał prawo wybierania deputowanych do Sejmu. W XVIII wieku powstał w Kielcach browar, kilka cegielni, ujeżdżalnia, szpital przy koiciele św. Leonarda szkoła średnia i seminarium duchowne.

Po trzecim rozbiorze Polski Kielce dostały się pod panowanie austriackie. W roku 1809 miasto weszło w skład Księstwa Warszawskiego, a po roku 1815 podzieliło los ziem włączonych do Królestwa Polskiego, stając się na pewien czas siedzibą województwa krakowskiego. Kolejny przełom w dziejach Kielc ma związek z działalnością Stanisława Staszica. Wielki Polak i mąż stanu zaprojektował i stworzył Staropolski Okrąg Przemysłowy z kopalniami, hutami i ciągiem zakładów przemysłowych wzdłuż rzeki Kamiennej. W roku 1816 założył Staszic w Kielcach pierwsza uczelnie techniczna w Polsce - Szkole Akademiczno-Górnicza, którą po dziesięciu latach przeniesiono do Warszawy.

Chlubą miasta są tradycje walk o wyzwolenie narodowe i społeczne, związane z insurekcją kościuszkowską, a później powstaniami: listopadowym i styczniowym. Wydarzeniem politycznym o dużym znaczeniu był spisek zawiązany przez

księdza Piotra Ściegiennego, mający na celu opanowanie Kielc przez powstańców chłopskich w 1844 roku. Po wykryciu spisku, jego organizatora zesłano na Sybir. W roku 1905 Kielce włączyły się w organizowanie strajków szkolnych, demonstracje i strajki robotnicze. W sierpniu 1914 roku miasto zostało pierwszą "stolicą" niepodległej Polski: wkroczyły tu oddziały strzelców Jozefa Piłsudskiego. Legiony Polskie opanowały miasto na trzy tygodnie a władzę w nim sprawował Jozef Piłsudski. W tym czasie do Legionów wstąpiło w Kielcach 900 mężczyzn, a 200 kobiet pracowało na rzecz polskiego wojska w służbach sanitarnych, aprowizacyjnych, kwatermistrzowskich. Piątego września 1914 roku w Kielcach odbyło się zaprzysiężenie I Pólku Piechoty Legionów Polskich. Począwszy od 1919 roku gdy po wojnie utworzono województwo kieleckie, następuje ożywienie gospodarcze miasta. Powstały wówczas m.in. zakłady "GRANAT" i zakłady spożywcze "SPOLEM". Rozwinęły się nowe dzielnice mieszkaniowe. Wybudowano stadion sportowy i okazały gmach Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego. Działały liczne towarzystwa kulturalno - oświatowe. Na kilka miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej z kieleckiego garnizonu wyruszył oddział żołnierzy, który objął służbę w placówce wojskowej na Westerplatte i bohatersko bronił jej na początku września 1939.
Od pierwszego do ostatniego dnia okupacji niemieckiej w miesicie szalał terror hitlerowski, którego ofiarami padali Polacy i Żydzi (27 tys. Żydów zamknięto w kieleckim getcie). Społeczność Kielc odpowiadała zorganizowanym oporem. W mieście działało kilkanaście podziemnych organizacji. Spośród wielu akcji partyzanckich należy wymienić zamach oddziału GL na niemiecka kawiarnie w 1943 roku i dokonany w roku 1944 zamach oddziału AK na groźnego gestapowca Franza Witka. Kielce zostały wyzwolone spod okupacji niemieckiej w styczniu 1945 roku przez żołnierzy radzieckich I Frontu Ukraińskiego.
Kielce to centrum turystyczne Gór Świętokrzyskich i malowniczego regionu Ponidzia z licznymi zabytkami architektury od XII wieku. Od kilku lat międzynarodowe kontakty Kielc są wyjątkowo bogate. Umowy o partnerstwie zostały podpisane z takimi miastami, jak: Herning (Dania), Liepaja (Łotwa), Orange (Francja), Gave (Szwecja), Gorizia (2Włochy, Flint (USA), Gotha (Niemcy)
Dzisiejsze Kielce to nowoczesne miasto łączące tradycję ze współczesnością, otwarte na kapitał krajowy i zagraniczny, współpracę gospodarczą i turystyczną, zapewniające korzystne warunki inwestycyjne i życzliwą atmosferę dla przedsięwzięć w różnych dziedzinach życia gospodarczego i kulturalnego; miasto gościnne i atrakcyjne dla każdego.[1]

ROZDZIAŁ I

POZNAJĘ TWOJE ŻYCIE

Weź moje życie, zabierz je Panie
I niech w mym sercu zapłonie Twój ogień
Moje jestestwo niech żyje dla Ciebie
Bądź moim Panem i Królem i Bogiem
(*Słowa pieśni śpiewanej podczas Mszy św. pogrzebowej Zdzisława Borowca)*

DZIECIŃSTWO

Przychodząc na świat, człowiek przynosi ze sobą swoją unikalną i bezwarunkową wartość. Każdy z nas od urodzenia jest tajemnicą, niepowtarzalną w całym biegu ludzkiej historii, stworzoną na wzór i podobieństwo Boga. Jednakże wiedzę o sobie poznajemy za pośrednictwem obrazu będącego naszym odbiciem w oczach innych ludzi. Wszystko zaczyna się w dwóch pierwszych, najważniejszych latach życia. Dziecko wkracza w świat, niczym żywe pytanie poszukujące odpowiedzi: Kim jestem?, Co jestem wart? Na czym polega Zycie? Kim powinienem być i co czynić? Informacje na te pytania nadchodzą dość wcześnie. Jeżeli dziecko otrzymuje obfitość uczuć, pieszczot, pocałunków, uśmiechu i ciepła to słyszy optymistyczne i radosne odpowiedzi na swoje pytania. Powoli przesączają się one do jego malutkiego serca i pozostają tam na zawsze. Zaczyna pojmować to, czego zrozumienia potrzebuje najbardziej: Można mnie pokochać. Nie musze być nikim innym, jak tylko sobą. Jestem wartością sama w sobie. Zalękniony 3 letni chłopczyk, nieśmiały, wystraszony, z objawami choroby sierocej mieszkający od urodzenia w domu dziecka Zdzisław Konieczny urodzony 13 czerwca 1975 roku w Kielcach. Wyciąga swoje małe rączki do przyszłej mamy, sam ją sobie wybiera. Otrzymuje nowy dom, rodziców pełnych ciepła, którzy zapewnią chłopcu opiekę, szacunek i wychowanie, a co najważniejsze napełnią to małe serduszko miłością, przyjaźnią której prawdziwi rodzice mu nie dali

Ojciec biologiczny, Stefan Konieczny przynosi niemowlę, swojego syna do domu dziecka zaraz po urodzeniu i zabraniu od matki Adeli przebywającej od roku w szpitalu psychiatrycznym, w Morawicy nie mogącej ze względu na chorobę zająć się swoim szóstym dzieckiem. Nie wiemy czy mogła go chociaż przytulić, czy czuł bicie jej serca zaraz po narodzinach, czy zdążyła mu szepnąć "*Kocham Cię".* Po urodzeniu Zdzisia jego matka przebywa tam jeszcze 11 lat, do chwili swej śmierci. Niemowlę trafia do instytucji, która rządzi się własnymi prawami, tu dziecko się karmi, ubiera, dba o jego potrzeby fizjologiczne, ale instytucja nie potrafi kochać, tam ludzie nie kołyszą w ramionach maleństwa, by zasnęło, brakuje matki, która przytula, delikatnie przystawia do piersi i maluszek karmi się wtedy mlekiem i miłością. Brakuje ojca, który ukołysze w swych męskich ramionach swego syna. Wręcz przeciwnie, nierzadko w takich instytucjach dzieci zostawia się samym sobie, zamyka w dużej ciemnej sali. Same, wylęknione, bezradne, płaczące bezskutecznie. Drzwi się zamykają , gasi się światło, pora spać. Samotne noce, bez ciepła matczynego serca i miłości. Ojciec nie mówi o narodzinach brata pozostałym dzieciom, tylko jednej, piętnastoletniej wówczas córce Jolancie, która wróciła właśnie ze szkoły rzuca z kpiną: *"Brata Ci przywiozłem, sprawdź w pokoju"* Pobiegła, ale tam żadnego dziecka nie znalazła - "Oddałem do sierocińca" - usłyszała śmiech zza pleców i już nigdy więcej o tym z ojcem nie rozmawiała.

Dowiadują się o fakcie jego istnienia w chwili kiedy ich najmłodszy brat już nie żyje. Nie poznali się za życia, ani nie spotkali, choć Zdzisiu bardzo tego pra-

gnął. Jeden z braci, gdy się o tym dowiaduje, płacze nic nie wiedział o jego istnieniu. Ich dom nie był dla nich domem. Ojciec rozwiódł się z chorą matką, ożenił z inną kobietą. Jak wspomina jedna z sióstr w rozmowie z Ojcem Mateuszem o Zdzisławie Mówi: *"Niech ksiądz im podziękuje. Tym, co go wychowali. Tu nie było domu. Zimny piec, puste garnki. Dobrze trafił"*
A oni, Ludwik i Alfreda Borowiec, pokochali swego synka, jak własne dziecko. Ileż miłości płynie w listach obojga do Zdzisia i jego do nich. Ileż ciepła i więzi. Mieli już dwoje dzieci, dorosłą już prawie córkę i drugą, która umarła niebawem po narodzinach w 1960 roku.
Zapragnęli obdarzyć miłością kolejne dziecko. Zdecydowali więc, że je adoptują. Jadą więc do jednego z kieleckich Domów Dziecka, z drżeniem serca czekają na spotkanie z dziećmi. Jeszcze nie wiedzą, że ich synek spojrzy na nich niebieskimi oczkami i wyciągnie swoje małe rączki właśnie do nich, właśnie on malutki Zdziś.

RODZINA

Mówi pewne przysłowie; *"Rodziny się nie wybiera, rodzinę się ma"* Tak, ale mały Zdziś, intuicyjnie, pewnie wybiera sobie nową rodzinę; Ludwika i Alfredę. Mama jest bibliotekarką, tata emerytowanym inżynierem
Od tej chwili będzie też miał starszą siostrę Elę i jej małego synka Grzesia, z którym praktycznie będzie się wychowywał. Będą razem chodzić do przedszkola i szkoły. Później każdy z nich wybierze swoją drogę.
Rodzina Borowców wychowa Zdzisia, troszczy się o jego potrzeby, o wykształcenie, ukierunkowanie w życiu. Jak pisze o. Mateusz Korczak, późniejszy przyjaciel i kierownik duchowy Zdzisia, da ona synowi szacunek i wymagania. Państwo Ludwik i Alfreda, ukierunkowali syna na życie w prawdziwej zdrowej religijności, oni prowadzili go do kościoła na nabożeństwa, nauczyli go się modlić, ufać Bogu, powierzać mu wszystkie sprawy. Byli ludźmi łagodnymi ale wymagającymi, Czasem ojciec, jak wspomina siostra Ela, musiał stosować bardziej zdecydowane środki wychowawcze. Uwrażliwili też swego syna na krzywdę ludzką, cierpienie, potrzebę pomocy. Jego mama i tata wcześnie podupadli na zdrowiu. Mama chorowała na cukrzycę. Zdzisiu zawsze dbał, by nie osłabła z niedocukrzenia, by miała przygotowany na czas posiłek. Ojciec przeszedł udar mózgu. Zdzisiu wyjechał na praktykę do pracy w gospodarstwie rolnym w Aschorn koło Drochtersten w Niemczech, by zapracować na lekarstwa i pomoc dla mamy i taty, bo ich sytuacja materialna była trudna. Towarzyszyli synowi we wszystkich chwilach, w nauce szkolnej i w problemach z przyswajaniem wiedzy, przełamywaniem barier i trudności, wyborem dalszej drogi życia, kolejnych szkół. Wreszcie wspierali Zdzisia, gdy zdecydował się wybrać drogę życia na służbę Bogu w zakonie franciszkańskim. Do nich Zdziś pisze takie piękne listy i opowiada o wszystkim ilekroć rozstaje się z nimi na dłużej
Gdy świat obiegła tragiczna wiadomość o trzęsieniu ziemi w Asyżu rodzice jeszcze nie przeczuwają jaką wiadomość dostaną. Dopiero oglądając program informacyjny matka widzi wystający spod gruzów but, jasny but swojego syna. Te właśnie buty pomagała mu wybierać przed wyjazdem do Włoch. Już wiedzą, że stracili go tu na ziemi. Nie będą mogli być na pogrzebie swojego Zdzisia ze względu na trudności finansowe, jak i bardzo zły stan zdrowia obydwojga. Wyrażają zgodę, by syn był pochowany na cmentarzu w Asyżu. W mieście, gdzie poczuł się nareszcie tak w pełni szczęśliwy. Rodzice wiedzą jednak, mimo bólu i żalu że nie stracili go na zawsze że przecież się spotkają, tam gdzie Zdzisiu zawsze chciał być, w miejscu pełnym miłości i ciepła, że spotkają swego syna w

niebie. Obydwoje umierają parę lat po jego śmierci. Pani Alfreda w 2003, a Pan Ludwik w 2004 roku osierocając swą jedyną żyjącą córkę i wnuka. Teraz ona czeka na spotkanie i nieustannie czuje, jak sama mówi, opiekę Zdzisia we wszystkich sprawach. Łączy się także duchowo z miłością swoich rodziców, którzy obdarzyli szczęściem miłości nie tylko swoją najbliższą rodzinę, swoje córki, ale też i Zdzisia, którego pokochali jak syna i okazywali mu te miłość do dnia jego śmierci.
A teraz przed nim nowe .nowa, jeszcze nieznana rodzina, obcy ludzie, szkoła, nowe wyzwania i trudności, nowe dni, wieczory i poranki, ale odtąd już z mamą i tatą i siostrą i wszystko się odmienia, cały świat się Zdzisiowi przeobraża. Ale w to nowe nie pójdzie już sam pójdzie z miłością okazywaną mu każdego dnia w jego rodzinie.

SZKOŁA

Zdzisław Konieczny, wychowanek Domu Dziecka, po tym trafił do nowej rodziny i rozpoczął naukę w szkole, przeżywa bardzo ważny moment w jego życiu czyli prawną adopcję. Zdzisiu przyjmuje nowe nazwisko i w wieku sześciu lat staje się pełnoprawnym członkiem rodziny Borowców. Wtedy też przyjmuje sakrament Chrztu świętego w parafii pw. Niepokalanego Serca Najświętszej Marii Panny.
Zostaje uczniem Szkoły Podstawowej nr 12 im. Bohaterów Westerplatte w Kielcach i uczęszcza do niej w latach 1982 - 1990. Jak wspomina jego siostra Elżbieta: *Nauka na początku idzie mu bardzo ciężko. Ma problemy właściwie ze wszystkim - pisaniem, czytaniem, liczeniem, rozwiązywaniem zadań. Jest mu trudno, męczy się. Wychowawczyni załamuje ręce. Mama postanawia jakoś temu zaradzić. Przenosi go do innej klasy, którą prowadzi bliska przyjaciółka i sąsiadka rodziny.* Od tej chwili nowa pani zajmuje się Zdzisiem bardzo serdecznie. Wiedza, choć z oporami zaczyna powoli padać na chłonniejszy grunt. Zdzisiu zaczyna sobie coraz lepiej radzić. Ciepło i dobroć otwierają go, pomagają mu przełamywać bariery i pewnie tyle nagromadzonych lęków, oporów i braków. W odrabianiu lekcji pomaga Zdzisiowi cały rodzinny team. Tata stara się jak może, ale jak wspomina siostra, mimo całego szacunku nie ma do tego talentu. Pomaga więc siostra i mama. I choć nauka w szkole nadal. nie idzie mu lekko, to dzięki bezinteresownej miłości mamy, i uporowi taty Zdzisiu, pomocy życzliwych osób przechodzi z klasy do klasy.
O ile codzienne zakuwanie szło Zdzisiowi trudno, o tyle przyswajanie różnych umiejętności, które go interesowały, szło mu błyskawicznie. Lubił śpiewać, a więc wygrywał konkursy na różnych imprezach szkolnych. Na szkolnych Mikołajkach zawsze zajmował pierwsze miejsca. Bardzo chciał mieć rower. I kiedy dostał go od swojego taty, wsiadł nań i od razu znakomicie na nim jeździł. Podobnie było z łyżwami. Jego polonistka, pani Kazimiera Wrona wspomina Zdzisia z tych czasów: *Był on chłopcem, który dysponował piękną barwą głosu. Jego wrażliwość pozwalała na interpretacje poezji. Często występował w akademiach, zachwycając słuchających poprawnością dykcji, umiejętnością tworzenia nastroju. Zdzisiek uczestniczył także w konkursach recytatorskich. Zdobył 3 miejsce w wojewódzkim konkursie zorganizowanym przez kielecki Wojewódzki Dom Kultury. Gdy udzielił wywiadu dla kieleckiego "Słowa Ludu" skromnie wyznał, że po prostu lubi się uczyć wierszy na pamięć i że to ja go przekonywałam, by wykorzystał swe umiejętności. Był niezwykle pracowity. Nie chodził na korepetycje, nie szukał pomocy innych. Sam wytrwale zdobywał wiedzę. W ten sposób nauczył się języka niemieckiego. Był najlepszy w klasie, pożyczał kase-*

ty i ćwiczył poprawną wymowę kolegów Nauczycielka Zdzisia wspomina dalej, że na zakończenie szkoły, przed rozdaniem świadectw dojrzałości każdemu z uczniów napisała epigramat charakteryzując osobowość, przypominając jakieś zdarzenie. Uczniowie mieli odgadnąć o kim jest mowa w tych krótkich wierszykach. Chłopcy bezbłędnie odgadywali nazwiska.
Zdzisiowi napisała tak: *" Muzy aż zamilkły, gdy on recytuje*
Głosem nas zachwyca i serca raduje."
Tak, Zdzisiu zachwycał piękną recytacją, swą wrażliwością, dojrzałością
Do Pierwszej Komunii Świętej Zdzisław Borowiec przystępuje 19 maja 1984 roku w kościele Niepokalanego Serca NMP w Kielcach.
To w tym czasie właśnie jego rodzice podupadają znacznie na zdrowiu. Ojciec ma udar mózgu co powoduje, że przechodzi na rentę. Mama od wielu lat chorująca na cukrzycę teraz od wypadku męża czuje się jeszcze gorzej i także staje się rencistką. Rodzice martwiąc się o przyszłość Zdzisia z uwagi na to, że mogą go osierocić doradzają synowi wybór takiej szkoły, która da mu szybko zawód i pozwoli na to, że poradzi sobie w życiu, gdyby ich zabrakło. Po ukończeniu szkoły podstawowej Zdzisiu kontynuuje więc naukę w Zespole Szkół Budowlanych im. Józefa Wybickiego w Kielcach. Uczy się najpierw w Zasadniczej Szkole Zawodowej - specjalność monter instalacji i urządzeń sanitarnych (1990 - 1992), następnie w Technikum Budowlanym na kierunku technika urządzeń sanitarnych o specjalności wyposażenie sanitarne budynków. (1992 - 1995),
Lata nauki były dla Zdzisia czasem wzbijania się ponad swoje trudności i rozwijania skrzydeł. Trud wkładany w naukę w szkole podstawowej zaczął przynosić efekty. Zdzisław wchłania wiedzę, a jego wysiłki są doceniane. Nauka go cieszy, osiąga sukcesy, już nie jest mu tak trudno. Pokonuje pewien etap. Zaczyna cieszyć się tym wszystkim, że nareszcie rozumie, wie i potrafi. Dlatego nie musi zdawać egzaminów wstępnych do technikum, gdyż zostaje tam wytypowany jako jeden z najzdolniejszych uczniów przez nauczycieli. Jak wspomina jego siostra:
Mój brat złapał wiatr w żagle. Zaczął czerpać z życia pełnymi garściami. Nadrabiał stracony czas i to jak. Musiał być wszędzie, robić wszystko co się tylko da. Zaczął tańczyć w Młodzieżowym Domu Kultury. Szło mu znakomicie, jednak musiał zrezygnować ze względu na stan zdrowia. Jak wariat jeździł jednak na rowerze. Fascynował się wyścigami samochodowymi na Torze Kielce w Miedzianej Górze. Śpiewał w chórze garnizonowym. Uznał też, że współczesny człowiek bez znajomości języków obcych nie jest w stanie funkcjonować w sposób należyty. W technikum uczył się niemieckiego. Postanowił opanować ten język do perfekcji. Okazało się, ze ma w tym kierunku prawdziwy talent. Nie bez znaczenia był tez jego upór i silna wola. Założył sobie, że każdego dnia będzie przyswajał sobie pięćdziesiąt nowych słówek i robił to! Jak to robił nie mam pojęcia. Wydaje się to niemożliwe, a jednak tak było. Bardzo szybko posiadł biegłą znajomość niemieckiego. Tak chciał i tak było.
W 1995 roku zostaje przyjęty na kielecką Politechnikę Świętokrzyską, jednak rezygnuje z nauki i dalszych studiów po pierwszym semestrze w 1996 roku. Właściwie nie wiadomo do końca dlaczego
Ktoś szykuje już jednak dla niego inną drogę, której kierunek nosi Zdzisiu już od dawna w swoim sercu pragnie, przeczuwa i myśli o tym w głębi serca. Potrzebuje tylko znaku, wyraźnego sygnału. I otrzymuje ten znak. Wracając pociągiem z Krakowa do Kielc spotyka o. Mateusza Korczaka, franciszkanina i to spotkanie odmieni jego życie, nakreśli dalszy kierunek jego drogi życia, która

zaprowadzi go do Świętego Franciszka, do Asyżu. Choć nikt się nie spodziewa, że tam się ona zakończy i rozpocznie się Nowa. Bóg wytycza nam szlaki nowe, które prowadzić mają nas na spotkanie z Nim, po Jego śladach, chociaż dla nas są czasem niezrozumiałe i dziwne. Mają swój sens i w naszym życiu nie ma przecież przypadków. O czym ja przekonałam się wielokrotnie. Gdy już, dotykałam dna rozpaczy przygnieciona cierpieniem życia, wspomnień z dzieciństwa, trudności nie do pokonania pojawiała się zawsze jakaś osoba, która pokazywała mi drogę lub dostrzegałam znak, który odmieniał „straszność" moich przeżyć i przychodziło rozwiązanie trudności. Jestem wdzięczna Bogu za wszystkie te „Anioły", które stawiał na mojej drodze w najbardziej odpowiednim momencie i za rozliczne znaki, które pomogły mi przetrwać i rozjaśniły niejedne czarne chmury na moim niebie.

PRZYJACIELE

Przyjaciele dodają naszemu życiu blasku i radości. To nierzadko im powierza się największe sekrety naszego serca, takie o których nie wiedzą często nawet najbliżsi nam rodzice, nauczyciele i koledzy. Umieć być przyjacielem to prawdziwa sztuka życia, a zaskarbić sobie czyjąś przyjaźń to prawdziwy wymiar ludzkiego szczęścia. Zdzisław był świadomy, ze rodzice obdarzyli go ciepłem prawdziwej przyjaźni i miłości. Był jej tak spragniony będąc dzieckiem adoptowanym. Ojciec i matka byli dla niego pierwszymi i wspaniałymi nauczycielami przyjaźni. Zdziś miał w szkole wielu kolegów i z niektórymi się przyjaźnił. Jak wspominają jego nauczyciele dał się poznać jako miły towarzysz wędrówek szkolnych i dobry kolega. Cechował go rzadki dar w naszych czasach; wrodzony takt, kultura i wrażliwość. Wychowawczyni, Grażyna Ryrak mówi o nim. *Często wracam pamięcią do Zdzisia – mojego wspaniałego ucznia i wrażliwego chłopca, dla którego zdobywanie wiedzy zawsze było przyjemnością w odkrywaniu ciekawostek naukowych. Skromny, koleżeński, bezinteresowny w udzielaniu pomocy kolegom zyskiwał sobie Zdzisław ich szczerą sympatię i podziw. Przez cały czas pobytu w szkole nie przestawał być wzorem dla społeczności klasowej zarówno pod względem zachowania, jak też szkolnych osiągnięć.* Wspomniana już wcześniej jego polonistka pisze o Zdzisiu: *Chęć niesienia pomocy szczególnie ujawniła się na wycieczce. Z klasą wybraliśmy się na wędrówkę po górach. W Piwnicznej rozpaliliśmy ognisko i to Zdzisiu był "kuchmistrzem". Roznosił kiełbaski, rano gotował wodę, parzył herbatę swoim kolegom. Szczególnie pamiętam zdarzenie z długiego marszu do Starego Sącza. Musieliśmy iść szybko, by zdążyć na pociąg. Któremuś z chłopaków rozpadły się buty. Zdzich został z nim z tyłu i jak się później okazało zszywał je, spinał agrafkami i razem dogonili grupę, i doszliśmy wszyscy na dworzec.*

Urzekały jego oczy. Mnie urzekły ot tak ze zdjęcia, kiedy je pierwszy raz zobaczyłam. Pełne ciepła i dobroci, ale i lekkiego rozmarzenia. Obejmuje spojrzeniem całego człowieka, uważnie i z ciekawością. Jego zainteresowanie było dyskretne, nie narzucał się ze swoja osobą - wspomina Maria Krawczyk.

Z zawstydzeniem przyjmował pochwały. Ale gdy chodziło o fotografię, jedną z jego pasji, chętnie pokazywał swój dorobek. Nieśmiało czekał na opinię. Jego pogoda ducha, radość, łagodność zjednuje ludzi choć nierzadko pewnie czuje się przeraźliwie samotny, niezrozumiany, kolejny raz odrzucany. Musiało tak być pewnie wtedy, gdy Eliza, jego najpierw, koleżanka, przyjaciółka, a później dziewczyna odrzuca jego pragnienie czystej miłości, obdarzenia ją przyjaźnią, opieką. Jak wspomina siostra Zdzisława: *On prostolinijny, stateczny, spokojny, dobry, niemal naiwny, łatwowierny - ona - dziewczyna iskra, fajny kumpel, ale*

“postrzelona”, wszędzie jej było pełno i nigdzie nie umiała zagrzać miejsca. Nie traktowała chyba uczuć Zdzisia poważnie. Było jej miło, że ktoś ją tak adoruje. Lubiła go i to wszystko. On zaś wszystkimi siłami próbował zdobyć jej serce. Był dla niej opiekunem, dbał o nią, starał się odgadywać jej życzenia. Był w niej zakochany. Miał jednak swoje zasady, był za czystością przedmałżeńską, był konsekwentny i wierny swemu postanowieniu wytrwania w czystości. Ona jednak, jak opisuje rozmowę z o. Mateuszem i słowa Zdzisia na ten temat Wojciech Tochman; *Chciała się żenić jak najprędzej, albo korzystać z darów miłości małżeńskiej zanim nastąpi ślub.* Zdzisiu myśli odpowiedzialnie. Nie jest gotowy, by zostać ojcem z przypadku, pospiesznie, bo wie co dzieje się później kiedy dwoje młodych ludzi nie myśląc o odpowiedzialności za nowo poczęte życie szybko angażuje się w seks, a jeśli pojawią się dzieci, to zamiast szczęścia i radości pojawia się rozpacz i tragedia. Zdzisiu nie chce mieć dzieci w taki sposób. *„Dzieci nie wolno zostawiać bez opieki, trzeba im dawać miłość non stop.”* - myśli i mówi głośno dziewiętnastoletni Zdzisław Więc lepiej nie To jego dziewczyna podejmuje ostateczną decyzję o zerwaniu znajomości Zdzisław szanuje jej decyzję. Zachowanie dziewczyny rani jednak serce Zdzisia. Młody mężczyzna kończy ten etap swego życia w niezwykle szlachetny sposób. Niewielu mężczyzn potrafi tak się zachować w obliczu odtrącenia własnych uczuć. Dziękuje jej za wszystkie chwile spędzone razem, mało dziękuje jej mamie. Nigdy jednak nie wspomina już ani o tej ani o żadnej innej dziewczynie

Tu następuje przełom. Zdzisław zaczyna dzięki temu wydarzeniu, jak sądzę odkrywać, że pragnienie miłości zaszczepione w jego sercu już od poczęcia, pogłębione na Chrzcie świętym, może wypełnić i na nie w pełni odpowiedzieć Ten, który cały jest Miłością. Stworzyciel, Ten, który z miłości wyłonił świat, każdy jego okruch, najmniejszy detal i ukształtował nasze serca, które już od pierwszego uderzenia istnieją, by kochać i być kochanym.

W ciszy swego serca pragnie i tęskni, chce odpowiedzieć miłością na Miłość, która nie jest kochana Jakiż Bóg jest niezwykły i jak delikatny a Jego miłość wierna i cierpliwa. Bóg ma czas znajduje właściwy moment na wszystkie sprawy pod niebem. Niczego na siłę nie przyspiesza. Pozwala człowiekowi samemu odkryć swe pragnienia, oczekiwania i pomaga na nie odpowiedzieć. Czyni to za pośrednictwem ludzi oddanych, którzy służąc Mu, potrafią odczytywać Boże znaki, Boże chwile. Takich ludzi wiele razy spotkałam w swoim życiu. Każdy z nas , myślę doświadcza takich cudownych spotkań, które odmieniają życie na zawsze.

W pociągu relacji Kraków – Kielce Zdzisław spotyka zakonnika, długoletniego nauczyciela religii i opiekuna powołań franciszkańskich w kilkunastu placówkach klasztornych. Człowieka, który potrafił rozpoznać ślady Bożego powołania w sercu młodego człowieka, poszukującego swej drogi. Kapłana, pedagoga i psychologa. - absolwenta i doktora Uniwersytetu Marii Curie - Skłodowskiej w Lublinie oraz w Universita per Stranieri w Perugii, autora wielu cennych publikacji, poliglotę, wychowawcę ministrantów, animatora amatorskiego ruchu teatralnego, działacza społecznego i charytatywnego, przyjaciela kilku pokoleń młodzieży w kraju i za granicą (Włochy, Francja), zasłużonego dla Kościoła w Polsce i Europie. Zakonnika, który słynie ze znakomitych, dobrze przygotowanych i z polotem wygłaszanych homilii w Pieńsku k. Zgorzelca, Przemyślu, Rychwałdzie, Dąbrowie Górniczej, Krośnie n. Wisłokiem, Jaśle, Asyżu, Fossa Nova, Lubomierzu k. Limanowej, Oświęcimiu Harmężach i innych miejscach. Zakonnika, który akurat przebywa w chęcińskim klasztorze i pomoże młodemu człowiekowi,

by podjętą decyzję zrealizować i z nim się szczerze zaprzyjaźni. Przyjaciela zyskuje więc Zdzisiu w osobie o. Mateusza, który tak wspomina to spotkanie: *Dziękuję z całego serca Bogu i jestem bardzo szczęśliwy, że pozwolił mi w 1996 roku odkryć zupełnie przypadkowo, a może i nie przypadkowo, tę przepiękną perłę, jaką jest Zdzisław.* To spotkanie nadaje ostatecznie sens i kierunek drodze życiowej Zdzisława. Tak je wspomina dalej o. dr Mateusz. *Pamiętam, był piękny, słoneczny dzień lipca 1996 roku. Upał dawał się we znaki podróżującym pociągiem. Przyszedłszy wcześniej na peron, by znaleźć siedzące miejsce w pociągu, w którym zwykle było tłoczno, zająłem miejsce w drugim wagonie od końca, w jednym z przedziałów. Mając jeszcze trochę czasu do odjazdu pociągu, począłem odmawiać brewiarz. Wkrótce do przedziału weszło trzech młodzieńców, gustownie ubranych. Zapytali mnie i innych siedzących, czy mogą zająć wolne miejsca. Tym, który usiadł obok mnie był właśnie Zdzisław Borowiec. Zanim usiadł przedstawił mi się i oznajmił, że jest z Kielc, a wraca z Krakowa z kolegami, bo w tym dniu były egzaminy do szkoły wojskowej.*
Wyczuwając, że będę miał miłego rozmówcę, zakończyłem modlitwę i ucałowawszy brewiarz, jak to mam w zwyczaju chciałem włożyć go do teczki. Kiedy powiedziałem Zdzisławowi, że cieszę się z możliwości porozmawiania, bo wówczas wspominam lata, w których uczyłem dzieci i młodzież w jego wieku, on poprosił mnie, bym mu pozwolił zobaczyć te książkę (brewiarz), z której korzystają kapłani w modlitwie liturgicznej. Był bardzo zdziwiony, że modlę się z włoskiego brewiarza. Dość długo go wertował, prosił bym mu przetłumaczył niektóre wyrażenia napisane czerwonym kolorem lub rozrzuconym drukiem. Po przeglądnięciu brewiarza zapytał grzecznie, czy mógłby porozmawiać ze mną na różne tematy, które go interesują lub o problemach, które go nurtują, ponieważ nie zawsze ma z kim szczerze o tym podyskutować. Ucieszyłem się bardzo taką propozycją, rzadko bowiem, w czasie moich dość częstych podróży w kraju czy za granicą, zdarzało mi się spotkać młodych czy starszych, którzy chcieliby porozmawiać umilając i skracając czas podróży. Rozmowy z ludźmi miłymi są wszak, jak modlitwa, będąca serdeczną rozmową z Bogiem. Okazują się one bardzo pomocne w oczekiwaniu na coś lub kogoś, i w pokonywaniu długich odcinków drogi dzielących nas od celu. A ze Zdzisławem rozmawiało mi się bardzo przyjemnie. Z rozmowy dowiedziałem się o wielu dotyczących go szczegółach bardzo ciekawych, nieraz bolesnych. Patrząc na jego zrównoważenie i malujący się na ustach uśmiech, nigdy nie pomyślałbym, że jest tak dotkliwie doświadczony przez życie. Miał zaledwie 21 lat. Nawet się nie spostrzegliśmy, jak znaleźliśmy się na stacji w Kielcach. Na pożegnanie (bardzo serdeczne) zapytał czy mógłby mnie kiedyś odwiedzić. Otrzymawszy odpowiedź potwierdzającą, ucieszył się wyraźnie i zapewnił, że w najbliższym czasie, po powiadomieniu mnie uprzednio telefonicznie (otrzymał ode mnie adres na pieczątce i numer telefonu), przyjedzie do Chęcin, aby uzupełnić "rozmowy niedokończone"
Słowa dotrzymał. Po paru dniach otrzymałem telefon tej treści*: " Jutro będę u Ojca w klasztorze".* Po tej rozmowie franciszkanin, o dr Mateusz w Chęcinach zostaje kierownikiem duchowym, ojcem i przyjacielem Zdzisława.
W chęcińskiej świątyni przez lata komunizmu była droga restauracja, w której najczęściej gościli sekretarze partii. Kiedy kościół przywrócono prawowitym właścicielom, nie od razu przystąpiono do remontu.
Dlaczego nikt nie zajął się wcześniej tym remontem? Na to pytanie trudno odpowiedzieć. W każdym razie kiedy o. dr Mateusz Korczak wrócił z Włoch na stałe, ówczesny Ojciec Prowincjał o. Zdzisław Gogola dał mu możliwość wyboru

klasztoru, nowej placówki w kraju. Po jakimś czasie zwrócił sie do niego z prośbą, by jeśli czuje się na siłach, zajął się gruntownym odnowieniem zniszczonego i zbeszczeszczonego domu Bożego klasy zerowej. Ojciec Mateusz – mimo podeszłego wieku, bo zbliżał się do siedemdziesiątki, z właściwym sobie entuzjazmem i gorliwością o piękno domu Bożego, podjął się tej odpowiedzialnej pracy, upoważniony odpowiednim dokumentem najwyższego przełożonego Zakonu Ojców Franciszkanów – Ojca Prowincjała Zdzisława Gogoli, swego byłego wychowanka.
I to tu w pięknym miasteczku Chęcinach, w pięknej scenerii chęcińskiego wzgórza z ruinami zamku pamiętającego czasy królewskie, z imponującym kościołem Św. Bartłomieja, w znajdującym się na obrzeżach królewskiego miasta Chęcin klasztorze franciszkańskim, skrystalizuje się pragnienie, powołanie i decyzja Zdzisia, która zaprowadzi go na inne wzgórze w pięknym Asyżu, do klasztoru Św. Franciszka w Sacro Convento, A stąd Zdzisiu pójdzie już na górę spotkania serc w Miłości. Serce szukające, serce pragnące Boga żywego, serce otwarte, radosne, spokojne znalazło Serce serc dobroci i miłości pełne.
Wielokrotnie myśląc o szczęściu i ja pragnę go mocno. Szukałam go jednak wielokrotnie w sercach ludzi, którzy, jak sądziłam powinni mi je dać. Po wielu latach uświadomiłam sobie, że oddając swoje serce Bogu na własność nie tylko otrzymam je w nadmiarze, ale będę umiała i chciała dzielić się tym szczęściem z innymi.

Rozdział II.
POZNAJĘ TWOJE SERCE

"Pozwól me życie Tobie ofiarować
I niech twe światło przede mną jaśnieje
Bo pragnę Panie za Tobą podążać
W tym podążaniu odnajdę nadzieję"

1. PRAGNIENIA.

Pragnienie miłości w sercu nosi każdy człowiek, z takim pragnieniem zjawiamy się na tym świecie i to pragnienie wytycza kierunek całego naszego życia. Pragnienie szczęścia znane jest każdemu człowiekowi, każdy z nas pragnie tak bardzo i tak dąży do chwil szczęścia i pamięta wszystkie chwile, gdy czuł się szczęśliwy i tak się lęka, ze utraci to szczęście, która trwa
A jak mówią słowa pewnej piosenki "*W życiu piękne są tylko chwile"* I najczęściej szybko te chwile się kończą, nie jesteśmy władni zatrzymać szczęścia, pochwycić tak! ale zatrzymać nie I tak często zostajemy z pustymi rękami, rozżalonym, złamanym sercem, pogmatwanymi drogami naszego życia. Nie potrafimy odnaleźć właściwej drogi, by żyć, oddychać pełnią życia.
Pragnienie świętości, zostania świętym bliskie jest, współcześnie niestety nielicznym, a przecież powołanie do świętości wpisane jest w serca wszystkich ochrzczonych. Bóg wzywa każdego z nas: *"Świętymi bądźcie, bo ja jestem Święty"* Bóg stworzył nas do świętości, do nieba, do szczęścia wiecznego. Tymczasem Święci wydają się nam często tak odlegli, że nie chcemy o nich słyszeć, tak niemożliwie nieosiągalni, że nie mamy sił i ochoty, by się zmierzyć z tym pragnieniem. Tak trudni i tak dalecy i tak dawni że kto z nas tak naprawdę chciałby być świętym ?
Kto jednak zada sobie trochę trudu, by poczytać życiorysy świętych, odkrywa rzecz niezwykłą. To ludzie tacy jak wszyscy, mali i duzi, słabi i nierzadko grzeszni, ale wytrwali w wierze, cierpliwi w nadziei, wielcy w miłości. Ludzie któ-

rzy nierzadko doświadczają ogromnego cierpienia, a innym niosą pokój, radość, pomoc. Wystarczy wymienić Matkę Teresę z Kalkuty, o. Pio, Św. Teresę od Dzieciątka Jezus, Św. Dominika Savio, Św. Faustynę, błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszkę czy wreszcie najbliższego nam Polakom świętego Jana Pawła II i tylu innych, którzy są prawdziwym dowodem na istnienie szczęścia nieprzemijającego, Miłości wiecznej

Niezwykłe właśnie jest to, że pragnieniem Zdzisia było zostać świętym, mówił o tym głośno, chciał zostać szczęśliwym świętym. Zdumiał tym swoich wychowawców i kolegów, gdy przybył do Perugii i z uśmiechem oświadczył Ojcu prowincjałowi; *"Przyjechałem tu, aby zostać świętym "* Każdy z nas powołany jest do nieba i świętości. Każdy z nas i każdy otrzymuje pomoc Bożą, by móc tę świętość osiągnąć. Ale wszystkie moce ciemności sprzysięgają się właśnie przeciw człowiekowi, by mu tę świętość wydrzeć, by go od niej oddalić, by wreszcie człowieka jej pozbawić na całą wieczność i skazać go na potępienie, na samotność i lęk, nienawiść i ból, oddalenie od Źródła szczęścia – od Boga.

Cofnijmy się więc i zajrzymy do tego małego serduszka Zdzisia bijącego jeszcze pod sercem matki? Poszukajmy jego pragnień, a może i naszych własnych?

Przyjść na świat kiedy już został poczęty i być chcianym, upragnionym, tulonym i kochanym, Mieć mamę, tatę i rodzeństwo i dom. Tak ma i powinno być w życiu każdego człowieka. Ale bardzo często niestety tak nie jest. Tyle ran i cierpień odnosimy tam, gdzie powinniśmy czuć się kochani. W rodzinie, wśród najbliższych. Nierzadko, nasi dziadkowie, rodzice sami poranieni, niszczeni przez szatana, grzech i słabości, własny brak wiary i ufności, przekazują cierpienia dalej, wlewają je do najbardziej bezbronnych serc swoich dzieci. Dorosłe Dzieci Alkoholików cierpią w dzieciństwie, rozpaczają w dorosłości, bo najbliżsi zadali im rany, które nie sposób uleczyć. Miotają się i oskarżają, czują się winni za coś czego nigdy nie uczynili. Miotam się i ja niosąc na swych barkach ten krzyż. Wspomnienia budzą tamten paraliżujący lęk z dzieciństwa, brak miłości, bezpiecznych ojcowskich ramion. To sprawia, że boję się zaufać ludziom. Nigdy nie pozwolono mi być dzieckiem, małą roztrzepaną szczęśliwą dziewczynką, której jedynym zmartwieniem byłoby przypomnieć sobie, gdzie położyła lalki. Ja musiałam martwic się czy mój ojciec tym razem naprawdę nie odbierze życia mojej matce. Czy będę spała w swoim łóżeczku do rana, bo przecież zasypiałam w ubraniu, z butami w małych rączkach by zdążyć z nimi wyskoczyć przez okno o jakiejkolwiek porze nocy. Boże wybacz im, wszystkim tym milionom ojców i matek, które tak krzywdzą swoje dzieci, daj siłę wszystkim tym, którzy zmagają się z tym strasznym cierpieniem.

Biologiczni rodzice Zdzisia zdecydowali o przyszłości Zdzisława. Matka nie była świadoma chorując psychicznie, ale ojciec postawił barierę najbardziej naturalnemu, ludzkiemu pragnieniu Zdzisia. Porzucił go i oddał do domu dziecka. Czy był pozbawiony serca? Zdzisław, jego syn pragnie czułości, ale nikt mu jej nie daje do lat trzech, ani poczucia bezpieczeństwa, uśmiechu, obecności i bliskości.

Na to pragnienie trzyletniego, zalęknionego chłopca odpowiadają wiedzeni Boską interwencją państwo Alfreda i Ludwik Borowiec. Dając mu nowy dom, nową rodzinę, rodzeństwo, ciepło, przyjaźń miłość, opiekę i bezpieczeństwo.

Zdzisiu pragnie mieć dobre stopnie w szkole, ale na początku nie idzie mu łatwo. Wysiłek i ciężka praca zostają jednak wynagrodzone w dalszych latach nauki.

Pragnie się uczyć, odkrywać świat, swoje możliwości, zdobywać wiedzę, kształtować umiejętności, rozwijać zainteresowania. Naprzeciw tym pragnieniom Zdzisia wychodzi tak wielu wspaniałych ludzi - pedagogów, nauczycieli, wychowawców, księży, katechetów. Wspomnienia jego nauczycielki p. Barbary Błachut są dowodem, jak bardzo ważne jest spotkać w życiu prawdziwie dobrych i szlachetnych, kompetentnych nauczycieli.
Oto jej wspomnienie: *Doniosłość chwili jest wielka. Jednak często zadajemy sobie pytanie, jaki wpływ miała ta "chwila" na nasze życie? Czy nadała mu jakiś szczególny sens, zostawiła po sobie niezatarte wspomnienie? Tak - wydaje się, że właśnie chwila jest wspomnieniem.*
Takim wspomnieniem - chwilą w moim życiu było spotkanie z małym dzieckiem - - naznaczonym jednak powagą i jakby jakąś wewnętrzną dojrzałością - samym imieniem; Zdzisław - "Zdzisio", bo tak przez cały czas mojego z nim spotykania się do niego zwracałam. To spotkanie było niezwykłe. Nauczycielka i uczeń. Uczeń jakby znany i nieznany. Nauczycielka młoda dziewczyna - sama wchodząca w dorosłe życie, zakładająca rodzinę, wychowująca małe dzieci i mająca pełną świadomość, jak bardzo duży wpływ może mieć na rozwój osobowy małego człowieka. Napisałam chłopiec znany i nieznany - dlaczego? Zdziwienie nagle pojawił się wśród ludzi dorosłych - sąsiadów z tego samego bloku, tylko z innej klatki, wśród ludzi mających córkę w moim wieku. Zdziwienie a może raczej podziw Dlaczego? Chłopiec wymagający ogromnej pracy, wyjątkowego zainteresowania. Zamknięty w sobie. Ci ludzie odważnie mu świat otwierali - krok po kroku. Takim zapewne symbolicznym krokiem do przodu było spotkanie ze mną. Najpierw budziło to we mnie lęk - czy podołam? Codzienne rozmowy z rodzicami. Analiza każdego dnia. Sprzyjały temu wspólne powroty do domu z pracy. Kończyłam pracę . Przychodziła mama - piękna, duchem spokojna, wyciszona wewnętrznie kobieta i pytała - jak? Dlaczego? Co dalej? i próba wspólnych diagnoz. Najbardziej bałam się tego, że pomału dla tego dziecka stawałam się kimś ważnym, jakimś wzorem. Wydawało mi się, że nie mogę zawieść, że musze dotrzeć do tych "oczu" wpatrzonych we mnie na każdej lekcji. Gdy moje własne dzieci szły spać, przygotowując się do pracy na następny dzień, robiąc różne "pomoce naukowe", zastanawiałam się: " a co dla Zdzisia? Muszę mu udowodnić, że jest bardzo mądry, potrzebny w klasie. Muszę pomóc mu zaistnieć, by zbudować w nim "siłę życia". Było trudno. Przecież sama miałam niewielkie doświadczenie. To był dopiero czwarty rok mojej pracy w szkole podstawowej. Zdzisio był posłuszny, grzeczny. Prowadząc lekcje muzyki czy wychowania fizycznego starałam się go wzbudzić wewnętrznie. Dla mnie cenny był każdy uśmiech na jego twarzy, każda iskierka życia. Dlatego wcale nie chciałam, żeby był taki "ugrzeczniony". W czasie wspólnych zabaw na lekcjach wuefu Zdzisio powoli zaczynał "żyć", ale takich chwil było mimo wszystko mało, jak na małe dziecko. Za mało tej dziecięcej naiwności. Mam też mała iskierkę nadziei, że wzbudziłam w nim tę wiarę, iż choć jest małym człowiekiem wiekowo - to bardzo dla innych ważnym. Pomagałam mu zbudować swoją pozycję w grupie szkolnej i w jakimś stopniu zrozumieć świat i znaleźć miejsce w tym świecie. To właśnie taka postawa ludzi mu oddanych, przybranych rodziców, dobrych pedagogów dodaje Zdzisławowi siły życia, zachwycania się i radowania tym co go otacza. Lekiem na cierpienie doświadczone od jednych ludzi, jest miłość i dobroć okazana przez innych ludzi.
Pragnie cieszyć się pięknem, muzyką, śpiewem, tańcem, sportem, pracą i wypoczynkiem. I te pragnienia realizuje coraz intensywniej z dnia na dzień. Prze-

kracza swoje ograniczenia, zdobywa szczyty swoich możliwości. Jest nagradzany, wygrywa konkursy muzyczne, plastyczne, recytatorskie, taneczne. Ale choroby zatrzymują pęd Zdzisia na podbój świata. Choroba Rodziców i jego własne dolegliwości. Nie wszystkie pragnienia może realizować w całej pełni, z niektórych trzeba rezygnować, oddać, ofiarować i się z tym pogodzić.
Pragnie pracować, cieszy go trud i zmęczenie, gdy ciało i mięśnie po ciężkiej pracy w polu odmawiają posłuszeństwa, cieszy go wysiłek, który ma sens. On dostrzega sens w pracy, ona daje mu siłę i bierze się za bary z życiem, pokonuje kolejne trudności. Bardzo pragnie poznać swoje biologiczne rodzeństwo, ale nie jest mu to dane. Rodzice odradzają, mówią jak skończysz szkołę, jak będziesz miał zawód. Później ojciec Mateusz tłumaczy *"Jak wrócisz z Asyżu."*Zdzisław pragnie pomagać innym, szczerze i ofiarnie, rodzicom, kolegom, pracodawcom, przyjaciołom, biednym, zagubionym, uwikłanym nierzadko w nałogi. Pomaganie ma we krwi, bezinteresowność, wrażliwość, współczucie innym taki jest od dziecka. Jego wrażliwość ujawnia się w dzieciństwie w dość szczególnej chwili jego życia. Jego mama w filmie nakręconym przez TVP o Zdzisławie pt: „Zdzisiu" tak o tym opowiada; *Myślałam, że trzeba będzie kiedyś Zdzisiowi powiedzieć, że jest dzieckiem adoptowanym. Okazja nadarzyła się sama. Mój wnuk Grzesiu tu kiedyś razem z nim był. I właśnie wnuk rozpoczął te rozmowę: Nie wiesz, jak się rodzą dzieci. On mówi nie wiem. Są w brzuszku mamusi i potem rozcina się brzuszek i wtedy dziecko się rodzi. Ja stałam w progu i zaciekawiona byłam co oni wymyślą. A wtedy Zdzisio biegnie do mnie, chwycił mnie i powiedział; Mamusiu ty musiałaś tak cierpieć, przecinany miałaś brzuszek?. Odpowiedziałam, Wiesz synusiu mamusia urodzić może i umrzeć, a matka druga, opiekuje się tym dzieckiem. Mamusię zastępuje. Ona przytuli jak cię boli. Ja nie poszłam i nie wybrałam sobie pierwsze lepsze dziecko. Ja popatrzyłam tylko na te dzieci, a ty już do mnie uśmiechałeś się, rączki wyciągałeś i sam zdecydowałeś, że ja Ciebie wzięłam. On był bardzo zszokowany tym. Po jakimś czasie powiedział do mojego wnuka; Jak może tak obca kobieta kochać?*
Pragnie Zdzisław obdarzyć miłością wyjątkową dziewczynę, dać jej swe serce, pragnie szczęśliwych chwil, jakie znane są młodym i nie tylko ludziom, gdy przychodzi zakochanie, zauroczenie, miłość, drżenie serca. Nie może go jednak urzeczywistnić. Poszukuje bowiem czegoś głębszego, trwalszego, nieprzemijającego, nie ulotnego. Serce jego wybranki nie może jednak tego ani zrozumieć ani przyjąć.
Pragnie teraz oddać się całkowicie Temu, który przenika i zna pragnienia ludzkiego serca. Pojedzie w tym celu do Asyżu. Niestety my już wiemy, stamtąd Zdziś nie wróci. Ale może właśnie wraca teraz? By nam pokazać, że można, że warto, że to ma sens, że piękno i bogactwo życia zależy od nas, od naszej pracy, wytrwałości, zaangażowania, mądrych wyborów, wychodzenia z porażek, pogody ducha. Uważam tak dlatego iż gdyby nie pomoc Boża, wspaniali ludzie których spotkałam ale i moje samozaparcie, praca, motywacja być może nie skończyłabym szkoły, wreszcie nie podjęłabym studiów, nie pracowałabym już 20 lat jako pedagog, wychowawca, nie napisałbym „moich" książek Zdzisiu .idźmy dalej ☺
Psalmista śpiewa: *"Panie przenikasz i znasz mnie dobrze. Wiesz kiedy siadam i kiedy stoję, Widzisz mą pracę i mój spoczynek, wszystkie me drogi są Tobie znane. Ty mnie utkałeś w łonie mej matki, Uwielbiam Ciebie w tym wielkim dziele. Znasz przeszłość moją i przyszłość moją, Wszystko w Twe ręce oddaje Panie."*

Ten psalm dla mnie jest niezwykle przejmujący i ma dla mnie wielkie znaczenie. Może Zdziś wtedy też go rozważał. Tego nie wiem. Ale od teraz pragnieniem serca Zdzisława staje się powierzyć Bogu wszystkie swe sprawy i swe życie, swoja przyszłość złożyć w Jego ręce, swoje plany i marzenia ofiarować jedynie Bogu.
Postanawia wreszcie założyć czarny habit franciszkański, wyjechać z Perugii. Razem ze Św. Franciszkiem iść w świat, by przemieniać go miłością. Dziesięć dni i jego pragnienie się urzeczywistnia, trwa aż do chwili terremoto - trzęsienia ziemi w Asyżu
Pragnie być szczęśliwy, tęskni do nieba i świętości i to pragnienie staje się faktem.
Bóg wysłuchał, Miłość wyciągnęła ramiona, by utulić Zdzisia na zawsze, by dać mu szczęście wieczne w sercu Boga, w domu Ojca.

2. PLANY

Kto z nas nie słyszał tych słów "*Człowiek planuje, Pan Bóg krzyżuje" lub „Żołnierz strzela, Pan Bóg kule nosi".* I co wtedy czujemy i myślimy.? Czasem się buntujemy, niedowierzamy, nie zgadzamy. Takie jest jednak nasze życie i nasze ludzkie plany nie zawsze są tym, co dla nas zaplanował kochający Ojciec. Nasze ludzkie plany realizują się w całej pełni jedynie i dopiero w zgodzie z wolą i planem Boga, jaki ma wobec każdego z nas. A ten plan nie jest mały, ograniczający nas, zamykający. Ten plan jest dla każdego człowieka najpiękniejszy pod niebem, ma prowadzić do odkrycia i podążenia drogą pełni życia, pełni radości, pełni błogosławieństwa i pełnej szczęścia miłości. My mamy jednak „swoje" drogi, błądzimy w nieświadomości, bo chcemy „po swojemu" odnaleźć to co można odkryć jedynie wtedy gdy zawierzy się całkowicie, ostatecznie Bogu. Dlatego więc ciągle jesteśmy niepogodzeni z naszymi marzeniami o szczęściu, o radości życia i zmagamy się z tyloma trudnościami i cierpieniami. Nie do końca jest to naszym wyborem. Jest to skutek, iż nasze życie jest pełne ataków złego, tego, który w buncie przeciw Bogu przeciął i skomplikował ludzkie drogi, myślenie, pragnienia, dążenia. Który zniewala, ogranicza, kłamie i zadaje rany naszemu sercu. A Bóg miał i ma i nigdy z niego nie zrezygnuje swój BOŻY plan ratunkowy dla każdego ludzkiego serca, które się na Niego otworzy i pozwoli Mu wejść, gdy stoi u drzwi i kołacze. Ja właśnie ten plan odkrywam i chwytam się Bożej ręki , by znaleźć ratunek.
Jeżeli żyjemy odwróceni od Boga, zamknięci na jego łaskę, nasze plany raz po raz walą się w gruzy, a my okaleczeni budujemy wciąż od nowa. Jeśli zaś zaufamy Temu, który jedynie zna i przenika nasze serca, bo sam nas stworzył, odkryjemy drogę, którą trzeba i warto iść. Odważnie pójdziemy nasza własną drogą.
Plany Zdzisława, również atakował i komplikował diabeł, przeciwnik, który żywi się rozpaczą, łzami, smutkiem, bo sam je powoduje i nimi rani, zamyka serce człowieka. Zdziś jednak swoje plany zawierza z ufnością Temu, który jest mocniejszy, cierpliwszy, szczęśliwy. Zawierza Bogu, swemu Stwórcy i Matce Najświętszej.
I z uśmiechem na twarzy, na przekór kłamstwu, na przekór złu idzie przez każdy dzień swojego życia. Swe sprawy oddaje na osobistej modlitwie, na kolanach przed Bogiem, ogarnia swoje życie, swą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość składa w ręce swojego Boga. Jego ojciec, Ludwik Borowiec mówi o Zdzisiu: *Nie był to chłopak, który potrafiłby się przebojem przez życie przebić.*

On jakby trafił na ludzi niedobrych to by wykończyli. Ja powiem szczerze on nie był na dzisiejsze czasy
Nie był? Może i tak Uważam jednak, że właśnie nam, TERAZ potrzeba takich przykładów, ludzi dobrego serca, odważnych, nie rozmamłanych, silnych wiarą, nie arogancją i butą, wspaniałych kobiet i mężczyzn, dziewcząt i chłopców mężnie kroczących po naszej polskiej ziemi.
Zdzisław się nie poddaje, zawierza Bogu. To czyni go mocnym, dodaje odwagi do stawiania czoła pojawiającym się przeciwnościom.
Planuje studia, może małżeństwo, dobrą pracę, która dałaby utrzymanie. Planuje służyć innym, uczyć się ciągle czegoś nowego, Nie boi się trudności, nie straszny mu wysiłek i ciężka praca połączona z nauką. Gdy w Chęcinach dostaje od o. Mateusza pracę na budowie przy remoncie klasztornego kościoła jednocześnie cierpliwie i wytrwale uczy się języka włoskiego, bo planuje wyjazd do Włoch, do Asyżu. Chce wstąpić do zakonu franciszkańskiego, bo chce zostać kapłanem zakonnym. I znowu jego ojciec mówi o Zdzisiu: *Pewnego razu w korytarzu mówi do obydwojga nas; Zdecydowałem się i chcę wstąpić do zakonu. Mówiąc szczerze bardziej była zaskoczona żona niż ja. On był w sobie. A człowiek, który jest tak do siebie, nie egoista, który do siebie garnie, tylko który jest taki skupiony wewnętrznie. To tacy ludzie mają skłonności, aby wybierać drogę kapłańską czy zakonną.* Zdzisiu wkłada wszystkie swoje siły, zdolności, umiejętności w realizację planów. Ale robi to zawsze w obliczu Boga, w blasku jego spojrzenia, karmiąc się modlitwą i Eucharystią. Jego życie jest zsynchronizowane z Bożymi planami. Ale ataki złego ducha nie ustępują, bo gdzie człowiek zaczyna otwierać się na Boga, zły chce to unicestwić.
Brak pieniędzy, choroba rodziców, trudności, obawy i ludzkie niepewności, troski chciały utrudnić realizację planów Zdzisia. Bóg jednak stawia granice oddziaływaniu Złego. Wspiera i towarzyszy Zdzisiowi dając mu pomoc w emocjonalnym wsparciu mimo choroby ze strony przybranych rodziców, którzy duchowo mu towarzyszą i wierzą w niego. Alfreda Borowiec w listach, które zawsze zaczyna od słów*: „Kochany syneczku”, „Kochany Zdzisiu”* do Zdzisława opisując polską rzeczywistość i martwiąc się wydarzeniami śmierci młodych ludzi zamordowanych przez kolegów tak pisze ( ) *To wszystko jest bardzo smutne i wstrząsnęło mną do głębi, tym bardziej, że to są owoce złego wychowania, a to naprawić będzie trudno. Jak o tym myślę, to wydaje mi się Zdzisiu, że obrałeś słuszną drogę służenia Bogu niż żyć wśród takich ludzi, gdzie trudno znaleźć przyjaciela jeśli się do niego nie dostosuje. Papież tak pracuje i poświęca swoje życie, żeby ten świat ratować, a kraj jak martwa bryła ( )”*A tato Ludwik interesuje się wszystkim co w Asyżu Zdzisiu przeżywa. Zaczynając swój list od słów *„ Kochany synku”* pisze: *„Jak tam przyswajanie włoskiego języka, myślę, że w krótkim czasie będziesz po włosku mówił lepiej, jak po polsku, ale wymaga to dużo pracy, więc się nie dziwię, że masz dużo pracy. Mam nadzieję, że powoli przyzwyczaisz się do nowych warunków zarówno bycia, jak i otoczenia* Zdzisław posyła w tym czasie do domu kartkę z widokiem bazyliki Św. Franciszka i tak opisuje swój pobyt na włoskiej ziemi, gdzie obchodził swoje 22 urodziny.
„ Kochani. Jak już wspominałem wystartowałem na Uniwersytecie. Pierwszy tydzień zleciał spokojnie, natomiast potem zaczęło się coraz trudniej. Nie jest źle, ale trzeba trochę czasu. Jak się świetnie złożyło, że wszyscy świętowali dzień 13.06. 07. Była tu uczta dziękczynna z okazji św. Antoniego i wspaniała ze względu na otwarcie stołówki i odpoczywam po pracowitym tygodniu. 1000 całusów dla Was najmilsi.

Ma Zdzisław oparcie także w osobie ojca Mateusza, który mu wtedy bardzo pomaga i mu towarzyszy, w osobach współbraci i przełożonych w asyskim klasztorze, którzy go z radością przyjmują i prowadzą.
Plany się realizują, ale zgodnie z tym co zaplanował dla Gislao Bóg, na włoskiej ziemi. Bóg wypełnia swój plan. Plan nieba dla swojego umiłowanego syna. Tu, w Bazylice Św. Franciszka, którą się zachwycał, dopełnia się jego ziemskie życie, by owocować, promieniować Bożym blaskiem na innych, tych, którzy błądzą w szukaniu sensu swego życia, Zdzisiu ukazuje, że w Bogu wszystko ma sens, ma SENS. Dla mnie też szczególnego sensu nabierają wszystkie bolesne wydarzenia od których jeszcze niedawno wolałabym uciec, zapomnieć na zawsze. Gdyby jednak, śmiem twierdzić, się one nie zdarzyły nie byłoby mnie tutaj dziś i teraz, może nigdy nie miałabym tej specyficznej wrażliwości i dojrzałości, jaką mam będąc DDA? Może nigdy ta wrażliwość nie zaprowadziła by mnie tak głęboko, by zafascynować się spojrzeniem i historią życia mojego rówieśnika, który dyskretnie, ale skutecznie pomógł mi i cierpliwie czekał aż odkryję ten Sens?

3. MARZENIA

O ile pragnienia niejako wypływają z wnętrza naszego serca, są tam ukryte i umiejscowione, plany związane są z umysłem, logicznym aspektem naszej osobowości, to marzenia wypływają i skrywają się w głębi naszej duszy. Nasza dusza mieści je w sobie, ogarnia. Są one niejako „wyprzedzające" nasze plany i pragnienia. Marzenia obleczone w kształt pragnień są realizowane w naszym życiu. Pięknie jest marzyć. Piękny jest człowiek, który marzy, który ma marzenia. Jest jak bezbronne cudowne, czyste dziecko, które rozpościera swój świat w marzeniach, w chmurach, w rękach Boga i biegnie za nimi niepomne niebezpieczeństw i barier. Piękne są oczy rozmarzonego dziecka. Piękne są oczy jego duszy, która kołysana jest w ramionach Ojca.
Nie znam dziecka, które nie marzyło o szczęściu, radosnych chwilach. Nie znam człowieka, który na wspomnienie swoich dziecięcych marzeń nie uśmiecha się. Uśmiecham się i ja, rozjaśnisz pewnie twarz i Ty mój drogi Czytelniku. Wróć na moment do świata swoich marzeń, uciesz się nimi.
Nikt nie marzy o szarym życiu pozbawionym blasku, o samotności, o cierpieniu i rozpaczy. Nasze marzenia unoszą nas w piękne światy niesamowitych możliwości, cudownych rozwiązań, słodkiego szczęścia, niezwykle radosnych chwil z innymi, księżniczek i księciów, skarbów, zamków, niesamowitych podróży w świat niebiańskich krain radości i miłości.
Jakże często stary już człowiek zamyka oczy i przypomina sobie swoje marzenia, promienie boskiej radości w swojej duszy i podąża za nimi choć na chwilę. Lub tak bardzo, żałuje, że je porzucił, ze ich nigdy nie zrealizował, że nawet nie spróbował.
Bóg dał nam prawo do marzeń, dał naszym duszom smak raju, który utraciliśmy, ale który zostanie nam przywrócony i to co otrzymamy przerasta nawet najskrytsze marzenia.
"Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdoła pojąć co Bóg przygotował tym, którzy Go miłują" obiecał nam Jezus, przyszedł na świat, byśmy mogli wrócić tam skąd czystym strumieniem płyną wszystkie ludzkie marzenia o szczęściu, radości i miłości.
Zdzisiu marzył, jako dziecko, nastolatek i młodzieniec. Jego marzenia były odblaskiem jego duszy. Marzył o mamie, która go w ramionach utuli i ukołysze. O ojcu, który go poprowadzi przez życie, O przyjaźni, o sukcesach, radości życia.

Marzył o miłości, pragnął jej i z nią wiązał swoje plany. Marzył o szczęściu bo to pragnienie było zapisane w jego sercu i kształtowało jego drogę i wybory życiowe. Spełniał swoje marzenia choć przeszedł długą i trudną drogę cierpienia, odrzucenia i łez. Kto widział jego łzy? Kto czuł jego ból? Kto znał pragnienia jego serca? Kto przenikał jego duszę w jej marzeniach i poruszeniach, we wszystkich aktach jego wrażliwego wnętrza? Przed kim otwierał swoje serce i cicho szeptał, że najbardziej pragnie być szczęśliwy, bo święty?
Słyszał i znał je najlepiej tylko Ten, który nas stworzył do miłości i świętości, który w ludzkim sercu nie pozwolił zatrzeć wspomnień szczęścia i wspaniałości raju, i który ludzkie serce wyposażył w możliwości pojmowania, osiągania i napełniania Bogiem Stwórcą wszelkiego stworzenia. Dobry Ojciec słyszy mnie, słyszy Ciebie, wierzę w to mocno i nie zostawi nas samymi dopóki tu bić będzie nasze serce, które kiedyś, ufam, spocznie w Jego delikatnych dłoniach.
Człowiek w swoim wnętrzu, w najskrytszych zakamarkach swej duszy ma moc powiedzieć Bogu “tak” lub “nie“. Ma moc otworzyć się na Jego łaskę lub się na nią zamknąć. Człowiek jest wolny, bo takimi nas stworzył, a jedynie taki człowiek może odpowiedzieć miłością na miłość. Vieni Gislao! Przybądź Zdzisiu! i poprowadź nas od swojego serca do swojego ducha, pokaż nam Twoje życie łaską, twoją wiarę, modlitwę i nadzieję. Prowadź i odsłaniaj przed nami życie człowieka w przyjaźni ze swym Bogiem.

ŻYCIE ŚWIĘTEGO FRANCISZKA,
KTÓREGO ZDZISŁAW BOROWIEC BARDZO KOCHAŁ I CHCIAŁ NAŚLADOWAĆ

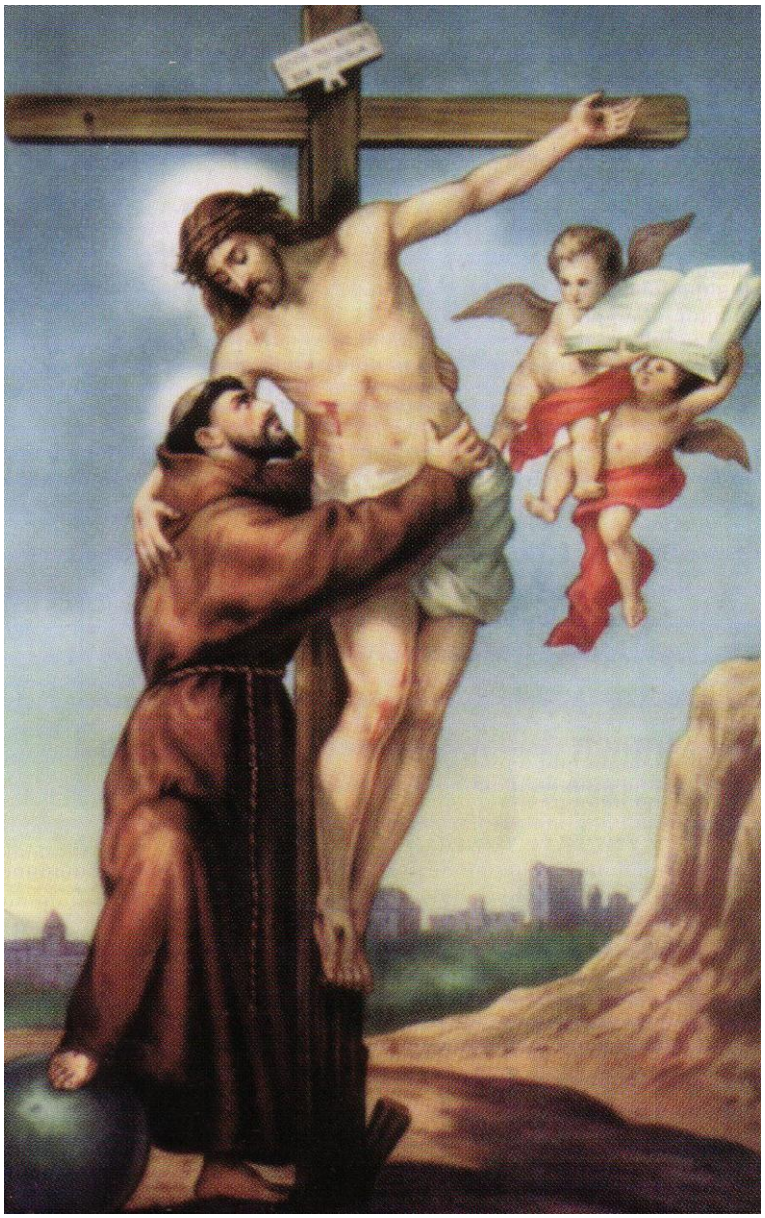

Święty Franciszek urodził się w Asyżu pod koniec 1181 lub na początku 1182 roku, jako syn bogatego kupca Piotra Bernardone i jego żony Piki. Na chrzcie otrzymał imię Jan, które po powrocie ojca z podróży handlowej do Francji zostało zastąpione imieniem *Francesco* -Franciszek.
Pierwszą formację religijną otrzymał od bardzo pobożnej matki. Święty nauczył się czytać i pisać w szkole parafialnej Św. Jerzego w Asyżu, a następnie uzupełnił swoje skromne wykształcenie elementami rachunku, poezji i muzyki. Zdobył także znikomą znajomość języka francuskiego (prowansalskiego) i zapoznał się z poematami o czynach bohaterskich i z legendami rycerskimi. Franciszek, mając bystry umysł i dobrą pamięć, zdobędzie później przez czytanie i rozważanie oględną kulturę religijną.
Ojciec Franciszka rozszerzał aż za granicę obszar swojego handlu, co było typowe dla średniego stanu społeczeństwa włoskiego tego okresu, stanu znajdującego się w cywilnym i politycznym wznoszeniu się, żądnego dobrobytu i wol-

ności aż po zdobycie tytułu szlacheckiego, by zrównać się z większymi, którzy górowali nad tłumem ubogich i mniejszych. I Franciszek, obficie obdarzony inteligencją, ambicją i przedsiębiorczością, osobiście próbował w pierwszym dwudziestopięcioleciu swego życia w świecie (1182-1205) tych wszystkich dróg wzniesienia się i chwały światowej.
Mając lat 14 został przydzielony do sklepu ojca, by zaprawiać się w sztuce kupieckiej (ok. 1196). Wykonywał tę sztukę z przezornością, z uwagą na zarobki, mimo, że mając bardzo lekką rękę w ich wydawaniu, nie sprawdził się jako dobry ich kustosz. Istotnie, syn pierworodny (miał tylko jednego, młodszego, brata Anioła), obwołany królem biesiad i królem młodzieży asyskiej, rozrzutnie gospodarował bogactwami ojca, ubierał się w sposób osobliwy i jaskrawy, brał udział w zabawach i śpiewach na wieczornych spotkaniach z przyjaciółmi. Rodzice jednak tolerowali z pobłażliwością jego książęce wydatki. Ze względu na swoje dobre przymioty naturalne i moralne, szlachetność słowa i szlachetność sposobu bycia, hojność wobec ubogich oraz ze względu na szczególną prawość obyczajów był podziwiany przede wszystkim przez matkę i przez swoich przyjaciół.
Franciszek był żywym obserwatorem, jeśli nie uczestnikiem, zdobywania wolności obywatelskiej w walce przeciw wasalowi cesarskiemu z miasteczka Spoleto (1198). Jako dwudziestoletni młodzieniec wziął czynny udział w wojnie komunalnej Asyżu przeciw Perugii (listopad 1202). Wskutek klęski asyżan dostał się do niewoli, gdzie zaczęła się dokonywać jego wewnętrzna przemiana. Uwolniony po roku i doświadczony długą chorobą (1204), zaczął patrzeć inaczej na świat - wydawał mu się on obcy i inny. Po jakimś czasie jednak odzyskał równowagę, a zafascynowany nowymi snami o chwale, postanowił udać się do Apulii po zdobycie tytułu rycerskiego (1205). Podróż Franciszka, została wszelako przerwana w Spoleto, gdzie w czasie snu Pan zaprosił go, by poszedł za panem bardziej szlachetnym. Franciszek usłyszał wówczas we śnie słowa: Komu lepiej służyć: Panu, czy jego słudze? Zrozumiał wtedy, że wielkość, do której dąży nie jest tą wielkością, która jest mu przeznaczona.
Z przepowiednią, że stanie się wielkim księciem powrócił do Asyżu. Wnet usunął się z towarzystwa przyjaciół, spędzając czas na długich modlitwach w samotnej grocie. Przezwycięża swój skrajny wstręt do trędowatych i zauważa w nich tak samo dzieci jednego Ojca. Częstym miejscem jego modlitwy jest kościółek San Damiano, gdzie spędza większość swojego czasu. Właśnie w tym kościele głos z krucyfiksu nad ołtarzem zaprosił go do naprawienia Kościoła, który się rozwalał. Franciszek usunął się na jakiś czas z życia publicznego do Św. Damiana i w charakterze oblata oddał się pod ochronę Kościoła. Gdy zrozumiał cel swojego powołania zrzekł się przed biskupem asyskim Gwidonem całego swojego majątku, który odziedziczył po ojcu. Jest to moment doskonałego nawrócenia Franciszka, jak określą pierwsi biografowie (pierwsze miesiące 1206). Przyobleczony w ubogą tunikę w kształcie krzyża ogłosił się heroldem wielkiego Króla i przez dwa lata prowadził życie pokutnicze i pustelnicze. Oddał się modlitwom i pełnił niskie posługi, także przez krótki czas w klasztorze benedyktyńskim Dosłownie przyjmując zaproszenie Ukrzyżowanego zaangażował się następnie w materialną odbudowę trzech kościółków znajdujących się w okolicy Asyżu: S. Damiano, S. Pietro della Spina i S. Maria degli Angeli, zwanego Porcjunkulą. Podczas tego okresu Franciszek poruszył cały Asyż. U jednych budził wstręt, a podziw u innych, wciąż czekając na jakieś nowe boskie oświecenie, które otrzymał wkrótce po ostatnim odnowieniu kościoła. Będąc w Porc-

junkuli usłyszał Ewangelię o rozesłaniu apostołów i o ich ubóstwie (ok. 24 II 1208). Po Mszy świętej poprosił kapłana o wytłumaczenie tego fragmentu. W jego świetle rozpoznał z radością własne powołanie i misję. Realizując dosłownie te wskazania, natychmiast przywdział inny ubiór: tunika w formie krzyża, przepasana białym sznurem. Za pozwoleniem biskupa zaczął wtedy nawoływać do pokuty.

Swoją postawą pobudzał wielu ludzi do refleksji nad swoim życiem. Przyłączają się do niego dwaj szanowani asyżanie: szlachetnie urodzony i bogaty Bernard z Quintavalle oraz doktor prawa Piotr Catani (16 IV 1208). W tym samym roku dołączył się do nich młody Idzi pochodzący z warstwy plebejskiej (23 IV) oraz ośmiu następnych towarzyszy. Grupę, w jej sposobie życia wspólnego i apostolskiego, aprobował w roku następnym (1209) papież Innocenty III. Powstał pierwszy zakon Braci Mniejszych (Franciszkanie). Tymczasem z chwilą ustnego zatwierdzenia pierwszej formula vitae oraz z uzyskaniem od papieża pozwolenia na nieskrępowane głoszenie pokuty przez niego i innych Franciszek rozpoczyna długotrwałe apostolstwo wędrownego, ludowego i pokutnego przepowiadania, wyposażony we wszelkie charyzmaty łaski boskiej i poparcie władzy kościelnej. Wszystkie kazania poprzedzał pozdrowieniem pokoju: Niech Pan obdarzy was pokojem. Jego proste, żarliwe i dociekliwe słowo wszystkim przywoływało wspomnienie o Stwórcy i Jego przykazaniach, sprawiedliwość i miłosierdzie Boga. Bardzo charakterystycznym rysem franciszkowego przepowiadania, który bardzo często powtarza się w jego pismach, jest bardzo głęboki szacunek dla wszystkich kapłanów, nie pomijając kapłanów-grzeszników, przez wzgląd na godność ich święceń oraz cześć dla Kościoła. Nauczał również szacunku i czci dla wszystkich, bogaczy i panów, sług i ubogich, dobrych i złych. Mając upoważnienie apostolskie przemawiał do wszystkich ze szczerym słowem i z odwagą, głosząc prawdę bez upiększeń czy pochlebstw, tak że nawet mężowie wykształceni, cieszący się sławą i godnością, słuchali go ze zbożną bojaźnią. Duchowieństwo, zakonnicy i świeccy przybywali, aby go słuchać, dostrzegając w nowym ewangeliście niemal człowieka z innego świata, nowe światło posłane z nieba na ziemię dla oświecenia i porwania wszystkich ku sprawom Bożym.

Tak więc Franciszek przemierzył w ciągu przeszło piętnastu lat, od 1208 do 1224, większą część Włoch. Pełen żaru misyjnego i pragnienia męczeństwa wśród Saracenów dwukrotnie wyruszył poza Włochy, w kierunku Syrii w 1212, a wkrótce potem przez Francję i Hiszpanię ku Maroku (1214); jednak za pierwszym razem z powodu burzy znalazł się na brzegach dalmatyńskich, a za drugim wskutek choroby został zmuszony do powrotu z Hiszpanii. Wysławszy swoich zakonników pod przewodem br. Eliasza do prowincji Syrii i Palestyny (1217) oraz pierwszych pięciu misjonarzy męczenników do Maroka (1219), Franciszek udał się 24 VI 1219 drogą morską na Bliski Wschód i stanął przed sułtanem Egiptu, Melek-el-Kamelem, który przyjął go przychylnie i wysłuchał. Święty wprawdzie nie uzyskał nawrócenia sułtana czy też męczeństwa dla siebie, jednakże swoim gestem Franciszek dał chrześcijaństwu przykład pierwszego, pokojowego i apostolskiego zetknięcia się z Saracenami. Równocześnie wysłanie pierwszych braci misjonarzy do Afryki i na Wschód otwierało w istocie wielką historię misji katolickich w świecie.

W drodze powrotnej do Włoch (1220), opatrznościowej dla Zakonu, Franciszek podjął apostolstwo słowa. W roku następnym, przychylając się do wyrażanych mu od dawna w różnych miejscach życzeń, dawał przepisy chrześcijańskiego życia, indywidualnego i społecznego, dla ludzi świeckich, żyjących w świecie,

którzy pragnęli postępować według jego nauczania w duchu Ewangelii: powstał Trzeci Zakon Pokutników albo Tercjarzy (Florencja i Poggibonsi, 1221) jako odrębne braterstwo wśród innych odosobnionych i wspólnotowych grup Pokutników tego okresu.
Aby wreszcie przedstawić sobie i ludowi bardziej konkretnie i naocznie tajemnicę Bożego Narodzenia, mając szczególne pozwolenie papieża, Święty w otoczeniu licznego tłumu przy grocie w Greccio, kasztelu położonym w dolinie reatyńskiej, zapragnął w nocy 24 XII 1223 obchodzić święto Narodzenia Pana i posługiwać jako diakon przy uroczystej Mszy wobec plastycznej i żywej sceny Żłóbka. Franciszek miał święcenia diakonatu, jednak z pokory nie dążył do przyjęcia kapłaństwa.
Święty po powrocie ze Wschodu, już schorowany, dawszy zakonowi aktywne kierownictwo wikariusza w osobie br. Eliasza z Asyżu (1217) i Regułę ostateczną (29 XI 1223), kierował się odtąd ku ostatniemu etapowi swego życia; przeżywał częstsze wzniesienia mistyczne i dążył do serdeczniejszego uczestnictwa i podobieństwa z Ukrzyżowanym.
Latem 1224 z takimi uczuciami usunął się na górę Alwernię, gdzie spędzał czas na długich modlitwach, rozważaniach i postach. Tam blisko uroczystości Podwyższenia Krzyża (14 IX) ukazał mu się sam Chrystus ukrzyżowany w postaci serafina skrzydlatego i ognistego, który wycisnął na jego ciele żywe stygmaty Męki Pańskiej: otwarte i krwawiące rany, z cielesnymi gwoździmi o długich i zakrzywionych ostrzach, na rękach i stopach oraz w boku.
Z Alwerni Święty powrócił do Asyżu jako żywy obraz Jezusa ukrzyżowanego. Ostatnie dwa lata swojego życia przeżywał w przewlekłych męczarniach, dotknięty ponadto ciężką chorobą oczu, której nabawił się na Wschodzie. Przyjmując pokornie nalegania protektora Zakonu, kard. Hugolina, Święty poddał się bolesnemu, zabiegowi przypalania oczu u lekarzy dworu papieskiego w Rieti (1225), który jednak nie przyniósł porządanego efektu; przezwyciężywszy śmiertelny kryzys w kwietniu następnego roku (1226) Franciszek podjął powolnymi etapami, przez Sienę i Kortonę, drogę do Asyżu. Przebywał najpierw w pałacu biskupa asyskiego. Przy końcu września przeniesiono go do Porcjunkuli. Tu też zakończył swoje życie w sobotę wieczorem 3 X 1226, w wieku około 45 lat. Nazajutrz, w niedzielę rano, w uroczystej procesji duchowieństwo i lud przenieśli jego ciało do kościółka Św. Jerzego w obrębie murów miejskich. Tu przechowywano je przez mniej więcej cztery lata i tu również 16 VII 1228 Święty został kanonizowany. Następnie 25 V 1230 ciało przeniesiono na Wzgórze Rajskie, do nowej wspaniałej bazyliki Św. Franciszka, którą wzniesiono z woli Grzegorza IX i dzięki zasługom br. Eliasza dla grobu Świętego.
Bazylika jest pierwszą świątynią jego kultu i jego chwały na ziemi. Wraz z przyległym do niej Świętym Konwentem została ogłoszona głową i matką całego zakonu Minorytów (Grzegorz IX, 22 IV 1230). Opiekują się nią Bracia Mniejsi Konwentualni, którzy przez wzgląd na cześć powszechną i czysty geniusz Świętego zatroszczyli się również o wygląd zewnętrzny całego monumentalnego zespołu, przyozdabiając go cennymi dziełami wszystkich odradzających się sztuk włoskich.
W Sacro Convento, u stóp Św. Franciszka Zdzisław Borowiec odnalazł swoje miejsce w życiu i cieszył się, że mógł przebywać w jego rodzinnym mieście, uczyć się i realizować pod jego bokiem swoje zakonne i kapłańskie powołanie.
Pobyt w tym uroczym mieście, w pobliżu świętego Patriarchy Zakonu, spoczywającego w krypcie Bazyliki Dolnej, Zdzisiu uważał za wielki dar Chrystusa i

Serafickiego Ojca Franciszka, który wiernie upodobnił się do Jezusa, nawet zewnętrznie poprzez cudownie otrzymane stygmaty wyciśnięte na jego ciele.

ROZDZIAŁ III
POZNAJĘ TWOJEGO DUCHA
"Źródło życia, pokoju i miłości
Wołam do Ciebie nocą i dniem!
Tyś mi jedynym dobrem mej duszy
Bądź mi oparciem i prowadź mnie "
1.MODLITWA
Modlitwa jest spotkaniem z Bogiem, oddechem naszej duszy. Modlitwa otwiera nas na promienie Bożej laski, miłości i obecności ubogacającej i przemieniającej życie. Człowiek modlący się ucieleśnia działanie Boże w świecie. Napełniony Bożą obecnością i łaską niesie tę obecność w swoje sprawy, ludzi z którymi się spotyka, miejsca do których idzie, zdarzenia, które przezywa i inicjuje. Modlic się to jakby „oddychać" Bogiem, a wstając od modlitwy niesie się w życie niejako „zapach nieba" Bardzo podoba mi się stwierdzenie jednego z moich przyjaciół, swoistego barda, a także taternika, himalaisty określenie. ."pachnieć niebem" Te słowa przywodzą mi na myśl innego włoskiego świętego, moją „pierwszą miłość," o. Pio, który gdzie się pojawiał za życia i po swojej śmierci roztacza cudowny zapach fiołków, zapach nieba?
Zdzisław się modlił szczerze, wytrwale i z ufnością. Najpierw modlił się z rodzicami, którzy wiarę przekazywali mu od chwili, gdy przyjęli go do swego domu. Wtedy też poprosili dla niego o Chrzest Święty. Został włączony do Rodziny Dzieci Bożych i jego nowej rodziny. Klękał z nimi do codziennego pacierza. Czuł i wiedział, że jest Bóg, który jest Emanuelem, Bogiem z nami. Gdy przystąpił do Pierwszej Komunii Świętej jego chłopięce serduszko z wiarą i radością przyjmowało Jezusa do siebie. Rodzice dbali o uczestnictwo w niedzielnej Eucharystii. Czasami szedł sam do kościoła garnizonowego, aby śpiewać w chórze, bo miał piękny glos i tak razem z ojcem ubogacał liturgię Mszy Świętej. W uczęszczaniu na Mszę Świętą Zdzisław był bardzo gorliwy i systematyczny. To właśnie pobożny udział w Najświętszej Ofierze, dodawał mu siły i odwagi do sumiennego wypełniania swoich obowiązków szkolnych i pokonywania różnych trosk i cierpień, od których nikt z nas nie jest wolny, zmierzając nieuchronnie ku wieczności. Zdzisiu więc przeżywał tajemnice wiary i spotkania z uzdrawiającą mocą Eucharystii od najmłodszych lat. Chętnie uczył się religii, o czym świadczą jego świadectwa szkolne na których od szkoły podstawowej po szkołę średnią w rubryce "Religia" widnieje stopień „bardzo dobry", a w rubryce "Zachowanie": zawsze wpisane są słowa; „wzorowe." Ten fakt świadczy o tym iż Zdzisław wychowywany w zdrowej religijności potrafił przeniknięty Bożą obecnością nieść Bożą miłość w otoczenie, w którym żył, uczył się i do wszystkich ludzi, z którymi się spotykał. Proboszcz kieleckiej parafii, ks. Skotnicki, w czasie kiedy Zdziś chodził do szkoły i na religię, pokorny kapłan, działacz społeczny, twórca szkoły katolickiej, ośrodków socjoterapeutycznych, oraz pomocy dla ubogich, budowniczy kościoła, niezwykle ujmujący i skromny człowiek, którego miałam okazje poznać osobiście krótko przed jego śmiercią, tak wspomina spotkania ze Zdzisiem, w kancelarii parafialnej : *Było dla mnie zastanawiające, gdyż czuł się trochę jak u siebie w domu. Promieniował od niego spokój i żywe zainteresowanie sprawami Kościoła. Spotkania te były bardzo sympatyczne, gdyż czuło się obecność drugiego człowieka, nad wiek dojrzałego duchowo.*

Kiedy Zdziś pracował przy odbudowie zniszczonego kościoła w klasztorze w Chęcinach jego szef oraz koledzy wspominają do dziś.
"To był bardzo miły chłopiec, ułożony, mało mówił, a dużo robił
Na jego solidności i solidarności poznali się jego rówieśnicy razem pracujący. Zaczęli też od czasu jego zjawienia się w pracy poważniej traktować swoje obowiązki. To tam właśnie w kaplicy Św. Leonarda codziennie służył do Mszy Świętej sprawowanej przez O. Mateusza Korczaka. Oto jak wspomina go właśnie o. Mateusz: *Jeszcze dziś widzę bardzo wyraźnie oczami mojej wyobraźni, jak Zdzisław ubrany w komeżkę, uczesany, ze złożonymi rękami odmawiał modlitwę ministranta przed wyjściem do ołtarza ze mną, aby służyć do Mszy Świętej. Czynił to zawsze głośno, wyraźnie wymawiając słowa tej przepięknej modlitwy przygotowawczej do Mszy Świętej dla sługi ołtarza.* "Boże wejrzyj na mnie i stwórz we mnie serce czyste, bym Ci mógł godnie służyć w czasie tej Ofiary Chrystusa oraz w każdej chwili życia. *Po Komunii Świętej, która codziennie przyjmował od dnia spotkania i rozmowy ze mną, modląc się w wielkim skupieniu i dziękując Panu Jezusowi, że przyszedł do jego serca, pytał mnie niekiedy czy może na głos powiedzieć to co w tej chwili czuje i jak jest szczęśliwy, że Pan Jezus pozwolił mu być tak blisko siebie i prosił Go za przyczyna Matki Najświętszej, aby pozwolił i dopomógł spełnić pragnienie jego serca;* " Panie Jezu, proszę Cię, za przyczyną Matki Twojej i Mojej dopomóż urzeczywistnić pragnienie mego serca wiernego służenia Ci i bycia zawsze razem z Tobą.
Zdzisiu zadziwiał jeszcze jednym. Swoim otwartym i wrażliwym sercem na potrzeby bliźnich. Był zawsze skory do pomocy na miarę, na jaką go było stać w trudnej sytuacji materialnej. Zdzisiu zawsze pragnął pomóc, wesprzeć każdego, cierpiącego na skutek choroby, nieszczęśliwego losu, a nawet zgubnego nałogu. Jeżeli tylko taka możliwość się nadarzyła to nie mógł się jej oprzeć. O. Mateusz wspomina: *Godna podziwu była też usłużność Zdzisia względem starszych. Bardzo mi się podobała u niego gotowość spieszenia z pomocą rodzicom, ludziom starszym i schorowanym. Chętnie pomagał paniom kucharkom przygotowującym posiłki dla pracujących w kościele. Wszyscy go za tę rzadko w naszych czasach spotykaną wśród ludzi bezinteresowną gotowość pomocy lubili i cenili. Był przykładem dla kolegów i wszystkich innych godnym naśladowania. Było to właściwie jego apostołowanie dobrym przykładem, czynione świadomie i z potrzeby dobrego serca.*
Tę jego niezwykłą dyspozycyjność wobec drugich o. Mateusz, długoletni animator powołań zakonnych i kapłańskich odczytywał jako wymowny znak powołania, które przejawia się także w gotowości wspaniałomyślnego poświęcenia się Bogu i ludziom w Zakonie, założonym przez najradośniejszego świętego, którym chlubi się Kościół święty. Ten wziął swój początek, wiadomo, z osoby Jezusa Chrystusa, który sam mówi o sobie': *"Przyszedłem na świat nie po to, aby mi służono, lecz aby służyć"*
A wychowawca Zdzisława w Perugii o. Bernardo Commodi mówi o życiu duchowym Zdzisława tak: *Każdego dnia przeznaczał dużo czasu na modlitwę osobistą, czytanie słowa Bożego, odmawianie różańca i innych modlitw. W szczególności każdego wieczoru po kolacji spędzał godzinę w kaplicy.*
Tak, Gislao codziennie dniem i nocą wołał do swego Pana, a gdy wstawał z klęczek, gdy wstawał od modlitwy szedł do braci i sióstr z miłością i ufnością niosąc im swoje serce, radość, uśmiech i pomoc. Tak rodziło się jego powołanie do służby Bogu i bliźnim i niezwykłe pragnienie świętości codziennym kroczeniem po śladach i ścieżkach Boga w szeptanej modlitwie, zjednoczeniu w Ko-

munii Świętej, krystalizowanie swojego serca w sakramencie Pokuty i służbie braciom. Uświadomiłam sobie, jakiś czas temu, nie mogąc przystępować do Komunii Świętej, jak ogromnie bardzo tęsknię, tak! tęsknię za Jezusem Eucharystycznym, aż po granice bólu. To było niezwykłe odczucie. Już nigdy nie odejdę od Niego na tak długo. Potrzebuję uzdrawiającej siły Eucharystii, Obecności Jezusa prawdziwej, bezinteresownej, czułej, która wyrywa i wyzwala nawet z najcięższego grzechu. Która leczy wszystkie moje rany. Chce oddychać Tobą Boże, czuć w sobie Twój zapach i miłość. Jeżeli tego doświadczyłeś Czytelniku Chwała Panu, Uwielbiajmy go razem. Jeśli nie, Bóg znajdzie drogę do twego serca, by je poruszyć, tak jak znalazł do mojego, tak jak odkrył ją do serca Zdzisia.

2. POWOŁANIE

Młody człowiek odczytując w sobie powołanie szuka w nim szczególnej duchowości, która się rozwinie i poprowadzi go ku świętości. Jak pisze o tym Jan Dąbrowski życie Zdzisława Borowca zostało ukierunkowane na powołanie franciszkańskie. Wiele elementów wpłynęło na wybór zakonu franciszkanów. *Myślę, że jako dziecko adoptowane otrzymał prawdziwą miłość od swoich rodziców, których cechowała wielka skromność i pobożność. To jego "zwyczajne" życie w rodzinie, w pewnym momencie spotkało na swojej drodze franciszkanina, który rozpoczął pielęgnowanie w nim życia duchowego. Jego bliskie kontakty z franciszkanami, a szczególnie właśnie ze spotkanym wcześniej o. Mateuszem Korczakiem, zaowocowały pragnieniem życia według ducha franciszkańskiego. Moment rozpoznania w sobie powołania do życia konsekrowanego w życiu młodej osoby jest chwila niezwykle ważną. Ważną również niezwykle rzeczą w tym momencie są spotykani ludzie, którzy niejako dla tego rozeznania stanowią drogowskaz. Dlatego tak ważna jest delikatność, towarzyszenie młodym w ich decyzjach, osobiste świadectwo ludzi, którzy stanęli na ich drodze, a przede wszystkim tych, których już Bóg powołał do życia kapłańskiego czy zakonnego. Święty Jan Paweł II w swoich wspomnieniach poświęconych kapłaństwu w licznych miejscach dziękuje tym, którzy pojawili się na jego drodze do kapłaństwa. Ukazuje, jak ważny jest autentyzm życia chrześcijańskiego innych w kształtowaniu własnego powołania.* Odkryć swoje powołanie i pójść za nim to fundamentalna zasada życia. Każdy z nas ma swoje powołanie; rodzinne, zawodowe, kapłańskie, zakonne. Każdy z nas zawsze spotkał kogoś, kim się zachwycił, ktoś poruszył jego wnętrze na tyle mocno, że zapragnęliśmy pójść „tym śladem" Jakiś wzór, autorytet, który działa mocno i intensywnie na nasze emocje, zdolności poznawcze, pragnienia, marzenia, potrzeby. Kim chcemy być? Czemu poświęcić swe życie. Jakimi treściami wypełniać swoje dni. Muszę oddać hołd osobom, które tak właśnie mnie zachwyciły i pociągnęły, że zapragnęłam stać się kimś więcej, głębiej, mocniej, odważniej wyjść z rodziny skażonej tak wielkim brzemieniem alkoholizmu ojca, rodzeństwa. Pierwszą była p. Maria, kioskarka, u której przesiedziałam tysiące moich dziecięcych, smutnych popołudni, które dzięki niej przemieniały się w święta dobroci, zrozumienia i chwil cichych dziecięcych zwierzeń. Ona pokazywała mi piękno świata, czytała ciekawe historie, opowiadała o dobru i pięknie. Miała takie ciepłe oczy i dobry miły głos. Kolejną była osoba, p. Bernadka, która tuliła mnie do snu, gdy uciekałam boso z domu, to ona kupiła mi pierwszą wymarzoną lalkę w wieku 8 lat. Dzięki niej uwierzyłam w bezinteresowną dobroć drugiego człowieka. Kolejne panie nauczycielki, moja polonistka ze szkoły podstawowej szczególnie p. Kazimiera, która mnie dziecko z „pieczęcią porażki" chwaliła za każdy sukces, wystawiła do

olimpiady humanistycznej. Późnej kolejna polonistka, z liceum p. Barbara, która poderwała moje serce do lotu, dzięki niej zapragnęłam być nauczycielką. Następnie ks. Władysław, który w serce wlał wiarę i nauczył się modlić, zachwycił Bogiem, który o czym dowiedziałam się dużo później uratował moje życie, bo miałam się nie urodzić. Który przeprowadził mnie przez bardzo trudny czas w moim życiu i o mały włos bym się w tym momencie nie pogubiła. Który wsparł moje starania na studiach, pomagał, tłumaczył, podnosił na duchu. Który udzielił mi Sakramentu Chrztu, Komunii Świętej, Małżeństwa, i który wreszcie ochrzcił mojego synka, który „jest" obecny w naszym życiu do dziś, za co wielkie mu dzięki. Istotne jest to, że taki wpływ wywierali na mnie Święci, szczególnie tak bliski memu sercu Św. Franciszek. Zachwycił mnie już w szkole podstawowej, jego wrażliwość, piękno, ciepło było mi bardzo bliskie. Później o. Pio, któremu zawdzięczam bardzo wiele dobrych natchnień. Św. Maksymilian, męczennik Oswięcimia, który jest patronem mojej parafii i kościoła wybudowanego w ciągu 24 cudownych godzin, o których to wydarzeniach napisałam swoją pierwszą książkę. Takie imię otrzymał na Chrzcie mój syn, mój mały cud, moja nadzieja. Dziękuje jego ojcu, że mi go dał, choć odebrał mi w sposób zaskakująco brutalny nadzieję i możliwość na stworzenie szczęśliwej, dobrej rodziny. Św. Józef z Kupertynu, który „zdał" za mnie wszystkie egzaminy przez 6 lat studiów. Ks. Jerzy Popiełuszko, którego odwaga, siła, radość życia pomogła mi przetrwać niejedno załamanie. Wreszcie Święty Jan Paweł II, który zawsze był dla mnie wzorem i autorytetem Studiowałam teologię na Papieskim Uniwersytecie Teologicznym w Krakowie, tuz obok „jego" okna na Franciszkańskiej. Był, jest i będzie mi bliski. Na tyle mocno, że 10 lat temu, 2 kwietnia pojechałam samotnie do Krakowa, by "być" Z Janem Pawłem II w dzień Jego odchodzenia do domu Ojca. Mijałam Wadowice, , rodzinne miasto, Kalwarię miasto Jego szczególnej więzi z Maryją, Matką i wreszcie Kraków, Jego Kraków i mój trochę też (6 lat studiów, zdążyłam się zakochać w tym mieście) Byłam u franciszkanów, pod Pałacem Biskupim i słynnym oknem na Franciszkańskiej. Tylko tyle mogłam zrobić, być obecna w tych miejscach, które kochał, w których był i do których wracał w myśli i sercu właśnie w ten dzień.być z Nim. To był niezwykły czas, bardzo ciężki, ale piękny. Kiedy autobus dojechał do Żywca, w radio podali wiadomość. 21.37 Ojciec Święty Jan Paweł II wrócił do domu Ojca. Łzy płynęły mi po twarzy, ale jakaś dziwna radość przepełniała moje serce. Byłam dziś z Tobą, cały dzień Ojcze Święty. TY bądź ze mną każdego dnia, proś i wstawiaj się za mną, małym "barankiem- agnuskiem" szukającym bezpiecznego schronienia w ramionach Pasterza. Później pojechałam do Rzymu na pogrzeb Papieża, to było niezwykłe przeżycie, dotarcie tam, gdzie przez 27 lat sprawował posługę Piotrową. czułam delikatny podmuch wiatru na twarzy, gdy kartka za kartka przewijały się stronice lekcjonarza leżące na trumnie Jana Pawła II, by za silniejszym, mocnym powiewem zamknąć je.na wieki. Dziś to wspomnienie po 10 latach jest żywe i bardzo mocne, bo przez te wszystkie lata tak wiele się zdarzyło w moim życiu. Dziś Ojcze Święty proszę, BĄDŹ przy mnie, nas na zawsze. aż do spotkania kiedyś w bezpiecznych ramionach Pasterza. Muszę tu wspomnieć o moich cichych „aniołach" dzięki którym być może już dawno bym się poddała, uległa smutkowi, rozpaczy, chorobie. To moi przyjaciele, przyjaciółki, wspaniali księża, wszystkie ciepłe osoby, które znałam, kochałam, lubiłam. Jedną z nich jest rehabilitant p. Bartek, który mnie „wyzwalał" z bólu fizycznego będącego konsekwencją emocji spychanych w głąb już prawie od poczęcia, kolejna to terapeuta z grupy DDA, p. Roman który natchnął mnie nadzieją na

zmiany, członkowie grupy. Niedawno odkryłam grupę wsparcia DDA, działającą na forum internetowym. Dziękuję wam, za danie mi możliwości wyrzucenia wszystkich, dosłownie wszystkich traumatycznych przeżyć i stanięcie mocniej na nogach w procesie zdrowienia. Dziękuję Tobie Signiora, Lidio, wsparłaś i uczyłaś, jak spotkać i odkryć mam mnie samą. Jeszcze jedną szczególną Świętą jest dla mnie Święta Rita, dzięki której i z którą rozwiązuje moje najtrudniejsze sprawy. Ci Święci, w większości związani są z Włochami, które kocham, które mnie przyciągają jak magnes Byłam w Rzymie, Florencji, Sienie, Wenecji i oczywiście w moim ukochanym. pięknym, górzystym Asyżu, który przecież wybrał „mój" Zdziś
Kogo spotkał Zdzisław na swojej drodze życia, która pozwoliła mu odkryć swoje powołanie służenia Bogu u boku Św. Franciszka z Asyżu i w
w Asyżu

O. dr. Mateusz Korczak OFM Na jego drodze życia stanęli właśnie tacy potrzebni i ważni ludzie: rodzina, nauczyciele, kapłani, koledzy, koleżanki i wreszcie franciszkanie, a wśród nich właśnie o. Mateusz, który dziś dziękuje Bogu, że dał mu wtedy pociągu relacji Kraków - Kielce spotkać i poznać Zdzisia i pomóc mu w realizacji jego powołania. Przypomnijmy Zdzisław wraca z Krakowa do Kielc. Pospiesznym po piętnastej. Długo idzie peronem i wsiada do wagonu klasy drugiej. Ostatnie wolne miejsce w zatłoczonym przedziale zajmuje obok duchownego w czarnym habicie. Duchowny podnosi głowę znad książki. Zdzisław spojrzał księdzu przez ramię, żeby sprawdzić co czyta. Kiedy pociąg rusza, zakonnik prosi, by zamienili się miejscami, bo jest starszy, a od okna wieje. Zdzisław spełnia prośbę i grzecznie pyta w jakim języku jest ten brewiarz.

- Po włosku - powiedział zakonnik - Lubię się modlić po włosku. To najpiękniejszy z języków. Mieszkałem w Asyżu przez trzynaście lat. W Sacro Convento.
- W Sacro Convento?
- W Świętym Klasztorze Braci Mniejszych Konwentualnych.
Duchowny opowiedział, że Asyż to piękne miejsce. Całe z białego i różowego kamienia. Jest tam zielono, ciepło i słonecznie. Można tam znaleźć zajęcie, radość, spokój i stabilizację.
Zdzisław spytał: *- A czy ja bym się nadawał do pracy w tym Sacro Convento?*
- Tam „pracę" dają tylko franciszkanom
- Jak zostać franciszkaninem?
Zakonnik miał świeżo w pamięci zmartwienie umbryjskiego prowincjała: W Umbrii nie ma powołań. Przed powrotem do Ojczyzny obiecał tamtejszym braciom, ze postara się im wysyłać młodzieńców pragnących służyć Bogu i ludziom. Wysłał już kilkunastu.
Pan Bóg ma plany wobec każdego z nas - zakonnik powiedział do Zdzisława. Możemy o tym pomówić. Ale w Chęcinach. Zapraszam. Nazywam się ojciec Mateusz Korczak.
Kiedy po paru dniach Zdzisław przyjeżdża do Ojca Mateusza, by dokończyć rozmowę z duchownym, który wywarł na nim wielkie wrażenie, mówi z wyraźną radością do ojca Mateusza, jak ten wspomina*: Przyjechałem autobusem nr 31 kursującym pomiędzy Kielcami, a Chęcinami. Tak bardzo się cieszę, że Ojciec przyjmie mnie na rozmowę, bo mam coś ciekawego Ojcu do powiedzenia.*
- No zobaczymy, czy moje przypuszczenia, a nawet i ciekawość, jaką wzbudziłeś we mnie tą zapowiedzią przyjazdu i czy mają jakąś zbieżność z twoimi słowami. Co takiego chcesz mi zakomunikować?
Nie wystawiając mnie na próbę cierpliwości, z wielką swobodą oświadczył, że po rozmowie ze mną w pociągu i po serdecznej modlitwie do Pana Jezusa i Matki Bożej, która jest Patronką jego parafii przy ulicy Urzędniczej, zdecydował się wstąpić do Zakonu Franciszkanów, *Tego, w którym zakonnicy chodzą w czarnych habitach, jaki nosił ojciec Maksymilian Kolbe oraz jaki ojciec nosi. Istotnie była to dla mnie bardzo miła niespodzianka, której wyczekiwałem od kilku lat. Od czasu bowiem, kiedy przestałem uczyć w szkole i wyjechałem, mniej czasu poświęcałem powołaniom. Wszakże moją świętą ambicją było zawsze, wyszukanie chociażby jednego powołania zakonnego lub kapłańskiego w miejscowości, w której pracowałem. Stąd troszczyłem się szczególnie o dobrych, licznych ministrantów. Wiem, że z tych "Altar boys" - " chłopców ołtarza" (a po włosku chierichietti) - "małych księżulków" najczęściej wywodzą się dobre powołania kapłańskie i zakonne. Mówiłem Zdzisiowi, że we Włoszech przez trzynaście lat czyniłem takie poszukiwania i bardzo cieszyłem się sukcesem. Przypadkowo udało mi się właśnie zwerbować w szeregi braci kapłanów franciszkańskich jednego żołnierza, którego spotkałem w Asyżu, gdzie przyjechał do Sanktuarium Świętego Franciszka na przepustkę z wojska aż z Neapolu. Pamiętam, że gdy go potem odwiedziłem w Kupertynie jako nowicjusza, powiedział do swego wychowawcy w refektarzu, przy wszystkich współbraciach.* Ojcze, mój mistrzu, gdyby nie ojciec Mateusz, nigdy by mnie tu nie było. Dzięki jego radom i wskazówkom mogłem zrealizować powołanie do zakonu, które od dłuższego czasu odczuwałem. *Michele Pellegrini - tak nazywa się ów "żołnierz" należy dziś do zakonnej prowincji bardzo ubogiej w powołania w Puglii. Później został sam* wychowawcą postulantów, a ostatnio został wybrany prowincjałem.

Zdzisiu z wielką uwagą słuchał mojego opowiadania o odkrywaniu powołań. Zamyślenie uwydatniło się na jego twarzy i w jego oczach. Rozpogodził się, gdy mu powiedziałem: *Zdzisiu - chciałbym i będę się modlił, aby na ciebie Pan Jezus spojrzał z miłością, jak na owego młodzieńca ewangelicznego i tego żołnierza z Puglii i ubogacił cię łaską powołania zakonnego i kapłańskiego. Byłoby to i dla ciebie piękne wyróżnienie, wielka łaska, bo " Nie ma nic wznioślejszego i piękniejszego, jak być kapłanem, sługą Chrystusa, sługą Kościoła".* Warto byłoby też, abyś pamiętał o słowach św. Jana Bosko: *"Syn kapłan jest największym darem dla rodziny"*
A dziś Ojciec Mateusz mówi z wdzięcznością te ważne słowa, które tu jeszcze raz przytoczę:
Dzięki spotkaniu ze Zdzisławem, poprzez moją z nim przyjaźń bardzo serdeczną i głęboką, Pan Jezus hojnie nagrodził wszystkie moje zabiegi i troski o szlachetnych, dobrych, ofiarnych i zatroskanych o dobro doczesne i wieczne pracowników swojej winnicy. W roku 2000 - jubileuszowym, Kongregacja Watykańska do spraw Duchowieństwa wydała dokument, w którym czytamy: *W konfesjonale najłatwiej dostrzec Jezusa, który kieruje do młodych ludzi wezwanie „Pójdź za mną" Takiego człowieka należy otoczyć opieką i pomoc mu w pielęgnowaniu łaski powołania. Każdy kapłan, wspomagany łaską Ducha Świętego powinien troszczyć się, by wzbudzić przynajmniej jedno powołanie kapłańskie, które mogłoby kontynuować jego posługę*
Odkryte powołanie należy otoczyć ojcowską troską. To daje kapłanowi ogromną radość. Nic w tym dziwnego, że wielka radość zapanowała w moim sercu, gdy pewnemu szlachetnemu młodzieńcowi z Tarnowa skutecznie pomogłem w Asyżu kontynuować realizowanie swego powołania w zakonie na 17 lat przed spotkaniem i poznaniem Zdzisia. Dzisiaj ów młodzieniec jest znaczącą osobistością w zakonie i hierarchii kościelnej. Jest on chluba moją w szeregu 19 zakonników i kapłanów, z których Zdzisiu Borowiec, zamyka ten szereg, ale może nie definitywnie. I chociaż liczba 19-stu stanowi poważną liczbę osób, które przygotowywane przeze mnie krócej lub dłużej obrały życie konsekrowane, to wszystko wskazuje na to, że Zdzisław Borowiec miał najwięcej wyraźnych danych na kapłana i zakonnika. Jako duchowny, wielomiesięczny kierownik jego pięknej duszy i pełniący posługę sakramentalną (o którą mnie spontanicznie poprosił już przy drugim spotkaniu), mogłem stwierdzić, jak poważnie podchodził do pracy nad sobą. Zasugerowałem mu, aby odtąd częściej się spowiadał i nawet codziennie przystępował do Komunii Świętej celem lepszego poznania woli Bożej i przygotowania się lepiej do podjęcia decyzji co do upragnionego kapłaństwa w Zakonie św. Franciszka. Z sugestii tej skorzystał w całej pełni. Z podziwu godną dokładnością, przypominał mi, że właśnie mijają dwa tygodnie od ostatniej spowiedzi i prosił mnie, bym go po Mszy świętej wyspowiadał. Dawane mu rady i wskazówki wprowadzał w codzienne życie z największą dokładnością i sumiennością, tak samo spełniał z podziwu godnym *zaangażowaniem i radością wszelkie posługi będąc pomocnikiem murarskim czy malarskim kościoła.* Pewnego dnia, jak rozmawiałem ze Zdzisiem zapytałem go:
Czy wiesz co to jest powołanie? Nie wiedział jeszcze co odpowiedzieć. Powiedział wówczas tylko; Służę Bogu, chodzę na Msze świętą, z mamą. Aż jej kobiety z sąsiedztwa zazdroszczą, bo ich dorośli synowie już na Mszę z nimi pod rękę nie chodzą. W kościele Zdzisław wysyła matkę przed ołtarz, a sam woli stać gdzieś z tyłu, gdzie zwykle stoi więcej mężczyzn. Lubię, gdy Mszę Św. celebruje ksiądz proboszcz. Szanuję proboszcza za skromność i za to, że wielu

kieleckim nędzarzom daje codziennie ciepły posiłek. Poleciłem mu przeczytać z Nowego Katechizmu Kościoła Katolickiego wszystko o powołaniu.
Po tygodniu Zdzisław potrafił już sporo powiedzieć o powołaniu: *To głos Boży, proszę ojca. To umiejętność czytania Bożych znaków. Tajemnica pomiędzy Bogiem, a człowiekiem, który Go słyszy. Bóg wzywa człowieka do życia w jednym z istniejących stanów; małżeńskim, konsekrowanym lub samotnym. Bo samotność także jest stanem proszę ojca. Stan pierwszy i trzeci nie bardzo mi odpowiada. Raczej ten drugi. Takie Bóg ma plany jeśli chodzi o mnie.*
- *Jaki jest twój stosunek do dziewcząt?* - spytał ojciec Mateusz?
- *Mam dziewczynę*
- *To dobrze, bo nie czujesz się samotnym*
- *Jestem jednak za czystością przedmałżeńską, proszę ojca.*
Ojciec Mateusz zamyślił się na chwilę. Potem zaproponował Zdzisławowi pracę przy remoncie kościoła - *Zarobisz na bilet do Włoch.*[1]
Niezwykłe w życiu Zdzisia jest to, że cechy jego charakteru i pewne zdarzenia z życia są jakby odblaskiem postaci Św. Franciszka z Asyżu, gdzie miał realizować swoje powołanie właśnie Zdzisiu.
Niezwykła pogoda ducha, radość życia, skromność, zachwyt pięknem stworzonego świata, bezgraniczne zaufanie Bogu we wszystkich trudnościach i przeciwieństwach, pomoc dla drugich, świadczenie miłosierdzia potrzebującym i wielka żarliwa miłość do Stwórcy nieba i ziemi czyż to nie postawa samego Francesco? A kiedy Św. Franciszek postanawia oddać się na całkowitą służbę w kochaniu miłości, która nie jest miłowana słyszy słowa. *"Franciszku odbuduj mój kościół"* odczytuje je dosłownie i zabiera się do odnowy zniszczonego kościołka w swojej rodzinnej wiosce. Czyż Zdziś nawet i tu nie kroczy śladami Świętego? Kiedy przyjeżdża do chęcińskiego klasztoru o. Mateusz zleca mu pracę nie gdzie indziej tylko przy odnowie zniszczonego w czasie wojny kościoła w chęcińskim klasztorze. I zabiera się do tej pracy z równym zapałem co niegdyś Św. Franciszek. Przez dwa miesiące, aż do Wielkanocy Zdzisław przesiewa piasek, miesza wapno, sprząta. Wynagrodzenie deponuje u o. Mateusza. Do ręki dostaje tylko tyle, co na dzisiejszy bilet do Kielc i na jutro z powrotem do Chęcin. Wypłacanie Zdzisławowi większych sum niesie bowiem ryzyko, że po drodze rozda je żebrakom, nędzarzom albo po prostu zwykłym pijakom na piwo. Uczynił to parę razy z dobrej i nieprzymuszonej woli ku niezadowoleniu ojca pracodawcy. Zawsze po pracy służy Zdziś do Mszy. Lubi śpiewać nawet gdy w kaplicy Św. Leonarda są tylko obydwaj. Ojciec Mateusz karci go wtedy: - *Ludzi nie ma, a ty śpiewasz? Jak to wygląda?*
- *Ale ja chcę* - mówi Zdzisiu i śpiewa.
Kto oglądał film o Świętym Franciszku ten wie, jak ten Święty młodzieniec, dźwigając ciężkie kamienie przy odnawianiu kościółka Św. Damiana śpiewał, a do patrzących na niego mówił; *Kto mi daje jeden kamień ma jedną zasługę, a kto daje dwa, dwie zasługi*
Po Mszy franciszkanin zadaje Zdzisiowi pytania: - *Czy nie boisz się samotności? Kto się boi samotności nie powinien iść do zakonu.*
- Czy nie jesteś krnąbrny? Nieposłuszni nie powinni iść do zakonu. - Czy czyjeś upomnienie nie wprawia Cię w depresję? - Czy lubisz pieniądze? - Czy samemu nie grzeszysz przeciwko czystości? - Czy jesteś pewien, że z pomocą łaski Bożej wytrwasz w stanie bezżenności i czystości przez całe życie? Bo, jak nie, to po co zaczynać coś i nie kończyć. - Więc jak? Jesteś pewien swojego powołania? - Jestem. Na sto procent.

- I chciałbyś do Umbrii?
- Do Asyżu, proszę ojca
- Napiszę do Perugii, do prowincjała.
Potwierdzeniem tego niezwykłego "pokrewieństwa dusz" Św. Franciszka i Gislao są słowa o Mateusza, który wspomina co na ten temat mówił Zdzisiu: *Zdzisiu sam powiedział mi, mówiąc o darze powołania zakonnego, że chciałby spełnić się tam, gdzie Franciszek się narodził, żył i umarł i gdzie spoczywa. Jego pragnienie spełniło się w takiej mierze w jakiej wyznaczył mu Dawca życia Bóg Ojciec i Dawca powołania zakonnego i kapłańskiego - Jezus Chrystus, którego Zdzisio wybrał sobie za jedynego oblubieńca swej czystej duszy.*
Bo będąc w Perugii nie mógł narzekać na brak zainteresowania, szczególnie ze strony płci pięknej. Oto jak opisuje to w swych wspomnieniach o. Mateusz:
Uroda, atletyczna budowa, oczy niebieskie, włosy gęste czesane do góry, klasyczne rysy i niezwykle ujmujący uśmiech, czyniły Zdzisława podobnym do Piotra Georgia Frassatiego, ściągały na niego oczy wszystkich, budziły zainteresowanie pracowników Uniwersytetu, nie mówiąc o dziewczętach; greczynkach, japonkach, chinkach, które (zwłaszcza japonki) chciały się często fotografować z nim, robiły mu nawet ukradkiem portrety „ en face" lub z profilu. Jeden nawet taki portret Zdzisław przesłał rodzicom, z którymi utrzymywał ścisły, serdeczny kontakt przez cały pobyt w Perugii. Zdzisław otrzymał nawet pozwolenie od przełożonego, że może swobodnie każdego tygodnia dzwonić do chorych rodziców, do siostry, chociaż łączyło się to z wielkim wydatkiem. Nie szczędzono mu go, bo wszyscy wyczuli zaraz, że to wartościowy, niezwykle pobożny i pracowity młodzieniec. Liczono na niego. Niezbadane wyroki Boże sprawiły, że miał się stać wkrótce nasieniem, które wyda obfity owoc, jeśli obumrze.
Wiem od profesorów Uniwersytetu dla Obcokrajowców, na którym także studiowałem (ukończyłem te studia dyplomem uprawniającym mnie do nauczania języka włoskiego i wyższej kultury włoskiej) iż początkowo nie wiedziano, że Zdzisiu przyjechał tu nie tylko dla samego nauczenia się języka, ale z zamiarem pozostania tu na zawsze, by pracować jako zakonnik i kapłan. Dopiero później wszyscy dowiedzieli się o tym, kiedy to wspomniane dziewczęta pragnęły go odprowadzać do domu i zapraszać na kolacje. Kiedy bowiem Zdzisław spostrzegł się, że admiracji jest zbyt dużo, ujawnił cel swego przyjazdu na Uniwersytecie w obecności profesora prowadzącego wykłady. Na niewiele się to zdało, jeszcze bardziej go podziwiano i dziwiono się darząc coraz większym szacunkiem i zaufaniem. Pięknie określił postawę i zrozumienie swego powołania przez Zdzisia jego późniejszy włoski wychowawca O. Bernardo Commodi: *To co motywowało jego wybór życia zakonnego u Franciszkanów, było pragnienie poświęcenia się Bogu, słuchania słowa Bożego, bycia użytecznym dla drugich, życia w braterstwie. Był pełen podziwu dla postaci i życia Św. Franciszka i innych świętych, pomiędzy nimi ojca Pio oraz deklarował poważnie chęć zostania świętym. Miał wystarczającą znajomość znaczenia ślubów, które w przyszłości miał złożyć i którymi w pewien sposób już żył; odnośnie ubóstwa, nie objawiał przywiązania do pieniędzy oraz nie miał żadnego rodzaju żądań: odnośnie czystości, potrafił utrzymywać dobre i poprawne stosunki ze swoimi koleżankami z uniwersytetu, także z tymi trochę "przebiegłymi", odnośnie posłuszeństwa, chociaż zawsze wyrażał swoje zdanie, to podporządkowywał się zawsze temu, co zdecydował przełożony.*
Tymczasem, będąc jeszcze w Polsce Zdzisiu przez cały czas pracy przy remoncie kościoła zostaje wieczorem na naukę języka włoskiego. Chce się go

nauczyć jadąc do Świętego Franciszka i Sacro Convento. Oto jak wspomina ten czas o. Mateusz, jego nauczyciel języka włoskiego biegle mówiący po włosku. *Zdzisław wraz z innymi osobami uczącymi się pod moim kierunkiem, zostawał wieczorami na naukę języka włoskiego. Był zresztą bardzo pojętny i sumienny w wyuczeniu się form gramatycznych, konstrukcji składniowych, słówek. Po kilku tygodniach przyszedł do mnie i powiedział: Niech mnie ojciec przepyta, przerobiłem cały podręcznik i przegoniłem tych, którzy już wcześniej zaczęli się uczyć.* Moim marzeniem było nauczenie się języka włoskiego również. I wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że mi się uda. Realizując zaś swoje powołanie nauczycielskie, pedagogiczne, katechetyczne odkryte przeze mnie i podjęte z woli Bożej często odwołuję się do przykładu życia Świętych, moich Świętych. Pokazuję moim uczniom i wychowankom wartość życia chrześcijańskiego na przekór i wbrew beznadziei, która teraz wsącza się do naszych serc. Prowadzę ich tak jak sama byłam prowadzona ku pełni życia, szczęścia, radości. Zachwycam ich Bogiem, a ich małe szczere serca są prawdziwym skarbem, które w miarę moich ludzkich możliwości będę chronić przez zniszczeniem. Nie mogę ocalić ich przez cierpieniem, przed zranieniami w ich rodzinach, ale mogę pokazać im, że można i da się ocalić w sobie wrażliwość dziecka, nawet jeśli doświadczyło się piekła już tu na ziemi. Boże wesprzyj mnie, i prowadź, a Ty Zdzisiu już obwołany „patronem" dla młodych pozwól uratować jeszcze wiele tych małych, skrzywdzonych serc, by utuliły się w ramionach Jezusa, naszego Pana.

3. DECYZJA

Po wielu zmaganiach, upadkach i wzlotach, błądzeniu i odnajdywaniu. musi nastąpić moment, że jest się wreszcie gotowym. Pamiętam chwile, gdy walczyłam ze sobą, zmagałam się z własnym lękiem, opiniami ludzi, strachem jak? Nie dam rady Nie mogę. Musiałam ratować swoje życie, swoje dziecko, wyrwać je z chorej relacji, by ustrzec je przed tym co sama przeszłam. Kiedy jednak człowiek staje w obliczu wyboru i decyduje się na wybór zgodny z sobą, własnym sumieniem wie co musi zdecydować. Pakuje się i wyrusza w nieznane. To są dojmujące chwile. One wyznaczają kierunek naszego życia. Wtedy jesteśmy pewni, nie wahamy się już ani przez moment. Jesteśmy my i jedyny świadek tej chwili – On, który przenika i zna nas do głębi. Nie ma lęku. Przychodzi pewność. Zostaje podjęta decyzja. Ona będzie musiała być potwierdzana kolejnymi wyborami, zmaganiami, walkami, porażkami, ale musi zapaść. Musi się stać, by można pójść dalej. Słynne Pawłowe zawołanie „Uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać muszę" mogę śmiało powtarzać. Zdzisław Borowiec również stanął w obliczu decyzji, która zmieniła jego całe życie i nakreśliła kształt jego śmierci.

Dnia 2 lutego 1997 roku Zdzisław Borowiec pewien swojego powołania podejmuje ostateczną decyzję i wysyła do Ojca prowincjała prośbę o przyjęcie do Zakonu Ojców Franciszkanów w Perugii.

Tak pisze

"Od dość długiego czasu zastanawiałem się nad tym, jaka drogę obrać dla siebie. Modliłem się często, by Bóg pomógł mi wybrać najwłaściwszą z nich.

Doszedłem do wniosku, że ta drogą powinna być wyłączna służba Bogu i ludziom.

Przypadkowo w drodze powrotnej z Krakowa do Kielc spotkałem w przedziale pociągu Ojca Mateusza Korczaka. W trakcie rozmowy z Nim na różne tematy mówiliśmy również o życiu zakonnym.

Postanowiłem wtedy ojcu wyjawić swoje zamiary i pragnienia dotyczące mojego powołania. Podczas wizyt jakie składałem odtąd Ojcu Mateuszowi utwierdzałem się w rozmowach z nim, że Bóg woła mnie do swojej służby.
Za radą ojca Mateusza ciągle modlę się, aby Pan Jezus pozwolił mi godnie odpowiedzieć na Jego wołanie.
Prośbę moją motywuje tym, że pragnę doskonalić siebie i w ten sposób dopomagać bliźnim w dążeniu do świętości. Żywię błoga nadzieję, że Św. Ojciec Franciszek dopomoże mi w osiągnięciu tego celu. Serdecznie pozdrawiam Ojca prowincjała i proszę uprzejmie o odpowiedź. Polecam się modlitwom Najprzewielebniejszego Ojca Prowincjała przed Serafickim Ojcem Franciszkiem.
Zdzisław Borowiec.
Potwierdzeniem jego decyzji nieodwołalnej i zdecydowanej jest refleksja jego spowiednika, przyjaciela, powiernika i opiekuna duchowego, o. Matusza. Mówi on tak: *Byłem przekonany, że Zdzisław wytrwa w swoim powołaniu, bowiem znamionowała go niespotykana wierność słowu danemu ludziom, stałość uczuć. O wierność Jezusowi często się modlił i o to mnie również prosił. Stwierdzałem w nim niejednokrotnie obecność zewnętrznych znaków powołania zakonnego i kapłańskiego. Są one trzy:*
- powołany nie męczy się ani trochę tym co robi,
- sprawia mu wielka radość to, co robi,
- lubi się modlić i żyć w zjednoczeniu z Jezusem Chrystusem, który przez cale życie miał być jego jedynym przyjacielem, a w ludziach, z którymi się spotyka na drodze życia, widzi zawsze Jego oblicze, raz umęczone, udręczone, innym razem opromienione chwałą i zwycięstwem odniesionym nad grzechem, szatanem i złymi ludźmi.
"Francesco" z Polski, Francesco z Kielc wyrusza do Asyżu by spotkać się z tymi, których umiłowało jego serce Świętego Franciszka z Asyżu i Miłość niekochaną, która swym życiem pragnął uwielbić i odpowiedzieć miłością na tę miłość.
Wyrusza w drogę, choć nie wie jeszcze, ze ku wieczności jednak jakby przeczuwa. Zdzisiu się spieszył, jakby wiedział, że ma mało czasu. Jego siostra wspomina; Chciał się szybko nauczyć języka włoskiego, bo jak sam mówił; *Ja nie mam czasu, nie mam czasu*
Nie wie ale jest gotowy na to spotkanie, idzie na nie radosny i pełen pokoju. Choć lęka się czy dochowa wierności, czy wytrwa to zawierza Bogu Ojcu wszystkie swe sprawy i oddaje się w Jego miłosierne ręce.
A kiedy staje przed obliczem Ojca Prowincjała Domenico Foderaro, łapie go za rękaw i prosi, by razem z nim odmówił różaniec. Było to niezwykłe życzenie. Nigdy dotąd żaden młodzieniec nie zachował się tak bezpośrednio wobec przełożonego całej Serafickiej Prowincji Umbrii. Prowincjał spełnił prośbę. A następnie śmiało i odważnie mówi: - *Przyjechałem tu, aby zostać świętym, jak to zrobić proszę ojca?*
- *Zastanowię się* - ojciec Domenico odpowiedział poważnie, bo nigdy wcześniej nie słyszał takiego pytania. I od razu pomyślał: pragnienie Gislao jest tak szczere, że z pewnością doprowadzi go do Chrystusa. Nie przypuszczał, że stanie się to tak prędko Gdzieś tam, nad wzgórzami Sacro Convento cicho pobrzmiewa asyska pieśń która w pełni wybrzmi do końca w trakcie jego pogrzebu
„Przed niewiernością uchroń mnie, Panie
Przyjdź pełnio wiary i wieczna radości
A kiedy noc zakryje me oczy

Bądź moja gwiazdą i rozprosz ciemności”
Pragnę i ja w tym miejscu poprosić o to samo. Wiem, jak boli ta niewierność. Ile kosztuje. I nikt i nic nie jest w stanie zastąpić Boga, bo nasza cześć ziemskiej ‘układanki” pasuje tylko do Jego odwiecznego planu dania nam tego co Bóg ma najcenniejsze, Swoją Miłość. Tylko Jego miłość uszczęśliwia, uspokaja, koi i leczy i nigdy nie złamie nam serca. A ludzie dają nam jej tyle ile zaczerpią z tego źródła i skarbca. Chcę o tym pamiętać i nigdy nie zapomnieć.

ASYŻ – ASSISI – MIASTO DROGI KU WIECZNOŚCI.
TU ZDZISŁAW BOROWIEC, POLAK Z KIELC OCZEKUJE NA ZMARTWYCHWSTANIE I OCZEKUJE NA POWTÓRNE PRZYJŚCIE CHRYSTUSA W CHWALE.

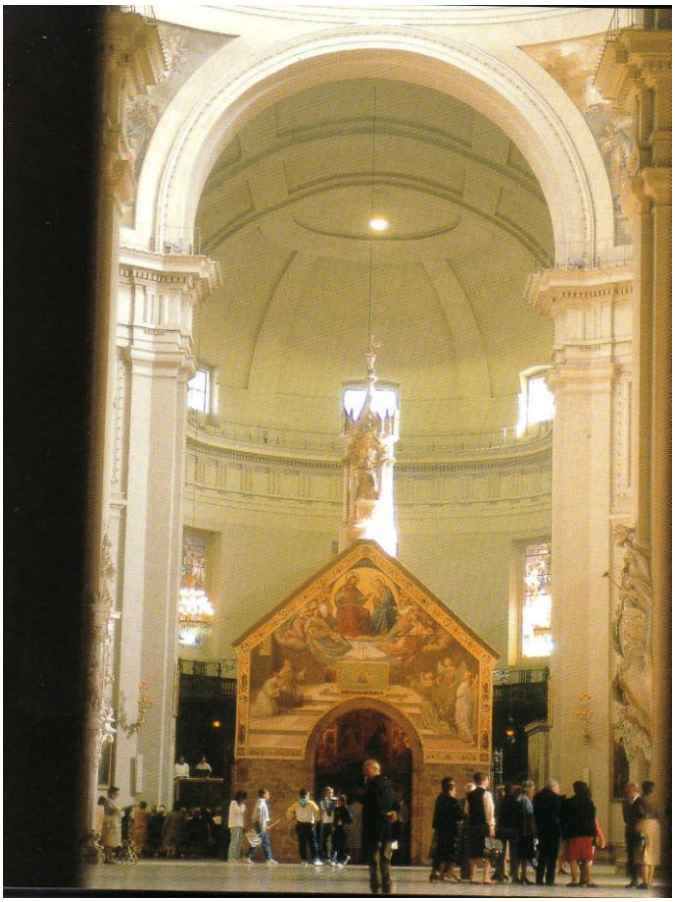

Asyż - Assisi - miasto w środkowych Włoszech, w regionie Umbria. Nazywane przez starożytnych Rzymian - Asisium, a w średniowieczu – (Ascesi) graniczy z gminami Perugii, Gualdo Tadino, Nocery, Foligno, Spello, Bettony, Bastia Umbra. Wodę doprowadzają potoki Chiascio i Topino. Gmina Asyż zajmuje powierzchnię 18000 hektarów i liczy ok. 25000 mieszkańców, z czego ok. 6000 zamieszkuje samo miasto. Asyż zbudowany został na skalistym, zachodnim zboczu Monte Subasio (1290 m n.p.m.) i ograniczony jest od strony północnej głębokim wąwozem potoku Tescio, a od południa rozległą równiną Umbrii. Ważny ośrodek pielgrzymkowy i turystyczny.
Osada znana już w czasach etruskich. Od III w. p.n.e. rzymskie Asisium, posiadające prawa municipium. W III w. n.e. w Asyżu św. Rufin założył pierwszą gminę chrześcijańską. Bardzo interesujące, poza murami miasta, są miejsca, gdzie rozpoczęła się i ukształtowała droga duchowa Franciszka, a potem Klary. Oprócz dużej wartości artystycznej, ogromne jest ich znaczenie religijne. Convento (klasztor) S. Damiano, pierwsza siedziba świętej i jej zwolenniczek, miejsce, gdzie Franciszek napisał „Hymn Stworzenia", wspaniały przykład poezji średniowiecznej, Eremo delle Carceri (pustelnia), schronienie Franciszka i jego pierwszych zwolenników, S. Maria degli Angeli, bazylika z przełomu XVI i XVII wieku, w której znajduje się kaplica Porziuncola, gdzie Franciszek w r. 1208 założył swój Zakon i gdzie zmarł na gołej ziemi wieczorem 3 października 1226. W okolicy Asyżu znajduje się Eremo dei Carceri - pustelnia i grota, gdzie przebywał św. Bernardyn (XV w.).

BAZYLIKA ŚW. FRANCISZKA:

Prace przy budowie Bazyliki św. Franciszka zostały rozpoczęte w 1228 r., zaledwie w dwa lata po śmierci Świętego. Skalisty i nierówny teren, wznoszący się nad doliną potoku Tescio na północy i ponad równiną umbryjską na południu, ofiarowany został Zakonowi Braci Mniejszych przez mieszkańców Asyżu, ale wpisany jest w księgach wieczystych jako własność papieża Grzegorza IX, jako że Reguła franciszkańska zabrania posiadania jakiejkolwiek własności. Z zapisu notarialnego wynika więc, że kościół i klasztor należą do Watykanu.
Miejsce, które w tamtych czasach nazywane było Piekielnym Szczytem ponieważ wykonywane tu były wyroki śmierci, zamieniło się w Rajskie Wzgórze, jako że przechowywane są tutaj śmiertelne szczątki św. Franciszka. Autorem projektu Bazyliki był przełożony generalny Zakonu brat Eliasz di Bonbarone. Wielka energia brata Eliasza, entuzjazm robotników i aktywny udział wszystkich mieszkańców Asyżu umożliwiły wykończenie kościoła dolnego zaledwie w dwa lata. Budowę rozpoczęto 17 lipca 1228 r., czyli następnego dnia po kanonizacji Franciszka. Jest to dwupoziomowa bazylika z kryptą. Bazylika dolna została ukończona w 1230 r. i w niej pochowano św. Franciszka. Romańska wieża pochodzi sprzed 1238 r. W r. 1754 Benedykt XIV nadal świątyni tytuł bazyliki patriarchalnej.
Bazylika św. Franciszka stanowi jedno z najwspanialszych i najbardziej oryginalnych osiągnięć sztuki włoskiej, gdzie imponującej wielkości zewnętrznej godnie odpowiada bogactwo fresków wszystkich najsławniejszych szkół XIII i XIV w. Podwójne wejście we wspaniałym portalu z XIV w. wprowadza do majestatycznego atrium, w połowie którego, po lewej stronie, otwiera się główna nawa bazyliki dolnej.
Chiesa Inferiore (Kościół Dolny), rzymski, spełniał funkcję krypty; w roku 1818 odkryto tutaj ciało Św. Franciszka, które nadal tam spoczywa. Wśród jej skarbów artystycznych, jak gotycki portal, nad którym wznosi się bogato ozdobiona

rozeta, wyróżnia się cappella della Maddalena (kaplica Magdaleny) Poza tym w zakrystii - Sagrestia Segreta zachowane są relikwie Św. Franciszka, między innymi jego odzież, autografy i bulla papieska, którą papież Honoriusz III w roku 1223 zatwierdził regułę Zakonu. Chiesa Superiore (Kościół Górny), stylowo zbliżony do gotyku włoskiego, zadziwia zwiedzających swymi kolorami i światłem. Sklepienie ozdobione jest wspaniałymi freskami Cimabue, a na ścianach cykl 28 fresków przedstawia epizody z życia Św. Franciszka, które uległy całkowitemu zniszczeniu podczas trzęsienia ziemi w roku 1997; dzieło prawdopodobnie Giotta uważane za początek pojawienia się w sztuce włoskiej, nowej koncepcji świata.

ROZDZIAŁ IV
POZNAJĘ TWOJĄ ŚMIERĆ - NARODZINY DLA NIEBA

"*A kiedy, Panie opuszczę ziemię*
Duch mój w Twej chwale dozna radości Wraz ze świętymi o czystych sercach
Już nie opuszczę Wiecznej Miłości"

1. OKOLICZNOŚCI

Asyż, miasto Św. Franciszka czeka na Zdzisława. To przepiękne miasteczko, które urzekło mnie już podczas pierwszej pielgrzymki do Rzymu i ten mały kościółek schowany w dużej Bazylice, kościółek Św. Franciszka i te jego gołębie oraz te róże, które w filmie raniły jego ciało, gdy pragnął cały być tylko Boga. Pamiętam dokładnie każdy fragment asyskiego krajobrazu. Może kiedyś .znowu Pod koniec maja 1997 roku Zdzisław wyjeżdża do Włoch, do Perugii. Tam na Uniwersytecie uczy się, jak już wcześniej wspominałam języka włoskiego, a mieszka w klasztorze Świętego Franciszka al Prato, nr 5, w pokoju na piętrze. Jego wzrok często zatrzymuje się na obrazie, który przedstawiał wnętrze asyskiej bazyliki.

Gislao z każdym dniem i miesiącem mówi po włosku coraz lepiej, dlatego Ojcowie wraz z Ojcem Prowincjałem na czele decydują, że zamiast uczyć się dalej na międzynarodowym uniwersytecie, ma iść na teologię w Asyżu, już od najbliższego października. Oficjalnie wstępuje do postulatu i dlatego dwa tygodnie przed rozpoczęciem roku akademickiego zamieszkuje właśnie w Sacro Convento. Nie wiadomo dlaczego tak wcześnie, nie ma takiego obowiązku.

Wyjeżdża z Perugii w dzień, może dwa dni po rozmowie z prowincjałem razem z nim jedzie o. Bernardo Commodo, który kończy w tym czasie swoją kadencję urzędowania.

Dwudziestego szóstego września 1997 roku, o godzinie 2.33 budzi się na pewno wraz z całą Umbrią. Terremoto - trzęsienie ziemi trwało kilkadziesiąt sekund. Ziemia nie trzęsła się, falowała raczej. Słychać było huk - boato - potężne grzmoty. Ale nie z nieba, tylko z samego środka ziemi grobowy pomruk. Tam skały tarły o skały, kruszyły się, układały na nowo. Przeszło. Natychmiast zapaliły się światła w całym Asyżu. Na licho oświetlone uliczki wybiegli ludzie w nocnych koszulach. Krzyczeli, lamentowali, bluźnili, płakali, dopytywali się o sąsiadów, podawali koce, dzwonili z komórek, mdleli albo biegli; mężczyźni z samochodowymi kluczykami w rękach, kobiety z dziećmi w ramionach. Przerażenie w oczach matki spowodowane terremoto bywa najwyraźniejszym wspomnieniem z dzieciństwa wielu dorosłych Umbryjczyków. Najmocniejszych wstrząsów nie pamiętają tak jaskrawie, jak tego lęku: matka chwyta wtedy dziecko, tuli do siebie z niekontrolowaną siłą i równo z ostatnim wstrząsem ziemi wybiega przed dom szukać ocalenia.

Umbryjczycy wiedzą, że po jednym trzęsieniu ziemi lubi przyjść kolejne. Zwykle mocniejsze. Tamtej wrześniowej nocy do samego rana trąbiły samochody i skutery. Byle szybciej spod średniowiecznych spękanych stropów i z ciasnych stromych zaułków ułożonych piętrami na zboczu góry Subassio. Jak najdalej, by wydostać się na otwartą przestrzeń wielkiej Doliny Spoleto. Tylko nieliczni asyżanie, zwykle starsi, na szaleństwo pozostałych patrzyli zdumieni. Ich twarze nie zdradzały strachu.
Lokalne radio bez przerwy nadawało wiadomości. Spiker prosił, by nie panikować, nie używać wind, nie chodzić po schodach i poczekać do rana, najlepiej poza domem. Podał siłę terremoto: 5,5 w skali Richtera. Po zachodniej stronie miasta, w Sacro Convento bracia wierzyli w stabilność potężnych świętych murów więc nocą nie było tam większego zamieszania. Nie wiemy co wtedy robi Gislao. Może się modli, myśli o tym co się dzieje, rozmyśla o domu rodzinnym, o matce, ojcu, siostrze, o spełnionych pragnieniach swego serca,
Z pewnością rano wkłada papcie. Jest jedynym bratem w zakonie, który je nosi, inni noszą sandały. Bracia wspominają co było rano. Uśmiechnięty, młody Polak usługuje im przy śniadaniu (rozmawia się o terremoto). Kiedy kończy, idzie do kaplicy postulantów, gdzie sprząta okruchy tynku. Mówi wtedy do kolegi postulanta: - *Giuseppe, jestem dumny, że zlecono mi te pracę w miejscu, gdzie codziennie spotykamy Pana.* Te słowa nowicjusz Giuseppe wspomina z namaszczeniem. Inni bracia o Gislao mówią: *pracowity, miły, zdolny, pobożny, molto bravo, molto religio so, molto buona persona. Same gładkie przymiotniki.: wesoły, zdolny, uważny. Uważnie przyjmował sakramenty. Tutto.* Zdzisiu jest tu szczęśliwy, nareszcie szczęśliwy, nareszcie odnalazł swoje miejsce. Jest tu już i zaledwie 10 dni. Dla niego najwspanialszych dziesięć dni bycia blisko Św. Franciszka, zjednoczony z Jezusem, w swoim wyśnionym Sacro Convento Dwa dni przed terremoto dzwoni do matki i mówi jej: *Mamo wreszcie odnalazłem sens życia, jestem spokojny i szczęśliwy.* A rankiem tego dnia prosi jeszcze o spowiedź. Jest gotowy. Gotowy na to, by przeżyć pięknie dzień ze swym dobrym Bogiem i gotowy na to, by umrzeć. Iluż z nas tak żyje, by żyć pełnią życia i być w każdej chwili gotowym na śmierć? " Gdyż w chwili, w której się nie spodziewacie Syn człowieczy przyjdzie." - mówi nam Jezus, *"Czuwajcie i módlcie się w każdym czasie"* Bazylika Świętego Franciszka jest tego dnia zamknięta dla zwiedzających. Przed południem przyjeżdżają dwaj eksperci z Rzymu, aby ocenić skalę zniszczeń w bazylice. Idzie z nimi o. Angelo Api, biegnie za nimi także Gislao.
Pracę ekspertów dokumentuje TV Umbria, kręcą film i na tym filmie można zobaczyć, jak zabija drugie uderzenie terremoto
Oto relacja z odtwarzania tego filmu w domu rodziców Zdzisia, Alfredy i Ludwika Borowców:
Na razie słychać, jak spoza obrazu kamery konserwatorzy spokojnie komentują to, co pierwsze trzęsienie ziemi, dziewięć godzin wcześniej uczyniło w Górnej Bazylice świętego Franciszka
- Na tym filmie za piętnaście minut będzie Zdziś - opowiada Ludwik Borowiec., Kilku konserwatorów, których właśnie oglądamy. przyjechało do Asyżu z opóźnieniem. Do Bazyliki niedostępnej dla zwiedzających weszli przez klasztor od strony dziedzińca Sykstusa IV. Wiemy, że taką drogą poprowadził ich właśnie o. Angelo Api, a wraz z nimi poszedł i Gislao. Nieopodal ołtarza konserwatorzy dostrzegli rysy na wyblakłych "Scenach apokalipsy" mistrza Cimabue. Kamera to pokazuje. Kolejne ujęcie: popękane freski Giotta. Jesteśmy w samym środku

kościoła, przy " Stwierdzeniu stygmatów". stąd widzimy ołtarz. Godzina 11.41. W obraz kamery wchodzi Gislao i patrzy prosto w obiektyw. Jego uśmiechnięta twarz miga w prawym dolnym rogu ekranu. Znika po trzech sekundach. Gislao poszedł w stronę otwartych drzwi.
Godzina 11.42. Obraz nagle się chwieje. Operator TV najwyraźniej chce uciec. Odwraca się więc za Gislao. Ale kamera go już nie widzi, bo nie patrzy w światło drzwi, tylko wyżej. Jest drugie uderzenie. Słychać krzyki.
Spada żagiel krzyżowego sklepienia. Ten ze świętym Hieronimem, ale nie cały od razu.
Najpierw powoli, jakby ktoś z góry, z wielkiej papierowej torby wysypywał cos w proszku. Potem szybciej, gwałtowniej. Wszystko naraz z hukiem wali się na posadzkę. Tony kamieni, cegieł, tynku, coraz go więcej. Ale pierwszy plan wciąż pozostaje czysty, jeszcze widać ławki po obu stronach i freski po bokach. Teraz znikają, bo chmura kurzu błyskawicznie zbliża się do ekranu telewizora. Pył prawie kłuje nas w oczy. Alfreda Borowiec siedzi na wersalce i zasłania twarz
Siostra wspomina ten dzień kiedy dowiedzieli się o śmierci Zdzisia: *O całej tej sytuacji Rodzice i ja dowiedzieliśmy się z telewizji. Informacje były sprzeczne. Wiedzieliśmy, że zginął polski zakonnik. Ja ryczałam w poduszkę. Tata próbował się gdziekolwiek dodzwonić, by się coś konkretnego dowiedzieć. Mama całą noc modliła się na klęczkach. Rano przyszło potwierdzenie. Wiedzieliśmy, że Zdzisia nie ma już wśród żywych. Wszystkim nam było bardzo ciężko, najgorzej jednak zniosła to mama. Postarzała się nagle o jakieś 20 lat. Rozmawiała ze Zdzisiem i o Zdzisiu ze wszystkimi, nawet z obcymi ludźmi, wszystkim pokazywała jego zdjęcia. Bardzo podupadła na zdrowiu i właściwie od tego dnia zaczęła od nas odchodzić - ciągnęła do niego, reszta przestała być dla niej ważna. Jakby jej serce umarło prawie razem z nim. Połączyła się ze Zdzisiem w październiku roku 2003, a za nimi w styczniu 2004 roku podążył nasz Tatuś.*
Dwa tygodnie później ojciec prowincjał Domenico Foderaro pisze do Kielc. *Jego życie i jego śmierć nie zostały bez znaczenia. To był wielki dar dla całego Kościoła i świata.*
Uroczystości pogrzebowe odbyły się 29 września 1997 roku przed Bazyliką św. Franciszka z Asyżu, na placu, gdzie papież Jan Paweł II w październiku 1986 roku modlił się o pokój wraz z przedstawicielami wszystkich religii świata. Mszy świętej żałobnej w intencji tragicznie zmarłych o. Angelo Api OFM Conv, br. Zdzisława Borowca OFM Conv., którą koncelebrowało kilkudziesięciu duchownych, dostojników kościelnych, specjalny wysłannik papieża Jana Pawła II francuski kardynał Roger Etchegaray, biskupi m.in Loreto i Perugi, przewodniczył biskup Asyżu. Homilię wygłosił o. Agostino Gardin OFM, generał Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych z Rzymu.
W czasie trwania uroczystości pogrzebowej wszyscy obecni wysłuchali słów ewangelii Św. Łukasza 23, 44-46. którą pragnę tutaj przytoczyć , gdyż na niej oprze swoje rozważanie o. Augustino wygłaszając homilię tego dnia.
Było to około godziny szóstej i mrok ogarnął całą ziemię aż do godziny dziewiątej. Słońce się zaćmiło i zasłona przybytku rozdarła się przez środek. Wtedy Jezus zawołał donośnym głosem: Ojcze w Twoje ręce powierzam ducha mojego. Po tych słowach wyzionął ducha.
Ojciec Agostino tak tłumaczy okoliczności i wydarzenia śmierci Franciszkanów w świetle usłyszanego słowa Bożego:

Myślę, że nikomu nie uszło uwagi wyjątkowe podobieństwo pomiędzy opisem śmierci Pana Jezusa, który dopiero co usłyszeliśmy, a tragicznymi okolicznościami, w których nasi braci Angelo Api i Zdzisław Borowiec ponieśli śmierć.
Był to piątek, trzy dni temu 26 września 1997 roku o godzinie 12.00, kiedy sklepienie bazyliki pękło na skutek niszczącego i okrutnego trzęsienia ziemi i tumany kurzu i pyłu spowodowały gęstą i długotrwałą ciemność.
Nie wiemy czy z ich ust, z pewnością z ich serca wydostał się okrzyk błagalny do Boga. Potem nastała grobowa cisza. Scena ta przenosi nas jakby dwa tysiące lat wstecz. Trzęsienie ziemi, ciemność, tumany kurzu i pyłu w chwili śmierci Jezusa Chrystusa, Króla i Pana kochającego ziemię, udręczoną ziemię, która On przyszedł wybawić od śmierci i zła przez własną ofiarę z życia oddanego Ojcu w miłości.
A ta udręczona ziemia niejako ciągle „jęczy i wzdycha", bo nosi w sobie ranę zadawaną przez szatana kolejnym pokoleniom wierzących, wszystkim ludziom, każdemu człowiekowi rana ta towarzyszy w ziemskim życiu. Ranę te goi i leczy Ofiara Chrystusa, zawierzenie jego łasce i miłości. Pójście za Jezusem pomaga stąpać po cierpiącej ziemi z pokojem i radością przemieniając ją w oazę życia. Tak czynił Jezus, tak czynili Święci, tak czynił święty Franciszek, ks. Jerzy Popiełuszko, święty Jan Paweł II.
Jednak po 2000 tysiącach lat Bóg przypomina nam znowu, kolejny raz podobną scenę. Ofiara życia ludzi, którzy giną przez rozdzierającą się ziemię, ludzi służących Chrystusowi, biegnących za nim „boso", jak Francesco, pragnących Go wychwalać, poznawać, uwielbiać i nieść braciom. Zatrzymani w biegu, byśmy może otworzyli oczy, spojrzeli przed siebie, gdzie nas wiedzie nasza droga życia. Czy wiedzie nas ku pełnemu zaufania okrzykowi „Ojcze w ręce Twoje oddaję życie moje ducha mego"? Czy jest to krok prowadzący nas ku wrotom piekła, a za nami i wokół nas zostaje ziemia czarna i znękana zniszczona przez kroki tych, którzy wybierają śmierć, nienawiść, zniszczenie? Może to wydarzenie miało nam przypomnieć odwieczne wołanie, byśmy stawali po stronie Boga i Jego miłości, która wyzwala i która, nawet w chwili śmierci prowadzi do pełni życia i szczęścia.
Generał franciszkańskiego Zakonu tak mówi dalej w swojej homilii:
Jeszcze teraz w umyśle skołowaconym i w rozdartym sercu, także na skutek rozległego nieszczęścia jakim było trzęsienie ziemi, rodzą się może tak liczne pytania, a nawet bunt w obliczu tej tragedii spowodowanej zresztą wydarzeniami rzeczywiście nie dającymi się przewidzieć. Rodzi się przede wszystkim pytanie, zwyczajne i nieuniknione w takich okolicznościach dlaczego te dwa życia tak młode zostały przecięte tak niespodziewanie, jak również życie dwóch techników asyskich. Pytania zrozumiałe, pytania trudne : „Lud widzi nie rozumiejąc", jak słyszeliśmy w księdze Mądrości.
Lecz my tu zgromadzeni jako wspólnota wierzących wokół słowa Bożego, które rzeczywiście jest Światłem i Życiem, aby celebrować tajemnicę tamtej śmierci Chrystusa, która włączyła się w pełnię życia, tu my mówimy „tak" w wierze, „tak" pogodne, naznaczone łzami, mimo to silne „tak" którego ani serce zranione ani rozum bez odpowiedzi nie mogą poruszyć.( )
Ten silny okrzyk Jezusa na krzyżu: "W Twoje ręce powierzam ducha mojego" każe nam uznać także, że nasi bracia Angelo i Zdzisław, z Chrystusem i jako Chrystus umierający zostali przekazani w ręce Ojca i oczyszczeni przez Jego miłość spotkali Jego otwarte przyjęcie.

Zresztą możemy zaświadczyć, że istotnie oni, w ich krótkim życiu (bardzo krótkim dla Zdzisława) poznali i rozpoznali Ojca. Jego Oblicze nie będzie dla nich nieznane.
Liczni z nas wiedzą, że ojciec Angelo Api był człowiekiem o silnych i głębokich przekonaniach wiary, która potrafił przekazać swoim uczniom skutecznie, bardziej wiernością i przykładem życia, niż słowem. Znaliśmy go także, jako zaangażowanego syna św. Franciszka z Asyżu, rzeczywiście zadowolonego z powołania, radującego się życiem tu, przy boku św. Franciszka. I jeszcze więcej - chcę tu podkreślić – był oddany całym sercem delikatnemu zadaniu kształtowania przyszłych braci, uważny w najmniejszych sprawach w relacji ze swoimi młodymi postulantami wyraźnie uczestniczący, dzięki swej bogatej wrażliwości, w ich trudnościach i w ich radościach. Człowiek, brat, kapłan „dla drugich" zdolny przekazywać wartości duchowe i ludzkie, a wyrazem tego jego człowieczeństwa był także głęboki przykład przywiązania do swojej rodziny i względem Zakonnej Prowincji Marchijskiej, która utraciła w nim najdroższego brata. Wydaje mi się, że ostatni gest, jaki o. Angelo Api spełnił zanim skonał pod gruzami, jak to zostało poświadczone, streszcza jego życie, zwłaszcza ostatnie dziesięć lat poświęconych kształtowaniu młodzieży zakonnej. Wydaje się zrozumiałe, że zdawszy sobie sprawę, iż nie było możliwości ucieczki przed strasznym zawaleniem się ciężkich kamieni sufitowych bazyliki o. Angelo przycisnął do piersi młodzieńca Zdzisława jakby w ochraniającym uścisku.
A jakże nie wspomnieć ze wzruszeniem tego 22 – letniego Polaka. Zdzisław poznał świętego Franciszka (wcześniej przez osobę ojca Mateusza Korczaka) na tej ziemi umbryjskiej i zakochał się w życiu franciszkańskim, prosząc czy nie mógłby spełnić swojego powołania na brata, w Umbrii.
Zaledwie dziesięć dni po wyjeździe z Perugii, gdzie studiował język włoski, zamieszkał w Świętym Konwencie razem z grupą młodzieńców z różnych narodowości i prowincji zakonnych, którzy przy Świętym Konwencie przygotowują się do nowicjatu przez dwa lata studiując równocześnie filozofię na Wydziale Filozoficzno – Teologicznym filii Uniwersytetu Laterańskiego. Zdzisław cieszył się bo przed dwoma dniami przed śmiercią otrzymał indeks.
Może to zbyt mało czasu, aby poznać go dobrze – ale wystarczająco – powiedziano mi – aby zauważyć w nim wybitną dojrzałość duchową.
Myślę, że właśnie dlatego, że zrozumieli jego miłość do św. Franciszka jego rodzice i siostra zgodzili się, aby jego ciało spoczęło w mieście św. Franciszka – ***jakby milczące, ale wyraźne wezwanie do młodzieży w podjęciu zaproszenia do pójścia drogą wyznaczoną przez Świętego Biedaczynę z Asyżu.( )***
Dziękuję Bogu, że podarował nam Was, Drodzy Współbracia Angelo i Zdzisławie. Dziękujemy Wam, że staliście się naszymi braćmi, umiłowanymi i wspaniałomyślnymi. Pomóżcie nam przejść drogę, która prowadziłaby nas wolnymi od wszelkiej przeszkody na spotkanie z Ojcem. Amen. Kondolencje po śmierci dwóch zakonników franciszkańskich przyszły od wielu ludzi, osobistości, znajomych i przyjaciół, a także od przedstawicieli religii, które w Asyżu modliły się na spotkaniu modlitewnym z Papieżem.
W pogrzebie zakonników uczestniczyło kilka tysięcy osób, w tym przedstawiciele zakonów męskich, żeńskich, władz kościelnych i świeckich, studenci, młodzież szkolna, pielgrzymi i inni wierni z różnych zakątków świata. Trumnę z ciałem Zdzisława Borowca przenieśli zakonnicy franciszkańscy do grobowca Braci Mniejszych Konwentualnych na cmentarzu w Asyżu.

Wszyscy też mogli uczestniczyć w niezwykle pięknej liturgii tej żałobnej uroczystości i to podczas niej wybrzmiał w pełni hymn, który w tak wyrazisty sposób odzwierciedla życie Gislao, pięknego, wiernego pielgrzyma od kieleckiej po asyską ziemię, gdzie dociera do celu życia, do celu życiowej pielgrzymki do szczęścia wiecznego

2. ZNACZENIE.

Tak sobie myślę, czy jest sens szukać znaczenia śmierci tego młodego Polaka, któremu ktoś zasugerował wyjazd do Asyżu, by służyć razem z braćmi franciszkanami Ojcu Niebieskiemu? Czy jest zasadne w ogóle dopatrywać się jakiegokolwiek sensu w tragicznych wydarzeniach, które lepiej by było, gdyby nigdy się nie zdarzyły, bo mogły przecież się nie zdarzyć. Wobec takich sytuacji rodzi się w nas żal i bunt. Taki rodzaj żalu budzi się we mnie na wspomnienie wszystkich tragicznych chwil w moim dzieciństwie, tylu żałosnych świąt, tylu smutnych dni i lękliwych nocy. Po co się to zdarzyło? Dlaczego aż tyle? Dlaczego mnie? Takich pytań przez co najmniej 15 lat mojego życia kierowałam do nieba mnóstwo. Powoli na niektóre przychodzą odpowiedzi, na niektóre jeszcze chyba musze cierpliwie poczekać. To jest ludzkie, że czujemy ból, żal, gniew, bunt. Mamy prawo je czuć, tak jak mamy prawo czuć radość, miłość, ukojenie. Mamy prawo swoje łzy wylewać i pytać Boga, jak mamy to znieść? On znajduje ten, dla nas, niewidoczny sens. Bo Jego Syn czuł to samo gdy umierał na krzyżu. Bóg jednak nie wycofał „operacji" zbawienia dla nas. Przyjął cierpienie, zgodził się na nie.

Również i matka Zdzisia w bólu i udręce, nie mogła się pogodzić z faktem odejścia syna. Zrozpaczona wołała. *Co to za Bóg, który ludziom dzieci zabiera i to w tak podstępny sposób?*

Po tygodniu uspokoiła się; *Zdziś prosto do nieba poszedł. Tylko to, co Bóg robi powinno być bardziej zrozumiałe dla człowieka*. Tak. Wierzymy, ufamy, że dobry Bóg chce bezgranicznego dla nas dobra i szczęścia. Pytamy ciągle o sens, znaczenie śmierci tego młodego człowieka w pełni sił, radosnego, uśmiechniętego, zawsze skorego do pomocy, żarliwego w modlitwie, pragnącego służyć Bogu i innym w zakonie franciszkańskim. Ojciec Mateusz wiedział, jak Zdzisiu pragnął poznać swoje rodzeństwo. Po jego śmierci wybrał się więc sam na poszukiwanie jego bliskich. Oto wspomnienie Wojciecha Tochmana, dziennikarza, który wybrał się w tę podróż z o. Mateuszem;

Jechaliśmy wolno, śnieg zasypał nam drogi. Skręciliśmy z trasy Kraków - Warszawa. Przed zagroda Zofii R. ojciec Mateusz otrzepał śnieg z habitu, przedstawił się i spytał gospodynię, czy nie jest zdziwiona jego wizytą. Była zdziwiona. Wiedziała, że nieznajomy ksiądz musi mieć ważna sprawę, skoro przyjeżdża z daleka do zupełnie obcych ludzi. Zdjęła chustkę, umyła ręce i postawiła czajnik na herbatę. Niespodziewany gość chętnie usiadł i przyglądał się Zofii uważnie;

- A wie Pani, że święci chodzą po ziemi? Wierzy pani w takie rzeczy?

- Może i wierzę

- Trzeba wierzyć. Jeden z nich tak wyglądał - ojciec Mateusz wyjął fotografię - To był pani brat. Bardzo chciał panią zobaczyć.

- Bardzo chciał pana zobaczyć - ojciec Mateusz powiedział do Jerzego, dwie wsie dalej - Ma pan taki sam nos, czoło, uszy i takie samo mocne świdrujące spojrzenie.

- Bardzo chciał państwa zobaczyć - powiedział całej szóstce zwołanej telefonicznie do domu kolejnej siostry; - To było największe pragnienie jego życia.

Dzisiaj żałuję, że wtedy mu nie pomogłem i go wam nie przywiozłem. Był mądry, dobry, przystojny. Oj, piękny był, jak lalka. Nieznajomy franciszkanin opowiedział zebranym o niezwykłym spotkaniu w pociągu relacji Kraków - Kielce.
Tak poznałem Zdzisława, syna rodziny Borowców, która go przygarnęła i dawała miłość non stop.
- Ale i tak zawsze czuł się odrzucony - zakonnik ciągnął dalej - Dziecko już w łonie matki wie, że nie jest chciane.
Kobiety sięgnęły po chusteczki.
- Ja się do niego modlę - ojciec Mateusz zwierzył się przy herbacie - czuję wtedy, jakbym mu kwiaty dawał, jakbym go odwiedzał. Bo on jest święty już przez samo pragnienie. Módlcie się do waszego brata, a będzie wam łatwiej w życiu.
Rodzina Zdzisia, jego bliscy których nigdy nie poznał ani nie zobaczył ujrzała w Zdzisiu kogoś ważnego, bardzo im potrzebnego, świętego, dobrego, delikatnego. Jakżeż serca jego sióstr i braci musiały cierpieć dowiadując się o tym fakcie, ale jakże też mogą czerpać radość, że ich rodzony brat jest już w niebie, i jakże do nich i ich dzieci może przemawiać ten fakt, że był tak zwyczajny, a tak wyjątkowy. Jak bardzo może przybliżać do Boga ten młodzieniec z Kielc, który ocalił swą piękną duszę i złożył ją Bogu w ofierze, radosnym darze wdzięczności za dar życia od Niego otrzymany i przez tyle łask obdarzony mimo cierpienia, odrzucenia, samotności. Zdzisiu odkrył, przeżył i wypełnił wielką tajemnicę, że jego Życie było darem, który ze swej natury chce się stać dobrem ofiarowanym. Jak pisze o. Marian Tolczyk OFM Conv Taki dar Bóg dał w osobie Zdzisława Borowca, postulanta naszego Zakonu i wypowiada po raz kolejny te ważne słowa.
„Jego życie i jego śmierć nie pozostały bez znaczenia".
Borowcowie zdecydowali, że ich syn zostanie na zawsze blisko świętego Franciszka. Tak chciał - tam jest wśród swoich. Nie byli na pogrzebie, nie mieli wtedy ani paszportów, ani pieniędzy na podróż. Grób Zdzisława odwiedzili po roku, razem z przyjaciółmi swoimi i Zdzisia. Ze strony oo. Franciszkanów towarzyszył im o. Włodzimierz pracujący wówczas w Chęcinach.
Po pogrzebie Zdzisława Borowca, postulanta, ojciec Domenico Foderaro - przypomnę - przełożony franciszkańskiej Prowincji w Umbrii, napisał do współbraci w Polsce; *Pod gruzami sklepienia bazyliki Górnej zginął nasz postulant Zdzisław Borowiec, a wraz z nim brat Angelo Api z prowincji marchijskiej - rektor Postulatu w Asyżu. ( )*
Teraz Gislao jest obok Pana i wstawia się tam nieustannie o nowe powołania.( )
Została po Zdzisławie pamięć jego najbliższych; rodziny i współbraci franciszkanów. Zostało tez puste miejsce. Czy znajdą się tacy, którzy je zajmą? Czy znajdą się rodzice i dziadkowie, którzy swoim dzieciom i wnukom ukażą piękno i potrzebę przyjęcia powołania kapłańskiego i zakonnego. Czy będą tacy, co chętnie ofiarują Bogu całe swoje życie?[1]
Mało tego, zostało i jest żywe, prawdziwe przekonanie wielu ludzi o świętości tego młodego człowieka z Kielc i przeświadczenie, że jest on patronem na współczesne czasy dla młodych ludzi szukających drogi do Boga w dzisiejszych trudnych czasach, w których przyszło nam żyć. Takie przekonanie „dotknęło" i mnie dlatego postanowiłam razem z nim przemierzyć drogę jego życia i mojego życia. Mnie też były potrzebne te chwile refleksji, zejścia „w głąb siebie" by poszukać odpowiedzi Kim jestem? Czego chcę? Co ma być sensem mojego życia?

Promienieje on łagodnym odblaskiem świętości, bliskości Boga na nasze czasy. Ktokolwiek poznaje historię życia Zdzisława i okoliczności jego śmierci ulega właśnie tej pewnej fascynacji, oczarowaniu jego osobą, pragnieniu poznania tego człowieka. Budzi on zachwyt, że mimo takiego życie jakie miał potrafił ocalić w swoim sercu dobroć, łagodność, zawierzenie Bogu. I że swoje młode życie tak gorąco pragnął ofiarować na służbę Bogu i ludziom. On chciał konkretnie codziennie dawać innym poczuć, że wszyscy jesteśmy ukochanymi dziećmi Boga, że On o nas wszystkich się troszczy. I zachwycał wszystkich, którzy go poznawali swoją postawą radosnej ufności, łagodnego przeżywania życia, zdecydowania i odważnego zawierzenia Bogu. Zadziwia też postawa Zdzisława względem tak dziś straszliwie deptanych wartości jak czystość, wierność, miłość prawdziwa, przyjaźń i wiara Bogu i w Boga. Daje on przykład wielu młodym ludziom tak strasznie dziś pokaleczonym przez brak czystości, brak miłościod samego poczęcia, brak zaufania do ludzi panoszącego się wszędzie egoizmu, nienawiści, przerażającej “cywilizacji śmierci”, szalonego “wyścigu szczurów. Stanowi on przykład, że modlitwa pomaga ubogacić życie, że przywiązanie do pieniędzy nie da nam pełni szczęścia, że obecność innych dobrych ludzi potrafi uleczyć rany zadane przez innych, nieodpowiedzialnych, okrutnych. Że codzienna Eucharystia i dziękczynienie Bogu za jego dary codziennie udzielane nam pomaga znieść ciężar życia, obowiązków, relacji z drugimi. Dziękuję Ci Zdzisławie. Pomogłeś mi. I mam pewność, że pomożesz jeszcze wielu wielu innym, którzy zetkną się w swoim życiu z ciężkimi krzyżami, a z Tobą poniosą je z wiarą i odwagą w życie. Od krzyża nikomu nie da się uciec, ale można go zrozumieć, przyjąć i zaakceptować, by zamiast przygniatać wznosił nas ku niebu.

Młode życie Zdzisława Borowca przyjęte przez niego z całym bolesnym ciężarem, ofiarowane w Asyżu promieniuje na świat delikatnym odblaskiem świętości, jakby cichym wołaniem, że takich młodych, pięknych, czystych, odważnych, pracowitych, radosnych ludzi potrzebuje współczesny świat targany tyloma konfliktami rodzącymi się z nienawiści, braku przebaczenia, zadawania ran i deptania innych.

3. ODBLASK ŚWIĘTOŚCI

Świętość Boga jest niezmienna od wieków. Tylko On jeden jedyny prawdziwie Święty, błogosławiony, cały tak wspaniały jest Źródłem wszelkiego błogosławieństwa i świętości.

Nasz święty Jan Paweł II, którego wraz z chwilą śmierci Kościół obwołał Santo Subito – „Święty od zaraz” przenikał i rozpoznawał czym ona jest, że powołani do niej jesteśmy wszyscy, cały Kościół Chrystusowy.

Święci, jak zauważa Papież — «chronią Kościół przed miernością». Nigdy, także i dzisiaj, nie brakuje pokus, skłaniających nas do mierności. W atmosferze coraz większej obojętności religijnej, wobec niebezpieczeństwa zaniku wartości, także na płaszczyźnie etycznej, oraz pojawiania się tak wielu nowych idoli wierzący mogą w sprawach życia i wiary godzić się na łatwe kompromisy, na rozwiązania nie zawsze całkowicie zgodne z Ewangelią; w pewien sposób hołdować nowym idolom i w konsekwencji prowadzić «mierne» życie chrześcijańskie. Najskuteczniejszym antidotum na tego rodzaju mierność jest bez wątpienia świadectwo świętych. Podstawą ich egzystencji, zgodnie z żelazną logiką Ewangelii, stało się naglące zaproszenie do postępowania zgodnie z «'wysoką miarą' zwyczajnego życia chrześcijańskiego Szczególnie wymowne są słowa bł. kard. Schustera, arcybiskupa Mediolanu: «Ludzie nie dają się już przekonać

naszym kazaniom, lecz w obliczu świętości — jeszcze wierzą, jeszcze klękają, jeszcze się modlą. Gdy przechodzi święty, żywy czy zmarły, przychodzą wszyscy. Diabeł nie lęka się naszych stadionów sportowych, naszych kin; on boi się naszej świętości. Błogosławię wam. Bądźcie święci. Papież skierował do młodych w Orędziu na XV Światowy Dzień Młodzieży 2000 r.: «Młodzi wszystkich kontynentów, nie lękajcie się być świętymi nowego tysiąclecia!" Słowa te odnoszą się do wszystkich, którzy mają młode serca, niezależnie od wieku, a zatem do nas wszystkich, którzy w chrzcie zostaliśmy odnowieni wieczną młodością Ducha.

W obliczu przytoczonych niezwykłych słów Jana Pawła II, który sam osiągnął szczyty świętości, widzimy Zdzisia, jego życie, jego postawę i możemy zdecydowanie powiedzieć, że ten młodzieniec jest takim szczególnym odblaskiem Boga dla nas.

O swoim zachwycie Zdzisławem mówili wszyscy, których w tej książce cytowałam. Ci którzy go znali, rozmawiali z nim, mieszkali. Jego nauczyciele, rodzice, siostra, kapłani, współbracia, przełożeni, przyjaciele w tym o. Mateusz Korczak. O swoim zainteresowaniu życiem Zdzisława mówią także Ci, którzy poznali go już po jego śmierci i również ulegli temu zachwyceniu. Oto jak o tym mówi brat Konrad Stanisław Kempa FZŚ z Kędzierzyna

Jak doszło do zainteresowania się postacią śp. Zdzisława Borowca. Dlaczego ta postać jest mi bliska i od jakiego momentu stała się obiektem mego szczególnego zainteresowania.

Od chwili ostatniego trzęsienia ziemi, które tak okrutnie dotknęło kolebkę franciszkanizmu - Asyż, samo to wydarzenie jak i niespodziewana śmierć zakonnika oraz śp. Zdzisława - Polaka - kandydata na zakonnika wywarły na mnie duże wrażenie i wyzwoliły szczególne emocje. Już wtedy pomyślałem sobie, dlaczego Boże akurat tego młodzieńca zabrałeś do siebie, przecież byłby z pewnością potrzebny do służby Twojej tu na ziemi, bo ciągle mało jest powołań, a świat jest coraz gorszy. Żniwo wprawdzie wielkie, a robotników mało.

W niebie zatem jak zwykle sielanka, wieczna szczęśliwość, istnienie bez problemów Miałeś chyba taki zamiar, by tym młodzieńcem posłużyć się dając go młodzieży współczesnej jako wzorzec do naśladowania w tych trudnych czasach morderstw, wojen, terroryzmu, narkomanii, zniewolenia i dewiacji seksualnych. Pobudziłeś nasze wyobraźnie i sprawiłeś, że zaczęliśmy się tym młodym człowiekiem interesować. Współczesny świat potrzebuje wzorców do naśladowania, a jak na razie za mało ich mamy. Ostatni młodzieńcy godni naśladowania to Piotr Frasatti, lub Dominik Savio, a z polskich to chyba św. Stanisław Kostka, lecz to wzorce z dawnych lat, a Zdzisław może być współczesnym przykładem do naśladowania. Swoim życiem i uporem w dążeniu do dobra i doskonałości dał nam wiele dowodów, aby się nim w szczególny sposób zainteresować, tym bardziej, że dał nam przykład do naśladowania.

( ) Po przemyśleniu doszedłem do wniosku, że jeżeli w tak młodym wieku Bóg powołał Go do wieczności i do swojej służby wśród Aniołów to tylko dlatego, aby był on dla nas kolejnym, nie tylko przykładem do naśladowania, ale w przyszłości naszym orędownikiem u Boga w każdej potrzebie. Tak bowiem rodzą się słudzy Boży i Święci. Wierze w to mocno. Wierzą wszyscy członkowie naszej wspólnoty modlitewnej III Zakonu. Wierzy w to o. Mateusz Korczak oraz ojcowie i bracia z Perugii i w Asyżu, między którymi przebywał śp. Zdzisław (Gislao), jak go nazywali w języku włoskim do ostatnich chwil jego ziemskiego życia. Tak więc ideę upowszechnienia tej osoby chcemy w przyszłości wszcze-

*pić polskiej młodzieży. Myśli moje w tym momencie zbiegły się z myślami o. dr. Mateusza Korczaka OFM Conv wielkiego orędownika wyniesienia w przyszłości śp. Zdzisława Borowca na ołtarze. To nie do wiary, aby dwoje ludzi nieznanych sobie, z odległych krańców Polski i bez porozumienia, pomyślało o tym samym i to w jednej chwili. To musi być jakieś zrządzenie boskie i boskie planowanie. To musi wywierać wrażenie i dawać powody do refleksji i zastanowienia. Bóg tym wszystkim z pewnością kieruje. Zdaje sobie sprawę, że proces uwierzytelnienia i dojścia do zatwierdzenia przez Kongregację ds. Świętych jest bardzo długi, lecz nie wątpię, że kiedyś moje pragnienia oraz dążenia o. Mateusza będą zrealizowane. Nie będziemy ustawać w modlitwach i myślach, aby ziściło się nasze marzenie o rychłe wyniesienie śp. Zdzisława na ołtarze.*Ojciec Mateusz Korczak rzeczywiście jest mocno przekonany, że Zdzisław Borowiec w szczególny sposób dosięgnął już nieba i świętości. Podczas homilii wygłoszonej w Kielcach tak mówi o Zdzisławie:

Przyjechałem tu nie tylko z potrzeby serca, które przepełnione jest wdzięcznością dla mieszkańców ziemi kieleckiej, a szczególnie tego, którego miałem naprawdę szczęście poznać, będąc mieszkańcem królewskiego miasta, jak nazywano i czasem nazywa się Chęciny. Dla Zdzisia pragnąłem szczęścia, jakie przepełnia serce moje na myśl o łasce powołania do zakonu i Chrystusowego służebnego kapłaństwa, o którym marzył Wasz rodak.

Obliczyłem, że biorąc pod uwagę dwa lata postulatu, w czasie którego kandydaci studiują filozofię, jeden rok nowicjatu i cztery lata teologii (razem siedem lat), mielibyście w tym roku prymicje swojego kapłana - parafianina, duchowego syna Świętego Franciszka.

Bóg pokierował inaczej jego życiem i skrócił mu czas potrzebny na związanie się z Nim najściślejszym węzłem przyjaźni poprzez Sakrament kapłaństwa.

Jedno jest pewne, że spoczęło na nim błogosławieństwo, jakie zapowiedział Św. Franciszek tym, którzy zachowują regułę, którą ułożył dla Braci w 1209 roku, utkaną z najpiękniejszych tekstów Ewangelii.

Zdzisiu Borowiec jest godny, by być w niebie, bo „dał się porwać w sieć miłości" Pana Jezusa i Świętego Franciszka.

Papież Paweł VI, przemawiając do Franciszkanów 24 czerwca 1978 roku, podkreślając rolę zakonu franciszkańskiego dla Kościoła i świata, bo święty Franciszek jest świętym kochanym przez cały świat, przytoczył na koniec obietnicę, jaką dał święty Franciszek wszystkim, którzy zachowują ten nowy sposób życia przez niego realizowany i polecony tym, którzy pragną wstąpić w jego ślady:

„ A ktokolwiek to zachowa, niech w niebie będzie napełniony
Błogosławieństwem Ojca najwyższego, a na ziemi błogosławieństwem Umiłowanego Syna Jego z najświętszym Duchem Pocieszycielem."

Mocno wierzę, w oparciu o słowa Chrystusa, że ta szlachetna latorośl, przesadzona z ogrodu, którym była Parafia Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny do Sanktuarium Św. Franciszka w Asyżu, jest już w niebie. Na prymicje zatem już nie przyjedzie, ale jeżeli będzie taka wola Boża, i będziemy się o to modlić, może zjawi się wśród nas pewnego upragnionego dnia.( )

Jego ciało - mieszkanie duszy tęskniącej za Bogiem i żyjącej w zjednoczeniu z Nim na co dzień - wykopane spod zwałów gruzu zawalonego sklepienia bazyliki Górnej św. Franciszka, po uroczystościach pogrzebowych na Dolnym Placu Bazyliki św. Franciszka, złożono we franciszkańskim grobowcu poza murami starego Asyżu, oczekuje na zmartwychwstanie, ta nasza polska „perła czystości"

„W kwiecie młodości radosnej i czystej
Franciszkańskiego życia obrał drogę
Chcąc Jezusowi oddać się Na zawsze,
Żyć tylko Bogiem
Żarem miłości i świętym weselem zawsze promieniał”
(Hymn z godziny czytań na święto świętego Feliksa z Cantalice + 1587)
Te słowa w pełni oddają osobowość Zdzisława, jego umiłowanie czystości, dobroci, niewinności i jego wielkie zawierzenie Bogu swego życia. Jego postawa była jasna i zdecydowana. Przede wszystkim chciał dotrzymać wierności Bogu i zasadom, które z tej wierności wypływają, a w szczególności wierność danemu słowu ludziom. W tym miejscu pragnę przytoczyć wypowiedź prowincjała Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych Serafickiej Prowincji Św. Franciszka z Umbrii, o. Bernardo Commodi dokumentującą tę właśnie zgodność pomiędzy słowem, a czynem widoczną tak przejrzyście u postulanta Zdzisia: *Gdyby Zdzisław nie zginął tragicznie z powodu zawalenia się sufitu Bazyliki Górnej św. Franciszka teraz byłby już profeserem wieczystym i kapłanem Kościoła katolickiego. Jestem tego pewien, ponieważ w czasie trzech miesięcy, w których byłem jego kierownikiem duchowym dojrzało we mnie przekonanie, że Pan wezwał go rzeczywiście i sprawdziłem, że jego pragnienie poświęcenia się Bogu jako kapłana franciszkanina znamionowały niezbędne wymogi ludzkie i duchowe jak również nadzwyczajną chęć osiągnięcia celu.*
Dzisiaj, kiedy jestem prowincjałem Prowincji Św. Franciszka serafickiego w Umbrii, byłbym nader radosny mając do dyspozycji Zdzisława i umiałbym docenić lepiej jego talenty (wiarę, przejrzystość, udzielający się otoczeniu entuzjazm, zdecydowanie i inteligencję, postawę przewodnictwa itd.) dla ulepszenia naszego życia franciszkańskiego i jakości naszych posług duszpasterskich. Prosiłbym także o wybaczenie niezasłużonej nagany, jakiej udzieliłem mu, gdy był w Perugii. Była, zdaje się, sobota 2 sierpnia 1997 roku. Zdzisław poprosił mnie, czy nie mógłby uczestniczyć w kolacji z przyjaciółmi z klasy ze swego kursu językowego. Pozwoliłem mu, ale kazałem mu przyrzec, że wróci do klasztoru na 23.00.
Słyszałem, jak wchodził do swego pokoju o 24.00. Rano poprosiłem go do siebie i zrobiłem mu wymówkę za to, że się spóźnił. Lecz z rozmowy wynikła zupełnie inna prawda; zanim wrócił do pokoju poszedł do kaplicy i pozostał na modlitwie przez godzinę. Nawet tego dnia, chociaż było późno nie chciał wyrzec się spotkania osobistego z Panem Jezusem, które odbywało się u niego pomiędzy godziną 21.00, a 22.00.
W Italii jest przysłowie mówiące żartobliwie. „Kiedy się rodzą wszyscy są piękni, kiedy umierają wszyscy są dobrzy”.
Mogę powiedzieć z całą pewnością, że to przysłowie nie odnosi się do Zdzisława. On rzeczywiście był dzielnym młodzieńcem, a ja miałem szczęście go poznać.
W liście kondolencyjnym do Rodziny Zdzisława o. Prowincjał Domenico Foderaro w imieniu wszystkich Braci Mniejszych Konwentualnych Serafickiej Prowincji Umbryjskiej Świętego Franciszka pisze słowa, które chcę przytoczyć na zakończenie, że istnieje niezachwiana pewność, pewność wiary, ludzi, którzy poznali Zdzisława Borowca o jego szczególnym umiłowaniu i osiągnięciu świętości. Oto jego słowa: ( )*Jesteśmy blisko Was w tym bolesnym momencie. Z Wami chcemy również otrzymać pocieszenie od Pana Boga naszego Ojca, który daje nam*

pewność, że Zdzisław jest w miejscu błogosławionym razem z Nim. Zdzisław w krótkim czasie przeszedł drogę, dochodząc do niebieskiej ojczyzny.
Zdzisław przybył do Włoch pomiędzy nas z pragnieniem poświęcenia się służbie Panu Bogu w rodzinie zakonnej franciszkańskiej, aby „stać się świętym". Podczas ostatnich miesięcy, które przebywał w Perugii, zawsze dawał znaki, aby iść tą drogą, podchodząc do obowiązków bardzo poważnie ze stałością i radością.
16 września wstąpił do postulatu w Asyżu z wielkim entuzjazmem, wieloma pięknymi projektami godnymi duszy wybranej przez Boga. Śmierć nie przerwała czy nie zniweczyła tego programu świętości naszego Zdzisława, lecz doprowadziła Go do wypełnienia tegoż w krótkim okresie czasu. On na pewno jest już w raju i modli się za Was i za nas, teraz jest bardziej blisko nas i Was.
Wychwalamy, błogosławimy i dziękujemy Bogu za Zdzisława i pamiętamy o nim z wielkim uczuciem radości. Jego życie i jego śmierć nie zostały bez znaczenia. Były i są wielkim darem dla Kościoła i dla świata.( )
Wierzę w to mocno również i ja. Podkreślam to kolejny raz. Wpływ jaki wywarł na moje życie Zdzisław Borowiec jest bardzo głęboki i myślę, że w całości tej książki uwidoczniony. A tobie zaś drogi Czytelniku gratuluje dojścia aż dotąd bo to oznacza, że również i w tobie żywe są pragnienia odkrycia siebie na nowo i podążania w swoim życiu za tym co piękne, dobre i słuszne. Pełni więc tego radosnego przekonania prośmy i my Zdzisława o wstawiennictwo w naszych sprawach i intencjach u dobrego Boga, by nasze życie chrześcijańskie było radosne, pełne miłości i wiary mimo prób, cierpień, zwątpień i działania mocy złego. Chrystus zwyciężył śmierć, szatana i grzech, który rodzi smutek przez cierpienie ofiarowane z niewyobrażalnej miłości. Dlatego zaufajmy Chrystusowi, powierzmy swoje życie i kroczmy z radością i pokojem drogą wyznaczoną nam pod niebem. Bo wszystko ma sens. W Bogu wszytko ma SENS. Byśmy podobnie, jak Zdzisław mogli wyśpiewać Bogu tę pieśń życia, pieśń uwielbienia, pieśń ofiarowania, swoją pieśń życia i nie lękali się pragnąć i stawać się świętymi każdego dnia.

„Weź moje życie"

Weź moje życie, zabierz je Panie
I niech w mym sercu zapłonie Twój ogień
Moje jestestwo niech żyje dla Ciebie
Bądź moim Panem i Królem i Bogiem
Pozwól me życie Tobie ofiarować
I niech twe światło przede mną jaśnieje
Bo pragnę Panie za Tobą podążać
W tym podążaniu odnajdę nadzieję
Źródło życia, pokoju i miłości
Wołam do Ciebie nocą i dniem!
Tyś mi jedynym dobrem mej duszy
Bądź mi oparciem i prowadź mnie
Przed niewiernością uchroń mnie, Panie
Przyjdź pełnio wiary i wieczna radości
A kiedy noc zakryje me oczy
Bądź moją gwiazdą i rozprosz ciemności
A kiedy, Panie opuszczę ziemię
Duch mój w Twej chwale dozna radości
Wraz ze świętymi o czystych sercach

Już nie opuszczę Wiecznej Miłości.
Oto jutrzenka nowego dnia
Wschodzące słońce niebo rozjaśniło
Chrystus się zbliża, czemu się smucić
Podnieśmy głowy, Pan naszą siłą!
Pieśń wyśpiewana podczas uroczystości pogrzebowych Zdzisława Borowca w Asyżu

EPILOG,
czyli o życiu, które się nie kończy. O wierze, która przemija ale nie umiera. O nadziei, która wzrasta nawet mimo cierpienia i o miłości Bożej, która tylko zostanie i która nadaje światu, daje człowiekowi sens i początek w Bożym świecie. I o słowach, które wypowiedziane przez świętych zostają, trwają i prowadzą tych co ciągle jeszcze pielgrzymami są na tej ziemi oraz o tym co łączy Kielce i Asyż i o mnie słów kilka

Kiedy kończyłam pisać o Zdzisiu tę książkę przeżywaliśmy akurat w Polsce X Dzień Papieski, którego hasło brzmiał: „Odwaga świętości" i na plakatach ukazujących ten dzień widniały trzy postaci, tak dla Polski ważne i tak przez nas znane, podziwiane, umiłowane i których życiorysy, słowa, przewodnictwo, ofiara z siebie są nam dobrze znane. Te osoby to: Jan Paweł II, nasz ukochany Ojciec Święty, Wielki Polak, kardynał Stefan Wyszyński – przewodnik Narodu Polskiego i ogłoszony w tym roku błogosławionym Ks. Jerzy Popiełuszko, kapłan i męczennik czasów zniewolenia komunistycznego w Polsce.

Łączy ich tak wiele ale każdy z nich żył odważnie w codzienności, w której ziemia po której stąpali krwawiła od przelewanej polskiej krwi, mokra była od łez cierpiących ludzi, jęczała od lęków i kaźni obozów koncentracyjnych, szalejącej Służby Bezpieczeństwa, zniewolona i tłamszona przez stalinowski reżim. Po ziemi, która im samym rozdzierała serce, gdy zabrakło matki, ojca, przyjaciół, pomocy, Ileż osobistego cierpienia przeżyli Ci Ludzie Osierocony Karol Wojtyła, postrzelony i cierpiący Jan Paweł II, uwięziony, samotny kardynał Stefan Wyszyński, nękany, śledzony, oskarżany, a wreszcie nikczemnie i bestialsko torturowany i zabity ks. Jerzy? Oni są dla nas żywym świadectwem cierpiącego Boga, ukrzyżowanego, osądzonego, cierpiącego, ale też i Boga zwycięskiego, kochającego, Zmartwychwstałego, który, jeszcze raz powtórzę, tę zbolałą ziemię przyszedł odkupić własną Krwią i przemienić swą niepojętą miłością. Ci ludzie idąc przez życie przemieniali świat, w którym żyli na możliwszy, lepszy, prawdziwszy, szczęśliwy, radosny. Mówili o miłości Boga i nią żyli i za nią swe życie oddawali. Czy skoro już ich nie ma wśród nas, odeszli na zawsze? Ich dar życia miał sens tylko kiedy żyli, działali, modlili się, pracowali, cierpieli, radowali się? Nie stale żyjemy w ich obecności, bo oni trwają w Bożej obecności i świadczą, że tak oto trwają te trzy przymioty boskie; Zatem wiara, nadzieja, miłość. Z nich zaś największa jest miłość"[1]

Bóg żyje, a moce piekielne go nie pokonają. Bóg jest Miłością. Nie pokonają też człowieka zanurzonego w Bogu, zanurzonego w cierpieniu, które człowiek przezwycięża mocą Bożej łaski i radośnie przezywa dzień po dniu, radując się pięknem świata, cudownymi górami, smakami, wiatrem, przebywaniem z innymi, uśmiechem. Ci, co odeszli do Ojca są z nami i dziś, w naszej rzeczywistości, w naszym życiu narodowym i osobistym.

Kiedy dokonuję redakcji całości książki minęło już 5 lat. Jest rok 2015. Byłam świadkiem kanonizacji Jana Pawła II, tego poczucia naszej ogromnej narodowej

dumy z przynależności do tego wielkiego Polaka. Doświadczyłam również tej niesamowitej tragedii jaka dotknęła nasz naród w chwili rozbicia się naszego rządowego samolotu z tyloma naszymi rodakami wraz z parą prezydencką na pokładzie w dniu, w którym pojechali uczcić rocznicę mordu polskich oficerów w Katyniu. Widzę codziennie, jak w naszym kraju walczy się o „rząd dusz", by zniszczyć wartości chrześcijańskie tak już zdeptane w całej Europie. Na moich oczach na świecie legalizowane są ustawy o aborcji, eutanazji, związkach partnerskich, możliwości adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Wprowadza się deprawację dzieci i młodzieży w majestacie prawa w duchu filozofii gender.
W moim osobistym życiu doświadczyłam plagi, która dziesiątkuje katolickie rodziny w Polsce i na świecie, rodziny w ogóle, braku więzi, uwikłania w nałogi, pogubienia wartości, rozpadu mimo prób ratowania rodziny. Musze zgodzić się i zaakceptować to cierpienie choć to bardzo trudne. Nie mogę jednak i nie chcę godzić się na tak rażące przykłady deptania wartości chrześcijańskich, Ewangelii, braku szacunku do Boga i ludzi Jemu służących. Dlatego przykład Zdzisia jest dla mnie istotnym elementem w daniu przeciw wagi złu, w myśl zasady „Zło dobrem zwyciężaj"
Odwaga życia na co dzień zasadami Ewangelii, Bożej miłości i oddanie się, zawierzenie Maryi Matce i Królowej, to widoczne znaki otwarcia na życie z Bogiem i osiągania świętości.
W swoim ostatnim liście wysłanym do rodziców, do Kielc Zdzisław Borowiec pisze do ojca: *„Nie tęsknij za mną, bo jeśli Ty wierzysz i ja wierzę, to jesteśmy jednością, jakbyśmy przebywali w tym samym miejscu."*
Jest czymś pewnym, że tak wierzy i myśli człowiek głębokiej wiary, pewnej nadziei, czystej miłości, zdający sobie sprawę z Bożego przenikania w każdym z nas, Bożej obecności jednoczącej mimo oddalenia, mimo czasu, mimo różnicy pochodzenia z kraju tego czy tamtego, a także mimo oderwania od świata jakim jest śmierć bo przecież wierzymy w Świętych obcowanie, ich niejako, dalej z nami, życie choć dla nas jeszcze za zasłoną to dla nich już nie Doświadczyliśmy tego my, Polacy i wszyscy wierzący, gdy był z nami właśnie Ojciec Święty Jan Paweł II. Nasza modlitwa do Boga przenikała nas tak głęboko, że niosła nas jak na skrzydłach w jego ojcowskie ręce, a jego wstawiennicza modlitwa za nas dzień po dniu przynosiła nam i nadal przynosi już 10 lat po jego śmierci – powrocie do domu Ojca wybawienie, ratunek, pomoc i Boże błogosławieństwo. Był nasz papież człowiekiem całym zanurzonym w Bogu i całym dla drugich. Taki był kardynał Stefan Wyszyński, ks. Jerzy Popiełuszko, takim był też św. Franciszek przed wiekami.
Ojciec Mateusz Korczak pisze o Zdzisławie w swoich wspomnieniach będąc wśród rodaków Zdzisława, w Kielcach. Dołączając go niejako do tego grona mówił: *Chyba się nie pomylę – pozostawiam to jednak ocenie także innych – gdy powiem dość odważnie słowa, że człowiekiem, który żył dla drugich i pragnął przygotować się poprzez pracę nad sobą samym, poprzez zdobywanie wiedzy i doświadczenia, by później z mistrzostwem im służyć i wypełniać ich sobą, był w niedawnej przeszłości bo 10 lat temu w tym mieście i w tym naszym narodzie – skromny młodzieniec, żyjący i wzrastający wśród Was pod okiem Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny, w której się rozmiłował i przylgnął do Niej, jak my wszyscy Polacy umiłowaliśmy i przylgnęliśmy do Naszej Królowej i Pani Jasnogórskiej, czułej Matki, zatroskanej o każdego z nas. Młodzieńcem tym jest Zdzisław Borowiec. Jest on już niewątpliwie Waszą chlubą i naszego narodu poprzez fakt, że pragnął wiernie naśladować Chrystusa za*

przykładem św. Franciszka z Asyżu, który od tylu wieków opromienia serca ludzi całego świata i ogrzewa dobrocią.
Nie dane mu było dożyć długich lat i pozostawić po sobie wielkich dzieł. U Pana Jezusa nie liczą się jednak tylko wielkie dokonania, ale bardzo wysoko są oceniane i nagradzane te niepokaźne, ale płynące z serca i opromienione czystą i bezinteresowną miłością ku Bogu i ludziom.
Taką miłość miał i sumiennie ją pielęgnował w sobie Wasz parafianin.
Pragnął on żyć dla drugich i sobą „wypełniać ich na wskroś.
Ten młodzieniec, który także pił z kielicha swego osobistego cierpienia, opuszczenia, samotności otworzył swe serce na Boże wezwanie, ten, który bardzo chciał świętości i tak odważnie się jej dopominał, bo najbardziej pragnął tak, jak każda istota ludzka być szczęśliwy i szedł ku temu szczęściu poraniony, ale zdecydowany, słaby, ale mocny wiarą, pełen niepokojów ale zanurzony w nadziei, pragnący kochać i doświadczać miłości i ją osiągający w służbie Chrystusowi i braciom, dosięgnął nieba w owym Sacro Convento, w Asyżu, w piątek, który przemienił się w Niedzielę Zmartwychwstania ze swym Panem do życia i szczęścia na wieki. Dołączył do grona i rzeszy świętych w niebie, naszych świętych tak nam bliskich i kochanych. Siostra Zdzisia, Elżbieta opowiada jeszcze jedną niezwykłą historię w swoich wspomnieniach o bracie: *Mam w pracy dużo młodszą od siebie przyjaciółkę. Ma wiele problemów i jest jej w życiu bardzo ciężko. Nie znała Zdzisia Kiedy o nim mówię, kiedy opowiadają o nim moje koleżanki słucha, a potem raz do mnie tak powiedziała: „ Jak się słyszy, że tacy ludzie jak Zdzisiu chodzą po świecie, to aż chce się żyć.* A ja dodam, a jak się słyszy, że Święci chodzą po ziemi to chce się krzyczeć z radości, przecież nie jesteśmy tu sami.
Ja też pragnę być szczęśliwa Zdzisiu
„Zabierz mnie, pójdziemy razem, ja się chwycę twego sznura, zdejmę buty, żeby lepiej czuć kamienie Zabierz mnie pójdziemy razem, pochodzimy sobie po górach hej lepiej czuć kamienie” śpiewam sobie czasem te franciszkańską, piękną pieśń idąc przez dane mi życie, chwile i troski i cierpienia i radości, osobiste trzęsienia ziemi i powstawanie ku światłu i teraz ze wszystkimi Świętymi i naszym Gislao możesz wyruszyć właśnie Ty, drogi Czytelniku Pielgrzymie, który ciągle jeszcze kroczysz po tej ziemi, udręczony i niepewny jutra.
Zabierz ze sobą w drogę kilka spośród szeregu niezwykle ważnych, pięknych i świętych słów, które wypowiedzieli Ci, którzy przeszli przez ziemię dobrze czyniąc w imię Jezusa Chrystusa: Święty Jan Paweł II, błog. ks. Jerzy Popiełuszko oraz Kardynał Wyszyński.
Niech nasza droga będzie wspólna. Niech nasza modlitwa będzie pokorna. Niech nasza miłość będzie potężna. Niech nasza nadzieja będzie większa od wszystkiego, co się tej nadziei może sprzeciwiać.
Powstań, ty, który już straciłeś nadzieję. Powstań, ty, który cierpisz. Powstań, ponieważ Chrystus objawił ci swoją miłość i przechowuje dla ciebie nieoczekiwaną możliwość realizacji.
Wczoraj do ciebie nie należy. Jutro niepewne. Tylko dziś jest twoje.
Przyszłość zaczyna się dzisiaj, nie jutro.
The future starts today, not tomorrow. (ang.)
Miłość, która jest gotowa nawet oddać życie, nie zginie.
Czujesz się osamotniony. Postaraj się odwiedzić kogoś, kto jest jeszcze bardziej samotny.

Dziś człowiek tak często nie wie, co nosi w sobie, w głębi swej duszy, swego serca. Jak często jest niepewny sensu swego życia na tej ziemi. Ogarnia go zwątpienie, które przeradza się w rozpacz.
Młodzi wszystkich kontynentów, nie lękajcie się być świętymi nowego tysiąclecia!
Jan Paweł II (Karol Wojtyła)
Świat jest wypełniony głosem Bożym.
Wiara jest koroną godności człowieka.
Wielka miłość nieustannie przezwycięża człowieka
Patrzcie, jaką miłość dał nam Bóg!. Patrzcie!
Nie wystarczy w Boga wierzyć, trzeba jeszcze Bogu zawierzyć
Skończmy z krytyką bliźnich! Oceniajmy w prawdzie samych siebie. Bóg jest bliżej nas niż o tym myślimy. Szukamy Go zazwyczaj za daleko.
Kard. Prymas Stefan Wyszyński
Mamy wypowiadać prawdę, gdy inni milczą. Wyrażać miłość i szacunek, gdy inni sieją nienawiść. Zamilknąć, gdy inni mówią. Modlić się, gdy inni przeklinają. Pomóc, gdy inni nie chcą tego czynić. Przebaczyć, gdy inni nie potrafią. Cieszyć się życiem, gdy inni je lekceważą.
Miłość nie istniałaby, gdybyśmy byli do niej zmuszani.
Powołanie do wolności łączy się z obowiązkiem zrozumienia, że wolność to nie samowola, ale jest to zadanie stojące przed każdym człowiekiem, wymagające przemyśleń, rozwagi, umiejętności wyboru, decydowania.
To, co wielkie i piękne, rodzi się przez cierpienie. Życia nie da się oszukać, jak nie da się oszukać ziemi. Jeżeli wrzuci się w nią plewy, zbierze się chwasty.
Każda rzecz, każda sprawa wielka musi kosztować i musi być trudna. Tylko rzeczy małe i liche są łatwe.
Wysiłek, praca, wymagają wewnętrznego ładu, zdrowych zasad moralnych, a nawet bodźców i motywów religijnych, aby dobrze służyły człowiekowi.
„ Zło dobrem zwyciężaj!"
błog. ks. Jerzy Popiełuszko
„Nie tęsknij za mną, bo jeśli Ty wierzysz i ja wierzę, to jesteśmy jednością, jakbyśmy przebywali w tym samym miejscu"
A innym razem Zdzisiu pisze do ojca tak składając mu życzenia z okazji imienin:
Niechaj troski nie przesłaniają spokoju ducha. Bądź nadal aktywny w chórze, bo piękną rzecz czynicie.
Poruszajcie serca innych w kierunku do Boga, ciesząc się już za życia z otrzymanych łask. Wierzę, że nie zabraknie ich jutro, bo każdy dzień przynosi nam iskrę dobroci i miłości, którą możemy się dzielić wzrastając wspólnie w tym co najlepsze.
***Gislao** – w liście do ojca Ludwika Borowca*
W lipcu 2010 roku odwiedziłam piękne Kielce i Chęciny, by zebrać materiały do niniejszej książki, spotkać się z najbliższymi Zdzisiowi, siostrą, ks. Prałatem Skotnickim, byłym proboszczem Zdzisia. Nie udało mi się spotkać z nauczycielami Zdzisia oraz z jego biologicznym rodzeństwem, ale mogłam pobyć w miejscach, które znał Zdziś, gdzie mieszkał, gdzie spacerował, gdzie się uczył, gdzie się modlił. Odwiedziłam też w Kielcach cmentarz, na którym spoczywają przybrani Rodzice Zdzisia, mogłam zapalić znicz, pomodlić się, powierzyć to co czuję i chcę o Zdzisiu napisać.

Odwiedziłam też Chęciny i nie zapomnę poranka, gdy po nocnej podróży w świetle dnia, na wzgórzu zobaczyłam niezwykły widok chęcińskiego zamku i kościoła. Urzekło mnie to miasteczko. Weszłam do klasztornego kościoła oo. Franciszkanów, który Zdziś pomagał remontować wyobraziłam sobie te sceny, kiedy ten młody mężczyzna tu właśnie uczestniczy w Eucharystii sprawowanej codziennie wieczorami przez o. Mateusza Korczaka i podejmuje odważnie i radośnie decyzję swojego życia, by dalej w Asyżu służyć Bogu. Po powrocie odkryłam, że jest coś, co łączyło Kielce i Asyż zanim Zdziś pojechał tam, by zostać świętym. Otóż w herbach obu miast widnieją prawie identyczne korony – złote na czerwonym tle. Natrafiłam na piękne wyjaśnienie symboliki Cudownego Obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, który niejako też może przybliżyć nam chrześcijańską symbolikę koron. W ikonografii chrześcijańskiej korona symbolizuje świętość, godność królewską, władzę i męczeństwo, chwałę i nagrodę. Złoto, czy złoty kolor, zawsze był symbolem nieba. Złote tła mozaik, zwłaszcza w sztuce bizantyjskiej, wskazują na niebieski żywioł czystego światła, w którym mieszka Bóg ze swoimi świętymi. Powinno się ich przedstawiać nie w otoczeniu ziemskim, lecz we właściwym im świecie. W symbolice biblijnej złoto wyraża nie tylko coś kosztownego, ale też symbolizuje to, co jest najcenniejsze. Najczęściej jest symbolem mądrości, której ustępują nawet skarby. Dekorujące korony brylanty i rubiny podkreślają dodatkowo tę drogocenną symbolikę. Diament, surowiec do wykonywania brylantów, dzięki swej rzadkości, niezwykłej twardości i z powodu wspaniałego blasku, jest najbardziej drogocennym spośród kamieni szlachetnych - regina gemmarum. Znany i ceniony od starożytności jako ozdoba korony cesarskiej, był symbolem odwagi, stałości i niezwyciężoności. Miał, jak zresztą wszystkie inne kamienie szlachetne, znaczenie apotropaiczne - noszono go dla obrony przed wszelkim nieszczęściem i wszystkimi zakusami zła. Ta symbolika ma w sobie jakiś mistycyzm, dotyczy życia świętych w zjednoczeniu przez wiarę, nadzieję i miłość z Bogiem, najwspanialszym Ojcem i Jezusem Chrystusem, Zbawicielem i Odkupicielem dusz konsekrowanych i kochających go szczerze w sercu.

Oba te historyczne miasta w swych dziejach mają wiele chwil, gdy męczeństwo wierzących ratowało je przed zniszczeniem ze strony wroga oraz stawało się zasiewem pod wyrastanie tam świętych, w obu też czci swej doznaje Najświętsza Maryja Panna – Matka Boża łaskawa I Matka Boża Niepokalana.

Asyż – słynne miasto Świętego Franciszka i Klary, i wielu innych, Kielce, może za niedługo, będą miastem błogosławionego i świętego Zdzisława Borowca. Jeżeli będzie taka wola Boża to kto wie. może kiedyś te dwa miasta połączone osobą Zdzisia Borowca nawiążą ściślejsza współpracę i wymianę myśli, osiągnięć we wzajemnym partnerstwie.

Warto byłoby, aby już teraz piękne miasto Kielce zawiązało serdeczne i przyjazne stosunki z Perugią i Asyżem – miastem rodzinnym Świętego Franciszka, należącym od początku istnienia Zakonu Franciszkańskiego (1209) do pierwszej historycznie Prowincji franciszkańskiej mającej swoją siedzibę właśnie w Perugii. Osobą, która łączy te miasta byłby, obok Świętego Franciszka – świętego całego świata, polski młodzieniec z Kielc, rozmiłowany w tym Świętym, który pragnął również służyć Bogu oraz narodowi włoskiemu, za przykładem tego wielkiego męża „apostolskiego i ewangelicznego”, jakim nazwał Kościół (Leon XIII) świętego ubogiego, czystego i posłusznego Świętego Franciszka.

Jak mi wiadomo jest to też jedno z głębokich pragnień Ojca doktora Mateusza Korczaka, który umiłował Ojczyznę Świętego Franciszka i Jego Rodaków, pra-

cując w Świętym Konwencie 13 lat jako przedstawiciel ze strony zakonnej Prowincji Św. Antoniego i Jakuba Strzemię, przede wszystkim dla Polaków. Obejmował jednak swym szerokim sercem wszystkie narody świata przybywające do tego znanego na całym świecie miejsca.

Kończąc to opracowanie pragnę serdecznie podziękować Zdzisławowi za wspaniałe świadectwo jakie dał on swoim krótkim, ale bogatym w cnoty życiem. Że przy okazji przeprowadził mnie przez ciemności mojego życia i pomógł zmierzyć się z moimi „demonami" przeszłości. Jako DDA walczę, by żyć pełnią życia, mimo zadanych mi ran. Jako córka próbuje wybaczyć całe zło, którego doświadczyłam od mojego ojca w domu rodzinnym. Jako kobieta staram się odkrywać swe piękno i wartość w oczach Boga. Jako matka, chcę realizować pełnię macierzyńskiego powołania, by mój syn był szczęśliwy. Jako nauczyciel, pedagog pragnę nieść w serca innych prawdę i siłę wartości życia chrześcijańskiego. Wreszcie jako człowiek usiłuje wytrwać w wierze każdego dnia i nie tracić nadziei, a miłością wypełniać swoje małe „dziecięce" serce.

Z całego serca pragnę też podziękować Ojcu Mateuszowi Korczakowi, dostojnemu Jubilatowi, obecnie bardzo choremu, za wspaniałe świadectwo o Zdzisławie Borowcu, jako jego kierownik duchowy i przyjaciel. Dziękuję mu też za podsunięcie mi pomysłu napisania tej książki.

Dziękuję również przybranej siostrze Zdzisława, Elżbiecie, za oprowadzenie mnie po tych miejscach w Kielcach, z którymi był związany Zdzisiu za życia. Serdeczne podziękowanie kieruję też w stronę Księdza Prałata mgr Edwarda Skotnickiego – założyciela Zespołu Szkół Katolickich w Kielcach, uhonorowanemu za wszelkie zasługi Złotym Krzyżem Zasługi w roku 2007 przez Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, Krzyżem „Semper Fidelis" oraz złotą odznaką Armii Krajowej, za świadectwo wiary.

Ponadto dziękuję też wszystkim inspiratorom i twórcom niezwykłego dzieła biograficznego pt. „Brat Zdzisław Borowiec" (1975 – 1997) pod redakcją dr Ryszarda Żmudy, dyrektora Biblioteki Medycznej w Łodzi i profesora historii, który to opracowanie tak wspaniale udokumentował i opatrzył ilustracjami. Stanowiła ona dla mnie doskonałe świadectwo pisane o Zdzisławie Borowcu. Wszelkie moje cytowane wypowiedzi zostały w większości zgromadzone właśnie pod redakcją p. Ryszarda Żmudy. Zrobiłam to za jego przyzwoleniem oraz pod jego czujnym okiem, gdyż sam osobiście dokonywał korekt w mojej książce, za co jestem mu ogromnie wdzięczna.

Wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do ukazania piękna postaci tego młodego Polaka – Kielczanina. Niech Bóg obficie wynagrodzi. Panu Konradowi Kempie, z Kędzierzyna Koźla który z godną podziwu dzielnością dążył do wydania mojej książki

Państwu, Marii i Jerzemu Kasińskim za okazaną gościnność i nocleg w Chęcinach dla całej mojej rodziny składam serdeczne staropolskie: Bóg zapłać!

Posłowie czyli nasze pragnienia i plany - Konrad Stanisław Kempa

Nic nie jest cenniejsze i trwalsze od blasku, mocy i siły oddziaływania powołania do służby Bożej. „Każdy świętym może być".

Cnotliwość i prawość życia Śp. Zdzisława/Gislao/ pobudziła wielu jego entuzjastów do większego zainteresowania się tym młodzieńcem z Kielc-postulantem franciszkańskim z umbryjskiego Asyżu.

Z woli Bożej nagle i niespodzianie odszedł z tego padołu, przygnieciony spadającym odłamkiem figury Św. Hieronima w bazylice w Asyżu podczas „terremoto" jakie nawiedziło ten skrawek ziemi włoskiej we wrześniu 1997 roku. Fascynacja

tą osobą nie zamyka się jedynie do kręgu wspólnoty franciszkańskiej przy parafii pw. Ducha Świętego i N.M.P. Matki Kościoła w Kędzierzynie Koźlu.
Zainteresowania rozszerzają się i tak oprócz duchowieństwa diecezjalnego i habitowego Śp. Zdzisławem Borowcem z Kielc interesuje się młodzież kieleckiej ziemi i duża rzesza parafian, z której ten szczególny młodzieniec pochodzi.
„Terremoto" połączyło entuzjastów i zjednoczyło w swojej tragedii wielu ludzi dobrej woli.
Są obecnie w Polsce cztery główne strumienie propagowania życia Śp. Zdzisława: dr. Ryszard Żmuda dyrektor Biblioteki Medycznej w Łodzi,
o. dr. Mateusz Korczak OFM z Rychwałdu, inż. Konrad Stanisław Kempa ze wspólnoty franciszkańskiej FZŚ z Kędzierzyna Koźla oraz mgr Agnieszka Tyc z Cisca k. Węgierskiej Górki. Wielkim orędownikiem tej szlachetnej sprawy był również niestety nieżyjący już ks. prałat Edward Skotnicki z Kielc, z parafii z której wyszedł Śp. Zdzisław Borowiec. Odeszli do Pana także jego rodzice adopcyjni państwo Borowcowie.

Do tej pory wydano szereg monografii i artykułów w prasie. Pisze się już o nim wiersze a także maluje portrety. Spontaniczność tej akcji propagowania zdumiewa. W TVP w programie I wyemitowano także 30 minutowy film „Zdzisiu" reżyserii Jacka Grelowskiego.
„Terremoto" nas połączyło. To nagłe zdarzenie w umbryjskim Asyżu na wzgórzach Subassio i śmierć Gislao pod gruzami bazyliki OO., Franciszkanów w Asyżu w wyniku którego zginęli przygnieceni pod gruzami walących się odłamków figury Św. Hieronima on wraz ze swoim opiekunem O. Angelo Api magistrem postulantów z Asyżu.
Róża Górska - autorka opracowanej monografii pt. „ Pragnął być szczęśliwym" uzasadnia powody zafascynowania się Gislao.

To niezwykłe, żeby śp. Zdzisław jeden ze współcześnie żyjącej młodzieży, uzdolniony, mądry i przystojny „ zawrócił" sobie w głowie eremickim życiem na wzór Św. Franciszka ,bo „Zapragnął być szczęśliwym", by być bliżej Bogaswego Stwórcy i Jemu służyć do końca życia.
W sposób niezwykle wnikliwy i z dużą dozą estymy, barwnie autorka opisuje swoje emocje i wrażenia z krótkiego życia Gislao, zważywszy wszakże że autorka jest Jego rówieśniczką.
Ten niechciany u swych biologicznych rodziców, przyjęty do rodziny państwa Borowców czuł się w rodzinie zastępczej doskonale, darzony szczerym uczuciem przez nich, uwielbiany przez rówieśników obu płci a głównie przez koleżanki. Potrafił jednak zrezygnować z uciech tego świata, by oddać się eremickiej kontemplacji w zakonie OO. Franciszkanów konwentualnych.
To było prawdziwe powołanie do życia zakonnego. Czuł że Bóg zawołał na niego słowami Św. Jana Pawła II „wypłyń na głębię"
Był zdolnym reagować na nawet najdrobniejsze poruszenie łaski. Doskonale kontrolował swój charakter i przez to w swojej prostocie i szczerości nabywał cnoty.
Odszedł nagle w młodzieńczym wieku , mając zaledwie 22 lata, bo Bóg tak chciał. Odszedł, dając świadectwo młodym jak żyć, jak spełniać swoje marzenia, jak pielęgnować powołanie do życia kontemplacyjnego.
Nie starczyło mu życia, aby je opisać i prowadzić kronikę. Z fragmentów listów do Rodziców i ze zdawkowych zdań, ujętych na kartkach okolicznościowych dowiadujemy się o szlachetności jego charakteru i uczuciach, o ukochaniu życia, szczerych zamiarach i miłości do Boga i do swych adopcyjnych rodziców i przybranej siostry Elżbiety.
Dla przykładu można by przytoczyć fragmenty prośby Śp. Zdzisława Borowca do Ojca Prowincjała o przyjęcie Go do Zakonu Ojców Franciszkanów w Perugii z dnia 2.02.1997 roku.
„ Od dość długiego czasu zastanawiałem się nad tym, jaką drogę obrać dla siebie. Modliłem się często, by Bóg dopomógł mi wybrać najwłaściwszą z nich.
Doszedłem do wniosku, że tą drogą powinna być wyłączna służba Bogu i ludziom. Utwierdziłem się w rozmowach z O. dr. Mateuszem Korczakiem, że Bóg woła mnie do swojej służby. Za radą O. Mateusza ciągle modlę się ,aby Pan Jezus pozwolił mi godnie odpowiedzieć na Jego wołanie.
Prośbę swą motywuję tym, że pragnę doskonalić siebie i w ten sposób dopomagać bliźnim w dążeniu do świętości. Żywię błogą nadzieję, że Św. Ojciec Franciszek dopomoże mi w osiągnięciu tego celu .Polecam się modlitwą Najprzewielebniejszego Ojca Prowincjała przed Serafickim Ojcem Franciszkiem."
Albo fragment życzeń do 'Taty" napisanych na kartce okolicznościowej „Z okazji Imienin składam Tobie Tato życzenia wielu radości i wielu lat życia. Niechaj troski nie przesłaniają spokoju ducha. Bądź nadal aktywny w chórze, bo piękną rzecz czynicie. Poruszajcie serca innych w kierunku do Boga, ciesząc się już za życia z otrzymanych łask. Wierzę że nie zabraknie ich jutro, bo każdy dzień przynosi nam iskrę dobroci i miłości, którą możemy się dzielić, wzrastając wspólnie w tym co najlepsze"
Co nas propagatorów świętości życia Śp. Zdzisława motywuje do działania i „pcha" aby spopularyzować jego osobę?
Intuicją wiedzeni jednomyślnie, spontanicznie i niemal równocześnie wraz z ukazaniem się pierwszej wzmianki o tragicznym zdarzeniu w Asyżu z udziałem młodzieńca z Polski zaczęliśmy interesować się Śp. Zdzisławem. Zadzierzgnię-

to węzły przyjaźni między sobą. Nagle doszło między nami do konfrontacji i znajomości piszącego to posłowie z „odkrywcą" tego młodzieńca o. dr. Mateuszem Korczakiem OFM. a potem z kolejnymi entuzjastami w kraju jak podano na wstępie posłowia.
Uznaliśmy, że zdarzenie jest na tyle niezwykłe i wyjątkowe, tchnieniem Boga znaczone, że warto się nim zainteresować. W postaci Śp. Zdzisława widzimy dla polskiej młodzieży wzór do naśladowania.
Brakuje wzorów dla współczesnej młodzieży. Skuteczne oddziaływanie i wpływ na życie młodych może mieć tylko młodzieniec o nieskazitelnej prowieniencji i szlachetności uczuć, jeden z ich grona , więc niech kiedyś i to jak najprędzej będzie nasz „Zdzisiu" o ile Bóg zechce , aby Go przyjąć do grona Sług swoich.
Palącą koniecznością i nakazem chwili jest pozyskanie kolejnych propagatorów i animatorów rozszerzania i popularyzacji życia Śp. Zdzisława. Lata biegną, czas ucieka „Tempora mutantur, et nos muttamur in illis", Niestety ks. prałat Edward Skotnicki z Kielc wielki orędownik tej sprawy już odszedł do wieczności, a O.dr. Mateusz Korczak jest na tyle schorowany i w podeszłym wieku ,że nie może być aktywny i zaangażowany. My pozostali natomiast nie tracimy nadziei i optymistycznie patrzymy w przyszłość i na ile zdrowie nam będzie służyć i Bóg dopomoże, będziemy rozwijać tą ideę.
Być może inni dołączą do nas, aby rozsławiać dobre imię i życie Gislao i być orędownikami , aby w przyszłości doprowadzić sprawę do końca, czyli do wyniesienia na ołtarze tego wspaniałego i szlachetnego młodzieńca- postulanta franciszkańskiego z Kielc.
Wspólnota franciszkańska FZŚ przy parafii pw. Ducha Św. i NMP Matki Kościoła z Kędzierzyna- Koźla od zarania interesuje się Śp. Zdzisławem . W jej posiadaniu są niemal wszystkie materiały ,świadectwa i dokumentacja z życia i śmierci Gislao, a także własnoręcznie namalowane jego portrety. W przypływie zafascynowania i entuzjazmu napisano kilka wierszy o nim.
Urządzono także w domu parafialnym kącik poświęcony Śp. Zdzisławowi i czyni się starania o zatwierdzenie specjalnie na tę okoliczność ułożonej modlitwy wstawienniczej, aby ją we własnym gronie wspólnoty odmawiać. Niechże też i inne wspólnoty podejmą się propagowania życia i śmierci tego zacnego młodzieńca z Polski.
Boże, któryś Zdzisława Borowca w sposób szczególny i tak niespodziewanie nagły powołał w młodym wieku do grona swoich sług, spraw, abyśmy mogli się kiedyś cieszyć bliską Jego obecnością w Twoim Królestwie, a naszymi modlitwami uprosić Ciebie, byś swego sługę – czciciela Świętego Ojca Franciszka i naszego współbrata wyniósł na ołtarze, byśmy mogli w nim mieć skutecznego orędownika w każdej potrzebie. Niech Jego wstawiennictwo u Ciebie, pomoże nam tercjarzom i naszym rodzinom w codziennych zmaganiach życiowych oraz pozwoli zbliżyć się do Ciebie, a po śmierci ułatwi nam bezpośredni kontakt z Twoim nieskończonym majestatem w otoczeniu Twoich sług w Niebie. Amen.
Br. Konrad Kempa OFM FZŚ

Dotknięty Łaską, do Boga wrócił

Dotknięty łaską, do Boga wrócił
Gdy „terremoto" w Umbrii Asyż nawiedziło
W Asyżu pod sklepieniem bazyliki zginął
Zdzisiu młodzieniec z dalekiej Polski
Niechciany w biologicznej rodzinie
Z sierocińca Go Borowcowie przygarnęli

Porzucił świeckość życia, by w zakonie służyć I całego siebie oddać Bogu
Życiem Gislao dał nam świadectwo
Poddania się do reszty Opatrzności Bożej
Gdy idolem kieleckiej młodzieży się jawił
wtedy dziewczyny z zachwytu wzdychały
Śladami biedaczyny z Asyżu
Podążyć chciał Gislao z kieleckiej parafii
Nie dane mu było wtedy spełnić marzenie
Bóg skierował Go na inną drogę
Stanął na brzegu swego powołania
Bo zapragnął w habicie „wypłynąć na głębię”
Papieskie zawołanie wziął sobie do serca
By młode życie oddać Bogu.
Wzorem świętości dla polskiej młodzieży
W przyszłości będzie ten młodzieniec kielecczyzny
Bo brakuje młodym dzisiaj świętych ideałów
W Zdzisławie widać „pokój i dobro”

Brat Biedy

„Bratem Biedy” zapragnął zostać
Na wzór Świętego Ojca Franciszka
Gislao młodzieniec z kielecczyzny
Chciał cieszyć się Bogiem, Słońcem i wilkiem
Porzucił świat, by w zakonie służyć
I całego siebie oddać Bogu
W ciszy eremu lepiej słychać Boga,
Świecki ubiór zamienił na habit
Niech on będzie młodzieży patronem
Bo trzeba nam przykładów świętości
Zagubiona młodzież poszukuje,
Do naśladowania idoli
Szukamy więc wzorców dla młodzieży
W gronie szlachetnej jego części
Zdzisław niech będzie takim przykładem,
O to się do Boga zwracamy.
Konrad KEMPA

BIBLIOGRAFIA

1.Wiktor Tadeusz, „Zwiedzamy Kielce"; przewodnik ilustrowany, - Kielce, Spółka Wydawnicza Tramp, 1998
2. John Powell, „Jak kochać i być kochanym", Wyd. „Bernardinum", Pelplin 1992.
3. Wojciech Tochman, „Przez pragnienie", w: „Brat Zdzisław Borowiec" -: Praca. zbiorowa pod redakcją Ryszarda Żmudy, Kielce 2008. W dalszej części bibliografii to źródło oznaczone będzie skrótem BZB.
4. Elżbieta Słoń, „Mój brat" w: BZB.
5. Kazimiera Wrona, „Zdzisiu we wspomnieniach nauczycielki języka polskiego" w: BZB
6. Grażyna Ryrak, „Wychowawczyni o uczniu" w : BZB.
7. Maria Krawczyk, „Przeminął przez życie, jak krótki sen" w: BZB.
8. Ryszard Żmuda, „Pro memoriał Zdzisława Borowca (1975 – 1997) Frate Gislao, w BZB.
9. O. Mateusz Korczak, „Zdzisław Borowiec (13 V 1997 – 26 IX 1997) Franciszkańska „Perła czystości" w: BZB.
10. Barbara Błachut, „ Spotkanie nauczycielki z uczniem" w: BZB.
11. Ks. Edward Skotnicki, „ Wspomnienie Proboszcza o Zdzisławie Borowcu" w: BZB.
12. Jan Dąbrowski, „ Powołanie zakonne" w: BZB
13. O. Bernardo Commodi, „Droga duchowa Zdzisława Borowca", w BZB.
14.Constantino Troiano, Alfonso Pompei, "Rodzinne miasto Św. Franciszka" w: Assii – Przewodnik po Asyżu, Umbriagraf -Terni, Tłum: o. Mateusz Korczak
15. Zdzisław Borowiec w: BZB – dokumenty, listy
16. O. Agostino Gardin OFM Conv, „Homilia Generała Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych" w: BZB s. 132-133 w tłumaczeniu języka włoskiego O. Mateusza Korczaka Luglio - Dicembre 1997
17.O. Marian Tolczyk OFM Conv., „Dar dla Franciszkanów, Kościoła i świata – postać Zdzisława Borowca" w; BZB
18. Br. Konrad Stanisław Kempa FZŚ, „ Współczesny przykład do naśladowania" w BZB
19. O. Mateusz Korczak, „ Zdzisław Borowiec – młodzieniec miłego i łagodnego uśmiechu jest godny nieba' w BZB s. 199
20. O. Mateusz Korczak, „Niewinność i czystość, to nie tylko przymioty aniołów, lecz także istot ludzkich
21. Św. Paweł, 1 list do Koryntian, 13,13 w: Biblia Tysiąclecia, Wyd: Pallotinum, Poznań – Warszawa, 1990.

Źródła internetowe:

1. Życie Św. Franciszka w: http:// ofmconv.pl/Franciszek/życie.html.
2. O. Jan Rudziński OSPPE, „Królewska ikonografia Obrazu" w: http:// pielgrzymowanie,niedziela.pl/ artykuł.php.doc
3. Kard. Jose Saraiva Martins CMF, „Święci i świętość według Jana Pawła II" w: www: Opoka. org.pl
4. Jan Paweł II w: http:// cytaty.info./autor/janpaweliikarolwojtyla/.1
5. Kard. Wyszyński w: http.//wyszynski.sej.pl/cytaty.php
6. Ks. Jerzy Popiełuszko,; http:// www.cytaty.info./autor/ksjerzypopieluszko/.1

8. Wspomnienie o Śp. Zdzisławie Borowcu Gislao z Kielc

Wspólnota tercjarska Zakonu Braci Mniejszych czyli Franciszkańskiego przy Parafii pw. Ducha Świętego i N.M.P. Matki Kościoła w Kędzierzynie Koźlu od 10 lat tj. konkretnie od listopada 1998/ patrz wyjątek z kroniki/ interesuje się „losem" kielczanina Śp. Zdzisława Borowca zmarłego tragicznie młodzieńca podczas terremoto czyli trzęsienia ziemi w Perugii we Włoszech ,podczas którego uszkodzenia doznała sławna bazylika Św. Franciszka w Asyżu . Objęła nawet patronat nad wydaniem monografii o Śp. Zdzisławie oraz urządziła w Domu Parafialnym izbę pamięci, ponieważ posiada wiele pamiątek i dokumentacji źródłowej po swoim współbracie w Świętym naszym Ojcu Franciszku.
Od momentu tragicznej śmierci, zainteresowanie jego osobą nie słabnie , oraz zaowocowało nie tylko nieustanną modlitwą wstawienniczą do Boga w sprawie wyniesienia go do grona swych sług Bożych a w przyszłości do wyniesienia na ołtarze jako wzór do naśladowania dla współczesnej młodzieży, szczególnie tej, która stoi przed wyborem swojej drogi życiowej i profesji, ale nawet zaprowadziła swoistą kronikę o tym młodzieńcu z Kielc,i zbiera świadectwa o cudach i łaskach doznanych przez wstawiennictwo tego zmarłego młodzieńca.
Prawdopodobnie jesteśmy jedyną wspólnotą modlitewną w kraju, która interesuje się tą osobą i zamierza poprzez informacje w internecie oraz w prasie rozszerzyć popularność zmarłego współbrata z Kielc.
Życiorys jego jest niezwykle krótki , bo i też życie jego z woli Boga było krótkie
W wydawanej obecnie monografii zawarte są nie tylko dokumenty osobiste i życiorys a także opinie wielu znanych osobistości Kościoła i świeckich z otoczenia Śp. Zdzisława.

Postanowieniem żyjącej rodziny zmarłego wszystkie dokumenty i dokumentacja będzie przechowywana w izbie pamięci w naszym Domu Parafialnym.
Nasz współbrat Śp. Zdzisław Borowiec jak wynika z posiadanych dokumentów i dokumentacji oraz prasy urodził się 13 czerwca 1975 w Kielcach a zmarł w Asyżu we Włoszech 26 września 1997 roku podczas znanego nam trzęsienia ziemi w Perugii.
Rodzicami biologicznymi Śp. Zdzisława byli: Stefan Konieczny oraz Adela zd. Ozga, natomiast rodzice , którzy go zaadoptowali: Alfreda zd. Wątroba i Ludwik Władysław Borowiec. Dopiero kiedy Zdzisław miał lat 7 postanowieniem Sądu Rejonowego w Kielcach został pełnoprawnym członkiem rodziny zastępczej i otrzymał nowych rodziców. Wcześniej przebywał w Państwowym Domu Dziecka w Kielcach, skąd Zdzisława brali często rodzice zastępczy na pewne okresy pobytu z nimi.
Uczęszczał do Szkoły Podstawowej Nr. 12 im Boh. Westerplattte w Kielcach
A potem do Zespołu Szkół Budowlanych im Józefa Wybickiego w Kielcach, którą ukończył w 1993 roku
W roku 1996 uzyskał świadectwo dojrzałości w Technikum Budowlanym w Kielcach i uzyskał tytuł technika urządzeń sanitarnych
Był też studentem Politechniki Świętokrzyskiej w Kielcach. Po roku studiów w przypadkowy sposób spotkał w pociągu O. dr Mateusza Korczaka ofm. z Oświęcimia Harmęże i za jego namową wstąpił do Zakonu Św. Franciszka w Perugii we Włoszech. Zrezygnował więc z rozpoczętych studiów , aby poświęcić się służbie Bogu w Zakonie Św. Franciszka.
Niestety ledwo co zaczął uczyć się języka włoskiego w studium dla cudzoziemców i edukację w Seminarium Duchownym w Asyżu podczas zwiedzania bazyliki Św. Franciszka w momencie trzęsienia ziemi/ terremoto/ dnia 26.09.1997 został śmiertelnie raniony odłamkami gruzów i belek konstrukcyjnych w tej bazylice.
Zrządzeniem boskim odszedł na zawsze nasz współbrat w Świętym naszym Ojcu Franciszku. Był wzorem we wszystkim co robił za życia a teraz chcemy, aby był wzorem dla młodzieży polskiej tej, która wchodzi w dorosłe życie i stoi przed wyborem swojej drogi życiowej i zawodu.
Tak bardzo odczuwa się brak wzorców do naśladowania we współczesnym świecie i dlatego żywimy nadzieję że przykład Śp. Zdzisława posłuży młodzieży do wyboru go kiedyś jako swego patrona obok Św. Stanisława czy Św. Dominika Savio.
Jeszcze w listopadzie 1998 roku tuż przed kapituła wyborczą zainteresowałem się sprawą Śp. Zdzisława, pobudzony artykułem w prasie na temat książki Wojciecha Trochmana „Schodów się nie pali”. Brat Konrad Kempa

9. **Moje i Elektrowni jubileusze**

Wspomnienia związane z moją pracą ,moimi i Elektrowni jubileuszami
Moje 40 lat pracy w półwieczu istnienia Elektrowni Blachownia
Wspomnienia te napisałem, kiedy uzmysłowiłem sobie ile lat przepracowałem w mojej elektrowni i ile już lat ona istnieje
50 lat istnienia Elektrowni Blachownia mija w październiku 2007 roku, wobec mojej w niej przeszło 40 letniej pracy zawodowej to jak gdyby zamknięta klamra albumu wspomnień i jak tu nie opisać w telegraficznym skrócie chociażby tego co legło u podstaw jej powstania i początku mojej w niej pracy. Są to autentyczne wspomnienia niestety już emeryta energetyka, dlatego też są ze wszech miar wiarygodne i pełne sentymentalizmu i refleksji a także zatroskania o jej najbliższą przyszłość. Są to wspomnienia moje osobiste, wspomnienia emeryta, który całe swe życie zawodowe i naukę oddał tej wysłużonej dziś niestety Elektrowni Blachownia –fabryce energii cieplnej i elektrycznej.

Jubileusze w rodzinie

Ostrzeszów rok 1998

W naszym domu bywa nieraz wesoło.Każdy chwyta jakiś instrument i gra
Na akordeonie przygrywa kolega Tadeusz Waligóra z Koźla

A więc rok 2007 jest dla Elektrowni Blachownia rokiem jubileuszowym ,a ja w niej pracowałem przeszło 40 lat. Kiedy miała 9 lat zacząłem w niej pracować. Dnia 4 listopada 1966 roku podjąłem pracę w Elektrowni Blachownia jako inspektor ds. dokumentacji w pionie inwestycyjnym. Szkoła przyzakładowa o kierunku energetycznym miała w roku 2003 jubileusz 40 lat. Pracowałem w niej z przerwami 30 lat. Dlatego też pracę w niej nierozerwalnie łączę z moją pracą zawodową w Elektrowni Blachownia

Od trzech lat jestem na zasiłku przedemerytalnym w wyniku podpisanej umowie społecznej w Południowym Koncernie Energetycznym, po przepracowaniu 43 lat i osiągnięciu 60 lat. Posypały się więc jubileusze i jak tu nie wspominać.
Kiedy uruchomiono w październiku 1957 roku pierwszą turbinę SSW 55 MW skończyłem edukację w Szkole Podstawowej Nr. 2 w Ostrzeszowie, w małym miasteczku południowej Wielkopolski. Nie myślałem wówczas, że kiedyś będę inżynierem energetykiem, i że w ogóle pracować będę w dalekiej Blachowni na ziemi opolskiej i śląskiej. Nie myślałem wówczas, że właśnie tutaj zakończę swoją karierę zawodową i przejdę na emeryturę. Że doczekam się tylu jubileuszy i że kiedyś będę uczył w szkole fachowców potrzebnych przemysłowi energetycznemu. Na ziemię opolską po wojnie przyjeżdżali ludzie z kresów wschodnich, z Małopolski, z Rzeszowa i Kielc, górale oraz z centralnej Polski i z poznańskiego. Oprócz autochtonów, z których nie wielu pozostało na tych ziemiach i ciągle jeszcze ubywało w wyniku wyjazdów na stałe do Niemiec, Opolszczyzna była i jest „tyglem narodowościowym" i konglomeratem kulturowo- językowym. Z osobistego spojrzenia poza drobnymi nieporozumieniami i antagonizmami „rasowymi' żyje się na tym skrawku Polski spokojnie i bezpiecznie. W toaletach publicznych na dworcach PKP oraz na murach w tych latach można było wówczas dowiedzieć się o tych problemach i różnicach „narodowościowych" widniały więc takie słowa jak „gebelse", "chadziaje", „kacapy", „gorole", „hanyse", „kaziuki" czy „zabogole" oczywiście z odpowiednimi epitetami często niecenzuralnymi i odpowiednim komentarzem. Napisy te były dla mnie przybysza z wielkopolski „poznańskiej pyry" czymś nowym i niezrozumiałym. W domach na jednym stole wigilijnym obok kutii, pierogów z grzybami, kołdunów, była moczka i makówki, ryba w galarecie i smażony karp. Tak łączy ludzi miłość, tworzą się nowe związki i rodziny, niezależnie od różnic narodowościowych ,kulturowych i obyczajowych. Zakład pracy oraz Kościół w dużej mierze sprawiają że zacierają się różnice pochodzeniowe i człowiek człowiekowi nie jest wtedy wilkiem. Tak więc mogę powiedzieć że w tym tyglu żyło mi się dobrze i traktowany byłem jak swój. Śląską mowę znam od dziecka , więc czułem się swojsko na tej ziemi.

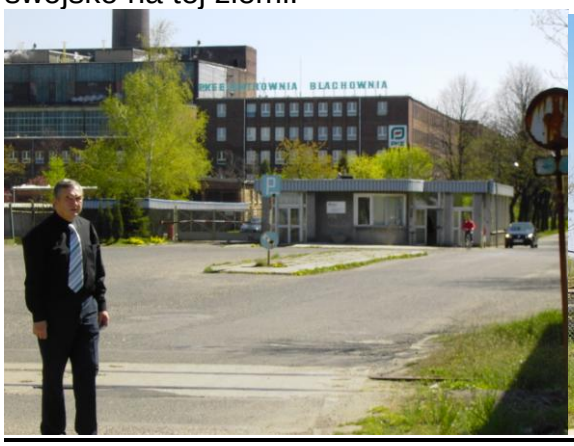

O moim zakładzie napisać mogę wiele, bo też wiele lat w nim przeżyłem. Wiele dobrych i złych zdarzeń miało miejsce na przestrzeni kilkudziesięciu lat.
Ze względu na rodzinę, dzieci i zmianę miejsca zamieszkania studia inżynierskie na Wydziale Mechaniczno Energetycznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach ukończyłem dopiero w roku 1974 roku, mając 31 lat. Studiowałem i pracowałem w Elektrowni Blachownia w pionie inwestycji od listopada 1966 roku i przyjęty zostałem do pracy w trakcie budowy Elektrociepłowni Bl. III. Budowana

była z wielkim rozmachem, a urządzenia podstawowe jak kotły parowe i turbozespoły ciepłownicze przeciwprężne były prototypowe i w dodatku na nasze nieszczęście krajowe. Blachownia I i II natomiast wyposażona została w urządzenia znanych na świecie firm zachodnich jak SSW Siemens, Paukerwerk Austria itd. Była wówczas piękna ,oczkiem w głowie i dumą energetyków i nowoczesną w polskiej energetyce. Podziwiana przez zwiedzających z rozłożystymi palmami stojącymi na nastawni cieplno elektrycznej, która posiadała nawet światło naturalne od słońca z góry. Na poziomie palacza w kotłowni oraz na maszynowni na poziomie turbin płytki glazurowane i lśniące kolorowe pulpity sterownicze robiły wrażenie. Turbiny stały wyniośle rzędem wzdłuż całej maszynowni lśniące świeżością i połyskiem pod rozpostartymi dwiema olbrzymimi suwnicami. Zdjęcia nie kłamią i można jeszcze teraz nacieszyć swój wzrok i pobudzić wyobraźnię jak było wówczas pięknie w naszej elektrowni.
Podczas budowy Elektrociepłowni Bl. III panował zrozumiały ruch wielu wykonawców., projektantów, inspektorów nadzoru, pomiarowców, gości i sprzętu. Bałagan jak na budowie a potem piękno, porządek i inwestycja oddana ku wielkiej uciesze załogi, władz resortowych, państwowych, partyjnych i miejskich. Mnóstwo zdjęć, protokołów, sprawozdań i kontroli i normalna codzienna eksploatacja po „oswojeniu" i ruchu próbnym urządzeń. Tak więc od roku 1964 do 1968 trwała budowa trzeciej części El. Blachownia.
Po 20 latach eksploatacji kiedy to w roku 1960 zostały uruchomione dwa turbozespoły Nr. 5 i 6 z kotłami przepływowymi typu Bensona nagle zaczęto likwidować te dwa bloki i na megawatomierzu w nastawni nagle ubyło aż 140 MW mocy elektrycznej. Zła jakość węgla i zła jakość wody zdemineralizowanej, „zarżnięte młyny węglowe" spowodowały ową likwidację i nie było odwrotu. Zbyt czułe jednostki wobec złych warunków eksploatacji oto przyczyna likwidacji. Mocy mniej i od roku 1980 po likwidacji tejże części, Elektrownia zubożała. Od tej pory nie przybyło żadnych nowych jednostek wytwórczych, mimo wielu ambitnych planów inwestycyjnych, które co roku opracowywałem jako inwestor. Pracowałem potem w Kontroli Eksploatacji przy sporządzaniu bilansów energetycznych i protokołów awaryjnych, dalej w służbie remontowej młynów węglowych i potem wróciłem ponownie do pionu inwestycji, gdzie pracowałem do końca mojej kariery zawodowej.

Obecnie ratunek dla naszej starej i wysłużonej elektrowni przyszedł ze strony Południowego Koncernu Energetycznego, w którym energetycy widzą dalszą jej egzystencję i upragnioną pracę dla nich. Jako inspektor nadzoru zmuszony byłem do częstych" spacerów „ po całej elektrowni i zapleczu. Ze smutkiem i nostalgią zauważałem stopniowo ze ubywa wielu urządzeń w terenie. Niestety był to za każdym razem smutny dla mnie widok. Urządzenia obecnie likwidowane

cieszyły wzrok i dawały zyski i zadowolenie. Jako nauczyciel przedmiotów zawodowych, często oprowadzałem wycieczki uczniów ze Szkół Podstawowych i Gimnazjum , uczniów, którzy w przyszłości mieli zamiar zasilić rzesze energetyków i będą kiedyś uczyć się w naszej przyzakładowej kuźni talentów. W ramach praktyk uczniowskich i wykładów często oprowadzałem swoich uczniów po zakładzie i pokazywałem im urządzenia, o których właśnie mówiliśmy w trakcie wykładów z maszyn i urządzeń energetycznych. Niestety i o tych likwidacjach i o mglistej i niejasnej przyszłości elektrowni musiałem ostatnio wiele uczniom tłumaczyć a to był zawsze smutny dla mnie temat.

Obchodzimy obok dziur, luk i pustych miejsc ,ogrodzonych rurami i płotami zabezpieczającymi, pomalowanymi na kolor żółty ochronny bhp które jeszcze niedawno były zabudowane czynnymi urządzeniami i dlatego opowiadanie o tych smutnych zdarzeniach w elektrowni nigdy nie jest gołosłowne. Minęło wiele lat i oto jestem już na zasłużonej przedwczesnej emeryturze i wspomnienia pobudzają mnie do refleksji nad przemijaniem i oby te moje wspomnienia „zbłądziły kiedyś spod strzechy" jak pisał znany wieszcz. Poprosił mnie kiedyś Dyrektor, abym pośredniczył między wydawnictwem Koncernu- gazety energetyków a elektrownią i odtąd redagowałem każdy artykuł o elektrowni. W pamięci mojej przewijają się nie tylko urządzenia, które cieszyły oko i pracowały onegdaj na nas i dawały zysk ale i ludzie, ci z dobrym sercem, oddani swej pracy i koledzy i ci mniej lubiani i nieco wyobcowani, lub tacy, których już nie ma między nami. Specyfika pracy energetyka jest szczególna i nie dziwi nikogo, że wśród załogi jest wiele rodzin, małżeństw i wiele pokoleń. Zawód to trudny, praca odpowiedzialna i ważna. Ciągła dyspozycyjność energetyka jest zakodowana w jego psychice. Szczególnie energetycy pracujący na zmiany i w remontach muszą być dyspozycyjni jak w wojsku. Przeżyłem a raczej zetknąłem się więc z Dyrektorami nie żyjącym już inz Jedynakiem, oraz inż. Piątkowskim, Panami Czerniejewskim i Czakonem, inż. Popińskim, inż. Ostapem, inż. Pękalą, mgr. Grzegorczykiem, nieżyjącymi już inż. Chyłkiem i inż. Grabowskim oraz inż. Wiąckiem. A

ostatnio inż. Działachem i inż. Stanisławem Wodniakiem. Z inż. Wiąckiem i inż. Działachem w jednym czasie pożegnaliśmy elektrownię. Każdy z nich ma swój wkład w rozwój energetyki i wniósł wiele dobrego i zaangażowania w swoją pracę, dzięki nim elektrownia przeżyła tyle lat w dobrej kondycji a ja w życiu elektrowni też miałem niemały udział i wniosłem niemały wkład i mam się teraz o czym przed wnukami chwalić. Wiele kursów i szkoleń odbyłem, nie tylko wspomniane studia energetyczne inżynierskie, lecz także podyplomowe studia prawnicze i pedagogiczne. Wcześniej kursy normowania pracy , bhpowskie i p.pożarowe, wojskowe w OC, komputerowe, i na prawo jazdy, sędziowskie w pływaniu, i dozorowe w energetyce co pięć lat. Ciągłe doskonalenie zawodowe i egzaminy kwalifikacyjne były konieczne i sprawiały, że człowiek się nie cofał i był na bieżąco z postępem techniki i organizacji w energetyce. Energetyk jest to zawód, który wymaga permanentnego dokształcania,. W moim przypadku niestety płaca nigdy nie przenosiła się na zdobywane dokształcania i uzyskiwane kwalifikacje. Odkurzone zdjęcia energetyków z uroczystości 1 majowych w Kędzierzynie Koźlu. Zawsze eleganccy, w mundurach byliśmy dumą miasta tuż za chemikami, bo to przecież największe polskie zagłębie chemiczne.
Wiele w przeszłości serca i sił wkładałem jako sportowiec biorąc czynny udział w Spartakiadach Okręgowych a nawet ogólnopolskich w piłce siatkowej a nawet w pływaniu, odnosząc wraz z kolegami duże sukcesy. Były dyplomy i medale.
Jeszcze jedna seria starych zdjęć z prywatnych albumów.
Były czasy lat siedemdziesiątych kiedy nosiłem modną wówczas bródkę i wąsy. Obok jako uczestnik Okręgowych Zawodów Spartakiady Energetyków w Radomiu, a niżej migawki z intensywnych prac społecznych na terenie zakładu były to tzw. czyny partyjne. Nawet ci bezpartyjni jak ja, chętnie uczestniczyli w tych akcjach.
Obok moje dzieci w pochodzie 1 majowym. Już od dziecka miały wpojoną świadomość aktywnego uczestnictwa w uroczystościach państwowych. Takie były czasy.
Jak już wspominałem wcześniej od roku 1968 nie przeprowadzono żadnej większej przebudowy ,ani też nie przybyło w elektrowni nowych jednostek wytwórczych. W istniejącym stanie maszyn i urządzeń przeprowadzonych było w ostatnim okresie w elektrowni szereg modernizacji i rekonstrukcji. W ostatnich latach energetycy chwalili się zastosowaniem gazu koksowniczego ze Zdzieszowic do opalania kotłów parowych OP 140 Bl.I oraz modernizacją dwóch pracujących jeszcze turbin upustowo kondensacyjnych Nr. 1 i 2 wraz z komputerowym systemem sterowania i kontroli. Zmodernizowano także układ spalania na kotłach OP 215 Nr. 11 i 12 na EC. Pozwoli to utrzymywać się w granicach dopuszczalnych emisji zanieczyszczeń do atmosfery a modernizacja turbin ma zapewnić pracę turbin zdaniem Niemców z Siemensa na dalsze 15 lat. Oni to właśnie przeprowadzili ową modernizację. Megawatomierz zbiorczy na nastawni na początku wskazywał gościom 421 MW mocy, potem już 415 MW, by po kilkunastu latach wskazywać 275 MW a ostatnio wskazuje niestety tylko nieco ponad 100 MW. Nie jest się czym chwalić, ale pomimo tylu lat eksploatacji elektrownia jak na razie nie generuje strat i może funkcjonować w Południowym Koncernie Energetycznym. Przez moje okno z biura widać było upływ czasu, bo sterczące cztery chłodnie kominowe to tylko kikuty żelbetowe bez obudowy, zostały przed laty zlikwidowane a z pozostałych chłodni, jedynie nad dwiema kłębią się chmury jeszcze nie skondensowanej pary. Pozostałe są rzadko czynne. Widok więc nie jest optymistyczny. Komin żelbetowy 150 metrowy Nr. 4 bu-

dowany w latach 1964/65 wymaga modernizacji i naprawy zewnętrznej powłoki betonowej i samej konstrukcji stalowej. To ząb czasu i wpływy czynników atmosferycznych powodują systematyczne niszczenie konstrukcji komina. Zamiast nowych inwestycji i powiększenia majątku trwałego środki pochłaniają remonty i modernizacje To normalna kolej losu starej elektrowni. Jaki los elektrowni byłby, gdyby nie zawarta z nią umowa na dostawę ciepła do sąsiednich Zakładów Chemicznych oraz na dostawę gazu koksowniczego ze Zdzieszowic? Są to dokumenty, które wiążą elektrownię na wiele lat i powodują że istnienie jej jest jak na razie niezagrożone. Upłynęło wiele lat. Moja praca też nagromadziła wiele wspomnień i dopóki będziemy wspominać lata minione to wszystko nawet to co już nie istnieje nagle ożywa. Wertowane kartki z kalendarza, kroniki przekładane" fotkami" gromadzą w umysłach wspomnienia i wyzwalają chęci, aby te wspomnienia uwiecznić i przelać na papier zachowując je dla przyszłych pokoleń i dla moich wnuków.

Zanim Elektrownia Blachownia weszła do Południowego Koncernu Energetycznego nastąpiło „brutalne" w skutkach „ odchudzanie" funduszu płac w ramach środków naprawczych i zmniejszenie kosztów wytwarzania, wynikiem czego było zwolnienie dużej ilości pracowników. Na szczęście mnie los nie dotknął tą redukcją, ale inni do dziś mają problemy z podjęciem nowej pracy. Ostre reżimy ekologiczne, ograniczające emisję dopuszczalną i konieczność utrzymania się w tych dopuszczalnych granicach sprawiły, że wiele w tym względzie inwestycji proekologicznych wykonaliśmy a raczej byliśmy zmuszeni wykonać w Elektrowni Blachownia.

Zastosowanie gazu koksowniczego, zwężki kominowe, poprawiające imisję zanieczyszczeń do atmosfery, czy modernizacja układów spalania na kotłach OP 215 powodują że z kominów naszej elektrowni coraz rzadziej widać wydobywające się spaliny. To też nowa rzeczywistość w krajobrazie opolskim i w Polsce. Pamiętam że w dawnych czasach pylenie było zmorą dla ludzi i samochodów a uruchamianie lub odstawianie jednostek podstawowych było połączone z nie do wytrzymania hukiem i wyciem pary na wydmuchach na dachu.

Kiedy sprowadziłem się w 1965 roku na Opolszczyznę do Sławięcic i zamieszkałem w Pawilonach Leśnych nieopodal elektrowni, pierwsza noc była dla mnie koszmarem i horrorem, nieprzespana z powodu wycia i ryku wydmuchów. W pierwszej chwili nie rozumiałem z jakiej przyczyny taki hałas powstał w nocy. Wyskoczyłem nawet w piżamie nad ranem, myśląc że to jakiś atak czy naloty bombowe. Nigdy z takim zjawiskiem akustycznym do tej pory nie zetknąłem się i że zjawisko to jak się okazało pochodzi z elektrowni.

Rzędem przesuwają się w mojej pamięci i przed moimi oczami ludzie , ci co odeszli na wieczny spoczynek, i ci którzy odeszli na zasłużoną emeryturę, ci co wyjechali do Niemiec i wreszcie ci , którzy odeszli lub których zwolniono za odprawą. W pamięci mojej utkwiły także kataklizmy, jakie trafiły się na Opolszczyźnie a więc pożar lasów w rejonie Kuźni Raciborskiej czy wielka powódź stulecia w roku 1997. pamiętam też wielkie pożary w tunelach kablowych czy w rozdzielni 220 kV związane z wyładowaniami atmosferycznymi. Przeżyłem w tej elektrowni także stan wojenny. Jako jeden z założycieli „Solidarności” już na

drugi dzień w poniedziałek jako przestępca zabrano mnie wraz z kolegami ”suką” na Komendę MO i po przesłuchaniu i podpisaniu „lojalek” puszczono mnie do domu. Mając rodzinę i małe dzieci nie mogłem „postawić się okoniem” i nie podpisać tych dziwnych dokumentów, bo w przeciwnym razie groziło by mi deportowanie do ośrodka odosobnienia gdzieś daleko od domu. Po stanie wojennym wobec zawieszenia działalności tego rewolucyjnego z gruntu związku zawodowego wróciłem do branżowych, w których byłem do końca mojej kariery zawodowej. Zawsze utożsamiałem się ja jako energetyk ze związkowcami swojej branży i obce mi były rozgrywki polityczne i angażowanie się związku z sprawy polityczne. Związek zawodowy moim zdaniem ma za zadanie jedynie bronić pracownika wobec krzywdzących działań ze strony Dyrekcji i jednostek nadrzędnych. Mam więc swoje zdanie na temat angażowania się Solidarności w politykę, chociaż jestem pełen podziwu i nie neguję przeobrażeń w kraju, spowodowanych przez „Solidarność” i Wałęsę, bo sam o tym marzyłem, nie należąc nigdy do żadnego ugrupowania partyjnego. Wiele urządzeń zlikwidowano. Oprócz wspomnianych już wcześniej dwóch kotłów przepływowych typu „Benson” Nr. 9 i 10 oraz dwóch turbozespołów kondensacyjnych 70 MW, zlikwidowano ostatnio też dwie turbiny ciepłownicze Nr. 7 i 8 dających ok., 60 MW mocy elektrycznej, pozostawiając jednak kotły pyłowe OP 215 oraz kotły Pauker OP 120 Nr. 1 i 4 i turbinę SSW 55 MW Nr. 3.

W elektrowni aktualnie funkcjonują aż trzy związki zawodowe chroniące pracowników: „Solidarność”, Związki Branżowe, i Związek Służb Ruchowych. Przy Elektrowni Blachownia i przy Automobilklubie Kędzierzyńsko Kozielskim istnieje Koło Automobilklubu, którego jestem wieloletnim v-ce Przewodniczącym i w ramach działalności tego Koła organizujemy rokrocznie Samochodowy Turystyczno Nawigacyjny Rajd Energetyków oraz jednodniowy Samochodowy Nawigacyjny Rajd w okresie karnawału połączony z zabawą karnawałową.

Wieloletnim prezesem tego Koła jest znany działacz automobilizmu opolskiego inż. Józef Lipski

W Polskim Związku Działkowców w Pracowniczym Ogrodzie Działkowym Energetyk jestem od lat nie pamiętam ilu-letnim sekretarzem i w ścisłym zarządzie tego ogrodu Aktualnie znów pracuję w Zarządzie. Jestem v-ce prezesem ogrodu , który od roku 2004 zmienił swą nazwę na Rodzinny Ogród Działkowy Energetyk. Posiadam działkę ogrodniczą na terenie ogrodu Energetyk na Żabieńcu. Całe mój wolny czas spędzam chętnie na mojej działce i cieszę się każdą wykonaną przeze mnie nową inwestycją. Kocham to miejsce i daje mi ono wiele spokoju i przyjemności w obcowaniu z naturą i oby jak najdłużej. Ostatnio odeszli z grona żywych koledzy: Janusz Hanaj, dyrektor Zdzisław Wiącek, Główny Księgowy Edward Grzegorczyk , Franciszek Borecki, Stanisława Kubiak inż. Stanisław Białczak Wiktor Libner, Mzyk, Mirkiewicz i wielu innych, których teraz nie mogę sobie nagle przypomnieć.

Dnia 1 grudnia 2003 roku nagle przeszedłem na emeryturę a dokładniej na tzw. zasiłek przedemerytalny , ponieważ nie mam jeszcze 65 lat uprawniających mnie do normalnej emerytury. Koledzy moi , którzy byli w I grupie zatrudnieni i mieli dodatek szkodliwy mogli przejść na emeryturę po skończeniu 60 lat.

Południowy Koncern Energetyczne, do którego moja Elektrownia należy wyszedł naprzeciw chcącym wcześniej odejść z pracy, wypłacając stosowny i bardzo korzystny dodatek zachęcający czyli rekompensatę. Skorzystałem z tej okazji. Obecnie cały swój czas spędzam na mojej działce a rano idę do Kościo-

ła , aby z Bogiem zaczynać każdy darowany mi dzień. Z tej okazji a jakże, znów napisałem wiersz pt. ***jesień emeryta***

Liście pożółkłe, czerwone i beżowe,
Za oknem szaruga i mgła,
Melancholia, nostalgia, sny kolorowe,
Pogoda na ogół jest zła.
W późnojesiennej aurze bieg ukończyłem
Koniec pracy zawodowej,
Za biurkiem czterdzieści dwa lata służyłem
I wnukom o tym opowiem.
Za bramą zakładu inne życie czeka,
Kocham życie! Nie będzie źle,
Czas ucieka niechybnie, jak bystra rzeka,
Dni beztroskie a praca w tle.
Z Bogiem zaczynam zawsze każdy życia dzień,
Tak będzie też na „wolności”
Że się nie zawiodę, tego jestem pewien,
Czekam więc nie złej starości.
Już do końca moich dni będę bez pracy,
Wiek starości ,czas na zbytki,
Mówią ludzie, bez pracy, nie ma kołaczy,
Zjem więc kołacz bez posypki.
Z Bogiem z Bogiem tak mawiali starzy ludzie,
Ta prawda więc we mnie tez tkwi,
Co teraz będę robić? Bo pracować lubię,
W bezczynności serce boli.
Jesień nastraja mnie źle i nostalgicznie,
Jesienią opuszczam pracę,

By się wtedy nastroić melancholijnie,
A do nowej pracy wrócę.
Boże opiekuj się w nowej dla mnie roli
Jak dotąd mną kierowałeś,
Emeryckie życie nie płynie powoli,
Bieg ukończyłem jak chciałeś.
Kemkon

Energetyka południa w oczach emeryta

Jestem emerytem na tzw. Zasiłku lub świadczeniu przedemerytalnym z własnej woli ,jak również z wyjątkowo trudnej sytuacji ,jaka wytworzyła się ostatnio w starej i wyeksploatowanej już do granic Elektrowni Blachownia w Kędzierzynie Koźlu. Wiele lat bowiem nie inwestowano w nią jak zresztą w całą polską energetykę i teraz mamy tego efekty.

Umowa społeczna, którą akceptowaliśmy ,która nas chroni ,pozwoliła na wcześniejsze zakończenie kariery zawodowej, która w moim przypadku trwała od roku 1966.

W ukochanej mojej elektrowni więc przeżyłem i przepracowałem sumiennie i solidnie wiele dziesiątków lat. Udało mi się w międzyczasie ukończyć studia inżynierskie na kierunku energetycznym i założyć rodzinę w Kędzierzynie Koźlu , gdzie też na stałe

zamieszkałem, planując wówczas jedynie chwilowe zatrzymanie się w tym mieście.

Ile tylko mogłem pomagałem drugim tzn. kolegom i współpracownikom w ich problemach, działając w strukturach związkowych. Ze zmiennym szczęściem, bo i sytuacja nieraz nie pozwalała na swobodną działalność. Starsi ludzie i moi rówieśnicy pamiętają te czasy a młodym, będzie okazja że opiszę tę trudną sytuację. Nie czas teraz i pora, aby rozczulać się nad przeszłością, kiedy trzeba naprawiać w energetyce, to co zostało kiedyś zaprzepaszczone. Jak widzi i postrzega współczesny energetyk emeryt mniej więcej taki jak ja polską energetykę południa w aspekcie konkurencyjności w nowo tworzącej się wspólnej Europy?, jak żyje i daje sobie radę przeciętny emeryt, który całe swoje życie oddał temu wyjątkowemu rodzajowi działalności przemysłowej?

Otóż zdajemy sobie sprawę, że za wszelką cenę chcemy być tutaj w południowym kompleksie energetycznym porównywalni chociażby pod względem kosztów wytwarzania z podobnymi gigantami tworzącej się wspólnej Europy.

Musimy im za wszelką cenę dorównać, ponieważ niechybnie i to niestety w krótkim czasie konkurencyjność wyprze nas z rynku handlu energią. Każdy bowiem chętnie kupi tańszą energię, nawet pochodzącą z zachodu.

Nasze stare elektrownie jak na przykład moja w Blachowni czy w Halembie z ich zasobami ludzkimi daleko odstają od standardów europejskich. Dzięki więc litości PKE S.A. istniejemy w tej zbiorowości w ogonku ale jednak jesteśmy. Nie względy ekonomiczne więc do końca decydują o ich istnieniu ale i moralne też. Każdy myślący kategoriami ekonomicznymi i marketingowymi o tym wie. Dobrze więc że w tym kalejdoskopie zmian, gdzieś w oddali widać też człowieka. Gdyby przeto złomować obie te elektrownie o czym też była kiedyś mowa to ileż ludzi wartościowych i zasłużonych w energetyce stało by się bez pracy i powiększyło i tak już dużą rzeszę bezrobotnych lub na zasiłkach. Dobrze się stało że PKE S.A. rozpostarł nad nimi humanitarny parasol ochronny i pozwolił na zatrudnienie wielkiej rzeszy energetyków. Zastanawiam się jedynie czy aby poprzez zwalnianie ludzi i tzw. „odchudzanie” funduszu płac jest droga do przy-

szłości? A gdzie są nowe inwestycje, racjonalizacja i postęp techniczny, restrukturyzacja, zmiana profilu produkcyjnego lub bazy paliwowej, wprowadzenie nowej technologii? Tymi metodami skuteczniej niż poprzez owo „odchudzanie" można dążyć do lepszej kondycji w energetyce południowej.
Ktoś , kiedyś ze znanych ekonomistów w PKE S.A. powiedział dość sarkastycznie ale niewątpliwie trafnie że „ obecnie najlepszą inwestycją jest proces za wszelką cenę zwalniania ludzi i „odchudzanie w ten sposób funduszu płac"
Przyrost mocy w wyniku budowy nowych jednostek prądotwórczych" ekologicznych" w PKE S.A. postępuje zbyt powolnie a nowych technologii jak na razie nie widać.
Oczami emeryta nie widać świetlanej przyszłości i pozytywnych zmian. Świadczenia są skromne i pozwalają na biedną egzystencję a środki pozyskane z tzw. „umowy społecznej" kurczą się w szybkim tempie.
Tabele obrazujące zmniejszające się zatrudnienie w południowej energetyce świadczą ,że jest to proces nadal postępujący. Tendencje Ekonomiczne w PKE SA dorównywania energetyce europejskiej nadal postępują są aktualne i to dobrze ,ale pomimo wszystko nie należy zapominać o człowieku.

10. Wspomnienia pedagoga i nauczyciela dochodzącego

Współpraca szkoły z Elektrownią Blachownia zlokalizowanej na jej terenie polega między innymi na:

- udzielania szeroko idącej pomocy materialnej w postaci ponoszenia przez Elektrownię Blachownia kosztów utrzymania obiektów szkolnych i sali gimnastycznej, największej chyba w tym rejonie, zużycia mediów energetycznych i energii elektrycznej, wywozu odpadów komunalnych, kosztów remontów, modernizacji i częściowego wyposażenia pracowni i gabinetów specjalistycznych, przedmiotowych, warsztatów uczniowskich w narzędzia i oprzyrządowanie oraz użyczenie środków transportowych.

Nie sposób wymienić w tym miejscu wszystkiej pomocy ze strony zakładu:

- umożliwienie uczniom odbywania praktyk zawodowych na terenie Elektrowni
-udostępnienie uczniom materiałów i pomocy naukowych dla efektywniejszego wykonywania i opracowywania prac końcowych dyplomowych
-umożliwienie uczniom odbycia praktyk uczniowskich na zasadzie" przejść" na terenie Elektrowni
-umożliwienie korzystania uczniów z wycieczek i imprez organizowanych i finansowanych przez zakład -możliwość pozyskania środków finansowych dla zasilania budżetu uczniowskiego
-możliwość i okazji uczestnictwa w świętach i imprezach organizowanych przez zakład
-wykorzystanie pracowników –specjalistów Elektrowni do pracy jako wykładowców przedmiotów zawodowych na zasadzie nauczyciela dochodzącego z przygotowaniem pedagogicznym.

W tej symbiozie od chwili ukończenia studiów politechnicznych na Wydziale Mechaniczno-Energetycznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach od roku 1974 pracowałem z małymi chwilowymi przerwami w tej szkole- kuźni energetyków i elektryków niekoniecznie wykorzystywanych w przyszłości w energetyce.

Są to zawody uniwersalne o szczególnej przydatności w wielu gałęziach przemysłowych naszej gospodarki.

Uniwersalizm tych specjalności zawodowej sprawia, że stosunkowo łatwo można zdobyć pracę lub podwyższać swoje kwalifikacje fachowe i naukowe, na bazie zdobytej w tej szkole Wiedzy i umiejętności.

Mimo że obecnie konkurencja na rynku pracy jest wyjątkowo duża i trudno jest tę pracę zdobyć, fachowców w tych specjalnościach ciągle szuka się.

Wielu moich kolegów pracowało też w tej szkole w charakterze nauczyciela „dochodzącego" z przygotowaniem pedagogicznym.

Przygotowanie pedagogiczne uzyskaliśmy po odbyciu stosownych studiów podyplomowych pedagogicznych w Opolu.

W sytuacji, kiedy nie każdego roku jest nabór uczniów na kierunek mechaniczny-energetyczny, szkoła może zatrudniać odpowiednio w danym roku specjalistów z danej dziedziny na określoną ilość godzin, zgodnie z umową. Pracę w szkole zatrudnieni w niej pracownicy Elektrowni muszą" odrobić" i jest to bezwzględnie egzekwowane ze strony macierzystego zakładu.

Satysfakcja z wykonywanego dodatkowego zawodu jest duża i nie ukrywamy, iż pomimo niewysokich apanaży ,chętnie idziemy na lekcje, aby kształtować młode umysły w zawodzie,
tak potrzebnym gospodarce.

Na przestrzeni przeszło 40 letniego istnienia szkoły podlegała ona bądź Resortowi Górnictwa i Energetyki lub Resortowi Energetyki i Energii Atomowej, bądź Ministerstwu Oświaty, czy jak ostatnio Starostwu Powiatowemu.
W dziejach tej zasłużonej dla energetyki i regionu szkoły na przestrzeni tych wielu lat zmieniło się kilku dyrektorów.
Ze strony Elektrowni zawsze można było oczekiwać pomocy i opieki, jednak, kiedy Dyrektorem Elektrowni został mgr inż. Zdzisław Wiącek, szkoła doznawała szczególnej opieki i wsparcia finansowego i była w centrum zainteresowania. Przychylność Dyrekcji Elektrowni powodowała, że szkoła ta rozwiązywała problemy łatwiej niż inne szkoły na terenie miasta i powiatu Kędzierzyna Koźla i była „najtańszą „ szkołą w powiecie.
Mimo wszystko w ostatnich latach z niewiadomych dla nas powodów próbowano zawiesić jej działalność. Wielka determinacja grona pedagogicznego, uczniów i Dyrekcji, oraz akcje protestacyjne, odpowiednia promocja i reklama szkoły, sprawiły, że szkoła nadal będzie czynna.
Dzisiaj należy dodać ,że niestety początek dwudziestego pierwszego wieku był dla tej wysłużonej i zasłużonej placówki dydaktycznej zbyt tragiczny, ponieważ ostatecznie została zlikwidowana, niestety.
Ze względu na wykonywaną pracę w Elektrowni Blachownia, i pracę „z doskoku” w szkole ,napotykałem na określone trudności i dezorganizację. Trudno było pogodzić i skorelować te obowiązki.
Kiedy mieliśmy zajęcia z klasami maturalnymi, trudności piętrzyły się, ponieważ musieliśmy być zaangażowani w przygotowaniu uczniów do obrony prac dyplomowych i prowadzenie przez pewien czas kontroli ich realizacji, sprawdzania okresowego stopnia ich zaawansowania i zaangażowania uczniów. Ponadto wiele czasu wymagało przygotowanie się do wykładów i przygotowanie konspektów i pomocy dydaktycznych, a nade wszystko przygotowanie się do ćwiczeń laboratoryjnych w pracowniach cieplnej i energetycznej.

Należało odpowiedni w warunkach Elektrowni przygotować stanowiska do ćwiczeń i badań i wyposażyć je w przyrządy pomiarowe i laboratoryjne lub aparaturę kontrolno pomiarową.
Sprawdzenie wiedzy wymaga też dodatkowego czasu. Kiedy zbliża się koniec roku szkolnego zaangażowani byliśmy w uczestnictwo w komisjach egzaminacyjnych zarówno na zakończenie szkoły lub przy obronach prac dyplomowych uczniów klas maturalnych i ostatnich klas studiów pomaturalnych.
Uczestnictwo w posiedzeniach Rady Pedagogicznej oraz spotkaniach dotyczących doskonalenia zawodowego nauczyciela oraz wywiadówkach, ograniczały w dużym stopniu czas wolny i rekreację z rodziną lub zajęcia domowe.

Pomimo tych trudności i ograniczeń zarażeni bakcylem pracy w szkole z młodzieżą nie myśleliśmy o tych przeszkodach i trudnościach i ograniczeń zarażeni bakcylem pracy w szkole z młodzieżą nie myśleliśmy o tych przeszkodach i trudnościach. Dodatkową atrakcją szkoły zlokalizowanej na terenie zakładu przemysłowego jest możliwość częstego zwiedzania tego zakładu wytwórczego. W ramach lekcji i nie tylko można uczniom zorganizować spacer po zakładzie. Robiłem to w miarę możliwości często, a obowiązkowo i obligatoryjnie, kiedy w programie zachodziła taka konieczność, aby omówić konkretne urządzenie energetyczne lub omówić jakiś element procesu wytwórczego.
Ćwiczenia w pracowni cieplnej, chemicznej czy elektrycznej odbywały się na czynnych urządzeniach na terenie Elektrowni. To dawało dodatkowy efekt i czyniło zajęcia ciekawe i interesujące i w coraz to większym stopniu przysposabiało uczniów do przyszłego zawodu , oswajając ich z zakładem produkcyjnym.
Po 30 latach pracy w szkole w obliczu zbliżającego się zakończenia mojej pracy zawodowej w Elektrowni nasuwały się refleksje i ożywały wspomnienia i chciało się wrażeniami podzielić z przyjaciółmi. W tym okresie nasiliły się w moim sercu pragnienia napisania wspomnień, które zacząłem próbować spisywać w kronice rodzinnej.
Na początku, kiedy byłem „świeżo upieczonym” inżynierem z dyplomem, gromadziłem stosowną literaturę fachową, korzystając głównie z bogatej biblioteki

zakładowej i ze względu na brak odpowiednich podręczników do nauki z przedmiotu wiodącego a więc
” maszyny i urządzenia energetyczne” opracowywałem odpowiednie konspekty lekcyjne zgodnie z programem nauczania, i przez wiele lat uzupełniałem je o nowości techniczne, tak że potem z dużą rutyną i pewnością prowadziłem zajęcia lekcyjne, nawet nieraz bez użycia przygotowywanych konspektów.
Nieraz zdarzały się przedmioty z dziedziny ekonomicznej lub budowlanej i wówczas intensywność przygotowania się do lekcji zwiększała się, co zajmowało mi więcej czasu.
Jednak tego czego nauczyłem się z innych zagadnień , nie poszło na marne w przyszłości.
Spektrum uczniów jak zwykle co roku było niezwykle urozmaicone. Uczniowie pochodzili z różnych środowisk. Nieraz zdarzały się grupy klasowe, do których z wielką chęcią i ochotą udawałem się na lekcje, natomiast zdarzały się klasy, gdzie sił brakowało i bliski byłem nawet rezygnacji z tej pracy. Dużo sił i nerwów kosztowało mnie opanowanie spokoju w klasie i dyscyplinowanie niesfornych uczniów, szczególnie napotykało się trudności w klasach szkoły zawodowej.
Z reguły w tych klasach szło w parze brak efektów nauczania i niezrozumiałe frustracje z powodu nieosiągniętego celu.
Głównym problemem, z którym usilnie walczyłem był fakt i obawa niezrealizowania narzuconego wcześniej programu nauczania, bo jak zwykle materiału i zakresu do przerobienia było nadmiar- o tym wiedzą od lat pedagodzy. Każdy nauczyciel zmaga się z tym problemem i ciągle „goni” program.
Praca w Elektrowni Blachownia i przychylność jej Dyrekcji na szczęście umożliwiała mi tę pracę w szkole, bez konieczności opuszczania zajęć lekcyjnych, tak ,że z tego powodu nie było obaw że w tym czasie uczniowie mieliby „okienko”.
Lekcje chybione najczęściej były wynikiem zaangażowania uczniów w organizacji przeróżnych imprez szkolnych, sportowych, uczestnictwie w wycieczkach, obozach, wyjściach do kina czy teatru. Były przypadki ucieczki całej klasy z lekcji na zasadzie zmowy na tak zwane wagary.
Zaangażowanie „nauczycieli dochodzących” w szkole miało jedną zaletę, oprócz zatrudnienia fachowców w danej dziedzinie i ciągła ich dyspozycyjność w przypadku „okienka” umożliwiała Dyrekcji Szkoły wypełnienie go lekcją zastępczą .Ponadto zaangażowanie nauczycieli” dochodzących „ „odchudzało „koszty finansowe i fundusz płac szkoły.
W mojej wieloletniej pracy w szkole zdarzały się przypadki trudnej młodzieży z tzw. ”marginesu społecznego”. Pamiętam grupkę młodzieży ze Zdzieszowic, która musiała okresowo meldować się na Policji, w związku z wybrykami chuligańskimi, jakich się dopuszczała wcześniej.
Przyjeżdżała do szkoły z regularnymi opóźnieniami wg. własnego „widzimisię”. Byli też uczniowie- murarze oraz kucharze w Szkole Zawodowej, którzy w przyśpieszonym tempie zaliczali szkołę w ciągu dwóch lat, a praktykowali na budowach w okolicy lub w restauracjach i barach.
Młody wiek tej młodzieży oraz pochodzenie, najczęściej z rodzin patologicznych i rozbitych z marginesu społecznego sprawiały określone trudności i wiele wysiłku wkładałem w utemperowanie niesfornych charakterów i zapewnienie spokoju na lekcjach, a głównie, aby pobudzić ich do myślenia i zainteresowania przedmiotem, by w tych dwóch latach mogli posiąść odpowiednią wiedzę i umiejętności.

Przywracając wspomnienia i dzieląc się wrażeniami z pracy w szkole jak zwykle po ludzku pamięta się najczęściej te złe momenty i tę niedobrą młodzież. Jednak trzeba podkreślić, że były też miłe chwile, pozytywne działania. Była też dobra , a nawet wzorowa młodzież, przyjemna praca w tej zasłużonej placówce oświaty. Wielu byłych uczniów widząc mnie teraz, chętnie rozmawia i zaczepia, poznaje mnie i pozdrawia. Wielu po studiach jest na stanowiskach, przychodzą kartki z wczasów. Są życzenia i podziękowania ze strony absolwentów na koniec roku szkolnego. Są też pochwały i pamięć ze strony rodziców uczniów, których uczyłem . Niestety wielu, jak to w życiu bywa, już nie żyje , lub unika kontaktu ze mną.

Ostatnio praca dyplomowa pod moim kierunkiem została wyróżniona drugą nagrodą NOTu w Kędzierzynie Koźlu i z tego powodu i uczniom i mnie przysporzyła sporo satysfakcji i wzruszeń. Były to miłe chwile w tej naszej mozolnej i ciężkiej pedagogicznej pracy.

U schyłku mojej pracy w szkole dzięki nowej ustawie o szkolnictwie miałem okazję uzyskać kolejne stopnie awansu zawodowego i po ukończeniu odpowiedniego stażu osiągnąłem stopień nauczyciela kontraktowego. Niestety przejście na emeryturę nie pozwoliło mi na uzyskanie kolejnych awansów zawodowych.

Z okazji uroczystości jubileuszowych 40 lecia szkoły można było spotkać się z wieloma absolwentami i nauczycielami, koleżankami i kolegami, nierzadko absolwentami na wysokich stanowiskach i niestety z siwizną lub łysiną na głowie.

Miło jest wspominać, lecz czas biegnie dalej „tempora mutantur, nos et mutamur In illis" jak mówi łacińskie przysłowie „Czasy się zmieniają , a my razem z nimi" -niestety.

W tej chwili po latach, kiedy przeszedłem w stan spoczynku zawodowego na emeryturę, miło mi jest wspominać minione lata pracy zarówno w elektrowni Blachownia jak i w szkole, a to co było niemiłe zapomnieć.

Tak więc moja przeszło 30 letnia praca w szkole w charakterze nauczyciela „dochodzącego"

wzbogaciła mnie o nowe doświadczenia, pozwoliła mi poznać lepiej młodzież i zrozumieć ich problemy, a przede wszystkim polubić młodzież. Sądzę że z wzajemnością, bo o to mi zawsze chodziło. Praca w szkole to jeszcze jeden powód, aby być na bieżąco z nowościami technicznymi i aby permanentnie studiować literaturę fachową, co w układzie inżyniera jest konieczne.
Artykuł ten ukazał się w wydanej przez Dyrekcję Szkoły przy Elektrowni Blachownia monografii „Nasza szkoła wczoraj i dziś” z okazji 40-lecia istnienia, ale w związku z przejściem na emeryturę zmuszony byłem napisać go w czasie przeszłym.
Inż. Konrad Stanisław Kempa

11. Hardkołowcy z Niniwy Team w wyprawie rowerowej na Wyspy Brytyjskie
w roku 2015 z O. Tomaszem Maniurą
„o radość życia” 3.08.2015- 13.09.2015

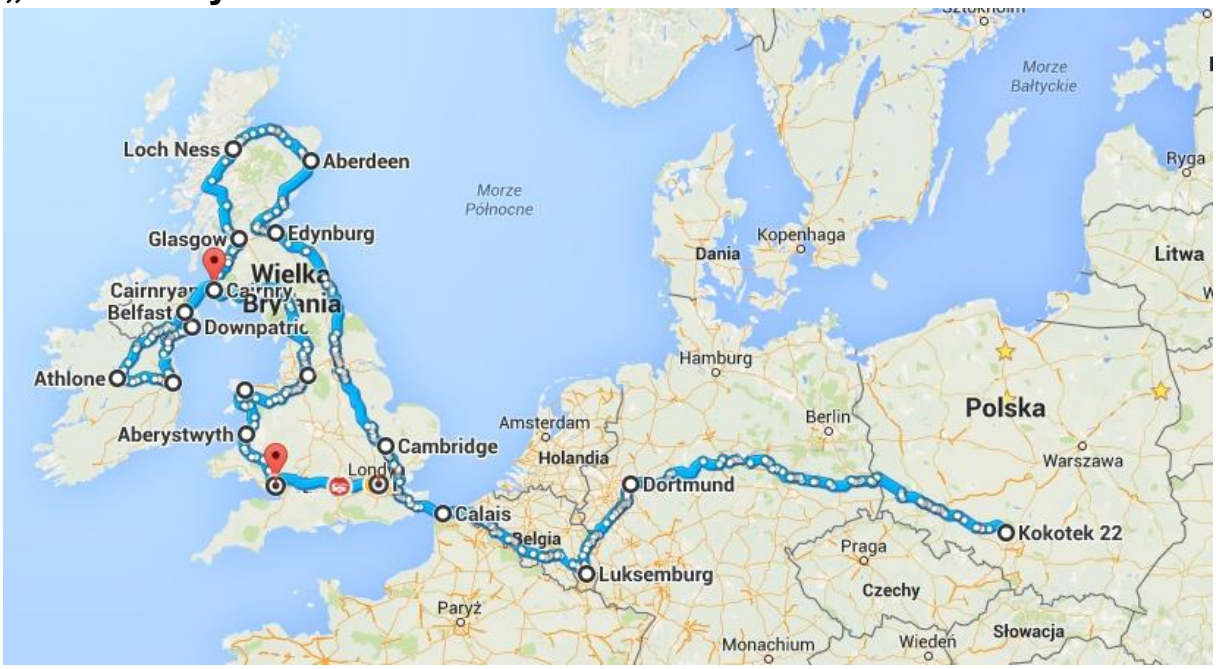

A oto trasa wyprawy rowerowej Niniwy Team w roku 2015

Tegoroczne hasło „ O radość życia” .Już po raz dziewiąty Niniwa Team organizuje wyprawę rowerową tym razem na Wyspy Brytyjskie.”

Pojechali aby doświadczać w sobie i w bliźnim „radość życia” nie tylko w chwilach beztroskich, radosnych , ale przede wszystkim w trudnych i beznadziejnych.

Wsparciem całej grupy wędrowców rowerowych i motywem do działania była codziennie odmawiana modlitwa Św. Tomasza Morusa o dobry humor

Panie, daj mi dobre trawienie i także coś do przetrawienia.
Daj mi zdrowie ciała i pogodę ducha ,bym mógł je zachować.
Panie daj mi prosty umysł, bym umiał gromadzić skarby ze wszystkiego co dobre, i abym się nie przerażał na widok zła, ale raczej bym potrafił
wszystko dobrze zrozumieć.
Daj mi takiego ducha. Który by nie znał znużenia, szemrania, wzdychania, skargi
I nie pozwól, bym się zbytnio zadręczał tą rzeczą ta która się nazywa moim „ja”,
Panie, daj mi poczucie dobrego humoru. Udziel mi łaski rozumienia żartów,
abym potrafił odkryć w życiu odrobinę radości i mógł sprawiać radość innym.

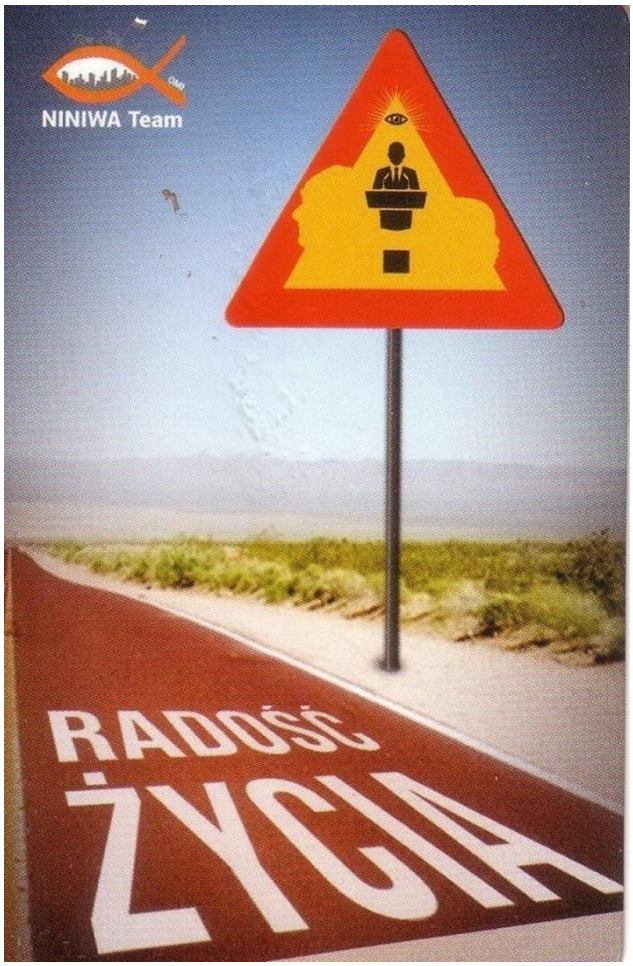
NINIWA Team
RADOŚĆ
ŻYCIA

NINIWA Team

Ze strzępów komórkowych, meilowych informacji z wyprawy Oli Krupson powstał ten niecodzienny dzienniczek- reportaż.
Wyprawa Niniwy Team widziana oczyma Konrada dziadka uczestniczki wyprawy Oli Krupson Krupy.
Z wielką niecierpliwością i emocjami czekaliśmy codziennie na esemesowe meilowe newsy z rowerowej wyprawy wnuczki Oli na Wyspy Brytyjskie z Niniwą Teamem
Krótkie relacje i wrażenia z wyprawy: 3 SIERPNIA 2015 ROKU PONIEDZIAŁEK
Kładę się już spać planowo było 150 km więc jak to z ojcem za nami 190 km ale jechało się bardzo dobrze. Strasznie nas dużo, ale to jakoś nie przeszkadza. Nagrywali dzisiaj o nas materiał do Teleexpresu i kamerzysta powiedział że musi nas przyjąć u siebie.

Śpimy w namiotach a wcześniej wszyscy wykąpali się w basenie.
Jutro znowu ma przyjechać kolejna telewizja i jakieś radio, tak że dużo się dzieje. Kocham Was bardzo mocno. Jest super. Cieszę się że mogę tutaj być.
4 SIERPNIA 2015 ROKU WTOREK
Jesteśmy już na noclegu. Jedzie mi się bardzo dobrze, tylko strasznie gorąco było. Jutro wstajemy o godzinę wcześniej, żeby upały w miarę ominąć. Śpimy u takiego gospodarza na podwórku, tak że jest super. Kocham Was.
5 SIERPNIA 2015 ROKU ŚRODA
180 KILOMETRÓW ZROBIONE. Śpimy na polance obok gospodarstwa, oczywiście pod namiotami. Idę szybko spać, bo jutro znowu wstajemy o godzinie 4 tej. Oprócz „tyłka” nic mnie nie boli. Buziaki.
6 SIERPNIA 2015 ROKU CZWARTEK
Upał dzisiaj wymęczył. Śpimy” na dziko” nad jeziorem i mamy nadzieję że

nas nie przegonią. Jest pięknie. Cieszę się że mogę tu być. Pamiętam o Was w modlitwie.
7 SIERPNIA 2015 ROKU PIĄTEK
Śpimy pod gwiazdami. Jest pięknie. Zrobiliśmy dużo kilometrów górach i w upale, więc jesteśmy bardzo zmęczeni . Na szczęście już odpoczynek. Tęsknię za Wami. Piszcie do mnie.
8 SIERPNIA 2015 ROKU SOBOTA
Hej! Dzisiaj zrobiliśmy 250 kilometrów. Pogodę mieliśmy super. Zero upałów i jechało się super. Jesteśmy w Dortmundzie. Ludzie przygotowali wszystko dla nas. Jutro zadzwonię
9 SIERPNIA 2015 ROKU NIEDZIELA Dzień odpoczynku.
10 SIERPNIA 2015 ROKU PONIEDZIAŁEK
Do Babuni i Dziadka
Hej Babuniu. Wszystko jest dobrze. Jesteśmy w Holandii. Jest pięknie. Śpimy przy stadninie koni. Kocham Was bardzo mocno i tęsknię.
Do Rodziców:
Jesteśmy w Holandii przy stadninie koni. Umyliśmy się wodą ze studni więc jest super. Teraz jemy kolację i spać. Jest pięknie. Buziaki na dobranoc.
11 SIERPNIA 2015 ROKU WTOREK
U nas dzień był chłodny. Już jesteśmy w Belgii. Ciężko się dzisiaj jechało, więc tylko czekam żeby zasnąć. Śpimy obok krów na farmie. Leżę właśnie na jakiś workach z paszą, bo mi zawsze nogi wystają z karimaty i mam brudny śpiwór. Jutro już będziemy we Francji, więc znowu nowe państwo. Dobrej nocy i buziaki.
12 SIERPNIA 2015 ROKU ŚRODA
Jesteśmy już we Francji. Właśnie ugotowałam obiad sobie i chłopakom, a czy dobry to się za parę kilometrów okaże. Jeszcze tylko 50 kilometrów noclegi i odpoczynek. Pozdrowionka!
12 SIERPNIA 2015 ROKU ŚRODA
Wcześnie dzisiaj skończyliśmy. Śpimy pod gołym niebem nad jeziorem. Nie rozbijemy namiotów, żeby nas nie przegonili. Jest super. Siedzimy teraz wszyscy
I się integrujemy. Przyszła już policja, ale tutaj we Francji jest bezproblemowa, więc tylko powiedzieli, żeby się nie kąpać. Tęsknię. Dobrej nocy.
13 SIERPNIA 2015 ROKU CZWARTEK
Ale jaja! Śpimy w garażu na plaży tuż przy samym porcie w Calais. Przygarnęła nas straż przybrzeżna. Jesteśmy zamknięci, bo w nocy na plaży jest pełno emigrantów. Cud że się udało, bo mogli nas tak samo potraktować. Jutro wstajemy o 4 tej żeby zdążyć na odprawę promową. Już się nie mogę doczekać! Jutro Anglia!
14 SIERPNIA 2015 ROKU PIĄTEK
Jesteśmy w Anglii! Stres ogromny na każdym skrzyżowaniu przez nten ruch lewostronny i płynęliśmy takim wielkim promem jak Unityl Line! Jestem szczęśliwa jest pięknie. Nie mogę się napatrzeć. Kocham Was bardzo mocno i tęsknię. Buziaki!
15 SIERPNIA 2015 ROKU SOBOTA
Święto Matki Boskiej Wniebowziętej i Matki Boskiej Zielnej.
16 SIERPNIA 2015 ROKU NIEDZIELA
Rozmowa telefoniczna z Babunią:

Jesteśmy w gościnie w kościele u księdza polaka. Jestem szczęśliwa i modlę się w Waszej intencji. Była też okazja aby się umyć i spożyć polski rosół na plebanii. Był czas i okazja aby się wykąpać i wyprać brudne rzeczy i śpiwory. Chłopcy zajęli się naprawą rowerów.
Trafiliśmy do kościoła w którym akurat odprawiana była eucharystia w j. polskim. Niniwa Team zrobiła na wiernych i na księdzu ogromne wrażenie, tak że ksiądz z wrażenia przerwał na chwilę mszę świętą i powitał przybyszów.
Z listu pisanego z Peterborough w dniu 16.08.2015 do Dziadków
Hello!
Jest niedziela i cieszę się, bo udało mi się wygospodarować czas, żeby do Was napisać. Pierwotny podział obowiązków widać od rana.
Dziewczyny przy garach i praniu, a chłopcy przy technicznych sprawach. Spotykamy tylu rodaków i nie wiem kto się bardziej cieszy i kto jest bardziej wzruszony. Wiem, że z tej wyprawy wyniknie dużo dobrego i wiele z niej wyniosę. Anglia jest piękna! A to dopiero początek naszej podróży po Wyspach Brytyjskich.
Nie mogę się doczekać. Jestem naprawdę bardzo szczęśliwa!
Pamiętam codziennie o Was w modlitwie.
Kocham Was bardzo mocno i wiozę głęboko w serduszku. Chciałabym Wam o wszystkim opowiedzieć, abyście mogli ze mną dzielić codzienne szczęście.
Przytulam Was mocno i tęsknię.
Kocham Was Oleńka
PS. Wysyłam Wam naszą tegoroczną modlitwę, którą codziennie odmawiamy.
17 SIERPNIA 2015 ROKU PONIEDZIAŁEK
Nadano meil przez Internet
18 SIERPNIA 2015 ROKU WTOREK
Brak informacji
19 SIERPNIA 2015 ROKU ŚRODA
Hej! Wczoraj czyli we wtorek byłam tak zmęczona, że nie miałam siły nawet sms napisać. Wysłałam meila przed chwilą, tak że tam jest tam więcej. Jest dobrze. Buziaki Tęsknię bardzo.
20 SIERPNIA 2015 ROKU CZWARTEK
To były bardzo męczące dni. Wczoraj nawet nie miałam siły telefonu włączyć. Jestem w Szkocji! Dzisiaj Edynburg. W Stolicy mamy dzień wolny. Tak się cieszę! Tu jest tak pięknie. Śpimy pod namiotami, ale na szczęście nie padało. Nawet pozwiedzamy więc jest luksus. Żyję i jestem szczęśliwa. Kocham Was.
20 SIERPNIA 2015 ROKU CZWARTEK DO DZIADKÓW
Hej kochani! Pozdrowienia z Edynburga. Szkocja jest przepiękna. Jedzie się różnie, ale ciągle do przodu. Dzięki za modlitwę. Ja też o Was pamiętam. Buziaki!
21 SIERPNIA 2015 ROKU PIĄTEK
Pozdrów koniecznie wszystkich ode mnie/ dotyczy uczestników spotkania rodzinnego w Ostrzeszowie/ Strasznie chciałabym być teraz z Wami!
My właśnie mamy nie planowaną przerwę bo „górnik” złapał dętkę, ale już 100 kilometrów za nami. Niestety to nie połowa nawet z dzisiejszego dystansu. Będziemy nad jeziorem. Kocham Was. Szkocja jest piękna! Bardzo mocno Was kocham i przytulam.
22 SIERPNIA 2015 ROKU SOBOTA DZIEŃ ODPOCZYNKU
23 SIERPNIA 2015 ROKU NIEDZIELA DZIEŃ PAŃSKI
24 SIERPNIA 2015 ROKU PONIEDIAŁEK

Śpimy dzisiaj na Sali gimnastycznej. Szkocja jest piękna i dalej jadę do przodu. Dopiero jutro Loch Ness niestety. Super że list doszedł! Kocham Was! Buziaki.
25 SIERPNIA 2015 ROKU WTOREK
Loch Ness jest piękne! Chciałabym jeszcze kiedyś wrócić do Szkocji. Jestem zachwycona. Śpimy w dolinie pośród gór, więc widoki niesamowite. Kocham Was bardzo mocno.
26 SIERPNIA 2015 ROKU ŚRODA
Wczoraj dopiero o 23 nocleg znaleźliśmy .Cały dzień lało, ale dzisiaj jest gorzej Armagedon z nieba. Jakoś dojedziemy na prom. Wysłałam meila bo złapałam wifi.
27 SIERPNIA 2015 ROKU CZWARTEK
Właśnie do Ciebie/ czytaj mamy/ pisałam. Śpimy na parkingu. Zmarzliśmy ale na szczęście śpiwór mam dobry i nie ma problemu. Jutro już Dublin. Mamy nocleg u Oblatów. Kocham Was.
28 SIERPNIA 2015 ROKU PIĄTEK
Jedziemy właśnie do Centrum Dublina. Proboszcz nas zaprosił na obiad. Już 4 tydzień szybko leci! Jeszcze trochę i już będziemy w Polsce. Pięknej niedzieli.
29 SIERPNIA 2015 ROKU SOBOTA
Dzień odpoczynku
30 SIERPNIA 2015 ROKU NIEDZIELA DZIEŃ PAŃSKI
31 SIERPNIA 2015 ROKU PONIEDZIAŁEK
Nie wiem czemu nie mogę od niedzieli do Was zadzwonić? A bardzo chciałam. Cały dzień o Was myślałam. Szkolniaki! Jak tam wrażenie? My śpimy w namiotach nad oceanem Atlantyckim. Jest piękny. Za nami ogromne klify polodowcowe. Siedzimy w czapkach i rękawicach bo 10 stopni. Kocham Was bardzo mocno!
1 WRZEŚNIA 2015 ROKU WTOREK
Śpimy w szklarni. Dzisiaj był niesamowicie pozytywny dzień. Faceci powiedzieli, że oddają nam wszystko i prowadzenie w grupie, nawigacje, przerwy, załatwianie noclegu. Na początku się nabijali, ale potem musieli przyznać, żę super sobie radziłyśmy. Zebrałam pochwały, bo przypadła mi nawigacja i mapa.
Wyszło idealnie nie powiem. Dumna jestem. Dużo radości jest to pewne. Każdego dnia mogę odkrywać coś nowego i innego. Na pewno będzie dużo dobra po tej wyprawie. Buziaki!
2 WRZEŚNIA 2015 ROKU ŚRODA
Dzisiaj koczujemy na terminalu promowym. Istna Rumunia! Ale dzięki temu jest śmiesznie. Przez tę pogodę bardzo dużo osób jest chorych, więc mamy małą epidemię. Jutro z powrotem Szkocja, więc się cieszę. Mam nadzieję, że szybko dzieciaki poukładasz. Jesteś przecież wspaniałym pedagogiem i wychowawcą. Wysłałam meila. Kocham Was.
3 WRZEŚNIA 2015 ROKU CZWARTEK
Śpimy przy kościele już w Szkocji . Widoki z promu były piękne, ale strasznie bujało. Wszyscy poszli na mecz, a my włożyłyśmy ojcu kobietę manekina ubranego w jego ciuchy do śpiwora i czekamy na reakcje. No chociaż tyle radości mamy ale wygląda rewelacyjnie. Cieszę się i kocham Was.
4 WRZEŚNIA 2015 ROKU PIĄTEK
Jesteśmy już w Anglii, ale nie mam pojęcia gdzie. Strasznie trudny dzień dzisiaj był dla mnie, ale na szczęście mamy wolne. Niespodzianka dla ojca z manekinem wyszła rewelacyjnie. Wszyscy płakali ze śmiechu. Dzisiaj było tak pięknie! Niesamowite widoki! Chciałoby się takie rzeczy na zawsze zatrzymać!.

5 WRZEŚNIA 2015 ROKU SOBOTA Dzień odpoczynku.
6 WRZEŚNIA 2015 ROKU NIEDZIELA Dzień Pański
7 WRZEŚNIA 2015 ROKU PONIEDZIAŁEK Brak informacji
8 WRZEŚNIA 2015 ROKU WTOREK
Śpimy w Walii. Karolinie rozsypała się obręcz i utknęliśmy trochę. Mamy nadzieję jakość się dokulać do Londynu. Jesteśmy na placu zabaw i może nikt nas nie zgarnie. 9 WRZEŚNIA 2015 ROKU ŚRODA
Hej! Jeszcze trochę i już będę z Wami. Nie mogę się doczekać. My śpimy w parku gdzieś w krzakach. Fajne takie noclegi na dziko. Co u Was? Przytulam mocno.
Meile od Oli z wyprawy Niniwy Team na Wyspy Brytyjskie
Żyje! Jest super! Zdjęcie z rynku we Wroclawiu:) kocham Was (04.08.2015)
Hej Kochani! (09.08.2015)
Udało mi się znaleść chwilkę, żeby napisać parę słów. Mamy nocleg w Dortmundzie i tutaj spędzamy całą niedziele. Jest niesamowicie! Zostaliśmy przyjęci po królewsku! Wczoraj po zrobieniu 250 km przyjechalismy bardzo pozno na miejsce, ale ludzie na nas czekali z falagami Polski i napisami "Witamy Niniwa Team". To niesamowicie miłę uczucie. Ojciec Tomek ma tutaj rodzine i wszystko przygotowlai na nasz przyajzd. Rano czekało na nas śniadanie, panie zrobiły nam pranie wszystkich rzeczy (a od 37 ludzi jest góra rzeczy!), wspólnie odprawiliśmy Mszę, a potem opłacili nam dwie godziny na takim ogromnym odkrytym aquaparku. Wróciliśmy z basenu a czekał na nas stół jezenia i gril! Szok po prostu, ludzie tutaj są niesamowici i jeszczenam dziękują, że do nich przyjechaliśmy :) Na Mszy panie płakały i nas przytulały, bo śpiewaliśmy po polsku pieśni. To są naprawdę piękne momenty.
Odnośnie samej jazdy, faktycznie robimy dużo więcej kilometró niż przewidzieliśmy, ale to nic:) jedzie mi się bardzo dobrze, nogi nawet tak nie bola, głowa tak samo w porzadku tylko tyłęk standardowo odpada:) całe szczeście, że wszędzie i tak sikam na stojąco :D jest nas strasznie dużo w grupie, nie wiem czy jakos połapię do końca wyjazdu imiona ludzi.
Tęsknię już za Wami,a to dopiero początek. Chciałym żebyście mogli razem ze mną przeyżewać tę radość, te wszystkie piękne chwile. W przyszłm tygodniu w piatek o 6.40 mamy bilety na prom w Calle więc do tego czasu musimy się przeprawić przez Luksemburg, Belgię i kawałek Francji. Będzie super i już nie mogę się doczekac! Nie martwcie się o mnie, na rowerze zupełnie inaczej jest odczuwalny upał, witr ciągle wieje w twarz:) mam śliczną rowerową opaleniznę:) Wyściskajcie koniecznie wszystkie ode mnie! modlę się za Was i codziennie myślę :)
Kocham Was bardzo mocno!
Krupcia
27.08.2015
Jesteśmy teraz 50 km za Glasgow. Wczoraj mas tak skali ze można było ciuchy wykręcać i dopiero o 23 mieliśmy nocleg. Dzisiaj też strasznie leje ale musimy dostać sir di miejscowości skąd odpływa nasz prom. Zdjęcie mam nadzieję ze dojedzie. Prosto z Loch Ness:) kocham Was bardzo mocno :)
Krupcia
Hello! 09.09.2015
Już piąty tydzień wyprawy za nami! Nie chce mi się wierzyć, że czas tak szybko zleciał. Jeszcze tydzień i będę mogła Was przytulić wszystkich!

Powiem Wam szczerze, że tak jak już chce wracać to tak samo uwielbiam ten wyprawowy czas. Nic nie muszę, albo lepszym będzie określeniem- niczym się nie muszę martwić. W ciągu roku, cała bieganina bardzo mnie męczy. Tutaj naprawdę odpoczywam, przede wszystkim psychicznie. I cieszę się z najmniejszych rzeczy. To tak ułatwia życie. Poza tym przecież do tego dążymy, aby być szczęśliwym.
Niedziele spędzamy w Lancaster. Wcześniej zapytałam się chłopakó gdzie jestem, bo oczywiście nie miałam zielonego pojęcia:) Śpimy w salkach przy parafii. Część osób poszła zwiedzać miasto, a ja postanowiłam zostać i napisać troszkę słów do Was. Pranie zrobiłam, pojadłam, rower mi chłopaki naprawią, porządek w sakwach jest, gacie zacerowane- mogę świętować niedzielę!:)
Ten tydzień był bardzo różny.Zarówno pod względem nastroju, jazdy, jak i widoków. I dobrze, bo na pewno nie było nudno:)
Wczoraj doświadczyłąm tak pięknych widoków, że nie mogę się ich nadziwic! Tak bardzo takie chwike chciałoby się zatrzymac na zawsze. Całe szczescie mamy zdjecia i choć troszkę po pewnym czasie będzie mozna powsominac. Jestem zachwocona Wyspami. NAprawdę będę robić wszystko żeby tu wrócić i jeszcze moć się tym wszystkim nacieszyć. Może w któres wakacje znajde tani bilet lotniczy? :) ale jedno jest pewne, na pewno nie chciałabym zostac tu na stałe i pracowac jak ci wszyscy Polacy ktorych spotykam. Tęsknią za Polską i to daje się odczuć przy każdej rozmowie. Widzimy łzy w ich oczach gdy śpiewamy polskie piosenki i opowiadamo o Polsce.
Już teraz wiem, ze czeka na mnie dużo obowiązków zwiazanych z uczelnia gdy przyjade. We wtorek od razu po wyprawie musze jechac do KAtowicnnaLigote. Tak mi sie tego nie chce robic, jeszcze nie teraz.
Jestem ciekawa jak tam czas Wam mija po pierwszym tygodniu w szkole :) pewnie intensywnie!
Kocham Was bardzo mocno i przytulam z całej siły!
Doszła do Was kartka? :)
buziaki
Krupcia
P.S.
Zdjęcie z namiastką wczorajszych widoków :) Jestem szczęśliwa!

Hardkołem na Wyspach Brytyjskich
Hardkołem na Wyspach z Niniwą Teamem
Pod biało czerwoną banderą
Dali do wiwatu rowerom,
W spiekocie, ulewie, wichrze i chłodzie.
Niniwici z Kokotka na Wyspach
Z dużym ekwipunkiem na rowerach
Wyspy Brytyjskie zwiedzili wzdłuż i wszerz
Odkrywając w sobie „radość życia”
I dzielili się nią z przyjaciółmi.
Cieszyli się każdą daną im chwilą,
Tą radosną, smutną i uciążliwą.
Tysiące kilometrów przejechanych
Setki tubylców po drodze spotkanych,
Moc wrażeń i emocji doznanych.
Były upadki, choroby i „pany”
Śpiwory leżały w stajni, na trawie,
Chodnikach, plaży, garażu i w sadzie.
Zwiedzili Niemcy, Belgię, Holandię,
Francję, Anglię, Szkocję i Irlandię
Wszędzie miłe spotkania i gościna
Młodzi zżyli się z sobą jak rodzina.
Przeszkodą była przeprawa wodna
Pobudka codzienna wczesno poranna.
Bóle żołądka, nóg łydek, anginy
Tęsknoty, lewe strony, koleiny.
Dziennie witała zorza poranna
Osobista higiena mniej staranna
Wyspy z natury zroszone są mgłą
Spowitą cały wyspiarski krajobraz
Przeżywanie radości z życia w trudach
Było łaską dawaną im od Boga.
W doli , niedoli, radości , cierpieniu
Budowały się więzi Niniwitów.
Z Bożą pomocą zdrowi wrócili
Ciesząc się kolejną przygodą
A wrażenia zostaną na zawsze
W ich sercach, umysłach , albumach
Kolejne doświadczenie dobra
Miłości bliźniego i miłosierdzia.
Czekają już na następne doznania
Wnet dotrą chyba na krańce świata
Tyle już szlaków młodzież przebyła
Że wstęga ich tras nasz glob opasała.
Witamy ich w Kokotku ponownie
Na ustach uśmiech, w sercu pogodniej.
Konrad Dziadek Oli Krupson 13. 09. 2015
Piosenka wspomnieniowa z wyprawy na Wyspy Brytyjskie w roku 2015 /Śpiewana na melodię Love me tender E. Presleya/
1.Mgliste smogi snują się, ponad czernią szos,

Młodzież z Ojcem jadą tam, na rowerach w dal.
Ref. Żyć w radości to nasz cel, razem z bliźnim swym
Żyć w radości w grupie to, to nasz główny cel.
2.Z Polski jadą z banderą, a na przedzie On On jest Oblat ojciec ich, to wędrowców szef.
Ref.Żyć w radości to nasz cel, razem z bliźnim swym,
Żyć w radości w grupie to, to nasz główny cel.
3.Z Teamem Wyspy zwiedzają , gośćmi w Anglii są
Tam w Irlandii daleko, Bóg im łaski śle
Ref. Żyć w radości to nasz cel, razem z bliźnim swym,
Żyć w radości w grupie to, to nasz główny cel.
4.Gośćmi w Szkocji młodzi są, tu na matach śpią
Hardkołowo zżyli się, animozji brak.
Ref. Żyć w radości z bliźnim swym, żyć pomimo łez
Dać miłości pełen kosz, Bóg nam łaski da.
5.Górnik z flagą polski jest na rowerze swym
Na plebaniach w Anglii śpią, ale w stajni też.
Ref.Żyć w radości z bliźnim swym, żyć pomimo łez
Dać miłości pełen kosz, Bóg nam łaski da.
6.Wygód, wody młodym brak, na wyprawie tej
Są upadki, łydek ból , górki, zjazdy i pod wiatr.
Ref. Żyć w radości z bliźnim swym, żyć pomimo łez
Dać miłości pełen kosz, Bóg nam łaski śle.
Ułożył Kemkon dziadek Oli

12. Uzależnione od miłości

Ola zwana przez swoich przyjaciół Krupson i jej koleżanka z drugiego krańca Polski Kasia popularnie zwana Stachą znalazły się w ekstremalnych warunkach ,jako uczestniczki wyprawy rowerowej Niniwy Team „w nieznane" po krajach Europy**,** otoczeni obcymi sobie ludźmi oraz przewodnikiem i organizatorem wyprawy O. Tomaszem z oblackiego zakonu.

Swoiste ekstremum tej wyprawy i surwiwalowe życie wyzwoliło między tymi istotami przyjaźń i uczucie przywiązania, uzależniając uczestników a przede wszystkim nasze bohaterki od miłości i miłosierdzia.

Kasia czyli Stacha drobna, filigranowa, o dziewczęcej urodzie, radosna, zabawna, pełna dowcipu, humoru, ale też siły wigoru i fantazji.

Z jej postawy nie można było wywnioskować na pierwszy rzut oka, że wewnątrz tej drobnej postaci drzemie swoisty siłacz i" strongwomen".

Ola zwana Krupson pogodna, radosna , blondynka szczupłej budowy i bardzo wysokim wzroście, co będzie miało duże znaczenie na tej wyprawie, uzdolniona muzycznie i wokalnie

zdolna, pracowita i zaradna.

Los zetknął na wyprawie rowerowej właśnie te dwie koleżanki, o diametralnie różnych charakterach, przyzwyczajeniach ,o różnej mentalności i emocjach.

Stacha do tej wyprawy przygotowywała się sumiennie i od dłuższego czasu. Niestety tuż przed wyjazdem na zgrupowanie do Kokotka, dowiedziała się z orzeczenia lekarskiego, że kategorycznie nie może w niej uczestniczyć, bo stan zdrowia pogorszy się.

Zdeterminowana i szalona jak zwykle podjęła jednak decyzję, że pomimo wszystko i na przekór chorobie i wyrokom zdania swego nie zmieni i wraz z ko-

leżankami i kolegami uda się na tę wyprawę.”Wszystko w rękach Boga, kiedy On ,mnie umocni, przezwyciężę nawet najtrudniejsze wyprawy” stwierdziła stanowczo.
Krupson wyższa o głowę od swej przyjaciółki, z rowerem do tej pory miała sporadyczny I epizodyczny kontakt. Używała go jedynie w formie rekreacji na niewielkich trasach, zaledwie kilkukilometrowych, natomiast na profesjonalnym sprzęcie po raz pierwszy.
W ciągu sześciu tygodni późnoletniej pogody, oprócz niedziel przez niemal 12 godzin dziennie na rowerze 19 osobowa grupa młodzieży z „Niniwy Team” przejechała przeszło 6.600 km, odwiedzając 12 krajów Europy: Czechy, Słowację, Węgry, Chorwację, Słowenię, Włochy, Szwajcarię, Francję, Belgię, Holandię, Niemcy i Polskę. a niektóre kraje dwukrotnie, przekraczając Tatry Słowackie i Alpy z przewyższeniami rzędu 2.500 m n.p.m., śpiąc gdzie popadło, gdzie sytuacja i warunki tego wymagały jak na przykład: w szałasie, w górach, na chodniku, na trawie i w zaroślach, w oborze z krowami, w lesie, w parku, na placu zabaw dla dzieci, na cmentarzu, ale nie przez całą noc, nad morzem, w kawalerce, pod namiotem i pod gołym niebem, w kościele, w szkole, w garażu i remizie strażackiej.
Wyruszono w grupie 21 osób, ale po trzecim dniu z wyprawy wycofało się dwóch uczestników, rezygnując, powodowani sytuacjami rodzinnymi.
W ciągu 42 dni pokonywali etapy o średniej długości 180 km, przy czym w jednym dniu potrafili pokonać trasę z Berlina do Poznania o długości ponad 350 km.
Oprócz burz, wichrów, upałów skala temperatur wahała się w granicach od 5st.C do nawet 41 st. C i przewyższeniu od 0,00 do 2.500 m.n.p.m.
Wyposażenie każdego roweru ograniczało się do niezbędnego minimum i z konieczności mieściło się w dwóch sakwach, umocowanych po obu stronach tylnego koła, oraz bagażnika.
Kieszonki dresu- kombinezonu funkcyjnego wypełnione były zawsze słodyczami, batonikami, bananami, a napój był umieszczony w bidonie lub butelce 1,5 litrowej, przytwierdzonej do ramy roweru.
Na bagażniku każdego pojazdu jednośladowego umieszczone były namioty, karimaty, kochery i inne naczynia kuchenne i stołowe, a także konserwy i słoiki oraz produkty żywnościowe , zakupione w przydrożnych marketach.
Tylko na jednym z rowerów ,należącym do „Górnika” był zamocowany dość długi maszt wykonany z wędki z polską flagą, jako symbol i znak narodowości uczestników wyprawy.
Wędrowców z Niniwy Team łączono w dwójki, aby dzielić się niektórymi przedmiotami wyposażenia i ekwipunku jak namiotami, stelażami, śledziami i tropikiem.
W rezultacie Stacha i Krupson podzieliły się tymi akcesoriami podróży.
Stacha- koleżanka o drobnej posturze , skromnie ukształtowanych mięśniach, zarówno bicepsów jak i ud i Krupson długonoga w jednym musiały spać namiocie a ze względu na szczupłą budowę ciała koleżanki miała więcej przestrzeni do spania i odpoczynku.
W sakwach znajdowały się rzeczy najbardziej niezbędne do przebrania, higieny osobistej oraz niestety do jedzenia. Często czekoladki i pralinki czy krakersy i chipsy zmieszane były z pozostałą zawartością sakwy.

Podstawowym daniem przez niemal sześć tygodni był nieśmiertelny i nieodzowny makaron, lub ryż konsumowany w przeróżnej postaci i z dodatkiem albo sosów ze słoików lub z jarzynami.
Zwykle to dziewczęta pełniły rolę kucharzy i przygotowywały posiłki i niestety sprzątały po posiłku.
Uzbrojone w kaski, gogle i kombinezony funkcyjne, praktycznie na każdą pogodę, słoneczną, wietrzną, dżdżystą, czy deszczową, pogodę mroźną i burzową z wyładowaniami.
Zawieruchy były tak silne i gwałtowne, że nawet wędka do której przywieszona była polska flaga biało czerwona, łopocząca na wietrze, nie wytrzymywała jego naporu a raczej huraganu i się połamała a sukno porwało na gałęziach.
Powiewała wysoko ponad grupą ,dumnie wskazując przechodniom , że to dzielni i odważni Polacy jadą w nieznane, niosąc ludziom innych narodów pokój. Flaga powiewała tak wysoko, że gdy gałęzie drzew wchodziły na jezdnię, „Górnik" slalomem zmuszony był je omijać
Niektóre z dziewcząt w swoich sakwach ukryte miały sukienki, spódnice, czy środki kosmetyczne na wszelki wypadek i na niedzielę. Tylko jakim cudem zmieściły się te elementy w skromnych sakwach, pozostało ich tajemnicą.

„Wyprawa w nieznane", bo grupa tym razem była kierowana na kolejne etapy podróży przez internautów w specjalnym programie.
Na końcu kawalkady rowerzystów na trasie jechała „czerwona latarnia" czyli jeden z uczestników ,zamykając całą grupę. Musiał czekać na maruderów, spóźnionych i osłabionych
albo pechowców, którzy musieli zostać z powodu awarii, czy upadku.
Sprawdziła się doskonale ta filigranowa przyjaciółka z drugiego krańca Polski.

W ciężkich chwilach i sytuacjach, kiedy było wyjątkowo trudno, kiedy nogi nabrzmiewały zakwasami i bolały, uśmiechem swoim i dowcipem wzmacniały siły nie tylko Krupson ale i pozostałym uczestnikom wyprawy. Ból mijał i chciało się dalej naciskać na pedały, nawet pod górę. Rozbrajała żartami innych. Dobra atmosfera sprzyjała wyprawie. Dobrze się stało że Stacha wreszcie zdecydowała się brać udział w tej imprezie.
Doświadczenia , wrażenia i emocje, nagromadzone przez te nasze bohaterki ,będące uczestnikami tej niezwykłej wyprawy rowerowej w nieznane są autentyczne i osobiste.
Drogami Europy południowo-środkowej wiódł szlak wyprawy Niniwy Team.
Wszystko jak zwykle zaczęło się w Kokotku, a internauci podróżników skierowali na południe.
Kiedy minęli granicę i znaleźli się nagle w Czechach, problem ze znalezieniem noclegu był tylko chwilowy.
W pomieszczeniach garaży miejscowej straży pożarnej, rozłożyły swoje karimaty, bezpośrednio na betonie. Kasia z ksywą Stacha rozłożyła swoją tuż obok Oli zwanej Krupson, oswajając się ze sobą i integrując, bo przecież przeżyć trzeba będzie razem trudy całej „wyprawy w nieznane”
Obudziły się wczesnym rankiem, a każda miała koszmarne sny, które ze względu na zmęczenie nie były możliwe do zrelacjonowania w całości i skupieniu.
Góry, góry, a potem karkołomne zjazdy. Upał doskwierał wędrowcom. Stacha przy Krupson, obie kolo w koło, a czasami „gęsiego” jak sytuacja na drodze tego wymagała.
Żartują, o ile głos pomimo wiatru, przedzierającego się przez szczeliny kasku dochodzi do uszu interlokutora. Dialog przerywany ciężkim i ochrypłym od zimna oddechem. Ale cóż tam rozmawiać i śpiewać trzeba, bo jazda jest na tyle monotonna i nudna, że można zasnąć.
Ze względu na ustalone zasady, ”Wędrówki w nieznane” jakiś dowcipniś postarał się zawrócić grupę do Polski.
Podobnie jest w życiu. Nie wiesz przecież co będzie na drugi dzień, co się zdarzy i czy w ogóle przeżyjesz.
Ból i zmęczenie zmieszało się z niepewnością i zwątpieniem i dlatego był tym większy.
Wrócili z powrotem do kraju. Pomimo tych niepowodzeń, dziarsko radzili sobie z górami i pogodą. Los przecież wyznaczył im ten powrót. Modlili się też za swoich internautów, nawet za tego dowcipnisia. Kolejny raz ćwiczyły swój charakter w dobrym.

Do Kokotka trafili przypadkowo i niezaplanowanie, bo przecież taki los mogli przewidywać, skoro wymyślili „wyprawę w nieznane” zdając się na głosy internautów.
Stacha jak zwykle z natury radosna i dowcipna, zarażała swoją partnerkę humorem, co odpowiadało Krupson, bo jednak była nieco podłamana, że nie wyszło.
Coraz bardziej zbliżały się uczuciowo do siebie. W takiej atmosferze lżej jest pokonywać trudy wyprawy.
Stacha piątego dnia zgodnie z dyżurem, prowadziła rozważania i modlitwy, a na temat miłości wzajemnej podzieliła się z uczestnikami wyprawy taką refleksją: „Gdyby Matka Teresa z Kalkuty była z nami, powiedziałaby, że nieważne jest liczba kilometrów, jaką przejedziemy, ale ilość miłości, jaką w to włożymy”.
U sióstr w klasztorze jeszcze w Polsce ,Stacha przytuliła się do gigantycznego puszystego słonika i na jego grubych i miękkich łapach przeleżała do rana, śpiąc snem umęczonej.
W takich „komfortowych „warunkach obecność Krupson była zbyteczna. Tylko ciężkie i ekstremalne warunki zbliżały przyjaciółki do siebie, umacniając więzy miłości wzajemnej.
Na podwórku przydomowym w małej miejscowości na Węgrzech, przyjazna jak zwykle każda rodzina dla polaków przyjęła wędrowców rowerowych bez problemu.
Sen był głęboki i pod gołym niebem gwieździstym tej nocy Krupson przytuliła się do Stachy, Obie dzieliły posłanie w trudach wyprawy, zdane na siebie.

W Budapeszcie w klasztorze u sióstr Szkolnych doznały przyjemności ciepłego prysznicu, tak że śpiąc przytulone, nie doznawały względem siebie nieprzyjemnej woni, nieumytego ciała.
Noc u braci Węgrów była dowodem doznanej miłości, promieniującej od drugiego człowieka.
Umacniała się i była doznawana także pomiędzy naszymi przyjaciółkami.
Pobudka wczesnym rankiem jeszcze przed świtem, sklejone oczy, włosy w nieładzie, rozwichrzone a Stacha jak zwykle żartuje i wprawia w dobry humor innych a nade wszystko Krupson. Należy przeto w pośpiechu spakować manatki, sakwy ubić do oporu i w drogę, bo wędrowców rowerowych czeka kolejne wyzwanie to znaczy pokonanie następnego odcinka o długości 200 kilometrów.
Kąpiel w Balatonie to chwile rozkoszy dla ciała i odprężenie. Atmosfera sprzyjała żartom i dowcipom, w których prym wiodła Stacha a wtórowała jej tym razem Krupson.
Nocleg na opuszczonej stacji benzynowej, to doskonałe miejsce na odpoczynek. Choć brudno i niepewnie, ale za to pod dachem. Umacniała się miłość i przywiązanie między przyjaciółkami, mimo że niespodziewany deszcz w nocy zalał karimaty i posłania.
Ulewę na trasie uratował posterunek celny w Chorwacji, który użyczył schronienia hardkołowcom.
„Złapanie gumy" u Stachy nie powodowało zdenerwowania, bo przecież koledzy natychmiast naprawiali awarie a dziewczyny mogły „iść na stronę".
Miłość wzajemna wyzwala nadzieję na lepszą przyszłość i dodaje sił do pokonania trudności i niewygód.
Brak ciepłej wody sprawiał, że rzeczy i ciało pachniały zgnilizną, stęchlizną i potem. Na dezodoranty i perfumy nie było miejsca w sakwach.
A co robić, kiedy cały skąpany jest w deszczu? Zmoczeni do szpiku kości i do suchej nitki , zmęczeni kładą się do snu i w mokrych rzeczach wczesnym rankiem wyruszają na kolejne 200 km trasy w nieznane, byle przed siebie.
Stacha pobudza Krupson i koleżanki do śpiewu podczas jazdy.
Chorwacja w słońcu jest rajem i rozkoszą dla oczu, ale kiedy cały dzień pada, to nie ma ochoty oczu podnieś spod kasku, aby podziwiać krajobraz i nacieszyć się widokiem.
Nocleg nad Adriatykiem w namiotach w przenikliwym zimnie nie należał do przyjemności.
Stacha i Krupson pod jednym dachem, zmarznięte, przytuliły się serdecznie do siebie, dzieląc się ciepłem, z tym że Krupson długonoga miała ten dyskomfort, że nogi musiały wystawać poza namiot, niestety.
Nawet w takich okropnych warunkach obie rozweselały się wzajemnie i przeżyły ten koszmar. Kąpiel w morzu i pranie rzeczy w sakwach, suszenie jej na drzewach lub murach to codzienność w tej ekstremalnej wyprawie.
Po deszczowej porze wędrowcy jadąc górami w Chorwacji ujrzeli słonko i mogli podziwiać uroki tego miejsca.
Jazda w górach przy wzmożonym ruchu drogowym, wymaga nie lada uwagi, roztropności i kondycji. Kiedy Krupson wjechała w koleiny i wykoziołkowała „na glebę" Stacha już była przy niej. Opatrzyła jej zdarte kolana, pocieszyła, ale niestety brudne i skrwawione miejsca nie umyła, bo wody w tym miejscu było brak. Obie musiały dołączyć do reszty grupy. No cóż takie są zasady wspólnej jazdy.

Nocleg na rynku, na bruku małego miasteczka, też musiał być wpisany w ten program
wycieczki bez planu w nieznane. To kolejne doświadczenie i emocje, ale w grupie jest wesoło, a na karimatach czuć „kocie łby" tego miejsca.
Nocleg na chodniku w Pradazzo do przyjemnych też nie należał.
Po" wyprawie w nieznane" obie przyjaciółki miały serdecznie dosyć. Znienawidziły rower
ten pojazd, dzięki któremu mogły zwiedzić niemal całą Europę i poznać wielu jej mieszkańców.
W publikacji Niniwy „Wyprawa w nieznane" Stacha wyznała, że „*nie ma nic złego w tym, że pragniesz od życia czegoś więcej .Nigdy nie przestawaj marzyć' oraz „Wyprawa w nieznane była sprawdzianem, który udało mi się zaliczyć i spełnić swoje marzenie. Rewelacyjna grupa, ludzie spotkani po drodze ,piękne widoki, oraz codzienna Eucharystia sprawiły ,że czułam się w pełni wolna. Potrafiłam docenić to, co otrzymuję na co dzień. Problemy nie pojawiły się wtedy, gdy przez dziesięć dni nie widziałam prysznica, czy w nocy po prostu było mi zimno. Najtrudniejsze chwile to to, gdy ktoś z naszej rowerowej rodziny miał kryzys. Wtedy często pojawiał się lęk. Wiara w owoce przejechanych kilometrów, w możliwość uratowania tym trudem chociaż jednego człowieka na wojnie była najlepszą motywacją. Wiem, że bez grupy*
Nie przejechałabym takiej drogi. Wyprawa nauczyła mnie pozytywnego podejścia do życia.
Nie ważne, ile czynimy, lecz ile miłości wkładamy w to czynienie.
Człowiek nie jest bezdomny, gdy obok siebie zamiast ciepłego grzejnika ma ciepłe serce drugiej osoby, gdy zamiast dużej plazmy ma duży i szczery uśmiech człowieka, który nigdy go nie opuści "
A Krupson:" Na" Wyprawę w Nieznane" jedzie, by poznać samego siebie i odkryć Pana Boga.
Wyruszając, wiozłam w sercu jakieś swoje marzenia o konkretnym kierunku i o ludziach, których tam spotkam. Dopiero, gdy to wszystko przestało mieć znaczenie, wyprawa nabrała kolorów. Zaczęli być ważni ludzie w grupie, obecna chwila, którą chciało się wykorzystać maksymalnie, radość z małych rzeczy i pokój. Świadomość tej intencji przyszła z czasem, dla każdego z innym. To dlatego, że jak powiedział O. Tomasz, najpierw trzeba zacząć od [pokoju w swoim sercu. Jeśli ktoś odniósł wrażenie, że ta wyprawa ciągle była taka łatwa i piękna, to oczywiście jest w błędzie. Ciężko przeżywać ekstazę radości i zachwytu, śpiąc gdzieś po krzakach, albo w oborze, odganiając myszy łase na jedzenie, ubijając z obrzydzeniem ogromne pająki, udając, że po czterech dniach niemycia się, wcale tak bardzo nie śmierdzę i ignorując osoby prześcigające się w chrapaniu. Człowiek sam z siebie jest słaby, ale w takich sytuacjach zawsze pojawiał się ktoś, kto rozładował atmosferę- dzięki temu takie „błahostki" nie miały już żadnego znaczenia. Pojawiała się radość.
Grupę mieliśmy niesamowitą. Wyruszyłam z ludźmi, których wcześniej widziałam raz w życiu, a imion nie pamiętałam do drugiego tygodnia .Pod koniec byłam w stanie rozpoznać, kto kaszle za namiotem. Przebywanie z drugim człowiekiem w tak ekstremalnych warunkach uczy niesamowicie miłości tej prawdziwej, autentycznej. To także próba charakteru. Często mamy obraz samych siebie, taki jaki chcemy pokazywać „na zewnątrz" Tu nie ma maski, widzisz swoje wnętrze jak na dłoni. To niesamowite doświadczenie, które wiele mnie nauczyło. W tym miejscu chciałam podziękować Kasi Dmowskiej i Kubie Ko-

strzewskiemu. Wiecie ,że bez Was nie dojechałabym. W sumie Wy beze mnie też nie, taka symbioza
On/Bóg/dał mi wspaniałą rodzinę, która mnie wspierała, przyjaciół stojących za mną murem, ale także przeciwności, które jeszcze bardziej umacniały w wyborze i dodawały motywacji do podejmowania trudu ”
Kemkon

13. Hardkołowa Krupson

Z przewróconego do góry kołami i doszczętnie roztrzaskanego i dymiącego Forda, leżącego na poboczu drogi, nie można w żaden sposób wydostać kierowcy. Przygodnie nadjeżdżający z naprzeciwka kierowca po wyjściu z łuku , nagle zobaczył po swojej stronie w rowie leżące szczątki srebrnego pojazdu, i nie zastanawiając się próbował udzielić pomocy poszkodowanemu, a przede wszystkim uwolnić go z więzów i wydostać na zewnątrz. Nadjechali i inni, aby ratować nieszczęśnika. Udało się i z trudem wyzwolili pasami przytroczonego kierowcę, którym okazała się dziewczyna. W szoku będąc i w niewygodnej pozycji , uwikłana w siedzeniach i pofałdowanych i zgniecionych elementach karoserii i tapicerki, jeszcze nieświadoma, co się właściwie stało, siłą wyciągnięto na zewnątrz przez świadków zdarzenia.

Ponieważ wykazywała oznaki życia i nie było śladów krwi, świadkowie przy pomocy komórki, która nagle odezwała się ,a wcześniej wypadła Oli z kieszeni, poinformowano natychmiast rodziców o zdarzeniu. Następnie zawiadomiono Policję i Pogotowie Ratunkowe, które za kilkanaście minut pojawiło się.
Zdziwienie w oczach ratujących i Policji było wielkie, ponieważ zbędna była reanimacja a i widocznych urazów nie było. Od skutecznego zadziałania poduszek twarz dziewczyny była okaleczona z dużym obrzękiem. Drobne skaleczenia, ale mimo wszystko zgodnie z procedurami zabrano ją na obserwację do Szpitala na OIOM. Kolizji na szczęście nie było i nie spowodowała przekroczenia przepisów bo powodem wypadku było zaśnięcie za kierownicą i dlatego że była trzeźwa, po spisaniu stosownego protokołu i wykonaniu kilku zdjęć, Policja odjechała zawiadamiając służby porządkowe o konieczności odholowania wra-

ku na złom. Był do tego stopnia zniszczony, że był to jedyny sposób na sprzątnięcie z pobocza drogi. Nie było sensu go remontować.
Po zmianie kierunku na prostym odcinku drogi monotonnie podążającej przed siebie kierowca zasypiając przy kierownicy , nucąc sobie ulubioną piosenkę Niniwy, kilkanaście kilometrów od celu podróży zjechał nagle na przeciwległy pas i po skosie zjeżdżając na pobocze z rowem, koziołkował 'dachując" po uderzeniu o przydrożne drzewa, uwięziwszy wewnątrz kierowcę.
Krupson czyli Ola bo tak potocznie jest nazywana czyli ma „ksywę" wśród swoich rówieśników dwudziestolatków, na drugi dzień po tej„ hardkołowej wyprawie rowerowej Niniwy Team w nieznane" odwiedziła swoją koleżankę w Głogówku, aby opowiedzieć jej o swoich wrażeniach i doznanych emocjach z tej niezwykłej wyprawy po Europie po przejechaniu z przyjaciółmi z Niniwy Team trasy przeszło 6.600 km na rowerze w ciągu 6 tygodni.
Zmęczona, niewyspana, naładowana wrażeniami i emocjami wsiadła za kierownicą rodzinnego srebrnego Forda i stało się.
Tuż przed końcem celu podróży nagle „urwał jej się film" i nie kończąc nucenia sobie znanej piosenki Niniwy zasnęła przy kierownicy i odzyskała przytomność przewrócona do góry nogami i zakleszczona w pojeździe.
Dopiero wtedy do jej świadomości dotarło, że uległa wypadkowi, "Boże co się stało!" westchnęła ze zdziwieniem" Dobrze ,że pozwoliłeś mi ponownie ujrzeć Twój świat" dodała. „ Dzięki Ci" .Zmęczenie, osłabienie i wyczerpanie upomniało się o swoje.
Po całonocnym pobycie w Szpitalu i obserwacji na OIOMie z rozpoznanym wstrząsem mózgu i bólami w kręgach szyjnych i potłuczonym kręgosłupie wypisano ją do domu. Okazało się bowiem że nastąpiły zmiany w mózgu o czym mógł potwierdzić na podstawie EEG neurolog , a uszkodzone kręgi szyjne wzmocnione zostały specjalnym kołnierzem, pożyczonym od koleżanki. W tym stanie była zmuszona funkcjonować, bo o przerwaniu studiów w Katowicach nie było mowy, a praktyki nie wolno opuścić, bo nie ma możliwości nadrobienia.
Hardkołowa Krupson wróciła z „wyprawy w nieznane" po krajach Europy wzdłuż i wszerz we wrześniu 2014 roku przemierzając na rowerach wraz z przyjaciółmi z Niniwy Team trasę przeszło 6.600 km w ciągu 46 dni.
„Hardokołowa" jest to zbitek słowny na użytek tej wyprawy rowerowej , bo w gwarze śląskiej rower znaczy koło. A „hard" po angielsku znaczy twardy.
Hardkołowa Krupson ,szalona, nieobliczalna, nieprzewidywalna, ciekawa i podziwiana do tego stopnia przeklęła ten dwukołowy pojazd, że na koniec po tylu zdarzeniach i walki z sobą, wyraziła się: *nienawidzę roweru, ale bez niego nie zdołałabym zwiedzić prawie całą Europę i poznać tylu ciekawych, zamieszkujących ją ludzi."*
Kilkakrotne „glebowanie", złapanie gumy, i koziołkowanie to efekty wpisane w „Wyprawę w nieznane" na rowerach naszej bohaterki.
W rok potem niemal w tym samym okresie Krupson, mimo przeciwności, "obrzydzeniu do roweru" i choroby, postanowiła uczestniczyć w kolejnej eskapadzie rowerowej Niniwy Team , tym razem „o radość życia po Wyspach Brytyjskich. Znów zmagać się z sobą, z przeciwnościami, niewygodami i pogodą.
Wróciła szczęśliwie i w radosnym nastroju, pogodna i wesoła pokonując ogółem trasę o długości w ciągu 6 tygodni o przewyższeniu m.n.p.m.
Zwiedziła tym razem następujące kraje: Polskę, Niemcy, Holandię, Belgię, Francję, niemal wszystkie kraje należące do Wspólnoty Brytyjskiej.

Mimo „obrzydzenia do roweru” Krupson, kiedy minie rok i Niniwa znów zorganizuje kolejną wyprawę rowerową, w nieustalonym jeszcze celu, jestem pewien że nie odmówi uczestnictwa, podobnie zresztą jak i jej koleżanki. Taka jest szalona i nieprzewidywalna w swoich marzeniach i planach.
Po powrocie z tej wyczerpującej, acz ciekawej i owocnej wyprawy rowerowej po Wyspach Brytyjskich Krupson odwiedziła swoich miejscowych przyjaciół ,postanawiając odbyć wypad w góry do domu wczasowego.
Zawieszony nad przepaścią, pojazd zatrzymał się na przydrożnych słupkach, jadąc„bezwolnie” w poślizgu . W rezultacie tego zdarzenia o dziwo! Wszyscy wyszli cali i zdrowi i bez szwanku, jednak Krupson pozostał siny ślad na skroni i obrzęk w okolicy oka prawego, natomiast pojazd zbytnio nie odczuł uderzenia . Jedyny uszczerbek to widoczne wgniecenie prawego rogu przy lampach. Jak to się stało? Otóż jadąc krętymi górskimi drogami przy padającym deszczu, kierowca-przyjaciel Krupson zmuszony był ominąć ciężarówkę, która nagle skręciła w boczny dukt. Hamulce przestały działać na śliskiej nawierzchni i pojazd sunął jak po lodzie, wyczyniając przeróżne skręty, w miarę jak działały hamulce , uruchamiane pulsacyjnie w odruchu samoobrony przez prowadzącego .Przeznaczenie, szczęście, opieka Boża? Los tak chciał, a mogło być inaczej. Nad przepaścią zawieszeni ,zaufali Bogu, który ze swej łaski pozwolił młodym wyjść cało z tej tragedii.
Hardkołowa, hardwomen Krupson, bo w swoim krótkim życiu dokonała wiele i przeszła dość dużo zdarzeń.
Tuż przed ważnym wyjazdem za granicę, na Dworcu Wschodnim w Warszawie złodziej okradł ją, zabierając portfel z dokumentami ,kartami bankowymi i gotówką. Ile kłopotów miała, aby przywrócić te dokumenty i zablokować konta bankowe. Niektóre dokumenty i legitymacje nie dało się przywrócić.
Po roku czasu od tego zdarzenia, kiedy Krupson wyrobiła sobie niemal wszystkie dokumenty, ni stąd ni z owąd do drzwi zapukał policjant, pytając się o nazwisko. Zdziwiona tym pytaniem, policjant wyjaśnił, że jest w posiadaniu portfela z dokumentami na nazwisko poszkodowanej. Niestety nie miały one żadnej wartości, ponieważ miała już nowe.
Mimo młodego wieku Krupson osiągnęła już wiele:
Gromadząc w różny sposób środki finansowe i szukając sponsorów, wraz z przyjaciółmi zorganizowała wyjazd na Światowe Forum Młodzieży do Madrytu.
Każde wakacje wykorzystuje , pracując albo jako ratownik wodny na okolicznych akwenach, albo jako wychowawca na koloniach letnich nad morzem.
Chętnie angażuje się jako wolontariuszka w różnych akcjach charytatywnych . Wykorzystuje też swoje umiejętności w języku migowym, pomagając głuchoniemym.
Występowała na deskach scenicznych w spektaklu Niniwy w spodku katowickim oraz w orkiestrze szkoły muzycznej. Kilkakrotnie wraz z przyjaciółmi występowała w radiu Opole.
Jakby atrakcji było za mało, uzyskała patent nie tylko sędziego pływania i ratownika wodnego, ale na Mazurach zdobyła patent sternika motorowodnego i jachtowego. Posiada też prawo jazdy. Ukończyła szkołę muzyczną w klasie fortepianu i saksofonu. Umie też grać na gitarze i akordeonie. Obecnie studiuje Położnictwo w Katowicach.
Nieprzewidywalna Krupson, co jeszcze wymyśli? czego dokona?
Czy podoła trudom tej niecodziennej eskapady , zastanawiała się przez dłuższy czas, bo nie tylko kondycja i brak wytrenowania i psychika, ale także brak od-

powiedniego, profesjonalnego sprzętu, wyposażenia i ubioru na różne sytuacje pogodowe.
Kiedy zapadła decyzja gotowości do uczestnictwa i zbliżał się termin startu ,Krupson zgodnie z wykazem, uzupełniła ekwipunek i sprzęt rowerowy i mogła zgłosić się na punkt zborny do Kokotka, oblackiej siedziby Niniwy.
Tam zastała liczne grono swoich przyjaciół z Niniwy, zarówno dziewcząt jak i chłopców w różnym wieku. Młodzież zjechała się z całej Polski, nawet z bardzo odległych miast, z Elbląga, Warszawy, Siedlec, Katowic, Kędzierzyna Koźla, Lublińca, Częstochowy, Słupska, Mogilanów , Krakowa, Bytomia, Olkusza.
I wyruszyli „w nieznane". Dlaczego w nieznane?
Otóż organizator wymyślił sobie taki projekt, że internauci drogą głosowania będą codziennie wytyczać trasę kolejnego odcinka, bo przecież nie chodziło o zwiedzenie krajów a dotarcie do dowolnego miejsca z orędziem pokoju. **Uzależnione od miłości**
Kiedy po „wyprawie w nieznane" wnuczka moja Ola zaprosiła obie nasze kędzierzyńskie rodziny, aby podzielić się swoimi wrażeniami z tej niecodziennej ,niezwykłej wyprawy rowerowej uwagę moją skupiła na fragmencie dotyczącym „uzależnienia od miłości „i serdecznego przywiązania nieznanych sobie osób, które nagle znalazły się w ekstremalnych warunkach , otoczeni obcymi sobie ludźmi oraz O. Tomaszem Maniurą z oblackiego zakonu.
Zdane na miłość i przywiązanie w wyjątkowo trudnych sytuacjach „wyprawy w nieznane" Kasia z Siedlec zwana przez przyjaciół „Stacha" oraz Ola z Kędzierzyna Koźla zwana „Krupson". Kasia drobna, filigranowa, dziewczęca, ale radosna, zabawna, pełna dowcipu, wigoru i fantazji. Z jej postawy i figury nie można było wywnioskować, że wewnątrz tej kruszynki drzemie swoisty siłacz i „strongwomen".
Ekstremum i surwiwalowe życie podczas wyprawy wyzwoliło między tymi istotami przyjaźń i uczucie przywiązania.
W ciągu 6 tygodni późnoletniej pogody oprócz niedziel przez niemal 12 godzin dziennie na rowerze 19 osobowa grupa młodzieży z „Niniwy Team" przejechała przeszło 6.600 km odwiedzając 12 krajów Europy: Czechy, Słowację , Węgry, Chorwację, Słowenię, Włochy, Szwajcarię, Francję Belgię, Holandię, Niemcy i Polskę a niektóre kraje dwukrotnie od Morza Adriatyckiego po Morze Północne, dwukrotnie przekraczając Tatry Słowackie i Alpy z przewyższeniem ponad 2.500 m n.p.m. śpiąc gdzie popadło i sytuacja zmusiła: w szałasie, w górach, na chodniku i na trawie, w parku, w oborze z krowami, w lesie, na cmentarzu, „dzikim" campingu, na plaży nad morzem, w kawalerce, pod namiotem , w kościele, w garażu i remizie strażackiej.
Wyruszono w grupie 21 osób, ale po trzecim dniu z wyprawy wycofało się dwóch uczestników, rezygnując powodowani sytuacjami rodzinnymi.
W rezultacie wyprawę szczęśliwie ukończyło 19 osób w tym oblacki zakonnik ks. Tomek organizator i ojciec duchowny wyprawy.
W ciągu 42 dni pokonywali etapy o średniej długości 180 km, przy czym w jednym dniu potrafili pokonać trasę z Berlina do Poznania o długości ponad 350 km.
Oprócz burz, wichrów, upałów skala temperatur wahała się w granicach od 5 oC do nawet 41 oC i przewyższeniu od 0,00 do 2.500 m n.p.m.
Los zetknął Olę z Kasią z Siedlec, drobniutką i szczupłą ciemnowłosą koleżanką o diametralnie odmiennym charakterze, dowcipie , przyzwyczajeniach, o różnej mentalności i emocjach.

Do tej wyprawy przygotowywała się sumiennie i od dłuższego czasu. Niestety tuż przed wyjazdem do Kokotka na zgrupowanie dowiedziała się z orzeczenia lekarskiego ,że kategorycznie nie może w niej uczestniczyć, bo stan zdrowia pogorszy się. Zdeterminowana i szalona jak zwykle podjęła jednak decyzję, że pomimo wszystko i na przekór chorobie zdania swego nie zmieni i wraz z koleżankami z Siedlec uda się na tę wyprawę. „Wszystko w rękach Boga, kiedy On mnie umocni, przezwyciężę trudności wyprawy" stwierdziła stanowczo.
Ola z Kędzierzyna Koźla wyższa o głowę od swej siedleckiej przyjaciółki z rowerem miała sporadyczny kontakt. Używała go w formie rekreacji i na niewielkich trasach, zaledwie kilkukilometrowych, natomiast na profesjonalnym sprzęcie po raz pierwszy.
Wyposażenie każdego roweru na wyprawie mieściło się z konieczności w dwóch sakwach umocowanych po obu stronach tylnego koła, a oprócz tego kieszonki dresu- kombinezonu funkcyjnego wypełnione były zawsze słodyczami, batonikami, bananami, a napój był umieszczony w butelce 1,5 litrowej, przytwierdzonej o ramy roweru. Na bagażniku każdego pojazdu jednośladowego umieszczone były namioty, karimaty, kochery i inne naczynia kuchenne i stołowe, a także konserwy i słoiki.
Uczestników wyprawy łączono w dwójki, aby się dzielić niektórymi przedmiotami wyposażenia i ekwipunku jak namiotem, stelażem, śledziami i tropikiem. Oli przydzielono Kasię z Siedlec. Koleżanka drobnej postury o skromnie ukształtowanych mięśniach zarówno bicepsów jak i ud. W jednym namiocie spały każdej nocy i ze względu na szczupłość koleżanki Ola miała nieco więcej przestrzeni do spania i odpoczynku.
W sakwach znajdowały się rzeczy najbardziej niezbędne do przebrania, higieny osobistej oraz do jedzenia. Niestety często czekoladki i pralinki czy krakersy i chipsy zmieszane były z pozostałą zawartością sakwy.
Podstawowym daniem przez niemal 6 tygodni był nieśmiertelny i nieodzowny makaron ,konsumowany w przeróżnej postaci i z dodatkiem albo sosów lub z jarzynami. Zwykle to dziewczęta pełniły rolę kucharzy i przygotowywały posiłki i niestety sprzątały po posiłku.
Uzbrojone w kaski , gogle i kombinezony funkcyjne ,praktycznie na każdą pogodę, słoneczną, wietrzną, dżdżystą czy deszczową, pogodę mroźną i burzową. Zawieruchy były tak silne i gwałtowne, że nawet wędka do której przywieszona była biało czerwona, łopocząca na wietrze , nie wytrzymała naporu wiatru a raczej huraganu i się połamała. Powiewała wysoko ponad grupą dumnie wskazując przechodniom, że to dzielni i odważni Polacy jadą w nieznane niosąc ludziom innych narodów pokój. Flaga powiewała tak wysoko ,że gdy gałęzie drzew wchodziły na jezdnię, górnik slalomem musiał je omijać. Niektóre z dziewcząt w sakwach miały ukryte sukienki, spódnice czy środki kosmetyczne na wszelki wypadek i na niedzielę.
Grupa hardkołowców z Kokotka na tej" wyprawie w nieznane" kierowana była codziennie przez internautów na kolejne etapy przez 42 dni.
Grupę prowadził „górnik" ze sterczącą flagą, natomiast zamykał jako „czerwona latarnia", którego obowiązkiem było czekać na spóźnionych i osłabionych uczestników. Każdy miał przydzielone funkcje i z tym związane obowiązki.
Sprawdziła się doskonale ta filigranowa koleżanka z Siedlec. W ciężkich sytuacjach, kiedy było wyjątkowo trudno, kiedy nogi nabrzmiewały zakwasami i bolały, uśmiechem swoim i dowcipem wzmacniały siły ni e tylko Oli ale i pozostałym uczestnikom wyprawy. Ból mijał i chciało się dalej naciskać na pedały, na-

wet pod górę. Rozbrajała żartami innych . Dobra atmosfera sprzyjała wyprawie. Dobrze się stało, że Kasia wreszcie zdecydowała się brać udział w tej wyprawie. Doświadczenia, wrażenia i emocje nagromadzone przez te dwie uczestniczki wyprawy rowerowej z Niniwą Team są autentyczne i osobiste.
O tej wyjątkowej symbiozie uczuciowej i przywiązania opowiadają: Kasia z Siedlec
I Ola z Kędzierzyna-Koźla.

Fenomen Niniwy

Kokotek Oblackie Centrum Ewangelizacji Młodzieży niedaleko Lublińca. Miejsce spotkań młodzieży nie tylko ze Śląska ale także z całej Polski.

Opowiadania dla dzieci w różnym wieku

Nasza Matka w Niebie
Niepokalana, Święta, Biała jak najcudowniejszy kwiat
Smutna Królowa Świata pomiędzy Niebem a nędzą Świata, czyli:

1. Legenda o Matce Boskiej
w obrazach Stachiewicza i w poezji nieznanego autora

Ucieczka do Egiptu

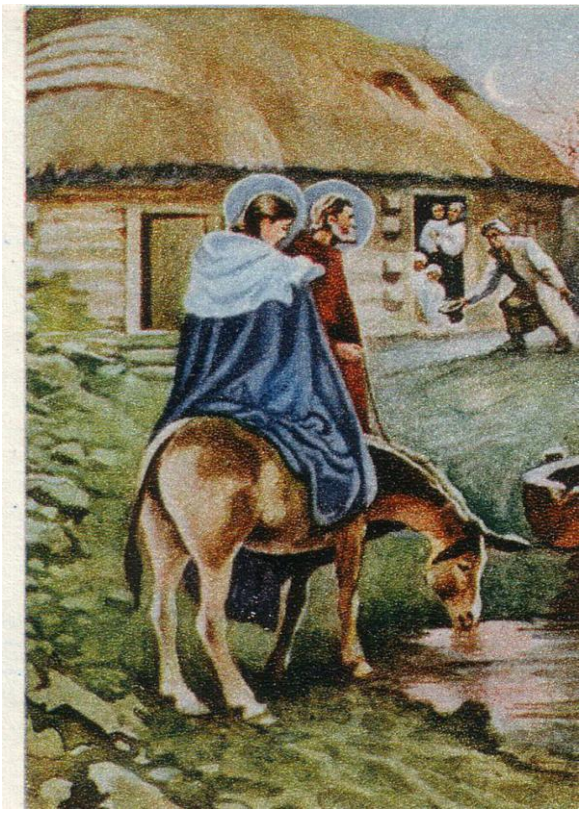

Gdzie Cię niosą gdzie Maleńki
przez upalne wyschłe drogi
Czemu oczka Twe błękitne
pełne smutku. pełne trwogi
Nie opuszczaj nas Dziecino
wejdź do cichej, małej chatki
gdzie się kraszą w prostych dzbanach
polne maki i bławatki
gdzie wieszają się po ścianach,
wieńce, ziela i stokroci,
a w obrazach poczerniałych
jasne słonko tak się złoci
w naszej chatce umajonej,
króluj sobie, jak w kościele,
i rozdawaj małą rączką
miłość, szczęście i wesele
już nie odchodź stąd Dziecino,
ty maleńki nasz tułaczu,
gdzież poniesiesz Swe serduszko
pełne smutku pełne płaczu
gdzież poniesiesz łezkę swoją
i szczebioty i uśmiechy,
jak nie w ciche nasze smutki,
pod słomiane polskie strzechy.

Ave Marya

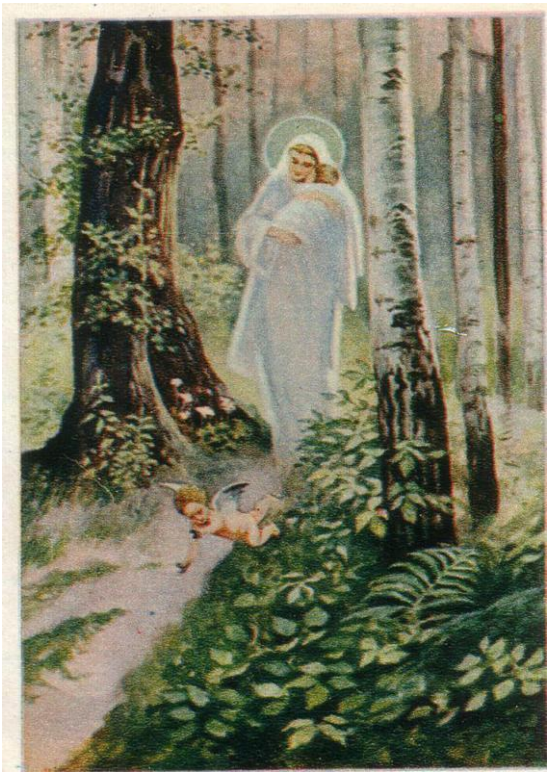

Grają lasy szumią drzewa
rozśpiewane jak organy
las się zorzą rozpromienia
cały złoty i różany
a przez kwiaty i paprocie,
przez ścielące się mchy w lesie,
cicho zbliża się Maryja,
i Dzieciątko na świat niesie
a w zielonej tej świątyni,
pełnej kwiecia, pełnej złota,
za Nią snują się daleko,
jakaś cisza i tęsknota.
A w zielonej tej świątyni,
przez rozchwianych traw koronki,
dzwonią cicho na Jej przyjście,
dzwonią w trawach leśne dzwonki.
Na ścieżynę wśród zarośli,
do Jej nóżek mgła się ściele,
i unosi się wysoko,
jak w kadzielnic jak w kościele.
Grają lasy, szumią drzewa
rozśpiewane jak organy
a Maryja Dziecię niesie,
na ten smutny świat spłakany.

Po mlecznej drodze

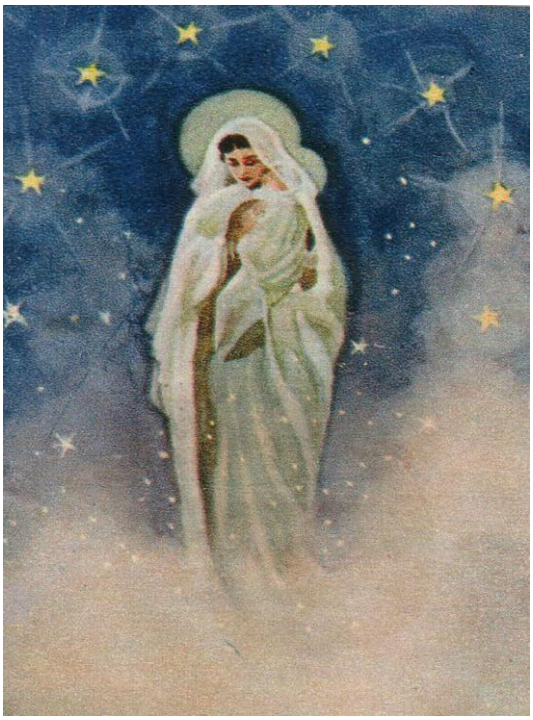

Hen po mlecznej idzie drodze
przecudna jak sen,
rozwieszając w cieniach nocy,
gwieździsty swój tren.
Idzie jasna w biel spowita,
otulona mgłą,
pod Jej lekką, białą stopą,
ciche kwiaty sną.
Idzie nocą w gwiazd tumanie,
przez opary łąk,
senną główkę Dziecię Boże,
tuli do Jej rąk
przez kwitnące białe sady,
i przez pola hen,
idzie, niosąc ciszę sercom,
i o gwiazdach sen.

Sobotni promyk

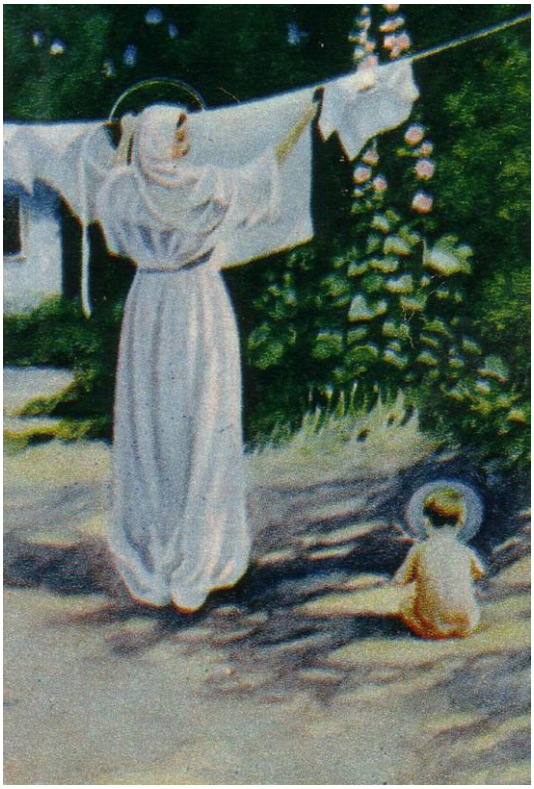

Wiesza Matuchna białe koszulki
wiesza je smutno pomiędzy drzewa,
bo złote słonko wokoło chatki,
dzisiaj promieni swych nie rozsiewa.
Smucą się w gąszczu liście zielone,
smucą paprocie, malwy, i róże,
jeno maleńka Boża Dziecina,
Spokojnie swoje krzyżyki struże.
Wiesza Matuchna białe płócienka
cicho, rączkami wiesza obiema,
chociaż od świtu na chmurnym niebie,
nawet marzenia o słonku nie ma.
Podnosi oczka święta Dziecina,
deszczyk się srebrzy, a Matuś smutna,
więc każe słonku wyjrzeć zza chmury,
osuszyć drzewa, kwiaty i płótna.
Na te dziecięce śliczne uśmiechy,
promienne słonko spojrzało cudnie,
i odtąd zawsze w każdą sobotę,
nad smutną ziemią świeci w południe.

Prząśniczka

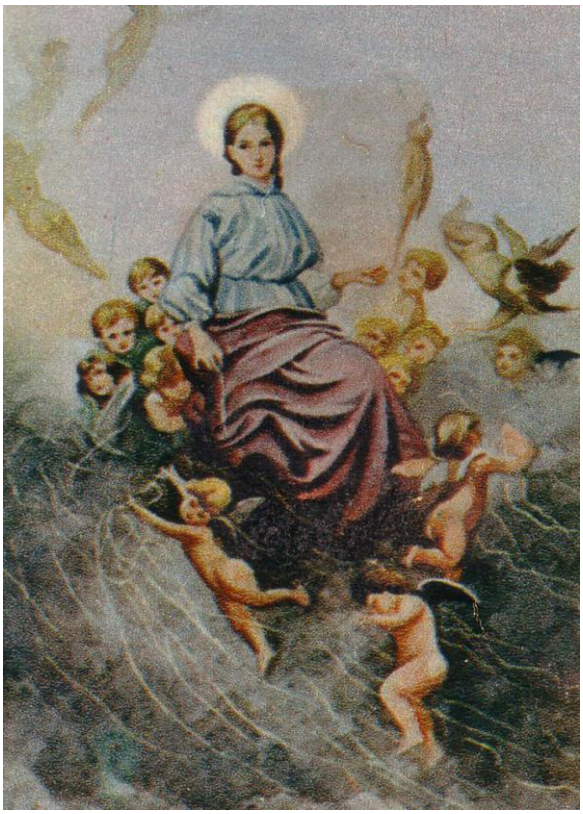

Przędzie Matuchna srebrne lny,
w obłokach cicho przędzie,
snuje się z rączek srebrna nić,
po niebie snuje wszędzie.
Z rozwianych skrzydeł biały puch,
Anioły je chwytają,
a na gasnących blaskach zórz,
po ziemi rozwieszają.
Snuje się wszędzie srebrny cud,
z obłoków, w ciche drzewa,
i na jesienny szkarłat róż,
promienie swe rozwiewa.
A czyją duszę jasna nić,
przędzie i omota
jakąś ją dziwna wiedzie moc,
i świętość i tęsknota.

O Litanii

Dlaczego, powiedz w oczach Twych,
Matusiu, łzy dziś świecą,
czy lękasz się tych ziemnych chmur,
co kiedyś tu nadlecą.
Czy za głęboko słonko dziś,
w serduszko Twe zajrzało,
i tajemnicę Twoich łez,
na zawsze już poznało.
Święta Dziecina rączki swe,
przytula do Jej twarzy
i wciąż z uśmiechem drobnych ust,
szczebiocze coś i marzy
Niepokalana moja Ty
najmilsza, najśliczniejsza
złota Jutrzenko pośród gwiazd,
ty moja najjaśniejsza.
Maleńkie białe rączki dwie,
bezradne i pieszczące,
a w oczach Matki ciche łzy,
a w łzach tych błyszczy słońce
w objęciach Dziecię tuli się,
jak ptaszek rozśpiewany,
lecz Ona z bólem dzisiaj już,
w tych rączkach widzi rany.
Maleńki Jezus patrzy wciąż,
z miłością w oczy Matki,
i tak się pieszczą w cieniu drzew,
w pobliżu swojej chatki.

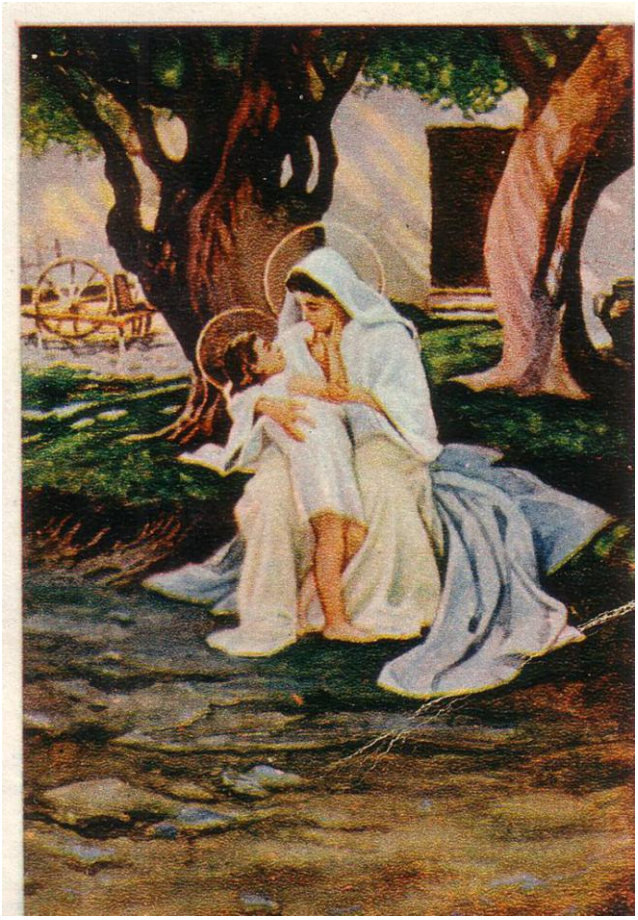

Skowrończe gniazdo

Czemu lękasz się ptaszyno,
i trzepoczesz piórka szare,
czy maleńkie twe serduszko,
utraciło swe szczęście wiarę.
I przeraża się boleśnie,
gdy drapieżny szpon nań czyha
zapomniało widać w smutku,
że osłania je dłoń cicha.
Czemu lękasz się ptaszyno,
pod osłoną mojej szaty,
nią otulam cicho gniazda,
i samotne moje kwiaty.
Więc nie lękaj się niczego,
biorę gniazdo twoje w dłonie,
od nieszczęścia je ustrzegę,
i od wichrów je osłonię.

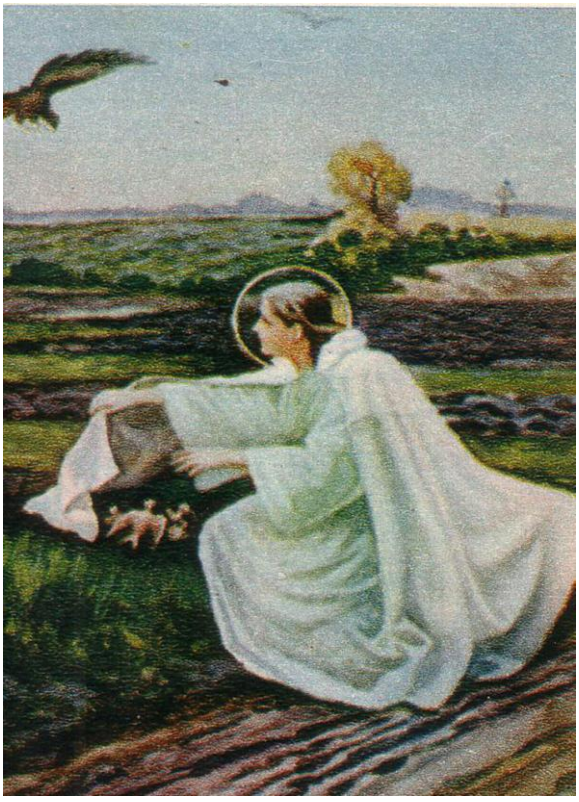

W niedzielę rano

W niedzielę rano, samotną drogą,
co się z obłoków ku ziemi wije,
prowadzi śliczne Dzieciątko Boże,
prowadzi z nieba Swoją Maryję.
Błękitne gwiazdy wieńczą Im skronie,
mienią się złotem błękitne szaty,
czyż to w zamkowe schodzą ogrody,
czy na królewskie idą komnaty.
A pod lipami w starej dzwonnicy,
poranną pieśnią dzwon się kołysze,
i przed ubogie wiejskie ołtarze,
kładą się lekko różowe cisze.
A przez te zorzy jasne kobierce,
idzie Maryja i Dziecię Boże,
idą królować w samotnej wiosce,
gdzie kwitną lipy i szumi zboże.

Matka Boska siewna

Na jesienne czarne skiby,
ubielane chłodną rosą,
siejąc rączką złote ziarno
idzie polem, idzie boso.
Przyodziana w szatę białą,
taka cicha i uboga,
Matka Królów świata,
przenajświętsza Matka Boga.
Idzie sama pustym polem,
zasiewając rolę czarną,
idzie święta i z uśmiechem
rzuca wszędzie Boże ziarno.
I pod stopy Jej zziębnięte
jak te skiby jak ta rola
kładzie się niejedna dusza,
gdy przeorze ją niedola.
Pada wtedy z rąk Maryi
pada cicho złote ziarno,
na te serca umęczone,
co się do Niej we łzach garną.

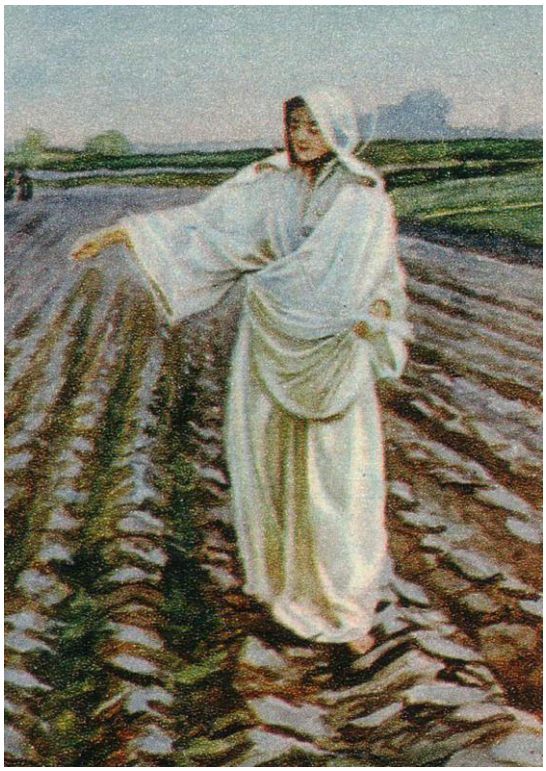

Ślubne wianki
Białe całe, cisza święta
i różowe blaski zorzy,
a w tej ciszy modlitewnej
tyle czystych serc się korzy
szczęście duszy rozpromienia
biją serca, płoną oczy,
każda celą się otwiera,
ku błękitnej hen, roztoczy.
Bo tam kądyś ponad ziemią
tam, w obłokach tam w lazurze
Matka
Boska splata w wianki,
purpurowych świtów róże
splata cicho i aniołom
każe nieść do każdej celi,
by uwieńczyć inne główki,
co się przed Nią chylą w bieli.
Gdy Maryi ślubny wianek,
już dziewiczą skroń okoli,
szczęście z duszy nie uleci,
choć różany cierń zaboli.
Pójdę za Nią do Jezusa,
pójdę cicho i tęskniąco,
w śnieżnobiałych ślubnych szatach,
przez te zorze nie gasnące.

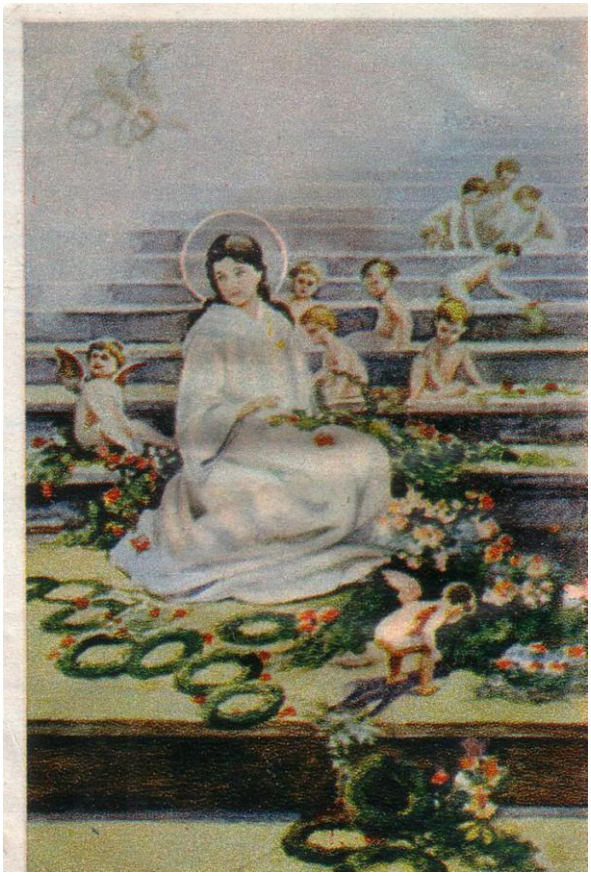

Ostatnie kłosy
Na ścierniskach złotych pól
już wieczorne błyszczą rosy,
a we łzach tych srebrnych ros,
zapomniane leżą kłosy.
Z oddalonych smutnych dróg
nikt już kłosów tych nie zbiera,
zapomniany cichy plon,
Bogu daje się w ofierze
na ścierniskach zżętych pól,
niebo ciemny obłok zniża,
a Maryja w głuchą noc,
przez tumany chmur się zbliża.
Idzie szarą ciszą miedz,
te ostatnie zbierać kłosy,
i samotny wiąże snop,
zabierając je w niebiosy.

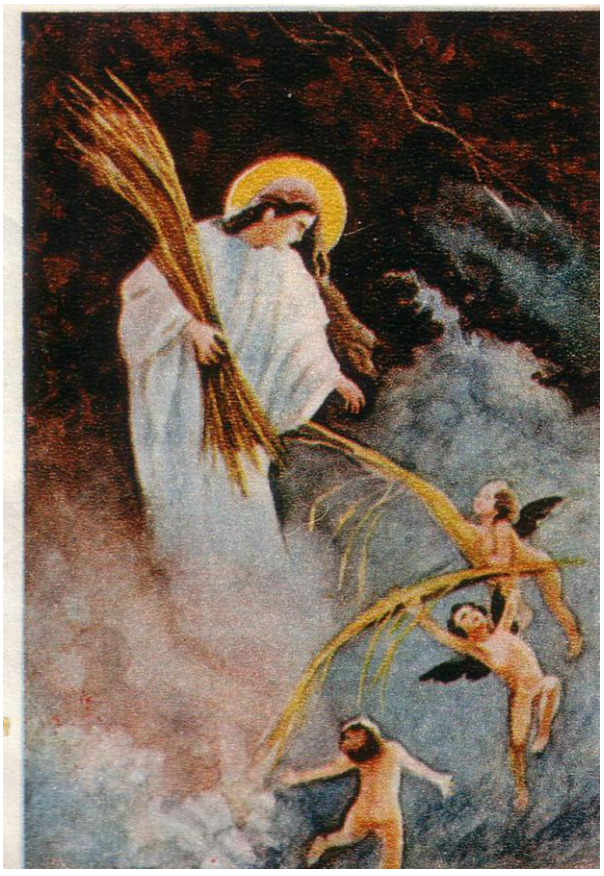

Dziewica z kwiatu

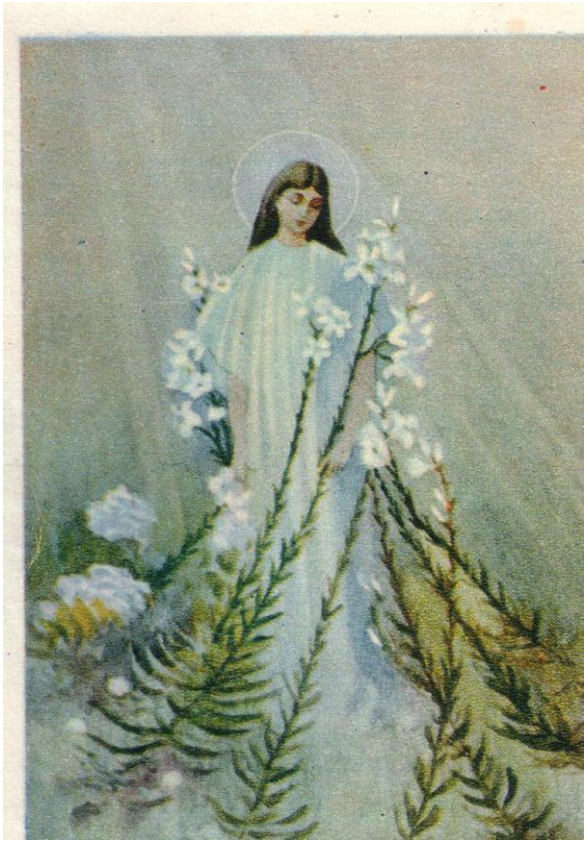

Niepokalana, Święta ,, Biała
jak najcudniejszy lilii kwiat,
Ty coś tak bardzo ukochała,
ten zapłakany szary świat
kochasz- więc jesteś ciągle z nami
objąwszy smutny świat rączkami
A niosąc jasne Swe Kochanie,
do naszych serc w tę szarą dal,
uciszasz rzewne ich płakanie,
bolesny jęk, i łzy i żal
kochasz- więc cierpisz razem z nami,
zbierając łzy nasze rączkami
spojrzyj więc słodka i cierpliwa,
w tęsknotę naszych smutnych dusz,
i na te serce co cię wzywa,
swe litościwe rączki złóż
Niepokalana święta biała
Ty, coś nas bardzo ukochała

Matka Boska Gromniczna

W białej chatce na dolinie,
Matuś Kasię odumiera,
i gasnącym bladym wzrokiem,
poza okna hen spoziera.
Dziecię tuli się do matki,
noc wypełnia już świetlicę,
kto dziecinę ukołysze,
kto zapali jej gromnicę?
Kto tu w chacie pozostanie,
i obetrze łzy sierotki?
Kto uciszy zgraję wilków,
co się wdziera za opłotki?
Zdrowaś Maryja szepcą usta,
chora wyrywa się z pościeli,
a tam kądyś hen, po śniegu,
Matka Boska idzie w bieli.
Idzie do niej cichuteńko,
przez puchowych śniegów ciszę,
staje nocą nad kolebką,
i dziecinę w sen kołysze.
Nie płacz matko, gdy cię Jezus,
już do Siebie tęsknie woła,
bo twą Kasię Matka Boża,
chować będzie na Anioła.
Tobie czas już, czas niebogo
z rąk Maryi wziąć gromnicę,
i w zaziemskie blaski nieba

wznieść gasnące już źrenice.
Umęczyło się twe serce,
na bolesnej życia doli,
a tam w niebie u Jezusa,
nigdy serce nie zaboli

Pożegnanie

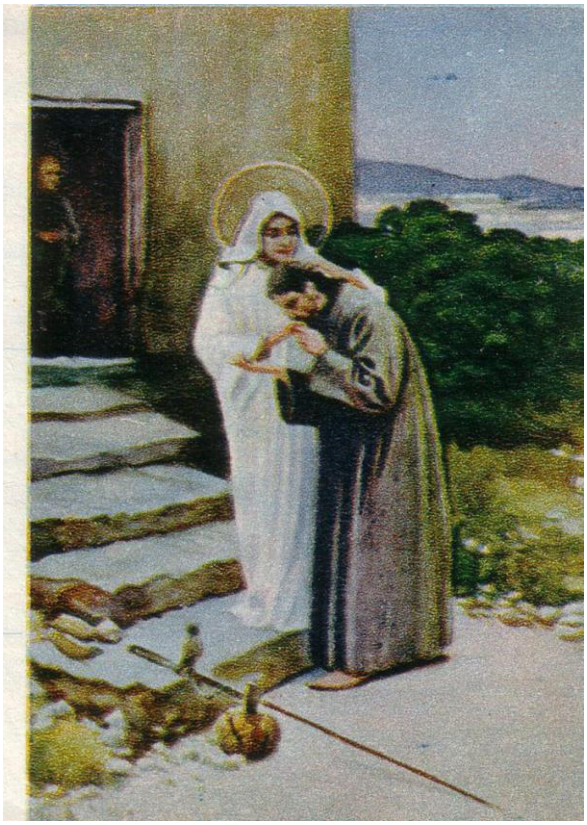

Chwila rozstania smutna jak łza,
płynąca z oczu matki
samotna ścieżka woła już w dal,
od progu białej chatki
a na jej prosty kamienny próg,
leżący w szarym pyle,
padają ciche najświętsze łzy,
w bolesnych żegnań chwile.
Pobladłe usta westchnieniem drżą,
lecz wyłkać nic nie mogą,
szmer spadających w ziemię łez,
przepełnia ciszę trwogą.
Wzruszone oczy pod cieniem rzęs
bezmierny ból swój kryją,
to Jezus cicho odchodząc w świat,
tak żegna się z Maryja.
Samotna ścieżka wybiega w dal,
od progu białej chatki,
samotna ścieżka wiedzie pod krzyż,
wprost z cichych objęć Matki.
Przeminą lata wichrów i burz,
lecz Ona snuć się będzie,
a Chrystusowy bolesny ślad
zostanie na niej wszędzie.

Przez liliowe pola

Tam najczystsze płyną łzy
gdzie cichą jest niedola,
Maryja wiedzie blady tłum,
w liliowe białe pola.
Chyli się kwiatów śnieżny łan,
przed smutnym tym orszakiem,
co z Maryją idzie w dal,
prościutkim białym szlakiem
a gdy się dotknie czyich ran,
serce się kwiatem staje,
i na roztoczy jasnych pól,
na zawsze już zostaje.
Kładzie się lilii biały puch,
na ludzkie ciche rany,
i rosną, rosną w złotą dal,
Maryi śnieżne łany.

Wniebowzięcie

Pomiędzy szczęściem, a smutkiem ziemi,
pomiędzy niebem, a bólem świata,
jak kwiat liliowy z tej szarej ziemi,
Święta Dziewica do nieba wzlata
serce Jej czyste, niepokalane,
serce nadziemskie pełne tęsknoty,
pomiędzy niebem a nędzą świata,
wznosi się co dzień, jak kielich złoty.
A w tym ofiarnym świętym kielichu,
łzy i błagania całej ludzkości,
wznoszą się ciągle w sercu Maryi
wyżej i wyżej aż do wieczności.
To Wniebowzięcie to cudna chwila,
Świętych uniesień w szczęście wieczyste,
Bóg w ciche noce Sam Jej zabiera,
serce łez pełne serce przeczyste.

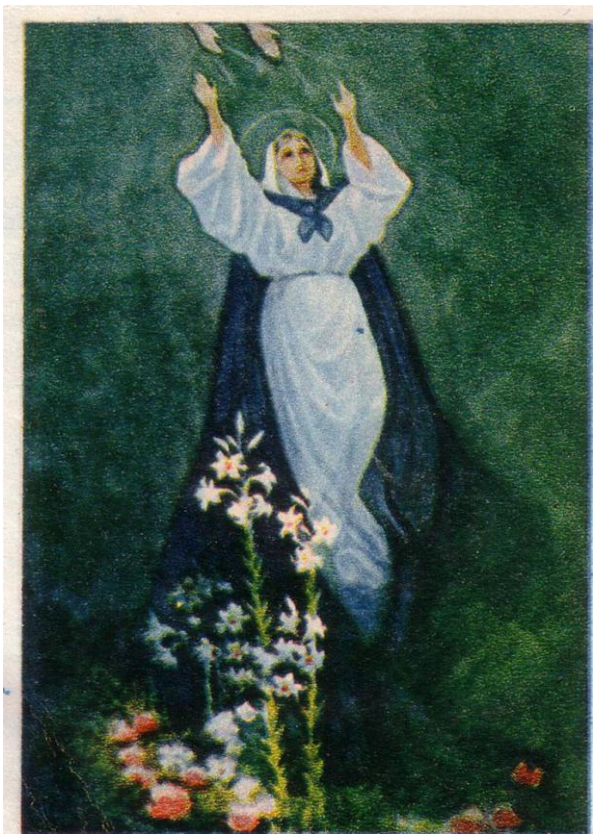

Po cierniowej wąskiej drodze
Po cierniowej wąskiej drodze,
rzuconej wśród gór,
płynie cichy jęk niedoli,
dosięgając chmur.
Po ciernistej ciemnej drodze,
na daleki szczyt,
wiedzie smutnych Matka Boża
w upragniony świt.
A choć w stopy cierń się wbija,
na ścieżynach gór,
zwolna cichnie skarg i jęków,
zawodzący chór.
Bo prowadzi tak ostrożnie,
nieszczęśliwych tłum,
nad przepaści czarną głębią,
i przez wichrów szum.

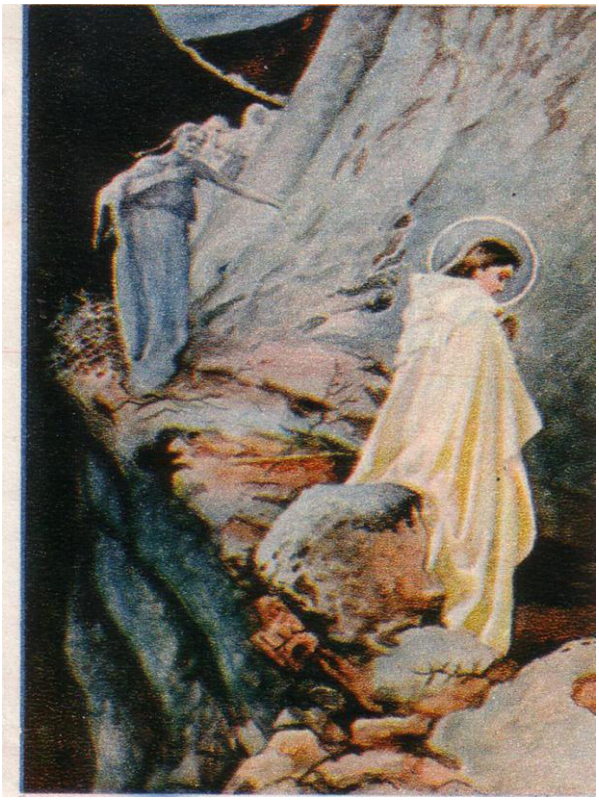

Śpiewak Matki Boskiej
Kędyś wysoko pośród chmur,
gdzie tęsknoty myśl ulata,
w cichej zadumie patrzy w dal,
smutna Królowa Świata,
cicha samotna z cieniem łez,
w przeczystej swej źrenicy,
czeka na orszak jasnych dusz,
w bezmiernej Swej tęsknicy.
Samotna, a tam niżej świat,
rozżala Ją i smuci,
samotna jeno u Jej stóp,
skowronek piosnkę nuci.
Na załamane rączki Jej,
bolesna łza upada,
a czyjeś serce pośród róż,
żałośnie się spowiada,

Rajska pasterka
Zaszumiały sady w słońcu,
swój wiosenny śpiew,
osypując kwiecie białe
z rozmarzonych drzew.
Przez zielone ciche gąszcze,
przewiewał jasny Duch,
potrącając na gałęziach,
biały wonny puch.
To Maryja wiosną idzie,
leciuchno, jak sen,
w kwiatach plącze się na ziemi,
powiewny Jej tren.
Tak i wiosna każdej duszy,
jak ten w słońcu sad,
sypie rajskiej tej Pasterce,
swój najlepszy kwiat.

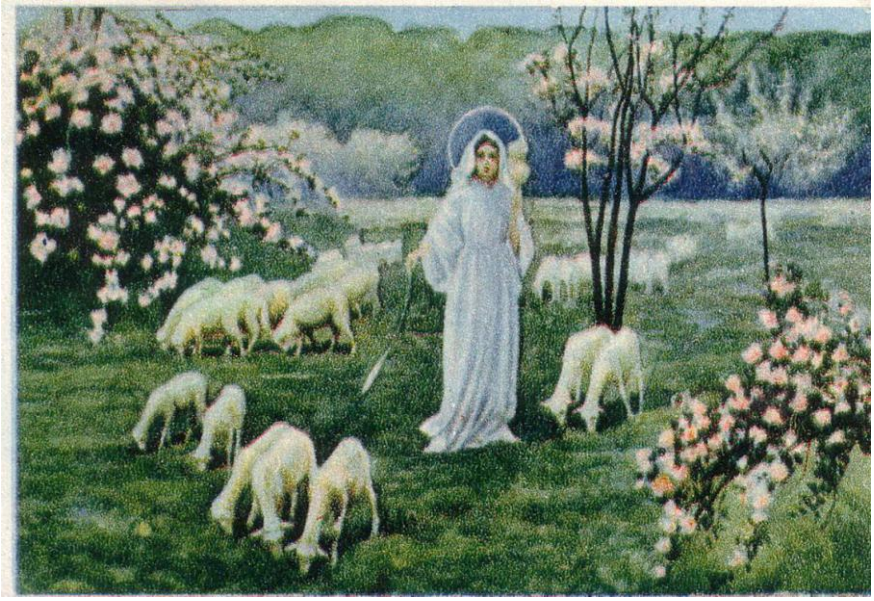

2. Losy Bystrego

W pięknych i lasami przykrytych tatrzańskich górach, gdzie już na szczytach bielił się srebrem pierwszy śnieg , w ogrodzie górala Joszki w jego hodowlanym stawku pod wodospadem, na żwirowym dnie między kamieniami wielka gala i ogólna radość wśród pstrągów. Chyża i Bystry wydali na świat mnóstwo ikry a to znaczy że pstrągów będzie więcej. Od tego momentu Bystry miał specjalne zadanie ,aby to mrowie galaretowatej chmury chronić, by kiedyś choć kilka pstrągowych dzieci mogło doczekać się dorosłości. Całym swym ciałem przez wiele tygodni zasłaniał tę chmurkę, i był tą pracą zmęczony i znużony. Joszko, gdy zauważył że tyle ikry pływa, był zadowolony, że znów mu przybędzie sporo nowych rybek w jego egzotycznym stawie pod wodospadem. Do swojej żony Jagny mówił dumnie , że staw znów przyniesie im w przyszłym roku dobry biznes i będzie im się dobrze powodziło. Niedługo potem z ikry wykluły się maleńkie pstrągi i zaroiło się w stawie Joszki. Było ich tak wiele, że Chyża i Bystry nie mogli się zorientować , które są ich dzieci. Od razu do Chyżej i Bystrego przytuliły się Ząbek i Zwinka i nie opuszczały rodziców na ruch płetwy.

Pstrągi to przepiękne ,ubarwione rybki, żyjące w potokach i źródełkach górskich. Mienią się różnokolorowymi barwami tęczy z wyraźnymi plamkami na bokach. Kształt ciała wysmukły z pięknie ukształtowanymi płetwami. Ryby te upodobały sobie nie tylko górskie potoki i źródła, lecz także nizinne akweny i żyją także w stawach hodowlanych. Pstrągi żerują i w dzień i w nocy, a ulubionymi pokarmami są małe wodne planktonowe żyjątka oraz schwytane w locie owady . Są to więc ryby mięsożerne. Wędkarze łapią pstrągi na robaki białe i czerwone i glisty. Joszko dbał ,aby pstrągi w jego stawku miały pokarmu pod dostatkiem. W stawach hodowlanych często podwiesza się nad wodą pojemnik obity siatką ze starym mięsem, z którego potem rodzą się robaki i przez otwory w siatce wpadają do wody i są doskonałym pokarmem dla ryb. Joszko w podobny sposób urządził swoim pstrągom taką stołówkę.

Nasza pstrągowa rodzinka najbardziej delektowała się komarami, muszkami, które spadały z pobliskich drzew. Trafiały się im także glisty i pędraki, a były to niezwykłe przysmaki na deser. Woda w stawku była niemal krystalicznie czysta, że widać było dno i każdy kamień. Pstrągi w doskonały sposób mogły też obserwować każdego przechodnia w obrębie stawku i wodospadu. Podziwiały także piękne świerki, lub owoce na krzakach. Pewnego dnia gospodarstwo Joszki i Jagny odwiedzili znajomi i gospodarz zaproponował urządzić gościom grilla z pstrągów, więc udał się nad stawek i siatką zagarnął i wyłowił kilka dorodnych pstrągów i po zabiciu i oczyszczeniu wbił je na przygotowane widelce grillowe i nad ogniskiem upiekł je na brązowy kolor. Gościom bardzo smakowały te pstrągowe dania. Okazało się że ani Chyża ani Bystry nie padli łupem Joszki i nie znalazły się na ognisku grill owym. Któregoś pechowego dnia nasza pstrągowa rodzinka znalazła się niestety poza stawkiem i wodospadem Joszki. Z powodu nagłego przypływu wody w strumieniu i potoku pstrągi wypłynęły. Nie tylko rodzina pstrągowa ale prawie wszystkie ryby ze stawku Joszki znalazły się w rwącej i bystrej wodzie, która wreszcie wpadła do dużej rzeki. Z dużą swobodą pomiędzy śliskimi i różnokolorowymi kamieniami pstrągi chyżo pomykały z prądem . Teraz dopiero pstrągi zorientowały się że znalazły się na wolności wśród pięknej przyrody podwodnej i czystej wody. Radości i swawoli nie było końca. Im bardziej woda jest czysta i rwąca w swym potoku tym dla pstrągów jest rozkoszniej i dobrze. Płynąć w górę rzeki, fruwać nad wodospadami to prawdziwa rozkosz dla naszych pstrągów. Przy kolejnym wodospadzie nasza

pstrągowa rodzinka jeszcze w komplecie spotkała się nagle ze swym kuzynostwem pstrągowym a więc z wujkiem Tęczowym ,ciocią Potoczną i ich dziećmi Prążkiem i Plamką. Radości i zabawy nie było końca pod górskim wodospadem. Postanowili wspólnie że odtąd będą razem obie pstrągowe rodzinki wędrować w dół rzeki, bo wtedy prawie bez użycia płetw można płynąć a pokarm sam pstrągom wpada do otwartego pyszczka, a wtedy dla ryb jest to prawdziwa uczta i komfort.
Sielanka i wędrówka obu spokrewnionych pstrągowych rodzin nie trwała długo, bo oto wrzask dzieciaków i chude ich nogi brodzące w wodzie na tyle im zaczęły przeszkadzać, że obie rodzinki schowały się pod przybrzeżnymi dużymi kamieniami wśród zarośli i chaszczy . Jeszcze raz obie rodzinki znalazły się w potoku górskim a potem w jednej chwili czysty potok wpadł do szerokiej rzeki, w której niestety nie było już czystej wody. Skończyła się przyjemność pływania i swawoli w krystalicznie czystej górskiej wodzie. Pewnego dnia przy kolejnym wodospadzie wzdłuż całej długości rzeki pojawili się wędkarze. Dużo ich było. Zarzucili swe sidła na pstrągi i nie tylko. Pstrągi doskonale mogły zaobserwować ich kolorowe ubrania i kolorowe wędki. Dużo żyłki i haczyków z przynętami wisiało w wodzie, że z trudnością pstrągi mogły się przemieszczać. Wiszące robaki kusiły pstrągi a najwięcej drażniły podniebienia Prążka i Plamkę. Niestety siła smaku była większa od życia, więc obydwoje z dzieci Tęczowego i Potocznej dały się nabrać i zostały schwytane na wędkę i z trudem. Nawet gołe haczyki i kotwiczki raniły pstrągi tak że z trudem ominęły nasze rodziny pstrągowe ta zasadzkę i popłynęły dalej z nurtem wielkiej rzeki. Gdy tak sobie wędrowali, lecząc rany zadane haczykami, pstrągi natrafiły na spora zaporę z desek i gałęzi a przez niewielką dziurę w grobli przedostali się wreszcie do mocno zamulonego stawu hodowlanego. Tu opasłe i grube karpie leniwie otwierały swe duże żarłoczne pyski, tak że strach było się zbliżyć do tych potworów. Ale one nie były groźne i nawet swymi wyłupiastymi ślepiami przyjaźnie na pstrągi spoglądały. W tym brudnym stawie hodowlanym spotkały groźnego szczupaka Ostrego Zęba, żaby Rechotkę, Kumkę, raka Tyłobiega oraz bardzo płaskie i chude leszcze. Dziwne towarzystwo w tej mętnej i brudnej wodzie. Za to pokarmu było pod dostatkiem. Robaki spadały wprost do pyszczków z tej stołówki umieszczonej nad wodą na środku stawu. Ostry Ząb był postrachem wszystkich. Szczególnie upodobał sobie małe rybki, tak że na baczności się powinny mieć zarówno Ząbek jak i Zwinka.
Tęsknota za czystą górską wodą spędzała sen z pstrągowych powiek, o ile takie pstrągi mają. Bystry i Chyża ostrzegały wielokrotnie swoje dzieci przed tym groźnym szczupakiem, który nie miał litości i atakował głównie chore i małe rybki, niezależnie od rodzaju. Któregoś dnia i on został wreszcie schwytany przez wędkarza i znalazł się na stole i tyle go potem widziano. Z tej radości kury z radością po podwórzu gdakały a pies ujadał , ciesząc się na świeże rybie jadło prosto ze stawu. Najgorsze do wytrzymania są błyskawice i burza, bo wtedy cała toń wody jest mętna i fale burzą spokój a błyskawice oświetlają ponure dno stawu. Całe rybie towarzystwo jest wtedy niespokojne. Dziwne i niespokojne zachowanie pstrągowych przybyszów z górskich rzek dziwiło mieszkańców tego mętnego stawu hodowlanego, aż pewnego ranka udało się im wydostać przez dziurę w zastawce na grobli. Wpierw dostali się do rowu wypełnionego brudną wodą a potem do do dużej rzeki, której brzegi były bardzo odległe od siebie. Nie była to rwąca rzeka ,ale swobodnie i leniwie płynąca. Niestety płynąc z jej biegiem raz po raz natrafiały na cuchnące i brudne ścieki , trujące chemikalia i pie-

niącą się od proszków i detergentów wodą. Ścieki spływające do rzeki , jeszcze bardziej ją zanieczyszczały. Tu spotkały się nasze rodzinki pstrągowe z innymi rybami jak leszczami, karasiami a także z brzanami, świnkami i po dnie grasującymi wąsiatymi sumami i jak węże zwijającymi się węgorzami. Węgorz Tłuścioch i jego żona Bagietka schowane w przybrzeżnych kamieniach i zakolach odpoczywały po obfitym obiedzie a nasze pstrągi z zazdrością przyglądały się tym tłustym dennym żarłokom .W rzekach groźne są nie tylko szczupaki ale sandacze i nawet okonie. Wszystkie te żarłoczne ryby atakują nie tylko małe ryby ale także średnie i chore. Przez wiele dni płynęły nasze pstrągi w dół rzeki czyli z prądem, aż tu nagle natrafiły na duże jezioro, tak olbrzymie, że do brzegów nie można było dopłynąć. Zimno coraz bardziej nad wodą, a one coraz częściej chowały się pod kamieniami i w zaroślach. Aż tu nastały jeszcze trudniejsze dni, bo jezioro całe zostało skute lodem a rybom brakowało tlenu do oddychania i czuły że się duszą.
Wiele ryb się zadusiło i wypłynęły na wierz brzuchami do góry. Ilekroć ryby natrafiły na otwór w lodzie , to choć na chwilkę mogły zaczerpnąć powietrza do oddychania. Te otwory w lodzie to także pułapka dla łakomych ryb. Często w takim otworze była zanurzona żyłka i mormyszka na haczyku. Na haczykach w tych przeręblach wisiały kuszące i smaczne zanęty w postaci robaków. Niestety na taką przynętę trafiła Zwinka i wędkarz ją wyłowił z przerębli i to na oczach jej rodziców Tęczowego i Potocznej. Ledwo co zmieściła się w otworze wywierconym w lodzie. Kiedy lody puściły na wiosnę, znów było normalnie i wesoło w jeziorze. Teraz tylko pstrągi musiały uważać na sieci rybackie, które po całym jeziorze były rozstawione. Skoro rybacy na swych łodziach zrzucali wczesnym rankiem swoje sieci, to wtedy wielka ilość różnego rodzaju ryb dostawała się do nich i była wyławiana na łódź do konsumpcji a tylko te najmniejsze wracały do wody. Niebezpieczne też były śmigła motorówek, w które przypadkiem dostawały się te gapiące się i nieuważne ryby. Nasze rodziny pstrągowe ciągle tęskniły za czystymi górskimi wodami, rwącymi potokami i strumieniami bijącymi ze źródeł. Tylko w tych czystych i górskich wodach mogą nasze pstrągi złożyć ponownie ikrę, z której powstaną następne rybie pokolenia. Tymczasem losy pstrągów inaczej się potoczyły. Nagle znalazły się w wielkiej dużej rzece, coraz bardziej śmierdzącej i cuchnącej chemikaliami. Na skórze nagle pojawiły się dziwne plamy, łuski zaczęły odpadać. Napotykały wciąż nowe i nieznane gatunki ryb, które płynęły w górę rzeki, ponieważ napotkały na zaporę i śluzę i nie było możliwości się dalej przemieszczać. Nasze rodzinne pstrągi płynęły nadal w dół rzeki. Wiele sprytu należy wykazać , aby się z tych przeszkód wydostać. Wpierw należy przeczekać tę chwilę, kiedy w śluzie poziomy się wyrównają i można będzie dalej płynąć. W końcu i na ten moment nasze pstrągi trafiły i płynęły sobie dalej z prądem rzeki. Rzeka była coraz szersza i większa, tak że było dużo swobody do pływania. Barki pływały między nimi. Trafiały się także kajaki i łodzie motorowe. Naraz woda była coraz to bardziej słona i niesmaczna, a to oznaczało, że niebawem wpadnie do morza. I stało się to ,że nagle spotkały się z dziwnymi rybami morskimi, flądrami płaskimi jak talerz, dorszami grubymi i śledziami. W wodzie pływały śmieszne i dziwne ryby zwane konikami albo diabłami morskimi. Niezgrabne i wielkie foki przelewały się przez fale morskie. Jaki to dziwny dla pstrągów nowy świat morski w słonej wodzie pływający. Tyle niespodzianek , nowych wrażeń i niestety niebezpieczeństw. Obie rodzinki, niestety już bez dzieci odnalazły przypadkowo ujście z morza i chyżo przedostały się do rzeki a potem do jeziora z mniej słoną wodą niż w tym wielkim morzu. Po-

stanowili dalej płynąć w górę rzeki, mając nadzieję, że znów dostaną się do czystych tatrzańskich wód , a może do ich rodzinnego stawu górala Joszki i Jagny. Głód im coraz bardziej dokuczał , ale napełnieni nadzieją płynęły dalej i dalej w górę rzeki. Niestety znów trafiły na barki i na zaoliwione i brudne ich brzuchy a potem trafiły na ową śluzę. Długo trwała przeprawa przez tę przeszkodę. Nie wszyscy załapali się na drugą stronę śluzy. Po drugiej stronie śluzy szczupak zgłodniały zaatakował wprost Potoczną i natychmiast ją pożarł. Trudno było się razem zebrać, ale w końcu spotkały się Bystry, Chyża oraz Tęczowy, ale już bez swych dzieci. Rzeka wpadła znów do jeziora. Na górze ciepło ,słońce oznajmiło że zbliża się lato. Ryby w upalne dni, chętnie wylegują się na płyciznach jeziora ,wygrzewając się w słońcu, nie pomni na niebezpieczeństwo, jakie może czyhać na brzegach. Na tych płyciznach chętnie wygrzewały się ryby drapieżne ,a i wędkarze lubili tam siadać na swoich krzesełkach i zarzucali wędki długie baty na teleskopach. Nasi znajomi trzymali się razem, tylko Tęczowy w pewnej chwili odłączył się i chyba padł łupem kłusownika lub jakiegoś drapieżnika , bo nie dołączył do Chyżej i Bystrego. Wiele dni upłynęło, kiedy wreszcie Chyża i Bystry wydostali się z tego dużego jeziora , by ponownie znaleźć się w rzece, leniwie płynącej, z mnóstwem zakoli i meandrów .Z takiej plątaniny koryt jak z labiryntu, trudno się wydostać i znaleźć odpowiedni kierunek powrotu.

Nagle wydostali się z tej rzeki i wpadli wprost pod koło młyńskie a wpierw pod zastawki na młynie. Była to wyjątkowo trudna do sforsowania przeszkoda. Dno wyłożone było deskami, podobne do koryta. Było płytko, tak że ryby były doskonale widoczne z góry. Niestety młynarz zauważywszy te błądzące pstrągi , czerpakiem zagarnął oba i Chyża wraz z Bystrym po tylu perypetiach i wędrówce znalazły się w koszu młynarza. Nie będę dalej opisywał losu tych naszych zaprzyjaźnionych pstrągów, bo dzieci nie będą mogły zasnąć, słuchając tej niezwykłej pstrągowej przygody. Jedno jest pewne, niestety nasze pstrągi potokowe już nigdy nie wróciły do swojego potoczku pod wodospadem w tatrzańskim stawku u Joszki i Jagny.

KEMKON

3. Aza na łańcuchu

Podwórko, należące do gospodyni Walerki i jej męża Antoniego było zawsze pełne gwaru, pisku i ujadania Azy. Była to suczka o potężnej budowie, ciemno brunatnej maści z grubym ogonem, czarnymi ślepiami i pianą w pysku.
Szczekanie na wszystkich nawet na swoją panią i jej męża naturalnie w tonacji przyjaznej i na powitanie, natomiast na pozostałych w tonacji zaczepnej. W tonacji wściekłej, agresywnej szczekała na każdego kota, innego psa , szczura , ptaka lub nawet myszy. Psia buda ocieplona, z daszkiem dwuspadowym, obitym blachą, stała tuż obok płotu, oddzielającego sad od podwórka przydomowego, pod wielką gruszą o smacznych gruszkach zwanych „cukrówkami". Aza przywiązana była na łańcuchu i obroży.
Łańcuch nie pozwalał jej na swobodne poruszanie się po podwórku. Tuż przy budzie i obok ustępu czyli tak zwanego" wychodka" znajdowała się brama i furtka do ogrodu gospodarza i murowanego śmietnika. Mieszkania tego domu nie miały ubikacji wewnątrz, więc ustępy były zlokalizowane na zewnątrz, co stwarzało dla mieszkańców duże niewygody i utrudnienia. Od kiedy znikły kury i kaczki, podwórko było zawsze posprzątane a porządki robiło się zawsze w sobotę. Na podwórku stała duża pompa do wody i koryto na ścieki , które odchodziły do kratki ściekowej. Tam wlewano wszystkie zlewki z mieszkań i dlatego też z tego miejsca cuchnęło nieświeżym zapachem.
Z jednej strony stały rzędem komórki, które kiedyś były małymi chlewikami a dzisiaj służą jako komórki na opał i narzędzia i niepotrzebne w mieszkaniu rzeczy, wyrzucane *a może się jeszcze przydadzą.*
Po drugiej stronie natomiast stała drewutnia i wiata na siano i mały drewniany wózek na drewnianych kółkach z dyszlem. Obok znajdowała się pralnia, w której gospodyni Walerka prała brudne rzeczy. W niej stał piec z dużym kotłem żeliwnym. Potem w raz z postępem w tym miejscu stała pralka „Frania" i wyrzymaczka.
Przedłużeniem komórek- chlewików był ustęp i śmietnik . Całe podwórko zamykał dom w którym mieszkali wspomniani już gospodarze Walerka wraz ze swym mężem Antonim, sąsiedzi w mieszkaniach czynszowych: pani Fela jej mąż Karol oraz dzieci Tolek, Jasiek i mała Stefcia, która co dopiero nauczyła się chodzić. Z tego podwórka wychodziło się na ulicę poprzez wielką sień z dwoma bramami. W sieni pod schodami znajdował się kran z wodą z którego Fela lub Karol często korzystali, ponieważ instalacji wodnej w mieszkaniu nie było od początku . Było to więc kolejne utrudnienie i niewygoda. Kran ten to jedyny punkt zaopatrywania mieszkańców tego domu w wodę. Zimową porą musiał był" ogacany" czyli owijany szmatami lub starymi ubraniami przed zamarzaniem. Dawniej, kiedy gospodarz miał trzodę chlewną i króliki kozy barany i owce a nawet świnie w zabudowaniach gospodarczych i posiadał na peryferiach miasta pole. W okresie letnim zwoził na strych tych zabudowań siano . Wtedy otwierały się podwoje tego domu i bramy były szeroko otwierane a wóz naładowany sianem z koniem wjeżdżał na podwórko. Aza wtedy dostawała szału i w amoku ujadała ,że piana z pyska ociekała na ziemię.
Kozy dawały gospodarzowi mleko, barany wełnę, a przed świętami Bożego Narodzenia odbywało się tradycyjne świniobicie. Wtedy wszystko odbywało się w owej pralni z dużym kotłem warzelnym. Rzeźnik zabijał wówczas świnię, oprawiał, ściągał skórę i wyrabiał przeróżne smaczne wyroby jak kiełbasy, kaszankę, salcesony i wątrobianki. Niemal wszystko było z tej świni wykorzystane i skonsumowane.

Ogród był bardzo duży i rozległy, graniczył z innymi ogrodami oraz z cmentarzem, na którym często odbywały się pochówki zmarłych z całego miasteczka. Podwórko posiadało chodnik z płytek aż do furtki ogrodowej i do pralni a całe było jedynie utwardzone ubitym żwirem i gliną.
Ulica w tym rejonie miasteczka po obu stronach szczelnie zabudowana, tak że jeden dom stykał się z drugim . Za nimi każdy posiadał podwórko, do którego wjeżdżało się poprzez wielkie bramy. Do podwórka każdego domu przylegały nie tylko komórki gospodarcze ale i dość duże wybiegi na ogrody i sady.
Pojazdów wiele w tych latach nie było , więc dzieci bawiły się po prostu na ulicy a bramy tych domów służyły im jako bramki do gry w piłkę nożną czy „sztekla"i miejsca „zaklepywania" w zabawach w berka, „uganiankę" itd.
Ponieważ Aza wciąż była na uwięzi, to na długości łańcucha wyrobiła sobie bruzdę w kształcie części okręgu. Obok budy stała zawsze miska z wodą i z żarciem, a kiedy pojawiły się małe Psik i Kropka to stała miska z mlekiem.
Z pojawienieczsu Murzynm się małych szczeniąt było tak. Od dłuższego czasu Aza była jakoś niespokojna i ciągle szczególnie nocą ujadała i skomląc nie do zniesienia. Któregoś wieczoru pojawił się on czyli wielki pies kundel- czarny jak węgiel i potem jeszcze kilka razy odwiedzał swoją wybrankę z podwórka pani Walerki.
Jak się przedostawał do budy Azy nie wiadomo, przecież podwórko zwykle było zamykane na haczyk a szczebelki ogrodzenia nie miały dziury i większego prześwitu. Od razu przypadli sobie do gustu i długo razem przebywali, nie zauważani przez gospodarzy. Z tych miłosnych zalotów Aza po pewnym czasie była bardzo gruba i ociężała. Gospodyni Walerka kiedy zobaczyła intruza, pogoniła miotłą i od tego czasu Murzyn już się nie pokazywał u budy Azy.
Pamiątka po Murzynie jednak została, bo po pewnym czasie Aza oszczeniła się i na świat wydała dwa prześlicznej urody szczenięta Psika i Kropkę. Psik , bo od małego psikał, kichał i parskał, a Kropka, bo choć cała czarna jak węgiel, to na łapce miała białą łatkę okrąglutką i bardzo małą niby kropkę Psik był ciemno rudej maści z czarnym ogonem. Od małego figlowały i były bardzo beztroskie i swawolne. Aza zaś troskliwie opiekowała się swoimi dziećmi jak zresztą każda suka. Mleko ssały a jeszcze gospodyni Walerka podstawiała im kozie mleko w miseczce na dodatek, aby rosły w siłę. Swawolom i psotom nie było końca, nawet z kotem, który przesiadywał na słupku płotu ogrodzeniowego. Próbowały się bawić i oszczekiwać, ale on się tym wcale nie przejmował i nie reagował na psie zaczepki. Psia buda graniczyła z płotem od ogrodu, a długość łańcucha nie pozwalała na zaatakowanie każdego, kto wchodził furtką do ogrodu. Obok wejścia do ogrodu umiejscowione były ubikacje, z których korzystali wszyscy mieszkańcy tego domu i goście. Między psią budą Azy a ustępami i śmietnikiem stała okazała grusza, która kusiła każdego, kiedy miała dojrzałe owoce. Była siedliskiem ós i pszczół bo była jak ulepek słodka. Owady te siadały na dojrzałych owocach i szczęśliwe upijały się słodkim gruszkowym sokiem. Aza szczęśliwa psia mama na początku pilnowała swe szczenięta Psika i Kropkę, a potem nie zwracała na figlujące psiaki uwagi.
Do budy wchodziły jedynie, kiedy były zmęczone i senne lub kiedy na dworze padało. Sąsiadka -lokatorka Fela miała dzieci: dwoje starszych Tolka i Jasia oraz całkiem małą córeczkę Stefcię. Pewnego razu maleńka Stefcia nie zastanawiając się wielce, na oczach rodziców i braci pobiegła wprost do psiej budy, aby pobawić się małymi szczeniakami. Aza zamiast atakować Stefcię, polizała ją po policzku i nawet pozwoliła jej pobawić się z Psikiem i Kropką. Trudno było

ją z tego miejsca zabrać, ponieważ Aza należała do bardzo niebezpiecznych psów.
Stefcia była na tyle śmiała i nieświadoma niebezpieczeństwa, że nawet wczołgała się do psiej budy i nie miała ochoty z niej wyjść, mimo próśb i nawoływań rodziców.
Kiedy do gospodyni Walerki lub jej męża Antoniego przychodzili klienci po owoce z ogrodu to Aza z wściekłością szczekała na przybyszów a goście myśleli tylko o jednym, aby Aza nie zerwała się przypadkowo z tego łańcucha.
Któregoś dnia dzieci wychodząc z domu ku wielkiemu zdziwieniu i przerażeniu ujrzały Azę na podwórku z zerwanym łańcuchem i obrożą i biegającą sobie swobodnie po obejściu. Z krzykiem uciekły, chowając się w sieni, a ona wcale tym nie zaskoczona, przechadzała się po podwórku i dopiero, kiedy pan Antoni uwiązał ją ponownie u budy, dzieci mogły znów bawić się bezpiecznie.
Dzieci bawiły się na podwórku gospodyni Walerki w piaskownicy, znajdującej się w sąsiedztwie pompy do wody i wejścia do piwnicy i chlewików. Odór wydostający się z owego ścieku wcale nie przeszkadzał dzieciom w zabawie.
Niekiedy dzieci próbowały bawić się na ogrodzie, ponieważ była tam dość duża i dzika łąka i dużo swobody, by uganiać się za piłką lub bawić się w „chowanego" między krzakami. Stefcia natomiast była na tyle mała, że nie bardzo bracia chcieli się z nią bawić. Bawiła się sama lub płakała.
Wiele razy, kiedy dzieci beztrosko bawiły się na owym ogrodzie, na pobliskim cmentarzu ludzie opłakiwali zmarłego, swoich bliskich. Słychać było nie tylko modlitwy i płacze, ale śpiewy a nieraz nawet orkiestrę. Dzieci nie przejmowały się tym ceremoniom i bawiły się po swojemu. Nie pomyślały, że kiedyś łąka ta zajęta będzie na nowy cmentarz, bo stary ciągle zapełniał się nowymi grobami. Że kiedyś znikną urocze krzaczki i piękne ,bujne trawy. W ogrodzie kusiły dzieci dorodne owoce na małych drzewkach i owoce na krzaczkach. Kiedy nikt ich nie obserwował, podchodziły bliżej tych drzewek i podkradały smaczne owoce gospodarzom. Aza miała dość dobry węch, bo gdy dzieci zrywały owoce z drzew gospodarza zajadle szczekała i miała pianę w pysku ze złości i bezskuteczności jej szczekania. Podobnie szczekała na zbliżającego się kota, więc gospodyni Walerka nie przypuszczała że jacyś złodzieje kradną na ogrodzie owoce.
Aza uwiązana ciągle na łańcuchu, miała od tej obroży wytartą sierść na szyi.
Mimo obroży, która była skórzana, szyja w tym miejscu była bez sierści. Biedny jest pies uwiązany na łańcuchu. Niby Aza miała wolność, ale jaka to wolność na uwięzi i przy budzie. I tu przypomina się morał z bajki iż "lepszy jest na wolności kąsek lada jaki , niźli w niewoli przysmaki".
Małe rosły, aż któregoś dnia gospodyni Walerka zabrała te małe szczenięta do koszyka i wyniosła na targ, aby je sprzedać. Smutno było szczególnie małej Stefci, ponieważ gospodyni wróciła z pustym koszykiem i te małe pieski, przyjaciele do zabawy znalazły się u innego pana. Aza znów była sama i z pewnością niepocieszona, że straciła swoje psie dzieci, które urodziła, dbała, żywiła, a one bawiły się w otoczeniu budy ku uciesze dzieci z podwórka.
Aza wściekła, znów ujadała za każdym nowym gościem na podwórku i w ogrodzie. Do szczytu wściekłości doprowadzał ja ten wielki czarny kot, który polubił sobie ten słup ogrodzeniowy bramy ogrodu i nie zwracając uwagi na Azę odpoczywał sobie w tym wyjątkowym miejscu.
Mieszkańcy tego dziwnego podwórka często narzekali z powodu niewygód związanych z lokalizacją ubikacji na dworze i wodą pobieraną z kranu w sieni.
Woda w kranie często zamarzała, bo mróz skuwał wszystko co było mokre.

Nieszczelne drzwi do „wychodka” powodowały , że w środku lodowato jak w „psiarni” i bardzo nieprzyjemnie. Kiedy była potrzeba skorzystania z tego przybytku, wieczorem czy nocą, to nawet Aza nie miała ochoty wychodzić z budy i oszczekiwać ludzi. Strach ogarniał dzieci, ze względu na bliskość cmentarza, a duchy zmarłych mogły straszyć jedynie nocą. Szczególnie złowrogo wył wiatr, przedzierając się przez szczeliny w drzwiach ustępu i szczeble ogrodzenia a nie nasmarowane zawiasy furtki piszczały również złowrogo, do wtóru wiatru.
Bez opieki starszych przebywanie w tym przybytku w porze nocnej było nie do pomyślenia.
Oby żaden pies na świecie nie przebywał „na wolności” na uwięzi i z obrożą na szyi przy budzie nieocieplonej.
KEMKON

4. Kozy babci Wikci

Na podwórku prawie całkowicie pokrytym betonem, otoczonym ze wszystkich stron wysokimi murami poszczególnych kamienic do których prowadzą drzwi ze schodami do klatek i dużą kuta bramą wjazdową w jednym z jej rogów umieszczone są chlewiki i pomieszczenia gospodarcze lokatorów z przeznaczeniem na drewno , węgiel i inne niepotrzebne rupiecie. w jednym z nich dziwny lokator z bródką. To koza babci Wikci uwięziona na stałe w tym chlewiku , bez wybiegu. Miejsce wyraźnie nie przeznaczone dla tego typu lokatora, ponieważ było to centrum miasteczka a do Rynku szło się 3 minuty, mijając tylko dwie przecznice. W związku z tym aby kozę można było przeprowadzić na wypas za miasto, należało to miasto przejść przez duży jego obszar. Najbliższa łąka dostępna dla kóz czy owiec znajdowała się za Cegielnią i placem targowym Borkiem zwanym oraz ogrodami a przed ewangelickim cmentarzem. Były to łąki niczyje tuż za miastem i dzieci mogły się na nich swobodnie bawić. Dodatkową atrakcją tego miejsca były oryginalne źródełka czystej wody. Koza miała dwa przezwiska: pierwsze ”cyga” bo tak prawie każdy wołał na kozę, no chyba że był to kozioł to ludzie wołali na niego „ cap” a ”łaciata” na kozę bo istotnie miała na swojej białej sierści czarne i niekształtne łaty. Zamknięta w betonowych pomieszczeniach , była atrakcją nie tylko dla mieszkańców tych kamienic ale przede wszystkim dla dzieci z podwórka. Była śmieszną i figlarną kozą z którą dzieci miały mnóstwo zabawy i rozrywki. Podwórko to tętniło życiem i gwarem dzieci a w czwartki , kiedy do miasta zjeżdżały wozy z końmi na targ na pobliski placyk „Na stawku” zwanym to było jeszcze gwarniej i nie do wytrzymania. Nieopodal na placu zwanym „Borkiem” też zjeżdżali się chłopi na targ, ale tam się handlowało końmi i bydłem. Razem z babcią Wikcią żył jej mąż, bardzo surowy, ale dobrego serca Szczepan. Na górze mieszkała rodzina z której jedynie wnuczka Zuzia prawie codziennie odwiedzała swoich dziadków na dole i bawiła się ze swymi koleżankami ale nade wszystko kozą.

Sąsiadką babci Wikci była ciągle zapracowana pani Fela, zajmująca się usługami dla ludności a konkretnie szpanowaniem firan, czyli naciąganiem wypranych i wykrochmalonych firan na specjalnych stojakach aż do ich całkowitego wyschnięcia. Podwórko całe pokryte było betonem a w piwnicach jednej części domu była kiedyś rozlewnia wód mineralnych i produkcja lemoniady. Latem także z brył lodowych produkowano w specjalnych urządzeniach lody o różnych smakach. Obecnie wejście do tych piwnic jest zamknięte, więc podwórko jest większe i swobodniej można na nim bawić się w gumę, w piłkę odbijaną o ścianę, w zośkę w pieniądze czy skakać na skakance. Na progu sąsiadki Feli na stopniach schodów wylegiwał się zwykle duży czarny jak węgiel kot i był tak leniwy, że kiedy wchodzili po firany klienci to nie miał zamiaru i ochoty aby się usunąć i zrobić miejsce. Podwórko było kiedyś zamykane wielką bramą wjazdową, ozdobioną artystycznie wieloma ornamentami kutymi z żelaza. W górnej części była oszklona. Jedynie kilka razy do roku była uruchamiana, wtedy gdy przywożono węgiel lub ziemniaki do piwnic tego domu. Węgiel wrzucano specjalnymi okienkami wprost z podwórza. W chlewikach mieszkańcy nie tylko trzymali kozy ale także króliki, kury, ale najwięcej miejsca było przeznaczone dla „Łaciatej” Pielęgnowała ją zazwyczaj babcia Wikcia , rzadziej jej mąż Szczepan. Często do niej zaglądała wnuczka Zuzia. Zuzia miała obowiązek wyprowadzania jej na zieloną trawkę za miasto na dzikie łąki, co chętnie robiła o ile była pogoda i nie miała innych obowiązków domowych. Z tego powodu babcia była zadowolona ,ponieważ koza z natury uwielbia sobie pobrykać po

zielonej i soczystej trawie. Dzieci z podwórka znosiły jej, a to obierki z ziemniaków, resztki z obiadu, a to znów zieleninę niewykorzystaną w kuchni lub nawet owoce. Najchętniej koza żarła gazety i różne papiery. Ponieważ bardzo blisko znajdował się śmietnik , więc te artykuły były łatwe do zdobycia. Z koszy na śmieci łatwo było wyciągnąć papiery i zawlec je do chlewika. Ilekroć zajadała się gazetami ,goście odwiedzający to podwórko nie kryli zdziwienia , a dzieci miały uciechę na to patrzeć.
Codziennie dojono „cygę", a Zuzia chętnie piła to zdrowe mleko kozie. Jedyna korzyść z tej samotnej kozy z podwórka. Na łące przy źródełku kozy czuły się niebywale swobodnie i karmiły się czystą trawką do syta. Spotykały się w tym uroczym miejscu wszystkie kozy z okolicznych domostw i gospodarstw. Czasami były też owce i barany. Któregoś dnia na łące pojawił się duży brodaty kozioł i od razu zainteresował się „Łaciatą". W pewnej chwili brutalnie ją zaatakował, tak że Zuzia zaczęła płakać i próbowała rozgonić te zwierzęta. Po pewnym czasie zdarzenie to Zuzia opowiedziała swojej babci, a ona tylko pokiwała znacząco głową, jakby miało cokolwiek oznaczać to dziwne zachowanie brodatego kozła wobec „Łaciatej". I tak się stało, że „cyga" od tego wydarzenia była coraz grubsza, aż któregoś dnia w chlewiku pojawiło się małe niezgrabne koźlątko. Wszystkie dzieci nie mogły się nadziwić z powodu narodzin koźlątka. Każdy głaskał je, a ono zabawnie trykało główką, skacząc radośnie na dwu nóżkach i śmiesznie podskakiwało becząc cienkim głosem. Było tak radosne , żwawe i zabawne, jak zwykle są też dzieci, kiedy są zdrowe. od pierwszego momentu kózkę tę nazwano „Białobródką" ze względu na ową urodziwą białą bródkę. Nowe obowiązki spadły na babcie i jej wnuczkę Zuzię. Ile za to uciechy sprawiła opiekunkom ta mała kózka swoim pojawieniem się. Czarny kot na widok koźlątka nawet nie zareagował i dalej wylegiwał się na ciepłych schodach. Gdy za duży ruch panował na podwórku, to leniwie przenosił się , aby dalej leżeć na parapet okienny pani Feli. Rodzice Zuzi ciągle zapracowani, nie mieli czasu zajmować się dzieckiem, więc niemal przez cały dzień przebywała na betonowym podwórku lub u swej babci Wikci. Ilekroć potem Zuzia przebywała z kozami na łące przy źródełku kozła brodatego nie spotkała , apotem dowiedziała się że „capa" tego właściciel sprzedał cyganom, którzy jak zwykle przyjeżdżali w czwartek na targ, aby handlować końmi i innymi zwierzętami. Kiedy zbliżał się targ w mieście to wozy cygańskie zwane taborami zjeżdżały się i za miastem cyganie rozbijali swoje namioty i palili ogniska.
Były to czasy, kiedy cyganie jako wolni ludzie, kochający przyrodę i wolność, wędrowali z miasta i wioski do wioski i koczowali gdzie popadło. Dzisiaj jest to zabronione i cyganie zwani Romami mieszkają tak jak pozostali mieszkańcy i pracują, aby swoją rodzinę utrzymać. Na łące ciągle było gwarno, bo łąka gromadziła nie tylko dzieci ale i zwierzęta domowe z pobliskich zabudowań. Niedaleko tej uroczej łączki ze źródełkiem były doły i pagórki, pozostałości po miejscu wydobywania piasku i żwiru na budowę. Co odważniejsi udawali się na te obiekty i z wysokich pagórków skakali na złamanie karku. Ile uciechy było i zabawy do późnych godzin wieczornych. O ile ktoś miał zapałki to rozpalano ognisko z suchych gałęzi, liści i starej kory z drzew. Upieczone na ognisku kartofle smakowały jakby marcepany z kartonika. Mimo że palce poparzone i buzie brudne od spalonych i zwęglonych kartofli to nic, byleby poczuć ten swoisty smak z ogniska.
Spływająca woda czysta ze źródełka kusiła chłopców, aby budować tamy, kaskady, zbiorniki i jeziorka, całe kompozycje wodne z przerzuconymi nad rzecz-

kami mostami. Na stawach i jeziorkach obowiązkowo musiały pływać stateczki i żaglówki zbudowane z kory, patyków i papieru. Do budowy ogrodów wykorzystywano dzikie owoce, których w tym rejonie nie brakowało, a więc jarzębiny, jagód, konwalii i dzikiej róży tarniny czy głogu. Do budowy ogrodów wykorzystywano łysinki na łące i doły z widocznym piaskiem. Kiedy był pogrzeb na sąsiednim cmentarzu ewangelickim dzieci z reguły musiały się zachowywać nieco ciszej, aby nie zakłócać tej smutnej ceremonii. Straszono dzieci, że kiedy przeszkadza się podczas pogrzebu, to ten zmarły potem w nocy straszy i puka do drzwi. Latem, kiedy słoneczko mocniej przygrzewało dzieci budowały sobie nawet nieco większe zlewiska w rejonie źródełka i wtedy można sobie było nawet trochę potaplać. Było to więc dla dzieci niezwykłe i czarujące miejsce. Nieopodal tego miejsca było mnóstwo krzaków i drzew, między którymi można się było bawić w chowanego lub w żandarmów i złodziei, czy w podchody. Dzieci bawiły się a kozy nic sobie z tych zabaw nie robiły, tylko koźlątka brykały i miały się ochotę do tych dziecięcych zabaw dołączyć. Zabawy dzieci zakłócały przybiegające psy z okolicy albo młodzież, która szukała w tym miejscu mocniejszych wrażeń. Kozy wystraszone przez te wściekłe psy długo nie mogły się uspokoić, natomiast barany doskonale sobie dawały z tymi intruzami rady i skutecznie odganiały psy, bo miały rogi.
Pewnego dnia babcia Wikcia posłała Zuzię do pani Feli, tej od szpanowania firan, obok do klatki sąsiedniego domu tego podwórka, po szczyptę soli do obiadu i wtedy Zuzia mogła zobaczyć na czym polega ta tajemnicza i dziwna praca tej kobiety. Niemal z całej okolicy przynoszone były firany, celem ich usztywnienia i przygotowania do zawieszenia w oknach. W wielkim koszu wiklinowym z dwojgiem uszu leżały zwinięte firany i ociekały jeszcze wodą. Wtedy pani Fela moczyła je dodatkowo w krochmalu i takie śliskie naciągała na przygotowane wcześniej sztalugi z wbitymi na obwodzie gwoździkami ,na które nakładała śliskie firany naciągając je przy tym . Miały one piękne i bogate wzory, ręcznie robione i były zwykle śnieżnobiałe , rzadko kolorowe. Tak naciągnięte suszyły się przy piecu lub w słońcu i potem delikatnie zdejmowane i składane dla każdego klienta oddzielnie, leżały na półkach lub na parapecie okiennym i czekały na odbiór w umówionym terminie. Kozy trzymane były w chlewiku na tym podwórzu, a obok nich były klatki z siatki a królikami. Króliki nie bały się sąsiedztwa kóz, a kozom nie przeszkadzały sąsiedzi. Tylko Białobródka kusiła i drażniła króliki zachęcając do zabawy. Małe króliki były rozkoszne, bo ciągle żywe , ruchliwe, dzieci chętnie brały je na ręce bawiąc się z nimi. Były szare, białe i nawet łaciate. Za jednym razem mama królicza potrafi urodzić wiele takich małych , ślicznych różnej maści króliczą t. Króliki taż karmiono tymi samymi pokarmami, którymi karmiono kozy. Najczęściej były to odpadki podrzucane przez lokatorów tej kamienicy lub babcię Wikcię. Dużo siana było w każdy czwartek, bo na pobliskim placu parkowały wozy chłopskie, przyjeżdżając na targ do miasteczka z przeróżnym bydłem na sprzedaż. Wtedy to po południu można było zebrać to siano i nakarmić nim kozy i króliki. Dzieci miały zwykle co czwartek zadanie, aby tego siana naznosić, a potem od babci dostawały słodycze i ciastka w nagrodę. Kiedy Zuzia chciała obcemu na podwórku zademonstrować niezwykłe przyzwyczajenia kozy, dawała jej do pogryzienia gazety i kawałki papierów, wtedy ona z radością szarpała je na strzępy i nawet zjadała. Zuzia od swego dziadka Szczepana dowiedziała się że kiedyś oprócz wytwórni wody sodowej i lemoniady, na tym podwórku wytwarzano nawet lody o różnych smakach i kolorach. Nie było lodówek ani zamrażarek, więc lód zimą przywożo-

no ze stawów w postaci wielkich brył i przechowywano w trocinach w wielkich magazynach bez okien. Potem czyszczono te bryły z trocin i kruszono na drobne elementy i przy pomocy specjalnej wirówki z domieszką soków, kremów wychodziły smakowite lody gałkowe, które potem wywożono w zamkniętych pojemnikach do sklepów i na gałki sprzedawano. Miały różne smaki , które kusiły dzieci i łaskotały ich podniebienia. Kiedy była produkcja tych lodów na podwórku, to wiele dzieci gromadziło się przy tej wytwórni i za pomoc przy pracach otrzymywało trochę tej smacznej lodowej masy do spróbowania. Kiedy produkowano słodką lemoniadę , również było wielu ochotników do pomocy, więc tez otrzymywały w nagrodę ten smaczny napój, i wtedy od gazu kręciło się im w nosach. Szczepan rzadko zaglądał do kącika z kozami i królikami, bo uważał że jest to czynność i obowiązek babci Wikci.
Zajmował się podwórkiem, porządkiem i piwnicami w których przechowywane były nie tylko ziemniaki, warzywa na zimę , ale także węgiel i drewno na opał. W deszczowe i pochmurne dni dzieci podwórka i okolicy bawiły się na klatkach schodowych lub w swoich domach. Na schodach można było zbudować sobie mieszkanie i pałac i zagrodę, bawić się w rodzinę, lekarza lub gospodarza czy myśliwego. W te dni nie było możliwe wyjść z kozami na łąkę za miasto nad źródełko, bo choroba czekała i przeziębienie murowane. Na łące nie było żadnego daszku, tylko krzaki, które nie dawały dobrego schronienia podczas tej złej pogody. Gdy któreś z dzieci podwórka miało urodziny , względnie imieniny, to w domu solenizanta odbywały się miłe i sympatyczne zabawy. Pyszne ciasteczka , cukierki i napoje były atrakcją dla każdego. Zaproszone dzieci z betonowego podwórka długo wspominały ten dzień i przyjęcie. Dzieci z betonowego podwórka miały więc swój świat i, swoje zabawy i tajemnice. Dzieci z wiosek miały zgoła odmienne zabawy, bo więcej czasu musiały poświęcić pomocy w gospodarstwie swoich rodziców i przy wypasie bydła i zwierząt domowych. Kozy nie mają rogów , więc są bezpieczne dla dzieci. Obejście czyli podwórko było systematycznie sprzątane, a gruntownie w każdą sobotę. Chlewiki i klatki z królikami też były czyszczone i wyścielane słomą lub liśćmi. Betonowe podwórko z jego lokatorami i dziećmi miało swój klimat , tradycje i swoje życie. W zgodzie i sąsiedzkiej pomocy żyło się wszystkim mieszkańcom dobrze. O kłótniach i sporach nigdy nie słyszano. Nawet zwierzęta jak kozy czy króliki żyli w symbiozie z ci ludzkimi opiekunami.
Autor KEMKON

5. Okiem Pocztowego na folwark Idziego

W pewnej wiosce oddalonej nieco od miasta, tam gdzie dwa razy dziennie autobusy docierają, wśród urokliwej i nieskazitelnej jeszcze przyrody na samym końcu wioski usytuowane było gospodarstwo Idziego folwarkiem zwane. Idzi gospodarz „ pełną gębą” a jego gospodarstwo przekazywane od wieków „ z dziada pradziada” ,człowiek jak każdy rolnik pracowity, zaradny ,pełen energii ,ale niestety już nie młody. Jego żona Stanisława, zawsze wesoła, niekonfliktowa wobec sąsiadów miła i usłużna. Syn Edziu pomocny w każdej potrzebie, podpora dla rodziców . W gospodarstwie Idziego usługiwał też parobek Felek- nieco upośledzony umysłowo, ale także pracowity, nieszkodliwy dla otoczenia. Pojawił się tam przed kilkoma laty jako bezdomny, wałęsający się po okolicy . Początkowo przygarnął go sołtys Izydor, ale nie na długo, bo wkrótce Felka przekazał Idziemu i tutaj na stałe się zatrzymał. Żona sołtysa Fredzia , była bardzo wścibską kobietą i lubiła plotki, które z zamiłowaniem roznosiła po wiosce. Gospodarstwo Idziego było przykładne i w miarę uporządkowane z wieloma zabudowaniami, ogródkiem warzywnym, stawkiem hodowlanym, łąką, polem i małym laskiem ,znajdującym się nieopodal zabudowań gospodarczych. Gospodarstwo oprócz budynku mieszkalnego posiadało stodołę z sąsiekiem i kieratem do młócenia i cięcia słomy na sieczkę, wiaty pod którą stał kombajn do prac żniwnych, szopy z narzędziami, stajni dla koni, oraz obory dla krów, świń i baranów. Na podwórzu umieszczona była studnia kopana z żurawiem i wiadrem do nabierania wody . Na ganku wystawiony był kosz wiklinowy a w nim leniwy kot Mruczek. W psiej budzie czuwał dzień i noc pies zwany Azą. W chlewie znajdowały się świnie Blondynka, Łaciata i prosiaczek Ogonkiem zwany. W stajni wysłużony, spokojny koń Gerda a w oborze krowy Krasula i Ruda. W kurniku obok obory kury Nioska, Siwa z pisklętami Żółtkiem i Pazurkiem.

Nad nimi królował dostojnie kogut Pyszny. Były też gęsi z małymi i kaczor Filip. Na dachu u szczytu domu usytuowany był gołębnik w kształcie okrągłej beczki z otworami wokół a w tym gołębniku mieszkali: Pocztowy, Gruchacz, i Lotka. Do gospodarstwa Idziego należał także sad z jabłoniami, gruszami i śliwami oraz krzaki agrestu, porzeczek czerwonych i czarnych. Cały przykryty trawą i chwastami a najwięcej było mniszków lekarskich zwanych popularnie dmuchawcami, bo kiedy kwiaty złociste znikały , to na ich miejscu ukazywały się owe kule z nasionami, które dzieci nazywały właśnie dmuchawcami. Obok lasu znajdowało się pole z żytem, Pszenicą, owsem, burakami i ziemniakami.

Obok stawu była podmokła łąka z mnóstwem rechoczących wieczorem żab. To miejsce chętnie odwiedzały bociany, które na słupie telefonicznym obok gospodarstwa sołtysa Izydora miały swoje gniazdo, urządzone z drewnianego koła od wozu, starego i nieużywanego już, bo obecnie używa się do wozów wyłącznie kół gumowych dmuchanych. Wystarczyło więc na owym słupie umieścić na stałe takie koło a bociany same przylatywały i urządzały sobie gniazdo z różnych patyków, gałęzi, liści i szmatek. Elementy te musiały być dobrze połączone ze sobą, aby gniazdo nie rozleciało się podczas wichury i było budowlą trwałą. Dziwny to domek bociani. Co to za budowla bez dachu?. Ciągle te duże ptaki narażone są na słońce i niepogodę. Budowla zapewniała stały przewiew a samo gniazdo było wyścielone miękkimi materiałami , aby bociany mogły w wygodzie wysiadywać pisklęta. Na zimę te zjawiskowe ptaki wczesną jesienią zbierają się na sejmikach bocianich i potem odlatują kluczem do ciepłych krajów. Latem odwiedzały pobliski stawek i z dużą zręcznością wyławiały małe i średnie rybki ze stawu, które Idzi hodował, aby z nich wyrosły duże ryby do konsumpcji. Do gospodarstwa Idziego prowadziła kamienista droga, przy której rosła wielka , stara i rozłożysta grusza , która co roku rodziła mnóstwo małych gruszek ulęgałkami zwanymi. Kiedy były dojrzałe, były bardzo smaczne, słodkie, tak że wszystkie dzieci z całej wsi chętnie je jadły. Na pole i do lasu wyjeżdżało się drogą , skierowaną na wprost głównych wrót folwarku pana Idziego. Sołtys Izydor rządził na wsi. Był człowiekiem energicznym, ale dobrym i pomocnym dla każdego bez wyjątku. Był też komendantem miejscowej Straży Pożarnej, która swoją remizę miała na drugim końcu wioski. W razie pożaru musiał zdążyć na czas i dlatego używał roweru, bo koniem zbyt długo by to trwało. Edziu syn gospodarza Idziego cały tydzień był zajęty, ponieważ chodził jeszcze do szkoły,

która mieściła się obok wspomnianej remizy. Na odrabianie zadań domowych nie było czasu, Trzeba było pomóc ojcu w gospodarstwie i codziennym obrządku, bo zwierzęta mają swoje pory karmienia i nie ma na to rady. Życie toczyło się na folwarku spokojnie. Ten spokój udzielał się też wszystkim w nim żyjącym. Tylko zła pogoda, burze z grzmotami, intruzi z zewnątrz lub zły humor Idziego zakłócały tę sielankę. Mówiono wówczas że chyba Idzi lub Stasia wstali dziś lewą nogą i cały dzień będzie nerwowy i niespokojny. Prym wiódł kogut zwany przez wszystkich Pyszny. On to stając na płocie oznajmiał mieszkańcom z rana odmiennym niż zwykle tonem, o złym humorze gospodarza.
Z samego ranka dało się słyszeć podniesiony głos Idziego i nerwowe krzątanie się Stasi oraz głośne przestawianie garnków i innych narzędzi gospodarskich.

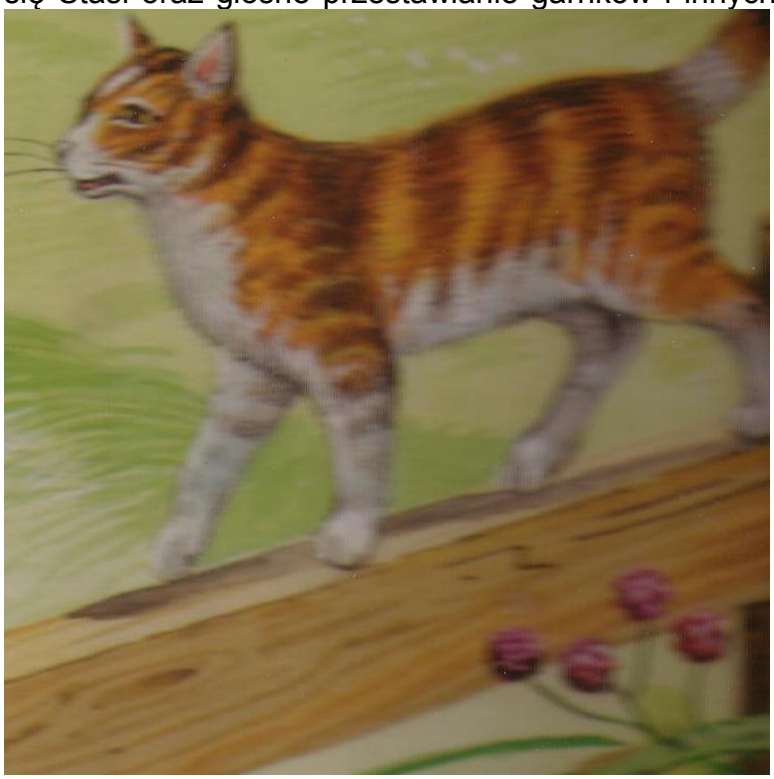

Aza przy swej budzie dobrze przykrytej papą i od środka ocieplonej chowała się wtedy za budę i uciekała od słońca , szukając cienia. Kot Mruczek też miał swoje legowisko w wielkim koszu z pałągiem od kartofli, wyścielonym szmatami i sianem. Kosz ustawiony był na samym ganku u wejścia do domu. Stodoła była tak obszerna, że można było do niej wjechać nawet całym, wysoko naładowanym wozem drabiniastym . W niej stała sieczkarnia do produkcji sieczki- pokarmu dla konia, i inne urządzenia gospodarskie. Urządzenia te napędzane były kieratem z przekładnią, uruchamiane w razie potrzeby przy pomocy Gerdy, która zaprzęgana do drąga uruchamiała kierat. Gerda w zaprzęgu zataczała wielkie koła a sieczkarnia w stodole cięła słomę na sieczkę. Gerdę popędzał albo Edek lub parobek Felek. Wrota z obu stron stodoły były otwarte , a kiedy za bardzo pyliło zamykano je szczelnie. Gęsi szczególnie te małe żółte miały swój kojec wykonany z siatki ogrodzeniowej, a dorosłe karmiły się na trawie przy stawku lub w sadzie. Wiosną krzewy dostawały pączków a pierwsze były bazie rosnące przy płocie i bieliły się w słońcu wiosennym a na Wielkanoc były dojrzałe i gotowe , aby je poświęcić w Kościele.
Niestety kościół był w następnej wiosce, więc było trzeba każdorazowo skorzystać z wozu i Gerdy. Wiosna to pora , kiedy się wszystko zieleni i na świecie

jest wesoło i radośnie. Na łąkach kaczeńce, mniszki ,przebiśniegi i stokrotki swym powabem i wdziękiem radowały serca i oczy. Chce się wtedy na nowo żyć, niestety w gospodarstwie przybywa więcej roboty. Idzi z Felkiem wyjeżdżał w pole aby uprawić rolę, wyrzucić obornik, by wszystko lepiej rosło. Ilekroć wyjeżdżał w pole, zabierał Azę, a ta cała szczęśliwa, bo mogła sobie dowoli pobiegać po polu, a przy budzie uwiązana nie mogła się pobawić. Kogut Pyszny miał dobry punkt obserwacyjny na cały folwark Idziego stojąc na płocie. Jednak o wiele lepszy był gołębi domek, bo umieszczony był u szczytu domu. Punkt ten dawał najlepsze miejsce obserwacji całego folwarku Idziego i okolicy. Gołębie upodobały sobie też rozłożystą gruszę przy drodze lub druty telefoniczne biegnące wzdłuż drogi głównej.

Kiedy bocianów nie było w gnieździe , to nawet i tam przesiadywały obserwując wioskę. Mnóstwo innych dzikich ptaków również obsiadało gruszę, przyglądając się z zazdrością domowemu ptactwu i kurom na folwarku Idziego. W gołębniku wiosną gwarno i wesoło, bo Lotka zaczęła wysiadywać na swoich jajeczkach a jej ukochany mąż Pocztowy przynosił do gniazda ziarenka i owady, a czasem nawet kawałek chleba lub groch, porwany kurom na podwórku. Będą małe pisklęta gołębie za kilkanaście tygodni. Powiększy się wówczas gołębia rodzinka Pocztowego. Z wielką pieczołowitością Pocztowy opiekował się żoną Lotką. Często przytulał się do niej i miło do niej gruchał jak to jest zresztą w zwyczaju gołębi. Nie zawsze Lotka wysiadywała na swoich jajeczkach. Pocztowy też jej pomagał i wtedy wymieniali się wzajemnie na gnieździe. Ona wdzięczna przynosiła mu też ziarenka i owady do gniazda. Sąsiadem i kuzynem Pocztowego i Lotki był Gruchacz. Duży i ubarwiony gołąb z przeogromnym wolem na szyi. Kiedy dostojnie gruchał, to wole powiększało się. Żył samotnie, więc z zazdrością spoglądał na czułości małżeńskie i wzajemną troskę jeden o drugiego. Zresztą jak na gołębiu przystało też im w różny sposób pomagał w doniosłym dziele wysiadywania jaj. Pocztowy całymi dniami obserwował folwark Idziego .Widział wszystko bo był dobrym obserwatorem. Któregoś dnia gospodarz wraz z Felkiem w szopie obok stodoły cały dzień stukali i hałasowali aż wieczorem

wynieśli na zewnątrz klatkę obitą siatką ogrodzeniową z przeznaczeniem dla małych gęsich piskląt , które na drugi dzień gospodarz przywiózł ze skupu. Było ich dużo a gąsior Filip i gęś Powabna z dumą i z zadziwieniem obchodzili tę dziwną siatkową budowlę. Z zazdrością Pocztowy spoglądał na siatkę, ponieważ było tam dużo smakowitego pokarmu , którego gołębie nie mogły zdobyć.
Musieli bowiem w inny sposób pokarm zdobywać, bo Idzi ciągle o nich zapominał karmiąc swój inwentarz drobiowy. Gruchacz on jeden swoim gruchaniem i rozłożonym wachlarzem ogonim przypominał gospodarzowi o istnieniu gołębi. Bociany upodobały sobie loty nad gołębnikiem, a kiedy były bardzo nisko to szum ich skrzydeł i głośny klekot był dla gołębi nie do wytrzymania. Te bocianie loty w przyszłości mogą być szkodliwe dla piskląt, które niebawem ukażą się w gnieździe. Kiedy gospodyni Stasia karmiła kury i gęsi w obejściu gołębie też chętnie korzystały z tej okazji. Dołączały się również wróble , wrony i sroki.
Kilkakrotnie gołębie musiały atakować to zbiorowisko, ponieważ wrony i sroki były w tej walce bardzo agresywne i spokojnych gołębi nie dopuszczały do pokarmu. Lotka też skorzystała z tej uczty. Upłynęło jeszcze kilkanaście dni i wreszcie nastał ten szczęśliwy dzień, w którym ku zdziwieniu Pocztowego i Gruchacza z jaj wygrzanych i bardzo długo wysiadywanych wykluły się trzy małe nieporadne pisklęta.
Zmęczone pracą przebijania skorupki , leżały bezradnie pod ciepłym puchem Lotki. Pocztowy ze zdwojoną energią zdobywać musiał teraz pokarm dla powiększonej rodzinki. Gruchacz swoim nabrzmiałym wolem i gruchaniem oznajmiał wszystkim o tym zdarzeniu. Nawet Edziu poznał że coś wyjątkowego zdarzyło się w gołębniku i z ciekawością wlazł na dach do gołębnika i ujrzał trzy małe nieporadne pisklęta Lotki i Pocztowego. Od tego radosnego momentu Pocztowy często wylatywał z gołębnika i krążąc wokół trzepotał skrzydłami i gruchał jak na gołębia przystało „gruchu, gruchu" .Świnie rzadko wypuszczano na zewnątrz, bo robiły bałagan, rozrzucały gnój zgromadzony na jednym miejscu przed chlewem. Pochrząkiwanie słychać było na całe podwórko. W chlewie świnie Blondynka i Łaciata były razem a w sąsiedniej gródce był prosiaczek Ogonek. Krowy Krasula i Ruda były codziennie dojone przez Stasię i codziennie wypuszczane na łąkę obok stawu i sadu. Tam było im najlepiej i najswobodniej. Nie miały towarzystwa byka, bo tego kilka miesięcy temu Idzi odwiózł do rzeźni na zabicie. Cielaka też nie miały przy sobie, więc z tego powodu były niespokojne. Największym leniwcem w gospodarstwie Idziego był naturalnie kot Mruczek. Był to już dorosły kot i potrafił całymi dniami w słońcu wylegiwać się na progu domu w wielkim wiklinowym koszu lub na wycieraczce leżącej obok. Nawet na myszy nie polował z czego gospodyni Stasia miała o to do niego ciągle pretensje. Gerda jako jedyna miała miejsce w stajni. Miała zawsze czysto wyścielone , bo o to dbał albo sam gospodarz lub parobek Felek. Koń dobrze się czuje, gdy ma czysto wokół siebie. Woda też do pojenia musi być czysta a samo wiadro umyte. Pewnego razu zmęczona wróciła z pola i Edziu przy studni chciał ją napoić wodą z wiadra zaczerpniętego ze studni. Gerda spojrzała do tego wiadra i odwróciła głowę i mimo że była spragniona nie zanurzyła pyska. Zaciekawiony Edziu spytał się ojca, dlaczego Gerda nie napiła się wody. Gospodarz wyjaśnił ,że z pewnością wiadro nie było czyste, bądź woda była zanieczyszczona. I rzeczywiście w wodzie pływały utopione muchy, czego Gerda nie tolerowała. Po napełnieniu wiadra świeżą wodą Gerda z ochotą ugasiła pragnienie. Tak wyjątkowo czyste i piękne są te zwierzęta. Gołębie też lubią czystość i kiedy tylko mają okazję myją swe piórka w wodzie lub kałuży. Gęsi Filip i

Powabna, skoro tylko żółte pisklęta podrosły to niemal codziennie gęsiego maszerowały nad stawek, aby sobie popływać i nieco pobaraszkować. Robiły to z wielką ochotą, gęgając radośnie , a małe figlowały do woli nurkując w poszukiwaniu pokarmu i muszek. Gęsi nikt nie uczy pływać, i jak tylko się wyklują to natychmiast ciągną do wody, taka jest ich gęsia natura.
Grusza ta olbrzymia już przekwitła a to jest znak że lato się zbliża. Kiedy cała była w kwiatach różowych to dla ptaków wymarzone miejsce przesiadywania. Istny raj na ziemi szczególnie dla pszczół i innych owadów. Gołębie też z ochotą przemieszczały się na tę gruszę, ćwicząc przy okazji swoje opierzone pisklęta lotów. Fruwanie dla małych sprawiało dużo kłopotów, ale ćwiczenia czynią mistrza, więc po wielu próbach gołębie świetnie sobie radziły w powietrzu. Pocztowy senior rodzinki gołębiej był kiedyś gołębiem wyćwiczonym w lotach odległościowych i stąd jego nazwa. Idzi dawno temu zakupił go od swojego kolegi. Gołębie pocztowe dawniej były wykorzystywane do przesyłania listów na duże odległości, podobnie jak dziś to robi listonosz roznosząc po wiosce przesyłki w dużej torbie. Pewnego dnia Pocztowy siedząc na gałęzi gruszy zauważył że do furtki gospodarstwa zbliżyła się cyganka i zgrabnym ruchem rzuciła w gromadkę kur sznurek zakończony agrafką i kawałkiem chleba. Jedna z kur ta pechowa została przez tą wymyślną wędkę złapana i w mgnieniu oka porwana przez cygankę, która schowała ją pod szeroką spódnicę i zaczęła uciekać.
Chyba zauważył tą kradzież Edek , bo natychmiast zaczął gonić złodziejkę. Uciekała przez pola do pobliskiego lasu tak szybko, że Edek wrócił zrezygnowany z pustymi rękami. Słońce coraz bardziej dokuczało gołębiej rodzince i Gruchaczowi. W gołębniku było duszno, więc Pocztowy coraz częściej przesiadywał na gruszy lub na dachu. Gerda pracowała właśnie w tej spiekocie przy kieracie i zdawało się Pocztowemu że się jej w głowie zakręci. Fredzia –żona sołtysa przyszła do Stasi, aby sobie z nią poplotkować. Dobrze że Stasia zastała ją przy wrotach, bo gdyby sąsiadka weszła do izby to jak zwykle rozmowy trwałyby wiele godzin, a roboty dużo szkoda czasu na plotki. Na plotki nie powinno się mieć czasu, bo to tylko obmowy i nieszczere wytykanie innym wad i błędów. Mimo że rozmowa obu sąsiadek odbywała się na stojąco, to i tak trwała dość długo, że Idzi zawołał żonę, bo krowy trzeba było napoić i wydoić, i pozbierać jajka w kurniku i w obejściu.
Kurnik dla kur była to duża klatka zabudowana wewnątrz obory a jedynie drabinka do zejścia była podstawiona do muru z zewnątrz a kury wchodziły sobie do klatki przez małe okienko. Wejście na noc było zamykane, ponieważ gospodarstwo Idziego znajdowało się w pobliżu lasu i często kuny, łasice lub lisy podkradały się do kurnika, aby upolować kurę lub gąskę. Pewnego razu na gruszy usiadł sobie duży jastrząb. Gruchacz kiedy go zauważył , zaczął na cały głos gruchać i trzepotać skrzydłami, informując o obecności intruza i drapieżnika. Nawet Stasia wybiegła z domu i zobaczyła, jak ten drapieżny ptak spadł nagle jak kamień w dół i porwał w swoje szpony małe kurczę i odfrunął do lasu. Wśród kur nastało wielkie poruszenie, a Stasia biegała po podwórzu krzyczała i była bardzo zdenerwowana. Taki los czeka ptactwo domowe, kiedy w pobliżu pojawi się taki groźny drapieżnik. Zaczęła się pora żniw, a więc w folwarku Idziego wielkie zamieszanie i nerwowa krzątanina. Naprawiony przez Idziego kombajn wyruszył na pole do pracy. W żniwa jest pełno zboża na polu, więc gołębie mają też dużo pracy, ale pokarmu jest pod dostatkiem. Inne ptaki te dzikie też spotykają się przy hałaśliwym kombajnie i zbierają nasiona bez umiaru. Gruchacz

właśnie zapoznał swoją nową małżonkę. Przerwała swój lot, ponieważ na nóżce miała dziwną obrączkę z napisem.
Był to gołąb pocztowy, który akurat wtedy urządził sobie odpoczynek po ciężkiej i długiej drodze. Tak się wielce przymilał, że zaprosił ją do gołębnika. Po kilkunastu dniach oznajmił swoim gruchaniem, że w jego gnieździe pojawiły się jajeczka i wkrótce będą młode. Obrączka , bo tak nazwał przybysza Edek , zaczęła swoje jajeczka osłaniać i wspólnie z Gruchaczem wysiadywali, ogrzewając swoim ciałem. Czyścili też swoje gniazdko na zmianę. Był więc sprawiedliwy podział obowiązków , jak zresztą jest w zwyczaju u gołębi. Niech ludzie też uczą się tego od tych ptaków.
KEMKON

6. Sroka złodziejka

Hen gdzieś daleko, na wysokiej górze, wśród świerków i buków stał wyniosły zamek
o dziewięćdziesięciu dziewięciu wieżach. W nim mieszkał sędziwy król z żoną i królewną. W zamku tym posługę pełnili dworzanie, parobcy i damy dworu do towarzystwa i zabawiania królewny. Król miał też obok siebie błazna, który na każdym kroku czynił błazeństwa, a dowcipami rozbawiał wszystkich mieszkańców tego zamku.
Zamek nie był otoczony murami ani fosą, ponieważ i tak trudno go było zdobyć z uwagi na jego położenie na wysokiej i stromej górze.
Opowiadano od lat, że w zamku straszy biała dama. Przechadza się nocami po korytarzach zamku, a w dzień wygląda przez okno i patrzy na okolicę z jednej z wielu wieżyczek. Błazen opowiadał, że natknął się w starych kronikach na wzmiankę o tej damie i jej pochodzeniu. Otóż dawno , dawno temu królewna miała też siostrę, która w bardzo młodym wieku zmarła, a umierając oznajmiła dworzanom, że mimo młodego wieku co nocy będzie wracać do zamku i straszyć, to znaczy przypominać o swoim istnieniu w przeszłości.
I tak się dzieje do dziś, a ten kto trafi akurat na jej obecność jako „białą damę" lub usłyszy choćby jej rozpaczliwe wołanie, dozna lęku i trwogi.
Będzie mu przypominała o istnieniu życia pozagrobowego i istnieniu duchów przeszłości.
Królewna żyła sobie w zamku beztrosko, a jedynie błazen ciągle jej figle płatał.
Z pewnością podobała mu się. Kiedy królewna skończyła swoje 15 lat, król wyprawił na zamku zgodnie z tradycją rodową wielką ucztę i przyjęcie.
Uznał, że jest już dojrzała i pełnoletnia, a że nie miał męskiego potomka, liczył, że właśnie ta królewna obejmie sukcesję po jego śmierci.
Postanowił więc ofiarować następczyni tronu koronę, wysadzaną diamentami i perłami. Wykonano ją u jubilera na zamówienie. Wyglądała pięknie, a że była drogocenna, zamykano ją w sejfie i pod kluczem. Jedynie w razie wyjątkowej okazji królewna zakładała ją.
Pewnego razu królewna nie mogła oprzeć się ciekawości i zajrzała do sejfu, aby koronę tę sobie dobrze obejrzeć i wsadzić chociaż na krótko na swoją głowę.
Przymiarkę tę obserwowała sroka, która akurat siadła sobie na parapecie zamkowego okna królewskiej sypialni. W okamgnieniu porwała jeden z większych brylantów z tej korony i szybko odfrunęła do lasu.
Odtąd wszystkie sroki na świecie nazywają się „**srokami złodziejkami"**, bo porywają ze sobą wszystko co się świeci i błyszczy czyli szkiełka, korale, lustereczka, biżuterię, perły i nawet diamenty te najdroższe i te drogocenne i te zwykłe śmieci błyszczące. i ukrywa je w swoim gnieździe.
Gdy królewna zorientowała się, że w koronie brak tego najcenniejszego brylantu, rozpłakała się i pośpiesznie ukryła z powrotem oszpeconą koronę w sejfie.
Król dowiedziawszy się o tym zdarzeniu, wpierw rozgniewał się na królewnę, a potem zwołał dworzan służbę i ustalając wysoką nagrodę polecił wszystkim poszukiwania tego skarbu.
Wszyscy zaczęli intensywnie szukać w okolicy i w lesie, na drzewach i w norach, w dziuplach i na konarach wysokich drzew.
Minęło wiele dni, a diamentu nie znaleziono.
Pewnej nocy masztalerzowi Fryckowi- koniuszemu dworu przyśniło się, że sroka ukryła go w swoim gnieździe na wysokim smerku, obok zamku na samym szczycie.

Na drugi dzień w tajemnicy, udał się w poszukiwaniu skarbu.
Szukał długo, aż wreszcie na samym wierzchołku świerku ujrzał gniazdo srocze, więc postanowił się do niego dostać. Z wielkim wysiłkiem wdrapał się na to drzewo i ku zdziwieniu znalazł w gnieździe sroki ten drogocenny diament.
Schował go za pazuchę, owijając skarb w duży liść i chusteczkę, trzymając go wpierw w ustach, żeby nie zgubić. Musiał przecież bezpiecznie zejść z tego wysokiego i strzelistego świerku.
Uradowany, podążył do zamku, aby go oddać królewnie i pochwalić się na całym zamku ze swej zdobyczy.
Gdy królewna ujrzała w jego brudnych dłoniach mieniący się klejnot, uradowała się i nawet popłakała ze wzruszenia.
Nazajutrz wraz z królem postanowili wynagrodzić odpowiednio odważnego Frycka.
Zaprosili go do zamku i w obecności wszystkich jego mieszkańców, dworzan i służby ogłosili radosną nowinę, a Frycka zwolnili ze służby przy koniach na zawsze i od tej chwili nie Frycek ale Fryderyk był w bezpośrednim otoczeniu króla jako jego podczaszy i doradca.
Spełniał swoja rolę wzorowo ku zadowoleniu dworu i króla.
Diament znów znalazł swoje miejsce w koronie, a królewna szczęśliwa, zakładała ją tylko w razie wyjątkowych i ważnych dla zamku uroczystościach rodowych.
KEMKON

7. Zwierzęca niedola czyli los rodziny zajęczej

Wczesną wiosną, kiedy zieleń budzi się z zimowego letargu, a pąki pękają, by swe listki nam pokazać, rodzinka zajęcza raptem powiększyła się, bo świat ujrzały Tina i Mik. Zajęcze dzieci zrazu niedołężne i niezgrabne, z dnia na dzień były coraz to bardziej ruchliwe, żwawe i zgrabniejsze. Zajęcza mama Szarakowa nie mogła nadążyć z karmieniem małych i zgłodniałych niemowląt. Mieszkanko zajęcza nora, wyścielona wpierw przez tatę Szaraka liśćmi, mchem srebrnym i ściółką a samo posłanie czyli legowisko dla żony i jej przyszłych zajęczych dzieci wymościł Szarak puchowym, owczym kołnierzem, znalezionym w lesie na śmietnisku pozostawionym przez ludzi. Miękko im było a w samej norze sucho , ciepło i przytulnie. Wyjście z nory było skomplikowane i dobrze utajnione przed wrogiem czy intruzem z zewnątrz. Żaden pies czy kuna nie mogła się tam dostać i wytropić zajęczą rodzinkę.

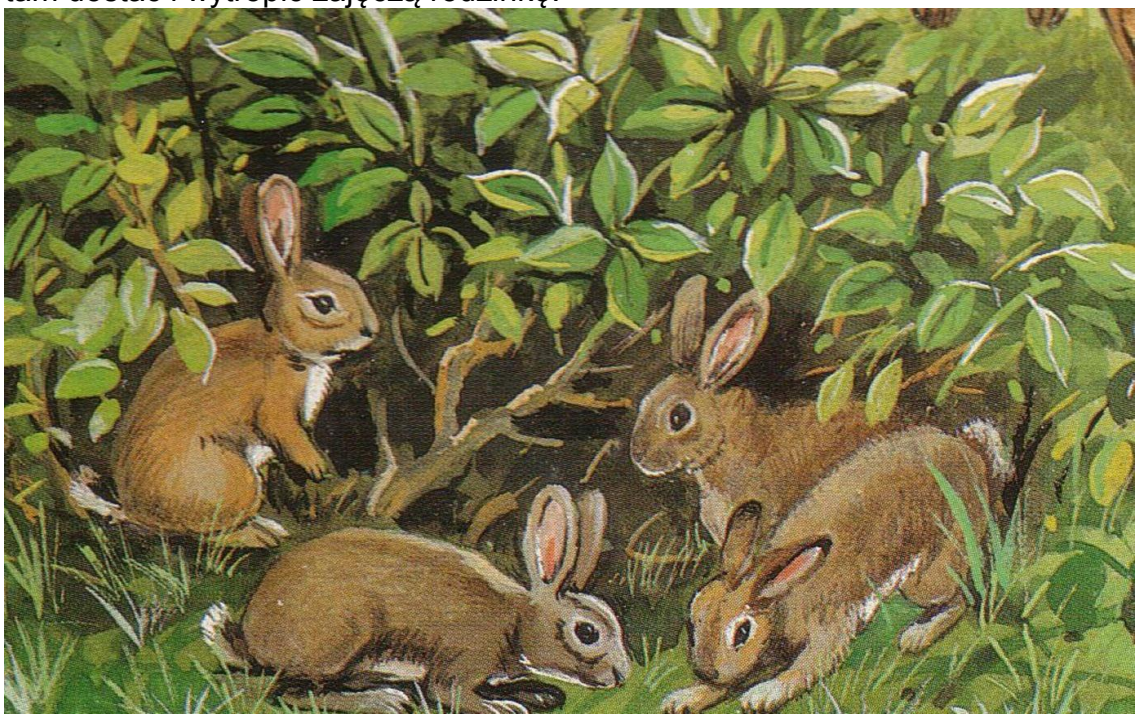

Żyli sobie szczęśliwie, a świeże roślinki jagodziny i korzonki leśne były dla nich jedynym pożywieniem. Jagód, borówek, poziomek i malin jeszcze nie ma w lesie, a więc na smakołyki trzeba będzie poczekać aż do lata. Jeszcze nie całkiem wiosna rozbudziła roślinki do życia ze snu zimowego, a już pierwsze niepokoje i strach przejął rodzinkę Szaraka. Pewnego wczesnego ranka dało się słyszeć ujadanie sfory hartów myśliwych i innych psów gończych, a to był znak że zaczęło się polowanie z nagonką. Strzały myśliwych przyprawiały zajęczą rodzinę o zawał serca. Przytulone w swej norze, czekały co będzie dalej. Pośpiesznie więc tata Szarak jeszcze bardziej zabezpieczył wejście do nory suchymi gałęziami i korą. Minęło nieszczęście i zagrożenie, bo nawet harty te najbardziej sprytne psy myśliwskie nie wyczuły bliskości zajęczej nory. Pognały za lisem rudzielcem Hansem, który po sąsiedzku mieszkał w nieco większej norze w zagajniku, a wyszedł z niej przypadkowo, bo głód dokuczał mu wielce a nieopodal znajdowała się leśniczówka leśniczego Adama i słychać było kuszące, donośne gdakanie kur i pianie kogutów .To wielka pokusa, aby znienacka zaatakować drób i do syta się pożywić. Już go więcej nie oglądano w sąsiedztwie . Niestety prawdopodobnie psy dopadły go i tyle miał z życia. Do tej lisiej nory schowanej głęboko pod rozłożystym świerkiem, przeprowadziły się rudawe ku-

ny z pięknymi ogonami, wielce zarozumiałe i ruchliwe, skore do ciągłej zabawy, ale nie bardzo gościnne. Nie było to dobre sąsiedztwo dla naszej zajęczej rodzinki Któregoś ciepłego i skwarnego popołudnia na spacer wybrały się domowe króliki z gospodarstwa Tomasza, szare wyjątkowo podobne do dzikich leśnych zajęczych kuzynów .Od razu zaprzyjaźniły się te dwie rodzinki: dzika zająca z lasu, z domowymi i spasionymi królikami Tomasza w składzie: Kic tata, Trusia mama, synek Ząbek i córeczka Musia. W jednej chwili mama Szarakowa urządziła przyjęcie królikom. Jakież było zdziwienie, że na ziemi a raczej na mchu nie było marchewek, sałaty, i innych warzyw ogrodowych. „czy chata bogata" zaprosiła Szarakowa rodzinkę króliczą, częstując przybyszy korzonkami, pędami roślin i drzew iglastych. Dzieci obu zaprzyjaźnionych rodzin nie miały ochoty na jedzenie, ale za to na polanie baraszkowały, chowając się za małymi świerkami, gałęziami i wysokim sitowiem i trawa. Byli bezpieczni, bo pies Tomasza Azor ujadał i ledwo było go słychać. Dzięcioły kolorowe i wiewiórki przypatrywały się harcom zajęczym i mniej zgrabnym króliczym dzieciom.

Dopiero co królicza rodzinka opuściła leśne wertepy i wróciła do swej klatki w gospodarstwie Tomasza, a już ponownie ujadanie hartów przestraszyło zajęczą rodzinkę. Szarak zmartwiony nieobecnością swych dzieci, które swawolnie hasały na polanie, nawoływał zajęczymi hasłami dzieci do powrotu, a szczekanie hartów i nagonki były coraz głośniejsze. Ledwo co zdążyli w wielkim strachu schować się w swej norze a psy dopadły nory, lecz była tym razem szczelnie zasłonięta a kręte jej wejście uniemożliwiało wejście napastnikom. Psia sfora opuściła to miejsce i nagonka oddaliła się tak że zajączki znów poczuły wolność i swobodę. Zagrożenie minęło.

Następne odwiedziny króliczej rodzinki w lesie sprawiły, że tata Kic zaproponował dzikim kuzynom odwiedziny w gospodarstwie Tomasza, gdzie w ogródku można się do syta najeść sałatą, kalarepkami, marchewkami, kapustą i innymi rozkoszami zajęczego podniebienia. Nie namyślając się wielce zajęcza rodzinka w komplecie przeniosła się na pole zasiane żytem obok gospodarstwa Tomasza. Tam zbudowały sobie nową norę. Do ogródka Tomasza zaledwie kilka susów, więc z łatwością można było skorzystać codziennie z tej wyśmienitej uczty. Niestety tylko ukradkiem i to w porze, kiedy Tomasza nie było w pobliżu. Króliki natomiast były karmione codziennie i nie potrzebowały kraść warzyw z

ogródka gospodarza. Zajęcza nora była dokładnie ukryta w łanie zboża, a wejście przysłaniał sporych wymiarów kamień , na wpół zagłębiony w ziemi ornej. W sąsiedztwie zajęczej nory zagnieździły się polne myszy Punia i Funia dwie siostrzyczki, niestety bez rodziców. Były bardzo swawolne i wesołe i z pewnością już nie pamiętały , że kiedyś żyły wraz z rodzicami i rodzeństwem. Drażniły zającą rodzinkę swoimi beztroskimi zabawami, gotowe ciągle do figlów i wygłupów. Hałaśliwe piski i harce mogły naprowadzić Hansa psa pana Tomasza na ich trop, a wtedy nie było żartów a życie zagrożone. Dla zajęczej rodzinki o wiele bezpieczniej niż w lesie, bo nora była w dość dużej odległości od lasu, i harty myśliwych tu nie zaglądały. Kiedy zajączki ukradkiem z zagonów porywały warzywa, króliczki pana Tomasza wypuszczane na pole, swobodnie się posilały a zajączki zazdrośnie patrzyły na kuzynów i nie mogły pogodzić się z tą niesprawiedliwością.
Pomocnik gospodarza Frycek pewnego dnia gonił Azora, a ten uciekał ,trzymając w pysku gumową piłkę, znalezioną na drodze. Sapanie i poszczekiwanie Azora słychać było przy samej norze, więc znów rodzinka zajęcza skulona w norze i w strachu przeżywała co będzie dalej.
Ale strach minął szybko i znów można było wyjść z nory. Tego dnia nie było możliwości wyjść z ukrycia, ponieważ Azor pilnował , spuszczony z łańcucha. Nie było mowy pójścia z rewizytą do kuzynów królików i na smaczny obiadek na zagony. Azor jak zwykle pilnował całego dobytku Tomasza a króliki były zamknięte w klatce stojącej na wysokich słupkach, oplecionej siatką drucianą i zamknięte na haczyk. Często wypuszczane były na podwórze, nawet w pobliże budy Azora, lub nad stawek z rybami albo do ogródka czy na zagony polne i wtedy mogły spotkać się z zającami. Pewnego dnia kury zdradziły swoim gdakaniem swoje ukryte miejsca w krzakach, gdzie jak zwykle znosiły jaja. Natychmiast króliczki pobiegły i jeszcze świeżymi jajami urządziły sobie zabawę. Śmieszna zabawa, bo ilekroć jaja spadały na ziemię to każdorazowo się rozbijały. Jaja te przecież nie były do zabawy, a ich skorupki kruche, delikatne i cienkie musiały się stłuc. Jedynie kogut na płocie swym donośnym pianiem zwracał uwagę gospodarzowi, o głupiej zabawie Ząbka i Musi. Zresztą Tomasz i jego żona Tekla w tym czasie zajęci byli obrządkiem czyli czyszczeniem obory ,chlewu i stajni i ani się nie zorientowali że pianie koguta oznaczało zagrożenie.
Codzienne życie tak szybko upływało, słońce coraz wyżej świeciło, że zajączki straciły rachubę czasu a tu przyszły upały a po nich burze, gradobicia i pioruny. Deszcze moczyły dorodne łany żyta a woda wlewała się nawet do nory. Była pełnia lata. Pewnej niedzieli po kościele gospodarz wraz z żoną wybrali się na pola, aby zobaczyć , czy zboże nadaje się do koszenia . Azor wyczuł zajęczy zapach i pobiegł w stronę nory, ale szczęśliwie kamień obsunął się i zatkał wejście do nory, a zajączki tym razem zostały uratowane. W ciągłym strachu wypadało im żyć , a i myszkom nie wiodło się najlepiej. Pewnego dnia kot Tomasza wyczuł myszy w życie i gonił je miedzy łanami żyta i nagle schowały się pod ten wielki kamień przy norze i w ten sposób tez się przypadkiem uratowały. W lesie w niedużej odległości od nory Szaraka i Szarakowej mieszkali kuzynowie Puk i Mina. Młodych jeszcze nie było ,więc oboje wybrali się chyłkiem poza las. Trafili na piękne łany żyta i spotkali się z naszą rodzinką zajęczą. Szarak natychmiast wybrał się na zagony warzywne a stamtąd przywlókł do jedzenia sałatę, liście kapusty i nać z marchewki, bo marchewkę nie dało się z suchej i gliniastej ziemi wyrwać. Uczta była wyśmienita i przyjęcie godne gości. Nora w łanie żyta to dla zajęcy nietypowe miejsce pobytu. Otoczenie jak okiem sięgnąć zbo-

że i wysokie trawy a w norze suto zastawiony stół warzywny. Raj na ziemi. Kuzynowie namawiali Szaraka i Szarakową, aby z powrotem wrócili do leśnych ostępów i do swej starej nory, bo niebawem zaczną się żniwa i żniwiarze natrafią na ich norę , albo kombajn żniwny zniszczy ją a ich pozbawi życia. Najgroźniejszym jednak żywiołem dla zajęczych nor zarówno w polu jak i w lesie jest pożar i ogień, bo ulewy nie są takie straszne i można się odpowiednio przygotować, zabezpieczyć i jakoś przetrwać.
Pewnego razu jednak siła instynktu wzięła górę i nasza zajęcza rodzinka wybrała się do lasu. Po drodze spotkała się z kuną rudą kitą i innymi leśnymi przyjaciółmi. Dorośli omawiali plany powrotu do lasu a młodzież bawiła się na polanie w berka. Pomimo upalnego słońca wiaterek jak zefirek dawał przyjemny chłodzik i było rozkosznie do chwili, gdy syreny strażackie zaczęły wyć a to zwiastowało niechybne zagrożenie i pożar lasu. Nagle nadjechały wozy strażackie i cysterny z wodą a strażacy wybiegli z wozów i zaczęli rozwijać swe węże i gasić płomienie. Zajączki w mig zorientowały się o zagrożeniu i w pośpiechu uciekały z lasu wraz z sarenkami, kunami i lisami. Ogień w mig rozprzestrzeniał się i zajmował coraz to większe połacie lasu, zbliżając się szybko do zagród i pól ze zbożem dojrzałym do żniw. Dzieci z pobliskiej szkoły wraz z sołtysem przybiegły na ratunek strażakom i gałązkami próbowały ratować łany zbóż. Nora zajęcza została doszczętnie zadeptana i zniszczona. Zające zmuszone były szukać nowej nory. Życie uratowane i to jest najważniejsze a norę zawsze można sobie nową zbudować i urządzić. Trafiła się obok ogródka Tomasza i było im z ta lokalizacją bardzo wygodnie. Jeszcze bliżej do zajęczych smakołyków i delicji. Nie długo trwała sielanka w norze blisko ogrodu warzywnego, bo któregoś dnia koń Tomasza zadeptał kopytami ich norę i wtedy postanowili wrócić do nory ukrytej w zbożu. Tam też niestety na krótko, bo zaczęły się żniwa i kombajny wyruszyły w pole żąć dojrzałe zboże.
Kombajnista podśpiewując sobie, pracował od świtu do nocy z przerwą na posiłek, który Tekla przynosiła mu w samo południe w koszyku, przykrytym czystą białą serwetą. Trzeba było czym prędzej uciekać z powrotem do lasu, bo życie w takiej sytuacji było zagrożone a w lesie jedynie w trakcie polowań i nagonki.
Dzieci były już duże i zdrowo się rozwijały. Uciekając do lasu musiały ominąć zagrodę Tomasza. Jakież było ich zdziwienie, kiedy królików nie było tyle ile wpierw ,bo Tomasz którejś soboty zabił jednego aby mieć z niego obiad na niedzielę. Kica została więc sama i od tej chwili musiała sama o wszystko się starać. Na domiar złego w jej brzuchu oczekiwały następne króliczki i rodzina bez ojca niebawem się powiększy. Pewnego dnia, kiedy królicza mama Trusia żerowały sobie swobodnie w pobliżu zagrody Tomasza na łące obok stawu, nadbiegł zdziczały i wściekły pies przybłęda i z wielką furią zaatakował Trusię, pochwycił ją i wywlókł daleko a zajęcze dzieci zostały same i w popłochu zaczęły uciekać. Tej nocy do klatki z królikami zakradła się ruda kuna i w mgnieniu oka schwyciła za gardło Ząbka i wlokąc go na zewnątrz uciekła do lasu. Tak więc w klatce pozostała tylko Musia. Smutno jej było bo przecież straciła nie tylko swoich rodziców ale także swoją jedyną siostrzyczkę. Spotkanie zajęczej rodzinki z jedynym królikiem nie trwało więc długo. Zające wróciły z powrotem do lasu budować sobie nową norę i wymościć ją mchem i porostami. Kiedy tak wędrowali w poszukiwaniu nowego mieszkania, spotkali się oko w oko z leśniczym Adamem. Był bez strzelby i psa , więc był niegroźny. W ręku trzymał jedynie lornetkę i zeszyt i skupiony był na zapisywaniu swoich spostrzeżeń. Nawet nie zdążyli

przestraszyć się leśniczego. Leśniczy bez fuzji i psa jest jedynie przyjacielem lasu i zwierząt.
O tym zające doskonale wiedzą. Leśniczy kocha przyrodę i opiekuje się zwierzętami, a w zimie dokarmia zgłodniałe w paśnikach. Pewnej zimy zające hasające sobie w pobliżu jego leśniczówki zauważyły wiszącego na mrozie swego kuzyna i nie mogły się nadziwić co on wisząc tam robi. Otóż po zabiciu zająca na polowaniu należy go powiesić na mrozie, aby skruszał i aby „wiatry odeszły" czyli przykry zapach dziczyzny. Potem należy odrzeć go ze skóry i wtedy gotowy jest do sprawiania. Dodatkowo należy dziczyznę wymoczyć w zsiadłym mleku. Do zmroku szukali nowej nory i trzeba było nocować pod stertą gałęzi bo noc ich zastała. Zaczęło się nowe życie i w nowym otoczeniu zagajnika. Tęskno im było do tych smakowitych delicji ogrodowych i sąsiedztwa rozbrykanych myszek Puni i Funi. Nastały pochmurne i deszczowe dni. Coraz więcej ludzi spacerowało w lesie w poszukiwaniu grzybów i jagód. Samochodami wjeżdżali w głąb lasu mimo zakazów i kontroli. Zakłócało to spokój zwierzętom i ptakom leśnym. Niosło także zagrożenie dla Szaraka i jego rodzince. Któregoś ranka zniszczono im norę, wrzucając do środka śmieci butelki i opakowania. Zmuszeni byli więc powrócić na pole zbożowe i jakież było ich zdziwienie, bo zamiast wysokich łanów zastali ściernisko o bardzo kłujących i ostrych słomkach. Po norze ani śladu. Postanowili więc zbudować nową w pobliżu tego dużego kamienia. Ciasna była ta nowa nora i niewygodna, ale za to w miarę bezpieczna. Niedługo potem na pole wjechał Tomasz i przy pomocy pługu koniem zaczął zaorywać to ściernisko. Zajęcza rodzinka znów musiała się salwować i uciec do lasu. Grzybiarzy było coraz mniej w lesie bo i grzybów było coraz mniej. Niektóre grzyby są dla zajączków przysmakiem. Jesienią smakowały im także przeróżne owoce leśnego runa i kwiaty wrzosów. Szaleństwo polowań i zdziczałe ujadanie psów gończych zawsze zwiastowało zagrożenie i niebezpieczeństwo. Pewnego razu dało się słyszeć kolejną nagonkę i szczekanie psów, a w norze nie było tym razem zajęczych dzieci Tiny i Mika, którzy swawolnie bawiły się na pobliskiej polanie. Niestety tego wieczoru nie wróciły do swej nory . Z pewnością zostały schwytane przez te wściekłe psy albo myśliwi je zastrzelili. Szarak pocieszał swoją żonę , i obiecał że na wiosnę z pewnością znów będą młode zajączki i rodzina się powiększy. W okresie Świąt Wielkanocnych pojawiają się małe zajączki i dlatego właśnie przez dzieci są one szczególnie ukochane. One to właśnie zwiastują nowe życie , bo i roślinki o tej porze roku się zielenią a z pąków piękne kwiaty się rodzą. Jest to zwykłe obudzenie się świata roślin i zwierząt ze snu zimowego.
Nastała zima. Śnieg grubym płaszczem przykrył ziemię a gałęzie drzew pod ciężarem tego puchu obwisły aż do ziemi. Nasze zajączki nie zdążyły zrobić sobie zapasów na zimę, bo cały sezon zmieniały swoje miejsce zamieszkania i ciągle żyły w napięciu i strachu. Zmarznięte gałązki nie smakowały a do pola Tomasza było się trudno dostać poprzez zaspy śniegowe. Pola opustoszały, a zapach obornika nie rokował przyjemnego pobytu na polach, więc jedynie las dawał rodzinie zajęczej odpowiednie schronienie i bezpieczny spokój. Z tej gromadki zajęczej rodzinki zostało niewielu. Taki jest los i dola leśnych zwierzątek, polnych myszy i domowych królików. Zgodnie z planem na wiosnę Szarakowa urodziła trzy małe zajączki a i w klatce królików pokazały się małe króliczki, bo Tomasz na targu dokupił dorosłego królika. Zajęcza rodzina Szaraka i królicza Musi znów mogły się spotykać. Dziwne są losy zwierząt, zazwyczaj

smutne i nieprzewidywalne. Dlaczego jedni drugim szykują taki los? Spieszmy się kochać dzikie i domowe zwierzątka bo tak szybko giną.
KEMKON

8. Myszy w starej farze

Rzecz cała działa się gdzieś w małym miasteczku, bardzo starym z mnóstwem zniszczonych zabytków, ale z dobrze jeszcze utrzymanym kościołem farą nazywanym. Grube mury, ciężkie drzwi ,kute stalowe, pamiętające czasy króla Kazimierza Wielkiego, który za swojego panowania wiele murowanych kościołów zostawił. Obok stała nieco nowsza budowla zwana dzwonnicą, w której wisiały trzy dzwony zwane: Jezus, Maria i Józef. Nieopodal tej starej fary mieścił się domek organisty Tomasza zwany organistówką. Przy niej było Probostwo i Plebania w której był ksiądz wikary Jasiu. Proboszczem był ksiądz Felicjan a w kuchni krzątała się kucharką Stefcia a sprzątaczką była Helcia. Przy kościelnym cmentarzu to znaczy placu, bo plac ten był kiedyś miejscem pochówku zmarłych więc nadal nazywał się cmentarzem, mieszkał kościelny Antoni i jego pomocnik Lolek. Ministrantów było wielu, tych małych i tych dużych, ale najgorliwszymi byli: Feluś, Szymek i Kubuś. Kościół posiadał jeszcze chór z organami, wsparty na bardzo grubych filarach z ciosanego drewna o krętym wejściu po schodach na górę. Wejście do kościoła rozpoczynało się małą kruchtą zwaną babińcem. Nazwa stara, bo kiedyś tylko w tej części mogły przebywać kobiety. Teraz są inne czasy a nazwa pozostała. Z drugiej zaś strony wchodziło się do kościoła poprzez kaplicę Św. Teresy. Piękne wnętrze miał ten kościół farny. W środku główny ołtarz z Matką Boską o czarnej twarzy i rękach, zasłaniany drugim obrazem przedstawiającym Wniebowzięcie Matki Boskiej. Z boku dwa ołtarze i wejście na kazalnicę czyli ambonę. Jest to taki ozdobny balkonik dla księdza kaznodziei wsparty na jednym filarze grubym z drewna, z którego jedynie podczas wielkich uroczystości ksiądz Felicjan , lub inny gość mówił do ludzi kazanie.

Dzisiaj nie używa się tego miejsca do wygłaszania kazań. Przy ołtarzu jest ustawiona mała ambonka , z której ksiądz mówi do ludzi. W tym uświęconym i wymodlonym przez wieki miejscu , żyła nasza mysia rodzinka w składzie: tata zwany Prążkiem, bo dziwną pręgę miał na swoim grzbiecie, mama Bura oraz dzieci Kicka, Nóżka i Ogonek . Postrachem naszych myszy nie byli ludzie, ale ogromny kocur z grubym ogonem zwany przez księdza Felicjana Murzynem, bo był cały czarny jak węgiel. W kościele myszom było biednie, ale spokojnie i bezpiecznie. Mówi się przecież że ktoś jest „biedny jak mysz kościelna”. W tym miejscu nie ma żadnego pożywienia, kot nie grasuje a i ludzie nie interesują się takimi małymi zwierzątkami. W pobliżu było jednak dość dużo zabudowań gospodarczych i mieszkalnych i tam można było urządzać wycieczki po pożywienie. Norkę swoją urządziły w zakrystii ,tuż przy wejściu na wspomnianą kazalnicę. W murze była dziura, przykryta listwą podłogową i odchylała się swobodnie, kiedy się do niej wchodziło. Było tam przytulnie i względnie sucho. Jedynie , kiedy sprzątaczka myła wodą podłogę to było wilgotnie w norze. Nora podmakała ale za chwilę znów było sucho i życie toczyło się normalnie. Młode myszki Kicka, Nóżka i Ogonek nie były jeszcze dostatecznie wyćwiczone i zdyscyplinowane. Hasały sobie dowolnie i baraszkowały gdzie popadło. Często upominane przez rodziców nie reagowały i robiły swoje. Szczególnie niebezpieczne stawały się wyprawy po pożywienie. Oprócz psa Szamana i kota Murzyna groźne były też koty sąsiednich domostw. Zakrystia nie była otwierana często, więc ilekroć drzwi były uchylone, to wymykały się chyłkiem i biegiem odwiedzały albo sąsiednią organistówkę ,albo spiżarnię na Probostwie. U księdza Jasia było pusto, więc omijały ten domek. Dużo ciekawego pożywienia było tez w piwnicy kościelnego Antoniego. Któregoś dnia Prążek przez wiele godzin próbował wy-

dostać się z kościoła, ponieważ nie posłuchał taty i nie wyszedł wraz z całą rodzinką na zewnątrz.
Próbował wygryźć nową dziurkę w grubych drzwiach kaplicy Św. Teresy. Wreszcie przy pomocy rodziców udało się wykonać otwór i od tego momentu o każdej porze mogły myszki wychodzić ze swej kryjówki i boczkiem wzdłuż muru i ganku odwiedzać spiżarnię księdza Proboszcza. Co prawda było to królestwo pani Stefci, lecz smakołyków było tam tak dużo, że i dla myszy wystarczało. Kot Murzyn niechętnie zaglądał do spiżarni i zimnej piwnicy, ponieważ był z natury leniwy, ciągle zresztą syty , bo mu jego miskę na bieżąco Helcia z ochota napełniała, a on całymi dniami wylegiwał się na ganku Plebanii. Nie miał nawet ochoty usunąć się, kiedy interesanci przychodzili na plebanię w różnych sprawach do księdza Felicjana. Szaman natomiast był wszędzie. Jak dozorca dostojnie obchodził wszystkie zakamarki ,a gdy ktoś zbliżał się do Plebanii, groźnie szczekał, ale w mig poznawał, że gość ten nie ma złych zamiarów i nie atakował, stojąc w miejscu poszczekał przez chwilę, pokazując swoją obecność i ważność w tym miejscu. Któregoś dnia całą rodzinką wybrali się na Plebanię do spiżarni i mimo napomnień o zachowaniu szczególnej ostrożności i cichym szperaniu, Ogonek przez nieuwagę potrącił słoik z powidłami na półce a ten z hukiem upadł na podłogę i cały się rozbił. Hałas ten usłyszał Murzyn i wpadł przez otwarte okno do spiżarni i zamiast gonić myszy, zaczął zlizywać słodkie powidła z podłogi. Kucharka Stefcia potem nakrzyczała na kota, sądząc że to on właśnie rozbił słoik z powidłami. Z całego tego zdarzenia myszy wyszły obronną ręką, ale powrót do nory nie był już taki szczęśliwy. Po drodze myszy spotkały się z olbrzymim kocurem, który zamierzał odwiedzić Murzyna. Zaczął je z zajadliwością gonić i z trudem myszom udało się schować do nory, poprzez nowy otwór w kapliczce. Wszędzie dobrze , ale najlepiej jest w swoim domu, jak mawia przysłowie. Najweselej i najgłośniej było zawsze w niedzielę , sobotę i święta. W te dni należało się odpowiednio zabezpieczyć w prowiant, aby nie przechodzić przez ten święty przybytek, lub na cały dzień zostać poza zakrystią w sąsiednich zabudowaniach. Można było cały dzień przesiedzieć w swojej norce, kiedy był zapas pożywienia. Norka była przytulna i ciepła, ponieważ tata zadbał wcześniej i ją starannie wyścielił szmatami, puchem i drobnymi papierkami. Nawet zimową porą było w niej miło i sucho. Najmilszy nastrój wywoływały kolędy śpiewane przez dzieci. Często dzieci grały je na różnych instrumentach razem z organami. Nie mogły jedynie znieść zapachu dymu z kadzidła. Dusił ich i musiały wtedy swoją norkę zasłaniać. W zakrystii jak i w kościele, było zawsze głośno i panował duży ruch, więc kościelny Antoni, ani tez ministranci nie mogli dostrzec mysiej norki. Kiedy było pusto w kościele, mogły sobie dowoli hasać po olbrzymiej podłodze i dywanach. Między ławkami można było nawet znaleźć cukierki lub ciastka, pozostawione przez dzieci. Była wtedy uczta szczególnie dla Kicka, Nóżki i Ogonka. Organista Tomasz mieszkał obok fary. W jego organistówce nie było ani kota ani psa, więc kilkakrotnie myszy próbowały się tam dostać. Kilka razy udało się Prążkowi dostać do jego spiżarni i piwnicy. Było tam wiele smakowitych serów, szynek i boczków, które wisiały wysoko i trzeba było się po nie wdrapać, co nie było łatwe i tylko wprawne myszy mogły zdobyć tak smaczne pożywienie. W worku z kaszą udało się zrobić dziurę i wtedy cała kasza wysypała się na podłogę i było mnóstwo do jedzenia. W mieszkaniu natomiast były rozstawione łapki z serem i wędzonką i te niebezpieczne urządzenia starały się omijać. Kiedyś pomocnik Lolek zostawił otwartą szafę w zakrystii i myszy skorzystały z tej okazji . Wdrapały się na półki i pocięły

książeczki do nabożeństwa i inne przedmioty z materiału. Kiedy to zobaczył kościelny Antoni, zaraz ponastawiał w całej zakrystii łapki i niestety Nóżka się na jedną z nich złapała i nie można jej było z tego potrzasku uwolnić. Długo patrzyły się na nią aż w końcu zdechła a kościelny uradowany wyrzucił ją na śmietnik. Przebiegając kiedyś z kościoła na Plebanię za każdym razem omijały płot i wielkie kasztany i lipy a w jednej z nich była olbrzymia dziura. Kiedy do niej zaglądnęli, ujrzeli inną mysią rodzinkę. Jak sobie radzili w tak wyjątkowo trudnych warunkach i miejscu? Co jedli i jak chronili się przed mrozami i chłodem? Nasza mysia rodzinka zaproponowała gościom wspólne wyprawy do spiżarni na Plebanii i do piwnic na organistówce. Byli też w spiżarni kościelnego Antoniego. Były to bardzo atrakcyjne wypady, więc kilkakrotnie ponawiały te wspólne wycieczki. Pewnego dnia wspólnie obie mysie rodzinki wybrały się do domu organisty Tomasza, ale niestety pomyliły drogę i część zamiast do spiżarni dostała się do domu przez okno i znalazła się w pięknym i czystym pokoju. Jeść nie było co, więc udały się do kuchni, ale tutaj wszystko było pochowane i posprzątane i należało sforsować drzwiczki do szafy, bo lodówki nie dało się otworzyć. Aby dostać się do szafy od tyłu należało wygryźć dziurę i z tym był problem bo to było zawsze głośna praca. Na całe szczęście w organistówce nie było ani kota ani psa a i gospodarza też nie było. Udało się tego dnia zdobyć pożywienie. Wróciły obie rodzinki do swoich norek. Ponawiali te wycieczki aż pewnego dnia organista usłyszał drapanie i na drugi dzień ponastawiał wszędzie łapki i niestety dwie myszki z nory pod kasztanem złapały się na te urządzenia. W zakrystii niestety przez nieuwagę dał się złapać na łapkę Ogonek. Długo patrzały na niego ,aż w końcu zdechł. Nie było sposobu aby z tych sprężyn go wcześniej uwolnić. Kościelny tez nie zauważył tej łapki i kiedyś kopnął ją aż wpadła pod szafę z albami. Po pewnym czasie pomniejszona rodzinka powiększyła się o kolejne myszki i Nóżka osamotniona z radością przyjęła ten fakt. Będzie teraz mogła z młodymi figlować . Ujrzały świat ślepe, niezgrabne i nieporadne, więc czasu trzeba było aby zaczęły rozrabiać. W norze było ciasno, więc senior postanowił poszukać nowej kryjówki. Znalazł ją w starej i nieużywanej szafie, stojącej w zakrystii w kącie. Gniazdo wyłożył papierami i szmatkami, które tam były już pocięte przez poprzedników. Niestety nie trwało to długo, bo pewnego razu Lolek pomocnik kościelnego otwarł tę szafę i z przerażeniem ujrzał gniazdo z małymi.

Na drugi dzień posypał w całej zakrystii truciznę w rogach i niestety niemal cała poszerzona rodzinka powyzdychała w wielkich boleściach. Prążek jedynie został przy życiu i jako samotny postanowił szukać sobie żony wśród polnych myszy. Przebiegając kiedyś na Plebanię spotkał właśnie mysz polną i razem udali się na wyprawę do spiżarni. Razem już wrócili do nory w zakrystii. Pewnego dnia postanowili odwiedzić dom w którym mieszkał wikary Jasiu. Kiedy się tam dostali ujrzeli pięknie posprzątane mieszkanie, a na półkach zamiast pożywienia były ustawione książki .Nie można się było wydostać z tego mieszkania. Przeżywały tragedię i były zgłodniałe. Nie było tam ani spiżarni, ani piwnicy , ani nawet lodówki. W szafach były różne rzeczy ale ani za grosz żywności. Wreszcie przez otarte okno i firanki udało się biednym i wygłodzonym myszom wydostać i natychmiast udały się do spiżarni na Plebanii. Tam zastały duży wybór ciast , wędzonek i serów, więc się do syta najadły a wracając do swojej norki w zakrystii natrafiły na rudego kota z łatkami białymi na grzbiecie, który zaczął je gonić. Myszy zostały zmuszone wdrapać się chyłkiem na drzewo, na które kot nie mógł się wdrapać. Kot potrafi wejść na drzewo, ale zejść nie potrafi, więc

często Straż Pożarna musi go sposobem ściągnąć na ziemię. Kot zrezygnował z polowania a myszy mogły po chwili spokojnie pobiec do swojej norki pod ambonką w zakrystii. Życie ucieka, myszy jest coraz więcej i nic sobie nie robią z nastawionych łapek i trucizn. Coraz więcej się ich rodzi, nawet w kościele mogą sobie spokojnie żyć, Mimo iż nie ma tam warunków do życia, żyją ,ale ludzie mówią prawdę, że ktoś jest „biedny jak mysz kościelna”.

KEMKON

9. Wróble na balkonie

Na balkonie bardzo wysokiego bloku na drugim piętrze było zawsze gwarno i wesoło o każdej porze za wyjątkiem nocy. Świergotem ptasim budzili się mieszkańcy tego bloku i rozpoczynali zwykły swój dzień.
Kiedy wieżowiec ocieplono, to murarze zostawili mnóstwo otworów, jakby wymarzonych dla nas wróblowatych domków lęgowych i bardzo bezpiecznych schronień. Żaden intruz i rozbójnik jak chociażby sroka nie mógł się tam dostać. W te większe otwory wchodziły grubsze i tłuste sikorki, a te nieco mniejsze opanowały wróblowate.
Otóż czas się przedstawić. Ja senior wróblego rodu i ojciec balkonowej rodzinki Ćwirek, moja żona Zazdrosna, bo ciągle pytała mnie, gdzie znów przebywałem i z kim przesiadywałem na jarzębinie, wesołe prowadząc ćwierkania. Do kogo tak zalotnie na tym drzewie ćwir, ćwir śpiewałem, że nawet w domku było słychać?.
Moje dzieci: synek Bąbel bo żarłok z niego „do potęgi" i był rzeczywiście nieco za gruby, moja córka Leniwa, bo na nic nie miała nigdy ochoty, tylko całymi dniami próżnowała. Nie sprzątała budki i w ogóle same kłopoty z nią, ale w końcu to nasza córeczka i musimy jej kaprysy cierpliwie znosić. W sąsiedniej budce lęgowej mieszkały sikorki: On Tłuścioch i jego żona
Złota, bo prawie cała była żółciutka jak żółtko w jajku.
Nie mieli jeszcze potomstwa, ale jak zapewniali, przy sprzyjającej pogodzie i chęciach na pewno się postarają o małe pisklęta. Tymczasem strach przed sroką rozbójnikiem wstrzymywał ich od tej ważnej życiowej decyzji powiększenia swojej rodzinki.
Sroka to bowiem ptak wyjątkowo piękny , mimo że niekolorowy i niezwykle zgrabnie poruszający się, budzi podziw wśród innego ptactwa.
Nie ma bowiem wśród ptaków większej złodziejki i rozbójnika. To postrach wszystkich ptasich matek, szczególnie tych, które wysiadują jaja, lub mając już małe pisklęta. Sroki z furią atakują gniazda ptasie, wyjadając z nich jaja lub zabijając pisklęta. Wypędzają matkę i zabijają małe nowo wyklute pisklęta. Nie zadowolą się byle okruchem czy ziarnem jak inne ptaki, czy nawet spokrewnione ze srokami wrony, kawki, gawrony czy kruki.
Całe nasze szczęście, że otwory do naszych budek lęgowych w murach tego bloku są tak małe, że niemożliwe jest wejście do nich tak dużego ptaka rozbójnika.
Życie naszej wróblej rodzinki było szczęśliwe i ograniczało się niemal do balkonu, parapetu okiennego i podwórka ze śmietnikiem. Pożywienia było tam tyle, że nie było potrzeby wędrować daleko i szukać go po obcych placach i śmietnikach. Rodzina nasza niczym szczególnym nie wyróżniała się spośród innych wróblich rodzin. Wszystkie wróblowate są ubarwione na szaro i trudno je rozpoznać, więc powinniśmy się ciągle trzymać razem, aby się nie zgubić.
Brzuszki nasze są nabrzmiałe i pękate, ponieważ lubimy dużo jeść i nawet kiedy jesteśmy syte, to jeszcze możemy dużo zjeść. Podobno możemy tle zjeść ile ważymy, a nawet jeszcze więcej.
Budka nasza a raczej wyłom w ociepleniu wypełniona wełną mineralną, wsparta na drewnianych listwach, wymoszczona przez nas nitkami, szmatkami, piórami, papierkami, aby było miękko , ciepło i wygodnie. Nigdy nam nie zacieka, nawet jeżeli deszcz uderza i zacina o ściany bloku. Jest dobrze ukryta pod balkonem trzeciego piętra a wlot jest też wygodny. Szkoda tylko że nie ma patyka do stania.

Za kilka tygodni z domku naszego z pewnością dzieci odfruną i na swoim, w innym miejscu uwiją sobie gniazdka i założą sobie rodziny .Taki jest żywot nas wróbli. Tymczasem żyjemy sobie na balkonie, na sąsiadującym z blokiem drzewku, na krzakach przed domem no i na śmietniku i wokół placu zabaw dla dzieci przed blokiem. Tam gdzie bawią się dzieci jest zawsze dość dużo okruchów i prawdziwa uczta dla nas. Nawet chipsy są dla nas choć pikantne dość dobre do jedzenia.
Dobrotliwy właściciel balkonu pan Stefan i jego żona Irena dbają nie tylko o nas, lecz o innych przybyszów. Pan Stefan kiedyś zbudował karmik, a dla sikorek powiesił wisiorek ze słoninką, jak mu zaproponował wnuczek.
W skrzynce od kwiatów natomiast małżeństwo turkawek Zielone Oko i jego małżonka Powabna wysiadywało jaja i na przemian tę trudną pracę wykonywali nieustannie. Zawsze ten kto siedział na gnieździe był obsługiwany, a gniazdo wpierw budowali razem mozolnie z różnych gałązek, nici, papierków i szmatek.
Co możliwe było do uniesienia w dzióbku, znajdowało się w ich gniazdku.
Codziennie pani Irena lub pan Stefan pilnują, aby na balkonie było świeże pożywienie, w karmiku ziarna oraz słoninka na wisiorku dla sikorek.
Złość jedynie ogarnia każdorazowo panią Irenę, kiedy musi ten balkon sprzątać z naszych nieczystości. Wymyśla wtedy i mówi że to nasze piękne i rozłożyste drzewo jest powodem zaśmiecania i należy je bezwzględnie ściąć, to ptaków będzie mniej i więcej słońca wejdzie do jej mieszkania. Pan Stefan jest przeciwny temu , bo przecież drzewo to zieleń, której tak mało jest na każdym osiedlu i wokół domów. Na tym drzewie zresztą figlują nie tylko mieszkańcy balkonu pana Stefana, ale i przybysze jak kuzynowie mazurki, kominiarki, czy większe wrony i te paskudne sroki.
Siedzą też gołębie i z zazdrością spoglądają na nasze turkawki, wysiadujące jaja w skrzynce po kwiatach. Najwięcej pożywienia jednak można znaleźć na śmietniku i wokół niego. Tam często szaleją myszy i groźne szczury i tylko z wielką ostrożnością należy tam szperać, aby na te gryzonie nie trafić.
Ilekroć pan Stefan wysypie ziarno do karmika to wpierw karmią się te turkawki, a potem my się zlatujemy całą rodzinką i wyjadamy wszystko prawie do ostatniego ziarenka. Na wisiorek ze słoninką nie siadamy, bo to uwielbiają sikorki a one są ciągle nienasycone i oblegają tę dziwną konstrukcję i w wielkim pośpiechu dziobią ten przysmak.
Podziwiamy cierpliwość turkawek z naszego balkonu przy wysiadywaniu jaj.
Pomimo śniegu, deszczu słońca czy gwałtownego wiatru i zimna potrafią cierpliwie osłaniać swoje jajeczka, a chwilowo wolny partner obsługuje solidarnie siedzącą na gnieździe.
Któregoś ranka zaczajona na drzewie sroka z furią zaczęła atakować nasze gniazdo turkawek. Długo bronił się Zielone Oko i osłaniał Powabną, aby rozbójnik jej nie zaatakował. Do pomocy sroce przyfrunęła jeszcze jedna sroka i teraz ze zdwojoną mocą atakowały na przemian biedną turkawkę, aż wreszcie zranione Zielone Oko upadł na trawę i dostęp do jaj i gniazda był już kwestią czasu. Nie mogła Powabna obronić swoich jaj i też otrzymała rany i musiała ustąpić. Wtedy obie sroki zaatakowały gniazdo i z dzikością rozdziobały jaja i uciekły. Smutno było naszym sąsiadom bo długo leczyli rany po tym zdarzeniu.
Przenieśli swoje gniazdo na drzewo i je odpowiednio wzmocnili sznurkami, folią i papierkami.
Po pewnym czasie znów zaczęli wysiadywać jaja. W budce lęgowej sikorek

Też chyba Złota wysiadywała jaja, bo rzadko ją widywaliśmy. Za to tłuścioch często wylatywał z budki i obsługiwał swoją ukochaną, przynosząc jej pędraki i kawałki słoniny z wisiorka.
Rozbójnik zaczął znów przesiadywać na drzewku w pobliżu gniazda turkawek.
Tym razem i my zaczęliśmy im pilnować gniazda i kiedy tylko sroka zbliżała się do gniazda, atakowaliśmy ją z furią. Postanowiliśmy pomóc Powabnej w razie ataku, by obronić tych miłych i przesympatycznych sąsiadów.
Na śmietniku i między blokiem królowały wrona Czarnooka i gawron zwany Murzynem bo był cały czarny z połyskiem. Na śmietniku Rozbójnik atakował inną srokę, która grzebała w śmieciach i szukała błyskotek i szkiełek. Każda sroka bowiem kocha się w tych świecących ozdóbkach, a po świętach dużo jest tych ozdób w śmietniku.
Upłynęło wiele tygodni i Powabna oznajmiła gruchaniem że z jaj wreszcie wylęgły się małe pisklęta i zaraz też nazwała je Pazurek i Nóżka. Nóżką nazwała to pisklę, które jedną nóżkę miało nieco dłuższą od drugiej.
Od początku były takie niezdarne i brzydkie ,by potem stać się pięknym i powabnym. Dostały ładnych piórek i były ozdobą całego naszego balkonu i podwórka. Zielone Oko uczył je fruwania a one się podrywały do lotu. Kiedy już nauka się skończyła, to pewnego razu Rozbójnik zaatakował Pazurka, tak że długo leczył swe rany, bo chyba by zginął, gdyby nie pies pana Stefana, który rozpłoszył to bijące się towarzystwo i sroka z wściekłością odleciała na daszek śmietnika.
Po chłodnej wiośnie kilka cieplejszych dni wystarczyło, aby krzewy zazieleniły się a drzewa ukwieciły się ozdabiając ten szary i ponury świat po zimie.
Drzewo nasze było tak piękne, że wydawało nam się że żyjemy w raju. Nic nam do szczęścia nie brakowało. Turkawki teraz po całym osiedlu fruwały sobie i odwiedzały inne gołębie rodziny i pobliskie śmietniki. Większość gołębich rodzin miały swoje gniazda wysoko w górze na ostatnich piętrach wieżowca. Tam było najbezpieczniej i najspokojniej. Nikt ich tam nie płoszył a na jednym balkonie rodzina gołębia uwiła sobie gniazdko w karmiku. Tam było o tyle luksusowo, że karmik ten jak każdy posiadał daszek i było sucho mimo deszczu. Wiatr jedynie utrudniał życie, ale cóż to jest w porównaniu do odkrytego gniazda uwitego na drzewie lub w skrzyneczce na kwiaty na balkonie.
Wkrótce nastało lato i słońce bardzo nagrzewało nasze budki. Należało więc więcej przebywać na zewnątrz, bo oddychać w nich nie było czym. Niebezpieczne dla nas są zdecydowanie koty. Zaczai się taki kocur w krzakach i tak szybko atakuje, że nawet najbardziej płochliwy i zwinny ptak nie daje sobie rady z tym łobuzem.
Tak też było z Zazdrosną. Dziobiąc sobie ciastko w pobliskiej piaskownicy, została zaatakowana przez wstrętnego kocura i tylko pióra poleciały.
Zadowolony z apetytem ją pożarł, ku naszemu przerażeniu. Było nam wtedy smutno. Dzieci Bąbel i Leniwa zostały bez matki. Na szczęście były już większe i mogły zacząć życie na własną rękę, a ja postanowiłem szukać nowej małżonki, lecz z tym było nieco trudniej, bo wszystkie wróble miały pary i były zajęte.
Zapoznałem kiedyś na śmietniku taką jedną, a ona zgodziła się na wspólne życie, jednak pod warunkiem ,że przyjmę do siebie również jej małe wróbląt ko
Zgodziłem się bez wahania i odtąd żyliśmy razem , a Bąbel odfrunął, bo szukał sobie innej przyjaciółki ,że całkiem zapomniał o nas.

Była jeszcze bardziej ponętna i piękniejsza od Zazdrosnej i nazwałem ją Uroczą. Tak więc z Uroczą byliśmy w budce, zawsze tej samej, która powstała w dziurze w ociepleniu bloku.
Jak więc widzicie nasze życie jest też nie pozbawione zmartwień i kłopotów. Są też miłe chwile i radosne jak w życiu ludzi na świecie.
KEMKON

10. W żłobie leży Jasełka – inscenizacja dla dzieci w wieku 9-12 lat

Występują:
Św. Elżbieta, Archanioł Gabriel, Zachariasz –mąż Elżbiety, Maryja Matka Boska Św. Anna matka M. Boskiej i Św. Joachim ojciec M. Boskiej, Św. Józef, król Herod, władca Galilei/petrarcha/.Karczmarz –żyd Jokiel, właściciel Gospody Hieronim, Anioł Annus z trąbka, osioł, wół ,baran, koza, gołębie Lotka i Białogłowy, pies Azorek, Pasterze: Hilary- baca, Andrzej, Kuba, Kacper, Baltazar.
Miejsce akcji:
Dom Joachima i Anny, Dom Elżbiety i Zachariasza w Nazarecie, Hotel- gospoda Hieronima, Karczma Żyda Jokiela, Betlejem: , połoniny, stajenka i żłobek, szałasy pasterzy, ogniska, pastwisko.
Czas akcji: okres przed Bożym Narodzeniem, okres Bożego Narodzenia, Noc w Betlejem, okres wizyty Trzech Króli, Matka Boska i Św. Elżbieta w stanie błogosławionym.
Dom Joachima i Anny
Maryja Matka Boska krząta się przy piecu do wypieku chleba, Anna matka Jej siedzi przy krośnie i tka przędzę na sweterek dla swej córki, Joachim czyta jakąś księgę a potem idzie z chałupy , aby narąbać drewna na opał, bo zazwyczaj o tej porze noce są chłodne.
W domu posprzątane i nagle Anna zwraca się do swego męża Joachima, oślepiona dziwnym blaskiem z niebios:
Anna: *Joachimie, mężu mój, cóż to za jasność oślepia moje stare oczy. Może to znów błyskawice i burze zsyła Bóg na naszą okolicę?*
Joachim: *Dziwne to i niezwykłe. Popatrz Anno córka nasza pada na kolana oślepiona zjawą z nieba. Co to ma wszystko znaczyć?*
Zjawa z nieba w postaci Anioła Gabriela ubrana w białe szaty ze skrzydłami mówi do Maryi jakby z daleka jakieś echo odpowiadało:
Nie bój się Maryjo, znalazłaś właśnie łaskę u Boga, bądź pozdrowiona, łaski pełna, Pan z Tobą, Jesteś błogosławiona między niewiastami i błogosławiony jest owoc żywota we wnętrzu Twoim. Oto zwiastuję Ci nowinę niezwykłą, oto w łonie Twym pojawi się zarodek, który rozwinie się i porodzisz niemowlę, którego nazwiesz imieniem Jezus . On będzie Emanuelem czyli Bogiem z nami. On będzie wielki i wszyscy mu będą się kłaniać i oddawać cześć jako Bogu, a na koniec Jego życia źli ludzie zabiją Go a po trzech dniach zmartwychwstanie i da ludziom przez to świadectwo że był Bogiem a Ty Jego ziemską matką.
Maryja zdziwiona wielce i przestraszona zrazu nie zrozumiała co miały znaczyć te słowa rzekła:
Oto Ja służebnica Pańska Niech mi się stanie według słowa Twego. Jakże się to stanie ,kiedy Ja nie mam męża? Anioł zaś odpowiedział: *Duch Święty zstąpi na Cię i moc Najwyższego Cię zasłoni. Dlatego też to , co się narodzi będzie święte i będzie nazwane Synem Bożym.*
Anioł wzniósł swe ręce i oczy do góry i zniknął. Długo jeszcze potem Maryja tkwiła w pozycji klęczącej a Rodzice Jej też w osłupieniu stali.
Śpiew pieśni Archanioł Boży Gabriel DDN Nr. 114.
Anna do Joachima:
Joachimie Czy Ty rozumiesz co się przed chwilą stało? Bo Ja nie wszystko zrozumiałam. Nasza córka też wszystkiemu się dziwi. Co za dziwne słowa Mowa i obietnice dane od Boga. Nasza córka przyrzekła Gabrielowi ,że będzie po-

słuszna Woli Bożej i o ile takie ma wobec Niej Bóg propozycje to przyjmie je z pokorą. My się też musimy zgodzić z Bożą Wolą.
Joachim do żony Anny:
Dlaczego Bóg wybrał akurat naszą córkę? I Jej łono na miejsce poczęcia tak wielkiej Boskiej osoby?. To dziwne i dla nas wielce niezrozumiałe. Dziwne są i niezrozumiałe zamysły Boga. Bóg jako człowiek? Nie do wiary.
Maryja do swych Rodziców:
Kochani moi! Co teraz będzie ze mną Gdzie się podzieję? I w którym domu to święte dziecię urodzę?
Po kilku dniach do Maryi przybył jako opiekun Św. Józef. Puka do drzwi i pozdrawia domowników. *Pochwalony Bóg w swej wielkości*
Maryja do przybysza: *Co się stało że Ty przychodzisz do mnie o tej porze? Byłeś przecież nie zapowiedziany.*
Św. Józef: *Gabriel anioł z nieba polecił mi , abym z woli Bożej opiekował się Tobą, bo Ty niedługo porodzisz niezwykłe niemowlę o imieniu Jezus. On będzie Bogiem. Sama z pewnością nie dałabyś sobie rady. To takie dziwne i niezrozumiałe, że ja w to nie wierzę. Nie mogę nie być posłuszny Bogu Stwórcy memu i dlatego spełniam Jego wolę. Czy wobec tego przyjmiesz mnie jako Waszego opiekuna?*
Maryja odpowiedziała: *Tak, o ile jest to prawda. Ja też się z wolą Bożą w pełni zgadzam. Jestem Jego służebnicą , bo Go kocham i w Niego wierzę. O ile Boga kocham to także pokocham i Ciebie mój Ty opiekunie.*
Zdarzeniem tym niezwykłym poruszona Maryja zaproponowała swemu nowemu opiekunowi, że razem odwiedzą swą krewną Elżbietę, mieszkającą w Nazarecie i podzielą się z nią tą wiadomością.
Maryja do Józefa:
Kochany Mój. Szczęśliwa wielce pragnęłabym wiadomością tą podzielić się z moją krewną Elżbietą i Zachariaszem jej mężem. Z pewnością się też ucieszą tak jak my.
Józef do Maryi:
Będę Ci towarzyszył i nie tylko teraz, lecz przez całe życie, bo taka jest wola Boga.
Wyruszyli więc razem do domu Elżbiety i Zachariasza. Kiedy przybyli już u wrót gospodarze ich przywitali mówiąc:
Jakże się cieszymy, że Matka Pana naszego Maryja ze swym opiekunem odwiedza nasze progi.
Maryja do Józefa zdziwiona tym powitaniem: *Jakże to możliwe, że Oni wpierw dowiedzieli się o tym że Ja będę Matką Syna Bożego, przecież to Ja wpierw chciałam im tę nowinę przekazać.*
Maryja do Elżbiety: *Skąd wiadomo Wam że kiedyś będę Matką Boską?*
Elżbieta do Maryi: *Archanioł Gabriel wysłaniec od Boga zjawił się u nas i nam tę nowinę oznajmił, więc uwierzyliśmy w to, bo to przecież wysłaniec od samego Boga.*
Maryja do brzemiennej Elżbiety:
Bądź pozdrowiona, Ty która w swym łonie masz przyszłego Chrzciciela , który w przyszłości ochrzci mego Syna a Jan mu będzie na imię.
Wówczas Maryja poczuła, że poruszyło się w Jej łonie dzieciątko i była tym faktem bardzo zaniepokojona, ale zarazem szczęśliwa.
Elżbieta do Maryi: *Niech Bóg nasz sprawi, że zdrowe dzieci urodzimy ,bo obie tej chwili oczekujemy.*

W domu Elżbiety i Zachariasza Maryja z Józefem przebywała około trzech miesięcy.
Józef do Zachariasza: *Martwi mnie czcigodny Zachariaszu, w którym domu przyjdzie na świat to dziwne dziecię, ponieważ musimy udać się do Betlejem, aby zgodnie z rozkazem cezara Augusta wpisać się do rejestru ludności. Jest to bardzo daleko i nie wiem czy Maryja brzemienna wytrzyma próbę tej podróży.*
Zachariasz do Józefa: *Nie martw się Józefie, bo przy pomocy Bożej znajdziesz dobre i bezpieczne schronienie i hotel dla boskiej dzieciny, gdyby w tym czasie przyszła na świat.*
Śpiew pieśni: DDN str. 121 Oto Pan Bóg przyjdzie .
Tymczasem po owej wizycie Maryi i Józefa w domu Elżbiety i Zachariasza trzeba było wyruszyć w drogę do Betlejem judzkiego, aby się poddać spisowi ludności.
Nie zabrano więc wiele rzeczy i jadła, licząc, że po drodze spotkają życzliwych im ludzi i dobry hotel na spoczynek. Idąc górzystym terenem, napotykali co prawda gościńce, hotele i karczmy, lecz dla obcych ludzi i zabrudzonych kurzem podróży nie było miejsca w żadnej gospodzie. Maryja czuła, że czas rozwiązania się nieuchronnie zbliża, więc nalegała swego opiekuna Józefa, aby zatrzymał się gdziekolwiek na spoczynek. Zza góry wyłonił się dom i okazało się że jest to karczma Żyda Jokiela. Ucieszyli się tym widokiem i pośpiesznie weszli do środka. Witając rzekli:
Bądź pozdrowiony karczmarzu. Czy przyjmiesz nas po długiej drodze u siebie na spoczynek?
Żyd Jokiel: *Mam wszystkie pokoje zajęte a te wolne są w tej chwili remontowane i nie mogę Was niestety u mnie przenocować.*
I tak opuścili to miejsce, szukając kolejnego. Niestety żaden hotel nie miał wolnych miejsc. Wielu ludzi jak Maryja i Józef z powodu spisu pozajmowali miejsca w hotelach. Minęli także dom piekarza Hieronima. Niestety i ten był
zajęty przez gości. Maryja nie mogąc dalej iść, błagała opiekuna o spoczynek chociażby „pod gołym niebem" Mówiła: *Błagam Cię, zatrzymajmy się tutaj, chociaż to miejsce jest nie osłonione i pod gołym niebem, ponieważ nie mogę dalej iść i czuję bliskie rozwiązanie. Bóg z pewnością będzie nad nami czuwał.*
W oddali ukazał się wędrowcom szałas pasterski i szopka bydlęca, więc z radością udali się do tych zabudowań, aby spocząć. Była pusta a w stajence u żłobu stały osioł i wół, koza i baran. Na dachu gruchały radośnie gołębie: Lotka i Białogłowy. Obok nich krakały wrona i sroka z biało czarnym ogonem.
Pasterzy tam nie było, więc położyli się mimo zimna i chłodu na sianie.
Noce w Betlejem o tej porze roku były bardzo zimne i bez okrycia niemożliwe jest spędzenie nocy.
Józef do Maryi: *Kochana moja nie mogłem Ci zapewnić godnego miejsca na spoczynek, więc tu musimy się zatrzymać, bo niebawem przyjdzie czas porodu i nie można zwlekać.*
Maryja do Józefa: *Kochany mój. Nie mogę dalej iść, boli mnie wszystko. Głodna i zmęczona jestem. Pozwól, że odpocznę i nabiorę sił. Może bóle miną*- powiedziała z niedowierzaniem. Niedaleko od miejsca spoczynku-stajenki i szałasu bacy Hilarego przebywali pasterze e swym dobytkiem i psem Azorkiem. Byli tam więc: Kuba, Kacper, Michał, Jonasz, Jozafat, Maciej oraz sam baca Hilary.
Zbliżała się noc, lecz oni spali jak zwykle w szałasie i przy ognisku na wypasie.

Śpiew kolędy DDN Nr. 154 Bracia patrzcie jeno I i II zwrotka oraz kolędy DDN Nr. 160 Dlaczego dzisiaj wśród nocy dnieje a następnie kolęda DDN Nr. 162 Do szopy hej pasterze
W środku nocy obudził ich blask i odgłos trąbki Anioła Annusa, który na stajence ustawił się, by zwiastować niezwykłą nowinę.
Kacper szarpie Kubę, Maciej i Andrzej nie mają ochoty wstawać o tej porze, a Azorek przytulony do Joszki i Jonasza ziewnął ospale i ze złością. Baca Hilary wyczuwając powagę chwili stanął na równe nogi i usłyszał głos z niebios. Oto Anioł w pięknej białej szacie oznajmił pasterzom:
W stajence Waszej Maryja rodzi właśnie Syna Bożego Emanuela. Idźcie czym prędzej społem, aby się dzieciąteczku pokłonić. Zabierzcie też jakieś dary, bo nie wypada z pustymi rękami iść do tych niezwykłych gości.
Śpiew kolędy DDN Nr 137 Wśród nocnej ciszy I zwrotka
Zaraz też Anioł zniknął a Bartłomiej, Józafat zawinęli osełkę masła i sera, Kacper i Kuba zabrali małą owieczkę, Andrzej i Michał zabrali fujarkę i kubraczek jako prezenty dla gości.
Spieszmy się więc i nie bądźmy zaspani, bo tam Boska dziecina na nas czeka zawołał grubym głosem baca Hilary.
Maciej z Kubą najpobożniej zaczęli się modlić i żegnać, zamiast szykować się do drogi. Popędzał ich Kacper mówiąc: *Spieszcie się i zostawcie te pacierze, bo tam czeka Was niezwykła wizyta. Trzeba szybko się uwijać i pokłonić się królowi.*
Śpiew kolędy DDN Nr. 211 Wesołą nowinę bracia słuchajcie
Jonasz do braci pasterzy: *Umyć się trzeba w potoku, bo całym dniem zmęczeni musimy wyglądać świeżo i chociaż jako pasterze dostojnie i schludnie ubrani do małego iść należy.*
Śpiew kolędy DDN Nr.127 Wśród nocnej ciszy II zwrotka Poszli znaleźli
Udali się więc pasterze ze śpiewem kolędowym na czele z bacą Hilarym
Kiedy zbliżali się do swej pasterskiej stajenki, ujrzeli ją w jasności wielkiej z Aniołem Annusem grającym na trąbie na dachu szopki. Obok Lotka i Białogłowy gruchali radośnie na powitanie. Sroka i wrona też na swój sposób krakały z przejęciem.
Od środka przez otwarte wrota buchała para i ciepło od trzody a w żłobie na sianie leżała ta mała boska istota lekko przykryta jakimś zawiniątkiem z rączkami *wyciągniętymi* do pasterzy na powitanie. Obok Maryja i Józef z kijem podróżnym w ręku, stał podparty.
Takim widokiem oślepieni padli na twarze i kolana i oddali pokłon w milczeniu i osłupieniu. Mowę im odebrało a mały Jezus błogosławił im, choć to byli tylko prości pasterze owiec i biedni mieszkańcy betlejemskiej ziemi. MARYJA śpiewa maleńkiemu wyjątek z kolędy: *Gdy śliczna Panna lili lili laj* powtarzając kilka razy. lub *Lulajże Jezuuniu moja perełko*
Po pewnej chwili najbardziej ośmielony baca Hilary i Kuba podeszli bliżej do żłobka mówiąc:
Śpiew kolędy DDN Nr. 137 Wśród nocnej ciszy zwrotka III Ach witaj Zbawco
Potem się odezwali: *Witaj nam boski Synu z Maryi dziewicy poczęty. Witajcie Maryjo i Józefie. Cieszymy się ,że nasza szopka stała się dla Was schronieniem*
Choć biedna i dziurawa, niech Wam służy. My i tak wolimy spać w szałasach na połoninach niż z bydlętami i trzodą w tej stajence.
Śpiew kolędy DDN Nr. Nie było miejsca dla Ciebie

Kacper z Maciejem: *Przynosimy Wam to co jest dla nas najdroższe pożywienie i odzież do ubrania. Nic innego nie mamy. Niechże się ta mała dziecina odzieje i pożywi.*
Śpiew kolędy DDN Nr. 174 Jezus Malusieńki
Podchodzi Bartłomiej:
Naści sera osełkę ,niech Ci głód nie doskwiera. Co mamy dobrego dajemy, boś Ty jest naszym Panem i Bogiem.
Z kolei Jozafat:
Masła i jaja przynoszę ze sobą, by się z Tobą podzielić .Nie musisz płakać z głodu, boś Ty jest naszym przyjacielem.
Kuba wstając z klęczek mówi:
Owieczkę przynoszę by Cię ogrzała, a jak kiedy dorośnie niech Ci ciepły sweterek Matka z tej wełenki udziarga.
Jonasz natomiast w te słowa się odezwał: *Mleka w bańce dla małego nie będę żałował. Niech się dziecina napije, by nam rosła w siłę.*
Andrzej i Michał: *Fujareczkę i kubraczek niesiemy Ci w darze byś się ogrzewał. Niech Ci Aniołek zagra na tej fujareczce milutką piosneczkę na dobranoc.*
Na koniec sam baca Hilary*; Witaj nasz gościu dostojny w naszych progach Niech Ci tutaj będzie miło i bezpiecznie .Choć stajenka jest uboga, niech Ci za gospodę*
Służy. Ciepłem naszych bydląt Niech się Twe ciałko ogrzeje. Ognisko Ci rozpalimy, byś nie zamarzł nam tej zimy.
Anioł Annus przestał trąbić a Joszko i Bartłomiej podchodząc bliżej powiedzieli:
Nie tylko dary chcemy Ci dać Jezuniu. *Będziemy się Wami tutaj opiekować i żywić .Mleka też dostaniesz dowoli Ty słaba i drobniuchna dziecinko Boża.*
Codziennie od tej pory odwiedzali swoją stajenkę. Pełnili stałe dyżury, aż któregoś dnia niespodziewanie pojawili się w tej okolicy trzej Monarchowie ze Wschodu z orszakiem na wielbłądach. Byli to Kasper, Melchior i Baltazar.
Śpiew kolędy DDN Nr.252 Mędrcy świata Monarchowie
Okazało się, że gwiazda betlejemska ich tutaj przyprowadziła, by się królowi pokłonić.
Śpiew kolędy DDN Nr. 189 O gwiazdo betlejemska
Maciej i Jozafat, kiedy ich zobaczyli, spytali :*Kim jesteście i do kogo zdążacie, kogo szukacie i kogo chcielibyście zobaczyć dostojni Monarchowie ze Wschodu?*
Kasper jeden z nich odpowiedział: *Gwiazda betlejemska nas tutaj przywiodła, by się nowemu królowi pokłonić. Jako Bóg jest On nad nami władcą a my poddanymi.*
Melchior dodał: *spotkali nas żołnierze Heroda szukając w okolicy małych nowonarodzonych dzieci, bo władca i namiestnik rzymski Herod w obawie przed swym zagrożeniem rozkazał zabić wszystkie nowonarodzone dzieci płci męskiej, aby nie mieć następcy, który by mu zagrażał. Więc nasz Bóg i Król musi być ukryty i dlatego nie zdradziliśmy im miejsca Jego narodzenia i pobytu.*
Baltazar zaś powiedział: *Śpieszmy się więc pokłonić się małemu. Musimy też odpocząć po trudach mozolnej wędrówki. Niesiemy dary, które chcemy złożyć u stóp tej boskiej istoty.*
Scena przybycia Trzech Króli do stajenki. Wielbłądy zostawili przywiązane obok przy drzewku oliwnym.
Kłaniając się wspólnie powitali dzieciątko: *Witaj Królu nasz Boski Synu. Przybywamy z daleka ze Wschodu prowadzeni blaskiem gwiazdy betlejemskiej*

I ręką Anioła. Z dala też echo trąbki Anioła Annusa niosło Dobrą Nowinę. Choć droga nasza była długa i mozolna, to z radością przybywamy, nie czując zmęczenia, boś Ty jest naszym Bogiem i Królem i należą Ci się pokłony i cześć. Nasze dary skromne, ale ofiarowane szczerze, świadcząc o naszym poddaństwie wobec tak ważnej osoby. Przynosimy ze sobą w darze; mirrę, kadzidło i złoto, abyś był bogaty , tak jak my. Mirrą i kadzidłem niech Cię Boski Synu na ołtarzach okadzać będą i cześć Ci oddawać wszystkie pokolenia.

Śpiew kolędy DDN Nr . Ach witaj Zbawco ,z dawna żądany

Jezus , Maryja i Józef pobłogosławili tych wyjątkowych gości.

Kurtyna się zasłania a wszyscy śpiewają kolędę DDN Nr. 219 W żłobie leży, któż pobieży

Propozycje wystroju wnętrz i urządzenie poszczególnych scenek do jasełek „W żłobie leży."

1. Dom Anny i Joachima

Plansze na rozstawnych parawanach przedstawiając wnętrze domu z oknami i gankiem. Anna siedzi przy kołowrotku, Joachim stoi przy piekarniku. Maryja czyta zwój pergaminu i modli się. Wszystkie osoby mają tradycyjne długie szaty w stylu arabsko muzułmańskim bez turbanów na głowie.

2. Dom Elżbiety i Zachariasza

Wyposażenie domu: krosno tkackie. Można wykorzystać wnętrze domu Anny i Joachima. Zachariasz czyta przy stole i coś pisze na pergaminie. Na oknie klatka z ptakami a głębi kominek i świeca zapalona na stole. Zamiast wnętrza domu może być ołtarz a przy nim Zachariasz, ponieważ był on kapłanem według Starego Przymierza. Uwaga: Po widzeniu się Zachariasza z Aniołem Zachariasz zgodnie z wolą Bożą zaniemówił na pewien czas.

3. Pastwiska, szałas i ognisko na połoninach a przy nim pasterze z owieczkami i psem Azorkiem. Księżyc na niebie i gwiazdy.

4. Żłobek, stajenka pasterska w Betlejem

Na dachu ptaki gołębie, wrona i sroka a obok nich lub stojąc przy stajence na ziemi Anioł Annus z trąbą. W stajence w głębi wół i osioł, koza i baran. Oświetlona lampą oliwną. W żłobku na sianie Dzieciątko, obok Maryja i Józef wsparty na kiju stoi. Dzieciątko przykryte białym płótnem. Na dachu duża gwiazda betlejemska. Jest noc i gwiazdy świecą, księżyc w pełni i jest jasno. Aniołowie otaczają żłobek i wołają: *Chwała na wysokości Bogu a na ziemi pokój ludziom dobrej woli*

5.Wizyta Trzech Króli w Betlejem a wpierw spotkanie pasterzy przed Stajenką.

Do ubiorów wykorzystać brokatowe materiały wielobarwne z kartek świątecznych

11. Wierszyki- modlitwy dla małych dzieci

Pan Bóg to Ojciec nasz najlepszy,
A ja jestem dzieckiem Jego
Tylko z miłości do Niego, Będę unikać złego.
A kiedy mi się nie uda,
I zrobię nie tak jak trzeba,
To z żalem serdecznym powiem,
Przepraszam Cię Ojcze z nieba.
Do Ciebie Boże rączki podnoszę,
O zdrowie mamy i taty proszę,
A także proszę niech mnie od złego
Na każdym kroku Aniołki strzegą.
Bóg stworzył to dzienne światło,
Co nas ze snu budzi
Bóg dał kwiatki i drzewka i ptaszki dla ludzi,
Bóg dał wodę w źródełkach,
I na chlebek zboże,
Bóg co go człowiek widzieć i pojąć nie może
Wszystko od Niego o dziecino droga,
Mów pobożnie paciorek,
Kochaj mocno Boga.
Dobranoc Ci Jezu,
Skarbie mój jedyny,
Przepraszam Cię za dzisiejsze winy,
Za Twe łaski dziękuję,
Nóżki Twoje całuję,
Dobranoc Ci Jezu.
Matko Najświętsza Matko Niepokalana,
Do Ciebie wznoszę swe modły od rana,
Błogosław Matko na całym świecie,
Wszystkim maleńkim i starszym dzieciom,
Naszej rodzinie, Ojczyźnie naszej,
Matko Najświętsza pomoc wypraszaj,
Bądź zawsze z nami o ukochana,
Królowo Polski, Najświętsza Pani.
Pan Bóg jedyny i wszystkowiedzący,
Z Maryi Dziewicy jako człowiek narodzony,
Za nas grzeszników był umęczony,
Do krzyża przybity, włócznią przebodzony,
Oddał swe życie dla naszego zbawienia,
Będziemy Mu za to teraz dziękować
Grzechów i błędów w życiu unikać,
Bo Ty jesteś Boże stwórcą jedynym,
I w Tobie ufność pokładać będę
W każdej godzinie.
Ja każdy nowy dzień,
Zacznę paciorkiem Boże,
Gdy przyjdzie nocy cień,
To znów swe rączki złożę,
Boś dobry Pan i Bóg

Dziękować Ci potrzeba,
Że pośród ziemi dróg,
Prowadzisz nas do nieba.
Matko Najświętsza weź w swoje ręce,
Moje niewinne serce dziecięce
Weź mnie w opiekę na każdą chwilę,
Niech się pod Twoim płaszczem,
Bezpiecznie ukryję.
A ja Mateńko Twe wierne dziecię,
Będę wychwalać , nad wszystko na świecie.

Wierszyki z kresów babci Wiktorii sąsiadki

Na wigilię

O gwiazdeczko złota,
O gwiazdeczko ukochana,
Wyglądamy Cię od samego rana,
Wyglądamy Ciebie drobnymi szybkami,
Rychło się ukażesz wysoko nad nami,
Rychło nam zabłyśniesz jak wtedy błyszczała,
Gdy Maryja Jezuska w żłóbku układała,
Rychło nam rozsiejesz tysięczne pociechy,
Rumiane jabłuszka, złocone orzechy.
Świeci się choinka, Mateńka nas ściska,
A tobie koniczek, a tobie kołyska,
A ty sierotko co stoisz za drzwiami,
Otrzyj łezki z oczu, pójdź i ciesz się z nami.
Jest i tu dla Ciebie miejsce wśród gromadki,
Bośmy wszyscy bracie, dziećmi jednej Matki.

O Polsce Ojczyźnie naszej

Śliczna to kraina ta Polska kochana,
Od północy Morzem Bałtyckim oblana,
Od południa wstęgą Karpat opasana,
A przez środek Wisłą srebrzystą skąpana.
Śliczna to kraina, bogate ma pola,
Bo złotą pszeniczkę daje Jej rola.
Wiele miast i wiosek na niej się rozsiadło,
I serc ludzkich wiele w darze Jej przypadło.

O umiłowaniu kraju ojczystego.

Nad moją kołyską, matka się schylała,
I po polsku pacierz, mówić nauczała.
Ojcze Nasz i Zdrowaś i Skład Apostolski,
Jak kochać , miłować wielki naród polski
Bo ten naród polski ma ten urok w sobie,
Kto Go raz pokocha, nie zapomni w grobie.

O różańcu

Ściskam nieśmiało paciorki różańca
W kieszeni płaszcza znalazły schronienie.
Matko Różańcowa pozwól dotrzeć do domu
Rozjaśniam zdrowaśkami nocny mrok
Ciepło światła na schodach
Znowu czuwałaś.

Inne sentencje i morały/ złote myśli/ zasłyszane i zapamiętane do wykorzystania

Nie zawsze umiera ten, kto jest zapomniany.
Boże dałeś mi ze swej szczodrobliwości, daj też każdemu, który mi zazdrości.
Ojcze z Niebios Boże Panie,
Pobłogosław dary Te,
Które teraz spożyć mamy,
Z dobrotliwej ręki Twej.
Żyć można na wiele sposobów,
Lecz umierać jedynie na jeden tylko właściwy.
nie uważałeś jak robiłeś,
To teraz rób jak uważasz.
Jeśli umiesz liczyć, to licz tylko na siebie.
Człowiek ma wartość, na ile siebie daje drugiemu.
Człowiek ujawnia swoją osobowość,
W sposobie traktowania innych.
Tylko oczyma dziecka można dostrzec Boga
Miłość jest jak sztylet wbity w ranę,
Którym świadomie kaleczysz sobie jej wnętrze.
Im więcej pytasz, tym więcej płacisz
Życie daje jednym wianuszek szczęścia i radości,
Innym cierniową koronę cierpień i trosk,
Oblubieńcom Boga natomiast daje obydwa te dary.
Można się chwalić samemu, skoro nie robią tego inni,
Ale zawsze należy mówić i pisać prawdę.
Agnieszka łaskawa, wypuszcza skowronka z rękawa.
Albo
Agnieszka wypuszcza skowronka z mieszka.
Przy stole biesiadnym możesz mieć i stu przyjaciół,
Lecz doradców wybieraj jednego z tysiąca.
Już kocham Cię tyle lat na przemian w mroku i śpiewie,
Może to już sześćdziesiąt lat a może więcej- nie wiem!
Jedz powoli i dokładnie,
To Ci kamień z żółci spadnie.